ZE SKARBNICY

WIEDZY I PRAWDY.

Prawd jest bez liku, równie jak gwiazd w błękicie.
Im lepsze macie oczy, tém więcéj ujrzycie—

Adam Mickiewicz.

ZE SKARBNICY
WIEDZY i PRAWDY

ORAZ

sprostowanie błędnie podanych faktów historycznych
i wyjaśnienie najdonioślejszych kwestyj

naukowych, filozoficznych, społecznych i t. p.

zaczerpnął i opracował

ADAM MORAWSKI.

WYDANIE DRUGIE
poprawione i pomnożone
na tle
postępu nauk i nowych odkryć.

Pro bono publico.

WARSZAWA.
Gebethner i Wolff.
WILNO. 1884. LWÓW.
J. Zawadzki. **Seyfarth i Czajkowski.**

184

A

Uniwersytet Warszawski
BIBLIOTEKA
Wydz. Hum.
Filia w Białymstoku
88057

Дозволено цензурою.—Варшава 21 Марта 1884 г.

ВИЛЬНО. Типографія п. ф. Осипа Завадзкаго. (Замковый пер., д. № 149).

Bardzo często, szczególniéj w dzisiejszych czasach, nietylko w znacznéj liczbie książek, ale w dziełach poważnych i encyklopedyach łatwo można się spotkać z mylném podaniem rzeczy, nie dziw więc, że nawet osoby wykształcone i zajmujące pewne stanowisko w społeczeństwie, wydają częstokroć sąd zupełnie niezgodny z faktami, i to w najdonioślejszych kwestyach, a które jednak każdy, pragnący szczerze oświecić swój umysł, gruntownie znać jest obowiązany.

Dzieło to, traktując i wyjaśniając wiele kwestyi, na podstawie najlepszych źródeł, będzie, jak mniemam, pożyteczną książką dla wszystkich, pragnących prawdy i wiedzy w najróżnorodniejszych jéj zagadnieniach.

Nie łatwém było zadaniem rozwinąć obszerniéj, tak wiele i tak doniosłych kwestyi w jedném dziełku, wykazałem jednak i poparłem dowodami ludzi głośnych w świecie naukowym, że nie można wierzyć wszystkiemu, co piszą niektórzy, nieopierający się na ścisłéj nauce i faktach, ale na przypuszczeniach (hypotezach) i te podają za niewątpliwe wyniki naukowe, historyczne i t. p.

Do napisania tego dziełka, pobudziła mię tylko miłość prawdy i dobra ogółu, z nadzieją, że który z uczonych mężów naszych i dobréj woli, opracuje lepsze i użyteczniejsze dzieło w tym zakresie, a jakiego niestety brak naszemu spo-

łeczeństwu, tém bardziéj przy napływie dzieł obcych i tu tłomaczonych, które nieoględnym umysłom wyrządzają szkodę, i to umysłom pragnącym prawdy, wiedzy i postępu ludzkości, a nie cofania jéj wstecz.

We Francyi, Anglii, Włoszech, Niemczech i t. d., szczególniéj w naszych czasach, gdzie najdonioślejsze kwestye naukowe i t. p. są nadużywane w celu osobistych uprzedzeń, i prowadzą społeczeństwa do najsmutniejszych następstw, jest także wielu ludzi gruntownéj nauki, którzy pracami swemi, wielkie oddają usługi ogółowi. U nas głównie, tylko pisma peryodyczne wzięły to zadanie na siebie i z godną pochwały wytrwałością, przy najuciążliwszych nieraz warunkach, pracują na tém polu, ale dzieł popularnych w tym zakresie brak jest wielki.

Do jakiego celu nauka dążyć powinna?

Z nicestwa wywołany człowiek do bytu, zaledwie stanie na wskazaném mu stanowisku, zaledwie uczuje samodzielne istnienie, natychmiast w duszy swéj odkrywa gorącą żądzę poznania tego nieobjętego stworzenia, którego sam drobniutką jest cząstką; natychmiast obudza się w nim popęd niepohamowany, wiodący go do nabywania wiadomości, wykrycie prawdy mających na celu. — Gdzież jest przewodnik umiejętny i pewny, który w téj drodze prowadzić go będzie; gdzie światło, które mu tę pielgrzymkę oświeci? Niejednokrotnie ponowiwszy te pytania, niepewny i trwożny wędrowiec, po niejakim czasie odbiera niedość jasną jeszcze odpowiedź; wewnątrz jego odzywa się głos tajemniczy, który mu mówi: „w łonie twojém mieści się ukryta władza, zwana rozumem, ona cię do poznania prawdy powiedzie". — I przychodzień dumny, bo słaby, pysznić się zaczyna wielkością swéj własnéj potęgi; i ufny, gdyż jeszcze nieświadomy, pospiesza śmiało po nabycie wiadomości i poznanie prawdy, czyli, jak zwykliśmy mówić, za nauką goni.

Nauka więc w ogólném swém znaczeniu wzięta, będzie nam oznaczała dążność, postęp nieustanny ~~rozumu~~, na drodze do prawdy wiodącéj. W tych ~~jego~~ usiłowaniach, w téj świetnéj jego walce dla rozszerzenia granic działalności ~~przezeń~~ odbywanéj, dwoisty postrzegamy kierunek: jeden stwarza i mnoży rozmaite, od siebie odmienne nauk gałęzie, drugi usiłuje je zjednoczyć i jedną całość utworzyć; jeden rozszerza poznania ~~ludzkie~~ i na rozmaitość je rozdrabia, drugi zgromadza tę rozmaitość i do jedności ją przywodzi.

Że zaś rozum ludzki, jako całość w sobie uważany, przedstawia toż samo w większych rozmiarach, co postrzegamy w rozumie pojedyńczego kształcącego się człowieka; przeto, nad postępowaniem w nabywaniu nauki tego ostatniego, pokrótce się zastanówmy. — Codziennie różnorodnéj natury przybywają mu wiadomości i zasoby jego pojęć nieustannie się powiększają. W tak rozległéj naukowéj dziedzinie, rozum jego zbłąkaćby się musiał, gdyby niejakich do kierowania się nie upatrywał znaków, gdyby pewnych nie tworzył dzielnic. Dla tego téż, musi on w szeregu nabywanych pojęć wynaleść jakiś pewny porządek; szuka pomiędzy niemi ogólnych, i przy nich, jakby około jakiego środka, zgromadza inne, z natury swéj do nich zbliżone; późniéj dopiero upatruje pewnéj zależności i związków pomiędzy temi dzielnicami zachodzących. Toż samo ma miejsce i w ogólnym postępie rozumu ludzkiego, czyli w całym ogromie nabytych przez ród ludzki wiadomości; z tą tylko różnicą, iż w pojedynczém indywiduum, jeden i tenże sam rozum, obie te sobie przeciwne na pozór wypełnia czynności, kiedy w drugim razie najczęściéj pojedyncze, oddzielne, trudnią się niemi osoby.

I tak: jedni za przedmiot poszukiwań swoich biorą jakieś ogólne pojęcie, rozszerzają je we wszystkich kierunkach, wzbogacają mnóstwem szczególnych pojęć, z których w końcu oddzielna tworzy się nauka. Widoczną jest rzeczą, iż w każdéj z nich w szczególności, może się znaleść jakieś jedno, także ogólne pojęcie, jakiś jeden oddzielny zaród, który będąc z postępem wieków nowemi zbogacony pojęciami, nową zasilany karmą, w osobną i w pewien sposób samobytną gałąź się zamienić, i nową naukę utworzyć może. Jak tego przykład dotykalny mamy na nauce przyrodzenia, która w tyle innych odmiennych już się rozrosła, dzisiaj rozrasta, i na przyszłość rozrosnąć może.

Gdy się tak nauki oddzielają, mnożą i w pewnym względzie indywidualizują, w miarę przybywających im zasiłków; rozum ludzki wzbogacając się i rozwijając w szczegółach, musiałby się stawać coraz słabszym pod względem ogółu, gdyby inni szczególni ludzie, nie pospieszyli mu na pomoc, i przez swoje mniéj więcéj szczęśliwe usiłowania, nie odkryli ścisłych więzów, jednoczących z sobą te różnorodne wiadomości dzielnice, oraz, jeśliby w pośród téj wzrastającéj rozmaitości, nie upatrzyli pewnego oddzielnego zbioru pojęć, wszystkie je razem do ścisłéj całości przywodzących. Bez téj wspólnéj jedności, nie będzie w nich życia; pole nabytków umysłowych zamieni się w rozległy cmentarz, usiany mnóstwem bogatych lecz martwych pomników,

których dumne napisy świadczyć tylko będą o znajdowaniu się znikomych pod niemi szczątków, jakie duch ożywiający na zawsze już opuścił. Będzie to kunsztownie z różnorodnych swych części ułożony, i starannie oczyszczony skielet pięknego niegdyś człowieka, który piękniejsza jeszcze ożywiała dusza. Słowem, według słów Proroka, nasza umiejętność będzie tylko zbiorem ułamków. I w istocie, byłaby nim rzeczywiście, gdyby tych różnorodnych części nie łączył w jedną całość, jakiś wiąz ogólny, pojedynczy i trwały.

Zastanawiając się nad tym wnioskiem nieco bliżéj, koniecznie do jedności nauki przyjść musimy; niezbędnie powinien się znajdować jakiś cel jéj oznaczony, albo jakaś jedna nauka, w któréj wszystkie szczególne, jednoczyć się powinny. Jakoż za tą jednością wszystko mówi w przyrodzeniu, którego nauka pewnym jest obrazem; w zmysłowym bowiem, jako téż i umysłowym świecie, wyraźnie tę ku jedności postrzegamy dążność; a jeżeli wszelka prawdziwa teorya ma być niejako źwierciadłem, w którém się wszystko odbija tak, jak istnie rzeczywiście, azaliż nie jest rzeczą naturalną mniemać, że dążność nauki taka sama być musi jak i dążność stworzenia, i że w rozumie ludzkim toż samo się dzieje co i w przyrodzeniu. Wychodząc z téj zasady, rzućmy okiem na świat zewnętrzny.

W układzie słonecznym widzimy, iż planety drugiego rzędu, oprócz własnego biegu czyli ruchu, mają jeszcze dążność wspólną z planetami głównymi, z którymi je wiąże siła ciężkości; te znowu z kolei, biegąc wskazanemi sobie drogami, dążą ku słońcu, to jest, ku jednemu środkowi wspólnemu, który utrzymując je we wzajemnéj zawisłości, jest przyczyną tego ogólnego porządku, jaki w całym systemacie panuje, i źródłem tego ożywczego światła, które go zasila. — Podobnież więc i teorye oświecające dziedzinę każdéj w szczególności nauki, muszą pożyczać swego światła w jedném wspólném pojęć ognisku, które będąc właściwém światła źródłem, w jedności i zgodzie wszystkie jéj utrzymuje części.

Toż samo prawo działania umysłu ludzkiego, da się wyprowadzić i z przyrodzenia organicznego czyli żyjącego. Uważmy naprzód królestwo roślinne: drzewo np. dzieli się na wiele gałęzi, z których każda jakby oddzielne indywiduum tworzyć usiłuje; każda z nich bowiem podobnież rozdziela się na inne gałązki, okrywa własnemi liśćmi, jaśnieje własném kwieciem i we własny zbogaca się owoc. W miarę więc rozrastania się i przybywania pojedyńczych gałęzi, życie drzewa słabieć i zniknąćby w końcu powinno, jeśliby jeden i ten-

że sam sok pożywny, wszystkich jego nie ożywiał części.—Jeżeli więc podobne zjawisko postrzegamy na roślinie, czemużby różnorodnych gałęzi wielkiego drzewa wiadomości ludzkich, jedna tylko nauka ogólna, na wzór pożywnego soku, zasilać nie miała? Pomykając się daléj w świecie żyjącym, toż samo źródło ożywczéj jedności i w zwierzęcém postrzegamy królestwie. Dwoiste to dążenie nauki, symbolicznie wyobrażane widzieć możemy w podwójnym ruchu wewnętrznym żwierzęcego ciała. Krew, ta ciecz ożywiająca budowę żwierzęcia, za pomocą tętn czyli arteryj rozchodzi się po wszystkich jego częściach, które zasiliwszy, przez żyły znowu powraca do jednego środka, do serca, z którego następnie wychodząc, po całym żwierzęcym organizmie życie roznosi.—Dlaczegóżby więc tego ogniska ożywczego, tego serca, nauka mieć nie mogła?

Od tych zjawisk materyalnych, przejdźmy do wyobrażeń więcéj umysłowych i oderwanych.—Jakoż w porządku społeczeńskim pomimo różnorodnego dążenia tysiącznych jego członków, czyliż nie postrzegamy téj jedności ogólnéj, która te krocie, częstokroć sprzecznych z sobą szczegółów, jednoczy? Władza rozciągająca się po wszystkich miejscach kraju, azaliż się nie skupia w jedném jego ognisku, w prawie, tenże kraj obowiązującém?—Samaż więc kraina różnorodnych nauk ma być pozbawioną obowiązującéj ją najwyższéj ustawy? nie ograniczając się tym jednym w swoim obrębie przykładem, weźmy inny, ogólniejszy jeszcze, jaki nam przedstawia cała ludzkość. W niéj najwidoczniéj postrzegamy tę dwoistą dążność: szczególną i powszechną. Miłość własna, samolubna, rozbiega się po wszystkich jéj członkach, i w każdym w szczególności, oddziela się i uosabia; lecz za to, z drugiéj strony, miłość bliźniego, skupia rozpierzchłych samolubów, do ogólnego zgromadza ogniska, i w niém ich jednoczy.—Azaliż więc tylko dziedzina nauki, pozostanie samolubstwa dziedziną; nie będzież żadnéj pomiędzy niemi, któraby wzorem ogólnéj miłości, wszystkie je z sobą zespoliła?

Z kolei zastanówmy się nad samą naturą nauk, a niewątpliwe wskazanie jedności ich znajdziemy. Sposób ich powstawania, o którym już powiedzieliśmy, wyraźnie pokazuje, iż jeżeli jedna nauka może się na inne szczególne rozdrabniać, to na odwrót, koniecznie i te szczególne w jednéj połączać się muszą. Przytém, ponieważ jeden jest cel nauki, odkrycie prawdy, która z istoty swojéj jedną tylko być może; a zatém, za jednością dążenia i celu, jedność ich wszystkich początku i końca następować musi. Zresztą, za konieczno-

ścią istnienia jednéj nauki wszystkie inne wiążącéj, mówi jedność ludzkiego pojęcia: gdyż jak rozmaite władze umysłowe są tylko różnorodnemi organami naszego rozumu, tak i odmienne nauk gałęzie, niczém więcéj być nie mogą, jedno tylko organami szczególnemi, jednéj ogólnéj nauki, w któréj zgromadzone prawdziwą całość tworzą, nakształt owych różnobarwnych tęczy promieni, jakie zjednoczywszy się z sobą, dają początek białemu światłu, które samo tylko wszystkie przedmioty we właściwym kształcie i wrodzonéj im barwie nam pokazuje.

Nie bez słusznych więc powodów sądzimy, iż wszystkie różnorodne wiadomości ludzkich gałęzie, muszą łączyć się z sobą w łonie jednéj, ogólnéj, właściwéj nauki, któréj niejako są narzędziami tylko.

Jakaż to będzie ta przodkująca innym nauka? jakież to będzie słońce tego umysłowego systematu świata, ów sok ożywczy tego rozległego drzewa wiadomości, owe serce roznoszące życie po tym pięknym utworze duszy ludzkiéj? Zastanówmy się nad tém pytaniem prostą uwagą.

Nim jednak do rozwiązania jego przystąpimy, wypada, ażebyśmy słów kilka o nauce saméj powiedzieli. Nauka w ogólności uważana, zawiera w sobie dwoistego rzędu wiadomości, to jest: zjawiska czyli fakta i pojęcia czyli idee; pierwsze stanowią niejako jéj organizm czyli budowę; drugie miejsce duszy w niéj zastępują. Zjawiska, których zbiorem jest ogół stworzenia, nie miałyby żadnéj wartości, gdyby nie wyrażały przyczyn swojego bytu, jeśliby nie były tylko zewnętrznemi skutkami wielkiego zbioru pojęć czyli idei pochodzących od jednéj przyczyny. Ogół stworzenia, w pewnym względzie porównany być może do pewnego systematu pisma używanego od niektórych ludów starożytności: w nim ręka piszącego kreśliła same tylko spółgłoski, samogłoski zaś zostawały w umyśle piszącego; samo więc tylko pojęcie, a nie oko czytelnika poznawać je musiało. Podobnież rzecz się ma i ze światem: zjawiska są spółgłoskami obrazowemi dla zmysłów, pojęcia zaś i przyczyny rzeczy, stanowią samogłoski ukryte, dostępne mniéj lub więcéj dla nauki, która z wiekami wyczytywać je usiłuje. Inaczéj przyrodzenie byłoby wielką księgą powstającą ze spółgłosek dźwięku pozbawionych.

Wiadomości więc ludzkie składają się z dwóch pierwiastków: zjawisk i pojęć. Zjawiska, które się odnoszą koniecznie do jakiéjś rzeczy wyższéj nad nie same, tém są w przyrodzeniu, czém w muzyce harmonia, która zostaje w związku z melodyą duszę jéj stano-

wiącą. Pojęcia zaś są właśnie tą melodyą wyrazistą, która zjawiskom nadaje znaczenie, i która w sobie uważana, jest zbiorem zmian wzniosłych na jeden nieskończony temat odbywanych.—Tym sposobem różnorodność przedmiotów, cel wiadomości stanowiących, sprowadza się do ścisłéj pomiędzy niemi jedności. I dlatego mówiąc w dalszym ciągu o nauce, będziemy zajmowali w niéj tak zjawiska, jako téż i pojęcia.

Jakkolwiek wielka jest rozmaitość nauk, dążenie jednak ich wszystkich jest wspólne; wszystkie albowiem zmierzają do zdania sprawy dokładnego z jakiéjkolwiek rzeczy, do jéj poznania, to jest do prawdy. Przebieżmy więc lekko warunki wszelkiego poznania.—W każdém umiejętném zdaniu sprawy z rozważanego przedmiotu, staramy się szczególne, przemijające, złożone, odnieść i połączyć z tém, co ma przynajmniéj względny charakter ogólności, trwałości i jedności. Dążenie to znajdujemy w każdéj nauce tak zajmującéj się poznaniem zjawisk, jako téż i pojęć. Tak np. spadanie każdego ciała na ziemi, odnosimy do siły ciężkości; krążenie planet rozmaitych w przestrzeni, przypisujemy sile ciążenia, względem pierwszéj za ogólniejszą uważanéj. Widzimy więc, iż zjawisko spadającego ciała, przemijające, szczególne i częste, wiążemy z siłą ciężkości każdego planety, przynajmniéj względnie uważaną, za ogólną, nieustanną i jedną. Następnie te odmienne i rozmaite siły ciężkości różnych planet, łączymy z jedną ogólną, nieustanną siłą ciążenia całego systematu słonecznego. Idąc daléj, wnosimy o sile innéj powszechniejszéj, trwalszéj i więcéj w sobie jednej, która téż systemata słoneczne z sobą w związku utrzymywać musi. Podobnież się dzieje przy zgłębianiu jakiegoś pojęcia czyli idei; każda zasada, z któréj inne następstwa wynikają, przynajmniéj względnie, jest w sobie jedną; stosunkowo do nich uważana, musi być ogólną, gdyż w sobie je mieści; a ponieważ porównana do tychże następstw, nosi charakter pierworodności, przeto względem ich wzięta jest trwałą.

Ztąd widzimy, że gdy rozum ludzki do jednego ogólnego pojęcia lub zjawiska, odniósł inne pojęcia lub zjawiska podrzędne, wówczas, na mocy téjże saméj dążności, usiłuje te niejako ogniska szczególne, połączyć i skupić w innem ognisku powszechniejszém, to jest takiém, któreby miało przymioty rozleglejszéj ogólności, większéj trwałości i doskonalszéj jedności. Tą drogą idąc daléj, musi przyjść w końcu do ogniska ognisk, do środka środków, czyli do bezwzględnej jedności, do bezwzględnego ogołu i do bezwzględnéj trwałości. Lecz czémże jest

bezwzględna ogólność?—to nieograniczoność; bezwzględna trwałość?—to wieczność; bezwzględna jedność?—będzie to bez wszelkiego nawet pozoru łączności, bez najmniejszego cienia składu, jedność najczystsza. Taka jédność, nieograniczoność i wieczność, są charakterami nieskończoności, czyli najogólniejszego przymiotu istoty w sobie jednéj, nieograniczonéj i wiecznéj, to jest Boga. Wszystkie więc nauki do Niego prowadząc, łączą się w jednéj, poznanie Boga mającéj na celu, to jest w religii. Z tego powodu Szwejkowski mówi: „iż wszystkie jakkolwiek są liczne i daleko rozgałęzione nauki, do tego łatwo dają się sprowadzić zamiaru, aby dając poznać zbiór rzeczy stworzonych, tém samém przysposobiły do wniosku o Stwórcy".

Przychodząc więc z oderwanego wyobrażenia dążności nauki, do koniecznego uznania nieskończoności, powiedzieć teraz możemy, iż odkrywanie związków pomiędzy ograniczoném a nieskończonością, jest ostatecznym jéj celem. Stanąwszy na tym punkcie poszukiwań naszych, co do nas samych, z ręką na sercu wyznać musimy, iż pojęcie nieskończoności, dalekie jeszcze jest dla nas od tego światła, w jakiémbyśmy oglądać je radzi; że raczéj odgadujemy ją tylko i przeczuwamy, aniżeli pojmujemy; że jedynie widzimy jakby częściowy, niezupełny jéj obraz, na szczupłéj powierzchni źwierciadlanéj odbity, sam zaś przedmiot nazbyt od nas daleki, ani różnostronnie poznany, ani dokładnie objęty nie został jeszcze. Rzetelność tego szczérego wyznania, moglibyśmy uogólnić i stwierdzić powagą wielu gruntownych duchownego człowieka badaczów; ograniczymy się jednak tylko zdaniem Combalot'a mówiącego w te słowa: „Sam tylko rozum wzięty za przewodnika w szukaniu prawdy, ani o Bogu, ani o stworzeniu dostatecznie nauczyć nas nie zdoła; ponieważ on sam zostaje w wiecznéj niemocy czystego i dokładnego odróżnienia tego, co jest skończoném od nieskończonego, co jest stosunkowém od bezwzględnego, jedném słowem, Stwórcy od stworzenia".

Tak więc ów przewodnik na drodze życia dany człowiekowi, ów rozum, za pomocą nauki, wzniósł go nad resztę przyrodzenia, doprowadzając do odgadnienia bytności Boga. Nie chlubmy się jednak zbyt wcześnie z sił naszych i znaczenia. Stanowisko na którém ów przewodnik nas postawił, wysokie jest wprawdzie, lecz niezupełnie pewne i bezpieczne; jeden krok błędny, a upadniemy niezawodnie i może jeszcze niżéj od reszty stworzenia. Trwałość, rozległość i jedność, tak jak je warunkowo pojmujemy, są tylko skończonemi postaciami jednego przymiotu przedwiecznego i niepojętego Boga; są to tylko po

zory nieskończoności i na nich nauka nie może się zatrzymać; albowiem, jeżeli nie sięgnie daléj, jeżeli cześć na tych pozorach ograniczy, wyrodzi się niezawodnie w bałwochwalstwo umysłowe. Oderwane te pojęcia staną się bożyszczami rozumu, środkującemi między nim, a prawdziwym Bogiem, który sam tylko czci naszéj wyłącznym celem być powinien.

Doszedłszy do odgadnienia bytności Boga, zaprawdę jak na stworzenie myślące, wysokośmy się już wznieśli; lecz jak na człowieka, na obraz i podobieństwo Boga stworzonego, zbyt nisko jeszcze stoimy; albowiem jeszcześmy nie wyszli z krainy błędu dokoła nas otaczającéj, i jeszcze graniczymy z poniżeniem lub pychą. Z jednéj strony wpadamy w otchłań nicestwa, z drugiéj zbrodniczą ręką po berło bóstwa sięgamy, lub niepewni bez ustanku na obie chwiejemy się strony. Nie znalazłszy bowiem dla niepewnego rozumu niewzruszonéj podpory, koniecznie w rozliczne błędy wpadać, i samą naukę potwornie przekształcać musimy. Tu grozi nam bezbożność z całym szeregiem błędów swoich, sensualizmu, materyalizmu i racyonalizmu; ówdzie panteizm nieograniczone swe ramiona ku nam wyciąga; a tam przybycia naszego chwiejący się wygląda dualizm.— Wniosek, któryśmy tu wywiedli, nie jest czczém tylko przypuszczeniem; widocznéj jego rzeczywistości smutne dowody pokazują dzieje rozumu ludzkiego.

Słusznie więc powiedzieć możemy, że chociaż nie bez chluby doprowadził nas przewodnik do tak wysokiego stanowiska, do poznania bytności Boga, lecz jeszcze nie pokazał nam jasnego słońca prawdy; ujrzeliśmy tylko brzask zwiastujący wschód jego, lecz nie samo jeszcze słońce. Na granicach widnokręgu naszego wznoszą się jeszcze porankowe tumany, które przedmiotów we właściwém świetle jeszcze nam nie pokazują. Kto wié, może to są zjawiska, jak *Fatamorgana*, lub fantastyczne widziadła snujące się po dolinie *Tirkout*, które zgubę widzowi zapowiadają?—A jednakże ród ludzki nim u tego kresu stanął, zmierzając doń za przewodnictwem tylko samego rozumu, nim, mówię, samą tylko bytność Boga odgadnął, nim nie dość jasne wyobrażenie umysłu pańskiego powziął, przez ileż niebezpieczeństw przebyć, ileż trudów i walk pokonać musiał? Dla tego też mówi św. Tomasz: „Prawdziwa znajomość Boga, za pomocą jedynie samego rozumu szukana, przystępną jest tylko dla małéj liczby ludzi, i to po długich i trudnych poszukiwaniach, z mnóstwem błędów zawsze połączonych".

Powtarzamy więc, iż przekonawszy się o jedności nauki i pojmując, że nie gdzieindziéj tego związku jedności szukać mamy, jak

tylko w poznaniu Boga, w religii, jeszcześmy nie stanęli u celu. Odgadywanie, przeczucie, że tak powiemy, prawdy, jeszcze nie jest jéj poznaniem; konieczność bytności Boga, to jeszcze nie koniec dążeń naszych; może to być już kres przewodnictwa rozumu naszego, lecz nie granica pragnienia duszy naszéj, ani cel bytu człowieka. Zaiste przyprowadził nas rozum przed prawdę, lecz oblicze jéj jeszcze zakryte. Któż tę zasłonę podniesie? Czyliż ograniczone nieskończoność ogarnąć zdoła? Czyliż ułomne, częstym błędom podległe, wieczną prawdę nam pokaże?— Nie zapewna. Zasłonę prawdy sama tylko prawda odkryć może; Boga, sam tylko Bóg nam da poznać. Dla tego też innego zsyła On nam przewodnika pojmującego nieskończoność, jakim jest w i a r a, która nas wiedzie do dziedziny owéj nauki prawdziwéj, boskiéj, owego Objawienia, jakie jest początkiem i końcem naszéj ziemskiéj nauki. Nowy ten przewodnik na wyższe jeszcze wznosi nas stanowisko; poglądając już z niego na otaczający nas widnokrąg, wyraźnie go w całéj rozległości widzimy, przy blasku wiecznéj prawdy, przy świetle Objawienia. Teraz dopiero poznajemy nieskończoność; teraz widzimy całą przeszłość i początek stworzenia, poznajemy swoją teraźniejszość i stosunki nasze ze Stwórcą i stworzeniem, w końcu odkrywamy przyszłość, cel i kres bytu naszego. Teraz już jesteśmy czémś więcéj, aniżeli arcydziełem w przyrodzeniu; stajemy się synami Boga, braćmi jednéj wielkiéj rodziny, któréj On jest ojcem. Tu się rozwiązuje zagadka bytu naszego, tu poznajemy prawa wszechwładnego Stwórcy i obowiązki jego stworzenia. Tu dopiero rozwija się nieograniczone państwo miłości, w którem cześć Boga jest celem, a miłość bliźniego środkiem. Tu więc znajdujemy prawdę, za którąśmy nieustannie tęsknili, którejśmy w każdéj szukali nauce, a którą całym blaskiem jaśniejącą, boskie odkrywa nam Objawienie. Tą myślą przeniknięty Euler mówi: „największa doskonałość rozumu ludzkiego zależy na dokładnéj znajomości Boga i dzieł jego; lecz ponieważ ta znajomość nieograniczoną byćby musiała, żadne przeto pojęcie zawrzeć jéj w sobie nie zdoła, a zatém, owa najwyższa doskonałość samemu tylko Bogu właściwą być może". W s a m é j w i ę c t y l k o n a u c e p r z e z N i e g o z e s ł a n é j, znajdziemy tę prawdę i mądrość, za jakiemi n i e p r z e r w a n i e g o n i m y. W niéj zawarte odkrywając mędrzec prawdy, do jakich mozolne, wiekowe poszukiwania rozum ludzki doprowadzić zdołały, poznaje wznioślejsze jeszcze nad nie, którychby samym rozumem nigdy dosięgnąć nie zdołał; w niéj też ubogi w duchu prostaczek znajduje takoż tęż samą Boską

prawdę, do któréj słabém pojęciem swojém, nigdyby dójść nie potrafił. Ta właśnie przystępność dla wszystkich téj nauki, najwidoczniejszym sposobem świadczy, o boskiém jéj źródle i niezawodności; albowiem niezbędną cechą prawdy, musi być łatwość jéj poznania dla każdego myślącego człowieka, czy-to on jest wykształcony, czy w pierwiastkowéj prostocie żyjący. Nauka więc do niéj wiodąca, ostatecznym kresem dla rozumu być musi. Ona nadto raz jest ogniskiem, szczytem najwyższym, do którego nauka ludzka podnieść się usiłuje; drugi raz sam Bóg za jéj pomocą, zniża się do swojego stworzenia. Wszystko to więc pokazuje, iż ona jest razem początkiem i końcem prawdziwéj mądrości, albo jak mówi de Salinis: „Religja objawiona, jest prawdziwém ogniskiem życia ludzkiego, węzłem łączącym dwoiste jego przeznaczenie, a następnie światłem, które oświecać powinno wszelkie jego badania, wykonywane tak nad sobą samym, jako téż nad stworzeniem go otaczającém; ona jest rzeczywistym, koniecznym istnienia człowieka wypadkiem i mową rozwiązującą zagadkę stworzenia“.

Nauki więc wszystkie dążą do poznania bytności Boga, do umiejętnego pokazania konieczności bytu wszechwładnego Stwórcy; doszedłszy zaś do tego kresu, łączyć się muszą z wiarą, albowiem: „poznanie najwyższego jestestwa, jak mówi Schlegel, stanowi tajemnicze ogniwo spajające sposobem niewzruszonym umiejętność z wiarą“, która to jéj dążenie nagrodzi odkryciem prawdy przedwiecznéj, do jakiéj żadna inna nie doprowadzi droga, jak tylko święta nauka Zbawiciela naszego, który według słów Gerbeta „jest sprawcą prawdziwego, zupełnego naszego odkupienia, obejmującego w sobie i odkupienie rozumu“.

Wyprowadzając z samego rozumowania ten oczewisty wypadek, iż nauka objawiona jest najwyższym szczytem i wieńcem wszelkiéj ludzkiéj nauki, pewni jesteśmy, iż jego potwierdzenie w dziejach przeszłości dałoby się upatrzyć, i tym sposobem, dopełniłoby niejako zamierzonego od nas celu. Nie naszą wprawdzie jest rzeczą, ani zdolności naszych udziałem, szczegółowe i dokładne wykrycie kolei, przez które nauka w przeciągu tylu wieków przechodziła. Wszakże, możemy wskazać na niektóre główniejsze wypadki w przeszłości, świadczące, iż ile razy rozum ludzki do pojęcia Boga dążył, tyle razy kwitnęły i nauki; a zagłada ich zupełna, była tylko skutkiem zboczenia od tego właściwego im celu; przedewszystkiem jednak postrzedz możemy, iż nauka wtenczas w całym swym zajaśniała blasku, gdy dążąc do źródła wiecznéj prawdy, przewodniczyła nauki objawionéj światłem.

Odległa już starożytność, boskiém Objawieniem nieoświecona jeszcze, pielęgnując naukę, prowadziła ją do jedności i prawdziwego postępu, w pojęciu Boga, i nierozłącznie, do błędnéj jeszcze swojéj już ją wcielała religii. U niéj to każda nauka i sztuka w bóstwie szukała początku; jéj to kapłani byli razem mędrcami, którzy naukę pielęgnowali, doskonalili sztukę, oraz podania i dzieje ludzkości, następnym przekazywali pokoleniom. Myśl więc ta iż nauka postępy swoje wyłącznie winna religii, od najdawniejszych objawia się już czasów, i w całéj rozwija się starożytności. Pitagoras rozwiązawszy trudne zadanie, u stóp ołtarza dziękczynną składa ofiarę; Hipokrates ogłasza, iż nauka i sztuki są darami bogów, a Galen, opisawszy budowę ciała ludzkiego, pracę swoją, jako hymn chwały, należny Stwórcy od swojego stworzenia, poświęca.

Wszakże jedność ta nie trwała ciągle, gdyż rozum za jedyny cel dążeń swoich obrawszy samą wyłącznie naukę ludzką, w końcu ją samą, a z nią i siebie ubóstwił. Wtenczas to sztuka zniżyła się do służebnictwa namiętności, nauki zamieniły się w odmęt niedorzecznych marzeń, a filozofia wpadła w wir sprzeczności tak potykalnych i rażących, iż ludzie zdrowo myślący, z jéj zdań, domysłów i dowodzeń, przedmiot pośmiewiska dla siebie zrobili. Tymczasem, gdy nauka trawiła sama siebie na próżnych usiłowaniach, obracając się nieustannie w témże samém błędów kole, zbliżał się czas, w którym z woli Przedwiecznego, jaśne światło Ewangelii całą ludzkość oświecić i do poznania prawdy przywieść miało. Wówczas to nauka zaczęła powracać na właściwą sobie drogę, a oświata rozbrat zrobiła z hańbiącém człowieka bałwochwalstwem. Mędrzec wyrzekał się swojego stoicyzmu i sofistycznych subtelności, fizyk odstępował twórczych swoich atomów, astrolog przestawał w niebie szukać ziemi, rzeźbiarz kruszył swoje na wpół już ukończone bogi; a wszystkie sztuki i nauki, ze złożeniem swojego hołdu, ku prawdziwéj przez Boga objawionéj Religii pospieszały.

Lecz nim ta wielka zmiana zaszła, cała dawniejsza cywilizacya materyalna, ciężką musiała przebyć próbę. Chrzest krwawy ją oczyścił, a skronie jéj na znak pokuty, przysypał popiół zniszczenia. Z głuchych albowiem lasów północy, wypłynęły tłuszcze ciemnéj dziczy, które się wszały zawziętymi nieprzyjaciółmi nietylko ludzi, ale

BIBLIOTEKA

i rzeczy. Hordy te, z rozkoszą poglądały na upadające pomniki, runące świątyń sklepienia i z wiatrem lecące popioły pysznych grodów i sztuki zabytków. O! i któż nam wyjaśni, czem téj dziczy zawiniła ówczesna oświata, narzucająca się im chętnie z całém bogactwem swojém, które, odtrącając od siebie te wojownicze ludy, nad miękkość i roskosz, ostry swój sposób życia przenosiły! W tém miejscu zwróćmy uwagę na tę okoliczność, iż nauka wtenczas właśnie ciężką plagę przebyć musiała, gdy zwichniona, od swego celu zboczyła, i dumna rozstała się z Bogiem.

W cóżby się obróciła nauka i cóżby się stało z oświatą, gdyby nadzwyczajna pomoc im nie przybyła?—Tę pomoc, ten środek ocalenia przyniosła nauce Religia objawiona, która sama będąc najwyższą nauką, wszystkie podrzędne, pomocnicze w sobie zawiera. Dla tego téż w tym czasie powszechnego zniszczenia i zagłady, zjawiają się natchnieni nią ludzie, których głos łagodny i słodki, potężniejszym był nad słowa pretoryanów i okrzyki wojska rzymskiego; wówczas to laska duchownego pastérza, silniejszą się stała od wszechwładnego miecza. Sami ci tylko ludzie najezdcom uledz nie chcieli, i oni sami tylko powszechnéj nie poddali ją ciemnocie. W ustroniu to skromném, przez Religią zamieszkaném, przechowały się nauki, i tam jedynie przygotowywały się skrycie owe zasady, na których miał stanąć nowy gmach towarzyskiéj oświaty. Przeciwnie, cóż zrobili dla nauki ludzie wyłącznie jéj oddani, a oddalający się od właściwego jéj punktu zjednoczenia, od religii? Gdzież się wówczaś podzieli owi mędrcy i uczeni, którzy przeciwko Bogu myśl swoją podnieśli?—Rozpierzchli się i zginęli, jako liść pożółkły burzliwym uniesiony wiatrem.

Tymczasem w łonie nowéj chrześciańskiéj społeczności, którą prawda oświeciła i nieodłącznie od niéj wzbogaciły cnoty, obudziła się potężna dążność, rozwinięcie nauki mająca na celu. Oświeceni przez dzieła w klasztorach dochowane, wspierani zachętą Papieżów, a nadewszystko ożywieni wzniosłém natchnieniem, jakiém św. Religia obdarza tych, którzy dla niéj pracują, wkrótce zabłyśli Michał Anioł i Rafaël, wzniósł się kościół św. Piotra w Rzymie, a sztuki i nauki nie tylko należną część odzyskały, lecz nawet tak dalece naprzód postąpiły, iż przed końcem XVII wieku pobożni chrześcianie nic godnego zazdrości u starożytnych już nie postrzegali. Takto we właściwém ognisku zespolona nauka, prędkiego wzrostu nabywa, i nadzwyczajne prawie robi postępy.

Jednakowoż piękna ta zgoda nauki z religią, nie była trwałą. Wchodzić w roztrząsanie przyczyn, jakie téj nowéj rozłące dały początek, nie jest naszym zamiarem; my tylko kreśląc dorywczą wiadomość historyczną, jedynie przywiedzeniem głównych ograniczamy się wypadków. To tylko pewną jest rzeczą, iż nauki nieznacznie na nowo od religii odłączać się zaczęły; w końcu zupełnie się od niéj oddzieliwszy, otwarcie przeciwko niéj powstały. Jéj dzieje, literatura, dogmata, moralność, obrzędy, jéj dziewice w pośród modłów i poświęcenia się żywot prowadzące, jéj kapłani odprawujący św. Ofiarę, owszem, sama nawet Ofiara, wszystko to stało się przedmiotem pogardy i szyderstwa tych, którzy się zwolennikami nauki ogłaszali. Bolesny stan świętéj naszéj Religii w téj epoce, hr. Montalembert w następujący opisuje sposób: „Ludy chrześciańskie strąciły z tronu swą matkę; poglądały na jéj troskliwe i potężne ręce więzami skrępowane, które trzymały niegdyś miecz do pomsty krzywd wszelkich, a razem i dobroczynny balsam wszystkie rany uzdrawiający; zdarto wieniec zdobiący jéj skronie i dopóty zlewano go rozumowania kwasem, aż nim każdy jego listek upadł, uwiędniał i zginął. Filozofizm, a z nim przemoc i bezrząd przeprowadzały brankę swoją przed obliczem ludów, napawając ją zniewagą i odkrywając szyderstwy. Późniéj zamknęły ją w więzieniu, które mniemały być jéj grobem, i przy nim na straży razem stanęły“.

I cóż odkryli mniemani ci mędrcy, cóż wynalezli, coby zastąpiło naukę od Boga w dziedzictwie nam daną? Coby pomyślnie na stan nauki i ludzkości wpłynęło? Jakąż to opatrzyli zasadę jedności nauki, do jéj postępu tak konieczną?—I któżby temu uwierzył, jeszcze prawie z tym czasem graniczymy, a jednak o niepodobnych do wiary rzeczach, mówić nam przychodzi! *Cześć rozumu*, zastąpiła miejsce czci Boga, którego imię wykreślone zostało z pośrodka dzieła rąk Jego; a nauka odrzuciwszy podania tyczące się rodu ludzkiego, zrywając gwałtownie łańcuch, który teraźniejszość z przeszłością łączył, zamierzyła sama wszystko wynaleść i przerobić... i w końcu dokazała tyle, iż zachwiawszy podstawę własną, któréj sama sobie nie położyła, i któréj zatem zburzyć nie mogła, opuściła ją, napiętnowawszy urąganiami i szyderstwem, zwykłemi złośliwéj niedołężności pociskami. Tak odstąpiwszy prawdziwéj objawionéj nauki, owi mędrcy nie mogąc czém inném jéj zastąpić, usiłowali teorye i mniemania upłynionych wieków wznowić, odegrzać, i na nowo je ludom narzucić. Nie do nas należy rozbierać te wszystkie dziwne pojęcia i systemata, jakie w XVIII wieku

podawano o Bogu, duszy, wieczności, społeczeństwie, jego zasadach, religii, dogmatach i moralności. Nie, sama nauka rumieniąc się za zwolenników swoich, już się ich zaparła; zostawmy zmarłym spoczynek grobowy. Nad tém pokoleniem, nad jego dziełami, myślą, teoryą i systematami, strumienie łez i krwi przepłynęły. Albowiem niezwłocznie po odstąpieniu od prawdziwéj Religii, nauka surową odniosła karę: topor, miecz, wygnania, stosy, więzienie i tortura na nowo się zjawiły, a razem sztuki i nauki bolesny cios odniosły. Jednakże nie z jaskiń-to, ani z głuchych lasów wyszły tłumy téj niszczącéj dziczy, nie były to już nieoświecone ludy dawne, albowiem te światło świętéj wiary, a z nią i obyczaje już przyjęły. W kraju-to słynącym z oświaty, wzrosło owe pokolenie nieprzyjazne naprzód Bogu i Religii, późniéj ludziom, a w końcu nawet i rzeczom. Pokolenie to, zdawało się oddychać nienawiścią przeciwko temu wszystkiemu, co dotąd serce ludzkie kochało, lub co rozum podziwiał. Nie wchodząc w wyliczanie jego przestępstw, powiemy tylko, iż była to okropna plaga, która wtenczas właśnie ród ludzki i naukę dotknęła, gdy się ta przeciwko Religii obróciła.

Po téj szkodliwéj dla postępu nauki walce z Religią, i dotkliwych dla pierwszéj próbach, nastąpiła chwila przesilenia; prawda objawiona do należnéj jéj czci powracać zaczęła; nowe pokolenie odstąpiło błędów zwichnionéj nauki, a odziedziczając po XVIII stuleciu smutną i rozległą obojętności spuściznę, wszelkiego pokrewieństwa tak się z niém zaparło, jakby się również do niego przyznać nie chciało i owe pokolenie, które tę dotkliwą poprzedziło epokę.

I dziś tak będzie. Głos prawdziwéj Religii z nową mocą po wszystkich stronach już się rozlegać zaczyna; za nią tęsknią zbolałe serca, a nadewszystko jéj pomocy przyzywa rozum, o słabości swéj przekonany, a w żądzy pościgniénia prawdy nienasycony. Zuchwałość napadów ze strony nauki, ich jeszcze niedołężność, gruntowność odpowiedzi dawanych na czynione zarzuty, wielość dowodów z samejże nauki wyczerpniętych, a na stronę Religii przemawiających; wszystko to nowy kierunek umysłom nadaje, i dziś, jeśli tak wyrazić się godzi, wyniosłe szczyty naukowe nie zagrażają już Niebu; owszem przeciwnie, ludzie gruntownie myślący ze wszech stron pospieszają z hołdem swojego rozumu, dla tryumfującego Objawienia, i skwapliwie oczekują téj chwili, w któréj nauka ta, zawładnąwszy już umysłem, na nowo w sercach zakwitnie, i w czynach owoc przyniesie.

A główną do tego powrotu pobudką, nie jest łudząca potrzeba pociechy, lecz wyższe natchnienie, to jest chęć poznania prawdy, która stanowiąc główny przymiot nauki Boskiéj, zarazem celem naszéj ludzkiéj nauki być powinna. Nadejdzie chwila w jakiéj spory pomiędzy niemi ustaną, a ludzkość dowiedzie czynem słów Leibnitza, który wyrzekł: „iż rozum i wiara nigdy sobie przeciwne być nie mogą; albowiem pierwszy ma na celu prawdy szczególne, do których bez pomocy nadziemskiego światła wznieść się może; drugiéj zaś przedmiotem jest prawda bezwzględna, nieograniczona, jaką sam nam Bóg objawił".

Lecz to, co jest trwałe i niewzruszone, jedném słowem, boskie, to tylko jedno stałą posadę dla nauki położyć potrafi. Póki ta bowiem wyłącznie za ziemskiém gonić będzie, póty podlegać musi kolejom ziemskiéj zmienności; raz zaś obrawszy drogę do czegoś wznioślejszego, co nie z ziemi pochodzi, co jak ona nie zmienia się, ani téż przemija, lecz trwa wiecznie; nauka nieustannie naprzód pomykać się będzie, i z każdym krokiem stając się pewniejszą, rzeczywistą godność swoją odzyska, i ograniczony a słaby rozum ludzki tam doprowadzi, gdzie mu cel dążenia jego, nieograniczona Mądrość usty Zbawiciela naszego wskazała: *I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi* (Ewang. św. Jana roz. VIII, w. 32).

Wszakże nie przeczymy, iż może zanadto zuchwali, zbyt skwapliwie tę błogą dla nauki epokę upatrujemy, i nader wczesne jeszcze tworzymy nadzieje; zawsze jednak nie wyrzekamy się tego przekonania, że ta epoka, prędzéj lub późniéj, nastąpić powinna. Przyszłość wprawdzie może zawieść te rachuby, jak już niejedne daleko przenikliwsze od tych zawiodła, może tę chwilę nazbyt jeszcze daleko od nas odsunie; nie przeto jednak utracimy naszą wiarę: że wtenczas nauka, na drogę prawdziwego postępu wejdzie, gdy wszelkie swe usiłowania zwróci ku poznaniu jedynéj prawdy, jakiéj boskie naucza nas Objawienie.

I z téj to wychodząc zasady, bogobojny chrześcijanin, mając ród ludzki i nauki na względzie, prosić Boga nie przestanie słowami Chrystusa, w modlitwie za ucznie swe do Ojca wyrzeczonémi: *Poświęć je w prawdzie. Mowa twoja jest prawda* (Ewang. św. Jana roz. XVII, w. 17).

Teraz, stanąwszy u zamierzonego kresu za powinność poczytujemy, w krótkości przebiedz drogę, którąśmy ku niemu dążyli. Naprzód, chcieliśmy pokazać konieczność zespolenia wszystkich nauk w jedném

ognisku; następnie, za to ognisko uznaliśmy pojęcie nieskończoności, które, rozwijając za pomocą samego tylko rozumu, przyprowadziło nas do poznania bytności Boga, którego nieinaczéj poznać możemy, jak tylko za pomocą samego Objawienia. Tym więc sposobem, sądziliśmy, iżeśmy pokazali, że św. nasza Religia, jest najwyższym szczytem, do którego nauki zmierzać powinny. Nakoniec, wypadek ten rozumowania naszego, pragnęliśmy udowodnić, wskazując pokrótce niektóre epoki dziejów ludzkości, przekonywające nas wyraźnie, iż wtenczas właśnie nauki kwitnęły, gdy do właściwego celu, to jest, do jedności z Religią, a przedewszystkiém objawioną dążyły; i że na przyszłość, o tyle tylko rozwijając się mogą, o ile od tego kierunku nie zboczą. „Tam wreszcie opatrzony *w przyzwoitszą* miarę do sądzenia o tém, co jest niedostępném rozumowi naszemu w niniejszém życiu; równie i o tém, co jako *wieczne, boskie, nieskończone* usuwa się naszemu dociekaniu, spostrzeżesz *w rozjaśnioném* przeświadczeniu owę nieprzybytą *granicę*, gdzie się zaczyna *kraina tajemnic*: gdzie po zajściu światła, wchodzi noc wspaniała, potęgę Twórcy w najwymowniejszém objawiająca milczeniu: gdzie obejmowanie i rozumowe badania ustępują uroczystemu zdziwieniu i religijnym uczuciom. — Wtenczas nowa wcale ożywiać ciebie zacznie energia w działaniu i badaniu, skoro przekonasz się umiejętniéj, że *nie jest sierotą natura;* i że u podnóża tronu Wszechwładcy tkwi pierwotne ogniwo wielkiego łańcucha, w którym wszelki *byt* realny, *poznanie* wszelkie, *przeznaczenie* rodu i każde indywidualne, jedną tylko ciągłą splatają osnowę. Uznasz wówczas prawdę owych pamiętnych słów W. Bakona: *Philosophia obiter libata ducit a Deo penitus exhausta ducit ad Eum*“.

O dochowaniu klassyków starożytnych.

Przechowanie arcydzieł pisarzów starożytności, należy do najdziwniejszych zjawisk, jakie w czasach dawnych spostrzegamy. W istocie, wówczas, kiedy wszystko aż do samych nawet pamiątek dawnéj oświaty ginęło, kiedy społeczność ludzka w stan chaotyczny wpadała; jakimże to sposobem stać się mogło, że piśmienne Auzonii skarby w téj pomroce ciemnych wieków nie zaginęły? Jakimże to sposobem pokolenia pogrążone w dzikiéj niewiadomości, przekazać zdołały następnym, ową wielką i bogatą spuściznę, któréj wartości same nie znały? — Zastanawiając się nad tém pytaniem, myśli się mącą, a rozum nie mogąc pojąć tego powolnego lecz pełnego chwały wskrzeszenia literatury rzymskiéj, zmuszony jest wyznać, że nad dziełami geniuszu czuwa Opatrzności ręka.

Twory starożytności miały swoich stróżów, od początku wieków średnich aż do czasu wynalezienia druku; a rozmaite zabytki dziejów, nie mało w tym względzie szczegółów nam dostarczają. Nie zamierzamy jednak skreślenia dokładnego obrazu kolei, jakie przeszły te dzieła nieśmiertelne: w pustyni wieków średnich niełatwe są do wynalezienia ślady starożytności; z tém wszystkiém sądzimy, że ważność samego przedmiotu, w niejaki przynajmniéj sposób, zastąpić będzie mogła liczne niedokładności, które w tym względzie się natrafią. Dla kogoż mogą być obojętne pełne niebezpieczeństw zmiany losu, przez jakie te arcydzieła Rzymu przechodziły? Doznajemy jakiéjś niewysłowionéj radości, jakiegoś niepojętego wzruszenia, patrząc, jak imiona i twory Wirgila, Cycerona i Owidyusza i tylu innych, uniknąwszy trawiącego zębu zniszczenia, łączą się z dziejami łacińskiego kościoła.

Cassiodor, jeden z najznakomitszych ludzi VI. wieku, pierwszy przepisywaniem rękopisów zatrudnił zakonników. Po pięćdziesięciu latach burzliwego życia, dawny ten minister Teodoryka, w ojczyźnie swojéj w Kalabryi założył klasztor, gdzie resztę dni swoich przepędzić zamierzał. Tu, ośmdziesięcioletni Cassiodor sam z zakonnikami swoimi, przepisywał święte i świeckie księgi, które z wielkim kosztem zgromadził. Wówczas, nikt lepiéj nad tego wielkiego człowieka, nie umiał ocenić owych arcydzieł włoskich, i nic nie może iść w porównanie z owym tkliwym widokiem, jaki nam przedstawia ów obciążony wiekiem starzec, który w samotném zaciszu i pod grubą suknią zakonnika, kończy długi i pełen chwały swój zawód, rozmnażając na liściach papyrusu nadzwyczajne dziwy, jakie geniusz porodził.

Latopisarze VII. i VIII. wieku nie przywodzą żadnych podań, tyczących się przechowania klassyków łacińskich; powiadają tylko w ogólności, iż nauki były pielęgnowane po klasztorach; a z tych napomknień ich widać, że literatura przeszłych wieków nie była im obcą. Czytając ich dzieła, przekonywamy się, iż znane im były pienia poety mantuańskiego, równie i wymowne karty Cycerona, niemniéj téż i opowiadania Liwiusza oraz i Sallustyusza; owszem widać nawet, iż o dawnych pisarzach wysokie posiadali wyobrażenie: „Teraz świat już starzeje, mówi Fredegarius w przedmowie do swojéj historyi, ostrza naszego rozumu pomału tępieją. Żaden ze współczesnych nie wyrównywa pisarzom czasu upłynionego, i nikt téż o tém nawet i pomyślić się nie ośmiela“.

Nauki, które takiém zajaśniały światłem pod rządami Karola W., niemałéj zachęty i pomocy od jego następców także doznały. Po śmierci tego znakomitego monarchy, autorowie świeccy więcéj aniżeli przedtém czytelników znaleźli; dla téj właśnie przyczyny ich arcydzieła w wieku IX. i skwapliwie poszukiwane i przechowywane troskliwie być zaczęły. Loup, przełożony klasztoru w Ferrières, którego imię zaszczytne zajmuje miejsce w dziejach literatury tego peryodu, kazał przepisać dzieła Swetoniusza, Sallustyusza, Cycerona i Liwiusza, które wynalazł w klasztorach Włoch i Francyi. Od papieża Benedykta III. dostał on traktat Cycerona *de Oratore*, dwanaście ksiąg *Institutiones* Quintiliana, oraz kommentarze Donata nad Terencyuszem. Imiona Wirgilego, Tulliusza, Pliniusza i Probusa jaśniały w spisie księgozbioru opactwa Saint-Riquieur, a kościół w Reims posiadał dzieła Lucana, Liwiusza, Wirgilego i Juliusza Cezara. Tymczasem, gdy ci bogobojni samotnicy oddawali się zgłębianiu starożytności, niejednokrotnie rozlegające się odgłosy wrzawy wojennej, przerywały ciszę ich samotnego schronienia. Klasztory stawały się zdobyczą Normanów, Saracenów i innych ludów, które długo wstrząsały Europą. Liczne księgozbiory padały ofiarą wojennych pożarów, i skarby te nagromadzone przez naukę, kosztem uciążliwych prac i zabiegów, nierzadko stawały się pastwą napadów nieokrzesanego żołdactwa.

Najścia te wojowniczych ludów, stały się jeszcze częstsze w wieku X, w którym hordy napastnicze z większą aniżeli przedtém zawziętością grabieże swoje szerzyły; kroniki owego czasu wzmiankują o wielu klasztorach i kościołach w perzynę obróconych. Ileż to rękopisów pod ich zwaliskami zginąć musiało i ile ogniem spłonęło! a i dziś rząd włoski zabrawszy w Rzymie i innych miastach włoskich liczne biblioteki klasztorne, w których wieki zgromadziły tyle dzieł i rękopisów nieocenionych a rzadkich, wydał na pastwę swych urzędników, którzy za marny pieniądz sprzedawali pokryjomu na wagę te skarby nieocenione żydom i przekupniom, jak o tém doniosły ze zgrozą wszystkie pisma publiczne. Przyjaciele nauki opłakiwać muszą wypadki owych burzliwych czasów, które wydarły potomności wielką liczbę dzieł starożytnych, godnych nieśmiertelności. Pomimo to jednak, wiek X ma prawo do naszéj wdzięczności; ponieważ przechował znaczną liczbę rękopisów klasycznych, które się do nas dostały. Leboeuf, w uczonych badaniach swoich wymienia szczegółowo autorów starożytnych, z wykazaniem klasztorów, mianowicie na ziemi francuzkiéj, w których się te arcydzieła przechowały. We Włoszech przepisywanie ksiąg duchownych i świeckich stanowiło zwykłe zakonników zatrudnienie podczas wielkiego postu; w klasztorach zaś francuzkich praca ta zwykle się odbywała w pierwszym jego tygodniu. W klasztorze Fleuri, pisarze świeccy szczególnéj usilności byli przedmiotem; każdy wychowaniec tego opactwa, obowiązany był złożyć dwa egzemplarze jakiegokolwiek dzieła starożytnego lub téż nowożytnego. W pismach Abbona, opata Fleuri, na każdéj prawie karcie znajdują się przytoczenia z Sallustyusza, Horacego, Terencyusza i Wirgila; światły ten zakonnik wynalazłszy wiele dzieł starożytnych, wszelkich użył starań do rozmnożenia ich kopij, a biblioteka tego klasztoru była jedną z najbogatszych, jakie się w owym czasie znajdowały.

Gdy jednakże w wieku X, przepisywanie rękopisów w części zaniedbane zostało, przeto przedmioty te stały się nader rzadkie, a następnie i drogie. Jeden zbiór homilij kosztował hrabiego d' Anjou, dwieście owiec, beczkę pszenicy, beczkę żyta, oraz beczkę prosa i pe-

wną jeszcze liczbę skór kunich. Tak wielka drożyzna rękopisów niedługo jednak trwała; albowiem w XI wieku zebrane staraniem zakonników zabytki dawnéj literatury, przez nichże samych w wielkiéj ilości przepisane zostały. W pierwszych latach tego stulecia sławny Gerbert, którego Europa oskarżała o magię, z powodu rozległéj jego nauki, z wielkim zapałem wyszukiwał po całéj Francyi, Włoszech i Niemczech tworów starożytnego geniuszu, i nie szczędził ani złota, ani pracy, w zbieraniu tych rozrzuconych drogich ułomków. Pod jego kierunkiem przepisano wiele dzieł ważnych po książnicach rozmaitych klasztorów rozsianych. Wówczas jeszcze opactwo Fleuri posiadało traktat Cycerona *de Republica*, który późniéj zginął bez powrotu, i jaki po upływie ośmiu wieków, przynajmniéj w części wynalezionym został przez Angelo Maï bibliotekarza watykańskiego, któremuśmy winni odkrycie kilku ułomków Korneliusza Neposa, Tacyta i Sallustyusza.

Z pomiędzy wielu klasztorów, które się odznaczyły w XI. wieku przepisywaniem rękopisów, przytoczymy klasztor świętego Huberta w Ardennach. Dzieje wspominają, iż tu się znajdował jeden kopiista zwany Foulques, który posiadał dziwny talent malowania liter początkowych, jakie tak starannie przez niego były wyrobione, iż nakształt najpiękniejszych winiet, za ozdobę rękopisom służyły. Osbern zaś opat w St. Evroul z rzadką umiejętnością przygotowywał materyały piśmienne dla młodych kopiistów. Napomknęliśmy wyżéj, że w IX. i X. wiekach, wiele klasztorów przez barbarzyńców zniszczonych zostało. Otóż w XI. stóleciu niemało się z nich nanowo wzniosło, i te po dawnemu stały się dla nauki świętym przybytkiem. Klasztor świętego Marcina niedaleko Tournai, który Normanowie zburzyli, nanowo się odbudował i nowym zajaśniał blaskiem. Pod rządami opata Odona, nauki w nim znowu zakwitły, a dwunastu najmłodszych zakonników wyłącznie się trudniło przepisywaniem autorów starożytnych i nowoczesnych. Klasztor ten, tak dalece słynął z dokładności i wierności swoich rękopisów, że kopje w nim dokonane, służyły do sprostowania i poprawy wszystkich, w innych klasztorach przepisywanych. Dawni kronikarze nie mogą dosyć wychwalić dziwnego porządku, jaki zachowywali przepisujący w klasztorze de Jumiège; wszystko aż do samych stołów na których pisano, stanowi dla nich przedmiot uwielbienia. Tu, znajdowali się zakonnicy, których wyłącznem przeznaczeniem było najściślejsze przeglądanie kopij, sprostowanie pisowni, oraz dokładne zachowanie podziałów. Gerard, jeden

z najznakomitszych ludzi XI. wieku, szczególniéj się poświęcał gruntownemu poznaniu pisarzy świeckich; w księgozbiorze jego, który miastu Angoulême zapisał, znaleziono kommentarze Juliusza Cezara i wiele dzieł Cycerona. Religia z przepisywania rękopisów zrobiła pracę świętą i Bogu miłą. W klasztorach były dni przeznaczone do modlenia się za tych, którzy się przepisywaniem ksiąg trudnili; tak więc droga prowadząca do nauki, stała się drogą wiodącą do nieba.

Rzucając kilka tych pojedyńczych myśli o kolejach dzieł starożytnych, jedna mimowolnie nastręcza się nam uwaga. W wieku X. i XI. prawie powszechnie panowała wiara w zbliżające się skończenie świata. Rzecz dziwna! sprzeczność uderzająca! Wówczas kiedy przejęte bojaźnią narody, z dnia na dzień oczekiwały powszechnego zniszczenia świata, i kiedy przyszłość dla ludzi już znikała, wówczas niewielka liczba samotnych zakonników, pracujących dla przyszłych pokoleń, spokojnie spoglądając na znaki, które miały przepowiadać bliski świata upadek, skwapliwie wyszukiwała wszędzie arcydzieła starożytnéj literatury, i pilnie nad ich przepisywaniem pracowała. Przytém jeszcze się drugie nasuwa nam postrzeżenie: że wieki IX. X. i XI. posiadały klassyków łacińskich w całéj ich zupełności; w miarę zaś tego, jak się od nich oddalamy, autorowie rzymscy coraz się stają rzadsi, i jeżeli przyjaciele nauki smucą się zagubą wielu tworów literatury łacińskiéj, tę stratę przypisać należy wyłącznie XIII. i XIV. wiekowi. Tak więc dzieła genialne wpośród największéj ciemnoty, znalazły wiernych opiekunów w zakonnikach; kiedy tymczasem, wieki, w których pierwsze promienie oświaty jaśnieć zaczęły, nie mogły dochować téj świętéj spuścizny, którą klasztory im przekazały.

Na końcu XI. wieku przebudza się Europa; pierwszą jéj myślą i pierwszém życzeniem, jest uwolnienie grobu swojego Zbawiciela. Na głos nieznanego pustelnika, zachodnie ludy, młode i potężne, spieszą do nieznanego dla siebie świata i Wschód zwyciężony, został ich hołdownikiem. Teraz dla rozumu ludzkiego nowe do nabytków otworzyło się pole. Nadszedł wiek XII. i nauki nowym wzleciały polotem. Całe wieki średnie piękniejszéj epoki dla nauk nad wiek XII. nie przedstawiają. Po rozmaitych miejscach wznosiły się szkoły dla wszystkich umiejętności ludzkich, a jak powiada Michaud, zapał wypraw krzyżowych zaludnił pustynie. Wówczas, gdy ludy i monarchowie spieszyli przeciwko barbarzyńcom azyatyckim, mnóstwo klasztorów podnosiło się w puszczach Zachodu, a każdy z nich wziąwszy początek

z religijnéj gorliwości, stawał się świętym przybytkiem, w którym ogień nauki ołtarz dla siebie przeznaczony znajdował. Księża w Cluny (Kluniaku), gdzie od dawnych czasów istniało schronienie dla wiadomości ludzkich, oraz zakonnicy rozmaitych klasztorów, a szczególniéj Kartuzi, pracowali z nowym zapałem już to nad zgłębianiem, już przepisywaniem dzieł starożytnych. Pierwsi mianowicie, tak daleko zamiłowanie swe w dawnéj poezyi posunęli, iż w dziełach swoich, najmocniéj religią tchnących, niekiedy imiona mitologiczne przywodzili. W końcu powiedzieć można, iż główną wadę pisarzów XII. wieku stanowi szał przywodzenia wspomnień Rzymu w każdym razie, skoro tylko zręczność potemu się nadarzała. Owszem, tak dalece w tym względzie się posunęli, iż nie sądzili, aby inaczéj od starożytnych o czémś myśleć mogli, zawsze przeto do ich świadectwa się odwoływali. Ta nieograniczona ich ufność w mądrości starożytnych, była powodem jednemu z ówczesnych mędrców, do zrobienia téj uwagi, iż współcześni jemu uczeni, z całym zapasem swojéj nauki, niczém więcéj nie byli, jak tylko karłami siedzącymi na barkach olbrzymów.

Guigue, piąty przeor w wielkiéj Kartuzie (Grande Chartreuse) w ustawach swoich mówi, że zatrudnienia przepisywaczów były dziełem nieśmiertelném, i że przepisywanie rękopisów, stanowiło rodzaj pracy najwłaściwszéj dla uczonego zakonnika: „Uczymy pisać tych wszystkich, powiada on, których do naszego grona przyjmujemy, a pragniemy przechować księgi, jako nieśmiertelną strawę dusz naszych“. W ustawach przez niego ułożonych był przeznaczony czas na rozdawanie pargaminu, piór, kredy i cynobru. Guibert przełożony w Nogencie mówi, iż zakonnicy w Kartuzie przekładali skóry i pargamin, które hr. Nevers im przysłał, nad naczynia srebrne, jakie początkowo był im przeznaczył.

Św. Bernard pisząc do Rainaud'a opata Foigny, przywodzi jeden wiersz z pierwszéj heroidy Owidyusza, który, poprzedza témi słowami: *juxta tuum Ovidium* (podług twojego Owidyusza). Okoliczność ta dowodzi, że ten poeta musiał się znajdować w księgozbiorach obu tych duchownych. Tak więc, dźwięki lutni Owida umilały niekiedy samotność klasztornego życia, a zamiłowanie, jakie w nich mieli zakonnicy, głównie się przyczyniło do zachowania arcydzieł muzy rzymskiéj. Piotr nazwany *Wielebnym*, pisząc do Mikołaja sekretarza św. Bernarda, prosi go, aby mu dostawił historyę Aleksandra W. i traktat św. Augustyna przeciwko Julianowi, jeżeliby egzemplarz tego ostatniego dzieła, należący do księgozbioru w Clairvaux był zupełnie poprawiony podług znajdującego się w Cluny. Przytém, obowiązuje tegoż sekretarza św. Bernarda, aby mu dostawił i innych ksiąg dobrych, jeźli jakie posiada, *si qua alia bona habueris, tecum defer.* Jest to dowód niewątpliwy, że nauki przez uczniów Piotra nie były zaniedbane. Tenże sam duchowny w liście pisanym do Guigu'a przeora w Kartuzie, prosi go o zbiór listów św. Augustyna; albowiem kopia ich znajdująca się w Cluny została podarta od niedźwiedzia, który się dostał do celi, w jakiéj ona była umieszczoną. Przy téj zręczności Piotr przesyłał przeorowi krucyfiks i książki.

W klasztorze św. Wiktora w Paryżu również usilnie pracowano nad przepisywaniem rękopisów; przywodzimy w tym względzie następujący wyjątek z kronik rzeczonego klasztoru: „W naszym klasztorze, mówi jeden z członków tego zgromadzenia, znajdują się zakonnicy, których przełożony do przepisywania książek wyłącznie przeznaczył. Bibliotekarz obowiązany jest dostarczać im dzieł do kopiowania i wszelkich potrzebnych do tego materyałów. Przepisujący bez jego wiedzy nie mogą nic przedsiębrać... Oddzielna sala jest dla nich przeznaczona, w któréjby zostając spokojnie, żadnéj przeszkody i roztargnienia w swéj pracy nie doznawali [1]). Siedzący w niéj kopiiści powinni zachowywać najgłębsze milczenie. Nie wolno im opuszczać miejsc swoich i przechadzać się po izbie, i nikt nie może ich odwiedzać wyjąwszy przełożonego, subprzeora i bibliotekarza“. Moglibyśmy w tém miejscu wymienić wiele innych jeszcze klasztorów, w których pracowano nad rozmnożeniem arcydzieł Rzymu. Staraniem Arnaud'a opata w Ste-Colombe de-Sens, przepisano mnóstwo dzieł historycznych; sto czterdzieści ksiąg przekopiowano w klasztorze Mont-St.-Michel z rozkazu Roberta przełożonego tegoż klasztoru; w klasztorze d'Anderne ksiądz jeden piszący lewą ręką, przekopiował prawie wszystkie znane dzieła dawne. W taki to sposób wiek XII. odznaczający się pracowitością i nauką, ochraniał starożytną literaturę od zapomnienia i zagłady.

Nim opuścimy ten wiek XII, któryby można nazwać wiekiem wielkim w naukowych dziejach wieków średnich, musimy lekką zrobić wzmiankę o ustawach wydanych w tym czasie, a tyczących się utrzymywania i wzbogacania księgozbiorów klasztornych. Ustawy te

1) Sala taka nazywała się scriptorium, i każdy klasztor podobną posiadał.

są nowym dowodem świadczącym o gorliwości, z jaką się krzątano około przechowania piśmiennych starożytności zabytków. Pierwszą ze znajomych jest ogłoszona w 1145 roku przez Udona przełożonego w St-Père-en-Vallée. Ustawa ta zatwierdzona jednozgodnością całego tamtejszego zgromadzenia, nakazywała pewną opłatę na bibliotekę wszystkim zwierzchnim duchownym od tegoż opactwa zależącym; sam Udon i starsi członkowie jego zgromadzenia wolni od niéj nie byli. W następnym roku Makary, przełożony we Fleuri, wydał podobnąż ustawę, w celu pomnożenia swojego księgozbioru. Przykład tych dwóch gorliwych o stan nauki mężów, wkrótce od wielu przełożonych rozmaitych klasztorów był naśladowany.

Nauki, które na końcu XII. wieku cokolwiek już zaniedbane zostały, gwałtownie upadać zaczęły w początkach XIII. Spoczynek, jaki był skutkiem znużenia, zajął miejsce wielkich postępów XII. stólecia; społeczność na wzór dziecięcia zbyt spiesznie biegącego, prędko się zmęczywszy, wypoczynku potrzebować musiała. Ta jéj nieruchomość stała się nader szkodliwą dla oświaty i rozwijających się umiejętności. Nauki święte i świeckie straciły na swéj wziętości, obojętność zastąpiła miejsce szlachetnego współubiegania się, które ożywiało europejskie klasztory; katedry naukowe próżne, stały w milczeniu, a rękopisma spały samotne okryte pyłem zapomnienia. W téj epoce ukazali się ciemni i nieokrzesani sektarze znajomi pod nazwaniem Cornificianów; byli to nieprzyjaźni nauce wandale, którzy z umysłowéj człowieka dziedziny wyganiali retorykę, grammatykę i dyalektykę, i którzy ludziom uczonym przez wzgardę nadawali miano *wołów Abrahama* lub *balaamowych osłów*. Widoczną jest rzeczą, iż podobne urągania nie mogły natchnąć zasmakowania i miłości dla starożytnéj literatury. Powszechna więc na nią obojętność rychło się rozszerzyła.

Pomimo to jednak wiek XIII. miał ludzi, którzy umieli ocenić całą ważność przechowania piśmiennych zabytków starożytności. Emon, pierwszy opat w Werum w Niderlandach, przy pomocy swojego brata przepisał wszystkich, których posiadał autorów dawnych, tak świeckich, jak i religijnych. Z czasem nawet tak daleko posunął chęć wzbogacenia biblioteki swojego klasztoru, że do przepisywania rękopisów użył zakonniczek, którym wszakże powierzał tylko kopiowanie Pisma świętego i dzieł ojców kościoła, jakie z ich usposobieniem były zgodniejsze niż arcydzieła starożytności. W połowie XIII. wieku najbogatszym i najliczniejszym w Europie był księgozbiór klasztoru Glastonbury w Anglii; liczono w nim około 400 ksiąg, pomiędzy

któremi znajdowały się dzieła Liwiusza, Wirgila, Sallustyusza, Claudiana i wielu innych autorów. Chociaż na Zachodzie już istniały przykłady zakładania bibliotek, jednakże z Azyi-to Ludwik IX. przyniósł myśl utworzenia w kraju wielkiego księgozbioru. Dowiedziawszy się bowiem, że jeden z książąt egipskich ze wszystkich stron zebrane księgi starożytnych mędrców kazał tłómaczyć i przepisywać, król chrześcijański mocno się zasmucił, widząc iż zwolennicy błędu więcéj dbają o naukę, aniżeli synowie Ewangelii; postanowił więc nowego blasku dodać imieniowi współwyznawców swoich, zaszczepiając w nich chęć zebrania i przechowania nieśmiertelnych skarbów rozumu ludzkiego. Jednakże na końcu tego wieku klasyczne dzieła tak się stały rzadkie, że biblioteka założona w Paryżu przez Ludwika IX, zaledwie ich cztery posiadała, a mianowicie Lucana, Owidyusza, Cycerona i Boecyusza.

W XIV. stóleciu dzieła starożytnego Rzymu z rąk do rąk przechodzą; to się pokazują, to znikają znowu; a oko niespokojne troskliwie ich losy śledzi: gdy znikną przed nim, drżymy z obawy, abyśmy na zawsze ich nieutracili, i przeciwnie myśl na chwilę się uspokaja, gdy widzimy jak Petrarka, Bokkacyusz, Collucio i inni całkowicie się poświęcają wznowieniu starożytnéj literatury. Sławny ze swoich przygód i geniuszu Petrarka, rękopisy własną ręką przepisywał, objawiając się, aby nieumiejętni kopiiści pierwotnego ich tekstu nie wykrzywili. Za jego staraniem Włosi poznali tragedye Sofokla, a odgłos zamiłowania jego w klasykach starożytnych i zaufanie jakie w tym względzie posiadał, tak były wielkie, iż z Carogrodu przysłano mu całe dzieło Homera, chociaż się o to nie starał.

W tymże prawie czasie i w Niemczech znajdowali się ludzie pracujący nad przepisywaniem autorów klasycznych. Gerard Wielki starannie wyszukiwał pisarzy łacińskich; klasztory i kollegia otwierały mu swoje naukowe skarbnice, przepisywanie rękopisów stało się głównem jego uczniów zatrudnieniem.

Otóż przyszliśmy do epoki, w któréj arcydzieła łacińskie w samych tylko Włoszech znajdują przyjaciół i opiekunów; reszta zaś Europy bynajmniéj o nie się już nie troszczy, własnym zostawiając je losom. Uczeni włoscy XV. wieku, całe swe życie i mienie poświęcają wyszukiwaniu rękopisów. Widziano ich zwiedzających rozmaite kraje i z zapałem śledzących za dostrzeżonym najmniejszym starożytności śladem; szpérając w pyłach klasztornych i badając ściśle najdrobniejszy szczątek, spokojni ci zdobywcy wydzierali zapomnieniu piśmienne

pomniki starego Rzymu. Na początku XV. wieku Poggio Bracciolini w klasztorze św. Galla wśród grubych pokładów pyłu, wynalazł całkowity egzemplarz Quintiliana i wiele ułamków Valeriusa Flacca; on to również odkrył Siliusa-Italicus'a, Lukrecyusza i dwanaście komedyj Terencyusza, odmiennych od ośmiu owych, które już były znajome. Tiraboschi, z którego wzięte są te szczegóły, mówi, iż w tym czasie odkrycie jakiego nieznajomego rękopisu, więcéj na siebie zwracało ogólną uwagę, aniżeli zawojowanie nowego królestwa. W wiekach to XIV. i XV. zaczęto nadzwyczajną przywięzywać wartość do klassyków Rzymu. Bez wątpienia, w poprzedzających zwracano już uwagę na arcydzieła starożytne, czego dowodem jest troskliwe ich przechowywanie; lecz owi ludzie żyjący wpośród niewiadomości azaliż mogli godnie ocenić to wszystko, co się mieściło ważnego i wzniosłego w odkryciu jakiegoś Wirgila lub Tacyta. W czasach zaś Petrarki i w wiekach następnych literatura i nauki zajaśniały żywszém i czystszém światłem; zdawało się, iż Włochy dawny swój geniusz odzyskały, i rzecby można, iż tchnienie boskie ożywiło te ogromne zwłoki, które od dziewięciu wieków drzémały. Wówczas to italska kraina, jakby królowa z grobu powstająca, należną sobie koroną ozdobiła skronie i w uroczyste odziała się szaty; dla niéj dzień, w którym los powracał jéj jedno ze starożytnych jéj dzieci, był prawdziwym dniem szczęścia; w dniu tym radowała się ona, jak się cieszy matka odzyskująca po długiém niewidzeniu pierworodnego swojego syna.

Jednakże pomimo starań i gorliwości umiejącego cenić naukę pokolenia, autorowie świeccy, nad których zachowaniem troskliwie czuwać zaczynano, znowu znikać zaczęli; zdawało się, iż na to jedynie na chwilę się ukazali, ażeby znowu się ukryli w pyle zapomnienia. Był to czas poprzedzający bliską ich na wieki utratę; trzeba było jakiegoś potężnego, nadzwyczajnego środka, któryby raz na zawsze zabezpieczył od zagłady te nieocenione szczątki pozostałe po umarłéj już starożytności, i ocalone wpośród zgubnego barbarzyństwa zalewu. Otóż właśnie ten nadzwyczajny środek zsyła dla ludzkości opatrzna ręka Przedwiecznego. Guttenberg, Faust i Schoeffer w Niemczech, wynajdują zadziwiający mechanizm, i rzemieślnicy ci nieznani światu, zapewniają nieśmiertelność nieocenionym pomnikom starożytnéj literatury.

Nie możemy pominąć w tém miejscu lekkiej wzmianki o sposobach pisania w wiekach średnich, i o papierze, bez którego sam nawet wynalazek druku byłby nieużytecznym dla świata. Wiemy, iż

starożytni pisali już to na kamieniu, już cegłach, blachach ołowianych, tabliczkach drewnianych lub woskowych, na liściach drzew lub ich korze, na skórach rybich, pancerzach żółwich, trzewiach zwierzęcych i t. p. przedmiotach. W IV. a nawet w V. wieku niektóre z tych materyałów były jeszcze w użyciu. Biblioteka carogrodzka, która na końcu VI. wieku ogniem spłonęła, zawierała Iliadę i Odesseę pisane literami złotémi, na wnętrznościach węża, 120 stóp długich. Od VI. wieku papyrus egipski zaczął już być Europie znany. Cassiodor przekładał go nad korę bukową lub lipy, i żeglarze z nad brzegów Nilu przywozili korzonki ziół na pokarm pustelnikom służące, razem z papierem egipskim przeznaczonym na karm umysłową dla zakonnników klasztory zamieszkujących. Według świadectwa Piotra z Cluny na papyrusie pisano aż do XII. wieku. Jednakże zakonnicy Zachodu przed Piotrem-Wielebnym, używali już pargaminu. Wynalezienie teraźniejszego papieru przechodziło koleje większéj liczby ważnych i zadziwiających wynalazków. Początek jego okrywa niepewność i pomroka, a epoka jego odkrycia dotąd jeszcze z należytą pewnością oznaczoną nie została. Przywiedziony wyżéj Piotr z Cluny, w traktacie swoim przeciwko żydom, mówi o papierze robionym *ex rasuris veterum pannorum;* z tego ustępu wniósł Mabillon, że papier ze szmat płóciennych znajomy już był w XII. stóleciu. Pod panowaniem Ludwika XIV. pokazywano list Joinvill'a pisany do Ludwika Hutin, do którego użyty papier zrobiony był na wzór teraźniejszego. List ten jest jedynym zabytkiem w swoim rodzaju za wiek XIV. sięgającym.

Ileż winniśmy wdzięczności zakonnikom wieków średnich i uczonym XIV. i XV. stólecia, którzy nam dochowali skarby literatury, jakich koleje pokrótceśmy wyżéj przebiegli! Jeżliby poeci, mówcy, historycy i filozofowie, na wzór owych błądzących bogów, o których baśni wzmiankują, nie znaleźli gościnnego w klasztorach przytułku, zaginęliby niewątpliwie wpośród wielkich zaburzeń wieków średnich. Jakążby wówczas stratę świat poniósł! jakażby ogromna próżnia pozostała w dziejach rozumu ludzkiego! Dzięki gorliwości klasztornéj, jasne Rzymu światła do nas się dostały, i ich dzielnością ożywiona teraźniejsza europejska zakwitła oświata. Ubodzy i skromni zakonnicy przekazali nam w spadku skarby, którémi się niegdyś pysznił wszechwładny lud rzymski i inne ludy starożytne.

Kto Sztuki piękne wyzwolił i zachował.

I.

...Grecya, jakkolwiek względnie do innych ludów pogańskich, najbogatsza w posiadaniu skarbu naturalnéj prawdy, a tém samém zdolna rozwinąć jéj formy do wysokiego szczytu doskonałości, ideę przecież jakby skamieniałą i złamaną wyraziła. Ewangelia zaczęła od idei i doprowadziła do doskonałéj formy nietylko nie ubliżywszy pierwszéj, ale nawet przez same zdobyte formy majestat jéj rozjaśniwszy; to zaś dla tego, że Ewangelia obdarzyła świat najwyższą i najpełniejszą prawdą.

Bez prawdy sztuki piękne grzeszą tém, co się samo w jéj braku narzuca, nieszczerością, udawaniem, kłamstwem. Smutniejszego świadectwa nie można było oddać temu zdaniu, jak mu oddała wystawa dzieł sztuki na powszechnéj wystawie wiedeńskiéj w 1873 r. Im większa była pretensya do zaimponowania światu nowym, materyalistycznym, jako niby wyłącznie realnym kierunkiem, tém wstydliwszém zakończyła się fiaskiem. To tylko było piękne, co prawdziwe. Nie te ciała jakby z dawnego rzymskiego targowiska wzięte, nie te szyldy niby zalecające jatki ludzkiego mięsa—ale to właśnie, co prawdziwa sztuka w poważnych, wspaniałych i idealnie pięknych szatach przedstawiła, to, co było rzeczywistym odblaskiem prawdy królującéj w wielkiém państwie historyi. Słuszniesmy sobie winszowali, że to właśnie było nasze.

Sztuka ma swoje typy i wzory w naturze rzeczy, w świecie istniejącym zewnątrz naszego umysłu, ale do czytania tych wzorów potrzebuje ona więcéj niż zdrowego, zmysłowego oka i zimnéj, darwi-

nistowskiéj obserwacyi, a do ich oddania potrzebuje dużo więcéj, niż biegłości technicznéj. Natura stoi otworem i dla zmysłu formy i dla idei, ale tylko ludziom prawdy. Wtajemniczenie się w to, co jest i formy i idei syntezą, to jest w prawdę bądź piękności religijnych, bądź piękności dziejowych, bądź piękności natury, było i będzie zawsze najwyższą sztuki regułą.

Natura stoi otworem dla umysłu takiego, jakim on jest w sobie a nie jakim jest w pojęciach téj lub owéj szkoły, dla umysłu całego i całkowicie a niejednostronnie na rzeczy patrzącego. Jeżeli gdzie, to w krainie sztuki dowiedzioném zostało, że takim umysłem jest tylko umysł religijny. Natura nietylko nie wyklucza żywiołu religijnego, ale go owszem suponuje, żąda, wymaga; co więcéj, ona go ma w sobie przedmiotowo. Co wypowiedział natchniony Dawid, ten razem i wielki prorok w zakresie religii i wielki dziełmistrz w zakresie sztuki, to jest prawdą przedstawioną do odczytania w księdze natury dla każdego umysłu szczerego, a tém więcéj dla umysłu udarowanego wyższém namaszczeniem. *Niebiosa opowiadają chwałę Boga— a imię Jego wielmożne na całéj ziemi*, tak w świecie fizycznym, jak historycznym, jak rodzinnym — zgoła w każdym zakątku téj wielkiéj galeryi, która się świadkiem Bożym nazywa.

Ignorować w świecie myśl Bożą, ignorować ten bijący w oczy i niezbity fakt, że człowiek i otaczający go świat jest dziełem mądrości i dobroci Boga, nie jest to wcale usposabiać się do czytania wiernie, a tém mniéj do czytania genialnie w naturze. Ani panteizm, ani ateizm, ani czczy, bezreligijny, bezwyznaniowy teizm, nigdy nic do powszechnego muzeum dzieł sztuki nie przyniósł, a bardzo w nim wiele naniszczył.

I nie trzeba pod tym względem złéj woli. Dosyć jest sam fakt skonstatować, że człowiek tyle zdoła być dziełmistrzem, tyle w krainie sztuki zrozumieć zdoła, ile jest religijnym. Po narodzie Żydowskim, którego arcyksięga obok treści i dążności nadnaturalnéj przedstawia też i charakter estetyczny narodu *per excellentiam* niegdyś religijnego—po Biblii, która jest niewyczerpaną i niezgłębioną miną dla artyzmu wszelkiego rodzaju, która natchnęła Michała-Archanioła takim ideałem, jak Mojżesz i tak olbrzymiém dziełem jak proroki sklepień Syxtyńskich — po Biblii, która natchnęła Rafaela niesłychanym przedtém w świecie sztuki przepychem takich piękności, jak freski loggiów — po Biblii, jedno tylko istnieje wielkie świadectwo dla ducha ludzkiego pod względem sztuki uprawianéj

przez narody pogańskie — a tém jedném jest, jak każdy gotów jest wypowiedzieć, historya sztuki greckiéj.

Otóż właśnie Grecya swémi arcydziełami świadczy, do jakiego stopnia pełność i czystość prawdy religijnéj w związku jest z pełnością i czystością artyzmu.

To, co się w dziełach Grecyi zdaje mówić przeważnia na korzyść sztuki greckiéj, to wzięte na głębszą uwagę przedstawia się właśnie jakby powodem jéj niekorzyści. Posągowość we wszystkiém; posągowość nietylko w rzeźbie ale nawet w epopei, w tragedyi. System obserwacyi mógłby nam tu wiele dopomódz do zrozumienia, ale taka obserwacya nie dla każdego narodu możebna i nie dla każdéj publiki. Monachium rzadko się gdzie może powtórzyć, a u nas ani o tém myśleć. Grecki posąg może gdzieś u nas zdobił pańskie komnaty, ale nigdy nie był przystępny dla publiczności. Mówimy o nim przysięgając *in verba magistri.*

Gdybyśmy mogli oglądać bareliewy Fidiasza, zdobiące fryzy Partenonu, przekonalibyśmy się po chwili poważnego studyum, jak nawet w takich arcydziełach sztuka kuleje skutkiem zbyt ułamkowego posiadania prawdy religijnéj przez swoich dzielmistrzów. Wiele tam jest do uwielbienia i do podziwiania; więcéj może niż gdziekolwiekindziéj, ale jednakże nie wszystko. W téj walce Lapitów i Centaurów jest jedna rzecz, która, jak słusznie powiada Ozanam, najbardziéj zadziwia, ale zadziwia właśnie na niekorzyść, to jest ta marmurowa obojętność w rysach twarzy wojowników. Zabijają się bez gniewu, umierają bez rozpaczy. Mordują się *con amore*, może estetycznie, ale czy w tém jest prawda, czy w tém jest rzeczywiste piękno, czy w tém jest rzeczywisty ideał bohaterstwa? Czy to nie przypomina owéj rzezalni etruskiéj w szczątkach fresków zdobiących jedną ze sal watykańskich, gdzie się ludzie kalęczą, krają i duszą z taką obojętnością, z jakąby człowiek robaka zdeptać nie umiał? Tłómaczy nam tę ujemną stronę Xenofon, opowiadając, że Sokrates, mający szczególne upodobanie w zwiedzaniu pracowni artystów, razu jednego przybył do Paraziusza i spójrzawszy na jakiś obraz, zapytał: „Czyliż malarstwo nie powinnoby nam przedstawiać tego, co się spotyka w naturze? Naśladujecie tak doskonale barwy, wypukłości, zagłębienia, światła, cienie, miękkość, twardość, gładkość, chropowatość, świeżość i zgrzybiałość — ale dlaczegóż tego właśnie nie przedstawiacie co jest najpożądańsze, co pociąga serce, co szlachetnie rozrzewnia, co rozbudza zacne popędy? Czy to jest nie do wykonania?— Paraziusz: Ale

jakże to wykonać, kiedy się to nie przedstawia ani w zewnętrznych proporcyach, ani w liniach, ani w barwie? — Sokrates: A czyliż tego nie widzisz w oczach moich, w oczach tylu ludzi? Czyliż przez oczy nie mówi przyjaźń, zaufanie, niedowierzanie, nadzieja i rozpacz? — Paraziusz: Ja myślę, że owszem mówi. — Sokrates: A więc wypadałoby to przenieść na obraz, wyrazić w posągu; wypadałoby wyrazić to życie tryskające ze wzroku, to życie malujące się w najrozmaitszych uczuciach: dumy, skromności, przezorności, żywości, szlachetności lub nikczemności, zgoła w tém wszystkiém, co wynika z natury człowieka, i co znamionuje, co ożywia jego czynności".

Sokrates robiąc te uwagi prorokował o sztuce, którą miała utworzyć pełna prawda, to jest Ewangelia.

II.

. . . Im z pełniejszą prawdą w umyśle traktujemy sztukę, tém większe na polu piękna osiągamy zdobycze. Grecya zdobyła szczyt formy, ale jéj ideał złamany skutkiem połamanéj, lub raczéj zbyt ułamkowéj prawdy, zaginął w końcu, samym nawet przepychem formy dobity. Ewangelia już się w Grecyi nie spotkała z ideałem. Miał on jeszcze swe ołtarze, ale te ołtarze podobnie jak ołtarze saméj najwyższéj prawdy, były już nawet w Atenach poświęcone bóstwu nieznajomemu: *Deo ignoto* [1]). Sztuki piękne podobnie jak nauki miały jeszcze swych adeptów, swych wielbicieli, swoje państwo, ale to państwo ograniczało się wspaniałemi portykami Lyceum, akademii i Partenonu. Arcydzieła wielkich mistrzów były jeszcze przedmiotem uwielbienia, ale uwielbienia tylko bałwochwalczego, bezmyślnego, odnoszącego się wyłącznie do piękności ciosanych lub malowanych. Ten, o którym św. Paweł mówił w Areopagu, że się jego majestat ścianami świątyni nie ogranicza, gdyż on sam daje wszystkim życie i natchnienie, tylko jeszcze o tyle trzymał się greckich umysłów, o ile go nie przedstawiała słoniowa kość lub marmur, nie zaś myśl, którą taki Fidiasz usiłował w nie przelać. Powtarzano jeszcze zdanie starego poety, „że ludzie są rodzajem arcydzieła dokonanego przez bóstwo", ale téj prawdy już inaczéj nie zrozumiano, tylko, że formy człowieka przedstawione w dziełach sztuki, to formy bóstwa, nie mającego po za owémi dzie-

1) *Akta apost.* r. XVII. w. 23.

łami żadnéj realności. Antropomorfizm grecki przygotował grunt do rzymskiéj antropolatryi. Ponieważ bogowie w ludzkiéj występowali postaci, a najwszechmocniejszymi z ludzi mienili się władzcy świata, przeto pewnego dnia ci najpotężniejsi rzekli: my jesteśmy bogowie— a najwyższa władza przyznała im cześć religijną.

Apostoł narodów próżno dowodził najuczeńszemu ówczesnemu światu greckiemu, że jeźlić prawdą jest, co któryś z waszych poetów powiedział, żeśmy są rodzajem, czyli dziełem Boga, tedyśmy powinni ku niemu umysł podnosić, nie zaś rozumieć, aby bóstwo to mogło być ograniczone liniami sztuki i zewnętrznemi dziełami ludzkiéj myśli: *genus ergo cum sumus Dei, non debemus aestimare. . . sculpturae artis et cogitationis hominis divinum esse simile* [1]). Rozumowanie już było niemożebne—platońska akademia istniała już w trzeciém przeobrażeniu; zreformowana przez Karneadesa, o istnieniu ideałów po za formami materyi słuchać umiała tylko z uśmiechem ironii. Tym téż uśmiechem odprawiły św. Pawła Greki, mówiąc: „co do tego, to cię kiedy indziéj posłuchamy“ [2]).

Nie antropomorfizm, nie form ludzkich choćby do szczytu piękności wzniesionych bałwochwalcza cześć, miała sztukę wyzwolić i na nowe obszary wprowadzić, aby kroczyła do coraz wyższego postępu, ale wzniesienie człowieka do współuczestnictwa z Bogiem przez poznanie i umiłowanie z niebios przyniesionéj, całéj, doskonałéj prawdy. P r a w d ę p o z n a c i e i t a w a s w y z w o l i [3]), rzekł jéj Boski nauczyciel. Ona tylko sama i ona wszystko wyzwala, co do zakresu wolności przeznaczonéj człowiekowi należy, więc téż ona sama i sztukę z jéj kajdan wyzwoli. Ona nauczy człowieka patrzéć w świat jasno i głęboko, oceniać złożone w nim skarby piękna i zdobywać je na usługi podanéj z nieba idei.

Sztuka była niewolnicą w chwili nawet najwspanialéj rozwiniętego majestatu przez dziełmistrzów pogańskich, a nawet w takim posągu wziętym z tragedyi Sofoklesa, jakim jest Elektra. Sztuka może przedstawiać nawet i zbrodnie, ale pod właściwém światłem, ale w p r a w d z i e. Nie będąc natury fizycznéj lub psychologicznéj niewolniczą naśladowczynią, nie powinna téż być tych natur gwałcicielką, i nie powinna tego w swych dziełach jako typ piękna przedstawiać, co natura fizyczna, historyczna, psychologiczna przedstawia tylko jako monstrum. Elektra jest w swoim najwyższym lirycznym

1) *Akta apost.* w. 29. 2) Tamże, w. 32. 3) Jan VIII, 32.

i tragicznym nastroju nieprawdziwą, jest ona nie podniesieniem, nie zidealizowaniem, ale pogwałceniem natury.

Elektra samemi łzami rozczulenia wyrażająca ztąd tylko najwyższą swą boleść, że już nie ma Oresta, któryby zamordowaniem własnéj matki zasycił najsłodsze nadzieje siostry; Elektra, która słysząc potém rozpaczliwy krzyk matki, mordowanéj przez tegoż Oresta i błagającéj go o litość, szydząca z tych błagań i wołająca na zimno: pchnij raz jeszcze!—Elektra, która widząc na rękach brata jeszcze kurzącą krew matki zapytuje: jakże się udało Oreście? — Elektra z niesłychaną chciwością badająca brata czy się sprawił należycie: a więc już zdechła nędznica?—ta Elektra nie może być żadnéj piękności wyrazem; jéj nieomylna i nieograniczona mściwość utrzymana ściśle od początku do końca nie może się nazywać zaletą, to jest jednolitością charakteru—bo jest w naturze rzeczy niemożebną, albo tylko możebną jako potworność. Szekspirowska lady Makbet, mimo całéj form niższości, jest od Elektry niezmiernie treścią wyższa, bo jest prawdziwsza właśnie brakiem téj żelaznéj jednolitości zła, właśnie tym krzykiem sumienia, które we krwi pomyślnie przelanéj ukazuje sercu morderczyni nieskończone motywa tortur, niezgłębione tonie piekła. Hamlet, prawdziwszy od Oresta właśnie chwilowém niedopisaniem charakteru mściciela; tém więcéj, że on nie tyle dla oszukania czujności i przezorności morderców ojca, ile dla jakiego takiego ocalenia godności sztuki i piękna występuje przysłonięty maską poetycznego szaleństwa. Niechby téj maski nie było, a Hamlet nie byłby Hamletem. On jest piękny niekonsekwencyą mściwości. Sztuka w samych arcydziełach Grecyi dźwigała kajdany, których potargać nikt inny nie był w stanie, t y l k o p r a w d a E w a n g e l i i —te kajdany nazywały się: k o n i e c z n o ś ć i f a t u m. A gdyby więc Ewangelia zstąpiła na świat za czasów Peryklesowych, a nie Tyberyuszowych, za dni najwyższéj chwały sztuki pogańskiéj, j e s z c z e b y j ą p o t r z e b o w a ł a w y z w a l a ć—a cóż dopiero w chwilach, kiedy wzniosłe natchnienie Fidiaszów i Apellesów już wygasło niepowrotnie, a szczątki form wydobytych pod wpływem owych natchnień—niezrozumiałe w oczach pokoleń głęboko upartych, zeszły do znaczenia piękności hieroglificznych, o których odczytanie nie warto się było i troszczyć.

Zresztą, w chwili ukazania się Ewangelii, już nie Grecya ale Rzym i to Rzym Cezarów stanowił o wszech rzeczach świata, zatém i o rzeczach sztuki. A ten Rzym jakże był usposobiony? Cycero świad-

czy o urzędowéj wzgardzie Rzymian, jako tako jeszcze republikańskich, dla artystycznéj Grecyi. On sam się przyznaje, tylko z pewnego rodzaju wstydem, że go niegdyś coś skłaniało ku Grekom. Było to, powiada, w epoce, gdy miewał jeszcze zbyt wiele czasu do stracenia, nie będąc zajętym poważniejszemi sprawami: *quum plus mihi erat otii* [1]). Ale owe poważniejsze sprawy już z niego, godnego téj nazwy wyrobiły Rzymianina. Greki tylko, jako ludzie bez wiary, bez lojalności (o lojalności i w owe czasy wiele było mowy), bez powagi, bez religii, wytwornisie, wierszoklety, zręczni sofiści, to jest krętacze, mówcy goniący nie za prawdą lub siłą, ale za świetną frazeologią, za dźwięczną deklamacyą; Greki już tylko co najwięcéj w świecie posągów, obrazów i architektoniki jako zniewieściałe geniusze przedstawiali się panom świata, oraz najwyższemu ówczesnemu trybunałowi opinii. Cycero przyznaje, że coś widział z greckich arcydzieł; raczył na nie rzucić okiem kiedy pisał swoje inwektywy przeciw Verresowi; wiedział nawet, jak się tam któryś z dziełmistrzów greckich nazywał—ale jeżliby potrzebował cytować te nazwy, nie chciał dowierzać swéj rzymskiéj, majestatycznéj pamięci i kazał je sobie suflerowi głośno podpowiadać. Afektacya tego lekceważenia i téj wzgardy była tém nieznośniejsza, im lepiéj wiadomo, ile rzymski orator miał do zawdzięczenia mówcom i pisarzom greckim, ale mu to chętnie darowano, gdyż afektacya należała do dobrego tonu owéj epoki. „Posągi, powiada on w téjże mowie, posągi, które mogły zachwycić nie tylko takiego znawcę jak Verres, ale nawet takich, jak my, ignorantów; taki naprzykład Kupidyn jakiegoś tam Praxytelesa (gdyż uważcie, że czyniąc pod tym względem poszukiwania, musiałem się i o nazwach artystów wywiadywać), wszystko to Verres sądził być godnym celem swego nienasyconego łakomstwa. Mniéj więcéj jak te rzeczy, dla których my Rzymianie mamy tylko wzgardę, mogły były mieć dla Greków tak wielkie znaczenie, i w tak wielkiéj mogły być cenie. Nasze téż nawet naddziady podbiwszy ów naród, chętnie mu zostawili te nędzne zabawki na osłodę gorzkiéj niewoli. Ale to dopiéro byłoby dziwne, gdyby który ludu rzymskiego senator chciał się podobnemi przedmiotami zajmować, gdyby chciał choćby tylko o nich wiedzieć—a cóż dopiéro, żeby się miał nad takiémi małostkami unosić. Potrzeba na to było dopiéro Verresa. A nie to dopiéro jest jego występkiem, że te rzeczy kradł i grabił, ale że je kradł z amatorstwa, że

1) *Or. Pro Flacco. 4.*

ich chciwie poszukiwał, ceniąc, jakby coś wzniosłego. Wiecie co ten człowiek w nadmiarze swego szaleństwa wyprawia? Oto w Syrakuzie, wśród białego dnia śmie występować w płaszczu greckim i w greckich sandałach. O występku! o hańbo! o *dii immortales!* Pretor ludu rzymskiego śmiał w kostiumie greckiego posągu debiutować!“

Inna rzecz, czy to było szczérze, czy mówca był rzeczywiście podobnego przekonania? Z pewnością sam w sobie myślał inaczéj. Ale już sama potrzeba udawania dowodziła, ile w Rzymianach było uczucia dla piękna—jak mało względu na prawdę!

Lecz wkrótce i nader wkrótce inne nastały czasy. Świadkiem ta wychodząca dotąd z pod ziemi Pompea, któréj portyk przeznaczony dla ludu zdobiło blizko 300 brązowych posągów i 230 marmurowych; świadkiem termy Agryppy, zajmujące blizko 1000 stóp długości a 750 szerokości, zbudowane tak, jak się dziś nie budują nawet potężne cytadele, a zapchane z całego świata dziełami sztuki; świadkiem opisy teatru Skaura, na budowę którego wydano sto milionów sesterców, a które zdobiło, jak pisze Pliniusz, 3000 posągów. To wszystko znowu zdawałoby się mówić o entuzyazmie Rzymian dla sztuki, ale entuzyazm ów tyle miał w sobie prawdy, ile dawne lekceważenie.

Bo dla jakiéjże to sztuki tak wiele łożono? Sodoma rzymska, to jest Pompea na to odpowiada, jakkolwiek Pompea ledwie była co do znaczenia miastem trzeciego rzędu i jakkolwiek daleko jeszcze do odkopania całości. To, co już wydobyto, wystarcza, aby nie módz wyjść ze zdumienia, do jakiego stopnia sztuka stała się wówczas spodloną niewolnicą najbrudniejszych namiętności i do jakiego stopnia surowe republikańskie tradycye musiały były wygasnąć, kiedy się już tak chciwie do tego rodzaju uciech niby estetycznych i do używania niby artystycznego rzucono.

Same nawet stare głowy, twardych co dopiéro republikanów wprzód zmiękły, zanim złagodniały. Typ powagi, piękno dawnéj majestatycznéj rzymskiéj surowości, zaginęły—typ prawdziwéj łagodności i słodyczy jeszcze nie został w podziemiach Rzymu zasiany, a dojrzeć miał dopiéro pod twardym pancerzem krzyża. Po latach anarchii, po dniach walk wewnętrznych i zewnętrznych zachciało się jakiego takiego odpoczynku, choćby już i pod tyranem. Tacyt powiada, że wielki pacyfikator wszystkich słodyczą bezczynności zwabił w swoje sieci: *Cunctos otii dulcedine pellexit.* Messale i Polliony, najtwardsi republikanie tém pragnieniem zmiękli i dali się przykuć do kół rydwanu

zwycięzcy. Przynajmniéj w epoce przewagi Antoniusza były w téj niewoli jeszcze jakieś pozory godności. Cezar, w dobrym tonie, zwolennik dobrego smaku, zakładał wspaniałe biblioteki, otaczał się dworem poetów, literatów; przepełniał Rzym zagrabionémi w Grecyi posągami. Nieco późniéj Agryppa, stary wojownik, cały swój wigor rycerski w usługach artyzmu trawi; powstaje z oburzeniem przeciw egoizmowi estetycznemu, żąda prawa zabraniającego osobistéj własności pod względem arcydzieł sztuki i wzbraniającego zamykania galeryi prywatnych. Rzym się już miota artystycznemi zachciankami; sądzi się w możności daleko doskonalszego śpiewania, malowania, rzeźbienia, niż umiano gdziekolwiekbądź indziéj. Rzym postanawia swoim artyzmem zabić niepokonalną aż dotąd w opinii świata sławę Greków. Horacy już naprzód sławi owe zamierzone zwycięztwa, deklamując na pół ironicznie, na pół poważnie:

Szczyt zdobywamy fortuny, pędzlem i pieniem
Walcząc przezwyciężymy, Achiwy przyznać nam muszą.
. . . . . .
Odmienił całkiem obyczaj lud nasz, i płonie już tylko
Pisania żądzą... a żaki i ojce surowe
Listkiem czoła zdobiąc, jedzą i wiersze dyktują,
Piszem więc, nieuki i mędrce, poemata wszyscy.

Manja, czy furja wierszowania w szczególniejszy sposób opanowała umysły noblesy. Młodzi, starzy, uczeni, nieuki wieńczyli się i do upadłego dyktowali niby natchnione wiersze. Poezya dusiła w swoich objęciach na gwałt cisnących się adeptów. Potworzyły się bióra natchnień i bióra dowcipu. Wszystkie inne komeraże musiały ustąpić miejsca komerażom literackim. Recytacye zajęły czas poświęcony niegdyś poważnym naradom. Katedry deklamacyjne miały zastąpić całkiem zaniedbane rostry. Jak się za lepszych czasów bawiono w mecenasów prawnych, w klientelę, w mężów stanu, w legistów, tak teraz postanowiono bawić się powszechnie w wyższą inteligencyą, w znakomitości umysłowe, w klientelę, mecenasostwo literackie. Posiwiały w bojach zwycięzca zbuntowanych Dalmatów Azinius Pollio, po odprawionych tryumfach uroczystych, zaprzęga się do rydwanu Horacego i Wirgiliusza — prawie im nadskakuje. Surowy niegdyś mówca republikański, stronnik Brutusa, a następnie, z nową rzeczy przemianą, stronnik Oktawiana, zwycięzca Akwitańczyków, konsul, prefekt

Rzymu, Valerius Corvinus Messala oddaje się na starość w usługi pieszczotliwemu Tibullowi i w zapale literackim traci aż pamięć, w ekstazie poetycznéj odchodzi od zmysłów!

Stara niewolniczość Greków stała się wybornym pedagogiem dla rodzącéj się niewolniczości Rzymian. Cała populacya uczonych, artystów, po największéj części Greków, wyzwoleńców świeżéj daty, neofitów wolności, żartujących i szydzących z resztek powagi arystokratycznego Rzymu, wodziła réj i głuszyła szczątki dawnych rycerskich aspiracyj, potępiając je jako zły ton, jako barbarzyńskie instynkta, jako dziką gburowatość. O jędrnych czasach republiki wyrażali się, jak się wyrażają dzisiejsze literaty o średniowiecznych epokach. Każdemu przystawało szydzić ze sławy starego Rzymu, jakby ze sławy Donkiszota. Cerwantesy były na porządku dziennym. Tym tryumfom literackiego życia już na niczém nie zbywało. Mieli natchnionych na każde zawołanie melancholicznych piewców, geniusze o długich wymuskanych lub fryzowanych włosach, o gęstych farbowanych brodach, o zamglonych nawet oczach, o fałdach artystycznie rozrzuconych. Przyklaskiwano wielkiemu postępowi wieku, a starzy nawet senatorowie odświeżali sobie w pamięci sześćdziesięcioletniéj, co im przed przeszło pół wiekiem twardy Orbiliusz cięciami rózgi w chłopięcegłowy napędzał.

Co my dziś bierzemy w poetach z owéj epoki za jakieś oklepane komunały literackie, to miało wówczas wagę i znaczenie dla nas prawie niepojęte. Słodkie obrazy spokoju, unoszenia się nad powabami sielskiego życia, nad rozkoszą usunięcia się od zajęć publicznych, to nie były słowa tak tylko rzucane bez myśli—to był, tak zwany, chléb głodnemu na myśli. Kiedy Horacy marzył o wyspach szczęśliwych, pragnąc tam przenieść co jeszcze uczciwego pozostało w Rzymie; kiedy Wirgili zachwycał eklogami i bukolikami, skowronkując, słowikując wobec natężonego słuchu zdelikaconych potomków Fabrycyuszów, Scypionów, Maryuszów i Syllów; kiedy ciskał poetyczne gromy na republikańską pychę, na barbaryą czasów wojennych; Rzym już wtedy zmęczony, upodlony, zrezygnowany na dożywotnie kajdany, brał to całkiem na seryo. Stary orzeł rzymski pozwalał się chętnie usypiać słodkiém lulaniem poetów. Moglibyśmy sobie to w jakiémś przybliżeniu przedstawić, wspomniawszy na czasy nie tak dalekie, kiedy to czupryny i łysiny z lepszych jeszcze chwil, nasi ojcowie już zastępowali koczkodańskiemi perukami à la Voltaire et Diderot, a pancerze koronkami, aby tak wystrojeni, wpośród choćby gipsowych

posągów, deklamowali wspaniale i słodko o barbarzyńskich obyczajach przodków przy uczonych czwartkowych obiadach!

Religia już była zaliczaną do tych barbarzyńskich zabytków. Jéj sponiewieranie musiało ostatecznie sprowadzić sponiewieranie i upodlenie sztuki. August chciał podnieść zdyskredytowane ołtarze; chcieć jednakże wskrzesić religją z czasów wielkiego patryotyzmu, z czasów surowéj republiki, i podczas gdy i republika skonała i resztki patryotyzmu deptano; chcieć wskrzesić wiarę starego Rzymu, kiedy nowy stał się kosmopolitycznym, rzecz była niepodobna.

August jednakże sądził się w możności dokonania i takich niepodobieństw. Ustanowił on religią urzędową, albo raczéj rządową, i kazał, aby była patryotyczną. Rzym na jego skinienie otwiera swe bramy bogom wszech świata. Panteon Agryppy już na nich czeka, urządzony z nieznanym dotąd przepychem. Lecz czyliż taka religia będzie zdolną natchnąć kogoś artyzmem? Czemuż nie? Horacy spieszy z ofiarowaniem swych poetycznych icencyi wszech bogom. Powiada on w imieniu inteligencyi rzymskiéj, że jakkolwiek jest mocno epikurejskich usposobień i nader daleko idących negacyi filozoficznych, odkąd jednakże pogodne niebo zagrzmiało dekretem o konieczności religii, wnet się nawraca. Ten zresztą *parcus deorum cultor*, mógł sobie, jeżliby mu się podobało, odzyskaną urzędowym nakazem wiarę z epikurejskiemi godzić instynktami.

Religia owa nie była przecież jakimś tylko bezmyślnym panteizmem zorganizowanym zewnętrznie przez zbiegowisko, czy spędzenie bogów całego świata do panteonu rzymskiego. Jeżeli August zezwolił na prawo obywatelstwa dla samych nawet ohydnych bóstw Egiptu i Fenicyi; jeżeli uprawniono kult Mitry tak pełny wstrętnych misteryów; jeżeli pozwolono na wolne praktykowanie wszystkich sprosności Chanaanu, Babilonu i Syryi—to w dobrze świadomym zamiarze przygotowania religijnéj czci dla najwyższéj reprezentacyi państwa, to jest Cezarów. Cezar nie był jeszcze bóstwem, w któreby najgłębiéj lub najszczerzéj wierzono, ale był z pewnością bóstwem, które najwięcéj uwielbiano. August w samym Rzymie przyjął już za życia przydomek *divus*, boski. Zasada, iż cesarz dopiero po śmierci mógł zostać bogiem, w moc dekretu senatu, za Augusta już, wyjątkową ustawą, została pogwałconą. Tyberyusza na klęczkach błagano, aby się pozwolił czcić jako bóstwo; on zaś przez swą lisią roztropność ku tym błaganiom nie tak łatwo się skłaniał. Azyi tylko dał pozwolenie na postawienie sobie świątyni. Natychmiast jedenaście miast ubiegać

się poczęło o ten niesłychany zaszczyt. Kaligula miał już świątynie i ołtarze we wszech prowincyach—Nero w samym nawet Rzymie. Nero jednak nie chce być bogiem bez odpowiedniéj świty, jakim dla wielkiego poety był August, twórca niebios dla śmiertelników. *(Deus nobis haec otia fecit!)*. Nero tworzy zastęp bogów, do którego zalicza Popeę i nakazuje szczególny kult dla niéj. Trazea, to zbrodzień, on śmiał *Popeam divam non credere, spernit religiones, abrogat leges;* to bezbożnik i bluźnierca targający się na takie bóstwa bez względu na uchwalone prawa, które je stworzyły. Państwo musi się bronić przeciw takim wrogom swojéj wszechmocności. Nero musiał ukrócić te zachcianki opozycyi antypaństwowéj, więc i antyreligijnéj.

Taka religia jakąż mogła natchnąć duszę? Sztuki piękne były, być musiały, lecz na to tylko, aby służyły ku czci tyranii, rozpusty i okrucieństw najpodlejszego z ludzi. Niewolą ich i upodlenie doszły do ostateczności; nazwa wyzwolonych była tylko krwawą ironią. Któż się ich wyzwolin podejmie, kiedy świat cały na kolanach przed takim Kaligulą i Neronem?

Ewangelia przywędrowała do Rzymu ze skarbem prawdy właśnie w chwili takich orgii i tych się wyzwolin podjęła.

Rzym Neronowy postanowił sobie zabić z kretesem artyzm grecki, jeżeli nie poprawiać posągowe uplastycznienie ideału. Skamieniałość ideału miano zastąpić nie już uplastycznieniem uczuć, bo głównym charakterem téj epoki jest to, że, jak się wyraził apostoł, była bez uczucia [1]), ale uplastycznieniem wszelkich możebnych poruszeń, odcieni i gry najrozpustniejszych namiętności i najwyszukańszych katuszy.

Z początku była to jakby tylko mania udawania, deklamatorstwa, pozowania i efektów. Sam Seneka obsługiwał skrzętnie w ten sposób pomyślaną sztukę. Frazesista i deklamator *per excellentiam* wpoił ten smak w Nerona. Układać wspaniałe frazesy, zestawiać efektowne wyrażenia, nadrabiać patosem słów, głosu, gestu, pantominy i nim zastępować wszelką siłę uczuć, wszelką podniosłość—oto ówczesny artyzm. Nero, *magnus artifex*, odgrywał sceny nawet na temat rzeczywistych swego sumienia zgryzot i wyrzutów. Ponieważ sumienie nie dało sobie żył podwiązać i podciąć, ponieważ chciało mieć swój głos koniecznie, Nero pozwolił na ten głos, ale pod warunkiem, że mu

1) *Epist. ad Rom.* c. I. w. 31.

usłuży w artyzmie, że się odezwie tragicznie z dobrze obmyślaną deklamacyą, z wystudiowaną mimiką. Niech nawet krzyczy, ale niech się ten krzyk wyraża w akcyi teatralnych furyj, niech się deklamuje wspaniałém wierszowaniem greckiém o matkobójstwie. Niech to będzie tak dobrze sztuka jak sztuką być ma wszelkie tkliwe uczucie, wszelka cnota, bo cnota tylko teatralna jest pozwolona i wolna. Był to ostateczny zamach na wszelkie dobro, wszelką prawdę i wszelakie piękno. Te rzeczy zaliczono wyłącznie do świata sztuczności i udawania: to jest udawania, nie naśladowania, naśladowanie bowiem przypuszcza jakoweś wzory w rzeczywistości, w naturze, a realność cnoty i prawdy już została urzędownie skasowaną, zanegowaną.

Wielkość bardzo przypadała do smaku. W sztukach plastycznych postanowiono osiągnąć wielkość, jakiéj jeszcze świat nie widział; ale wielkością nazywano ogromy rozmiarów materyalnych, potworne olbrzymiości. Z téj epoki wyszły kolosalne posągi, których nogi, palce, torsy, głowy walają się dotąd po ulicach Rzymu. Do téj epoki należy taki Laokoon, olbrzymie dzieło sztuki rzeźbiarskiéj, ale pod względem ideału i wzniosłości pozbawione wyższego znaczenia; dzieło przedstawiające z największym przepychem technicznym, nie ideał wielkiéj boleści świadczącéj o swych wyższych źródłach, to jest o źródłach ducha, ale z pewnym wyrazem wyższego gladyatorstwa piękny zbiór kontorsyi samych boleści ciała. Moralna boleść Niobidów już się wydawała niesmaczną, mdłą, ckliwą w swych niezrównanych pięknościach.

Potrzebowano przedstawień tortury fizycznéj. Studyowano zimném okiem torturowanych, aby oddać z gracyą dłutem lub pędzlem objawy najstraszniejszych katuszy. Czegoby sobie Grecy w najbardziéj motłochowym karuzelu nie byli pozwolili, najbrutalniejsze pozy, najgrubsze fizyczne emocye, to się stało wyłącznie poszukiwanym przedmiotem, żywiołem, celem rzymskiéj sztuki.

Wszakże ani rzeźba, ani malarstwo, ani sama literatura nie mogły dostarczyć form dosyć realnych do tego rodzaju pomysłów, dosyć odpowiedniéj plastyczności i akcyi. Rzym ówczesny zrozumiał ten niedostatek i chciał dowieść, że mu swą wszechmocnością zaradzi.

Zaradził żywemi obrazami, tą najniższą hecą sztuki. Pędzel, dłuto momenta tylko oczom przedstawiały z drastycznych ustępów namiętnéj, lubieżnéj lub srogościami najeżonéj poezyi, ale nie były zdolne do zmiany akcyi i przejścia całéj skali podyktowanéj przez namiętności. Oczy musiały przestawać na schwytaniu pewnéj tylko

tragicznéj czy komicznéj chwili, a realizm sztuki rzymskiéj na tém poprzestać nie mógł i odwracał znużone oczy od zawsze téj saméj pozy, jakby ze wzgardą i z wyrzutem obelżywym, iż posąg lub obraz daléj iść nie umiał. Niech więc te dzieła zdobią cyrki, teatra, łaźnie, portyki i świątynie, ale oczy niech się żywią obrazami z żywych ciał, żywemi grupami zdolnemi do akcyi, mogącemi wywołać cały szereg emocyi srogości i lubieżności.

Niedość na tém; aby sztuce w jéj przedstawieniach dać jeszcze więcéj realności, postanowiono, aby żywe grupy nie udawały lecz w całéj rzeczywistości przedstawiały, co tylko najbujniejsze fantazye zdolne były pomyśleć w zakresie rozpusty i bolów.

Lud rzymski za wielki, iżby się mógł bawić farsami udawanych okropności. Aby dłonie tego milionowego polipa mogły godnie przy klaskiwać, a piersi i gardła wydawać okrzyki zadowolenia, potrzeba na to było wystawy ze zgrozy całego świata. Amfiteatr w tym celu stał się ruchliwemi galeryami, muzeami i teatrami scen, które za republiki skrzętnie ukrywano pod ziemią. Trybunały odtąd musiały przyjąć na siebie piękny obowiązek zaopatrywania areny. Skalą doskonałości sądów miała być mnogość skazańców, a ponieważ trybunały stolicy mimo całéj gorliwości w oddaniu téj sprosnéj usługi, nie mogły podołać oczekiwaniom cezara i ludu, przeto skazańcy całego świata pielgrzymowali do Rzymu, aby należycie uprowidować cyrki i zabawić swojemi mękami lud z godnym tego ludu panem. Prawodawstwo natchnione nietylko przez Neronów ale i przez Tacytów (to jest majestat adwokacko-literacki, wskazujący na chrześcijan jako na *genus exitiale)*, stworzyło nową zbrodnię, za którą najsurowsze stanowiło kary, a tą zbrodnią było: chcieć być lepszym od ówczesnego świata; tą zbrodnią to chrześcijaństwo. Prawodawstwo takim genialnym wynalazkiem poprawiło zachwianą sławę sądownictwa, bo niezmiernie pomnożyło kandydatów areny. Już odtąd nie będzie kłopotu, zkąd wziąść dostateczną liczbę złoczyńców: zbójców, podpalaczy, infamisów wedle dawnéj skali. *Exitiale genus* dostarczy w ich miejsce złoczyńców na nową skalę. Lud rzymski będzie miał codziennie żywych Laokoonów. *Tunica molesta*, dawna kara podpalaczy, już została przerobioną na kostium dla chrześcijan—geniusz Nerona posłużył się nią w utworzeniu nowego systemu iluminacyi. Chrześcijanie ubrani w takie to tuniki napuszczone palnemi materyałami, przykrępowani do palów, służyć będą za kagańce i pochodnie rozjaśniające sceny całkiem nowego artyzmu!

Św. Klemens rzymski w liście do Koryntyan [1]), a po nim Tertulian [2]), oraz pogańscy historycy i poeci Swetoniusz, Martialis, Juvenalis [3]), piszą o pewnych przedstawieniach mytologicznych, dających wyobrażenie o ówczesnéj sztuce religijnéj. Tutaj maszynerya i scenerya przechodziła wszystko, co sobie wystawić można. Nieszczęśliwi skazańcy występowali w kostiumach bogów lub bohaterów. Ich męczarnie i śmierć miały być uplastycznieniem pewnych mytologicznych podań i mysteryów opiewanych przez wielkich poetów. To Herkules palił się na szczycie Oety, napróżno usiłując zedrzeć z siebie koszule Dejaniry, czyli tunikę napuszczoną smołą, żywicą i oliwą i podpaloną przez ukrytą rękę maszynisty. Herkules miał tylko wolne ręce, aby targał płonącą odzież, cały zaś był niewidzialnie dla oczu spektatorów przykuty do sztucznéj skały. Innym razem występował Orfeusz, którego na scenie w sztuki targały niedźwiedzie; innym razem Dedal strącony z nieba, aby był na ziemi przez dzikie bestye pożarty. To znowu Mucyusz Scewola prażył swą rękę na wolnym ogniu. Tłumy chrześcijan, nie wyjmując kobiet, wraz z innymi skazańcami dostarczały aktorów poniewolnie grających (chociaż z całą wolnością cierpiących) tym potwornym widowiskom. Jedne z kobiet Danaidy, drugie musiały przedstawiać nieszczęśliwą Dirkę. Pierwsze w liczbie pięćdziesięciu rozstawiono wysoko na skałach, ubrane w przepysznych płaszczach szkarłatnych z urnami w ręku, mieszczącemi niby popioły z ciał pomordowanych mężów, a z téj wysokości, nagle przez poderwanie desek, na których stały, strącono je do niższych kondygnacyj przedstawiających piekło, aby tam w oczach stutysięcznego widza przechodziły przez wszelkiego rodzaju katusze. Takie reprezentacye mytologicznego piekła były szczególniéj w modzie. Sprowadzono do Rzymu biegłych w téj sztuce artystów z Egiptu i Nubii.

Była w Rzymie kolosalna grupa jeszcze sprowadzona za Augusta, znana w późniejszych wiekach i do dziś dnia pod nazwą Wołu Farnezyjskiego, a znajdująca się obecnie w muzeum neapolitańskiém. Grupa ta, wykuta z marmuru rodyjskiego, przedstawiała Dirkę, drugą żonę Likusa królą Tebów, którą synowie Antyopy, pierwszéj jego żony, więzionéj długo przez Dirkę, przywiązują do rogów dzikiego wołu, aby ją targał i roznosił po skałach Cyteronu. Otóż ta grupa podała Rzymowi Neronowskiemu ulubiony temat do żywych

1) *Epist. I*, c. 6. 2) *Apolog.* 9, 15.
3 *Sueton. Claud. 34, Nero 12, Martial X, 21, 25, Juven. Sat. I, VIII.*

obrazów i przedstawień. Młode niewiasty, często nawet ledwie z lat dziecinnych wyszłe dziewice chrześcijanki były skazywane na męczarnie Dirki. Własnymi włosami przykrępowane do rogów dzikiéj bestyi, miały sycić oczy widzów swą boleścią razem fizyczną i moralną. Było to rzeczywiście jedno z tych widowisk, które apostoł narodów uwiecznił słynném swém wyrażeniem: *spectaculum facti sumus mundo et angelis:* staliśmy się widowiskiem światu i aniołom. Takiemi męczarniami umierały bohaterki Ewangelii, w których wzrok nikczemnego rzymskiego świata szukał dla siebie uciechy. A był to widok poszarpanych łon niewieścich i ich wnętrzności rozwłóczonych po sztucznie urządzonych skałach, a obok tego, był to widok owéj moralnéj katuszy, jaką ponosiły święte dziewice.

W takim to stanie znalazła Ewangelia sztuki w stolicy ówczesnego świata! Jakże się do nich wzięła, aby je z tego upodlenia podnieść, a ze sromotnych posługaczek rozpusty i okrucieństwa na zwolenniczki i przyjaciołki sprawy Bożéj i prawdziwego piękna przeistoczyć?

Ewangelia w swoich wyznawcach zstąpiła pod ziemię, aby pod Rzymem ze złota i drogich kamieni, dać początek Rzymowi boskiéj cnoty i piękności. Ktoby był pomyślał wówczas, że to możebne! A jednakże to małe ziarnko miało się w niezliczonych kierunkach rozrosnąć w tajemnicy i tak rozgałęzione miało się wykluć na zewnątrz w danéj chwili—miało się wznieść w przepysznych kreacyach chrześcijańskiéj sztuki wyżéj, niż się wznosiły ówczesne termy, teatra, amfiteatra i wszelkie starego Rzymu wielkości.

III.

Szkołą chrześcijańskiéj sztuki mogła być tylko szkoła chrześcijańskiéj cnoty, tą zaś ostatnią były katakumby.—Ale od czego tu zacząć? Czy zresztą sztuki będą się mogły nietylko rozwinąć, ale choćby ostać wobec téj moralności tak surowéj, która od najwznioślejszych nawet form ziemskiéj piękności każe odrywać oczy, jak skoro tylko mogły być niebezpiecznemi dla cnoty? Czyliż protestantyzm właśnie nie w imię śpirytualizmu chrześcijańskiego powstaje przeciw wszelkiemu udziałowi sztuki w zakresie religii i jéj świętych obrzędów? Czyliż bizantynizm nie dla téj saméj przyczyny wygnał ze świątyń rzeźbę i muzykę, a zakres religijnéj sztuki ograniczył do śpiewu, malarstwa i architektury?—Czyż nie dla tego samego z tych trzech na

wet wybranek dwie ostatnie, to jest malarstwo i architekturę zakuł w twarde i ciasne formy jednostajności, albo raczéj tożsamości, skutkiem któréj dość widzieć jeden obraz i jednę z ich świątyń, aby już mieć skończone wyobrażenie o wszystkich?

Nie, religia chrześcijańska jest religią prawdy, czemużby więc miała odrzucić najistotniejszą formę prawdy, czemużby miała być nieprzyjaciółką jéj odblasku? Czy dla tego, że piękno objawia się za pośrednictwem materyi? Ależ uszlachetniać materyę przez wcielanie w nią idei, to jest właśnie zadanie chrześcijaństwa. Czemużby się zresztą Ewangelia miała zrzekać owego potężnego środka działania na umysły i serca ludzkie, jakiego właśnie dostarczają sztuki?

Łatwe nadużycie? prawda, ależ ludzie niemniéj nadużywają prawdy i dobra jak piękna. Należy zatém tylko dobrze uregulować nie zaś rugować u ż y c i e. Łatwo być może, że lud jakiś nawrócony w takiém się znajduje usposobieniu, iż same piękności zewnętrznych form zamiast mu być pomocą ku dobremu, raczéj staćby się mogły niebezpieczeństwem dla cnoty; raczéj zgorszeniem niż zbudowaniem.— W takim razie Kościół względem podobnie usposobionego dziecięcia postąpi sobie jak matka roztropna i troskliwa; pewne rzeczy usunąłby mu z przed oczu zmysłów, dopókiby nie umocnił i nie uszlachetnił oczu duszy.

Religia chrześcijańska w uroczystych nawet wyrokach powszechnych Soborów uczy, że użycie dzieł sztuki jest z siebie p o ż y t e c z n e i z b a w i e n n e, to zaś nie tylko dla tego, iż ludzie patrzący na nie, czują się w swych szlachetnych instynktach pobudzonymi, ale też i dla tego, że przez dobre zastosowanie dzieł sztuki, wierni ułatwiają sobie naukę prawd wiary, pojęcie i wpajanie w serca prawideł cnoty. Oto co stanowi pod tym względem Sobór Trydencki (*Sessio XXV*). „Niech tego pilnie uczą biskupi, że przez historye w obrazach, lub w innych podobieństwach wyrażone, lud wierny ćwiczy się i umacnia w pamięci artykułów wiary oraz w ich należytém rozważaniu; że z wszelkich przedstawień, czyli wyobrażeń rzeczy świętych wielką się korzyść osiąga nietylko dla tego, że przez nie lud wierzący przypomina sobie dobrodziejstwa i dary Zbawicielowe, ale też i dla tego, że te przedstawienia czynów świętych, cudów i zbawiennych przykładów, pobudzają ludzkie serca do wdzięczności Bogu, do rozwijania pobożności, do naśladowania świętych czynów i do kształcenia dobrych obyczajów“. Natura ludzka, obok innych nieodzownych pomocy, potrzebuje i piękności naturalnych, widzialnych, aby się mogła wznieść

do niewidzialnych, aby była zdolną rozmiłować się w tém, co jest najpotrzebniejsze i najpiękniejsze, to jest w prawdzie i w cnocie—i aby mimo wszystkich ciężkości prac i walk podejmowanych w tym celu, mimo wszystkich wstrętów ze strony krewkości i zmysłowości, z rozkoszą dotrwała im wierną. To nam tłómaczy, dla czego już i w katakumbach potrzebowano sztuki, dla czego religia posługiwała się dziełami sztuki nawet w tych chwilach męczeńskich zapasów z najstraszniejszemi nadużyciami sztuki, wśród pogan sadowiących jéj dzieła w miejsce prawdy i na wysokości samemu Najwyższemu dziełmistrzowi przynależnéj, to jest na wysokości Ołtarza.

W katakumbach tak często przedstawiają się obrazy; tam one świadczą o jakiejś niepokonanéj potrzebie piękna w duszy tych nawet ludzi, którzy z nieustraszoną odwagą plwali na posągi i strącali je swą stopą, kiedy ich usiłowano zmusić do czci religijnéj przedstawionego w tych posągach bóstwa i niestworzonéj piękności. Skutkiem téj naturalnéj a zacnéj potrzeby, Kościół już w pierwszych chwilach swego życia w p r o w a d z i ł s z t u k i d o ś w i ą t y n i, aby w niéj służyły boskiéj sprawie. Tym, którzy mu to zarzucali, zdawał się mówić swém postępowaniem i swoją nauką: Pozwólcie, n i e c h j a w y z w o l ę s z t u k ę z n i e w o l i i u p o d l e n i a, w które ją w t r ą c i ł o p o g a ń s t w o i materyalizm, oraz z rygoru starozakonnego, spowodowanego skłonnością do bałwochwalstwa, tą wielką chorobą starożytnego świata.— Prawda, powiedziano starym: *„Nie będziecie sobie czynić bałwana ani ryciny, ani znaków stawiać będziecie, ani kamienia znakomitego, abyście mu się kłaniali“* [1]). Ale to była dyeta nałożona choremu w paroksyzmie ciężkiéj gorączki, albo dziecku w chwilach jego niedojrzałości. Nie róbcież z lekarskiéj dyety reguły do zwykłego trybu życia, dla wszelkich stref i dla wszelkich czasów. Zmysłowa bałwochwalczość była dawniéj chorobą ludów i groźną zarazą dla samego nawet ludu wybranego, nie umiejącego pojmować obrazu i posągu w świątyni inaczéj, tylko jako bezwzględny i istotny przedmiot najwyższéj czci religijnéj. Było to zaiste wielkie złe, ale nie mniejszém złém jest dzisiejsza bałwochwalczość umysłowa, ten poganizm ducha, który chce pozbawić Boga, jednego z najwznioślejszych hołdów, to jest hołdu sztuki — poganizm ducha, który na rachunek niby puryzmu i spirytualizmu religijnego chce sztukę wyprowadzić z najpiękniejszego jéj zakresu i chce ją pozbawić ducha. Nie, nie byłaby to ani

1) III. Księga Mojżesza r. XXVI. 1.

usługa oddana religii, chcieć ją przekonać, że powinna od siebie wygnać najdawniejsze swoje przyjaciółki, ani usługa oddana sztuce, chcieć ją wysunąć z pod wpływu wyzwolicielki wszechrzeczy, dotyczących ludzkiego ducha, to jest z pod wpływu Ewangelii.

Chrystus wyzwolił wszystko, co jest prawdą i dobrem, więc też i wszystko co jest rzeczywiście pięknem. On otwarł niebo wszystkim dążeniom ludzkiego ducha i wszystkim talentom. Tylko sztuki uprawiane przez egoizm wygnał z domu Ojca swego, ale sztuki uprawiane przez miłość piękna On owszem werbuje i wabi. On sam pierwszy obrazami swych przypowieści i swych alegoryi napełnił tę świątynię prawdy przez się zbudowaną, która się zowie Ewangelią. Język obrazów to jego predylekcya. Jeden jest tylko profan, którego dotyczy napis *procul esto*, a tym jedynym jest złe i wszelakie formy złego, to jest brzydota moralna.

Kościół wszakże nie wszystkim produkcyom sztuki otwarł jednocześnie przystęp do tego świata bożego, ale w miarę jak je widział gotowémi do oddania hołdu Bogu. Jest pod tym względem pewien historyczny porządek następstwa. Najpierwéj dostąpiła tego zaszczytu sztuka najpowszechniejsza i wynikająca jakąś nieprzepartą koniecznością z każdego osobistego uczucia piękna, sztuka wyrażająca nasze pokrewieństwo ze światem aniołów i duchów błogosławionych, w którym ona zdaje się być wyłącznem narzędziem chwały Stwórcy—sztuka, która zdaje się być w każdym z ludzi nieco żywiéj czującym jakby melancholicznem ku niebu westchnieniem, to jest śpiew. Śpiewał już i Stary Zakon i zachęcał do śpiewania. Śpiewajcie Panu! Ileż razy to wezwanie się powtarza! Śpiewali Panu nietylko taki Mojżesz, taki Dawid, ale śpiewał cały lud, a z samego śpiewu niemowlątek przyjmował Pan jakby udoskonalenie swéj chwały: *Ex ore infantium perfecisti laudem* (Ps. VIII).

Wszakże Apostoł narodów chce w Nowym Zakonie śpiewów na wyższe tony: „Jeźli się modlę językiem, powiada, duch mój się modli, ale myśl moja bezowocna, milczy. Będę się modlić i myślą. Jakże więc? Oto śpiewać będę duchem, śpiewać i sercem (List I. do Kor. 14). On także wiernym poleca, aby rozmawiając w psalmach i hymnach i w pieśniach duchownych, nucili i śpiewali w sercach swoich Panu (do Korynt. III.). Inny Apostoł w tymże duchu pisze do wiernych: Smuci się kto z was, niech się modli. Spokojnego jest umysłu, niechaj śpiewa (List św. Jakuba V.).

Śpiew, najnaturalniejsza ze wszystkich sztuk, rzekłbym, sztuka natury — śpiew, miły towarzysz pastuszka, rolnika i rękodzielnika, miły gość w domu a choćby i stary mieszkaniec, ze wszystkich sztuk pierwszy się pokłonił Bogu, kiedy jeszcze ani o kościołach, ani o obrazach, ani o posągach mowy być nie mogło.

Ale przyszła w swym czasie koléj i na inne sztuki. Sam Bóg powiedział, że chce mieć osobny kącik do towarzystwa z człowiekiem. Izrael w czasach swéj niewoli szukał tego kąta, a w czasach swego pielgrzymstwa nosił się z nim, nosząc się z przybytkiem pańskim. I lud Ewangelii podobnie jak lud Arki. Gdy przyszły czasy rozproszeń i prześladowań, już i najgłębsze domowe zakątki nie wystarczały. Szaweł znalazł wyznawców Jezusa wszędzie i zewsząd ich wywłóczył. Postarano się więc o miejsce bezpieczniejsze. Architektura chrześcijańska poczęła już kiełkować za czasów Apostolskich. Szaweł przemieniony w Pawła inaugurował ją w więzieniu mamertyńskiém, gdy je poświęcił cudowną swą działalnością. — Otchłań najgłębsza pod Kapitolium, do któréj spuszczano dziurą złoczyńców skazanych na śmierć głodową—ta świątynia rozpaczy—kiedy się w niéj znalazł mąż Ewangelii, zaraz się przeistoczyła na świątynię najwyższéj nadziei i boskiéj miłości. Na wzór tego przybytku poczęto szukać dla wszystkich wiernych mieszkania z Bogiem.—Chrześcijanie im wyższe mieli kiedyś wznieść świątynie Chrystusowi, tém się głębiéj w tych pobożnych poszukiwaniach w ziemię zapuszczali.

Ziarno czuło potrzebę obumarcia w ziemi, aby kiedyś w stokrotnych owocach nad ziemię wygórowało. Pierwsi chrześcijanie zapożyczyli się u świata niemej natury, czego im świat żydowski i świat pogański odmowił, a czém Bóg i ptactwo powietrzne obdarza. W katakumbach, w łonie ziemi, znaleźli, czego szukali. A tak do śpiewu przybyło i gniazdko. — Architektura głęboko pokłoniła się prawdzie i miłości, i stworzyła owe podziemne kaplice, w których śpiew już się swobodniéj rozwijał. Te sztuki pójdą prędko raz znalezioną drogą; nie zatrzymają się w samych nawet kompozycyach Petronijuszów, Grzegorzów, Palestrinów i Haydnów, w samych świątyniach gotycyzmu, ani w świątyniach Bramantów i Buonarottich. Śpiewał smutek, śpiewała boleść, ale z nią razem nadzieja i miłość śpiewały; harmonią tego śpiewu był spokój duszy, a ciasne krypty równie im dźwięcznie swém echem odpowiadały, jak nam odpowiadają sklepienia naszych wzniosłych świątyń.

Obrazy przecież nie tak prędko zawitają do tych przybytków modlitwy. W owych pierwszych czasach, kiedy jeszcze nie można było zorganizować odpowiednich prób i stopni w przypuszczaniu do świątyń tajemnic, musiano zwracać szczególniejszą uwagę na słabości dopiéro co przybyłych neofitów. Najduchowniejsze nawet obrazy, mogłyby naprowadzić na myśli lub wrażenia, z jakiemi nowonawróceni przywykli byli dawniéj patrzéć na obrazy i na postaci pogańskiego świata. I dla prawdy i dla cnoty mogłyby były stąd wyniknąć groźne niebezpieczeństwa w nieustalonych umysłach i sercach. Z wyobrażeniem figury plątały się wyobrażenia fałszywéj religii, a mogła téż była jeszcze i zadrgać niedość potargana i niedość jeszcze z dawnego nastroju przestrojona namiętność. Trzeba było wprzód przygotować, wykształcić zmysł piękna, uzdolnić go do brania przedmiotu ze strony prawdy i świętości. Samego dobrego Pasterza, saméj jego przeczystéj Matki święte postaci, trzeba było przedstawić wprzód umysłowi i wyobraźni, a przedstawić nie w liniach choćby téż najsubtelniejszego rysunku, nie w barwach choćby najeteryczniejszego lub najpoważniejszego kolorytu, ale w liniach nakreślonych boskiém słowem Ewangelii, w barwach życia, cierpienia i śmierci Jezusa Chrystusa. Trzeba go było wprzód słyszeć niż widzieć, wprzód widzieć i poznać duszą niż zmysłami, wiarą niż wyobraźnią. Trzeba go było najprzód poznać należycie jako Boga-Człowieka pokory, czystości i miłości, zanimby oko zmysłowe mogło spokojnie przypatrywać się kształtom liniami rysunku nakreślonéj i tonami barw ożywionéj postaci.

Tu się szczególniéj przedstawiają dwa stopnie w rozwoju artyzmu. Ponieważ w religii pogan daleko częściéj figurowały pósągi bogów niż obrazy i to nietylko w świątyniach ale i na placach publicznych, a zmysłowość pogańska daleko chętniéj wybaczała marmurowi bezbarwność i chłód na rachunek dotykalnéj plastyki, aniżeli brak téj ostatniéj na rachunek choćby najgenijalniejszego rysunku, przeto w początkach rozwijania się sztuki chrześcijańskiéj, przejście musiało się odbywać nie przez rzeźbę do obrazu ale przez obraz do rzeźby. Były téż i powody w saméjże stronie technicznéj. Łatwiéj było daleko i prędzéj kilku pociągami pędzla na świeżych ścianach podziemnéj kaplicy kreślić obrazki religijne, aniżeli wygniatać, żłobić lub wykuwać. Rzeźba wymagała więcej swobody, więcéj przestrzeni, światła, więcéj téż zdolności i siły. Gruboziarnisty tuf katakumbowy nie mógłby zresztą i przy największéj zdolności rzeźbiarza przyjąć delikatniejszych zacięć. Statua wypukło- czy płaskorzeźba były w podziemiu nie do wykonania, a w świecie nadkatakumbowym nie było miejsca na pracownię dla chrześcijańskiego rzeźbiarza.

Zaczęto więc od najelementarniejszéj skulptury, od grawerowania twarzy i figur na płytach grobowych. — Zaledwie jednakże opadły kajdany z ciała Kościoła, alić ten rodzaj sztuki pięknéj jakby zniecierpliwiony długiém oczekiwaniem na godzinę swéj służby w przybytku pańskim, zerwał się natychmiast do mnogich płasko- i wypukło-rzeźb na sarkofagach chrześcijańskich. Na posągi musiano jeszcze długo czekać. Bałwany pogańskie o wytwornych kształtach zaludniały jeszcze Rzym, jednocześnie zaś upadek sztuki rzeźbienia, właśnie idący za upadkiem pogańskiego kultu, szybkim postępował krokiem. Nim pod żelazem Atylów i Alaryków dawne posągi rozlatywać się zaczęły i kryć swoje wstydy pod nagromadzone ruiny, już była tradycya skulptury wygasła. — Chrztem męczeństwa oczyszczone umysły i zmysły odwracały się ze wstrętem od piękności czysto zmysłowych, od wypukłości rozpustnych i wyuzdanych. Rzeźbiarze ze wstydem rzucali niepożyteczne i spodlone dłuta. Rzucali je i poganie, bo dłuta nie popłacały. Artyści pod tym względem byli coraz większą a całkiem nieposzukiwaną rzadkością. Sam Fidijasz i Praksyteles musiałby był zamknąć swoję pracownię i połamać dłuto.

Nie można przecież twierdzić, jakoby upadek téj sztuki uprzedził całkiem ruinę pogańskiego Rzymu i jakoby wyniknął z ducha Ewangelii. Owszem były ze strony chrześcijan usiłowania nadzwyczajne w obec nowego nawet szczęku oręża i łomotu zapadających się kolosów starożytnego artyzmu; te to bowiem właśnie czasy udarowały Rzym słynnym ze spiżu posągiem księcia Apostołów i fundatora samego Rzymu. Było to przecież jakby ostatnie pożegnanie starożytnéj sztuki, mającéj poledz pod ruinami świata, który ją wydał, wypielęgnował, wyniósł na szczyt najwyższy i shańbił — świata, dla którego już nie było przebaczenia ni ratunku.

Historyczny przebieg działania Kościoła w uregulowaniu pochodu artystycznego jest sam przez się bardzo ciekawy i nauczający. Wystarcza on za dowód, że otwarcie wrót świątyni malarstwu i rzeźbie, nie było bynajmniéj skutkiem jakiéjś tylko chwilowéj koncesyi na rzecz starych nawyknień, ale że było następstwem zasady w sobie niewzruszonéj, a w szczegółach stopniowo zastosowywanéj. Przedewszystkiem przezorna ostrożność i surowość nieugięta w osłanianiu neofitów od wszelkich wrażeń pogańskich. — W miarę jak się to nie-

bezpieczeństwo zmniejszało, rozprzestrzeniał się zakres wolności dla sztuki—gdy zaś ustało, wtedy zapory całkiem upadły, a Kościół zatrzymał tylko w swém ręku wędzidło, jakie nałożył sztuce, nie aby ją paraliżować, lecz aby ją uchronić od zabłądzenia na dawne tory i aby nią kierować na drodze czystości kultu, czystości obyczaju i postępu.

Malowidła katakumbowe, wykonywane w warunkach bardzo niekorzystnych, przy słabym blasku lampy, zdaleka od światła dziennego, tak niezbędnego dla działania sztuki, mają swój zupełnie odrębny charakter, mimo wszystkich reminiscencyj linii twarzy, tonu, karnacyi, układu draperyi, świadczących, z jaką to epoką pogaństwa schodziły się te pierwsze momenta działalności Ewangelii w zakresie sztuki. — W tych obliczach nie godzi się szukać życia i wzruszeń namiętności, ale się godzi i należy szukać myśli, ducha, niebiańskości. Nie ma tam nic tragicznego, nie ma tam harmonizującéj się ziemskiéj boleści z ziemskiém weselem jak w owych bareliewach fidijaszowych, ale za to nieznana przedtém światu słodycz pobożności przemawia z tych postaci do serca w sposób prawdziwie cudowny. Jest w nich to zaraz, czego napróżno Sokrates szukał i o co się upominał w obrazach Parazyusza, dziwiąc się czemu z nich dusza nie mówi.

Te pomniki najwyższego bohaterstwa, jakiego świat nigdy przedtém nie widział, a razem cierpliwości i słodyczy, to żywe upomnienia, to kazania zachęcające do wytrwania, dające natchnienie miłości. To nie jakaś galerya obrazów, muzeum ekspozycyjne, ale to szkoła jedyna w swoim rodzaju, w któréj miały się uczyć wieki, czego nigdzie gdzieindziéj nauczyćby się nie mogły.

Sztuka, w owym czasie, była tylko zajęta piękną formą miłości. W życiu ofiary i poświęcenia nie było czasu ni miejsca na wielkie obrazy, ale była łatwość wyrażenia kilku pociągami pędzla tych myśli i uczuć mówiących, w których tak długo słabi czerpali wzmocnienie i natchnienie świętéj odwagi. Co się urodziło w grobach, wśród posępnych ciemności, pod wrażeniem przekleństw świata, to nie mogło mieć charakteru owych grotesków rzymskich termów, lub wykopalisk Pompei; ale za to miało charakter planu do wielkich dzieł sztuki średniowiecznéj.

Te obrazki, wyobrażające pod różnemi postaciami dwie idee naczelne: walki i wyzwolenia, były dla wojowników chrześcijańskich tém, czém muzyka i śpiew są dla armii idącéj do walki, a razem

byłto niby Tyrteusz przez Ateńczyków Sparcie na sukurs przysłany, nędzny, skurczony, ale śpiewami swymi tak porywający za serca, że Sparta pod wrażeniem jego pieśni musiała zwyciężyć. — Obrazki katakumbowe — to Tyrteusz ewangeliczny, dający natchnienie do walk i zwycięztw chrześcijańskim zastępom, które wypowiedziały wojnę z tych ciemnych podziemi Rzymowi bogactw, świetności i siły materyalnéj.

Obejdźmy to wielkie pobojowisko, a odsłoni się przed nami niejedna z tajemnic chrześcijańskiéj sztuki i jéj stosunki do zapadających się dziejów sztuki pogańskiéj.

Od Zachodu grób Piotra stawiał czoło Cyrkowi Nerona; cmentarz Pankracego i Kalepodijusza patrzył w oczy z jednéj strony polu Marsowemu, z drugiéj ruinie mostu Horacyusza Koklesa i rozkosznym ogrodom Tyberyusza. Krypta św. Pawła odpowiadała pyramidzie Cestyusza. Ze strony przeciwnéj Mauzoleum Augusta stało naprzeciw cmentarza św. Walentyna. — Podziemia św. Pryscylli miały na oku świątynię Sławy, a podziemia św. Agnieszki świątynię Dyanny. Okolicom Kolozeum i Amfiteatru odpowiadały cmentarze na Via Tiburtina, Praenestina, Lavicana i Latina. Pałacowi zaś cezara odpowiadały wielkie katakumby. Warto się przypatrzéć na mapie starożytnego Rzymu tym punktom strategicznym, gdyż walka tam stoczona stanowiła o przyszłych losach chrześcijaństwa i jest jakby planem, nakreślonym ręką Opatrzności, dla wszystkich walk, przez jakie Kościół idzie wpośród wszech wieków do ostatecznego zwycięztwa Ewangelii.

Rzym pogański przesycony siłą materyalną, bogactwami, wytwornością i zbytkami, to Rzym oblężony. — Rzym katakumbowy ubogi, uciśnięty, męczony,—to Rzym oblegający. Pierwszy na ścianach swych koszar, na swych sztandarach wystawiał portrety swych wodzów; drugi, oblegający, rysował u siebie w podziemnych swych korytarzach łagodne i poważne postaci swych sprawiedliwych-cierpiących i otaczających postać wodza, to jest Dobrego-Pasterza. — Z jednéj strony orzeł legionów, z drugiéj gołąbka Jordanu; z jednéj rzymska wilczyca, z drugiéj baranek. Na pomnikach pogan trofea wyobrażające podbite narody i pobrane z nich łupy, a na pomnikach chrześcijan, w katakumbach, narzędzia męki krwią bohaterów nasiąkłe, fijole, albo narzędzia ich miłości dla ubogich. W pysznych swych marszach, paradach i ćwiczeniach, poganie przechodzili z nieopisaną rozkoszą dumy przez swoje marmurowe i rzeźbione łuki tryumfalne, a wojownicy chrześcijańscy szli pokornie przez ciasne swoich podziemi otwory.

Od czasu do czasu poganie wpadali w te podziemne cytadele nowych ludzi, aby je zasypywać, niszczyć i nowemi zapełniać ofiarami. Od czasu do czasu chrześcijanie robili od siebie wycieczki, aby własną śmiercią pokonywać nieprzyjaciół i nowych swoim zastępom zyskiwać rekrutów. W miarę, jak się ich cmentarze szerzyły, rozszerzał się widnokrąg przyszłości, szeregi zyskiwały na jedności i na sile. Trzy wieki tego oblężenia starej warowni błędu, fałszu i nienawiści przez ludzi milczenia, prawdy i miłości. Z zapadnięciem się Ponte-Mole, onéj warowni, padła część najważniejsza. — Runął pod ciosami pokory umierających chrześcijan pyszny ołtarz Zwycięztwa pogańskiego Rzymu, a gdy kłęby kurzawy tą straszną ruiną spowodowanéj opadły, już Rzym podziemny stał się Rzymem publicznym, Rzymem-zwycięzcą, i przez sklepienia, przez piętra katakumb przedarł się mocą swych cierpień i swéj miłości na szczyty siedmiu pagórków.

Katakumby pozostały jednak i pozostaną wiecznem świadectwem pierwszych usiłowań chrześcijańskiéj sztuki. To najprzód najsłynniejsze Campo-Santo, cmentarze mieszczące na swych ścianach pełne zawsze życia wizerunki ducha i czynów tych, których tam prochy złożono. To powtóre warownie i okopy w saméj swojéj ciasnocie i ciemności przedstawiające z jakich to źródeł czerpali natchnienie męztwa i stałości ci, którzy ztąd wychodzili do walki i do tém pewniejszych, tém świetniejszych zwycięztw, im pewniéj szli na śmierć, im przez sroższe mieli umierać katusze. To jakby model wielkiego dzwonu, tu widzisz, kto i po co z téj gliny wyszedł! To jeszcze depozyt najwyżéj interesującéj sztuki i archeologii, któréj przedmioty zaznaczają fakta najwznioślejszych dziejów, rodzaj świętego muzeum, w którém na co spojrzysz wszystko cię uczy nie o świecie wielkim, który przeżył wieki i skończył jak inne, ale o świecie, który żyje wieków dwadzieścia i taki sam kroczy do ostatecznych zwycięztw, jaki ztąd wyszedł do swych pierwszych walk, taki sam, jakiego widzisz oblicze na tych przymglonych, zamroczonych ścianach. Nic dziwnego, że ten świat piękny rad się ogląda na posępną swych dziejów kolebkę; że tam rad schodzi, aby się sycić widokiem swych pierwszych obrazków, swéj, że tak powiem, pierwotnéj fizyognomii. Nie, nie jest to bynajmniéj kontemplacya próżności i samolubstwa, delektującego się zabytkami minionéj bezpowrotnie świetności, ale raczéj jest to kontemplacya téj saméj miłości i téj saméj pokory, która zapisawszy swoje pierwsze trzechwiekowe doświadczenia w tych podziemiach, kroczy wciąż naprzód przeprowadzając myśl ewangelicznego Baranka, a w tym pochodzie wzmacnia się rozważaniem cudownych dowodów nieomylności uczynionych sobie przez tegoż Baranka obietnic.

IV.

... Cośmy dotąd powiedzieli, dotyczy źródeł chrześcijańskiéj sztuki, ale nie wyczerpuje jeszcze całego jéj stosunku, zwłaszcza stosunku malarstwa do Ewangelii. On się przedstawia w dziejach owych walk, jakie Kościół staczał z nieprzyjaciółmi wolności prawdy, oraz w dziejach téj prawdy, postępującéj z całą swobodą i mądrością w swém rozwijaniu się pod okiem najwyższych jéj obrońców i stróżów, to jest pod okiem Papieżów.

Pytanie najprzód, w jakim kierunku szły sztuki pod opieką cesarzy rezydujących w Byzancyjum? Dzieje artyzmu tam kroczą równolegle z dziejami Kościoła i jego wolności. — Sztuki podobnie jak religia nie potrzebują ze strony władców ziemskich nic więcéj prócz rzetelnéj wolności.—Wszakże, gdy uprawiacze prawdy, nie znalazłszy na drodze działania potrzebnéj wolności, czują się zaraz partymi, siłą swego powołania, do wywalczenia jéj sobie, jeźli inaczéj być nie może, ofiarą swéj osobistéj wolności, a choćby ofiarą życia; to tymczasem uprawiacze piękna, czując równie dla swego działania potrzebę wolności, nie czują się przecież w koniecznym obowiązku zdobywania jéj sobie drogą podobnych ofiar. Natenczas artyzm milczy i albo całkiem schodzi z pola albo się poddaje smutnéj konieczności i czyni co może wśród nieprzyjaznych warunków. Sztuka wówczas z wyzwolonéj przemienia się na najsmutniejszą kaprysów tyranii niewolnicę. I nic nie pomoże stawiać przeciwko téj prawdzie jakieś sprzeczne z nią niby fakta historyczne; taki naprzykład fakt powodzenia sztuki pod rządami Augusta, Medyceuszów i Ludwika XIV., słowem pod rządami wielkości, których despotyzm rzucał cień olbrzymi, ponury, grobowy na losy uczciwéj wolności, trując niedoduszoną przemocą najgorszéj tyranii, bo tyranii z umysłu demoralizującéj. Wielki blask, jakim jednocześnie w takich chwilach widzą się otoczone sztuki i uprawiający je genijusze, to jakby blask pogrzebowych pochodni.

Ani August, ani Medyceusze, ani Ludwik XIV. nie otwarli bynajmniéj wielkich epok sztuki, ale owszem te epoki zamykali, gdy zamykali epokę zacnéj obywatelskiéj wolności. Że istnieli podówczas wielcy mistrze sztuki, to jeszcze nie dowodzi powodzenia sztuki, jak

nie dowodziło powodzenia wolności, że istnieli jeszcze jéj bohaterowie. August swoję epokę rozpoczął sprzedaniem Antonijuszowi głowy Cycerona, największego rzymskiego mówcy, jeźli niekoniecznie największego patryoty. August szedł drogą uspokojenia wymowy. *Pacificatio* znaczy tutaj to samo co zagłada, *extinctio*. Uspokoił bo udusił. Poeci wyrośli wśród szczęku orężów, pośród wielkich walk cywilnych, dojrzewali i mężnieli w armijach, działających pod Filippis i Akcyjum— o bogu, który im stworzył czasy używania, *Deum qui fecit nobis haec otia*, śpiewali już nad grobem sztuki.

Medyceusze chwyciwszy w ręce absolutne rządy kraju wraz z tém wszystkiém, co znaleźli na polu uśmierzonych walk w sprawie obywatelskiéj wolności, przyjęli razem wiek literatury i sztuki, cały jeszcze drżący namiętnościami Gwelfów i Gibelinów, cały jeszcze tchnący wielkiém natchnieniem Danta— ale przejąwszy, umieli je zamagnetyzować i ułożyć do snu albo przerzucić na pole natchnień pogańskich, ną którémby służyły nie już szlachetnym przez Ewangelią stworzonym dążnościom, ale zbytkowi i rozpuście.

Ludwik XIV., dziedzic wieku wyszłego z walk Ligi i jakby skąpanego w szlachetnych błędach Frondy, wziął to dziedzictwo z gotowym inwentarzem skarbów nauki i sztuki. Lecz on-to właśnie sztukę umieścił w przedpokojach tych pań smutnéj pamięci, których postaci zaludniły świeżo rozpoczęte dzieje faworyt. Przyszło, pod następném panowaniem do tego, że jak ministrowie tak i artyści nie tylko się musieli rachować z widokami i gustami takiéj Pompadoury, ale na klęczkach prawie błagali ją o natchnienia i rozkazy.

Więc te wielkie mecenasy złotych wieków sztuki składały się tylko na pomnik nie zawsze piękny—na bogaty wprawdzie, ale często gorzéj niesmaczny, bo obrzydliwy sarkofag dla wolności i dla sztuki. Złote wieki jakiéjkolwiek zacnéj sprawy, to tylko wieki powodzenia Ewangelii.

Ewangelia to jedyna matka wolności, ale Ewangelia żyjąca i działająca przez tych, których sercom została przez swego Stwórcę powierzoną wraz z obowiązkiem, aby była pośród wszech narodów opowiadaną. Jak się przez nich w najcięższych chwilach dla świata sprawiła, świadczą dzieje papieżów jedynie piersią swą powstrzymujących nawalności strasznéj burzy, która się zerwała z północy, to jest barbarzyńców. O tę pierś, jak o skałę, rozpryskiwały się potęgi Atyllów, Alaryków, Genzeryków, Teodoryków — i gdyby nie papieże

w Rzymie z Ewangelią w sercu, ze znamieniem boskiego namiestnictwa na czole, to świat barbarzyński padając na świat państwa rzymskiego, nie byłby się rozpadł na królestwa Ostrogotów, Wandalów, Wizygotów, Swewów, Longobardów itp., ale byłby padł ciężarem jednolitego olbrzyma, byłby zalał wszystko, i wszystko ogniem i mieczem w jedną bezkształtną masę przemienił. Ani Dunaj ani Bałkan nie byłby im drogi zatamował do Byzancyjum, gdyby jéj nie tamowały resztki jeszcze nie całkiem odepchniętego, chociaż już haniebnie wyzyskiwanego wpływu papieżów. Historya ostatecznéj ruiny byłaby się na wschodzie podobno o wiele straszniéj roztrzygnęła, niż ją w dziewięć blizko wieków potém roztrzygnął mieczem islamizm.

Ale cesarstwo źle się za to odpłacało prawdzie, ratującéj je z Rzymu. Nie dziwna, że za jakich takich jeszcze czasów, kiedy tylko z Azyi naciskały Party, a Scyty z północy, cesarstwo czując w takim Julianie apostacie, że już nie idzie, jak w Iliadzie, o walkę wschodu z zachodem, albo południa z północą, ale o stanowcze zwycięztwo w zapasach starego despotyzmu z młodziutką, niebem pachnącą wolnością ewangeliczną, próbowali jeszcze i na wszelkie sposoby, fortuny. Juljan, z szyderczym uśmiechem na ustach, a z nieubłaganą nienawiścią w sercu już nawet mniemał, że jest w wigilii swego tryumfalnego na Kapitolium pochodu, z przykutymi do kół rydwanu nie już Saporem i dowódzcami perskimi, ale z Ewangelią we wszystkich jéj reprezentantach. Jego zaś nie tyle śmiercią, ile przegraną wydarte wyznanie: *Vicisti Galilee* nie nauczyło następców—owszem ich mniemane czy roszczone nad Rzymem wszechwładztwo, zatwierdzało się coraz częściéj posyłaniem zbirów i siepaczy, celem załatwienia wciąż podnoszonych zatargów z papieztwem.

Piękno i tutaj dzieliło los prawdy — a sztuki losy Kościoła; ale na drodze wierności i zacności nie dotrzymały mu placu. One z całą swą tradycyą, z całym swych dziejów majestatem, składały swe dzieła ofiarą na ołtarzach, poświęconych czci Cezarów, one dostarczały materyału na wątek prześladowania takich Chryzostomów, Grzegorzów Nazyjanzeńskich i im podobnych bohaterów Ewangelii, wystawiając ku czci bałwochwalczéj srebrne posągi Eudoksyi. Postaciom religijnym prawie było niewolno występować publicznie w przedstawieniach rzeźby, bo rzeźba została wziętą w monopol przez bóstwo tronujące, w pałacu cesarskim i na placach publicznych. Nad bramą Chalcejską, jaśniał jeszcze brązowy wizerunek Chrystusa, ale na to tylko, aby wsku-

tek opóźnienia tém zelżywiéj stamtąd został strącony. Malarstwo też służyło przeważnie nieskończonemu portretowaniu władzców, ich wielkich czynów i zwycięztw, będących w rzeczywistości krwawą ironią coraz głębszego ich upadku i upodlenia. Każdy nowy pan, wszedłszy na tron po trupie zamordowanego przez się poprzednika swego, lub po żywém jego ciele o wyłupionych oczach, urzniętym nosie, o wykrojonych wargach, lub odrąbanych rękach i nogach, spieszył się z rozsyłaniem swoich portretów uwieńczonych, niby zwycięzców lub zbawców świata, tak papieżowi, jak wszystkim panującym na Zachodzie, których mienił być jeszcze swymi wasalami. W świątyniach za to sztuce było wstyd i strach, ona tam coraz skąpiéj i coraz smutniejsze składała ofiary. Sztywne mozajkowane postaci samego Zbawiciela, Jego Matki, oraz całego orszaku Jego Świętych, już przestały wyrażać słodki majestat świętości, a za to wyrażały coraz dobitniéj tego ducha nieruchomego, kurczącego się niewolnictwa, który cechował dworaków i cały rój służalców o wielkich tytułach, odpowiadających samemu tylko ich wielkiemu upodleniu. Adnotator dzieł Nasarego, robiąc uwagi nad zdaniem tego pisarza o mozajkach greckich w wieku XIII., słusznie powiada, że dosyć jest rzucić wprawném okiem na tego rodzaju dzieła greckie i włoskie, aby zrozumieć niezmierną dzielącą je różnicę i aby osądzić, czy możebną jest rzeczą, aby pełna prostoty i pobożności ewangelicznéj a tak żywo przypominająca sztukę katakumbową, mozajka świątyń włoskich, mogła była wyjść z nacechowanéj ponurością lub martwotą szkoły greckiéj?

Jakie były losy sztuki religijnéj w Grecyi, daje na to wymowną odpowiedź samą swoją zgrozą półwiekowe pastwienie się nad obrazami religijnymi, i nad zwolennikami ich czci, równie rozumnéj jak pobożnéj i starożytnéj. Historya Ikonoklastów będzie na zawsze hańbiącém świadectwem, równie dla religijnych jak i dla artystycznych usposobień nieubłaganych papiezkiego Rzymu nieprzyjaciół.

Walkę obrazoburstwa zorganizował i z szatańską przeprowadził konsekwencyją cesarz Leo Izauryk, mordercą swego poprzednika Teodozyusza i godne jego narzędzie srogo potém zapłacone, Konstanty Frygijczyk, biskup à la Reikens. Leo zaczął od ogłoszenia, że sprawę nawrócenia Żydów i Mahometanów najwięcéj tamuje cześć oddawana przez chrześcijan obrazom, dla któréj i jedni i drudzy mają chrześcijan za bałwochwalców. Nadto, zdaniem cesarza, Saraceni rzucają się na cesarstwo, pchnięci żarliwością religijną, aby w niém zniszczyć bałwochwalstwo. Otóż on, *Imperator*, w interesie religii i państwa, postanawia znieść ze szczętem cześć religijną obrazów, świętymi zwanych, aby pozostała tylko itém silniejszą była cześć dla obrazów cesarskich. Pierwszym edyktem w roku 726 oświadcza, iż odtąd rzeczywiście wszyscy jego poprzednicy chrześcijańscy i cały Kościół grzeszył bałwochwalstwem, on zaś rozkazuje, aby był zrzuconym cudowny obraz Zbawcy pod nazwą Antyfonela, inne zaś obrazy nakazuje tak wysoko umieścić, aby ich żadne ustanie dosięgły. Praktykowało się bowiem, że przed pocałowaniem ręki cesarskiéj, nawet malowanéj albo rzeźbionéj, trzeba się było skłonić głęboko przed obrazem *(inclinatio profunda aut prostratio)*, za czém szło, że lud sądził się upoważnionym do tém głębszych pokłonów przed obrazami świętemi.

Na duchownéj stolicy konstantynopolitańskiéj zasiadał mąż wielkiéj nauki i cnoty, św. Germanus; on powstał w obronie staréj i z duchem chrześcijaństwa całkiem zgodnéj praktyki. W wytoczonéj przez cesarza walce przeciw obrazom, widzi on tylko dalszy ciąg walki przeciw rzeczywistości Chrystusowego człowieczeństwa. Jeżeli, jak się wyraża apostoł, Jezus Chrystus jest obrazem i splendorem chwały Ojcowskiéj (List do Żydów r. I.), to czemużby Mu miały ubliżać pobożne obrazowe tego splendoru przedstawienia? dla czego nauce Jego miałaby być przeciwną cześć, oddawana świętym obrazom nie bezwzględnie, ale względnie do boskiego oryginału? Malarstwo, powiada, służyło dotąd apostolstwu; wiara ze słuchania miała swoje stwierdzenie w mowie, zastosowanéj do oka przez obrazy. Czemużby i oko nie miało odpowiadać, mówiącéj doń przez obraz postaci? Wszakże to już św. Bazyli napisał, że co słowo przynosi słuchowi, to obraz zaleca oku, a malarstwo chrześcijańskie według niego, to skrócona i uplastyczniona historya religii. Niech nam żydowskich argumentów nie powtarzają, bo któż z nas nie wie, że religia Starego Testamentu, była tylko przygotowawczą do Nowego. Nowy jest starego dojrzałością. Godzi się dojrzałemu, co było niebezpieczne dla niedojrzałego. A potém, czyliż żydowskiéj arki nie zdobiły wyobrażenia cherubinów, których archatypy są nieznane w świecie zmysłów, których więc wyobrażenia są tylko symbolicznemi? — Najstarszy z historyków chrześcijańskich, Euzebiusz, czyż nie opowiada w swéj historyi, że w Peneadzie, czyli w Cezarei widział na własne oczy bronzowy posąg, postawiony Chrystusowi przez niewiastę, uzdrowioną przezeń cudownie z dwunastoletniéj choroby. — Posąg ten, rozgłośny na całym Wschodzie, gdyż

roślina pod piedestalem jego rosnąca, ma tę cudowną własność, że leczy odrazu najcięższe choroby. Ten sam Euzebiusz opowiada, że w Rzymie wierni czczą obrazy śś. Apostołów: Piotra i Pawła. W Sezopolis, w Pizydyi czci lud wierny cudowny obraz Matki Boskiéj. Skądże więc naraz cześć obrazów ma być bałwochwalstwem? Wszystkie te wywody Patryjarchy, mimo całéj swéj słuszności i gruntowności, na nic się nie przydały. Cesarze, stanowiący o przedmiotach zakresu religijnego, nie pytają się ani o wywody rozumowe, ani o dokumenta z dziejów, oni mają na to swoją normę: *sic volo, sic jubeo.*— Ludzie zwłaszcza, jak Leo Izauryk, tyle o argumenta dbają, ile takowe są im przydatne; samo Pismo św. tyle znaczy, na ile oni pozwolą. Od Izauryka do Henryka VIII—od Henryka VIII do dzisiejszych, czasów w postępowaniu jego zwolenników żadna nie zaszła różnica.

Próżne też były upomnienia i papieża Grzegorza II. Izauryk postanowił iść do ostateczności, choćby państwo runąć miało, a kto się jego postanowieniu sprzeciwia, ten się sprzeciwia postanowieniu boskiemu i gotuje sobie potępienie. Tak, wedle niego, uczy natchniony przez Ducha św. apostoł. Wszelki opór będzie uważał za bunt, a wszelki bunt będzie srogo karał.

Rzeczywiście, w pewnych prowincyach Grecyi i na Cykladach, lud zbrojnie powstał w obronie obrazów, ale Leo łatwo nad nim odniósł zwycięztwo. Na nowo więc uwieńczony i w swéj osobie i w swoich obrazach rozpoczyna jedno z najkrwawszych prześladowań.

Tymczasem aż z Damaszku przybywa świętemu patryarsze w pomoc wielki genijusz katolicyzmu, św. Jan Damasceński. Z niewolnika, z ubogiego zakonnika, wyniesiony za zrządzeniem Opatrzności na najwyższy szczyt znaczenia na dworze Kalifa Damaszku, wpływem swoim służył wszelkiéj sprawie świętéj. Wnet za nim na dwór Kalifa weszły nauki i sztuki Grecyi i Rzymu. Ćwiczy w nich syna Wielkiego Wezyra, a uczeń, wyszedłszy potém sam na Wielkiego Wezyra, zstąpił z tego stanowiska i prosił o chrzest. Ochrzczony, służy Bogu w zakonie, usłużywszy wprzód swemu mistrzowi niezmiernie wiele w jego działaniu dla nauki i sztuki.—Lenormant twierdzi, że ten Jan Damasceński pierwszy natchnął Arabów owym zapałem dla nauki, który potém wydawał Averroesów.

Otóż ten wielki człowiek pisze, co wobec podniesionéj walki trzymać należy o obrazach ze stanowiska Ewangelii? „Radzi sobie przedstawiamy (są jego słowa) niewidomego Boga, nie w tém, co jest niewidzialne, ale w tém, co On sam uczynił swoim objawem, zwłaszcza gdy stawszy się człowiekiem, wykonywał sprawy Boga“. Wiem, że ani dusza, ani tém więcéj Bóg nieda się przedstawiać w liniach i barwach, ale rad patrzę na obraz i czego sam nie widzę, to poznaję przez wiernie rysowane i malowane symbole, które on sam podyktował, kiedy się naprzykład dobrym pasterzem nazwał. Powiadają: ale Mojżesz zakazał malować obrazów. Wiem, ale komu zakazał? Żydom, nieumiejącym w dniach swego chłopięctwa patrzéć na obraz, aby go za Boga nie uczcić. Im zakazał, nie nam, którzy od dziecka wiemy, że natura bóstwa nie da się uchwycić żadném dziełem sztuki. Wiemy, obok tego, że Jezus Chrystus dla tego także stał się człowiekiem i przedstawił na górze Tabor obraz swego boskiego majestatu, abyśmy z tego co widzimy, mogli wnioskować o tém, w co niewidziane wierzymy.

„Niech się tylko o nas ci rzekomi obrońcy czystości religijnéj nie boją. Znamy się na różnicach adoracyi.—Obraz nam przedstawia podobieństwo, charakteryzujące oryginał, ale nie tworzy oryginału. Cieszę się dziełem dobrego malarza, cieszę się kopiją, bo mi przypomina oryginał. Bóg sam przez rzeczy widzialne dał nam obrazy niewidzialnych, więc czemużbyśmy w téj sprawie, przez Niego samego początkowanéj, nie mieli sobie pomagać dziełami sztuki, któréj zdolnością On także nie bez przyczyny ludzi obdarzył.

Niszczą obrazy, to niechże zniszczą i księgi święte i wszystko co z siebie samo nie jest czci naszéj przedmiotem, ale co zasługuje na cześć religijną, względną do czci Boga. Co książka czyni dla umiejącego czytać, to obraz mówi dla umiejącego patrzéć. Ta sama święta historya, te same zdarzenia ewangeliczne mogą być pisane, mogą być i malowane? Nie wiemyż zresztą, że i czytać w księgach umiejący, z rozkoszą czytali w obrazach? Świadkiem św. Bazyli, świadkiem ten Grzegorz Nyseński, który jak dziecko płakał, patrząc na piękny obraz, przedstawiający ofiarę Abrahamową“.

Wszystko to było napróżno, albo raczéj wszystko posłużyło na spotęgowanie przewrotności Leona. Zfabrykowawszy za grube pieniądze list, w którym z nadzwyczajną dokładnością naśladowano charakter pisma Jana Damasceńskiego i zmyśliwszy w tym liście jakiś spisek, niby przez Jana na życie Kalifa uknuty, posłał go z osobną ambasadą do Damaszku. Damascenus o mało swéj gorliwości śmiercią męczeńską nie przypłacił — stanowisko jednak z taką chwałą dla

dobréj sprawy zajmowane, musiał na zawsze opuścić wskutek téj ohydnéj denuncyacyi, spełnionéj przez cesarza chrześcijańskiego, przez reformatora Kościoła, przez najwyższego kapłana, jakim się Leo, w swéj szalonéj pysze, mienił!

Grzegorz II. papież, niemniéj przekonywająco i z miłością prawdziwie ojcowską, upominał cesarza i zaklinał, aby stał przy wierze swych przodków i aby nie wywoływał niepokojów i rozdrażnień, tak niebezpiecznych wobec nieprzyjaciela zewnętrznego. Leon w odpowiedzi, jakby nic pilniejszego nie miał do wykonania, kazał jak najśpieszniéj niszczyć wszędzie obrazy, rąbać i palić dzieła sztuki religijnéj. Przyszła koléj i na ów bronzowy wizerunek ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa, zawieszony nad bramą Chalcejską przez Konstantyna I. Tłum ludu, zwłaszcza niewiast, otoczył drabinę, na którą weszedł z młotem Jovinus, oficer gwardyi cesarskiéj. Obalono z obrazoburcą drabinę, a na odstępcę biskupa, na owego Konstantyna Frygijczyka padł ze wszech stron grad kamieni. Wnet krwawa nastąpiła tragedya. Cały ten tłum w jednę kupę mięsa i krwi zamieniono, uwięziono dziewięciu senatorów, wielką liczbę pań z najpierwszych rodzin. Przez ośmnaście miesięcy dzień w dzień po sto biczów i senatorom i paniom siekać kazał obrońca czystości nauki ewangelicznéj—a wreszcie ledwie już żyjących kazał zawlec do hipodromu i sycił oczy spadającemi głowami tych pokrwawionych szkieletów. Zakonnikom i kapłanom, znanym z gorliwości i prawowierności, kazał napełniać włosy i brody smołą, pozatykać obrazki i tak pozapalanych kazał włóczyć po ulicach, a wreszcie niedopalonych psom rzucać na pożarcie. Grzegorzowi II. groził losem Marcina i posłał z rozkazem egzekucyi najwprawniejszych oprawców.—Grzegorz odpisał: „Losem Marcina, którego prześladowaniem zhańbił się twój poprzednik, nie groź mi. Marcin, papież, w samym Chersonesie, gdzie padł ofiarą srogości prześladowcy, czczonym jest i będzie jako wielki Święty, a cesarz Konstans, jego morderca, w samym Konstantynopolu zginął niesławnie i wziął z sobą do grobu swą hańbę. O! dałby mi Bóg los Marcina. Piszesz żeś cezar i pontifex! Piękny pontifex, rujnujący spokój Kościoła, niszczący wiarę, zawsze jednako dotąd wyznawaną! piękny pontifex, który z najchwalebniejszych świadectw wiary swych przodków, obdziera świątynię! Pewnie ten pontifex zburzy i kościoły, boć i one są tylko dziełem sztuki, kielni i młota. Masz sześć soborów powszechnych, które uznajesz świętemi. Któryż cię z nich uczy tego srogiego postępowania i z obrazami i z ludźmi? Któryż z nich potępił cześć obrazów?“

Piętnaście lat trwało to gospodarstwo leonowe, przyszedł daléj je prowadzić godny ojca syn, człowiek, który w samym swym przydomku (Kopronym), nosił jakby piętno sprośnego swego charakteru. Nie było takiéj brzydoty, takiéj ohydy, do którejby Kopronym nie czuł jakiegoś niepokonalnego pociągu. Nic dziwnego, że taki człowiek ścigał w obrazach piękno religijne, bo też, jak świat światem, nie było równie bezecnego potworu. Zdawało się, że brzydota szatańska wystąpiła na świat, aby walczyć i niszczyć piękno, które na ziemię z nieba zstąpiło.

Straszne rządy koprónymowe w dziedzinie Kościoła i sztuki trwały lat trzydzieści. Syn jego Leon IV. własnéj matce nie darował, gdy się przez nasadzonych szpiegów wywiedział, że była czcicielką obrazów. Cesarzowa Irena, kryła obrazek Zbawiciela pod poduszką swego posłania, ale czujne oko syna i tam dosięgło. Gdy drogą tortur wymógł na jednym z oficerów gwardyi i pięciu jego towarzyszach wyznanie, że to oni ułatwili Irenie nabycie tego obrazu, kazał ogolonych smagać publicznie, a do kości wybiczowanych, kazał włóczyć po ulicach. Szczęście wielkie dla matki, że jéj nie kazał wyłupić oczu, darowawszy życie i skazawszy ją tylko na ostre zamknięcie, albowiem wyłupywanie oczu było zwykłą operacyą w regestrze środków, praktykowanych przez cesarzy byzantyńskich, nawet na osobach rodziny, nawet na własnych rodzicach.

Po stu dwudziestu latach takiego postępowania przez ośm panowań możemy sobie wyobrazić, do czego rzeczy doszły. Dopiéro cesarzowa Teodora położyła koniec téj interwencyi państwa w sprawie czystości obrządków i praktyk religijnych, ale wpływ téj krwawéj walki przeżył i cesarstwo i chrześcijaństwo na Wschodzie i dał się uczuć w ostatnich nawet krańcach Zachodu.

A jaki wpływ obrazoburstwo wywarło na Zachodzie, odpowiedzią na to zapytanie są ruiny w zakresie sztuki, dokonane żelazem i mieczem takich reformatorów, jak Waldensy w XII., Albigensy w XIII., Hussyci w XV., protestanci najrozmaitszéj formy w XVI. stóleciu. Sama wielka rewolucya XVIII. wieku zda się być pod tym względem echem Ikonoklazmu. Dość przejechać Francyą, Włochy i Belgią, aby mieć wyobrażenie z powydzieranych lub pokrytych grubo wapnem najprzepyszniejszych fresków, co to było za barbarzyństwo!

Gdzie jednak najswobodniejsze pole dla sztuki, zwłaszcza od XIII. wieku, to właśnie na téj ziemi, którą największy nawał barba-

rzyńców zalewał i chciał zamienić w pustynię, to jest, na ziemi włoskiéj. Sztuki piękne, począwszy od Cimabuego tak tu gwałtownie poszły w górę, że już uczeń Cimabuego, Giotto zjawia się naraz jako potrójny geniusz w królestwie artyzmu. Wielki ten malarz jest razem wielkim rzeźbiarzem i wielkim architektem, a to tak dalece, że nie wiedzieć doprawdy, co więcéj wpośród dzieł jego uwielbiać z owych trzech rodzajów. Sama wieża florenckiego *duomo* wystarczyłaby na świadectwo genialności dla najznakomitszego mistrza w architekturze, a to właśnie jedno z dzieci Giotta.

Szczególniejszym jednak faworytem religii było zawsze malarstwo.

Malarstwo służyło sprawie bożéj wewnątrz i zewnątrz świątyni, w kościołach i w domach, dostępne dla miejscowości, dla których rzeźba prawie niemożebna; zgadza się ono z charakterem wszystkich ludów, ze światłem i horyzontem wszystkich stref, nawet się godzi z warunkami wszystkich epok, byle tylko nieupadłych moralnie, byle nie barbarzyńskich.

Poezya, architektura, rzeźba, muzyka, wymagają w swych dziełmistrzach ducha wiary wyżéj rozjaśnionéj, wymagają przejęcia się życiem Kościoła, pewnego głębszego studyum teologicznego; ale malarstwo ma to przed innemi swemi towarzyszkami, że wymaga, obok wykształcenia technicznego, tylko prostéj, gorącéj wiary, że jest popularniejsze, więcéj przystępne dla każdego oka nieco jaśniéj patrzącego, dla każdéj duszy nieco żywiéj czującéj. Ono się tylko da postawić na równi z wymową apostolską, która z podniosłością łączyć musi prostotę, choćby przekonywała najwyżéj wykształcone umysły, a z prostotą i prawdą musi łączyć podniosłość, choćby przemawiała do najniżéj stojących pod względem wykształcenia prostaczków. Taki Dante dla pewnego tylko świata zrozumiały, taki Bramante w swych dziełach dla tych nawet niepojęty, którzy wśród jego wspaniałych świątyń goręcej i podniosłej umieją się modlić, taki Mojżesz Buonarotti'ego częściéj daleko przeraża, aniżeli zachwyca i ku wyższym światom wznosi, taki Palestryna potrzebuje niemal wybranych, aby mógł być, nie powiem już zrozumiany, ale choćby nieświadomie działający na uczucie, wywołujący z głębin duszy echo tkliwéj modlitwy, kiedy tymczasem malarstwo w najpodniosłejszych kreacyach mówi do każdéj duszy, działa na każde serce, a mówi i działa jednocześnie i na wyższą skalę i w sposób praktyczny.

Jeżeli Ewangelia jest niewyczerpaném źródłem dla każdéj sztuki, to do natury malarstwa, jak świadczą dzieje sztuki religijnéj, Ewangelia przystawa jakby najwięcéj. Wielcy malarze najchętniéj szukali w Ewangelii przedmiotów dla siebie. W téj z niebios zstępującéj krainie szukali oni swojéj ojczyzny. Rafael w swojéj dyspucie eucharystycznéj, nietylko że sam oddychał tém najwyższém niebios natchnieniem, którą tchnie każdy ustęp Ewangelii równie jak jéj całość, ale téż nią, można powiedzieć, napełnił swój obraz, owszem, daje nią oddychać każdéj wierzącéj duszy patrzącego. Ten Jezus z podniesionemi dłoniami—to prawie taki, jakiegoby się pragnęło na wieki oglądać — to otwarte niebo, gdyby tak przynajmniéj zawsze mówiło do duszy, tak chwytało za serce, jak kiedy się na ten obraz patrzysz, to prawie byłoby niepodobna zapomnieć o niém dla ziemi.

Cztery Ewangelie—to cztery boskie przybytki dla téj sztuki niewyczerpanych wzorów i ideałów, a obok tego pełne wskazówek dziwnie zrozumiałych dla tych, którzy je badają, i dziwnie korzystnych.

Ewangeliści, to można powiedzieć, najwięksi po Stwórcy i po Zbawicielu malarze. Bo téż to Duch Święty ich ręką maluje. Każdy z nich służy temu samemu natchnieniu, ale każdy w innym rodzaju. Św. Mateusz przedstawia jakby w szeregu najwspanialszych historycznych obrazów spełnienie obietnic i proroctw Starego Przymierza. Wyrażenie: *ut adimpleatur*, a b y s i ę w y p e ł n i ł o, to, można powiedzieć, epigraf całego dzieła i każdéj jego części, to razem wykład na każdy z tych obrazów, który i w genealogii przedstawia Zbawcę z wszystkiemi prawami do tronu Dawida, do obietnic boskich, uczynionych Abrahamowi. Charakterem jego Ewangelii jest majestat mesyański. Pisząc głównie dla Żydów, aby ich spowodować do przyjęcia w Chrystusie Mesyasza, stawia go kolejno wobec najwyraźniejszych o Nim proroctw. To są obrazy boskiéj wielkości, a razem boskie obrazy upokorzeń i boleści. Czterdzieści sześć takich konfrontacyj obrazów proroctw z obrazami ich spełnienia. Ideał Mesyasza jak był zapowiedziany, z pełnym ideałem postaci historycznéj, jaśniejącéj wśród najwyższych chwil boskiego działania prawdą i prostotą, o jakiéj świat nie miał pojęcia — jaśniejącéj wśród upokorzeń i bolów, majestatem miłości, w obec którego bledną i schodzą do nicości najwyżsi bohaterowie ludzkości. Ewangelia Mateusza przedstawia Z b a w c ę jako punkt kulminacyjny, w którym, niby w kluczu sklepienia, schodzą się wszystkie linije i łuki tego gmachu, który się zowie Starém Przymierzem nieba z ziemią, wszystkie wielkości dziejowe tego ludu, który

szedł dwadzieścia wieków prowadzony ustawicznie cudami Opatrzności, by z siebie wydać Upragnionego wszech narodów. Tu On, jako prawodawca ludzkich serc, dający pierwéj błogosławieństwa niż prawa, a w prawach dający razem i świętość i jéj nagrodę. Tu On, jako sędzia, wzywający przed swój trybunał wszystkie teokratyczne władze Izraela, potém całego Izraela, potém wszystkie narody, świat cały. Ze stronic téj pierwszéj Ewangelii On jaśnieje jako władzca nieba i ziemi, wysyłający armiją miłości na podbicie najtwardszych nawet i najdzikszych serc. Tu, w téj Ewangelii, ostatnie o Nim słowo odpowiada jak echo niebiańskie pierwszemu, tu pełne urzeczywistnienie wielkiego programu, zapowiedzianego na początku. Naczelna teza téj Ewangelii, to Jezus—cel i dokonanie dziejów. To nie jakiś temat homeryczny, ale fakt faktów, wypadek wchodzący w całość i we wszystkość dziejów ludzkich, w odniesieniu do ostatecznego rozwiązania tych dziejów w wieczności, dojrzały owoc najwyższéj sprawiedliwości i najwyższego miłosierdzia, akt, na który się składały czterdzieści wieków, i niebo i ziemia, a którego zenitem śmierć, dająca życie.

Cel tego boskiego dzieła, to ostateczne wezwanie; *Ultimatum* Przedwiecznego do tego ludu, z którego wyszedł ów owoc, na którego dojrzał konarach, a do którego pnia jednocześnie niewidomą ręką dzierżona i spuszczana zbliża się siekiera. Tu przedstawiony wspaniale przedostatni akt owéj wielkiéj historyi nadprzyrodzonych boskich rządów, w żywocie, w pochodzie, w powodzeniach i nieszczęściach, w ruinach i odbudowaniu jedynego w świecie ludu, którego starożytność zdaje się urągać starożytności Troi bajecznéj, a w którego dziejach wszystko jest jak najściśléj historyczne. Tu nakoniec zapowiedziana katastrofa, która spełniona co dnia i co godziny wedle proroctwa Daniela i wedle lamentu Zbawcy, była straszliwym symbolem katastrofy, wiszącéj nad ostatnimi zwycięzcami Żydów, i katastrofy, mającéj zakończyć dzieje całego świata.

Dla iluż to wielkich mistrzów, księga ta była przedmiotem głębokich studyów, z których równie jak z wysoka danéj inspiracyi wyszły takie arcydzieła jak freski Giotta, jak zwłaszcza proroki stropów Sykstyny zestawione z jéj Ołtarzem Sądu ostatecznego.

Jakże inny, jakkolwiek w najściślejszéj jedności z pierwszą, charakter Ewangelii św. Marka. Tu sytuacye już nie tak tragiczne, tu formy prostsze, mniéj majestatyczne, ale jakby więcéj swojskie. To pamiętniki naocznego świadka. To rodzaj galeryi obrazów, w których

się przedstawiają schwycone sceny najwyższego dla wyznawców Chrystusa interesu. To szczególniéj galerya portretów, zaczynająca się od portretu tego Jana na puszczy, będącego predylekcyą Rafaelów i Tycyjanów. Pierwsze słowo téj Ewangelii, głos wołającego, czyliż nie przypominają tego Jana Rafaelowego z trybuny pałacu Pitti, o ustach wdzięcznie otwartych i jakby na niezmierne pustyń przestwory głos wypuszczających, aby się dowiedział świat cały o Baranku, który gładzi grzechy świata! Jednym wyrazem, wyrzeczonym o Szymonie: *Tu vocaberis Cephas*, jedną nazwą daną Synom Zebedeuszowym *Boanerges*, Synowie grzmotu, Marek, a raczéj Piotr ręką Marka, przedstawia z całą charakterystyką trzech uczniów, najbliższych mistrza w chwilach stanowczych. Czuć, że to ten maluje, który widział niebiański ideał na górze Tabor i chciał budować przybytki dla trzech wielkich boskiego świata postaci. Gdy się przypatrujesz obrazom téj Ewangelii, to jakbyś widział same ich prototypy. Każda z tych figur, obok siły rysunku, świéżości kolorytu i żywości akcyi przedstawia najdoskonalszy związek z figurą naczelną od Jana aż do Judasza!

Łukasz znowu, to Tacyt Ewangelii, a Tacyt jakiż to malarz? Ale to Tacyt z natchnieniem boskiéj prawdy i boskiéj miłości, na których zbywało Tacytowi rzymskiemu, temu niemiłosiernemu potwarcy prześladowanych chrześcijan! W Łukaszu i śmiałość i ścisłość i wzniosłość historyczna. Narodowością Grek, pierwotną religią Żyd, szkołą uczeń Apostoła narodów, ale nadto autor bezpośrednio przez Ducha św. natchniony, pisze razem jak myśli, jak czuje, jak słyszy i widzi, a widzi nie oczyma zmysłów, ale oczyma wiary, podniesionéj boskiém natchnieniem. Tu wszystko z największą ścisłością przeprowadzone, tak właśnie jak był swemu Teofilowi przyobiecał; pilnie, porządnie. Tutaj przez postać i działanie Jezusa Chrystusa, jakby przegląda mieszkające w Nim bóstwo.

Ta Ewangelia prosi się niemal, aby ją zestawił z Dziejami Apostolskiemi, w których już nietylko przez osobę zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa, ale i przez uczniów Kościół Jego stanowiących, z tąż samą ścisłością stopniowego następstwa idzie wciąż naprzód boskie jego działanie. Ewangelia Łukasza i łukaszowe Akta, zestawione z sobą, przedstawiają najwspanialszy Obraz Jezusa Oblubieńca z Kościołem Oblubienicą.

Łukasz, wedle najstarszéj tradycyi miany za malarza, był nim czy nie był z profesyi, jak był z pewnością lekarzem, to pewna, że

był Ewangelistą-malarzem. Jemu przypisują pierwsze obrazy N. Panny Maryi. Niewiem, o ile i które udowodnićby zdołały swą autentyczność, ale to pewna, że w obrazach Maryi, nakreślonych w jego Ewangelii, Łukasz przedstawia się jako malarz na najwyższe rozmiary. Angelico da Fiesole, Rafael, Murillo i Tycyjan dla swoich Madonn, dla swych wniebowziętych tu widocznie natchnienia szukali. Ztąd portretowali Niepokalaną, wielbiącą Boga, boską Rodzicielkę, Assumptę. Owa pieśń Maryi: Wielbij dusza moja Pana i rozradował się duch mój w Bogu Zbawicielu moim— służyły wszystkim wielkim artystom, i do takich obrazów jak Madonna Sykstyńska, i do takich pieśni jak: *Vergine Madre* dantowska, za najwyższy i niewyczerpany ideał.

Św. Jan Ewangelista ostatni co do czasu, ale nie co do treści i formy swéj Ewangelii, bo gdyby się godziło porównywać pod względem estetycznym te dzieła Ducha Świętego, to tę Ewangelią chętniebyśmy nazwali najwznioślejszą. Jeruzalem już nie istniało, Kościół Jezusa Chrystusa już się pięknie rozrósł wśród narodów, towarzysze apostolstwa już do grobu zstąpili, albo raczéj na tronach swych do okół Zbawcy zasiedli, kiedy Jan, ten liryk ewangeliczny w saméj swéj orléj wzniosłości, ten orzeł nigdy niedrzemiący i to tylko w sobie mający orlego, co w orle jest podniosłego, występuje z swą księgą o Słowie. Ze szczytu najwyższego natchnienia, odejmując pędzel od obrazu, na którym przedstawił bóstwo Zbawiciela, zstępuje zaraz do najtkliwszego liryzmu, kiedy opowiada, jak ten Bóg przyszedł do swoich, a swoi go nie przyjęli, i znowu, jakby uniesion w obłoki, woła: Widzieliśmy chwałę Jego, pełnego łaski i prawdy, i znowu tuż przy swém biędném sercu jakby z cicha poszeptuje słowem innego Jana: Oto Baranek Boży!

Kto zna te piękności, kto się w nie umie wpatrywać, ten się dziwić nie będzie niekorzystnemu zdaniu o takim Delaroche'u, który niby z Ewangelii natchnienie swe czerpał. Aby być natchnionym, trzeba pierwéj być człowiekiem żywéj, serdecznéj wiary; aby być obrazami Ewangelii Janowéj natchnionym, trzeba być człowiekiem kontemplacyi, téj tkliwéj, pobożnej, a razem wzniosłéj kontemplacyi, która stworzyła obrazy Fra Angelico da Fiesole.

Duch i ton Jana — to razem prostota i podniosłość, tkliwość i siła w historyi. On swą Ewangelią przeistoczył świat dziejów. Po Janie inaczéj płynie historya. Jego Ewangelia, to kamerton dziejowy,

według którego musisz, choćbyś nie chciał, oceniać historyczne postaci, choćby nawet takie jak Henryk VIII, i godna jego córka Elżbieta!

Istnieją w Parmie freski Correggia, najwspanialsze jego dzieło, przedstawiające Ojców, komentujących 4 Ewangelie: św. Hieronim Mateusza, św. Grzegorz Marka, św. Ambroży Łukasza, a św. Augustyn Jana. Umieszczeni obok tych Ojców Ewangeliści z upodobaniem patrzą na karty ich ręką skréślane, jakby aprobując, co o ich tekście w komentarzach napisali. Podobnego zestawienia możnaby sobie pozwolić ze względu na wielkich malarzy, czerpiących temat i natchnienie w Ewangeliach. Gdybyśmy zestawili ich arcydzieła z Ewangelią, aprobacya może byłaby niemniéj pełną. Ewangelia była dla tych mistrzów szkołą, ona ich wychowała, dobrze się jéj odwdzięczyli, komentując ją w swoich obrazach. Najżywsza zaleta sztuki, gdy jest wierną naśladowczynią prawdy, ażeby ją poznać i być natchnionym — powtarzamy, trzeba pierwéj być człowiekiem żywéj i gorącéj wiary.

Czém byłyby dziś sztuki — coby się stało z całą umiejętnością ludzką — czém byłby dziś Rzym bez papieżów?! Oto tém, czém są Niniwa, Babilon, Jeruzalem, czém jest rzymska okolica Agro Romano. Zniknęłyby nawet zwaliska jego — a z Rzymem zaginęłyby już od tysiąca lat wszystkie sztuki piękne—wszystkie nauki, cała historya przeszłych ludów—zaledwie pozostałyby niejasne podania—i to wszystko czém dziś się szczyci cywilizacya i postęp. Na Watykanie i Kapitolu przez tyle wieków zgromadzali papieże dla nauki pokoleń troskliwie wszystkie dawne starożytne zabytki, sztuki i nauki, oraz sławę całéj Italii, poeci, malarze, rzeźbiarze, architekci, muzycy podróżnicy, historycy i t. d. — całe zastępy artystów, literatów i ludzi uczonych znajdują tam skarby nieocenione [1]). Tam całe galerye przepełnione marmurami—tam arcydzieła mistrzów pędzla, porywają dusze, a starożytne zwoje papyrusu, ozdobne pargaminy i księgi mędrców dawnych zalegają ogromne archiwa i biblioteki.

O Kościele święty, Matko nasza! jak Ci się świat dziś za to odwdzięcza? Tobie, któraś tyle zdziałała dla swych dzieci.

1) Gdy nasz Mistrz Jan Matejko zwiedział w r. 1880 te nieocenione skarby, zatrzymał się w Watykanie przed arcydziełami Rafaela i wyrzekł: „To jest ostatni wyraz malarstwa, wyżéj ono nie wzniosło się—i nie wzniesie!"

Dwa ważne słowa.

Nie ma pytania, któreby więcéj dziś zaciekawiło wszystkie ucywilizowane ludy świata, więcéj obchodziło i więcéj niepokoiło jak to, które te dwa słowa „wiara i wiedza“ oznaczają. Na dnie wszystkich spraw społecznych, politycznych i naukowych, jakiemi za dni naszych świat cały się zajmuje, a które stanowią tło i cel dążeń życia ogólnego, leży nierozwiązane a domagające się nieustannie rozwiązania, pytanie to ważne i brzemienne.

Tkwi ono w duszach naszych; mimowiednie zwraca serca i umysły nasze ku sobie i jest w moralném życiu ludzkości tém, czém dla świata fizycznego jest środek ciężkości przyciągający wszystkie ciała do siebie. Jak nie ma na ziemi ciała, któreby nie ulegało wpływowi siły ciężenia,— tak nie ma myśli, pragnień i czynów ludzkich, któreby mogły się wyzwolić z pod wpływu téj moralnéj potęgi, tkwiącéj w duszach naszych i w sumieniu ludów. „Wszystkiém, czego tylko tknie się ród człowieczy, powiada Z. Krasiński [1]), musi nieświadomie przykładać się do odkrycia prawdy. Z Boga wyszedł — idzie w Bogu, do Boga zawróci. Wszystkie sprawy, wojny, rowolucye, upadki państw, sztuka, filozofia, polityka, same nie wiedząc o tém, w to jedno biją, tém jedném żyją, to jedno wyprowadzają z siebie i z tego jednego się rodzą; a jakaż cudowna rozmaitość, nieskończona różność sposobów, jakaż wspaniała i znów nieskończona różność celu?“

1) Listy. Munich 1842.

Kto umie czytać i pojmować dzieje ludzkie, kto bystrém okiem śledzić tylko zechce stopniowy a nieprzerwany bieg umysłowego i moralnego rozwoju ludów, uznać musi, że ostatecznym celem historyi, a więc wszelkich prac i usiłowań ludzkich, jest prawda, jest Bóg, że życie jest walką o prawdę Najwyższą, a nauki różnych wieków i epok, to szczeble drabiny wiodące do niéj. A jak każdy niższy szczebel drabiny ułatwia wstąpienie na wyższy, a z każdym wyższym stopniem, zbliżamy się coraz to więcéj do celu, tak i wszelkie nauki, i prace wieków minionych tém są dla nas cennemi, że za ich pomocą tylko dzisiejsze zdobyliśmy sobie w postępie stanowisko, bo choć nie wszyscy ludzie i nie wszystkie nauki pracowały dla prawdy, wszystko jednakże na korzyść prawdy i pracujących dla niéj się obróciło, albowiem jedni stali się światłem drudzy ostrzeżeniem.

Nie myślimy wdawać się tutaj ani w szczegółowy opis, ani w rozbiór różnych epok rozwoju i kierunku nauk, ale chcemy tylko zaznaczyć dążność dzisiejszą wiedzy, która z dniem każdym, coraz jaśniéj zarysowując się, wróżyć nam poczyna epokę rozkwitu i potęgi, jakiéj dotąd nie mieliśmy jeszcze.

Chciejmy tylko zrozumieć to nowe tętnienie, umiejmy odczuć to ciepło wyższéj prawdy i nie lekceważmy natchnień ludzi, którzy jak Leibnitz powiedzieć są w możności: „przeszedłem przez metafizykę i umiejętność, by dojść do moralności“. Jednostronność była, jest i będzie po wszystkie wieki błędem, bo prawda tylko w całości, a więc we wszechstronności bywa, jeżeli więc jednostronność może niekiedy coś zaczerpnąć z prawdy, nie może być nigdy jéj rzetelną przedstawicielką. Jednostronnościami takiemi w nauce były zawsze i do dzisiaj są także spiritualizm i materyalizm, który choć w różnych wiekach, w różnych epokach i w różnych szkołach ubierał się w inne szaty i inne przybierał imiona, był i jest zawsze tylko spiritualizmem i materyalizmem.

Z wzajemnéj walki dwóch przeciwnych obozów odkrywały się słabe strony obu, poczém następowały zwykle naprawy, dodatki, wzmocnienia, co dawało powód do nowych chrzcin staréj doktryny i starych teoryj. Jak ręka w ciągłéj zostająca walce, rozwija się, nabiera siły i zręczności, tak i umysł w rozprawach i utarczkach naukowych gimnastykował się ciągle, i stając się coraz to subtelniejszym, coraz to drobiazgowiéj rozbierać począł wszelkie pojęcia. Chociaż więc dzisiejszy transcendentalizm Kanta, Hegeljanizm, sensualizm, idea-

lizm, pozytywizm i t. d. są w gruncie rzeczy staremi spiritualizmami lub materyalizmami Greków, istnieje przecie między niemi niemała różnica, każdy wiek bowiem obrabiał tęż samą doktrynę wedle skali pojęć swojego czasu.

Każda chwila w życiu rodzi nowe potrzeby, i nowe pragnienia, a ponieważ jak powiedzianém jest, iż myśli idą z serca t. j. że rozum nasz najczęściéj idzie za wolą naszą, pojąć więc jest łatwo, jak wielki wpływ wywiera życie na współczesne mu pojęcia.

Żeby między przekonaniem a życiem, między myślami i czynem człowieka, nie istniała żadna solidarność, żadna łącznia, nie było żadnéj solidarności, w takim razie literatura i sztuki nie były i nie mogłyby być nigdy obrazami życia narodu, ani też wywierać żadnego wpływu na życie tegoż. Tak jednak nie było nigdy i nie jest, bo doskonała jedność natury ludzkiéj takiego rozdziału nie dopuszcza. W tém leży wielka tajemnica, a mianowicie ta, że życie było i będzie po wszystkie czasy najlepszym i najpewniejszym probierzem t. j. criterium wartości wszelkich teoryj i doktryn, jakie nauka w dziale politycznym, społecznym, religijnym i umiejętnym, wymyśléć jest w stanie. Każda doktryna i teorya naukowa, fałszywa i zła, w życiu, w praktyce i doświadczeniu wykaże zawsze wcześniéj lub późniéj swoją istotną wartość i przekona dobitnie czém jest i dokąd prowadzi. Nieubłagana logika natury ludzkiéj i logika dziejów, często mimo woli nawet naszéj, przeprowadza następstwa raz uznanych i do życia zastósowanych teoryj i pojęć. Prawo to konsekwencyi, iż złe i fałszywe, tylko złe i szkodliwe rodzić może owoce, a dobre zawsze — tylko dobre, jest więc jak widzimy przy wolnéj woli człowieka, deską zbawienia naszego. Ludzie jako jednostki wiek swój liczą na lata, narody na wieki, bądźmyż więc mężami w cierpliwości, a nie porywczymi w sądach swoich jako dzieci. Uczmy się, co będzie z nami z tego co już minęło i wypełniło się. Pracujmy tylko dla prawdy, a atmosfera jéj jest tak potężną, że w niéj wszelkie rozwiązują się i zgryzają fałsze.

Jakkolwiek prawda po wszystkie czasy miała i ma nieprzyjaciół i napastników, ci jednak zawsze tylko na jéj większe zwycięztwo i chwałę, a na swój upadek pracują. Dnie ich radości i tryumfu są krótkie, jak owego szatana w bajce, co to chcąc dokuczyć człowiekowi, rzucił ziarno z ziemię i zakopał je, nie spodziewając się, że się stokrotnie w ten sposób pomnoży.

Otoż nieprzyjaciele prawdy tak z jednego jak drugiego obozu widząc, jak teorye ich i nauki siane wiekami całemi krwawe wydały owoce, przelękli się, zamilkli i cofnęli się.

Jedni oskarżali ciało swe, ziemię i cały świat widzialny, iż stał się przyczyną złego, drudzy duszę swą, religią i Boga, o to pomawiali. Tamci kryć się poczęli w mglistych sferach ducha, w oderwaniu od życia, w zaparciu się obowiązków względem bliźnich i ojczyzny, ci w egoizmie, zmysłowości i w namiętnościach. Tamci choć głośno wyznawali Boga, nie kochali go, bo zapomnieli o obowiązkach względem swych braci i kraju, ci wypierali się Go wszędzie i bluźnili Mu jeszcze.

Rozpoczęła się więc walka w tym kierunku i na polu naukowém. Tamci podejrzywali naukę, ci wołali: precz z wiarą, nie wiedząc w swém zaślepieniu jednostronném, że żadne nadużycie ani prawa, ani prawdy nigdy nie znosi, bo, jak słusznie powiada Bossuet, i błąd także jest tylko nadużyciem prawdy. Skończyła się i ta walka, krwią także. Dzikość jéj przeraziła wszystkich, na grobie więc ofiar żyjący wołać poczęli *Galilee vicisti!* I rozpoczął się zwrót nowy w duszach i umysłach ludzkich. Zwrot silny i gorętszy ku prawdzie. Postrzegły to dusze podniosłe i bystre umysły wołać poczęły, że „stare społeczeństwo rozkłada się obecnie, lecz po jedném lub dwóch stóleciach, odbuduje się ono na podstawie chrześcijaństwa t. j. powszechnéj moralności“ [1]).

Świt nowéj epoki na widnokręgu ukazywać się już począł w pierwszych zaraz chwilach bieżącego stólecia, przeczucia napełniały otuchą serca szlachetne, które odgadywać poczęły nawet rysy tych dni odrodzenia, w jakich rozbrat ten ziemi z niebem, rozumu z sercem, wiedzy z wiarą ustać miał na zawsze.

„Poczekajcie! woła głos natchniony [2]). Przyrodzone pokrewieństwo religii i umiejętności połączy je niebawem w umyśle męża genijuszem obdarzonego; zjawienie się tego męża dalekiém nie jest zapewne . . Człowiek ten głośnym będzie i zakończy wiek 18-ty, dotąd ciągle trwający“.

Jakkolwiek wołanie takie i to domaganie się łączni religii i umiejętności, wiary i wiedzy, nie są wcale nowe, bo po wszystkie wieki cywilizacyi chrześcijańskiéj, były one głównem znamieniem lu-

1) Chateaubriand.
2) J. Maistre *„Soirées de St. Peterssbourg“.*

dzi wielkiego ducha i potężnego umysłu, czego dowodem Kopernik, Kepler, Newton, Paskal i Leibnitz, dziś ono jednak stawać się poczyna powszechném. Dziś pragnienie to jak rzeka zlana z drobnych strumyków silnym pędem wzbierać poczyna, by zmyć krew ofiar po ziemi rozlaną.

Prąd ten stał się dziś tak wyraźnym, że nie tylko ludzie wierzący— i religijni z tradycyi i wychowania, ale ci nawet, którzy do niedawna jeszcze dowodzili szkodliwości wszelkiéj łączni umiejętności z metafizyką i wiarą religijną, zmuszeni się widzą całkiem przeciwne dziś ogłaszać zdanie. I tak niedawno czytaliśmy te oto znaczące słowa uczonego fizyologa angielskiego J. H. Lewesa, które on w ostatniém swém dziele: „O życiu i duchu“ napisał: „W nurcie myśli naszych czasów w Europie zachodniéj dostrzegam jawne dążenie ku pogodzeniu z sobą celów i praw nauk z religią. Świat doktryn teologicznych dąży do jednego z dwóch wyników: do upadku lub przekształcenia. Niektórzy myśliciele uważają za prawdopodobniejszą pierwszą alternatywę; inni, do których i ja należę, sądzą, że religia wogóle nie przestanie kierować rozwojem ludzkości i zawsze będzie musiała służyć za wyraz wyższy myśli swego czasu, w miarę tego, jak myśl ta wznosić się będzie wespół z ciągle wznoszącemi się doświadczeniami. Obecnie i w nauce dostrzedz można oznaki zjawienia się wprędce na świat czegoś nowego a potężnego. Jakkolwiek trwałym zdaje się grunt, na którym stoimy jakkolwiek silne nasze słupy graniczne, mimo to wszystko czujemy, ciosy, zwiastujące o robocie, która niedługo grunt ten podważy i obali zapory“.

Głosy podobne nie są dzisiaj rzadkie, rozlegają się one wszędzie i to z dniem każdym potężniéj. Przyrodnik i filozof, fizyolog i psycholog, historyk i filolog, teolog i lekarz, wszyscy zarówno oczekują i domagają się łączni ciała i ducha, rozumu i serca, wiedzy i wiary; słowem ziemi i nieba; wszyscy chcą i pragną, by każdy ideał, każda prawda, każde piękno, zstąpiło ze sfer ducha nieujętych — na ziemię, wcieliło się i ożyło; by wszystko co jest prawdą i pięknem w ideale, oderwaniu, było też i w rzeczywistości, w życiu; by nie było dwóch prawd i dwóch miar dla myśli, uczuć i życia, — ale jedna wszędzie i zawsze, jak jeden był, jest i będzie Najwyższy Ideał i Najwyższa Prawda naszego żywota.

Świat ducha i świat materyi usiłuje dziś na polu wiedzy dojść do

téj łączni i zgody, do téj doskonałéj jednolitéj całości i jedności jaką widzimy w człowieku, który dla tego właśnie, że łączy w sobie dwa światy— materyi i ducha, żyje i jest człowiekiem. Inaczéj to co stanowi treść chrześcijanizmu t. j. wcielenie się Prawdy—stawać się powoli poczyna znamieniem i przewodnikiem nowoczesnéj wiedzy. Nic więc dziwnego, że uczeni jak Lewes poznając co płynie „w nurcie myśli naszych czasów, obecnie w nauce dostrzega oznaki zjawienia się niedługo na świat czegoś nowego a potężnego“, bo wszystko, zanim się w życiu objawi, zanim przyjmie na siebie widome ciało, musi wpierw być w myśli, w wiedzy, przekonaniu.

Epoka ta nie stała się—nie wypełniła się jeszcze, ale stawać się dopiero poczyna. Wyznawców i rycerzy rozbratu ciała i ducha, wiary i wiedzy, przekonań i życia, mamy jeszcze niezliczone szeregi.

Jedni z nich nie uznając żadnéj sfery duchowéj, wszędzie widzą tylko materyą i wszystkie zjawiska przyrody tłómaczą tylko wyłącznie siłami fizycznemi, działającemi na nią; drudzy wierząc w Boga i w niemateryalnego i nieśmiertelnego ducha ludzkiego, tłómaczyć chcą wszystko — w świecie bez Boga, a w człowieku bez ducha, t. j. Bogu i człowiekowi chcą zaprzeczyć wszelkiego znaczenia i wpływu na życie fizyczne i moralne świata. Trzeci nakoniec uznając ducha, odmawiają wszelkiego znaczenia ciału i wpływu jego na ducha w człowieku, inaczéj wedle nich ani klimat, ani pożywienie, ani choroby i ani żadne wrażenia zmysłowe, nie są zdolne i nie mogą oddziaływać na zjawiska życiowe człowieka.

Trzy te kierunki odbijają się dziś głównie we wszystkich naukach i teoryach wyżéj wspomnianych wyznawców rozbratu ciała i ducha, wiary i wiedzy. Każdy z nich miał chwile swego rozkwitu i powodzenia i chwile upadku. Tak minął i przebrzmiał materyalizm francuski, transcendentalizm i idealizm niemiecki i tak dogorywać się już zdaje głośny dziś pozytywizm angielski.

Doktryny bowiem wszystkie, podobnie jak ludzie, dotąd łudzić świat mogą swą powierzchownością, dopokąd czas i życie nie wykaże ich rzeczywistéj wewnętrznéj wartości. Tylko prawda czasem się nie zużywa, ale w czasie trwając, potężnieje i niszczy fałsze.

Przebiła się téż ona przez ciemności fałszu i nieświadomości. Pierwsze promyki jéj wschodu dojrzały umysły głębokie i przy ich pomocy poznały fałsz lepiéj i rozpędziły mgły ułudzeń.

Promykami temi, tym błyskiem prawdy na dni nasze są głosy i domagania się wiary i wiedzy zarazem, a im głosy te coraz potężniéj odzywać się ze wszech stron poczynają i to z ust najznakomitszych i najzasłużeńszych przedstawicieli wiedzy, tém i opozycya gwałtowniéj bić poczyna na alarm i woła: „precz z wiarą, precz z religią — wiedza sama wystarczy“. Przedstawicielem téj opozycyi najwybitniejszym obecnie jest stary materyalizm, drobiazgowiéj nieco opracowany, a przezwany pozytywizmem [1]). Jak w każdéj szkole filozoficznéj tak i tutaj—nie ma zupełnéj zgody między wyznawcami, istnieją pewne różnice, pewne odcienia, jest jak w hegelianizmie lewica, prawica i środek.

Główny przedstawiciel całego tego zastępu: Littré, tak przedstawia charakter jego opozycyjny: „Filozofia pozytywna przyszła, ażeby zająć miejsce teologii i metafizyki. Czynnością społeczną filozofii pozytywnéj jest skupianie w jedno umysłów, które codziennie uciekają do teologii... oraz nauczanie ich, że odtąd całość systematyczna wiedzy ludzkiéj wystarczy do kierowania się intelektualnego i moralnego społeczeństw. Filozofia pozytywna nie jest ani deistyczną, ani panteistyczną, ani ateuszowską, ani materyalistyczną. Żadna nauka w szczególności, jak astronomia, fizyka, chemia, biologia, sociologia nie prowadzi do jednéj lub drugiéj z tych opinii, jakżeby więc filozofia pozytywna do tego prowadzić miała i skoro konkluzya jéj ogólna jest tylko wyrazem wszystkich konkluzyj szczegółowych, postawionych przez naukę pozytywną?“.

Cel więc opozycyi téj, jak widzimy, jest nie dwuznaczny: 1) wiarę i religię zastąpić chce wiedzą, która nietylko do intelektualnego ale i moralnego kierowania się społeczeństw wystarcza, a 2) jak w nauakach przyrodniczych, chemii, fizyce, biologii, nie ma o Bogu i duchu, tak i w wiedzy pozytywnéj, która jest ich wynikiem, o Bogu i duchu mowy być téż nie może.

Na tle tych ogólnie postawionych tu zasad, jak na pniu drzewa zrodził się cały szereg prawd dogmatycznych pozytywizmu, które są nieuniknioném następstwem niewiary w Boga jako w przyczynę wszechrzeczy i niewiary w ducha i potęgi duchowe, a więc, że świat nie był stworzony, że nie jest przez nikogo utrzymany, że człowiek nie ma wolnéj woli i t. d. „bo, jak powiada Huxley, niepodobna jest do-

1) Znany pozytywista Wyrubow napisał niedawno, „że sprawę materyalistów uważamy za własną“.

wieść, aby cokolwiek mogło nie być skutkiem materyalnéj i koniecznéj przyczyny, jak również, iż bywają czyny rzeczywiście dowolne“.

Zamiast wdawać się téż w szczegółowy rozbiór doktryny pozytywnéj, skupiającéj dziś w sobie wszystkie odcienia materyalizmu, tak gorliwie teraz nawet i u nas wygłaszanego, a raczéj kopijowanego, wolimy zwrócić się w tę stronę, zkąd z wyżyn prawdziwéj wiedzy rozchodzą się głosy prawdy, która nie dziś wzięła początek, ani téż jutro upadek swój oglądać będzie, ale jak trwała tak i trwać będzie, codzień jaśniejsza, codzień więcéj pojmowana i zwyciężająca.

Słuchajmy więc co mówią ci, którzy najwięcéj mają prawa przemawiać imieniem nauk przyrodniczych i porównywajmy słowa ich z mowami tych, którzy przyrodoznawstwa nie dla zdobywania prawdy używali, ale dla poparcia i oszańcowania słabych i wątłych z natury saméj przekonań swych materyalnych, którzy prawdy i badania swe przyrodnicze wyginali jak obręcze do obciągania ulubionéj a rozpadającéj się doktryny.

Do tych to ludzi niewierzących w Boga i nieuznających żadnych duchownych potęg, a zatopionych całych w materyi, woła Fryderyk Barnard, prezes amerykańskiego Tow. badaczów przyrody [1]): „Gdy żądają od nas, byśmy w imieniu wiedzy przyrodniczéj orzekli stanowczo, azali istnienie ducha w człowieku jest niedorzecznością, a religia stekiem mrzonek bez treści sądzę, iż dwie tylko pozostają nam do wyboru drogi: albo oznajmić pytającym odpowiedź wręcz przeczącą, albo milczeniem dać do pojęcia, że mniemanie takie poczytujemy za własne. Co do mnie, oświadczam się za pierwszą téj alternatywy połową i przeświadczony jestem, że jako przyrodnicy nic z filozofią ducha wspólnego nie mamy; usiłując zaś zjawiska psychiczne podciągnąć pod kategorye praw mechaniki, przekraczamy dziedzinę swéj umiejętności, uwłaczamy imieniu nauki ścisłéj i jednego tylko niechybnego wyniku dosięgamy w tym razie, że przyczyniamy się do wyrugowania z umysłów ciemnego tłumu zasad moralności, stanowiących podwaliny jego bytu i szczęścia. Jeżeli są słusznemi przekonania moje co do samodzielności ducha, to

1) „Die neuren Fortschritte der Wissenschaften nebst einer Prüfung der angeblichen Identität der geistigen Thätigkeiten und der physikalischen Kräfte“ von G. A. Klöden, Berlin 1869.

mniemam, iż do zbadania jego objawów potrzeba terytoryów i metod różnych zupełnie od trybów postępowania w umiejętnościach fizycznych: potrzeba odrębnéj nauki".

Drugi głos niemniéj potężny w imieniu nauk przyrodniczych podniósł niedawno znakomity chemik francuski, członek Instytutu prof. J. Ch. Dumas [1]), ubolewając, „że nowe zapatrywania się na układ wszechświata, polegające na istnieniu atomów, jako ostatecznych przedstawicieli materyi, oraz na ruchach eteru, jako ostatecznym symbolu siły, doprowadziły pewną szkołę do dogrzewania doktryn zrodzonych w Grecyi, a wykładanych pięknemi wierszami przez Lukrecyusza w widokach nawrócenia arystokracyi rzymskiéj na wiarę filozoficzną Epikura". Protestując całą siłą przeciwko temu, jakoby wiedza wykluczała wiarę, a religia była znamieniem ciemnoty, przypomina: „że Ampére, Faraday, Aug. de la Rive mieli w elektryczności przedmiot badań całego swojego życia i narzędzie swych wielkich odkryć, a wszyscy trzéj byli głęboko religijni. Wszyscy trzéj lubili zastanawiać się nad przedmiotami graniczącemi z matefizyką; wszyscy trzéj odpierali wtarganie stronników sił fizycznych w sferę zachowaną dla ducha, tego co myśli, twierdzi, przeczy, chce, nie chce, wyobraża, czuje, tego co będąc swobodne, winno zdawać rachunek z użycia swobody. Wszyscy trzéj byli przekonani, że zapuszczając się w takie rozmyślania, wznosimy się ku Woli najwyższéj, któréj bezpośrednia interwencya okazuje się zawsze jako pierwsze i ostatnie słowo stworzenia".

Uczony prof. A. Wurtz, dziekan wydziału lekarskiego w Paryżu, w mowie uroczystéj na zjeździe naukowym w Lille określając znaczenie i cel dzisiejszy umiejętności, wyznaje otwarcie, „iż duch ludzki nie zadawalnia się pozorami w harmonii i głębokości planu wszechświata, ale rwie się coraz wyżéj i z instyktowém przekonaniem, iż rzeczy same w sobie nie mają powodu bytu, początku i dźwigni, musi stawiać nad niemi przyczynę pierwszą, jedyną, powszechną — Boga".

William Carpenter, prezes brytańskiego Towarzystwa postępu nauk, w mowie zagajającéj publiczne posiedzenie [2]), protestując przeciwko tym, „którzy ciągle powtarzając, że znamy tylko materyę i prawa rządzące nią", woła: „dziś cała ludzkość woła instyktownie i na

1) Mowa miana na posiedzeniu Akademii nauk w Paryżu.
2) R. 1872.

drodze najgłębszych badań filozoficznych, przychodzi do przekonania, że duch jest jedyném źródłem siły".

Znakomity fizyolog berliński Dubois-Reymond w mowie otwierającéj zjazd przyrodniczo-lekarski w Lipsku roku 1872, a mającéj za przedmiot granicę poznania przyrody, wyznał imieniem nauki, „iż poznanie istoty, materyi, siły, świadomości, stworzenia i powstania istot nowych, stanowi granice przyrodoznawstwa".

Czytajmy daléj publiczne przemówienie Quatrephage'a, Cl. Bernarda, Tyndalla i innych uczonych z dni ostatnich, a przekonamy się, że przewodniczący wszystkich niemal zjazdów przyrodniczych i lekarskich, jakoby umówieni podnosząc głos protestu przeciwko materyalistycznym dążnościom, niektórych szkół przyrodniczo-filozoficznych, wszyscy zgodnie stanęli po stronie tych, którzy wołać dziś nie przestają o łącznię wiary i wiedzy, „bo błędem byłoby jeszcze rozszerzać, iż istnieją dwa porządki prawd różnych t. j. przeciwnych sobie: filozoficzny czyli metafizyczny i ścisły czyli przyrodniczy" [1]).

Zwróciliśmy tu uwagę głównie na publiczne przemówienia prezesów uczonych zjazdów przyrodniczo-lekarskich, dlatego, iż z natury rzeczy muszą one oddawać niejako wyznanie wiary większości przynajmniéj obradujących — i są jakby tronowémi mowami w świecie naukowym, malującémi stan obecny wiedzy i usiłowań ich pracowników.

Widzimy więc, że w Anglii, w Niemczech, we Francyi i w Ameryce w sferach najpoważniejszych i w chwilach najuroczystszych jeden prawie głos się rozlega, jedno wybija się wszędzie na wierzch dążenie.

Ale nie tylko przyrodnicy i lekarze głos tu swój podnoszą — ale uczeni wszystkich działów wiedzy dołączają się do tego chóru, zwróciliśmy jednak na nich dlatego większą uwagę, że w chwili obecnéj badania i teorye przyrodniczo-lekarskie, zajęły takie stanowisko, iż wszystkie niemal nauki na ich gruncie lub w spójni z niémi poczęły się przeobrażać i przejmować ich duchem. Psycholog, historyk, archeolog, lingwista i polityk, wszyscy na wynikach i poglądach przyrodników opierać się i przebudowywać poczęli swoje nauki.

Prawdy, które nam wiara objawiła, które tradycya nam przechowuje, pomimo tylu ataków materyalistów wszelkich odcieni, dziś okazują się wielkiémi prawdami wiedzy. Dziś umiejętność więcéj niż

1) Cl. Bernard w mowie akademickiéj. 1869.

kiedy przekonywać się poczyna, że wiara była światłem i drogą do prawdy, że wszelka praca pod jéj przewodem nie ginie marnie, ale niechybnie prowadzi do prawdy. Jeden z wybitnych dowodów tego jest filologia, nauka, która, zdawałoby się, iż zupełnie niezależnie od spraw wiary i religii rozwijaćby się mogła. Tymczasem patrzmy, co jeden z najznakomitszych jéj przedstawicieli F. Max. Müller powiada w swéj rozprawie: „Nie wcześniéj powinniśmy szukać właściwych początków naszéj umiejętności, aż gdy wyraz ten upokarzający: barbarzyńca, wykreślony został ze słownika ludzkości, a miejsce jego zajęła nazwa „brat“; nie wcześniéj aż dopiero, gdy uznane zostało prawo, które wszystkie narody ziemi jako członków jednéj rodziny uważa. Tutaj pochop dany był przez chrześcijaństwo. Ono zniszczyło te szranki pomiędzy Grekami a barbarzyńcami, żydami i poganami, białymi a ubarwionymi. Daremnie szukalibyśmy u Platona lub Arystotelesa tego wzniosłego pojęcia: „wszyscy ludzie braćmi“; idea bowiem wielkiéj rodziny ludzi, jako dzieci jedynego Boga, wyrosła z chrześcijaństwa, a umiejętność o człowieku, umiejętność języków ludzkości, nigdyby bez chrześcijaństwa nie ujrzała światła dziennego. Kiedy narody zostały już nauczone, że wszyscy ludzie są braćmi, wtedy dopiero i wtedy jedynie, przedstawiła się rozmaitość ludzkich języków, jako zagadnienie wyzywające do rozwiązania każdego myśliciela; z tego téż to powodu datuję ja prawdziwy początek naszéj umiejętności od pierwszego święta Zesłania Ducha Św. Od owego dnia rozwiązania języków, rozlało się po świecie nowe światło i przed naszym wzrokiem ukazały się przedmioty, które dla oczu starożytnych narodów były zakryte. Stare wyrazy otrzymują nowe znaczenia, dawne zadania obudzają nowy interes, dawne umiejętności zyskują nowe cele. Wspólny początek rodu ludzkiego i rozmaitość ras i języków, zdolność wszystkich narodów do naszéj duchownéj kultury, wszystko to staje się zagadnieniem godném żywego zajęcia w tym nowym świecie, w którym i my żyjemy; a ten interes ma znaczenie daleko większe jeszcze, aniżeli czysto umiejętne. Nie jest to bynajmniéj żaden stanowczy zarzut, że tyle wieków upłynąć musiało, zanim duch chrześcijaństwa, wlany w każdą gałęź umiejętnego badania, wydał dotykalne rezultaty. Jako flota okrętów z dębów zbudowanych, która dumne fale oceanu przerzyna, przypomina nam

drobną żołędź, co przed wiekami w ziemi zakopana leżała, tak w filozofii *Alberta Magnusa*, który pisał na 1200 lat po Chrystusie, w pracach Keplera i w badaniach największych filozofów teraźniejszości odnajdujemy klucz téj myśli, którą po raz pierwszy wypowiedział apostoł pogan [1]): „że o niewidzialnych przymiotach Boga, Jego wszechmocy i Bóstwie, można wnosić z rzeczy stworzonych“ [2]).

To co powiada M. Müller, że duch chrześcijanizmu, rozlany w każdą gałęź umiejętnego badania, wydał dotykalne rezultaty, staje się z każdym dniem niemal widoczniejszém. Prawdy wiary długi czas przechowywane w duszach ludzi będąc tą iskrą nigdy niegasnącą, budziły i rozwijały umysły ich do działania i pracy. I przyszedł czas, że rozum pojął co wiara nauczała. Sprawdziło się co powiedziano: „że zrozumienie nagrodą jest wiary“.

To co wiara nas uczy o Bogu, o stworzeniu świata, o potopie, o jedności rodzaju ludzkiego, o różnicy ducha od ciała i t. d., to co na kartach Ksiąg świętych napisane, obiega i uczy wszystkie niemal dziś ludy świata, wszystko to dziś nauka po długich walkach uznała za niezbite dogmatyczne prawdy. Weźmy bowiem jakąkolwiek z tych prawd, n. p. sprawę jedności rodzaju ludzkiego, i patrzmy, kto broni jéj z uczonych, a zobaczymy, że najpierwsze znakomitości naukowe: Humboldt, Cuvier, Lineusz, Buffon, Blumenbach, Oven, J. Geofroy de St. Hilaire, J. Müller, Stefens, Burdach, Wilbrand, Flourens, Hugo Müller, John Herschel, Rudolf i Andrzéj Wagnerowie, Lyell, K. v.

---

1) List do Rzymu 1. 20, Locke Essay concering Human Understanding IV. 10. 7.

2) Ażeby być lepiéj zrozumianym, jak pojmować należy wskazówki w badaniach Alberta Magnusa, uczony autor przytacza jego własne słowa, a mianowicie: „Bóg obdarzył człowieka swoim duchem, a nadto rozumem, aby go człowiek używał i Boga pojmował. Bóg zaś poznany być może duchem, wiarą z Biblii i rozumem z przyrody“. Co zaś do Keplera, cytuje autor słowa jego z Harmonii świata: „Dzięki Ci Stwórco i Panie, że mi pozwalasz uczuwać radość z powodu dzieł Twoich. Oto doprowadziłem do końca dzieło mojego żywota przez tę siłę rozumu, którą Ty mnie obdarzyłeś. Wielkość dzieł Twoich przypomniałem ludziom, o ile umysł dozwolił mi pojąć nieskończony jéj majestat. Zmysły moje czuwały wśród badania o ile ja przejęty byłem czystém uczuciem wiary. Wielbij duszo moja Pana dopóki ja żyję na świecie. Od Niego, przez Niego i w Nim jest wszystko, zarówno materya jak duch, wszystko co znamy i wszystko czego jeszcze nie znamy, wiele bowiem zostaje do zrobienia, co zrobioném nie jest“.

Baer, Quatrephages i Huxley [1]). A sprawa to wielkiego znaczenia niezliczonych następstw, nie uznając bowiem za prawdę tego, że Adam był praojcem wszystkim bez wyjątku ludzi, „upadłoby, jak słusznie powiada uczony naturalista Rudolf Wagner, historyczne chrześcijaństwo, razem z nieodłącznem odeń stworzeniem człowieka, runęłaby niechybnie wiara w prawdę opowieści biblijnych, a cały gmach nauk naszego kościoła, łącznie z teologiją byłby pozbawiony gruntu pod stopami".

Prawdy wielkie, prawdy podstawowe mają to do siebie, że przebijają się one przez wszystkie szczeliny wszystkich umiejętności, tak, że każdy badacz dobréj woli i dobréj wiary musi je uznawać i pracować na jéj zwycięztwo. I tak, gdy dziś teorya Darwina o pochodzeniu człowieka żywo poruszyła umysły uczonych, widzimy, iż z protestami przeciwko niéj wystąpiły nie tylko najznakomitsze obecnie powagi przyrodnicze, fizyologiczne i antropologiczne, ale podniosły się głosy i z téj strony, z któréj się najmniéj może spodziewano. Wyżéj przytoczony uczony lingwista Max Müller wychodząc ze stanowiska czysto filologicznego, podnosi głos protestu przeciwko teoryi Darwina: „w mowie, powiada ten uczony, jest przejście od materyi do ducha; surowy materyał mowy należy do przyrody, ale jéj forma jest córą ducha, jestem więc przeświadczony, powiada, że językoznawstwo jedynie da nam możność powstrzymać stanowczo zaciekłe zapędy zwolenników ewolucyjnéj teoryi Darwina i ścisłą przeprowadzi granicę między materyą a duchem, źwierzęciem a człowiekiem [2]).

1) Nawet i K. Darwina zaliczyć tu musimy; w dziele swojém bowiem o pochodzeniu człowieka tak się w téj sprawie odzywa: „Kto uważnie przeczytał interesujące dzieła Taylora (Early History of Mankind 1865), J. Mubocka (Prehistoirie Times, 2 ed. 1869), nie może się oprzeć głębokiemu wrażeniu wielkiego podobieństwa zachodzącego pomiędzy wszystkiemi rasami ludzkiemi. Ze zgodności w licznych drobnych szczegółach tyczących się zwyczajów, gustów i skłonności, a zachodzących pomiędzy dwoma lub więcéj rasami źwierzęcemi, wnoszą naturaliści, że rasy te od jednego wspólnego pochodzą praojca, który w te wszystkie właściwości był uposażony, i dla tego téż wszystkie te rasy do jednego zaliczają gatunku. Ten sam argument z daleko większą siłą służyć może dla dowiedzenia jedności ras ludzkich. Ponieważ nieprawdopodobném jest, ażeby liczne i drobne, bez żadnego znaczenia punkta prawdopodobieństwa w budowie ciała i w duchowych przymiotach mogły być całkowicie osiągnięte zupełnie niezależnie, przeto musiały być odziedziczone od przodków, uposażonych w te wszystkie właściwości".

2) Über die Resultate der Sprachwissenschaft 1872.

Ależ nie tylko ludzie oddający się uprawie nauk t. j. uczeni wszystkich gałęzi umiejętności, ale i ludzie czynu t. j. politycy w tymże samym duchu głos dziś także podnoszą. Jak nauka usunięta od światła wiary zaciemnia się i popada w błędy, „tak i naród, który obrał sobie za ideał bałwochwalczą cześć zmysłów i materyi", woła Mazzini [1]), „jest niechybnie zgubiony, jeżli niezmiernem wysileniem nie zostanie porwany w krainę wzniosłych myśli, uwielbienia ideału, oraz religii, obowiązku i poświęceń. Teorya polityczna kierująca zasadniczémi działaniami rewolucyi francuzkiéj, jest teorya praw; doktryna moralna, z któréj ta wypływa, jest doktryną materyalistyczną, określającą życie jako poszukiwanie szczęścia. Ta doktryna wystawiła ludzkie ja jako najwyższą potęgę panującą, a teorya, która z tego wypływa, stawia nad wszystkiém interes. Następstwa takiego zapatrywania się, każdy łatwo zrozumie, ktokolwiek zna logikę dziejów. Życie nie jest bynajmniéj szukaniem szczęścia niemożliwego na téj ziemi. Życie jest posłannictwem, albo téż nie ma znaczenia i sensu. Życie należy nie do nas, ale do Boga, dla tego to ma cel i prawo. Największą cnotą jest poświęcenie, a polega na myśleniu, działaniu, w potrzebie zaś i cierpieniu, nie dla nas samych, lecz dla innych, dla tryumfu dobrego nad niegodziwém. Dźwigniemy ludzkość przez miłość i cnotę, nie zaś przez to ohydne samolubstwo, które stało się plagą dzisiejszego świata". Słowa te słynnego agitatora włoskiego, nazbyt są wymówne, aby potrzebowały jeszcze z naszéj strony jakiego objaśnienia; kto bowiem wyraźnie powiada: „że życie nie jest szukaniem szczęścia niemożliwego na téj ziemi, ale jest posłannictwem i należy nie do nas, ale do Boga", ten wszystko opiera na wierze.

Idąc tak daléj, moglibyśmy przytaczać tu setki innych jeszcze głosów najpierwszych dziś powag świata, na świadectwo tego, cośmy na początku wyrzekli, iż „na dnie wszystkich dziś spraw społecznych, politycznych i naukowych leży pytanie to brzemienne i ważne: wiara i wiedza"; poprzestaniemy jednakże na głosach wyżéj wypowiedzianych, sądzimy bowiem, iż one wystarczą dla myślącego czytelnika, jako zaś znamiona czasu zasługują, abyśmy wziąwszy je za punkt wyjścia, odpowiedzieli na kilka pytań często bardzo za dni naszych rzucanych przez racyonalizm.

1) W artykule „O podźwignięciu moralném Francyi".

Pierwsze pytanie streszczamy tak: „Ponieważ wiara i wiedza są to rzeczy zupełnie od siebie różne, przeto prawdy wiary nie są i nie mogą być prawdami wiedzy“.

Dawno to już spostrzeżono, że niedowiarstwo t. j. bezbożność jest błędem w znaczeniu logiczném t. j. filozoficzném, prawa bowiem logiczne rozumu ludzkiego, jako wyszłe z rąk Boga, jeżeli tylko dobrze są używane przez ludzi, do prawdy ich zawsze wieść muszą. Otóż żadne naszém zdaniem pytanie i zarzut nie dowodzi jaśniéj prawdziwości powyższego orzeczenia jak to, które obecnie rozbieramy. Wiara i wiedza są różne co do swéj natury, ale to są tylko drogi prawdy, a prawda jest jedna. W człowieku jeden jest duch, jedna świadomość i jedno sumienie, a jedna i taż sama prawda, czy ona do ducha naszego przychodzi drogą czucia-wiary, czy téż drogą rozumu, wiedzy, nie przestaje nigdy być jedną i tąż samą prawdą. Błędem więc jest utrzymywać, że ponieważ wiara i wiedza to nie jedno, że i prawdy ich są różne, t. j. że co dla wiary może być prawdą, dla wiedzy jest fałszem, lub na odwrót. Jak bowiem bojęcie barwy nie leży w oku, ani w istocie nerwowéj nerwu wzrokowego, ale w duszy słuchającego, tak i prawda, chociaż przez wiarę lub rozum przychodzi do duszy, nie w wierze i w rozumie jest, ale w duszy wierzącego i myślącego.

Prawdę słusznie nazywają światłem, otóż czy światło przez wiarę lub przez rozum do ducha przychodzi, światłem jest zawsze, a dwa promienie dają światła więcéj przecie jak jeden.

Idźmy w porównaniu tém daléj Wiadomo, że oko widzi przedmioty w pewnéj tylko odległości, i odległość ta nazywa się granicą jego widzenia naturalnego, uzbroiwszy się jednak w szkła powiększające, widzieć może przedmioty w odległości nieskończenie większéj. Rozum nasz podobnie jak wzrok, ma także ograniczoną skalę swojego widzenia, ale wiara dla niego jest teleskopem t. j. tém szkłem powiększającém, które daleko przenosi granicę jego naturalnego widzenia. A jak prawdy zdobyte wzrokiem uzbrojonym w teleskop czy drobnowidz, nie różnią się w istocie swojéj od prawd zdobytych okiem gołém, nieuzbrojoném, tak i prawdy zdobyte przez rozum uzbrojony wiarą, nie są i nie mogą być różne w istocie swéj od prawd zdobywanych samym rozumem. Wiara pomaga rozumowi naszemu i podnosi potęgę jego widzenia i poznawania, dla tego téż słusznie nazwaną została światłem rozumu.

Prawdę tę, „że człowiek żyje z wiary“, stwierdzają dzieje wszystkich wieków i dzieje pojedyńcze każdego z ludzi. Zanim człowiek zmężnieje w rozumie, wiara bywa jedyną jego przewodniczką, w niéj i pod okiem jéj on się wychowuje i towarzyszy mu przez życie całe nawet wtedy, kiedy rozum jego rozwinięty w całéj pełni najmniéj się na pomoc jéj ogląda. Odzywa się ona przez całe życie głosem tradycyi, przeczucia i instynktu, głosem odebranego wychowania. „Ludzie“, powiada Schelling, „biorą bardzo często prawdy zdobyte wiarą, za prawdy zdobyte pracą rozumu, i nie wiedzą, że w tém są podobni do tych, którzy dlatego daną gwiazdę widzą na niebie gołém okiem, iż ją pierwiéj przez teleskop ujrzeli“ [1]).

Wszelkie prawdy, jakie dziecię od kołyski przyjmuje, przyjmuje wiarą, wiarą w słowa matki, ojca rodziny i otaczających go osób. Prawdy te religijne, moralne, obyczajowe, społeczne, towarzyskie, narodowe, naukowe i t. d., życiem wpajają się w duszę jego i przechodzą w krew. Żyje wedle nich nie pojmując ich jeszcze, przyzwyczaja się do nich bez świadomości, postępuje wedle nich pod naciskiem panującego zwyczaju w rodzinie i w narodzie. I mijają mu tak dnie i lata, i ono rośnie i urabia charakter swój moralny i duszę swoją wedle wzoru, który go otacza i przewodniczy mu dotąd. Chwile te pierwsze życia, to pierwsze wychowanie, jest pierwszym węgielnym kamieniem całego żywota jego, jest zadatkiem, a często bardzo i wróżbą jego przyszłości, jest nakoniec, i to nierzadko, jak o tém nas przekonywają dzieje żywota pojedyńczych ludzi, kotwicą wybawienia i ostatnim portem, do którego po strasznych burzach życia, zawraca zrozpaczony i zbłąkany człowiek. Urok lat dziecinnych, ich prostota i niewinność mają zawsze taki urok dla ludzkiéj duszy i ludzkiego serca, że wspomnienie ich i miłość bywa niejednokrotnie wskazówką i pobudką człowiekowi w życiu, a czasem staje się i skałą, o którą rozbija się pycha strąconych aniołów.

Tak się odbywało po wszystkie wieki i wszędzie, że życie t. j. to co go przedstawia i streszcza, tradycya w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, uważana była, jest i będzie za najpotężniejszą i najwięcéj wpływową nauczycielkę i przewodniczkę człowieka i narodów. Człowieka poza społeczeństwem ludzkiém wychować niepodobna, a wychowując go między ludźmi, musi on tym samym karmić się pokarmem i tém samém oddychać powietrzem moralném i fizyczném, ja-

1) Philosophie der Offenbarung.

kiém się karmią i oddają ci, wśród których żyje, wzrasta, a tém samém musi stawać się i do nich podobnym. Jeżeli nadto dodamy, że zmysł wiary, zmysł religijności jest człowiekowi tak wrodzony, jak roślinie wrodzona jest zdolność wsiąkania potrzebnych dla siebie soków, pojmiemy łatwo jak błędném jest nauczanie, że głównym czynnikiem życia i postępu człowieka i narodów, jak utrzymują dzisiejsi racyonaliści, jest tylko umysł t. j. rozum człowieka. Zrozumiemy teraz lepiéj, dlaczego i J. H. Lewes, badając ducha naszych czasów, czyta w nim przekonanie, „iż religia nie przestanie kierować rozwojem ludzkości i zawsze będzie musiała służyć za wyraz wyższy myśli swego czasu“.

Otóż religijność ta, która obejmuje w sobie charakter uczucia i wierzenia, wlewa się do duszy każdego człowieka z tradycyą, w któréj jest wychowywany i utrzymuje się nią w ciągu życia, tak, że nawet, jak słusznie powiada Herbert Spencer [1]), „idee obce danemu stanowi rzeczy społeczeństwa nie mogą się w nim rozwinąć, a jeżli siłą wprowadzone zostaną, to albo odepchnięte będą, albo też znikną po przeminięciu uczuć, które je czasowo przyjąć nakazywały, bo w praktyce idee bieżące ustanawiane są przez charakter narodowy i stan społeczny, a nie stan społeczny przez idee bieżące“.

Jeżeli więc wiara wnosi do duszy naszéj prawdy, których rozum sam dojrzeć i zdobyć nie potrafi, daléj jeżeli rozum sam w każdym człowieku pod jéj wpływem wzrasta i rozwija się, a ona urobiwszy za młodu jego charakter, tętni wciąż w duchu jego przez życie i to wszystko wynika z praw nieodmiennych, odwiecznych; w jaki sposób, pytamy, może się człowiek oderwać od wiary i wypierać się, że jéj nie ma w duszy swéj, kiedy, jak słusznie jeden z zaciętych przeciwników i bluźnierców wiary powiedział, „nawet ateizm jest religią, bo nie trzeba zaprzeczać istnieniu bóstwa, gdyż to jest zawsze pamięcią o niém, ale zupełnie należy o niém zapomnieć“.

W dalszym ciągu tego pytania, po tém cośmy już powiedzieli, zastanówmy się, ile w zarzucie tym słuszności jest, „że prawdy wiary nie są i nie mogą być prawdami wiedzy“.

Wiara i wiedza są drogami, któremi prawda do duszy naszéj przychodzi, droga więc i to co nią idzie nie jest jedno i toż samo, nie wynika ztąd jednak, aby to co idzie jedną drogą, przestawało być tém, czém jest, gdy drogą inną przychodzi, t. j. że prawdy, któ-

1) Klasyfikacya wiedzy, str. 76 i 77.

re my wiarą przyjmujemy, fałszem się stają, gdy przychodzą do duszy naszéj drogą rozumu, równém bowiem prawem utrzymywaćbyśmy mogli, że pewne zdanie przeczytane oczyma, jest prawdą, a usłyszane uszami fałszem. Zresztą niedość jest prawdę pojmować, jak powiedział Mickiewicz, ale trzeba ją jeszcze czuć, wiele bowiem jest prawd i rzeczy takich, jak n. p. życie, zdrowie i t. p., które się lepiéj czuje, aniżeli pojmuje i określa. Jeżeli więc prawdę jaką niedość pojmujemy i wytłómaczyć jéj sobie jasno, matematycznie, namacalnie nie możemy, nie dowodzi to bynajmniéj, że prawda niedość zrozumiana albo zupełnie niepojęta jest fałszem, bo dzieci, niedoświadczeni i ludzie ciemni, lub małéj nauki, wiele rzeczy zrozumieć nie są przecie w stanie, a jednak rzeczy te i prawdy przez nich niepojmowane mogą być niewątpliwemi prawdami dla ludzi dojrzałych, doświadczonych i oświeconych.

Weźmy zresztą którąkolwiek z tych wielkich prawd wiary, jak n. p. istnienie jednego Boga, stworzenie świata z niczego, nieśmiertelność dusz naszych, życie przyszłe i t. d., wszak wszystkie one, jak widzieliśmy powyżéj, uznane i dowiedzione zostały jako prawdy naukowe, a choć od czasu do czasu, jak napisano jest: „głupi w sercu swojém powiada nie masz Boga“, mędrzec przecie w pokorze i uwielbieniu wołać nie przestaje: „Bóg był i jest“. Znał prawdę tę i stary Bakon pisząc: „iż powierzchowna znajomość nauk oddala od Boga, ale wiedza prawdziwa i głęboka zawsze do Niego prowadzi“— co dzieje wszystkich wieków i wszystkich narodów stwierdzają nieustannie.

Wiara i rozum, to dwoje oczu człowieka, z których choć pierwsze zwrócone jest ku niebu, a drugie ku ziemi, łączą się w duszy jego, która sama jedna zdolna jest czuć i pojmować prawdę. Wiara uczy nas o Bogu, jako o najpierwszéj przyczynie wszystkiego we wszechświecie, rozum pozwala poznawać skutki i badać przyczyny drugie; dopełniają się więc, jak widzimy te dwa źródła światła, by dać nam całkowitą prawdę.

Dopełniające się ich to stanowisko czyni zupełnie bezpodstawnym zarzut, jakoby prawdy wiary nie mogły być prawdami wiedzy i naodwrót; to bowiem, co nas przenosi aż do rdzenia wiedzy, t. j. aż do przyczyny najpierwszéj wszystkich zjawisk przyrodzonych i nadprzyrodzonych, nietylko że nie może być przeszkodą i utrudzeniem w badaniach naszych naukowych, ale największą jest i być musi pomocą w poznawaniu samych siebie i przyrody.

Można wierzyć w Boga i uznawać Go jako Stwórcę świata i można i nie wierzyć, ale kto raz w Boga uwierzył i przyznaje się do téj wiary, ten musi uznać, iż religia jest ogniskiem wszystkich promieni prawd, jakiemi Stwórca napiętnował przyrodę, jest tém stanowiskiem wyniosłém, z którego widzieć i pojmować można całą przyrodę, jak ta z pojedyńczych ogniw łączy się w harmonijną i nierozerwaną jedność. Słusznie więc powiada Paskal: „że religia powinna być punktem środkowym wszechrzeczy tak dalece, iż kto pozna jéj zasady, będzie mógł zdać sprawę z natury ludzkiéj w szczególności, a z ruchów całego świata w ogólności".

Wychowanie religijne oparte na wierze, jakie w pierwszych latach życia swego człowiek odbiera, potężnie wpływa na rozwój innych władz duszy jego. Nauczywszy się okiem wiary sięgać aż do Boga, obejmować wszechświat, spoglądać na ziemię i pamiętać o całéj ludzkości, człowiek nabiera odwagi i siły do wszelkich badań. I tak, gdy poganin nieznający słowa bożego drży przed słońcem, pada przed ogniem i wielbi dzikie źwierzęta, człowiek oświecony prawdami wiary, iż jest panem przyrody, zwalcza wszystkie jéj żywioły, ujarzmia źwierzęta i prawa przyrody na swój obraca pożytek.

Umysł przez wiarę zaprawiony, zwraca się ciągle od ziemi do Boga i od Boga do ziemi, w sile swéj badawczéj potężnieje z dniem każdym z dzieł świata widomego, bowiem poznaje niewidomego Stwórcę, a wiarą w Niego idzie tam i znajduje to, czegoby samém okiém rozumu dojrzeć nie był nigdy w stanie. To więc, co powyżéj cytowany uczony lingwista Max Müller powiada: „że umiejętność języków ludzkości, nigdyby bez chrześcijaństwa nie ujrzała światła dziennego, bo dopiero kiedy narody zostały nauczone, że wszyscy ludzie są braćmi, wtedy jedynie przedstawiła się rozmaitość ludzkich języków, jako zagadnienie wyzywające do rozwiązania każdego myśliciela [1]), powiedzieć może każdy uczony, nie ma bowiem dziś działu wiedzy ludzkiéj, któryby ciepłu i światłu płynącemu z wiary w Boga nie zawdzięczał swego rozwoju, któryby z wiary nie wziął dla siebie pobudki i kierunku prawdziwego do badań.

Czyż słowa te n. p. napisane na kartach ksiąg świętych, „że wszystko jest liczbą, miarą i wagą w świecie", nie były wskazówką i pobudką do tych badań naukowych, które ująwszy

1) Wykłady o umiejętności języka, str. 113 tłum. polskie.

w liczbę ruchy ciał niebieskich, usiłuje ująć teraz i ruchy niewidzialnych atomów.

Czyż ostatnia nauka w fizyce o jedności sił fizycznych, sprowadzająca wszystkie siły fizyczno-chemiczne do ruchu eteru, który jak ziemia nasza raz wprowadzony w ruch drży nieustannie rodząc potrzebne dla przyrody siły, nie sprawdza prawdy wiary naszéj, że Bóg jest najpierwszą przyczyną wszelkiego ruchu i wszelkiego życia? Przecież to jeden z najuczeńszych astronomów i fizyków tegoczesnych O. Secchi w dziele swém „O jedności sił fizycznych" wyraźnie oświadcza: „że jeźli nas kto zapyta, co to jest ta potęga, która spowodowała ten pierwotny ruch eteru, ociągać się z odpowiedzią nie będziemy i powiemy, że tą potęgą jest Bóg" [1]). Wobec takich faktów i takich oświadczeń cóż znaczyć mogą ubolewania ludzi bez wiary, a małéj nauki, że prawdy wiary nie mogą być prawdami wiedzy?...

Drugim z kolei zarzutem, z jakim się bardzo często spotykamy dzisiaj w sprawie wiary i wiedzy, jest ten, że wiara i wiedza są to sfery tak od siebie różne, że jedną od drugiéj zupełnie oddzielić należy, albo „religia i wiara są to rzeczy sumienia tak święte, że ich mieszać się nie godzi ani do nauk, ani do życia, zależą one bowiem na stosunku osobistym człowieka z Bogiem".

Zarzut ten najczęściéj bywa wygłaszany raz przez ludzi małéj wiary i jeszcze mniejszego rozumu, drugi raz przez obłudników wszelkiego rodzaju, zwanych powszechnie faryzeuszami, których liczba ku hańbie i niedoli wieku naszego zwiększa się niemal z dniem każdym we wszystkich stanach, we wszystkich klasach, we wszystkich powołaniach i na wszystkich stanowiskach jakie ludzie zajmować mogą.

Wykazać niedorzeczność podobnych zarzutów nietrudno bynajmniéj, rzuca się ona bowiem w oczy każdemu, komu biélmo ciemnoty lub obłudy oczu nie zasłania. Trzeba mieć najfałszywsze i najprzewrotniejsze pojęcie o religii i wierze, aby utrzymywać, iż one ani do życia, ani do wiedzy mieszać się nie powinny. Religia, obejmująca naukę moralności, dająca nam przepisy i wskazówki do życia, czuwając nad naszą wolą, myślami i czynami, nauczająca nas obowiązków względem Boga i bliźnich, ma się oderwać od życia, nie wpływać na nasze myśli i czyny, a być czémś idealném, nieujętém, nie-

1) *L'unité des forces etc.* str. 606.

potrzebującém się wcielać w życie i znaczyć czynami, jest, pomijając już stronę moralną téj sprawy, rzeczą do najwyższego stopnia nielogiczną. Religia bowiem, jak samo już jéj nazwisko wskazuje, jest łącznią człowieka z Bogiem; a ponieważ człowiek nie jest duchem szczerym, ale wcielonym w ciało, przepisy więc jéj muszą mieć na względzie wszystkie dowolne objawy życia ludzkiego, bo za wszystko co myślimy, mówimy i czynimy, odpowiedzialni jesteśmy. Inaczéj religia nie miałaby żadnego znaczenia i zupełnie nie byłaby potrzebną tak samo, jak przepisy hyginiczne, t. j. rady i wskazówki zachowywania i wzmacniania zdrowia, na nic się nikomu nie przydadzą, chociażby były najznakomiciéj pomyślane, jeżeli o nich tylko myśleć będziemy, a w mowie, w piśmie, w czynach, ani ich rozpowszechniać, ani też wypełniać nie będziemy; bo każda rzecz dopiéro przez używanie jéj do celu, do jakiego była przeżnaczoną, nabiera wartości i znaczenia. Jak więc w hygienie, nauka bez zastósowania jest w życiu bezowocną, tak i wiara czyli religia bez czynów martwą jest i być musi.

Przypatrzmy się zresztą bliżéj téj sprawie a mianowicie ze strony praktycznéj, a jaśniéj jeszcze przedstawi się nam ona. I tak weźmy człowieka, który hołdując téj zasadzie, że religii nie należy mieszać do życia, religię swoją zna doskonale, w kościele bywa zawsze, modli się codzień, praktyki religijne wypełnia pilnie, ale wszystko to odbywa w murach świątyni. W domu zaś jest niewiernym małżonkiem, niesprawiedliwym ojcem i tyranem dla sług. W urzędzie przekupnym urzędnikiem, podstępnym kolegą i niewyrozumiałym zwierzchnikiem. W nauce bezbożnikiem, a w publicystyce demoralizatorem i potwarcą. I to ma być wzór pobożnego człowieka, który dla wielkiéj świętości religii, którą czci i szanuje, nie ośmiela się wyprowadzić jéj poza mury świątyni na pole spraw domowych, społecznych, politycznych, ani też mięszać jéj do nauk, którą dlatego, że jest świętą sprawą sumienia, zupełnie odsuwa od wszelkiego wpływu na życie.

Pojmowanie takie świętości religii i takie jéj wypełnianie w życiu, budziło i budzić musi zawsze wstręt i obrzydzenie serc prawych i podniosłych umysłów.

Chrystus, który przebaczył łotrowi, celnikowi i jawnogrzesznicy, nie przebaczał nigdy faryzeuszom i upominał ich zawsze, iż ani tu ani tam nie ujdą sądu potępienia. Bądź zimnym albo gorącym, powiedziano jest przeto, a nie bądź letnim, t. j. albo wierz w Boga i

kochaj Go życiem całém, albo nie wierz zupełnie, bo stokroć lepszą jest szczera bezbożność, jak obłudna religia i kłamana wiara, która ustami czci Boga, a czynami i życiem bluźni Mu i fałsz zadaje wyznaniu.

Co dla sumienia i serca, jak ten faryzeizm, jest wstrętném, tego rozum usprawiedliwić nie zdoła nigdy. I rzeczywiście nie ma punktu, nie ma stanowiska, z któregoby ze skutkiem podjąć się było można obrony tego n. p. rozbratu wiary i wiedzy, tego niemięszania religii do nauki i naodwrót. Wystawmy sobie bowiem człowieka, który wychodząc w świat szukać prawdy, z wiarą w duszy i z żądzą wiedzy słucha jak kapłan w kościele naucza: że Bóg jest jeden i stworzył świat z niczego, a profesor z katedry akademickiéj dowodzi, że Bóg duchowy osobowy, to przesąd i ciemnota średnich wieków, bo Bóg to natura, to ziemia, która jak sama powstała, tak i sama wciąż stwarza wszystkie na łonie swém twory. Słucha jak kapłan naucza, że człowiek złożony jest z ciała i niemateryalnego ducha i obdarzony jest rozumem, pamięcią, sumieniem i wolną wolą, i słucha jak fizyologowie, antropologowie i psychologowie z katedr uniwersyteckich dowodzą, że dusza jest sumą fizyologicznych objawów człowieka, myśl jest wyrobem mozgu, a wolna wola jest złudzeniem, bo człowiek jak kamień i drzewo zależny jest także od praw niezmiennych przyrody.

Słucha jak kapłan naucza o złéj i dobréj woli, o występkach i cnotach, o poprawie i pokusie, i słucha jak psychiatra z katedry akademickiéj dowodzi, że zbrodniarzy i chorych na umyśle t. j. na duszy niema, tylko są chorzy na ciele, t. j. że zbrodniarzy nie karać ale leczyć należy.

Słucha jak kapłan nauczając o godności człowieka przytacza słowa pisma, że był stworzony na obraz i podobieństwo Boże, i słucha jak profesor dowodzi, że człowiek powstał i stworzony jest na podobieństwo małpy.

Słucha jak kapłan naucza o życiu przyszłém i nieśmiertelności i słucha jak filozofowie i przyrodnicy z akademickiéj katedry dowodzą, że niesmiertelność to druki na papierze, to przemiana materyi, bo ciało człowiecze gnijąc, daje początek mnóstwu żyjątek i podnosi bujność pól, a na polach tych wyrosłe rośliny służąc znów ludziom i zwierzętom na pożywienie a z nich ponownie wracając do ziemi i t. d., tworzą nieśmiertelność i zarazem zmartwychwstanie zmarłych.

Słucha jak kapłan naucza, że starajcie się o królestwo Boże i Jego sprawiedliwości a reszta wam będzie dodaną i słucha jak profesor z akademickiéj katedry dowodzi, że bez materyalnego dobrobytu moralności być nie może.

Słucha jak kapłan naucza o miłości bliźniego, o poświęceniu i sprawiedliwości, i słucha jak profesor z akademickiéj katedry zaleca „walkę o byt“ jako zasadę polityki, a egoizm zwany nieinterwencyą sławi jako mądrość mężów stanu. I moglibyśmy tak idąc daléj przytoczyć tu tysiące jeszcze innych przykładów sprzeczności, jakie zachodzą dziś pomiędzy kościołem a szkołą, pomiędzy kazalnicą a katedrą, słowem pomiędzy religią a wiedzą. Pytamy się więc teraz, czy może człowiek z jakichkolwiekbądź powodów naraz dwie prawdy uznawać, ale prawdy wręcz sobie przeciwne, jak te n. p. powyżéj przytoczone, że Bóg jest, i Boga nie ma, że świat został stworzony z niczego, i że świat nie został stworzony, że nie ma samorodztwa i jest samorodztwo; że człowiek ma wolną wolę i nie ma wolnéj woli i t. d.? Czyż logika i prosty zdrowy rozsądek pozwolić na to może? Nieskażone serce się z godzi a sumienie w sprzecznościach tych uczuje się zadowolone i spokojne? Chyba że nie, trzeba bowiem upaść zupełnie moralnie t. j. zagłuszyć w sobie sumienie, skrzywić umysł i wyziębić wszelkie dodatnie uczucia dla prawdy, aby prawdę i jéj przeciwieństwo, t. j. fałsz, jednako cenić i jednako uznawać; natura ludzka, całą swą siłą zdaje się tu nawet protestować, wszystkie bowiem objawy życiowe człowieka: fizyczne, umysłowe i moralne, jak wszystko zresztą na świecie, mając swe przeciwstawienia, t. j. objawy ujemne wobec pierwszych, wywierają i wywierać muszą tak w ciele, w myśli jak i w sumieniu, wręcz przeciwne pierwszym uczucia. I tak jeźli sytość, prawda i cnota budzi w nas zadowolenie, to głód, fałsz i zbrodnia, przeciwnie sprawiają ból i przykrość; jeźli piękność zachwyca, brzydota wstręt budzi. I rzeczywiście, aby uwierzyć słowom tych, którzy powiadają, że mogą w to wierzyć, co nauka dowodzi, że jest fałszem, kłamstwem lub złudzeniem, i naodwrót, to uznawać za prawdę, co religia t. j. słowo Boże podaje za fałsz, nieprawdę, trzeba koniecznie przypuścić, albo zupełne ich zniedołężnienie umysłowe, t. j. idyotyzm, niesposobny do pojmowania i rozróżniania od siebie rzeczy, albo wielki upadek moralny, przyciemniający tak duszę, że jak powiedziano, oczy choć patrzą nie widzą, a uszy choć słuchają nie słyszą, albo nakoniec obłudę czyli faryzeizm, który co innego głosi jak czuje, a co innego naucza jak czyni i wypełnia.

Jak może bowiem człowiek prawy i szczery, nie wchodząc w to jakiéj jest religii, ale uznający wszystko, co nauka naucza za prawdę, cenić i szanować religię przez tę naukę za zbiór fałszów podawaną i na odwrót, wierzący duszą całą w prawdę n. p. objawienia, z uznaniem odczytywać wywody nauki dowodzącéj fałszywości jego? Możeż rzetelny wyznawca i miłośnik prawdy, cieszyć się z apostolstwa fałszu, lub człowiek cnotliwy z szerzenia się zbrodni? Nie — a przecież musiałoby tak być, gdyby rzeczywiście natura człowieka i jego sumienie pozwalało mu mieć w wierze to za prawdę, co w nauce jest fałszem, a w nauce to za prawdę, co wiara za fałsz podaje.

Na tę dwoistość jednak sumienia, t. j. sumienie naukowe i sumienie religijne, co inaczéj przezwano jeszcze „podwójną rachunkowością“, nie zgadza się nawet i sam L. Büchner, znany światu materyalista. Pojmujemy téż dobrze gorliwość i zapał ludzi wierzących i religijnych w bronieniu i nauczaniu swych naukowych i religijnych zasad, i pojmujemy również zaciętość i wytrwałość materyalistów dobréj wiary w napastowaniu i podkopywaniu nauk swych przeciwników, jakotéż w bronieniu swych własnych przekonań, ale nie pojmujemy i nigdy zdaje się nam pojąć nie będziemy w stanie téj obojętności, tego zupełnego nietroszczenia się o sprawy, które w sumieniu naszém na pierwszém winne być położone miejscu, o sprawy, które winne być rdzeniem życia naszego.

Niech obojętność tę, okrywającą się dziś tak często płaszczem powagi, spokoju, przyzwoitości, tolerancyi, wolności, polityki i t. d., chwalą, tłumaczą i usprawiedliwiają sobie jak chcą jéj zwolennicy i wyznawcy, dla nas ona nigdy i niczém usprawiedliwić się nie da, a wytłómaczyć da jedynie tylko albo brakiem rozumu naturalnego t. j. idiotyzmem, albo brakiem miłości i wszelkich uczuć dla prawdy t. j. zwierzęcością, zwierzęta bowiem tylko nie pojmują i nie kochają prawdy.

Kto nigdy do serca swego nie przypuścił wiary i prawdy, kto nigdy nie pokochał żadnego ze swoich przekonań i nie miał w duszy swéj żadnego ideału, ten o prawdziwości słów naszych niech się przekona na miłości do rzeczy i istot niższych, jak n. p. na przywiązaniu swém do zwierząt, lub na dogadzaniu własnym namiętnościom i gustowi.

Pytajmy się bowiem tego, który polubił psa swego lub konia, przywiązał się do niego i wiernym go swym towarzyszem nazywa, czy mu wszystko jedno, czy koń lub pies jego głodny jest, czy syty, czy skaleczony i chory, czy zdrowy, czy jednakowo przyjmie wieść o stracie jego, jak i nowinę, że po zgubieniu powróconym mu został?

Pytajmy się gastronoma, który całą miłość swoją do języka skierował, czy mu wszystko jedno jaki i z czego obiad jeść będzie, lub jakie mu napoje i trunki pić dadzą? Patrzmy, czy go te rzeczy nie interesują? A zobaczymy, że bardzo.

Jeżeli więc to cośmy pokochali, do czegośmy się przywiązali, w czém znajdujemy upodobanie, co nas cieszy, zachwyca, lub bawi, oddziaływa na umysł i wolę naszą i odbija się w czynach zawsze i wszędzie, bo to z natury istoty naszéj wynika; czyż wniosek nasz, że tam, gdzie znajdujemy obojętność zupełną na wszelkie powodzenia i ciosy ukochanego przedmiotu, nie było, nie ma i nie może być żadnéj do niego miłości, żadnego przywiązania i czci żadnéj, nie jest słuszny? Czyż drzewo nie po owocach się ocenia, a człowieka nie po czynach poznaje?

Zła wiara i obłuda wobec zarzutów czynionych im za obojętność dla wiary i wiedzy tłómaczyć się zwykła tolerancyą i wolnością wyznawania i nauczania, jak żeby tolerancya a obojętność było to jedno i toż samo, a wolność nauczania albo wyznawania, znaczyła nie mieć własnych przekonań.

Gorąca miłość i obrona prawdy, a nienawiść nie osoby ale błędu lub kłamstwa i fałszu, musi znamionować każdego religijnego, a więc i wyższego człowieka, bo chrześcijanizm, który nas pierwszy nie tylko że nauczył, ale i nakazuje nam kochać nieprzyjaciół, nie posuwa przecież miłości bliźniego aż do ukochania fałszu, który tenże wyznaje, ani nienawiści, błędu, aż do prześladowania bliźniego, który w niego wierzy, ale wyraźnie, słowy jednego z wielkich apostołów swoich naucza: „Kochajcie ludzi, ale błędów ich nienawidźcie“.

Jeżeli w dziejach zresztą wydarzało się niekiedy, że ludzie nienawiść przeciwnych sobie zasad i przekonań przenosili na ludzi je wyznających i nauczających, zkąd powstawały uciski i prześladowania wzajemne, to nie było, nie ma i nie będzie zdaje się nam, jakeśmy tu wyżéj nadmienili, rzeczy, zasady i prawdy najświętszéj nawet, któréjby człowiek dotąd nie nadużył jeszcze, ale żadne nadużycie nie może znieść przecie żadnéj prawdy. Nadużycie bowiem pochodzi z krewkości ludzkiéj, a prawda prawdą niewzruszoną zostaje. Co w chwilach zresztą walk krwawych t. j. wielkiego roznamiętnienia stron wojujących da się pojąć, nie da się nigdy i niczém usprawiedliwić, gdy dokonywa się na polu naukowém, t. j. w chwilach spokoju i rozwagi. Cóż bowiem sądzić o takim nauczycielu, żołnierzu prawdy, świeczniku narodu, który zapytany czém jest, co uczy i co radzi, odpowiada, że jest tolerantem, naucza wolności badania i radzi wypowiadać wszystko, który nie chcąc lub nie mając odwagi być wyznawcą, nauczycielem i obrońcą prawdy, stara się być bezmyślną fotografią tego, co jest i co się dzieje w obecnéj chwili.

Stanowisko to bierne, lustrowe, że się tak wyrazimy, wielu uczonych tegoczesnych, jest koniecznem następstwem że się zrzekają miłości dla wszelkiéj prawdy. Czynnymi i wpływowymi być nie mogą; jedni bowiem dla przyzwoitości, drudzy dla świętego spokoju, trzeci przez tolerancyę nie chcą żadnéj uznawać, żadnéj chwalić, ani bronić prawdy, bo przecież mogą się znaleźć ludzie innych przekonań i innych wierzeń, po cóż więc wszczynać walkę, drażnić niepotrzebnie i okazywać się nietolerantem, a przedewszystkiém po co zakłócać spokój tak miły.

Po co się narażać na krzyki złorzeczenia i gniewy, kiedy kochanym i miłym wszystkim, jest być najlepiéj i najkorzystniéj. Wprawdzie człowiek, machina fotograficzna t. j. odbijający w sobie biernie, bezmyślnie, mechanicznie to wszystko z czém się spotyka, nie może być ani światłem, ani radą dla nikogo, nie może bronić, ani nauczać niczego, nie może być przykładem ani zachętą nikomu, w całém życiu swojém, ale on téż o to nie dba zupełnie, kto bowiem żadnéj prawdy nie umiał ukochać, niczém się nie zachwyca i niczém się nie cieszy, nic téż dziwnego, że nie stoi o to, czy też czyny i słowa jego przydadzą się kiedy na co bliźnim i braciom jego, czy nie, bo ich jak prawdy nigdy nie kochał i nie kocha.

Gdy ołtarze Boga się walą, cnotę prześladują, fałsz i kłamstwo zalecają, a głosy szlachetne wołają ratunku, ludzie ci w odpowiedzi zapisują spokojnie: cnota jest prześladowaną, a Bogu bluźnią. Gdy słabe, bezbronne narody napadają i odbierają im mienie i wolność, a dusze szlachetne wołają o ratunek, ludzie ci ze spokojem odpowiadają im: tak jest, są to czyny d o k o n a n e i u z n a n e. Gdy głód i mór szerzy się i niesie klęski i przestrach ogarnia wszystkich, a ludzie serca wołają ratunku dla biednych, ludzie ci zapisawszy w księgę pamiątkową, że roku Pańskiego tego a tego był wielki głód i mór straszny, skreśliwszy nadto bardzo wiernie i żywo kilka obrazów nę-

dzy i konań,—spokojnie kładą się na spoczynek, a po spoczynku nie przerywają w niczém trosk swych i starań o sobie.

I oto jest typ ludzi spokojnych, nieobrażających niczyich przekonań, a zwolenników wolności posuniętéj tak daleko, że nie tylko pozwalają mówić wszystko, co się komu podoba, ale nawet i robić, a skrupulatnych w niéj do tego stopnia, że nawet żadném słowem ani pochwały, ani zachęty, ani nagany nie ośmielają się na nikogo nigdy robić nacisku, ażeby w tym lub owym zechciał postępować kierunku. Ludzie słowem téj idealnéj wolności, ci dziś najprzyzwoitsi i najpopularniejsi nauczyciele i pisarze „całkiem przedmiotowi", jak ich zwykle przezywają, istnieją, mogą istnieć i mogą się cieszyć uznaniem, ale tylko w wieku niewiary, w wieku bezwyznaniowości, t. j. braku wszelkich przekonań i charakterów, w wieku który zapomniał kochać i wielbić, słowem w czasie, który jeźli nie nosi na sobie piętna zniedołężnienia umysłowego—t. j. idiotyzmu—musi nosić nieodzownie znamię wielkiego moralnego upadku — t. j. zniedołężnienia woli naszéj. J. Maistre miał więc słuszność gdy wyrzekł: „wiek nasz nie umysł—ale wolę ma słabą".

Trzeciém z kolei twierdzeniem, z jakiém często występuje za dni naszych materyalizm, jest to: „że ponieważ nauka nie ma nic wspólnego z moralnością, nie powinna téż nigdy krępować się jéj względami" t. j. inaczéj, że można w nauce wyznawać i głosić najprzeciwniejsze religii i moralności przekonania, a mimo to, być religijnym i moralnym człowiekiem.

Twierdzenie to jak i dwa powyższe, fałszywe i błędne jest z gruntu dla tego, ponieważ wychodzi z fałszywego założenia, iż człowieka nie tylko, że rozdzielić można na wierzącego, rozumującego i czyniącego, ale—że każdy taki człowiek posiada własny samorząd-autonomię t. j. że w jednym i tym samym człowieku czucie nie wpływa na rozum a rozum na wolę i odwrotnie; że można w co innego wierzyć, co innego uznawać i nauczać, i co innego wypełniać t. j. czynić—przy zupełném zdrowiu na ciele i umyśle. W rzeczywistości jednakże w stanie prawidłowym tak nie jest i być nie może, bo człowiek z całą swoją naturą stanowi doskonałą jedność, a życie jego nie na autonomii ale na najściślejszéj i wzajemnéj zależności duszy i ciała zawisło, na wzajemnym wpływie i nieustanném wciąż oddziaływaniu na siebie sfery jego fizycznéj, umysłowéj i duchowéj. Może zresztą człowiek mówić, że inaczéj postępuje jak mu jego przekonanie t. j. wiedza każe, ale to jeszcze nie jest żadnym dowodem, żeby to rzeczywiście

tak było, i być mogło, życie bowiem t. j. postępowanie składa się z pojedynczych czynów, a każdy czyn rodzi się z myśli i uczuć go poprzedzających. Wszystkie czyny w znaczeniu moralném z woli naszéj płyną i to z woli wolnéj — za wszystkie więc odpowiedzialni jesteśmy.

Bóg, który czyta w sercach naszych i zna myśli nasze, sądzi nas nie z czynów tylko, ale i z myśli i z uczuć naszych—ale my jako ludzie tylko z widomych czynów sądzić jesteśmy w stanie. Jeżeli więc myśli, słowa i czyny człowieka, czy one są złe czy dobre, zgadzają się z sobą, to chociaż błądzi i ciężko nawet, błądzi w dobréj wierze, nie jest obłudnikiem, ale jeżeli przeciwnie człowiek inaczéj postępuje jak mówi i naucza t. j. jeżeli czyny zadają kłam myślom i słowom jego, w takim razie staje się kłamcą, jest człowiekiem złéj wiary, obłudnikiem, faryzeuszem, t. j. jednym z tych ludzi, o których Chrystus wyrzekł, iż są grobami pobielanemi, rodzajem jaszczurek i nie ujdą tu i tam sądu potępienia.

Otóż ci to ludzie mówią nam dzisiaj i zapewniają nas, że mając wiarę i przekonania niereligijne i niemoralne, można być w życiu religijnym i moralnym, że można być w nauce bezbożnikiem i demoralizatorem t. j. głosicielem zgorszenia, a być mimoto głęboko religijnym. Jakie obecnie zapanowało zmącenie sumień, jaki upadek moralny wkradł się teraz do dusz ludzkich, kiedy zdania i opinije takie znajdują dziś posłuch i są bardzo często wypowiadane przez ludzi stojących na czele naukowego postępu, mających pretensye do uczoności i uznawanych niekiedy za naukowe powagi, kiedy słowem mogą być jeszcze dzisiaj przedmiotem rozpraw i uwagi publicznéj. Jest to znamieniem chwili tak wybitném, że więcéj objaśniać go tu nie widzimy potrzeby.

W kim złe nie przyćmiło rozumu i serca, kto jeszcze czyste i wrażliwe posiada sumienie, ten czuciem i drogą naturalnego rozumu odczuje i pojmie tę prawdę, że złe uczucia i złe myśli, rodzą i rodzić muszą zawsze złe czyny, że każda teorya naukowa przyjęta za prawdę i posiana w duszy człowieka, jak ziarno w ziemi rozwija się w nim, dojrzewa i wydaje owoc, czyn. Wyprowadzenie bowiem następstw, wyników i skutków z raz przyjętéj prawdy i wypełnianie ich w życiu, w czynie, jest taką niezbędną koniecznością natury moralnéj człowieka, jaka jest konieczność ziemi, która rzucone w nią ziarno grzeje i rozwija dotąd, dopóki nie rozwinie i nie wyda z niego owocu.

Prawda ta wielka jest duchem najwyższego i najpierwszego prawa, jakiego nam Bóg trzymać się zalecił, nakazując miłość dla siebie i dla bliźnich naszych. Prawem tém zabronione są nam nie tylko czyny złe, ale myśli złe, mowy złe i złe uczucia, dla tego właśnie, że one zawsze mocą przyrodzonego prawa, czyn każdy poprzedzają, t. j. rodzą go i do niego prowadzą.

Dla tego to po wszystkie czasy ludzie wyżsi na umyśle i sercu, ludzie prawdziwie uczeni i religijni byli zawsze wyznawcami téj prawdy, wedle niéj nauczali i wedle niéj postępowali. Z téj to przyczyny i wyżéj wspomniany uczony Fryderyk Barnard, prezes amerykańskiego towarzystwa badaczów przyrody, odrzucając tak dziś modną teoryę naukową, usiłującą zjawiska psychiczne podciągnąć pod kategorye praw mechaniki, powiada wyraźnie: „że tym sposobem przekraczamy dziedzinę swéj umiejętności, uwłaczamy imieniu nauki ścisłéj i jednego tylko niechybnego tu dosięgamy wyniku, iż przyczyniamy się do wyrugowania z umysłów ciemnego tłumu zasad moralności, stanowiących podwaliny jego bytu i szczęścia“ [1]). To co uczony ten powiada o mechanicznéj teoryi życia psychicznego, jako burzącéj zasady moralności, odnosi się także i do innych pokrewnych jéj teoryj, jak teoryi samorodztwa, Darwina o pochodzeniu gatunków, jedności rodu ludzkiego, duchowości i nieśmiertelności duszy i t. d., wszystkie one bowiem uznawane dotąd prawdy dogmatyczne, albo zupełnie znoszą, albo poddają je w wątpliwość, czém naturalnie burzą i burzyć muszą moralność, bo jak słusznie powiada Jan Śniadecki: „gdzie nie ma prawdy, ani pewności, tam nie ma téż i obowiązku, ani cnoty“ [2]).

Moralność jest to wypełnienie prawdy, jest to wcielanie jéj w życie. Moralności więc oderwanéj, niepodległéj, jak ją inaczéj jeszcze nazywają, nie ma i być nie może, i tak nie może ona mieć żadnego znaczenia, jak miłość bez przedmiotu, któryby kochać mogła. Moralność bowiem to nie pojęcie, to nie teorya, ale to czyn i życie, z żywéj prawdy, jak ze źródła wypływa ona i płynie, to jest żyje. Dla tego Guizot słusznie moralność niepodległą nazwał rzeką bez źródła, bo jak rzeki bez źródła tak moralności bez źródłowych prawd być nigdy nie może. Wielka ztąd dla nas w sprawie, o któréj mówimy,

1) Jak wyżéj.

2) Pisma T. III. o Metafizyce, str. 225.

wypływa prawda, a mianowicie, że kto dziś porzuca prawdę, jutro porzuci i moralność, a kto dziś nie umie rozróżnić prawdy od fałszu, jutro niezawodnie między złem a dobrem nie dopatrzy już różnicy.

Tym to sposobem przez posiew fałszywych zasad, przez apostolstwo błędnych nauk i nieprawdziwych teoryj, podkopuje się moralność i przygotowywa upadek, tak pojedyńczych ludzi, jak i całych narodów.

Wiemy przecie dobrze, że jaka dziś rodzina i jaka szkoła w narodzie, tacy będą i przyszli jego obywatele, wszystkie więc reformy i poprawy społeczne i narodowe muszą wprzód stać się przez nauczanie, przekonaniami ogółu, zanim się staną czynem t. j. przejdą w życie narodu.

Komu więc drogie jest zdrowie moralne człowieka i narodu, komu szczęście jego rzeczywiście leży na sercu, temu obojętném być nie może w jakim kierunku pracują uczeni, jak nauczają i jakie wydają książki. A co może jedna książka, jedna broszurka czasem, objaśnimy to przykładem.

Lat temu coś dwadzieścia wyszła w Paryżu mała książeczka pod tytułem: „Życie Chrystusa“, w któréj autor Renan, idąc za niemieckim Straussem dowodzi, że Chrystus nie był Bogiem, tylko filozofem. Pamiętamy wszyscy, jakie książka ta wszędzie wywarła wrażenie. Powstała walka wierzących i niewierzących, a w pośrodku nich, jak to zwykle bywa, stanęli obłudnicy, faryzeusze, którzy nie mając dość odwagi wyprzeć się jawnie Chrystusa w wieku chrześcijańskiéj cywilizacyi, zaczęli dowodzić, że Renan wielką dla chrześcijanizmu uczynił przysługę „oczyszczając *z błędów* tradycyę o Chrystusie“, „że Go podniósł“ detronizując z bóstwa a nominując na „wielkiego socyalistę i filozofa“, że cudowność sprowadził do złudzeń i praw naturalnych i t. d. I obrońcy ci dzieła Renana mienili i mienią się być Chrześcijanami! a przecież nie trzeba na to być filozofem, ani socyalistą, aby widzieć, że dziełko to małe, burzy cały gmach chrześcijanizmu z gruntu, zaprzeczając bowiem bóstwa Chrystusowi, a czyniąc Go tylko człowiekiem-filozofem, odrzuca tém nie tylko całą duchowość, cudowność, całą moc Jego nadprzyrodzoną, ale i nieomylną, bo boską powagę i pewność. Słowem, chrześcijanizm pod piórem Renana stał się doktryną filozoficzną, którą uznawać, lub nie uznawać i poprawiać dowolnie może każdy, jako rzecz ludzką; gdzie bowiem

nie ma nieomylnéj pewności i powagi nienaruszonéj, tam każdy iść może i musi za własném swém przekonaniem i własném upodobaniem, a więc Zoroaster, Konfucyusz, Plato, Arystoteles, Mojżesz, Rousseau, Kant, St. Simon, Hegel lub Chrystus może być równym kandydatem do wyboru, co nie znosi bynajmniéj nadto nadziei — t. j. pozwala jeszcze oczekiwać wyższego i mądrzejszego filozofa, który zada cios dotychczasowym mędrcom, a po nim znów może powstać inny i t. d., aż do skończenia świata, ludzie oczekując wyższéj prawdy zmieniać mogą co chwila religiję swoją t. j. żyć coraz to wedle innéj normy.

Dni Renana minęły — nastały dni Darwina. I Darwin także, jak prof. Renan, w książce naukowéj, powiedział: że gatunki się przemieniają“ i ta teorya czysto naukowa, na pozór mało znacząca, wstrząsnęła umysłami narodów i wszczęła się znów walka wierzących z niewierzącymi. I tutaj znowu, jak tam, stają między walczących o b ł u d n i c y, jako rozjemcy, jako godziciele, przekładając, że walka zbyteczna, obawy wierzących płonne, bo teorya Darwina, to część czysto naukowa, nie dotycząca spraw wiary ani moralności, i nietylko, że nie uwłacza w niczém godności człowieczeństwa, ale go nawet podnosi, dowodząc, „że jest najwyższym i najdoskonalszym wyrobem natury“. Ale nie trzeba być na to filozofem, bo dobra wiara przy zdrowym rozsądku wystarczy ażeby poznać, że teorya „pochodzenia człowieka od małpy“ uznana za prawdę, burzyć musi koniecznie nieomylność boskiego podania, że człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo boże, że oprócz ciała ma duszę nieśmiertelną, a więc jest czémś inném, jak zwierzęciem, t. j. że nie samém lepiéj wydoskonaloném ciałem swém różni się od niego.

Nie trzeba być zresztą filozofem, że teorya Darwina o pochodzeniu człowieka raz uznana za prawdę, w rozwinięciu swém, t. j. w następstwie wieść musi wprost do niemoralności. I n i e d ł u g o n a t o c z e k a n o . . . Znaleźli się mężowie stanu i socyaliści profesorowie, którzy z katedry „w a l k ę o b y t“ z w i e r z ą t, opisaną p r z e z D a r w i n a, stawili n a w z ó r i normę n a r o d o m i p a ń s t w o m, w czém zresztą są zupełnie logicznymi, bo jeżeli człowiek rzeczywiście ma być tylko doskonalszym fizycznie, w takim razie nie ma żadnéj racyi naznaczać mu inne prawa postępowania, aniżeli te, któremi się rządzą w ogóle zwierzęta — albo przeciwnie, nie tylko człowiekowi, ale i zwierzętom zmuszeni bylibyśmy przypisać moralność opartą na prawdzie, sumieniu i poczuciu obowiązków. Jest to najkonieczniejszy wniosek, bo jeżeli Geneza Mojżeszowa uczy nas, że Bóg stworzywszy człowieka na obraz i podobieństwo swoje, w ciało wzięte z ziemi, tchnął swój d e c h ż y w o t a, t. j. duszę nieśmiertelną, która jest podstawą i źródłem moralności w prawdziwém tego słowa znaczeniu, to teorya Darwina wywodząca człowieka z najniższych istot przez ciągłe przeobrażenia się, nigdzie nie powiada, kiedy i jak w łańcuchu tych przemian gatunkowych, przyłączyła się dusza, t. j. to, co wobec wszystkich, t. j. wierzących i niewierzących, prostaczków i mędrców, wyróżnia człowieka od zwierząt.

Ale nie mamy tu wcale zamiaru rozbierać i krytykować szczegółowo teoryę Darwina, zwróciliśmy na nią tylko uwagę dlatego, że ona za dni naszych jest najlepszym dowodem fałszywości tego modnego zdania, że teorye czysto naukowe nie mają nic wspólnego z wiarą i z moralnością.

Dziś szczególnie, gdy stary materyalizm przebrawszy się w szatę pozytywizmu usiłuje ducha i wszystkie jego objawy życiowe, jako niedające się ująć zmysłami, sprowadzić do materyi i sił fizycznych przyrody, słowem zaprzeczyć ich istnieniu, obowiązkiem jest każdego, kto kocha prawdę i czuje w sobie ducha, ostrzegać wszystkich przed obłudnikami, którzy okrywszy się szatą spokojnych badaczy przyrody, podstępnie podkopują się do arki prawd świętych, które będąc podwalinami prawdziwéj moralności, są zarazem z a d a t k i e m s z c z ę ś c i a l u d z i i n a r o d ó w.

Wielcy badacze i tłómacze przyrody znając dobrze naturę ludzką i pochopność człowieka w braniu przyczyn drugich za pierwsze i skutków za przyczyny, żywili zawszę w duszach swych obawy, aby zapoznawanie się z dziełami Bożemi zamiast prowadzić—nie odwodziło ludzi od Boga. Tak przynajmniéj rozumieć należy wstęp sławnego Bacona do swojego *Novum Organon*, w którym „prosi Boga, ażeby z jaśniejszego rozpalenia się światła naturalnego, z rozwinięcia się nauk przyrodniczych, nie zrodziła się niewiara w tajemnice Boże, lecz aby rozum uwolniony od próżności i czczych urojeń, uchylając się przed objawieniem, przyznał wierze to, co do wiary należy“.

Być może, że słowa Bacona nie dla wszystkich dziś jeszcze są powagą, albowiem zbyt może odległe przypominają nam czasy, przytoczymy więc tu słowa niezbyt dawne uczonego K a r o l a D a u b e n a, p r e z e s a z g r o m a d z e n i a a n g i e l s k i c h p r z y r o d n i k ó w, w których przyznając: „że w krajach i w czasach, kiedy uczeni w ogóle przechylają się ku niedowiarstwu i nauki przyrodnicze nie mogą

pozostać niedotknięte zarazą", dowodzi wyraźnie na czém polega ten wpływ nauk, szczególnie przyrodniczych, na moralność: „Badanie dzieł stworzenia uważane same w sobie, są słowa jego mowy z r. 1856, budzi raczéj pokorę jaka ściele drogę do wiary, aniżeli pychę, która uważa za rzecz niegodną siebie opieranie się na nadnaturalnym porządku. Uczą nas, że w przyszłém i wyższém życiu głównem zajęciem błogosławionych będzie wielbienie Boga. Ale czyż i rozpamiętywanie dzieł Twórcy i badanie praw wielkiego Prawodawcy świata, nie jest także aktem wielbienia i modlitwy? A jeźli tak jest, czy w nagrodę za sumienne dążenie do prawdy, jedném przynajmniéj ze źródeł szczęścia obiecanego nam w życiu przyszłém, nie będzie także rozwinięcie sił i zdolności naszego ducha, że zrozumiemy te prawa i tajniki przyrody, jakich teraz przeniknąć nie możemy? Czyż nauki przyrodnicze nie powinny w nas wzbudzić raczéj pokory niż pychę, skoro nam wskazują, jak wiele z dziedziny wiedzy musi być przed naszymi oczyma na zawsze zakrytego, skoro przekonywają, jak maleńką cząstkę zasłony dano nam uchylić: ą tym sposobem czyż nie powinny nas czynić ochotniejszymi do wdzięcznego przyjęcia téj nauki, jaka z Wysoka idzie, a jaka objaśnia nas w tych wszystkich pytaniach, jakich rozum ludzki, pozostawiony sam sobie, nigdyby zgłębić nie był w stanie".

Słowa te uczonego profesora Daubena mają tém większe znaczenie, że przemawiał on tu jako prezes, a więc przedstawiciel przyrodników angielskich. Donioślejszym jednakże nad to dowodem, że przekonania te są rzeczywistym wyrazem pojęć i uczuć większości badaczów przyrody w dzisiejszéj Anglii, jest sławne oświadczenie angielskich uczonych z lipca r. 1864, w którém wyjaśniają swe przekonania w sprawie stosunku wiedzy, a szczególnie przyrodoznawstwa do wiary i moralności. Oświadczenie to zaopatrzone przeszło dwustu podpisami znakomitości naukowych w Anglii, między którymi widzimy imiona trzydziestu członków królewskiego towarzystwa naukowego i czterdziestu lekarzy, ze wszechmiar zasługuje, abyśmy go tu w całości przytoczyli. Oto słowa jego:

„My niżéj podpisani oddając się badaniom nauk przyrodniczych, pragniemy wyrazić nasze szczere ubolewanie, z powodu, iż poszukiwanie prawd naukowych sprowadzone zostało za dni naszych, z właściwéj drogi, przez kilku ludzi, którzy dali powód do powątpie-

wań o prawdziwości i autentyczności Ksiąg świętych. Uważamy za rzecz niemożebną, ażeby słowa Boże wyryte w księdze przyrody, miały się przeciwić słowom Stwórcy zachowanym w Piśmie świętém.

Nie zapominajmy, że nauki fizyczne nie są jeszcze skończone, albowiem znajdują się dopiero na drodze do postępu, że teraz jeszcze rozum nasz widzi te rzeczy jak przez szkło—nie jasno, lecz nie wątpimy ani na chwilę, że nadejdzie chwila, w któréj wiara i wiedza zgodne będą z sobą aż do najdrobniejszych szczegółów.

Ubolewać nam przychodzi, że wielu osób niezajmujących się przyrodoznawstwem, spogląda z niedowierzaniem na nauki przyrodnicze, dla tego, iż je niektórzy stawiają w opozycyi z Pismem świętym.

Sądzimy, iż obowiązkiem jest wszystkich uczonych, starać się badaniami przyrody przyczyniać się do wyświecania prawdy, jeżeliby zaś pomiędzy otrzymanemi z nich wynikami—znalazły się takie, które przeciwiłyby się słowom Pisma Św., albo raczéj tłómaczeniu tego, które może być i błędném, nie należy zaraz twierdzić zarozumiale, że wyniki badań naukowych są tu dokładne i pewne, ale błędne i nieprawdziwe są słowa Ksiąg świętych. Przeciwnie należy je w spokoju zostawić na boku do czasu, dopóki nam Bóg nie pozwoli, iżbyśmy ujrzeli je w świetle zupełnéj zgodności. We wszystkich jednak wypadkach wątpliwych, lepiéj zawsze trzymać się jest wiary" [1]).

Oświadczenie to, jak i inne zdania powyżéj wspomniane, przytoczyliśmy tu dla tego, że wypowiedzieli je uczeni angielscy, na których powagę lubią się najczęściéj odwoływać teraz wyznawcy i głosiciele dzisiejszego pozytywizmu, a nadto, że religijny charakter ich wystąpienia, najmniéj może być posądzonym o ultramontanizm, klerykalizm lub papizm, albowiem nie są katolikami, których w takich razach „liberalni" przeciwnicy zwykli obdarzać takiemi przezwiskami, ale są anglikami, t. j. wyznawcami anglikańskiego kościoła.

---

1) *Sept Leçons de physique p. A. Cauchy etc.* str. 91.

Co nauka wie o wszechświecie.

Nie ulega żadnéj wątpliwości, że nauki przyrodnicze w naszym wieku olbrzymi uczyniły postęp. Od Newtona aż do naszych czasów więcéj poczyniono odkryć naukowych i pełniejszą zdobyto wiedzę całego systemu natury, aniżeli przez całe wieki przeszłości, można nawet powiedzieć, aniżeli od samego zarania cywilizacyi.

Ale pomimo tych postępów ogromnych, nikt twierdzić nie może, aby nauka natury dobiegała już swego celu. Nawet co się tyczy pierwszéj części jéj zadania, t. j. zebrania i zbadania faktów, daleko jéj jeszcze do końca. Prawda, że nauka postąpiła w tym względzie daleko. Niedawne to czasy, kiedy liczono n. p. tylko planety: Merkurego, Wenerę, Marsa, Jowisza, Saturna i przypuszczalnego Wulkana, dzisiaj ilość ich tak się powiększyła, że wyczerpano prawie bóstwa Olympu na ich nazwanie. Pod koniec zeszłego wieku powiększyła się jeszcze ta liczba odkryciem Uranusa, a już za naszych czasów odkryciem Neptuna.

Herszel obrachował, że w systemie mlecznéj drogi znajduje się do trzydzieści milionów słońc. Nasze teleskopy, nietylko drogę mleczną, ale już i część tak zwanych obłoczków mgławych rozłożyły na grupy gwiazd pojedynczych. Wszystkie te jednak odkrycia otwierają nam tylko przestrzenie we wszechświecie nieskończenie od nas oddalone, których pełnego poznania nigdy tu zapewne na ziemi mieć nie będziemy. Ale i o tych gwiazdach, które stosunkowo są bardzo nas bliskie, co może nam powiedzieć astronomia? Zbadano prawa ich ruchu, na jasném słońcu nawet odkryto plamy, a na po-

wierzchni księżyca góry, ale pomimo to, dziś jeszcze musimy z Burmejstrem, profesorem Zoologii w Halli i geologiem, powiedzieć: „Wiadomości i badania odnoszące się do szczegółowych ciał niebieskich, są bardzo skąpe i ułamkowe, tak iż niewiele objaśnić nas mogą o fizycznych tych ciał własnościach, a tém mniéj o dziejach ich formowania się, o katastrofach, jakim ulegały w ciągu swego rozwijania się“.

Jeżeli z nieba zstąpimy na ziemię, zapytać znowu możemy, co nauka wie niezawodnego o planecie przez nas zamieszkałéj? Geognozya ryła się w jéj skorupie i znalazła całe szeregi przeróżnych pokładów, skały pierwotne, przechodowe i t. d. Poprowadziła nas na wielki cmentarz wieków pierwotnych, i zapoznała z mnogiemi i przedziwnemi formami istot nieznanych i dawno wygasłych gatunków. Ale wszystko to bardzo mało. Co się pod powierzchnią kryje, zbadano stosunkowo w nader nielicznych jeszcze miejscach. „Trzy piąte całéj powierzchni kuli ziemskiéj, mówi Huxley, pokrywa woda, i pokrywała ją tak samo odkąd człowiek począł robić swoje spostrzeżenia. Trzy piąte tedy części powierzchni ziemi zakryte są przed naszemi oczami. A w pozostałych tych dwóch piątych częściach, ile stron zbadano tak, że badanie to rzeczywiście na nazwę geologicznego badania zasługuje? Część tylko Francyi, Niemiec, Anglii i Irlandyi, niektóre Hiszpanii, Włoch i Rosyi, ale nie wiemy nic o całym ogromnym obszarze Afryki z wyjątkiem niektórych jéj południowych krańców; nie wiemy nic o większych jeszcze obszarach Azyi, z wyjątkiem tylko małych kawałków w Indyach, nie znamy wreszcie pod tym względem Ameryki, bo nader mało badano tam i to tylko Stany Zjednoczonego i Kanadę. Tak więc pokazuje się, że zaledwie dziesięciotysięczna część przystępnéj dla nas części ziemi zbadaną została“.

W ziemię najgłębiéj zapuszczano się podług Humboldta, nie więcéj jak na 2,000 stóp, a zatem mniéj niż na $^1/_{11}$ mili pod powierzchnią morza, czyli na dziesięciotysięczną część średnicy ziemi. Najgłębsze nawet kopalnie i studnie artezyjskie w stosunku do średnicy ziemi są podług trafnego porównania Nöggerata (profesora Mineralogii przy Uniw. w Lipsku), jakby cięciami komara. Wystawiwszy sobie ziemię w postaci globusa, mającego 16 cali średnicy, wówczas papier na globusie nalepiony, prawie dosyć będzie grubym, aby mógł przedstawiać skorupę ziemi, o ile w nią się zagłębiono. Zadraśnięcie igłą po lakierze globusa będzie tak głębokie, jak najgłębsze na ziemi kopalnie. — „Co niżéj leży, mówi Humboldt, tak jest nam nie-

znane, jak wnętrze innych planet naszego systematu słonecznego. Gdzie zaś, mówi on daléj, zbywa na wszelkiéj znajomości chemicznego i mineralogicznego składu wnętrza kuli ziemskiéj, tam znowu, jak i co do ciał najdalszych około słońca krążących, poprzestawać musimy na samych tylko przypuszczeniach".

Księga natury jest dotąd dla człowieka jeszcze w większéj części księgą zamkniętą, i choć wiele jest kart przerzuconych, jednak każdy znający się na rzeczy przyzna, że wiele dla nas pozostaje stron ciemnych, że dalszy postęp nauki zapoznać nas może z nieprzeczuwanemi nawet danemi, że prawdopodobnie wiele rzeczy pozostanie na ziemi niezbadanych na zawsze, że w każdym razie dzisiejsza nauka natury, nie może się poszczycić tém, iż dobrze zna swój przedmiot, i że pełność takiego poznania podług ludzkich obrachowań pozostanie na zawsze niedoścignym ideałem. „Umiejętności doświadczalne, mówi Humboldt, nigdy nie są skończone. Bogactwo spostrzeżeń zmysłowych jest niewyczerpane; żadne pokolenie nie będzie się mogło nigdy pochwalić, że rozpatrzyło wszystkie zjawiska".

Wreszcie w wielu punktach geologia nie może się pochlubić żadnemi pewnemi rezultatami, bo nietylko że nieraz za naukowo pewną uznana hypoteza pokazała się późniéj zupełnie błędna, ale często pomiędzy najznakomitszymi badaczami zachodzi różnica zdań, a przykładów tego nie brakuje jak wiemy.

„Najbardziéj nawet w swoją naukę zaufani naturaliści, mówi Deutinger, profesor Filozofii w Monachium, zaprzeczyć nie mogą, że w dziedzinie przyrodniczéj błąd nietylko jest możliwy, ale do pewnego punktu nawet nieunikniony".

Ztąd też w rzeczy saméj gruntowni badacze w ocenianiu nawet tego, co geologia i nauka przyrodnicza w ogólności uważa za zupełnie pewny nabytek, są nader skromni i nader surowi względem hypotez, odnoszących się do pierwotnych peryodów kuli ziemskiéj. — Tak n. p. Huxley, sławny naturalista, mówi: „Najogłędniejsi pomiędzy zajmującymi się tego rodzaju poszukiwaniami, obstają słusznie przy twierdzeniu, że geologiczne nasze wiadomości są jeszcze bardzo niedostateczne; bo z natury saméj rzeczy nawet płynie, że wiadomości te będą ułamkowe i niepewne. Niestety, zbyt często zapominają o tém ludzie. Ludzie naukowi, podobni do źrebaczków na zielonéj łące, biegają radośnie po nowém polu badania, rozpędzają się galopem bez względów na płoty i rowy, tracą z oczów rzeczywiste

granice swoich poszukiwań i zapominają o bardzo wielkiéj niedostateczności tego, co rzeczywiście znamy. Geologowie sobie wyobrazili, że mogą nam powiedzieć, co w danym czasie działo się na jakim punkcie powierzchni ziemskiéj, i wymyślili historyę kuli ziemskiéj tak pełną bajek i cudów, jak wiele innych historyj dawnych czasów".

Wiara, Nauka, Wiedza i Sztuka.

Wierzymy w Boga, który żyje i kieruje wszystkiém. Bóg jest to najdoskonalsza Istota, wolna od wszelkich niedostatków nieodłącznych od istoty stworzonéj. Jest On od wieków, w bycie i w działaniu swojém od żadnéj innéj istoty niezależny i niczém po za Nim będącém nieograniczony. Jest istotą osobistą posiadającą nieskończony rozum i wolę, chcący tylko tego, co odpowiada Jego doskonałości i mogący urzeczywistnić wszystko, co tylko chce. Jest On od wieków koniecznie; po za Nim jednak nic nie ma bytu koniecznego. Wystarcza sam sobie, w sobie ma całe szczęście i nie potrzebuje dla siebie żadnéj innéj po za sobą istoty. Że po za Nim są istoty inne, wynikło to z wolnego aktu Jego woli. Konieczności tworzenia nie było ani po za Nim, bo po za Nim nie ma nic, jak tylko przez Niego; ani w Nim samym, bo sam od wieków wystarczał sobie. Mógł też nie tworzyć, a gdy wolnym aktem swéj woli tworzył, mógł stworzyć świat inaczéj, inaczéj uorganizowany, inaczéj ukształtowany. Co zaś stworzył, jest pomnikiem jego potęgi, mądrości. — Wszystko tak jest stworzone, jak On chciał stworzyć; każda pojedyncza rzecz, wielka czy mała, każde słońce, czy każda trawka, jest wtedy i tam, gdzie i kiedy dała im byt Jego wszechmoc, dla któréj równie łatwo tworzyć systematy słoneczne jak i drobne trawki. Mógł cały ten świat tak uorganizowany i zupełnie rozwinięty, jak go dziś widzimy, odrazu do bytu wywołać; mógł też proste pierwiastki stworzyć i włożyć w nie siły wolnego urabiania się do pewnych kształtów. Jedno i drugie zarówno łatwém było dla Jego wszechmocy; co zaś z dwojga uczynił, to zależało od Jego mądrości i od Jego wolnéj woli. Prawa, jakie w świecie widzialnym dostrzegamy, są Jego prawami: mógłby je był

dać inaczéj, gdyby był chciał; są one dopóki Mu się podoba; mógłby je w każdéj chwili zmienić, zawiesić lub usunąć; a czy w nich co zmienia, czy też pozwala im działać w niezmiennéj ciągłéj ich sile, zależy to od Jego mądrości i woli. Widzi wszystko, wszystkiém kieruje, nad wszystkiém opatrzne ma oko; Jego potęga i Jego mądrość utrzymują gwiazdy w ich orbitach, ubiera lilie polne i żywi ptastwo niebieskie, i bez Jego wiedzy i woli, nie spada żaden ptak z powietrza, żaden włos z głowy.

Jestto w słabych rysach obraz Boga, a godnie niezdolny go wysłowić żaden język, żaden duch i Anioł niebiański. Kto w tego Boga wierzy ten w harmonijnéj zgodności dopatrzy działania Bożego tak z kart Pisma św., wiary św. jak i z kart natury.

O. Fraas, prof. geognozyi w Stuttgardzie, mówi: „Co się tyczy pierwszego początku rzeczy, nauki przyrodnicze nic innego nie umieją powiedzieć, nic lepszego nad to, co każdy już dawno wiedział: że na początku Bóg stworzył niebo i ziemię".

„Jest to oczywiste złudzenie, mówi Kurtz, prof. Uniwer. w Dorpacie, gdy sobie naturalista wyobraża, albo w drugich wmówić usiłuje, że rezultaty jego badań empirycznych przywiodły go do zaprzeczenia nauki Pisma świętego, o stworzeniu świata; nie jego badania przyrodnicze są tego powodem, a l e j e g o f i l o z o f o w a n i e".

A jednak wielu ludzi mających się za uczonych, głoszą w imię nauki, że dowodzenia ich są nieomylne, że nikt nie może zaprzeczyć im ich wielkiego rozumu—ich nauki!—A jednak, ludzie ci tak chełpiący się nauką, nie umieją odpowiedzieć, co to jest nauka?

Tak jest, nie umieją odpowiedzieć—bo nie wiedzą tego sami.

Prawdziwa nauka, jak prawdziwa wiara, od Boga pochodzi: to dwoje oczu człowieka; jak zgodność obu oczu tworzy doskonałe widzenie, tak wiara w połączeniu z rozumem daje człowiekowi prawdę, to jest widzenie i poznanie wszystkiego, co jest.

Nauka, mówi św. T o m a s z, jest to poznanie rzeczy w ich p r z y c z y n a c h. Nie jest to poznanie r z e c z y s a m y c h, lecz poznanie p r z y c z y n r z e c z y, jest to filozofia całego obszaru poznania ludzkiego.

Tém jest nauka w ogólności.

Tak więc astronomia nietylko powinna się zajmować odkrywaniem gwiazd, sprawdzaniem ich wzajemnych położeń i ruchów, ma jeszcze oprócz tego, zgłębiać wyższe prawa rządzące światem gwiazd, o tyle przynajmniej o ile człowiek w tém życiu zbadać je może. Leżą tam bowiem

Wiara, Nauka, Wiedza i Sztuka.

Wierzymy w Boga, który żyje i kieruje wszystkiém. Bóg jest to najdoskonalsza Istota, wolna od wszelkich niedostatków nieodłącznych od istoty stworzonéj. Jest On od wieków, w bycie i w działaniu swojém od żadnéj innéj istoty niezależny i niczém po za Nim będącém nieograniczony. Jest istotą osobistą posiadającą nieskończony rozum i wolę, chcący tylko tego, co odpowiada Jego doskonałości i mogący urzeczywistnić wszystko, co tylko chce. Jest On od wieków koniecznie; po za Nim jednak nic nie ma bytu koniecznego. Wystarcza sam sobie, w sobie ma całe szczęście i nie potrzebuje dla siebie żadnéj innéj po za sobą istoty. Że po za Nim są istoty inne, wynikło to z wolnego aktu Jego woli. Konieczności tworzenia nie było ani po za Nim, bo po za Nim nie ma nic, jak tylko przez Niego; ani w Nim samym, bo sam od wieków wystarczał sobie. Mógł też nie tworzyć, a gdy wolnym aktem swéj woli tworzył, mógł stworzyć świat inaczéj, inaczéj uorganizowany, inaczéj ukształtowany. Co zaś stworzył, jest pomnikiem jego potęgi, mądrości. — Wszystko tak jest stworzone, jak On chciał stworzyć; każda pojedyncza rzecz, wielka czy mała, każde słońce, czy każda trawka, jest wtedy i tam, gdzie i kiedy dała im byt Jego wszechmoc, dla któréj równie łatwo tworzyć systematy słoneczne jak i drobne trawki. Mógł cały ten świat tak uorganizowany i zupełnie rozwinięty, jak go dziś widzimy, odrazu do bytu wywołać; mógł też proste pierwiastki stworzyć i włożyć w nie siły wolnego urabiania się do pewnych kształtów. Jedno i drugie zarówno łatwém było dla Jego wszechmocy; co zaś z dwojga uczynił, to zależało od Jego mądrości i od Jego wolnéj woli. Prawa, jakie w świecie widzialnym dostrzegamy, są Jego prawami: mógłby je był

dać inaczéj, gdyby był chciał; są one dopóki Mu się podoba; mógłby je w każdéj chwili zmienić, zawiesić lub usunąć; a czy w nich co zmienia, czy też pozwala im działać w niezmiennéj ciągłéj ich sile, zależy to od Jego mądrości i woli. Widzi wszystko, wszystkiém kieruje, nad wszystkiém opatrzne ma oko; Jego potęga i Jego mądrość utrzymują gwiazdy w ich orbitach, ubiera lilie polne i żywi ptastwo niebieskie, i bez Jego wiedzy i woli, nie spada żaden ptak z powietrza, żaden włos z głowy.

Jestto w słabych rysach obraz Boga, a godnie niezdolny go wysłowić żaden język, żaden duch i Anioł niebiański. Kto w tego Boga wierzy ten w harmonijnéj zgodności dopatrzy działania Bożego tak z kart Pisma św., wiary św. jak i z kart natury.

O. Fraas, prof. geognozyi w Stuttgardzie, mówi: „Co się tyczy pierwszego początku rzeczy, nauki przyrodnicze nic innego nie umieją powiedzieć, nic lepszego nad to, co każdy już dawno wiedział: że na początku Bóg stworzył niebo i ziemię“.

„Jest to oczywiste złudzenie, mówi Kurtz, prof. Uniwer. w Dorpacie, gdy sobie naturalista wyobraża, albo w drugich wmówić usiłuje, że rezultaty jego badań empirycznych przywiodły go do zaprzeczenia nauki Pisma świętego, o stworzeniu świata; nie jego badania przyrodnicze są tego powodem, a l e j e g o f i l o z o f o w a n i e“.

A jednak wielu ludzi mających się za uczonych, głoszą w imię nauki, że dowodzenia ich są nieomylne, że nikt nie może zaprzeczyć im ich wielkiego rozumu—ich nauki!—A jednak, ludzie ci tak chełpiący się nauką, nie umieją odpowiedzieć, co to jest nauka?

Tak jest, nie umieją odpowiedzieć—bo nie wiedzą tego sami.

Prawdziwa nauka, jak prawdziwa wiara, od Boga pochodzi: to dwoje oczu człowieka; jak zgodność obu oczu tworzy doskonałe widzenie, tak wiara w połączeniu z rozumem daje człowiekowi prawdę, to jest widzenie i poznanie wszystkiego, co jest.

Nauka, mówi św. T o m a s z, jest to poznanie rzeczy w ich p r z y c z y n a c h. Nie jest to poznanie r z e c z y s a m y c h, lecz poznanie p r z y c z y n r z e c z y, jest to filozofia całego obszaru poznania ludzkiego.

Tém jest nauka w ogólności.

Tak więc astronomia nietylko powinna się zajmować odkrywaniem gwiazd, sprawdzaniem ich wzajemnych położeń i ruchów, ma jeszcze oprócz tego, zgłębiać wyższe prawa rządzące światem gwiazd, o tyle przynajmniej o ile człowiek w tém życiu zbadać je może. Leżą tam bowiem

głębokie tajnie, świadczące wymownie o świecie nadzmysłowym. Im bardziéj astronom zgłębi te prawa, tém więcéj zasłuży na nazwę uczonego. Jeźli ich nie zna, lub zna opacznie, to jest tylko półmędrkiem.

Medycyna jest nietylko długim szeregiem doświadczeń i sprawdzonych danych, oraz prostém poznaniem środków, leczących najlepiéj tę lub ową słabość; jestto nadto trudna bardzo i tajemnic pełna znajomość zdrowia i chorób, oraz wewnętrznych przyczyn słabości. Lekarz, nie sięgający tych przyczyn, może być biegłym i bardzo użytecznym empirykiem, lecz nie jest i nie będzie nigdy uczonym.

Dzieje nie są tylko prostém poznaniem faktów, ani chronologicznem spisywaniem wszystkiego, co się stało na ziemi od stworzenia świata, owszem, są raczéj przenikaniem tajemnych przyczyn wszystkich wypadków, wszystkich walk, w których z kolei dobre tryumfowało nad złém, złe nad dobrém. Poznanie tych przyczyn stanowi naukę dziejów, dziejopisarza, uczonego, filozofa.

Toż samo możnaby powiedzieć o wszystkich naukach: o fizyce, geologii i t. d. Naukowe badanie oparte na zmysłowém doświadczeniu, nie może nigdy wznieść się do pierwszéj przyczyny wszechrzeczy. Pierwszą zasadą nauk przyrodzonych jest pewnik, że z niczego nic być nie może, a zatem i przedmiotem ich badań mogą być tylko przemiany rzeczy już istniejących, a nie sam początek ich istnienia.

Wiedza wymagająca tylko pamięci, rozbioru, cierpliwości, uwagi, nie stanowi jeszcze bynajmniéj nauki. Specyaliści im oddani, jakkolwiek wielką byłaby ich wiedza, są tylko erudytami: brak ich badaniom istotnego charakteru nauki; znajomości filozoficznéj przyczyn wszystkich dowodzonych zjawisk.

Ten jeden wzgląd nieodwołalnie zrywa naukowy biret z głowy mnóstwa ludzi, mniéj lub więcéj wykształconych, szczycących się tém za dni naszych.

Chirurgia n. p. nie jest i nie może być nauką, jestto sztuka. Rzecz się ma tak samo z wieloma praktycznemi zastosowaniami fizyki, chemii, a nawet matematyki; czynności potrzebujące ustawicznie zastosowań materyalnych, nie mogą być zaliczone do rzędu nauk. Wszelka nauka jest z istoty swojéj filozoficzną, to znaczy: zasadza się przedewszystkiém na rozumie, i powinna umieć na nim się opierać bez cienia zastosowania praktycznego.

Należy poważnie zastanowić się nad tém, a zobaczymy, jak fałszywe są roszczenia mnóstwa ludzi wykształconych naszego wieku,

którym matematyczne abstrakcye skrzywiły sąd i pozbawiły ich wiary. Fałszywa nauka zaciemnia i w pychę wprowadza, gdy prawdziwa oświeca i podnosi.

Tytuł erudyta, to nie dosyć: aby być uczonym, trzeba być człowiekiem nauki, a nie tylko wiedzy i sztuki.

Warto zastanowić się nad godném uwagi określeniem nauki, jakie daje św. Tomasz z Akwinu. Dobre zrozumienie tego określenia rozjaśnia zupełnie kwestyą, sięga aż do gruntu i pokazuje naukę w prawdziwém świetle. Nic nad to prostszego, nic głębszego: Nauka, jest to poznanie rzeczy w ich przyczynach.

Dwie nauki.

ROZDZIAŁ I.

Bóg objawił się ludziom, nietylko w sposób nadnaturalny, ale i przez naturę. „Niebiosa, mówi psalmista, rozpowiadają chwałę Bożą, a dzieła rąk jego oznajmują utwierdzenie... Nie masz języków, ani mów, któreby nie słyszały głosów ich“. I podług nauki Starego i Nowego Testamentu (ks. Mądrości r. XIII i list do Rzymian r. I), badanie świata widzialnego, nawet dla stojących po za światłem objawienia, jest środkiem dojścia do poznania Boga i jego wielkości.

Kiedy więc Pismo św. i natura są środkami objawienia, skoro przez obie Bóg do człowieka przemawia, skoro obie są jakoby księgami napisanemi ręką Boga, aby w nich człowiek prawdę wyczytywał, to oczywiście pomiędzy tém, czego uczy Pismo św., i tém, czego naucza natura, sprzeczności żadnéj być nie może.

„Pismo św. i natura, mówi Kurtz *(Bibel und Astronomie, 3. Aufl.)*, jak jedno tak i drugie jest słowem bożém, zgadzać się z sobą muszą. Gdzie téj zgody nie ma, albo tłómaczenie teologa, albo tłómaczenie naturalisty jest błędne“.

Inny uczony angielski mówi *(Geology in its relation to revealed religion. By. C. B. Dublin*, str. 1): „Najmędrszy i wszechmocny Bóg nie mógł nic takiego objawić, coby później nauka natury jako błąd wytknąć mogła“. Ani też natura niemoże niczego nauczać, coby sprzeciwiać się mogło temu, co Bóg objawił“.

W piśmie amerykańskiém uczonych *(American Journal of Science*, VIII, 155) mówi geolog: „Możemy zapewnić, że wielu bardzo jest geologów, tak w Europie jak i w naszym kraju, którzy nietylko uznają prawdę objawienia, ale wszystką swoją nadzieję na téj prawdzie opierają, których przywiązanie do téj prawdy silniejsze jest niż śmierć, i którzy za największą sobie chwałę i za największe swoje szczęście poczytują, jeżeli mogą prawd objawionych bronić: geologowie, którzy się cieszą, że w każdéj formacyi widzą ślady twórczéj i opiekuńczéj ręki Bożéj“.

Tak jest, Pismo św. nie zawiera żadnego błędu, bo jest księgą napisaną pod natchnieniem i przewodnictwem Bożém: natura nie może nauczać żadnego fałszu, bo i ona jest dziełem tegoż samego Boga, który do ducha ludzkiego przemawia, tak słowami nauki objawionéj, jak i niememi znakami natury. Ale duch ludzki może się mylić, może te słowa, te oznaki źle wyrozumieć, i w saméj rzeczy źle je rozumie, ilekroć mu się wydaje, że między słowem Pisma św., a słowem natury zachodzi sprzeczność. I niezawodnie do innego rezultatu przyprowadzi dokładniejsze wyrozumienie tekstu Pisma św., albo też głębsze zrozumienie natury.

I tak:

Księga Rodzaju [1]) mówi nam, że Pan Bóg wszechmocny i wieczny, chcąc stworzyć świat, uczynił go w sześciu dniach; że pierwszego dnia stworzył światło; drugiego, powietrze i wody; trzeciego, ląd stały z królestwem roślin; czwartego, słońce, księżyc i gwiazdy; piątego, istoty żyjące w wodzie i powietrzu; szóstego nakoniec, wszystkie zwierzęta ziemskie, a jakby na uwieńczenie, na granicy szóstego i siódmego dnia, stworzył człowieka, ten obraz Boży w pośrodku stworzenia.

Niektórzy geologowie mówią: To być nie może, mamy na to dowód materyalny. Badania rozmaitych warstw czyli pokładów, leżących jedne na drugich i tworzących skorupę ziemi, dowodzą, że potrzeba było całych stuleci, zanim ziemia doszła do obecnego stanu. Prawda, mówią oni, że opowiadanie Pisma św., o ile to być może, zgadza się z porządkiem układania się, jaki spostrzegamy w rozmaitych warst-

1) Pamiętać trzeba i na to, że celem Pisma św. nie jest nauka natury, ale prawdy, porządku religijnego, i że Pismo św. o tyle mówi tylko o rzeczach natury, o ile to jest potrzebném, aby łatwiéj pojąć wszechmocność Bożą i prawdy Boże—i przemawia językiem ludzkim do ludzi.

wach, i zawierających się w nich szczątkach skamieniałych; lecz nie możemy przypuścić, żeby to było dziełem sześciu dni.

A czyż św. Piotr apostoł nie powiedział: „Niech wam tajno nie będzie, iż jeden dzień u Pana jako tysiąc lat, a tysiąc lat jako jeden dzień (List II. 3. 8). Przez wyraz hebrajski, który Księga Rodzaju tłómaczy wyrazem dzień, można dobrze rozumieć nieokreślony przeciąg czasu, a wyrazy wieczór i poranek, których używa w tym rozdziale, tłómaczy się również w znaczeniu początek i koniec. Św. Augustyn mówi wyraźnie, że dni w Księdze Rodzaju mogą oznaczać peryody krótsze lub dłuższe. A zatém przyjmując bez ograniczenia niektórych geologów hypotezę zawsze wykład ten pozostanie nienaruszonym wobec ich twierdzeń.

Ale możnaby tu dodać kilka uwag do tych przypuszczalnych bezmiernych peryodów, między innémi n. p. tę, że nie można wyrazić jaką była, pod nieobliczonem działaniem ognia w wnętrzu ziemi, praca żywiołów, szybkość wegetacyi i siła życia zwierzęcego. Jestże to logicznie, z obecnego stanu rzeczy wnioskować o innym już nieistniejącym, o którym nie mamy nawet wyobrażenia? [1]) Dla czegóżby n. p. pod działaniem tysiąc razy, dziesięć tysięcy razy potężniejszém, to lub owo geologiczne zjawisko, wymagające w obecnym stanie rzeczy kilka wieków do spełnienia się, nie mogło się dopełnić w jednym dniu, lub nawet w kilku minutach?

1) N. p. słońce stworzone było dnia czwartego. Cóż więc wyobrazić sobie można o świetle, które stworzone już było w pierwszym dniu? Mojżesz mówi: „że na rozkaz Boga stało się światło". Choć więc dziś otrzymujemy światło od słońca, nikt nie może tego dowieść, aby Bóg nie mógł innym sposobem sprawić światła, On co wszystko stworzył. Wszak sami naturaliści przyznają, że nie wiedzą jakim na pewno sposobem powstaje światło słoneczne — i że bardzo prawdopodobnie, że źródłem światła dla ziemi jest nie samo słońce, ale otaczająca je atmosfera świetlana; a słońce stanowi zupełnie odrębne ciało, od téj otaczającéj go atmosfery świetlanéj, od któréj wewnątrz jest oddalone na wielką przestrzeń.

Wilhelm Herszel obserwując plamy na słońcu, utrzymuje: „że słońce jest to kula stała, ciemna, że jest otoczona atmosferą światła, która roztwierając się i ustępując, daje przez te otwory widzieć jądro ciemne, które dla nas przedstawiają się jako plamy". — O. Secchi zaś twierdzi, że jądro to jest masą płynną, a wokoło otacza je świetlana fotosfera — a plamy na słońcu, które się okazują, mają być skutkiem wybuchów.

Wielu naturalistów wraz z Humboldtem w zorzy północnéj i w niektórych innych zjawiskach widzą dowód: „że planeta, oprócz światła otrzymanego od słońca, może mieć jeszcze i własne światło". Skoro więc, jak mówi Humboldt,

Jeżeli pierwiastek puszczania drzew był tysiąc razy czynniejszy wtedy, niż jest dziś, dlaczegożby to drzewo, które teraz dochodzi pełnego wzrostu w przeciągu pięćdziesięciu lat, nie doszło w owym czasie w ośmnastu lub dwudziestu dniach, t. j. w tysiącznéj cząstce pięćdziesięciu lat? Toż samo twierdzenie zastosować można także do tworzenia się życia zwierzęcego.

O formacyi węgla, Bosizio, geolog, nadmienia: „że pokłady węgla kamiennego formowały się na sposób torfu; a że dziś, jak wiemy, torf uformować się może w przeciągu 40 — 50 lat na węglisty pokład głębokości sążnia, to w pierwotnych czasach bujniejszéj wegetacyi można przypuścić siódmą lub ósmą część czasu, a zatém 5 — 7 lat, — czas więc dla uformowania się węgla wcale nie wypadnie olbrzymi".

Goeppert mówiąc o przemianie roślin na masę węglistą, pisze: „Przez jaki przeciąg czasu, odbyło się całe to przeobrażenie, nikt nawet w przybliżeniu oznaczyć nie może. Widziałem ciała roślinne, zamienione na kamienny i brunatny węgiel, w wodzie blizkiéj punktu wrzenia, przez ciąg $1^{3}/_{4}$ roku, widziałem sukno wystawione na działanie gorącéj pary wodnéj, i po sześciu latach zamienione na błyszczący węgiel czarny; fakta te oddawna znane, przypominam tym, którym się zdaje, że cytowaniem olbrzymich peryodów lat, większy nadadzą interes swoim badaniom geologicznym" (Wagner: *Gesch. der Urwelt.* II. 516).

źródło ziemskiego światła tak jest rozmaite, skoro nauka teraz jeszcze światło słoneczne oświecające ziemię rozróżnić musi od samego ciała słonecznego, któż może twierdzić, że przed nastąpieniem porządku rzeczy, przed dokonaniem organizacyi systemu słonecznego (co było dziełem dopiero dnia czwartego) nie mogło być światła, w inny aniżeli dzisiaj sposób oświecającego naszą ziemię?

Albo też, rośliny dopiero trzeciego dnia były stworzone, gdy tymczasem słońce czwartego dnia. Widoczna więc, że światło i ciepło na ziemi, nie było w ten sposób jak dziś od słońca zależne, a więc i wegetacya nie była taka jak dziś, i nie była tak jak dziś od słońca zależna. Skoro było wówczas światło, więc były i inne działacze natury: ciepło, elektryczność, magnetyzm, chemizm, a zatém mogła już jako dzieło trzeciego dnia wystąpić roślinność.

A zatém:

1. Dziełem było bożém, że ziemia zanim weszła w dzisiejszy swój do słońca stosunek, była oświeconą.

2. Światło to, wraz z innemi siłami natury, było tego rodzaju, że stworzone od Boga rośliny mogły przy niém istnieć.

Astronomia przeciw tym dwom punktom nic zasadniczo powiedzieć nie może.

Zresztą w tém cofaniu się do różnych stanów poprzednich trzeba gdzieś stanąć, oprzeć się na jakimś stanie pierwotnym; w jakim zaś stanie ziemia była i ciała niebieskie, tego empiryczne badanie nigdy nie rozwiąże. A i z obliczeń trwania owych hypotetycznych przemian naszéj planety, rzecz wcale niełatwa. Gdybyśmy n. p. komu z wynalazkami nowożytnémi nieobeznanemu, pokazali grupę fotograficzną, z znacznéj liczby osób złożoną, i zapytali: jak długo, sądzi, był robiony ten obraz wraz z wszystkiemi przedstawionemi osobami? Zapytany po zbadaniu dowodziłby naukowo, że na to całych tygodni, a może i miesięcy kilku potrzeba było; a tymczasem obraz ten w kilku sekundach powstał. Tak i geolog, gdy rozpatruje masy granitu i t. p., rachuje setki wieków, a tymczasem wszystko to mogło się stać w daleko krótszym czasie przy warunkach wyż wymienionych. „U Boga tysiąc lat jako dzień“ (Ps. 89. 4), i znowu „jeden dzień jako tysiąc lat“ (z Piotra list. II. 3. 8).

W tém, co się tu powiedziało, nie ma, jak widzimy, żadnego naukowego niepodobieństwa. I jakikolwiek byłby przeciąg dni czyli peryodów, w opowiadaniu Pisma św., nauka geologiczna nie sprzeciwia się tu wcale księgom Rodzaju.

Ale jakto zaraz zobaczymy w dalszym ciągu opowiadania, była i jest pewna liczba materyalistów, którzy w swoich badaniach wszelkich używają środków, aby do nich naginać teksty Pisma św., i takowe przekręcać, choć niczego dowieść nie są w stanie, albowiem ich błędne mniemania zawsze upadają, a prawda objawiona zostaje niewzruszona.

P. Laplace, wygłosił przy końcu zeszłego wieku, iż odkrył, że gwiazdy i nasza ziemia powstały wskutek zgęszczenia się pierwotnéj materyi gazowéj, że tak zwane obłoczki mgławe są właśnie ową materyą pierwotną z jakiéj powstają gwiazdy, i wyrzekł: „Teraz można się obejść bez Boga“ (późniéj za pomocą lepszych teleskopów sprawdzono, że to były roje gwiazd, a nie mgła) przypuśćmy jednak że tak jest a czego nie przeczymy że wszystkie gwiazdy, ziemia i t. d. powstały z mgły [1]), to zapytamy, kto zrobił tę pierwotną mgłę? czy

1) W czém własnie jeszcze większa objawia się wszechmocność Boga — i miejmy nadzieję, że Bóg odkryje ludzkości na większą chwałę swoję, że to co dziś jest przypuszczeniem i o co uczeni toczą między sobą walkę—da Bóg sprawdzi się, że pierwiastek pierwotny wszystkich ciał we wszechświecie, powstał z atomów eteru... O jak Bóg jest cudowny w dziełach swoich!

sama powstała? z czego? Jeźli najmniejsza rzecz sama się nie stworzy, to jak przypuścić aby tak ważny przedmiot jak owa mgła, miała się sama stworzyć, bez Stwórcy wszechrzeczy. Przejście od gazu do granitu, jeszcze zrozumiemy — ale z przejściem od niczego do bytu, nie ma innego przejścia, jak tylko przez wolną wolę Boga. Jak widzimy z prawa, które Laplace przypuszcza téj pierwotnéj mgle i jéj istocie, koniecznie muszą one prowadzić do pierwszéj przyczyny, to jest Stwórcy.

Tym przypuszczeniom o pierwotnym gazowym stanie całego systematu słonecznego, żaden geolog nie może jeszcze przyznawać wartości ściśle naukowéj. Nawet Karol Vogt (*Lehrb. d. Geol.* II. 330) uważa tę część dziejów ziemi jako peryod mytyczny, a Gustaw Bischof, prof. chemii przy Uniwer. w Bonn, mówi (*Lehrb. d. Chem. und phys. Geol.*, I. s. 3): „przypuszczenie o gazowym stanie ziemi jest przeciwne prawom chemii i rozbijające się o trudności i sprzeczności nieuniknione. Jest to konieczne następstwo przekroczenia dziedziny doświadczenia. Dla tego wszystkie takie przypuszczenia uważać należy za obrazy fantazyi a nie za rezultaty umiejętności, która coraz więcéj starać się powinna o wyłączenie wszelkiéj dowolności, aby zasługiwać sobie na nazwę umiejętności ścisłéj.

— Oto jak uczeni są sprzeczni między sobą:

Znakomity znów uczony przyrodnik francuski, ksiądz Moigno, o którym wspomnimy niejednokrotnie, czytał w 1883 r. na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu pracę swoją pod tytułem: „Synteza niebios i ziemi“ (La synthèse des cieux et de la terre); praca ta ma być zamieszczona w rocznikach Akademii. Jest to nowa teorya materyi i siły; uczony autor upatruje pierwiastek pierwotny wszystkich ciał ziemskich w eterze, owym płynie nieujętym, który, według zdania powszechnie dziś przyjętego, wypełnia przestrzenie wszech świata, zarówno jak i przestrzenie między cząsteczkowe ciał ziemskich. Eter ma być także czynnikiem sił ciepła, światła, elektryczności, a nawet i ciążenia powszechnego. Płyn ten nieważki, złożony z atomów bezwładnych, lecz posiadających ruchy drgające, jest także, jak twierdzi ks. Moigno, pierwiastkiem składowym wszystkich ciał. Każda cząsteczka czyli molekuła materyi powstaje z pewnego ugrupowania atomów eteru; z najprostszéj grupy tworzy się wodor, inne ciała są grupami mniéj lub więcéj skomplikowanemi cząsteczek wodoru. Stąd pochodzi prawa równoważników chemicznych, w którém dla tego je-

dynie wykryto pewne wyjątki, że trudno jest niezmiernie otrzymać niektóre ciała w stanie doskonałego oczyszczenia. Siła ciążenia powszechnego jest bezpośrednim skutkiem drgań eterowych, z ruchów tych wywiązuje się wzajemne przyciąganie ciał. Wszystkie inne siły, jak ciepło, światło, elektryczność, są także skutkiem drgań eteru, lecz powstają tylko pod wpływem oddziaływania cząsteczek materyi.

Autor, nie mniéj pobożny, jak uczony, dodaje do swych wywodów, iż potwierdzenie ich niespodziewane i prawdziwie uderzające znalazł w listach ś-go Piotra Apostoła. Rybak z Genezaretu, oświecony wyższém światłem objawioném, głosi też samą prawdę, któréj w dziewiętnaście wieków późniéj domyślać się poczną uczeni; pisze on wyraźnie, iż na początku wieków niebiosa utworzone były z wody, a ziemia z wody i przez wodę. Papież Klemens św., uczeń i drugi następca ś-go Piotra, powiada w swych *Recognitiones*, że słową te słyszał z ust księcia Apostołów, który na nie zawsze kładł nacisk szczególny. To pojęcia powstania niebios i ziemi i wody łatwo się daje wytłómaczyć, jeżeli wszystkie ciała złożone są z cząsteczek wodoru, który jest wody głównym składnikiem. Neptuniczne utworzenie się skorupy ziemskiéj, potwierdzone przez najnowsze poszukiwania na dnach morskich i powszechnie dziś przez geologów przyjęte, wyjaśnia znów doskonale wyrażenie o powstaniu ziemi z wody i przez wodę.

„Akademia Nauk nie powinna się dziwić, powiada ks. Moigno, iż powołuję się na świadectwo ś-go Piotra w kwestyi początku niebios i ziemi, skoro, jak jéj wiadomo, świadectwo to było brane na uwagę przez takich uczonych, jak Joule i Tyndall, dla poparcia teoryi zakończenia świata przez ogień, t. j. przez ciepło, które ma spowodować rozkład wszystkich ciał na pierwiastki i przejście ich w stan lotny, gazowy“. Mylą się bowiem wielce, zdaniem uczonego autora, ci wszyscy, którzy razem z Flammarionem przewidują koniec ziemi w całkowitém jéj ostygnięciu. Ta bryła martwa, ten trup zamarzły, krążący bez celu w przestworzu, jest niedorzecznym wytworem wyobraźni ludzkiéj. O ileż wyższą i głębszą jest myśl, że materya, zakrzepła w kuli ziemskiéj, rozprószy się znów w cząsteczki lotne pod wpływem ciepła i utworzy, według słów Pisma ś. „nowe niebiosa i nową ziemię“.

ROZDZIAŁ II.

Co zaś do zarzutu czynionego Pismu św., o cudzie Jozuego, to takowe mówi do ludzi językiem ludzkim, to jest mówi, że na głos Jozuego słońce zatrzymało się; jak my sami mówimy codzień, że słońce wschodzi i zachodzi. Złudzenia zmysłów, powtarzane codziennie odbijają się nakoniec w myślach i w mowie naszéj. Astronom, mówiący inaczéj, naraziłby się na śmieszność: i choć Duch Święty miał prawo przez usta Mojżesza wyrażać prawdy mową wszelkiego rodzaju, chciał jednak przemówić do ludzi po ludzku i rzekł: Słońce się zatrzymało.

Ta kwestya podniesiona przez szkołę wolterowską runęła dziś jak tyle innych. Systemat Kopernika i Galileusza tak samo nie sprzeciwia się wierze jak i systemat Ptolomeusza i inne systematy, przyjęte niegdyś przez uczonych egipskich, azyatyckich i greckich—a sprawa Galileusza na początku XVII. wieku, odnosiła się więcéj do formy niż do zasady, jakto zobaczymy w dalszéj treści tego dziełka p. t. Galileusz. Kościół znał oddawna systemat Kopernika, który Galileusza o pół wieku wyprzedził, i pracę jego pochwalił i do drukowania upoważnił. Zresztą w starożytności, ten sam systemat wskazywano kilkakrotnie, jak o tém świadczą starożytne księgi, w których Żydzi zbierają tradycyę swych uczonych.

Jozue nie zatrzymał słońca ani nawet ziemi; wyjednał tylko u Boga, że światło dzienne przedłużyło się cudownie, ile tego potrzeba było dla zmuszenia do ucieczki nieprzyjaciół ludu Bożego. Cud to wielki zapewne, lecz nie zawiera w sobie nic sprzecznego, ani niepodobnego.—Keppler w tym przedmiocie mówi (*Epitome astronomiae copernicanae* p. 138): „Astronomia bada przyczyny rzeczy naturalnych, wytyka *ex professo* złudzenia optyczne. Pismo św., ucząc r z e c z y w y ż s z y c h, dla zrozumiałości używa zwykłego sposobu mówienia, i o r z e c z a c h n a t u r a l n y c h mówi tak, jak one się wydają, i jak odpowiednio do tego urobił się zwykły sposób mówienia. I w ten sposób wyrażałoby się Pismo św., nawet gdyby wszyscy ludzie mieli pojęcia o złudzeniach optycznych. Bo i my astronomowie nie zakładamy sobie wcale celu przerobienia zwykłego sposobu mówienia, ale chodzi nam o otworzenie bramy prawdy. Mówimy też razem z ludźmi: planety stoją, idą... słońce wschodzi, zachodzi i t. d., mówimy tak, jak się oczom naszym wydaje, choć tak nie jest. O ileż tedy

mniéj od Pisma św. wymagać możemy, aby ono z pominięciem zwykłego sposobu mówienia, słowa swoje odmieniało podług miary umiejętności naturalnych i bałamuciło pojęcia ludzi niedosyć oświeconych, wyrażeniami o rzeczach przechodzących ich pojęcia, a tym sposobem samo sobie zamykało drogę do swoich nierównież wyższych celów".

Przypuściwszy że Mojżesz posiadał wszystkie nowsze wiadomości astronomiczne i geologiczne, coby z tego był za pożytek, gdyby był przemawiał językiem Kopernika, Newtona, Wernera? Przez dwa tysiące lat byłby niezrozumiany i wzgardzony, i to dlatego, aby XIX. wiekowi sprawić niejakie zadowolenie: bo XX. wiek jużby zapewne nie uczuwał bardzo tego zadowolenia" *(Ausland* 1861, s. 410) [1]).

Słowem takież same popularne pojęcia znajdujemy w pierwszym rozdziale księgi Rodzaju, gdzie Mojżesz obok innych gwiazd wspomina o słońcu i o księżycu, jako o wielkich światłach niebieskich. Takiemi bowiem w rzeczy saméj wydają się one oku ludzkiemu, choć nie takiemi są dla astronoma.

Toż samo można powiedzieć, że gwiazdy, słońce choćby, przypuściwszy że i długie mogły przechodzić peryody swego formowania się. jeżeli je rzeczywiście przechodziły, to Mojżesz nie miał potrzeby mówienia o tém; a mówić mu przyszło o nich dopiero wówczas, gdy stosunek ich do ziemi został określony, to jest 4go dnia, gdy ukształtowanie ziemi tak daleko postąpiło, że weszła już w krąg ciał niebieskich, jako oddzielna jednostka.

„Niewiadomą jest rzeczą, mówi Kurtz, czy słońce, księżyc i gwiazdy, były po ziemi dopiéro stworzone, czy téż wprzód, a następnie dopiéro wezsły w przeznaczony im stosunek do ziemi, czy téż formowanie ich odbyło się wraz z ziemią, a dopiéro czwartego dnia ich kształtowanie tak dalece postąpiło, że mogły z sobą wstąpić w stały stosunek".

Jeszcze słowo: Chyżość rozchodzenia się światła wynosi 42,000 mil geograficznych na sekundę, więc od najbliżéj od nas będących gwiazd według obrachowań, światło mogło być widzialne na ziemi po 8 — 12 a nawet i więcéj lat — ale słuszną robi uwagę angielski badacz natury *(Geology by C. D. Dublin* p. III. 1853), że mógł Bóg gwiazdy w ten sposób stworzyć, iż te od pierwszéj zaraz chwili swoje promienie rozlały do najdalszych odległości — gdy dla innych dane zostały te prawa, jakie teraz astronomia i fizyka odkrywa.

Pismo św., o rzeczach natury mówi, jak się one zwykłemu ludzkiemu przedstawiają oku.

Ojcowie kościoła i teologowie dawno wypowiedzieli takie samo zdanie. Ś. Hieronim, którego Kościół czci jako największego nauczyciela w wykładzie Pisma św., mówi: „Znajdują się niektóre rzeczy w Piśmie św., wypowiedziane podług mniemania owego czasu, którego dzieje się przedstawiają, a nie zaś podług tego jak się rzecz sama w sobie miała".

Ś. Tomasz przy objaśnieniu historyi stworzenia, dwa razy powtarza tęż samą uwagę, że Pismo św. stosuje się do pojęcia swoich czytelników. Ale są tam znów rzeczy podane, które należą do istoty wiary, są właściwie dogmatycznego czyli teologicznego charakteru, n. p. że świat ma początek, że został stworzony od Boga i to wszystko co jest i t. p. Inaczéj ma się z temi zdaniami i wyrażeniami, które nie odnoszą się do dogmatu, ale do przedmiotów naturalnych, w związku tylko pewnym z dogmatyczną częścią będących i nie mające same przez się znaczenia dogmatycznego, a mają je tylko okolicznościowo, o ile łączą się z dogmatyczném zdaniem o stworzeniu świata.

---

1) Dziś choć wiemy, iż nie słońce odbywa ruchy około ziemi, lecz przeciwnie ziemia wraz z planetami krąży około słońca, które w stosunku do nich nie zmienia wcale miejsca—tak znowu dziś wiemy na pewno, że w stosunku do wszechświata i słońce bynajmniéj nie stoi nieruchomo, lecz z chyżością, wynoszącą 72,000 mil geograficznych na dobę, pędzi z całém państwem planet w niezbadaną przestrzeń. Nikt nie wie jaką jest droga, po któréj krąży, zkąd biegnie i dokąd zmierza, a tém mniéj, czy kiedy znów powróci na to samo miejsce. Gdzie leży ów środek, koło którego słońce nasze krąży, czy nim jest matematyczny punkt tylko, czy jakie niezmierne ciało niebieskie — może jakieś wspólne dla wszystkich gwiazd słońce, jak to mniemał Maedler — nikt nie dociekł; to pewna tylko, że wraz ze słońcem i my pędzimy, przykuci nieprzepartą siłą, w nieznane i w niezgłębione przestrzenie. Podobne ruchy odbywają także miliony gwiazd stałych, również słońc, których wielkość odpowiada co najmniéj naszemu — tylko że co do kierunku i chyżości ich ruchów nic już zgoła nie wiemy.

ROZDZIAŁ III.

Znaleźli się i tacy, którzy opierając się na starożytnych pomnikach odkrytych w Egipcie i na Wschodzie, spodziewali się znaleźć w tych pomnikach autentyczny dowód bajecznéj starożytności świata zamieszkałego. Mówiono o 20,000 a nawet o 40,000 lat przed erą

chrześcijańską i od potopu. W Denderach, w wyższym Egipcie, odkryto pewien zodyjak, mający sięgać podług niektórych wskazówek do 20,000 lat przed Chrystusem Panem — ale olbrzym ten po zbadaniu go przez poważnych mędrców, okazał, że nie sięgał, co najwięcéj, czasów Ptolomeusza, to jest dwóch wieków przed erą chrześcijańską, a prawdopodobniéj czasów cezara Aureliana, to jest trzeciego wieku ery chrześcijańskiéj. Teraz już nikt nie śmie się odezwać o zodyjaku w Denderach.

Toż się ma i z encyklopedystami co do języków semickich, które uczą tych rzekomych mędrców, że Persya, Indye i Chiny szczycą się dynastyami królewskiemi, wiążącemi się jedne z drugiemi, sięgającemi 40,000 lat. Niczego tu jednak nie dowiedziono. Dokumenta semickie i egipskie przytaczające te setki dynastyj bez końca, nie mają żadnego charakteru autentyczności; ściślejszy rozbiór odkrył tu pieczęć grubego oszustwa, a nie ma ani jednego pomnika, któryby słusznie odnieść było można do dziewiątego lub dziesiątego wieku przed erą chrześcijańską [1]).

Dowiedzioną jest rzeczą, że Weda, księga święta Hindusów, którą przypisują Brahmie, nosi datę mniéj więcéj czwartego wieku przed Chrystusem; że Zendawesta [2]), księga święta Persów, pochodząca od

---

1) „*Herodot* nie znając języka Egipskiego niemógł zaczerpnąć u samego źródła wiadomości autentycznych — lecz wierzył na słowo przewodnikom (cicerone) i kapłanom świątyń którzy opowiadali mu najdziwaczniejsze bajki przez tłómaczów. — *Herodot* zaś znając Ateńczyków że lubują się w tym wszystkim co jest nadzwyczajnego i podziw wzbudzającego, dodał jeszcze więcéj od siebie, dla tego dzieło jego jest pełne bajek i niedorzeczności".

(Moigno. „Les Splendeurs de la Foi".
(Tom. II. p. 654—659).

Sam *Euzebiusz z Cezarei* przyznaje „że Egipt pierwotnie składał się z mnóstwa państw z których każde miało swoich królów"; *Manethon* zaś pomieścił ich w jednym katalogu, jakby że każdy z tych królów panował nad całym Egiptem.—Ztąd utworzyły się tak liczne dynastye sięgające tysiące tysięcy lat.

Sławny badacz starożytności Egipskich M. Mariette pisze: „że ci królowie nie panowali nad całym Egiptem, ale kiedy jedni panowali w jednych częściach jego, drudzy panowali w drugich—i dodaje, że być może, iż nowe odkrycia wykażą, że podobnych królów było więcej, niż to zwolennicy owym wymarzonym dynastyom przypisują". (tamże).

2) Nowe badania zaś wykazały na co się zgadzają wszyscy Oryentaliści że nie jest starszą od Szapura II. t. j. wieku czwartego po Chrystusie (309—380).

Zoroastra, zaledwie szóstego wieku sięga; że Kingi, księgi święte Chińczyków, spisane przez Konfucyusza, dochodzą blisko roku 500 przed Chrystusem; nakoniec, że hieroglify egipskie, w których spodziewano się znaleźć argument przeciw wierze chrześcijańskiéj — nic nie dowiodły przeciwnego; błędna nauka wzięła nazwiska królów za dynastyę, a chociaż Faraoni egipscy o wiele poprzedzili wszystkie dynastye europejskie, a nawet azyatyckie, żaden jednak pomnik nie wskazuje starożytności, sprzecznéj z podaniem ksiąg świętych.

Cóż pozostaje z całego tego nagromadzenia urojonych wieków? Nic, prócz oszukiwania nieświadomych, przywłaszczając sobie pozory nauki.

Zaczęto i z pokładów szlamu nilowego obliczać niezliczoną liczbę wieków, lecz wielu gruntownie uczonych naturalistów wykazało i tu niedorzeczność tych twierdzeń, a pomiędzy nimi niemiecki geolog Oskar Fraas *(Geschichte der Schöpfung* 1. 19.), który w 1865 r. sprawdzał na miejscu obrachowania wieku tamtejszych pokładów, wyrzekł: „Mało cenmy owe zawracające głowę tysiąclecia, jakie tak łatwo przychodzi niektórym odgrzebywać ze szlamu nilowego. Byłby téż już zaprawdę czas, powtarzaną tyle razy niedorzeczność wyrzucić z książek naukowych i szkolnych, i nie używać już wcale argumentów, jakimi durzyć tylko można nader łatwowiernego profana".

Zaprawdę iluż to podobnemi niedorzecznościami karmi się młodzież a nawet i starsi czytając dzieła autorów niby uczonych, a w rzeczy saméj niedouczonych, lub ludzi bardzo wątpliwych zasad, którzy naukę nadużywają w swych celach... i powtarzając te banialuki kompromitują się tylko wobec tych, którzy gruntowną posiadają naukę, a nawet i prostaczek uśmiechnie się na to litośnie.

Fergusson, uczony anglik, mieszkając w Indyach, pisał do jednego z pism naukowych w Londynie [1]): „Jak zwodniczemi są wszystkie wnioski i wyrachowania oparte na pokładach deltowych, sam się przekonałem. Cegły stanowiące fundamenta méj chaty, zostały wodą rzeki zarzucone i na 40 stóp głębokości w mule zagrzebane. Po ustąpieniu wód, na tém samém miejscu gdzie stała moja chata, ale już 40 stóp wyżéj nad jéj ruinami, leży teraz nowa wioska. Jeżeli komu

---

Inne księgi Persów są jeszcze młodsze i powstały dopiero po najeździe arabskim a w części pod wpływem idei chrześcijańskich, jak doniósł Spiegel w znakomitém dziele: „Iranische Alterthumskunde" Tom III., p. 794—797.

1) Quarterly Journal of the geoligical society. Aug. 1863. s. 327.

przyjdzie się kiedyś dokopać do tych moich cegieł, wówczas wyrachuje odpowiednio do głębokości, że ja żyłem na wiele tysiącleci przed narodzeniem Chrystusa".

Toż samo można zastosować do owéj chaty rybackiéj, znalezionéj przy jeziorze Melar w Szwecyi na 64 stóp głębokości w ziemi. Chata ta ma mieć już 80,000 lat; miała zagłębiać się co rok 10 cali i tak wybornie się zachowała, że znaleziono nienaruszone w niéj pozostałe ognisko, a na ognisku całą jeszcze wiązkę — chrustu. Naprawdę tak dowodzono (patrz Lindenschmit w Archiv. f. Anthrop. 1. 53).

Fergusson po pilnych badaniach przekonał, że cała delta gangesowa „bardzo niedawnego jest pochodzenia".

Deltę Missisipi obliczano na 158,400 lat, po pilniejszém jednak zbadaniu przez amerykańskich inżynierów (1861 r.) t. j. Humphreysa i Abbota okazało się zaledwie kilka tysięcy lat.

W Ameryce znajdowano skamieniałe pnie, które geologowie zaczęli obliczać na wiele tysięcy lat; lecz w końcu okazało się, że pnie te zostały ścięte europejską siekierą; a zatém przeszły one całkowicie proces skamienienia w przeciągu kilku wieków [1]).

Niedaleko Monastyru (Münster) znaleziono skamieniałości, którym przypisywano znaczną liczbę wieków, lecz po ich rozbiciu znaleziono wewnątrz monety bite w XVI. i XVII. wieku w mennicy monastyrskiéj.

Niedawno w pobliżu miasta Wroxeter w Anglii odkopano ruiny pokryte grubą warstwą ziemi. Ze względu grubości téj warstwy, jéj własności i układu sprzeczano się o niezliczone wieki, lecz spostrzeżono iż popełniono wielki błąd, albowiem w znacznéj głębokości téj ruiny znaleziono monety rzymskie z IV. wieku, które przypomniały że tam leżało za rzymskich czasów miasto *Uriconium*.

Koniecznie chciano dowieść starożytności człowieka, i nie pominięto żadnéj okoliczności, które jednak zawsze zawiodły skrzętnych poszukiwaczy.

O kwestyi téj wyrzekło swoje zdanie już tylu gruntownie uczonych badaczy, a i Plaff (prof. geologii Uniwer. w Erlangen) zamyka swoje poszukiwania w tym przedmiocie témi słowy: „Wszystkie liczby, mówi on, brane z naturalnych miar czasu i podawane na oznaczenie wieku rodu ludzkiego, są nader niepewne; najpewniejsze nie przechodzą za 5—7 tysięcy lat".

1) Znajdują się rzeczywiście skamieniałości przedpotopowe i takie które mogą mieć 5,000 lat i więcéj, a nawet i drzewa jeszcze rosnące, ale nigdy nie sięgają one téj fantastycznéj liczby wieków, jaką niektórzy starają się im nadać.

Naturalnie taki Vogt i Schlejden, którzy żadnéj nie pomijają sposobności, aby przy swoich wykładach przeprowadzać swoje filozoficzne i religijne przekonania, twierdzą, że człowiek już sto tysięcy lat żyje na ziemi; a nieoświecone umysły gruntowną nauką, powtarzają podobne zdania, a nawet piszą po dziennikach, książkach i broszurach, wyrządzając tym sposobem krzywdę umysłom czytelników niedość oględnych.

ROZDZIAŁ IV.

Przystąpmy teraz do mieszkań nawodnych, w których także szukano starożytnego przedwiekowego człowieka, lecz jak gdzieindziéj, tak i tu okazało się po ścisłem zbadaniu tych zabytków, zgodnie z Oskarem Fraasem, Hassler'em Polmann'em i innymi, że ta ich starożytność nie jest uzasadniona, i że mamy nawet historyczne wiadomości o ich użyciu w IX. aż do XIV. wieku w Irlandyi, gdzie się nazywały *Cranoges*. Nawodne mieszkania budują i teraz jeszcze, albo nie tak dawno budowali w Sumatrze, na wyspach Malezyjskich, na Karolinach, Celebesie, Ceramie, Labaumie i Nowéj Gwinei. *Layard* znalazł mieszkanie takie na bagnach Eufratu. Baikie znalazł w środku Afryki całą wieś, na jeziorze Tsad zbudowaną. W Ameryce Cooper widział podobne domy na jeziorze Ontario. Za czasów Korteza znaczna część miasta Tezkuko wznosiła się wśród jeziora; miasto Meksyk zbudowane było wśród wody, w znacznéj części na palach; dwie mile od Meksyku znajdowało się około dwóch tysięcy mieszkań zbudowanych na wodzie, jak pisze Pogorini.

Herodot, historyk z V. wieku przed Chrystusem, opowiada, że na 50 lat przed nim, perski wódz Magabezus nie mógł pokonać pewnego pokolenia Tracyi, ponieważ mieszkało ono w chatach wystawionych na palach jeziora Prasias. Hipokrates podaje, że niektóre plemiona Kolchidy mieszkały na stawach. Arabski geograf Abulfeda w XIV. wieku, wspomina o jedném jeziorze syryjskiém, na którém były zbudowane na palach chaty, służące za mieszkanie rybakom chrześcijańskim. — Między płaskorzeźbami kolumny Trajana znajduje się wieś dacka; chaty te podobne są do chat opisanych przez He-

rodota; dach ostro zakończony, budowa z desek, pale sterczą z wody, drzwi brak, wchód przez mały otwór; chatę naokoło otacza ostrokół.

Można więc tak z tych analogii, jak i z poszukiwań na miejscu czynionych śmiało przypuszczać, że szwajcarskie i inne europejskie budowle nawodne przez ówczesnych ludzi stawiane, były jako schronienie przeciwko nieprzyjaciołom, lub dzikim zwierzętom — a nigdy nie mogą i nie dadzą się zaliczyć do przesadzonéj starożytności.

Z różnych przedmiotów znalezionych przy tych budowlach, można twierdzić, że ci ludzie trudnili się rolnictwem, pasterstwem i polowaniem. Zboże zachowywali w glinianych naczyniach. Oprócz zboża używali jabłek, gruszek, orzechów, jedli ryby, mięso dzikich i domowych zwierząt. Z kości, rogów, kamienia, bronzu lub żelaza, wyrabiali strzały, dzidy, noże, siekiery, młoty, szpilki, spinki i t. p., jakich jeszcze do dziśdnia używają ludy nieucywilizowane; — jeżeli więc za wieków kilka znajdą takowe w głębiach wód lub ziemi ich potomkowie, to kto wie, czy nie będą tak jak niektórzy z naszych dzisiejszych poszukiwaczy odnosić tych przedmiotów do bajecznéj liczby tysiącleci i dzielić na peryody kamienia, bronzu i żelaza it. d. dowodząc odległéj starożytności człowieka ginącéj w pomroce wieków...

W wielu miejscach północnéj i środkowéj Europy w grobach, torfowiskach i t. p. znajdowano broń, różne narzędzia i sprzęty, już to z krzemienia, a przytém z kości i rogów, już to bronzowe oddzielnie, już razem z kamiennemi i żelaznemi pomięszane. Możliwą jest rzeczą, że w pewném miejscu dawnemi czasy przemieszkiwali ludzie nieobeznani z wyrabianiem metalów, i dlatego używali narzędzi kamiennych, albo też z kości i z rogów sporządzonych; i że ciż sami ludzie później mogli dojść do posiadania narzędzi i sprzętów metalowych, albo byli zmuszeni ustąpić miejsca innemu jakiemu ludowi, który te sprzęty posiadał. Ale w interesie teoryi przyjęto systematyczny podział trzech niby po sobie kolejno następujących różnych peryodów kultury, a to od czasu gdy uczony duńczyk E. C. Thomson 1837 r. tylko celem klasyfikacyi podobnych starożytności skandynawskich, podzielił na trzy okresy: kamienny, bronzowy i żelazny. Inni następnie podział ten podnieśli do formuły oznaczającéj koniecznie te stopnie, po jakich niby ludzkość wszędzie ze stanu dzikości miała przechodzić do wyższéj cywilizacyi. Tymto sposobem postarali się podnieść wiek rodu ludzkiego — bo naturalnie, że dla peryodu kamiennego, bronzowego, wyznaczono po pewnéj liczbie tysiącleci, i dopioro dodawano je do tych czasów o jakich już historyczne mamy wieści.

Jak zaś lekkomyślnie niekiedy używają téj klasyfikacyi teoretycznéj, pokazuje n. p. ten fakt, że Lyell mając na względzie stare łodzie znalezione w Szkocyi, a Vogt—pale szwajcarskich mieszkań nawodnych, dowodzą, że z pomiędzy tych przedmiotów, najgorzéj wyrobione mogą być zabytkami peryody kamiennego, gładziéj obrobione pochodzą z peryodu bronzowego, a najzręczniéj obrobione z peryodu żelaznego.

Zkąd jednak można wiedzieć, że te łodzie i te pale nie z jednego pochodzą wieku, i że tylko różni około nich pracowali robotnicy. I dziś na rzekach naszych proste żeglują łodzie obok bardzo wykwintnych—i dziś obok artystycznie wyrobionych narzędzie z rozmaitych materyałów, znajduje się wiele, bardzo wiele, wcale niewytwornych—i gdyby po pewnéj liczbie wieków p. Lyell i p. Vogt znaleźli takowe w podobnych miejscach, niezawodnie klasyfikowaliby je na peryody wyż wymienione.

W Szwecyi, jak pisze Nelson, starszyzna miała broń metalową, szeregowcy oszczepy z kamienia. Metal był za drogi, więc tylko bogatsi go używali—a biedniejsi kamienia, kości i rogu.

I tegoczesne dzikie ludy, obok swéj krajowéj broni, używają i droższéj europejskiéj.

Smutno wyznać, ale tak jest, że wielu głoszących się za uczonych, nadużywa nauki, i zamiast na drogę prawdy, prowadzą młodzież a nawet i starszych niedość naukowo wykształconych na drogę błędów.

P. Broca, darwinista, dyrektor szkoły antropologicznéj w Paryżu, w wykładzie drukowanym w 1872 r. w *Revue scientifique* odnosi jakiegoś przedhistorycznego człowieka europejskiego do niezmiernie odległéj starożytności i mówi: „Dawno, bardzo dawno, przed istnieniem sztuki egipskiéj, człowiek z epoki kamiennéj (w Europie) uprawiał kunszta rysunku, wyrzynał rzeźby i t. p.“ Proszę teraz posłuchać drugiego uczonego p. Büchner'a, który mówiąc o Egipcie wyraża się: „Jakież uwielbienie nas przejmuje na myśl, że w tym samym czasie, kiedy człowiek europejski (przedhistoryczny) uganiał się za dzikim zwierzem z nędzną swą bronią kamienną, w owéj szczęśliwéj krainie Nilem oblanéj, kwitły wspaniałe i potężne miasta, gdzie uprawiano nauki i sztuki“!

Proszę pogodzić obie te chronologie.

Archeolog francuzki p. Bouchêr de Perthês wydobył z głębi ziemi we Francyi siekierki kamienne, które takiego nabrały rozgłosu w swoim czasie, iż posłużyły do zbudowania przedhistorycznych dziejów ludzkości. Obok siekierek znalazła się i szczęka, sławna szczęka z Moulin-Quignon, w któréj upatrywano cechy jakiéjś wygasłéj rasy, ale po ściślejszém zbadaniu okazało się, że jestto najzwyczajniejsza szczęka mogąca pochodzić z sąsiedniego cmentarza. Następnie przekonano się, że robotnicy użyci do rozkopywania ziemi, fabrykowali siekierki fałszywe i sprzedawali je łatwowiernym uczonym—za które ci suto płacili [1]).

Rzecz trudna do uwierzenia, że na posiedzeniu naukowém urządzoném w celu zbadania owych wykopalisk p. Boucher'a de Perthes, uciekano się do spirytyzmu i wywoływano duchy Cuvier'a i właściciela odkopanéj szczęki, aby za pomocą tych źródeł zaczerpnąć pewniejszych wiadomości. Sprawozdanie z tego posiedzenia podane było na seryo w piśmie naukowém *Antiquités celtiques et antidiluviennes*. Oto, do czego prowadzi brak gruntownéj nauki.

ROZDZIAŁ V.

Inni znów silili się dowieść samorodztwa a zatém i człowieka bez udziału Stwórcy. Wiemy, że w zgniłéj wodzie, a bardziéj jeszcze w occie, rodzi się, choć niewiadomo jakim sposobem, mnóstwo żyjątek, słusznie wymoczkami zwanych.

Te zwierzątka rodzą się same, powiedzieli pewni badacze: a zatém życie wszystkich zwierząt, nawet człowieka, może się wytłomaczyć tajemną mocą materyi, pewną siłą płodzącą ziemi, wody, powietrza i t. d. Stworzenie więc istot organicznych, stworzenie człowieka nadewszystko, nie jest aktem wolnéj woli Boga, lecz ostatecznem rozwinięciem materyi, zawierającéj w sobie saméj siłę płodzącą rodzajną.

Teorya ta, nie zaprzecza wprost istnieniu Boga, lecz podaje w wątpliwość całe objawienie chrześcijańskie. Błądzi w zasadzie, przypuszczając

1) Toż samo miało miejsce przy odkrytych mieszkaniach nawodnych w Szwajcaryi. Wiele muzeów europejskich jest przepełnionych podobnymi nabytkami, choć z niektórych już takowe pousuwano.

faktycznie tę samodzielną płodność żyjątek. Świeżo poczynione doświadczenia chemików, między innymi znakomitych: Chevreul'a i Pasteur'a obaliły zupełnie ten system.

Badania te bowiem wykazały, że żyjątka zrodzone w occie lub zgniłéj wodzie nie są wynikiem samodzielnéj płodności. Zwierzęta te rodzą się z drobniuchnych zarodków z rodzaju jaj, zawieszonych w powietrzu, i rozwijających się w najprzyjaźniejszych miejscach. Dowód tego faktu jest najprostszy: chemia organiczna sprawdziła, że w atmosferze, któréj temperatura przechodzi 80° R., życie zwierzęce jest zupełnie niepodobne. Pod dwa szklanne dzwony wstawiono dwa naczynia napełnione octem, i pierwszy dzwon wypełniono powietrzem zwyczajném; z drugiego wypompowano je tłokiem machiny pneumatycznéj; następnie napełniono go powietrzem przechodzącém przez rozpaloną rurkę. Pod pierwszym dzwonem ukazały się żyjątka i mniemane zjawisko samorodztwa miało miejsce, jak zwyczajnie; pod drugim nawet najmniejsze stworzeńko nie zamąciło przezroczystości octu. Przechodząc przez gorącą atmosferę, zarodki spaliły, się, a białko stanowiące po większéj części całą substancyję zwierzęcą, wyschło zupełnie. Toż samo doświadczenie, powtarzane wiele razy, wydało, bez zmiany, tenże sam rezultat, czyto w zgniłéj wodzie, czy w occie, czy w mleku, lub w jakimbądź innym płynie, zawierającym rozpuszczone materyały zwierzęce.

Nareszcie, dla zupełnéj pewności doświadczenia, użyto zimna, jak wprzód gorąca; doświadczenie okazało, z równą pewnością, że przy pewném natężeniu zimna, życie zwierząt równie jest niepodobne, jak przy pewném natężeniu gorąca. Rezultat był ten sam: zarodki zmarzły i zamarły z jednéj, gdy tymczasem sprowadziły naturalny skutek z drugiéj strony i wydały wymoczki.

Najznakomitsi fizyologowie: Ehrenberg, Rudolf Wagner, nigdy nie uznawali samodzielności materyi w powstaniu istot żyjących. Roku 1865 paryska akademia umiejętności wydelegowała komisyę do roztrząśnienia téj kwestyi. Komisyę tę składali ludzie znani w nauce: Flourens, Dumas, Brogniard, Milne-Edwards, Balard; ci po sumiennych doświadczeniach wyrzekli: „że żaden gatunek organizmu bez zarodka powstać nie może; że nie ma żadnych istot bez rodziców".

Przypuszczenia i rozumowania materyalistów, nigdy nie są w stanie wyjaśnić pierwszéj przyczyny, pierwszego samodzielnego powstania istoty organicznéj, bo brak im wiary, i tak: „Proces takie-

go powstania, mówi sam Burmeister, pozostanie zawsze nierozwiązaną zagadką. Przyznajemy téż, że nasze naukowe badania nie wystarczają wcale do skreślenia choć jakiego takiego obrazu stworzenia. Bądź więc czém być musisz, pierwszy, najstarszy dniu życia; nam brak już oka, aby cię rozpoznać, brak zmysłu, aby cię pojąć, i dlatego téż żadne pióro opisać cię nie zdoła".

Tak więc sami zwolennicy samodzielnego rozwijania się materyi przyznają, że początek organicznych istot jest zagadką nierozwiązalną.

Obecnie rośliny i źwierzęta powstają z innych roślin i źwierząt; w ten sposób pierwsze rośliny i pierwsze źwierzęta powstać nie mogły, a zatém niewiadomo w jaki powstały sposób. Tak musi rozumować każdy naturalista, przestrzegający praw logiki i wierny zasadom swojéj nauki. Co do pytania więc o początku istot organicznych, nauka przyrodnicza ludzi bez wiary, musi się uznać niekompetentną.

Ludzie uczeni z wiarą, a nawet i prostaczkowie wiedzą dobrze gdzie prawda, wiedzą, że Bóg stworzył pierwsze rośliny, i źwierzęta i człowieka.

Nigdy téż ci naturaliści, którzy są materyalistami a zatém zaprzeczają tego punktu nauki objawionéj, w zaprzeczaniu tém swojém nie stoją na stanowisku nauki ścisłéj. Żadne organiczne istoty nie powstają dziś same przez się z materyi, materya zatém nie ma siły wydawania z siebie tych istot, a zatém téż i nienaukową jest rzeczą, przyznawać tę siłę dla objaśnienia początku organizmów. Wszelka umiejętność ścisła kończy się, gdy uciekamy się do przypuszczenia, że coś kiedyś działo się, czego prawami natury obecnie działającemi wyjaśnić nie jesteśmy w stanie.

Wiadomo téż dobrze, że przypuszczeniem samodzielnego powstania organizmów niektórzy naturaliści chcą się zasłaniać od przyznania Boga Stwórcy świata. Nie chcą oni Bogu przyznać siły twórczéj i dlatego przyznają ją materyi!—i to wszystko kwoli umiejętności ścisłéj, która żadnego dowodu istnienia téj siły twórczéj w materyi wykazać niezdolna!

Naturaliści mogą przypuszczać, że uda się wyśledzić dzieje ziemi aż do owych czasów, w których ona znajdować się miała w stanie gazowym, ale pytanie (jak już o tém wspomniano na inném miejscu), zkąd się wzięła ta materya, pozostanie dla nich zawsze nierozwiązaném; bo spostrzeżenia czynione nad zjawiskami obecnie mającémi miejsce, nie przedstawiają żadnéj analogii dla powstawania materyi z ni-

czego. Podobnież i fizyologowie mogą badać dzieje rozmnażania się istot organicznych i przemiany jakim one ulegają, ale na pytanie o powstaniu pierwszych roślin i źwierząt, odpowiedzieć w żaden sposób nie mogą.

„Nie ma żadnéj komórki roślinnéj, mówi F. Cohn, któraby nie składała się z białka i drzewnika; w komórkach roślinnych tylko rodzi się białko i drzewnik; każda więc nowa komórka, przypuszcza już inną komórkę poprzednią, w któréj przygotowany był dla niéj materyał. Znajdujemy się więc w kręgu, z którego nie ma wyjścia. I zawsze pozostaje nierozwiązane pytanie: jakim sposobem powstała pierwsza komórka?" Podobnież mówi Bischoff: „we wszystkich naszych badaniach, choćbyśmy je jak najdaléj posuwali, przychodzimy nareszcie do punktu, po za który przejść niepodobna; początek pierwszych roślin, jakie się pokazały na ziemi, jest nam tak samo niewiadomy, jak pierwotny początek wszechrzeczy".

Twierdzenie, że istoty organiczne powstały kiedyś same przez się z materyi, byłoby wówczas tylko usprawiedliwioném, gdyby doświadczenia naukowe wykazały, że takie powstawanie ich teraz się jeszcze odbywa, albo téż, gdyby drogą naukową, a nie czczemi przypuszczeniami wykazaném zostało, że materya [1]) kiedyś posiadała siłę twórczą, jakiéj dziś nie ma. Ale właśnie ani jedno, ani drugie dowieść się nie daje.

„Pojmować, mówi z tego powodu Quenstedt (prof. geologii w Tübingen), dla naturalisty znaczy widzieć. A jeżeli dzisiaj najlichsza nawet roślinka bez poprzedniego zarodka powstać nie może, jakim sposobem trzeźwy badacz mógłby ośmielić się twierdzić, że cały wspaniały świat roślinny i źwierzęcy powstał z martwego tylko łona ziemi? Ale dla niektórych ludzi potęga Twórcy, tchnącego życiem w martwy muł ziemi, wydaje się tak niewłaściwą, że byle jéj tylko nie uznać, wolą raczéj do najniedorzeczniejszych uciekać się marzeń. Tak biednym jest człowiek w ograniczoności swojego ducha! Jeżeli najlichsza roślinka, bez zarodka dziś wyrosnąć nie może, to czyż nie powinien naturalista wnioskować, że co podług praw natury, dzisiaj się nie dzieje, i w przeszłości dziać się nie mogło? Bo właśnie na niezmienności tych praw polega cała budowa naszéj ziemskiéj wiedzy". (*Sonst und Jetzt*, s. 233).

---

1) I w tym razie, znówby zachodziło pytanie, zkąd się wzięła ta materya?

Nie ma samorodztwa; ani więc zwierzęta, ani człowiek, ani rośliny nie mogły powstać same z ziemi, jak to głosili z tryumfem uczeni poszukiwacze. Nic zatém nie przekonywa, że stworzenie roślin, ryb, ptaków, zwierząt a następnie człowieka, nie odbyło się w sposób wskazany przez Pismo święte, i nie było aktem wolnéj woli Stwórcy.

Koniec końców, trzeba zawsze zejść do pierwszéj kury, niosącéj jajko, lub do pierwszego jajka tworzącego kurę; trzeba nieskończonéj potęgi, by dać byt najmniejszéj kurze, a nawet najmniejszemu jajku. Straszno tego dowodzić, lecz tak jest. Nieskończoną tę potęgę nazywamy Bogiem, a księga Rodzaju opowiada, jak On z niczego stworzył wszystko, co jest, jaki naznaczył porządek w stworzeniu od ostatniego aż do pierwszego, to znaczy aż do człowieka.

ROZDZIAŁ VI.

Niedawno jeszcze prawiono na seryo, że człowiek jest tylko udoskonaloną małpą; i że „widoczną jest rzeczą, mówią, według encyklopedystów i Lamark'a, Grousset'a, Darwin'a, że istoty doskonalą się fizycznie; naśladują w tém prawo moralne, które jest ciągłym postępem ludzkości. I tak — według twierdzeń tych panów, mających się za ludzi wielce uczonych, polip przemienił się w ostrygę, ostryga ta stała się węgorzem morskim, węgorz rybą, ryba foką, foka bobrem, bóbr dydelfem, dydelf małpą drugiéj klasy, ta orangutanem, nareszcie, siłą czasu, natury, postępu, własności, orangutan stracił ogon i przemienił się w murzyna, murzyn stał się chińczykiem, a chińczyk człowiekiem jak należy białym — i — ucywilizowanym, mówiącym rozmaitemi językami, rozprawiającym o polityce (i jedzącym ostrygi)".

Doprawdy, tak mówiono, a co więcéj, nawet znaleźli się tacy, którzy temu wierzyli, mając się poprostu za poprawne zwierzęta — rzeczywiście że byli niemi więcéj niż sami sądzili.

Turyści angielscy poszli jeszcze daléj. Twierdzili oni że w Abissynii są jeszcze ludzie z ogonem, nazwani Niams-Niams. I to tak ważne odkrycie pojechał zgłębiać z gruntu uczony Mariette, i przekonał się, że ci murzyni z ogonem byli poprostu murzyni okryci skórą zabitych zwierząt, których ogon wisiał w tyle.

I to ludzie, którzy na seryo poczytują siebie za uczonych, popełniałą takie niedorzeczności, i wiele innych, które śmiesznością byłoby tu wymieniać.

Poważni naturaliści, ze stanowiska czysto fizycznego, zbadali z całą ścisłością, że pomiędzy najbardziéj do człowieka zbliżoną małpą a człowiekiem do najwyższego stopnia zdziczałym, już nie odcienia, ale istotne różnice zachodzą; a cóż dopiero ten sławny ogon [1]), którego nasi wolnomyśliciele chcieliby się chętnie w człowieku dopatrzeć; następnie kształt rąk, głowy, słowem wszystkich części człowieka i t. p.

Sama wiara w Istotę najwyższą udowadnia, że człowiek ma duszę nieśmiertelną, że czeka go życie inne, życie wieczne. U najdzikszych ludów po bliższém ich poznaniu, jak pisze Waitz w swojéj Antropologii, znajdowano ceremonie i obrzędy religijne, które wyraźnie wskazują wiarę w potęgi nadprzyrodzone.—Toż samo znaleziono u najdzikszych ludzi wysp Arru, Baszi, u mieszkańców Dajaki nad rzeką Lundu i na południowo-wschód od Borneo, o których twierdzono poprzednio, że nie mieli żadnego pojęcia o Istocie wyższéj i o przyszłém życiu.

Bardzo zostali oburzeni zwolennicy transformizmu gdy Virchow, jeden z wybitniejszych uczonych niemieckich, nieprzyjaciel Kościoła i religii, na zjeździe naukowym w Monachium, wyrzekł w sprawozdaniu swojém, wobec reprezentantów nauki wszystkich krajów: „że jakkolwiek w ostatnich czasach specyalnie poświęcił się studyom antropologicznym i bez najmniejszego uprzedzenia szukał w nich dowodów lub choćby prawdopodobieństwa teoryi transformizmu, nietylko nic podobnego nie znalazł, ale przeciwnie utwierdził się w dawniejszych swych przekonaniach, a te są: 1. Pochodzenie człowieka od zwierzęcia z rodzaju małp, wskutek powolnego przekształcenia, nie może być wykazane sposobem naukowym; przeciwnie, ścisłe studya antropologiczne dowiodły, iż najdawniejsze czaszki ludzkie mają

---

1) 1880 r. gazety amerykańskie puściły bajeczkę, że w jedném z miast Stanów Zjednoczonych, znajduje się chłopiec kilkoletni, który ma ogon na dwa metry długi, a taką posiada w nim siłę, że gdy usiądzie na krzesełku i od tegoż się ogonem odbije, to wzlata w górę na trzy metry—inne gazety jak zwykle toż samo powtórzyły—naturalnie znaleźli się tacy, którzy téj bajeczce uwierzyli najzupełniéj.—Naumyślnie rozmawiałem o tym z kilkoma materyalistami, którzy więcéj uwierzyli nad innych, i spostrzegłem w ich twarzach jakieś rozrzewnienie, pewien rodzaj błogości, zachwytu — żal mi ich było szczérze — tém więcéj, gdy się przekonali niezadługo, że to była tylko niewinna kaczka dziennikarska.

też same cechy co i dzisiejsze; nie spostrzeżono w nich najmniejszego śladu transformizmu [1]). 2. Obecność człowieka, lub istoty podobnéj do niego w okresie trzeciorzędowym, dotąd niczém nie mogła być dowiedzioną. 3. Samorodztwo, na mocy sumiennych i umiejętnych doświadczeń, stanowczo zaliczone być musi do utopij. A w 1882 r. na kongresie antropologicznym we Frankfurcie nad Menem, występowali tak przewodniczący, prof. Lucae, jak i mianowicie prof. Virchow przeciw tym uczonym, którzy swe fantastyczne kontynuacye hypotezy Darwina chcieliby przedstawić jako pewne i niezbite wyniki nauki. W wykładzie swym „o Darwinie i antropologii“ powiedział Virchow według *Frankf. Ztg.* co następuje:

„Kiedy Darwin ogłosił swe wielkie dzieło „o pochodzeniu rodzajów“ nie myślał jeszcze wcale *o człowieku*. Dwie kwestye, które panowie tutaj poruszacie, nie zostały przezeń właściwie w téj książce szczegółowo rozebrane. Piérwszém jest pytanie: „czy człowiek powstał z jakiéjkolwiek niższéj formy życia, która nie była *ludzką*, któréj jednak nie potrzeba koniecznie nazywać małpą? Nawet ci, którzy w pierwszym zapale walki posunęli się trochę daleko, jak nasz przyjaciel Vogt, cofnęli się późniéj w téj właśnie mierze bardzo znacznie (wesentlich). Darwin zajmował się pierwotnie raczéj zoologiczną częścią, i przedmiotem szczególnéj swéj uwagi zrobił żwierzęta. Z jednéj strony poruszono wtedy pytanie, czy ze żwierzęcia mógł się rozwinąć człowiek? — Z drugiéj strony nie można pominąć pytania: zkąd się wzięły żwierzęta? Konsekwentnie doszło się do tak zw. pierwotniéj generacyi (Urzeugung), według któréj przedstawiano sobie, że pierwsza organizacya powstała z nieorganicznéj, czysto chemicznéj substancyi. Są to stare pytania. Darwin mało się niemi zajmował, w jego książce nie wiele znajdziemy o pierwotnéj generacyi i nie wiele też o rozwoju człowieka ze żwierzęcia. Dopiero późniéj zajął się tą kwestyą i tutaj to głównie Niemcy pchali ciągle naprzód, dopóki drugiego pytania nie doprowadzili do jakiegoś koniecznego związku z nauką o transformizmie. Niewiem, czy był kiedykolwiek czas, w którym tak wielkie problemata załatwiać chciano w tak *lekkomyślny*, rzec można, *głupi sposób*. Gdyby tylko chodziło o to, aby ze sumy pewnych ob-

1) Czaszki przywiezione z Brazylii przez Lunda nie różnią się w niczém od czaszek dzisiejszych Brazylianów — lub czaszki Duńczyków, z tak nazwanéj epoki kamiennéj — zgadzają się zupełnie co do wymiarów z czaszkami mumii egipskich, następnie i naszych czasów.

jawów wyszukać sobie jakieś kwantum, i potem robić z tego prawdopodobne teorye — to moglibyśmy wszyscy siedzieć spokojnie w fotelu, palić cygara i kuć teoryjki. Co jest łatwiejsze, jak „Urzeugung?“ Bierze się pewną dozę węglanu, wodorodu, kwasorodu i tlenu, mięsza je się ze sobą i wyrabia z nich całość, tak zw. protoplazma, pierwotwór. Problemat taki wydaje się pełnym nadziei, gdy się zważy, jak ludzie coraz bardziéj się mnożą, a żywności coraz mniéj. Możnaby w ten sposób piec grzybki bez jaj a może i bez kur; możnaby téż pewnie i wyrabiać chleb bez pieczenia. Do dziś dnia niestety, nie doszliśmy jeszcze do tego, aby z nieorganicznéj materyi wyrobić choćby najmniejszą żyjącą istotę. Jest rzeczą bardzo pouczającą przypomnieć sobie, jak to przed 25 laty w dziedzinie, w któréj zoologia styka się z medycyną chciano udowodnić istnienie pierwotnéj generacyi tak zwanemi glistami. Nie można było pojąć, jak naraz ni ztąd ni z owąd znajdują się w człowieku robaki. Gdyby wówczas już były znane trychiny, to niezawodnie użytoby ich jako główny argument przemawiający za pierwotną generacyą. W medycynie substancyą, z któréj powstawać miały żwierzęta nazwano „saburra“.

Po części wierzy lud nasz jeszcze dotąd, że z błota powstaje robactwo. Ale odkąd bakterye stały się przedmiotem uwagi publicznéj sanitarności, byłoby wielkiém dziwactwem, gdyby nagle ktoś miał wpaść na myśl, że powstaliśmy ze „saburry“. Jeżeli tyfus, jeżeli nawet suchoty, trąd i inne rzeczy powstają z tak drobnych organizmów,—to lekarz, wielekroć ma o tém przekonanie, wnioskuje zawsze, że ta przyczyna, to żywe *ageus*, które sprawia chorobę nie powstało w człowieku; nie suchotnik wytwarza swe bakteryum, nie trędowaty wyrabia w sobie *bacille*,—lecz przeciwnie: bakterye wchodzą w niego, a o „Urzeugung“ nie masz mowy.

Faktycznie nie pokazało się nic z owych przypuszczanych metamorfoz; jeszcze nigdy nikt nie znalazł *powstającego człowieka*, lecz znajdował zawsze już *gotowego*. Tak zwanego „pierwotnego człowieka“ (proanthropos) musimy jeszcze szukać. Kto go chce znaleźć, ten musi daleką jeszcze podjąć drogę“.

Niech te słowa Virchowa, który jest ostatecznie materyalistą, rozważą dobrze ci zaściankowi „uczeni“, co czerpią „naukę“ swoją z *„jednéj książeczki“* lub *„broszurki“* i niechaj zawsze o nich pamiętają, ilekroć jednym frazesem stawiają twierdzenia, świadczące tylko o ich niebotycznéj „naiwności“.

Sam Darwin zmuszony był wyznać (T. I. s. 175), że „wielka przerwa [1]) w szeregu stopni organicznych pomiędzy człowiekiem a jego najbliższymi krewnymi *(sic)*, któréj żaden z żyjących lub wymarłych gatunków zapełnić nie może, niemały stanowi zarzut przeciwko przypuszczeniu, że człowiek pochodzi od zwierzęcia". Zarzut ten jest tak ważny, że Darwin nie próbuje go już nawet osłaniać żadnemi przypuszczeniami a poprostu odwołuje się do wiary w swoją teoryę; kto więc zdobędzie się na tę wiarę, to to niepodobieństwo nic nie znaczy.

Jeżeli więc tak wolno odwoływać się darwinistom do owéj wiary niechże nam nie mówią „o nauce", „o naukowych rezultatach", „o ścisłości naukowéj" i t. p.

Szczególna rzecz doprawdy, jakim sposobem mogą się znaleźć ludzie i to w wieku oświeconym, aby mogli przypuszczać, że są tylko poprawnemi zwierzętami a nawet w to wierzyć, i głosić tyle innych niedorzeczności. Można być pewnym, że ci biedacy, którzy tak mówią, są bardzo płytkiego rozumu, a chcąc uchodzić niby za uczonych, głoszą jakieś dziwaczne teorye światu; ale wielu z nich jest podobnych do profesora muzeum turyńskiego p. Filippiego, który wykładał publicznie teoryę najgrubszego materyalizmu, a nawet dawał odczyty, w których dowodził, że człowiek od małpy pochodzi. A jednak gdy nadeszła śmierć, zmarł po chrześcijańsku, z żalem za grzechy i skruchą, brzydząc się sam swą bezbożnością, przyjął po dwakroć na drogę wieczności Przenajświętszy Sakrament.

Jeszcze słowo o téj rzekoméj możności doskonalenia się zwierząt. Każde zwierzę, ryba, ptak, wąż, komar, rodzą się w stanie, z którym się nierozstają, bo się z nim rozstać nie mogą. Słowiki dziś śpiewają, jak śpiewały za czasów Abrahama i Matuzala; psy szczekają w dziewiętnastym wieku ery chrześcijańskiéj, jak przed tysiącem lat; bobry budują sobie mieszkania, z tąż samą dokładnością przed co i po potopie; toż samo mrówki, pszczoły, pająki, konie, ko-

1) Którą tak dobitnie wykazali profesor anatomii w Bernie Aeby i Th. Bischoff profesor anatomii w Monachium. Obydwaj ci uczeni wykazali niedorzeczność Darwina i jego teoryi tablicą porównawczą wysokości czaszki, zacząwszy od kuny 35 milim. i podnoszącéj się z wolna aż do orangutana 98 — i do człowieka, u którego średnia wysokość czaszki wynosi 146 milim. Skoro 48 m. oddziela go od ostatniego zwierzęcia, przerwa ta niczém nie daje się zapełnić.

W 1883 r. w Anglii ze wszystkich uniwersytetów, instytucyi naukowych i katedr wykluczono teoryę Darwina jako niemającą żadnéj podstawy naukowéj.

ty, wielbłądy, małpy. Ojcowie i matki tych zwierząt niczego nie nauczyły swych dzieci, a i one mimo zachęty swych światłych przyjaciół, niczego nie nauczą swego potomstwa. Do końca świata, ptaszki budować będą swe gniazdka, psy przywiązywać się do człowieka, małpa pozostanie zawsze małpą: słowem wszystko w zwierzęciu pozostanie niezmienne, każde pokolenie obracać się będzie w téj saméj kolei, co pokolenie wcześniejsze.

Darwiniści uciekają się w nader dogodną dla siebie epokę przeddziejową, w epokę, któréj nikt nie zna, z któréj żadnych nie pozostało śladów życia człowieczego, bo i człowieka samego nie było, i tam dopiéro w ciemnościach najzupełniejszych, przy świetle tylko swojéj wyobraźni pokazują nam fantastyczne obrazy przeobrażeń form zwierzęcych. I te hypotezy nieoparte na niczém, Darwin dla bezpieczniejszego zamaskowania, zręcznie ich używa, wyzyskując zezwolenia niezbyt oświeconego i oględnego czytelnika [1]).

Postępowanie takie nigdy nie ma miejsca w nauce—ale prawda, Darwin poleca swym zwolennikom Wiarę w swoją Naukę.

Kto nie chce wierzyć w prawdy Boskie i przed Bogiem się ukorzyć — ten niezawodnie ukorzy się przed niedorzecznością, i rozum swój będzie kalać w błędzie — lub uwierzy co mu stołowa noga wypuka i ekierka wypisze.

Życie organiczne zwierząt kończy się wraz z niemi, bo w zamiarach Stwórcy nie ma ono innego celu, krom żądzy, instynktu i całego zbioru funkcyi, ograniczających się ziemią.

Jeżeli więc człowiek zstępuje dobrowolnie do rzędu niższych istot, jeżeli lgnie z ochotą do teoryi transformizmu, to jedynie dla tego, ażeby się oddalić od Boga, aby uniknąć podwójnéj powinności: posłuszeństwa dla Stwórcy i wdzięczności dla najwyższego Dobroczyńcy. Wskutek to owéj niewdzięczności, taki człowiek odrzuca i depce nogami te dary łaski, które go podnoszą do uczestnictwa na-

1) Fantazya nader bacznie powinna być pilnowaną przez logikę, ażeby nie unosiła nas po za granicę ściśle naukowéj metody.—Darwin mówi zawsze i wszędzie: gdyby, jeżeliby, zdaje mi się i t. p.—i tak, na str. 60 pisze: „zdaje mi się w wysokim stopniu być prawdopodobném (proszę uważać jaki warunek bagatelny stawia uczony naturalista), gdyby jego umysłowe siły rozwinęły się tak jak w człowieku, albo téż blisko do tego stopnia". Tak dowodząc, można kamień zamienić na roślinę, z małym dodatkiem własności wegetacyjnych: ale właśnie te małe dodatki „gdyby", „jeżeliby", „zdaje mi się", któremi tak Darwin szafuje, stanowią trudność główną, o jaką się cała rozbija teorya.

tury boskiéj, zamyka się w swéj własnéj ludzkiéj naturze i chce zależeć jedynie od siebie, od rozumu swojego i swoich przekonań. Następnie, ponieważ te przyrodzone zdolności także od Stwórcy pochodzą i dążą do Niego, taż sama niewdzięczność i duch buntowniczy skłaniają go do zagłuszenia i zniszczenia o ile możności najszlachetniejszéj cząstki swéj istoty, do ucieczki przed obliczem Pana i ukrywania się pośród gromady zwierząt, które nie znają swojego Stwórcy i nie są obowiązane czcić go i słuchać.

Komuna paryska i nihilizm, są dobitnym dowodem, czém może stać się człowiek choć wykształcony, ale zezwierzęcony—człowiek bez żadnych zasad religijnych—człowiek, który, powtarzamy, choć kształcił się, i w dziecinnych latach miał dobre przykłady, ale przez błędną naukę w latach młodzieńczych, zatracił te moralne zasoby, które miały mu wystarczyć na całe życie — bo nauka jego nie była oparta na wierze, ale na błędnych teoryach dzisiejszych filozofów, o których wyrzekł jeden z myślicieli starożytnych, że nie było takiéj niedorzeczności, którejby nie wypowiedział jaki filozof, podając ją za wielką prawdę.

ROZDZIAŁ VII.

Taine, który mieni się fizyologiem i człowiekiem uczonym, puścił w świat nowinę, że myśl jest tylko wydzielaniem się mózgu. I znalazła się zaraz pewna liczba ludzi tak łatwowiernych że uwierzyli mu, i dowodzili, że błonka mózgowa wydziela mniéj lub więcéj fosforu, stosownie do wstrząśnienia mózgu, lub owéj z jego części, która zostaje pod wpływem nitek elektrycznych, to jest nerwów; że każde wrażenie, jest wstrząśnieniem działającém przez one części mózgu (czyli zrazy) na pomienioną błonkę, i fosfor wydziela się wolniéj, lub spieszniéj, w różnych kierunkach — i tak na przodzie okazują się: myśl filozoficzna, naukowa, metafizyczna—zamyślenie u góry a pobożność z lewéj strony; chętka zaś oszukiwania, kradzieży i t. d. z tyłu; — dobroć, poświęcenie, przyjaźń, miłość, w odpowiedniém miejscu i t. d. i t. d.

Nie zaprzecza się żeby nerwy nie przesyłały wrażeń do mózgu, żeby błonka mózgowa nie zawierała wydzielającego się fosforu, ale żeby fosfor miał być przyczyną konieczną wyż wymienionych twierdzeń—to już trudno aby kogoś przekonać, że wzniosłe geniusze, mówcy, ludzie rozumu, poświęcenia, miłości i czułości są fosforem! Więc Karol Wielki, Napoleon i tylu innych którzy byli sławnymi wojownikami: to tylko fosfor!—Św. Bernard, Bossuet i inni znakomici mówcy: to fosfor!—Rafael, Rubens, Van Dyk, wielcy malarze: to fosfor!—Św. Tomasz z Akwinu, Albert W., Pascal, Leibnitz i wielu głębokich myślicieli: to fosfor!—i t. d. i t. d. to wszystko fosfor!

Robespierre, Marat, Cartouche, nie są winni za swoje zbrodnie ale fosfor!

Trudno pojąć jak można coś podobnego przypuszczać!

Ale nie dość na tém, wszak i p. Gall dowodził, że nie ma ani występku ani cnoty, lecz tylko guzy i temperamenta.

Więc nie wolno urządzić życia swego podług swéj woli, być dobrym lub złym, religijnym lub bezbożnym, łagodnym lub porywczym i t. p.—wszystko są to mrzonki, albowiem guzy stanowią o tém wszystkiém, jak to wskazuje rozklasyfikowana czaszka przez p. Gall'a z czterdziestu przeszło kartkami wszystkich guzów—i tak: jesteś rozumny, bo masz guz rozumu, znajduje się on nad nosem.—Jesteś pobożny, bo masz guz religijności. — Jesteś oszustem, dotknij się z tyłu ucha, masz tam guz przywłaszczania sobie, a zatém czyż to twoja wina żeś ukradł lub zabił?—Jeżeli kochasz rodzinę, masz dobre serce, to dotknij się z tyłu głowy, masz tam guz miłości i t. p. co do wszystkich skłonności, namiętności, dobrego lub złego, zawsze guz jest przyczyną.

Ztąd twierdzenie, że człowiek nie ma wolnéj woli; ale tylko jak zwierzę ma instynkt który go ciągnie w tę lub ową stronę.

Rozumiem, że doskonałości lub niedoskonałości mózgu, dodają mniéj lub więcéj naturalnéj siły ludziom do pojmowania, do pracy i t. p., lecz te usposobienia skłaniają tylko wolną wolę człowieka bez przymusu—łaska boża dana jest każdemu, stosownie do potrzeby; dlatego wszyscy powinni czynić dobrze, unikać złego i opierać się złym skłonnościom.

Toż samo również stosuje się do temperamentów i do wpływów klimatycznych. — Temperament krwisty i żółciowy usposabia tylko do gniewu, ale usposabia tylko, nie jest więc rzeczywistą przyczyną gniewu. — Temperament ognisty, namiętny, usposabia do niepowściągliwości, ale usposabia tylko, któréj wola może i powinna się opierać. Święty Franciszek Salezy, tak łagodny i spokojny, był jednak temperamentu skłonnego do gwałtowności, do gniewu. Św. Franciszek z Asyżu był pokorny, umiarkowany, mimo że tempe-

rament pobudzał go do rozkoszy światowych. Św. Augustyn, Hieronim, Ignacy i tylu innych wszelkich stanów i wieku, spędzili życie panując nad swojemi skłonnościami, i panowali siłą duszy nad temperamentem, skłonnym do najgwałtowniejszych namiętności.

I wpływy klimatyczne nie mogą być wymówką dla niepowściągliwości, zbrodni i t. p. Mogą rozwinąć w nas dobre lub złe popędy, ale tylko popędy, lecz wola powinna i jest zdolną im się opierać. Tak jest, duchowa strona człowieka może ująć ster kładąc odpowiednią miarę i granicę popędom i złym skłonnościom i życie swoje przyozdobić świętém piętnem duchowości, boskości.

Ale ci panowie dowodzili, że nie mamy duchowéj, rozumnéj i wolnéj duszy, że prawa boskie i ludzkie są tylko niedorzecznością, a zatém, że Boga nie ma, a człowiek jest tylko żwierzęciem, i jeźli zdoła ominąć czujność straży bezpieczeństwa, wszelkie drogi do dopięcia swych żądz i celów stoją mu otworem.

Szczególna, jak tym ludziom koniecznie chce się zostać podobnymi do żwierząt; ale dawne to są dzieje tego dobrowolnego poniżenia człowieka, a psalmista uderzającym sposobem maluje widok, który dziś mamy przed oczyma: „Człowiek nie zrozumiał tego co godność jego stanowi, zrównał się z bezrozumnemi żwierzętami i stał się im podobny“ [1]).

ROZDZIAŁ VIII.

Co do potopu:

Nauka niemniéj jak Objawienie przyjmuje fakt potopu, mamy na to tysiączne dowody materyalne: osobne warstwy ziemi, naniesione przez wody, napotykane wszędzie, drzewa palmowe skamieniałe i inne szczątki roślinne i żwierzęce strefy równikowéj, znalezione w naszych ziemiach i aż w lodach biegunowych [2]) i wogóle na najwyższych

1) W jedném z pism warszawskich z miesiąca grudnia 1879 r. w inseratach, znajduje się ogłoszenie na „Gwiazdkę“ dla młodzieży: Zasady fizyognomiki i frenologii, wykład popularny i t. d., przez Isabeau, podług dzieł Lavatera, Carusa i Galla. — W témże ogłoszeniu „Na Kolendę“ dla dorastającéj młodzieży, dziełko Karola Vogta i t. p.—Oto czém młodzież karmią—pięknie się przysłuży podobnym podarunkiem ojciec nieoględny swemu dziecku, lub przyjaciel domu.

2) W ostatnich latach, w północnych stronach Syberyi, znaleziono mamuta z mięsem i skórą zamarzniętego— tamże znajdują wiele kości żwierząt strefy gorącéj. W 1881 r. znaleziono także przedpotopowe żwierzę ze skórą, mięsem i wszystkiemi organami wewnętrznemi, na Syberyi, mianowicie w dorzeczu Jany, w północno-wschodniéj części tego kraju, gdzie przeciętna temperatura dzienna wynosi 17o C. mrozu. Żwierzę to jest rodzajem nosorożca (*Rhinoceros Merckii*), którego okazy znajdowano niejednokrotnie już dawniéj, nawet w zachodniéj i południowéj Europie, ale tylko w szkieletach.

górach wszystkich części świata, na Montblanc, na Himalai, na Kordyljerach i t. p. Muszle wody słonéj i słodkiéj nasadzone w wielkiéj liczbie na bokach gór i płaszczyzn wzniesionych, ryby również skamieniałe, znajdywane na wierzchołkach gór; skamieniałe kości niedźwiedzi, jeleni, wilków, koni i t. p., znajdywane tu i ówdzie w jaskiniach na wielkiéj wysokości; żwierzęta te przerażone, gnane wodami, szukały razem niemożliwego schronienia przed ciągle przybierającemi wodami.

Wszystkie te starożytne szczątki są w oczach nauki niemniéj jak i w oczach wiary, niezbitemi świadkami wielkiego dzieła potopu [1]).

1) Nie małą rolę w potopie odegrało bezwątpienia i morze. Znaczne jednak jego po za brzegi wystąpienie inaczéj objaśnić się nie daje jak tylko przypuszczeniem, że się dno jego w części podniosło przez parcie wewnętrznych gazów, a ląd w części się poniżył.

Dane rachuje średnią głębokość morza na 15—20,000 stóp; średnią wysokość lądu stałego podaje Humboldt na 1000 stóp. Gdybyśmy więc morze wypełnić chcieli lądem i zrównać wszystkie nierówności kuli ziemskiéj, morze straciłoby tylko 375 stóp ze swojéj średniéj głębokości, a wszystkie lądy zginęłyby pod wodą, któraby unosiła się nad niemi jeszcze około 15,000 stóp. (Fraas: *Vor der Sündfluth*, str. 89).

Das Diluvium in der Geologie. Das Diluvium in der Tradition der Völker. Dwie te broszury należące do składu „Frankfurter Zeitgemässe Broschüren“, napisał dr. *Bernh. Schäffer*, znany i ceniony wysoko w świecie naukowym archeolog i egzegeta, profesor przy akademji w Münster, celem zbicia niektórych fałszywych pojęć o potopie opisanym w Biblji. Jak wiadomo, uczeni niektórzy, zwłaszcza teologowie protestanccy, broniąc naukowéj powagi Biblji, uważają potop za diluwialne tworzenie się ziemi. Dr. Schäffer dowodzi, że formacje diluwialne nie mają nic wspólnego z historycznym potopem za czasu Noego, lecz w wielkich odstępach czasu powstając, wyprzedzają znacznie potop. Dowód pozytywny za prawdziwością biblijnego sprawozdania stawia autor w drugiej broszurze, powołując się na tradycję ludów o potopie. Autor wykazuje tu przekonywająco, że potop jako fakt historyczny uznawany jest przez wszystkie ludy a Pismo św., najstarszy i najpoprawniejszy daje jego opis. Uzupełnia obie te broszury trzecia rozprawa geologiczna o Diluvium der Bibel, która osobno wydana została u Foesser Nachfolger w Frankfurcie nad M.

Ale znów zarzucają: że jeżeli wszyscy ludzie, oprócz Noego i jego rodziny, zostali zniszczeni przez potop, to jakąż płodność przyznaćby należało trzem pokoleniom Sema, Chama i Jafeta, aby po przeciągu najwięcéj lat pięciuset, już miliony ich potomstwa w Egipcie znajdować się mogły?

Odpowiadają na to poważni matematycy, że gdyby przecięciowo para—sześcioro miała dzieci, wówczas liczba ludzi w 425 lat po potopie, wynosiłaby ośmset milionów dusz, a zatém dwie trzecie tego, ile dzisiaj liczba całéj ludności wynosi na ziemi.

Zapewne, że w takim stosunku (zwłaszcza przy tak krótkiém dziś życiu) nie powiększa się liczba ludności w żadnym kraju, ale téż i nie twierdząc stanowczo, że się wówczas w takim stosunku powiększała, jakkolwiek powiększała się ona nierównie w wyższym stosunku niż dzisiaj.

Przyjmijmy jednak tylko powiększenie roczne ludności $2\frac{1}{2}$ procentu, a taki przyrost i teraz jeszcze przy sprzyjających okolicznościach miewa miejsce w mało zaludnionych krajach; natenczas w 150 lat po potopie, byłoby już ludzi sto sześć milionów, a przy przyroście ludności trzy i pół procentowym, po tym samym przeciągu czasu, byłoby sto ośmdziesiąt milionów ludzi. Prawdopodobną jest rzeczą, że ziemia otrzymawszy odpowiednią liczbę ludzi, nie rośnie już tak w liczbę mieszkańców, jak rosła poprzednio i to przy dłuższém życiu człowieka. A czego nie mało mamy i dziś wiarogodnych przykładów, 150 i więcéj lat życia (patrz Frichard: *Naturgeschichte des Menschengeschlechts*. 1. 151).

Zaludnienie zaś stopniowe całéj ziemi mogło odbyć się za pomocą różnych sposobów. Drogą do zaludnienia Australii pomiędzy innemi były zapewne wyspy Archipelagu Indyjskiego. Zaludnienie Nowego świata mogło nastąpić najłatwiéj szlakiem północnym, przez cieśninę Berynga, która w najwęższém miejscu, wynosi tylko dziesięć mil szerokości. Inne pokolenia mogły wędrować przez wyspy Aleutskie. Od południowéj Azyi, w kierunku Ameryki południowéj, ciągnie się długi łańcuch wysp, na sto stopni długości, a dalsze pięćdziesiąt stopni stanowią przerwę, która niegdyś była wypełniona lądami i dzisiejszy łańcuch wysp Oceanu Indyjskiego i Spokojnego, przedstawia się nam niby pale rzuconego między Azyą i Ameryką mostu;—Ocean Spokojny z licznemi grupami wysp swoich wogóle przedstawia postać zapadłego lądu, którego najwyższe wierzchołki wystają z wody. A to poniżenie się dna morskiego ciągle się jeszcze odbywa na Oceanie

Spokojnym. „Człowiek, mówi Giebel, prof. uniw. w Halli, nawet w stanie pierwotnym tyle miał sposobności dostania się do wszystkich miejsc i części ziemi, że o możliwości rozszerzenia się rodu ludzkiego z jednego punktu wątpić niepodobna".

Stanowiące zaś różnice plemion, pomimo ich wspólnego pierwiastkowego pochodzenia, dzięki antropologii, która coraz więcéj zdobywa faktów, przekonywa nas, że do tego przyczyniły się działania klimatu [1]), sposób życia, zewnętrzne warunki życia, w ogóle stopień duchowéj kultury. Waitz téż słusznie w swojéj Antropologii powtarza za Prichardem, że różnice postaci ludzkiéj nie są jeszcze tak wielkie, jakby tego spodziewać się było można, ze względu na różnice klimatycznych i historyczno-cywilizacyjnych okoliczności, wśród jakich żyją różne narody.

Trudno jest określić ile zwierząt i jakie mianowicie znajdowały się w Arce — w każdym razie cały świat zwierzęcy o ile był Noemu znany, w Arce był całkowicie przedstawiony. Zwrócić trzeba i na to uwagę, że w dziesięciu rozdziałach księgi Rodzaju, jakie idą po rozdziale I, Mojżesz nigdzie nie mówi o zwierzętach z Arki wyszłych, iż od nich pochodzą wszystkie na ziemi zwierzęta. Więc być może, że z powszechności potopu względem winowajczych dzieci Adama, nie wynika jeszcze koniecznie jego powszechność względem całéj powierzchni ziemi i względem wszystkich gatunków zwierząt. Pianciani, prof. Filozofii i Chemii. (*Genesis*. s. 262, 542, 547).

Zatém przypuszczając, że jeżeli potop nie był powszechny, w tém znaczeniu, iż nie jednocześnie cały ląd wodą był zalany i że skutki potopu nie wszędzie były tak wielkie, jak w okolicach zamieszkałych przez rodzaj ludzki i Noego wraz z rodziną, wtenczas łatwo wystawić sobie jak wiele różnych zwierząt ocaleć mogło.

W każdym razie dla Boga nie ma nic niepodobnego: mogło nastąpić zalanie całéj ziemi, a w Arce mogły przechować się wszystkie gatunki zwierząt [2]) i ztamtąd dopiero po całéj rozszerzyć się ziemi.

---

1) W 1881 r. pisma publiczne doniosły, że w 1809 r. jedna rodzina z 3-ch osób złożona kolonistów niemieckich osiadła na Kaukazie, z któréj kilkaset członków (bo inni poprzenosili się gdzieindziéj) pozostało na miejscu, z których żaden się nie żenił i t. p. z krajowcami tylko między sobą, i którzy zachowali swój język i zwyczaje, a jednakże każdy z nich przedstawia dzisiaj prawdziwy typ kaukazki i to w całém znaczeniu tego wyrazu."

2) Oficer marynarki francuzkiéj, vice-admirał Thevenard, wyrachował, że

Nie jest też nieprawdopodobném, że rozdzielone teraz lądy dawniéj łączyły się ziemią suchą, później zapadłą w morze (Pianciani, s. 556). Wszak pewną jest rzeczą, że gdzie dziś morze Śródziemne, dawniéj był ląd, i ruiny miast w głębiach jego dają się spostrzegać (toż samo i w niektórych jeziorach), a gdzie pustynia Sahara, niegdyś była woda.

Ale pytanie, jakie tu się nam nasuwa jest, czy, i w jakiem znaczeniu przedstawia Mojżesz potop jako powszechny. Gdyby Bóg Mojżeszowi objawił, że wszystkie góry, jakie tylko na ziemi się znajdują, pokryte były wodą, i że woda wznosiła się nad niemi piętnaście łokci, natenczas wątpić by nie było można, że woda literalnie wszystkie pokrywała góry, i że potop był powszechnym w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu. Tak też rzecz tę rozumie wiele egzegetów. Nie zdaje się jednak, aby tekst Pisma Ś. koniecznie takiego wymagał rozumienia. Przedewszystkiém pamiętać należy, że w opowiadaniu tém *Księgi Rodzaju* mamy przed sobą podanie Noego i jego synów. Nie ma tu żadnego fałszu, żadnéj nieprawdy, bo od niéj chroniła pisarza świętego nadnaturalna pomoc Boża, ale sposób przedstawienia rzeczy pozostał zwyczajny, ludzki. Ze stanowiska więc Noego i jego rodziny, przekazujących to całe podanie, tłumaczyć należy i owo wyrażenie, że wszystkie góry wodą były zalane; a zatém rozumieć tu wypadnie wszystkie góry w ich stronach, w ich okolicach [1]). Z takiém rozumieniem zgadza się bar-

---

Arka była o trzecią część przestronniejszą, aniżeli było potrzeba do pomieszczenia nader wygodnego rodziny Noego, wszystkich źwierząt i żywności.

Starszy budowniczy berliński Jan Silberschlang, zrobił nader szczegółowy plan Arki, gdzie znajduje się miejsce dla wszystkich gatunków źwierząt, i z potrzebnemi magazynami żywności. Podobnie szczegółowy skreślił on plan żywienia źwierząt, rozdzielając trafnie pomiędzy ośmiu ludzi zajęcia dzienne około tych wszystkich mieszkańców Korabiu. A pamiętajmy, że to nie był okręt ale Dom pływający.

1) „Jeżeli żyjący wówczas ludzie ograniczani byli tylko do świadectwa własnych swoich zmysłów, o rozciągłości potopu *nie mogli* wiele wiedzieć. Wprawdzie Bóg *mógł* człowiekowi powiedzieć to, o czém on wiedzieć nie mógł, i w rzeczy saméj nieraz to czynił; ale objawienia Boże mają po większéj części cel wyłącznie moralny (religijny), a przy potopie właśnie bardzo wiele znaczącym moralnie jest faktem, że w dawnych czasach Bóg, z wyjątkiem jednego sprawiedliwego i jego rodziny, cały rodzaj ludzki wygubił za jego przewrótność; ale nie ma żadnego znaczenia moralnego pytanie, czy potop, przez jaki sąd ten się wykonał, rozciągał się nie tylko do okolic zamieszkanych wówczas przez ludzi, ale także do ziemi Ognistéj, Tahiti i wysp Falklandzkich". *H. Miller*, Testimany, p. 259.

dzo dobrze uwaga w 5 wierszu VIII. rozdziału, że pierwszego dnia, dziesiątego miesiąca, pokazały się znowu gór wierzchołki; rozumie się pokazały się oczom przebywających w arce. A zatém nie koniecznie potrzebujemy przypuszczać zalania wszystkich gór bez wyjątku. Wyrażenia: „wszystkie góry wysokie pod wszystkiém niebem" można nie brać ściśle dosłównie, ponieważ podobnych wyrażeń używa Pismo św. tam niekiedy, gdzie kontekst w żaden sposób nie pozwala na takie ścisłe ich rozumienie. Tak np. w *Deuteronomium* (II, 25) Bóg mówi do ludu izraelskiego: „Dzisiaj poczną puszczać strach i bojaźń na ludy, które mieszkają *podewszystkiem* niebem, aby usłyszawszy imię twoje lękali się". Rozumie się, że nie ma tu mowy o wszystkich bezwzględnie ludach ziemi, ale tylko o tych, z któremi Izraelici weszli w zetknięcie, albo też, które słyszały o tych cudach, jakie Bóg działał w pośrodku ludu wybranego. Podobnie też tylko kraje, z Egiptem w stosunkach zostające, rozumieć należy, gdy w historyi Józefa czytamy (Gen. 41, 54, 57) „po wszystkim świecie głód przemógł" i „wszystkie prowincye przyjeżdżały do Egiptu, aby kupowały żywność". Król Salomon podług opowiadania Ksiąg Królewskich (III, 10, 23, 24) większy był „nadewszystkie króle ziemskie bogactwy i mądrością. A wszystka ziemia pragnęła twarzy Salomonowéj, aby słyszała mądrość jego, którą był Bóg dał w serce jego". Wyrażenia tego geograficznie nie należy brać również dosłownie jak i słów Zbawiciela o Królowéj Sabie (Mat. 12, 24), że przyjechała z krajów (Krańców) ziemi do Salomona. *W Dziejach Apostolskich* (II, 5) czytamy, że w dniu zstąpienia Ducha Św. na Apostołów byli zebrani ludzie ze *wszystkich* narodów, jakie pod niebem są". Nie ma jednak, o ile wiemy, egzegety, któryby słowa te brał dosłownie, któryby przypuszczał, że byli też tam chińczycy i nowo-zelandczycy. Podobnie więc i wyrażenie: *wszystkie* góry pod *wszystkiém* niebem", możemy tak rozumieć, że nie koniecznie obejmuje ono góry leżące zupełnie poza widnokręgiem Noego, jak Chimborasso i Davalagiri [1]).

---

1) Zdań powszechnych i wyrazu *kol*, wszystek, powtarzającego się kilkakrotnie w historyi potopu, nie należy w języku Pisma św. a szczególniéj Mojżesza, brać zawsze ściśle... Zdaje mi się, że nie wyrządzamy żadnéj krzywdy Noemu, jego synom i wyswobodzicielowi Izraela, gdy przypuszczamy, że równie jak ich współcześni i późniejsi po nich, nie wiedzieli oni nic o istnieniu Ameryki i Australii, że nie mieli najmniejszego nawet przeczucia o źwierzętach właściwych tym stronom ziemi i dalszych krain starego świata, jak np. Przylądka Dobréj Nadziei; że w ogóle w geografii i zoologii nie posiadali szerszych wiadomości, j k

ROZDZIAŁ IX.

Co do przypuszczeń zamieszkania innych sfer niebieskich przez stworzenia złożone jak my z duszy i ciała, nie jest to samo w sobie przeciwne wierze, przy należytém rzeczy wyrozumieniu.

Astronomowie jednak i fizycy obliczają, że planety naszego systematu, znajdujące się bliżéj słońca niż my, są wystawione na takie natężenie gorąca, o jakiém nawet pojęcia mieć nie możemy: są to tysiące tysięcy cieplika, czyniące zupełnie niepodobném życie jakiejkolwiek istoty organicznéj. I na odwrót, planety więcéj niż my oddalone od słońca, znajdują się według obliczeń naukowych, w natężeniu zimna niemniéj nieobliczonego. I tu więc życie organiczne jest niepodobne. Rośliny nawet nie mogą tam istnieć.

Wiara mówi w tym przedmiocie: „Że z wiary jest, że wszyscy ludzie pochodzą od Adama i Ewy, i że nie ma innych ludzi prócz nas. Jeżeli sfery niebieskie są zamieszkałe, to nigdy przez duchy czyste, przez dusze, bo duchy nie potrzebują mieszkań materyalnych". Daléj wiara uczy, że odwieczny Syn Boży stał się człowiekiem, i że On tylko zbawić i poświęcić może wszelkie stworzenie tak na niebie jak i na ziemi.

Arystoteles, Hipparch, Ptolomeusz i Pliniusz. A jeżeli to prawda, tedy mógł Noe i jego potomkowie w swojém opowiadaniu, a Mojżesz w swoim opisie tego wielkiego wypadku, używać wyrażeń: *cała* ziemia, *wszystkie* źwierzęta, wysokie góry, jakie pod *całém* niebem są, a jednak wyrażenia te mogły się stosować tylko do téj części powierzchni ziemi, jaka im mniéj lub więcéj była znaną, i do tych źwierząt, jakie tam żyły, i do tych gór, jakie się tam wznosiły.... Czcimy w Mojżeszu pisarza natchnionego, ale i u natchnionych pisarzy znajdujemy hiperbole i wyrazy, które można brać w ich najbliższém i w ich najobszerniejszém znaczeniu; sądzimy téż, że nie dotykali oni wielu rzeczy, nie należących do religijnéj nauki, a wielu téż innych tego rodzaju rzeczy i nie wiedzieli. Bóg pozostawił pisarzy biblijnych w niewiadomości co do wielu kwestyj interesujących wprawdzie, ale niekoniecznych do wiedzenia; pozwolił im téż przy pisaniu używać wyrażeń, których najbliższe znaczenie nie zawsze jest takiém, jakie się pokazuje przez zestawienie i porównanie miejsc odpowiednich i przez postęp nauk ludzkich, które nieraz podają dobry komentarz na słowa Pisma św., gdzie ich znaczenie nie jest wyjaśnione przez nieomylnego tłumacza objawień Bożych". *Pianciani*, Cosmogonia, 543, 545.

Genesis, s. 262, podobnie *Pianciani* w dz. c. s. 542. „Z powszechności potopu względem winowajczych dzieci Adama, nie wynika jeszcze koniecznie jego powszechność względem całéj powierzchni ziemi i względem wszystkich gatunków niewinnych źwierząt".

Jeżeli zaś są jakieś światy zamieszkałe jak ziemia [1]), stworzenia tam żyjące powinny jak my, dążyć do nieba, wierzyć w bóstwo Słowa, które stało się ciałem, wielbić Boga-Człowieka, kochać Go i służyć Mu.

Lecz może kto powie, jakimże sposobem poznają Go? Zapytajcie się ich. My tylko powiedzieć możemy, jako ludzie tu żyjący, że objawienie tajemnicy Wcielenia i Odkupienia, mogło dojść do tysiąca światów, już to przez aniołów, już to inną drogą Bogu tylko samemu wiadomą.

Wielu podzielających to przekonanie, zastosowywa tu przypowieść o dobrym pasterzu, który spokojny zostawia w owczarni dziewięćdziesiąt dziewięć owiec wiernych, a z trudem i znojem goni za zgubioną, i z tryumfem przynosi ją do owczarni. Ta owieczka niewierna, to grzeszna ludzkość, błąkająca się po ziemi zdala od Boga; dziewięćdziesiąt dziewięć owiec wiernych, to mnóstwo stworzeń zaludniających wszechświat.

Gdy się znów pomyśli, pocóż ta niezliczoność gwiazd, słońc, planet i t. p. jeźli nie są zamieszkałe? Odpowiadamy naprzód, że wszechmocność boską nie więcéj kosztuje stworzenie miliona światów, niż jednego ziarnka piasku; a powtóre, że godną jest rzeczą nieskończonéj Boga mądrości, aby przez tę cudowną mnogość dał nam pojęcie o swojéj wielkości, a także o niewypowiedzianéj wspaniałości prawdziwego nieba, które miłosierdzie Jego zgotowało, nam na wieczność całą.

Zaprawdę, gwiaździste niebo nie jest za nadto wspaniałą kopułą ziemi, gdzie mieszkają dzieci boże, i gdzie przebywa w Sakramencie

---

1) Ksiądz Secchi sławny astronom naszego wieku w tym przedmiocie tak pisze, w swoim dziele p. t. Le Sóleil, p. 418.

.... „Co sądzić o tych niezmierzonych przestworzach i tych ciałach niebieskich w nich się unoszących? Co myśleć o tych gwiazdach, które są zapewne jak nasze słońce, środkiem światła, ciepła i ruchu, przeznaczonych jak ono napełniać życiem mnóstwo przeróżnych stworzeń? Co do mnie, przypuszczam, że w przestrzeniach tych, są stworzenia rozumne, zdolne znać i chwalić swojego Stwórcę; i być może, że tamtejsi mieszkańcy są lepsi i wierniejsi niż my w obowiązkach wdzięczności względem Tego, który ich powołał do bytu; i mam nadzieję, że nie ma pomiędzy nimi tych nieszczęśliwych, którzyby w swéj pysze zaprzeczali istności i mądrości Tego, któremu sami są winni swój byt i znajomość tylu cudów".

Ks. Moigno, sławny przyrodnik i matematyk francuzki, przypuszcza to również.

miłości Pan Jezus, prawdziwy Bóg z Ojcem i Duchem Św., który wszystko stworzył z niczego, a swoją wszechmocnością utrzymuje wszystko stworzenie na ziemi i na niebie.

ROZDZIAŁ X.

Poznanie przyczyn drugich nie stanowi jeszcze prawdziwego mędrca, gdyż jest tylko pół-nauką.

Nazywamy przyczyną drugą, dla odróżnienia od przyczyny pierwszéj, to, co pośrednio lub bezpośrednio, wydaje jakiebądź przyrodzone zjawisko. I tak: drugą przyczyną piorunu, przyczyną bezpośrednią, jest wyładowanie się elektryczności, nagromadzonéj w chmurach. Drugą przyczyną epidemii jest jakiś prąd zaraźliwy, jakieś mikroskopijne żyjątka, zatruwające powietrze. Drugą przyczyną rewolucyi, to ogół wypadków, które ją zgotowały i t. d.

Nauka, a raczéj tylko wiedza większéj liczby naszych nowożytnych uczonych, zatrzymuje się na drugich przyczynach. Od stu lat przeszło, zrobiono pod tym względem znakomite postępy. Dzięki udoskonaleniu narzędzi, jakich używają uczeni, głównie w astronomii, w fizyce i chemii, odkryto tysiące drugorzędnych przyczyn, nadzwyczaj interesujących. Niektórzy uczeni posunęli się nawet bardzo wysoko w zgłębianiu drugorzędnych przyczyn; tak, iż z przyjemnością i podziwem słuchamy ich wykładu bezpośrednich przyczyn mnóstwa zjawisk przyrodzonych. Tłómaczą deszcz, burzę, grzmoty, grad, zjawiska światła i głosu, bieg gwiazd, ich obrót peryodyczny i prawa właściwe; tłómaczą zjawiska anatomiczne i fizyologiczne; wnikają aż do wnętrza wielu rzeczy przyrodzonych, nieznanych, lub mało dotąd znanych. Jest to wiedza, któréj kościół pierwszy hołd oddaje.

Lecz, czyż uniesienie zasłony, pokrywającéj drugorzędne przyczyny stanowi prawdziwą uczoność? Czy ich poznanie jest prawdziwą nauką?

Jakkolwiek piękny jest bukiet, nie ma w sobie życia; roślina przeciwnie, ze swemi kwiatami, liśćmi, łodygami, z krążącemi sokami, ze swym korzeniem, przedstawia utwór całkowity, żywe dzieło Stwórcy.

Dlatego też tylko wierzący chrześcijanie mogą być uczonymi w całém znaczeniu tego wyrazu, bo sami tylko [1]) wznoszą się do Boga żywego, do Jezusa Chrystusa. Świat przyrody, będący dziedziną nauki, istnieje przez Jezusa Chrystusa i dla Chrystusa; wiara dopełnia nauki, dając jéj poznać dokładnie Sprawcę przyrody, który jest zarazem Sprawcą łaski. Na téj jedności nauki z wiarą, polega różnica porządku przyrodzonego od nadprzyrodzonego; nie ma ani zamięszania, ani rozdziału, lecz różnica w jedności, a jedność w różnicy.

Bez wiary nauka ludzka nie może nigdy dosięgnąć pierwotnéj przyczyny niczego.

Bez wiary zostaje powierzchowną nawet wtedy, kiedy zdaje się że jest głęboką; pełza ona po ziemi, a nie wzniesie się nigdy wysoko.

Wiara jedynie wskazuje rozumowi ludzkiemu pierwotną przyczynę wszystkiego.

Jakąż wyższość wiara nadaje uczonym nad tymi, którzy jéj nie mają!

W XVIII. wieku, w owéj smutnéj epoce religijnego rozstroju, Fontenelle w sławném swojém dziele: „*Les Eloges*“ wymienia sześćdziesięciu dziewięciu uczonych, a pomiędzy nimi znajduje się zaledwie trzech takich, którzy z nauką nie łączyli prawdziwéj wiary i pobożności. A i w czasach obecnych, kiedy nieprzyjaciele religii tak jawnie występują pod fałszywém hasłem wiedzy i postępu, jakże częste dochodzą nas wieści, że ci nawet, których działalność naukowa oddalała pozornie od prawd wiecznych, prawd Boskich, w chwili przedśmiertnéj, gdy nikną wszelkie złudzenia i gasną błędne ogniki ludzkiéj mądrości, szczerze zwracali się do ostatniéj pociechy religijnéj, dla wszystkich zarówno dostępnéj.

Akademia nauk w Paryżu, w krótkich odstępach czasu, straciła czterech najznakomitszych swoich członków, a wszyscy czteréj zakończyli życie po chrześcijańsku. *Leverrier*, *Becquerel*, *Regnault*, *Kl. Bernard*, sława tych imion wybiegła daleko po za granicę ojczyzny uczo-

---

1) Materyaliści nie mają nigdy całkowitéj nauki, sięgającéj gruntu rzeczy, wznoszącéj się aż do pierwotnéj przyczyny. Dlatego to ich nauka, ich wykłady zawsze są pełne błędów.

Bóg, którego uznają Deiści, nie jest Bogiem żywym, jedynym prawdziwym Bogiem, Stwórcą i Panem świata; ich Bóg jest Bogiem filozoficznym, lub, jeźli chcecie, to prawdziwy, lecz znany tylko powierzchownie, w sposób zupełnie niedostateczny.

nych mężów, których prace wysoko były cenione wszędzie i niemało się przyczyniły do postępu ogólnéj wiedzy—każdy z nich przykładną śmiercią chrześcijańską dał światu naukę zbawienną, i wskazał do czego zmierzać powinna wszelka chwała i nauka doczesna.

Aby słowo uczonego miało wagę, trzeba aby ów uczony mówił o tém co zna dobrze, to oczywista.

Jakąż powagę mają twierdzenia chemika w materyi historycznéj? matematyka w przedmiocie medycyny? astronoma w historyi naturalnéj?—Rafael jest królem malarstwa, jego powaga w malarstwie pierwsze trzyma miejsce między innymi; lecz gdyby Rafael zaczął nam mówić o medycynie lub astronomii, jego świadectwo, rozumie się miałoby ważność bardzo podrzędną.—Tak się ma nietylko z większą częścią uczonych bez wiary, ale i ze wszystkimi, którzy porywają się na religię, nie znając jéj gruntownie, lub co gorsza, znając ją tylko w fałszywém świetle; sąd taki już nie jest sądem uczonego, ale ignoranta.

Niestety, iluż to uczonych posiwiało nad swemi księgami, narzędziami, retortami, iluż z wytrwałą cierpliwością swój umysł kierowało ku zagadnieniom nauk ścisłych, fizyki, astronomii, filozofii, nie myśląc o nauczeniu się gruntownem prawd wiary świętéj. Niedziw więc, że nauka ich musi być przepełniona wielu błędami—a zatém człowiek taki nie może się zwać uczonym w całém znaczeniu tego wyrazu.

Pewien bardzo uczony człowiek, w toku rozmowy, odezwał się do świątobliwego proboszcza z Ars: „Na nieszczęście brak mi wiary“.—„Pan nie masz wiary? to szczególna, odpowiedział mąż święty; miałem się za bardzo nieświadomego, lecz widzę że pan mniéj jeszcze umiesz odemnie; ja przynajmniéj wiem w co wierzyć i co czynić należy“.

Jakże wielu uczonych znajduje się w tém samém położeniu, względem tych co posiadają wiarę. W czasie młodych lat swoich, zaledwie pobieżnie przerzucili kartki katechizmu, lub wcale się go nie uczyli, i nie zbadali gruntownie nauki świętéj, prawd bożych i t. p.—Cóż dziwnego, że potém uniesieni wirem świata i wiedzą błędną, nią się zupełnie zajęli—a świat nadprzyrodzony, świat chrześcijański i wszystko to co prowadzi do poznania Boga w dziełach Jego, jest dla nich światem nieznanym; a jeźli Go znają, to tylko ze szyderstw ludzi, wśród których żyją, lub z dzieł ich które czytają.

Wielu też widzimy młodzieńców, którzy mając za przewodników propagatorów i głosicieli materyalizmu, dalecy są od ideału człowieka starającego się oświecić gruntownie; dla tego praca ich umysłowa, wydaje tylko ludzi niedouczonych, którzy opierali studya swoje nie na prawdach boskich, ale na fantastycznych hypotezach i teoryach niczém nie uzasadnionych i zamiast postępować naprzód w oświacie i cywilizacyi, cofają się wstecz.

Niechże młodzi ludzie będą ostróżni wobec podobnych głosicieli nauki. Wielu może być uczonych pod jednym względem a bardzo nieświadomych pod drugim i ztąd w wielu kwestyach ich nauki muszą zachodzić błędy.

Młodzieniec, któremu wpadnie do rąk dzieło napisane przez autora wątpliwych zasad religijnych, lub będzie miał styczność z osobami znakomitemi pod względem nauki ale mało wierzącemi; niechże się strzeże brać za jedno tego, co jest rzeczywiście różne: wiedzę przyrodzoną a nadprzyrodzoną, naukę ludzką i naukę boską, uczonego bez zasad religijnych, a uczonego wierzącego chrześcijanina.

ROZDZIAŁ XI.

Człowiek uczony w całém znaczeniu tego słowa, posiada zawsze wiarę.

Kepler, kończąc jedno ze swoich dzieł astronomicznych, dopisuje następne słowa: „Pozostaje tylko jeszcze, abym nakoniec oczy i ręce od stolika podniósł ku niebu, i abym pokornie z modlitwą zwrócił się ku Ojcu światła wszelkiego.—O Ty, który przez światło natury budzisz w nas tęsknotę za światłem łaski, aby przez to światło pomieścić nas w świetle chwały, Panie i Stwórco, składam Ci dzięki, żeś mnie rozradował Twojém stworzeniem, gdym się zachwycał nad dziełami rąk Twoich. Oto tutaj dokonałem dzieła mego powołania z taką siłą umysłu, ile mi jéj dałeś; objawiłem chwałę dzieł Twoich ludziom, którzy te dowody czytać będą, o tyle o ile mój duch ograniczony pojąć zdołał z jéj nieskończoności.—Umysł mój o ile możności chciał dobrze rozumować; jeżeli zaś w tém co tutaj podałem, znalazło się coś takiego coby Ciebie było niegodném, naucz mnie, abym to poprawić zdołał. A jeżeli przedziwną pięknością dzieł Twoich dałem się uwieść do nieprawości, jeżeli pracując nad tém dziełem, prze-

znaczoném na chwałę Twoją myślałem o własnéj przed ludźmi chwale, racz mi to miłosiernie przebaczyć. Wreszcie daj mi tę łaskę, aby dzieło to służyło ku Twojéj chwale i ku dusz zbawieniu, i aby nigdy nie zaszkodziło nikomu".

Euler, jeden z największych matematyków zeszłego wieku, pozostawił oddzielne pismo p. t. „Obrona objawienia boskiego przeciwko zarzutom wolnodumców".

W teraźniejszym wieku, obok naturalistów bezreligijnych, mamy licznych uczonych i to uczonych pierwszego rzędu, którzy otwarcie wypowiadają swoją wiarę w objawienie i naukowo wykazują jego zgodność z rezultatami nauk przyrodniczych, albo też w swoich naukowych dziełach religijną swoją myśl objawili, albo przynajmniéj—jakiekolwiek jest ich stanowisko religijne — nie występują nigdy przeciw wierze w swoich badaniach naukowych, lecz owszem wyraźnie potępiają materyalistyczne i ateuszowskie zdania swoich kolegów.

Pomiędzy niemieckimi uczonymi wymienieni tu być mogą: Henryk Steffens, Henryk Schubert, Karol Raumer, Jan Nep. Fuchs, Andrzéj i Rudolf Wagnerowie; drugi z nich pisze: „Nigdy nie dałem się obłąkać w mojéj coraz silniejszéj wierze w prawdy wiary św".—Fryderyk Pfaff, J. Madler który dodaje: „Niebiosa opowiadają chwałę Boga; tak śpiewał już stary psalmista; i gdy astronomia od nieba pochodzi, niechże się pokaże tego pochodzenia godną. Niech ze swojéj strony popiera poznanie Boga, gdy bada prawdy, zaznajamiające nas z jego wielkiemi dziełami, i gdy rozwija prawa, noszące nazwę praw natury nie dla tego, że je miała wydać niby sama natura, ale dla tego, że je Bóg jéj naznaczył" (w *Ges. Naturwiss.*, III. 551).—Następnie Jan Müller, J. Hyrtl, Gustaw Bischof, który w dziele: „*Populaere Vorlesungen*", s. 46, mówi o Piśmie św.: „Nie ze ścisłego badania, nie drogą obserwacyi i doświadczenia czerpali nieśmiertelni pisarze tych rozdziałów—do prawdy doprowadziło ich inne źródło poznania, natchnienie Boże. Prawda zaś po wszystkie czasy prawdą pozostanie".

Herman Meyer, C. Leonhard, Fr. Quenstedt, K. Bär, Oscar Fraas, Oswald Heer, który pisze w dziele: *Urwelt der Schweiz*, s. 604: „Papier zapisany symfonią Beethovena ma znaczenie tylko dla znawcy. Każda nuta ma dla niego swoje znaczenie i gdy znaki te przemienia w tony, powstaje ztąd cały świat harmonii. Tak samo ma się rzecz z naturą. Pojedyncze zjawiska podobnie jak pojedyncze nuty, mają wtenczas znaczenie, kiedy możemy je

połączyć i uchwycić ich związek. Wówczas łączą się one w wielką całość i w duszy téż naszéj powstaje świat harmonii, która podobnie jak harmonia tonów wznosi nas ponad świat zmysłowy, napełnia nas przeczuciem bożego porządku światów. Bezwątpienia każdego ktoby przypuszczał, że nuty owéj symfonii przypadkowo dostały się na papier, uważalibyśmy za nader naiwnego. Zdaje się jednak, że jeszcze mniéj mądrze sądzą ci, co nieskończenie cudniejszą harmonią stworzenia uważają za igraszkę przypadku. Czém głębiéj tedy wnikamy w poznanie natury, tém głębszém jest nasze przekonanie, że zagadki natury i życia ludzkiego może rozwiązać tylko wiara we wszechmocnego i najmędrszego Stwórcę, który odpowiednio do odwiecznego planu stworzył niebo i ziemię. Tak więc nie tylko serce człowieka, ale i natura zwiastuje nam Boga".

Pomiędzy francuzkimi naturalistami nowszych czasów zaliczało się i zalicza wielu z pomiędzy najznakomitszych do wiernych chrześcijan; tak: Deluc, Hauy, Cuvier, Alexander Brogniart, Binet, Biot (patrz *Natur. u. Offenbarung*, III. 382). Sławny matematyk Aug. Cauchy, który umarł w ostatnich czasach, był jednym z najpobożniejszych ludzi; a tak był oddany pracy naukowéj, że co tydzień czytał na posiedzeniu Akademii nową pracę. Dokonane przez niego prace wynoszą liczbę przeszło pół tysiąca, a każda jest arcydziełem. Od modlitwy przechodził do biórka (co dzień rano słuchał Mszy świętéj i wypełniał gorliwie wszystkie obowiązki chrześcijanina). Wzniośle pojmował on jedność religii z nauką, co wypowiedział do uczonych, pomiędzy którymi zajmował tak wybitne stanowisko. „Uprawiajcie, mówił on, gorliwie wszelkie nauki oderwane i przyrodnicze, rozkładajcie materyę, odsłaniajcie przed zdziwionym wzrokiem naszym cuda przyrody, badajcie pozostałe pomniki wieków minionych, przetrząśnijcie dzieje wszystkich ludów i starożytne zabytki dawnych narodów, a fakta i dowody przez was zebrane, nie będą nigdy w sprzeczności z naszemi świętemi księgami; ażebyście tylko w poszukiwaniu prawdy, zachowywali zawsze tę sumienność i dobrą wiarę, która do zdobycia jéj drogę toruje". Następnie wylicza wszystkie zdobycze rozumu ludzkiego, i zapytuje: czy te prace olbrzymie, te śmiałe pomysły, doprowadziły, choćby do jednéj rzeczywistéj sprzeczności z wiarą, do jednego faktu przeciwnego prawdom objawienia, do wykrycia jednego oczywistego błędu w księgach św.? Cauchy, wielki matematyk, wielki uczony twierdził, że nie! Toż samo twierdziło i twierdzi nietylko w naszych czasach, ale w ciągu wieków tylę

potężnych umysłów, tylu uczonych ale uczonych wszechstronnie. Tak samo odznaczył się Armand de Quatrefages, Th. H. Martin i tylu innych—a pomiędzy angielskimi naturalistami protestanckimi, William Buckland, Whewell, Sedgwich, John Fleming i W. D. Conybeare—w Ameryce Edward Hitchcock i inni. Uczeni Szkoci także stawali w obronie Pisma św., jak: John Macculoch, Hugh Miller i amerykanin Benjamin Silliman. W czysto naukowych przyrodniczych dziełach najznakomitszych angielskich i amerykańskich uczonych, często spotkać się można z uwagami przekonywającemi, że ich autorowie czyste przechowali uczucia religijne; tak Humphry Davy, Richard Owen, Roderick Murchison, który klasyczne swoje dzieło „Siluria“ (o najdawniejszych formacyach zawierających pozostałości organiczne, Londyn 1854) kończy zdaniem: „Wrażenie jakie na mojego ducha wywarło badanie tych niepożytych dokumentów, pozwala mi spodziewać się, że moi czytelnicy zgodzą się na pojęcie, jakie ja podaję zgodnie z wielu współczesnymi co do następstwa życia; bo kto patrzy na początek i następnie śledzi za postępem w istotach żyjących, aż do tego peryodu, w jakim człowiek pojawił się na ziemi, musi w tych dziełach uznać mnogie świadectwa pewnego planu i niczém niedające się zaprzeczyć dowody kierownictwa samego Stwórcy“.

Daléj: James Prichard, D. Brewester, Robert Jameson, Edward Turner, Karol Daubeny i t. d. Cuvier (protestant) wyż wspomniany mówi: „Mojżesz pozostawił nam kosmogonię, któréj dokładność w przedziwny sposób stwierdza się z dniem każdym. Księgi Mojżeszowe pokazują, że autor ich posiadał doskonałe pojęcia, tyczące się wszystkich głównych pytań nauki przyrodniczéj. Osobliwie też jego kosmogonia, uważana ze stanowiska czysto naukowego, na szczególną zasługuje uwagę, skoro przedstawia ten sam porządek różnych epok stworzenia, jaki ze swojéj strony wywodzą dzisiaj poszukiwania geologiczne“. Podobnie i Ampère, naturalista francuski, mówi: „Albo Mojżesz posiadał tak gruntowne wiadomości przyrodnicze, jak je nasz wiek posiada, albo też był natchniony“. A Marceli de Serres dodaje: „Uderzający jest związek pomiędzy opowiadaniem księgi Rodzaju, a nowemi odkryciami nauki: Gieniusz hebrajskiego prawodawcy nabiera ztąd nowego blasku, i przyznać należy, że albo miał on objawienie boże, albo téż, co najmniéj, posiadał owo bystre spojrzenie gieniuszu, jakie przenika ukryte tajemnice natury“ (patrz Nicolas: Badania filozoficzne).

Niemożebném jest przytaczać tu wszystkie nazwiska tych uczonych, ale i nie przywiązuje się tu zbytniéj wagi do tego faktu, że tak wielki zastęp znakomitych naturalistów należy do liczby wiernych chrześcijan; nie można jednak zaprzeczyć słuszności staremu Claudiusowi, gdy mówi: „Nie przeczę, że mi ci ludzie wielką sprawiają radość, nie dla tego, żeby religia wiele na nich zyskiwać miała, gdyż ona przez nich nie zyska ani straci, czy oni wielcy czy mali. Ale miło jest, kiedy można tak naprzykład wskazać jednego z najpilniejszych i najuczeńszych naturalistów, który w swoim zawodzie osiwiał i więcéj wie i doświadczył niż wielu innych; miło patrzeć, kiedy tacy ludzie nie pysznią się swoją mądrością, a choć tajemnice natury głęgiéj niż inni zbadali, potulni zawsze, i wobec Ołtarzy i większych tajemnic Bożych stają z pokorą. Miło na to patrzeć, i człowiek jakoś nabiera zaufania do ich uczoności, kiedy ta swoich przyjaciół i zwolenników rzeczywiście czyni umiejętniejszymi, a przytém nie odbiera im rozumu i nie robi z nich błaznów i szyderców. A dziwném się znowu wydaje, kiedy z drugiéj strony widzi się lekką jazdę, paradującą pysznie z nosem przemądrze zadartym do góry“.

Jak zazwyczaj, wszędzie najwięcéj hałasu robią półmędrki, a najczęściéj i najliczniéj, to miernostki.

* * *

Nauka jestto dar Nieba, który Bóg użycza człowiekowi aby poznał Jego wszechmoc, Jego miłość i dobroć—aby oświecał swój umysł i oświecał bliźnich. Ale biada tym, którzy ten święty dar Boży wykładają przewrótnie, a naginając do swych celów, odbierają wiarę, ten najdroższy skarb człowieka, i wszczepiają w umysł i w serce młodociane i wogóle społeczeństwa, zamiast prawdę, błąd—zamiast oświatę, postęp—szerzą ciemnotę i prowadzą aż do zbrodni.

I nie jeden z tak obałamuconych, nie widząc nic przed sobą oprócz doczesnego żywota, bo w niebo, w życie przyszłe nie wierzy, zapragnął używać, i powiedział sobie, że raj istnieje tu na ziemi, że społeczeństwo jest złe, a on sam tylko dobry. Pozbawiony wszelkiéj nadziei za grobem, ufny w słuszność swych pragnień, począł wszelkiemi siłami szukać szczęścia na ziemi, miotając się na społeczeństwo, które mu na przeszkodzie stawa — i nastaje dzika walka tych egoizmów czysto żwierzęcych, walka o byt. „Czy widzicie, woła jeden z sławnych mowców francuskich, tych wszystkich spragnionych szczęścia, jak zwracają na ten proch ziemski przemijający, pożądanie wie-

czności i nieskończoności? Czy widzicie jak chwytają tę zdobycz, nakształt drapieżnych zwierząt? Czy słyszycie jak straszny okrzyk podnoszą? Ta ziemia ma być rozdzieloną: więc i ja chcę mieć cząstkę ziemi. Któż mi zaprzeczy prawa do ogólnego dziedzictwa? Ale co mówię, każdy w żądaniach swych idzie coraz daléj, jakby sam wszystko mógł objąć; każdy z nich podnosi to wołanie najwyższego egoizmu, który wszystko zagarnąć pragnie: „Dla mnie ta rola, dla mnie ten kapitał, dla mnie ten zbytek; ziemia dla mnie, wszystko dla mnie, jeżeli ziemia jest wszystkiém“.

A filozofowie i niby uczeni, w imie nauki i postępu nieustannie wynoszą swoje systemata, swoje teorye, osobiste swe przekonania, sieją złe ziarno—i bezczeszczą naukę, spotwarzają ją.

I powieściopisarze zwłaszcza zagraniczni mnożą upadek dobrych obyczajów, podając młodemu pokoleniu zabójczą truciznę przez książki i sztuki teatralne, w których najohydniejsze zbrodnie przyoblekają w pozory cnoty, ideałów i t. p.

Niedawno jeden z deputowanych francuskich, słuszny zrobił wniosek, aby autorów podobnych teoryj i romansów, pociągano przed kratki sądowe. Albowiem wielu młodych jeszcze a już zbrodniarzy, zeznało otwarcie, że czytanie złych książek i nauki błędne doprowadziły ich do tak smutnego stanu.

Gdy się spójrzy na ten błędny przewrót pojęć w świecie tak rozsiewany przez fałszywych filozofów, spirytystów, materyalistów i ich teorye, które pchają cywilizowaną ludzkość w przepaść ciemnoty i cofają wstecz postęp i cywilizacyę— widać jasno, że tylko nauka w połączeniu z wiarą św. może ludzkość uchronić od zupełnego upadku i poprowadzić drogą oświaty ku szlachetniejszym i wznioślejszym pragnieniom.

Oświata, postęp, walka o byt.

Chcemy oświaty— i dlatego walczymy przeciwko „zabobonom religii i Kościoła“, wołają rzekomi postępowcy [1]).

— Chcemy postępu — i dlatego walczymy przeciwko „przesądom tradycyi“.

— Chcemy dobrobytu — i dlatego głosimy nieustannie zasadę: „walka o byt“.

Że młodzieniec na uniwersyteckich ławkach, pod wpływem niemieckiéj protestanckiéj filozofii i teoryj, może w pewnéj dobie abstrakcyjnéj wędrówki umysłu swego dojść do błędnego przekonania, jakoby religia i nauka były to rzeczy pogodzić się z sobą niedające, jakoby Kościół był instytucyą zbutwiałą, zacofaną, rozwój umysłów hamującą i t. d. — temu zaiste można się nie dziwić. Dziwić się jednak trzeba, gdy życie rzeczywiste społeczeństwa własnego i trudne jego warunki, nie otworzą oczu temu, kto z młodzieńca stał się człowiekiem dojrzałym, kto z krainy czystéj abstrakcyi, kędy tak swobodnie, kędy tak łatwo wznosić zamki z niczego i tak łatwo obalać największe przeszkody, zszedł na grunt życia praktycznego, gdzie wszystko tak trudne, tak zawiłe tak niebezpieczne, gdzie każdy krok fałszywy tak zgubne sprowadzić może następstwa.

1) Zamieszczam tu niektóre wyjątki z wybornego artykułu, pod tytułem: „Nasi rzekomi postępowcy“, podanego w jednem z pism warszawskich wykazującego jasno, do czego prowadzi brak wiary i gruntownéj nauki.

Oświata!... Cóż pomogą społeczeństwu wszystkie skarby wiedzy bez moralności, bez tego łącznika, który przedewszystkiém ludzi między sobą wiąże i właściwą siłę żywotną społeczeństwa stanowi.

Wyobraźmy sobie państwo czy naród, w którém każda bez wyjątku jednostka jest doktorem wszystkich fakultetów i posiada dyplomy wszystkich szkół technicznych na świecie, społeczeństwo w dodatku bogate i obfitujące we wszystkie zasoby cywilizacyi: przypuśćmy jednak zarazem, że żadna z owych udyplomowanych i wykwalifikowanych jednostek nie ma najmniejszych zasad moralności. Nienęcące byłoby życie w takiém społeczeństwie. Jakiż bowiem czynnik stałby tam na straży bezpieczeństwa publicznego i prywatnego? Co regulowałoby wzajemne między ludźmi stosunki? — Prawo — odpowiedzą może? — Tak — ale prawo wszystkiego przewiedzieć i określić nie zdoła; a zresztą, cóżby znów stało na straży samego prawa? Toż prawo—to abstrakcya tylko. Wykonywać go muszą ludzie, a wykonywać go będą o tyle, o ile ono znajdzie oddźwięk we wnętrzu ich własnéj istoty. Ten oddźwięk— to moralność i— tylko moralność. Im ta moralność większa, tém większa żywotna społeczności siła.

Rzeczą niezaprzeczoną jest, iż każde o przyszłość swoją dbałe społeczeństwo, dla sprawy moralności obojętném pozostać nie może. A gdzież moralności źródło, gdzie jéj niczém niepokonana warownia, jeżeli nie w religii? Ona téż i tylko ona może być prawdziwéj moralności mistrzynią. Ani chemik, ani matematyk, ani filozof nawet, najdzielniéj i najumiejętniéj specyalności swojéj uczący, moralnych zasad w serca młodzieży nie wszczepi, i w dojrzałych umysłach podtrzymać ich nie zdoła. A moralność znowu jako nauka, nauką tylko, umiejętnością, do umysłu nie do serca i woli przemawiającą, pozostać musi. Ktoby usiłował szczepić zasady moralności bez religii, czyniłby jak ten, co sadzi drzewo, odciąwszy wprzódy od niego korzenie...

A religia bez Kościoła—to także utopia. Religia bezwyznaniowa... Czy może być kapitalniejszy nonsens? Dwu tych rzeczy rozdzielać niepodobna. Kto podkopuje Kościół, ten podkopuje religią, jakiéj ten Kościół naucza i broni.

Źle zaiste zasługują się sprawie ogólnéj ci, co pod hasłami walki z urojoném ultramontanizmem, klerykalizmem, jezuityzmem, temi nic u nas nieznaczącemi ogólnikami— podkopują powagę Kościoła i

religii. Cieszyć się mogą z tego tylko ci, którym idzie o osłabienie siły żywotnéj naszego społeczeństwa.

Oświaty pragniemy wszyscy— oświaty najpowszechniejszéj, najobszerniejszéj, jak największéj. Ale oświaty bez religii, bez moralności — nie chcemy. Taka oświata, zamiast naprzód posunąć, w tyłby cofnęła społeczeństwo nasze.

A postęp? ... I ten dziwnie pojmują jego samozwańczy u nas apostołowie.

Postępu my wszyscy pragniemy gorąco; ale postępu, któryby w życiu społeczném warstw między sobą nie waśnił, któryby rozwój a dobro ich wszystkich zarówno miał na względzie; postępu, któryby w nauce szedł nie tylko wszerz, ale i w głąb, któryby nie tanderciarską frymarkę naukowemi zdobyczami, ale zwiększenie zastępu naukowych bojowników miał na widoku; postępu, któryby w sztuce pragnął udoskonalenia dusz za pomocą coraz to doskonalszego piękna formy i treści, nie zaś— prostéj tylko zmysłów uciechy.

A nadewszystko pragniemy, aby ten postęp nie odbywał się w nas w oderwaniu od nas samych, przez siebie i dla siebie; my chcemy postępu w nas, i dla naszego społeczeństwa, jako narodu; my pragniemy utrzymać przy życiu to, co postępować ma; pragniemy zachować przedewszystkiém w całości i czystości to wszystko, dzięki czemu o istnieniu narodu naszego na świecie mowa być może...

Postęp, który polega na kosmopolityzowaniu i materyalizowaniu ducha, nie posuwa społeczności naprzód, ale — w tył.

Dobrobyt!... Dużo o nim mówiono i pisano w dwu ostatnich lat dziesiątkach; i dużo téż dla niego zrobiono. Ekonomicznie, w pewnych zwłaszcza kierunkach, postawiliśmy ogromny krok naprzód. Cieszymy się tém wszyscy, bo potęga materyalnych zasobów jest nam dobrze znana. Nas niepokoją jednak okoliczności, w których postęp na tém polu się odbywa; niepokoi nas przedewszystkiém hasło, w imię którego dzisiaj na całym świecie walczą o dobrobyt jednostki. Hasłem tém, które spopularyzowali i u nas apostołowie wrzekomego postępu—„walka o byt".

Prawo, którém się rządzi świat zwierzęcy, przeniesiono i zastosowano do stosunków ludzkich! ... Postęp to nielada — w kierunku zbydlęcenia.

Że pod tém hasłem może rość w olbrzymie rozmiary dobrobyt jednostek, jednostek silnych i zręcznych, przebiegłych i niekrępują-

cych się skrupułami sumienia — nie przeczymy. Żeby jednak na téj drodze dobrobyt stać się mógł dostępnym dla wszystkich, żeby urósł do znaczenia dobrobytu społecznego—nie uwierzymy nigdy.

Walka o byt... Z kim? Z siłami przyrody może?—Walczy z niemi od niepamiętnych czasów ludzkość. Walka to ciężka, mozolna, długa, i przedstawiciele nowych doktryn nic tu nowego nie wygłosili.

Nie o tę walkę chodzi téż podobno apostołom nowéj, ekonomicznéj religii. Na ich ustach ciągle: handel, przemysł, wielkie przedsiębiorstwa akcyjne i t. d. „Walka o byt“ zastosowana do tych ważnych czynników postępu, zgubne przynieść musi owoce. Nie na przyrodzie bowiem, lecz na bliźnich będą tu zdobywane łupy. *Vae victis!*

Walka tego rodzaju od wieków istniała; nigdy jednak nie była podnoszoną do znaczenia drogoskazu życia. Myśliciele widzieli w niéj ścieranie się osobistego interesu z miłością bliźniego — dwu rzeczywistych a czysto ludzkich pierwiastków. Dość było zapewnić przewagę ostatniemu z nich, aby walkę samą złagodzić i wyniki jéj na korzyść społeczeństwa obrócić. A przewagę taką mogła zapewnić religia, miłość ogólnego dobra, idea poświęcenia i obowiązku, idea sprawiedliwości wreszcie.

Cóż jednak znaczą idee te w obliczu podniesionéj do zasady, a zwierzęcéj czysto „walki o byt“ — téj ślepéj konieczności, która słabszych popycha w paszczę lub pod nogi mocniejszego? Konieczności téj nie złagodzą ani obalą *altruistyczne popędy*, o jakich nam prawią zwolennicy nowéj etycznéj szkoły, popędy, których źródłem — filozoficzna abstrakcya.

„Walka o byt“, jako modła życia, prowadzić musi do rozbicia społeczności na atomy — do zdziczenia. Objawy tego zdziczenia dają się już spostrzegać śród nowoczesnych społeczeństw. Nie życzymy ich społeczeństwu naszemu, i dlatego przeciw hasłu rzekomych postępowców, protestujemy gorąco.

My dobrobytu i bogactwa dla społeczności naszéj pragniemy; żądamy jednak, aby do nich szła ona z innémi na ustach hasły. Cóżby uam pomogły wszystkie skarby świata, w razie, gdyby ci, co je w swém ręku zgromadzą, nie widzieli w nich nic innego, jak łup na bliźnich swoich zdobyty, łup, którym sami, dowolnie, dla zaspokojenia własnych tylko potrzeb i zachceń, rozporządzać mogą. Nie „walki o byt“, ale pracy żądamy, pracy ożywionéj poczuciem obowiązku względem siebie i społeczeństwa, ogrzanéj miłością bliźniego i

kraju, oświeconéj światłem religii i nauki, pracy natchnionéj — ideą.

Praca, któréj motorem tylko i wyłącznie — „walka o byt“ — to nie postęp—to cofanie się ludzkości do barbarzyństwa.

A więc — dokądże nas prowadzić chcą rzekomi postępowcy nasi? Mamyż im wierzyć na słowo, że wskazywana przez nich droga prawdziwą jest i do celu wiedzie?

Tak, niezawodnie — droga to prawdziwa, i do celu wiedzie; nie nas jednak, nie społeczeństwo całe—ale ich ...

Wiara, Nauka i Ateizm.

Wiara i Nauka, nie stoją z sobą nigdy w sprzeczności. Zasadę tę zawsze potwierdzał Kościół św., a nawet w ostatnich czasach Ojciec św. Leon XIII., posyłając swoje błogosławieństwo Towarzystwu Naukowemu brukselskiemu, pisze w liście: „Zaiste, gdy zawzięci nieprzyjaciele religii i prawdy, nie przestają głosić sprzeczności, mającéj jakoby istnieć pomiędzy rozumem i wiarą, a nawet coraz uporczywiéj przy tém zdaniu obstają; wielka jest teraz pora, ażeby ludzie odznaczający się nauką i pobożnością, którzy sercem przychylni są zasadom i nauce Kościoła, przyłożyli się do wykazania, że nie może istnieć rzeczywista sprzeczność pomiędzy wiarą i rozumem, tak jak powiedziano jest w ustawie IV. *de fide catholica*, ogłoszonéj przez święty Sobór Watykański, który potwierdził stałą zasadę Kościoła i Ojców".

Ks. Moigno, sławny w świecie uczonym matematyk i przyrodnik francuski, członek wielu instytucyj naukowych, który wydał setki dzieł tak genialnych rozmaitéj treści naukowéj, oprócz czasopisma przyrodniczego, wydaje całą bibliotekę prac naukowych, obejmujących wszystkie kwestye bieżące najwięksżéj doniosłości. Jego *Actualités scientifiques* mieszczą w sobie dzieła Tyndall'a, Pasteur'a i wielu innych znakomitych uczonych. Do niego to pisał ś. p. Pius IX. co następuje: — „Pasterze rzymscy zawsze otaczali uznaniem i ojcowską opieką cnotę i naukę gruntowną, nigdy téż nie omieszkają dawać dowodów swéj życzliwości tym wszystkim, którzy zasługę niepospolitéj nauki, łączą z wzorową pobożnością i niezachwianą wiarą. Ta piękna pochwała, najmilszy synu, słusznie należy się Tobie, który blaskiem

swojéj sławy, ściągasz na siebie oczy wszystkich uczonych, nietylko we Francyi, ale i wśród innych narodów, a jednocześnie spełniasz swoje obowiązki pobożne" i t. d.

Ks. Moigno, pomimo że ma lat przeszło 80, jest zdrów i czerstwy, i przy tak wielkim ogromie pracy, spełnia gorliwie swe powinności kapłańskie, i gdy mu jego wielbiciele robili w tym względzie uwagi, odpowiedział: „Gdybym nie był tak pobożnym jak Cauchy i Secchi, gdybym codziennie nie odprawiał Mszy św., nie odmawiał różańca i nie czytał brewiarza, z pewnością nie byłbym w stanie dokonać czwartéj części tego co uczyniłem; nie miałbym dla nauki, postępu, wiedzy i przemysłu dziesiątéj części tego zapału, który jest radością, zaszczytem długiego mego życia. Pobożność do wszystkiego jest potrzebna, od niéj pochodzi natchnienie owéj głębokiéj i czynnéj miłości prawdy, dobra, piękna, postępu, we wszystkich jego postaciach!" Oto jest cel i wymówka tego wyznania, zanadto osobistego.

„Umysł ludzki, mówi Bakon Verulamski, gdy bada przyczyny pośrednie w ich rozproszeniu, może niekiedy na nich poprzestać, i tym sposobem ulgnąć w ateizmie; gdy jednak daléj pójdzie, gdy pozna ich powiązanie i połączenie wzajemne, wówczas zmuszony będzie podnieść się ku Bogu, ku Jego Opatrzności. W ogóle ateizm więcéj jest na ustach jak w sercu człowieka; czego dowodem może być i ta okoliczność, że ateusze z nadzwyczajną zabiegliwością starają się swoje zdanie upowszechniać i zwolenników dla niego pozyskiwać, a czynią to dla tego, że niedowierzają własnemu przekonaniu, i dopiéro przez zgodność z innymi chcą się w chwiejném swojém zdaniu utwierdzić. W Boga nie wierzy ten tylko, kto ma w tém swój interes, aby Boga nie było".

Ci więc tylko ludzie, którzyby chcieli, żeby Boga nie było chcąc zagłuszyć w sobie sumienie, aby to nie wyrzucało im ich nieprawości i nie napominało, że jest życie inne, że przyjdzie kiedyś złożyć rachunek przed Bogiem, a czego Kościół nie przestaje głosić, więc chcieliby zagłuszyć i ten głos Kościoła—i do tego używają wszelkich sposobów, aby ten Kościół spotwarzyć. Nawet naukę i wynalazki użyli za broń przeciw Kościołowi i religii; i żeby dać jakąś podstawę, wmawiają, że Kościół nieustannie uświęceniem dusz zajęty, wszczepia mistyczną nienawiść do rzeczy tego świata.

Trudno wymyśléć zarzut bardziéj niedorzeczny i mniéj uzasadniony. Bez wątpienia Kościół nie przestaje nigdy powtarzać głośno wszy-

stkim ludziom nauk swego Boskiego Mistrza: że dusza i zbawienie wieczne są pierwszém dla nas zadaniem; że na nicby nam się przydało i świat cały pozyskać, gdybyśmy dusze zatracić mieli. Szczęście to nieocenione, że taka nauka daje się słyszeć wśród ludzi; ale za tém nie idzie, aby Kościół nie sprzyjał badaniu natury, śledzeniu jéj sił i ich zastosowaniu do potrzeb życia. Owszem, Kościół nie może być wrogiem tego rodzaju studyów i wynalazków, bo sama natura rzeczy życzliwie go dla nich usposabia. Cóż może być pożądańszego dla Kościoła nad chwałę Bożą, nad poznanie tego boskiego Architekty, do którego się przychodzi badając Jego dzieła. Jeżeli świat jest księgą, któréj każda stronnica głosi Imię i mądrość Boga, to rzecz widoczna, że im kto dłużéj i pilniéj wczyta się w tę księgę, tem bardziéj musi rozmiłować się w Bogu, tém więcéj przybliżyć się do Niego. I tak czytamy w księgach Mądrości XI. 21: „o ileż z większym blaskiem, zajaśnieje potęga i mądrość Boża w oczach tego, który niebiosa i przepaści ziemskie zgłębiać będzie, śledzić błyszczących gwiazd i atomów, roślin i drzew, i który w ręku swojém zbierze dowody, że najwyższy Rozum wszystkiém rozrządził pod miarą, liczbą i wagą".

I Kościół miałby być niechętnym, choćby chłodnym tylko i obojętnym dla studyów i poszukiwań, które do tak szacownych prowadzą następstw— czyż można w podobne niedorzeczności uwierzyć?! Jakżeby Kościół, ta matka kochająca, mógłby być temu niechętny z czego się właśnie cieszy i raduje?

Jestże w nich coś takiego, coby mogło pośrednio lub bezpośrednio zachwiać pojęcia o Bogu i wiarę—zaprawdę nie!

Bakon Verulamski, który zasłynął w umiejętnościach fizycznych, powiedział: „że mało nauki odwraca od Boga, wiele nauki do Niego przywraca" — owoż jeżeli Kościół karci, to tylko półmędrków, którzy coś skosztowali nauki, a mając się za uczonych, plotą niedorzeczności; należą oni właśnie do tych pierwszych, o których Bakon mówi, a pochwala Kościół tych, którzy bystrością swego rozumu, nauką głęboką, poważnie badają naturę.

Jeżeli zaś któryś z myślicieli badając naturę stał się ateuszem, znak to, że serce jego i umysł już poprzednio były zatrute. Nie dziw więc, że natrafiwszy na niepojęte dla niego spostrzeżenia, wysnuwa wcale niemądre wnioski, przypuszczenia, i te podaje za nieomylne wyniki nauki, i obałamuca nieświadomych, wyrządzając krzywdę postępowi, oświacie i nauce, która koniecznie prowadzi do szlachetniejszych i wznioślejszych rezultatów. Zdumiewające zaś prace i wynalazki uczonych, którzy w umiejętnościach przyrodzonych głośniéj i trwałéj nabyli sławy, są jakby drabiną, która służy do tego, by po niéj zdążać ku Bogu i cześć Mu oddawać. Słynny chemik Faraday nazywał umiejętność wózkiem, co wiezie do Boga; nieznośnymi dlań byli ludzie bez wiary.

Śledząc naturę, Linneusz tak dalece się zapala, że słowa jego brzmią jakoby psalm: „Boże nieśmiertelny, woła on, nieskończony, wszechwiedzący i wszechmocny. Tyś mi się niejako w dziełach Twojego stworzenia objawił, i oto, oniemiałem z podziwu! Jakaż to potęga, jaka mądrość, jaka doskonałość we wszystkich sprawach Twoich, nawet najmniejszych, najbardziéj poziomych! Pożyteczność ich dla nas świadczy o dobroci Tego, który je zdziałał; ich piękność, harmonja o Jego dobroci, a ich trwałość i płodność niewyczerpana o Jego potędze".

„Gdy nauka występuje nieprzyjaźnie przeciw religii, mówi Deutinger Dr. M., prof. filozofii w Monachium [1]), nie dzieje się to dla tego, jakoby nauka i religja nie mogły się z sobą zgadzać, ale dla tego, że nauka odstąpiła od swoich prawdziwych zasad, albo też że do nich jeszcze nie doszła. Kto mówi, że dla nauki trzeba poświęcić wiarę, a dla wiary naukę, zarówno ma fałszywe pojęcie o nauce jak o wierze. Gdy nauka przeciwi się religii, przeciwi się nie na zasadach naukowych, ale właśnie z ich niedostatku" [2]).

Któż nie słyszał o sławnym Berzeliusie, lekarzu i przyrodniku szwedzkim, o którym uczony P. A. Siljeström we wspomnieniach swoich wyliczając olbrzymie jego zasługi, zaznacza nieskazitelny charakter i czystą a piękną duszę tego człowieka. Bogobojny i skromny, zarozumiałością i pychą się brzydził, nazywając ją: „najgłówniejszą zaporą rozumu; rozumu, który zawsze i wszędzie od Boga dany, bez Jego się nie ostoi pomocy".

Tenże Berzelius wyświecając zamglone naukowe prawdy, dodaje: „My, naprzód iść musimy, ale nie sądźmy się ostatecznym wyrazem! Przyjdą i po nas inni, a pójdą wyżéj i daléj—byle szli czystém sercem i niezmąconym rozumem—byle szli z Bogiem do Bożéj skarbnicy rzeczywistego światła się dobijając". W godzinę zaś śmierci wyrzekł do otaczających go mężów nauki: „Wierzajcie, wierzajcie że śmierć niestraszna, a jam już w drogę przygotowany; idę w spokoju, z za-

1) *Renan und das Wunder*, s. 53.
2) *Renan und das Wunder*, s. 53.

ufaniem i przekonaniem w nadziemską krainę ducha nieśmiertelnego, co do wyższéj ojczyzny w wieczyste wraca podwoje!... a którą przeczuwam wiarą, i którą rozum i serce moje pojęło". — Polecał następnie, aby Wöhler dalszy ciąg jego wielkiego dzieła, słynnéj „Nauki chemii" prowadził, obszerne mu przekazując wskazówki i rady.

Taka głęboka wiara i przekonanie, stanowi właśnie tę nieprzystępną ateuszom i półmędrkom siłę; tę siłę i wielkość, do których dochodzą ludzie tylko wyżsi naukowo, jakim powierzone jest posłannictwo światła i postępu na ziemi.

Kilka słów o spirytyzmie i magnetyzmie.

Ruch wywołany ostatniemi czasy w Niemczech przez dość gwałtowną propagandę spirytystyczną, wznieconą przez takich szarlatanów, jak Slade, Hansen i innych, a wspieraną przez pierwsze powagi pomiędzy naturalistami, zniewolił uczonych pisarzy do wystąpienia w szranki przeciw staremu obłędowi w nowéj szacie, znanemu już od 2000 lat. O naukowém traktowaniu tego tajemniczego przedmiotu, już i katolicka teologia w dogmatyce moralnéj najstaranniejsze zarządziła poszukiwania i w klassycznych dziełach umiejętnie i najdokładniéj go wyjaśniła i wytłómaczyła. W każdym jednak razie nowa szata magii, w jakiéj się w dzisiejszym wieku pojawiła, wymagała nowego traktowania. Poczucie téj potrzeby, jak powiedzieliśmy, skłoniło téż kilku uczonych do odsłonięcia prawdziwego oblicza téj kwestyi, wylęgłéj z grubego materyalizmu, pojęcia dzisiejszego o świecie duchowym i jego stosunku do ludzi. Autorami dzieł poważniejszych o spirytyzmie nowoczesnym, wydanych w ciągu 1881 roku, są: Dr Schneid [1]), prof. filozofii w liceum z Eichstätt, Dr. I. C. Wieser [2]), prof. w Insprucku, i D-r Dippel [3]).

1) *Der neuere Spiritismus philosophisch geprüft von* Dr. Matth. Schneid Eichstätt. Hornik. VIII str. 8-vo, cena 2 m. 40 pf.

2) *Der Spiritismus und das Christenthum von* I. C. Wieser. *Mit einer Beilage: Über* Dr. G. Th. Fechners *Tagesansicht. Separatabdruck aus der Zeitschrift für katholische Theologie.* Regensburg. Pustet 1881. 144 str. 8-vo, cena 1 m. 20 pf.

3) *Der neuere Spiritismus in seinem Wesen aufgezeigt und nach seinem Werthe geprüft von* Dr. Joseph Dippel. Würzburg, Wörl 1881. 127 str. 8-vo, cena 1 m. 70 pf.

I.

Najobszerniéj z powyżéj wspomnionych pism zajmuje się istotą i przyczynami spirytyzmu bardzo gruntowna rozprawa prof. Dra Schneida, która tóż zewnętrznie największéj jest objętości i z filozoficznego traktuje rzecz stanowiska. Schneid podaje naprzód krótką historyę nowoczesnego spirytyzmu, począwszy od magnetyzmu Mesmera, aż do eksperymentów profesorów lipskich z Amerykaninem Slade i magnetyzerem duńskim Hansenem, a następnie w osobnym rozdziale broni autentyczności spirytystycznych fenomenów. Wielką przytém kładzie autor wagę na ogólne rozszerzenie i długotrwałość spirytyzmu: argument jednak jego, dowodzący prawdziwości spirytystycznych zjawisk na podstawie obserwacyi faktów, doznał już po wydrukowaniu jego rozprawy wielkiego ciosu ze strony znakomitych naturalistów i przez przeciwników spirytyzmu wyzyskiwany bywa na zbicie autentyczności faktów i całéj teoryi spirytystycznéj. Z pewnością żaden badacz przyrody nie zajmował się tak gorliwie spirytyzmem, nikt genialnością i wytrwałością w eksperymentach naturalistycznych mu nie wyrównał, nikt tak wielkich i rozumnych środków ostrożności nie zarządzał, jak W. Crookes — a jednak został oszukany. Przez wiele lat eksperymentował ze słynném amerykańskiém medium Miss Fox i Szkotką Home, następnie głównie z młodą dziewczyną, Flourence Cook, która zdaniem jego, zbyt była młodą i niewinną, aby oszukać mogła. Podczas gdy Cook czarno ubrana i zmęczona spoczywała na kanapie, pojawiał się w białych szatach duch zmarłéj przed 300 laty Katie King i gawędził z wszelką swobodą z obecnymi, co wszystko jak najdokładniéj zdawało się być skonstatowane — a jednak, jeźli wierzyć można szczegółowemu sprawozdaniu *Frankfurter Ztg.*, Miss Cook na początku roku zeszłego zdemaskowaną została w jak najdrastyczniejszy sposób na publiczném posiedzeniu. Z dwóch uczestników posiedzenia, którzy się ze sobą wprzódy umówili, uchwycił jeden ducha, a drugi zajrzał za firanki, za któremi Miss Cook spać miała, lecz tam tylko jéj ubiór ujrzał. W oczach wszystkich musiała się Cook ku największemu swemu zawstydzeniu ubrać. — Jeźli tedy tak wielki badacz przyrody, który tyle zadawał sobie pracy i staranności, tak haniebnie przez dziewczynę, o któréj niewinności ani na chwilę nie wątpił, mógł być oszukany, to cóż sądzić należy o tylu innych posiedzeniach, gdzie łatwowierni pragnęli dziwów, a chciwe, podstępne media żadnego nadzoru nad sobą nie miały? Wniosek, jaki ztąd wyciągają przeciwnicy spirytyzmu, że zjawiska są czystém kuglarstwem, nie jest konieczny. Z początku bowiem przy zachowaniu ze strony Crookesa wszelkich środków ostróżności, manifestacye duchów mogły być rzeczywiste, i późniéj dopiero, gdy ostróżność eksperymentatora, nic złego nie podejrzywającego, się zmniejszała, medium stawało się zuchwalszém, i gdzie „duchy“ nie zadowoliły jego chciwości, na własną rękę operowało. W każdym razie przekonywamy się ztąd, jakiéj to ostróżności potrzeba i jak jest niebezpieczna przy takich zdarzeniach budować na pojedyńczych ludziach i ztąd teorye tworzyć! Taksamo ma się rzecz z Zöllnerem, którego antyspirytyści wszelkiemi sposobami pragną obedrzeć z uroku i powagi naukowéj, aby zjawiska spirytystyczne przedstawić jako kuglarstwo. Autor ma słuszność wielką, twierdząc, że przeciwników Zöllnera jedynie tylko materyalizm powoduje do podejrzywania jego eksperymentów z duchami, a ztąd do poniewierania jego naukowego stanowiska, odmawiania mu wszelkiéj powagi naukowéj, zohydzania go wszelkiemi sposobami a nawet pomawiania o obłąkanie. Na dowód, że u Zöllnera pojawiają się początki pomieszania zmysłów, opowiadają przeciwnicy jego, że dwoje z jego rodzeństwa zwaryowało, że on sam w młodości lękając się tego obłąkania, nosił przy sobie truciznę, któraby życiu jego w téj chwili położyła koniec, gdyby miał popaść w obłąkanie, że wreszcie jego naukowe rozprawy zdradzają widocznie pomieszanie zmysłów. Przeciw takiemu traktowaniu swego przeciwnika występuje autor i słusznie mówi, że to nie świadczy wcale o takcie napadać w tak grubiański sposób swego przeciwnika, całe ustępy z jego dzieł powtarzać, wiadomości dziennikarskie, listy do niego wystósowane, poezye doń pisane, piosnki studenckie, osobiste i rodzinne wypadki z życia bez liczby i *in extenso* ogłaszać, naukowe rozprawy z odezwami do ludu niemieckiego, groźne przepowiednie dla Anglii, powtarzające się wciąż mowy pochwalne dla Bismarcka, cesarza niemieckiego i następcy tronu, na Lutra i reformacyę, przezwiska na narodowo-liberalnych, żydów, wiwisektorów i t. d. wyzyskiwać na zohydzenie go. Że Zöllner jest szczególniejszy człowiek, zaprzeczyć nie można, lecz to samo można powiedzieć o wszystkich zwolennikach spirytyzmu: niech będą jak chcą znakomitymi badaczami natury, na polu spekulatywném a szczególniéj spirytystyczném popadają w ekstrawagancye. Ztąd jednak nie wypływa, aby nie byli mogli obserwować dokładnie owych zmysłowych zjawisk, wydarzających się na spirytystycznych posiedzeniach.

Wiadomo jednak także, jak potężnie przesądy wpływają na obserwacyę faktów, a ztąd ostróżność nigdy nie zawadzi, i wszystkiemu, co się o tém opowiada, wierzyć nie można.

Wyznanie wiary spirytyzmu, który zawsze religijny ma grunt i religijne dążności, określa autor w ośmiu artykułach, które we wszystkich najróżnorodniejszych opiniach i objawieniach spirytyzmu wspólne wszystkim napotykał; lecz czy pod tym względem istnieje jaka harmonia ogólna? Zöllner z innymi nie przyznaje treści objawień duchów żadnego znaczenia, tém więcéj, że gdyby sformułowano z tego rodzaj wiary, mogłyby powtórzyć się dawne wojny religijne. Wszystkim wspólne jest mniéj lub więcéj nieprzyjazne stanowisko w obec chrześcijaństwa. Spirytyzm chce zaprowadzić nową religię z nowemi obywatelskiemi urządzeniami, i stan, jaki był w raju. Jak Chrystus podług tegoż był tylko spirytystyczném medium, tak nowocześni spirytyści powołani są na to, aby chrześcijaństwo uszlachetnili, lub téż obecną formę chrześcijaństwa do stanu pierwotnego doprowadzili.

W drugim rozdziale, tłómaczącym rozmaite objaśnienia spirytystycznych faktów, trafnie dowodzi autor: 1) że nie mogą być wypływem chorób duszy; 2) że ich mechanicznie wyjaśnić nie można; 3) że nie są dziełem elektryczności; 4) że nawet i fluidum, jakiegokolwiek rodzaju być może, nie objaśnia fenomenów; 5) że do objaśnienia spirytyzmu nie da się podsunąć sił ukrytych; 6) że przestrzeń czterech rozciągłości jest niemożebna, i Zöllner tą przestrzenią zjawisk spirytystycznych nie tłómaczy; 7) że wola magnetyzera lub medium nie może spirytystycznych zjawisk wywoływać; 8) że dusze zmarłych nie są sprawcami tychże zjawisk. Na dowód tego przytacza Schneid naukę św. Tomasza, który twierdzi, że dusze zmarłych w naturalny sposób wydarzeń tego życia znać nie mogą, ani téż w naturalny sposób obcych ciał poruszać. Dowód ten jest ważny, chociażby ktoś chciał go osłabić twierdzeniem, że dusze pobożnych nie samemi tylko naturalnemi siłami są obdarzone, że zwłaszcza znają potrzeby swoich, przynajmniéj kiedy są wzywane. Spirytyści bowiem uważają obcowanie zmarłych i ich objawienia za czysto naturalne. Jeżli się zaś powołujemy na siły i władzę poznawania u Świętych, to, jak autor dowodzi, żadne dobre duchy, a więc święci, nie mogą być sprawcami tych zjawisk. Gdyby spirytyści chcieli sobie przywłaszczyć dusze potępionych, tobyśmy ze stanowiska chrześcijańskiego tak bardzo się temu opierać nie potrzebowali; koncesyi jednak takiéj z naszéj strony nie przyjmą.

W ósmym rozdziale wykazuje wreszcie autor prawdziwą przyczynę spirytystycznych zjawisk: złe duchy. W tym celu objasnia naprzód władzę poznawania i moc czystych duchów, któremi wszelkie objawienia od pukania aż do materyalizacyi zmarłych objaśnić można, podczas gdy według dawniejszych objaśnień żadną inną przyczyną wytłómaczone być nie mogły; należy tylko dokładniéj zbadać, czy dobre czy złe duchy wchodzą tu w grę. Tomasz św. podaje dwa znamiona, służące do scharakteryzowania dobrych duchów: działanie ich wypływa z Boga i prowadzi do Boga. Spirytyści zaś w swéj czynności zależą od mediów, a ta czynność nie prowadzi do Boga, lecz od Boga odwodzi. Na udowodnienie demonicznego charakteru spirytyzmu przywodzi autor ogólne przekonanie katolickiego ludu, katolicką naukę, dekreta wielu biskupów i Stolicy Apostolskiéj.

Po tém wszystkiém nie byłby już potrzebny żaden specyalny dowód, że „spirytyzm jest identycznym z magią“. Mimo to wykazuje jeszcze autor w 10-tym rozdziale, że główne cechy magii aż do najdrobniejszych rysów odnajdują się w spirytyzmie. Wartość i znaczenie spirytyzmu, jak to ostatni rozdział dowodzi, są bardzo małe. Bóg umie i z najzgubniejszych dzieł szatana wydobywać korzyść: w pierwszéj linii jest spirytyzm surową karą za racyonalizm naszych czasów, który mniemał, że wszelką wiarę w cuda jako zabobon już zagładził. Dla dobrych jest on usprawiedliwieniem wiary w świat niewidzialny, a zwłaszcza złożonych w Kościele tak licznych benedykcyj przeciwko szatańskim wpływom i egzorcyzmów. Jeźli nam niekiedy cuda w życiu Świętych wydają się nieprawdziwe, jak można wątpić o cudach przez Boga samego zdziałanych, kiedy nawet zwyczajni ludzie, według świadectwa mężów nauki, tak dziwne i nadzwyczajne rzeczy wykonać zdolni? A więc i tutaj słowa Mephisto; *Ich bin ein Theil von jener Kraft, die stets das Böse will und stets das Gute schafft*, znajdują swe zastosowanie.

II.

Podczas gdy dzieło Schneida istotę spirytyzmu więcéj filozoficznie zbadać usiłuje, a ztąd specyalne objaśnienia o faktach, początku i rozwoju spirytyzmu, o charakterze fenomenów podaje, kwestye te szczegółowe schodzą u Wiesera na drugi plan. Rozprawa jego ma przeważnie apologetyczny charakter, gdyż, odpowiednio do tytułu, usiłuje stosunek spirytyzmu do chrześcijaństwa w jego czynach i nau-

Wiadomo jednak także, jak potężnie przesądy wpływają na obserwacyę faktów, a ztąd ostróżność nigdy nie zawadzi, i wszystkiemu, co się o tém opowiada, wierzyć nie można.

Wyznanie wiary spirytyzmu, który zawsze religijny ma grunt i religijne dążności, określa autor w ośmiu artykułach, które we wszystkich najróżnorodniejszych opiniach i objawieniach spirytyzmu wspólne wszystkim napotykał; lecz czy pod tym względem istnieje jaka harmonia ogólna? Zöllner z innymi nie przyznaje treści objawień duchów żadnego znaczenia, tém więcéj, że gdyby sformułowano z tego rodzaj wiary, mogłyby powtórzyć się dawne wojny religijne. Wszystkim wspólne jest mniéj lub więcéj nieprzyjazne stanowisko w obec chrześcijaństwa. Spirytyzm chce zaprowadzić nową religię z nowemi obywatelskiemi urządzeniami, i stan, jaki był w raju. Jak Chrystus podług tegoż był tylko spirytystyczném medium, tak nowocześni spirytyści powołani są na to, aby chrześcijaństwo uszlachetnili, lub téż obecną formę chrześcijaństwa do stanu pierwotnego doprowadzili.

W drugim rozdziale, tłómaczącym rozmaite objaśnienia spirytystycznych faktów, trafnie dowodzi autor: 1) że nie mogą być wypływem chorób duszy; 2) że ich mechanicznie wyjaśnić nie można; 3) że nie są dziełem elektryczności; 4) że nawet i fluidum, jakiegokolwiek rodzaju być może, nie objaśnia fenomenów; 5) że do objaśnienia spirytyzmu nie da się podsunąć sił ukrytych; 6) że przestrzeń czterech rozciągłości jest niemożebna, i Zöllner tą przestrzenią zjawisk spirytystycznych nie tłómaczy; 7) że wola magnetyzera lub medium nie może spirytystycznych zjawisk wywoływać; 8) że dusze zmarłych nie są sprawcami tychże zjawisk. Na dowód tego przytacza Schneid naukę św. Tomasza, który twierdzi, że dusze zmarłych w naturalny sposób wydarzeń tego życia znać nie mogą, ani téż w naturalny sposób obcych ciał poruszać. Dowód ten jest ważny, chociażby ktoś chciał go osłabić twierdzeniem, że dusze pobożnych nie samemi tylko naturalnemi siłami są obdarzone, że zwłaszcza znają potrzeby swoich, przynajmniéj kiedy są wzywane. Spirytyści bowiem uważają obcowanie zmarłych i ich objawienia za czysto naturalne. Jeźli się zaś powołujemy na siły i władzę poznawania u Świętych, to, jak autor dowodzi, żadne dobre duchy, a więc święci, nie mogą być sprawcami tych zjawisk. Gdyby spirytyści chcieli sobie przywłaszczyć dusze potępionych, tobyśmy ze stanowiska chrześcijańskiego tak bardzo się temu opierać nie potrzebowali; koncesyi jednak takiéj z naszéj strony nie przyjmą.

W ósmym rozdziale wykazuje wreszcie autor prawdziwą przyczynę spirytystycznych zjawisk: złe duchy. W tym celu objasnia naprzód władzę poznawania i moc czystych duchów, któremi wszelkie objawienia od pukania aż do materyalizacyi zmarłych objaśnić można, podczas gdy według dawniejszych objaśnień żadną inną przyczyną wytłómaczone być nie mogły; należy tylko dokładniéj zbadać, czy dobre czy złe duchy wchodzą tu w grę. Tomasz św. podaje dwa znamiona, służące do scharakteryzowania dobrych duchów: działanie ich wypływa z Boga i prowadzi do Boga. Spirytyści zaś w swéj czynności zależą od mediów, a ta czynność nie prowadzi do Boga, lecz od Boga odwodzi. Na udowodnienie demonicznego charakteru spirytyzmu przywodzi autor ogólne przekonanie katolickiego ludu, katolicką naukę, dekreta wielu biskupów i Stolicy Apostolskiéj.

Po tém wszystkiém nie byłby już potrzebny żaden specyalny dowód, że „spirytyzm jest identycznym z magią“. Mimo to wykazuje jeszcze autor w 10-tym rozdziale, że główne cechy magii aż do najdrobniejszych rysów odnajdują się w spirytyzmie. Wartość i znaczenie spirytyzmu, jak to ostatni rozdział dowodzi, są bardzo małe. Bóg umie i z najzgubniejszych dzieł szatana wydobywać korzyść: w pierwszéj linii jest spirytyzm surową karą za racyonalizm naszych czasów, który mniemał, że wszelką wiarę w cuda jako zabobon już zagładził. Dla dobrych jest on usprawiedliwieniem wiary w świat niewidzialny, a zwłaszcza złożonych w Kościele tak licznych benedykcyj przeciwko szatańskim wpływom i egzorcyzmów. Jeźli nam niekiedy cuda w życiu Świętych wydają się nieprawdziwe, jak można wątpić o cudach przez Boga samego zdziałanych, kiedy nawet zwyczajni ludzie, według świadectwa mężów nauki, tak dziwne i nadzwyczajne rzeczy wykonać zdolni? A więc i tutaj słowa Mephisto; *Ich bin ein Theil von jener Kraft, die stets das Böse will und stets das Gute schafft*, znajdują swe zastosowanie.

II.

Podczas gdy dzieło Schneida istotę spirytyzmu więcéj filozoficznie zbadać usiłuje, a ztąd specyalne objaśnienia o faktach, początku i rozwoju spirytyzmu, o charakterze fenomenów podaje, kwestye te szczegółowe schodzą u Wiesera na drugi plan. Rozprawa jego ma przeważnie apologetyczny charakter, gdyż, odpowiednio do tytułu, usiłuje stosunek spirytyzmu do chrześcijaństwa w jego czynach i nau-

kach w prawdziwém przedstawić świetle. Ztąd dziełko Wiesera jest niejako uzupełnieniem poprzedniego, tak że obydwa razem dają zupełny pogląd na spirytyzm. Podczas gdy Schneid wychodzi z przypuszczenia o prawdziwości chrześcijaństwa i głównie na téj podstawie wykazuje demoniczny charakter zjawisk spirytystycznych, staje Wieser na stanowisku apologety i dowodzi z natury faktów samych i z nauki duchów, że spirytyzm bynajmniéj z chrześcijaństwém się mierzyć, a cóż dopiéro przewyższać go może. Jest to ważny dowód wobec uroszczeń spirytystów, a zwłaszcza do uzupełnienia argumentacyi Schneida. Gdyż z dwóch kryteryów, które Schneid według św. Tomasza na ocenienie nadzwyczajnych fenomenów przywodzi: „pochodzenie od Boga i prowadzenie do Boga, drugie znaczy tu wszystko, gdyż pierwsze mogłoby przy spirytyzmie zawikłać w wielkię trudności. Schneid z zależności duchów od mediów wnioskuje, że nie pochodzą od Boga i nie są w służbie Bożéj. Właśnie to związanie duchów z ludzkiemi mediami niemały sprawia kłopot. Ulrici widzi w tém jedyną trudność dla swego pojęcia spirytyzmu, jako manifestacyi duchów w ręku Opatrzności; Wundt zaś uważa to słusznie za wielki obłęd, czynić z ludzi bardzo wątpliwéj moralności narzędzia Opatrzności (List otwarty do Ulriciego). Fichte zależność tę tłómaczył w różny sposób; najwięcéj jeszcze do przekonania przemawia tłómaczenie jego, że w jedném królestwie duchów z tego i tamtego świata sympatye wiodą do wyboru pokrewnego duchem medium. Inne objaśnienia spirytystów, że perisprit ducha połączyć się musi z medium, aby przez nie działać, albo że medium jest tak usposobione, iż umożebnia duchom wpływanie na świat fizyczny, nie są uzasadnione. Objaśnienia tę wychodzą z przypuszczenia, że Bóg i dobre duchy są przyczynami zjawisk; jeźli się złe duchy przypuszcza jako przyczyny, trudność usuwa się łatwo przez to, że się przyjmuje, iż zły duch działa tylko przez tych, którzy mu się oddają. I tak Schneid zależność duchów od mediów przedstawił, gdyż jak w magii, tak w spirytyzmie wyraźne wzywanie szatana przypuszczał. Że jednak objaśnienie to niezupełnie zadowolić może, pokazuje się ztąd, iż zjawiska początkowo bez wszelkiego przyczynienia się ludzi wydarzają, a więc dopiero po pierwszém pojawieniu się mogą ci ludzie za lub przeciw współdziałaniu ducha się oświadczyć. Nadto zjawiska podobne wydarzają się bez wszelkiego pośrednictwa mediów, jak to słynny spirytysta Allan Kardec wyraźnie zaznacza. Wieser jest tego zdania, że nie samo wzywanie złego ducha tłómaczy uzdolnienie na medium, w ostatniéj więc instancyi odnosić je trzeba do Boskiéj Opatrzności, która złemu duchowi nie pozwala wpływać dowoli na naturę i życie ludzkie, lecz tylko w zależności od pewnych zmysłowych przedmiotów, które bez wszelkiego zawinienia mogą pośredniczyć w szatańskich wpływach, lub w zależności od ludzkich mediów, które obcowania z światem duchów przynajmniéj *implicite* szukają. Przytém jednak pozostaje kłamcy od początku pewna wolność w zastosowywaniu środków, przez jakie z człowiekiem wchodzi w stosunki, a ponieważ fizyczne warunki nie są koniecznie potrzebne, muszą je sobie duchy z jakichkolwiek powodów dobrowolnie nakładać.

Wieser nie chce powątpiewać, pomijając niejeden humbug, o prawdziwości nadzwyczajnych spirytystycznych fenomenów, uważa je jednak po większéj części za wypływ naturalnych sił. Tak owe zwyczajne zjawiska, jak obracanie się stołów, rozdzieranie rzeczy i t. d. mogą być wykonywane elektro-magnetyczną lub inną siłą. Że przy spirytystycznych eksperymentach jest czynną niezbadana jeszcze siła naturalna, pokazuje się ztąd, iż uzdolnienie na medium nie jest przywiązane tyle do moralnych co do fizycznych przymiotów osoby, że daléj siła nerwowa mediów mocno bywa natężaną i do pojedyńczych posiedzeń potrzeba pewnych przygotowań. Wszystkich spirytystycznych zjawisk nie można do jednego źródła odnosić i za dzieło szatańskie uważać. Większą część owych poruszeń, które bez tendencyi i reguły się dzieją i nie zawierają żadnych intelektualnych manifestacyj, przypisać należy ślepo działającéj sile przyrodzonéj, co zaś na karb przytém duchów się kładzie, to za iluzye i halucynacye nerwowo rozirytowanych mediów uważać należy. Mimo to jednak nie wątpi Wieser wcale, że objawiają się także demoniczne wpływy, że cały ruch spirytystyczny pochodzi od ducha kłamstwa i służy potędze złéj.

Wywody Wiesera o stosunku spirytyzmu do chrześcijaństwa są nadzwyczaj cennem uzupełnieniem dowodu, że spirytyzm nie prowadzi do Boga i od Boga nie pochodzi. Zadanie swe rozwiązał Wieser z wielką zręcznością; daleko sięgającym wzrokiem obejmuje religijne, obyczajowe, socyalne i kulturne stosunki chwili obecnéj, ich związek z przeszłością i dowodzi bardzo obszernie i z wielką wymową centralnego stanowiska chrześcijaństwa w ludzkości. Objaśnienia jego „o początkach i rozszerzaniu się spirytyzmu, o spirytystycznych zjawiskach i objawieniach, zdaniach, nadziejach i dążnościach spirytyzmu, przyczynach spirytystycznych zjawisk i opatrznościowém zadaniu

spirytyzmu", zawarte w pierwszéj części, są niejako wstępem, druga dopiéro część z nadzwyczajną gruntownością stosunki spirytyzmu do chrześcijaństwa rozbiera. Z rzekomych faktów przytacza autor szczegółowo tylko mniéj znane, lecz nadzwyczaj uderzające eksperymenta, jakie podejmowano z medium Engligton w Annathal w Czechach. Nie można z tego zarzutu Wieserowi czynić, że i to medium następnie w Monachium zdemaskowano: w czasach naszych, gdzie wypadki tak szybko po sobie następują, trudno coś napisać, z czegoby po skończeniu druku niejedno nie było już przestarzałém, zwłaszcza jeżli chodzi o taki artykuł modny dla naszego za sensacyami goniącego świata, jakim jest spirytyzm.

Po wykazaniu dokładném i jasném wewnętrznéj sprzeczności pomiędzy chrześcijaństwem a spirytyzmem, różnicy pomiędzy spirytystycznemi zjawiskami a cudami chrześcijaństwa, przedstawia Wieser rezultaty swych badań w rozdziale: „rzekoma wyższość spirytyzmu" w następujący sposób:

„.....Wypływ rozpaczliwych stosunków, który na każdém polu nowe zamieszanie wywołuje, a w końcu koniecznie do ogólnego rozprzężenia prowadzi, w żaden sposób nie może być powołany do stawiania siebie jako nowéj uniwersalnéj religii w miejsce chrześcijaństwa... Spirytyzm jest powrotem do pogaństwa. Jedno tylko zdaje się jeszcze niedostawać nowoczesnemu pogaństwu, a mianowicie tego, co zwykle uważa się za ciemną stronę pogaństwa. W spirytyzmie i ta dziedzina z grobu zapomnienia powstała..... W jego cieniu kwitnie jak najbujniéj pogański eklektycyzm i synkretyzm; znajdujemy paralele z budaizmem, oddźwięki z synizmu a przedewszystkiém doktryny z zakresu idei ludów natury; gdyż życie pozagrobowe uważane bywa jako dalszy ciąg tutejszego; nawet nauka o chwilowém wyjściu psyche z ciała żyjącego reprezentowana jest u niektórych dzikich. Ojcowie kościelni nazywają pogański kult bogów służbą demonów. Podczas gdy w czasach naszych z jednéj strony systemy Schopenhauera, Hartmanna i innych stworzenie Boga przedstawiają jako coś prawdziwie szatańskiego, i tendencya, zmierzająca do zniszczenia uniwersum, bywa zalecaną jako obowiązkowa dążność ludzkości, widzimy, że z drugiéj strony szatan mowami pochwalnemi i pieśniami publicznie uwielbiany bywa i niejeden świadomie kult szatański częścią wykonuje, częścią propaguje. Koronę zaś stanowi spirytyzm, który jak żadne inne zjawisko daje szatanowi sposobność stawiania się w miejsce Boga i oszukiwania ludzkości a zarazem niweczenia wiary w istnie-

nie demonów. Jeżli spirytyzm nazywamy powrotem do pogaństwa, to nazywamy tylko złą jego stronę, która w spirytyzmie do ostateczności bywa posuwaną".

W ostatnim rozdziale: „znaczenie spirytyzmu dla Kościoła" zgadza się Wieser zupełnie ze Schneidem; jego daleko sięgający wzrok łączy spirytyzm z owém wielkiém odstępstwem od wiary przy końcu czasów. „Nie mówi, że sprowadzi ową ostatnią katastrofę, lecz pokazuje nam, jak to przyjść może do demoniczno-fanatycznéj, przy towarzyszeniu cudownych znaków, rewolucyi światowéj przeciwko chrześcijaństwu". Wyrzeczenie to odnosić się może zupełnie tylko do rzekomych cudów antychrysta, gdyż obecny materyalizm, jeżli w taki sposób, jak myśmy tego dożyli, wnikać będzie z nauki w masy, prędzéj za pierwszy akt ogólnego odstępstwa od wiary przy końcu świata, przez Chrystusa Pana przepowiedzianego, uważany być może, aniżeli spirytyzm, którego panowanie pomiędzy ludźmi niedługo trwać może. Jak bowiem główny organ spirytyzmu *Psychische Studien* zapewnia, zamiera on już w swéj właściwéj ojczyznie, w Stanach Zjednoczonych, a także i we Francyi, gdzie po Ameryce stał się najpopularniejszym, traci na znaczeniu. W ogóle daty co do liczby zwolenników mają być przesadzone; świat dzisiejszy zdenerwowany, potrzebuje wciąż nowych i odurzających artykułów sensacyjnych, a śmieszne i głupie zjawiska duchów z czasem nudnemi się staną.

III.

Rozprawa D-ra Dippel, odznaczająca się historycznym poglądem, uzupełnia dwie poprzednie z innéj strony. Usiłuje ona przedewszystkiém dać wierny, zupełny i jasny obraz spirytyzmu. Z nadzwyczajną dokładnością objaśnia autor istotę spirytyzmu, początków jego szuka w starożytności pogańskiéj, pokazuje pojedyńcze fazy, w różnych krajach się objawiające, wymienia głównych jego przedstawicieli, spirytystyczne towarzystwa, pisma peryodyczne i literaturę. Podawszy następnie dwa ogólniejsze objaśnienia o mediach i posiedzeniach, daje szczegółowy obraz zjawisk spirytystycznych, ugrupowanych bardzo przejrzyście i wybranych krytycznie. Autor zaprzecza wprawdzie zdemaskowaniu Fl. Cook, wyciąga jednak z téj historyi wniosek, żeby tak łatwo nie wierzyć materyalizacyom przy zjawiskach spirytystycznych; aby stosunek spirytyzmu do chrześcijaństwa scharakteryzować, pokazuje autor obszernie z komentarza, jakie duchy inspirowały

Adelinie bar. Vay i pokrewnym jéj mediom o ewangeliach, jaki tam płaski, aż do bluźnierstwa przeciwko Bogu posuwający się racyonalizm o Trójcy św., Wcieleniu się Syna Bożego, Mesyaszu, Jego matce i Niep. Poczęciu, zbawieniu, czystéj moralności miłości bliźniego i t. d. Wyrzeczenia te są poczęści tak wyrafinowane, że je nie zawsze za większy lub mniejszy nonsens, jak Wundt nazywa spirytystyczne objawienia, uważać można. Ścisłe stosunki barona Vay z Allanem Kardec, który w ten sposób nauki swoje chciał rozszerzyć, tłómaczą te teologiczne objawienia duchów ekscentrycznéj kobiety, oraz i tę okoliczność, dla czego właśnie Dippel kobietę tę przytacza jako reprezentantkę spirytystycznych nauk. W krytycznych rozważaniach o spirytyzmie dochodzi Dippel do tych samych rezultatów co Schneid i Wieser, a zwłaszcza zasługuje na uznanie z tego powodu, że bardzo sumiennie wyzyskał Pismo św. i jego tłómaczów, zbijając wszelkie wybiegi spirytystów. Pomiędzy innemi zbija wywody Zöllnera i innych, jakoby tylko zewnętrzne zjawiska w spirytyzmie miały znaczenie i od Boga przeznaczone były na złamanie materyalizmu, a nie to, co duchy mówią, i dowodzi, że obydwa te rodzaje zjawisk są ściśle ze sobą złączone i właśnie intelektualne komunikacye spirytystów więcéj znaczą—i w ten sposób postawił główne kryteryum do osądzenia wpływu demonicznego i antychrześcijańskich dążności spirytyzmu.

Różnica pomiędzy D. a Schn. zachodzi co do pojęcia magnetyzmu. Ostatni uważa magnetyzm we wszystkich formach za demoniczny i dla tego niedozwolony, pierwszy zaś nie łączy magnetyzmu, somnabulizmu i jasnowidzenia ze spirytyzmem, jakkolwiek rzeczy te jeszcze wyjaśnienia potrzebują. Wieser o tyle pośrednie zajmuje stanowisko, że zwierzęcy magnetyzm jako coś naturalnego przedstawia i oświadcza, że jakkolwiek z niego korzystać można niekiedy do leczenia, to jednak zaprzeczyć nie można, że często przystępuje do niego coś demonicznego. Niezawodnie, że wyższe stopnie mesmeryzmu, zwłaszcza jasnowidzenie, nie tylko *per accidens* mają w towarzystwie demoniczne wpływy, lecz do tych samych przyczyn sprowadzić je można, co spirytystyczne intelektualne manifestacye, od których się istotnie nie różnią. Te to wyższe stopnie magnetyzmu, używanego nieraz do niecnych celów i nadużyć wszelkiego rodzaju, potępiają téż wszyscy moraliści, jak i dekreta Stolicy Apostolskiéj, podczas gdy w kwestyi, czy magnetyzm leczący jest naturalny, czy nadprzyrodzony, nie z taką samą stanowczością na te depozycye odwoływać się można. Trudność pewnego osądzenia tych fenomenów

pochodzi ztąd, że dwie zasady do tego bywają używane, które się po części sobie sprzeciwiają, a dokładnie ich granic oznaczyć nie można. Z pewnością jest to zasadą jasną, że tak długo jak można, we wszystkiém naturalną przyczynę upatrywać trzeba; zaniedbanie téj zasady prowadziło zawsze do jak najwięcéj zabobonnych widziadeł nawet na polu mistyki; na téj zasadzie opierając się św. Alfons, uważa używanie środków leczniczych, których nadprzyrodzony charakter z pewnością skonstatowany być nie może, za dozwolone, a Wieser sądzi, że nawet niższe spirytystyczne zjawiska, jak pukanie, łamanie przedmiotów, może być wytłómaczone elektrycznością lub innemi naturalnemi środkami. Nie mniéj jasną jest druga zasada, że fenomeny wątpliwego charakteru oceniać należy według innych charakteru wyraźnego, z któremi solidarnie stoją w związku. Na téj zasadzie się opierając, uważa Ballerini, że wszelkie magnetyczne sposoby leczenia potępić należy, a Schneid dużo sobie trudu zadaje, aby wykazać jedność przyczyn przy wszystkich magnetycznych i spirytystycznych zjawiskach. Nowsze eksperymenta lekarzy usiłują magnetyzm jako coś naturalnego przedstawić. Eksperymenta magnetyzera Hansena, które Schneid uważa za nadprzyrodzone, nie tylko przez lekarzy, jak Grützners, Bergera, Haidenhaina bywały zupełnie naśladowane, lecz po części przewyższały je i w czysto fizyologicznym charakterze się przedstawiały. Koniec końców, smutném jest, że wielu z dzisiejszych uczonych i ludzi mających się za wielce rozumnych, raczéj wolą wierzyć w magnetyczne objawy i słuchać stołowéj nogi, niż nauki Jezusa Chrystusa. Rzeczywiście, większéj kary ich wielki rozum nad tę doznać nie mógł.

Jeszcze w jednym punkcie różni się D. z Schn. Podczas gdy ostatni udziału zmarłych przy spirytystycznych zjawiskach zaprzecza, dowodząc z św. Tomaszem, że dusza zmarłego człowieka w naturalny sposób ani ciałem poruszać, ani téż o tém, co się u nas dzieje, wiedzieć nie może, uważa pierwszy z innymi autorami zdanie św. Tomasza za niedostatecznie uzasadnione i powołuje się pomiędzy innemi na rzeczywiste pojawianie się umarłych u Görresa. Tymczasem zdania odrębne tak ostro w tym punkcie nie powinny przeciwko sobie występować; nauka bowiem św. Tomasza (I. p. q. 98 i 117) nie sprzeciwia się tak koniecznie wywodom D. Gdyż najprzód nie jest pewném, czy św. Tomasz odmawia zmarłym wszelkiéj naturalnéj wiadomości o życiu na tym świecie; owszem uczy on, że oddalenie co do miejsca

od tego świata nie ogranicza ich władzy poznania pojedyńczych rzeczy, gdyż idei swych nie przez Boską inspiracyę nabywają, jak Aniołowie. Nie są one wprawdzie tak doskonałe jak idee Aniołów, które dają zdolność poznania wszelkiéj indywidualności. Idee wlane w dusze dają tylko ogólne poznanie rzeczy: w pewném poznaniu rzeczy pojedyńczych pośredniczą im te idee tylko ze względu na *singularia illa, ad quae quodammodo determinantur vel per praecedentem cognitionem, vel per aliquam affectionem, vel per naturalem habitudinem, vel per divinam ordinationem* (qu. 89, a. 4). Ponieważ Tomasz św. w artykule 8, gdzie zmarłym odmawia znajomości naszych stosunków, powołuje się na powyżéj przytoczone miejsce i w skróceniu je powtarza, należy na ostatniém miejscu, gdzie zmarłym odmawia wiadomości o świecie naszym, pamiętać o wyjątkach przez niego poczynionych. Zaprzeczyć zaś nie można, aby zmarłym nie miała pozostać *affectio* i *habitudo* do swoich na ziemi; im też najczęściéj się pokazują. Lecz nie przywiązujemy do tego tak wielkiéj wagi; jawną zupełnie jest rzeczą powtóre, że zmarli, jak św. Tomasz tutaj i q. 117 wyraźnie podnosi, za boskiém działaniem poznają nasz świat, i obce ciała poruszać mogą. Zjawienie się zmarłych nie zawisło od ich naturalnéj siły, lecz od boskiego działania. Nie są to żadne naturalne wypadki, lecz prawdziwe cuda, które Bóg dla szczególniejszych powodów w pewnych razach wykonywa. Jeźli Świętych posyła na ten świat, to już dla swego zrównania z Aniołami wszystko mogą czynić, co dla ich objawienia się jest potrzebne; dusze w czyścu muszą być obdarzone w to wszystko, co do ich zjawienia się jest konieczne i tak samo nawet dziać się musi z potępionymi. Jeźli n. p. żyjącym objawiają się dusze zmarłych na tém miejscu, gdzie popełniły zbrodnię, to widocznie użyte są jako narzędzia karzącéj sprawiedliwości Bożéj, i w tym celu potrzebnemi siłami od Boga samego są obdarzone. W tych zaś razach, w których nie służą boskim celom, nie można nigdy identyczności zjawiska ze zmarłym, jak św. Tomasz zauważa, skonstatować. Tak samo działoby się musiało, gdyby nawet nierozumną naukę spirytystów o reinkarnacyi przyznać chciano. Że duchy, które się wydają za zmarłych i twierdzą, iż mocą naturalnego obcowania z ludźmi się pojawiają, nie stoją w służbie Boga, lecz właśnie przez to wykazują, że są duchami kłamliwymi, jest pewném. (Wiad. kośc.).

Galileusz.

Pomiędzy najsłynniejszymi matematykami i astronomami, w ostatnich wiekach, odznaczyło się imię Galileusza, nie tyle może z powodu ważności wynalazków jego i odkryć astronomicznych, jak raczéj z powodu owego męczeństwa, które jakoby wycierpiał pod sądem rzymskim, za to, że dowodził prawdziwości systematu Kopernika o krążeniu ziemi około słońca.

Urojone to jego męczeństwo, stało się dla nieprzyjaciół religii i kościoła ulubionym tematem, z którego wysnuwali najohydniejsze kłamstwa i potwarze.

Historya procesu tego astronoma w Trybunale rzymskim tylu fałszami była przerabiana, że prawie nie napotkać już dykcyonarza biograficznego, ani jakiejkolwiek książki historycznéj, pomiędzy pisanemi zwłaszcza przez protestantów i filozofów, w którejby nie była powtórzona, a przynajmniéj napomknięta owa bajka o prześladowaniu okrutném Galileusza. I dotychczas jeszcze wielu romansistów i dziennikarzy, za lada zręcznością, odwołują się do téj powieści, jakoby do najgruntowniejszego dowodu przeciw kościołowi.

Ale chociaż, w ostatnim szczególniéj wieku, starano się jak najusilniéj sfałszować tę historyę i zaćmić prawdziwy stan rzeczy, pozostało wszelako dosyć źródeł zdolnych wyświecić czystą prawdę, a mianowicie: dzieła kompletne Galileusza, oryginalny proces jego sprawy w trybunale rzymskim, listy przyjaciół jego: Guikardyniego i Nikoliniego, Pamiętniki historyczno-polityczne, wydane spółcześnie z jego pismami w r. 1655,—które rzucają jasne promienie światła naprze-

ciw téj pomroki, jaką nienawiść niedowiarstwa dla łatwiejszego obłąkania prostodusznych ludzi, ten fakt otoczyć usiłowała.

Ze źródeł wyż wymienionych, przytacza się tu tylko wybitniejsze zdarzenia tyczące się téj sprawy:

Galileusz (Galieo) urodził się w Pizie 1564 r., ze szlachetnéj rodziny, pochodzącéj z Florencyi. W początkowém wychowaniu, idąc za wolą rodziców, zaczął był przykładać się do kunsztów malarstwa i muzyki, a następnie do nauk lekarskich. Lecz ponieważ od dzieciństwa okazywał do matematyki najwięcéj skłonności, pozwolono mu nakoniec poświęcić się téj nauce we Florencyi, gdzie ją wykładał znakomity podówczas profesor, Ostylio Ricci. Wkrótce, młody Galileusz w téj szkole nadzwyczajnym postępem zjednał sobie powszechną uwagę: a wskutek tego kardynał Del-Monte, członek świętego Kollegium, sam biegły matematyk, wziął go pod swoją protekcyę i w Uniwersytecie pizańskim 1588 r. katedrę profesora matematyki dlań pozyskał.

Po czterech latach Galileusz przeniósł się na takąż posadę do Padwy, a imię jego coraz więcéj rozgłosu w uczonym świecie zjednywało, z powodu ważnych odkryć, któremi on fizykę i astronomię wzbogacał. Między innemi wynalazł termometr, cyrkiel proporcyjny, izochronizm wahadła, które użył do mierzenia pulsacyi w żyłach. Obok tego wyłożył prawdziwe zasady mechaniki, w dziele o statyce i w nauce nowéj o dynamice.

R. 1609 w Holandyi wynaleziono teleskop. Galileusz dowiedziawszy się, że do Wenecyi przywiezione zostało to narzędzie, pojechał tam, obejrzał je, i zmiarkowawszy jego braki, sam sporządził inny, poprawniejszy, co dało niektórym powód do przypisywania jemu całkowicie tego wynalazku, i użył go do obserwacyi ciał niebieskich. Za pomocą swego teleskopu obserwując księżyc, dostrzegł na obwodzie jego powierzchni garby i chropowatości, które uznał za góry; odkrył téż cztery księżyce Jowiszowe i wypatrzył fazy Wenus.

Wszystkie te odkrycia opisał w swém dziele drukowaném w Wenecyi 1610 r. pod tytułem *Nunzio Sidere*, przez co pozyskał głośną sławę.

Kozmas II. z Medyceuszów, powołał go do Florencyi, i powierzył mu pierwszą katedrę filozofii i matematyki.

W r. 1611 Galileusz zwiedził Rzym, gdzie go przyjmowano z największym szacunkiem, oddając hołd jego nauce, i gdzie Galileusz ofiarował dla Akademii delli Lincei, dziełko swoje o plamach na słońcu, które 1613 r. w Rzymie drukiem ogłoszono. W dziełku

tém zamieścił i swe przypuszczenia o prawdziwości wywodów Kopernika.

W pewien czas potém, chcąc zjednać twierdzeniu swemu większy rozgłos, oparł je na Piśmie św., a będąc zaskarżony do Rzymu, że pod pretekstem nauki napada na Pismo św., udał się tamże w końcu 1615 r., gdzie mile był przyjęty przez Pawła V. papieża; ale nadaremnie perswadowano mu, aby do astronomii nie mieszał tekstów Pisma św., Kościół téj nauki nie potępia, ale na przekręcanie Pisma św. nie może pozwolić.

Libry, ów jawny nieprzyjaciel Kościoła, powiada: „że Galileusz w listach pisanych do przyjaciół, które w odpisach prędko się po świecie rozchodziły, dowodził nadewszystko, że Pismo św. źle wykładano“.

Że systemat Kopernika nie był przeciwny Pismu św., to mógł słusznie utrzymywać; ale Galileusz dowodził, iż niepodobna było inaczéj jak przez jego teoryę Pismo św. wykładać.

I wykładał swój systemat, napadając na Pismo św. i bardzo często przed ludem nierozumiejącym rzeczy — a nieświadomi wyciągali z tego wnioski wprost przeciwne i wielu zachwiało się w wierze. Mędrcowie mogli zagłębiać się w tém rozumowaniu, lecz ludowi i niedość oświeconym, nie wypadało ogłaszać w sposób, jak to czynił Galileusz, mieszając do swych odkryć Pismo św.

Urban VIII. papież, ułożył wiersz na cześć odkryć Galileusza. Descartes ogłosił swe dzieło: „O zasadach filozofii“, w którém śmiało utrzymywał, że ziemia obraca się około słońca, a dzieło to nigdy nie było potępione.

Kościół, któremu świat winien postęp i cywilizacyę, nigdy nie zabraniał wywodów naukowych, ale nie mógł pozwolić, aby Pismo św. ku tym wywodom naciągano, i nieumiejętnych bałamucono.

Przedtém jeszcze na wiek cały kardynał Kuza publicznie utrzymywał zdanie o ruchu rzeczywistym ziemi, a Kopernikowi pozwolono ogłosić swoją teoryę drukiem.

W Rzymie wielu znakomitych świeckich i duchownych, systemat ów, jako przypuszczenie naukowe przyjmowało, a kardynał Bellarmin wraz z znakomitymi podówczas matematykami, między którymi znajdował się astronom Klawius, oświadczyli swe zdanie o tym systemacie; i odpowiedź ich ogłoszona drukiem, wykazuje, że ten systemat, jako wywód naukowy, sam w sobie nie tylko nie był potępiony, lecz owszem za prawdopodobny uznawany.

W r. 1632 Galileusz wydał swój Dyalog o dwóch wielkich systematach świata, podług Ptolomeusza i podług Kopernika, w których naturalnie ustępy o Piśmie św. znalazły się także.

Skoro się ta książka na świat ukazała, Galileusz został ponownie do Rzymu wezwany na początku 1633 r., gdzie do 12 kwietnia mieszkał w ambasadzie toskańskiéj (Listy Gali. z 19 i 25 lutego 1633). W tymże dniu 12 kwietnia zawezwano Galileusza do Trybunału, gdzie otrzymał apartament składający się z 3 pokoi. Wolno mu było przytém przechadzać się po całym pałacu i ogrodzie, trzymać swojego służącego, posyłać do miasta, korespondować bez żadnéj przeszkody; a po dniach ośmiu, przed ukończeniem badań, prezes zgromadzenia czyli trybunału, oświadczył Galileuszowi, że może powrócić do swego mieszkania w pałacu toskańskim. Świadczy o tém sam poseł margrabia Nikolini, opisując z najdrobniejszemi szczegółami o tym pobycie Galileusza w Rzymie (depesze Nikoliniego 1633, T. IX, s. 440).

Dnia 22 czerwca 1633 r. trybunał w obecności zgromadzonych na ten akt tak świeckich jak i duchownych, ogłosił wyrok [1]), zabraniający czytania dyalogu i nakazujący zaprzysiądz Galileuszowi swych twierdzeń naciąganych do Pisma św., oraz skazujący Galileusza na areszt na czas nieograniczony—ale była to tylko formalność prawa [2]), do więzienia bowiem nie przyszło. Urban VIII. papież, zamienił tę karę na zamieszkanie w prześlicznéj willi Trinita del Monte, i pozwolił Galileuszowi przejażdżek po okolicach Rzymu, do Castel-Gandolfo, w góry Albańskie; a już 6 lipca papież polecił Galileuszowi pojechać do jego przyjaciela arcybiskupa Piccolominiego, gdzie mieszkał do grudnia, to jest przez czas trwania zarazy we Florencyi. Skoro zaś zaraza ustała, papież uwolnił Galileusza i od tego pozornego aresztu i polecił mu powrócić do domu, to jest do jego wsi Arcetry w pobliżu Florencyi.

1) Wyrok ten był wydany przez ten sąd jako szczegółowy, a nie przez papieża, który w téj kwestyi nie wydawał wyroku najwyższego.

2) Wiadomo, że wówczas Kościół był gwałtownie napastowany przez reformatorów i liczne sekty, z których każda według swéj woli i swych widoków tłumaczyła Pismo św. Zniewolony więc był Kościół czuwać nad ruchem religijnym a nawet naukowym, by niedopuszczać wichrzenia w religii—a trzeba pamiętać i o tém, że systemat ów był uważany wtedy za przypuszczalny tylko, i wielu uczonych tamtych czasów, wiodło spór w téj sprawie pomiędzy sobą.

Oto wyciąg z własnoręcznego listu Galileusza do słynnego Raniera, jego ucznia, o całéj téj sprawie.

„Po ogłoszeniu dyalogów moich byłem pozwany do Rzymu przez kongregacyę św. Officium. Przybywszy tam 10 lutego 1633 r., poddałem się sam wysokiéj łaskawości tego trybunału i najwyższego Pasterza Urbana VIII, który mnie zaszczycał swoim szacunkiem. Za areszt naznaczono mi rozkoszny pałac ambasadora toskańskiego. Nazajutrz po moim przyjeździe, komisarz X. Lanezio mnie odwiedził i zabrawszy mnie z sobą do karety, powiózł do trybunału. Przez drogę zadawał mi rozmaite zapytania, i w téj rozmowie przybyliśmy na miejsce. Tam byłem zaraz przez tegoż komisarza przedstawiony Jego Excellencyi, Assesorowi Witryczemu, przy którym zastałem dwóch zakonników. Oni zapowiedzieli mi grzecznie, żebym przygotował moje racye do przedstawienia na zgromadzeniu kongregacyi, dodając przy tém, że wolno mi będzie usprawiedliwić się, wrazie jeżeli zostanę uznanym za winnego. Na ostatek byłem zobowiązany do odwołania moich twierdzeń i wyrok za karę mi naznaczył: zakaz moich dyalogów. Następnie odprawiony z Rzymu po pięciomiesięcznym w nim pobycie, miałem sobie wyznaczone za areszt, ze wspaniałości Ojca św., mieszkanie najmilszego przyjaciela mego w Siennie, arcybiskupa Piccolominiego. Miłe z nim towarzystwo przyniosło méj duszy tyle pokoju i zadowolenia, iż powróciłem do moich studyów; tam wynalazłem i wyłuszczyłem wielką część wniosków mechanicznych względem oporu ciał stałych, tudzież inne doświadczenia. Po pięciu prawie miesiącach, kiedy zaraza w mojéj ojczyznie ustała, na początku niniejszego roku 1634, Jego Świątobliwość raczył zamienić mnie ten ograniczony przytułek na swobodny pobyt na wsi, którą tak wielce lubię. Powróciłem więc do willi Bellosguardo i następnie do Arcetry, gdzie teraz oddycham tém ożywczém powietrzem w sąsiedztwie [1]) Florencyi, ukochanéj mojéj ojczyzny“.

Gdzież są te mniemane męczarnie, które jakoby Galileusz miał ponieść; a jednak iluż to pisarzy, którzy nie studyowali historyi gruntownie, ponawiało tyle fałszów i ponawia. A ileż to innych zdań fałszywych i wiadomości potwarczych, przeciw prawdzie historycznéj, przeciw Kościołowi i duchowieństwu, krąży w społeczeństwie! Nie ma kłamstwa wymyślonego w tych rzeczach, przez ludzi niesumiennych

1) Okolice Florencyi są słynne z mnóstwa balsamicznych kwiatów, nasycających swą wonią powietrze.

lub nieuków, któreby nie było rozchwytywane przez niedowarzonych znów literatów, i to bez najmniejszego sprawdzenia, i częstokroć przeciw zdrowemu rozsądkowi, i takie mniemania krzewią pomiędzy młodzieżą a nawet starszemi, i które idą z pokolenia w pokolenie, za pewniki historyczne i bezzarzutne.

Często też można się spotkać z człowiekiem, który się ma za wykształconego, a jednak jest tylko niedoukiem — fakta historyczne jeźli są mu znane, to tylko w fałszywém świetle — a o wynikach nauki, sąd zupełnie skrzywiony—i tyle lat nauki zostało zmarnowanych, a sam biedak chcąc uchodzić wobec innych za jakiś geniusz postępowy, kompromituje się tylko i litość wzbudza.

Najniedorzeczniejszym ze wszystkich fałszów co do męczarń Galileusza, był ten: iż trybunał kazał mu oczy wyłupić, a wiadomo przecie, że Galileusz, oprócz listów, które po swéj sprawie do różnych przyjaciół pisał własną ręką, a których wiele znajduje się dotychczas w oryginałach, nadto jeszcze w cztery lata po wyjeździe z Rzymu, a mianowicie w roku 1637, odkrył zapomocą swego teleskopu, drgania księżyca (wibracye); o czém przecież dzieje astronomii świadczą.

Dopiéro przy schyłku życia swego, wzrok jego z powodu ciągłego pisania i bezustannych obserwacyj teleskopowych, coraz bardziéj osłabiał się, w końcu całkowicie zagasł. Umarł bez wielkich cierpień 8 stycznia 1642 roku mając lat 78.

Zbiór pism jego wydany został najprzód w 3-ch tomach in 4-to we Florencyi 1718 r. Następnie w Padwie 1744 r., wyszła pełniejsza ich edycya, nakoniec Alberi i Bianki sporządzili między 1842 a 1855 r., nową, w któréj zamieścili mnóstwo dokumentów, nieogłoszonych w poprzednich wydaniach a wielce objaśniających sprawę jego w trybunale rzymskim. Oryginalny zaś proces, zebrany przez Francuzów w r. 1809 i przywieziony do Paryża, za Grzegorza XVI. został zwrócony do Rzymu;—z niego prefekt archiwów, Marino Marini, wypisawszy Memoryał historyczno-krytyczny, wydrukował go w 1850 r. w rocznikach Akademii archeologicznéj rzymskiéj. Z tego można się także przekonać, jak uderzająca zachodzi różnica z obejściem się trybunału rzymskiego z Galileuszem — a obchodzeniem się, jakiego w tamtychże czasach i w podobnych okolicznościach, doznali od protestantów Kepler w Uniwersytecie Tübingskim i Tycho-Brahe w Danii.

BEATRYX CENCI.

Legenda i historya.

Dziwnie się nieraz składają okoliczności na wytworzenie i utrwalenie legendy całkiem różnéj od prawdy dziejowéj. Proces rodziny Cencich w XVI. wieku należy zapewne do rzędu najsławniejszych causes célébres, dawno jednak zostałby pogrążony w zapomnieniu, gdyby w nim nie upatrywano broni przeciw Stolicy Apostolskiéj i nie wyzyskiwano téj smutnéj sprawy celem zdyskredytowania władzy i sprawiedliwości papieży. Zwykłą praktyką namiętnych dziejopisarzy, spisek przeciw prawdzie nie chciał nawet wejrzyć tutaj w wierzytelne akta owego procesu, snując do woli tendencyjną legendę, która ostatecznie sława znajdowała w czarownym portrecie, stanowiącym great attraction rzymskiéj Barberynich galeryi. Upatrywano w téj cudownéj główce szczątek ofiary, ślad przebytych katuszy, strojono ją w szczegóły dramatyczne, odbiegano bliskich portretów Rafaela i Formariny, byle tylko dłużéj się przyjrzeć arcydziełu Guida i może kilka łez uronić nad „Aniołem ojcobójstwa“, jak nazwano Beatryxę Cenci.

Otóż fałsz, który zawisnął nad jéj losami, dosięgnął i jéj mniemanego portretu; wszystko stworzyła, przekształciła fantazya późniejszych pokoleń. Aż do pierwszych lat bieżącego stulecia nie znajduje się w katalogu galeryi Barberinich, ani w żadnym innym, najmniéjsza wzmianka a jakimbądź portrecie nieszczęśliwéj dziewczyny. Ani w opisach dawniejszych, ani w zapiskach podróżnych żadnego nie znajdujemy śladu legendy artystycznéj w tym względzie. Wytworzyła

się ona dopiero w naszym wieku; na rok 1819 przypada pierwsza wzmianka o rzekomym portrecie Beatryxy. Angielski poeta, Percy Bysshe Shelley, druh serdeczny Byrona, śpiący dziś na rzymskim cmentarzu, pod głazem noszącym napis; Cor cordium, upowszechnił w swéj ojczyźnie ustaloną dziś artystyczną legendę, któréj początku zapewne w jego fantazyi szukać należy. Pisząc tragedyę swoją: The Cenci, na tle losów tego nowego Atrydów rodu, potrzebował uplastycznić sobie bohaterkę, złowrogiéj pieśni i powieści, i odtąd tłum bez dyskusyi ani krytyki żadnéj uwierzył, że perła galeryi Barberinich jest niewątpliwie portretem córy Cencich.

Tymczasem wszystko się temu sprzeciwia. Najprzód daty najjawniéj dowodzą, iż Guido Reni dopiero w pięć lat po tragicznym zgonie Beatryxy do Rzymu przybył, a więc widzieć jéj nie mógł. Skądinąd, znając charakter zabobonny słynnego malarza, domyślać się godzi, iż nawet upoważniony przez papieża do zstąpienia w lochy więzienne rodziny Cencich, nie byłby tego uczynił, z obawy jakich niebezpieczeństw i czarów. Nie rad téż malował on portrety, wymawiał się Królowi Francuskiemu, który go na dwór swój nęcił sowitą pensyą, zapewnieniem, iż nie jest z rzemiosła portrecistą. Jakoż portret papieża Klemensa VIII. jest bodaj jedynym w tym rodzaju dziełem. Znane skąpstwo Cencich także sprzeciwia się mniemaniu, aby znaczną sumę wyłożyć chcieli na utrwalenie rysów téj, z którą honor domu zniknął bezpowrotnie. Co więcéj: obyczaj rzymski nie pozwalał malować portretów osób niezamężnych. Opis rysów nieszczęsnéj Beatryxy wedle aktów współczesnych, także całkiem się różni od rzekomego jéj podobieństwa: lud rzymski w dzień spełnienia wyroku, podziwiał cudne, jasne włosy skazanéj, zwojami opadające na jéj ramiona. Portret galeryi Barberinich przedstawia nam brunetkę, a cały obraz ciemnemi tony uderza. Znawcy podają w wątpliwość samąż nawet autentyczność podpisu mistrza; niektórzy chcą tu wiedzieć „Egipską Madonnę“ Pawła Veronesa, inni „Rachelę“ Annibala Caracci. Rzeczywiście pojąć trudno, jakim sposobem w katalogach z roku 1604 i 1623, nie tylko imię Beatryxy Cenci nie jest wspomnianém, ale i Guida nazwiska wcale się tam nie znajduje. Dwa jednak dowody przemawiają za autentycznością jego pędzla, raz, że wiadomo, jak wiele pracował dla Kradynała Barberiniego, późniéj papieża Urbana VIII. a powtóre, że mimo rozmaitości jego natchnienia i utworów, główka stanowiąca mniemany portret Beatryxy, a mianowicie jéj udrapowanie wschodnim zawojem, powtarza się wielokrotnie na jego obra-

zach. Jedna z nimf, otaczających sławną „Aurorę“ w pałacu Rospigliosi, „Niewiasta wskazująca dziecięciu ś-go Andrzeja, idącego na męczeństwo“, w fresce kościoła ś-go Grzegorza in monte Celio, „Sybilla Kumejska“, wszystko to typy, pokrewne z portretem galeryi Barberinich, ideał znać ducha artysty, który wciąż wydoskonalał swe pojęcie piękna.

Świeżość stosunkowa bardziéj poetycznéj, aniżeli artystycznéj legendy, rozwiewa się z łatwością, i fantazya Shelley'a nie ostoi się wobec krytyki, która darmo szuka podstawy dla upowszechnionego dziś mniemania, iż bezimienna a tak urocza postać Barberinich galeryi jest córą Cencich. Trudniejsze stokroć zadanie przypadła w udziale badaczom właściwego przebiegu sprawy, ginącéj w pomroku dziejowym. Archiwista Bertolotti postanowił raz jeszcze poruszyć kurzawą wieków przywalone akta sądowe: żadnego nie zaniechał źródła, przewertował wszystkie możliwe dokumenta, nawet jednodniowe avvisi, które zastępowały naonczas dzisiejszą publicystykę i dziennikarstwo. Nie pominął korespondencyj dyplomatycznych, zajrzał do Archiwum Camery apostolskiéj, do biór sądownictwa fiskusu i notaryatu rzymskiego. Stąd urosła spora książka, któréj każda kartka burzy jakiś fałsz historyczny, a przez to samo stawa w obronie sprawiedliwości papieży i Stolicy Apostolskiéj. Podobnąż usługę prawdzie dziejowéj oddał już był p. Bertolotti swą pracą o Benvenuto Cellinim i złotnikach z połowy XVI. wieku, wyjaśniając bezpodstawność tradycyi, zagrzebującéj tego wielkiego artystę w lochach zamku św. Anioła aż do jego mniemanéj a niemożebnéj ztamtąd ucieczki. Urzędnik nowych Włoch, zasługując się prawdzie dziejowéj, nie domyślał się, że nawet po upływie trzech wieków nie jest to grunt neutralny. Bezstronność, z jaką ogłaszał dokumenta przychylne przeszłości papieży znać była mu poczytaną za grzech ciężki wobec rządu włoskiego; po ukazaniu się bowiem szerszego studyum a rodzinie Cencich, p. Bertolotti został nagle usuniętym z Rzymu i przeniesionym do Mantuy, co mu nie dozwola posuwać daléj znamienitych poszukiwań historycznych. Ale dość się już zasłużył prawdzie tém, co mu znaleść było danem.

Miłośników pięknéj epoki odrodzenia rozczarować chyba mogą strony obyczajowe i społeczne, stosunki owéj epoki, pełnéj blasków i cieniów na przemian. Dotychczasowy kozioł ofiarny wszystkich familijnych zbrodni w rodzinie Cencich, Franciszek Cenci, zaiste bynajmniéj nie zyskuje na bliższém poznaniu. Mąż to dziki, o gwałtownych na-

miętnościach, głośny z burd i awantur ulicznych, opłacający często grzywny i kary, wielokrotnie na wygnanie lub więzienie skazywany. Dziedzictwém przejął po ojcu jego złe skłonności i majątek niezmierny, niepoczciwie powiększany wciągu lat, w których zarządzał skarbem apostolskiéj Kamery. W piętnastym roku życia Franciszek Cenci ożenił się z Hersylią Santa Croce i przez dwadzieścia jeden lat żył z nią dosyć zgodnie. W burzliwém jego życiu nie ma śladów głośniejszych zatargów małżeńskich. Owszem, czuł w niéj matkę dwanaściorga dziatek, z których siedmioro się wychowało: dwie córki i pięciu synów. Hersylia musiała zbawienny wpływ wywierać na męża i dzieci swoje, utrzymywać w pewnych karbach gwałtowne ich natury, bo dopiero po jéj śmierci w 1584 r. następuje poniekąd wybuch stłumionych przez pewien czas namiętności. Dość powiedzieć, że prawie wszyscy członkowie téj rodziny gwałtowną zginęli śmiercią, jedni z ręki kata, drudzy w pojedynkach. Jedna chyba Antonina, zaślubiona szlachetnemu patrycyuszowi z domu Savellich, spokojnie wyprzedziła ojca w mogile, nie zostawiając potomstwa.

Po dziewięciu latach wdowiego życia, Franciszek Cenci w powtórne wszedł związki, poślubiając niejaką Lorenzę Petroni, któréj słaby charakter nie mógł udzielić mu pomocy przeciw butnemu i hardemu potomstwu z pierwszéj żony. W galeryi Barberinich znajduje się bezimienny portret, który uchodzi za podobiznę owéj Lorenzy; dość jednak spójrzeć na zdobiące obraz herby Colonnów, aby zmierzyć omyłkę, sfabrykowaną na korzyść legendy więcéj dziś politycznéj, aniżeli historycznéj. Stanąwszy u południu życia, a raczéj pochylając się już ku zachodowi dni swoich, Franciszek Cenci spójrzał wokoło siebie, zmierzył okiem zbrodnie swych synów, wspomniał na przewinienia własne, przeczuł ruinę materyalną i moralną domu swego, a nabrawszy przekonania, że go własny syn chce zgładzić, postanowił okiełznać twardą ręką ojcowskiego jarzma swe niesforne potomstwo, ścieśnić ich wolność a raczéj swawolę i w tym celu przeniósł się do swéj rodowéj warowni Rocca di Petrella, w królestwie neupolitańskiém. Nie tylko szukał on tam własnego bezpieczeństwa, kto wie, azali nie chciał ukryć hańby domu swego? Owa bowiem Beatryx, czysta ofiara srogości papieskiéj wedle źródeł podrobionych, umęczony anioł ojcobójstwa, straszną hańbą splamiła była swe imię. Kodycyl jéj testamentu, ogłoszony przez p. Bertolotti, poświadcza o tém wymownie. Zapisuje ona poufnie niejakiéj Katarzynie de Sanctis sumę pięciuset skudów, z warunkiem, aby procenta używane były na potrzeby wychowania „biednego dzieciątka, o którem jéj mówiłam w mych zwierzeniach. I dopóki to dziecię żyć będzie, ma o niém pamiętać i z tejże renty je utrzymywać“. Pokazuje się z aktów procesu, z wyznań Beatryxy i służby domowéj, że stary Cenci słuszne miał powody córkę ukrywać przed światem. Jednym z współmorderców jego okazał się być Elimpiusz Calvetti rządca zamku Rocca di Petrella. Franciszek Cenci wypędził go z domu, spostrzegłszy jawne dowody porozumienia i stosunków między nim a córką swą Beatryxą, wypędził jednak za późno dla czci swego imienia.

I oto charakter dziewiczy, któremu na Kapitolu przed kilkoma laty chciano kłaść pamiątkową tablicę. Odnajdujemy ją w zmowie z kochankiem, w owéj strasznéj nocy morderstwa Franciszka Cenci. I bracia i macocha maczają ręce w téj krwawéj sprawie, wszystkim pilno pozbyć się surowego, może srogiego ojca. Atoli Beatryx główną jest bohaterką i sprężyną dokonanéj zbrodni; ona usypia ofiarę za pomocą narkotyku, ona morderców wprowadza i zachęca, ona im świeci, a nawet widząc ich wahanie, sama za nóż chwyta. Po spełnieniu zaś zbrodni, te nowoczesne Eumenidy, Beatryx i Lorenza za nogi wloką przez korytarz zamku krwawego trupa, aby go oknem wyrzucić w ogród, gdzie na gałęziach bzu rosnącego pod murem te szczątki martwe zawisły.

Niebawem Elimpio ginie zamordowany tajemnie, i zdawałoby się, że i sekret dokonanéj w Rocca di Petrella zbrodni zginąć i zatrzeć się musi, gdy w tém drugiego siepacza przy jakiejś kradzieży ujmują i ten całą sprawę wyjaśnia. Nieminioném następstwem, cała rodzina Cencich wpada w ręce sprawiedliwości.

Proces toczył się bardzo powoli z należytą roztropnością i względami. Beatryx zrazu do niczego zgoła się przyznać nie chciała i okazała moc, któréj trudno się było spodziewać po jéj poprzednich ułomnościach i zbrodniach. Smutna dotąd i występna heroina teraz dopiero bardziéj zajmującą się staje pewną siłą odporną, która jéj usta zamyka, gdy już wszyscy inni spólnicy wyjawili swój udział w morderstwie. Ni prośby ni groźby na nią bynajmniéj nie działają, zapiera się winy i milczy. W końcu macocha miękczy jéj serce uroczystém zaklęciem: „Popełniliśmy zbrodnię, nie zostaje nam, jak duszę zbawić pokutą, a śmierć z rąk sprawiedliwości ochotnie przyjąć“.

„Śmierć mi jest niczem, odparła Beatryx, spoglądając że wzgardą na Lorenzę, zniosłabym ją mężnie, gdyby tu nie szło o cześć do-

mu niepowrótnie straconą. Skoro jednak wszyscy przeciw mnie stawacie poddaję się i nowego żądam śledztwa".

Teraz już bez ogródki wszystko wyznała, a odpowiedzi jéj zgodziły się dosłównie z wyznaniami wspólników i świadków całéj téj strasznéj zbrodni. Rok cały wlokła się sprawa teraz. Pięć miesięcy zostawiono obwinionym do przeprowadzenia obrony, powierzonéj najznakomitszym adwokatom. Nie mogli oni jednak zaprzeczyć zbyt jawnym dowodom popełnionéj zbrodni. Pan Bertolotti przedstawia nam w najdrobniéjszych szczegółach cały przebieg sprawy, która po raz pierwszy w właściwém występuje świetle. Tutaj znajdujemy się wobec zawiązku legendy: uczony archiwista napotkał w swych badaniach ślad przebiegłości, z jaką możny ród Cencich usiłował zatrzeć hańbiące karty swéj historyi. Co chwila p. Bertolotti znajdował się wobec wydartego dokumentu, zniszczonéj karty aktów sądowych, wyraźnego podrobienia lub sfałszowania świadectw. Udało mu się jednak odszukać pozornie stracone źródła, uzupełnić braki i odbudować prawdę w całéj nagości, daremnie przez Cencich, a może i przez późniejszych wrogów papiestwa przysłanianą.

Początki legendy przypisuje on więc tak wpływom i pieniądzom rodziny obżałowanych, jak i zręcznemu usunięciu, nawet z aktów publicznych, bardziéj kompromitujących zeznań i dowodów. Skądinąd niesłychane utrudnienia przystępu do Watykańskiego archiwum nie dozwalały zbadać sprawy i zdrugiéj téż strony [1]). Zapominać nareszcie nie trzeba, iż pospólstwo zwykło brać stronę winnych przeciw sądom nawet najsprawiedliwszym, powodowane przyrodzoną skłonnością ujmowania się za słabszymi lub pogromionymi wobec siły, która przemogła. Pamiętać też należy, iż to się działo w wieku XVI. od którego zewsząd wiać zaczynają prądy papiestwu przeciwne i każda broń staje się narzędziem dla ludzi, chcących zohydzić Stolicę Apostolską i Namiestników Chrystusowych.

Mimo jednak rozwiniętéj na wielką skalę konspiracyi przeciw prawdzie, udało się archiwiście rzymskiemu sprowadzić sprawę Cencich na grunt właściwy. Stąd jawnie wynika, iż pobudką do strasznego ojcobójstwa była jedynie żądza wyswobodzenia się z jarzma domowego tyrana, i że wyrodne potomstwo niczém zgoła usprawiedliwić się nie da. Niknie więc sztuczna fantastyczność, którą próbowano

1) Dziś Leon XIII, papież, otworzył archiwum Watykańskie wszystkim, chcącym z niego korzystać.

odziać wyrodne Cencich plemię, a rzecz z nimi zakończywszy, badacz przechodzi do osoby papieża Klemensa VIII. Aldobrandini, którego legenda, uniewinniająca właściwych zbrodniarzy, przeniosła na ławę oskarżonych. Postać jego coraz promienniéj na ciemném tle ówczesnych stosunków występuje. W miejsce mniemanéj chciwości i bezwzględnéj surowości, znajdujemy ojcowskie serce i litość pełną miłosierdzia. Insynuacya, jakoby miał działać tak surowo celem zagarnięcia olbrzymich majętności potępionego rodu, tém samem upada wobec wyjątkowego pozwolenia, udzielonego skazanym do zrobienia testamentu i sporządzenia ostatniéj woli, która uszanowaną została wbrew prawom konfiskaty, ogarniającéj zwykle pozostałość zbrodniarzy. Pan Bertolotti mnoży tu dowody na poparcie zupełnéj bezinteresowności papieskich rządów.

A skądinąd czytelnik zostaje wtajemniczony w rozpaczliwą walkę, która przez czas dłuższy rozrywała serce Klemensa VIII. Litość i obowiązek sprawiedliwości na przemian targały jego duszę: towarzysz jego Kardynał Baroniusz, w kilku słowach przedstawił nam obraz tych sprzecznych uczuć, które nękały sędziwego papieża. Zwlekał, pragnął przebaczyć, sam w najdrobniejszych szczegółach usiłował poznać tę smutną sprawę, i nie mógł się zdobyć na podpisanie wydanego już przez sądy wyroku. Wahanie to jawnie się udowodnia przeciąganiem to śledztwa, to sprawy saméj, złagodzeniem praw więziennych, skoro pozwolono Cencim z miasta sprowadzać sobie pożywienie. Wtém, kiedy jeszcze ta walka nierozegrana toczyła się w duszy Klemensa VIII. nadeszła wiadomość z jednéj strony o bratobójstwie, popełnioném wśród patrycyuszowskiéj rodziny miasta, z drugiéj zaś o zabiciu pewnéj staruszki przez własnego jéj syna. Co gorsza, ta ostatnia zbrodnia splamiła rodzinę, spowinowaconą z domem Cencich. Tak straszne występki domagały się kary, tak dzikie stosunki potrzebowały przykładu, dla upamiętania całego społeczeństwa. Papież przywołał wtedy do siebie cywilnego rządzcę Rzymu, oddając w ręce sprawiedliwości rodzinę Cencich.

Wyrok przeszedł jednomyślnie: Skazano Lukrecyę Beatryx i najstarszego z synów, Jakóba Cenci, na śmierć; młodszego Bernarda na dożywotne galery. Dzień 11 września został naznaczony na spełnienie wyroku.

Beatryx pięknie i rzewnie spotkała się ze śmiercią; w ostatniéj chwili podniosła się, łzy otarła i tak głosną odezwała się modlitwą:

„O Panie Jezu, zwróciłeś się ku mnie, a ja całem sercem ku Tobie wybiegam, nie odmawiaj mi zmiłowania i przebaczenia za wielki grzech, którego się dopuściłam. Jeżeliś Ty niewinnie cierpiał męki i śmierć hańbiącą, czemużbym ja nie zniosła ochotnie śmierci, zbyt łagodnéj zaiste, gdy wspomnę zbrodnie moje? Oto już idę, w silnéj nadziei, iż przy Tobie zamieszkam, jeżeli nie w raju, to przynajmniéj w miejscu oczyszczenia i miłosierdzia“.

Zasób wiary, złożony na dnie serc ówczesnych ludzi, choć przyćmiewaany ich gwałtownemi namiętnościami, starczył, aby ich podnosić z przepaści zbrodni na wyżyny pokuty i miłości, któréj wiele przebaczonem zostanie.

A tymczasem papież Klemens dopijał kielicha goryczy, którego obowiązek wyraźny odsunąć mu od siebie nie dozwolał. Przez wszystkie dni, które poprzedzały tracenie winowajców, widziano na jego pobladłém obliczu ślad udręczenia wewnętrznego. W dniu 11 września wyjechał z Rzymu do jednéj z okolicznych willi. Trzy strzały armatnie miały mu dać znać o chwili spełnienia wyroku. Skazani wiedzieli, iż na to hasło ręka Namiestnika Chrystusowego raz jeszcze się podniesie, aby przeżegnać i rozgrzeszyć ofiary sprawiedliwości. Dopełniwszy tego aktu miłosierdzia, Klemens VIII. padł zemdlony w objęcia, otaczających go dostojników.

Beatryx Cenci spokojnie od trzech wieków spoczywała pod kamienną posadzką kościoła San Pietro in Montaria, pod strażą zakonnic Franciszkanek, gdy żołdactwo Rzpltéj francuskiéj w 1788 r. rozbiło groby, aby samychże trupów obedrzeć z kosztowności, a popioły i kości wyrzuciło z dotychczasowéj ochrony. Nic więc nie zostało z pięknéj patrycyuszki, a teraz nawet jéj legenda tak się rozwiewa, jak się prochy rozwiały blisko przed wiekiem. Trudno w ciasnych ramach ująć wszystkie szczegóły, sprostowane przez Bertolottego. Przypomnieć jeszcze warto zasadniczy fałsz co do wieku Beatryxy, któréj legenda stale przyznaje lat zaledwie piętnaście, podczas gdy historya dokumentnie dowodzi, że miała lat dwadzieścia trzy. Najwięcéj się przyczyniły do rozpowszechnienia legendy: najprzód podrobione sprawozdanie z procesu, dzieło niejakiego de Angelis, przyjaciela, pełnomocnika i klienta domu Cencich; następnie dość głośny romans Guerazzego, dziś nowemi wydaniami zaszczycony, głównie jednak fantazya Shelleya, uosobniająca występną patrycyuszkę w pełnéj wdzięku bezimiennéj główce galeryi Berberinich. Postać Beatryxy umiała jednak raz rzeczywiście natchnąć piękne dzieło pędzla. Paweł Delaroche w jednym z najlep-

szych swych obrazów przedstawił pochód Cencich na miejsce stracenia. Trudno o dramatyczniéjsze pojęcie téj chwili. Poezya także za hasłem Shelleya uchwyciła przedmiot, o którym wszelako Byron już mówił, że jest z natury rzeczy rdzennie antydramatyczny. Tragedya Shelleya doczekała się francuskiego tłómacza w osobie samegoż Lamartina. Nasz Słowacki także dał się uwieść fantastyczności legendy, z któréj dziś poezya i fantazya znika, aby wyłącznie ustąpić miejsca zbrodni.

Powoli wszystkie causes célébres przeszłości na nowo występują przed trybunałem beztronnych sądów historycznych. I proces Cencich doczekał się sumiennego zbadania, a wynik ostateczny wypada znów na korzyść podanéj w wątpliwość sprawiedliwości i bezstronności Papieży. Wiek nasz tą jeszcze sprzecznością uderza: czyni źle, hołduje fałszom w chwili obecnéj, ale w przeszłości szuka Prawdy, i znajduje ją w takiéj pełności, że musi ona ostatecznie i przyszłość oświecić.

Kobiéta papieżem.

Jeszcze w naszych czasach mniemają niektórzy, nie zbadawszy rzeczy należycie, jakoby po św. Leonie IV († 855) miała siedzieć na papiezkim tronie kobiéta!!! a że nic nie szerzy się bardziéj jak niedorzeczność, więc naliczono około 70 autorów, głównie protestanckich, ale między nimi kilku także łatwowiernych katolików, powtarzających ową historyjkę.

Ponieważ zaś jako pierwszą i główną powagę, zkąd ją zaczerpano, powołują naszego rodaka Marcina, zwanego Martinus Polonus, więc wypada przedewszystkiém z nim się obeznać. Urodzony w początkach XIII. wieku w Opawie (która dopiero od 1246 r. do Czech należeć zaczęła) został dominikanem wkrótce po założeniu tegoż zakonu, bawił w Pradze i Wrocławiu, nareszcie przybył do Rzymu między rokiem 1243 a 1254. Jako mąż rzadkiéj roztropności, nauki i cnoty, był kapelanem domowym papieżów Klemensa IV. (1265—1268), błogosławionego Grzegorza X. (1271 — 1276) i Jana XXI. (1276—1277), nakoniec spowiednikiem Mikołaja III. (od 1277), który mianował go w roku następującym arcybiskupem gnieźnieńskim, ale jadąc do Polski Marcin umarł wkrótce w Bononii. Bawiąc w Rzymie i mając przystępne sobie akta i archiwa, napisał kronikę papieżów i cesarzów, poprzedzoną dziejami czterech wielkich starożytnych monarchij, a dzieło to jest słusznie poczytywane za pierwszą próbę historyi powszechnéj; było nieraz przepisywane, ale dopiero w 1559 r. wydrukowano je po raz pierwszy w Bazylei, powtóre w Antwerpii 1574 roku. Tu więc czytamy na stronicy 316—318, po śmierci Leona IV. dosłownie co następuje:

„Jan — 109 (papież) rok 855.

„Po tym Leonie Jan Anglik, rodem Margantyn *(natione Margantinus)*, o którym gdzieindziéj *(alibi)* czytamy, że był *(legitur fuisse)* Benedyktem III, siedział lat 2, miesięcy 5 i 4 dni. A stolica była opróżnioną przez 1 miesiąc. Umarł w Rzymie. Ten, jak twierdzą, był kobietą. A że w młodocianym wieku została od jakiegoś swego kochanka zawiezioną w męzkim ubiorze do Aten, taki zrobiła postęp w różnych naukach, iż nie miała równego sobie, i następnie ucząc publicznie w Rzymie, liczyła między swymi uczniami najznakomitszych nawet mistrzów.— Dostąpiwszy więc w mieście zachowaniem się swém i nauką wielkiéj wziętości, została zgodnie obraną papieżem. Następnie jednak zaszła w ciążę, nieprzewidując atoli chwili porodu, gdy raz udała się od św. Piotra do Lateranu, zaskoczona bolami, zległa między Koliseum a kościołem św. Klemensa. Niebawem skonawszy, tamże (jak mówią) została pogrzebaną. A że każdy papież zawsze odtąd omija tę drogę, przypisują to niektórzy ohydności owego zdarzenia. Dlatego też już z powodu, że była płci żeńskiéj, dla potworności rzeczy, nie jest zamieszczoną w katalogu papieżów".

Zaraz po tych słowach następuje:

„Benedykt—110, papież pod tym samym rokiem 858.

„Benedykt III. rodem Rzymianin z ojca Patroda, siedział lat 2 i miesięcy 5" — a po krótkim opisie jego życia czytamy, że został pochowany u św. Piotra.

Nim zaglądniemy do dna téj baśni, zwracamy uwagę czytelnika na to, że jest tak niezręcznie i nieumiejętnie ukleconą, że zdradza się sama na pierwszy rzut oka.

Cóż to za dziwna osoba, będąca Angielką, a z narodu Margantynów, którego nigdy nie było? To téż niektórzy chcąc tę sprawę ratować, domyślali się, że była Angielką, ale urodzoną w Moguncyi *(Moguntina)*, inni, że nazywała się Angeliką, a była Niemką z Moguncyi. Ktokolwiek zna dzieje oświaty, wie, że w IX. wieku nie było czego już uczyć się w Atenach: widać, że nieuk co układał tę powiastkę, coś zasłyszał o dawniejszéj tamecznéj szkole.

Jak przypuścić, aby przez tak długi przeciąg czasu nikt a nikt nie domyślił się z twarzy, głosu i t. p., że to jest kobiéta? mylną jest téż wieść, jakoby każdy papież omijał kiedyś drogę wiodącą z koliseum do św. Klemensa. Bardzo naturalnie, że nie ma owéj papieżycy w katalogu papieżów, bo po prostu nigdy nie istniała. Że zaś św. Leon IV. umarł 17 lipca 855 r., a Benedykt III. został obrany tego samego dnia,

lub jak niektórzy twierdzą, we cztery dni później, i od Marcina też jest pod tym samym rokiem zamieszczony, więc autor powiastki (myląc się i co do trwania interregnum) podsuwa domysł, że owa papieżyca a Benedykt III. to jedna i ta sama osoba. Lecz pośliznął się znów niebacznie, robiąc jéj panowanie o cztery dni dłuższém i twierdząc, że została pochowaną na miejscu, gdzie umarła, kiedy Benedykt III. pochowany u św. Piotra. Gdzież to zresztą indziéj *(alibi)* można doczytać się tożsamości papieżycy z Benedyktem III. kiedy właśnie o niéj saméj tu tylko znajdujemy wzmiankę.

Przechodzimy więc do naukowego wykazania fałszu. Czyż gdyby istniała taka papieżyca i tak gorszące zaszły w Rzymie zdarzenia, byliby je przemilczeli wszyscy współcześni i późniejsi włoscy i greccy kronikarze, pisarzy kościelni i kreślący żywoty papieżów, mianowicie ów Anastazy, współczesny bibliotekarz watykański, autor żywotów papieżów aż do następcy Benedykta III., Mikołaja I. Wielkiego, t. j. do 858 roku? Nie ma w nich przecież o tém ani słowa, a zawsze bezpośrednio po św. Leonie IV. wymieniają poważnego Benedykta III. którego św. Leon IV. mianował kardynałem (oczywiście nie kobiétę), i który znany jest z wielkich cnót, mianowicie z wylania swego dla chorych i obogich.

Czyż podobna zaś, żeby taką bajkę był wymyślił mąż tak zacny i poważny jak Marcin Polak? Czyż podobna, aby ją był lekkomyślnie powtórzył, gdyby nawet istniała, bez należytéj ze swéj strony krytyki i sprostowania? Oczywiście nie.

Te uwagi spowodowały więc niejednego uczonego do zbłębienia rzeczy. Zaglądnęli do najdawniejszych rękopismów Marcina i przekonali się że cały ustęp o Janie i papieżycy został na marginesie jednego starannie przechowanego pargaminowego rękopisu z XIII. wieku od obcéj późniejszéj ręki dopisanym, i że nie ma go w najdawniejszych rękopismach kroniki Marcina. Ponieważ już w roku 1586 zbił tę bajkę Jerzy Scherer w dziełku w Wiedniu ogłoszoném, więc opuszczono ów ustęp już w trzeciém kolońskiém wydaniu kroniki z 1616 roku, a w czwartém Strassburskiém 1685 r. również; témbardziéj, że uczony a bezstronny protestant, profesor historyi powszechnéj w Amsterdamie, Dawid Bloudel, wykazał nawet protestantom najdowodniéj fałsz w dziełku swém tamże w 1647 r. wydaném; a drugi protestant Fabrycius poparł go na podstawie najdawniejszych rękopismów Marcina. Tak sami protestanci

zamknęli usta oszczerstwu, które w pierwszych pod okiem protestantów drukowanych wydaniach tak skwapliwie przyjęto. Wyszydza tę baśń owszem i znany ateusz Bayle w swym dykcyonarzu historyczno-krytycznym (1720) pod artykułami: „Polonus“ i „Papesse“, a jeżeli godzi się domyślać, że jest utworem protestantów, to śmiało możemy im powiedzieć, że właśnie najprawdziwszemi papieżycami są ich królowe angielskie, szwedzkie i t. d.

Inkwizycya hiszpańska.

I.

Zadaniem tego artykułu nie jest usprawiedliwienie strasznego trybunału, który od końca XV. wieku przez półczwarta stulecia przygniatał moralny, intelektualny, ba! nawet materyalny rozwój Hiszpanii; ale wyświecenie właściwego charakteru téj instytucyi, na którą mało kto nie zapatruje się, jako na aparat, wyłącznie wymyślony dla tępienia, i to w sposób najokrutniejszy, nietylko wszelkiéj herezyi jawnéj, ale i wszelkich choćby najlżejszych wykroczeń przeciw naukom, zwyczajom i uczuciom katolickim.

Herezye są daleko starsze od inkwizycyi hiszpańskiéj. Już św. Paweł wspomina o nich i zarazem uczy, jak postępować z heretykami. W jego liście do Tytusa, biskupa kreteńskiego, czytamy, że błądzącego w wierze należy upomnieć raz i drugi, a gdyby to nie pomogło, wtedy unikać jego towarzystwa. Więc heretyków przestrzegano, odbywano z nimi dysputy prywatne i publiczne, pisano przeciw fałszywym naukom; dopiéro po wyczerpaniu tych wszystkich środków rzucano na uporczywych exkomunikę, t. j. wyłączano ich ze społeczności wiernych, do któréj jednak dobrowolne wyparcie się herezyi każdéj chwili nanowo otwierało im wrota. Ale przemocą nikogo nie zmuszano, by pozostał w kościele, ani żadnych kar za różnowierstwo, czy to na ciele czy na majątku, czy na sławie, nie wymierzano; exkomunikę, zaś trudno nazwać karą—exkomunika była tylko publiczném stwierdzeniem faktu, że odszczepieniec zerwał związek z Kościołem, była zarazem ostrzeżeniem wiernych przed moralném niebezpieczeństwem, na

jakieby ich mogło narazić obcowanie z fałszywym mędrkiem. Że Kościół katolicki ściśle trzymał się takiéj zasady aż do Konstantyna Wielkiego na to zgadzają się nawet najzawziętsi jego przeciwnicy: tylko robią uwagę, że pod rządami pogańskich cesarzów Kościół nie mógł nie odegrywać roli łagodnego baranka. Bo jakichże to środków przymusowych potrafiłby użyć na heretyków, skoro jeszcze nie miał na swoje usługi miecza świeckiego? skoro i sam daleko częściéj był prześladowanym niż tolerowanym? Otoż możnaby na to odpowiedzieć, że gdyby Kościół chciał gnębić swoich nieposłusznych synów, mógłby był to czynić. Rząd rzymski nie zawsze go prześladował; były chwile wytchnienia, a wtedy cesarze nieraz czynili zadość żądaniom biskupów katolickich. W roku 272 synod w Antyochii złożył z urzędu biskupa tego miasta, Pawła z Samosaty, który już raz popadł był w herezyę, następnie, pojednawszy się z Kościołem, powtórnie od niego się oderwał. Ponieważ Paweł nie chciał uledz wyrokowi synodu i pomimo wezwania nie oddawał swemu następcy domu biskupiego, przeto synod odwołał się do cesarza Aureliana, który wówczas jeszcze nie był nakazał prześladowania Kościoła. Aurelian oświadczył, że nie wie po czyjéj stronie jest słuszność, dlatego zastosuje się w téj sprawie do zdania biskupa rzymskiego. Na Stolicy Apostolskiéj siedział podówczas Feliks I.; ten potwierdził uchwałę synodu antyocheńskiego, a cesarz kazał ją wykonać. Alboż ta powolność Aureliana nie nastręczała katolikom sposobności do surowego obejścia się z biskupem Pawłem, gdyby tak właśnie z nim obejść się chcieli? Za panowania zaś Dyoklecyana mnogość sekt chrześcijańskich stała się powodem, że on i jego współrządzca Maksymian wydali srogi edykt przeciw Manichejczykom, w którym grozili tym heretykom różnemi karami, nawet karą ognia, jeżeli nie zaniechają swych praktyk religijnych. Katolicy używali wtedy opieki prawa, jakże więc łatwo mogliby byli posłużyć się edyktem cesarskim, gdyby chcieli dokuczyć Manichejczykom! Jednak nie uczynili tego. Ale i późniéj, po przyjęciu wiary chrześcijańskiéj przez Konstantyna Wielkiego, po nadaniu duchowieństwu licznych przywilejów, po uznaniu juryzdykcyi biskupiéj w sprawach kościelnych, jako też w stosunkach rodzinnych; po zakazaniu ofiar pogańskich, słowem w czasach, kiedy Kościół miał na swoje zawołanie ramię władzy świeckiéj— otoż i w tych czasach nie braknie dowodów jego łaskawości dla różnowierców. Świadczą o tém zasady, jakie i piórem i czynem głosili Ojcowie Kościoła; Atanazy, Ambroży, Grzegorz z Nazyanzu, Jan Złotousty; świadczą i fakta. Ś. Marcin, biskup turo-

neński, umyślnie przedsięwziął podróż z Francyi do Trewiru, aby u cesarza Maksyma wyprosić życie skazanemu na śmierć heretykowi Pryscylianowi, i cesarz przyobiecał to świętemu mężowi, ale po jego odjeździe z Trewiru złamał słowo. Kiedy znowu cesarz Honoryusz rozkazał śmiercią karać Donatystów, którzy w Rzymie i w Afryce wznieciли rozruchy, św. Augustyn pisał do prokonsula téj prowincyi, że Kościół wcale nie pragnie tak srogiego odwetu, i zaklinał go, aby postępował z winnymi łagodnie.

Więc zkądże się wzięło prześladowanie heretyków? zkąd ustawy przeciw różnowierstwu? zkąd nareszcie inkwizycya?

Na to pytanie odpowiada nam niesfałszowana historya, że opłakane te rzeczy nie wypłynęły z ducha Kościoła, tylko z wyobrażeń o państwie, które w gruncie jednakże były w całym świecie pogańskim, ale w zaokrąglony system ułożyły się dopiéro w Grecyi i Rzymie. Każde państwo pogańskie z nieba wywodzi swój początek, bo założycielem jego zawsze bywa jakiś potomek bogów. Bogowie ci opiekują się państwem, jako swoim tworem, urządzają w niém wszystkie stosunki, wglądają we wszelkie szczegóły życia prywatnego i publicznego, zsyłają pomyślną dolę, jeżeli w państwie wszystko idzie po ich woli, jeżeli zaś nie, to srogo chłoszczą. Ale ponieważ bogowie tylko potęgą przewyższają ludzi, a resztą są to istoty podległe namiętnościom, zawistne, mściwe, więc i wola ich jest zmienna, kapryśna. Aby nie ściągnąć na siebie ich gniewu, musi im człowiek bardzo dogadzać; nim jaką czynność rozpocznie, musi wprzód wymiarkować, czyli się to bogom spodoba. Z tego tak ścisłego połączenia rzeczy doczesnych z niebieskiemi wynikało, że lada nieprawidłowość w ruchu społecznym uważaną była za obrazę bóstwa, i odwrotnie, na zaniechanie jakiéjś praktyki religijnéj, na różny od powszechnie przyjętego sąd o bogach zapatrywano się jako na czyn wprost wymierzony przeciwko bezpieczeństwu publicznemu, gdyż bogowie za wyrządzoną sobie zniewagę przez jednego bezbożnika lub niedowiarka mogli całe państwo skazać na zatracenie. Otoż, aby taką plagę odwrócić, państwo poczytywało sobie za obowiązek jak najsurowiéj ścigać wszystko, co zakrawało na obrazę bóstwa. Dlaczego, z wyjątkiem Nerona i Domicyana, między prześladowcami chrześcijan spotykamy cesarzy najlepszych, najtroskliwszych o dobro ogółu? Właśnie dlatego, że chrześcijanie nie oddawali czci bogom pogańskim, więc tém samém godzili na bezpieczeństwo publiczne. Tu zatém, w świecie pogańskim, a nie

w Kościele katolickim, wytworzył się, jak widzimy, pogląd na heretyków, jako na wrogów społecznego porządku.

Od czasu jak chrześcijaństwo zaczęło się szerzyć, starożytni bogowie coraz bardziéj tracili kredyt, aż nareszcie zupełnie zbankrutowali. Konstanty Wielki pierwszy z cesarzy rzymskich odwrócił się od nich i na jego rozkaz wiara Chrystusowa stała się urzędową religią państwa. Jednakże w trybie rządzenia poddanymi, w stosunkach domowych, we wszystkich nawyknieniach i Konstanty i jego następcy niczém się nie różnili od swoich pogańskich poprzedników. I w państwie rzymskiém pod formą chrześcijańską daremnie byśmy szukali ducha chrześcijańskiego: zaszła tylko zmiana dekoracyi — zamiast Jowiszowi i Marsowi, kłaniano się Bogu ukrzyżowanemu, którego cześć nie o wiele wznioślej pojmowano od kultu, dawnym bóstwom oddawanego. Ztąd i w zapatrywaniu się na różnowierców nic się nie odmieniło: jak dawniéj cesarze pogańscy prześladowali chrześcijan, tak teraz władzcy chrześcijańscy zaczęli prześladować pogan i odszczepieńców. Daremnie dowodził Laktancyusz, że zmuszanie do prawowierności środkami gwałtownemi sprzeciwia się istocie Chrystusowéj religii, daremnie pisał św. Optat, że srogie obchodzenie się z heretykami nie zgadza się z duchem Kościoła katolickiego. Cesarze odpowiadali na to, że heretycy dążą do wywrócenia społecznego porządku. W rzeczy saméj Manichejczycy, Aryanie, Donatyści nieraz wszczynali bardzo niebezpieczne zamieszki i przez to poniekąd usprawiedliwiali mniemanie, że każdy heretyk jest naturalnym nieprzyjacielem społeczeństwa. Rzeczpospolita rzymska, a potém cesarstwo sporządziły wyborną machinę rządową, która ogromem, regularnością ruchu i skutecznością działania wszystkim późniejszym wiekom tak bardzo imponowała, że nic od niéj doskonalszego nigdy nie potrafiono wymyśleć. W téj [illegible] się także śruba, zwana inkwizycyą. Mia- właśnie machinie znalazła [illegible] rozkazał swemu prefektowi nowicie w roku 384 cesarz Teodozyusz [illegible] celu wykrywania *(practorio)* ustanowić inkwizytorów i delatorów, [illegible] wyko- i karania heretyków, i pod ciężką odpowiedzialnością polecz nanie tego dekretu wszystkim rządzcom prowincyj, urzędnikom sądowym i władzom miejskim. Następcy Teodozyusza pozwolili zresztą, aby duchowieństwo starało się drogą perswazyi nakłonić oskarżonego do odwołania błędów. Jeżeli jednak ta nie skutkowała, wtedy władza świecka wytaczała formalny proces i wymierzała kary, które były

rozmaite, wedle okoliczności: od kilku grzywien srebra lub złota dochodziły aż do odebrania życia. Jeden z uczonych komentatorów prawa rzymskiego, Godefroy, słusznie zauważył, że źródłem inkwizycyi jest właśnie dekret Teodozyusza; tylko byłby powinien dodać, że dekret ten stworzył instytucyę nie duchownéj, ale czysto świeckiéj natury.

II.

Po upadku państwa rzymskiego rozwielmożnił się na jego gruzach feudalizm średniowieczny, całkiem różny od tego, co dawniéj było. Dawniéj ogół pochłaniał indywidualność człowieka, teraz przeciwnie jednostka wzięła górę nad ogółem, i nastały czasy nieukrócónéj swawoli, dzikiego rozpasania namiętności — żelazne czasy, w których pięść urągała się z prawa. Urządzenia rzymskie, które tak dzielnie zabezpieczały ogół od wybryków jego członków, poznikały, a jeżeli gdzie częściowo i obowiązywały, to rzadko kiedy do nich się stosowano. Królowie téj epoki serdecznie pragnęli ich przywrócenia, ale własną powagą nie mogli tego dokazać, bo ich władza była także wynikiem brutalnéj siły; — wyższéj, moralnéj sankcyi brakowało téj władzy. Wiadomo, że średniowieczna królewskość wywiązała się z dowództwa nad wojennemi drużynami. Otóż, aby utrzymać ład w społeczeństwie, a zarazem oprzeć władzę monarszą na zacniejszéj podstawie, królowie wezwali pomocy Kościoła, który wówczas był jedynym nauczycielem, jedynym cywilizatorem ludzi i z tego tytułu jeszcze najwięcéj miał u nich posłuchu. Prawda, że świat ówczesny nie pojmował należycie nauki, głoszonéj przez Kościół, tylko na podobieństwo dzieci i dzikich przedewszystkiém zapamiętał sobie dwa paragrafy: o nagrodach i karach po śmierci. Ale zapamiętał je całém sercem; ten, co o nic nie dbał na ziemi, gorąco pragnął nieba; ten co w życiu doczesném niczego się nie obawiał, drżał na myśl o piekle; ztąd księdza, który mu prawił o jedném i drugiém, bardziéj słuchał, aniżeli najgroźniejszego potentata. Oczywista, że w takich warunkach tylko duchowieństwo mogło prowadzić ludzi do cywilizacyi. Wiedzieli to królowie i dlatego obsypywali stan duchowny przywilejami, wynosili go nad innych obywateli państwa, zasięgali jego rady nietylko w rzeczach religii, ale i w wielu sprawach cywilnych. Tak postępował, że już pominę wcześniejszych monarchów, Karol Wielki, późniéj Alfred w Anglii, jeszcze późniéj pier-

wsi Kapetyngowie we Francyi, a w Niemczech cesarze z domu saskiego. W tych czasach wszystkie ustawy, wszystkie instytucye, dotyczące duchowéj strony człowieka, przybrały mniéj więcéj charakter kościelny. A stało się to nie w skutek jakiéjś żądzy wszechwładztwa ze strony duchowieństwa, lecz naturalnym tokiem dziejowych wypadków i na wyraźne życzenia saméjże władzy świeckiéj. Rozumie się, że inkwizycya, jako urząd, ustanowiony dla obrony religii, całkiem przeszła w ręce duchowieństwa, mianowicie wykonywali ją biskupi, albo ich delegaci. Pod ich rządami inkwizycya przestała być sądem karnym, jakim była za czasów rzymskich, i charakteru tego nigdy już nie przybrała, pomimo, że w zapatrywaniu się na heretyków nastała nawet zmiana w duchu większéj względem nich surowości. A nastała ta zmiana z następujących przyczyn.

W połowie VII. wieku zagrozili chrześcijańskiemu światu od strony południowéj muzułmanie, w wieku następnym od północy zaczęli go trapić niszczącemi napadami pogańscy Normandowie. Po krwawych, ale stosunkowo krótkich zapasach, poganie północni dali się w końcu pokonać, nawrócić i wcielić do społeczności chrześcijańskiéj. Lecz z wyznawcami Mahometa inna była sprawa. Ci rozpoczęli wojnę nie dla rabunku, tylko celem zbisurmanienia całego świata, więc prowadzili ją według planu dobrze obmyślanego i z ową straszną zaciekłością, która charakteryzuje ludy semickie. A jakie owoce wydaje podbój muzułmański, na to jeszcze do dziś dnia wszyscy patrzymy: w religii ślepy fatalizm, w ustroju społecznym u góry despotyzm, u dołu niewolnictwo. Walka tedy chrześcijan z muzułmanami była walką o wolność, o cywilizacyę, chociaż w języku średniowiecznym nazywała się po prostu wojną za wiarę, i jako taka pociągała za sobą spotęgowanie w chrześcijanach uczucia religijnego, obudzała w nich, że tak powiem, namiętne przywiązanie do wiary, a zarazem wstręt i nienawiść ku jéj wrogom. Jeżeli zaś takie uczucia żywiono dla nieprzyjaciół obcych, na których usprawiedliwienie można było powiedzieć, że ich nie oświecił promień prawdziwéj nauki, to już łatwo zgadnąć, jakiém okiem spoglądano na nieprzyjaciół domowych, na tych, co urodzeni i wychowani w społeczeństwie chrześcijańskiém, błędnemi doktrynami swojemi usiłowali je zakłócić i osłabić. Do zaostrzenia sądu o heretykach niemało téż przyczynił się charakter owych średniowiecznych herezyj. Herezye dawniejsze z epoki cesarstwa rzymskiego, które przeważnie powstały

na wschodzie, obracały się prawie wyłącznie około kwestyj dogmatycznych, n. p.: jak się mają do siebie osoby Trójcy św., czy Chrystus ma jedną naturę, czyli też dwie, czy urodził się tak jak każdy śmiertelnik, czy też sposobem nadprzyrodzonym z Dziewicy? W Europie zachodniéj heretycy średniowieczni bardzo mało, albo i wcale nie łamali sobie głowy nad takiemi rzeczami, lecz najczęściéj czepiali się etyki chrześcijańskiéj, a ztąd łatwo przechodzili do roztrząsania zasad, na których się opierał ówczesny ustrój społeczny, czyli mówiąc po dzisiejszemu, byli mniéj więcéj socyalistami, i stósownie do wyniku swych rozumowań, podkopywali już to władzę świecką, już duchowną, niekiedy i obie razem. Do tego rodzaju heretyków należał Arnold z Brescyi, którego cesarz Fryderyk Rudobrody kazał za to spalić na stosie; takimi byli Waldensi francuzcy. Nareszcie, jeżeli nie na surowość opinii o heretykach, to na rozszerzenie pojęcia herezyi wpłynęła walka władzy świeckiéj z duchowną, walka smutna, gorsząca, która najjaskrawiéj odbiła się w sporach cesarzy niemieckich z papieżami. Kościół uzacnił i uświęcił władzę świecką, przyzwyczaił ludzi do posłuszeństwa prawu, złagodził obyczaje, słowem wlał w państwo siłę żywotną; wtém państwo oświadcza mu: zrobiłeś swoje, nie jesteś mi więcéj potrzebny, już ja samo potrafię kierować moimi obywatelami, a nawet i tobą. Czy państwo miało słuszność? Sądzę, że nie, bo i najlepiéj urządzone społeczeństwo w każdéj chwili potrzebuje wyższego kierownictwa moralnego, a do takiego kierownictwa właśnie powołanym jest Kościół. To też Kościół nie zrzekł się swojego posłannictwa i podniósł rzuconą sobie rękawicę. Ale wojna nie toczy się między abstrakcyami; prowadzą ją żywi ludzie. Więc kiedy Kościół wstąpił z państwem w zapasy, zdarzyło się nieraz, że jego reprezentanci, jakkolwiek w zasadzie mieli za sobą zupełną słuszność, w tym lub owym szczególe przebrali miarę, uniesieni zapałem walki. Otóż ten zapał sprawił, że nazwą herezyi piętnowano n. p. takie rzeczy, jak opór stawiany władzy kościelnéj, albo grabież dóbr duchownych.

Kiedy tak skutkiem wymienionych przyczyn i społeczeństwo bardziéj się rozsrożyło na heretyków i pojęcie herezyi rozszerzyło się, wtedy Papież Innocenty III. osądził, że dotychczasowa inkwizycya biskupia nie wystarcza; więc postanowił ją zreformować przez dodanie biskupom osobnych inkwizytorów, zawisłych wprost od Stolicy Apostolskiéj. Ale śmierć nie pozwoliła mu wykonać tego planu. Dopiero następcy Innocentego, Honoryusz III. i Grzegorz IX. zaprowadzili

ową reformę, powołując do czynności inkwizytorskich świeżo założony zakon Dominikanów; używano czasem do tego i Franciszkanów, lecz daleko rzadziéj. W połowie XIII. wieku zreformowana w ten sposób inkwizycya istniała już we Włoszech, w południowéj Francyi i w Hiszpanii; następnie, gdzie tego potrzeba wymagała, weszła także do innych państw katolickich. Rozumie się, że tam, gdzie całe okolice były zarażone herezyą, jak np. w Langwedocyi, inkwizycya spotkała się z gwałtownym oporem ze strony ludności, bo Dominikanie, których powołaniem było nawracać heretyków, gorliwiéj pełnili obowiązki inkwizytorskie, aniżeli dawniéj miejscowi biskupi. Inkwizytorowie papiezcy padali czasem ofiarą rozjuszonego tłumu. Ale takie wypadki bynajmniéj nie świadczą o usposobieniu ówczesnéj Europy względem inkwizycyi. Pomimo, że w chwili jéj reformy toczyła się zacięta walka między władzą duchowną a świecką, że zatem w oddaniu inkwizycyi w ręce zakonników, téj wiernéj milicyi papiezkiéj, rządy świeckie mogły upatrywać jakiś zamach na swoje prerogatywy ze strony papieży—pomimo to, mówię, monarchowie wogóle nietylko nie sprzeciwiali się wprowadzeniu do swoich krajów zreformowanéj inkwizycyi, lecz nieraz sami prosili o to papieży, i to nie zawsze monarchowie pobożni, ulegli Kościołowi, lecz bardzo po świecku myślący, bardzo zazdrośni o swoje prawa, jak np. cesarz Fryderyk II., Alfons V., król aragoński. Bo też ta inkwizycya wcale nie była takiém straszydłem, za jakie ją podają nieprzychylni katolicyzmowi pisarze. Do trybunału inkwizycyjnego często winni zgłaszali się sami, jeżeli poczuwając się do jakiéj wątpliwości w wierze, szczerze pragnęli oświecenia i pojednania z Kościołem; ale rozumie się, daleko częściej otrzymywał trybunał zawiadomienie o wypadku herezyi od kogoś trzeciego i wtedy żądał dostawienia wymienionéj osoby. W obu razach nasamprzód egzaminowano podsądnego, a skoro się pokazało, że błądzi, wtedy usiłowano go za pomocą dyskusyi przekonać o błędzie. Proceder tem się kończył, że badany albo się nawracał, albo nie. W pierwszym wypadku udzielano mu rozgrzeszenia, połączonego najczęściéj z warunkiem odbycia kościelnéj pokuty, która wedle okoliczności raz była lżejszą, raz cięższą. Prawda, że niektórym z tych pokut niktby się dziś nie poddał; dziś niktby nie stanął u drzwi kościelnych w worze płóciennym, nie kazałby się dyscyplinować, nie nosiłby na sukni żadnych oznak, po którychby go poznawano, jako żałującego grzesznika. Ależ dziś Kościół i nie żąda podobnych umartwień, bo to są rzeczy zmienne, jak każdy zwyczaj.

W wiekach średnich, kiedy każdy stan miał swój strój osobny i odrębne formy towarzyskie, kiedy wszelkiéj czynności ważniejszéj towarzyszył jakiś znak symboliczny, dobitnie przemawiający do zmysłów— w tych wiekach i akt skruchy musiał się odbijać w kształtach materyalnych, jaskrawych, często dziwacznych. Jakkolwiek wszakże ostrą mogła być pokuta kościelna, trybunał inkwizycyjny daléj nie sięgał, a to dlatego, że jeżeli heretyk się nie nawracał, katolicki ten trybunał nie mógł już z nim mieć do czynienia, jako z człowiekiem, nienależącym do społeczności katolickiéj, zabierała go więc władza świecka, która więziła go, karała konfiskatą majątku, kaleczyła na ciele, ścinała, paliła; i to wszystko było wynalazkiem saméjże władzy świeckiéj, czyli państwa, czemu, sądzę, nikt nie zaprzeczy, jeżeli sobie przypomni, że państwo z natury swojéj tylko obawą kary zdolne jest wymódz na ludziach poszanowanie tego, co bierze w swoją obronę. Tak zawsze było, tak jest dziś i bodaj zawsze będzie.

III.

W wiekach średnich państwo umieściło herezyę w swoim kodeksie karnym. Że kodeks ten był srogi, można nad tém ubolewać, ale nie godzi się obwiniać o to Kościoła. Kościół nietylko nie zalecał srogości, lecz przeciwnie usiłował ją łagodzić; w r. 1224 cesarz Fryderyk II. ustanowił na bluźnierców karę śmierci i dopiero na prośby duchownych o tyle dał się zmiękczyć, że w pewnych wypadkach najmiłościwiéj pozwolił karać występnych—ucięciem języka. Inkwizycya kościelna wszelkiemi siłami starała się bronić nieszczęśliwych przed nadużyciem inkwizycyi świeckiéj, lecz nie słuchano jéj.

Po średniowiecznéj inkwizycyi stanęła w końcu XV. wieku nowożytna inkwizycya hiszpańska. Ale ten nowy budynek był to gmach w odmiennym stylu i do czego innego miał służyć. Wystawił go Ferdynand V., z przydomkiem katolik, król Aragonii, ożeniony z Izabellą, dziedziczką Kastylii. Na schyłku panowania Ferdynand zabrał jeszcze Francuzom Nawarrę, tak iż gdy umarł w roku 1516, następca jego posiadał już całą Hiszpanię. Jednakże obszerne to państwo, choć połączone pod jedném berłem, było jeszcze niekształtnym zlepkiem większych i mniejszych organizmów feudalnych, z któremi władza królewska mniéj lub więcéj musiała się liczyć w miarę ich siły. W Kastylii wolę monarchy krępowała dumna, burzliwa, bogata szlachta; w Aragonii między tronem a narodem

stał, jako pośrednik, tak zwany sędzia najwyższy, wprawdzie przez króla mianowany, lecz zależny od Sejmu. Nawarra, świeżo nabyta, tworzyła osobne państwo; zresztą każda prowincya miała swoje *fueros*, przywileje, których pogwałcenie sprowadzało niechybną wojnę domową. Z tém wszystkiém i Hiszpania nie mogła uniknąć oddziaływania ówczesnéj nauki politycznéj, która jeszcze w XIV. wieku wypłynęła ze studyów nad rzymską starożytnością, a zalecała społeczeństwu nie formy republikańskie, jakby się po źródle téj nauki należało spodziewać, tylko silny monarchizm, niezawodnie dla tego, że formy republikańskie do szczętu zniesławił średniowieczny nieład feudalny. Nauka, o któréj mówimy, z powodzeniem dała się zastosować już w wieku XV. w małych państwach włoskich, gdzie zdumiona Europa widziała wzorowy porządek publiczny, sprężystą administracyę, kwitnący handel, na dworze przepych, świetne uczty, grono poetów i artystów, a w kieszeni panującego tyle pieniędzy! Że w tych państwach nie było swobód publicznych, że wolność obywateli zmniejszała się, że wola monarchy stawała się prawem, panowie politycy o to nie dbali, jakotéż nie troszczyli się wcale o godziwość lub niegodziwość środków, wiodących do utrwalenia silnego rządu monarchicznego. Z cyniczną otwartością rozpisuje się o tych środkach Machiawel w swoim „Księciu“. Jednakże wielkim błędem byłoby mniemać, że ówcześni pisarze polityczni pozwalali władzcom świeckim używać środków najniemoralniejszych i propagowali despotyzm—dla despotyzmu. Nie! władzca świecki mógł być oszustem, skrytobójcą, mógł łamać najświętsze przysięgi, ale pod warunkiem, aby w jego państwie lud był zamożny, zdrowy, bezpieczny od obcego najazdu i o tyle oświecony, iżby mógł wykonywać zamiary swojego pana, których jednak rozumieć nie potrzebował.

Do utworzenia takiego państwa i Ferdynand dążył; aby zaś ten cel osiągnąć, musiał pierwéj wzmocnić monarchję. Trudne to było zadanie, bo jeżeli w kim, to właśnie w Hiszpanach od najpotężniejszego granda aż do najlichszego chłopa w wysokim stopniu wyrobiło się poczucie osobistéj wartości i gorące zamiłowanie swobody, a to w skutek ciągłych, prawie ośm wieków trwających, wojen z Maurami, podczas których cały naród piędź za piędzią odzyskiwał zagrabioną sobie ziemię ojczystą, aż ją wreszcie odzyskał. Aby taki naród nagiąć do posłuszeństwa absolutnemu monarsze, nie wystarczyłby ani gwałt, ani intryga, jakkolwiek Ferdynand po mistrzowsku umiał obu tych środków używać. Poszukał on czegoś lepszego, i znalazł. Te same wojny z Maurami, które wykształciły w Hiszpanach rycerskość, pa-

tryotyzm i miłość wolności, zaszczepiły w nich także fanatyzm religijny, na którym, jak na pasku, można ich było z czasem zaprowadzić tam, kędy właśnie zmierzał Ferdynand. Obok Maurów mieszkała w Hiszpanii liczna ludność żydowska, któréj pod rządami władzców maurytańskich bardzo dobrze się powodziło. I nie dziw: Żydzi wspierali Maurów, gdy ci w roku 712 rozpoczęli podbój półwyspu Pyrenejskiego, i w późniejszych czasach zawsze im byli pomocni w wojnach z chrześcijanami. Za to Maurowie opiekowali się żydami, tak, iż w krótkim czasie żydzi hiszpańscy przyszli do ogromnych bogactw i wielkiego wpływu na sprawy publiczne. Czego nigdy nie bywało, zakwitły u nich nauki i jeszcze raz odezwała się wspaniałemi dźwięki poezya hebrajska, a lekarze, astronomowie i finansiści żydowscy mieli wzięcie nawet na dworach chrześcijańskich. Od czasu jak oręż chrześcijański wziął nad Maurami przewagę, jak kraj stopniowo zaczął przechodzić z rąk muzułmańskich pod panowanie chrześcijan, położenie żydów w Hiszpanii znacznie się pogorszyło. Był to nieuniknony rezultat powszechnéj nienawiści ku temu plemieniu. Otóż, aby choć w części uratować swoje dawniejsze stanowisko w kraju, wielu żydów ochrzciło się i dzięki swéj zamożności pozawierało małżeństwa ze znakomitemi rodzinami hiszpańskiemi. Ci nowochrzczeńcy, albo ich potomkowie, powciskali się na wysokie urzędy, zasiedli nawet na katedrach biskupich. Pomimo to, ludność katolicka z niedowierzaniem spoglądała na wychrztów, *maranos*, jak nazywano tych nowych chrześcijan. I nie bez powodu. Niektórzy z nich utrzymywali tajemne stosunki ze swymi braćmi nieochrzczonymi, sekretnie praktykowali religijne zwyczaje żydowskie, wchodzili w konszachty z Maurami, słowem tak się zachowywali, jak gdyby spodziewali się przywrócenia w Hiszpanii panowania muzułmańskiego. Prawda, że w drugiéj połowie XV. wieku trudno było obawiać się czegoś podobnego ze strony Maurów; posiadali oni wprawdzie w południowéj Hiszpanii szczupłe królestwo Grenady, ale upadek téj ich ostatniéj siedziby był tylko kwestyą czasu. Za to słuszne obawy wzniecał inny wróg, nierównie groźniejszy. — Byli to Turcy, którzy po zdobyciu Konstantynopola bynajmniéj się nie taili z zamiarem zawojowania całéj Europy i czynili do tego przygotowania. Czemużby więc tych usług, jakie żydzi niegdyś Maurom oddawali, nie mieli także Turkom ofiarować?

Religijną i polityczną nienawiścią narodu ku żydom posłużył się tedy Ferdynand, aby swoje plany urzeczywistnić. Na jego usilne prośby, poparte obrazem niebezpieczeństw, jakie groziły krajowi ze strony żydów, Papież Sykstus IV. wydał w roku 1478 breve, którém upoważnił Ferdynanda i jego małżonkę do zamianowania dwóch lub trzech inkwizytorów z pomiędzy księży świeckich lub zakonnych, przyczém najwyraźniéj zastrzegł, aby ci inkwizytorowie byli biegłymi teologami, nieskazitelnych obyczajów, i aby w swoim urzędowaniu ściśle stosowali się do kanonów i ustaw, dotyczących inkwizycyi kościelnéj. Blisko przez dwa lata nie robiono z tego breve użytku. W tém licho skusiło jakiegoś żyda — napisał broszurę, pełną jadowitych uwag o wierze katolickiéj. Ferdynand skorzystał z tego wypadku i niebawem zamianował dwie kreatury swego wyboru i odpowiednich swoim widokom, t. j. dwóch Dominikanów na inkwizytorów królewskich. Ci dwaj dygnitarze rozpoczęli swoje czynności w Sewilli z nowym rokiem 1481 i z taką gorliwością wzięli się do ścigania ukrytych pod płaszczykiem chrześcijaństwa żydów, że bardzo wielu zostało skazanych na śmierć i na różne inne kary. Majątki tych, co śmierć ponieśli, i wielu innych skonfiskowane zostały na rzecz skarbu królewskiego; okoliczność ta jasno dowodzi, że zakładając nową inkwizycyę, Ferdynand chciał osiągnąć cel polityczny. Papież Sykstus, oburzony okrutném postępowaniem inkwizytorów królewskich, oświadczył Ferdynandowi, że cofa swoje breve z roku 1478. Jednakże cofnął nie zupełnie, albowiem w owym czasie Turcy napadli byli Włochy, oblegali Otranto i tylko śmierć sułtana zniewoliła ich do odwrotu. Tymczasem król potrafił papieża przekonać, że jeżeli w trybunale inkwizycyjnym zaszły nadużycia, to dla braku stałéj organizacyi. Tym sposobem nowa instytucya nie upadła, i w r. 1483 wielkiego inkwizytora król mianował. Jednocześnie ustanowioną została najwyższa rada inkwizycyjna; prezesem jéj zawsze był wielki inkwizytor, członkami zaś przez króla mianowanymi, osoby duchowne i świeckie, zwykle doktorowie prawa, z głosem rozstrzygającym w rzeczach świeckich, a doradczym w materyach kościelnych, o których stanowił sam wielki inkwizytor ze swoimi asesorami. Temu centralnemu zarządowi inkwizycyi podlegały wszystkie, podobnie jak on urządzone trybunały prowincyonalne, których w XVI. wieku w saméj Hiszpanii było piętnaście, a siedm w innych posiadłościach korony hiszpańskiéj. Jednocześnie w miarę ich powstawania upadała w kraju dawna inkwizycya kościelna, która była tak łagodną, a sprawowaną przez biskupów dyecezalnych. Chociaż Ferdynand dla zmylenia opinii publicznéj ubrał to swoje dzieło w szaty duchowne, z któremi świat oddawna był oswojony, jednakże

kraj od razu przeczuł, a późniéj dowodnie się przekonał, że nowa inkwizycya była właściwie narzędziem absolutyzmu królewskiego, i dla tego opierał się jéj zaprowadzeniu. Opór ten szczególnie był silny we włoskich posiadłościach Hiszpanów, mianowicie w księstwie Medyolańskiém i w królestwie Neapolu. Rządy hiszpańskie w Neapolu nastały w roku 1504, w Medyolanie o trzydzieści lat później, więc w czasach, kiedy na inkwizycyi hiszpańskiéj już wszyscy się byli poznali. To też mieszkańcy obu tych krajów zawsze jak najmocniéj protestowali przeciw jéj wprowadzeniu, twierdząc, że jeźli idzie tylko o zachowanie wiary katolickiéj w całości, to nowéj inkwizycyi nie potrzebują, bo już mają inkwizycyę papieską, która niewinnie skarżonych nie gubi. Papieże znowu, słali nieustanne nagany, z przykrością widząc, jak inkwizycya królewska w Hiszpanii nadużywała swéj władzy, popierali tę opozycyę w Medyolanie i Neapolu i dla tego do zaprowadzenia inkwizycyi hiszpańskiéj na półwyspie włoskim wcale nie przyszło. Mniéj szczęśliwą była Sycylia. Wyspa ta od końca XIII. wieku zostawała już to pod wpływem, już pod rządem hiszpańskim, przyjęła więc, choć z wielką niechęcią, dar fatalny z ręki Ferdynanda. Po jego śmierci Sycylijczycy wypędzili inkwizytorów, ale następca Ferdynanda, cesarz Karol V. zmusił ich ponownie do uznania inkwizycyi, która tam funkcyonowała aż do oderwania Sycylii od korony hiszpańskiéj w roku 1713.

IV.

Tak urządzona w Hlszpanii inkwizycya przez Ferdynanda, trafiła na opór głównie z powodu konfiskat, któremi ten trybunał zaczął karać winnych w samym zawiązku swego istnienia, a które przedewszystkiém oburzały Aragończyków, bo konfiskata sprzeciwiała się ustawom aragońskim. Lecz jeden fałszywy krok ze strony malkontentów położył koniec oporowi. Mianowicie uknuto spisek na życie Piotra Arbuesa, naczelnika trybunału inkwizycyjnego w Saragossie, i zabito go w kościele. W morderstwie wzięli udział niektórzy potomkowie wychrzczonych żydów, o czém gdy się dowiedzieli mieszkańcy Saragossy, wszczął się w mieście straszliwy rozruch, a nienawiść ku żydom i nowochrzczeńcom wybuchła w całéj grozie. Zabicie Arbuesa stało się tedy wodą na młyn inkwizycyi.

Król utrzymywał, że broni tylko wiary, tak i sędziowie inkwizycyjni utrzymywali. W rzeczywistości jednak cel inkwizycyi daléj

sięgał, bo aż do pełnéj unifikacyi kraju pod względem religijnym, czego wnet fakta dowiodły. Żydzi ochrzczeni i ich potomkowie, jako katolicy, podlegali, ma się rozumieć, inkwizycyi, ilekroć zachodziła wątpliwość co do ich prawowierności. Ale inkwizycya hiszpańska pociągała także do odpowiedzialności i tych żydów, co trwali w wyznaniu mojżeszowém, mianowicie za to, że braci swoich, nawróconych, starali się przywieść do apostazyi; z tego samego powodu wzięła się inkwizycya do nienawróconych Maurów po upadku w roku 1492 królestwa Grenady, ostatniego państwa muzułmańskiego w Hiszpanii. Był to sposób wcale nie kościelny, ale rządowy, świecki, ażeby wszystkich Maurów i żydów zmusić do przyjęcia chrztu. Gdy pomimo to jednak większość ich obstawała przy swojéj wierze, wtedy rząd nakazał w tymże roku 1492 żydom, a po dziesięciu latach i Maurom, ażeby albo się z kraju wynieśli, albo zostali katolikami. Rozumie się, że wielu wybrało to drugie, nie chcąc opuścić siedzib, w których od tylu wieków mieszkali. Ale nawróceni w ten sposób żydzi i Maurowie często wracali pokryjomo do dawnéj wiary, w skrytości serca nienawidzili swoich ciemiężycieli, co naturalnie ściągało na nich nowe prześladowania, aż wreszcie w roku 1609 wszyscy Maurowie zostali wypędzeni z Hiszpanii. Wypadki te doskonale uwydatniają różnicę między inkwizycyą kościelną a inkwizycyą hiszpańską. Tamta rzeczywiście troszczyła się o czystość nauki katolickiéj; ztąd jeżeli sądziła heretyków, to dla tego, że jeszcze uważała ich za należących do Kościoła, i całkiem słusznie, bo trzeba wiedzieć, że heretycy sami tak trzymali o sobie, tylko zdawało im się, że lepiéj, rozumniéj wierzą, niż zwierzchność kościelna. Inkwizycya hiszpańska zaś po prostu wprowadzała w wykonanie ulubione hasło absolutnéj monarchii: jeden król, jedna wiara! I z tego to stanowiska należy właściwie oceniać jéj działalność na polu religijném. Pisarze antykatoliccy koniecznie usiłują dowieść, że inkwizycya hiszpańska była trybunałem wyłącznie duchownym, i dla tego wyliczają, kogo to ona prześladowała; oto w wieku XVI. obok nawróconych już Maurów i żydów stają przed jéj sądem sekciarze protestanccy, w wieku XVII. przysparzają żniwa jansenіści, w wieku XVIII. inkwizycya poluje także na deistów, ateuszów, w ogóle na wyznawców angielskich i francuzkich systematów filozoficznych. Istotnie historya inkwizycyi hiszpańskiéj, obfituje w procesa, wytaczane tym wszystkim nieprzyjaciołom Kościoła katolickiego. Ale inkwizycya sądziła jeszcze inne sprawy: przed kratkami jéj stawali szalbierze, rozpustnicy, wielożeńcy,

uwodziciele kobiét, lichwiarze, rozbojnicy, mordercy, przemytnicy, czarownicy, sporządziciele napojów miłośnych, świętoszkowie, słowem wszelkiego rodzaju pospolici zbrodniarze. Ale i na tém nie koniec: inkwizycya wytaczała jeszcze procesa różnym awanturnikom politycznym i upadłym lub skazanym na upadek ministrom królewskim; nareszcie inkwizycya cenzurowała utwory literackie i artystyczne. Gdyby ktokolwiek wobec tych faktów chciał jeszcze utrzymywać, że inkwizycya hiszpańska była instytucyą kościelną, to niech sobie naprzód zada pytanie: jakim sposobem królowie w Hiszpanii ogołocili się na rzecz téj instytucyi prawie ze wszelkiéj władzy sądowéj? a jeżeli na to pozwolili, to jakim cudem nie nastały w tym kraju najczystszéj wody rządy teokratyczne? Nie nastały, bo inkwizycya nie była instytucyą kościelną, ale świecką, któréj tylko kapłańska suknia niektórych inkwizytorów nadawała pozór duchowny, była narzędziem władzy świeckiéj, ukutém dla przeprowadzenia unifikacyi państwa, tak pod względem religijnym, jak i politycznym. A twórca téj inkwizycyi, król Ferdynand, dla tego zarzucił na nią płaszcz duchowny, że przy silném, aż do fanatyzmu posuniętém przywiązaniu Hiszpanów do Kościoła katolickiego, unifikacya ta daleko łatwiéj dawała się uskutecznić pod maską kościelną.

Trzeba jednak oddać słuszność najwyższéj radzie inkwizycyjnéj, że czuwała nad tém, aby w trybunałach nie działy się nadużycia. I tak nie wolno było pociągać do odpowiedzialności za rzeczy błahe, n. p. za bluźnierstwa wyrzeczone w gniewie lub po pijanemu; na fałszywych świadków była kara śmierci; od wyroków trybunału prowincyonalnego służyła oskarżonemu apelacya do rady najwyższéj, i wogóle żaden wyrok trybunału nie mógł się obejść bez jéj zatwierdzenia. Ale przy wadliwości procedury inkwizycyjnéj, mianowicie co się tyczy obrony, przy tajemnicy, jaka otaczała czynności trybunału, wszystkie te rękojmie niewiele przynosiły pożytku, a nawet poprostu w niwecz się obracały, jeżeli na oskarżonego zawzięła się złość albo intryga. Na te i inne nadużycia bardzo często użalali się Papieże i niesłusznie prześladowanym z własnéj woli udzielali absolucyi, aby tym sposobem położyć koniec procesowi; ale rozumie się, że interwencya papieska odnosiła skutek tylko w sprawach dotyczących religii, i to nie zawsze, bo przy pomięszaniu w trybunałach inkwizycyjnych juryzdykcyi duchownéj ze świecką, prawie każdą sprawę można było wystawić raz jako świecką, to znowu jako duchowną; więc rząd hiszpański zawsze

mógł uchylić reklemacyę papieską, ilekroć nie chciał jéj zadośćuczynić. I kraj sarkał na nadużycia; kortezy kilkakrotnie upraszały rząd; aby w trybunałach inkwizycyjnych zezwolił na jawność rozpraw sądowych; ale królowie nigdy na to nie chcieli przystać, nawet za cenę ustępstw, jakie kortezy gotowe były porobić na rzecz władzy monarszéj. I nie dziw: tajemnica sądów inkwizycyjnych pozwalała władzy królewskiéj ciężyć na stanach najbardziéj uprzywilejowanych, na osobach najwyżéj położonych, jak tego dowiódł kilkunastoletni proces, wytoczony za panowania Filipa II. prymasowi Hiszpanii, Bartłomiejowi Carranza.

W ośmnastym wieku więzienia inkwizycyi przestały być ciemnicami, stosy stały się rzadsze, ostatni przygotowano w Sewilii w r. 1781. W takim stanie przetrwała inkwizycya aż do upadku Burbonów, których miejsce na tronie hiszpańskim zajął z woli Napoleona brat jego Józef. W grudniu roku 1808 Napoleon zniósł inkwizycyę, a w pięć lat potém uchwałę tę potwierdziły kortezy jeneralne, kiedy po wypędzeniu z kraju Francuzów, wobec oczekiwanego powrotu Burbonów pisały konstytucyę, mającą ograniczyć władzę królewską. W następnym roku wrócili Burboni, na tronie zasiadł Ferdynand VII., który zaczął swoje panowanie od tego, że zniweczył konstytucyę, a przywrócił inkwizycyę. Tu należy przypomnieć, że papież Pius VII. wymógł na nim zniesienie tortury, która jakkolwiek już od lat kilkodziesięciu nieużywana, jednak nie była jeszcze żadną ustawą uchylona. Za życia Ferdynanda inkwizycya głównie prześladowała tak zwanych *afrancesados*, t. j. stronników francuskich. Po jego śmierci w roku 1833 wybuchła wojna domowa między jego bratem Don Karlosem a stronnictwem które działało w imieniu małoletniéj Izabelli, matki obecnie panującego króla w Hiszpanii. Podczas téj wojny inkwizycya ostatecznie upadła.

* * *

Oto co czynili papieże dla usunięcia nadużyć w inkwizycyi hiszpańskiéj, według tego co Hefele, profesor z Tübingen, wielki nieprzyjaciel inkwizycyi, przywodzi, cytując dzieło samego Lorent'a.

1. Syxtus IV. papież, od samego początku tak był niekontent z inkwizycyi hiszpańskiéj, i tyle czynił odezw, że dwa dwory poróżniły się między sobą; z jednéj i drugiéj strony posłowie byli uwięzieni, a król Ferdynand V. odwołał wszystkich swych poddanych z Rzymu. Syxtus IV. ustąpił wreszcie, i zgodził się na bullę 1 li-

stopada 1478 roku; lecz Stolica św. otrzymawszy skargi na okrucieństwo inkwizytorów sewilskich, cofnęła tę bullę, wymogła, iżby inkwizytorowie nie mogli wydawać żadnego wyroku bez współudziału biskupów, i oparła się ustanowieniu tego sądu w innych prowincyach dla tego, że wszędzie można było udawać się do zwyczajnego sądu biskupów. Nakoniec gdy Izabella chciała usunąć ten spółudział biskupów z inkwizytorami, Syxtus IV. odmówił i tego, grzecznie wprawdzie, ale nie z mniejszą stałością.

2. Papież więcéj jeszcze zrobił: roku następnego, w celu umiarkowania surowości inkwizycyi hiszpańskiéj, ustanowił arcybiskupa sewilskiego Manryka sędzią papieskim, oświadczając swoją wolę, aby wszyscy, z którymiby się inkwizycya okrutnie obchodziła, apelowali do jego wyroku. Wkrótce zaś, gdy i ta osobistość nie zdała się jeszcze dosyć okazywać pobłażliwości, skasował wiele procesów, złagodził kary, domagał się więcéj ludzkości względem żałujących, rozkazał udawać się wprost do niego, zaklinał na Jezusa Chrystusa, tak króla jak królowę, aby byli miłosierniejszymi względem tych swoich poddanych, którzy wpadli w błędy. Lecz król Ferdynand a potém cesarz Karol V., niekontenci z takiego postępowania papieża, starali się niedopuścić apelacyi do Rzymu.

3. Papieże starali się o przywrócenie przywilejów cywilnych i majątków skazanym, i jak najmocniéj nastawali, aby ich potomstwo nieponosiło żadnéj szkody na majątku i honorze. Między środkami, jakich Stolica apostolska używała dla oszczędzenia żałujących kacerzy, papieże często zalecali inkwizytorom, aby ich sekretnie uwalniali, dla oszczędzenia im w ten sposób kar cywilnych i hańby publicznéj. W rzeczy saméj, jak świadczy Lorent, na mocy rozkazu papieskiego dnia 11 lutego 1486 r. pięćdziesięciu z nich było uwolnionych, tyluż dnia następnego, tyluż późniéj na mocy *breve* wydanego 30 czerwca, i mnóstwo innych wreszcie otrzymało to uwolnienie tajemnie. Sam Lorent przywodzi wszystkie te fakta.

4. Pod panowaniem Juliusza II. i Leona X., nietylko nie ustały apelacye do Rzymu, ale znajdujemy w opisach Lorent'a szereg przypadków, w których papieże dla apelujących ustanawiali sędziów szczególnych, aby ich uchronić od trybunału inkwizycyjnego. Bardzo często papieże posuwali łaskawość do tego stopnia, że inkwizytorom tajemnie posyłali rozkazy uwalniania występnych. Zdarzało się również, że papież innych wyjmował od kar publicznych i hańbiących. Wiele z tych rozporządzeń papieskich miało swój skutek; ale

wiele także na nic się nie przydały, ponieważ królowie hiszpańscy sędziom wyznaczonym w miejsce inkwizytorów nie pozwalali spełnić danych od papieża rozkazów, i nie dopuszczali wykonania listów papieskich.

5. Zdarzało się często, że papież lub jego poseł, zmuszając inkwizytorów do zdania rachunku z ich postępowania, grozili im klątwą, jeżliby prześladowali odwołujących się do Rzymu, i nieraz ta klątwa była na nich rzucona; n. p. papież Leon X. wyklął inkwizytorów toledańskich z wielkiém nieukontentowaniem Karola V. Nadto wyroki wydane i w części już wykonane, były kasowane przez papieżów. Tak kaznodzieja Karola V., nazwiskiem Virués, podejrzany o luteranizm, został uniewinniony od Pawła III. i mianowany biskupem wysp Kanaryjskich w chwili, gdy miał być wsadzonym do klasztoru.

6. W roku 1519, papież Leon X. chciał zupełnie zreformować inkwizycyę hiszpańską, z przyczyny lekceważenia jego ułaskawiających listów, i już w tym celu najrozumniejsze poczynił rozporządzenia; lecz Karol V. wszystkich użył środków, żeby udaremnić zamiary Najwyższego biskupa, i nie dopuścić, żeby trzy jego listy już ogłoszone, wzięły swój skutek. Dla zastraszenia papieża, poseł hiszpański doradzał nawet cesarzowi, żeby udawał, jakoby sprzyjał Lutrowi; ale dla tego Leon X. nie przestał ogłaszać, że inkwizycya hiszpańska wielkie klęski sprawiała.

7. Jak czytamy w Lorencie, nie przestali i późniéj papieże poskramiać inkwizycyi hiszpańskiéj. Szczególnie Paweł III. gorzko żalił się na inkwizycyę państwa Hiszpańskiego, i brał pod swą opiekę tych, którzy usiłowali przeszkodzić jéj wprowadzeniu do Neapolu. Pius IV. zgodnie ze św. Karolem Boromeuszem, podobnie działał dla niedopuszczénia jéj do Medyolanu, a Lorent mówi otwarcie, że rząd hiszpański długi czas przywłaszczał sobie funkcye inkwizytorskie, ilekroć dwór rzymski albo raczéj Stolica św. rozkazywała coś przeciwnego jego woli.

Ze wszystkich tych uwag i innych podobnych słusznie Hefele wnosi, że w dziejach inkwizycyi hiszpańskiéj, Stolica rzymska figurowała w sposób najbardziéj honorowy, i jak po wszystkie czasy była obrońcielką prześladowanych (Hefele, Ximonés).

Zresztą mówiąc sprawiedliwie, jeżli zważym stan tego szlachetnego królestwa i to co ono ucierpiało podczas siedmiuset lat w walkach z Maurami, gdy co chwila prowincye onego bywały pustoszone, miasta w gruzach, ludy mordowane, a niewola

ciążyła nad nimi ze wszystkiemi klęskami nieodłącznemi od panowania barbarzyńców, nie będzie nas to dziwiło, że Hiszpanie tak silnie dbali o swą wiarę i ojczyznę, i tak bardzo lękali się, iżby znowu nie była wystawioną na niewolę i szwank, kiedy ją ceną tylu krwi i tylu łez byli wywalczyli i zachowali. Lecz przyjaciele ludzkości za dni naszych, w swojéj czułości mają pewne szczególne sympatye. Jeźli dla usunięcia klęsk publicznych rozleją krew jakiego rewolucyonisty, który urągał Majestatowi Bożemu i społeczeństwu, wzruszeni do głębi wnętrzności, zgrzytają zębami, oburzają się, i na cztery strony świata roznoszą najżałośniejsze jęki; lecz jeźli oszczędzając przestępcę, całe społeczeństwo wystawiają na ogień i krew, wtedy cichną ich jęki i narzekania i mówią: niechaj pomordowanych pogrzebią i niechaj o tém więcéj nie wspominają. Taka jest sprawiedliwość, taka miłość bliźniego.

Reforma i jéj skutki.

Niezależność zupełna w rzeczach duchownych sprowadziła zamieszanie idei i doktryn, które niweczą potęgę materjalną spółczesną. Podniósłszy bunt przeciw władzy duchownéj i nieomylnéj Kościoła, umysł ludzki z łatwością targnąć się może na władzę czasową i omylną rządów: ztąd anarchia polityczna. Anarchia religijna i anarchia polityczna, to dwie siostrzyce zagrażające dzisiejszemu społeczeństwu. Protestantyzm „zasiał wichry, a my zbieramy burze". „Nasi ojcowie, użyjmy jeszcze porównania Pisma św., jedli owoce zielone, a ich dzieci mają oskomę na zębach". Przypatrzmy się faktom.

Przyczyna okolicznościowa Protestantyzmu.—Za panowania papieża Juljusza II., założono kamień węgielny kościoła św. Piotra w Rzymie; lecz ta świątynia najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek ludzkość wzniosła swemu Bóstwu, nie mogła być skończona dla braku środków. W tymże samym czasie sułtan Selim I., syn Bajazeta, zdobywszy Egipt, zagrażał Europie zupełném zniszczeniem; trzeba było utworzyć potężną armię, aby powstrzymać tę powódź niszczącą. Papież Leon X. odwołał się do całego świata chrześcijańskiego w tym względzie, a otwierając skarby duchowne Kościoła, przywiązał znaczne odpusty do ofiar składanych na pobudowanie świątyni Pańskiéj i na uzbrojenie i utrzymanie armii osłaniającéj Europę. Prawa rozdawania odpustów udzielono Dominikanom, którzy wysłali mnicha Tetzla, do głoszenia i nadawania takowych. Dotąd w Niemczech prawo to służyło Augustyanom, chociaż nie był to przywiléj wyłączny tych zakonników, jednakże zauważyli autorowie dzieła „Sztuka sprawdzania dat", że Jan Staupitz, wikaryusz generalny tego

zakonu bardzo boleśnie uczuł i wziął to za ujmę swemu zakonowi. Mówią, że Tetzel wiele rzeczy w nauczaniu o odpustach przesadzał; nadto protestanci zarzucali mu złe prowadzenie się. Lecz p. Audin, przeglądając w Moguncyi księgi ustaw Dominikanów, znalazł naukę o odpustach: „prostą i zgodną we wszystkiém z nauką teologiczną". Luter nawet sam, pomimo śmiałości z jaką rzucał obelgi przeciwko Tetzlowi, nigdy nic nie mówił przeciw obyczajom tego zakonnika; życie więc jego musiało być bez zarzutu. Bądź co bądź, jałmużny zbierane przez Dominikanów i nadawanie odpustów były przypadkową przyczyną Reformy i protestantyzmu. „Mniemana Reforma, robi uwagę Châteaubriand, wybuchła z powodu jałmużn zbieranych na zbudowanie bazyliki św. Piotra; gdy tymczasem poganie czynili różne ofiary dla swych bogów, a Grecy czyż nie wznosili wspaniałych świątyń Minerwie? [1]).

Ogłoszenie odpustów nie znaczyło, aby sprzedawano odpusty za pieniądze, bo nikt odpuszczenia grzechów za pieniądze nie otrzyma— ale miało oznaczać to, że kto się wyspowiada, komunię świętą przyjmie, uczyniwszy wprzód postanowienie szczeréj poprawy i pokutę wypełni—złe i wyrządzoną krzywdę bliźniemu naprawi—ofiarę jałmużny uczyni, jak to od najdawniejszych wieków do dziś dnia się dzieje — więc jałmużnę tę przeznaczono wtedy na budowę kościoła i obronę chrześcijaństwa i całéj cywilizacyi zagrożonéj przez straszną potęgę Turków. A trzeba i o tém wiedzieć ilu było wtedy w Niemczech i indziéj książąt, panów możnych i ludzi złego życia, którzy dopuszczali się najstraszniejszych nadużyć, których jęki prześladowanych do poprawy nawrócić nie zdołały — potrzeba więc było podać im środek do poprawy, do upamiętania się — do pojednania ich z Bogiem przez spowiedź, sakrament komunii św., poprawę szczerą — a po wypełnieniu tego z całą sumiennością — udzielić odpust. A jeżeli znalazł się jaki niegodziwy mnich, który zrobił nadużycie, to Kościół św. po wszystkie wieki w tak wielkiéj miał je ohydzie, że na soborach wielką liczbą dekretów ścigał świętokupstwo, i czyjekolwiek ręce były tém skalane, porównywał ich z kacerzami. Jeżeli więc, mówię, znalazł się jaki judasz, który tą łaską duchowną zaczął frymarczyć, spostrzegł to zaraz Kościół św. bez czujności Lutra. Jeszcze i jego nie było na świecie a zdarzały się czasem podobne nadużycia, do których wytępienia Kościół używał całéj swojéj gorliwości. Na soborach Konstancyeńskim i Lyońskim, najwyższe głosy Kościoła wzbraniały nadużyć w tym rodzaju pod najcięższemi karami. Luter wiedział doskonale o tém, ale mając swoje osobiste przyczyny, skorzystał tylko z okoliczności, przedstawiając rzecz zupełnie odmiennie — a schlebiając namiętnościom ludzkim, pociągał licznych zwolenników tychże namiętności za sobą, jak to w ciągu dalszym zobaczymy.

1) Audin, *Hist. Lutra*, tom I, pag. 53, 64.—*Etudes hist.*—Alzog, tom III. pag. 8.

Zresztą, gdyby Kościół miał być odpowiedzialny za to, że nie zawsze mógł przeszkodzić nadużyciom, wtedy należałoby potępić wszystkich naczelników rodzin, którzy pomimo swéj czujności, nie mogli ustrzedz swych domowników od nierządów, należałoby potępić wszystkich rządzców i urzędników, wszystkich mających w swém ręku prawa i tychże praw wykonawców nie mogących powstrzymać ludzkich namiętności i wciskających się wszędzie nadużyć. Niech dowiodą, że Kościół św. w ciągu całych wieków przedał choćby jeden odpust, albo że nie zakazywał surowo wszelkiego pod tym względem nadużycia, a wtenczas potwarcom jego damy za wygraną.

Pierwsze lata Lutra.—Od r. 1483—1517.—Twórcą nowéj herezyi był mnich augustyański Marcin Luter. Urodzony w r. 1483 w Eisleben w wyższéj Saksonii z biednych rodziców, lecz dobrych katolików; dziecinne lata przeżył prawie w niedostatku, ale żądny wiedzy, zaczął swe nauki za pieniądze zebrane z jałmużn rzucanych mu przez bogatych mieszkańców, gdy wyśpiewywał przed ich oknami nabożne pieśni, lub przed kościołem. Pewnego dnia, kiedy mały saksończyk śpiewał na ulicy, można wdowa katoliczka nazwiskiem Cotta ulitowała się nad małą dzieciną, kazała go zawołać do siebie, przyjęła do swego domu, kupiła mu flet i gitarę dla uprzyjemnienia chwil wolnych od zajęć szkolnych, a młody Luter znalazłszy tak niespodziewaną dobrodziejkę, oddał się z całym zapałem nauce. Odznaczał się pilnością i zdolnościami i wkrótce został pierwszym uczniem w uniwersytecie w Eisenach i Erfurcie, a w lat kilka otrzymał godność mistrza sztuk i oznaki téj godności togę i pierścień. Lecz kiedy w r. 1505 piorun zabił jednego z jego przyjaciół Aleksego, wywarło to na nim tak wielkie wrażenie, że opuściwszy świat, wstąpił do klasztoru Augustyanów, gdzie wykonał śluby zakonne i otrzymał święcenie kapłańskie w roku 1507. Luter posiadał bujną wyobraźnię,

skłonną do uniesień, oddał się więc praktykom religijnym prawie z namiętnością. Sam powiada o sobie: „Jeżeli św. Augustyn wszedł do nieba przez mury opactwa, to i ja na to zasługuję. Wszyscy moi bracia oddadzą mi słuszne świadectwo; pościłem, czuwałem po nocach, posuwałem często umartwienie aż do nadwątlenia mego zdrowia". „Byłem, powiada jeszcze, tak zatopiony w papizmie, że zabiłbym każdego, ktoby śmiał zaprzeczyć w czémkolwiek obowiązku posłuszeństwa Ojcu świętemu". Często klęczał po całych nocach na modlitwie, aż omdlony upadł na ziemię. Luter był to człowiek ognisty i gwałtowny, a raz umiłowany przedmiot pochłaniał go najzupełniéj, przeciwdziałając wszelkim wpływom rozumu i rozwagi. Będąc wysłanym przez swych zwierzchników na profesora filozofii i teologii do uniwersytetu Wirtemberskiego, już okazywał skłonność do nowości w rzeczach wiary. W rozprawach Lutra publicznych z r. 1516 już ludzie światli widzą zaród tych błędnych pojęć, które potém rozszerzał. Młodzież niemiecka biegła na jego wykłady, kiedy przybył dominikanin Tetzel i w okolicach Wirtemberga rozdawał odpusty, udzielone przez papieża Leona X. i na swe kazania ściągał tłumy wiernych. Kościoły i konfesyonały Augustyanów na jakiś czas zaniedbano: wówczas Luter, zamiast się cieszyć tak jawnymi skutkami słowa Bożego, robił wszelkie wysiłki, aby powstrzymać swych penitentów. W uniesieniu gniewu i zazdrości zaczął powstawać na nadużycia tłumów, „powracających z nauk Tetzla, jakby z karczmy", są to własne jego słowa; następnie zwrócił broń zaczepną przeciw Tetzlowi i przeciw odpustom, które jego zakon tak często ogłaszał i o których tak się zawsze wyrażał: „Jeżeli kto przeczy prawdziwéj wartości odpustów udzielanych przez papieża, niech będzie przeklęty". Od odpustów przeszedł do sakramentów i nauki o usprawiedliwianiu. Nareszcie dnia 31 października 1517 r. rozkazał przybić na drzwiach katedry Wirtemberskiéj dziewięćdziesiąt pięć tez, w których jawnie wypowiedział swe nowe poglądy, tchnące herezyą. Popadając coraz to w większe błędy, w trzy lata późniéj ogłosił zupełną niezależność rozumu ludzkiego w rzeczach wiary. Jego herezya to buntowniczy zamach na Kościół katolicki i słusznie otrzymała w Spirze r. 1520 nazwę Protestantyzmu. Luter początkowo nie miał zamiaru posunąć się tak daleko; lecz zbieg okoliczności i ogólny ruch wszystkich niespokojnych umysłów, zmusiły go do uznania zasad racyonalizmu i do głoszenia zupełnéj niezależności rozumu ludzkiego w rzeczach religii i wiary,

który dotąd „był ślepym i niewolniczym pod tym względem" [1]).

Sposób wyrażania się Lutra.—Sam język nowego herezyarchy nadaje już jego dziełu piętno szatańskie, bo jakżeż on się wyraża o rzeczach najświętszych? Trzeba, mówi Bossuet, pomimo wstrętu powtórzyć jego słowa, aby dać poznać jak duch ciemności opanował naczelnika nowéj Reformy. Papież według niego był tylko „osłem, mułem, kretem, maciorą, antychrystem i t. d". „Papież, mówi Luter, tak przepełniony djabłami, że nimi oddycha, pluje i t. d.". Nie kończmy, dodaje Bossuet, tego, czego Luter nie wstydził się powtórzyć razy kilkadziesiąt. Trudno wypowiedzieć, jak ten apostoł Reformy wyrażał się o bullach papiezkich; a Rzym nazywał zawsze Sodomą, Babilonem, prostytutką apokaliptyczną, stolicą antychrysta i t. d. Kardynałów, arcybiskupów, biskupów i księży nazywał zawsze klechami, mnichami i t. d. Świętych Kościoła katolickiego tytułował „gromadą drapieżnych lwów, wieprzami Epikura, rozszalałymi libertynami, psami pragnącymi się kąpać we krwi". Doktorzy katoliccy, kaznodzieje, spowiednicy, zakonnicy, zakonnice, „to rodzaj obrzydliwych owadów i wężów, którzy przez msze, cześć Świętych i odpusty więżą u stóp słonia ludzkość całą". Najwięcéj jednak obelg rzucał na Dominikanów. Teologów uniwersytetów lipskiego i sorbońskiego nazywał „kretami, obłudnikami, osłami, ubranymi w biréty doktorskie". I o Ojcach świętych tak samo się wyrażał. „Ojcowie Kościoła, mówi Luter, to głupcy, piszący niedorzeczności o o bezżeństwie". „Ja lepiéj rozumiem tekst apostolski, niż tysiąc Augustynów". „Święty Grzegorz Wielki, wykładał zasady najnierozumniejsze". „Święty Augustyn często błądził, i dla czegoż go umieścili w rzędzie Świętych, kiedy nie miał prawdziwéj wiary?" „Uważam św. Hieronima za heretyka; pisał tylko głupstwa o poście i bezżeństwie, a jego dzieło przeciwko Jowiniana jest przepełnione zgorszeniami". „Święty Bazyli także nie wiele wart i nie dałbym za niego i jednego włosa". „Święty Chryzostom, to gaduła, a św. Tomasz, to potwór teologiczny". Pierwsi reformatorowie, przyjaciele Lutra nie mogli pokryć jego szalonych wybuchów. „Drżę z trwogi, pisze Melanchton, myśląc o namiętnościach Lutra, wrą one w nim z siłą herkulesową". Luter, mówi Hospinjusz, to uwiedziony przez szatana, pełen dumy i zarozumiałości człowiek". Erazm nawet pisał do Lutra: „Ję-

1) *Hist. dogmatów*, pag. 61.—*Hist. des Variat.* ks. 1, rozd. 6; ks. 2, rozd. 45.

czymy wszyscy nad nieszczęsném rozdwojeniem, jakie szerzysz po świecie przez twój umysł uparty, wyuzdany i buntowniczy". Oto kilka główniejszych rysów z charakteru twórcy Reformy [1]).

Zwingljusz, Karlostad, Oecolampadjusz.—„Zwingljusz, według sądu Lutra, był to potomek piekła, wspólnik Arjusza, człowiek niewart, aby nawet modlić się za niego". „Zwingljusz, pisze jeszcze, to potępieniec skazany, za duch buntowniczy swych czynów". „Chętnie, mówi Melanchton, wejdę w rozprawę z Oecolampadiuszem, lecz rozmawiać z Zwingljuszem, to czas stracony". „Dogmaty Zwingljusza, mówi Brentius, są dziełem djabelskiém, pełném bezbożności, potwarzy, zepsucia i t. d.". Urodzony w roku 1487 w Wildehausen w Szwajcaryi, Zwingljusz pobierał pierwsze nauki w Bernie i otrzymał biret doktora teologii w Bazylei. W r. 1506, mianowano go proboszczem w Glaris, gdzie przebywał lat dziesięć. Później przeszedł do Najśw. Panny z Eremites, a następnie do Zurichu. Już mu się zaczynało przykrzyć bezżeństwo, mówi jeden z poważnych autorów, duch niepodległości burzyć się zaczynał, gdy jeden z franciszkanów medyolańskich wysłanym został do Szwajcaryi, aby ogłaszał odpusty. Gniewny i zazdrośny jak Luter, „Zwingliusz wystąpił przeciw odpustom, władzy papieża, sakramentowi pokuty, zasługom wiary, grzechowi pierworodnemu, skutkom dobrych czynów, wzywaniu Świętych, prawom Kościoła, bezżeństwu duchownych, ofierze mszy ś. i przeciw rzeczywistéj obecności Chrystusa w Najś. Sakramencie i t. d. „Byłto, mówi Bossuet, człowiek śmiały, więcéj mający ognia niż wiedzy".

Z pomocą Karlostada, archidyakona z Wittemberga i Oecolampada, zakonnika reguły świętéj Brygidy, Zwingliusz rozdwoił Reformę, tworząc sektę sakramentaryuszów, którzy zaprzeczali rzeczywistéj obecności Jezusa Chrystusa w Najśw. Sakramencie. Karlostad, to pierwszy z krzewicieli Reformy; wystąpił przeciw temu dogmatowi, a według słów Melanchtona był to: „człowiek szorstki, nieobdarzony wyższym umysłem, ani posiadający wiedzy; człowiek pozbawiony nawet rozsądku i wszelkich zasad; raczéj żyd, niż chrześcijanin" [2]).

Kalwin i jego charakter.—Na czele sakramentarzy później stanął nowy wódz, którego działalność i rozgłos wyrównały

1) *Disc. amic.*, tom I, pag. 77.—Bossuet: *Hist. des Variat.*, livr. 1.—Berault. tom VIII. p. 469.—M. Audin, *Vie de Luther* tom I, p. 145, 149, 189, 204, 232, 322, 324.—Alzog, t. III, p. 67.

2) *Disc. amic.*, tom I, p. 81, 82.—Bossuet, *Hist. des Variat.*, liv. 2, ks. 7.—Thomas Moore, tom II, pag. 98.

rozgłosowi Lutra; był to Jan Kalwin, mający duchowne postrzyżyny, syn bednarza, urodzony w Noyon r. 1509. Znakomita rodzina katolicka Mommorów wychowała go i dopomagała mu do nabycia wykształcenia; i dla tego też Florimond mówi: że dwaj pierwsi naczelnicy Reformy wzrośli w żywiole katolickim i jemu wszystko zawdzięczają. „Nie wiem, mówi Bossuet, czy Kalwin również zdolny jak Luter rozgrzewać umysły i wzruszać tłumy; widzę tylko, że w wielu krajach, a głównie we Francyi, kalwinizm przeważa". Pierwsze iskry Reformy rozniecily w młodym umyśle Kalwina wykłady Wolmara, wyznawcy Lutra, a słuchał ich w Bourges. Przebiegłszy po kilkakroć Francyę, Szwajcaryę i Włochy, osiedlił się w Genewie i zaczął już jawnie głosić swe zasady, jako kaznodzieja i profesor teologii. W tém mieście zaprowadził konsystorz, rozprawy w rzeczach wiary, zbór, radę dyakonów i dozorców nowego wyznania. Dnia 1 sierpnia 1535 r. w Bazylei Kalwin ukończył swój sławny list przypisany Franciszkowi I; i od tego to czasu liczą zaprowadzenie kalwinizmu we Francyi. Ten dzień, mówi pewien uczony prałat, jest najważniejszym wypadkiem w rocznikach kalwinów. Mowa drugiego naczelnika Reformy odznacza się temże samém uniesieniem co i pierwszego. Swych przeciwników, mówi Bossuet, nazywa zawsze: oszustami, szaleńcami, pijakami, wściekłymi psami, bydlętami [1]). Co zaś do wartości moralnéj tego sekciarza, oto jak go sądzono pomiędzy reformatorami: „Kalwin, mówi Wolmar, jest gwałtowny i przewrotny, wiem o tém, ale taki właśnie człowiek poprze dzielnie naszą sprawę". Erazm, bliżéj go poznawszy, woła: „Widzę burzę, wznoszącą się w Kościele, przeciw Kościołowi". „Kalwin, mówi Bucer, to pies wściekły; to człowiek zły, a sądzi o drugich według tego, czy ich kocha lub nienawidzi". „Czyż był kiedy człowiek, mówi Russo, tak stanowczy, stały, a prawie niezmienny w swych postanowieniach, jak Kalwin". Najmniejszy opór był w jego pojęciu dziełem szatana, występkiem godnym ognia". Baudvin, sławny prawnik, przedtem jego przyjaciel, powiada: „że nie mógł cierpieć tego herezyarchy, ponieważ widział w nim tylko żądzę zemsty i krwi". „Prawa Kalwina, mówi Paweł Henri, jeden z najgorliwszych jego wielbicieli, są pisane nie tylko krwią ale i ogniem".

Michał Servet, jego kara.—Te różne i tak nieprzyjazne

1) *Hist. des Variat* pag. 82.—*List pasterski biskupa z Nimes do protestantów.* 3 Gard. 1859 r.

sądy potwierdza wyrok skazujący na spalenie hiszpana Michała Serveta. Ten ostatni zbadawszy myśl nowéj reformy, powiedział sobie: „Karlostad i Zwingliusz wystąpili przeciw rzeczywistéj obecności Chrystusa w Najświętszym Sakramencie, Kalwin przeciwko przewidzeniu boskiemu; ja wystąpię przeciw Trójcy świętéj, a świat także będzie mówić o mnie“, Pisał więc przeciw Trójcy świętéj, a Kalwin mu odpowiedział. Servet wyniośle zbił tę odpowiedź; i oto powód nienawiści, powstałéj w duszy Kalwina. Przez listowne porozumienie, tajemnie zaskarżył swego przeciwnika do inkwizycyi i zatrzymano Serveta w Vienne w Delfinacie. Te listy, które dotąd się przechowały, są arcydziełem zdrady i zręczności. Servet uciekłszy z Vienne udał się do Genewy, gdzie popadł w ręce swego przeciwnika i nieprzyjaciela.

Natychmiast go uwięziono, i długo tu cierpiał głód i nędzę; nakoniec Kalwin skazał go na spalenie żywcem w 1553 roku. Usłyszawszy ten straszny wyrok, więzień ze łzami błagał litości; Kalwin niewzruszony, jeszcze urągał łzom nieszczęsnego, mówiąc: „Czy nie przestaniesz ryczeć tak jak Hiszpanie: litości, litości“. Delincourt, minister Charanta utrzymuje, że w postępowaniu Kalwina z Serwetem nic nie znajduje nieludzkiego; przeciwnie zaś Audin, zebrawszy wszystkie dowody téj sprawy, przedstawia całą winę Kalwina, popiera swe zdanie słowami reformatorów utrzymujących: że Kalwin w sprawie Serveta pokazał się okrutnym i nieprzebłaganym“. „Jestem więcéj zgorszony, mówi protestant Gibbon, skazaniem Serveta, niż wszystkiemi ofiarami Hiszpanii i Portugalii [1])“.

Melanchton najumiarkowańszy z reformatorów.— Historya z pomiędzy wszystkich reformatorów najmniéj stawia zarzutów Melanchtonowi. Uczeń Reuchlina i pisarz rozległéj sławy był mianowany w roku 1518 profesorem języka greckiego w uniwersytecie Wittembergskim, gdzie poznał się i zaprzyjaźnił z Lutrem, wykładającym teologię w téj saméj wszechnicy. „Melanchton, mówi Bossuet, był najwymowniejszym i najumiarkowańszym ze wszystkich uczniów Lutra. Młody jeszcze i więcéj biegły w piśmiennictwie, niż w teologii, łatwo dał się uwieść zasadom Lutra, który tém słowem Reforma, pociągnął młody umysł ku swym celom i potrafił natchnąć taką wiarą, że Melanchton uważał Lutra, jako jedynie zdolnego głosić i tłumaczyć Ewangelię“. Późniéj, gdy ten okazał słabość swą i

1) Bossuet, *Hist. des Variat*, tom I. pag. 61. — *Discuss. amic.* tom I. pag. 84. — Audin, tom I. pag. 4, 19. — *Introd.*, pag. 15; tom II. pag. 20, 223, 229, 258, 303, 323, 764, 776.

owe wybuchy tak dziwne, których Melanchton ani znosić, ani zrozumieć nie umiał, przyjaźń ta i wiara w Lutra osłabły. Tu zaczęła się straszna walka w duszy Melanchtona; błąkał się nie widząc prawdy, i po tysiąc razy przyzywał śmierci, wylewając obfite potoki łez przez lat 30. „Elba, mówił on, ze wszystkiemi swemi przypływami nie dostarczyłaby dość wody, aby opłakać nieszczęsne skutki Reformy“. Matka, która była katoliczką, pytała go raz, co ma myślić w tym zamęcie: „Matko, odpowiedział syn, módl się i wierz jak dawniéj, niech nie zakłócają twego spokoju te wszystkie rozprawy“. Z czego można wnieść, że nie był zbyt dalekim od zgody z Kościołem. Był tak wzruszony zawsze i niepewny, że jak mówią, czternaście razy zmienił zdanie: o usprawiedliwieniu. Nakoniec po wielu trudach i walkach zmarł w Wittembergu w roku 1560, licząc lat życia 64 [1]).

Charakter głównych reformatorów anglikańskich. — Luter i Kalwin byli twórcami Reformy w Niemczech i Francyi. Król Henryk VIII. wprowadził ją do Anglii. Wstąpiwszy na tron w roku 1509, ten monarcha odznaczał się głęboką wiarą i walczył przeciw herezyi, jako prawowierny katolik. Zbił nawet zasady Lutra w dziele poświęconém Leonowi X. i otrzymał od tego papieża miano obrońcy wiary. Lecz po ośmnastu latach pożycia z Katarzyną Aragońską, Henryk chciał się rozłączyć z tą księżniczką, aby zaślubić młodą osobę, Annę Bolejn, którą uwiódł. Papież Klemens VII. odmówił pozwolenia na rozwód. Uniesiony namiętnością król postąpił wbrew wszelkim prawom boskim i kościelnym, podniósł bunt przeciw Kościołowi i ogłosił się: najwyższym naczelnikiem i opiekunem kościoła anglikańskiego. „Uznany za papieża w swém państwie, mówi William Cobbet, użył ten król praw, jakie mu nadawała nowa wiara, to jest: więził, wieszał lub ścinał najzacniejszych ludzi swego królestwa“.

Henryk VIII. był dzielnie popierany przez dwóch ludzi, godnych siebie, Tomasza Kranmera biskupa z Kantorbery i Tomasza Cromvela, syna kowala, którego mianował swym zastępcą i głównym wikaryuszem nowego kościoła anglikańskiego. Kranmer, mówi William Cobbett, to nędznik bez czci i wiary. Zostawszy księdzem po śmierci pierwszéj swéj żony, zaślubił drugą, którą poprzednio uwiódł i za życia téj drugiéj małżonki był wyświęcony na arcybiskupa Kantorbery. Kranmer uczestniczył we wszystkich występkach Henryka VIII. Dał

1) *Hist. des Variat.*, lib. 3, c. 2; lib. 5, c. 1, 3, 4.—Feller, art. *Melanchton.*

mu rozwód z trzema żonami, a także pobłogosławił sam i uznał za prawne dwa małżeństwa, które poprzednio unieważnił. Jedném słowem, mówi daléj William, z 76 lat życia swego, 29 użył na zbrodnie najstraszniejsze w rocznikach ludzkości. Skazany na śmierć, wyparł się swych błędów, w nadziei ocalenia życia; gdy się jednak na tém zawiódł, powrócił do nich. Stał się katolikiem, aby zbawić życie, mówi pewien autor, a umarł protestantem, aby się zemścić nad tymi, którzy go nie ułaskawili. Przez trzydzieści lat odprawiał mszą świętą, nie wierząc w nią. I takich to ludzi, protestant Burnet nazywa Atanazemi i Cyryllami [1]).

Kromwel, mówi William Cobbet, był również nikczemnym i nizkim moralnie. Nie podobna objąć myślą całego okrucieństwa, jakie okazywał względem księży, zakonników, pokornych sług bożych, ani wyliczyć ofiar wszystkich stanów i wieków, które rozkazał wieszać, palić, ścinać i więzić. Foks, martyrologista z jego stronnictwa, nazywa go „dzielnym żołnierzem Reformy“. Tak jest, ciągnie daléj protestant William, był dzielnym, gdy chodziło o zabijanie zakonnic bezbronnych i zakonników u stopni ołtarza, ale zawsze nędznikiem i dworakiem płaszczącym się, ilekroć chodziło o łaskę królewską; wtedy był zdolnym porównywać uśmiech Henryka VIII. do uśmiechu bóstwa, i błagać o dozwolenie ręki króla, któréj samo dotknięcie, według niego, uzdrawiało rany jego nikczemnego serca. „Takimi to ludźmi otaczał się Henryk VIII. i z nimi popełniał tyle występków. Z trzema żonami się rozwiódł, a dwie kazał stracić.

Małżeństwa gorszące zawierane przez naczelników Reformy. Historya wzmiankuje, że małżeństwa niegodziwe i rozwody od samego początku hańbiły Reformę. I tak Karlostad był pierwszym z reformatorów, co się ożenił. Potém Zwingliusz zaślubił bogatą wdowę. Luter połączył się z zakonnicą, nazwiskiem Katarzyna de Bore, uprowadzoną z klasztoru w Wielki Piątek. Ponury i chorobliwy Kalwin, mówi Tomasz Moore, kochał Idolettę wdowę po jednym z swych wyznawców; Oecolampade zaślubił młodą dziewicę. Bucer, niegdyś dominikanin, postąpił jak i inni, a nawet więcéj, bo pojął trzy żony, jedną po drugiéj, z których jedna zakonnicą była, a druga była już po trzykroć żoną ministrów protestanckich. Ojcowie święci nie przypuszczali do święceń kapłańskich tych, co będąc świeckimi, żenili się

1) William Cobbett, *Lettres sur la réf*, tom I. pag. 35, 36, 41, 107, 198, 199.

dwa razy; a Bucer, ksiądz i zakonnik, trzy razy zawierał związki małżeńskie. Był to rodzaj odznaczenia się i takimi śmiałymi przykładami chciano zwalczyć przesądne praktyki dawnego Kościoła. „Heretycy, mówi pewien poważny autor, upajali się winem szkodliwém, którego nie czerpali w piwnicy oblubieńca, lecz słabli, chwiejni padali i plamili białość swéj szaty poprzedniéj w błocie“. Nie dość, że ci nowi reformatorzy żenili się przeciw wszelkim prawom Kościoła i obyczajom, jeszcze upoważniali wielożeństwo pomiędzy swymi wyznawcami. Luter, Melanchton, Bucer na wspólnéj naradzie, któréj Bossuet odnalazł oryginał, pozwolili w r. 1539 landgrafowi heskiemu mieć naraz dwie żony. Widząc to Erazm, rzekł: „Niektórzy nazywają Reformę tragedyą, a ja nazywam ją komedyą, gdyż wszystko kończy się małżeństwem“. „Gdyby coś podobnego zdarzyło się pomiędzy katolikami, nie znalezionoby dosyć słów i szyderstw dla oznaczenia hańby i wzgardy, na które rzeczywiście zasługują podobne postępki; ale że to było dzieło tych, co podnieśli śmiertelną walkę przeciw katolicyzmowi, mówi Balmés, a zatém milczą myśliciele i moraliści, chętnie nawet słuchają usprawiedliwień reformatorów, których wszystkie dowody przeciw bezżeństwu opierają się na zgwałceniu najświętszych ślubów i popełnieniu świętokradztwa. Takimi to byli apostołowie Reformy, a teraz przyjrzyjmy się ich dziełu“ [1]).

Wystąpienie reformatorów przeciw powadze Kościoła. — Prowadząc rozprawy z doktorami katolickimi i popadając w błędy co do odpustów, Luter uznawał jeszcze władzę i powagę Kościoła. Zapewniał ciągle o swém posłuszeństwie dla papieża, mówiąc, że przyjmie „sąd Ojca św. jak samego Jezusa Chrystusa, bo On przemawia przez jego usta“. Na pierwsze napomnienia, jakie otrzymał od Ojca św., powołał się od papieża źle powiadomionego do papieża gruntowniéj rzecz znającego. Przewidując jednak, że papież go potępi, odwołał się do soboru powszechnego, który twierdził, że jest wyższym od papieża. Nakoniec, kiedy został rzeczywiście potępionym, rozkazał spalić bullę Leona X. w Wittembergu 10 grudnia 1520 roku, mówiąc: „Jeżeli nie przywrócą papieża do rozsądku, to cóż się stanie z chrześcijaństwem? Albo niech zgnębią zupełnie tego rozbójnika rzymskiego, albo niech się wszyscy chronią w góry? To wilk opanowany przez szatana; trzeba, nie czekając wy-

1) William Cobbet, tom I. p. 107, 132, 135. — Balmés, t. II. pag. 272. — *Hist. drs Variat*, ks. 6, pag. 41.

roku soboru, zebrać się z wsi i miast i napaść na niego". Pomimo jednak tych wybuchów, wiara w powagę Kościoła wywierała na nim jeszcze wpływ wielki. „Zwyciężyłem prawie wszystkie dowody, pozostał mi jednak jeden, nad którym zapanować mogę tylko z wielkim trudem i wysiłkami, to jest, że trzeba słuchać Kościoła". Nakoniec i na to się zdobył, choć łaska boża z żalem rozstawała się z tą duszą tak zatwardziałą. W swém zaślepieniu Luter przypisał łasce Jezusa Chrystusa tę moc oporu względem Kościoła. Po tém mylném zwycięztwie, woła w uczuciu radości: „Zerwijmy węzły i zrzućmy ich jarzmo!" To było już jawne podniesienie buntu przeciw władzy Kościoła, i odtąd już Luter pracował tylko nad obaleniem władzy i potęgi papieża, soborów, Ojców św. i wszystkich podań Kościoła. Za jedyny sąd i powagę uznał tylko Biblię według siebie tłómaczoną. Zwingliusz również depcząc podania i powagę Kościoła, podaje także Biblię jako samą i jedyną regułę wiary. Wszystkie sekty protestanckie poszły za ich przykładem; dziś ta zasada reformatorów wyraża się w słowach: Biblia i nic tylko Biblia [1]). Cała reforma w tém się zawiera: Biblia tłómaczona według poglądu i przekonania jednostek. „Albo reforma jest niczém, mówi pewien uczony prałat, albo jest tylko tém". Zasada nierozsądna i bardzo zgubna. „Jakżeż, mówi uczony Hurter, niebezpieczną jest rzeczą, dawać księgę świętą wszystkim, bez względu na zdolności i prawość woli każdego; księgę, która zarówno może doprowadzić człowieka do błędów, jak i do zbawienia!" Ta zasada jest nawet przeciwną Ewangelii, gdyż Ewangelia wygłasza potrzebę władzy, której trzeba podlegać. Przytém wszyscy wiedzą, ta księga boża nie jest zupełnym zbiorem całéj nauki Chrystusa [2]); choćby i była, to jeszcze potrzebny jest sąd, któryby to prawo bronił od błędnego tłómaczenia pochodzącego ze słabości umysłu i namiętności ludzkiéj. Zasada dowolnego tłómaczenia Pisma św. jest widocznym w zastosowaniu nierozsądkiem. „Utrzymywać, mówi doktor Papin, że lud sam zdolny w rzeczach religii prowadzić się na drodze dowolnego tłómaczenia Pisma św., i że nie potrzebuje pomocy Kościoła, aby odkryć w Piśmie św. prawdę wiary, byłoby to toż samo, co dowodzić, że nie ma niewidomego, któryby nie mógł policzyć gwiazd na niebie". Zasada rozbioru i dowolnego

1) O bezżenności i sprzecznościach Lutra, w przedmiocie Biblii czytaj Alzoga, tom III. pag. 23—82.

2) Patrz *Cours d'Hist.*, tom I. koniec pierwszego wieku.

tłómaczenia Pisma św. według poglądów osobistych jednostek, jest jeszcze niedorzeczną i w tym względzie, że przekłada sąd najciemniejszego z chrześcijan, po nad zdanie mędrców, Świętych i licznych doktorów Kościoła. Więcéj jeszcze, że przed wiernymi otwiera przepaść wątpliwości i niewiary, z któréj tylko silni duchem mogą się wydobyć. Żyć więc w wątpliwości przez cały czas rozbioru i badania pojedyńczego, wymagającego wielkiéj nauki i olbrzymiéj pracy; oto przyszłość wynikająca z téj zasady. Badanie to może się przedłużać stosownie do namiętności, a nawet kończyć pod wpływem osobistego uprzedzenia lub przesądów. Zasada protestantyzmu w końcu, to źródło rozdziału i fanatyzmu, wprowadzająca do Kościoła bezrząd. Pod wpływem tego ducha wolności i rozprzężenia, Reforma przedstawia nam się niby wojsko w odwrocie, na każdym kroku zostawiająca coś ze swych zapasów. Wyznania wiary protestantów, to zbiór przeciwieństw i niedorzeczności. „Nasi doktorowie, pisał Duditius, rozproszeni i popychani przez najróżnorodniejsze prądy doktryn, sami jasno nie widzą prawdy. Pytaj ich dziś, powiedzą jakie jest ich wyznanie wiary, lecz jakie będzie jutro, zgadnąć trudno. Przebiegnij wszystkie ich księgi, czy znajdziesz choć jedno dowodzenie, przeciw któremu nie powstałoby wielu... Co miesiąc piszą symbole swéj wiary: *menstruam fidem habent*". Melanchton często powtarzał to samo. „O wy, woła Erazm, którzy powołujecie się na jasne słowo Boga, zgodźcie się najpierw sami przed nadaniem praw ludom". Platon miał słuszność, mówiąc przed dwóma tysiącami lat: „Pismo przechodzi z rąk do rąk, należy do świata całego; lecz ono nie wie, do kogo ma przemawiać, a przed kim milczeć; nie może samo przez się odeprzeć zniewag i zarzutów, potrzeba, aby ojciec jego przyszedł w pomoc".

Powaga Kościoła jako źródło i rękojmia swobody myślenia i rozumowania. — Odrzucając powagę Kościoła, reformatorzy dumnie powtarzali, że wyzwolili umysł ludzki z pod jarzma, a rzeczywiście poddali go jeszcze w większą i niebezpieczniejszą zależność. „Straszną jest rzeczą, mówi Lacordaire, pomyśleć o niewolniczéj zależności umysłów, po za obrębem Kościoła; ponieważ rozum ludzki jest słaby sam z siebie, słaby wobec świata, przesądów i namiętności. Jeżeli nie wierzycie w Kościół, to wierzycie w siebie samych; jeżeli wierzycie w siebie samych, to wierzycie każdemu, kto posiada więcéj nauki, zdolności, uroku i przebiegłości. Usuńcie Kościół, a pozostanie wam tylko błędny połysk prawdy, nieprzenikający narodów, ale tylko zapalający głowy kilku mędrkom. Przez Kościół

więc Jezus Chrystus wyzwolił umysły z pod jarzma błędów, a najprawdziwszym okrzykiem wolnego ducha ludzkiego jest: Wierzę w święty Kościół katolicki. Tak jak społeczeństwo dobrze urządzone zabezpiecza ludzkość od niesprawiedliwości, tak Kościół od błędu. Społeczeństwo daje prawa, Kościół prawdę. Kto występuje po za społeczeństwo, staje się ciemiężcą lub ofiarą; kto staje po za Kościołem, będzie niewolnikiem lub gnębicielem myśli drugich. Wierzę w Kościół, abym nie wierzył ślepo w ludzi i ich wynalazki. Wierzę w prawdę podawaną przez Kościół, abym nie wierzył w błąd głoszony przez jednostki; wierzę w brzegi morza, abym nie błądził bez nadziei w bezmiarze wód“ [1]).

Błędne zasady reformatorów co do wolnéj woli.— „Kościół, mówi pewien wzniosły umysł, to rozwiązanie prawdy na ziemi“. Luter wystąpił także i przeciw wolnéj woli człowieka. Erazm jéj bronił, a Luter odpowiedział mu dziełem pod tytułem: *De servo arbitrio* (O niewolniczéj woli). Oto kilka ustępów, przytoczonych z powyższego dzieła przez Bossueta i Tomasza Moore: „Wszystko, co robimy, robimy z woli Boga, który czyni nasze działanie koniecznem i niezmiennem. Wolna wola jestto przymiot Boga i nie może być udziałem ani człowieka, ani anioła, ani żadnego stworzenia. Przewidzenie i wszechmocność Boga sprzeciwiają się woli człowieka, niweczą i znoszą wszelką wolną wolę“ i t. d. „Ta doktryna jest straszną, mówi Bossuet, i czyni Boga sprawcą naszych występków“. Luter i z tém się nie taił, „Bóg, mówi on, sprawia w nas tak złe jak i dobre. Wielką doskonałością wiary jest to przekonanie, że Bóg jest sprawiedliwy, choć ludzi koniecznie potępia z własnéj woli jak gdyby upodobał sobie męki nieszczęśliwych. Uwielbiacie Boga, gdy wieńczy niegodnych. To jest prawdziwa Ewangelja i natchnienie z Ducha świętego. Cesarz, papież i wszyscy djabli nie mogą temu zaprzeczyć“.

Takie to wybuchy, mówi Bossuet, przestraszały Melanchtona, który chcąc złagodzić doktrynę swego mistrza, popadł jeszcze w inne błędy. Oto co mówi Melanchton w wyznaniu augsburgskiém, ułożoném przez siebie w roku 1530: „Trzeba przyznać wolną wolę ludziom w pełni władz umysłowych, ale nie w rzeczach, odnoszących się do Boga, które nie mogą się zacząć, a przynajmniéj skończyć

1) Erasme, ks. 19, list 3.—Mélanchton, *Konst. theol.*—Berault, tom I., pag. 59. — *Discuss. amic.*, tom I., pag. 144. — *Conf. avec. Claude.* — Bossuet, Platon, *Phédon, in fine.*—Lacordaire, *Lettre sur l'Eglise.*

bez Niego, lecz tylko w rzeczach życia teraźniejszego i w obowiązkach społecznych“. To wyrażenie, mówi Bossuet, że wolna wola nie może nic zacząć bez Boga, a przynajmniéj skończyć w rzeczach boskich bez Niego, daje do zrozumienia, iż może przynajmniéj coś zacząć własnemi siłami, co jest błędem Semipelagianów [1]). Wszystkie doktryny Lutra i Melanchtona dadzą się streścić w tych słowach: wolna wola nie istnieje, człowiek nic nie może; jednakże może cośkolwiek, może tyle, iż jest zdolnym zacząć własnemi siłami czyn nadprzyrodzony. Co za zasada?

Błędy reformatorów co do usprawiedliwiania się przed Bogiem.—Posłuchajmy, co mówią reformatorowie o usprawiedliwianiu się. „Wiara sama usprawiedliwia, mówi Luter, a ta wiara usprawiedliwiająca ma ten szczególny przymiot, że nie zależy na wierze w Zbawiciela, w Jego tajemnice i w objawienie, ale wierzyć głęboko trzeba, że wszystkie grzechy nam są odpuszczone“. Z drugiéj strony pokutę, żal i mocne przedsięwzięcie, które Kościół katolicki nazywa usposobieniem do usprawiedliwienia się, Luter uważa za słuszniejsze nazywać je warunkami koniecznymi usprawiedliwienia. Cokolwiekbądź, możnaby z tego wnieść przynajmniéj, że kto jest pewnym usprawiedliwienia, powinien być pewnym i żalu. Przeciwnie, ta druga pewność, mówi Bossuet, była nawet wstrętną Lutrowi, i nietylko utrzymywał, iż człowiek nie może być pewnym żalu i poprawy, ale nawet nie wie, czy nie popełnia grzechu śmiertelnego w najlepszym czynie. Ztąd wypływa, że wierny, pewny swego usprawiedliwienia, jak pewnym jest przyjścia Chrystusa Pana, nie może być pewnym swéj pokuty, która jednakże jest warunkiem towarzyszącym i niezbędnym usprawiedliwienia. Oto przepaść, jaką trudno przebyć! woła Bossuet [2]). Kalwin popełnia nowe błędy w tym względzie; według Lutra, wierny usprawiedliwiony może utracić łaskę; Kalwin przeciwnie utrzymuje, że łaska raz otrzymana, nie może być utraconą i zachowuje się zawsze, nawet wśród największych grzechów. Ten dogmat niedorzeczny nazywa się nieutracalnością sprawiedliwości. Lecz wobec tego dogmatu, po co sakramenta? Nowi doktorowie nauczają, że usprawiedliwienie wiara sama nam daje; sakramenta nie odpuszczają grzechów i nie sprowadzają łaski, są tylko

1) *Hist. des Variat.*, ks. 2, r. 16; k. 3, r. 18, 19. — Audin, *Vie de Luther.* tom II., pag. 34, 82.

2) *Hist. des Variat.*, ks. I., r. 7, 8, 9. 10, i t. d.

oznakami i niejako pieczęciami, żeśmy otrzymali łaskę. Więc, kończy Bossuet, trzebaby również przyznać, że dzieci rodzą się w stanie łaski, niezależnie od chrztu św.; Kalwin zgadza się na to; wyrozumował on, że dzieci sprawiedliwych rodzą się w stanie łaski i świętości, którą tylko chrzest św. w nich potwierdza; dogmat to niesłychany w Kościele, a w połączeniu z dogmatem nieutracalności łaski, każe wierzyć, że potomstwo wiernego ma już swe przeznaczenie. „Jeżeli, mówi Bossuet, znajduje się jeden sprawiedliwy w całym rodzie, to jego potomstwo już będzie zbawione; jeżeli znów umiera w grzechu, to i poprzednicy jego są potępieni“ [1]). Jakież straszne skutki mogą wywołać podobne wybryki!

Błędy reformatorów co do sakramentów w ogólności. — Liczba i natura sakramentów podlegały również jak i ich skutki niepewności, zmianom i wprost przeciwnym sądom. Luter przyjmował raz jeden, to znów dwa, nakoniec trzy sakramenta: chrzest, Najświętszy Sakrament i pokutę. Melanchton uznawał cztery; dodał sakrament kapłaństwa do trzech poprzednich. Kalwin przyjmował chrzest, Najświętszy Sakrament i kapłaństwo.

Błędy reformatorów co do Eucharystyi. — Lecz najwięcéj sprzecznych zdań tworzono o Najświętszym Sakramencie. Luter odrzucił ofiarę mszy, za namową szatana; on sam nawet to przyznaje i wszystkie jego dzieła wydane we Francyi i w Niemczech to potwierdzają. Chciałby był również dosięgnąć i rzeczywistéj obecności Chrystusa w Najświętszym Sakramencie, gdyż, jak mówi sam, „to jedno byłoby pognębiło papieztwo“; ale został pokonany temi prostemi słowami: To jest ciało moje, i ukorzył się przed tym dogmatem. Jednakże i tu musiał coś zmienić; głosił Wszechobecność, to jest: że ciało Jezusa Chrystusa jest wszędzie obecném, tak jak Bóg; co równało się stosunkowi skończonego do nieskończoności. Zamienił tylko przeistoczenie na współistnienie, ale z pewném wahaniem. Najpierw przyjmował zarówno pierwsze jak i drugie wyrażenie; ale późniéj roku 1531, w dziele napisanem przeciw królowi angielskiemu, potępił przeistoczenie, jako bezbożność i bluźnierstwo. „Dotąd twierdziłem, mówi, że mi jest obojętném, czy chleb pozostaje w Eucharystyi, czy nie; lecz teraz zmieniam przekonanie i mówię, że jest bluźnierstwem i bezbożnością wierzyć, iż chleb przeistacza się“. W roku 1543

1) *Hist. des Variat.*, ks. 9, r. 5, 20.

według opowiadania Melanchtona, dozwolił znów przeistoczenia w niektórych miastach włoskich. „Oto, woła Bossuet, jak jest stanowczy w swych rozporządzeniach i zasadach nowy papież!“ Pierwsi reformatorzy, mówi pewna sławna protestantka, sądzili, że dosięgli najwyższego szczytu umysłu ludzkiego swą wiedzą; ale w tém nielogicznie i niesłusznie postępowali, głosząc swe postanowienia nieomylnémi; gdy tymczasem jednocześnie targnęli się sami na władzę i powagę Kościoła katolickiego [1]). Karlostad pierwszy nie przyznał téj zasady, i według świadectwa Moelhera, założył się, trzymając szklankę w ręku, że pobije swego mistrza, co do rzeczywistéj obecności Chrystusa w Eucharystyi. Pierwsze ich walki, mówi Tomasz Moor, to pierwsze porywy wyścigowego rumaka, zrywającego wędzidła. Oto prawdziwe opowiadanie, mówi Bossuet, pamiętnego zajścia pomiędzy naczelnikami Reformy, według źródeł dziejopisarzy protestanckich. W karczmie pod Czarnym Niedźwiedziem w Orlemonde, Karlostad oświadczył Lutrowi, że nie może znieść jego rozumowań co do rzeczywistéj obecności Chrystusa w Eucharystyi. „Pozwalam ci, odrzekł Luter, pisać przeciw mnie, a nawet dam ci oto ten pieniądz złoty, jeżeli tego dokonasz“. I wyjął z kieszeni złoto, które schował Karlostad; uścisnęli się za ręce i w roku 1524 wypowiedzieli wojnę Najświętszemu Sakramentowi. Pożegnanie obu stron było pamiętne: „Żebym cię ujrzał na kole!“ wołał Karlostad do Lutra, a ten mu odpowiedział: „Żebyś kark złamał nim wyjdziesz z miasta!“ „Oto nowa ewangelia, mówi Bossuet, oto czyny nowych apostołów [2]).

Zwingliusz przyłączył się do Karlostada, aby wystąpić przeciw rzeczywistéj obecności. „Dzisiaj w nocy, sam rozpowiadał, upiór biały czy czarny podda mi najsilniejszy dowód przeciw temu dogmatowi“ [3]). Więc to duchy ciemności wspierały reformatorów w walce przeciw Eucharystyi i ofierze mszy św.? Co za zaślepienie! Przez lat 15 te dwa stronnictwa walczyły, dopiero Kalwin zgromił jednych i drugich. „Powtarzał ciągle Zwingliuszowi, mówi Bossuet, że pod postaciami przyjmujemy prawdziwe ciało i krew Jezusa Chrystusa; że ciało Jezusa jest rozdawane w Sakramencie; że Ono nas przenika; że uczestniczymy,

1) *Hist. des Variat.*, ks. 2, pag. 4. — Pani Staël, *de l'Allemagne.* — Balmès tom I. pag. 6.

2) *Hist. des Variat.*, ks. 2, r. 11. — Moelher, *Symbolika*, tom I, pag. 368. — Thomasz Moore, tom II, pag. 158.

3) *Hist. des Variat.*, ks. 2, r. 19, 26.

nietylko w duchu Jezusa Chrystusa, ale i w Jego ciele; że przyjmujemy właściwą Jego istotę; że Jezus Chrystus łączy się z nami cały, a więc ciałem i duchem; że nie wolno wątpić, iż nie przyjmujemy Jego własnego ciała; i że, jeżeli ktokolwiek w świecie wyznaje tę prawdę, to pewno on najszczerzéj". Z drugiéj znowu strony jawnie wystąpił przeciw Lutrowi i co do rzeczywistéj obecności Chrystusa w Eucharystyi i przeciw papistom. Mówił, że szatani ich opanowali; nazywa ich ludożercami; ich Eucharystyę nazywa ucztą cyklopów, gdzie widnieje jeszcze barbarzyństwo starożytnych Scytów. Ich szkołę teologiczną nazwał cuchnącym chlewem wieprzów i t. d. Jakaż więc jest doktryna tego nowego reformatora w tym względzie? Otóż, choć mówi, że ciało Jezusa Chrystusa jest rozdawane w tym sakramencie, że my bierzemy udział w właściwej istocie krwi i ciała Jezusa Chrystusa, chce jednak, aby ta istota wyłącznie pozostawała w niebie, a my tylko łączylibyśmy się z nią przez wiarę. Pomimo więc tych wzniosłych słów, mówi Bossuet: ciało, krew, właściwa istota. Kalwin uznaje w Eucharystyi tylko obecność Jezusa przez wiarę; a zatém według jego nauki, te rzeczy są tak rozdzielone, jak niebo od ziemi, i nie łącząc się, a nawet i nie mogą łączyć istoty z istotą. „Oto, mówi Bossuet, sprzeczności i nierozsądne zdania, z których nic nie można zrozumieć". To też, według słów Scheffmachera, minister Klaudyusz wyznał otwarcie: „że zdanie Kalwina co do Eucharystyi wydaje mu się niepodobném do prawdy" [1]). Zaślepieni nie widzieli, że wyłamując się z pod przewagi Kościoła i poddając swoje zasady dowolnemu rozbiorowi, pogrążają się w coraz głębszą przepaść!

Zasady reformatorów niweczą moralność i religię.—W zasadach protestanckich również panowało zamieszanie tak w dogmatach, jak i w moralności. Melanchton i Bucer utrzymywali, że dobre uczynki człowieka są zasługą na przyszłe życie; wyznanie augsburskie i wittemberskie zawiera tąż samą zasadę. Luter znowu twierdzi, że te uczynki nie są potrzebne do zbawienia, co jest błędem strasznym i niemoralnym [2]), Lecz to wszystko jeszcze blednieje, w po-

1) *Hist. der Variat.*, ks. 9, pag. 24. — Feller, *Catéch. philos.*, tom II, pag. 268.

2) *Hist. des Variat.*, ks. 1, pag. 10; ks. 3, pag. 25, 26, 43; ks. 8, pag. 30, 32.

równaniu zasad Lutra i Kalwina, które są następujące: „Człowiek nie ma wolnéj woli; wszystko co robi złe lub dobre, czyni z konieczności; łaska raz nabyta nie utraca się, nawet wśród największych zbrodni i przestępstw, zachowuje się i przechodzi z ojca na syna, niezależnie od złéj lub dobréj woli człowieka" i t. d. Strach przejmuje słuchać podobnych zasad, gdyż już cnoty są niemożebne, wszystko karleje, pada i ginie; a protestantyzm, biorąc go w ścisłém znaczeniu, byłby gorszym od ateizmu. Wielu protestantów jest szlachetniejszych od ich zasad, ale jakaż łatwość stania się złym! Religia, to wyraz wiary i moralności w ludach; tam gdzie nie ma wiary i moralności ściśle określonéj, nie ma i religii. Próżnia tych zasad w Reformie odbija się jasno w świątyniach protestanckich. Są smutne i ponure, puste i nieme; nie ogrzeją, nie wzruszą, nie przemówią do ducha ludzkiego. Słusznie bardzo mawiał król pruski Fryderyk II: „Lutrzy obchodzą się z Bogiem jak z równym, kalwini jak ze sługą, tylko katolicy postępują jak z Bogiem". „Przeczyć potrzeb obrzędów i praktyk w rzeczach religii i moralności, mówi Portalis, t. j. zaprzeczać wpływu wrażeń zmysłowych na istoty, które nie są czystymi duchami. Obrzędy i praktyki są tém dla moralności i prawd religijnych, czém znaki dla wyrażenia myśli". „Czujemy, mówi Fenelon, potrzebę dworu i okazałości dla ziemskich władzców, a dlaczegoż nie chcemy uznać potrzeby i okazałości w oddawaniu czci Bogu; byłoby to dowodem nieznajomości praw i potrzeb człowieka!" [1]) Widzimy więc, że tak pod względem religii, jak pod wszystkimi innymi względami, wrzekoma Reforma sprzeciwia się rozumowi, zdrowym zmysłom i dobru ludzkości!

Wpływ namiętności i nadużyć na dalszy rozwój Reformy.—Znając błędy, niedorzeczności i sprzeczności Reformy, dziwnym wydać się może szybki jéj rozwój, gdyby nie przeświadczenie o wielkim wpływie namiętności na sprawy tego świata. Potęga wszechwładna tych namiętności, jakkolwiek poniżająca człowieka, widnieje w rozpowszechnieniu Poganizmu, Gnostycyzmu i Manicheizmu, i wielu innych szalonych teoryi. Protestantyzm zbyt pochlebiał dumie i rozwiązłości, był więc przez nie dzielnie popierany. Według zdania Bossueta: „rozwiązłość i niezależność najwięcéj zyskały stronników téj nowéj wierze". Fryderyk Wielki w swych

1) *Etud. philos.*, tom III. pag. 470—473.

„Pamiętnikach brandeburgskich“ mówi: „Jeżeli chcemy znaleźć przyczyny nadzwyczajnego postępu Reformy, to przekonamy się, że w Niemczech był on dziełem osobistych widoków, w Anglii dziełem miłości, a we Francyi urokiem nowości“. „Chciałbym, mówi pewien protestant anglikański, przez szacunek dla mego kraju, nie wyjawiać tego maluczkiego powodu wielkich wydarzeń; lecz zbyt jest znaną nieprawa miłość Henryka VIII. dla Anny Bolejn, aby ją można było pokryć milczeniem. Gdyby nie owa namiętność, król angielski zachowałby przyjazne stosunki ze Stolicą Apostolską i tytuł Obrońcy wiary, jaki pozyskał przez swe pisma. Oddzielenie się sekty jakiéj od Kościoła, to zawsze idzie drogą występku; powrócenie zaś niewiernych na łono Kościoła, zawsze drogą cnoty“. „Pomiędzy stu ewangelikami, pisze Kalwin, znajdzie się zaledwie jeden, który przyjął to wyznanie z wyższych pobudek, a reszta zaś dokonała tego dla oddania się z zupełną wolnością rozkoszy i niepowściągliwości“ [1]).

Namiętności ludzkie chwytają zawsze powody uniewinniające, i teraz owym powodem było nadużycie i przestąpienie karności przez niektórych członków Kościoła. Przypomnijmy sobie wydarzenia ówczesne, burzące spokój Europy; upadek państwa Rzymskiego, długo miotającego się w bezsilności i nędzy moralnéj; wtargnięcie Saracenów i opanowanie części Europy; wszechwładztwo feudalizmu ze wszystkimi jego skutkami i zamieszkami i t. d.; wobec tych wstrząśnień, mówi Balmés, musiały zapanować: ciemnota, znikczemnienie i zepsucie obyczajów. Niepodobieństwem przeto było, aby społeczeństwo duchowne mogło pozostać niewzruszone, wśród tego zamętu wichrzącego świat cały. W Niemczech, gdzie najpierw powstała Reforma, szczególniéj rozwielmożniło się zepsucie: „Wielu członków wyższego duchowieństwa niemieckiego, mówi Audin, zbyt zajmowało się rozkoszami światowemi i wiodło życie miękkości i zniewieściałości“. Od XIV. wieku piśmiennictwo i uszlachetniający promień nauki przygasł w tym kraju. Papieże kilkakrotnie chcieli ożywić nauki i sztuki piękne w Niemczech, lecz głos ich zawsze stłumiły burze i zamieszki państwowe. Ciemnota panowała w Niemczech; młodzież więc tłumnie zbiegała się do Włoch, do téj ziemi obiecanéj, gdzie kwitły: nauki przyrodzone,

1) *Hist. des Variat.*, ks. 5, pag. 5.—*Lettres d' Atticus.* Kalwin, *Comment. in 2 epist. Petri—Etud. philos.*, tom III, p. 253.

piśmiennictwo, poezya, muzyka, malarstwo, rzeźba, a które wydały tylu mistrzów [1]).

Niesłusznie niektórzy nazywają Reformę wskrzesicielką sztuk i nauk, gdyż wiemy, że ruch naukowy i piśmienniczy powstał jeszcze przed naukami pierwszych głosicieli Reformy. Wymowa, rozprawy, języki, uczyniły znakomite postępy. W miarę, jak odkrywano coraz więcéj pomników historycznych; jak znajomość języków stawała się ogólniejszą, a źródła historyi jaśniejsze i ściślejsze, zaczęto odróżniać w historyi błąd od prawdy, a takim sposobem rozwinęła się krytyka. „Prawda, mówi Balmés, że protestantyzm przyczynił się cokolwiek do tego rozwoju; ale przecież i choroba, dziesiątkująca ludność, przynosi korzyść wiedzy lekarskiéj“. Jedną z najgłówniejszych przyczyn tego ruchu umysłowego było założenie uniwersytetów; a jednak te ogniska światła i wiedzy istniały już przed urodzeniem Lutra. Ten apostoł Reformy zaczął ją głosić za panowania Leona X. a wtedy to właśnie Rzym przewodniczył ludom na drodze postępu, wskrzeszając w nich gorliwość i zapał najwyższy do nauk, „do tego stopnia, mówi Balmés, iż gdyby chciano coś zarzucić Rzymowi, to pewnie nadmiar pracy około oświaty, nie zaś brak jéj. Gdyby pojawił się znów drugi święty Bernard i zwrócił swą mowę do Leona X. to z pewnością nie zgromiłby go za owe nadużycie władzy w celu rozszerzenia światła nauk i sztuk“. Filozofia w tém, co ma najwznioślejszego nic nie zawdzięcza protestantyzmowi; najwznioslejsze i najśmielsze zasady nie zdobyła w Niemczech i Anglii, lecz we Francyi katolickiéj. Descartes, stanowiący nową erę, który zniósł potęgę Arystotelesa i wprowadził na nowe tory naukę logiki i filozofii, był Francuzem i katolikiem. Większość jego uczniów należy do Kościoła rzymskiego; szkoły filozoficzne angielskie, tak sławne, rozwinęły się pod wpływem Descartes'a. Pascal, jeden z najdzielniejszych myślicieli XVII. wieku, nie był przecież protestantem. Wielki Bossuet, orzeł z Meaux, czyż nie czuje w swym locie pomocy skrzydeł wiary katolickiéj? Aż do Leibnitza Niemcy liczyły zaledwie jednego sławnego myśliciela; a Leibnitz nie był protestantem w rodzaju Lutra lub Kalwina. Bez protestantyzmu i przed protestantyzmem oświata europejska była już wysoko posunięta, dzięki wpływowi i pracom religii katolickiéj. Wielkość i wspaniałość, które potém

1) Balmés, tom I. pag. 26.—*Vie de Luther*, tom I. Introduct.

nastąpiły, nie rozwinęły sił z przyczyny protestantyzmu, ale pomimo protestantyzmu. Europa była wówczas zdolną przez swą gorliwość i jedność, odrodzić ludzkość całą; lecz Reforma dzieląc ją i rozdzierając, zniweczyła w części jéj działanie [1]).

Protestantyzm w Niemczech i na północy Europy.—Spory, zamieszki i wojny pochłaniały czynność i siłę umysłów owoczesnych. Niemcy były całe w ogniu. Aby dojść do celu, nowi reformatorzy rozniecali namiętności możnych i ludu prostego. „Reforma czyni postępy, mówi protestant Erazm, i cóż w tém dziwnego? Naród chętnie słucha nauk, które im głoszą, że spowiedź jest niepotrzebną, a zadosyćuczynienie rzeczą próżną". „Przywięzujemy się do Lutra, mówi Melanchton, gdyż on nas wyzwolił od biskupów; kochamy go, gdyż on nas wyrwał z pod ich władzy. Nasi stronnicy rozprawiają nie o Ewangelii, ale o własnych sprawach". Według Bucera, „niczego tak nie szukano w Reformie, jak przyjemności życia, według upodobania". Z drugiéj strony, świadczy Audin, Luter obsypywał pochwałami możnowładztwo saksońskie. Rzym, kardynałowie i duchowieństwo, był to cel obelg i błazeństw; kapelusz czerwony przyprowadzał go do wściekłości; lecz jak tylko ujrzał orszak książęcy, korzył się w pokłonach. Luter był księdzem dworakiem. „W Niemczech, mówi Guizot, Reforma nie żądając wolności państwowéj, potwierdziła jeżeli nie służalczość polityczną, to przynajmniéj brak wolności". Nowi reformatorzy znaleźli dzielnych pomocników wśród książąt niemieckich. Elektor saski, Fryderyk III. który pomimo pobożności, nie miał jasnego światła wiary, zupełnie został oczarowany przez Lutra. Nazywał go „swym ojcem, przyjacielem, wybrańcem Pańskim, człowiekiem Bożym". Ludwik, palatyn cesarstwa, również był łaskaw na niego, jak książe saski. Albert brandeburgski, wielki mistrz zakonu Teutonów, przyjął nowe zasady, ożenił się w siedmdziesiątym roku życia, łamiąc uroczyste śluby i zagarniając większą część skarbów zakonu. Filip, landgraf heski, z bronią w ręku podtrzymywał Reformę, lecz za to wolno mu było mieć naraz aż dwie żony. Przez wiele lat, Karol V. będąc w głębi duszy wiernym katolikiem, okazywał się względem nowego wyznania zbyt pobłażliwym, prawie nierozsądnym i nieraz, mówi kardynał Pacca, poświęcił sprawy religii sprawom państwowym. Reforma korzystała z tych usposobień i stawała się coraz

1) Balmés, tom I. pog. 204; tom II. pag. 445, 470; tom III. pag. 255, 479, 491.

zuchwalszą. W r. 1523 zapanowała w Danii i Szwecyi; Chrystyan II, przezwany Neronem północnym, utracił tron przez występki i ucisk. Duńczycy, długo ciemiężeni, poddali się Fryderykowi I, księciu holsztyńskiemu, wyznawcy Lutra, który i swych poddanych zobowiązał do przyjęcia téj wiary. Szwecya wyzwolona przez Gustawa Wazę, okrzyknęła go swym władzcą; lecz ten wojownik haniebnie odstąpił wiary ojców, przyjął luteranizm, aby zawładnąć dobrami duchowieństwa szwedzkiego.

Wojny Anabaptystów w Niemczech.—Naród, znów wyzwolony przez zasady Reformy, oddawał się namiętnościom swym za przykładem panów i możnych i popełniał najstraszniejsze wybryki. Tomasz Munzer i Mikołaj Stock, uczniowie Lutra, utworzyli sektę Anabaptystów t. j. nowochrzczeńców, gdyż wszystkich wchodzących do ich stowarzyszenia po raz drugi chrzcili. Badając dowolnie Pismo święte, dwaj ci sekciarze odkryli tam, że szlachectwo, duże posiadłości i inne oznaki wyższéj godności są niecném przywłaszczeniem wspólnego dobra, i poddali pod rozbiór narodu prostego, czy to nie jest prawdą. „Bracia, wołał Tomasz Munzer, jesteśmy wszyscy równi, wszyscy dziećmi jednego ojca. Patrzcie, co zrobili możni, oto potworzyli godności, odznaczenia i wyłączne prawa dla siebie; dla nich chléb biały, dla nas ciężka praca; dla nich strojne ubrania, dla nas łachmany! Czyż ziemia nie jest naszém wspólném dziedzictwem? A jednak nam ją wydzierają. Kiedyż to wyrzekliśmy się naszéj ojcowizny? Niech nam pokażą dowód odstąpienia. Wy, potężni tego świata, trzymacie nas w niewoli, wyzyskujecie nas; teraz wróćcie nam wolność; oddajcie nam chléb ziemi rodzinnéj i t. d.". Zuchwali sekciarze rozsyłali po miastach i władzach ogłoszenia, że niewola narodów i ciemiężenie przez możnych kończy się już, że oni są owymi posłannikami Boga, którym rozkazano wygnać ciemiężców, a przywrócić spokój ludom. Wieśniacy z całéj Szwabii pierwsi podnieśli broń w imię wolności chrześcijańskiéj. Do nich łączyły się ościenne prowincye i wkrótce ci fanatycy utworzyli wojsko z czterdziestu tysięcy ludzi. Podzieleni na trzy części, posuwali się wzdłuż Renu, niosąc pożogę i śmierć szlachcie; cudów waleczności dokazywali, nawet zdołali opanować dwa znaczniejsze miasta Würtzburg i Winperg w Frankonii. Podsunęli się aż do Konstancyi w Szwajcaryi, przeszli potém Ren i wtargnęli do Alzacyi, zostawiając po za sobą straszne skutki rozboju. Pustoszyli już pograniczne ziemie Francyi, gdy książę lotaryngski i hrabia Gwizyusz, jego brat na czele sześciu tysięcy ludzi,

zatrzymali te dzikie hordy najezdników i rozbili je. Główny wódz Munzer skończył na rusztowaniu w r. 1525.

Walka Sakramentarzy w Szwajcaryi. — W Szwajcaryi sakramentarze naśladowali anabaptystów w Szwabii. Najpierw chcieli pokonać kantony Lucerny, Szwyc, Zug, Uri i Unterwalden, które okazały się nadzwyczaj przywiązanymi do wiary ojców, i pochwyciły za oręż, aby jéj bronić. Zwingliusz sam szedł na czele wojska. Dwadzieścia tysięcy miał po za sobą, lecz ośm tysięcy katolików zwalczyło protestantów pod Zürichem, a sam sekciarz zginął w zamięszaniu, mając około czterdziestu lat życia. Sakramentarze utrzymywali, że Oecolampad nie mógł przeżyć Zwingliusza i wkrótce potém umarł w r. 1531.

Luter podburza do buntu. Związek smalkaldzki. Jednakże cesarz Karol V. widząc złe grożące państwu, chciał temu zaradzić, i w tym celu zwołał w latach 1529 i 1530 sejm do Spiry i Augsburga. Nakoniec wydał rozkaz, aby wszystko powróciło do pierwotnego stanu i aby religia katolicka przywróconą została w całém państwie pod karą cielesną i sprzedaży dóbr.

Luter, dotąd nauczający, że nie wolno popierać bronią Ewangelii, zapomniał swych zasad i oświadczył, że w śród tych smutnych okoliczności, sumienie zmusza wiernych do podniesienia buntu. Aby się zaś wytłómaczyć z téj sprzeczności, powiedział: „że on nie wiedział w początku o zasadach przeciwnych głoszonych przez prawników". Całe Niemcy stanęły w ogniu; protestanci zebrali się i zawarli związek w Smalkaldzie przeciw cesarzowi Karolowi V, który poczynił im pewne ustępstwa. Widząc te zamieszki i przeczuwając więcéj nieszczęść, Melanchton zawołał: „Czyż trzeba było dzwonić na gwałt aby podburzyć wsie i miasta? czyż nie lepiéj było wszystko wycierpieć niż walczyć i podnieść broń z przyczyny Ewangelii" [1]).

Protestantyzm w Anglii. Panowanie Henryka VIII. i Edwarda VI. — Nie tylko Niemcy, ale i Anglia cała wzrosła niepokojem po zerwaniu z Kościołem. Panowania Henryka VIII, Edwarda VI. jego syna i Elżbiety jego córki zapełniają historyę smutnemi obrazami okrucieństwa i krwawych czynów. Dotąd Henryk VIII. był katolikiem, odznaczał się sprawiedliwością i łagodnością, w przeciągu tych lat dwudziestu skazał tylko dwóch przestępców państwowych na karę śmierci; lecz odkąd ogłosił się naczelnikiem Kościoła anglikańskiego, mówi William Cobbett, stał się ciemiężcą, wyrównywającym owym starożytnym barbarzyńcom, niegdyś pustoszącym Anglię i całą Wielką Brytanię. Przez ośm lat kazał stracić dwie królowe, kardynała, dwóch arcybiskupów, ośmnastu biskupów, trzynastu opatów, pięciuset przeorów i mnichów, trzydziestu ośmiu doktorów, dwunastu hrabiów i książąt, stu sześćdziesięciu szlachty, stu dziewięćdziesięciu mieszczan i sto dziesięć kobiet. W przeciągu czternastu lat skazał na śmierć siedmdziesiąt tysięcy poddanych. Wtenczas to, mówi Bossuet, ludzkość straciła dwóch najznakomitszych ludzi w Anglii: cnotliwego Fischera, biskupa w Rochester i jego sławnego przyjaciela Tomasza Morusa, wielkiego kanclerza państwa. Burnet, protestant i wielbiciel Henryka VIII, zadrżał sam, widząc ten ich koniec smutny i uważa, „śmierć tych dwóch wielkich ludzi, jako wieczną plamę ciążącą na życiu Henryka". Zmuszony do uznania zwierzchnictwa duchownego w królu angielskim, Morus odpowiedział: że zwątpiłby o sobie, gdyby stanął sam przeciw parlamentowi; lecz choć przeciw niemu jest wielka rada Anglii, on jednak ma po swéj stronie Kościół, wielką radę chrześcijańską. Oparł się wszelkim namowom i wstąpił na rusztowanie, z wiarą i odwagą świętych męczenników. „Jakże chcesz, mówił do swéj żony, zalewającéj się łzami u jego nóg, jakże chcesz, abym dla kilku lat życia zapomniał o wieczności?" Śmierć Fischera była również wzniosłą i chrześcijańską. Kardynał Pollus zaledwie uchronił się przed gniewem króla, ale za to ścięto jego matkę hrabinę Salisbury, sześćdziesięcioletnią staruszkę, w jego miejsce, z takiém okrucieństwem, że według Williama Cobbetta, „każdy Anglik rumieni się na myśl, iż podobny czyn popełniono w jego kraju". Zakony duchowne pozostały wierne swemu Kościołowi i wiele téż wydały ofiar i męczenników, ale duchowieństwo świeckie łatwo odstąpiło od swéj wiary i władzy. W roku 1535, pamiętnym śmiercią Fischera i Morusa, papież Paweł III. wyklął ciemiężcę splamionego tylu występkami. W swéj bulli rozwinął wiele wymowy i powagi, aby zwrócić zbłąkanego na drogę obowiązku i prawdy, lecz to, co uczyniło wrażenie na wielu książętach, nie mogło powstrzymać króla angielskiego, zaślepionego namiętnością i zgubnemi zasadami Reformy [1]). Henryk VIII. nie znosząc żadnego oporu, upojony mianem naczelnika Kościoła, olśniony pochwałami i pochlebstwami, był przekonanym, że wszyscy jego poddani winni wierzyć w to, co on rozkaże. Pierwszy

1) Berault, tom IX. pag. 4, 6, 82, 84.

1) Patrz Gosselin, pag. 584.

dał przykład znieważania praw i ciemiężenia niewinności, wydając sąd na osoby, nie wysłuchawszy usprawiedliwienia. Ogromnie wiele wydawał na dwór, opodatkował więc wysoko kraj, po dwakroć zmusił parlament, aby przyjął jego długi; podrabiał pieniądze i wiele innych popełniał zbrodni. Taki wydaje sąd protestant Burnet o królu angielskim, po jego zerwaniu z Kościołem! Pochylmy więc czoło przed niezgłębionemi wyrokami sprawiedliwości Bożéj, która uczyniła takiego potwora zwierzchnikiem Kościoła anglikańskiego, przyjętego przez odstępców prawdziwéj wiary katolickiéj. Jednakże Henryk czyniąc się papieżem, nie chciał być ani wyznawcą Lutra ani Zwingliusza. Pozostawił w nowym Kościele przeistoczenie, mszę, spowiedź ustną, Komunię pod jedną tylko postacią, bezżeństwo księży i śluby czystości. Wzywanie pomocy Świętych nie było wzbronione, ale tylko ograniczone. Za życia więc tego księcia, Cranmer i inni sprawcy Reformy odprawili msze i inne obrzędy Kościoła katolickiego, pomimo przyjętéj innéj wiary; lecz gdy po śmierci Henryka VIII. wstąpił na tron Edward VI., zaczęło się panowanie Cranmera i jego stronników, którzy wyznaczeni byli na wykonawców ostatniéj woli Henryka VIII., i na opiekunów młodego króla. Wówczas już, nie lękając się żadnéj władzy, znieśli mszę świętą i wszystkie obrzędy, potłukli obrazy, potępili religię katolicką, obficie rozlewając krew wiernych Kościołowi rzymskiemu.

Panowanie królowéj Maryi.—Edward VI. wstąpiwszy na tron w dziesiątym, umarł w szesnastym roku życia. Jego siostra Marya, córka Henryka VIII. z Katarzyny aragońskiéj, wstąpiwszy po nim panowała lat siedm. Według Williama Cobbeta, jutrzenka jéj panowania zajaśniała wielu czynami sprawiedliwości i wspaniałości. Wywołała z obiegu pieniądze podrobione przez ojca i brata, zapłaciła wszystkie długi i ograniczyła wydatki dworu. Nie chciała korzystać z majątków, które stanowiły własność korony, za jéj wstąpieniem na tron, a które jednak były niegdyś własnością kościołów, zakładów dobroczynnych i osób prześladowanych za wiarę. Panowała przeszło lat trzy, nie podwyższając podatków. Przywiązana gorąco do wiary katolickiéj Marya, chciała ją ożywić w Anglii; parlament chętnie na to się zgodził i w r. 1554 zdawało się, że spokój już ustalony i przywrócono dawne prawa królestwa co do herezyi. Dla tego to, mówi William Cobbet, wielu pisarzy protestanckich nadali przydomek Maryi: królowéj krwi chciwéj, a w swych dziełach mówią, o prześladowaniu i męczennikach, gdy opisują jéj panowanie. Wolter mówi o ośmiuset ofiarach; Hume ogranicza się tylko na liczbie dwustu sześćdziesięciu według martyrologium Foksa. Lecz większa część tych ofiar, mówi Cobbett, byli to nędznicy, wiecznie zajęci spiskami na życie królowéj i którzy, niby działając znów w imię wolności sumienia, starali się wzniecić bunt, aby rabować swych rodaków. Byli to wszyscy albo odstępcy, albo krzywoprzysięzcy, albo złodzieje powszechnie znani. Wyliczyć ich wszystkich byłoby zbyt trudno, to tylko nadmienię, że liczono pomiędzy nimi dwóch biskupów w rodzaju Cranmera i Cranmera samego. Trzy inne osoby najznakomitsze były: Kooper, Latimer i Rideley, przewyższający swego mistrza w podłości, ale ustępujący mu pod wieloma względami. Królowa Marya umarła w r. 1558, wierna raz danemu słowu, szczera w stosunkach, cierpliwa w przeciwnościach, szlachetna i wspaniałomyślna w szczęściu, wdzięczna tym wszystkim którzy jéj uczynili przysługę; przekazała swéj siostrze Elżbiecie wraz z tronem wyborny przykład prawości czynów, zamiarów i słów, których jednak ona nie naśladowała.

Panowanie królowéj Elżbiety.—Elżbieta była córką Henryka VIII. i Anny Bolein, i panowała od roku 1559 do 1603. Ta księżniczka, godna zarówno ojca jak matki, przywróciła protestantyzm w Anglii ogniem i mieczem. William Cobbett wyznaje, że nawet straszna noc św. Bartłomieja blednieje wobec tych czterdziestu pięciu lat okrutnego panowania królowéj dziewicy [1]). W r. 1570 papież Pius V. św. wydał przeciw téj występnéj księżniczce bullę wyklinającą, podobną do téj, jaką posłał Paweł III. królowi Henrykowi VIII. [2]), lecz takowa nie zrobiła żadnego wrażenia i prześladowanie daléj prowadzono. Według Fellera z dziewięciu tysięcy czterystu duchownych posiadających dobra kościelne, pozostało tylko czternastu biskupów, pięćdziesięciu kanoników i dziewięćdziesięciu proboszczów, którzy nie przyjmując Reformy utracili swe dobra. Z tych jedni skończyli w więzieniu, inni na mękach.

Początek duchowieństwa anglikańskiego.—Nowe duchowieństwo anglikańskie było zbiorem zbiegów ze wszystkich stron

---

1) Pisarze protestanccy chcieli ją czcić tém mianem, lecz Lingard wymienia, aż ośmiu kochanków téj księżniczki. William Cobbet nawet twierdził, że w szesnastym roku swego panowania wydała prawo, zapewniające koronę jéj dzieciom nieprawym, ktokolwiekbądź byłby ich ojcem. *(Status d'Elis.* c. 1.—Rohrb., t. XXIV. p. 584.

2) Czytaj Gosselina pag. 587.

państwa. Doktor Parker, dawny jałmużnik Anny Bolein, stanął na czele duchowieństwa; lecz wyświęcony, według świadectwa wielu pisarzy, w jednéj z karczm londyńskich, przez dwóch prałatów protestanckich Barlowa i Scorry, wyświęconych za Edwarda VI. według rytuału heretyckiego, nie mógł dowieść prawości i ważności swego biskupstwa. Katolicy angielscy i presbyteryanie ciągle utrzymywali, że ani Parker ani Barlow jego sekretarz nie byli prawymi biskupami. Jeden i drugi byli przekonani, że według nowych doktryn dostatecznie, jeżeli królowa potwierdzi ich w godności biskupiéj [1]).

Elżbieta kazała ułożyć nowe wyznanie wiary na radzie duchownéj, zebranéj w Londynie roku 1562. To wyznanie składa się z trzydziestu dziewięciu artykułów, które i dziś stanowią zasady wiary urzędowéj dla wyznawców anglikańskiego kościoła. Od tego to czasu datuje się organizacya tegoż kościoła. Jest to mieszanina Kalwinizmu z pozostałemi zasadami karności, stopni duchowieństwa i obrzędów Kościoła katolickiego; a kamieniem węgielnym tego Kościoła jest zwierzchnictwo duchowe króla lub królowéj nad kościołem i sumieniami.

Żebractwo w Anglii.—Za panowania Henryka VIII., Edwarda VI. i Elżbiety, zupełnie wytępiono w Anglii wiarę katolicką, która niegdyś zyskała jéj chlubne miano wyspy świętych. Odstępując od prawdy, królestwo to już nie mogło znaleść szczęścia i spokoju. Henryk VIII. wstępując na tron, mówi William Cobbet, zastał Anglię spokojną, zjednoczoną i szczęśliwą, przyniósł jéj swém panowaniem burze i rozdwojenia, a większą część mieszkańców pogrążył w nędzy i żebractwie. Jedném z wybitnych znamion Reformy anglikańskiéj był rabunek i zdzierstwo. „To właśnie, mówi Cobbett, główny czynnik reformatorów, gdyby nie było co kraść, nie przyjmowaliby tak chętnie nowego wyznania“. Kościoły, opactwa, klasztory, wszystko zrabowano przy zaprowadzeniu Reformy, a mieszkańcy tych cichych ustroni padali pod ciosami nędzników, jak niewinne baranki napadnięte przez zgłodniałych wilków. Kilkanaście tysięcy klasztorów zburzyła Reforma w Niemczech i Anglii, a sam Henryk VIII. przywłaszczył sobie tyle dóbr duchownych, że rozdawał je swym sługom. „Jednym z głównych skutków Reformy, dowodzi William Cobbett, była straszna nędza w którą popadły tłumy biednych żywionych przez

1) Że święcenia anglikańskie nie są ważne, czytaj O. Lequiena dominikanina, Hardouina jezuitę i Bergera, art. Anglia.

klasztory. „Większa część dochodów z majątków duchownych rozchodziła się pomiędzy ludem i można śmiało powiedzieć, nie lękając się dowodów zaprzeczających, że gdyby nie rabunek reformatorów, dokonany na klasztorach, Anglia dziś jeszcze nie znałaby swego podatku ubogich, téj rany toczącéj państwo pomimo pozornego dostatku, a która może prędzéj, czy późniéj sprowadzić zgubę narodu“. Za panowania Elżbiety, obradowano aż jedenaście razy na parlamencie celem zaradzenia nędzy biednych; rzecz niezwyczajna w dziejach Anglii. Przypomnijmy sobie, mówi ten sam pisarz, że przez dziewięćset lat, gdy naród nasz wyznawał wiarę katolicką, nie znano praw szczegółowych, dziś potrzebnych dla utrzymania i urządzenia biednych. Ten motłoch, umierający z nędzy i głodu, zagraża państwu i jednostkom. A znów rodzaj opieki urzędowéj nad nędzą, tamuje wolność osobistą i swobodę przemysłu. Państwo, któremu kościół pomagał w potrzebie, straciło również wiele; to też cesarz Karol V., który umiał dobrze liczyć, powiedział, że Henryk VIII., znosząc klasztory w Anglii, „zabił kurę co niosła złote jaja“. Za naszych dni nawet dnia 12 marca 1844 r. uniwersytet w Cambridge, wyłącznie złożony z anglikanów, rozbierając czyn Henryka VIII. co do zniesienia klasztorów w Anglii, zawyrokował większością dziewięćdziesięciu głosów przeciw sześćdziesięciu, że „zniesienie klasztorów przez Henryka VIII. było wielkiém nieszczęściem dla kraju, i że obecnie okoliczności wymagają stanowczego przywrócenia podobnych zakładów w naszym kraju [1]).

Protestant Cobbett wykazawszy, że Anglia nigdy nie była w pomyślniejszym stanie, jak w epoce gdy jeszcze była katolicką, przedstawia widok ostatniéj nędzy za dni naszych, a popierając to słowy wielkiego kanclerza Fortescue, dodaje, że niegdyś lud miał wszelkiego rodzaju mięsa i ryby w wielkiéj obfitości, że był dobrze odzianym, że każda rodzina opatrzoną była we wszystko, czego potrzeba do życia dostatniego i szczęśliwego.

Samemi aktami parlamentu udowadnia, że klasy najbiedniejsze miały za karm wołowinę, cielęcinę i baraninę; z rejestrami w ręku robi uwagę, że wszystkie przedmioty nieodzowne do życia, o połowę mniéj kosztowały, i że ubóstwo nie było znaném.

1) *Hist. des Variat.*, ks. 8, p. 13.—W. Cobbett, list 7.—Lingard, tom VII.—*Ami de la Rel.*, 4 kwietnia 1844 r.—Rohr., tom XXIV. p. 190, 209—227, 584.

Z wprowadzeniem Reformy, wszystko całkiem się zmieniło. Jak tylko skonfiskowano dochody kościelne, które stanowiły dziedzictwo ubogich, wnet żebracy pojawili się na drogach publicznych. Dla poskromienia ich, pozwolono sędziom kazać u c i n a ć i m c z ę ś ć u c h a; a w przypadku recydywy, s k a z y w a n o i c h n a ś m i e r ć, jako buntowników. Wstępując na tron Edward VI. ogłosił dekret, którym rozkazywał piętnować żebraków ż e l a z e m r o z p a l o n é m, i c z y n i ć n i e w o l n i k a m i n a d w a l a t a; upoważniał potém ich panów przywiązywać tych biedaków żelaznym łańcuchem za szyję, i karmić tylko chlebem i wodą. Królowa Elżbieta używszy wszystkich środków dla pozbycia się żebractwa, musiała nałożyć opłatę dla ubogich, prawdziwą obelgę dla narodu, a jednak takie ją mnóstwo ubogich otaczało, gdy kraj zwiedzała, że zmuszoną była zawołać: *pauper ubique jacet!* Później coraz się zwiększała liczba żebraków, a nędza ich, coraz stawała się groźniejszą. Sprawozdanie szeriffa de Wiltshire 1821 r. przywodzi, że kartofle były prawie jedynym pokarmem obywateli i robotników miejskich; dekret ogłoszony przez członków magistratu Norfolkskiego w r. 1825, stanowi płacę robotnika na trzy sous dziennie; sędziowie trybunału królewskiego objawili, że robotnicy żyli jedynie chlebem i wodą; raport pisany w r. 1826, przysłany z hrabstw północnych, a ogłoszony w tychże miejscach, donosi, że znaczna liczba osób prawie już umiera z głodu, a walczą tam ze śmiercią jedząc mięso końskie lub nieczystych zwierząt.

I za dni naszych nic się tam nie zmieniło. Przywiodę na to kilka dowodów niezbitéj pewności, gdy zacytuję Margotti'ego i innych autorów. Kilka lat temu *Morning-Post* ogłosił straszliwy opis Londynu podczas nocy, i nie jest to wymysł gazeciarski, ale rezultat badania. Co do słowa przepisuję, co w nim opowiada Mayhow. „Podczas nocy, gdy zgiełk życia ustaje, a w sklepach gaszą ognie, widzieć można tych, którym braknie dachu i żebraków nagromadzonych stosami, jednych na drugich, na ławach parków, w niszach mostów, na wschodach. Tam na stopniach drzwi leży zwinięty w kłąb, z nogami gołemi człowiek, który w ciągu dnia nie mógł wyżebrać tyle, żeby znalazł schronienie pod dachem. W miejscach gdzie goreją wielkie płomienie gazu, dla przestrogi, że tam są zawady lub niebezpieczeństwa z powodu jakiéj restauracyi, na całéj ulicy mnóstwo ludzi w łachmanach otacza ten ogień, jedni śpiący, drudzy z fajką w ustach. Nastaje później światło dzienne, ubodzy ukazują się w swych brudach, wielu z grubemi sakwami na ramionach rozchodzą się tam i sam

grzebiąc w każdéj kupce ziemi lub śmiecia, byle co zarobić na przeżycie, szukają kości wyrzuconych na ulicę, gałganów lub kawałków starego żelaztwa.

Ale do przytułku nędzarzy, zajdźmy w porze zimowéj, do Playhouse-Yard, tam to znajdziemy mnóstwo biedaków bez schronienia, skupionych około miejsca przytułku przy zapadaniu nocy, w oczekiwaniu kiedy otworzą bramę. Stoją bosemi nogami, zsiniałemi, popękanemi od zimna, bo cały dzień chodzili po śniegu i lodzie. Czekają wystawieni na ostry wiatr, przeciskający się przez ich łachmany, na coraz większe udręczenie. Krzyki zgłodniałych, trzęsących się od zimna dzieci, i sprzeczki tego tłumu chciwego przytułku na noc i funta chleba, dają się słyszeć w sposób przerażający. Kiedyśmy zwiedzali ów przytułek, daléj opowiada Henryk Mayhow, było tam więcéj czterech set stworzeń, doprowadzonych do ostatniéj nędzy, które cisnęły się w bramę. Matka z malutkiemi u piersi, ojcowie z dziećmi przy boku, ludzie bez przyjaciół, bez grosza, bez koszuli, bez chleba, bez schronienia i t. d.

I to mówi się tu tylko o jednym z licznych przytułków, znajdujących się w Londynie. Dziennik angielski lekarski najwięcéj rozpowszechniony, utrzymuje, że w przeciągu jednego tylko roku 21.770 Irlandczyków umarło z głodu na pustych ścieżkach ich gór, albo w klitkach zarażonych. Cyfrę tę wyjęliśmy z rocznéj tablicy spisu Irlandyi, a *Medical-Times* upewnia, że liczba umarłych śmiercią głodową daleko niższa wykazana niżeli była w rzeczywistości. Dzienniki angielskie doniosły d. 19 września, że policya zabrała w Londynie matkę z córką w chwili, gdy się miały rzucić do Tamizy dla uwolnienia się od cierpień pożerającego je głodu. *Times* opowiada historyę o śmierci matki i czterech jéj córek zmarłych z głodu w Londynie. W sierpniu r. 1856 Smart, malarz portretów, znaleziony został martwym na rogu galeryi podziemnéj, która była schronieniem złodziejów, a śledztwo odbyte na trupie wykazało, że nieszczęśliwy umarł z głodu. Doktor Letheby naznaczony do przepatrzenia ścieków i kanałów podziemnych stolicy Anglii, w niewielkim promieniu, w przeciągu trzechmiesięcznych poszukiwań, znalazł pięćdziesiąt ośm przypadków śmierci w skutek głodu lub wyniszczenia sił.— Niestety! te fakta tak smutne dla ludzkości, dałyby się liczyć na całe setki. Londyn, podług spisów urzędowych, ma jednego ubogiego na ośmiu mieszkańców, a rzeczywiście według Roberta Pashley'a, jednego ubogiego na czterech mieszkańców; podczas gdy w Paryżu liczą jednego na

szesnastu, a w Rzymie podług urzędowéj statystyki jednego na ośmdziesięciu, przed zaborem Rzymu przez piemontczyków.

Ponieważ protestantyzm zniszczył w sercach miłość prywatną, zniósł klasztory, a przez to ubodzy zostali bez żadnego wsparcia, musiano ustanowić podatek dla ubogich; ale zebrane w ten sposób sumy, nie wiele znaczą w porównaniu z nędzą klasy niższéj, a nadto, z sum tych wydzielają na wydatki administracyjne, wreszcie z ubogimi obchodzą się tam równie jak z więźniami. Ubogi przytém jest w największéj pogardzie. Kościół protestancki zajmuje się tylko bogatymi; co do gminu, to ten nie ma żadnéj oświaty religijnéj, żadnego poczucia moralnego, nie bierze udziału w naukach Jezusa Chrystusa, nie chodzi do kościoła, i żyje pozbawiony dóbr nadprzyrodzonych, jakie nam przyniósł Boski Odkupiciel; i tak jest on wydziedziczony ze wszystkich praw ludzkości.

Jeszcze słówko o robotnikach, którzy wszędzie przeważną część ludu stanowią, ale szczególnie w Anglii. Żaden los nie da się porównać z ich losem, a zapewne w całéj Europie są to ludzie najbardziéj uciemiężeni, i największe znoszący ciężary. Wszakżeż nigdzie tak nie są przykuci do ciężkiéj pracy, nigdzie ta praca nie jest tak okropna, jak w Anglii; bo rzeczywiście, w ciasnych warsztatach zajęci są budowaniem machin, lub w kopalniach węgla ziemnego, wystawieni na zagubę tysiącami; pokarm ich kończy się na kilku kartoflach i to jeszcze nieraz nadpsutych, oraz na porcyi wody; albowiem dla ekonomistów angielskich ważném jest zadaniem wiedzieć, czy zmuszać robotnika do piętnastu godzin pracy, w miejsce dwunastu, i czy dziesięć uncyi kartofli w miejsce dwunastu dostatecznym będą dlań posiłkiem.

I taki jeszcze pokarm nie zawsze mają zapewniony. Niechaj tylko w innych krajach handel pójdzie pomyślniéj, a wnet ci robotnicy, ponieważ więcéj ich jest niżeli potrzebuje stowarzyszenie, wpadają niezwłocznie w ostatnią nędzę.

W lutym 1857 r. ogromne gromady robotników przechadzały się w Londynie, po ulicy Oxfordzkiéj żałośnie wołając na każdym kroku: *All out of Work!* Wszyscy bez roboty! *All Starving!* Wszyscy umieramy z głodu! I szli przez miasto, wydając złowrogie krzyki: *Woe, Woe!* Biada, Biada! Były wtenczas w Londynie tysiące i tysiące robotników bez pracy: 9.000 stolarzy, 8.000 mularzów do pobielania, 16.000 murarzów, 2.000 kowalów. Wszyscy oni wołając o

chleb, zebrali się w Smithfield, gdzie niegdyś Wat Tyler ze sztabą w ręku ogłosił prawa człowieka.

Daily-News ogłaszał, a nikt mu tego nie zaprzeczył, następne słowa: Smuci nas to, że widzimy w całém hrabstwie Lancaster zwiastunów nędzy w bramach fabryk, tych tłumów robotników bez pracy, inni w rozpaczy szemrzą w swoich mieszkaniach. W Blackburn, owém największém ognisku przędzalni bawełny, wiele secin robotników zostaje bez zajęcia każdego tygodnia. Jedenaście fabryk w jednym dniu zostało zamkniętych, za tym przykładem poszły inne fabryki. Z fabryk zamkniętych cztery już sprzedały swe machiny, a cztery są na sprzedaniu z całym ich przyrządem.

W Preston, fabryki bawełniane czynne są tylko czterdzieści ośm godzin w tygodniu. W Carlisle, tylko cztery dni w tygodniu pracują, a do tego już zapowiedziano robotnikom, że godziny pracy jeszcze będą zmniejszone, co naturalnie pociągnie za sobą zmniejszenie płacy. W Derby, robotnicy przy fabryce jedwabiu są bez zajęcia, i stosownie do tego, jak opowiada *Daily-News*, listy podpisów zostały otwarte dla zapewnienia środków utrzymania szczególnie dla kobiet. Podług raportu świeżo złożonego przez naczelnika policyi w Manchester, pokazuje się, że z 87 fabryk bawełny, które zatrudniały 24.294 robotników, czynnych ledwo zostało 30, zatrudniających 10.273 osób. Dwie fabryki jedwabiu ogłaszając swą upadłość, wyrzuciły na bruk uliczny 1.750 robotników; 233 warsztatów farbiarzy, machiny i gisernie dostarczały roboty 45.000 robotnikom; na tych 45.000, tylko 16.000 zachowało swą pracę i opłatę zwyczajną, 18.000 i jedną zmniejszoną i drugą, a więcéj 10.000 zostało bez zajęcia. Te zaś cyfry, dodaje raport, nie przedstawiają zupełnie nędzy panującéj w Manchester.

W Rochedall i sąsiedztwie, 1770 robotników tylko pół tygodnia pracują z opłatą zmniejszoną, a 1.700 jest bez żadnéj roboty. W miasteczku Stokport liczą 49 fabryk, z tych 35 zamkniętych albo też wprowadzonych w czynność tylko w dnie pewne i ze zmniejszoną opłatą.

W Middleton i w Tonge, nędza jest w najwyższym stopniu, szczególnie śród robotników jedwabnictwa, składających największą część ludności. Nakoniec w Usthton, Burg, Bacup, Barnley, Batton, Charley, Accrington, Coln Wigan, wszystko w stronach bardzo zaludnionych, znaczna część robotników jest bez zajęcia, albo też pół dnia

tylko pracuje, a nędza tam daje się widzieć, jeżeli nie większa to równa jak w Manchester.

Częste korespondencye z Anglii i Prus donoszą, że tłumy robotników snują się po ulicach i wrzaskiem niepodobnym do głosu ludzkiego przerażają strachem przechodniów. Takie to położenie robotnika w Anglii i Prusiech.

W końcu, jeszcze jedno słowo o tak obszernym handlu Anglii i Prus. Zostawmy na stronie pozory, a prędko się rozczarujemy. Czy z handlu tak rozgałęzionego ma jaką korzyść lud prosty? Ani przypuszczaj tego! Pewna liczba kapitalistów, kilka bogatych spółek, wszystko garnąc do siebie, stawają na drodze prywatnym w ich przemyśle i handlu, bo w obec nich, nikt utrzymać się nie jest w stanie. Same tylko ciężary i ciężka praca są udziałem ogromnéj większości narodu. Lud tę jednę ma tylko perspektywę, rzucać się tam i sam dla odniesienia jakich drobnych korzyści na usłudze pana, który porywając go ojczyźnie, rodzinie i przyjaciołom, choćby jak najwięcéj płacił, nie zdoła mu wynagrodzić tych pociech, których go pozbawia. Oto pomyślność tak sławiona krajów, na które tylu nieświadomych rzuca oko zazdrośne. Nazwali, mówi Duch Św., błogosławionym lud, który całą tę wielkość światową posiada; ale nie tak to jest: ten tylko lud szczęśliwy, który Boga ma za Pana: *Beatus populus, cujus Dominus Deus ejus.* Potrzeba gruntownéj oświaty, pobożnego, moralnego wychowania ludów, i klasztorów dobrze uposażonych i zachowujących swoją regułę, a nie będzie nędzy—pomyślność, moralność i dobrobyt znów zakwitnie wśród narodów—tak sądzą sami anglicy protestanci, politycy, ekonomiści, jakto wskazaliśmy wyżéj.

Noc św. Bartłomieja i poprzedzające ją wypadki.

Protestantyzm, ten pożar niszczący Niemcy i Anglię, szerzył się i we Francyi, zrządzając straszne spustoszenia. Franciszek I. aby podnieść uprawę sztuk i nauk w swém państwie, ściągał ze wszystkich stron cudzoziemców, słynących wiedzą i zdolnością. Korzystając ze sposobności Luter, Melanchton i Zwingliusz wysyłali do Francyi ludzi, odznaczających się w piśmiennictwie, znajomości języków i w sztuce rozumowania. Z powodu znajomości języka greckiego i nieco hebrajskiego, ci cudzoziemcy uchodzący za mistrzów wiedzy, zdołali zyskać opiekę kilku znakomitszych rodzin, a stając się wyroczniami, tłómaczyli Stary i Nowy Testament, według osobistych widoków, i potwierdzając ich zgodność z tekstem greckim lub hebrajskim, który ciągle mieli na ustach, pogardzali przekładem Wulgaty. Od roku 1535 Kalwin zdobył przewagę nad Lutrem i odtąd już stale zapanował we Francyi. Franciszek I. miał siostrę ukochaną Małgorzatę Valois babkę Henryka IV. zaślubioną najpierw księciu d'Alençon a późniéj Henrykowi d'Albertowi, królowi Nawarry. Ta księżniczka z umysłem wyższym, trochę poetka, chciała zrozumieć tajemnicę religii, i chętnie wsłuchiwała się w nauki głosicieli nowéj wiary. Ci umieli zręcznie ją opanować, za pomocą kilku książek, które jéj ofiarowali, i szumnych słów, jak: prawdziwa Ewangelia, uwielbienie w duchu i prawdzie, wiara wyzwolona z przesądów, zdołali wzbudzić w niéj lekceważenie obrzędów katolickich. Lecz łaska Boża spłynęła na nią i poznała światło prawdy. Lecz cokolwiek późniéj Joanna d'Albert, jéj córka, matka Henryka IV., popadła w błędy nowego wyznania i nie powróciła już na prawą drogę. Pociągnięta przez swego męża Antoniego Bourbona, króla Nawarry, i przez je-

dnego z głosicieli Reformy, księżniczka ta, która jednak według słów Branmota, „wolała bawić się niż słuchać kazania“, wyrzekła się wiary swych ojców i ludu, stała się kalwinką i tak samo wychowała syna Henryka, gotując Francyi wiele smutnych chwil. Teraz więc duch nowéj wiary okazał się we Francyi, takim jakim był w istocie, t. j. gwałtownym, napastniczym i bezbożnym. Bo oto Jan Leclerc, robotnik w zakładzie sukiennym, jeden z pierwszych luteranów francuzkich, głosił zuchwale w Meaux, że papież jest Antychrystem. W Paryżu r. 1528, protestanci wpośród tysiąca znieważ, zwalili posąg świętéj Dziewicy, zdobiący ulicę zwaną wówczas Rosiers. Jeden z Dominikanów porzucił życie zakonne i przeszedł na stronę kalwinów, a pojąwszy aż dwie żony, zaczął głosić dogmaty nowéj wiary w Lyonie. Większość kalwinów francuzkich nie mogąc swobodnie wyznawać swéj wiary, udawała się do Genewy, gdzie Kalwin wszechwładny przyjmował ich chętnie i podbijał umysły wychodźców. Niemcy znów i Genewą nie przestawały wysyłać swych gorliwych pracowników. Aby powstrzymać ten prąd nieprzyjazny niosący zepsucie i niewiarę, duchowieństwo francuzkie zbierało się na sobory w Sens, w Bourges, w Lyonie, w Tours i Rouen; uniwersytety zabraniały szerzenia dzieł gorszących; królowie wydawali różne postanowienia, aby powstrzymać zuchwalstwo śmiałych reformatorów; parlament wydał nawet kilka wyroków śmierci przeciwko wodzom, ale prawo, groźby, kara, wszystko to nic nie pomagało. Francya, mówi Berault-Berastel, czyniła próżne wysiłki aby odżegnać zarazę, która ją otoczyła dokoła i zagłębiła się w łonie narodu. W roku 1559 w Paryżu odbyło się pierwsze Zebranie narodowe Kościołów reformowanych we Francyi, i tu kilku pastorów bez upoważnienia wyższéj władzy i przeciw głównéj zasadzie Reformy, „dowolnego rozbioru“, chcieli wszystkie kościoły reformowane we Francyi zjednoczyć pod względem nauki i karności [1]).

1) Celem tego naśladownictwa katolicyzmu było zażegnanie rozdziału kalwinów. Próżne wysiłki; dzieło konstytucyjne tego zebrania z roku 1559, nie mogło złączyć kościołów rzeczywiście wolnych i niezależnych, ani ustalić wiary zmiennéj, czerpanéj w Piśmie św., tłómaczoném według osobistego poglądu każdego z wiernych. Było więc odrzucone przez protestantów, a jeden nazwał je papieżem na papierze. Ale nic nie mogło być zapomnianém, co posłużyłoby do niezgody w Reformie, otoż i protestanci z Gard, przez dziwne sprzeciwieństwo, obchodzą pamiątkę tego zebrania jubileuszem świeckim. Widocznie, że Reforma za targnięcie się na Kościół, źródło prawdy, skazaną jest

Tegoż samego roku 1559, przewodniczący temu zebraniu Minard został zabity wystrzałem z broni palnéj przez współwyznawców. W Paryżu i w Blois, gdzie znajdował się dwór, przylepiano pisma pełne bluźnierstw przeciw świętym tajemnicom wiary, zniewag dla duchowieństwa i gróźb dla króla. Przy Ferté-sous-Jouarre, za namową mistrzów i nauczycieli protestanckich z Niemiec, Francyi i Genewy, kalwiniści tłumnie się zebrawszy, pochwycili broń, aby zniweczyć wiarę katolicką we Francyi, wymordować Gwizyuszów, a nawet, według niektórych dziejopisarzy, i całą rodzinę królewską. Spisek został szczęśliwie odkryty przez księcia Gwizyusza i przerwany w Amboise w roku 1560 [1]).

Tryumwirat hugonotów złożony z Coligny, Andelota i księcia Kondeusza.—Nowe wyznanie wzrastało w potęgę i śmiałość, gdyż znajdowało poparcie między możnymi panami francuzkimi. Były we Francyi dwie rodziny, ciągle przebywające na dworze królewskim, gdzie miały wielki wpływ, a mianowicie rodzina Gwizyuszów i Montmorencych. Te dwa domy podzieliły pomiędzy siebie wszystkie łaski, zaszczyty i władzę. Otoż protestantyzm pociągnął ku sobie kilku członków mianowicie z ostatniéj rodziny. Ludwika Montmorency, siostra sławnego wodza, zaślubiona Gaspardowi Coligny, panu na Chatillon, była gorliwą hugonotką. Jéj trzéj synowie: admirał Coligny, Andelot pułkownik, generał piechoty francuzkiéj, i Odet Châtillon, kardynał i biskup z Beauvais, poszli za przykładem matki. Kardynał nawet ożenił się pomimo kardynalskiéj czerwonéj sukni. Trzéj panowie Coligny, już potężni sami z siebie, przeciągnęli na swą stronę księcia Kondeusza, który później został głównodowodzącym hugonotami [2]). Geoffroy z Renaudie, szlachcic z dawnéj prowincyi francuzkiéj Perigorde, przyjmował na siebie najniebezpieczniejsze posłannictwa i zginął w spisku w Amboise. Był to człowiek bez czci i zasad, uwięziony za jakiś czyn niegodny w Dijon, zdołał ztam-

na wieczną niezgodę i sprzeczność.— List pasterski z Nimes do protestantów w w Gard, 1859 r.

1) Berault, tom IX. pag. 22, 25, 63. 147, 247, 330, 333, 447, 463, 471.

2) Według najprawdopodobniejszéj opinii ta nazwa, mówi Berault-Bercastel, pochodzi od niemieckiego słowa *eignosten* albo *eignots*, co znaczy związani, zjednoczeni w wierze. Inni znów utrzymują, że reformowani sami sobie nadali tę nazwę jako pochodzący od obrońców Hugo Kapeta przeciw potomkom starożytnego Karola lotaryngskiego. Tom IX. pag. 192. — *Réponse des catholiques*, 1588.

tąd uciec do Bernu, później do Genewy, gdzie poznał Reformę, przyłączył się do wyznawców nowéj wiary i stał się najgorliwszym jéj krzewicielem.

Tryumwirat katolicki złożony z księcia Gwizyusza, konnetabla Montmorency i marszałka de Saint-André. — Przeciw admirałowi Coligny i Kondeuszowi wystąpili: książe Franciszek Gwizyusz, najdzielniejszy wódz swego czasu i najzacniejszy pan, według zdania nieprzyjaciół nawet; sławny konnetabl Anne Montmorency, wuj admirała Coligny i marszałek de Saint-André, człowiek nadzwyczaj wpływowy przez niezmierne bogactwa i sławę wojenną. Ten związek nazwali tryumwiratem, a hasłem ich były owe pamiętne słowa konnetabla Montmorency: jedna wiara, jedno prawo i jeden król. Lecz tu, tak jak i wszędzie, złe łączy się z dobrem. Admirał Coligny i książe Gwizyusz nienawidzili się wzajemnie. Królowa Katarzyna Medicis po trzy kroć rządząca państwem a kierująca się tą zasadą: kłócić i panować, trzymała się chwiejnie pomiędzy dwoma stronnictwami, łaskawie przechylając się to na jedną to na drugą stronę, aby powstrzymać rozwój i potęgę obydwóch. W miesiącu lipcu roku 1561 ukazał się edykt zabraniający szerzenia Reformy. Tegoż samego roku kalwini otrzymali pozwolenie na publiczną rozprawę w Poissy, i gdyby nie kardynał Lotaryngski, a głównie ks. Laynés, którego dowodzenia jasne i głębokie zwalczyły błąd, nieostróżność królowéj matki i zręczność Teodora Bezy, mogłyby zachwiać prawdę w umyśle młodego króla. Chwiejne postępowanie i zbytnia ostróżność Katarzyny wznieciły jeszcze większą nienawiść pomiędzy księciem Gwizyuszem i admirałem Coligny. Niezadowolenie, nienawiść osobista, zapał religijny, dobro państwa i wiary, wszystko się zawierało w tém uczuciu. Francya cała wrzała, a iskra jedna była zdolna rozniecić pożogę wojny. Często bardzo, mówi Falloux, nazywają wojną religijną, wszelkie spory między heretykami a prawowiernymi katolikami, i czynią religię odpowiedzialną za wylew krwi, gdy tymczasem ten wyraz religia, czy w napaści czy w obronie, był tylko środkiem jednania stronników i wyzyskiwania ich dobréj wiary w widokach osobistych [1]).

Pierwsze wojny religijne we Francyi. Zabójstwo księcia Gwizyusza. R. 1562—1563. — W środę popielcową

1) Berault, tom IX. pag. 528. — Caveyrac, pag. 47. — Rohrb., tom XXIV. pag. 61.—*Vie de saint Pie V.* pag. 69.

r. 1562 książe Gwizyusz, przechodząc przez małą wioskę Wassy w Szampanii, chciał tam wysłuchać mszy. Kiedy zaczęło się nabożeństwo, kalwini zebrani w stodole poblizkiéj, zaczęli śpiewać psalmy tak hucznie i głośno, że aż książe musiał przerwać modlitwy. Posłał do nich, prosząc o chwilę spokoju, dopóki nie skończy nabożeństwa, a wówczas z całą swobodą mogą daléj śpiewać. Hugonoci odpowiedzieli potokiem obelg i głośniéj jeszcze zaczęli krzyczeć. Rozgniewana tém służba biegła ukarać zuchwalców; pospieszył i książe Gwizyusz, aby powstrzymać zapęd nierozważnych, ale gdy dochodził do drzwi stodoły ugodzono go kamieniem w twarz. Na widok krwi, jego ludzie, pomimo wyraźnego zakazu, rzucili się na hugonotów, zabili sześćdziesięciu, a ranili blizko dwustu. Książe Gwizyusz utrzymywał do ostatniéj chwili, że wypadek w Wassy stał się pomimo jego woli i wbrew jego zakazowi. Dziejopisarze protestanccy Thou i Popeliniére twierdzą toż samo. Cokolwiekbądź, ten nieszczęsny wypadek nazwano rzezią w Wassy, a reformatorzy rozbiegli się po całym kraju, wołając o pomstę. Przez nienawiść i zazdrość względem księcia Gwizyusza, który z chwałą powracał i był radośnie przyjmowany w Paryżu, królowa matka łaskawie wysłuchała skargi hugonotów. Chciała nawet im powierzyć swego syna Karola IX. zaledwie lat 12 mającego. Z Fontainebleau, gdzie znajdował się dwór, pisała ona tajemnie do Kondeusza: „Przyjdź i uprowadź nas, a zbawisz matkę i dziecię". Na tę wiadomość, reformatorzy zadrżeli z radości, że mieć będą królowę matkę, króla i monarchę w ręku, a zatém staną się panami położenia. Kondeusz i Coligny pochwycili broń, aby dokonać tego zamachu; lecz czujny książe Gwizyusz uprzedził kalwinów, uprowadzając na czele paryżan młodego króla, zostawiwszy królowę matkę wolną, mogącą iść, gdzie jéj się podoba. Kondeusz przybył z wojskiem zapóźno do Fontaineblau i zrozpaczony zawołał: „Tak daleko zapłynęliśmy, że albo trzeba się utopić, albo nic już nie oszczędzać". I rzeczywiście nic już nie oszczędzano; jawnie wystąpiono przeciw królowi, zebrano silne wojsko, pozawierano związki z cudzoziemcami a głównie z Anglikami; wzniecono powstanie w całym kraju i nakoniec powstańcy opanowali Orlean, Bourges, Grenoble i wiele innych miast. Francya przeniosła trzy wojny domowe, jedną po drugiéj. Pierwsza trwała od r. 1562 do r. 1563. Po stronie Hugonotów, baron Acier-Crussol, na czele dwudziestu pięciu tysięcy ludzi napełnił Langwedocyą i Delfinat strasznemi okrucieństwami i występném znieważaniem katolików, księży, zakonnic i kościołów. Baron Adrets zalał krwią i

ogniem Forez, okolice Lyonu, Delfinatu i Prowancyi i t. d. „Pomiędzy nami, mówi opat Caveyrac, popełniono w tym czasie więcéj dzikich zbrodni, niż przez dziesięć wieków w całym świecie“. Te potwory kąpały swe dzieci w krwi katolickiéj, aby przytłumić w ich sercach wszelkie poczucie ludzkości. Po stronie przeciwnéj, według Brantoma, Blaise de Montluc wyrównywał w okrucieństwie baronowi Adrets; lecz poważni pisarze zbijają to oskarżenie. Jeżeli nadużycie nie usprawiedliwia nadużycia, to przynajmniéj jedno drugie tłómaczy i wyjaśnia. Przytém mówi Veuillot, lepiéj walczyć za prawdę, niż rozpowszechniać błąd; za sprawy wieczyste narodu, niż o handel lub powiększenie granic państwa. Czyż można pomyśleć, że rzeczy doczesne są świętsze od wiecznych; że czas ważniejszy od wieczności; że człowiek jest nietykalnym jak Bóstwo? Jeżeli zaś katolicy nadużyli kiedykolwiek swéj siły i przewagi, to pewnie nie czerpali natchnienia w duchu Kościoła. Ta pierwsza wojna domowa kończy się śmiercią księcia Gwizyusza. Tego zamachu, na życie jednego z prawowiernych katolików, dokonał hugonot, Jan Poltrot, według własnego zeznania, namówiony przez admirała Coligny. Ten ostatni, mówi Berault-Bercastel, nigdy nie oczyścił się z téj plamy. Według Bossueta, admirał uwiadomiony o tym zamiarze morderstwa, nie odwodził od tego Jana Poltrota; przeciwnie dał mu po dwakroć sto dwadzieścia sztuk złota, dla ułatwienia zbrodni a następnie ucieczki [1]).

Druga i trzecia wojna religijna we Francyi. — R. 1567 do 1568. — Po śmierci księcia Gwizyusza wszyscy upadli na duchu w obozie króla. Królowa matka nic nie szczędziła, aby utrzymać pokój. W tym celu ogłoszono roku 1563 edykt w Amboise, nadający wiele przywilejów kalwinom. Wolne wyznawanie protestantyzmu było dozwolone panom udzielnym w ich państwie; taż sama religia mogła być wyznawaną i w domach szlachty z warunkiem, aby tylko przypuszczano do niéj osoby, należące do rodziny. Mieszczanom dozwolono nawet w każdym okręgu wybrać wioskę, gdzieby obrzędy swéj wiary mogli sprawować. Religia protestancka była również zaprowadzoną we wszystkich miastach, opanowanych przez Hugonotów. Hugonoci nie zadowolnili się témi ustępstwami, chcieli więcéj jeszcze. To téż w r. 1567 zachęceni, jak mówi Sismondi, powstaniem protestantów szkockich przeciw królowéj Maryi Sztuart, chwycili znów za

1) Berault, tom IX. pag. 537. — Caveyrac, pag. 7. — Rohrb., tom. XXIV. pag. 626. — *Hist. des Variat.*, ks. 10, r. 33.

broń i usiłowali po raz drugi opanować osobę króla, będącego wówczas w Meaux. Wybawiony i uprowadzony do Paryża przez sześć tysięcy Szwajcarów, król Karol IX. zamknął się w swéj stolicy, a hugonoci otoczyli ją i oblegali; musiało więc przyjść do krwawego starcia. Hugonoci zostali wprawdzie pobici, lecz Francya katolicka poniosła wielką stratę, bo konnetabl Montmorency został śmiertelnie raniony w téj walce.

Po sześciomiesięcznem zawieszeniu broni, zwaném małym albo kulawym pokojem, znów rozpoczęła się wojna w r. 1568 jeszcze gwałtowniéjsza, niż dwie pierwsze. Dziejopisarz Thou, stronny dla hugonotów, przyznaje, że okrucieństwa wówczas popełniane, przechodziły wszelkie pojęcie. Pastwiono się głównie nad księżami i zakonnicami. Sam Thou przytacza jednego wodza protestantów, nazwiskiem Briquemaut, który utworzył sobie naszyjnik z uszów księży zabitych przez niego. Katolicy zrozpaczeni tą straszną wojną, z rozpaczą się bronili i także dopuszczali się okrutnych czynów, zalewając swą ojczyznę strumieniami krwi. W r. 1568 wioska Annonay w Vivarais pięć razy była zdobywaną i rabowaną przez obydwie nieprzyjacielskie strony. Po cztérech krwawych bitwach, wreszcie gdy w jednéj z nich zginął książe Kondeusz i gdy hugonoci byli już prawie rozproszeni, Katarzyna de Medicis zawarła niespodzianie z nimi pokój w roku 1570 bardzo korzystny dla hugonotów. Otrzymali oni ogólne ułaskawienie, wolne wyznanie wiary; zwrócono im zabrane dobra, puszczono w niepamięć wszystkie okrucieństwa dokonane w czasie zamieszek i dozwolono im posełać sześciu członków do parlamentu. Odstąpiono im również cztery miasta warowne, dla pomieszczenia wojsk i zarządu; wybrali sobie Roszellę, Montauban, Cognac, Charité sur-Loire. Robiąc ustępstwa buntowniczym poddanym, Karol IX. zachował jednak względem nich nienawiść i często powtarzał, wspomniawszy na napaść w Meaux: „Gdyby nie mój krewny, Nemours i moi dobry towarzysze Szwajcarzy, życie moje i wolność byłyby w wielkiém niebezpieczeństwie“ [1]).

Rzeź św. Bartłomieja. — R. 1572. — Nagle admirał Coligny, zmieniwszy swój plan starał się zbliżyć do króla i zawładnąć nim. Udało mu się to, a Katarzyna Medicis zlękła się jego potężnego wpływu, aby nie ścieśnił jéj władzy. Wówczas ta kobieta

1) Mazas, tom II, pag. 430, 433, 436. — Berault, tom X, pag. 87. — Rohrb., tom XXIV, pag. 629.

gwałtowna i żądna władzy, wspomagana przez Henryka Gwizyusza, mściciela śmierci ojca, przysięgła zgubę admirałowi. Nasłała na niego mordercę, ale ten tylko lekko zranił go w prawe ramię; przerażona nieudaniem się zamachu, wbiegła na pokoje królewskie, otoczona najznakomitszymi panami dworu. Łzami i gorącemi słowami rozbudziła w swym synu nienawiść do kalwinów, opowiadając, że ogromny wybuch przygotowuje się w stolicy, że admirał robi spisek na zgubę Karola IX., i że po wykryciu tego spisku, rozjątrzeni kalwini zbierają się napaść na zamek królewski, wymordować rodzinę Gwizyuszów, ją, matkę królewską, i samego nawet króla. Potwierdzili te słowa i obecni panowie, przypominając pogróżki jakie od czasu do czasu dawały się słyszeć wśród hugonotów. Karol IX. nastraszony, chwiejny w swym sądzie, postanowił uprzedzić hugonotów i polecił pochwycić przywodzców, a nawet zezwolił na ich śmierć. Katarzyna Medicis i książe Gwizyusz nie tracili czasu; dnia 24 sierpnia r. 1572 miała miejsce owa straszna rzeź św. Bartłomieja. Meaux, Orlean, Lyon, Rouen, Tuluza i wiele innych miast naśladowało smutny przykład stolicy. W tym względzie zapewnia William Cobbet, że rozkazy dworu zostały wykonane ze zbytnią gorliwością, przechodzącą nawet myśl rozkazodawców.

Ilość ofiar rzezi św. Bartłomieja. — Wiele znajdujemy przesady w opowiadaniu o rzezi św. Bartłomieja; lecz jeden z sumiennych pisarzy, Caveyrac wykazał: 1) że religia nie miała w tém żadnego udziału; 2) że to była czysto sprawa państwowa; 3) że tylko tyczyła się Paryża, w którym jednak zginęło daleko mniéj ofiar, niż piszą. Im mniéj pisarze znają ten wypadek, tém więcéj liczą ofiar i w czarniejszych przedstawiają zarysach. I tak Perefixe liczy sto tysięcy; Sully siedmdziesiąt tysięcy; Thou trzydzieści tysięcy, lub cokolwiek mniéj; Popéliniere z górą dwadzieścia tysięcy; a kalwini i ich Martyrologium wspomina o piętnastu tysiącach; Papire Masson około dwunastu tysięcy. Ale Saint-Victor w swoich „Obrazach Paryża“, czerpiąc wiadomość z dziejopisów protestanckich, dowodzi, że w całéj Francyi zaledwie dwa tysiące poległo, licząc już w to Paryż. Chociaż pisarze protestanccy, mówi William Cobbet, podnieśli tę liczbę aż do stu tysięcy, jednakże dowody urzędowe, ogłoszone w r. 1852. wykazują, że wczasie tej wojny religijnej zginęło Francuzów siedmset dziewięćdziesiąt sześć. „Podwajając tę liczbę, mówi Lingard, z zwykłą szczerością, możemy być pewni prawdy“.

Niesłusznie rzeź św. Bartłomieja przypisują wpływom religii. — Cokolwiekbądź, jasne fakta wykazały, że straszny wypadek nocy św. Bartłomieja, spowodowały nie zatargi religijne, ale zazdrość, nienawiść i duch stronnictw nieprzyjaznych. Wypadek ten, ściśle mówiąc, to dzieło piekielnego postępowania Katarzyny Medicis. Religia, nie tylko że nie uzbroiłaby zabójczym mieczem dzieci jednéj ojczyzny, aleby go jeszcze wytrąciła z ręki, gdyby mogła panować nad umysłem téj kobiety występnéj i strasznéj. Wiadomo również, że katolicy swe życie narażali, i wielu z nich poniosło śmierć. A przytém, mówi Mezeray, dość tylko było mieć nieprzyjaciela, przeciwnika w jakiéj sprawie, współzawodnika, spadkobiercę niecierpliwego, aby zostać ogłoszonym za kalwina. Wiadomo również, że w wielu miastach katolicy sami powstrzymywali burzycieli spokoju. W Lyonie, w Bourges, w Troyes, w Bordeaux, w Nimes i w Tuluzie, klasztory chroniły po za swymi murami kalwinistów. W Lisieux, biskup Jan Henuyer sprzeciwił się i nie dozwolił na rzeź. W Romans z sześćdziesięciu hugonotów uwięzionych, katolicy ocalili czterdziestu. Najniegodniejszą potwarzą, jak mówi Frayssinous, przypisywać noc św. Bartłomieja wpływom religii, gdyż na radzie, na któréj ten zbrodniczy zamach ułożono, nie znajdujemy wcale duchownych. Podobało się wprawdzie poecie Chénierowi, uczniowi Voltera, przedstawić w jednym z swych utworów kardynała lotaryngskiego, błogosławiącego sztylety przeznaczone do rzezi; ale historya jasnymi dowodami zbija tę nieprawdę, wykazując, że kardynał znajdował się w tym czasie na soborze w Rzymie; wybierano bowiem papieża Grzegorza XIII., po śmierci Piusa V. Sprawa Kościoła, mówi w tym względzie Falloux, nie tylko że posiada liczne środki obrony, lecz może dowieść niezbicie, że gdzieindziéj należy szukać téj zbrodni. Caveyrac w swéj rozprawie o rzezi św. Bartłomieja, dowiódł, że religia w całéj téj sprawie nie była ani powodem, ani radą, ani żadnym czynnikiem. Prawda, że w Rzymie papież Grzegorz XIII. odprawił mszę dziękczynną; ale nieprzyjaciele Kościoła, przytaczając ten fakt, nie chcą opowiedzieć i tego, że Karol IX, aby usprawiedliwić swą zbrodnię przed innemi państwami i przed Stolicą Apostolską głosił, że to była tylko kara za uknuty spisek przeciw jego osobie i państwu, a od którego uchroniła go tylko Opatrzność. Tajemny poseł powiózł do Rzymu list, w którym król prosi papieża o dziękczynne modły, za ocalenie mu życia. Papież więc, odprawiając uroczyście nabożeństwo, ofiarował je za spokój powszechny ludów, i

za ocalenie życia monarchy. Zebrany parlament, po tym wypadku, przypisał go hugonotom. To upozorowanie zbrodni Karola IX. było bardzo prawdopodobném, bo czyż można było dowierzać hugonotom, którzy podnieśli broń przeciw swéj ojczyźnie? Powtórzmy więc z Wiliamem Cobbettem: „Rzeź św. Bartłomieja jest straszną; lecz obwiniać religię katolicką, byłoby to przeciw wszelkim pojęciom zdrowego rozsądku". Poczucie wzniosłości religii i cnoty, mówi Balmés, wrodzone jest człowiekowi; i zawsze ludzkość chroni się, przez zmysł zachowawczy, pod te święte chorągwie ze swémi nawet zbrodniami; czyż dla tego mielibyśmy pogardzać cnotą i niweczyć religię? [1]).

Związek zaczepny hugonotów we Francyi. — Rzeź świętego Bartłomieja jeszcze bardziéj wzburzyła już i tak niespokojne umysły protestantów, a duch zemsty zjednoczył ich i ożywił. Tymczacem tron francuzki po śmierci Karola IX. w r. 1575, objął jego brat Henryk III., który, zamiast zająć się palącemi sprawami państwa, oddawał się szalonym zabawom, ubliżającym tak królowi, jak i człowiekowi. Korzystając ze sposobności, powstańcy podnieśli broń, a władza ich i śmiałość przechodziły granice. „Jakto, król śmie mi rozkazywać! wołał hugonot Montbrun, odebrawszy rozkaz wydania więźniów, a przecież z żelazem w dłoni i pistoletem przy boku można świat cały zrównać z ziemią". Ustępując śmiałości powstańców i mając, mówi Mazas, tajemny pociąg ku nim, Henryk III. obchodził się w całej tej sprawie zbyt pobłażliwie. W roku 1576 dozwolono im publicznie wyznawać swą religię, wysyłać swych przedstawicieli do parlamentu z głosem tylko doradczym. Zabroniono prześladować księży żeniących się, a ich dzieci uznano za prawe i mogące odziedziczać ojcowiznę. Z drugiéj strony, książęta protestanccy niemieccy, ciągle wspomagali hugonotów francuzkich orężem i zasobami pieniężnemi, a także napływały tłumy cudzoziemców, gotowe walczyć w ich sprawie. Z Anglii dochodziły wieści, że królowa Elżbieta często w swém państwie sprawiała rzeź św. Bartłomieja. Na czele protestantów stanęło dopiero trzech książąt krwi królewskiéj: Henryk król Nawarry, Ludwik książe Kondeusz i Franciszek książe Alençon. Hugonoci tak dzielnie wspomagani, postanowili zjednoczyć się w rodzaj bractwa, dla

1) Bérault tom X, pag. 146—153.—Caveyrac, *Dissert. sur la Saint-Barthèlemy.—Vie de saint Pie V.*, tom I, pag. 368, 370.—Balmés, tom II, pag. 218.—Saint-Victor, tom III.—William Cobbett, tom. I.—Mazas, tom II, pag. 440, 448 itd.—*Revue des questions hist.*, oct.-déc. 1867, pag. 347, 375, 384.

większéj siły. Tak więc, według opisu Sismondi, poprzysięgli sobie raz jeszcze: jedność, wspólność i braterstwo, a w r. 1573 mieli zamiar utworzyć nowy rząd w królestwie katolickiém [1]). W tym tak smutnym czasie dla kraju, Henryk III. w towarzystwie swych ulubienic, otoczony mnóstwem piesków, na które rocznie wydawał, mówi Rohrbacher, niezmierne sumy, przebiegał ulice, dopuszczając się rozmaitych szaleństw i głupstw. Ségretain w swém uczoném i sumiennem dziele: „Syxtus V. i Henryk IV." przedstawia Henryka III., jako godnego następcę Katarzyny Medicis i naśladowcę jéj postępowania równie zdradnego, jak zmiennego.

Wobec tylu nieszczęść i niebezpieczeństw, Francya bez kierunku i pomocy, drżała o swą samoistność państwową i religijną; wówczas to utworzył się związek katolików, broniących kraju i wiary. Pikardya pierwsza dała przykład w roku 1576. Jakób Humières, dowódzca téj prowincyi, pierwszy zawarł związek ze swymi przyjaciółmi; w Paryżu prawie wszyscy obywatele przyłączyli się do tego stowarzyszenia. Kalwini wiązali się przysięgą i podpisami, że będą podtrzymywać protestantyzm i zmienią rząd; katolicy znów postanowili wspólnie bronić państwa i staréj prawéj wiary. „Heretycy się łączą, mówił Ludwik Orleański do katolików, łączcie się i wy; oni się podtrzymują, podtrzymujcie się i wy; zbierają się, i wy róbcie toż samo; dla czegoż wam nie wolno byłoby tego, czego dopuszczają się zdrajcy Boga, króla i ojczyzny; oni się mogą łączyć w związki, a któż tego może zabronić katolikom?" Stowarzyszenie katolików rozszerzyło się na całe królestwo, ożywiając zapał i wiarę Francuzów; wszystkie niemal miasta przyjęły w niém udział, jako to: Amiens, Rouen, Beauvais, Nevers, Dijon, Arras etc. Stany główne w 1577 r. i król upoważnili i potwierdzili to stowarzyszenie, a książę Gwizyusz objął przewodnictwo. Taki był początek tego związku. Pomimo tylu potwarzy, rzucanych przez nieprzyjaciół współczesnych, a późniéj powtarzanych przez niewiadomość, powiedziano w *Bibliographie catholique*: związek ten był chwalebnym objawem ducha religijnego i narodowego Francuzów. Był to ruch ogólny, potężny, wywołany biegiem rzeczy i potrzebą kraju. Rodzina Gwizyuszów, pociągnięta powszechnym zapałem, objęła dowództwo nad tym związkiem, nie przyczyniwszy się jednak do jego utworzenia. Ségretain widzi w tym związku odro-

1) W pismach Coligny znaleziono już obrobiony pomysł rzeczypospolitéj związkowéj, którą we Francyi chciano zaprowadzić.

dzenie uczucia narodowego i religijnego, spotęgowanego jeszcze obawą niebezpieczeństwa, jakie groziłoby wierze, gdyby Bearneńczyk zawładnął tronem, do którego dążył z pomocą protestantów. Stowarzyszenie więc to w swym zarodzie i pierwszych działaniach było najpiękniejszym objawem wiary ludów chrześcijańskich [1]).

Smutny stan Francyi. — Jednakże pod panowaniem króla tak lekkomyślnego i słabego, jak Henryk III., wśród tylu gwałtownych namiętności, wśród niezgód szarpiących ojczyznę, naród francuzki cierpiał wiele, lecz nie upadał na duchu. Sprawy państwa i religii stanęły jednak na tym stopniu, że stanowcze rozwiązanie takiego smutnego położenia musiało nastąpić, aby temu nieprawidłowemu stanowi rzeczy, raz koniec położyć. Henryk III., znając śmiertelną nienawiść księżny Montpensier, siostry Gwizyuszów, bezustannie drażniony przez stowarzyszonych, zupełnie zaćmiony w swéj władzy przez potężny wpływ ich naczelnika, rozkazał nikczemnie w roku 1588 go zabić; nazajutrz ta sama zbrodnia została powtórzoną na osobie kardynała lotaryngskiego, brata zabitego księcia Gwizyusza. Odtąd król Henryk III. uważany był za zbójcę i krzywoprzysiężcę; siedmdziesięciu doktorów Sorbonny ogłosiło go za niegodnego tronu, a papież Sykstus V. wyklął go [2]). Stowarzyszeni rozdrażnieni do najwyższego stopnia, zaczęli króla prześladować w sposób okrutny, a głównie Szesnastu, tak zwanych wodzów od szesnastu dzielnic Paryża; młodszy zaś brat Gwizyusza, książe Moguncyi, główny przywódzca związku po jego śmierci, kazał aresztować stronników króla. Okryty wzgardą i nienawiścią król Henryk, oddał się w ręce hugonotów i Henryka IV., oblegającego wówczas Paryż. To życie, pełne zbrodni i niepokoju, wkrótce się jednak skończyło, gdyż w roku 1589 Henryk III. został zabity przez dominikanina Jakóba Clément, nasłanego przez księżnę Montpensier, która wybrała za narzędzie swéj zemsty człowieka występnego, z osłabionemi zmysłami. Niektórzy pisarze utrzymują, że zabójcą był jeden z hugonotów, przebrany za dominikanina. Na tym księciu kończy się ród Valois i gaśnie wśród pomroku zbrodni i nieszczęść.

1) Wielu z pisarzy dowodzi, że ten związek obrońców Kościoła nigdy nie otrzymał przyzwolenia Rzymu. Według innych, pomimo słównego zatwierdzenia przez Grzegorza XIII., jego następca Sykstus V., potępił go jako zgubny dla władzy królewskiéj, dobra państwowego i dla rzeczywistych spraw religii. Nie można sądzić z następstw i skutków o początku i pierwotnych zasadach tego stowarzyszenia. Dwa, choć wprost przeciwne sądy dwóch papieżów, wypływają jednak z tegoż samego źródła i w zasadzie są prawie jednakowe. Tak dowodzi Saint-Victor. Obydwa te sądy wyświetlają tylko prawdziwą wartość tego związku katolików i dowodzą, jak Rzym zawsze w swéj przewidującéj mądrości, trzymał się ostróżnie względem tych rozruchów, i zawsze upatrywał, mówi Ségretain, końca zaburzeń, który jednak przeszedł wszelkie oczekiwania. (Obrazy Paryża, tom III, pag. 651. — Bérault, tom X, p. 234. — Feller, art. Henryk III.—Mazas t. II, pag. 459.—Rohrb., tom XXIV).

2) W roku 1585 ten sam papież wyklął i wydziedziczył z praw doczesnych króla Nawarry Henryka IV. i księcia Kondeusza, dwóch wodzów hugonotów i sprawców tych zamieszek pustoszących Francyę. Trzeba tu zauważyć, mówi Gosselin, że prawo publiczne wieków średnich nie było ani zamienione, ani zniesione przez żadną władzę lub zwyczaj prawny; a naczelnicy związku powoływali się na nie jawnie.

Przedewszystkiém jeszcze powtórzyć należy, że od pierwszych czasów Reformy, jak robi bezustannie uwagę protestant Grotius: „kalwiniści wcisnąwszy się do Francyi, zrobili tam to, co robili wszędzie, dokąd się im wleść udało. Uwiodłszy wiele ważnych osobistości, a nawet niektórych członków rodziny królewskiéj, t. j. ludzi życia światowego i rozwiązłego, a dobrawszy z gminu co było najbardziéj zepsutego, zaczęli spiskować. Rozzuchwaleni liczbą i okolicznościami wojen, zbrodniczych stronnictw, w jakich się dwór znajdował, wkrótce zaczęli rozsiewać błąd zbrojną ręką. Skoro weszli do jakiego miasta, zamku i wsi, mieli zwyczaj obracać wszystko w perzynę, burzyć kościoły, obalać klasztory, mordować kapłanów, znieważać dziewice i nad wszystkimi katolikami niechcącymi wyprzeć się swéj wiary, pastwić się z największém okrucieństwem. Ponieważ zaś królowie francuzcy nie podzielali ich przekonań — podnieśli otwarty rokosz za pomocą pism podżegających, i od słów przechodząc do czynów, zaczęli okropną wojnę, a zdobywszy wiele miast, w nich się ufortyfikowali. Następnie udali się do Elżbiety królowéj angielskiéj i do protestanckich panujących w Niemczech; od nich otrzymali pomoc w ludziach i pieniądzach, co też Francyę postawiło nad brzegiem przepaści. Na nieszczęście admirał Coligny, przystając do nich, oddawał kraj na łup obcych“.

Edykt nanteński.

Przejdźmy teraz do odwołania edyktu nanteńskiego, i wyłóżmy przedewszystkiem, co to był ten edykt, jak i dlaczego został odwołany. Henryk IV., z widoków politycznych

aby zapewnić sobie spokojność od protestantów, którzy przez bunty przywłaszczyli sobie wiele przywilejów korony, albo może przez wdzięczność ku tym, do których wyznania należał, i przyjmował pomoc, skoro zasiadł na tronie, zaraz ogłosił edykt przyznający kacerzom różne przywileje i upoważniający publiczne wyznawanie religii reformowanéj. Gdy późniéj, pod następnemi rządami, zamieszki ucichły, a Hugonoci zostali wygnani z Roszelli, liczba sektarzy znacznie się zmniejszyła. Dzięki gorliwości Ludwika XIV., który w ciągu lat dwudziestu pracował nad powróceniem na łono Kościoła biedaków, zwodnictwem wprowadzonych na zgubne drogi błędu, to zmniejszenie się jeszcze znaczniejszém zostało. Oto fakt podług historyi Cantu.

„Pragnąc wrócić powoli kacerzów na drogę prawdy, Ludwik XIV. osądził za rzecz właściwą wstrzymać się od wszelkiéj surowości, szanować ustępstwa poczynione przez swoich poprzedników, nagradzać powolnych i ułatwiać missye. Przez to otrzymał wielkie skutki. Szlachta pod Henrykiem IV., prawie cała protestancka, wtedy już była zupełnie katolicką, a kanclerz d'Aguessau zapewnia że jego jeszcze ojciec w wielkorządztwie Languedockiém więcéj niż sześć tysięcy widział protestantów, którzy w ciągu trzech dni zmienili religię. To jest blisko tyle, ile było w prowincyach środkowych. Ci, co się wzbogacili handlem, tłumnie nawracali się dla otrzymania urzędów i tytułów szlacheckich".

Sismondi, chociaż protestant, zgadza się z tém, cośmy powiedzieli, że dzieło Ludwika XIV. wydało szczęśliwe skutki. Gdy tak szły rzeczy, zdawało się, że już wybiła godzina do zjednoczenia całéj Francyi w jedynéj religji; taka przynajmniéj podług Sismondi'ego była powszechna opinia.

Wszakże dopiero kanclerz Tellier zadał ostatni cios protestantom. Mając lat ośmdziesiąt trzy, nachylony do grobu o tyle chorobami jak starością, kanclerz prosił jako o ostatnią pociechę, o łaskę, żeby mógł przed śmiercią przypieczętować dekret odwołujący edykt Nanteński, i król, który sam w sobie żywił chęć podobną, widząc w tém dobro religii i polityki, odwołał sławny edykt. Za świadectwem historyków, fakt ten spełnił się z zupełną spokojnością.

Działając podobnie król, nie przekroczył praw swoich, protestant Grotius już wyżéj cytowany, czyni w tym względzie ważne zeznanie: „Protestanci, mówi on, wiedzą bardzo dobrze, że edykt nanteński i inne podobne, nie powinny być brane za traktaty związku, ale wprost

jako dekrety wyszłe od władzy królewskiéj w widokach dobra publicznego, a następnie podległe odwołaniu, odkąd interes publiczny tego wymaga". Zresztą wszystkie narody protestanckie tegoż samego prawa używały względem katolików, a używały z surowością zbliżoną do okrucieństwa, nie chcąc nigdy wysłuchać ich reklamacyi. Roztropność zkądinąd doradzała ten czyn Ludwikowi XIV., ponieważ prawie wszystkie już rozporządzenia edyktu zostały obalone przez samychże hugonotów, z których już ostatni gotowi byli wrócić do Kościoła katolickiego; to téż z tego odwołania można się było spodziewać całkowitego uspokojenia królestwa. Skutek to potwierdził, wtedy nawet, gdy sposób wykonania zamiarów królewskich popsuł nieco rzeczy.

Król wyraźnie zalecił używać względem protestantów jak najlepszego obchodzenia się, a w zgromadzeniu biskupów rozkazał względem nich zachować największą łagodność, i nie używać dla przywiedzenia ich do prawdy, innéj siły oprócz przekonania. Tymczasem Louvois, delegowany do wykonania dekretu królewskiego, sprawił się więcéj po żołniersku niż wypadało. „Nie dla tego, powiada Cantu, żeby używał środków przymusowych, ale że wyrywał im wyznanie wiary katolickiéj za pomocą obelg i szyderstwa. Potém, jeźliby odpadli, wnet jawiło się inne prawo przeciw odpadającym. Gdyby próbowali ujść z królestwa, niezwłocznie ogłoszono inne prawo przeciw emigrantom, niesłuchając żadnéj reklamacyi". Tymczasem co robi Kościół w téj okoliczności? Kościół obcy temu odwołaniu, jak świadczą Saint-Simon i wszyscy inni pisarze, osładzał onego wykonanie wszystkiemi środkami możliwemi. W myśl tego arcybiskup Fenelon pisał: „O Pasterze dusz, zwyciężcie wszelką odrazę, rozszerzcie wnętrzności. Nieukami jesteście, jeźli umiecie tylko rozkazywać, przyganiać, poprawiać i uczyć litery prawa. Bądźcie ojcami, więcéj jeszcze, bądźcie matkami, umiejcie ponosić boleści porodzenia dla wprowadzenia do serc ludzkich Jezusa Chrystusa". Misyonarze posłani dla nawracania, odmówili spełnienia swéj posługi wprzód, nim nie oddalą żołnierzy przeznaczonych do niesienia im zbrojnéj pomocy. Bossuet w swojéj dyecezyi oparł się wszelkiemu przymusowi i nie ścierpiał nigdy, iżby w jego imieniu im się naprzykrzano. Nadto znakomity prałat wyrobił u Ludwika XIV., w 1698 r. instrukcyę królewską dla intendentów i list królewski do biskupów, na mocy których bramy królestwa były otwarte protestantom, a ich dobra mają być powrócone, jeźli się dadzą nauczyć wiary. Kościół ile wziął udziału w tém dziele, użył umiar-

kowania, mądrości i zwyczajnéj sobie dobroci dla naprawienia niedorzeczności i głupstw intendentów cywilnych. Oto fakt, a ktoby go chciał zniszczyć, niechaj zniszczy naprzód dzieje owéj epoki.

Dopiéro niechaj mi czytelnik dozwoli zrobić jednę uwagę. Rzeź św. Bartłomieja, i odwołanie edyktu nanteńskiego są ustawicznie na ustach niedowiarków, służąc im wiecznie za temat do złośliwéj krytyki Kościoła, który w nich, jakeśmy wykazali, taki tylko brał udział, że brał w opiekę ofiary, łagodząc ich cierpienia. Przebóg! rzecz do prawdy zadziwiająca, nie znajdujem ani jednego niedowiarka, któryby zacytował albo ubolewał nad okropnemi rzeziami, jakich się protestanci dopuszczali względem katolików, do których przyznają się sami protestanccy pisarze, a z których się nawet chełpią bezwstydnie. Tak Luter przechwalał się, że był sprawcą wszystkich okrucieństw popełnionych w wojnie chłopskiéj, gdzie tych nieszczęśliwych sto tysięcy zginęło. Konsystorz ustanowiony w Genewie przez Kalwina, w przeciągu lat sześćdziesięciu, jak świadczą rejestra tego miasta, skazał na śmierć więcéj niż sto pięćdziesiąt osób za samo obwinienie o czary, nie mówiąc już o skazanych na wygnanie, uwięzionych lub spalonych. Ktoby zdołał policzyć, ktoby zliczyć potrafił rzezie dokonane w Szwecyi, Norwegii, Danii, a nadewszystko w Dalekarlii? Chciałbym, powiada protestant Fitz-Williams, pokryć długą seryę nieprawości, jakich reforma była przyczyną w Anglii. Niesprawiedliwości, uciemiężenia, rzezie i świętokradztwa napełniają nasze roczniki. A męki Irlandyi kto opisze? Co sam jeden Kromwel zbroił, temu zdaje się niepodobna dać wiary. Na katolików robiono obławy, ścigano, wytępiano w tak wielkiéj liczbie, że całe prowincye téj krainy zostały wyludnione. „Mógłbym, powiada Bossuet, mając pod okiem pomniki dotąd zachowane, mógłbym przypomnieć rzezie, jakie królowa Joanna nakazywała w Bearn, i tę niepoliczoną ilość kapłanów, zakonników i świeckich wytępionych za jedyną zbrodnię, że byli katolikami, i zacytować przepaście, do których byli wrzucani, studnie, w których byli topieni, i port Roszelli, którego wody służyły za grób tak wielkiéj liczbie. Mógłbym nakoniec otworzyć publiczne rejestra miast Nimes, Montauban, Alais i Montpellier, w nichby przypatrzono się, z jak zimną krwią i z całą rozwagą, te rzezie obmyślano i wykonywano“. Dwa spiski w Amboise i w Meaux, daléj opowiada protestant Fitz-Williams, pięć wywołanych wojen domowych, wydane fortece, kościoły i klasztory popalone, księża, zakonnicy i prości wierni mordowani bez litości po-

śród uroczystych processyi w Pamiers, w Rodez i w Walencyi, to są niezbite świadectwa okrutnéj zajadłości hugonotów przeciwko katolikom. Nie śmiem zaprzeczać tych aktów, gdyż niestety one są aż nadto prawdziwemi. Fromenton, lubo protestant, mówi o dwustu pięćdziesięciu kapłanach i stu dwunastu zakonnikach zamordowanych w Delfinacie; Kalendarz protestancki w tych wyrazach zdaje sprawę, z jednego z ich zwycięztw: „27 września 1562 r. wielki tryumf wiernych (hugonotów) nad papistami, miasto zostało spaloném, duchowni porznięci i wrzuceni do studzien, wielu z nich pochwytano, kiedy śpiewali: Synu Boga żywego, zlituj się nad nami, i potopiono w studni przy kościele“. Należałoby mi jeszcze coś powiedzieć o rzeziach znanych pod nazwaniem Michdate: nie znam żadnéj historyi, któraby przywodziła fakt, świadczący o okrucieństwie bardziéj wyszukaném jak ten; pozostałoby mi jeszcze mówić o wygnaniach, zaborach majątków, o katuszach, o wnętrznościach drgających, wydzieranych z ludzi, o torturach, stosach i setnych innych męczarniach wynajdywanych i używanych przeciw katolikom w Anglii i w innych krajach w ciągu całych wieków. Ale zostawmy to wszystko. Spytam tylko, czemu niektórzy ustawicznie mówią o rzezi św. Bartłomieja, o odwołaniu edyktu nanteńskiego, a zapominają o tych wszystkich innych, daleko ważniejszych wypadkach? Czém się to dzieje, że ich wnętrzności wzruszają się tylko na myśl o klęskach protestantów, a nieczułymi są względem katolików? Doprawdy, jak mówi de Maistre, „ktokolwiek prawdziwie brzydzi się krwią, mordem i kocha ludzi jak braci, przyznać musi, że wszystkie szkaradne i wstrętne inkwizycye, jakie one były, a które zarazem ścigały wszystkich nowatorów, tych sprawców wojen domowych, nieskończenie mniéj straciły ofiar, a oszczędziły spustoszeń i rzezi niżeli ci nowatorzy.— Przypatrzmy się wojnie trzydziestoletniéj, którą zapaliły rozumowania Lutra; niesłychanym okrucieństwom, które wyprawiali anabaptyści i chłopi; tym strasznym wojnom domowym Francyi, Anglii, i Flandryi, rzezi Merindol'u, rzezi Cerennesów, morderstwu Maryi Stuart, Henryka IV., Henryka VIII., Karola I. księcia Uranii i t. d. Okręty mogłyby pływać we krwi, którą przelali ci nowatorowie — inkwizycya zaś jakkolwiek okrutna i obrzydliwa, przelała krew samych nowatorów i po większéj części nieprzyjaciół kraju, którzy gnębili Hiszpanię przez 700 lat“.

Protestantyzm w ostatnich czasach i dalsze skutki.

Stan Protestantyzmu w Niemczech. — W Niemczech protestanckich zupełna zapanowała zgoda pomiędzy Lutrami a Kalwinami; sekciarze uczęszczali nawzajem do swych kościołów; posługiwali się tymi samymi ministrami, i przyjmowali też same nawet sakramenta. Pewien podróżnik angielski, mówiąc o téj szczególnéj jedności, wyraża się: „Powiadają, iż związek ten przyczynił się wiele do zaszczepienia obojętności w obydwóch wyznaniach dla rzeczy najświętszych. Dogmatem odróżniającym lutrów jest nauka o rzeczywistéj obecności Ciała i Krwi Chrystusa w chlebie i winie. Dogmat ten jednak został odrzucony przez większość duchowieństwa luterskiego; też same ustępstwa uczynili kalwini, utrzymując, iż ich dogmata o przeznaczeniu, wyborze, wytrwałości i łasce zachęcającéj, są już pojęciami przestarzałemi, które nigdy nie powinny być przedmiotem ich wiary. To téż w duchowieństwie kalwińskiém mało kto w nie wierzy. Ów związek tylko umocnił w ludzie przekonanie, iż rzeczy religijne są rzeczą nader obojętną, gdy je w ten sposób traktują ich duchowni". „Cóż to jest Protestantyzm w Niemczech? Jestto wolność wiary, wolność obrzędów, wolność swobodnego badania rzeczy religijnych, tak, iż każdy protestant ma prawo wybrać religię, jaką sobie upodoba, a także ma wolność niewypowiadania wcale swych przekonań w tym względzie, jeżeli tego chce". Te słowa są wyjęte z mowy duchownego reformowanego, mianéj w Genewie. „Spisałbym na paznogciu mego palca wszystkie dogmata teraźniejszego Kościoła protestanckiego",

mówi Mikołaj Harms. Tak więc nawet w ojczyźnie Reformy rozbrzmiewają się słowa pisarza protestanckiego, iż: „Pierwszy krok na drodze odłączenia się od Kościoła rzymskiego prowadzi zarazem do niewiary, i rzuca w przepaść, do któréj Niemcy protestanckie szybko podążają" [1]).

Racyonalizm niemiecki. System Kanta. — Nic więc dziwnego, że Niemcy stały się ojczyzną szkoły racyonalnéj i kolebką wywodów filozoficznych, sprzecznych, zaciemnionych częstokroć, a prawie nigdy w czyn niewprowadzonych. Kant, Fichte, Schelling i Hegel następują po sobie, nic nie tworząc, a wszystko niwecząc. Cała ich praca przyczyniła się tylko do powiększenia zamętu i ciemności. Emanuel Kant, syn siodlarza szkockiego, ujrzał światło dzienne w Królewcu r. 1724 i umarł w témże samém mieście r. 1804, wsławiwszy się nowym poglądem na filozofię. Chciał on pogodzić i połączyć sceptycyzm, albo powszechne wątpienie szkota Huma z fatalizmem, czyli powszechną koniecznością anglika Priestleja, z czego wytworzył się krytycyzm, którego zasady podaje Kant w swéj „Krytyce czystego rozumu". Według Ancillona, filozof niemiecki przyznaje podwójność pierwotną, t. j. podmiot i przedmiot. Podmiot jest zasadą kształtu naszych wyobrażeń; daje nam on, jako władza czucia, możność odczucia; a jako władza poznania, możność sądu. Przedmiot jest zasadą materyi naszych wyobrażeń; daje on nam poznanie zjawisk. Rzeczywistość istnieje tylko w doświadczeniu, a doświadczenie pochodzi z zastosowania pojęć rozumowych do zjawisk zmysłów zewnętrznych i zmysłu wewnętrznego. Późniéj jednak na mocy rozumowania Kant dochodzi do tego wniosku, że jeżeli jesteśmy pewni zjawisk odbywających się wewnątrz nas, nie możemy być równie pewni zjawisk zewnętrznych, a zatém istnienia i praw materyi. Jedném słowem, jak się wyraża, iż nie możemy sądzić z podmiotu o przedmiocie. Materyalizm przeczy istnieniu duszy i świata niewidzialnego, a Kant zaprzeczał pewności istnienia świata materyalnego, twierdząc, iż pojęcia o ciałach i materyi, nie dowodzą jeszcze takowych istnienia. Materyalizm znajduje przeciwnika w spirytualizmie. Trudnoby było tu rozwijać wszystkie ciemne abstrakcye sofisty królewieckiego, zauważymy tylko, iż jeżeli cała wiedza ludzka opierać się ma na doświadczeniu, to pojęcia o Bogu, o życiu przy-

1) Thomas Moore, *Voyage* i t. d. ch. 44.

szłém i wszystkiém, co się do tego odnosi, są bez rzeczywistéj wartości. Wielu więc, mówi Picot, nazywa czysty rozum Kanta deizmem, gdyż uczony ten nie uznaje tajemnic; Chrystusa uważa jako ideał, pozwala oddawać cześć nauce, lecz nie zgadza się na uwielbianie Jego osoby; chce, aby Kościół był także ideałem, ale wyrzuca z niego modły, ofiary i wszelkie obrzędy. Kant przyznaje, że taki wniosek jest nieunikniony z jego „Krytyki czystego rozumu“, lecz zarazem przypuszcza w człowieku inny jeszcze rozum, zwany praktycznym, stanowiący trwałą podstawę wiary, do czego nie mógł się wznieść rozum teoretyczny. Jeżeli pojęcie przyczynowości, według Kanta, zastósowane do przedmiotów świata wewnętrznego, którego istnienia nawet nie jesteśmy pewni, jest wątpliwe; to zastosowane do duszy, która jest wtedy podmiotem i przedmiotem naszych myśli, staje się niezbitym pewnikiem. W swéj „Krytyce rozumu praktycznego“, mówi biskup Bouvier, Kant nie dając dowodów, twierdzi, iż człowiek widzi bezpośrednio, że jest wolnym, że jest osobą moralną i odpowiadającą za swe czyny. W pojęciu Kanta, mówi Ancillon, wola jest jedyną władzą duszy, nieodnoszącą się do świata zjawisk zewnętrznych. Wola jestto władza wykonywania pewnych czynów niezależnie od tego, co mogłoby je spowodować lub powstrzymać. Z woli wyradza się prawo obowiązku. Moralność istoty wolnéj zależy na zostaniu wolnym, na zostaniu samym sobą; jeżeli zaś istota wolna idzie za popędem mimowolnym, ulega namiętnościom zwierzęcym, to przestaje być przyczyną i poniża swą osobliwość. Wówczas nawet jéj wola zamiast być samowolną, staje się podległą obcéj woli... To prawo obowiązku wyszłe z woli, prawo wyniesione po nad wszystkie inne, nakazuje nam wierzyć w istnienie Boga i nieśmiertelność duszy. Tak więc, kończy biskup Bouvier, myśliciel królewiecki opiera pewność istnienia Boga i nieśmiertelność duszy nie na rozumowaniu, lecz na prawie moralném i na konieczności jego wykonania. Lecz na czémże opiera istnienie owego prawa moralnego? na jakiémś niejasném pojęciu metafizycznem. Dla tego téż zasady religii i moralności, które wyznawał, nie były głęboko wkorzenione w jego duszy, tak, iż gdy serdeczny jego przyjaciel Hesse pytał go przed śmiercią, co myślał o życiu przyszłém? „Nic stanowczego“, odrzekł myśliciel po chwili namysłu. Raz już na podobne pytanie odpowiedział: „Nie posiadam żadnéj wiadomości o życiu przyszłém“. Innego dnia znów popierał teoryę metempsychozy. Hesse podaje te wszystkie fakta w swém dziele, pod tytułem: „Ostatnie rozmowy Kanta“.

Myśliciel ten, mówi Maret, otworzył przepaść bezdenną pomiędzy władzami duszy, a rzeczywistością rzeczy, dążąc do zupełnego zwątpienia.

System Fichtego.— Kant zawsze jednak uznawał istnienie i dwoistość podmiotu i przedmiotu; lecz zawsze działalność przedmiotu, mówi Ancillon, była tak podrzędną, ograniczoną i podległą podmiotowi, iż można było przewidzieć, iż z czasem przyjdzie śmielszy myśliciel, który zniesie zupełnie działalność przedmiotu. Podmiot to, nadając kształty przestrzeni, zdaje się stwarzać materyę; on to czarodziejską potęgą swych pojęć, tworzy ciała i przyczyny i nadaje stałość materyi. Podmiot napozór zdawał się sam sobie wystarczać. Od stanowiska tak podrzędnego, jakie zajmuje przedmiot w filozofii Kanta, do zupełnego zniesienia go, był mały przedział, który przebył Teofil Fichte, uczeń Kanta, urodzony w r. 1762, zmarły w Berlinie 1814 r. w charakterze rektora uniwersytetu. W języku nowego filozofa, dwa wyrażenia, tak często powtarzane przez mistrza, podmiot i przedmiot, zastąpione zostały przez ja i nie ja. Ja przedstawia czucie, umysł, rozum, wolę, jedném słowem czynność, która jest w nas, a raczéj jest nami samemi. Nie ja oznacza świat zewnętrzny, świat ludzki; lecz przedmiot, czyli nie ja, istnieć nie może. Zasada filozofii, mówi Fichte, spoczywa w nas samych, w dziedzinie podmiotu, gdyż nie wiemy, co jest po za nami; mamy tylko prawo mówić i twierdzić o sobie; zapomnijmy więc o wszystkiém, co jest zewnątrz nas. Zamknijmy duszę naszą w sobie; opuśćmy świat, zwróćmy całą uwagę na nas samych, na nasze ja; a tam znajdziemy prawdziwe światło. To, co najpierw w nas poznajemy, jest to nasza własna czynność, są to wszystkie zmiany, wszystkie wyobrażenia w nas istniejące, jedném słowem, to nasze przeświadczenie, to nasza wiedza wewnętrzna [1]). To przeświadczenie rodzi się i rozwija, gdy przez rozmyślanie, poznajemy to, co się w nas dzieje, gdy poznajemy cały ten ruch wewnętrzny. Tak więc ja przedstawia się sobie samemu, przedstawia sobie przedmiot, który jest niem samém, zastanawia się samo nad sobą. Przeświadczenie więc, czyli wiedza wewnętrzna, wyrabia się sama przez się. Czynność więc nasza duchowa, zastanawiając się nad sobą, dochodzi do swego pierwotnego źródła. Takiém jest pierwsze twierdzenie myśliciela Fichte, które stawia jako widoczną prawdę, bezpośrednią, niepotrzebującą nawet dowodów. Z téj wiedzy we-

1) Wyraz *conscientia* nie jest tu użyty w właściwém znaczeniu. W języku filozofa, oznacza on świat wewnętrzny, zawarty w nas samych, wiedzę wewnętrzną.

wnętrznéj, tworzącéj się saméj przez się i przez własną czynność i potęgę rozważania, filozof wywodzi powszechność przedmiotów i świat zewnętrzny. „Moja działalność, mówi on, moje ja potyka się o coś, co zmusza ją do zwrócenia się na siebie, i moja potęga potyka się o przedmiot oporny, który staje przedemną, zarysowywa się, jak granica, jak zaprzeczenie méj działalności i potęgi. Wówczas zdradza się we mnie poczucie istności odrębnéj od mego istnienia, poczucie przedmiotu, który działa na mnie, ograniczając mą władzę". Zdawałoby się, iż myśliciel zapomina o swém zasadniczém dowodzeniu, iż podmiot jest wszystkiém, a przedmiot niczém; gdyż jeżeli ja czyli podmiot może być ograniczony przez przedmiot, to już nie jest wszechwładném, twórczém, i cały system Fichtego zdawał się być w zasadzie zniweczonym. Otóż posłuchajmy, jak Fichte przecina tę trudność; uznawszy, iż świat jest granicą ja, dodaje, iż właśnie wiedza wewnętrzna, czyli nasze ja stawia ową granicę. „I rzeczywiście, powiada, któż to myśli o świecie zewnętrznym, o nie ja, jeżeli nie moje ja? któż poznaje rzeczy dokoła mnie, jeżeli nie moje ja? Myśląc o rzeczach, nadaje im istnienie. Obraz rzeczy powstaje z głębi mego ja, uznaje je za istniejące, rzeczywiste, uprzedmiotowywam je, i oto początek świata zewnętrznego. Wszystkie więc wyobrażenia pochodzą z méj działalności wolnéj i umysłowéj. Prawda, że moje ja wyróżnia się wśród tych wyobrażeń i napotyka granice ze świata, lecz ponieważ te wyobrażenia, to nie ja, jest wynikiem mojego ja, a opór ten wynikiem mojéj działalności wewnętrznéj, ztąd wypływa, że ja samo się ogranicza, i że potykając się o nie ja, nie przestaje być jednocześnie nieskończoném i wszechwolném". Świat więc, według Fichtego, jest kształtem naszéj działalności, ograniczeniem naszego umysłu. Ja jest jedyną rzeczywistością, jedyną zasadą, samo stawia granice w niém zawarte. System filozofa Fichtego, nazwano idealizmem transcendentalnym. Jest to, mówi pewien myśliciel chrześcijański, utożsamienie ja ludzkiego z bytem właściwie nazwanym; jest to ubóstwienie tego ja; jedném słowem, jest to nowe bałwochwalstwo, w którém człowiek uwielbia siebie samego w swém życiu duchowém i umysłowém tak jakby to życie otrzymał od siebie. Fichte zniweczył przedmiot, albo świat zewnętrzny, aby uznać wszechwładne panowanie podmiotu, czyli ja ludzkiego.

System Schellinga.—Fryderyk Wilhelm Schelling, urodzony w roku 1775, drugi uczeń Kanta, jeszcze daléj postąpił, albowiem rzucił on wątpliwość co do samego podmiotu. Według niego, nie

chodzi już o to, czy rzeczy istnieją na zewnątrz nas, czy to istnienie jest rzeczywistém, lecz o to, czy my sami jesteśmy przedmiotem rzeczywistym w wyższém znaczeniu tego słowa. Przedmiot i podmiot, dwa wyrażenia wzajem się dopełniające; z usunięciem pierwszego, niknie i drugie. Prawda znajduje się tylko w istnieniu bezwzględném, a jest tylko istnienie wieczne i niezmienne. Oderwanie i zastanawianie się, które w idealizmie transcendentalnym prowadzić powinny do poznania siebie samego, są środkami zbyt powolnemi i niedostatecznemi. Filozofia jest to nauka zupełnie niezależna, w któréj znosząc jedno przez drugie, lub łącząc jedno z drugiém, podmiot z przedmiotem, dochodzimy do zupełnéj obojętności względem obydwóch. Wówczas mocą intuicyi umysłowéj, poznajemy istnienie bezwzględne Boga, zasadę jedności i szczęścia. Chociaż ta istota jest jedną, można jednak przypuścić istnienie wielości. Wogóle rozumowanie Schellinga jest bardzo ciemne i zawiłe.

System Hegla.—System Hegla, ucznia Schellinga, w zasadzie jest jednym i tym samym, co mistrza. „Obydwaj oni, mówi pewien głęboki myśliciel, rzec można, zgęścili błąd, określając go jednym wyrazem". Tę jedność poglądu przyznawali obydwaj myśliciele, mówi Maret, zachodzi tylko pewna różnica w wykładzie. Hegel zawsze i wszędzie szuka jedności, téj jedności, którą znajduje w tożsamości istnienia i myśli, w jedności istoty myślącéj i istniejącéj. Tą istotą jest Bóg przejawiający się i rozwijający się w rozlicznych kształtach. Hegel, mówi O. Gratry, jest twórcą systemu, który sam nazwał systemem tożsamości, a jaki polega w porządku rzeczywistym na tożsamości wszystkich istot, a w porządku umysłowym na tożsamości sprzecznych pojęć, co jest wprost przeciwne zdrowemu rozsądkowi. We Francyi nauka Hegla wytworzyła szkołę sofistów i ateuszów. Ta szkoła potworna, mówi. O. Gratry, nie rozróżnia niedorzeczności od rzeczy widocznych, straciła wszelką podstawę logiczną, a w każdym przedmiocie przechodzi od tak do nie, od za do przeciw. Według Hegla: sprzeczność nie istnieje; nie ma różnicy pomiędzy twierdzeniem a przeczeniem; byt i nicość są jedną i tą samą rzeczą. Z podobnemi zasadami, szkoła ta jest potwornością, niewidzianą na ziemi od dwóch tysięcy lat. Pracuje ona teraz nad zaciemnieniem i zniweczeniem nauk i tego wszystkiego, co nazywamy filozofiią, moralnością i religią. W duchu tym pisane są dzieła: „Hegel i Hegelianizm" w Przeglądzie dwóch światów, przez Edmunda Scherer: „Dzieje krytyczne

szkoły aleksandryjskiéj", „Metafizyka i Nauka" przez Vacherota; „Życie Jezusa", przez Ernesta Renan [1]).

Nicość i bezpłodność filozofii niemieckiéj.— Bóg zapewne chciał pokazać światu, dokąd dojść może geniusz, jeżeli idzie o własnéj swéj sile. Ukazało się trzech tak wielkich myślicieli w Niemczech: Fichte, Schelling i Hegel, i nauczali; lecz z ich pracy nic nie skorzystała prawda, nie stworzyli nawet szkoły błędu, szkoły, któraby mogła nosić ich nazwę. Trzéj myśliciele niemieccy przedstawiają zupełny racyonalizm, uwielbiający i ubóstwiający ich ja. Mówili oni: że byt i nicość są jednoznaczne, a potworna ta duma, prawdziwie szatańska, ukarana jest nicością, a kara ta uderza nasze oczy. Wszyscy trzéj nie zostawili nic określonego, nic stałego; uczniowie ich nawet nie rozumieli; dziś nawet nie można określić stanowczo ich błędu. W porządku dziennym nazwać go można Przeglądem germańskim, lub Przeglądem dwóch światów; w porządku dziejowym nie nosi żadnego miana. Głównem znamieniem dzisiejszych myślicieli, jest zupełna nieświadomość w przedmiotach dogmatycznych i moralnych. O Bogu, Jezusie Chrystusie, człowieku i jego obowiązkach, i końcu ludzkości, nie mają żadnego wyobrażenia, żadnéj myśli wyrozumowanéj, miotają się w gorączce i ciemności, a nie mogąc wytworzyć pojęcia prawdziwego, lub nawet błędnego, zapowiadają religię przyszłości, która ma być ostatnim wytworem nowożytnéj filozofii. Otoż Bóg, widząc umysł ludzki na tych wyżynach dumy, ukarał go, poniżając rozum aż do zwykłéj nicości i próżni w pojęciach.

Panteizm i jego początek.— Lecz, mówi pewien poważny człowiek, w pochodzie ku nicości wiele jest przystanków. Jeszcze przed pogrążeniem w zupełnéj próżni ducha ludzkiego, skierowano ku panteizmowi, téj nauce starożytnéj, tylko przyodzianéj nową szatą, pod którą ukrywa się zawsze pojęcie jedności i tożsamości istoty. Pomiędzy dawnymi myślicielami Indyi a filozofami Niemiec, zachodzi tylko różnica co do punktu wyjścia. Panteizm niemiecki bierze za podstawę ja ludzkie, podnosi je nad miarę i porównywa z Bogiem, gdy znów panteiści wschodni przesadzili pojęcie Boga; jest jedna istota nieskończona, mówili oni, ta istota nieskończona jest

1) *Hist. des philos.*, Bouvier; *Précis de l'Histoire de la philosophie*, p. Juilly.— Maret, *Essai sur le panteisme, Theodic. chretienne.* — O. Gratry, *Les sophistes et la critique.*

wszystkiém, wszystko sobą wypełnia, zatém co nią nie jest, być musi złudzeniem; w obydwóch dowodzeniach tenże sam wynik. Aby dojść źródła tego pojęcia i początku tego potwornego systemu, trzeba zwrócić się jeszcze do wielobóstwa; gdyż dwa te błędy ściśle są z sobą połączone i zrodziły jeden drugi. Podczas, gdy święci patryarchowie hebrajscy, mówi Maret, przechowywali jako najlepszą cząstkę swego dziedzictwa, jako nadzieję rodu ludzkiego, pojęcie o jedności i duchowości Boga i dogmat o stworzeniu, ludzie pogrążając się w miłości świata zewnętrznego, zapominali i przekształcili prawdę objawioną i pierwotne dogmaty. W ich pojęciach przyroda zastąpiła Stwórcę, a dogmat o stworzeniu zastąpiła nauka o wpływie. W Indyach a późniéj w Egipcie, znajdujemy pierwotną myśl o systemie emanacyjnym. Po naukach panteistycznych w Indyach i Egipcie, następuje dualizm chaldejski i perski, uznający dwie przyczyny pochodzenia, działające każda w swéj sferze. Staraniem mędrców starożytnych zasady i ustawy Wschodu przeszły do Grecyi, lecz z wielkiemi zmianami. Po kilku wiekach przerwy, system wschodni emanacyi odrodził się w gnostycyzmie aleksandryjskim, tylko, że gnostycy pojmowali go raz w znaczeniu unitarném, drugi raz w znaczeniu dualistyczném. Stronnicy, którzy przypuszczali jedność poczęcia, wierzyli tylko w jedną przyczynę, wieczną, od któréj pochodziły wszystkie istoty duchowe i materyalne, był to panteizm w najczystszym swym przejawie; do nich należeli: Appeles, Valentyn, Karpokrat, Epiphan, najsławniejsi mędrcy panteistyczni. Ci znów, którzy wyznawali dwie zasady odwieczne: ducha i materyą, stworzyli panteizm dualistyczny, gdyż według nich, wszystkie byty, były tylko wpływem i rozwinięciem pierwotnéj podwójnéj istoty. Saturnin, Bardezan, Bazilid, wprowadzili gnostycyzm dualistyczny, którego główni stronnicy zwali się Manichejczykami. Uwielbiając przyrodę, człowiek czcił królestwo zwierząt i roślin, owo nie ja ludzkie. W racyonalizmie człowiek uwielbia siebie samego, w swém życiu umysłowém, w swéj myśli, jak gdyby sam sobie dał życie. Racyonalizm jest tylko podnioślejszą formą bałwochwalstwa. Poganizm i racyonalizm wytworzyły panteizm, który uwielbia zarówno człowieka, jak i przyrodę, jako potęgi jednoznaczne, co do swéj istoty, a w swym rozwoju i w swych różnych objawach, pochodzące od jednéj substancyi.

Natura i niedorzeczność panteizmu.— I rzeczywiście, główną podstawą panteizmu jest jedność i tożsamość istoty, któréj człowiek i świat są przymiotami. Otoż, mówi Maret, zasada ta jest

wprost przeciwną zdrowemu rozsądkowi. Napróżnobyśmy przeczyli rzeczywistości świata, osobistości ludzkiéj, napróżnobyśmy dowodzili, że te rzeczy są tylko pozorami, bo ludzkość wierzy zarówno w świat zewnętrzny, jak i w j a ludzkie; wierzy, iż pomiędzy bytami zachodzą różnice rzeczywiste; wszystkie rozumowania rozbiją się o tę wiarę tak silną i niczém niepokalaną. Ludzkość wierzy w nieśmiertelność, jak w skończoność, wierzy, zarówno w Boga, jak i w świat; wierzy w przyczynę umysłową, nieskończenie mądrą, sprawiedliwą, dobrą i obdarzoną osobistością. Ta wiara jest podstawą życia moralnego, podstawą jego nadziei; ludzkość nigdy nie uzna w miejsce Boga, jakichśćiś pojęć oderwanych o istocie i istnieniu, które zaledwie rozumie, a których nigdy nie mogłaby uwielbiać. Panteizm nie może zaprzeczyć, zniweczyć, ani nawet wyjaśnić tych przekonań; może on rozumować o skończoném i nieskończoném, mięszać jedno z drugiem, potém zaprzeczać obydwom; ludzkość jednak postępuje dawnym torem, wierząc silnie i niezachwianie w jedno i drugie. Panteizm nie wyjaśnia, jaka jest przyczyna zmuszająca nieskończoność do wyjścia z tego nieruchomego spoczynku, z téj głębokości bezdennéj, aby zrodziła to mnóstwo bytów? Któż nakazuje nieskończoności, aby zamknęła się w granicach, tworząc istoty skończone? Dla czego jedność boska ma się rozpadać na różnorodność nieskończoną? Cóż znaczą owe twierdzenia: że skończoność jest nieskończoném, ale tylko pod innym względem i naodwrót, że nieskończone staje się skończoném; i że skończoność i nieskończoność są jednoznaczne; czyż nie widzimy tu wyraźnéj sprzeczności i jasnéj niedorzeczności? Panteizm jest jeszcze straszniejszy w swych skutkach, jeżeli wszystko jest jedném, nie ma więc rzeczywistéj różnicy pomiędzy bytami; a zatém przedmiot i podmiot, przyczyna i skutek, czynność i bierność, duch i materya są jedną i tąż samą rzeczą. Znam inne przedmioty, widzę między mną a nimi wyraźną różnicę, a według panteistów, to wszystko błąd i złudzenie, bo w rzeczywistości jedną jesteśmy istotą; wszystkie stosunki rodzinne, społeczne, są tylko pozorne. Ludzie wierzą w coś rzeczywistego, twierdząc, że błąd nie jest prawdą, że dobre nie jest złém, że cnota i występek są wiecznie różne; mylą się więc i oni, gdyż wśród powszechnéj tożsamości nikną wszelkie różnice. Według panteistów, jakaś siła wewnętrzna i ślepa, zespolona z istotą nieskończoną wszechświata, wydaje wszystkie istoty, które jakkolwiek różne na pozór, łączą się z sobą i z istotą, z któréj powstały we wspólnéj tożsamości. Istota, odznaczająca się wśród mnóstwa zjawisk, jest sama przez się pozbawioną osobistości,

woli i umysłu, a jeżeli się sama poznaje, to jedynie przez rozum ludzki, najwznioślejszy i najwyższy z jéj rozwojów; zatém istota boska nie posiada swego własnego życia, żyje ona przez swe objawy, wydając świat. Otoż, ponieważ to wytwarzanie świata jest nieskończoném, ponieważ nie ma początku ni końca, zatém życie boskie nie jest zupełném, Bóg nie istnieje, lecz wyrabia się. Cały ten wykład panteistyczny zmierza ostatecznie do pojęcia, któreśmy tylko co przedstawili w całéj nagości. Otoż ta zasada, uważana w sobie i w skutkach, jest tylko przebranym ateizmem. Ateizm przeczy Bogu, zastępuje istotę istot przez ślepe siły przyrody. Panteizm nazywa Boga wielką całością wszechświata, która będąc zbiorem istot pozornych i ułudnych, wydaje się jakiémśćiś pojęciem oderwaném, z jednéj więc i z drugiéj strony odmawiają Bogu umysłu, wolności, życia, przeczą Jego istnienia. Wobec takiego pojęcia o Bogu, czyż może istnieć religia, która jest tylko wyrazem stosunków człowieka z Bogiem, lecz ażeby istniał stosunek, potrzeba dwóch osobistości do siebie się odnoszących. Panteizm utożsamiając Boga z człowiekiem i światem, znosi te różnice i stosunki. Nadto, jeżeli jedna tylko jest istota i jeżeli wszystko jest tożsamością, jeżeli wszystko jest Bogiem, to w jednéj i téj saméj istocie nie może być sprzeczności; a następnie nie ma różnicy rzeczywistéj pomiędzy występkiem a cnotą, pomiędzy błędem a prawdą, złém a dobrém; przytém powiadają nam, że wszystko jest dobrém, gdyż wszystko jest jedném i nieskończoném. Lecz moralność jest już niepodobieństwem; jakie dać jéj podstawy? jak określić obowiązek? Występek i cnota, złe i dobre, wszystko jest konieczném, uświęconém, boskiém, ponieważ wszystko jest rozwojem i objawem nieskończonego, t. j. samego Boga [1]).

Obok racyonalizmu i panteizmu niemieckiego, wytworzył się hermezyanizm, którego autorem jest Jerzy Hermes, urodzony roku 1775 w mieście Münster. Powiada sam, że pod koniec swych nauk, przyszła mu na myśl jakaś wątpliwość co do Boga, objawienia i życia wiecznego. Posiadał wielki szacunek dla Kanta, który według niego, jasno dowiódł, że metafizyce brakło trwałéj podstawy. Jednakże nie poszedł on za przykładem myśliciela królewieckiego, chwalił nawet Fichtego, gdyż mawiał, on jedynie wykazał, że filozofia Kanta nie może się utrzymać. Zostawszy kapłanem w r. 1799, mianowany zo-

1) Maret, *Essai sur le la Panthéisme.* — Nicolas, *Du Protestantisme*, str. 290, 293, 404.

stał profesorem wszechnicy najprzód w Münster i potém w Bonn, na któréj to posadzie pozostał do końca swego życia, t. j. do r. 1831. Chcąc pogodzić wiarę katolicką ze sprawami myśli ludzkiéj, usiłował utworzyć katolicyzm ściśle filozoficzny. Nowy myśliciel stanął na wyżynie wszelkiego zwątpienia, utrzymując, iż nic nie jest pewném i prawdziwém na świecie, nie tylko religia katolicka, lecz nawet istnienie Boga i świata. Przyjmując więc to powszechne i pozytywne zwątpienie [1]) za punkt wyjścia, chciał je zwyciężyć własnemi siłami i własném światłem myśli. Zdawało mu się, iż znalazł nową zasadę, na któréj wzniesie gmach myśli i prawdy prostéj, chrześcijańskiéj, religijnéj prawdy katolickiéj, tak, iż jedyną powagą dla ludzi będzie: albo nie ma prawdy, albo prawda jest katolicyzmem.

Potępienie hermezyanizmu. — Idąc tą drogą, zuchwały mędrzec rozwijał swe zasady, jużto w swych księgach, jużto w ustném nauczaniu, popełniając niezliczone błędy teologiczne. Rzym uwiadomiony o tém, po długiém i poważném zbadaniu hermezyanizmu, potępił go przez *breve*, wydane d. 26 września 1835 r., w tych słowach: „Pomiędzy mistrzami błędu, mówi papież, ukazał się w Niemczech Jerzy Hermes, który usuwając się uporczywie od drogi nakreślonéj przez podanie i Ojców świętych, dla wyjaśnienia i obrony prawd wiary, pogardzając nią nawet dumnie, otwiera przepaść dla wszystkich błędów, przyjmując bezwzględne wątpienie za podstawę wszelkich rozumowań teologicznych i stawiając za zasadę, iż rozum jest jedynym środkiem, wiodącym człowieka do poznania prawd nadprzyrodzonych. Wieść o tém doszła nas przez skargi i użalania się teologów niemieckich; my przeto zadosyćczyniąc swemu obowiązkowi apostolskiemu, na mocy którego winniśmy czuwać nad nietykalnością świętego skarbu wiary, kazaliśmy sobie przysłać dzieła Hermesa do zbadania; co téż uczynioném zostało najpiérw przez teologów, biegłych w niemieckim języku, a późniéj przez naszych czcigodnych braci, kardynałów Kościoła rzymskiego. Ci więc, zbadawszy każde pojęcie w ogóle i w szczególe, orzekli po długiéj i rozważnéj rozprawie, odbytéj w naszéj obecności, iż myśliciel gubił się w tém rozumowaniu i wprowadził wiele rzeczy niedorzecznych i przeciwnych zasadom Kościoła katolickiego, szczególniéj w przedmiotach tyczących się natury wiary i

1) Nie była to wątpliwość metodyczna czyli przypuszczalna Karteziusza, który wątpił tylko z punktu metafizycznego, a nie moralnego. Nie poddawał on wątpliwości pierwszych zasad powszechnie przyjętych i prawd porządku nadnaturalnego. Wątpliwość Karteziusza była daleką od sceptycyzmu.

zasad wierzenia, jako Pisma św., podania, objawienia i najwyższéj władzy Kościoła; błądził w rzeczach dotyczących pobudek wierzenia w prawdziwość religii Jezusa Chrystusa, w dowodzeniach tyczących się istnienia Boga, saméj Jego istoty, świętości, sprawiedliwości, wolności i celu, jaki założył sobie w swych dziełach, a który teologowie nazywają *ad extra*; błądził w rzeczach odnoszących się do konieczności w rozdawaniu łaski i darów, nagrody i kary, do pierwotnego stanu naszych rodziców, grzechu pierworodnego i sił człowieka upadłego. Sądzili oni, iż dzieła te powinny być potępione, jako zawierające zasady i zdania błędne, zuchwałe, wiodące do zwątpienia, obojętności, szkodliwe dla szkół katolickich, niweczące wiarę boską tchnące herezyą i potępione przez Kościół już w innych okolicznościach“.

Pogląd Straussa na życie Jezusa Chrystusa.— Racyonalizm niemiecki zrodził teoryę mytu, którą doktor Strauss nauczyciel seminaryum ewangelickiego w Tybindze, zastosował do życia Jezusa Chrystusa w dziele pod tytułem: „Życie Jezusa“, ogłoszone w roku 1835. Według niego Chrystus jest postacią bajeczną, a ewangelia zbiorem legend i podań. Ochrzczony przez świętego Jana, Jezus zgromadził uczniów, a potém upadł pod przemocą faryzeuszów: oto według Straussa całe życie Jezusa Chrystusa, tylko wyobraźnia otoczyła go tylu cudami wspomnianemi w Ewangelii. Jezus Chrystus więc istniał z pewnością, lecz został tak przekształcony w myśli swych wielbicieli, stosownie do pojęcia wieków, że staje po za obrębem dziejowym, należąc raczéj do podań bajecznych. Można, mówi Strauss, poprzeć to dowodzenie tém, że Ewangelia nie była ogłoszoną współcześnie Jezusowi, ale dopiero od drugiego wieku poczyna się panowanie Nowego Testamentu. „Wystąpmy śmiało, mówi O. Lacordaire, przeciwko walce wypowiedzianéj Chrystusowi przez niemieckich racyonalistów. Czyż mógłby kto zaprzeczyć istnieniu mytów? Bynajmniéj, gdyż podanie ze stanowiska dziejowego wydaje mi się rzeczą najprawdziwszą w świecie. Przypuszczam, że człowiek opierając się na podaniu po upływie kilku wieków, może nie rozróżnić prawdziwego wypadku od innych okoliczności podrzędnych mu towarzyszących, lecz tam, gdzie jest Pismo uwieczniające opowieść, gdzie jak spiż niewzruszoną przekazuje prawdę pokoleniom, tam natychmiast znika potęga podaniowa. Wówczas wypadek dziejowy w prawdziwéj swéj treści zapanowywa nad ludzką wyobraźnią i tysiące lat go już nie zmienią. Czyż od Herodota i Tacyta spotykamy jakie podania w dziejach? Czyż Karol Wielki stał się mytem po tysiącu, a Klodoweusz po tysiąc

trzystu latach? Czyż August i Cezar, zagłębiając się w przeszłości, stali się osobistościami podaniowemi? Nie, okresem podań bajecznych, to czasy Romulusa i Rema, to chwila założenia Rzymu. Dlaczego? wszak już wtedy, istniało pismo; prawda, lecz nie obejmowało ono dziejów rzymskich. Lecz gdy raz już pismo obejmie w swe ramy dzieje jakiego narodu, wtedy już podanie utraca całą moc swoją. Otóż Jezus Chrystus nie należy do czasów podaniowych, ale do epoki, w któréj już było pismo na ziemi, gdzie już było niepodobieństwem, aby zakorzeniło się podanie bajeczne. Opatrzność wszystko przewidziała; a jeżeli kiedy nasuwa się pytanie, dlaczego Zbawiciel ukazał się tak późno, to tu znajdujemy odpowiedź. Przyszedł tak późno, aby nie należeć do starożytności, aby żyć w czasach piśmiennych; nie z Chrystusem zaczęło istnieć pismo, było ono już na lat tysiąc pięćset przed nim, a jeżeli liczyć będziemy od Herodota, to i tak Pismo poprzedziło Chrystusa na lat pięćset. Tak więc Chrystus jest istotą należącą do ery nowożytnéj, a choć świat wieki przetrwa, to On za pośrednictwem pisma zawsze będzie obecny i zajmie doniosłe stanowisko w rzeczywistych dziejach ludzkości. Strauss sam przyznaje, że podanie bajeczne obok pisma istnieć nie może; otóż chce obrać Chrystusa z powagi piśmiennéj, a ogłoszenie Ewangelii miało miejsce przed rokiem 150 ery chrześcijańskiéj; zkąd wypływa, że wieść o Chrystusie przez tyleż lat krążyła między ludźmi, dzięki podaniu". „Choćbym nawet przypuścił, mówi O. Lacordaire, że Ewangelia nie ukazała się przed rokiem 150, to jeszcze przedtém istniało pismo u Żydów, Greków, Rzymian, słowem u wszystkich narodów, których zajmowała sprawa chrześcijaństwa. Przed 150 rokiem świadczą o tém Tacyt i Pliniusz Młodszy. To nawracanie, te świadectwa, te rozprawy, ta walka, krew wylana, wszystko to było jawném, zapisaném, nie było więc podaniem martwém, przetwarzaném w wyobraźni ludów przez długie wieki obojętności i pokoju. Ofiara z życia popierała tu słowa, a trzy społeczeństwa: chrześcijańskie, żydowskie i rzymskie wiodły z sobą zaciętą walkę w tym wiekowym okresie. Jakto? więc ci żydzi, którym ciągle powtarzano: Zabiliście Chrystusa, ci władzcy i panujący, których prawa deptano w imię Chrystusa, więc wszyscy oni ulegali sile podania bajecznego? nie, bo cały owoczesny świat broczył we krwi, a krew to rzeczywistość. Cóż więc obchodzi chwila ukazania się Ewangelii, gdy dzieje całe tworzą Ewangelię, jeżeli ukazała się ona w sto dwadzieścia lat po śmierci Chrystusa, to istniała i żyła jeszcze przed napisaniem, w ustach Apostołów, w krwi męczenników, w nienawiści świata, w milionach wyznających Chrystusa zmartwychwstałego. Co za litość, so za słabość! Czyż można porównać religię, która powstała jawnie, bojem wywalczała swe istnienie, któréj podanie poprzedziło zaledwie na lat sto pismo, czyż można więc porównać ją z temi wyznaniami bez dziejów, których początek pogrążony w oddali wiekowéj niknął, za które ani jednéj kropli krwi nie przelano". A przytém my nie zgadzamy się z Straussem, co do czasu ogłoszenia Ewangelii. Święty Mateusz, według rękopismów greckich, pisał w r. 41 naszéj ery, w ośm lat po śmierci Jezusa Chrystusa. Święty Marek także w r. 41, inni jednak podają rok 48; święty Łukasz według rękopismów greckich ułożył swe dzieło w r. 51, inni podają rok 53. Co do św. Jana, to pisał on w r. 64, a według innych świadectw, to w 94 czy też 97 roku; zawsze jednak zachodzi półwiekowa różnica z czasem zakreślonym przez Straussa. Do pierwszych swych dowodzeń Strauss dołącza jeszcze drugie: niemożebność cudów [1]). Ewangelia, mówi on, jest pasmem cudów, otóż cud jest niemożebnym, zatém niemasz tu dziejów tylko podanie. Na to odpowiedź znajdujemy u Jana Jakóba Russo: „Czy Bóg może, mówi myśliciel genewski, czynić cuda, to jest, zmieniać prawa które sam ustanowił? To pytanie poważnie rozbierane byłoby bezbożném, gdyby nie było nierozsądném; gdyby je kto rozwiązał przecząco, to nawet nie zasługiwałoby już na karę, ale wprost na zamknięcie, jako człowieka cierpiącego na umyśle". Ewangelia, twierdzi Strauss, jest jednem pasmem sprzeczności niezgodnych ze zdrowym rozsądkiem, nie może być historyą rzeczywistą, lecz wytworem wyobraźni wyznawców Chrystusa. Otóż te wszystkie sprzeczności zbadane były przez doktorów katolickich i każda obecnie ma po kilka nawet wyjaśnień, które nie wychodzą nigdy z granic możebności, a nawet prawdopodobieństwa. Wiadomo przecież, że czteréj Ewangeliści pisali każdy osobno, nie naradzając się wzajemnie. „Czujemy, mówi O. Lacordaire, że święty Mateusz, święty Marek, święty Łukasz i święty Jan, to cztery duchy tak różne, każdy przedstawia w swój sposób kochanego mistrza, nie bacząc nawet na porządek czasu. Ztąd dowolny wybór przytoczonych opowieści, brak związku, sprzeczność pozorna, szczegóły opuszczone w jednéj księdze a wspomniane w drugiéj, a jednak we

1) Św. Augustyn mówi: „ktoby chciał zaprzeczyć cudom przez Apostołów zdziałanych, musiałby przypuścić ten największy cud, że świat uwierzył bez cudów".

wszystkich czterech Ewangelistach taż sama postać Chrystusa, taż wzniosłość, taż sama czułość, siła, też same słowa i charakter mistrza. Otwórz Mateusza celnika i świętego Jana, młodzieńca dziewiczéj niewinności, wybierz zdanie różne co do formy i przedmiotu, przeczytaj je tysiącom ludzi zebranych, a wszyscy poznają w nim Chrystusa, a im więcéj wykazywać będą sprzeczność pozorną w Ewangelistach, tém wyraźniéj zarysowywać się będzie owa zgodność i jedność postaci moralnéj Chrystusa. Jeżeli tak zgodnie oddają postać Jezusa, to dlatego, iż widzą ją taką, jaką była, a któréj zapomnieć nie mogą; widzą ją zmysłami, sercem, miłością, krwią uświęconą; są oni zarazem świadkami, malarzami i męczennikami. Podobne wydarzenie raz tylko może mieć miejsce, i dlatego jedna jest tylko Ewangelia, choć liczą ich cztery [1])". Oprócz poważnych i uczonych rozpraw, zbijających system Straussa, wiele ukazało się pism walczących broni śmieszności. Pewien stary urzędnik w Bordeaux, wydał pisemko przeciwko Dupuis pod tytułem: „Niezbite dowody, że Napoleon Bonaparte jest tylko postacią podaniową, a nie rzeczywistą". Dowcipny pisarz wykazuje, iż wszystkie przymioty i czyny Napoleona są tylko istném zmyśleniem, a sama postać cesarza Francuzów jest mytem. Inny znowu pisarz, stosując do samego Straussa zasady jego krytyki, dowodzi, iż można wątpić, czy ten myśliciel napisał: „Życie Jezusa", a nawet czy sam istniał. „Odpowiedz szaleńcowi to, co przystoi szaleństwu, mówi Duch Święty, aby mi uwierzył, iż jest mądrym [2])". Według Ewalda z Goettyngi, sławnego racyonalisty niemieckiego, „Życie Jezusa" napisane przez Straussa, a tak wychwalane przez Renana, który następnie także napisał znaną książkę przeciw P. Jezusowi, jest książką nędzną i niedorzeczną, oddawna już będącą w pogardzie w Niemczech, która wywarła tylko przelotne wrażenie i to na ludziach mniéj światłych i na nieprzyjaciołach Chrystusa [3]).

Racyonalizm francuski. Systemata materyalistyczne.—Francya także wydała wielu myślicieli nie tak głębokich i ciemnych jak niemieccy, ale równie bezbożnych. „Tłumy pracowników,

1) O. Lacordaire Conf. 1847. Thomas Moor, — Tholuck, Badanie nad prawdopodobieństwem dziejów ewangelicznych.

2) *Responde stulto juxta stultitiam suam, ne sibi sapiens esse videatuo.*— Proverb. c. 24, v. 5.

3) *Monde*, 1 novembre 1863 r.—O. Gratry, *Les sophistes et la critique*, str. 293, 294.

mówi Baulain, wznoszą nowe budowy, wszyscy pragną zyskać miano założycieli. Zdaje się, iż żyjemy od wczoraj, a świat wyszedł z zamętu, a każdy ma posłannictwo urządzania go". Najpierw gruby materyalizm wprowadzony przez La Mettrie, Helwecyusza, Holbacha, znalazł stronników w Cabanisie, w Broussais, w hr. Tracy i wielu innych. Wychodząc z téj zasady, iż wszystkie pojęcia pochodzą od zmysłów, Cabanis usiłuje wyjaśnić w rozprawie: „O związku fizycznym i moralnym", jak się odbywa to zjawisko. Wykłada on, jak wrażenie odebrane przez nerwy dochodzi do mózgu, gdzie przemienia się już w myśl. Mózg więc uważa za główne ognisko wytwarzania myśli, którą nazywa według swego niedorzecznego określenia: wydzielaniem się mózgu. Umarł on w r. 1808. Dwóch znowu innych uczonych Lavater ze Szwajcaryi i Gall z Würtemberga, pracowali także nad rozwojem materyalizmu. Lavater chciał oceniać wartość moralną człowieka z oznak zewnętrznych, a nawet z takowych przepowiadał mu przyszłość. Gall, który jakto już wspominaliśmy w jednym z poprzednich artykułów, przeważnie zajął się badaniem mózgu i doszedł do tego wniosku, iż przymioty umysłowe i moralne zależą od ustroju głowy. Doktor Broussais na grobie Galla dziękował mu, iż walczył całe życie z nieprzyjaciołmi światła i myśli, i przyrzekł mu, iż sam podejmie tę walkę, wygłaszając w swych pismach i wykładach najgrubszy materyalizm. Utrzymywał on, iż w człowieku nie ma żadnéj istoty duchowéj; iż dusza wcale nie istnieje; iż sąd, wola, pamięć, pojęcia, uczucia, są tylko wynikiem czynności mózgu, albo inaczéj są różnémi objawami podniecenia nerwów; żądze zaś i namiętności pochodzą od różnych organów działających na mózg. Cnoty i występki są tylko wynikiem walki pomiędzy organami czaszkowemi i innemi organami ciała. Twórca téj poniżającéj nauki umarł w roku 1838. Hrabia Destutt de Tracy ogłosił dzieło: „Żywioły tworzenia się myśli", gdzie naucza, iż władze myślenia i ruchu wypływają z naszego ustroju organicznego. Człowiek, według niego, to zbiór pewnych ruchów i wrażeń podległych konieczności. Jeżeliby więc zapytano autora tego dzieła, czém się różnimy od zwierząt, powiedziałby, że różnica nie jest wielką. „Cała wyższość człowieka stanowi ustrój doskonalszy i mowa, gdy tymczasem zwierzęta nie mogą porozumieć się z sobą za pomocą języka". Co to za straszne zasady moralne wypływać mogą z podobnéj nauki, a jednakże Tracy głośno je wypowiada wszystkim. „Każda istota żyjąca, mówi on, ma prawo zadawalniać wszystkie swoje potrzeby i żądze; a jedynym jéj

obowiązkiem jest dążenie i wybieranie środków do tego celu, gdyż będąc obdarzona namiętnościami, nie może być skazaną na cierpienie; a posiadając władzę i możność działania, powinna jéj używać dla zadowolenia swych pragnień".

Szkoła Szkocka.— Obok tych dowodzeń strasznych i oburzających, powstaje szkoła szkocka, niby mędrszych myślicieli, która jednak w swéj treści jest równie nierozsądną i zgubną. Założycielem jéj był szkot Reid. Badał on ja ludzkie, lecz nie samo w sobie, tylko w jego władzach, które jako takie poddawał rozbiorowi, lecz odnośnie do ich wzajemnéj działalności i różnicy. Głównem zadaniem téj szkoły było odróżnienie i nazwanie władz umysłowych, których odkryto dwie: nazwano jedną rozumem a drugą wolą. Wśród tego zamętu rozumowań Jouffroy wydaje okrzyk boleści w tych słowach: „Nie mogę się wydziwić, iż z takim zapałem zajmują się tworzeniem myśli, jak gdyby cała filozofia na tém się wspierała, a zapominają o człowieku, Bogu i świecie, o zagadkach przeszłości i tajemnicach przyszłości i tylu olbrzymich zadaniach ludzkości. Całą filozofię zamknięto w ciasnym okręgu, gdzie brakło jéj powietrza, a gdzie dusza moja odłączona od Chrystyanizmu niewymownie cierpiała".

Szkoła doktrynerska.— Z najszlachetniejszych, najpoważniejszych i najreligijniejszych umysłów szkoły szkockiéj utworzyła się inna szkoła, tak zwana doktrynerska, w któréj nie tworzono jednak zasad i nauk teoretycznych, lecz one wypływały późniéj z samego postępowania i życia. Głównym celem téj szkoły było pośrednictwo pomiędzy błędem a prawdą; działalność jéj miała obszerne pole, bo sprawy państwowe, a za mównicę izbę poselską. Utrzymywała się ona jedynie przez zdolności swych mistrzów, i opiekę możnych; lecz nadając jednakie prawa błędowi i prawdzie, wiodła ona, mówi Nikolas, do zwątpienia.

Szkoła eklektyczna.— Szkoła eklektyczna miała jeszcze więcéj doniosłości. „Wychodząc z téj zasady, iż prawda zawiera się w każdym błędzie, postanowiła sobie, jak powiada główny jéj mistrz Cousin, odłączyć błędy naleciałe do téj cząsteczki prawdy, która jest siłą i życiem każdego systemu; następnie zebrawszy je wszystkie, oczyściwszy i porównawszy, wytworzyć zupełną i całkowitą prawdę". Tu uderza nas już w oczy sprzeczność widoczna, bo czyż można wyróżnić i rozpoznać cząstkę prawdy przymieszanéj do błędu, nie znając jéj całkowitéj. Jeżeli jéj nie znamy, to odszukanie jest niepodobieństwem, a jeżeli znamy, to pocóż jéj szukać. „Wybór, krytyka,

mówi Jouffroy, już świadczą o znajomości prawdy; chcieć poznać jedno przed drugiém, toby znaczyło, co chcieć osiągnąć cel przed środkami; byłoby to kółko błędne". Pomimo tego błędu, szkoła ta wywarła wielki wpływ, dzięki potężnéj władzy mistrzów.

Szkoła synkretyczna.— Jednakże, wielu myślicieli przejęło się myślą pogodzenia i pomieszania wszystkich zasad. System ten nie jest nowy, widzieliśmy go jeszcze w III. wieku; nie robił on nowych poglądów, mówi Riambourg, ale zebrał tylko i połączył w sobie wszystkie rozumowania znane. Każdy z myślicieli, mówią eklektycy, widział prawdę, lecz tylko cząstkową; wszyscyby się pogodzili, gdyby chcieli wzajemnie porozumieć się, lecz każdemu z nich zdawało się, iż pochwycił całą prawdę i ztąd to owe odwieczne rozprawy. Nadszedł więc czas, aby położyć koniec tym wszystkim sporom. Zamiast przytaczać zdanie jednego myśliciela przeciw drugiemu, porównajmy ich różne systemy, wybierzmy to, co każdy z nich poznał osobiście, a wytworzy się istny skarb wiadomości filozoficznych, albo jeszcze lepiéj filozofia zupełna. Powinien wyniknąć z tego połączenia cząstek wiedzy pogląd ogólny, który nie tylko będzie prawdziwym, lecz zawierać będzie całą prawdę. Eklektyzm więc nowożytny, mówi Riambourg, obejmuje w sobie nietylko sensualizm Condillaca, ale i bezwstydny sceptycyzm szkoły Voltera. Powołano także do udziału w téj pracy i wyznania religijne; gdyż filozofia wyrzeka się swych uprzedzeń antyreligijnych, byleby tylko religie ze swéj strony uległy zamianom, jakie im przedstawia filozofia. Taką jest zasadnicza myśl Cousin'a. „Niema wcale systemu błędnego, mówi ten myśliciel, lecz wiele jest systemów niezupełnych, dość prawdziwych samych w sobie, lecz niedorzecznych z tego względu, iż mniemają, że są w posiadaniu całéj prawdy. Wszystko więc jest prawdą rozpatrywane samo w sobie, lecz może zostać błędem, jeżeli weźmiemy je zbiorowo. Błąd więc jest to tylko niezupełna prawda uchodząca za bezwzględną; inny błąd jest niepodobieństwem". „Wiedza już istnieje, mówi Jouffroy, zamiast zaczynać ją na nowo stwarzać, dosyć ją odszukiwać w dziełach nieśmiertelnych geniuszów, a z porównania tych wszystkich rozumowań, z których każde zawiera cząstkę prawdy, wyciągnąć wniosek ogólny zupełnie prawdziwy" [1]). Pomimo tylu różnych twierdzeń, wszyscy pojmujemy, iż niedorzecznością jest utrzymywać, że jedność,

1) Cousin, *Fragments philosophiques.* — Journal, *le Globe.*—Nicolas, *du Protestantisme*

zgodność i prawdą, wypływają z zamętu najróżnorodniejszych zasad i systemów, częstokroć sprzecznych i zbijających się nawzajem [1]).

Wyższość katechizmu w porównaniu z całą filozofią.—Podczas, gdy filozofowie i mędrkowie wyczerpują się w odszukiwaniu i nauczaniu niedorzeczności, jest mała książeczka katechizm, która zawiera jasno wyłożone wszystkie te prawdy. „Czytaj tę książeczkę, mówi sam Jouffroy, a znajdziesz tam rozwiązanie wszystkich pytań, które ci zadałem. Zapytaj chrześcijanina zkąd pochodzi rodzaj ludzki? odpowie ci: dokąd idzie, wie także, jak winien tam dojść, i to rozumie jasno. Zapytaj dziecinę, która jeszcze nawet myśleć nie umie, na co jest stworzoną i gdzie pójdzie po śmierci? a da ci wzniosłą odpowiedź. Zapytaj, jak świat stworzony i jaki jest jego cel; dla czego Bóg stworzył zwierzęta, rośliny, jak zaludniła się ziemia, czy ludzie pochodzą od jednéj, czy od kilku rodzin, dla czego ludzie mówią wielu językami; dla czego cierpią, walczą i jak wszystko to się skończy? dziecię na to odpowie zrozumiale. Początek świata, powstanie rodzajów, przeznaczenie człowieka w tém i przyszłém życiu, stosunek człowieka do Boga, obowiązek człowieka względem swych bliźnich, prawo człowieka nad stworzeniem, wszystko to zna mała dziecina, a kiedy wzrośnie, pojmie od razu prawo przyrodzone, prawo państwowe i prawo ludzkości; gdyż wszystko to wypływa z przedziwną jasnością z chrześcijanizmu. Otóż to, co nazywam wzniosłą religią; poznaje ją po tém, iż rozwiązuje wszystkie pytania tyczące się ludzkości“ [2]). Wiadomo również, iż Diderot kazał uczyć swą córkę katechizmu; a gdy jeden z towarzyszy zapytał go, dla czego to robi, odpowiedział: „Gdzież znajdziemy coś lepszego?“

Szkoła i teorya postępu.—Zasada postępu pochwycona przez eklektyków, rozwijała się coraz bardziéj, marzono o prawdzie postępowéj, wypracowywanéj przez wieki i z tego utworzono szkołę postępową. Myśl doskonalenia się i ciągłego postępu ludzkości, rzucona już była jako ziarno w wieku XVIII., i głównie ją popierał hr. de Saint Simon, zmarły w r. 1825, a późniéj uczniowie jego i zdolniejsi pisarze, jak: Piotr Leroux, Karol Fourier, L'Herminier. Teorya postępu, jaką podają główni jéj twórcy, jest raczéj religią, a nie zasadą filozoficzną. Powiadają oni, iż rodzaj ludzki od początku aż do naszych czasów, szedł drogą doskonalenia się umysłowego, fizycznego i moralnego, usuwając poza siebie wszystko, co mogłoby być przeszkodą do ulepszenia rodzaju ludzkiego i dobrobytu jednostki. Według zasady téj szkoły, rodzaj ludzki ulegając prawu przyrodzonemu, posuwa się powoli po téj drodze doskonałości, gdzie umysł, nauka i przemysł razem się wspomagają, wiodąc ludzkość ku postępowi. Nowe czasy nadchodzą, w których ludzkość połączona związkiem serdecznym, żywot swój wieść będzie wśród pomyślności i wiedzy. Lecz sprawy starego świata jeszcze stawiają opór, ludzkość broni ich z zapałem, wielu chciałoby powstrzymać ten znak naprzód, cofnąć całą oświatę i ztąd owo straszne zamieszanie, owe walki, od pół wieku wichrzące Europę. Przyspieszyć koniec tych nieszczęść, oświecając ludzkość, wskazywać jéj obowiązki, przeznaczenie, podając jéj dobroczynne prawa, przedstawiając nie zgadzającym się, iż napróżno usiłują wstrzymać przeznaczenie; takiém winno być zadanie każdego rozumnego człowieka, mającego na sercu sprawy ludzkości.

Zasady Saint Simonistów.—Jednakże i postępowcy jak i inni sofiści i sekciarze, rozdzielili się: jedni chcieli przetwarzać świat za pomocą pojęć pozytywnych, to jest, nauk fizycznych, dowodząc, iż pojęcia religijne, tak dobre i zbawienne niegdyś, przy obecnym stanie rozumu ludzkiego, mogą oddziaływać wprost przeciwnie; inni znów utrzymywali, że pojęcia religijne równie są dziś jak i niegdyś konieczne; lecz że powinny być zmienione i zastosowane do obecnego stanu społeczeństwa i do postępu. Głównymi stronnikami ostatniego poglądu byli; panowie Bazard, Enfantin, L'Herminier. Pragnęli więc oni do nauk ścisłych wprowadzić żywioł religijny i w tym zamiarze odwołali się do niewiast. Przyjęli jakiś nastrój tajemniczy: „Bóg, uczucie religijne, sumienie, natchnienie, ludzkość, objawienie osobiste“, ciągle brzmiały w ich ustach. Uznawszy, iż religia nie może istnieć bez kapłanów, zaprowadzili podział na apostołów i uczniów, albo ojców i synów. Zgromadzenie zjednoczonych nazwano rodziną, nowa religia przyjęła nazwę Kościoła Saint Simonistowskiego; Bazard i Enfantin nazwali się najwyższymi ojcami [1]). A teraz podamy główniejsze zasady Saint Simonistów: 1) Chrześcijanizm dobry w swéj naturze, wybornie zastosowany

1) Czytaj, *Rationalisme et Tradit*, p. Riambourg, a znajdziesz gruntowne zbicie tego paradoksu.

2) *Du problème de la destinée humaine. — Melangeschi, Etudes philosophiques.*

1) W r. 1830 czasopismo *Globe* popierało pojęcia Saint-Simonistów.

do potrzeb społeczeństwa owoczesnego, cudowny niemal wpływ wywierał na ludzkość w wiekach przeszłych; a myśliciele XVIII. wieku okazali się niesprawiedliwymi tak go osławiając [1]). Lecz ta instytucya już się przestarzała i przeżyła swój czas, obecnie jest bezsilną, umierającą a nawet już umarłą. 2) Saint Simonizm powinien zastąpić Chrystyanizm, tak jak Mozaizm ustąpił miejsca Chrystyanizmowi. 3) Chrystyanizm zajmował się wyłącznie duchem człowieka, pogardzając niemal jego ciałem. Saint Simoniści przeciwnie przywracali prawa ciału, uznając za cel człowieka, szczęście tutejsze na ziemi. 4) W religii Mojżeszowéj niewiasta jest niewolnicą; chrystyanizm nią się opiekuje, a Saint Simonizm wyzwala ją, czyni wolną i stawia na równi z mężczyzną. 5) Odrzucają grzech pierworodny jako nie mogący się pogodzić z podniesieniem ciała, przeczą, aby natura ludzka była zepsuta, zasługująca na karę po śmierci. 6) Odsądzają Boga od głównych Jego przymiotów, zmieniają najzupełniéj pojęcia chrześcijańskie w tym względzie i nakoniec dochodzą do Panteizmu. Określając najwyższą istność powiadają: „Bóg jest wszystkiem co istnieje“. 7) W tém przypuszczeniu nie może być mowy o stworzeniu, a przyroda istniała już od wieków. Człowiek pierwotnie istniał w stanie dzikości, nie posiadając ni myśli, ni mowy; wzrastał, wznosił się sam przez się, a przy ciągłym postępie doszedł do stanu doskonałości, w jakim dziś istnieje. Udoskonalając się coraz bardziéj, dojdzie on do ubóstwienia; wówczas zadowolenie jego będzie zupełném i niczego już nie zapragnie. 8) Jednym z środków koniecznych, aby ludzkość doszła do tego stanu, jest zniesienie wszelkiéj różnicy majątkowéj i urodzenia, aby wszyscy członkowie rodziny dzielili się tylko według swych zdolności. Ta klasyfikacya należeć będzie do kapłanów albo ojców.

Rozdwojenie i bezprawia pomiędzy Saint-Simonistami. — Przywódzcy tego wyznania, chcąc czynnie zastosować swe poglądy, wynaleźli kilku młodych mężczyzn i niewiast, którzy zrzekłszy się swego stanowiska społecznego, poddali się kierownictwu ojców najwyższych. Lecz ci właśnie przełożeni wkrótce podzielili się w zdaniach co do kobiety. Bazard uznawał rozwody; Enfantin, idąc jeszcze daléj, chciał pewnego rodzaju wspólności kobiet. Wówczas to Bazard utworzył jedno stanowisko, a Enfantin drugie, wygłaszając swe niemoralne zasady. Obok swego krzesła zostawiał zawsze miejsce próżne, oczekując kobiety nieobecnéj, albo ko-

1) Saint-Simoniści podkopali bardzo powagę szkoły Wolteryańskiéj.

biety-mesyasza. Poszukiwano jéj najpierw we Francyi, nawet pomiędzy prostytutkami; później rozeszła się wieść, iż kobieta-mesyasz przyjdzie ze wschodu, a zatém wielu Saint-Simonistów udało się do Konstantynopola na jéj odszukanie. Ojciec najwyższy Enfantin, posunął swe nadużycia tak daleko, iż rząd skazał go w roku 1832 na rok więzienia i sto franków kary, jako siejącego publiczne zgorszenie ze szkodą dobrych obyczajów. Od téj chwili Saint-Simonizm stracił w uznaniu powszechném zupełny szacunek, uważany jako religia i filozofia; lecz myśli tyczące się postępu społecznego, rzucone ziarnem, wzrosły i owoc wydały. Wielu nawet poważnych myślicieli uległo, uwiedzionych obrazem przyszłego szczęścia ludzkości na ziemi.

Piotr Leroux. Jego pisma i zasady. — Jeden z najznakomitszych Saint-Simonistów, oddzieliwszy się od sekty Saint-Simona, niejaki Piotr Leroux, rozpowszechniał znów na swoją rękę zasady postępu, wyłożone w dziele pod tytułem; „O zasadzie ciągłego postępu“, a następnie rozwinięte w dziele: „O ludzkości, jéj zasadach i przyszłości“, wydaném w r. 1840. Oto główne punkta, jakie można wyciągnąć z téj mieszaniny pojęć i bluźnierstw: 1) Człowiek nie jest ani duchem, ani zwierzęciem; lecz zwierzęciem przekształconém przez rozum i połączoném z ludzkością. 2) Przeznaczeniem człowieka jest związek z bliźniemi i z światem; środkami do tego związku jest rodzina, ojczyzna i własność. 3) Złem i nędzą ludzkości, prawdziwym grzechem pierworodnym jest samowładztwo w rodzinie, ojczyznie i własności. 4) Jedynym środkiem zaradczym przeciw złemu jest miłość bliźniego i zupełna wspólność. 5) Chrześcijanizm jest najwznioślejszą religią przeszłości; lecz ponad chrześcijanizmem góruje jeszcze ludzkość. Religia Mojżeszowa rozwinięta, przestała już być zakonem Mojżeszowym; chrześcijanizm znów rozwinięty tak, jak być powinien, nie może się już nazywać chrześcijanizmem; przeżył on już swój czas. 6) Nie ma ani raju, ani piekła, ani czyśca po za obrębem tego życia; nie należy także wierzyć w podwójność światów, w odrębność nieba i ziemi, a błąd pod tym względem był straszny. 7) Bóg nie jest wcale po za światem, ani świat nie jest odrębnym od Boga; ziemia nie istnieje po za niebem, ani niebo po za ziemią. To, co istnieje, a niewidzialne, to niebo; to zaś, co jest widzialném, to ziemia; niebo tak pojęte, to Bóg, a ziemia, to Jego twory. 8) Każdy człowiek znajduje się w ścisłym związku z ludzkością; nie istnieje on sam przez się, ale przez ludzkość, która jest w nim

złożoną. Ludzkość nie umiera, zmienia się tylko w jednostkach, a jednostki także się tylko zmieniają, nie przestając żyć w ludzkości i razem się z nią doskonaląc. 9) Imię Adama jest postacią legendową; nie przedstawia ono człowieka pierwszego, lecz całą ludzkość, która w istocie swéj będąc niezmienną, istniała bez początku i istnieć będzie bez końca. Na poparcie swych dowodzeń, Leroux przekształca podania żydowskie i chrześcijańskie, naukę Mojżesza, a nawet Jezusa Chrystusa. Zresztą twierdzi i przeczy z dziwną śmiałością, nie dowodząc tego, co założył, a nagromadzając największe niedorzeczności i bezbożności.

Teorya falansteryjna Fouriera.— Karol Fourier, urodzony w Besançon w r. 1768, a zmarły w r. 1837, jest autorem także nowego systemu. Bolejąc nad złem i występkami w społeczeństwie, pomimo widocznych żywiołów dobrego, starał się to złe poprawić, pomijając środki religijne. Ponieważ zdawało mu się, że złe pochodzi z podziału społeczeństwa na rodziny, postanowił utworzyć stowarzyszenia spółeczne, które nazwał gronami, szeregami i zastępami. Grono składać się powinno najmniéj z siedmiu lub dziewięciu osób, była to pierwsza przegródka przyszłego ula społecznego, pierwszy zawiązek stowarzyszenia. Szereg powinien się składać z dwudziestu czterech do trzydziestu dwóch gron i łączyć się w zastępy po tysiąc ośmset osób. Mieszkanie członków zastępu miało się nazywać falansterą i posiadać wszelkie możebne przyjemności. Do tego zgromadzenia należeć mogą osoby każdego wieku i stanu, które zajmą miejsce według ich smaku i zdolności; a wszystko tu ma być wspólném, wydatki, przychody i przyjemności. Zastępy łączą się z sobą według swych wspólnych spraw i wzajemnéj użyteczności, tworząc miasta, okolice, królestwa, cesarstwa, a nakoniec stowarzyszenie powszechne, mające za granice świat cały, a główne ognisko po nad Bosforem. Chociaż wszystko będzie wspólném, jednakże będą sprawy odrębne jednostek, gron, szeregów i zastępów. Przychód ma być w czwórnasób pomnożony, a rozchód rozdzielony, stosownie do pracy, nakładu i zdolności. Tak więc własność jednostki łączyć się będzie z majątkiem powszechnym, ubóstwo z bogactwem, a wszystko tak ma być urządzone, aby jedni nie wynosili się nad drugich bogactwem, a drudzy nie zazdrościli im tego. Zasady zaś jego były następujące: 1) Bóg jest zasadą czynną i motorem; materya zaś jest zasadą bierną, uległa wpływowi zasady czynnéj; materya zasadą dowolną i obojętną. 2) Bóg, człowiek i przyroda stanowią jedność, pochłaniają się

wzajem i mieszają. Jest to zasada Saint-Simonistów: „Bóg jest wszystkiém, co istnieje“. 3) Wola Boga objawia się przez przyciąganie powszechne, które jest rozpowszechnione w wszechświecie. Z przyciągania wyradza się powinowactwo powszechne. Wszystkie namiętności mają swój początek w przyrodzie, począwszy od atomów, aż do gwiazd, a zatém w Bogu samym. 4) Świat będzie trwał 80 tysięcy lat; przez pierwsze czterdzieści tysięcy lat wciąż będzie się udoskonalał i postępował. Istnieje dopiero siedm tysięcy i jest obecnie w chwili dzieciństwa, przejdzie w opokę młodzieńczości, przejdzie następnie w epokę dojrzałości, tam zatrzyma się ośm tysięcy lat; późniéj nakoniec przyjdzie zgrzybiałość i ona to zniszczy go po drugich czterdziestu tysiącach lat. 5) Bóg stworzył szesnaście rodzajów ludzi; dziewięć na starym lądzie, a siedm na nowym. Te rodzaje wszystkie ulegają prawu przyciągania i powinowactwa powszechnego. 6) Po świecie teraźniejszym przyjdą inne stworzenia w liczbie ośmnastu, a każde stworzenie dokona się przez połączenie płynu południowego z płynem północnym. 7) Dusze ludzkie nie umierają razem z ciałem, które ożywiają; a nie mogąc istnieć bez powłoki materyalnéj, przechodzą w inne ciała ludzkie na naszym świecie, lub na innym. 8) Przyciąganie powszechne przejawia się w ludziach przez namiętności. Namiętności znów pochodzą od Boga, dla tego są zawsze i wszędzie jednakie. Jeżeli znajdują przeszkody, to tylko pochodzące od człowieka; trzeba więc je usunąć, nie zaś poskramiać wrodzone namiętności. Zgodność wówczas zapanuje na świecie, jeżeli namiętności nie spotkają nawet cienia oporu. 9) W człowieku jest dwanaście głównych namiętności; siedm należy do duszy, a pięć do ciała. Z dowolnéj działalności tych dwunastu namiętności, wyradza się w człowieku uczucie religijne, które jest wynikiem połączenia namiętności, tak jak kolor biały jest wynikiem połączenia wszystkich barw. 10) Obowiązkiem człowieka jest ulegać przyciąganiu, t. j. swym namiętnościom. 11) Pojęcie cnoty i występku jest zupełnie błędném. 12) Przeznaczeniem człowieka jest uprawiać swą ziemię; celem szczęście, a środkami do niego stowarzyszenie; ztąd wynika zgodność powszechna. 13) Prawdziwe szczęście zależy na tém, aby posiadać wiele namiętności i wiele środków do ich zaspokojenia.

Pomieszanie prawdy i błędu w tych systemach. Przesada w dobrem. — Te niedorzeczności i dziwaczne marzenia, budzące tylko litość i przestrach, wywarły jednak znaczny wpływ na ludzkość, przemawiając do niéj w imię braterstwa, porządku, zgo-

dy, postępu i pracy, dobrobytu i ulgi ludzkości. Jednakże cały ten system razi przesadą i błędem. Dogmat grzechu pierworodnego, jego następstwa, prawdziwy stan świata, wszystko to jest błędnie pojętém; zawsze zbyt wielki nacisk położony na dobrobyt materyalny w ostatecznym celu człowieka. Zapominają, iż życie doczesne, to czas wyguania, doświadczenia i przygotowania do lepszego, które będzie wieczném. „My tu nie mamy stałego mieszkania, mówi wielki Apostoł, szukajmy innego". Jeżeli miłość bratnia jest znamieniem odróżniającém prawdziwego chrześcijanina według tych słów Chrystusa: „Poznają was, żeście moimi uczniami, jeżeli będziecie się wzajemnie kochać", powinniśmy wierzyć, iż téj pięknéj cnocie nigdy nie zabraknie żywiołu, jak to przepowiada Duch św.: „Zawsze macie biednych". „Potrzeba, aby były odszczepieństwa i herezye". Pracując nad polepszeniem losu ludzkości, trzeba postępować roztropnie i umiarkowanie, gdyż nieraz wprost przeciwny skutek wywołuje nieumiejętne postępowanie; a widzieliśmy, iż źle pojęte zasady braterstwa, sprowadzały straszne dni niesprawiedliwości, ucisku i zabójstwa. Chrześcijanie nigdy nie rozpaczają o zbawieniu ludzkości, bo wiedzą sami, „iż ludy ziemskie mogą być wyleczone", lecz wierzą również, iż leki te jedynie pochodzić mogą od Kościoła, który jest Ojcem rodu ludzkiego. Wiadomo im również, iż według tego boskiego ducha Kościoła, rozkosze cielesne nigdy nie mogą być środkiém zaradczym na nędzę ludzkości.

Naturalizm współczesny. — Błąd zmienia się z latami i dniami, mówi św. Hilary, *annuam, atque menstruam fidem habent;* otoż cała nowożytna filozofia z téj i z tamtéj strony Renu obecnie zjednoczyła się w naturalizmie współczesnym. We Francyi i w Niemczech, mówi uczony Opat z Solesmes, większość tych, którzy oddalili się od wiary i walczyli nawet z nią, zostaliby chrześcijanami, gdyby mogli zgodzić się w przeczeniu takowego. Filozofia czyni już wszelkie ustępstwa; otacza szacunkiem chrześcijaznizm, przyznaje nawet błędy z XVIII. wieku; lecz na jeden punkt nie może się zgodzić, t. j. na porządek nadprzyrodzony. „Rzeczy nadprzyrodzone istnieć nie mogą i nie istnieją, mówi ona, jeżeli istnieją nie są obowiązujące, nie jesteśmy ani biskupami, ani księżmi, ani teologami; jesteśmy ludźmi świeckiémi, myślicielami, żyjemy w świecie i pracujemy dla świata. Rzeczy porządku nadprzyrodzonego nic nas nie obchodzą. Filozofia i Chrześcijaństwo to

dwie potęgi, które nie mogą istnieć jednocześnie, chyba pod warunkiem wzajemnéj niezależności. Filozofia zależy tylko od rozumu. Ona sama jedynie daje swym uczniom światło potrzebne do rozwiązania wszystkich pytań, tyczących się ludzkości i człowieka. Albo filozofia nie istnieje, albo jest ostatniém wyjaśnieniem wszystkich rzeczy. Filozofia pragnie żyć w zgodzie z chrześcijaństwem, lecz pod warunkiem, iż zostanie wszechwładną w swym zakresie, że będzie uważaną za równą potęgę. Wszystkie religie są jednakowo prawdziwe i dobre, jeżeli odpowiadają potrzebom dusz, które je przyjęły lub stworzyły. Przytém żyjemy w wieku XIX. w krainie wolnych instytucyj. Nie możemy i nie powinniśmy zrzec się zdobyczy z roku 1789". Tak to myśli, mówi i pisze naturalizm współczesny, taka to jest broń myślicieli nowożytnych [1]). Trzeba jednak przyznać, iż dowodzenia te nie zawierają nic nowego, jestto odświeżone dawne rozumowanie racyonalne. Widzimy w naturalizmie: racyonalizm, elektyzm, deizm, ateizm, bałwochwalstwo, albo jeżeli chcecie antropolatryę i odnowioną boginię rozumu lub bogini ludzkości. Wszystko to jednak wynika z protestantyzmu, dozwalającego na sąd prywatny i osobisty w rzeczach wiary, wyższy nawet po nad powagę boską. Nasi więc nowożytni myśliciele nie wynaleźli nic nowego, odgrzebali tylko dawne rzeczy. Otoż więc setki razy dowiedliśmy już ich poprzednikom i mistrzom, że Bóg wie i może nam objawić wiele rzeczy których zbadać sami nie umiemy, że Bóg nam wiele objawił, i trzecie najwidoczniejsze, iż kiedy Bóg przemawia, to winniśmy Go słuchać i ulegać.

Niedorzeczność i bezbożność naturalizmu.—Cóż to za niedorzeczne postępowanie, usuwać się z pod najistotniejszego obowiązku pod pozorem, iż jesteśmy ludźmi świeckiémi, mężami stanu, myślicielami, albo, że żyjemy w wieku XIX. w kraju wolnym, cieszącym się zdobyczą z roku 1789. Tak, jak gdyby wyrazy: świecki lub myśliciel równały się nazwie poganina

1) Sobor w Perygueux r. 1858 potępił ten błąd w „Religii przyrodzonéj" przez Juliusza Simon; w „Ziemi i Niebie" przez Jana Reynauda; w „Studyach dziejów religijnych" przez Renana. „Wiek" i „Journal des Débats" także w r. 1855 przejęły się temi zasadami.

lub niewiernego; tak, jak gdyby nawet poganin lub niewierny nie mogli znać i badać tego, co Bóg objawił; jak gdyby człowiek mógł dowolnie zmieniać swe pojęcie o prawdzie lub błędzie, o złem lub dobrem; jak gdyby wszyscy ludzie nie pochodzili od Boga Wszechmocnego Stwórcy Zbawiciela, Prawodawcy i Sędziego wszechświata, i nie mieli tegoż samego przeznaczenia wiecznego i nadprzyrodzonego; jak gdyby mogły być wieki obce Królowi wszechczasu; jak gdyby postęp mógł położyć granice Temu, który, jako mówi Apostoł, jest najwyższym Panem; jakby to nie było szaleństwem i jednocześnie ostatnim stopniem niemoralności przypuszczać, że stworzenie może mówić do Boga: Mów, jeżeli chcesz, ale ja Cię słuchać nie będę; nauczaj, jeżeli chcesz, ale ja temu nie uwierzę; rozkazuj, ale ja nie będę posłusznym; chcesz mi dać udział w tém szczęściu wieczném, nieskończoném, przeznaczasz mię do radości niebiańskiéj, ja tego nie chcę, wolę nicość, los zwierzęcia, albo przenoszenie się planety na planetę, jak nauczają nowożytni mędrcy. Taki to może być wynikiem naturalizmu.

Próżnia i niemoc wszystkich systemów filozoficznych. — Zastanawiając się nad tą mieszaniną najróżnorodniejszych pojęć, błędów i poglądów filozoficznych, dochodzimy do wniosku, iż społeczność dąży do rozkładu. Gdy nastąpi rozkład trupa, powstaje coś takiego, według wyrażenia Bossueta, czego nie znam, coś takiego, co nie ma nazwy w języku ludzkim. Toż samo stało się i z filozofią nowożytną. Z początku podnosiła ona różne pytania, prowadziła rozprawy przez swych ministrów najznakomitszych, rozwiązywała zagadnienia ludzkości, niby poszukiwała prawdy, a rzeczywiście zatonęła w zwątpieniu. Teraz podaje ona zagadnienia jeszcze, lecz natychmiast zapowiada, iż nie można ich rozwiązać. Przychodzi nakoniec stan, w którym filozofia nie tylko nie jest zdolną rozwiązywać, lecz nawet nie umie stawiać zagadnień, wygłasza wyrazy bez związku, jakby w gorączce. Weszła ona już, mówi pewien myśliciel chrześcijański, w zakres czegoś takiego, co nie ma nazwy. Jéj przedstawiciele mówią, lecz nic nie wiedzą i nic nie rozumieją. Zapytaj ich, co to jest Bóg? nie mają o nim żadnego, ani prawdziwego, ani błędnego pojęcia. Najjaśniejszém ze wszystkich ich pojęć jest to, że Bóg jest pojęciem oderwaném, z którego nie mogą sobie zdać sprawy. Czy Chrystus jest Bogiem? także nie wiedzą; może to istota podobna do Boga, lecz nie mając pojęcia o Bogu, nie mogą także wiedzieć czy

Chrystus jest Bogiem; w każdym razie uważają Pana Jezusa za geniusza, nieśmiertelnego myśliciela, wielkiego męża i t. d. A jakąż jest ich religia? Nie mogąc nic stanowczego określić, tworzą jakąś religię przyszłości. A cóż to będzie za religia? Będzie to chrześcijanizm wolny, wzniosły, oczyszczony. Przyciąganie namiętne ma stanowić jéj cząstkę. A jakież będzie życie przyszłe? Może wieczna podróż pomiędzy gwiazdami i t. d.

Socyalizm i komunizm zagrażają ludzkości. — Wszystkie te szalone wyskoki, te niedorzeczne marzenia, wszystko to jest wynikiem rozumu ludzkiego samemu sobie zostawionego, a raczéj wynikiem zasady badania osobistego i prywatnego praw wiary i religii. Protestantyzm przez swe zasady dał początek socyalizmowi; ten zrodził filozofizm, z którego późniéj powstał deizm, ateizm, naturalizm, nakoniec cześć dla rozkoszy ziemskich i cielesnych. Doszedłszy do tego nie można uniknąć socyalizmu i komunizmu, które wywołują zupełny przewrót w porządku społecznym. Tak więc błędy teologiczne prowadzą do błędów społecznych. „Każdy Luter religijny, mówi Ludwik Blank, wywołuje Lutra państwowego i społecznego“, a trzy wieki oddzielające Lutra od Proudhona są tylko trzema wiekami niedorzeczności [1]). Tak jak w każdym błędzie, tak w socyalizmie i komunizmie znajdziemy mieszaninę prawdy i błędu. Prawdą jest to, że człowiek stworzony jest do szczęścia, a tu na ziemi są cierpienia i nędza; błędem, iż człowiek tu, nie zaś gdzieindziéj znaleść może szczęście, do którego stworzony. Bóg, religia, doświadczenie, serce ludzkie uczą prawdy; gdy znów naturalizm i materyalizm podają rzeczy błędne. Socyalizm i komunizm powtarzają ciągle: Człowiek stworzony do szczęścia; pragnienie szczęścia jest pierwszą namiętnością każdego człowieka; szczęście, to przyjemność; my także jesteśmy ludźmi stworzonymi do szczęścia, a głównie do bogactwa, które jest źródłem; nam więc należy się bogactwo, témbardziéj, iż pracujemy na nie. Oto w jaki sposób socyaliści wpływają na masy. Przypomnijmy sobie uwagi Riwarola i Blanka nad sławną nocą z dna 4

1) Przyczyną wszystkich niesprawiedliwych sądów względem dawnych rządów katolickich jest to, mówi Nikolas, że nie zwracają uwagi na stosunek konieczny i logiczny pomiędzy herezyami teologicznemi i społecznemi. Dla czego, mówią, tak surowo postępowano z odstępcami od niektórych dogmatów? Ostatnie przewroty społeczne odpowiadają na to pytanie. „Wszystkie myśli nie religijne, mówi Fontanes, są także i przeciw społecznemi, a zamach na chrześcijaństwo jest jednocześnie zamachem społecznym.

sierpnia 1789 r. Czyż społeczeństwo materyalne może oprzeć się sile, jaką wywierają na nim te dowodzenia socyalistów? Czyż może n. p. zaprzeczyć, że człowiek stworzony do szczęścia? tego przekonania nie zniweczy ono tak łatwo, jak wiary w życie przyszłe. Czyż powie z Volterem, „że ucisk ludów przy pomocy pieniędzy będzie ostatniém słowem tego świata“. Niepodobna odpowiedzieć komunizmowi i socyalizmowi, na gruncie materyalizmu, z którego one wypłynęły.

Katolicyzm jako jedyny środek przeciw socyalizmowi.—Jedynym środkiem przeciw temu złemu nurtującemu społeczeństwo, jest zwrócenie się do wiary katolickiéj; środek ten może wydawać się przykrym i gorzkim dla tych, co nie zasmakowali w darach bożych; „lecz przykrzejszą jest rzeczą, mówi pewien pisarz, czuć szpony lwa zapuszczone w swoich barkach“. Tę prawdę, iż człowiek przeznaczony do szczęścia, w którą socyalizm zbroi się przeciw społeczeństwu, przyjmuje także katolicyzm, albo raczéj zabiera jako własność, gdyż ona do niego należy w całości. Lecz do tego dogmatu dodaje inny jeszcze, t. j. dogmat przyszłego życia lepszego i wiecznego, dogmat wiary w przyszłe odrodzenie, w równy podział dobrego i złego stosownie do uczynków, podział, który zawsze umieści ubogiego Łazarza w chwale wiekuistéj, a złego bogacza w piekle. Tém samém chrystyanizm dopełnia cząstki prawdy zawartéj w socyalizmie i komunizmie, niwecząc błąd, stanowiący całe niebezpieczeństwo tego systemu. Wiadomo również, iż rzeczy ziemskie nie mogą dać człowiekowi szczęścia, którego wiecznie pragnie. Któż nie zna w tym względzie głosu wiecznego doświadczenia i głosu Eklezyasty przesyconego wszelkiemi rozkoszami ziemskiemi. Wszystko jest próżnością i umartwieniem ducha? (*Vanitas, vanitatum et afflictio spiritus?*) A przypomnijmy sobie ów dar łaski Bożéj, pomagającéj nam do znoszenia wszystkich nieszczęść i smutków płynących z nierównéj doli w życiu. Krzyż Chrystusa może jedynie pogodzić biednego z jego niedolą; tylko tą myślą ożywiony i pobudzony ukocha nawet swe skromne stanowisko, jakie Bóg wyznaczył mu na ziemi. „Lękam się, mówi Nicolas, rozwiązywać to straszne zagadnienie ludzkości. Bluźnierstwa Proudhona mogłyby być ostatniém słowem w tym względzie, gdyby nie przeważała po nad niemi myśl chrześcijańska“. Syn Boży, posiadacz wszystkich skarbów Bóstwa, dla nas staje się ubogim, znosi cierpienia na krzyżu; Ewangelia głosi pierwszeństwo ubogich w Kościele, ponieważ są braćmi Chrystusa, a nazywając ich dziećmi łaski boskiéj, przedstawia im cudowne obrazy przyszłéj wiecznéj szczęśliwości; otoż jedyna poważna odpowiedź dla wszystkich nieszczęśliwych. Gdyż pomimo wszystkich wysiłków ludzkości, zawsze będzie olbrzymia przepaść pomiędzy bogatym a ubogim, z których jeden żyje w rozkoszach, a drugi w niedostatku. We wszystkiém, co dotyczy się sprawy ubogich, sprawy ludu, prawda zawiera się jedynie w Ewangelii Jezusa Chrystusa. Krzyż jest jedyną spójnią pomiędzy wielkiemi i maluczkiemi; Ewangelia jest jedyną rękojmią pokoju pomiędzy bogatym a ubogim, a republikanin Vergniaud woła do przywódców socyalizmu: „Prawo własności jest podstawą związku społecznego, jeżeli ono nie będzie szanowane, to i wolność zniknie zupełnie. Uczynilibyście przemysł niewolnikiem głupoty; pracowitość leniństwa; oszczędność rozrzutności; włożylibyście na człowieka pracowitego, ukształconego i oszczędnego, potrójne jarzmo ciemnoty, próżniactwa i rozrzutności“.

Proudhon i jego zasady. — Proudhon, odrzucając stowarzyszenia i gminy, chce, aby jednostki żyły oddzielnie, pracując i żyjąc według swego upodobania. Według jego zasad, przychody z kapitałów, ziemi i domów, są niesprawiedliwe i powinny być usunięte. Ziemia należy do wszystkich i do nikogo: praca jedynie daje prawo do przychodu. Nie powinno być własności. Własność to kradzież! Nie masz Boga, Bóg—to złe! nie może być ani społeczeństwa, ani władzy; każdy powinien pracować gdzie chce i jak chce; taki jest wynik rozumowania Proudhona. Widzimy więc, iż straszny ten myśliciel wyciąga już ostateczne wnioski z wszystkich błędów. Stanąwszy nad przepaścią, przez nie wykopaną, rozbiera te błędy poprzedników, łączy je, rozdziela, zbija z niezbitą logiką, uzupełniając ich cząstkowe zaprzeczenia potrójném zaprzeczeniem: Boga, własności i społeczeństwa. Do téj potworności doprowadziły trzy wieki błędu, rozdzielające Lutra od Proudhona. A teraz nieprzyjaciele religii i heretycy wszystkich odcieni, wybierajcie pomiędzy porządkiem a zamętem, pomiędzy życiem a śmiercią!

Bulla Quanta curâ i Syllabus przeciw błędom nowożytnym.—W różnych okolicznościach papież Pius IX. potępiał wprost i wyraźnie błędy nowoczesne. Nakoniec dnia 8 grudnia 1864 r. ukazała się encyklika *Quanta curâ*, wraz z Syllabusem, zawierającym w sobie 80 zdań potępionych; a mianowicie: panteizm, naturalizm, racyonalizm bezwzględny, racyonalizm umiarkowany, indyfferentyzm, latitudinaryzm, socyalizm, komunizm, stowarzyszenia tajemne i biblijne, stowarzyszenia kleriko-liberalne; błędy odnoszące się do Kościoła i jego

praw; błędy odnoszące się do społeczeństwa uważanego samego w sobie, lub w stosunkach do Kościoła, moralności przyrodzonéj, lub chrześcijańskiéj, do małżeństw chrześcijańskich; błędy odnoszące się do władzy świeckiéj papieża i do liberalizmu nowożytnego. Encyklika *Quanta curá* zebrała tylko wszystkie wyroki, ogłoszone od czasu wstąpienia na tron Piusa IX. aż do naszych czasów, przeciw nowożytnym błędom. „Papież, mówi biskup z Nimes, przykuł błędy nowożytne do słupa wiecznéj hańby, w swym nieśmiertelnym Syllabusie".

Pomieszanie wszystkich błędów i sofizmatów, pod nazwą postępu wolności i oświaty nowożytnéj.— To wyliczenie wszystkich błędów przez Piusa IX, jest jednym z najważniejszych czynów, dokonanych przez rzymskich papieży. Przesądy naszych czasów zaciemniły wszelkie pojęcia o moralności, prawie i ustawach państwowych. Mieszanina dobrego i złego, widniejąca w obyczajach, prawach i ustawach, stała się głównem znamieniem naszego wieku i ciężyła nad wszystkiemi sprawami [1]). Pius IX dopiero rozdzielił światło od ciemności.

Pod hasłem wyrazów dosyć elastycznych i zupełnie jeszcze nieokreślonych w naszym języku, jako to: postęp, wolność i oświata nowożytna, wszystko na raz zburzono i pomieszano. Postawiono błąd obok prawdy, złe na równi z dobrem, a niektóre błędne dowodzenia podniesiono do godności dogmatów i podstawowych zasad. Tak więc, z różnorodności wyznań na ziemi, wnioskowano o dobroci wszystkich wyznań, tak, że przyszło do zupełnéj obojętności w rzeczach wiary. Ta zasada, może nawet więcéj jeszcze niedorzeczna niż bezbożna, mówi Dupanloup, podawana jest za prawdziwy postęp, najwyższą doskonałość społeczną, w któréj stan społeczny jest bezwzględnie najlepszym i najlepiej urzeczywistnia ideał, ku któremu dążyć winny społeczeństwa. Oto zdania w tym przedmiocie potępione przez papieża: „Najwyższa doskonałość społeczna i postęp oświaty, wymaga bezwzględnie, aby społeczeństwo ludzkie urządziło się bez

1) Kiedy szatan wzmaga się, twierdzą, że to Bóg; gdy głupstwo przechodzi wszelkie możliwe wyobrażenia, nazywają je światłem; gdy ciemnota błądzi wśród marzeń, nazywają to krytyką; gdy zbłąkane widzenia ogarniają ludzkość, wtedy mówią, że rozum budzi się z uśpienia; gdy wszystko oddycha zmysłowością, to wysławiają spiritualizm i każą katolicyzmowi łączyć się w jedno; gdy wszystko popada pod jarzmo niewoli, to widzą przedświt wolności; gdy występuje dzicz do walki okrutnéj z cywilizacyą, to nazywają postępem i rajem. (*Monde*, 4 stycznia 1865 r.).

względu na religię, to jest tak, jak gdyby ona nie istniała, lub jak gdyby nie było żadnéj różnicy pomiędzy religią prawdziwą a błędem". Tak więc, obojętność religijna i mięszanina kłamstwa i prawdy, mają być podstawą doskonałości społecznéj [1]).

Błędy i sofizmata o wolności myśli i druku.— Z tego faktu psychicznego, że człowiek ma władzę myślenia źle lub dobrze, potem, że posiada możność fizyczną wypowiedzenia swych myśli dobrych lub złych, pożytecznych lub szkodliwych, wnioskują, iż wszyscy obywatele wobec siebie samych i Boga, mają prawo do wolności zupełnéj, nieograniczonéj, bezwzględnéj, równéj u wszystkich ludów i we wszystkich stanach oświaty, do wolności myślenia, potém do wygłaszania swych myśli otwarcie, słowem lub drukiem, a żadna powaga duchowna ani świecka nie może ograniczyć téj wolności. Jest to prawo przyrodzone, pierwotne, nieodłączne od ludzkiéj osobistości, od godności obywatela. A prawo to istnieje nietylko w porządku społecznym i państwowym, lecz także w porządku moralnym i religijnym [2]). Tak więc myśl i słowa wyłamują się z pod prawa moralności, która rozróżnia dobre od złego; każda myśl, jakąkolwiek bądź ona byłaby, jest prawną, a prawda nie miałaby innéj miary nad wolę człowieka. Doszło aż do tego, mówi Dupanloup, iż piszą, „że człowiek sam stwarza prawdę z tego, w co wierzy, a świętość z tego, co uwielbia". To więcéj jak błąd, to szaleństwo, powiada Pius IX, powtarzając słowa Grzegorza XVI. A je-

1) Zdanie potępione zawiera w sobie, mówi biskup z Grenobli, te trzy myśli: 1) że jest pewien stan społeczeństwa postępu i oświaty, który wymaga, ażeby tak w ustawach, prawodawstwie i zarządzie tegoż społeczeństwa nie zwracano uwagi, jeżeli już nie na istnienie religii w ogólności, to przynajmniéj na prawdę lub błąd w religii w szczególności; 2) że ta konieczność jest bezwzględną i istotnie należy do tego stanu społeczeństwa nie zaś do okoliczności wyłącznych; 3) że ten stan jest najlepszym, stanem doskonałości sprowadzonéj postępem oświaty. Otóż widocznem jest, że ten stan nie jest najlepszym, to jest takim, który urzeczywistnia najlepiéj ideał postępu. Aby zaprzeczyć społecznéj doskonałości religii, trzeba chyba albo zaprzeczyć istnienia religii, albo istnienia jednéj prawdziwéj religii, albo możności jéj poznania; jednak ten potrójny błąd filozoficzny i religijny był powodem wydania encykliki potępiającéj. Nie trzeba żądać od Kościoła, mówi Dupanloup, aby przetwarzał w prawdy bezwzględne konieczności przypadkowe, rozdwojenia nieszczęśliwe w zasady dogmatyczne. *Circulaire*, de l'évêque de Grenoble, str. 37, 39, 41. — *Convention*, 15 sept. *Encyclique*, str. 64, 68.

2) Istnienie podobnego prawa w religii, nietylko że otwiera drogę do obojętności, ale jestto uświęcenie indyfferentyzmu i Sceptycyzmu. (*Circulaire*, str. 43).

żeli chcemy wolno myśleć dla tego, aby swobodnie działać, gdyż te dwie wolności ściśle są z sobą złączone, to pytam się, do jakich strasznych następstw dowieść nas może podobna zasada?

Co trzeba myśleć o mniemanéj zasadzie nieinterwencyi, czyli niewdawania się w jakąkolwiekbądź sprawę.—Zdrowy rozsądek nas uczy, że wdanie się, lub niewdanie w jakąś sprawę jest prostą zasadą postępowania dobrą lub złą, mądrą lub nierozsądną, stosownie do okoliczności i zamiarów. Prawo przyrodzone nakazuje w wielu przypadkach wmieszać się do sprawy obcéj, mówi kardynał Antonelli. Otóż nasi myśliciele nowożytni chcieli utworzyć zasadę powszechną i najwyższą nieinterwencyi, którą wszyscy niezmiennie zachowywać winni, jako prawo międzynarodowe. W imię téj zasady, rewolucyoniści i bezbożni domagali się, aby ludzie nie mieszali się w sprawy, w których-by cierpiała sprawiedliwość, religia lub moralność. Papieztwo dobrze zasłużyło się ludzkości, mówi Dupanloup, przeszkadzając, że ta zgubna zasada niewdawania się w obce sprawy, nie przeszła w zasadę XIX. wieku, w prawach narodowych. Papież nazwał tę zasadę nieinterwencyi, niebezpieczną niedorzecznością [1]).

Wielki błąd co do bezwzględnéj potęgi rozumu, bezwzględnéj władzy państwa, woli ludów i faktów spełnionych.—Prowadząc daléj dzieło zamieszania i ciemności, większość mniemanych myślicieli nietylko głosowała za istnieniem i prawością rozumu, lecz i za jego możnowładztwem, nieograniczoném panowaniem i zupełną niezależnością. Nie mówią już teraz: rozum jest czemściś, lecz rozum jest wszystkiem, a wiara niczem. Inni jeszcze, zwracając przeciw sobie broń rozumu, głoszą jako zasadę podstawową wszystkiego, prawdy i błędu tożsamość i nietożsamość [2]). Mamy także zaślepionych mężów stanu, utrzymujących: że państwo jest początkiem i przyczyną wszystkich praw; że prawo bytu społeczeństwa domowego i rodzinnego wypływa jedynie z ustaw świeckich; że wola ludu, objawiona w zdaniu powszechném, jest najwyższém prawem; że prawo to jest niezależném od wszelkich praw boskich i ludzkich; a w porządku państwowym, czyn dokonany, już przez to samo, że jest

1) Allokucya 18 września 1860. — Okólnik Antonellego, *Monde* 27 lutego 1864.

2) O. Gratry.

dokonanym, ma moc prawa. Cóżby się stało, wielki Boże, gdyby tak ohydne zasady zapanowały w społeczeństwie? Potępiając je Pius IX, bronił zarówno tak wiary jak i rozumu; rozumu przeciw sofistom, a wiary przeciw bezbożnikom; rozum i wiara, które według wyrażenia papieża, pochodzą z jednego zródła i są dwiema pochodniami zapalonemi przy tém samém ognisku.

Zwierzchnik Kościoła na nowo uświęcił prawa prawdy, religii i sprawiedliwości, prawa przyrodzone człowieka, rodziny, osobistości i moralności ludzkiéj. Przemawiał on za sumieniem i wolnością, przeciw samowładztwu jednostki lub zaślepionemu panowaniu tłumów. Powstawał przeciw zasadom materyalizmu gardzącego wszelkiém pojęciem władzy zwierzchniéj i boskiéj, prawa wyższego, wiecznéj zasady czynów ludzkich; poniżającego wszystko, zaprzeczającego obowiązków; nieuznającego innych sił nad naturalne, innéj moralności nad osobiste przyjemnostki. W imię Opatrzności rządzącéj światem, w imię sumienia powszechnego, Pius IX. wygłosił prawdy święte i zbawienne, iż czyny ludzkie mogą być sprawiedliwe i niesprawiedliwe, że moralność winna zawsze wpływać na sprawy państwowe, iż nie można usprawiedliwiać wszystkich czynów dokonanych, témbardziéj niecnych, gdyż siła nie jest sprawiedliwością, a powodzenie prawem [1]).

Stosowność bulli Quanta curâ. Bohaterska odwaga Piusa IX. — Walczono przeciw stosowności tego wzniosłego i uroczystego wystąpienia papieża, chciano go wystawić jako czyn bezużyteczny, dokonany pod wpływem uniesienia. Ale kiedyż stosowniéj wykazać błąd, jeżeli nie wówczas, gdy grozi nawet najszlachetniejszym umysłom? kiedyż lepiéj użyć lekarstwa, jeżeli nie wówczas, gdy choroba zrobiła największe postępy? Czy istnieją dziś błędy? woła biskup Orleanu. Czy błędy te są niebezpieczne lub nie? odpowiedźcie: a poznawszy niebezpieczeństwo, grożące religii i społeczeństwu, uznamy, iż bulla nie tylko że nie była bezużytecznym wynikiem zaślepionego uniesienia, lecz czynem prawéj i powszechnéj obrony. Jestto również czyn szlachetnéj i bohaterskiéj odwagi. Powszechnie przypuszczali politycy i filozofowie, że papież broniąc władzy doczesnéj, aby ją zachować, zrobił pewne ustępstwa, na których prawda cierpieć będzie. Jakże gruntowne odparcie znajdujemy tego nędznego sofizmatu! Pius IX wie, że ustępstwami, a przynajmniéj milczeniem, mógłby zyskać

1) Biskup z Grenobli. Cyrkularz z 2 lutego 1865 r., str. 46, 47.

pomoc, lub rozbroić niektórych przeciwników. Lecz jeżeli Pius IX. jest królem, to również pamięta i o tém, że jest papieżem, a nawet Opatrzność uczyniła go królem jedynie dlatego, że jest papieżem. Nie zachwiał się ani na chwilę. Pogardzając nędznemi wybiegami mądrości ludzkiéj, a kierując się myślą Bożą, dopełnił, nie troszcząc się o skutki, swego obowiązku; albowiem potępił błędy, potwierdził prawdę i zgromił niesprawiedliwość. Gdybym był tylko myślicielem, woła biskup Orleanu, tak jak jestem chrześcijaninem i biskupem, to jeszcze powiedziałbym, że to cudowny jest widok, gdy starzec w najstraszniejszym smutku, zagrożony nienawiścią swych nieprzyjaciół, oblegających go w ostatniém schronieniu, zapomina o wszystkich niebezpieczeństwach i podnosi głos w obronie porządku boskiego, porządku moralnego i całego społeczeństwa europejskiego, przeciw błędom i złym zasadom, przewidując straszne zamieszanie w przyszłości. Tak, czyn ten jest wielki, i pomimo naszéj słabości, uwielbiać musimy taką nieustraszoność, mającą na widoku tylko prawdę wieczną [1]). Im groźniejsza burza, tém więcéj uwielbiać trzeba świętą odwagę żeglarza i przewodnika, woła biskup z Poitiers.

Błędy popełnione przez dziennikarzy w tłómaczeniu bulli.—Tak więc bulla z 8 grudnia na wieczne czasy zapewniła już Piusowi IX. pochlebne wspomnienie w dziejach Kościoła. Zdziera ona obłudną szatę błędów nowożytnych i jest jawném wystąpieniem powagi Stolicy Apostolskiéj. Papieztwo wobec dumnych wymagań naszych czasów, zarysowywa się w całéj rozciągłości swéj władzy, w pewności swych praw i niezmienności zasad. Zrozumiała to dobrze bezbożność, dlatego też, jak mówi biskup z Grenobli, nigdy jeszcze żadna odezwa papieża nie wywołała tylu zaburzeń, tylu nienawistnych zarzutów w pismach antireligijnych. Rzucono się na bullę i Syllabus, czyli spis błędów, z zaciętością graniczącą z szaleństwem; wszystkie namiętności wystąpiły do walki. Ciemnota i brak zastanowienia, nie dozwoliły dokładnie zrozumieć téj bulli. Naliczyłem, mówi Dupanloup, w tłómaczeniu podaném przez *Journal des Débats*, więcéj jak sześćdziesiąt błędów przeciwnych rozsądkowi, niesłychanych i śmiesznych nawet w przedmiotach bardzo ważnych. A jeżeli uczynił to *Journal des Débats*, to cóż powiemy o *Wieku*? Przekształciwszy w ten sposób znaczenie dosłowne wyrazów, zasady gramatyki, przystąpiono do tłómaczenia zdań, wbrew wszelkim zasa-

1) *La Convention et l'Encyclique*, p. Dupanloup, str. 50, 51.

dom logiki. Od rozpoczęcia walki, mówi biskup z Grenobli, odczytałem więcéj niż sto artykułów w dziennikach, najrozmaitszych odcieni, uchodzących nawet za umiarkowane i mądre, nigdzie nie znalazłem sprawiedliwego przekładu bulli. Nigdzie nie usprawiedliwiono ważnych oskarżeń przeciw Stolicy Apostolskiéj, a zdania potępione przedstawiono nie w znaczeniu dosłownem, lecz w konkretném, to jest nadaném przez myśliciela lub system filozoficzny, albo przez zbiór wypadków, odnoszących się do tego zdania. Co więcéj, zmieniono, przetworzono prawdziwe znaczenie zdań potępionych, a bulla nie została przetłómaczoną, ale zupełnie przekształconą, mówi Dupanloup. Nawet rząd niegodnie w tym względzie postąpił [1]). Takim to sposobem czyniono papieżowi najniegodniejsze zarzuty; głoszono, że Pius IX. zrywa z oświatą, a bulla jego była wyzwaniem, rzuconém światu nowożytnemu. A dzienniki piemonckie głosiły, iż papież potępił wszystkie wynalazki i odkrycia w dziedzinie wiedzy i przemysłu, jako to: koleje żelazne, telegrafy elektryczne, fotografie, machiny parowe, oświetlanie gazem. Toż samo powtórzono w Paryżu, a ztamtąd rozeszło się to po całéj Francyi. Dupanloup powiada, że miesiąc następujący po ogłoszeniu bulli *Quanta curâ*, możnaby nazwać miesiącem głupich i oszustów.

Bulla Quanta curâ w niczém nie sprzeciwia się prawom państwowym Francyi i władzy świeckiéj w ogólności. Udowodniony to jak następuje: 1) Iż zdanie tak powszechne w pismach wolnomyślnych nie ma żadnéj podstawy, a mia-

1) Rząd francuzki, oburzony na papieża, z powodu bulli wydanéj dnia 8 grudnia, postanowił użyć władzy, przyznanéj mu przez artykuły organiczne, i zabronił biskupom ogłoszenia takowéj. Położenie biskupów było bardzo smutne, bo bulla papiezka, ogłoszona do wszystkich biskupów świata katolickiego, nie czyniła wyjątku dla biskupów francuzkich. Gdy biskupom zabroniono głosić bullę, wtedy jednocześnie rzucono ją na pastwę dziennikarzy, to jest ludzi, niezdolnych pojąć doniosłości czynu papiezkiego, którzy go dowolnie tłómacząc, rozbudzali nienawiść przeciw Kościołowi i szerzyli jeszcze bardziéj potok błędów, kłamstw i fałszów. Zakaz gloszenia bulli obraził biskupów i zaniepokoił ich sumienia: to téż jednozgodnie wystąpili wszyscy ze swojemi prawami. „Jest naszym obowiązkiem, mówi biskup de Saint-Dié, abyśmy podnieśli głos przeciw pismom nieprzyjaznym, i wystąpili z całą siłą naszych przekonań, jako biskupów i katolików, przeciw wszystkim niecnym dowodzeniom, w których uprzedzenie, ciemnota i niesprawiedliwość współzawodniczą z bezbożnością, zgorszeniem i nieuszanowaniem. (List biskupa de Saint-Dié, *Świat*, 17 stycznia 1865 r.—Cyrkularz biskupa z Grenobli).

nowicie: żeby Ojciec święty w swéj bulli miał wyłącznie na widoku Francyę, z powodu konwencyi zawartéj w dniu 15 września, i żeby ten właśnie był główny powód owéj bulli; 2) że wystąpienie papiezkie z dnia 8 grudnia w niczém nie sprzeciwia się prawdziwym i dawnym prawom Francyi; 3) że w niczém nie występuje przeciw samowładztwu i niezależności władzy świeckiéj; 4) że nieprawdą jest, aby ona była spowodowana więcéj jeszcze względami państwowemi, aniżeli religijnemi i moralnemi; 5) iż błędnie oskarżają papieża o potępienie oświaty nowożytnéj w ogólności, i sprzeczność z swemi zasadami i z prawem świeckiém Francyi [1]). Pierwsza część tego oskarżenia odnosi się do wyroku potępiającego dwudzieste czwarte zdanie Syllabusa, wyrażone w tych słowach: „Papież może i powinien pogodzić się z postępem, liberalizmem i oświatą nowożytną".

Rozbiór zdania, że papież może i powinien pogodzić się z postępem, liberalizmem i oświatą nowożytną.—Papież może i powinien; lecz czyż to nie zuchwałość ze strony świeckich, że chcą nadawać prawa zwierzchnikowi Kościoła; czy to nie zniewaga w tak nakazujących słowach przepisywać postępowanie i wskazywać obowiązki Ojcu świętemu? Z tego tylko jedynie powodu już mogło być potępione to zdanie, jako zuchwałe i obrażające godność papiezką. Ale jeszcze i z innego powodu zasługuje na potępienie. Te słowa: postęp, liberalizm, oświata nowożytna, prawo nowe, zasady narodowości tworzą, mówi *Journal des Débats*, cząstkę tych sporów o wyrazy państwowe, tak potępionych za swe nadużycia. Wreszcie samo znaczenie tych wyrazów jest nieokreślone i rozmaicie pojmowane w wielu pismach. Tak naprzykład postęp, pojmowany przez szkołę pozytywistów i materyalistów, jakże się różni od pojęcia spirytualistów. Według zasad współpracowników „Przeglądu dwóch światów", postęp, postęp najwyższy, to zaprzeczenie Boga, zaprzeczenie porządku nadprzyrodzonego. Dla innych znów postęp, to dobrobyt na ziemi, i altruizm,

1) Bez wątpienia, mówi biskup z Grenobli, religia nie ma tak wybitnego stanowiska w nowożytném, jak miała w dawném prawie francuzkiém; lecz nieprawda, aby społeczeństwo nasze nie zwracało żadnéj uwagi na religię. Zgadzają się na to wszyscy, iż biorąc znaczenie bulli w najprostszém znaczeniu, nigdy nikt nie znajdziemy tam najmniejszego zamachu przeciw Francyi i jéj prawom. (*La Convent. et l'Encyclique*, str. 67.—*Circul. de l'ev. de Grénoble*, str. 44, 45).

jak mówią, z wyłączeniem samolubnego zajęcia się zbawieniem wiecznem, poniżającém tylko duszę. Liberalizm różne ma znaczenie w dziennikach *France* i *Temps*, jak w *Gazette de France* i *Journal des Débats*. A teraz w protestantyzmie, gdzie ciągle mówią o wolności sumienia i wolności religijnéj, czyż liberalizm Chérera zasadza się na téj saméj podstawie, co i Guizota? Przytém wyraz liberalizm może być użyty w ściślejszém lub rozciąglejszém tego słowa znaczeniu; zastosowaném tylko do ustroju państwowego, lub téż w znaczeniu społeczném lub religijném. A wyraz oświata nowożytna, czyż nie jest równie giętkiém i zmiennem orzeczeniem, jak powyższe? Pod tym wyrazem, mówi Dupanloup, można rozumieć dobro, obojętność i złe. Tu może się wcisnąć pod osłonę zagadkową i ułudną złe i dobre, błąd i prawda, światło i ciemność, postęp i upadek. Ta piękna ozdoba językowa, wolność, postęp, oświata, czyż nie stały się hasłem tłumów powstańczych, ciągnie daléj wymowny prałat, i wieczną zwrotką wszystkich rozpraw bezbożnych? Nie, nie, papież nie powinien i nie może pogodzić się i zastosować się do postępu, liberalizmu i oświaty nowożytnéj, tak jak wyją pojmujecie. Owszem, przyszedł czas, aby wykazać ludziom, jak pod dźwięcznemi słówkami ukrywać się może wiele złego i tyle błędów umysłowych, religijnych, moralnych, państwowych i społecznych. Otóż zwróćmy uwagę, z jak wysoką mądrością papież unika wszelkiéj zagadkowości i dwuznaczników w swym wyroku potępiającym [1]). Patrzcie, mówi Dupanloup, na czas ogłoszenia wyroku, potępiającego nowożytne błędy, a przekonacie się, iż każde zdanie nie zawiera w sobie nic nowego, jest tylko odpowiedzią na zuchwałość i bezbożność, i stawia opór wszelkim przedsięwzięciom niegodziwym. Otóż, pisze biskup z Grenobli, co do liberalizmu, przeczytajcie zdanie 80, a przekonacie się, iż rzecz idzie nie o liberalizm państwowy, lecz o liberalizm religijny, to jest o obojętność religijną, równie niedorzeczną jak bezbożną. O takim to liberalizmie, mówi Stolica Apostolska, z takiemi zasadami, Rzym nie chce i nie może mieć nic wspólnego. Co się zaś tyczy oświaty nowożytnéj, to z allokucyi papiezkiéj widzimy, iż nie idzie tu o oświatę nowożytną w ogólności, lecz właśnie o ową wrze-

1) W teologii, filozofii i prawodawstwie uważnie trzeba odróżniać jedno od drugiego, aby nie popaść w pomieszanie. Widocznem jest, że papież nie potępił tego, co jest dobrém w postępie, prawdziwém w oświacie, chrześcijańskiém w wolnomyślności. (Biskup Orleanu, str. 54, 59).

komą oświatę, „która jednocześnie przyzwalając na wszystkie wyznania, nawet niechrześcijańskie, prześladuje stowarzyszenia religijne, znosi szkoły katolickie, gdy wzbogaca zakłady niekatolickie; Kościół wyzuwa z prawnych jego posiadłości, używa wszystkich wysiłków, aby zmniejszyć wpływ jego; o tę oświatę, która dąży do osłabienia, a może nawet do zniweczenia Kościoła katolickiego i pogrążenia ludzkości w ciemnocie i barbarzyństwie“; z tą więc oświatą Ojciec święty nigdy się nie pogodzi, gdyż jak mówi Apostoł: Jakiż może być związek pomiędzy sprawiedliwością a niegodziwością, pomiędzy światłem a ciemnością, Chrystusem a Belialem? [1]). Zatém raz jeszcze powtórzymy, że Pius IX. nie potępił oświaty i społeczeństwa nowożytnego, lecz błędy, szerzące się w tém społeczeństwie, które mogłyby je zburzyć. Nie ustawy i prawodawstwo on potępił, lecz systemy i teoryę zupełnego przetworzenia społeczeństwa, przyozdobioną nazwą postępu.

1) Corinth, c. 6, v. 14, 15.—*Circulaire de l'évêque de Grenoble*, str. 35.

Uwagi nad stanem i działalnością Kościoła w wiekach średnich.

Wydobywszy Europę z najgłębszéj ciemnoty i przyprowadziwszy ją do pięknych czasów sztuk i nauk, Kościół i nadal troszczył się ciągle o postęp ludzkości na drodze religii i cywilizacyi. Lecz straszna burza zbierała się nad nim; potężna herezya rozpoczęła swą piekielną pracę, odbierając Kościołowi nie tylko doczesną opiekę nad ludami, lecz jeszcze zarząd boski i duchowy. Uwodziciele narodów wykazywali im błędy i zepsucie duchowieństwa [1]), lecz dogmaty i zasady moralne Kościoła uszły ich krytyki, jako wyższe nad wszystkie ludzkie zarzuty. Opieka, jaką Kościół otaczał ludy, doprowadziła je do wysokiego stopnia oświaty i zawsze wspierała postęp prawdziwy, a ci, co śmieli powstawać przeciw téj opiece, musieli albo ją spotwarzyć, albo nie znać prawdziwych potrzeb owego czasu.

Powtarzamy więc: Nauka Kościoła przez całe wieki średnie była bez zarzutu i świętą. W przeciągu tylu wieków wprawdzie powstały nowe pobożne zwyczaje, jako to: Różaniec, Boże Ciało, Anioł Pański i t. d.; lecz były to tylko różne sposoby czczenia i wyznawania dogmatów, głoszonych przez Kościół w pierwotnych czasach chrześcijaństwa. Łatwo to pojąć, iż podobne zwyczaje należące do karności, mogą i powinny być zmieniane, stosownie do czasu i charakteru ludów. Życie zakonne przybrało olbrzymie i różnorodne rozmiary,

1) A któż temu winien — czyż nie gwałtem, podejściem, przekupstwem, panowie możni zdobywnli biskupstwa i opactwa dla swoich synów, nieraz małoletnich; następnie w zepsuciu i w bezbożności wychowanych, których ani głos papieżów, ani ludzi pobożnych nie zdołał do opamiętania przywieść.

lecz zasadę i źródło swe czerpało w Ewangelii, a poczęło się rozwijać głównie pod koniec epoki prześladowania.

Drzewo z początku nie ma kwiatów, następnie niemi się okrywa, które z czasem opadają, lubo wicher je strąca; lecz dopóki ono istnieje, wciąż odradza się, nowém pokrywając się kwieciem, co dowodzi żywotności pnia. Tak samo i Kościół najpierw istniał bez zakonów, których znów upadek nie pociąga za sobą zniweczenia religii; lecz to jest rzeczą pewną, iż spoczywa w ziarnie ewangeliczném zarodek życia zakonnego, który społeczność chrześcijańska usiłuje rozwijać. Są tylko pewne okresy wyłącznie sprzyjające temu rozkwitowi. Podczas dziesięciu wieków spotykamy nowe określenia niektórych artykułów wiary; lecz wiemy, iż prawdy objawione mogą się rozwijać i pod pewnym względem ulegać zasadom ogólnego postępu, jak to dowodzi św. Wincenty z Lérins. Nowe więc określenia wiary są tylko rozwinięciem pierwotnych dogmatów i dokładniejszém ich wyjaśnieniem, co będzie dokonywało się ciągle i stopniowo aż do chwili oglądania Boga twarzą w twarz. Kościół, pracując ciągle nad tym rozwojem, nie odpoczął i w wiekach średnich. Z tych kilku uwag przekonywamy się o zupełnéj jedności i zgodzie wiary średniowiecznéj z wiarą pierwszych Ojców, Męczenników i Apostołów. „Drzewo poznaje się po owocach“, mówi Prawda wiekuista, „a przecież średnie wieki wydały tylu Świętych, obdarowanych łaską czynienia cudów. Nauka zatém Kościoła przez cały ciąg tego okresu, tak często nieznana, była apostolską i świętą. Posiadając kierunek i zwierzchnictwo nad ludami, mówi Filips, Kościół odznaczał się w tym względzie wielką mądrością i nie tylko, że nie powstrzymywał rozwoju ducha ludzkiego, jak utrzymują jego nieprzyjaciele, lecz owszem prowadził go na nowe tory i dodawał mu zawsze odwagi“. Przypatrzmy się Europie na początku i na końcu tego okresu, a poznamy, czém się stała pod wpływem katolicyzmu? Ciemnota, napływająca z północy na zachód, zupełnie zniweczona; nauki Alkoranu zgubnym swym wpływem zalewając wschód cały, dzielnie odparte, a wyprawy krzyżowe ocaliły Europę od niewoli. Oprócz tych nieprzyjaciół powstali jeszcze inni, zrodzeni z występku i herezyi, obalający podstawy społeczne, t. j. religię, rodzinę i własność. Kościół pokonywa ich z niesłychaną mądrością, a jedyną jego bronią miłosierdzie, nauczanie i rozsądna surowość, z któréj dzisiaj wyśmiewają się w czasach bezpiecznych, przesadzają ją w niebezpieczeństwie, a naśladują w każdém postępowaniu sądowém. Cierpienie duszy i ciała, to przymioty nierozłączne od

ludzkości po wszystkie czasy, a niesienie jéj ulgi, to najświętszy obowiązek mądrych rządów. Społeczeństwo starożytne miało w obrzydzeniu nieszczęśliwych, a nowoczesna filantropja niesie im w dani piękne słówka i czcze zdania. W wiekach średnich, rzecby można, ubóstwiano cierpienie; nieszczęśliwych uważano za wybrańców Chrystusa; wznoszono im wspaniałe pałace, a tysiące osób różnych stanów obsługiwało niedolę, czcząc ją i osładzając. Pod tym względem wieki średnie wystawiły sobie pomnik wiecznéj chwały i pozostaną na zawsze wzorem do naśladowania dla innych wieków. Niewolnictwo pogańskie niknie zupełnie w krajach katolickich na Zachodzie. Chrześcijaństwo walczy niezmordowanie ze służalczym ustrojem społeczeństwa feudalnego z przedziwną roztropnością i mądrością. Lud wznosi się do wielkiego znaczenia, a utworzywszy stan średni, na równi z duchowieństwem i szlachtą obraduje w sprawach państwowych i załatwia sprawy publiczne. Pod koniec XV. wieku, mówi Balmés, widzimy wielki postęp w urządzeniu i rozwinięciu gmin. Wymiar sprawiedliwości odbywał się już według stale określonych praw moralnych, słusznych i rozsądnych. Przystąpiono do urządzenia stosunków międzynarodowych, skutkiem wzajemnych układów i porozumień. Jedném słowem żywioły postępu, oświaty i dobrobytu rozwijały się w sposób zadziwiający [1]). Postęp sztuk i nauk okazał się widoczny. We wszystkich krajach wznoszono klasztory, kościoły i szpitale, które świadczyły nie tylko o wierze, ale stanowiły istne arcydzieła geniuszu ludzkiego. Szkoły zakładano w rozmaitych miejscowościach, a wszechnice w Paryżu, Bolonii, Oksfordzie i w Salamance jaśniały prawdziwém światłem; wykładano w nich prawo kościelne, cywilne, teologię, filozofię, Pismo święte, języki: łaciński, grecki, hebrajski, chaldejski i arabski. Święty Tomasz podniósł filozofię do najwyższego stopnia; wymowa dzielnie przedstawioną była przez św. Bernarda, św. Rajmunda z Pennafert, św. Wincentego Ferreryusza i św. Jana Kapistrana. Poezya i piśmiennictwo wydały Dantego, Petrarkę, Politiena, Marsyla, Ficina i wielu innych. Pic de la Mirandole włada dwudziestu dwoma językami, a Reuchlin zadziwia swą znajomością języka greckiego mędrców tego narodu, którzy zdumieni wołają: że „Grecya przebyła Alpy“. Wincenty de Beauvais daje nam jasne pojęcia o kształcie ziemi, a kardynał Mikołaj Cusa mówi o jéj obrócie dziennym około osi i rocznym około słońca. Nowe odkrycia i wynalazki

1) Balmés, tom III. pag. 376, 380, 382.

przyczyniają się do przemysłu i w ogóle rozwoju władz umysłowych człowieka; kompas, teleskop, proch już były znane. Dzieła poczynają drukować czcionkami ruchomemi na papierze, wyrobionym z gałganów, a druk przyczynia się do przenoszenia myśli lotem błyskawicy z jednego końca świata na drugi i do przechowania skarbów naukowych dla następnych pokoleń. Żegluga rozwija się coraz śmieléj; europejczycy robią wycieczki na odległe morza. Odkrycia przylądka Dobréj Nadziei otwiera drogę do Indyi wschodnich. Odkrycie Ameryki ukazuje nowe światy, nowe pole dla przemysłu i handlu. „Ktokolwiekbądź, mówi Balmés, zbada tę epokę bez namiętności i uprzedzenia, to musi przyznać, że wówczas ludzkość weszła na nowe tory, a tylko wiekom średnim należy się cześć i chwała za różne odkrycia i wynalazki, jako najpotężniejsze czynniki działania. W obec tak jawnych faktów, jakiegoż trzeba zaślepienia w dziejopisarzach utrzymujących, iż protestantyzmowi zawdzięczać należy ów popęd do pracy duchowéj i owo przebudzenie się ludów europejskich, drzemiących przez długie lata. Ustroj społeczeństwa europejskiego w chwili wystąpienia protestantyzmu nie był jeszcze na ostatnim punkcie rozwoju, lecz już i wtedy był dostatecznie wyrobionym na owe czasy. Gdyby ludzkość i nadal postępowała była drogą nakreśloną przez Kościół, oświata rozwijałaby się stopniowo i bezpiecznie. Niestety, protestantyzm pchnął cywilizacyę na drogi skaliste, które ją dzisiaj prowadzą ku bezdennéj przepaści [1]). A zatém opieka, jaką otaczał Kościół wieki średnie, sprzyjała cywilizacyi i prawdziwemu postępowi.

Niesprawiedliwa ocena wieków średnich.— Wieki średnie oskarżają o nietolerancyę religijną [2]). Ten zarzut, mówi Balmés, ma wiele przyczyn i powodów. Wiek nasz nie może wydać sprawiedliwego sądu o prawodawstwie, instytucyach i ludziach przeszłych wieków. Katon, badany w ośmdziesiątym szóstym roku o jakiś czyn popełniony w młodości, odpowiedział: „Trudno zdać sprawę nawet ze swego postępowania ludziom, żyjącym w innych czasach“. Zdanie to zawiera w sobie wiele prawdy. Tyle jest rzeczy, o których nie można sprawiedliwie sądzić, nie znając potrzeb owych czasów i usposobień ludzi wówczas żyjących. Tymczasem pisarze w swych zdaniach o wie-

1) Balmés, tom III. pag. 377—390.

2) Prawda nie może nigdy zgodzić się dogmatycznie na błąd, gdyż mu jest przeciwną; a zatém musi go zniweczyć, albo sama zginąć.

kach średnich prawie zawsze gwałcą tę zasadę mądrości i roztropności. Trzeba i to także pamiętać, iż nie masz w świecie rzeczy, któréjby nie można było potępić, badając ją jednostronnie. Weźmy jakiekolwiek prawo najużyteczniejsze i najsprawiedliwsze, badajmy go z punktu nieszczęść i niedogodności, jakie spowodowało; zbierzmy w jedną całość to złe wyrządzone w różnych czasach i miejscowościach, a będziemy mieli ohydny i wstrętny obraz. Pozwólmy n. p. stronnikowi zasad demokratycznych przedstawić w ten sposób niedogodności rządu królewskiego, występki i błędy panujących, a z pewnością przelękniemy się; lecz znów niech stronnik monarchii przedstawi nam w podobny sposób wszechwładztwo ludu, a niezawodnie cofniemy się ze wstrętem przed ideą demagogiczną. Przedstawmy wszystko złe, jakie spowodował rozwój społeczny ludów, a niezawodnie potępilibyśmy cywilizacyę. Sądźmy lekarzy tylko z nieszczęśliwych wypadków śmierci chorych, przez nich leczonych, a z pewnością nadamy im miano ludobójców. Tak więc postępując w ten sposób, wszystko można na złe tłómaczyć. Opierając się więc na zasadzie jednostronności, wydano niesprawiedliwy sąd o wiekach średnich pod względem nietolerancyi religijnéj. Zapomniano także o tém, iż bezwzględna i powszechna tolerancya nie może istnieć w żaden sposób faktycznie [1]). Z tego powodu postanowiono w czasach nowożytnych aby rządy od wszelkiego udziału w religii się usunęły, a ustanowiono w zasadzie bezwarunkową tolerancyę, która jest niczém inném, jeno obojętnością względem wszystkich religii [2]).

1) Ci wszyscy, co tak śmiało wygłaszali wolność wyznań, sami jéj nie zachowywali. Wiadomo, do jakiego stopnia Luter, Kalwin, filozofowie XVIII. wieku i przywódzcy ruchu ludowego z 93 roku, posuwali gwałtowność w narzucaniu drugim swych przekonań religijnych. A Henryk VIII., twórca tego, co nazywają w Anglii swobodą myślenia, skazywał na śmierć tych, którzy inaczéj myśleli jak on.

2) Wolność wyznań w naszych czasach, mówi Balmés, jest wynikiem położenia społecznego, zupełnie zgodnego z położeniem jednostki, pozbawionéj wiary. Prawda istnieje w religii. Przypuściwszy jéj istnienie, niepodobna jéj nie uznać. Raz uznana, czyż nie ma prawa do pierwszeństwa i szczególnéj opieki? Tém bardziéj, iż według słów św. Augustyna, królestwo i swoboda błędu są niewolą i śmiercią duszy. Trzeba, mówi Bossuet w prostych lecz głębokich słowach, szukać trwałych podstaw państwa w prawdzie, źródle pokoju, a prawda istnieje tylko w prawdziwéj religii. Wszyscy Ojcowie Kościoła, przemawiający w tym względzie od czwartego wieku, jednozgodnie powtarzają tę zasadę św. Augustyna: „Sposób, w jaki królowie zasługiwać się winni Panu, zależy na tych usługach, jakie tylko królowie wypełnić mogą“. „Kościół, mówi Bossuet, używa królów i cesarzy, aby lepiéj służyć Bogu; aby rozszerzyć, mówi św. Grzegorz, drogi

Nadto z powodu tolerancyi różni sekciarze i socyaliści chcieli utworzyć nowy chrystyanizm, na wzór Albigensów, Hussytów i Jana z Leydy, rzucających się na własność osobistą. Tym wszystkim, którzy przeszkadzają zaprowadzeniu podobnéj religii, zarzucają to, co stronnicy bezwarunkowéj niezależności mówili o położeniu rzeczy w czasach ubiegłych.

Uwagi nad nietolerancyą religijną wieków średnich. Skutki niedorzeczne i niebezpieczne, wynikające z tolerancyi w naszych czasach. — Stronnicy bezwarunkowéj tolerancyi, w imię swobody i niezależności sumienia, wszelką nietolerancyę, istniejącą kiedykolwiekbądź, nazywali niesłuszną i okrutną; dzisiejsi liberaliści tożsamo powtarzają. Mówili oni, iż nauka Kościoła jest wymysłem ludzkim, a nowożytni sekciarze twierdzą, że zasady któremi się rządzi społoczeństwo, są również wymysłem ludzkim.

Uczyli, że porządek społeczny dawny był monopolem; toż samo twierdzą dzisiejsi socyaliści o nowoczesnym porządku społecznym. W oczach stronników bezwarunkowéj wolności wyznań, władze dawne uciemiężały ludy; w oczach nowych sekciarzy, władze obecne również uciemiężają ludy. Chcieli oni zniweczyć wszystko, co kiedyś istniało, a na to miejsce wznieść nowe instytucye, któreby powróciły człowiekowi wolność i godność, a zarazem szczęście ludów; tymsamym zupełnie językiem przemawiają i dzisiejsi socyaliści. Nakazywali szacunek dla swych pojęć bezbożnych i domagali się wolności występowania przeciw Bogu; nic więc dziwnego, że dzisiejsi socyaliści napadają na prawa rodziny, własności i całego porządku społecznego, rzeczy wprawdzie świętych, ale zawsze mniéj znaczących jak Bóg. „Wolność sumienia jest jedyną w swoim rodzaju, wołają z nieugiętą siłą logiki, nowożytni socyaliści. Ona istniejąc w religii i filozofii, nie może nie istnieć

niebieskie; aby nadać siłę swym prawom, a silną podporę karności chrześcijańskiéj. Choć Kościół sam pozostanie, nie lękajcie się; Bóg jest w nim i podtrzymuje go; lecz książęta chrześcijańscy swą opieką wznoszą Kościołowi przybytek, pod osłoną którego używa słodkiego pokoju". *(Serm. sur l'unité l'Egl.)*. „Zgoda zupełna Kościoła z państwem, jest powszechném prawem i staném prawidłowym społeczeństw chrześcijańskich. A zatém zgoda i opieka, oto obowiązki rządów względem Kościoła, źródła i podstawy prawdy: *Columna veritatis.* Władza świecka nie może i nie powinna popierać błędu i złego, gdyż jest obowiązana bronić dobra i prawdy. (*Civilta cathol. Monde 13 fevrier 1864.* — Gueranger, *Monde 4 avril, 1860).*

w ustroju państwowym. Jeżeli powstajecie na nią pod jednym względem, potępiacie ją pod każdym względem; należy ją szanować we wszystkiém i wszędzie. Tak samo mam prawo mieć wolną wolę państwową i społeczną, jak mam prawo mieć moją religię i mego Boga. Ja nie mogę robić ustępstw tak pod jednym, jak i pod drugim względem, ponieważ nie mogę dzielić mego sumienia i być uległym w jednéj sprawie, a niewzruszonym w drugiéj; i wy tegoż również uczynić nie możecie. Wolność sumienia jest jedyną w swym rodzaju, którą szanować należy bezwarunkowo. Jeżeli ta wolność może mną kierować w religii, moralności i filozofii, jeżeli może być prawem w stosunkach społecznych, to pozwólcie, niech będzie i myślą przewodnią w stosunkach państwowych. Uszanujcie me przekonania; osobiście nie zmuszajcie mnie do uznawania waszych zasad, gdyż dusza moja zarówno nie ukorzy się przed Robespierem i Saint Justem, jak przed Torquemadą i Karolem IX.; sumienie moje wyższe ponad jednych, jako i drugich. Ono zależy samo od siebie, a rachunek chcę zdawać tylko Temu, w którym spoczywa". Prawo jednostki w wyborze religii, pociąga za sobą prawo w wyborze rządu. Przez dziwną sprzeczność, rządy pozwalają każdemu wznosić ołtarze i oddawać cześć swym bogom, lecz zabraniają inaczéj myśleć o polityce, jak pozwala konstytucya. Przebaczą bezbożność, lecz nigdy nie przebaczą doktryn politycznych, przeciwnych ich zasadom. Zkądże ta różnica? dlaczegóż ta sprzeczność? Czyż doczesność ma być świętszą od duchowości? Czyż tam, gdzie gwałcą Bóstwo, ludzkość ma trwać niewzruszenie? Pozwalacie mi myśleć i wierzyć o Bogu jak chcę, a żądacie, abym się korzył przed waszemi doktrynami politycznemi. Podobne rozumowanie ostać się nie może wobec krytyki zdrowego rozsądku [1]). Oto wynik zgubnych nowożytnych zasad. Bezwzględna więc wolność wyznań prowadzi do niedorzeczności i jest zarówno niewykonalną w czynie, jak i w teoryi. „Niepodobna, mówi Balmés, aby sumienie, wola, rozum i słowo, w ogólności wszystko to, co czyni człowieka królem stworzenia, nie ulegało żadnym prawom i istniało jedynie dla zakłócenia potężnéj jedności wszechświata. Dla tego téż, mówi daléj Balmés, każdy rząd, chcący istnieć i wyznawać religię, musi być surowym względem tych, którzy inaczéj myślą i działają. Przypatrzmy się wszystkim czasom i rządom chrześcijańskim, czy pogańskim, czy katolickim albo heretyckim, a zawsze w ich ustroju państwowym widnieje powyższa zasada.

1) *Siècle 12 Decembre 1855.*

Jest ona treścią dziejów wszystkich rządów w ich stosunkach do religii". Ponieważ zaś każdy porządek społeczny koniecznie potrzebuje pewnych prawd stałych, publicznie wyznawanych i szanowanych; czyż więc można powstawać przeciwko wiekom średnim, iż wybrały i przyjęły prawdę religii katolickiéj? tém bardziéj, że ten stan rzeczy nic a nic, jak widzimy, nie powstrzymywał prawdziwego postępu społecznego, i nie sprowadzał tyle nieszczęść, na jakie patrzymy się dzisiaj. Przez nienawiść ku owemu królestwu prawdy, powstają jéj nieprzyjaciele, podburzając ludy przeciw wierze katolickiéj, i prowadzą je ku zupełnéj obojętności, a nawet i bezbożności. Roznamiętniono się w swobodzie złego [1]). I teraz widzimy już smutne następstwa owych zasad nowoczesnych, a z czasem jeszcze lepiéj osądzimy drzewo po jego owocach [2]).

---

1) Podstawową i ogólną zasadą wszystkich rewolucyi jest swoboda złego. Wspólną ona jest socyalistom, republikanom i parlamentaryuszom, tak jak wspólnym węzłem anglikanów, lutrów i kalwinów jest dowolne tłómaczenie Biblii.

2) Balmés, Protestant, compar., tom II. i III.

Masonerya i jéj cel.

Pomimo, że masoni przedstawiają swój początek jako ginący gdzieś w pomroce wieków — wiadomo jednak, że jedna z sekt Manicheizmu wkręciwszy się do Templaryuszów z czasem zawładnęła częścią tego zakonu—i gdy takowy za bezprawia, jakich się ta sekta dopuszczała, a które potwierdza historya, zniesiony został przez papieża Klemensa V., resztki jéj, ukryte w Szkocyi poczęły prowadzić dzieło nienawiści i zemsty przeciw Bogu i całemu społeczeństwu—a nazwa *franc-maçon*, czyli wolny-mularz właśnie od wyż wymienionego stowarzyszenia, które się zajmowało budową kościołów i t. d., bierze swój początek.

Pomijamy tu opis przeróżnych ceremonij, jakie masonerya odprawia, przyjmując każdego nowego kandydata do bractwa swego, albo przy posuwaniu swoich terminatorów do wyższych stopni i godności, których hierarchia masońska liczy od 30 do 73, a nawet aż do 90 szczebli. Przy tych obrzędach pp. Mistrzowie czy Wielebni, szumnie przemawiają do swych nowych adeptów, obiecując im, że dopiero w wyższych stopniach dowiedzą się o sekrecie prawdziwego światła, jakiém masonerya ma świat uszczęśliwić, jeżeli na to swojém zasłużą postępowaniem. A teraz przystępujemy do opisania istoty, dążności i celu masoneryi.

Powszechność masoneryi.

Jak Kościół Chrystusowy, t. j. rzymsko-katolicki, jest powszechnym, t. j. na wszystkie czasy i dla wszystkich narodów, tak i dla obalenia go usiłuje masonerya uknuć podobnie powszechny spisek utworzony z jéj członków należących do wszystkich narodowości; a więc ona, jako wróg tegoż Kościoła największy, chce zostać podobnie powszechną i dla tego wszystkiemi środkami dąży do zmasonienia czyli zrewoltowania wszystkich ludów przeciwko temuż Kościołowi.

Zupełna przeto zagłada nauki Ewangelii jest owym wielkim sekretem i ma stać się światłem prawdziwém, jakiém pp. masoni pragną kiedyś świat obdarzyć i o czém zwolennikom swoim ustawicznie w swoich prawią kryjówkach. Ale dzięki tak pojedynczym masońskim dziełom, jako téż ich pismom peryodycznym i jawnym owocom ich roboty, już ten ich sekret i taka ich dążność, przestała być sekretem: *Nihil enim apertum est, quod non reveletur.* Nic zakrytego, coby się wyjawić nie miało. (Łuk. 12, 2).

Te masonów kryjówki, w których odbywają się posiedzenia spiskowe przeciwko prawdzie, cnocie i Bogu samemu, a więc i przeciwko ludzkiemu społeczeństwu, nazywają się Lożami, od sanskryckiego słowa *loga*, po francuzku *loge*, świat. I dla tego starszy mason, wtajemniczając nowego rekruta, prawi mu, że granicami Loży są granice świata; że jéj długość rozciąga się od Wschodu do Zachodu, a szerokość od Południa do Północy. A br. Ragon, którego masonerya poczytuje za pisarza świętego, powiada, że masonerya nie zamyka się w granicach kraju tylko jednego; że nie jest ona ani francuzką, ani szkocką, ani amerykańską; że szwedzka nie ogranicza się tylko Sztokholmem, pruska Berlinem, turecka Konstantynopolem, jeżeli się tam ona znajduje; ale że jest ona jedną i powszechną. Ma ona wiele zbiorowych do działania punktów, ale jéj centrum jedności jest tylko jedno... Gdyby zaś nie miała cechy jedności i uniwersalności, jużby przez to samo przestała być masoneryą. Masonerya nie ma żadnego względu na narodowość albo kraj, ani na związki powinowactwa lub pokrewieństwa; nie ma w masoneryi Francuza, Belgijczyka, Niemca, Słowianina, albo katolika, protestanta, prawosławnego lub izraelity: ale wszyscy są obowiązani do bezwarunkowego posłuszeństwa rozkazom starszych, a których tam nikt nie zna. Mason, jedném słowem, to obywatel całego świata, mówi br. Clavel.

Dąży ona do takiego upowszechnienia się, jak jest powszechnym Kościół Jezusa Chrystusa czyli rzymsko-katolicki. Ten Kościół dzieli się na parafije, dyecezye i prowincye; pewne prowincye podlegają jurysdykcyi Patryarchy albo Prymasa, a cały Kościół podlega Papieżowi. Podobnież i masonerya dzieli się na loże proste, zostające pod zarządem loż prowincyonalnych, które podlegają Lożom Wielkim, a wszystkie jednemu głównemu, ale skrytemu naczelnikowi. A br. Findel, także poważny pisarz masoński, dodaje, że masonerya do tego zmierza, aby kiedyś została wspólném wyznaniem dla całego rodzaju ludzkiego, co znaczy, że pod przeróżnemi pięknemi pozorami, jakoto: nauczania, oświaty, cywilizacyi i t. p., zmierza ona do uniwersalnego ateizmu, czyli kompletnéj bezbożności i moralności niezależnéj od żadnych praw Boga, więc do moralności tak złéj, na jaką w mowie ludzkiéj nazwy nie ma.

Wszystkie loże są jednego i tego samego ducha chociaż różnie tytułują się, jako to: *Karbonaryzm*, *Młoda Francya*, *Młoda Italia*, *Tugendbund*, *Männerbund*, *Jünglingsbund. Stowarzyszenie Starców* albo *Doskonałości* (*Greisen - oder Vollkommenheitsbund*), *Deutsche Bund der Gerechten*, *Deutsche Turnschaft*, *Allgemeine deutsche Burschenschaft*, *Bund der Gleichgesinnten*, *Bund der Unbendingten*, *Bund für Freiheit und Recht*, *Männer und Jünglingsverein*, *Młode Niemcy*, *Młoda Europa*, *Wielki Wschód we Francyi*, *Wielki Wschód Polski*, *Wielki Wschód Litwy* i t. p. Oprócz tego masonerya dzieli się na stowarzyszenia liberalne, wolnomyślnych i ligi nauczania. Ile razy grozi jéj jakie niebezpieczeństwo, tyle razy ona zmienia swoją barwę, stosownie do potrzeby i zbiegu okoliczności.

Masonerya stara się zawsze z wielką postępować roztropnością, aby kiedy siebie nie skompromitowała. Jeżeli jéj spiski powiodą się, to wtenczas korzysta z nich tajemnie i tę sławę sobie przypisuje; a jeżeli się nie udają, to znowu ma sposób wyparcia się niedoszłego pomiotu swego i uchronienia się od wszelkiéj odpowiedzialności. W skrytości rzewnie opłakuje nieroztropność dzieci swoich; ona pierwsza występuje z potępieniem ich zamiaru. A jeżeli kiedy któremu z lożowych braci zostaje sądownie dowiedzione zbrodni spólnictwo, to wtenczas ona gardzi takim, utrzymując, że za jego szał nie może odpowiedzialności brać na siebie; nazywa go dzieckiem zgubném, zdrajcą Zakonu, wiarołomcą.

Druga korzyść, jaką masonerya osięga z zakładania stowarzyszeń prywatnych, jest ta, że może tym sposobem łatwo oszukiwać

czujność policyi. Rozmaitość jéj obrzędów ma takiż sam cel, t. j. ukrycie swojéj jedności, uniwersalności, potęgi i solidarności wszystkich jéj członków.

Masonerya tedy jest stowarzyszeniem kosmopolitycznem, a nie narodowém i trzyma się za ręce od jednego do drugiego końca świata.

Statystyka masoneryi.

Br. Rebold utrzymuje, że na kuli ziemskiéj znajduje się przeszło 8,200 loż masońskich, które znowu liczą w sobie około miljona członków należących do wszystkich klas społeczeństwa.

Masonerya w Europie jest prawie wszędzie w stanie kwitnącym, bo jest przyjętą i protegowaną przez tych wszystkich, którzy i ze społecznego stanowiska i z obowiązku swego powinniby być największymi jéj przeciwnikami i tępicielami.

Anglia, Szkocya, Irlandya, Szwecya, Dania, Holandya, Prusy, Saksonia i małe państewka niemieckie, Francya, Szwajcarya i protestancka Bawarya liczą przeszło 3,000 lóż rządzonych przez 31 Wielkich Lóż. Średnia liczba czynnych lóż głównych członków rachuje się około stu braci. A w szczególności Anglia ma 1 wielką lożę, 63 lóż prowincyonalnych, a 989 terminatorni, czyli prostych lóż; Szkocya ma 1 wielką lożę, 38 lóż prowincyonalnych, a 340 prostych lóż, czyli terminatorni; Irlandya ma 1 wielką lożę, 10 lóż prowincyalnych i 307 prostych lóż; Francya ma 1 wielką lożę zwaną Wielkim Wschodem, od któréj zależy 318 lóż i jedną Najwyższą Radę dawnego Rytu Szkockiego, pod któréj jurysdykcyą zostaje 81 lóż. Prusy mają 3 wielkie loże, jako to: Trzech Globusów, która zarządza 59 terminatorniami; Loża Narodowa, pod któréj zarządem zostają 3 loże prowincyonalne, dyrygujące 67 lożami prostemi; i w końcu loża Royal Jork, która ma pod sobą 27 lóż.

Włochy w 1869 r. miały 66 lóż zostających pod zwierzchnictwem Wielkiego Wschodu w Turynie i Najwyższéj Rady Włoskiéj w Palermo; ale można być pewnym, że ta liczba do dziś dnia znacznie się podniosła.

Belgia ma 14 lóż, których nazwy i siedliska wyliczone są w dziele Neut'a, na str. 321.

W Turcyi Europejskiéj i Azyatyckiéj rachują 1,270 masonów czyn-

nych, a 780 wtajemniczonych. Loże znajdują się w Konstantynopolu, Smyrnie, Atenach i w innych miastach.

W Afryce loże są: w Algeryi, Tunisie, Aleksandryi, Senegalu, na przylądku Dobréj Nadziei, na wyspach Kanaryjskich, św. Heleny, Burbon, Maurycego i innych.

W Ameryce loże wszędzie kwitną. W Stanach Zjednoczonych znajduje się 36 wielkich lóż, a 4,895 terminatorni. W Texas, Kalifornii i Meksyku rachują przeszło 360, a w Nowéj Grenadzie 254 lóż.

W Ameryce południowéj masonerya szybko się rozwija, chociaż tam dosyć późno zjawiła się. Wielka Loża założyła już około 100 terminatorni i podobnie sroży się, jak w Prusiech i Szwajcaryi.

W Azyi przeszło od wieku usadowiła się w Indostanie, zkąd się przeniosła do Turcyi, Persyi i Chin. Owa w krajach azyatyckich klasa uczonych, która w obecnych czasach tak wściekle morduje katolików, a na co wszystkie europejskie rządy obojętnie patrzą, składa się niezawodnie z masonów...

W Oceanii została zaprowadzona na wyspie Jawa, w Nowéj Hollandyi, na południu Nowéj Gallii i we wszystkich wogóle angielskich i hollenderskich posiadłościach.

A już wogóle od r. 1880 ilość lóż rachuje się na całéj kuli ziemskiéj 137,065 i kilka milionów czynnych członków należących do wszystkich klas społeczeństwa, którzy poczytują się za ludzi postępowych i którzy wszelkie w swych rękach posiadają środki moralne i materyalne do szerzenia zepsucia i którzy do swéj pomocy mają około sześciu milionów członków niższych stopni, sam Londyn posiada 104,000 członków a Nowy York 80,000 [1]).

---

1) Straszna ta falanga rośnie codzień, jest w swoim rodzaju wybornie uorganizowaną, ma swoją władzę centralną i swego wodza, który nią kieruje, albowiem kolońskiéj masonów ustawy artykuł XIII. tak mówi: „Ponieważ naszém stowarzyszeniem rządzi jeden naczelnik generalny, a różnemi magistraturami Wielcy mistrze, według położenia i potrzeb krajów, przeto nic konieczniejszego nad doskonałą między niemi jednostajność, aby ci, którzy są po całéj powierzchni ziemi rozproszeni, z wielu pojedynczych członków tworzyli ciało tylko jedno; nic pożyteczniejszego nad wszystkich deputatów korrespondencyj i listów zgodność z témże ciałem i nauką jego“. A zatém to stowarzyszenie ma głowę: ale kto nią jest i gdzie przebywa?... to dla nas wielka tajemnica. — Dawniéj jedni uważali Mazziniego za reprezentanta europejskiego Komitetu, ponieważ z różnych krajów do niego spływały pieniądze, a drudzy lorda Wellingtona poczytywali za głowę masoneryi obydwóch półkuli.

Nauka i cel masoneryi.

Nie łatwo zbadać naukę i cel masoneryi z powodu tajemniczości i sztuczności jéj mowy. Jéj Rytuał powiada, iż nie jest ona stowarzyszeniem sekretném, ale że posiada sekret. Tak jest, ma ona pewien sekret nietylko dla samych profanów, ale i dla większéj części swoich adeptów. I dla tego jéj oratorowie i pisarze zwykle obłudnie wyrażają się, gdy wogóle do wszystkich przemawiają braci swoich, a tem bardziéj mówiąc o swoich interesach w obecności profanów.

A gdy brat przyjmuje stopień mistrza, wtedy ponawiając przysięgę, obowiązuje się niczego nie wyjawić nawet przed braćmi niższych stopni, a tém bardziéj, rozumie się, przed profanami. Jest to nieugięta masoneryi reguła dla trzymania wtajemniczonych w niewiadomości tego wszystkiego, co się w wyższych dzieje stopniach. A więc mason takim jest niewolnikiem, który mistrza swego nie zna ani z imienia ani z widzenia. Dla ułudzenia go prawią mu, że stopień mistrza jest koroną masoneryi, chociaż jest on dopiero trzecim z porządku. A nawet wyższe stopnie przedstawiają mu jako podejrzane i nazywają takowe instytucyami nadmasońskiemi. Przy otrzymaniu każdego nowego stopnia słyszy mason, że już doszedł najwyższego stopnia budowniczego, który jest uważany za święty, chociaż przed sobą ma jeszcze trzydzieści albo i sześćdziesiąt stopni do przebycia, nim się na tajemniczéj drabiny wierzchołek dosta-

---

Ale pominąwszy głowę sekty, jest rzeczą pewną; 1) że bardzo, mianowicie w czasie obecnym, ożywione istnieją stosunki między wszystkiemi gałęziami sekty rozlanéj na obydwóch ziemi półkulach; 2) że wszyscy sekty członkowie jednozgodnie zmierzają do jednego i tego samego celu, oraz jednych i tychże samych trzymają się zasad, jednéj i tejże saméj nauki; 3) że Mason, jako obywatel świata całego i jako brat wszystkich całego świata masonów, już nie do siebie, lecz do zakonu rozlanego po całéj kuli ziemskiéj należy; 4) że loże tak są pomiędzy sobą i z tajnemi zagranicznemi stowarzyszeniami uorganizowane, że za jedném jak sprężyny w zegarku poruszeniem, wszystkie wprawiają się w ruch; 5) że masońskie ustawy i umowy są najwyższém i ostatecznem dla masona prawem, których nikomu nie wolno ni rozbierać, ni o nich rozprawiać. Prawdziwy mason obowiązany bezwarunkowo przed niemi się tylko skłonić i takowym ślepo ulegać. Oto postępowa wolność i swoboda sumienia!

nie. Br. Defrenne, jeden z masonów belgijskich zalecając w 1840 r. nowicyuszom szczególniéj dyskretność i odwagę na wszelką próbę, powiedział, że trwałość bytu masońskiego zależy od ścisłego dochowania sekretów, i że odwaga jest potrzebną do szydzenia z djabła i piekła. A więc masonerya nie mogłaby istnieć, gdyby ją dobrze znano, gdyby wiedziano, czém ona jest wobec prawdy, zdrowego rozumu i społeczeństwa! Co za przedziwne wyznanie! Przypatrzmy się teraz w szczególności masońskiéj nauce, jéj celowi i sposobom dopięcia jéj, dla oświecenia dobréj woli czytelników i ratowania społeczeństwa, a przynajmniéj zmniejszenia niechybnie grożących mu najokropniejszych klęsk ze strony masoneryi.

Nauka masonów o Bogu. Zaprzeczenie Boga i Jego Opatrzności. Panteizm i materyalizm.

W początkach swoich masonerya w krajach, gdzie musiała przez pewien czas ukrywać się, zobowiązywała braci masonów do powierzchownego praktykowania przepisów religii krajowéj; ale wkrótce potém obowiązywała ich tylko do takiéj religii, na jaką się niby wszyscy zgadzają ludzie.

Ale któraż to taka religia, na jaką się wszyscy zgadzają ludzie? Dotąd nie ma żadnéj takiéj; taki zatém wykręt znaczy, że sekta swoich adeptów nie obowiązuje do żadnego dogmatu religijnego, i do żadnéj zasady filozoficznéj, do żadnéj religii, do żadnéj wiary, do wiary nawet w Boga i nieśmiertelność duszy, bo według postępowego jéj rozumu, Bóg jest przesądem, religijny kult zabobonem, a nauka rzymsko-katolicka fanatyzmem. Dogmatem masoneryi jest najzupełniejsza swoboda myślenia. i niezależność sumienia od żadnych praw objawionych czy naturalnych. Tam zgodnie obok siebie żyją materyaliści, pozytywiści, panteiści i spirytualiści. A jeżeli tam kiedy wspomina się o Bogu lub o nieśmiertelności duszy, to tylko jako o rzeczach należących do dawnéj masońskiéj tradycyi. Mason tedy, mówi Wielki Wschód, „jest zupełnie swobodnym“ czyli liberalnym sobie dla tego, że wszystkie prawdy wiary może sobie tak dowolnie tłumaczyć, jak się tylko mu podoba. A więc masonerya jest ukrytym spiskiem przeciwko Bogu, przeciwko Jego prawu naturalnemu i objawionemu, przeciwko

prawdzie, jedném słowem, przeciwko społeczeństwu. Jéj mowa o Bogu, o nieśmiertelności duszy, o cnocie i religii dla zwiedzenia i łatwiejszego skaptowania sobie łatwowiernych, zawsze ma znaczenie zupełnie przeciwne. Tam Bóg jest odegnany od związku narzeczonych, od łoża małżeńskiego, od kolebki dziecięcia i od łoża konającego, oraz od trumny: bo tego, według jéj mądrości, wymaga najwyższe ludzkiego rozumu rozwinięcie i swoboda sumienia, jako najpiękniejszy nowoczesnéj cywilizacyi nabytek.

Gdy się Proudhon stawił na obrzęd wtajemniczenia, masonerya, wedle swego zwyczaju, postawiła mu trzy pytania, na które postulant obowiązany piśmiennie odpowiedzieć: Co człowiek winien podobnym sobie? Co winien loży? Co winien Bogu? A p. Proudhon zgodnie z duchem nauki masońskiéj tak odpowiedział na te pytania: „Sprawiedliwość należy się wszystkim ludziom, poświęcenie się dla loży, a wojna Bogu!“

Proudhon też nauczał, że Bóg jest złem, a własność kradzieżą, za co wychwalała go sekta, ponieważ ona sama w swoich symbolach i ceremoniach, przy udzielaniu wyższych stopni, podobnie mówi o Bogu Stwórcy i Zachowawcy wszechrzeczy. A przed swymi masonerya wynurzając się adeptami, powiada im, że za najwyższą istotę uznaje tylko naturę albo wielkie—wszystko, którego wszystkie inne rzeczy są tylko cząstkami. Wszystkie zatém religie, nie wyłączając nawet chrystyanizmu, są, według rozumu masoneryi, tylko mytologiami przedstawiającemi kult natury, czyli że są zabobonami i kłamstwami; że nauka Chrystusa jest to samo co nauka żydowska, co egipskich hierofantów, co indyjskich gimnozofistów (ludzi chodzących nago), że ona, jedném słowem, pochodzi od dawnych bogów, dogmatów i ceremonij Brahmów, Magów i Egipcyan. A zatém kult natury jest nauką czystą, wolną od mytów. „Kult natury, mówi jeszcze br. Ragon, święty sekty pisarz, jest celem masona“. A masoński rytuał kładzie wtajemniczonym w uszy, że z ciemnoty wydobywamy się dopiero przez rozmyślanie i badanie natury; że natura jest naszą najlepszą, a raczéj jedyną przewodniczką; że nauką masońską jest prawo naturalne, prawo, które nie jest religią w pospolitém tego wyrazu znaczeniu, ponieważ ona nie zna ani kultu, ani tajemnic, ani ofiary; jest to prawo, które wszystkich ludzi prowadzi do jednego i tego samego światła, do jednych i tychże samych uczuć i przykazań.

Ale kto rozumie co to jest ten Bóg, czyli wielki, według téj dziwacznéj religii, budowniczy świata? Bogiem jest to wszystko co jest. Każda część tego co jest, częścią Boga jest, ale nie samym Bogiem. Bóg jest najwyższym rozumem. Każda składowa część wielkiego, wszystkiego czyli Boga, jest obdarzona cząstką jego rozumu, stosownie do jéj przeznaczenia. Połączenie wszystkich części, tworzy całość świata, universum, to jest wielkie wszystko czyli Boga. Nie ma innéj religii oprócz naturalnéj“.

Taka nauka nie potrzebuje objaśnienia, tém bardziéj, że wszystkie masońskie rytuały mówią zgodnie, że Bóg jest to samo co natura, universum, świat, wielkie wszystko, zkąd wszystkie pochodzą stworzenia, i dokąd po śmierci znowu powracają, rozkładają się, i nanowo w innych kształtach, reprodukują się.

A zatém bogiem masońskim, który już doszedł do światła, jest właśnie to wszystko, co widzimy i czego się dotykamy; wszystko, jedném słowem, co pod nasze podpada zmysły. Świat zaś niewidzialny czyli świat duchowy, jest chymerą, bo nie ma dwóch światów; jest tylko świat zmysłowy i jego stosunki. A więc nasza dusza nie jest istotą duchową. Jestże ona indywidualną za życia ciała i po śmierci? Na to rytuał odpowiada, że niewiadomo. Śmierć jest wyosobieniem jednostki. A co się dzieje z jednostką po jéj śmierci? Ze skutku, jakim ona była, znowu się przyczyną staje; to jest: że po jéj rozłożeniu się na pierwiastki składowej jéj istoty materyalnéj elementa stawszy się swobodnemi, powracają do podobnych sobie elementów dla tworzenia nowych przekształceń, ponieważ nic, oprócz reform, nie ginie. A co się tyczy jéj (jednostki) istoty duchowéj, to ta, wedle mniemania starożytności, powraca do niezmiernego źródła życia, t. j. do duszy powszechnéj“. Oto czego rytuał naucza masona-mistrza! A kawaler stopnia daleko wyższego, zwany Kadoszem, dowiaduje się, że przez życie poprzednie trzeba rozumieć życie naszych przodków, a przez naszych potomków życie przyszłe.

W końcu Dupuis, mason, uwielbiając naturę powiada, że ona jest najpierwszém prawem przed wszystkiemi religiami oraz innemi prawami, które nazywa tylko blademi jéj naśladownictwami; że ona jest powszechną podstawą dla wszystkich ziemi ludów; że napróżno

Bóstwa szukać któreby mogło człowieka uszczęśliwić i że natura jest Bogiem; że umysł ludzki po za granicami natury; że umysł ludzki przez teologię zaślepiony, nie czyni żadnego naprzód postępu; że zabobon (cześć Boga) wpływa na wszystko i pomaga do zepsucia wszystkiego; że religie są poustanawiane przez mniéj lub więcéj zręcznych szalbierzy; że religia jest tyrańskim paktem między księżmi i królami utworzonym". A w końcu tak przemawia do braci swoich: „Najmilsi bracia moi, to prawo (natury) jego dogmata, jego zasady, są właśnie waszemi zasadami, waszemi dogmatami, waszém prawem; do ich to propagowania zobowiązaliście się wiarą waszą, przyjąwszy w królewskiéj sztuce (masoneryi) udział. Los wszystkich wkłada święty na nas obowiązek do walczenia przeciwko zabobonowi (czci Boga), téj pladze rodzaju ludzkiego, dla zaprowadzenia w jego miejsce kodeksu wzniosłéj moralności natury".

Wszakże trzeba tu wyznać, że i natura, i ta Natura Bóg, i ta moralność natury, są niejasne wyrażenia. Trzeba więc gdzieindziéj szukać objaśnienia tegoż boga masonów. A gdzie to?... Oto w praktyczném ich życiu. I cóż w tém ich życiu uderza nas w oczy? Oto właśnie pycha przedewszystkiém, łakomstwo, chciwość, sute jedzenie i picie, a wskutek tych rzeczy wyuzdana lubieżność—daléj gniew, zazdrość i lenistwo do szukania prawdy, oraz wszystkich towarzystw, towarzyszek i całe szeregi potomstwa tychże głównych przywar. Oto właśnie niezmienne prawo ludzkiéj natury i jéj moralności, oto bóg masonów, oprócz którego nie chcą oni znać innego Boga. Któż może w nauce masońskiéj nie widzieć owego wielobóstwa sławionych Greków i Rzymian, zastąpionego przez Naturę-Boga? A dla czego masoni sami nie dają takiego swojéj nauki objaśnienia?... Dla oszukania łatwowiernych, a może się i wstydzą jawnie głosić najpotworniejszy i najplugawszy materyalizm, jakiegoby się sam Epikur wstydził, więc przykrywają go szumnemi wyrażeniami: Natura, prawo natury, Natura-Bóg, a w istocie ubóstwiają oni siebie samych i wszystkie swoje namiętności, jakto poganie czynili. Daléj ta prawda wyjaśni się lepiéj jeszcze.

Nauka masoneryi o moralności. Zaprzeczenie prawa moralności wyższego nad człowieka. Moralność niezależna i pozbawiona sankcyi.

Sekta masońska, jakto widzieliśmy, wywraca religię z gruntu, a naucza panteizmu materyalnego, który jest najniedorzeczniejszym ze wszystkich panteistycznych systematów; naucza ona ateizmu zwierzęcego a zaprzecza Boga i Opatrzności Jego: więc jakaż takiéj teologii może być moralność? Otóż nie insza nad moralność naturalną, ludzką, zwierzęcą, t. j. opierająca się tylko na naturze, na wolnomyślności, instynktach, namiętnościach i ślepych człowieka popędach; czyli, moralność niezależna od wszelkich praw: naturalnych, objawionych i pozytywnych, a mówiąc jasno, jest to najpotworniejsza, najszkaradniejsza niemoralność.

Ten moralności system, który dziś tak wiele robi hałasu i okropne sprawia a jeszcze okropniejsze przygotowuje spustoszenie moralności, jest od bardzo dawna ukuty w łożach. „Dopóki masonerya była prześladowaną, powiedział w r. 1866 jeden z jéj adeptów, dopóty naszych zasad nieprzyjaciele powtarzali: Masoni dla tego się ukrywają, bo złe mają zamiary. Ale dzisiaj, dzięki postępowi wyobrażeń o tolerancyi, możemy jawnie występować i pełną garścią moralności niezależnéj rzucać pomiędzy profanów".

„Trzeba bezustannie powtarzać, mówi program włoskiéj masoneryi, że idea teologiczna jest interesem tylko jednostkowym, prywatnym, a zatem powinna przestać być podstawą dla życia zbiorowego publicznego. Idea tylko moralna może taką być podstawą, ponieważ ona tylko jedna jest powszechną i opiera się na faktach nieulegających sporowi, bo takowe łatwo dają się sprawdzić, są bowiem dla wszystkich zrozumiałemi jako będące objawem funkcyi naszéj natury; co mówiąc wyraźnie, (masoni bowiem używając mowy ciemnéj, często takowéj nawet nie dokończają), przez fakta objawiające się funkcyą naszéj natury, trzeba rozumieć zaspakajanie płciowych popędów. Ztąd wynika konieczność zupełnego odłączenia moralności (rozumie się masońskiéj) od religii". To znaczy, że trzeba ludzi koniecznie odłączyć od praktykowania nauki Ewangelii, co właśnie i sam mówca rozumie przez odłączenie Państwa od Kościoła, a więc od Boga, a pozostawić ich przewodnictwu tylko natury, i co

właśnie zaczyna się dziać na dobre, we wszystkich krajach rządzonych przez masonów i praktykować przez ich przyjaciół. A regułą téj moralności są tylko ludzkie względy.

Nie ma zatem ni kary, ni nagrody po za tém życiem, ponieważ każda jednostka jest składową częścią wielkiego wszystkiego, która po śmierci utraca swoją osobistość. „A gdyby zresztą istniała po za grobem nagroda, czyżby nie była ona zaprzeczeniem sprawiedliwości socyalnéj? mówi Rytuał masoński. Oprócz tego, nagroda po tém życiu, przypuszcza duszę duchowną, nieśmiertelną, a więc różną od ciała: a właśnie takie przypuszczenie jest błędem, według jednego mówcy loży w Liège, który utrzymuje, że dusza jest tylko częścią ciała i samém ciałem; że nauka przyznająca duchowość duszy, jest skutkiem zbyt interesowanéj polityki księży, którzy takową wymyślili dla uchronienia części człowieka od zniszczenia, w celu poddania jéj karom lub nagrodom jakiegoś tam życia przyszłego. Taki ich (księży) dogmat jest wielce przydatnym do straszenia i rządzenia głupców". A trzeba pamiętać, że taki sposób myślenia jest własnością całéj masoneryi a nie pojedyńczych jéj członków.

A zatém dusza, wedle nauki masońskiéj, taką przerażona przyszłością, jaką jéj wszystkie głoszą religije i gdzie dobro i zło swoję otrzyma nagrodę i karę, domaga się swego unicestwienia dla uniknienia nieugiętéj sprawiedliwości, aby mogła ze wszelką swobodą i bezkarnością tarzać się w kale swoich namiętności! Taka to jest istotna, postępowa i światła dążność niezależnéj masońskiéj moralności, pomimo szumności jéj przechwałek o sprawiedliwości i cnocie. Jak poganizm tak i masonerya gwałtem siebie narzuca ludziom za Boga ślepego, domaga się posłuszeństwa i ślepéj wiary w swoję naukę, a zaspakajanie wszystkich namiętności podaje za dogmat i regułę moralności!

Streszczenie nauki masońskiéj.

Masonerya wyraźnie mówi, że nikogo ze swoich nie obowiązuje do trzymania się jakiegobądź dogmatu religijnego czy filozoficznego; że swoje loże otwiera zarówno materyalistom, pozytywistom, panteistom jak spirytystom; że dowolne wszystkiego tłómaczenie sobie jest jéj zasadą i regułą życia. Ona odrzuca wiarę i kult Boga prawdziwego jako przesąd i zabobon, jako plagę rodzaju ludzkiego, jako urojenie i szalbierstwo księży sprzymierzonych z królami w celu dręczenia i zniweczenia rodzaju ludzkiego. Że dusza jest nietylko częścią ciała lecz ciałem naszém, a zatém, że nie jest duchową ani nieśmiertelną; że duchowość jéj i nieśmiertelność są przypuszczeniami wymyślonemi przez księży i prawodawców w celu straszenia głupców i rządzenia nimi, przez wpajanie w nich przesądów o karach i nagrodach życia przyszłego. Że rozum najwyższy rozlany po całym świecie, jakotéż rozum człowieka, stoi na równi z rozumem ciał niebieskich, z rozumem kapusty i kłosów i t. p.

Nauka masońska nie uznaje żadnego Boga Stworzyciela i Sędziego ludzi, żadnéj osobistéj odpowiedzialności, żadnéj po za grobem kary ani nagrody: a zatém precz z próżnemi postrachami i głupią nadzieją, opartą na łatwowierności pospólstwa! Masonerya naucza, że jednostka traci po śmierci swoję osobistość, i że składowe jéj elementa łączą się z podobnemi sobie elementami natury dla tworzenia nowéj przemiany; że nad człowieka nie ma żadnéj istoty wyższéj, ponieważ nie ma ani Boga, ani ducha; że bracia masonowie sami, którzy przez dochodzenie i poszukiwania (?) dochodzą do masońskiéj niewinności i postępują zgodnie z istotnym ich Zakonu duchem, stawają się godnymi nazwy Bogów ziemskich. A zatém człowiek jest obowiązany adorować tylko naturę, t. j. siebie samego i podlegać prawu tylko natury, która jest prawem powszechném i jedyną religią, w całém znaczeniu tego wyrazu; że prawo natury opiera się na naturze człowieka i że celem jego jest zachowanie i uszczęśliwienie rodzaju ludzkiego, i że przepisy tegoż prawa zawierają się w tych trzech maksymach: zachowuj siebie, nauczaj siebie, miarkuj siebie, a to dla własnego i ludzkości interesu, dla pozyskania sobie miłości i publicznego szacunku, a w braku tego wszystkiego, dla nadania powagi samemu sobie; że karą za niestósowanie się do praw natury ma być nienawiść, wzgarda i oburzenie ze strony społeczeństwa.

Takie to są zasady, dogmata i prawo wiary masonów, dla których rozszerzenia sprzysięgli się oni wytępić: przesądy, t. j. wiarę w Boga i Jego naukę; zabobony, t. j. prawdziwy kult Bogu należny; i fanatyzm, t. j. naukę rzymsko-katolickiego Kościoła, do czego zmierzają pod szumnemi szyldami: wolność, równość, braterstwo, dla łatwiejszego zwiedzenia łatwowiernych.

Lògiczne, oczywiste i oburzające następstwa moralności niezależnéj. Sztuczność i kłamliwość mowy masonów.

Przypatrzmy się bliżéj moralności nauki masońskiéj i okropności jéj następstw, jakie grożą rodzinie i społeczeństwu. Te następstwa są nieubłagalne.

1. Pierwszém z nich jest ubóstwienie wszystkich namiętności, jako pochodzących z natury zdrowéj, prawéj, czystéj, niewinnéj, wolnéj od grzechu pierworodnego, jako płynących z Natury-Boga. Opieranie się namiętnościom jest gwałceniem i znieważaniem Natury-Boga, a więc obskurantyzmem, zacofaniem, tyraniją.

2. Drugie następstwo, że interes i wzgląd ludzki mają być miarą dobrego i złego. A więc dla masona konsekwentnego dosyć jest powstrzymać się od tego, co jego interesowi szkodzi. W razie przeciwnym, wolno mu wszystko robić co się tylko podoba.

3. A więc podług nauki masońskiéj, wolno dla własnego interesu drugich oszukiwać, bogatych obdzierać, truć, mordować. W ustach masoneryi sprawiedliwość i prawo—to nóż i sztylet, trucizna albo stryczek, nafta, gilotyna, i to gilotyna parowa, jak się ona wyraża w swoim planie ułożonym w 1819 r. Owe rewolucye, mordy i wojny w latach: 1789, 1793, 1830, 1846, 1848, 1859, 1860, 1866, 1870 i 1871 są właśnie dziełami sprawiedliwości i praw masońskich.

4. Najważniejszą podstawą rodziny a następnie i społeczeństwa, jest jedność, świętość i nierozwiązalność małżeństwa, a masonerya nie chce znać małżeństwa; jego przysięgę uważa za próżne tylko słowa, a samo małżeństwo za przeciwne prawom natury i rozumowi: bo prawami natury są, według niéj, wszystkie popędy i kaprysy wyuzdanych namiętności, którym się opierać jest głupotą i tyraństwem, i dla tego wszelkiemi ona sposobami popiera i propaguje prostytucyę, którą w swoim szwargocie nazywa przysposobieniem (kobiet), a zebrania braci masonów razem z masonkami nazywają się ucztami. Siostry masonki są obowiązane swoim braciom dostarczać pieniędzy przez opłacanie się im za przypuszczenie do sekretów, wyszukać w razie potrzeby protekcyę i zaspakajać swych braci skłonności, ponieważ one są kapłankami Wenery.

5. Trzeba i to dodać, że sekta w swoim języku daje zupełnie inne wyrazom znaczenie, aniżeli to, jakie one mają w zwyczajnéj mowie. I tak n. p. wspominając o Bogu, rozumie naturę, t. j. świat materyalny, oprócz którego innego Boga nieprzypuszcza. Przez duszę i rozum rozumie ona duszę jako część rozumu pierwotnego, który się nie różni od materyi pierwotnéj, a więc dusza z ciałem stanowią jednę tylko i tąż samą istotę obdarzoną różnemi własnościami. Oto cała duchowość sekty!

Przyłączenie się do sekty nazywa się stawieniem u bram cnoty. Mówiąc o życiu przeszłém, przyszłém, albo o nieśmiertelności duszy, rozumie poprostu ciągłe przekształcanie się natury albo wielkiego-wszystkiego. Przez religię rozumie zaprzeczenie wszelkiéj religii, jak przez Boga zaprzeczenie tegoż Boga. Wiara w Boga osobistego i cześć Jego jest w jéj rozumieniu przesądem izabobonem. Co my nazywamy ciemnościami poganizmu, to sekta nazywa światłem; cofanie się tedy do poganizmu, do haniebnych jego tajemnic, do czczenia natury, czyli do ubóstwiania wszystkich namiętności, nazywa się w jéj języku cnotą i postępem; postępowanie zaś według zasad katolicyzmu, cofaniem się, wstecznictwem, zacofaniem, obskurantyzmem, średniowiecznym barbaryzmem.

6. Prawo tedy naturalne i moralność masońska jest przeczeniem wszelkiego prawa Bożego naturalnego i objawionego: ponieważ sekta nie uznaje Boga jako Prawodawcę i Sędziego, ani wolnego i Bogu poddanego stworzenia, ani sankcyi praw przez karę i nagrodę. Masońskie prawo naturalne i moralne, jest to prawo, wedle którego ciała niebieskie krążą, a rośliny, drzewa, wszelkie gatunki zwierząt, nie wyłączając człowieka, rosną, konserwują się, mnożą i wzajemnie się niszczą, wedle niezmiennych i ślepych praw fizycznych, którym opieranie się jest głupotą. A więc gdy cię jaki mason obdziera, chce otruć, podpalić, zabić i t. p., to wielce źle robisz, jesteś obskurantem i zacofanym, jeżeli stawiasz albo chcesz stawiać mu opór, lub pociągać go do odpowiedzialności za to, boć on ci wyświadcza albo chce wyświadczyć tę łaskę i dobrodziejstwo wedle niezgiętych praw Natury-Boga.

Radzić się swoich skłonności i popędów i iść za niemi, to znaczy spełnić życzenie natury i dobro moralne, a sprzeciwiać się popędom natury, jestto moralność psuć i tyranizować.

Teraz już łatwo zrozumieć co to sekta poczytuje za rzecz świętą i dlaczego niewtajemniczonych profanami (świeckiemi) nazywa. Trzeba więc dobrze pamiętać na sztuczność mowy, żeby się nie dać oszukać. Daléj zobaczymy podobne nadużycie wyrazów: wolność, poważanie, tolerancya.

Jakie drzewo, taki owoc; jakie zasady myślenia, taka też wiara i moralność ludzi. Jak dym gęsty albo para wzniósłszy się wyżéj głowy naszéj, pozbawia nas widoku rzeczy nawet blisko będących, tak zupełnie podobnie i zepsutego serca wyziewy zasłaniają pojęcie Boga i wtedy człowiek bezbożnieje i w końcu mówi w sercu swojém: Nie masz Boga. Tylko to twoje co użyjesz. Nikt jeszcze, jak świat stoi światem, będąc czystych obyczajów, nie utracił i nie zbrzydził sobie wiary i jéj przepisów, i nie wyrzekł się Boga. Bezbożność rodzi się z rozpusty, i postępowi niemoralności czyli rozpusty, odpowiada postęp w bezbożności i okrucieństwie serca. Ludy upadłe najniżéj pod względem moralnym, są zarazem najbezbożniejszemi i najokrutniejszemi. Masonerya poczęła się i wyrosła z rozpusty, utrzymuje się i rośnie przez rozpustę, więc téż i doszła, już, i im daléj tém bardziéj dojdzie do najpotworniejszego ateizmu. I dla tego już dzisiaj, im który z jéj członków jest większym rozpustnikiem i straszliwiéj psuje młodzież i żarliwszą pała nienawiścią ku katolicyzmowi, tém jest lepszym i cnotliwszym masonem, a podobny profan tém zdatniejszym do Zakonu masoneryi. Takich ludzi masonerya nazywa swojém światłem, apostołami, silnémi dźwigniami, wzorami dla jéj członków, i wielbiąc ich cnoty, wynosi pod niebiosa.

Najwyższym masońskiéj sekty celem, jest dążność do uniwersalnego panowania na ruinach Kościoła i chrześcijaństwa.

Masoni bardzo często mówią o wolności, tolerancyi, nawet o poszanowaniu dla wszystkich wyznań, i o poświęceniu się dla władzy cywilnéj, udawając, iż nie zajmują się ani polityką, ani religią: ale taki ich język jest obłudą i kłamstwem. Własne ich słowa i dążność przekonywają, iż pałają wzgardą, nietolerancyą i wściekłą nienawiścią przeciwko wszelkiéj, a szczególniéj przeciwko objawionéj religii, jako téż przeciwko wszelkiéj władzy niebędącéj pod wpływem i kierownictwem lóż. Gdyby inaczéj było, toby sekta sama kłamała i zdradzała swojéj dążności cel najwyższy.

„Cel Zakonu, powtarzała Wielka Loża niemiecka w 1774 r., powinien pozostawać w największym sekrecie: ponieważ świat nie ma jeszcze dosyć siły do przyjęcia jego ogłoszenia“. Cel ten objaśnia Rytuał Kadosza, który się szczyci Nr. 30-tym i nazywa się masoneryą prawdziwą i *Nec plus ultra*. Symbolami tego stopnia jest krzyż i wąż z trzema głowami. Wąż oznacza źródło złego, a trzy jego głowy są symbolami nadużyć tego złego, jakie się przez trzy najwyższe klasy w społeczeństwie dzieją. Jedna wężá głowa z koroną, znaczy królów; druga z tiarą albo kluczem, znaczy papieża; a trzecia z mieczem, znaczy wojsko. Otóż kandydat pasowany na kawalera Kadosz, obowiązany na potwierdzenie swojéj przysięgi, poprzebijać te trzy głowy wężowe sztyletem, według przepisanych w tym celu ceremonij. Oto tajemnica nieprawości, która się tak starannie przed profanami, a nawet przed swojéj sekty członkami ukrywa!

A lubo ten wielki sekret nie bywa wszystkim niższych numerów masonom tak dobitnie objawiony, ale jest on wpajany w nich przez różne przy wtajemniczeniu ceremonije i przez miewane w lożach, mniéj lub więcéj przenośne mowy, stosownie do zdolności słuchaczy.

Że masonerya dąży do nastąpienia na miejsce chrześcijańskich rządów, to w 1834 r. Mazzini wyraźnie potwierdził, że stowarzyszenie ma być rządem w rządzie, w tym właśnie rządzie w którym się ono zawiązuje, i który ma z chwilą wybuchu rewolucyi zginąć; że ono ma być zawiązkiem ludu pełnego siły i postępem swoim wciągać w siebie wszelkie towarzyskie żywioły, aby w końcu mogło ono samo stać się rządem. I właśnie dla tego we wszystkich krajach sekta swoje ogłaszając godła: wolność, braterstwo, równość, dąży do zagarnienia w ręce swoje najwyższéj władzy, czego dopiąwszy, zabiera się natychmiast do grabienia własności Kościoła i burzenia jego instytucyj. Najwyższa włoskich Karbonarów kierownicza władza zwana Wentą, w swojéj Instrukcyi w 1819 r. ułożonéj, wyraźnie swój cel ostateczny wypowiada, a którym jest tenże sam jaki miał Wolter i francuzka z 1789 r. rewolucya: *Ecrasez l'Infame*, t. j. zupełną zagładę katolicyzmu i samą nawet chrześcijańską ideę tak dalece, aby ta nigdy nie mogła już odrosnąć. Według zeznania hr. Haugwitza, byłego ministra i reprezentanta króla pruskiego na kongresie w Weronie 1822 r. religiją sekty jest deizm i ateizm; i że ona dąży do pa-

nowania nad całym światem, zdobycia tronów, ujarzmienia królów i uczynienia ich swemi sługami, którychby nietykalnością mogła pokryć wszystkie tajemnice swoich działań. Brat Asfeld, francuz, wyraźnie powiada, że przed rewolucyą francuzką 1789 r. celem masoneryi była zagłada katolicyzmu; ze masonerya za cesarstwa płakała nad swoją niemożebnością swobodnego zmieniania naczelników rządu; że zadowolona z rewolucyi 1830 r., do której chlubnie przyłożyła się, usunęła ze swojéj nauki gwałtowność środków; że obecnie pała nienawiścią tylko ku burbonom i jezuityzmowi (katolicyzmowi), i że w końcu postanowiła wytrwale pracować nad zupełném rodzaju ludzkiego oswobodzeniem (z pod panowania Boga i Jego praw), przygotować tryumf prawom (głosowaniom powszechnym) ludów i legalnéj (masońskiéj) władzy, znieść wszelkie przywileje, że w tym pięknym celu odbywa się obecnie uorganizowana niezmierna propaganda, któréj umówione hasło wychodzi z pod stopni tronów, i że ona swoją energiczną stałością pozbędzie się znikczemniałéj dyplomacyi". Czyż jeszcze nie jasno, czego sekta pragnie? *Et nunc Reges, intelligite! Erudimini, qui judicatis terram!* (Psalm 2).

Masonerya, mówi brat Clavel, dla ujęcia sobie ludzi wszelkich zasad, różnych używa ponęt, a szczególniéj udaje, iż jéj celem jest dobroczynność, że jest ona instytucyą filantropiczną, postępową, któréj członkowie żyją w słodkiéj, braterskiéj równości; że mason jest obywatelem całego świata, że on wszędzie ma braci swoich, którzy go z otwartemi przyjmą rękami. Tysiące takiemi sposobami oszołomionych, albo téż jéj spólników lub ignorantów, wysławiają jéj dobroczynność; ale żaden z nich żadnego nie przytacza dowodu na poparcie takich dla niéj pochwał, nigdzie nie wskazuje żadnych jéj dzieł i zakładów dobroczynnych.

Gdy minister Napoleona III, Persigny, znosząc Stowarzyszenie św. Wincentego à Paulo, powiedział w okólniku swoim z dnia 16 października 1866 r., że zaprowadzona we Francyi po 1725 r. masonerya, nie przestaje usprawiedliwiać swojéj pod względem dobroczynności reputacyi, i że zawsze gorliwie spełniając swego miłosierdzia posłannictwo żywi w sobie patryotyzm, którego w wielkich wypadkach zawsze dawała dowody, wtedy Najwyższa Rada Sekty zobowiązała jednego ze swoich członków odpowiedzieć na tak wielkie dla niéj pochlebstwo, i ten zaraz,

pogani nas za takie nasze przedsięwzięcie; lecz od takiego celu naszego daleko do Stowarzyszenia dobroczynności. Dobroczynność jest właśnie skutkiem naszych doktryn, a nie celem naszego zjednoczenia się: jestto więc różnica, na co uwagę pana Ministra zwracam". I br. Lucyan Murat, wielki mistrz masoneryi, nie mniéj stanowczo odepchnął przypisywaną jéj dobroczynność jak i patryotyzm: „bo, powiada on, Mason nie jest loży tylko swojéj, ani całéj nawet francuzkiéj masoneryi członkiem, ale należy on do jéj wielkiéj familii i ma za swoich braci wszystkich całego świata masonów". Przypisywać tedy masońskiéj sekcie miłosierdzie i dobroczynność, jest to tych, wyłącznie chrześcijańskich i boskich słów nadużywać; a zaś o jego miłosierdziu i dobroczynności, trzeba, według jéj zwyczaju, zupełnie przeciwnie rozumieć.

Gdyby nie miłosierdzie profanów, to np. sławny br. Mason-Lamartine, ów wielki poeta i liberał, i prezydent Rzeczypospolitéj francuzkiéj w 1848 r., byłby może z głodu umarł, tak to jego bracia pamiętali o nim! A gdy sekta robi co pozornie dobrego, to dla zręczniejszego oszukania profanów, a szczególniéj czujności i bystrego oka policyi. Ale jak niegdyś faryzeusze na opłacenie zdrady Judasza i kupienie kłamstwa stróżów grobu Chrystusa Pana i świadków Jego zmartwychwstania, nie z własnéj poskładali się kieszeni, ale ze złożonych w kościele ofiar brali pieniądze; tak podobnie i Masoneryi wspaniałomyślność objawia się i dokonywa, nie jéj własnemi pieniędzmi, ale zabranym z katolickich fundacyj groszem. A zatém filantropia i filozofia w języku masońskim, jest kompletném Chrystyanizmu przeciwieństwem, a owe jaskrawe szyldy: wolność, równość, braterstwo są tylko przyłudami dla ignorantów. Wolności prawdziwéj ona się lęka, a wolność masońska polega na swobodzie dla rozpusty, na obdzieraniu, łupieniu, prześladowaniu Kościoła i braterstwem zwodzi łatwowierność, a głosząc równość, tyrańską zaprowadza niewolę, jak to w obecnych czasach dzieje się we Włoszech, Francyi, Hiszpanii, Prusiech, Szwajcaryi i w Ameryce. W saméj zaś istocie sekta masońska jest wielkiém, teoretycznie i praktycznie, rewolucyjném i antispołeczném sprzysiężeniem się: bo obala i niweczy rodzinę, która jest podstawą cywilnego i religijnego społeczeństwa, przez zaprowadzenie dowolnego i jawnego konkubinatu. Jest ona antispołeczną, ponieważ zaprzeczając Boga Stwórcę i Najwyższego Prawodawcę, wywraca podstawę wszelkiego prawa i sprawiedliwości, a zaprzeczając życia przy-

szłego kary i nagrody, odejmuje prawom sankcyę boską, która tylko sama jedna nakazuje zachowywać prawo z obowiązku i dla sumienia. Jest ona rewolucyjną i anti-społeczną, ponieważ odrzuca wszelkie prawa boskie nie tylko objawione ale i naturalne, a na ich miejsce stawia skłonności i ślepe natury człowieka popędy, a więc chce ludzką społeczność zamienić i w rzeczy saméj w takie rozwiązłych i srogich zwierząt stado zamienia, jakich Zoologia nie zna. Jest ona rewolucyjną i bezbożną, ponieważ za jedyne źródło wszelkiéj władzy świeckiéj i duchownéj, uznaje większość głosów, co się wręcz sprzeciwia nauce Jezusa Chrystusa, który nie powiedział do swoich Apostołów: „Czekajcie, dopóki was wszystkie narody nie obiorą sobie za nauczycieli przez powszechne głosowanie, a przynajmniéj większością głosów"; ale rzekł do nich dobitnie i bezwarunkowo: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody! Kto was słucha, ten mnie słucha; a kto wami gardzi, ten mną gardzi! Kto nie jest ze mną, ten jest przeciwko mnie! Kto mego Kościoła nie słucha, ten jest jako jawnogrzesznik i i poganin! (Mat. 28, 19; Łuk. 10, 16; Mat. 12, 30, 18, 17). Nie masz zwierzchności jedno od Boga, (Do Rzym. 13, 1), a więc nie od masońskich powszechnych głosowań.

Nie ma dwojakiego prawa Bożego: jednego opartego na prawdzie i sprawiedliwości, a drugiego na kłamstwie i przewrótności. Bóg jest prawdą i sprawiedliwością, a więc owe ś-go Pawła słowa: *Non est potestas nisi a Deo*, nie ma zwierzchności jedno od Boga, znaczą, że *Potestas* tylko prawa, to jest, opierająca się na prawdzie i sprawiedliwości, pochodzi właśnie od Boga; czyli, że jest ona taką, jakiéj Bóg chce i pragnie: Masonerya ze wszystkiemi przyjaciołmi i protektorami swymi jest wcieloną rewolucyą, wieczném knowiskiem socyalnych, politycznych i religijnych rewolucyj. Jéj to właśnie robotą była rewolucya w 1789 r., do któréj po zniesieniu zakonu Jezuitów, jako głównéj przeszkody, przez lat 28 pilnie przygotowywała się przez wychowanie w swoim duchu młodzieży, i owe straszne w 1793 r. dokonane w całéj Francyi mordy. Wówczas Francya, po usunieniu Boga i jego praw z masy, szczególnie miejskiéj ludności, stała się placem okropnéj rzezi wszystkich prawych obywateli swoich. Właśnie wówczas Masonerya chciała światu dowieść, że go uszczęśliwi. Wówczas tak dalece była zajęta tępieniem przesądów i fanatyzmu, że przez lat 4, t. j. od 1792 do 1796 r. nie miała czasu zajmować się swoją w Lożach pracą.

Kiedyś podobnie ale nierównie okropniéj dziać się będzie na całéj kuli ziemskiéj, gdy swobodnie Masonerya pozostawiona wszędzie, materyalne i moralne środki, w swoje pozagarnia ręce.

Późniéj pałając nienawiścią ku Restauracyi, ponieważ widziała w niéj przymierze, chociaż kulawe, tronu z ołtarzem, przygotowała nową rewolucyę na r. 1830, a któréj głównymi sprawcami byli następujący Masoni: Decazes, La Fayette, Laffite, Odilon Barrot, Dupont (de l'Eure) Schenen, Gerard Maison, Merilheu, Teste Bérard, Maguin, Audry de Puyraveau, Labbey de Pompiéres, Alex. de Laborde, Dupin aîné Philippe Dupin i wielu innych. Z jéj to jak już powiedzieliśmy, knowań i podmuchów wybuchły w 1848 r. rewolucye: w Rzymie, Paryżu, Węgrzech i Berlinie; jéj to robota była w 1871 roku sławna Komuna paryzka, która się unieśmiertelniła, postępową pożogą i morderstwami. Działa ona powoli, ale nieustannie.

Nienawiść masońskiéj sekty ku religii Rzymsko-katolickiéj i jéj instytucyom.

Hasłem Woltera i bezbożnego w XVIII. wieku sprzysiężenia się Masonów przeciwko katolicyzmowi, było: *Ecrasez l'Infame*, niweczcie bezecność. Tego samego hasła używa dziś cała Masonerya, a bluźnierczych jéj mów nie podobna tu przytoczyć. Kto zechce przekonać się o ich brzmieniu, niech te czyta dzieła, jakie niżéj wskażemy. Czytającemu takowe zdaje się, że z większą o Kościele, o katolicyzmie i jego instytucyach złością, nienawiścią i wściekłością samby lucyper nie potrafił się wyrażać [1]). Ich złośliwość równa się wściekłości Ży-

---

1) Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia choć kilku ustępów z masońskiego planu, ułożonego w 1819 r., z tego prawdziwie djabelskiego arcydzieła. „Niweczcie (écrasez) wroga kim on kolwiek jest, niweczcie go obmową, potwarzą, przemocą, niweczcie go w samych szczególnie zawiązkach. Trzeba tedy od młodzieży zacząć, trzeba ją zwodzić i starać się wciągać do tajnych towarzystw bez obudzenia w niéj podejrzenia o tem. Dla postąpienia krokiem pewnym na téj drodze niebezpiecznéj, trzeba się trzymać dwóch przestróg nieodzownie koniecznych. Trzeba udawać prostotę gołębicy i mieć roztropność węża. Ani wasi bracia, ani dzieci, ani wasze nawet żony nie powinny wiedzieć o sekrecie, jaki w swojém nosicie sercu; a gdyby dla zmylenia oka badawczego, potrzeba było uczęszczać nawet do spowiedzi, to i w takich razach obowiązaniście najgłębsze o sekrecie zachować milczenie. Macie pamiętać, że

dów, gdy Chrystusa Pana krzyżowali. Br. Goffin, wysoki lożowy dygnitarz i założyciel wolnomyślicieli czy liberalizmu, swoję bluźnierczą mowę taką zakończył alternatywą: *Ecraser l'Infame ou le subir*, zni-

---

najmniejsze jego odkrycie, najmniejsze o nim słówko w trybunale pokuty lub gdzieindziéj, może za sobą wielkie pociągnąć nieszczęście: bo za dobrowolne czy pomimowolne zdradzenie tajemnicy, czeka kara śmierci".

„... Nie myślimy papieży do naszéj wciągać sprawy, robić ich wyznawcami naszych zasad, ani propagatorami naszych idei. Takie marzenie byłoby śmiesznem. A chociażby kardynałowie albo prałaci zostali do naszych wciągnieni tajemnic, to wcale nie dla tego, żeby którego z nich potém wynieść na stolicę Piotrową. Takie wyniesienie zgubiłoby nas: bo sama ambicya przywiodłaby ich do odstępstwa, a chęć panowania zniewoliłaby ich do poświęcenia nas. Jak Żydom Mesyasza, tak nam potrzeba papieża według naszych życzeń, a wtenczas pewniéj zwalczymy Kościół, aniżeli nasi bracia Francuzi swémi pamfletami a Anglicy złotem swojém: bo wtenczas mały papieża palec będzie dla nas więcéj znaczył, aniżeli wszystkie krzyżowe wojska Urbanów II. i Świętych Bernardów".

„Nie wątpimy, że kiedyś do tego najwyższego naszych życzeń celu dojdziemy; ale kiedy? ale jak? Pożądany nieznajomy jeszcze się nie ukazuje. Jednakże nic nas nie powinno odwieść od planu zakreślonego: owszem, trzeba tak wszystko kierować do jego uskutecznienia, jakoby to dzieło dopiero co pomyślane, miało być jutro dokonaném"...

„... A więc żeby się doczekać kiedy papieża wedle naszych wymagań, to trzeba dla niego także wychować nowe pokolenie, o jakiém my dopiero marzymy. Pomińcie starość i wiek dojrzały, a zajmijcie się młodzieżą od samego jéj niemowlęctwa, jeśliby to się dało. Nie gorszcie jéj nigdy żadném słowem tchnącém bezbożnością lub nieskromnością: bo *maxima puero debetur reverentia*. Nie zapominajcie tych słów poety dla przeprowadzenia interesu sprawy naszéj. Dla zjednania sobie zaufania w rodzinach, kółkach domowych, macie zachowywać wszelkie pozory ludzi poważnych i moralnych. A gdy się o was opinia już ustali w kolegiach, gimnazyach, uniwersytetach i seminaryach; gdy już pozyskacie sobie uczniów i profesorów, starajcie się, żeby ci szczególniéj, którzy zamierzają wstąpić do stanu duchownego, wasze polubili towarzystwo, co gdy nastąpi, wystawiajcie im świetność dawnego a poniżenie obecnego, pod papieżami Rzymu. W gorącéj ich i pełnéj zapału naturze, patryotyczną rozbudzajcie dumę. A przedewszystkiém, zawsze jednak sekretnie, nie szkodliwych dostarczajcie im książek, pięknych narodowych poezyj, a w końcu powoli, powoli, dudków waszych zaprowadzicie dokąd zechcecie. A gdy jednocześnie po całém państwie kościelném ta nasza praca rozniesie idee jako światło, to dopiero będziecie mogli ocenić mądrość naszych rad, jakie podajemy..."

„Z ideą o zwierzchnictwie papieża, łączcie zawsze pamięć wojen duchowieństwa z państwem. Rozniecajcie źle przytłumione namiętności Gwelfów i Gibelinów, a tak małym kosztem zyskacie sobie reputacyę dobrych katolików i wybornych patryotów".

weczyć bezecność (t. j. Chrystusa i katolicyzm) albo się poddać mu".

Sekta dla omamienia łatwowierności utrzymuje, że do jéj programu nie wchodzą kwestye religijne ani polityczne: a tymczasem br. Van Humbeeck, wielki belgijski mistrz powiada, że Masonerya wszystkiemi zajmuje się kwestyami, jako to: „praw, instytucyj, obyczajów, dogmatów, sztuk, nauk, literatury, handlu,

---

„Taka reputacya ułatwi naukom naszym przystęp do serca młodego kleru świeckiego i do klasztornych cel. Ten młody, po latach niewielu kler, party siłą biegu rzeczy, zajmie wszystkie posady, jako to: gubernatorów, administratorów, sędziów, będzie należał do rady i wyborów papieża, a taki potém papież jak i większa część jemu współczesnych, będzie niezawodnie, mniéj lub więcéj przejęty duchem, jaki my właśnie rozszerzamy. Jest-to zasiane małe ziarnko gorczycy, ale słońce sprawiedliwości rozwinie je aż do najwyższéj potęgi i kiedyś ujrzycie jak bogaty ono plon wyda".

„Wprawdzie wielkie znajdują się przeszkody i trudności do zwalczenia i pokonania na drodze, jaką naszym wytykamy braciom; wszakże probowaniem i przezornością otrzymamy w końcu tryumf, bo cel téj drogi tak piękny, że należy wszelkich używać środków dla dopięcia go. Jeżeli chcecie wznieść panowanie wybłanych na tronie Babilońskiéj nierządnicy (katolickiego Rzymu i papieża), to duchowieństwo tak pod waszym prowadźcie sztandarem, żeby się mu zdawało, iż trzyma się zawsze chorągwi tylko apostolskich naczelników. Jeżeli chcecie zatrzeć nawet ślady papieży i całego duchowieństwa, to tak zawsze rozciągnijcie sieci, jak Szymon Barjona; zarzucajcie je raczéj po zakrystyach, seminaryach i klasztorach, a nie na głębi morskiéj: i jeżeli nigdy nie będziecie nagle działali, to obiecujemy wam połów cudowniejszy, aniżeli był jego. Z łowicieli ryb staniecie się łowicielami ludzi; i zgromadzicie waszych przyjaciół na około stolicy apostolskiéj. Uformujecie rewolucyę, która z małym trudem świat ze wszystkich podpali stron".

Taka to jest główna treść Instrukcyi ułożonéj w 1819 r. która od 1859 r. do dziś dnia została już w znacznéj części wykonaną!

Jakże wielka nasuwa się tu przestroga dla wszystkich przełożonych seminaryów, żeby mieli dobre oko na swoich wychowańców dla wczesnego wytropienia przybywających tam masońskich posłańców i reformaterów. Ach! dałby to Pan Bóg, żeby już przyjęto nareszcie tę ogólną i niezmienną zasadę nie przyjmować do seminaryum żadnego Eksa, żadnego silnie przez możnych protegowanego,—żadnego, kto raz sam, dobrowolnie, opuścił seminaryum dla polepszenia sobie losu na świecie, a potém znowu chce tam wrócić; nikogo z wątpliwém powołaniem nie dopuszczać do kapłaństwa: bo z takich prawie nigdy Kościół nie ma pożytku, a prawie zawsze są oni sprawcami tylko zgorszeń. A kiedyż ustanie owa nieszczęśliwa protekcya złych alumnów, gdy takowych trzeba z seminaryum wydalić?

przemysłu i wojny; że ona będąc wyższą nad religiami i konstytucyami, nazywa się wszędzie socyalną a nigdzie narodową, i że wyłącznie sprawami kraju tylko jednego nie zajmuje się".

Prawda, że udaje, iż szanuje wszystkie religie, sprzyja ich rozwijaniu się; ale w istocie gardzi ona wszystkiemi, aby się nie krępowała żadnym dogmatem, żadnym tekstem, żadną powagą, ani objawieniem, a szczególniejszą i największą ku katolicyzmowi pała nienawiścią. „My w to nie wchodzimy, mówi daléj br. Humbeeck, która z nauk objawionych jest lepszą od innych; czy Mojżesz jest prorokiem wiarygodniejszym od Jezusa, albo nawzajem swój prawodawczy charakter lepiéj usprawiedliwił Jezus aniżeli Mahomet".

Wszystkie religie poczytywać za szalbierstwa, Jezusa Chrystusa stawiać na równi z Mahometem, który jest jednym z największych szalbierzy, to w stylu masońskim nazywa się religijném poszanowaniem i tolerancyą!

Ale br. Van Humbeeck jeszcze dodaje: „Ponieważ religia łączy się z filozofią, więc ona do naszego należy zakresu: My odrzucamy tylko ten zbiór drobiazgowych sprzeczek, co Wolter nazywał religią teologiczną, i o któréj powtarzał, że jest ona źródłem wszelkich głupstw, wszelkich zamieszek, cywilnéj niezgody i maską fanatyzmu, wrogiem rodzaju ludzkiego. Bonz utrzymuje, że Fo jest Bogiem, którego fokijanie przepowiedzieli, który z białego narodził się słonia, i którego każdy bonz może podrzeźniającym zrobić. Talopoin (?) powiada, że Fo był człowiekiem świętym, którego naukę bonzowie zepsuli, i że właśnie Samnionocodom (?) jest Bogiem prawdziwym".

Ale dosyć o tych bluźnierstwach, które się powtarzają prawie na każdém sekty posiedzeniu. Br. Van Humbeeck powtarza ci, że takie są jego zakonu zasady, więc biada ci, jeżeliś jeszcze się nie przekonał o jego poszanowaniu dla twoich zasad i tolerancyi!

Taka to jest nienawiść a raczéj wściekłość masoneryi przeciwko katolicyzmowi i jego instytucyom, i na co dziś własnemi patrzymy oczyma. Ludzie wprawdzie zmieniają się, ale sprzysiężenie się liberalnéj masoneryi trwa ciągle i coraz daléj się rozszerza.

Zobaczmy teraz jakich to sekciarze używają środków w celu obalenia katolicyzmu.

Masońskie środki w celu obalenia katolicyzmu.

W 1854 r. dziennik belgijski, streszczając plan masoneryi belgijskiéj, tak napisał: „Kwestye ludowego wychowania, publicznego nauczania, dobroczynności i swobody wyznań, są na porządku dziennym. Urządzenie ludowego wychowania i publicznego nauczania, powinno od rządu zależeć, a po tegoż ujarzmieniu, od tajnego masońskiego wpływu. A co się tyczy swobody dla religii katolickiéj, to trzeba ją wymazać z konstytucyi: 1) przez ścieśnienie swobody słowa na kazalnicy; 2) przez zniesienie swobody dla katolickich stowarzyszeń. W razie oporu, program powinien być siłą doprowadzony do skutku".

A więc celem masoneryi, jak się tego obszernie dowiodło już, jest zniweczenie wszelkiéj idei o Bogu w rodzinie i w jednostkach, doprowadzenie społeczeństwa do poganizmu albo czystego naturalizmu, a jeden i drugi znaczą toż samo co szatanizm, i wydanie społeczeństwa na okrutny sekty ucisk.

A co się tyczy środków, to takowe są trojakiego gatunku: konstytucyjne czyli prawne, przynajmniéj pozornie, podstępne i przymusowe.

A) *Do środków konstytucyjnych czyli prawnych należą:*

1) Prasa i biblioteki popularne. W 1854 roku Wielki Wschód miał zamiar założyć *Dziennik Centralny*, który miał zostawać pod dyrekcyą wielkiéj masońskiéj kompanii. Nie miał on nosić tytułu masońskiego, ale za to miał otwarcie głosić i szerzyć masońskie zasady i odpierać wymierzone na nie napaści dzienników jezuickich (sic!). Jednakże zamiar ten do skutku nie przyszedł: bo tenże Wielki Wschód sam uznał, że dla masońskiéj sprawy będzie pożyteczniéj popierać dzienniki już wychodzące, a nowe zachęcać do bronienia interesów sekty. Takie dzienniki łatwo poznać po tchnącym lub ziejącym w nich duchu nienawiści i złośliwości ku katolicyzmowi, jego instytucyom i kapłanom. Sekta za pośrednictwem prasy żarliwie swoję naukę między wszystkiemi społeczeństwa klassami szerzy, upowszechniając tam wszelkiéj formy złe książki, do których należą szczególnie takie pisma, jak Eug. Sue, Wiktor Hugo, Aleks. Dumas, Ge-

orges Sand, Renan, Zola itp. — i zakładając popularne biblioteki, które zapełniają się najprzewrótniejszemi, najniemoralniejszemi i najbezbożniejszemi tegoczesnéj literatury płodami. Prasowa masoneryi działalność dzisiaj jest już przerażającą, a po czasie może już nie zbyt długim wyda ona skutki najstraszniejsze i sprawi taką okropność, jakiéj nie było od początku świata, ani potém będzie.

Oto dowody na stwierdzenie działalności masońskiéj prasy:

Od lutego 1817 r. do 31 grudnia 1824, a więc przez lat tylko siedm, i według ścisłego obrachowania, przedrukowała masonerya we Francyi: 1,598.000 tomów kompletnych dzieł Woltera; a 480.000 tom. dzieł Rusa; 2) 81.000 tom. wyciągów z dzieł tych dwóch filozofów; 3) 207.900 tom. dzieł Helwetiusza, Diderota, Holbacha etc., tych głównych bezbożności pisarzy XVIII. wieku; 4) 128.000 tom. niemoralnych, plugawych i bezbożnych romansów Pigault-Lebrun'a; 5) 179.000 tom. dzieł antireligijnych, przeznaczonych dla młodzieży; 6) 67.000 tom. historycznych skróceń. Razém 2,741.000 tom.!! W samym Paryżu wydała ona do 1864 roku przeszło pięć milionów tomów bezbożnych, ateuszowskich, plugawych albo rewolucyjnych, w celu zdemoralizowania, zbezbożnienia, zguby społeczeństwa a zagłady katolicyzmu; a rzecz przytém jeszcze dziwniejsza, że téj piekielnéj propagandy, dotąd żaden rząd nie wyśledził!!! gdy tymczasem o dobrych i prawdziwie pożytecznych i nauczających dziełach katolickich, natychmiast dowiadują się i układają katalogi, żeby takowych potém do siebie w imię tolerancyi niedopuszczać, albo dopuszczone wyłowić i zniszczyć!!! Czy taki ich sposób myślenia z natchnienia Ducha Świętego pochodzi? Za czyich one sług uznawają się tak robiąc?... Czy za boskich?... De Bonald powiedział, że gdyby cały świat umiał po francuzku, toby cały zakipiał [1]).

Tyle złych książek nadrukowała masonerya tylko francuzka! A w innych krajach jestże ona mniéj czynną?— [2]). Do powyższych milionów tomów dodajmy wszystkie plugawe i bezbożne książki i pamflety, niemal wszystkie dzisiaj dzieła pojedyńcze i pisma peryodyczne wydawane we wszystkich krajach, nie wyłączając podręczników nawet elementarnych, a pisanych i redagowanych w duchu masońskim, to

1) Zob. *Vie de Mgr. de Salinis*, par l'abbé de Ladoue, Paris 1864. Torla et Haton, str. 83 i 85.

2) W jednym roku 1882 wydali masoni na druki 1,395,639,000 fr.

suma ich wyniesie setki milionów. Książki i pisma peryodyczne zaprawione niemoralnością i bezbożnością, są nierównie gorszemi od trucizny i zbójców: bo trucizna i zbójcy pozbawiają życia tylko jednostki, a tamte zaś moralnie i materyalnie, docześnie i wiecznie zatruwają i gubią całe rodziny i wioski, całe miasta i prowincye, całe kraje i narody, i całe masy ludności. Jakiż naród nie trzymając się ściśle katolicyzmu, może takiemu oprzeć się wpływowi? A jednakże wszyscy na to milczą, obojętnie spoglądają i jakoby się lękali ją zaniepokoić!!! Ta rządów obojętność, ten ich spokój na brzegu przepaści, jest fenomenem przechodzącym pojęcie ludzkiego rozumu.

W końcu trzeba i to dodać, że żadna książka bezbożna nie butwieje na księgarskich pułkach, ich wydania szybko wyczerpują się i coraz nowe następują. Wszystkie gazety trąbią o nich, niekiedy nawet przed ich urodzeniem się na świat, jakto miało miejsce o bezbożnéj książce Renana, na któréj ogłoszenia wydała masonerya 50.000 franków, wszystkie księgarnie skwapliwie takowe sprowadzają, zalecają, na publiczny widok wystawiają a tegoczesna publiczność rozchwytuje, czyta nie dosypiając nawet, oraz wszystkim także zachwala jako dzieła arcyważne, ciekawe, pożyteczne, zabawne, postępowe, pełne światła i głębokiéj nauki jedynie dla tego, że szykanują z moralności, z wiary w Boga, wszystkich jego świętości! I właśnie dla tego dzisiaj chrześcijanie, nawet nie wiedzący o masoneryi, z wielu przytém względów dobrzy i zacni, są istnymi masonami pod względem religijnym, tak dalece bezwiednie poprzesiąkali duchem masońskim przez samo czytywanie pism w duchu masońskim drukowanych, i zupełnie potracili smak, owszem wielkiego nabrali wstrętu do czytania książek religijnych, moralnych, jako jedynie dla duszy i zbawienia dobrych i koniecznych!

Żadnéj książki religijnéj nie kupują, żadnego pisma religijnego nie prenumerują, z obawy żeby nie uchodzić za religiantów, za klerykalnych, a tymczasem ci sami ludzie jakże wiele co rok wydają pieniędzy na książki i peryodyczne pisma lichéj albo żadnéj moralnéj wartości, których czytywanie marnuje czas, fałszuje umysł i psuje serce! Bardzo sprawiedliwie, że nie wolno swobodnie sprzedawać trucizny, która zabija ciało: ale dla czegoż wolno drukować i szerzyć książki i pisma niemoralne i bezbożne, które zabijają całe masy ludności? Dla czegoż nie ma kary na publicznych moralności i

bogobojności trucicieli i zabójców? Przeciwnie, ich dzieła i pisma są uwielbiane i chciwie poszukiwane!

Smutny to stan pozornie zdrowego człowieka, a któremu zdrowy pokarm nie tylko nie smakuje, ale sprawia w nim wstręt i obrzydzenie. Właśnie takim człowiekiem jest dzisiejsze społeczeństwo pod względem umysłowo-moralnym. Karmieniem swego umysłu i serca przez czytywanie pism masońskich, wyrobiła się w niém wielka, straszna, ku prawdom religijnym apatya! Kto religijnéj prawdy nie cierpi, któréj źródłem jest Bóg, ten zostaje w przeciwieństwie z Bogiem. Ktokolwiek więc nie należy do stronnictwa Bożego przez zamiłowanie prawdy i cnoty, ten samo przez się i koniecznie jest stronnikiem tylko błędu i występku. Téj alternatywy nikt i nic usunąć nie może. A właśnie dzisiejsze społeczeństwo masońskim przesiąkłe duchem i pod tegoż ducha zostające przewodnictwem, śmiertelną wypowiedziało wojnę katolicyzmowi, którego autorem jest sam Bóg, więc takową prowadzi z samym Bogiem, a więc stoi ono po stronie błędu, występku.

2. Nauczanie wszystkich klas obojga płci. — Popieranie i szerzenie nauki należy do czynów najpiękniejszych, jeżeli szkolna atmosfera jest przesiąkła moralnością i ożywiona praktyką przepisów wiary, jeżeli zaś przeciwnie, młodzież oddycha tam powietrzem zatruwającém jéj ducha, to jest robotą haniebnéj zdrady nie saméj tylko szkolnéj młodzieży, ale i całego kraju, całego społeczeństwa, które potém taż młodzież zatruwa; bo czém skorupka za młodu nasiąkła, tém i na starość trąci. Gruntwagą, węgielnicą i miarą zdrowego sądu w rzeczach moralnych i kwestyach socyalnych, społecznych, jest nauka katolicyzmu, która ze szkół masońskich jest właśnie zupełnie wygnaną, a filozofia, literatura, historya, wszystkie, jedném słowem, nauki, sprzysięgają się tam przeciwko prawdom wiary, moralnym i historycznym, przeciwko Jezusowi Chrystusowi, przeciwko Bogu i Kościołowi Jego. Tam dogmat masoński woła: Precz z dogmatami wiary, precz z Mesyaszem. Niech żyje ateizm!

Właśnie takie bezwyznaniowe szkoły masonerya i dla dziewcząt pozakładała w Paryżu, Brukselli i Liége, w których w niedzielę uczą robót ręcznych, obchodzić się bez Mszy i zacierać w sobie uczucia religijności, aby się takim sposobem stały wolnomyślicielkami i kiedyś podobnie swoje wychowywały dzieci. Tak samo dzieje się dziś we Włoszech, Prusiech i Szwajcaryi, a nie zadługo tak i we wszystkich

będzie krajach. W saméj Francyi wymordowała ona milion ludzi, a gdyby się obrachowało wszystkie wojny, jakie z jéj przyczyny od 1793 do 1871 r. prowadzone były, tobyśmy narachowali najmniéj jakie trzy miliony ludzi, którzy z jéj łaski poginęli.

B. *Stowarzyszenia.*

Masonerya zwykle nie w swojém imieniu działa, bo ze strony przesądów zbyt silny napotkałaby opór i w końcuby się skompromitowała. A więc w celach swoich za pośrednictwem swoich adeptów specyalne zawiązuje stowarzyszenia. Znaczniejsze z nich są następujące:

1) Liga nauczania, zawiązana w 1862 r., która z wielkim zapałem zakłada biblioteki i układa kursa nauk dla szkół męzkich i żeńskich oraz dla dzieci małych, a to w celu zaszczepienia w młodych umysłach i sercach niewiary, zepsucia moralności i ducha do obalenia katolicyzmu.

2) Stowarzyszenie solidarnych, którego członkowie obowiązują się żyć i umierać bez pomocy religijnéj; i przyjęli sobie za zasadę nie dopuszczać kapłana ani do chrztu dziecka, ani do małżeńskiego ślubu, ani do łoża konającego, ani do pogrzebu ciał. Stowarzyszenie to w obecnych czasach szerzy się w Belgii, Francyi, we Włoszech, i mnóstwo dzienników przyklaskuje mu, a mianowicie: *le Siècle*, *l'Avenir national*, *le Monde maçonnique*, *la Penseé nouvelle*, *la Solidarité*, *Journal des principes* etc. Dzienniki te wzięły sobie za zadanie, mniéj lub więcéj wyraźne, zaprowadzać i szerzyć rozpustę, bezbożność i rewolucyę, przeprowadzając to wszystko stopniowo z teoryi do praktyki.

3) Stowarzyszenia liberalne we wszystkich miastach pod różnemi zawiązywane tytułami, są pomocniczkami sekty masońskiéj i dopomagają jéj nie znając jéj celu. Do takich stowarzyszeń należą katolicy liberalni, którzy usiłują zasady Ewangelii pogodzić z zasadami wszystkich namiętności, szumną dzisiaj ochrzczonych nazwą liberalizmu. Głównem takowych stowarzyszeń zadaniem jest zniesławienie duchowieństwa i ogłaszanie go za wroga społeczeństwa. Za pośrednictwem takichto stowarzyszeń masonerya dokonywa wyborów gminnych, municypalnych, prowincyonalnych, deputatów i członków do Izb, urządza głosowanie zwane powszechnemi, i nie

zdradzając siebie rozdaje urzędy, kieruje administracyą kraju i całą wewnętrzną i zewnętrzną polityką.

C. Środki gwałtowne, grabieżne i wytępiające.

Co się tyczy gwałtowności środków, to w saméj rzeczy sekta ma swego anioła tępiciela, którym jest właśnie kawaler zwany Kadoszem (świętym), uzbrojonego mieczem albo sztyletem, i który, według świadectwa br. Ragona, jest wykonawcą zakonu rozkazów; ma ona swoich Orsinich i Milanów; ma ona i w niższych stopniach oprawców; a jeżeli gdzie sztylet nie wystarcza, to tam wywołuje rozruchy i wznosi barykady.

Marzy ona o powszechnym republikańsko-masońskim Związku. I jeden z amerykańskiéj masoneryi deputowanych, na zjeździe w Wormacyi 1867 r. odbytym zapowiedział, że nim lat dziesięć upłynie, to na przekorę wszelkim przeszkodom, ten się Związek urzeczywistni.

A Karol Heinzen, drugi przyjaciel Związku masonów, objaśniwszy w *Gazecie niemieckiéj* wychodzącéj w Londynie 1849 roku, wszystkie szczegóły planu wielkiéj rewolucyi, jaka ma się w Europie dokonać, przydał: „Być może iż wielkie rewolucyjne przeczyszczenie, jakie się dla Europy przygotowuje, będzie parę milionów głów kosztować. Ale cóż to znaczy dwa miliony nędzników, skoro idzie o uszczęśliwienie 200 milionów ludzi?

W 1869 r. komunistyczne zawiązało się stowarzyszenie pod nazwą Internationalu, stanowiące jedno z licznych przedniéj masońskiéj straży zastępów. Rozgałęziło się ono w Niemczech, Szwajcaryi, Anglii i Belgii, i werbuje do siebie głównie klasę rzemieślniczą, a to w celu wywrócenia społecznego a szczególniéj Bożego porządku. Oto zasady tego Stowarzyszenia, zupełnie zgodne z zasadami z 1793 r.: „Wy rzemieślnicy, trzech macie wrogów: 1) Tych którzy pozwalają układać prawa dla ciągnienia z was korzyści; 2) kapitalistów bogaczy, którzy z waszéj żyją pracy, z was bogacą się i za co wam śmiechu wartą dają zapłatę; i 3) księży, tych wyznawców Boga. Już dosyć nacierpieliście się i nakorzystano z was; zdruzgoczcie więc, zniweczcie i rozproszcie to wszystko, co wam do waszego przeszkadza dobrobytu, do używania, i wznieście się nad bogaczy, nad księży, i nad władzy piastunów!“

Gdy ciało rozkłada się, to zapóźno już obkładać je lekarstwem. Trzeba złego źródło zatkać. Dla ugaszenia pożaru nie dosyć pozatykać otwory, któremi się ogień ze środka wydobywa; lecz trzeba go wodą zalewać, aby całéj nie pochłonął budowli. Podobnie trzeba, i to czémprędzéj, i z masoneryą postąpić, która jest wcieloną antychrześcijańską i antyspołeczną rewolucyą: *Et nunc, Reges, intelligite, donec tempus! Erudimini qui judicatis terram!*

Z tego wszystkiego, co się dotąd, chociaż bardzo krótko o masoneryi powiedziało, wypada.

1) Że masonerya nie daje się pogodzić z żadném wyznaniem wiary. Żaden przeto katolik, prawosławny, protestant, żyd czy mahometanin, nie może być masonem, jeżeli wchodząc do loży, nie wyrzeka się wszelkiéj wiary, wszelkiéj religii.

2) Że masonerya jest systematycznie i wręcz przeciwną chrystyanizmowi. Jéj ku niemu złośliwość posuwa się aż do wściekłości.

3) Że masonerya żadną miarą nie daje się pogodzić z niezależnością władzy świeckiéj, ani z narodowym patryotyzmem. Wprawdzie straszliwie ona wrzeszczy o niezależności władzy świeckiéj; ale tylko tam gdzie ją w swoje zagarnęła ręce, dla wywierania despotyzmu na swoją wyłączną korzyść.

4) Masonerya swój własny interes w teoryi i praktyce przekłada nad interes kraju, i na swoich adeptów wkłada obowiązek zdrady. W teoryi uważa się ona wyższą nad wszelką religię i nad wszelką krajową konstytucyę. Obowiązują się sekciarze przysięgą do przekładania interesu Zakonu w ogólności a swoich braci w szczególności nad interes kraju i sprawiedliwość. Wiążą się oni najstraszniejszą przysięgą do wzajemnego wspierania się we wszystkiém, wszędzie i dla wszystkiego. Nauka masońska swoim adeptom tak powiada: „Nie rozróżniaj ani narodu, ani munduru, pilnuj tylko swojéj przysięgi“.

Czytamy w Rocznikach masoneryi, że takie ona zdrady poczytuje sobie za chlubę, i że kto z masonów tak postępuje, ten właśnie dopełnia obowiązku swojéj przysięgi, i masońską moralność do praktyki zastosowuje.

Nie może przeto ulegać żadnéj wątpliwości, że masonerya coraz daléj takim jak dotąd postępując torem, doprowadzi ludzkie społeczeństwo do takich klęsk, jakich ono nie doznało odkąd świat stoi. Żaden mason, na mocy swojéj przysięgi, nie może niczego i nikogo o-

szczędzić dla zaniechania interesu masoneryi, a którym jest właśnie niweczenie wszelkiéj religii, wszelkiéj władzy duchownéj i świeckiéj, niebędącéj w zależności od niéj; zniweczenie chrystyanizmu, a zaprowadzenie naturalizmu, ateizmu i komunizmu.

Cóż to z czasem stanie się z krajową administracyą?! „Masonerya, powiada Eckert, a co Wielki Wschód potwierdza, na mocy przysięgi braterstwu albo lożowéj decyzyi, posuwa swoich adeptów na wszystkie urzędowe posady, a usuwa każdego niewtajemniczonego. Mason piastujący jakiś urząd cywilny, ma przykaz pamiętać na swoją przysięgę, swoim braciom dopomagać, a do wyższych stopni wtajemniczony, proteguje swoich niższych braci, według wymagań interesu bractwa... Takim sposobem bractwo swymi adeptami zapycha posady w gminach, wywiera tam swój wpływ, staje się ich przewodniczką i dyspozytorką moralnéj ludu siły. Podobnym sposobem bractwo w swoich dzierży rękach wszelkie urzędowe godności, wywraca podstawę państw i całego społeczeństwa, głosi równość dla wszystkich obywateli z zastrzeżeniem wszędzie pierwszeństwa dla członków swoich, wszystkie posady w gminach, szkołach i państwie rozdaje sprzysiężeńcom tylko swoim. Takim sposobem państwa są podminowane w swoich fundamentach, a głoszona równość praw jest tylko kłamstwem“. To téż dzisiaj wszystkie rządy są w rękach masonów, jest bowiem milion członków rozlokowanych po wszystkich dekasteryach cywilnych i wojskowych. I tak więc ci, co najbardziéj nie lubią katolicyzmu, muszą od skrytych masoneryi rządów zależeć i bezwarunkowo słuchać ich. Innéj alternatywy nie ma i być nie może, i słowa Chrystusa Pana: kto nie jest zemną, ten jest przeciwko mnie, nigdy nie staną się kłamstwem. Kto nie słucha nauki katolicyzmu, ten musi być igraszką najhaniebniejszych i najprzewrotniejszych namiętności.

Kto zatém nie widzi dokąd masońskie zasady prowadzą, ten jest chyba kompletnie pozbawiony zdrowego rozumu. Gdy kiedyś one zupełnię przemogą, to wtenczas nastąpi moralny rozkład społeczeństwa. Wtenczas wojsko, administracya, trybunały sądowe, wszystkie instytucye rozpadną się jak drzewo zbutwiałe, wtedy wszystkie państwa runą i powszechne nastąpi zamieszanie. Każdy mason ma obowiązek nieoszczędzać w tym celu ni prowincyi, ni królestwa, ni narodowości, ni rodziny, ni braci, ni sióstr, ni przyjaciół, ni krewnych, ni męża, ni żony, ni ojca, ni matki swojéj. Musi wszystko być uprzątniętém co masońskiemu zawadza

działaniu. Roczniki masońskie zapewniają, iż ludzie przekonani o zbrodnie, o spiski, w sądach są uznawani za niewinnych, albo ręka niewidzialna rozkuwa ich kajdany i puszcza na wolność. Że masoni wszędzie swoich znajdują przyjaciół albo spólników: między sędziami, między generałami, wysokimi dygnitarzami, ministrami i więziennymi dozorcami: wszyscy niosą im pomoc w straszne imię masoneryi. A gdy już nie ma żadnego ratunku dla pana brata masona do uwolnienia się od dowiedzionéj zbrodni i zasłużonéj kary, to w takim razie ma on pamiętać i zastosować się do danego mu przepisu: *Patet exitus*, co znaczy: daj wtenczas nurka przez odebranie sobie życia. A więc brat Nivelle w uniesieniu ducha swego nie bez przyczyny o masoneryi wykrzyknął: O cudowna, o wzniosła instytucyo!!!“ i w końcu utytułował ją królową dobroczynnych (?) stowarzyszeń.

Oto na czém polega tak wsławiona masońska dobroczynność! *Et nunc, donec tempus, Reges, intelligite! Erudimini qui judicatis terram!*

Dzisiaj w wielu krajach Europy, a mianowicie: Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Francyi, Belgii, Szwajcaryi, Prusiech, Wielkiém księstwie Badeńskiém, Bawaryi i Austryi w rządach wielu znajduje się braci masonów. To téż tam wszędzie, szczególniéj w klasie miejskiéj i robotniczéj, wielkie zasiewają zepsucie.

Dlatego słusznie została masonerya przez papieży potępioną jako stowarzyszenie najbezbożniejsze, najprzewrotniejsze i najzgubniejsze dla całego społeczeństwa.

Papieże śmiało i głośno ostrzegali rządy świeckie o grożącém dla nich i dla całego społeczeństwa niebezpieczeństwie; ale że te rządy składały się i składają w większéj części z braci masonów, zatém zbawczy papieży głos pozostał głosem bez echa!

Ogólny na masoneryę pogląd.

Z tego wszystkiego, co się dotąd powiedziało, pokazuje się, że masonerya i liberalizm jest to jedno i toż samo, i że ten ostatni wylągł się z pierwszéj, którym tamta rządzi i do swoich używa celów, dostarcza mu naczelników, przepisuje program i cel działań, posługuje się nim jako ślepém i powolném narzędziem do przeprowadzenia swoich przewrotnych zamiarów. Racyo-

nalistowski i masoński liberalizm, którzy ze sobą gwałtem wlecze doktrynerów i umiarkowanych, zupełnie jest antyreligijnym, antynarodowym i antyspołecznym, jakeśmy tego wszystkiego dowiedli i z czego wyraźnie wynika:

1) Że tajne masonów stowarzyszenia grożą społecznemu porządkowi największém niebezpieczeństwem, i że nie dają się one żadną miarą z urządzeniem kraju pogodzić. Kto nie ma o tajnych masonów stowarzyszeniach wyobrażenia, mówi X. Ketteler, kiskup Moguncyi, ten nigdy nie zdoła ocenić pod naszemi oczami dziejących się wypadków. Od takiéj organizacyi, gdzie się wszystko skrycie knuje i przygotowuje, tylko tyle dowiaduje się publiczność, ile przywódcy uznają za dobre do jéj udzielenia. I Eckert powiada, iż żaden mąż stanu nie zna epoki swojéj, ani przyczyn wypadków, jeżeli z gruntu nie bada masoneryi i nie pojmuje jéj natury i działania.

2) Stolica Święta zbadała dobrze zgubność religijnego indyferentyzmu, jakotéż masoneryi, socyalizmu i komunizmu oraz wielu innych błędów, a zatém zasadnie takowe potępiła; jest więc bezwarunkowy, dla wszystkich bez wyjątku obowiązek ulegać jéj wyrokom, chociażby dla interesu tylko doczesnego i dobra kraju.

3) Między racyonalistowskim masońskim liberalizmem, a raczéj między sycyalną rewolucyą a katolicyzmem, nie ma i nigdy nie będzie żadnego przymierza: bo masoński liberalizm jest teoryą, praktyką, stekiem i obroną fałszu, kłamstwa, demoralizacyi, zbrodni i bezbożności, a katolicyzm źródłem, ogniskiem i obrońcą prawdy, światła, sprawiedliwości i wszelkich cnót: *Ego sum lux mundi! Ego sum via, veritas et vita!* Masoński liberalizm gwałtem domaga się swobody dla błędu i rozwiązłości w celu zniweczenia prawdy i cnoty, co jest logicznem bezwarunkowéj swobody błędu i rozpusty następstwem. Te dwie potęgi są zanadto wręcz wrzeciwne sobie, aby mogły równéj używać swobody. Tylko prawda i cnota, albo błąd i występek: wojna śmiertelna bez żadnego przymierza. Kościół rządząc się miłością, oszczędza osoby jako ofiary błędu i występku, i ubolewa nad niemi; ale błędu tegoż lub występku nie może nie potępiać. A zatém nie może on, ze strony zaciętych błędu zwolenników, spodziewać się poważania ani dla swojéj nauki, ani dla jéj obrońców. Dopóty się oni ze swoją nieprzyjaźnią ukrywają, dopóki są słabymi, albo dopóki prawda nie poczyna być groźną dla nich; ale od chwili poczuwania się ich na siłach, albo kiedy prawda swoim boskim majestatem zaczyna ich przeważać, wtenczas liberalizm chwyta się wszystkiego—w końcu miecza i ognia, dla zniweczenia tejże prawdy, tak sobie rozumując: ponieważ prawda nie przyznaje błędowi swobody, a zatém ona sama nie warta żeby używała swobody. Przeto walka stała się nie do uniknienia, jaka w tych właśnie czasach katolicyzmowi została we wszystkich wydana krajach, gdzie antychrystowy liberalizm doszedł do władzy i panowania. Walka ta z natury rzeczy stała się konieczną od chwili, odkąd się sekta uorganizowała.

Dzisiejsze sekty powodzenie wydaje się niechybném, albowiem wszędzie ona swój przeprowadza program, wszędzie przygotowują się więzy dla władzy przemawiającéj do ludów w imieniu Boga i wzywającéj dusze pod wspaniały sztandar prawdy i sprawiedliwości. Tajne masonów stowarzyszenie wydobyło się dziś na jaw z długoletnich w ciemności kryjówek z tém przekonaniem, że spełnienie się jego pragnień jest już bliskiém końca. Nawet chełpi się ono iż jest panią wszechpotężną.

Gdy lat temu kilka tajne naczelników sekty, instrukcye głównym jéj agentom rozesłane zostały, wahaliśmy się, mówi Ramière, przyznać takowym autentyczność, ale dzisiaj, gdy zawarty w nich piekielny plan jest wykonywany, prawdziwości ich zaprzeczyć nie podobna. Przywódcy rewolucyi własném nauczeni doświadczeniem, iż za pomocą buntowników zwyczajnych tylko nie zdołają chrześcijańskiéj obalić społeczności, śmiały powzięli zamiar pozyskania sprawie swojéj naczelników krajowych rządów i arystokracyi, a którzy tak dla własnego interesu jak i z obowiązku, powinni z nią śmiertelną toczyć walkę. I jeszcze na coś większego zakrawali, bo chcieli za jakąniebądź cenę ująć sobie duchowieństwo świeckie i zakonne, a szczególniéj księży Jezuitów, biskupów i kardynałów, a chcieli tego dopiąć na przekorę obietnicy Jezusa Chrystusa, który przyrzekł pozostać ze swoim Kościołem aż do końca wieków. A lubo nie zabrakło, chociaż bardzo mało, nieszczęśliwych księży, którzy na ich zdradliwą przynętę dali złowić się, wszakże ogół hierarchii katolickiéj całym pozostał. Ale wielkości i potęgi tego świata, nie miały na swoje i jego nieszczęście, takiéj roztropności i stałości! Właśnie za ich to pomocą w tych smutnych czasach, antychrystowe zgraje tak wielkie mają powodzenie i tak okropne sieją spustoszenie!

Jakimże sposobem sekta do tak strasznéj doszła potęgi?

Oto posiłkując się metodą starego węża, którego ona arcydziełem jest. Najprzód kłamstwem zwiodła tłumy ludu; wmówiła w łatwowiernych synów Ewy, że się zbuntowawszy przeciwko Bogu, sami

staną się jako bogowie, że zakazany jedząc owoc, nabędą doskonałéj świadomości dobrego i złego, i że gdy się z pod wszelkich powyłamują praw, to już im do szczęścia niczego nie zabraknie.

Podobnie zaczęła zwodzić rządy, wystawiając im, że najwyższa na ziemi władza Boga, którą Kościół katolicki piastuje, jest im wielce szkodliwym wrogiem. Masy ludu zwiodła nadzieją wolności bez granic, i panujących urokiem władzy bez kontroli ze strony praw Boga. Ona ustawicznie przybiera na się jednę z dwóch form, nie odmieniając natury swojéj: jest tedy liberalizmem albo anarchią. Kościół wszelką godziwą swobodę uświęca, i wszelką władzę miarkuje. Jak skoro człowiek zaczyna władzy boskiéj nad sobą nie uznawać, to się wtenczas ma za upoważnionego do zrzucenia z siebie wszelkiego jarzma. Co się z każdym dzieje człowiekiem pojedynczym, który się wyzwolił z pod praw Boga, toż samo musi dziać się i z człowiekiem zbiorowym czyli z gminą, prowincyą, całym ludem i krajem. A zatém i świecka gminy, prowincyi, ludu lub kraju władza, gdy nad sobą władzy Kościoła, tego stróża prawdy i sprawiedliwości, nie uznaje, to jéj nic od nadużycia téj władzy nie powstrzyma i wtedy siła i przemoc stają się prawem, jak to bywało w krajach pogańskich, i jako widzimy we wszystkich krajach masońskich. Téj prawdy dowodzi sprzymierzenie się najprzeciwniejszych sobie stronnictw politycznych i najsprzeczniéjszych interesów w srożącéj się w tych czasach wojnie przeciwko katolicyzmowi czyli Kościołowi Chrystusa.

A kiedyż ta walka się skończy?. . .to wiadomo Bogu tylko samemu, bo On tylko jeden ratować nas może. Dzisiaj prawda i sprawiedliwość żadnéj od ludzi pomocy spodziewać się nie może: bo wszystkie potęgi, które dotąd chociaż słabo Kościołowi pomagały do podtrzymywania prawdy i sprawiedliwości, są obalone, doczesne królestwo jego zostało zniweczone i podeptane, a sprawowanie władzy duchownéj skrępowane!

Masonerya jest ową apokaliptyczną z napisem na czole— T a j e m n i c a—bestyą, wielką wszetecznicą, i matką wszeteczeństw i obrzydliwości, i pijana krwią Świętych i Męczenników za trzymanie się nauki Jezusa Chrystusa, który już dzisiaj króluje nad królami ziemi.

A chociażby to św. Jana proroctwo do obecnéj epoki jeszcze nie stosowało się w całém jego słów znaczeniu, to jednakże nie przestaje ono być zwiastowaniem jego blizkiego urzeczywistnienia się. Kościół

Chrystusowy od czasu swego istnienia ciągle ze swymi przeciwnikami śmiertelną toczy walkę, a zwycięztwo było zawsze przy nim. Tak samo i wtenczas będzie, kiedy jego walka z nieprzyjaciołmi prawdy i sprawiedliwości do ostatecznych dojdzie rozmiarów. Właśnie wtenczas tem większy bo zupełny dla Kościoła nastąpi tryumf, kiedy się jego wrogom zdawać będzie, że już koniec jego życia, że już po nim, że już nawet jego ślady zaginą. Kiedy to nastąpi, to tylko Panu Bogu wiadomo: bo n i e n a s z a r z e c z z n a ć c z a s y i c h w i l e (Dzieje 1. 7); jednakże niezadługo to nastąpi, b o n i e z o s t a w i P a n ł a s k i g r z e s z n i k ó w n a d d z i e d z i c t w e m s p r a w i e d l i w y c h: a b y s p r a w i e d l i w i n i e ś c i ą g n ę l i r ę k i s w é j k u n i e s p r a w i e d l i w o ś c i (Ps. 124, 3). My tylko to wiemy i przekonani jesteśmy, że bramy piekielne, których najpotężniejszą dźwignią jest masonerya ze świeckimi na czele rządami, n i e p r z e m o g ą K o ś c i o ł a C h r y s t u s o w e g o.

Śmiertelny wróg prawdy, sprawiedliwości i społeczeństwa jest wykryty, a więc biada będzie tym potęgom, które nie wezmą się do niego zawczasu i pozwolą mu daléj rosnąć swobodnie. Biada tym, którzy dobre nazywają złem, a złe dobrem.

W miesiącu marcu b. r. (1882) we Francyi Zgromadzenie narodowe, złożone w znacznéj części z członków masonów, wyrzuciło imię Boga z ustawy o przymusowém wychowaniu. Nie koniec na tém zwycięztwie zasady ateizmu w szkole — ideę Boga postanowiono wyrugować z wszystkich instytucyj i ustaw. Cel téj ustawy jest przymusowe wyrwanie dziecka rodzicom, aby je wychować w szkole ateistycznéj. Piękna tolerancya i wolność! w znaczeniu masońskiém. Pierwszy Juliusz Simon wystąpił w obronie imienia Boga — a wiadomo, że mąż ten polityczny i znany filozof, nie należy do Kościoła, stoi po za chrześcijaństwem — a na pytanie: o jakim on Bogu mówi? odrzekł, że o tym Bogu, którego imię jest zapisane na każdéj karcie ustaw francuzkich, którego to Boga imię tkwi w sercu każdego człowieka. Cześć Boga jest podstawą wszelkiéj moralności, godności człowieka i wszelkiego porządku społecznego. Wyznanie to zakończył mówca afirmacyą zbawczéj potęgi wiary, bez któréj społeczność ludzka staje się trzodą.

Choć J. Simon mówił jako filozof a nie jako chrześcijanin, nic nie pomogło, bo masoni, jak to wiemy, chcą wyrugować zupełnie imię Boga z pośród ludzi.

Obszerniejszą o masoneryi wiadomość, znajdzie czytelnik w dziełach następujących:

1. *La Franc-Maçonnerie*, dans sa véritable signification, ou son organisation, son but et son histoire, par Ed. — Em. Eckert, avocat à Dresde. Traduit de l'allemand par l'abbé Gyr. 2 vol. in 8-vo Liége, imprimerie de J. G. Lardinois, éditeur, 1854.

2. *Histoire, doctrine et but de la Franc-Maçonnerie* par un Franc-Maçon qui ne l'est plus. Sixiéme edition. Paris J. B. Pélagaud 1862.

3. *La Franc-Masonnerie en elle même* et dans ses rapports avec les autres çocietés secrètes de l'Europe, notamment avec la Carbonnarie italienne, par l'abbé Gyr. Liége, imprimerie de J. — G. Lardinois, 1859.

A szczególniéj zalecamy trzy dziełka następujące, oznaczone literami *a*, *b*, *c*.

4. *a) La Franc-Maçonnerie soumise au grand jour de la publicité*, à l'aide de documents autentiques. 2 vol. in 8-vo. Deuxiéme édition. Aumand Neut, à Gand et à Bruges, 1866.

5. *b) Les Francs-Maçons et les sociétés secrètes* par Alex. de Saint-Albin. Deuxiéme édition. Paris F. Wattelier et Cie. 1867.

6. *c) Libéralisme, la Franc-Maçonnerie et l'Eglise Catholique*, par le Chanoine Labis, Bruxelles, Victor. Devaux, 1869.

Mając to ostatnie, można się obejść bez czytania innych.

W polskim języku zalecamy następujące:

7. *Święte tajemnice masonii sprofanowane*, we Lwowie 1805. (Rzadkie).

8. Historya Jakobinizmu, 4 tomy. W Berdyczowie 1812. (Rzadkie).

9. Artykuł pod tytułem *1819 et 1859* w tym tomie pisma: *Vérité historique*, które było wydane w Tournai u H. Castermana.

10. *Le Messager* du Coeur de Jésus, tome XXV z 1874 r. str. 145 i następne.

11. *Co ludzie mówią o Renanie?* Kraków 1864.

A jak masonerya swoją naukę zastosowuje do życia praktycznego, to można się tego dowiedzieć z dzieł następujących:

12. *Historya Duchowieństwa* w czasie rewolucyi francuzkiéj, 2 tomy w Krakowie 1815. (Rzadkie) Bez porównania lepsza, aniżeli sławnego Wikt. Hugona rok XCIII.

13. *Les Martyrs du Clergé français* pendant la Révolution de 1793, par Adolphe Huard. 2 vol. 8-vo Paris, Martin-Beaupré fréres 1867. Nie kompletne z powodu śmierci autora.

14. *Le tribunal révolutionnaire de Paris*.. Par Emile Campardon, 2 vol. in 8-vo Paris, Henri Plon, 1866.

15. *Histoire de la Terreur 1792—1794* d'aprés les documents autentiques et des piéces inédits, par M. Mortimer-Ternaux. Dotąd 7 vol. Paris. Michel Levy 1863—1869.

Dwie doniosłe kwestye.

I.

Każdy co nie przestając na powierzchownem i ogólnikowém poznaniu dziejów świata od ery chrześcijańskiéj, zechce sięgnąć głębiéj do ich dna, musi przyjść do przekonania, że głównym do nich kluczem jest należyte zbadanie historyi Kościoła, a rdzeniem téjże znów historya papieżów. Często wszakże widzimy te rzeczy w publicznéj i prywatnéj naukowéj praktyce, w stosunku właśnie odwrotnym. Dzieje świeckie pochłaniają całą uwagę, kościelne są ograniczone do szczupłych w nich zakątków, a o papieżach tyle nam udzielają ci nowi mistrzowie, ile im potrzeba, aby głowy Kościoła zohydzić.

Gdy bierzemy oświatę z drugiéj lub trzeciéj ręki, a nie posiadamy dotąd w polskim języku wywodnéj i bezstronnéj historyi papieżów, sami nie postrzegamy, jak dalece jesteśmy echami francuzkiego wolteryanizmu, niemieckiego racyonalizmu a nadewszystko (mimo kontuszowych fantazyi i przechwałek) austryackiego józefinizmu, który zasnuł grubą mgłą dzieje kościelne, papiestwo w mistyczną dal odsunął, a biskupów na pierwszym postawił planie, chcąc uczynić z nich właściwie urzędników państwa.

Otoż ci nowożytni apostołowie oświaty każą upatrywać w papieżach szereg bardzo przebiegłych mężów, co za pomocą niezrównanie zręcznéj polityki, i korzystając z długiéj ciemnoty ludów, zresztą przez ustawiczne a rażące nadużycia duchownego swego wpływu, groźbami i postrachem dobili się wysokiego znaczenia i stanowiska nawet monarchicznego. Ale to wszystko (mówią) już się zużyło z postępem

oświaty, za wyzwoleniem rozumu od czasów reformacyi, z wyrobieniem zdrówych pojęć o państwie od czasów Ludwika XIV. a o godności, prawach człowieka i przyrodzonéj jego niezawisłości od czasów rewolucyi francuskiéj. Twierdzą więc, że owa „średniowieczna budowa papiestwa“ jest już z gruntu podkopaną i wcześniéj czy późniéj musi runąć z wielką dla ludzkości korzyścią i wrócić do nicości, z któréj wyszła. Ci panowie zostawiliby zresztą tymczasem papieżom podziemia katakumbowe lub jakieś postronne zakątki, byle ich tylko nie widzieli w świetle słonecznem. Owszem powiadają wiernym, że gdy „królestwo Chrystusa nie jest z tego świata“ jest rzeczą właściwą papieżom i sługom ołtarza chodzić boso jak pierwsi apostołowie i żyć z jałmużny, którąby im panowie reprezentanci narodów, po dobrych obiadach i ze wspaniałych pałaców wyznaczali, według okoliczności i własnego zdania i należytego ich zachowania się wobec wymagań „postępu“.

Mają oni zawsze na ustach owe upokorzenia, jakich doznał cesarz Henryk IV. od Grzegorza VII. Fryderyk I i II. od Aleksandra III. Honoryusza III. i Grzegorza IX. owe nadużycia władzy przez Innocentego III. owe zdrożności Aleksandra VI. a jedynym papieżem który znajduje u nich pobłażanie i jakie takie względy, jest Klemens XIV. bo przysłużył się ludzkości zniesieniem Jezuitów. Wszakże pomijając to, że nawet niepośledni protestanccy dziejopisarze jak Voigt, Hurter i inni wzięli w obronę Grzegorza VII. Innocentego III i t. d., zrozumiawszy należycie i świat ówczesny i ich użyteczne działania, trzeba wyznać, że gdyby nawet cała budowa papiestwa nie miała innych podstaw jak powyższe, to byłaby nader jeszcze uderzającém i jedyném w dziejach zjawiskiem, które na głębokie badanie zasługuje, i każdemu nieuprzedzonemu a dobréj wiary człowiekowi wielkie musi sprawić zdziwienie.

Postawmy się w położeniu takiego człowieka, zupełnie nawet z wiarą chrześcijańską nieobeznanego ale zresztą uczonego, ciekawego i cierpliwego w badaniu dziejów europejskiego społeczeństwa, i niech przejdzie historyę papiestwa zupełnie tylko „przedmiotowo“. Zdziwiłoby go najprzód jak od ośmnastu wieków przebija się ciągle i zawsze mniéj lub więcéj działalność papieżów, że nic nie działo się bez nich w chrześcijaństwie, że byli zawsze dla wiernych chorągwią i rozdawali hasła; a przeciwnicy katolicyzmu głównie i ustawicznie na nich bili słowem, i że papiestwo było ostatecznym ich nienawiści celem.

Gdy zaś przypatrzy się dokładniéj dziejom onegoż, nie zdoła za-

dną miarą wytłumaczyć sobie loicznie zdrowym rozsądkiem, ani filozoficznie przez subtelne indukcye, tak osobliwego zjawiska. Bo sądząc bez uprzedzenia, dojdzie łatwo do wniosku: że ani polityka ani zręczność i wytrwałość, ani ciemnota ani też postrach nie zdoła utworzyć, a tém mniéj utrzymać coś, coby było nawet podobném do papiestwa. Nie było państwa bardziéj przebiegłego w polityce, bardziéj wykształconego wobec dawnego świata i możniejszego jak rzymskie, a co się z niém stało? Nie zbywało i późniéj na polityce, zręczności i potędze innym, a przecie gdzież się podzieli. Jakże niepodobna, aby mądrość polityczna i geniusz był ciągle udziałem dwustu pięćdziesięciu dziewięciu mężów, którzy przecież byli i są ułomnymi ludźmi: jeszcze trudniéj, aby bałamucenie mogło przy coraz więcéj rosnącéj oświacie utrzymać się przez ośmnaście wieków, a najtrudniéj, aby postrach i obawa duchowna mogła tak długo być podstawą władzy, kiedy ludzkość wie przecie, co jest władza, jakie są prawa człowieka, kiedy idea wolności i państwa tak silnie się wyrobiła i ukształciła.

Skoro zaś ów nieuprzedzony badacz zacznie analizować krok za krokiem, powstanie, losy i postępy papiestwa, to za każdym szczegółem musi wzrastać jego zdumienie. Jakiś starzec nieznany przybywa ze Wschodu do Rzymu, a jest to żyd, członek narodu najbardziéj tam wzgardzonego. Opowiada zaś śmiało w stolicy Cezarów naukę jakiegoś innego Żyda, którego mieni być bogiem, a który przecież od własnych swych rodaków oddany pod sąd rzymskiego prokonsula, zagadkowy swój żywot najsromotniejszą śmiercią na krzyżu zakończył. Ów Piotr musi się ukrywać przed władzą, ale z dnia na dzień rośnie ilość jego zwolenników. Umiera owszem sam podobnie jak mistrz jego: lecz o dziwo! wraz staje na jego miejscu drugi. I ten kończy podobnie, alić jest trzeci, czwarty, piąty, dziesiąty i dwudziesty. Tak zmiatają cesarze ciągle i owych siwych naczelników i mnożących się a oddanych im na życie i śmierć uczniów. Ba, pełne jest ich forum i miasto i kraj cały, i wyspy i lądy okoliczne: są w senacie, są nawet w pałacu Cezarów—tworzą całe legie.

A jak niegdyś chełpił się Pompejusz, że jedném uderzeniem nogi zdoła wywołać z ziemi legiony gotowe na jego skinienie, tak dosłownie i owszem daleko bardziéj a nadewszystko nierównie skuteczniéj i trwaléj, wywołuje owa cicha a tajemnicza władza, bądź sama gdziekolwiek stąpi, bądź przez swych wysłanników całe tłumy serdecznych wyznawców. W ciągu lat 243 od Nerona do Galeryusza padło pod katowskim mieczem przeszło 20 owych osiwiałych wodzów, w roku

286 wymordowano całą legię Tebańską złożoną z 6.600 chrześcijan; leje się krew po wszystkich częściach znanego świata, a cesarz Dyoklecyan każe bić monetę z napisem tryumfalnym „*Superstitio deleta*“ (chrześcijaństwo wykorzenione). Ale obudza ona śmiech politowania, bo w roku 312 sam wszechwładny następca Cezarów Konstantyn uchyla czoło przed krzyżem, w r. 324 ogłasza chrześcijanizm religią państwa, oddaje papieżowi Sylwestrowi I. własny pałac na mieszkanie i buduje chrześcijanom wspaniałe bazyliki. Owszem tak wysoko staje w tym Rzymie długo prześladowany papież, że cesarz bojąc się, aby własny jego majestat nie był od niego przyćmionym, przenosi siedzibę swą w 328 r. aż nad Bosfor do starożytnego Byzantium. Jeżeli zaś taki następca Konstantyna jak Juljan podnosi się ze wściekłą chytrością na chrześcijaństwo, to pada w kwiecie wieku (363) wołając z rozpaczą: „zwyciężyłeś Galilejczyku“!

Lecz owa długo przeważna władza cesarstwa nie mogąc podołać już własnemu ogromowi, zaczyna chwiać się i rozpadać, kiedy przeciwnie papieże coraz to szerzéj w trzech częściach świata sięgając, wybornie swą władzę piastują. Cesarstwo nie zdoła się utrzymać mimo licznych legionów; papieże zaś utrzymują i rozprzestrzeniają Kościół przez ubogich wysłańców i sobory z kilkuset bezbronnych i okaleczonych (jak widziano w Nicei w r. 325) biskupów złożone.

Udało się Teodozyuszowi Wielkiemu spoić znów chwilowo całość rzymskiego Państwa, ale już w r. 395 dzieli je między synów. Arkadyusz rozpoczyna szereg cesarzów wschodnich czyli bizantyńskich, Honoryusz zachodnich. Wszakże jak już sam Teodozyusz i jego poprzednicy rezydowali to w Carogrodzie, to w Medyolanie, tak i teraz cesarz zachodni nie obiera swéj stolicy w Rzymie, ale w Rawennie. Rzecz godna uwagi, iż odtąd żaden już monarcha czy chrześcijański czy też barbarzyniec, nie zasiadł nigdy stołecznie w Rzymie wobec papieżów.

Wtém spada na Europę nawalnica wędrownych z północy narodów. Alaryk, król Gotów, tratuje państwo zachodnie, zdobywa w r. 409 Rzym, a w 410 pustoszy go ogniem i mieczem, sam atoli w nim znajduje grób rychły. Papiestwo nie tylko niczém niezachwiane, ale owszem św. Innocenty I. dwoi się w usiłowaniach, aby lud pokrzepić, pocieszyć i po odejściu Gotów miasto podnieść. Gdy znów w kilkadziesiąt lat potém, ów Atilla mianujący się sam „biczem bożym“ pędzi ze swymi Hunnami na zgniły świat stary i nie zdołają go powściągnąć najbieglejsi wodzowie i najbitniejsze legiony, powstrzymuje jego

dalszy zapęd na Włochy w r. 452 św. Leon Wielki i ochrania Rzym od zniszczenia. On ocala, a Eudoxia, żona cesarza Walentyniana nie waha się sprowadzić z Afryki na Włochy i Rzym (455) Genzeryka króla Wandalów. Zajmuje on stolicę świata, ale św. Leon uzyskuje od niego, że nic nie spali, że nie każe mordować bezbronnych, ani brać na tortury jeńców, a uszanuje jako „asyla“ bazyliki św. Jana Laterańskiego, św. Piotra i Pawła. Nadciąga znów w parę dziesiątków lat później Odoakr król Herulów, zdobywa Rzym i Rawennę (476) i zadaje ostateczny cios zachodniemu cesarstwu, lecz nie tyka papieżów i stolicę swą zakłada także w Rawennie. Sam upada niezadługo (493) pod ciosami Teodoryka, co utwarza tamże państwo Ostrogotów. Jeden z jego następców, Totila, staje się w 546 chwilowo panem Rzymu, wszakże przylatuje ze Wschodu jeden z największych mężów owego wieku Belizaryusz, walczy korzystnie z Ostrogotami, podnosi mury Rzymu, a drugi niepośledni grecki wódz Narzes gotuje państwu Ostrogotów zagładę w r. 553. Grecy zakładają w r. 568 „Exarchat Rawenny“, obejmujący cały brzeg Adryatyku i za Apeninami Rzym do morza Śródziemnego, współcześnie także tworzy Alboim państwo Longobardów w północnych Włoszech ze stolicą w Pawii, a ci mają odtąd raz po raz nękać Greków i resztę Włoch. Wszystkie atoli owe ludy germańskie, co kolejno zagnieżdżały się w zachodniéj i południowéj Europie, przyjmują chrześcijaństwo już przed końcem V. wieku, lubo niektóre z nich hołdują aryanizmowi.

Od roku 590 góruje dziwną cnotą i dzielnością umysłu uwielbiany od ludu papież Grzegorz Wielki, wspiera ciężko nękane ludności, dodaje im serca, i gdy cesarze nic dla nich uczynić nie mogą, podnosi wysoko sztandar wiary. Pod koniec tego wieku przechodzą z jednéj strony najzażartsze wrogi: Włoch Longobardy, a z drugiéj hiszpańskie Wizygoty z aryanizmu na łono Kościoła; ówdzie zaś nawraca Grzegorz Anglo-Sasów do wiary i cały Zachód uchyla przed nim ze czcią czoło.

Z latami rośnie buta Longobardów i zaborcze ich zapędy, cesarze bizantyńscy chwieją się na skołatanym swym tronie i ledwie mogą już od roku 633 opędzić się rosnącéj potędze Arabów; jedni tylko papieże są tarczą i ochroną ludów włoskich, bo na nich oglądają się jeszcze Longobardy.

Zrozpaczone ludy półwyspu, opuszczone od Greków, oddają się papieżom w początkach VIII. wieku, a tak z saméj konieczności i

siłą rzeczy utwarza się doczesne panowanie św. Stolicy [1]). Kiedy zaś wobec zuchwalszych codzień Longobardów potrzeba równie potężnéj ręki dla ocalenia Rzymu, powstaje we Francyi w tym samym czasie z Karolem Martelem nowa dynastya, niesie gorliwie pomoc papieztwu, obala państwo Longobardów (774) i utwierdza niepodległość Stolicy Piotrowéj na zewnątrz.

Tymczasem wszystkie owe nowe w Europie narody, zacząwszy od Germanów (720), przyjmują kolejno z Rzymu światło i cywilizacyę. Koronowanie Karola Wielkiego cesarską koroną przez św. Leona III. (800) nową jest rękojmią dla papieztwa i wiary w Europie i odtąd aż do koronacyi Karola V. przez Klemensa VII. w r. 1530 nikt nie jest uznany cesarzem, kogo papież nie koronował. Na głos Urbana II. (1095) garną się zewsząd chrześcijańscy rycerze dla oswobodzenia Ziemi świętéj z rąk muzułmańskich, a powtarzane wo-

---

1) Akt ten był rzeczywiście tylko uroczystém uznaniem stanu rzeczy oddawna faktycznie istniejącego, bo sprawowali Papieże już od lat wielu a z milczącém uznaniem, owszem z wyraźną nieraz zachętą ze strony różnych cesarzów najwyższą tam władzę, pełnili coraz trudniejsze jéj obowiązki, ponosząc ogromne jéj ciężary. Znakomity dziejopisarz cesarstwa bizantyńskiego, Anglik Gibbon, nie waha się mówić: Doczesna władza papieztwa opiera się na tysiącletniéj czci, a najpiękniejszym tytułem Papieżów do berła jest wolny wybór ludów oswobodzonych przez nich z niewoli“. Podobnie wyrażają się o tém i dwaj niemieccy protestanccy dziejopisarze Jan Müller i Karol Mentzel. Pierwszy powiada, że: „Jeżeli ma rozstrzygać przyrodzona słuszność, to Papież jest zaprawdę legalnym panem Rzymu, bo bez niego dawnoby Rzymu nie było“. Drugi zaś: „Rzym ostał się jeszcze, bo ochraniali go jego biskupi. We wdzięczności ludów znaleźli prawo do berła, i dawno już przed nadaniami Pyppina byli jeżeli nie imiennie to faktycznie władzcami Rzymu“.

Tak jest! panowanie ich powstało w skutek dobrodziejstw moralnych, materyalnych i politycznych, jakie doznawały od nich wszystkie tam pokolenia już od czasów Leona Wielkiego.

Zresztą nic łatwiejszego jak wykazać i z innych także powodów zupełną prawność w powstaniu świeckiéj ich władzy. Bo uważajmy najprzód: że właściwie sami cesarze bizantyńscy nie mieli nigdy praw do Włoch, i że utworzony od nich w r. 568 exarchat był tylko prostą zdobyczą. Bo jużciż Teodozyusz Wielki podzieliwszy państwo na synów, oddał był Włochy wyłącznie Honoryuszowi, którego tron i dynastya zgasła tam zupełnie w r. 476. Cesarze bizantyńscy przypatrywali się odtąd jak następowali tam po sobie Herule, Ostrogoty i Longobardy; na tronie téż carogrodzkim nie siedzieli już oddawna potomki Teodozyusza i Arkadyusza, ale kolejno różne uzurpatory. Lecz przypuściwszy nawet jakieś prawa z utworzenia exarchatu, to jużciż zupełne niewykonywanie odpowiednich obowiązków przemawia dostatecznie przeciw nim. Możemy odwo-

łania następnych papieży gromadzą ciągle nowe tłumy do powtarzanych wysileń. Papieże są uznanymi opiekunami słabych i uciśnionych, rozjemcami i sędziami tak w sporach między monarchami, jak i między władzcami i ich ludami, bo jeszcze w 1494 r. rozstrzygą Aleksander VI. spór króla hiszpańskiego, Ferdynanda V., z portugalskim Janem II., o rozgraniczenie nowych lądów, które każdy z tych narodów odkrył i zajął. Jakże uderza każdego oświeconego człowieka wiek odrodzenia nauk, któremu przewodniczy Mikołaj V. i wiek odrodzenia sztuki, noszący imię wieku Leona X.

Kiedy zaś kilka milionów w Niemczech, Anglii, Szkocyi, Skandynawii, Szwajcaryi i indziéj odwracają się od Stolicy Piotrowéj, garną się ku niéj inne miliony w Indyach, Ameryce, Japonii i z wysp Oceanu, i królowie japońscy z Bungo, Arima i Omura składają w 1585 r. hołdy Grzegorzowi XIII. Nowe dziwo: w początkach naszego wieku pierwszy władzca i wojownik żąda od Piusa VII. cesarskiéj korony, a w naszych właśnie oczach, kiedy przeciwnicy zapowiadają bliższy już upadek papieztwa, powtarzają się właśnie najgorętsze objawy miłości dlań i ofiarności. Płyną miliony Świętopietrza, obfitsze jak w X. i XI. wieku, spieszą dzielni ochotnicy przez morza i lądy aby bro-

---

łać się w téj mierze do dwóch autorów prawa publicznego i narodów, uznanych powszechnie za powagi w téj mierze, do Hugona Grociusza i Puffendorfa. Pierwszy mówi (ks. II, roz. 6, § 5): Żadna część państwa nie może prawnie oderwać się od całości, chyba gdyby inaczéj groziła jéj zagłada, gdyż w takim razie powraca wszystko do prawa przyrodzonego". Puffendorf zaś (ks. VII, roz. 7, § 4): Nikt nie zaprzeczy, że poddani monarchy widząc się w ostatecznem niebezpieczeństwie, a bez nadziei że ich obroni, mają prawo poddać się innemu".

Nie zbywa téż dziejom na podobnych przykładach. — Chyba chcielibyśmy zaprzeczyć Polsce legalności nabytku Prus królewskich, które uciskane od Krzyżaków poddały się w XV. stóleciu Kazimierzowi Jagiellończykowi, lub zaprzeczyć podobnego nabycia Inflant w wieku XVI. w skutek dobrowolnego ich poddania się Zygmuntowi Augustowi. Zważmy owszem: że ani stan Prus królewskich pod Krzyżakami, ani Inflant zagrożonych od Rosyi i Szwedów, nie był tak opłakanym i rozpaczliwym, jak stan ludności włoskich w VIII. stóleciu. Dynastya téż Karlowingów dostąpiła współcześnie najwyższéj władzy we Francyi wobec niedołężnych Merowingów dla tego, że co oni zaniedbywali, ona dokonała, przez odepchnięcie nieprzyjaciół zewnętrznych a ustalenie wewnętrznego porządku i bezpieczeństwa. To téż późniejszy Papież św. Zacharyasz wyrzekł wobec Pyppina: „iż słuszną jest rzeczą, aby ten co wypełnia obowiązki i ponosi ciężary najwyższéj władzy, używał téż jéj tytułu i zaszczytów". Zresztą, jeżeli kto, to pewnie ci, którzy wywodzą wszelką władzę od ludu, powinni zadowolnić się najzupełniéj ową podstawą świeckiéj władzy Papieżów.

nić go osobiście i przelewają krew na polach Castel-Fidardo i Mentany, tysiące piór pracują we wszystkich językach dla wykazania praw i potrzeby niepodległości papieża, zewsząd dążą do Rzymu liczne deputacye, aby złożyć u stóp Piusa IX. a dziś Leona XIII. hołdy wierności i współczucia, zewsząd sypią się adresy wyrażające Mu synowską uległość.

Otóż więc, jaki widok przedstawia się owemu bezstronnemu badaczowi, a jeżeli go nie przejmie zdziwieniem, i nie zachęci do głębszego zbadania rzeczywistych podstaw i przyczyn tak osobliwego w świecie zjawiska, to nie wiem zaprawdę, czém może się z większą ciekawością zaprzątnąć.

II.

O! ciernistą jeszcze może przebędzie ów badacz drogę, (jaką przeszły w starym i nowym świecie i za dni naszych krocie ludzi mądrych i uczonych a szczerze i w dobréj wierze prawdy szukających), zanim się przekona: że królestwem Bożém na ziemi jest tylko Kościół katolicki. Wszystkie zaś owe fenomena w dziejach papieztwa są poprostu dziełem czuwającéj nad niém bezustannie Opatrzności. Wtedy dostrzeże trafność onego słowa św. Ambrożego: „*Ubi Petrus ibi Ecclesia*" (gdzie Piotr tam i Kościół), bo w papieżach uwydatniają się naocznie wszystkie cechy prawdziwego Kościoła, będącego z istoty swéj: wiecznotrwałym i niepożytym, jedynym, świętym, powszechnym, wojującym, uczącym, niepodległym i władającym.

Jest piękny utwór znakomitego malarza Führicha, przedstawiający duchowy pochód ludzkości od zalanych łzami pierwszych rodziców, uchodzących z raju przed ognistym mieczem Cherubina, za któremi postępują patryarchowie, prorocy, sędziowie wybranego ludu i jego królowie, aż nareszcie po Janie Chrzcicielu ukazuje się Zbawiciel świata na wozie tryumfalnym, ciągnionym od czterech symbolicznych typów Ewangelistów.

Jestże mniéj uderzającym ów szereg 258 papieżów od galilejskiego rybaka do tego, co tak słusznie nazwanym jest „krzyżem z krzyża", a obecnego „światłem z nieba" 259-go? Szereg olbrzymi jak owa rzeka apokaliptyczna, mężów w bieli, w którym odbijają się XVIII. wiekowe dzieje chrześcijaństwa, wszystkie jego cierpienia, walki, prace, trudy i tryumfy. Owóż niepożyta trwałość téj dynastyi bez ojca i matki, niemającéj ani przodków ani potomków, ale zawsze i ciągle poprzedników i następców, nieznającéj młodości, ale wiecznie świeżéj,

silnéj i kwitnącéj, co przeżyła świat stary i świat średniowieczny, tyle państw i narodów, które w swéj pysze i potędze trzęsąc kolejno światem, miały się za nieśmiertelne. Oto dynastya, co odzywała się tym samym głosem u ich kolebki, jakim przemawiała nieraz do nich, ostrzegając przed ich upadkiem i przemawia dotąd do istniejących. Nie wydaje się wszystko wobec niéj jak cień znikomy, jak smuga, którą zostawia po sobie łódź płynąca po wodzie? A w téj łodzi siedzi ów niepozyty rybak i wznosi się na falach wieków. Nieraz wzdymają się nurty, wzmaga się burza i sroga szaleje nawałnica, już, już zdaje się, że pochłonie łódź i rybaka. Ale on zawsze wypływa na wierzch, i pomny rozkazów swego Pana: „Jedź na głębią“ (Łukasz, r. V. w. 4) zarzuca ciągle swe sieci, przypominając światu arkę Noego i wysyłając gołębie, co znoszą mu zewsząd rószczki oliwne i laurowe, a jak z arki Noego odrodziła się ludzkość, tak z téj jedynie łodzi może wyjść i dziś odrodzenie się skalanego świata.

Znaleziono w rzymskich katakumbach lampę z pierwszych wieków chrześcijaństwa, przedstawiającą łódź, a u steru siedzącego Piotra, co jedną ręką trzyma wiosło, a drugą do błogosławienia podnosi. Z jednéj strony napis: „Piotr nie umiera“, z przeciwnéj: „modliłem się za ciebie“. Trudno zaprawdę o piękniejszy symbol papieztwa, gdyż jest lampą, co światłem swojém rozwidnia ciemności, jest sternikiem łodzi, z któréj Chrystus Pan lubił lud nauczać, a płynąc przez wieki, błogosławi po kolei wszystkim pokoleniom.

Powiem śmiało, że wszystkie dzieję wydają się mdłemi wobec dziejów papieztwa, będąc ciągłem powtórzeniem tych samych mniéj więcéj kolei losu, wzrostu, przesilenia i upadku. Wszystkie dynastye są wędrowcami, co rozbiwszy na chwilę swój namiot, zwijają go znów i nikną na zawsze. Cóż znaczy wobec szeregu papieżów trwałość nawet najdłuższych z nich? Sięgając aż do starego świata, bez względu na przesadną nieraz bajeczność i liczne wątpliwości w tym względzie, toć według najznakomitszych chronologów, panowało n. p. w Egipcie od r. 2965 przed Chrystusem do czasu zajęcia go przez Cambizesa (525) przez lat 2440 aż 26 dynastyi, a odtąd do Aleksadra Wielkiego (332 przed Chystusem) władał szereg królów tylko lat 193, od Aleksandra zaś do Rzymian (30 przed Chrystusem) lat 302. W Chinach liczą powszechnie od roku mniéj więcéj 2200 przed Chrystusem do naszych czasów w ciągu lat 4070 aż 22 dynastyi. Królowie dawnéj Assyryi z niejednéj zapewne dynastyi, władali nią od r. 2640

do 700 przed Chrystusem przez lat 1459, a wszystkie inne dynastye wschodu nierównie króciéj. Toż powiedzieć o królach dawnéj Grecyi. Macedońscy, choćbyśmy zaczęli liczyć ich od Heraklidów, mieli wymierzony sobie czas od r. 887 do 148 przed Chrystusem, lat 739. W domu Juda trwało berło żydowskie od Dawida (1040) do Heroda (38 lat przed Chrystusem) lat 1002. Każdy zaś wie, jak krótko panowali pierwsi królowie Rzymu, i jak różnego pochodzenia byli jego cesarze.

O cesarzach państwa zachodniego równie jak o królach Longobardów zaledwie tu warto wspominać. Cesarze bizantyńscy od Arkadyusza (395) do upadku Carogrodu (1453) byli z najrozmaitszych domów, a państwo to trwało ogółem lat 1058. Podobnie i cesarze niemieccy od Króla Wielkiego (800) do Franciszka II. (1806) przez lat mało co więcéj jak 1000 z różnych pochodzili dynastyi. Najdłuższa z nich Habsburgska, kwitnęła w Niemczech, Austryi i Hiszpanii od r. 1273 do 1780, przez lat 507, a najdłuższa podobno w nowych dziejach jest dynastya Sabaudzka od 1014, więc już lat 858 trwająca; po niéj, zdaje się, idzie polska dynastya Piastów od roku mniéj więcéj 850 do 1370 przez lat około 520. Wszystkim innym dynastyom we Francyi, Anglii, Szkocyi, Hiszpanii, Portugalii, Skandynawii, Węgrzech i t. d. nie został wymierzony czas dłuższy nad dwa do czterech wieków. A szereg papieżów obejmuje od założenia Stolicy Piotrowéj w Rzymie w r. 42, już lat 1840.

Warto powtórzyć tu słowa znakomitego dziejopisarza i męża stanu Lorda Macaulay'a wyrzeczone przed dwudziestu laty: „Żadna oznaka nie zapowiada bliskiego kresu tego długiego władztwa. Papieztwo widziało początki wszystkich istniejących dziś rządów, — i nie odważylibyśmy się twierdzić, że nie ujrzy ich końca. — Było już wielkiém i poważném, zanim Anglo-Sassy stąpili na ziemię Wielkiéj Brytanii, zanim Franki przebrodzili Ren, kiedy kwitnęło jeszcze w Antyochii krasomówstwo, kiedy w świątyni Mekki czczono jeszcze bałwany. Może więc być jeszcze wielkiém i poważném wtedy, gdy jakiś podróżnik z Nowéj Zelandyi zatrzymawszy się wśród rozległego pustkowia, oprze się o jeden ze skruszonych już łuków mostu londyńskiego, aby odrysować ruiny katedry św. Pawła“.

Ba! (powie może któryś ze znanych nam dzisiejszych niby postępowców) inaczéj mówiłby o tém Lord Macaulay dzisiaj, kiedy papież ograniczony już jest do Watykanu, nie różni się o wiele od każdego innego biskupa, a Rzym stał się stolicą oswobodzonych Włoch! Odpo-

wiem: że mądry i uczony Anglik nie płytko sądził o rzeczach i nie dawał się oślepiać blichtrem pozorów. Przypomniałby sobie łatwo wszystkich papieżów, co zmarli na wygnaniu lub byli ogołoceni ze swych państw, jak Grzegorz VII. Pius VI. i VII. Pamiętacie ową monetę Dyoklecyana? Wiecie, kiedy mówiono znów głośno i bez ogródki o upadku i zagładzie Kościoła? Wszak już w V. wieku pisał św. Augustyn: Nasi nieprzyjaciele twierdzą, że Kościół już wymiera i imię jego gaśnie, bo nadchodzi czas, kiedy nie będzie ani jednego chrześcijanina. Lecz gdy oni tak mówią, sami po jednemu wymierają, a Kościół żyje daléj i opowiada moc Bożą każdemu następującemu pokoleniu".

Gdy uwięziony w r. 1798 we Francyi Pius VI. prosił, aby mu dozwolono umrzeć w Rzymie, odmówił mu to ówczesny dyrektoryat szydząc z téj „próżności" arcykapłana, co „pragnie mieć grób między teokratycznymi tyranami w kościele Piotra". Bonaparte dowiedziawszy się w 1799 o jego zgonie w Walencyi, zawołał: „No, już nie będzie nigdy potrójnéj korony!" A Republikanie wyprawiali wesołe pogrzebowe uczty i wznosili toasty na zgon papieztwa. Pius VI. zaś umierał, mówiąc: „żyje Chrystus! Stolica Piotrowa zwycięży". I właśnie ów dyrektoryat w niewiele tygodni po jego zgonie (20 sierpnia) został (10 listopada) wyzutym z téj władzy, którą z hańbą i poniżeniem dla Francyi piastował. I oto wstąpił niebawem na Piotrową stolicę Pius VII. (1800), a gdy i tego uwięził i pozbawił (1809) państwa przemożny despota, co dekretował z Schönbrunu, że: „doczesna władza papieżów już ustała" a 1811 nazwał syna „królem rzymskim", któż upadł, czy papież, czy ówczesny pan świata? Papież wyszedł z więzienia na tron, on zeszedł z tronu do więzienia. I Pius VII. i dwaj jego następcy Leon XII. i Pius VIII. znaleźli zaszczytny grób w Kościele św. Piotra, kiedy jeszcze zwłoki Napoleona leżały w pustym zakątku wyspy św. Heleny, a wkrótce po wstąpieniu na tron Grzegorza XVI. zmarł w tym samym Schönbrunie ów biedny król Rzymski.

Poszukajcie dziś w Anglii grobu, zmarłego na wygnaniu Napoleona III. co dozwolił w 1860—70 zagrabić Piusowi IX. jego dziedzinę!

Oto nauki historyi! — Wszystkie zadawane ciągle papieżom razy, są tylko ustawicznym dowodem niepokonanéj ich żywotności, są „stygmatami" świadczącemi o boskości ich posłannictwa.

Rozważając nieprzerwaną jedność długiego pasma papieżów, uderza najprzód jak nieznacznemi są ich interregna w porównaniu z bezkrólewiami innych państw, gdzie był także tron obieralny, jak n p. w dawnych Niemczech i Polsce. Uderza to tém bardziéj, że osierocenie św. Stolicy przypadało nieraz na czasy bardzo zawichrzone, a tak ważny i brzemienny w skutki wypadek, jak wybór nowéj głowy Kościoła, wywoływał częstokroć silne objawy ambicyi lub zawiści, intrygi możnowładzców i energiczne występowanie różnych monarchów. Zresztą sam proceder tego wyboru był przez pierwszych przeszło 1000 lat wielce różnym i bardziéj skomplikowanym jak późniejszy i dzisiejszy, — bo aż do r. 1059 miało udział w tym wyborze całe miejscowe duchowieństwo, rzymski senat czyli magistrat i lud; a dopiero w rzeczonym roku zastrzegł sobór rzymski za Mikołaja II. prawo to wyłącznie kardynalskiemu kollegium. Otoż mimo tylu trudności w ciągu lat 1780 t. j. od śmierci św. Piotra (67) do wstąpienia na tron Piusa IX. (1846) i Leona XIII. (1878), wszystkie interregna zaledwie przechodzą lat 30. Nieraz nie było nawet żadnego, bo nowy wybór został uskutecznionym w sam dzień śmierci papieża lub nazajutrz, jak mianowicie po Adryanie I. (795), po Honoryuszu II. (1130), Anastazym IV. (1154), Lucyuszu III. (1185), Urbanie III. (1187), Klemensie III. (1191), Celestynie III. (1198) i Honoryuszu III. (1227). Bardzo często trwało interregnum tylko kilka lub kilkanaście dni, jak Leona XIII. dłuższe nad miesiąc należą już do wyjątków. Najdłuższe zaś trwające rok lub więcéj były tylko następujące:

po św. Grzegorzu VII. (1085) rok;
„ Celestynie IV. (1341) rok, 8 miesięcy, 17 dni;
„ Mikołaju IV. (1292) dwa lata, 3 miesiące, 2 dni;
„ Klemensie IV. (1269) dwa lata, 9 miesięcy, 2 dni.
„ Klemensie V. (1314) dwa lata, 5 miesięcy, 17 dni;

W dwóch wypadkach liczą się, nawet w rzymskim urzędowym diaryuszu, do papieżów mężowie sprawujący najwyższą w Kościele władzę za życia prawych papieżów, którzy atoli nie mogli jéj wykonywać, wszakże za ich pozwoleniem; mianowicie:

a) Św. Feliks II. co zastępował przez dwa lata (355 do 357) papieża Liberyusza, wygnanego przez cesarza do Francyi, po którego jednak powrocie oddał mu władzę i sam skończył męczeńską śmiercią na wygnaniu (358).

b) Eugeniusz I. którego wybrano w 654 w zastępstwie uwiezionego do Chersonu (Krymu) św. Marcina I. a gdy ten zmarł tamże

w 655, nie poczytano za potrzebny nowy wybór, i Eugeniusz panował daléj jako papież do śmierci (657).

Wszakże Baroniusz i inni niektórzy pisarze dziejów kościelnych poczytują tych obudwu jedynie za generalnych wikaryuszów papieztwa.

III.

Kościołowi przysłuża z jego natury i powołania władza, więc ta musi być także cechą i niezbędnym warunkiem papieztwa. Że owszem, nie mogą papieże obejść się bez zupełnéj niepodległości doczesnéj, aby módz spełniać wysokie swe posłannictwo w nowszym składzie społeczeństwa i ustroju świata w obec państw i narodów, w obec przewagi i polityki z góry, a różnych namiętności i zachcianek z dołu, to uznały już niejednokrotnie najpierwsze nie tylko katolickie ale i protestanckie bezstronne umysły, uznali uczeni, prawnicy, zawołani politycy, mężowie stanu, uznali głośno zgromadzeni w wielkiéj liczbie biskupi całego świata.

Tak mówił w XVII. wieku wielki Bossuet (w rozprawie o jedności Kościoła): „Bóg, który chciał, aby ten Kościół, wspólna matka wszystkich królestw, nie był nigdy zależnym w rzeczach doczesnych od żadnego z nich, i aby stolica, z którą wszyscy wierni mają zostawać w jedności, była wyniesioną nad wszelkie postronne względy, co mogłyby wywołać różne starcia i zawiści państwowe, założył podstawy téj wielkiéj budowy ręką Pepina i Karola Wielkiego. Szczęśliwym jest to owocem ich szczodrobliwości: że Kościół niezawisły w swéj głowie od żadnéj władzy doczesnéj, może sprawować dla dobra powszechnego swobodnie i pod łączną opieką chrześcijańskich królów ową z nieba użyczoną władzę rządzenia duszami, i że dzierżąc w ręku swém na równi szalę pośród tylu państw częstokroć nawzajem sobie nieprzyjaznych, utrzymuje jedność w całém ciele bądź przez nieugięte wyroki, bądź przez roztropne miarkowanie“.

Znany współczesny mu autor historyi kościelnéj Fleury, lubo w wielu rzeczach Gallikanin, tak wyraża się o tém (T. 16 rozpr. IV. №. 10): „Dopóki istniało państwo rzymskie, obejmowało w przestronnych swych granicach całe niemal chrześcijaństwo. Jeżeli papieże mieli wtedy pana doczesnego, to ten był panem całego świata. Ale odkąd Europa jest podzieloną na tyle niezawisłych nawzajem od siebie mocarstw, gdyby papież był poddanym któregobądź z nich, możnaby się obawiać, że inni wahaliby się uznawać go wspólnym Ojcem, a ztąd

oderwania stałyby się częstémi. Godzi się więc upatrywać szczególne zrządzenie Opatrzności w tém, iż papież jest niepodległym, a władzcą państwa dość znacznego, aby nie być snadnie uciśnionym od innych monarchów, a módz sprawować swobodniéj swą władzę duchowną utrzymywać łatwiéj innych biskupów w karbach obowiązku“.

Wielki myśliciel Montesquieu (o duchu praw ks. 80, roz. 5) woła: „Niech wam będzie świętą i nienaruszalną starożytna i niezbędna doczesna dziedzina Kościoła, niech będzie jak on sam stałą i wieczystą“.

Napoleon będąc jeszcze pierwszym konsulem tak wyrażał się o doczesnéj władzy papieżów (Thiers w historyi konsulatu i cesarstwa): „Instytucya utrzymująca jedność wiary, to jest papież, strażnik jedności katolickiéj, jest zaiste godną podziwienia! Zarzucają mu że jest obcym monarchą! Jest nim istotnie, lecz właśnie za to należy niebu dziękować. Papież jest w Rzymie, i tak właśnie dobrze; nie jest on ani w Madrycie, ani w Wiedniu, i dla tego znośną nam jest duchowna jego władza. W Wiedniu, w Madrycie, mówią tak samo z téjże wychodząc zasady. Gdyby był w Paryżu, czyż możnaby przypuścić, że Wiedeńczycy i Hiszpanie poddawaliby się łacno jego wyrokom? Jest to więc dla wszystkich wielkiém szczęściem, że przebywając po za wszystkiemi, nie jest u współzawodników; że zamieszkuje ów starożytny Rzym, gdzie nie dosięgnie go ani ramię cesarzów niemieckich, ani królów francuzkich lub hiszpańskich i trzyma tam szalę między monarchami katolickimi. Wieki to zdziałały, i dobrze uczyniły. Dla władania duszami jest to najlepsza i najdobroczynniejsza instytucya, jaką można sobie wyobrazić: a nie utrzymuję tego z zaciętości pobożnisia, ale na podstawie wyrozumowanego poglądu“.

Znakomity autor „Historyi Innocentego III“ Frydryk Hurter protestant mówi: „Bezpieczeństwo kraju i miasta, zkąd papież ma czuwać nad całością i utrzymaniem Kościoła we wszystkich innych stronach, jest jednym z kardynalnych warunków, aby mógł wypełniać obowiązki tak wzniosłego stanowiska. Jakżeby istotnie zdołał unosić się nad tyloma tak różnorodnemi stosunkami, udzielać rady i pomocy, rozstrzygać niezliczone sprawy wszystkich kościołów, czuwać nad rozkrzewianiem królestwa Bożego, odpychać najazdy na wiarę i przemawiać swobodnie do królów i ludów, gdyby nie był swobodnym we własnym domu, gdyby spiski złowrogie zmuszały go skupiać na własne państwo wzrok mający ogarniać świat cały, gdyby musiał walczyć

o własny byt i niezawisłość, lub szukać w ucieczce opieki i przytułku u obcych?“

Ludwik Napoleon zostawszy w 1848 prezydentem Rzeczypospolitéj, pisał do nuncyusza: „Władza doczesna czcigodnéj głowy Kościoła jest najściśléj związaną ze świetnością katolicyzmu, równie jak z wolnością i niepodległością Włoch“.

Gdy zaś w roku następującym rozbierano w Izbie francuzkiéj, azali należy nieść pomoc papieżowi przeciw rewolucyi co Rzym opanowała, powiedział Thiers między innemi: „Jedność katolicka byłaby niedopuszczalną, gdyby najwyższy pasterz, który ją utrzymuje, nie był najzupełniéj niepodległym, gdyby w dziedzinie, którą przekazały mu wieki, a wszystkie narody zachowały, inny jaki władca, bądź książę, bądź lud, chciał mu dyktować prawa. Dla najwyższéj głowy Kościoła nie masz innéj niepodległości, jak tylko władza monarsza. Oto zadanie pierwszorzędne, które powinno przygłuszyć wszelkie względy uboczne; jak w każdém państwie góruje interes publiczny nad wszystkiemi sprawami prywatnémi“.

Pojął to nawet dobrze ówczesny angielski minister lord Lansdowne, gdy rzekł wtedy w parlamencie: „Każde państwo mające poddanych rzymsko-katolickich, jest interesowane w utrzymaniu państwa kościelnego i powinno czuwać nad tém, aby papież mógł sprawować rządy bez przeszkody od wpływów doczesnych, mogących narazić jego władzę duchowną“.

Komu zaś i dla czego zależało i dotąd zależy na upadku owéj doczesnéj władzy, z tém wygadał się najprzód król pruski Fryderyk II. w poufnym liście do Woltera: „Pomyślą kiedyś o łatwym zaborze państw papiezkich, a wtedy naszym jest paliusz i komedya skończona. Bo gdy żaden z władzców europejskich nie zechce uznawać namiestnika Chrystusowego w poddanym obcego monarchy, ustanowi każdy dla własnego państwa osobnego patryarchę. A tak pomalutku odstrychnie się każdy od kościelnéj jedności i na tém skończy, że będzie miał u siebie osobną religię, jak ma osobny język“.

Nie tak dawno powiedział jeden z rewolucyonistów piemontskich: „że zniesienie władzy doczesnéj papieża, łatwiéj doprowadzi lud do odstąpienia religii“.

Żadne wszakże z przytoczonych wyżéj zdań nie ma w téj ważnéj sprawie tyle powagi i znaczenia, jak głos zgromadzonych w roku 1862 w Rzymie (po dokonanych pierwszych na Piotrową dziedzinę zamachach) 265 biskupów, który niewątpliwie za wyraz przekonań

całego katolickiego świata poczytać należy. Oto słowa, które czytamy między innémi w adresie podanym od nich 8 czerwca t. r. Ojcu świętemu:

„Zaiste uznajemy, że panowanie doczesne Stolicy świętéj jest koniecznością i że zostało ustanowione widocznem zrządzeniem Boskiéj Opatrzności: nie wahamy się oświadczyć, że w obecnym składzie rzeczy ludzkich jest ono niezbędném dla dobra Kościoła i dla swobodnego zarządu duszami. Trzeba było koniecznie, aby papież rzymski, głowa całego Kościoła, nie był ani poddanym, ani nawet w gościnie u żadnego panującego, ale aby siedząc na własnym tronie i władając własném królestwem, nie uznawał innego prawa jak swoje, i mógł z zaszczytną, spokojną i łagodną wolnością opiekować się wiarą katolicką, rządzić i zawiadywać całą Rzecząpospolitą chrześcijańską. Któż może bowiem zaprzeczyć, jak w obec ustawicznego ścierania się rzeczy, zdań i instytucyi ludzkich, potrzebném jest w środku Europy miejsce święte, utwierdzone między trzema lądami starego świata, stolica dostojna, zkąd podnosi się kolejno do ludów i do panujących głos wielki i potężny, głos sprawiedliwości i swobody, bezstronnéj i bez uprzedzeń, nie ulegającéj żadnemu postronnemu wpływowi, który nie może być ani stłumionym obawą, ani obałamuconym podstępami? Jakże więc zdołaliby pasterze Kościoła, dążący tu ze wszystkich części świata, przedstawiciele wszystkich ludów i krajów, przybyć tu bezpiecznie dla roztrząsania wraz z Waszą Świątobliwością spraw najważniejszych, gdyby byli zastali tu jakiego bądź innego władzcę panującego nad témi brzegami, któryby podejrzywał ich własne rządy, lub któregoby te podejrzywały o nienawistne im zamiary. Istnieją zaprawdę obowiązki religijne, są i obywatelskie, bynajmniéj z sobą nie sprzeczne, lecz odrębnéj przecież natury. Jakżeby mogli biskupi ich dopełniać, gdyby nie górowała w Rzymie władza doczesna taka, jaką jest właśnie papiezka, nie zawisła od żadnéj obcéj władzy, punkt środkowy powszechnéj zgody, nie znająca żadnych pożądliwości, ludzkiéj ambicii, nie gromadząca sił dla ziemskiéj przewagi? Swobodnie przybyliśmy do papieża króla pasterze w sprawach Kościoła, obywatele wylani dla dobra i pomyślności własnéj ojczyzny, nie uwłaczając w niczém ani obowiązkom pasterza ani obowiązkom obywatelstwa. A gdy tak jest, któżby śmiał nastawać na tę władzę monarszą, tak starożytną, opartą na takiéj powadze i na takiéj sile rzeczy? Któryż inny tron da się z nią porównać, choćby nawet tylko ze stanowiska ludzkiego prawa publicznego, na którém opiera się przecież bezpie-

czeństwo panujących i swoboda narodów? Któraż władza jest równie szanowaną i świętą? Któryż monarcha lub Rzeczpospolita z wieków ubiegłych lub czasów obecnych, może poszczycić się podstawami tak świetnemi, tak dawnemi, tak nienaruszalnemi? Gdyby to prawo pogwałcono i zdeptano, w obec Stolicy Apostolskiéj, któryż monarcha byłby pewnym swéj korony, któraż Rzeczpospolita swych granic? Walcząc więc o to Ojcze święty, walczysz wprawdzie za religię, lecz walczysz oraz za sprawiedliwość i te prawa, co są podwalinami wszystkich ludzkich instytucyi".

Uznając daléj zasadę, że „państwo papiezkie do wszystkich katolików należy, a zatém jest i wszystkich ich interesem ochraniać je i utrzymywać", przypominają, jak w XV. wieku podczas dłuższego opróżnienia św. Stolicy, Ojcowie Soboru konstancyjskiego administrowali łącznie te posiadłości „jako wspólną własność całego Kościoła", i kończą usilną prośbą, „aby Pius IX. nie ustawał w bronieniu ich do upadłego, bo zanoszą tę prośbę nie tylko w imieniu wszystkich wiernych, ale i całego cywilnego społeczeństwa, przeświadczonego o tém: że obalenie téj doczesnéj władzy, zachwiałoby podstawami własnego jego bytu".

Zaprawdę! jeżeli papieztwo jest węgielnym kamieniem Kościoła, a do sprawowania swej władzy potrzebuje niezbędnie doczesnéj niepodległości, toć oczywista, że na utrzymaniu jéj wszystkim katolikom w najwyższym stopniu zależy. Skoro ktoś inny włada w Rzymie, toć może łatwo krępować dowolnie wszystkie działania papieża na zewnątrz, i nie tylko ów władzca ale i każdy nawet jego zastępca, czy to minister czy namiestnik, może kontrolować wszystkie jego kroki, może niedopuścić wysyłania legatów, zgromadzania Soborów, podchwytywać ekspedycye i akta, a papieżowi dla braku nawet materyalnych środków, byłaby nieraz odjętą możność sprawowania duchownéj władzy we wszystkich częściach świata.

Załączam tu ciekawy list z Rzymu w téj kwestyi i kilka jeszcze nader ważnych uwag.

LIST Z RZYMU.

L. G. do A. E. O.

Rzym, d. 7 maja 1876 r.

Po trzytygodniowym pobycie opuszczamy Rzym jutro. Okoliczności familijne wymagają powrotu mego do kraju. Zbieram zatém w pa-

mięci fakta i wrażenia co najważniéjsze, aby raz jeszcze ztąd do ciebie, Szanowny Panie, napisać, zwłaszcza o tych rzeczach i stosunkach, które postać Rzymu, jakim go dawniéj znałeś, zmieniły. Góruje po nad wszystkiemi tego rodzaju faktami zmiana zaszła w położeniu politycznem papieztwa i w stosunkach papieża do swojéj stolicy. Położenie to, burzące porządek rzeczy uroczystémi nadaniami przyznany, tysiącem lat utrwalony i prawami Kościoła katolickiego uświęcony, tak jest sprzeczne z tradycyą tego miasta, wywołuje stosunki tak naprężone nie tylko między papieżem i dzisiejszym rządem włoskim, ale nawet między samymi mieszkańcami Rzymu, iż wątpię bardzo, aby długo przeciągnąć się mogło. Wiek sędziwy i nadzwyczajna osobista powaga Piusa IX., która nawet w najzaciętszych przeciwnikach budzi cześć i uszanowanie, przyczyniają się wielce do utrzymania w granicach jakiéjkolwiek przyzwoitości tego anormalnego stosunku, o którym w oddaleniu, w jakiém się kraj nasz znajduje, właściwego pojęcia i sądu nie mamy. Co późniéj będzie? przewidzieć nie podobna; to tylko pewna, że łódź Piotrowa nie zatonie w poruszonych do głębi falach społecznego i politycznego morza. O tém więc położeniu pragnę z tobą, Szanowny Panie, pomówić, o ile się da w ciasnych ramach tego listu.

Znane są koleje papieztwa w historyi; jego męczeństwa i walki, przygody i tryumfy, chwilowe poniżenia i upadki, po których zawsze następował nowy wzrost wpływu i znaczenia.

Widzieliśmy 30-tu papieży w nieprzerwaném po św. Piotrze następstwie, śmierć męczeńską w obronie wiary i praw Kościoła ponoszących; wielu innych po więzieniach i na wygnaniu umierających. Widzieliśmy ich upadlanych i poniżanych: Marcela zamiatającego stajnie cesarza Maksencyusza, Marcina z powrozem na szyi oprowadzanego po ulicach Konstantynopola; potężnego nawet Grzegorza VII. umierającego na wygnaniu w Salernie. Widzieliśmy ich obleganych w zamku ś-go Anioła, a stolicę Kościoła przeniesioną do Awinionu. Nie sięgając nawet tak odległych czasów, widzieliśmi w ciągu bieżącego stulecia Piusa VI. umierającego na wygnaniu w Walencyi, Piusa VII. więzionego w Fontainebleau, samego nawet Piusa IX. szukającego schronienia przed rewolucyjną burzą w Gaecie. Z tych wszystkich walk, męczeństw i prześladowań, papieztwo ręką Opatrzności prowadzone, wychodziło otoczone nowym blaskiem cnoty i znaczenia. Ale położenia takiego, w jakiém obecnie papież w Rzymie się znajduje, nie widzieliśmy dotąd, ani o niém słyszeli; niemniéj przekonani

jesteśmy, że ciężka obecna próba obróci się znowu na korzyść wiary i Kościoła. Cofnijmy się myślą na chwilę w przeszłość, aby dzisiejsze położenie lepiéj wyjaśnić.

Drogami poświęcenia i wytrwałości, wytworzyła się na łonie dziejów najdawniejsza i najpoważniejsza dynastya Piotrowéj stolicy. „Widziała ona, — powiada Macaulay, — początek wszystkich rządów i wszystkich instytucyj duchownych, i jest przeznaczona widzieć ich koniec. Była już wielką i szanowaną, nim pierwszy Saksończyk stanął na ziemi Wielkiéj Brytanii, nim Frankowie Ren przebyli, kiedy wymowa grecka kwitła w Antyochii, kiedy stawiano bożyszcza w świątyniach Mekki, i istnieć będzie w całéj swojéj sile wonczas jeszcze, kiedy podróżnik z Nowéj Zelandyi przybyły, usiądzie wśród rozległéj i samotnéj pustyni na połamanym łuku mostu Londyńskiego, aby zdejmować rysunek z ruin Kościoła ś-go Pawła“. Długie i prawie nieustanne walki papieztwa z władzą świecką, pod jaką bądź formą istniejącą, czy z cezarami wschodnimi i niemieckimi, czy z baronami i wassalami swymi, czy nawet z Rzeczamipospolitemi włoskiemi, przedstawiały zawsze walkę pierwiastku duchowego w społeczeństwie z uroszczeniami materyalnéj potęgi. Kto téj cechy nie widzi, lub widzieć nie chce, kto wśród zmiennéj tych walk kolei nie widzi nieustannéj dążności do zdobycia i utrwalenia niezależności władzy duchownéj i wyróżnienia jéj od władzy świeckiéj nad doczesnemi sprawami panującéj; kto przywiązując się do pewnych faktów lub błędów, z nieodłącznéj od ludzkiéj natury ułomności pojedynczych osób wynikających, walki te ocenia pospolitą rzeczy ziemskich miarą, widzi w nich tylko pobudki ambicyi i żądzę panowania: temu rozwój dziejowy chrześcijaństwa i Kościoła katolickiego będzie zawsze nierozjaśnioną zagadką, albo co gorsza tematem do zaciemnienia prawdy i obałamucania jasnych i zdrowych pojęć. Walki te są w treści swojéj téj saméj natury, jakie w każdym wykształconym człowieku między duszą jego a ciałem nieustannie się prawie odbywają. Z jednéj strony porywy ducha ku nieskończoności, ku ideałom prawdy i cnoty, różnemi a często niejasnémi drogami do zapanowania nad ciałem dążące; z drugiéj ziemska powłoka, ze wszystkiemi jéj potrzebami i wymaganiami, nie rzadko przechodzącemi w namiętności przytłumiające głos i prawa nieśmiertelnego ducha naszego. Ten dualizm tak widoczny i niezaprzeczony, który jedynie wiara i nauka Chrystusa do zgody i harmonii doprowadzić mogą, odbić się musiał w pracowitym i trudnym układzie stosunków, między duchowną a świecką władzą w społeczeństwie. Wypadkiem téj walki było utworzenie i utrwalenie władzy świeckiéj papieży nad Rzymem, w celu zapewnienia niezależności duchownéj ich władzy. Potrzebę tę uznały rządy europejskie i uznawają ludzie uczciwi wszelkich barw politycznych. Republikanin Odillon Barot powiedział w zgromadzeniu narodowém francuzkiém, że potrzebne jest połączenie dwóch władz, duchownéj i świeckiéj, w państwie kościelném, aby władze te gdzieindziéj rozróżnione być mogły.

Dzisiejsza walka papieztwa z rządem piemonckim nie ma téż innego celu. Piemont, zabrawszy różne części Włoch podstępnie i zbiegiem okoliczności oraz Napoleona III-go pomocą, zapragnął Rzymu na stolicę nowego państwa. Stronnictwo rewolucyjne świata całego, dążące do obalenia Kościoła, jako głównéj podpory porządku społecznego, w lot skorzystało z nadarzonéj sposobności, i połączywszy się z rządem piemontskim, zajęło wbrew traktatom Rzym, w przekonaniu, iż odbierając władzę świecką, podkopie hierarchiczną budowę, na któréj Kościół się opiera. Omylone zostały te rachuby. Papież obdarty z władzy świeckiéj, otoczony jest czcią i miłością katolików, a nic ze swoich praw nie odstępując, protestuje uroczyście przeciw ich pogwałceniu. Tym sposobem uśpiona przez czas niejaki walka, na nowo rozpoczętą została; ale tym razem w warunkach tak dalece odmiennych, tak zupełnie nowych i dotąd nieznanych, a przytém ma ona charakter tak dla przyszłości cywilizowanego świata niebezpieczny, iż żaden chrześcijanin obojętnym być na jéj los nie może.

Papież zamieszkuje w Watykanie, niby wolny ale moralnie uwięziony. Miasto całe, na które Pius IX. z okien górującego nad niém pałacu codziennie spogląda, jest w posiadaniu władzy nienawidzącéj Kościoła i religii. Władza ta z każdym dniem się utrwala, cicho i z niesłychaną zręcznością zapuszcza korzenie w społeczeństwie, schlebiając chwilowym upodobaniom i błędom opinii, podniecając brudne zachcenia i namiętności. Pius IX. słyszy codziennie głosy obrzucające oszczerstwem i zniewagą jego zamiary i postępki; patrzy na ogałacane z funduszów kościoły i wszystkie duchowne instytucye, w których mieścił się pod odpowiedzialnością Jego sumienia, kierunek najobszerniejszego, bo przeszło 200 milionów ludności obejmującego społeczeństwa; czyta codziennie prawa i dekreta zaprowadzające w stolicy katolickiego świata zasady bezwyznaniowości i tego kłamanego nowoczesnego liberalizmu, którego ostatnim rezultatem jest umorzenie swobody ducha, cześć dla siły i powodzenia. Dla odparcia tego stanu rzeczy, dla obrony swojéj czci i swego honoru, dla obrony zasad, któ-

re przedstawia, dla obrony Kościoła, którego jest głową i stróżem, papież nie ma innéj broni prócz modlitwy, nie ma innego środka prócz własnego głosu. On sam doskonale opisał to szczególne położenie w jednéj z mów swoich, w kilka miesięcy po zajęciu Rzymu wypowiedzianéj do mieszkańców, którzy mu hołdy wierności złożyć przyszli. Przypomniawszy ewangelię dnia tego (było to 17-go grudnia 1870 r.), w któréj Faryzeusze pytają Ś-go Jana Chrzciciela: Kto jesteś? *Tu qui es*? i stosując pytanie to do położenia swojego, powiedział Pius IX. te słowa:

„Nié jestem ani na puszczy, ani w więzieniu w ścisłém znaczeniu wyrazu, bom na klucz niezamknięty, ani straż drzwi moich strzeże; jestem jednak moralnie uwięziony, bo niepodobnaby mi było wyjść ztąd bez narażenia na obrazę osoby i godności mojéj. Tak jest, nie jestem ś-tym Janem Chrzcicielem; a jednak mogę powtórzyć to, co on pytającym go odpowiedział: *Ego sum vox*. On był głosem wołającym na puszczy, *vox clamantis in deserto;* ja jestem głosem wołającym z Watykanu, *ego vox clamantis de Vaticano*. Pozostaje mi tylko pióro i głos mój. Używać będę nieustannie jednego i drugiego. Używać będę pióra aby przemawiać do świata pismami mojemi; używać będę głosu, aby tym przyrodzonym organem przemawiać do poczciwego ludu rzymskiego i wszystkich wiernych, z jakiéjbądź strony świata do mnie przybywających. Używać będę pióra i głosu, aby wołać i protestować bezustannie przeciw kłamstwu, zepsuciu i bezbożności... Tak jest, mogę i ja także powiedzieć, że jestem głosem, ponieważ jakkolwiek niegodny, jestem jednak Namiestnikiem Chrystusa, a ten głos, który brzmi teraz w uszach waszych, jest głosem Tego, którego na ziemi przedstawiam".

W tych słowach zamyka się cała prawda dzisiejszego położenia Ojca św. Materyalnie jest On tylko głosem wołającym. Władzy politycznéj żadnéj, pomocy materyalnéj znikąd; ale głos ten roznosi echo od jednego końca świata do drugiego. Jedni słuchają go ze czcią i uwielbieniem, drudzy z gniewem i oburzeniem, nikt obojętnie.

Powie zapewne niejeden, że położenie to nie jest bynajmniéj nowe, że władza świecka papieska jest utworem późniejszych wieków, że po wyswobodzeniu Kościoła przez Konstantyna Wielkiego, cesarze zachodni i wschodni, a późniéj Karol Wielki i niemieccy cesarze byli panującymi w Rzymie, że zatém dzisiaj papieztwo znajduje się w tém samém co wówczas położeniu, z którém się oswoić i do którego nagiąć się powinno. Uwaga ta często powtarzana, nie ma słusznéj podstawy. Panowanie cesarzów ówczesnych było więcéj tytularne niż rzeczywiste, tak dalece, że od czasu Konstantyna Wielkiego, żaden z nich stolicy swojéj w Rzymie nie obierał. Cesarze zachodni mieszkali w Medyolanie; wschodni, przebywając w Konstantynopolu, mieli tylko egzarchów w Rawennie; królów longobardzkich stolica była w Pawii; bo czuli wszyscy i przewidywali, że obok powagi papieskiéj nie było w Rzymie miejsca dla ich tronu. Reprezentantem władzy cesarskiéj w Rzymie był konsul, który składał przysięgę wierności i hołd posłuszeństwa papieżowi, a rozstrzygał tylko sprawy kryminalne, ku czemu odbierał od cesarza miecz, jako godło władzy przeciw złoczyńcom, zbrodniarzom i innym przestępcom. Karol Wielki, gdy przybył do Rzymu, aby przez papieża Adryana być koronowanym, na kolanach wchodził do Watykańskiéj bazyliki i każdy jéj stopień całował; Otton Wielki przed koronacyą swoją złożył dobrowolnie papieżowi przysięgę: że na jego życie i cześć nigdy godzić nie będzie, że nie dopuści, aby ktokolwiek bez pozwolenia papieża w Rzymie zarządzał, i że zwróci mu wszystkie części dziedziny ś-go Piotra, jeżeliby kiedykolwiek w jego ręce dostać się miały. Przyrzeczenia te powtarzali jego następcy: Ottonowie II. i III. i Henryk II. Fakta te malują usposobienie religijne ówczesnych władzców i charakter epoki. Słusznie też Rohrbacher powiada, „że u wszystkich narodów ówczesnych, pierwszém prawem i ogniwem społeczném było wyznanie katolickiéj wiary". W ten sam sposób zapatruje się na to wcale nieklerykalny Villemain w historyi Grzegorza VII. „Kluczem do zrozumienia historycznych zadań owéj epoki, powiada on, jest pierwszeństwo węzła religijnego nad wszelkiemi innemi". W takiém usposobieniu władza cesarzów nad Rzymem w zasadzie swojéj służyć miała za ochronę władzy papiezkiéj, a tytuł „rzymskich" był pozostałością starożytnéj epoki, przechowaną dla nadania większéj powagi i uroku ich władzy. Rzeczywistym władzcą Rzymu od Konstantyna Wielkiego był papież. Wśród niewyrobionych pojęć społeczeństwa nieokrzesanego, opieka ta dawała wprawdzie powód do zatargów, walk i prześladowań; z tego też powodu rozwój dziejowy doprowadził do stanowczego i wyłącznego władzy świeckiéj papieżów nad Rzymem uznania. Ale zatargi te i walki miały zawsze tło i podstawę religijną. Największy przeciwnik papieża, Henryk IV. cesarz niemiecki, pisze do Grzegorza VII. protestując przeciw myśli złożenia go z tronu: że skoro jest przez papieża namaszczony, nie ma nikt prawa za żadną zbrodnię pozbawić go korony,—„wyjąwszy gdybym wiarę odrzucił, czego Bóg nie dopuści".

Całkiem odmienne jest dzisiejsze położenie. Dzisiaj Pius IX. widzi stolicę swoją opanowaną przez władzę, która podaje rękę wyraźnym nieprzyjaciołom religii, pragnącym za pomocą zniweczenia instytucyj duchownych w samém ich ognisku, umorzyć i zniszczyć działanie Kościoła w społeczeństwie. Nie chodzi tu już o te lub owe atrybucye lub uroszczenia władzy świeckiéj i różnice dogmatyczne; ale chodzi o sam fundament wiary, w miejsce któréj, powoli i nieznacznie, prawodawczo i regularnie, pod osłoną mniemanych zasad liberalnych, przy poklasku gawiedzi, albo nieprzewidującéj skutków, albo radéj z rozwolnienia surowych moralności chrześcijańskiéj prawideł, osadzić usiłują zasadę bezwyznaniowości państwa, tu w Rzymie, w głównéj stolicy Kościoła i w oczach papieża zamieszkującego w Watykanie. Obrane w tym celu drogi, są obmyślane i przeprowadzane z zimną, spokojną a przewrotną rachubą, cechującą ludzi ojczyzny Machiavellego. W początkach zajęcia Rzymu, ówczesny rząd piemoncki, niepewny jeszcze usposobienia Europy i nie chcąc drażnić uczuć katolickich własnego kraju, uroczyste dawał zapewnienia szanowania praw Kościoła i papieża. Pan Visconti-Venosta, minister spraw zagranicznych, nie szczędził w tym celu uroczystych obietnic. „*Il patrimonio della chiesa romana rimarra intero alla chiesa*“ — powtarzali ministrowie w parlamencie. Po pięciu latach cóż dzisiaj widzimy? Zniesione zakony, zabrane majątki klasztorów, kościołów, instytucyj duchownych z ich bibliotekami, archiwami, muzeami i dziełami sztuki. Dla zachowania jednak pewnego pozoru dotrzymania obietnic, dobra kilku ważniejszych kapituł i kongregacyj kościelnych sprzedane zostały, niby na rzecz właścicieli. Ale sprzedaży dokonano w drodze licytacyi i z takim pośpiechem, że ledwo połowę wartości za nie otrzymano; następnie z otrzymanéj kwoty potrącono blizko $^2/_3$ na różne koszta, stemple, zaległości i t. d. Ponieważ centralny rząd instytucyj zakonnych, po całym świecie rozsianych, sprawowany jest przez generałów w Rzymie zamieszkałych, przeto dla uniknienia zarzutu niweczenia organizacyi zakonnéj innych krajów, dozwolono generałom i ich pomocnikom mieszkać w kilku celach zabranych na rzecz skarbu klasztorów; nie omieszkano jednak dodać, że prawo to służy tylko tym, co są obecnie, i tak długo, póki na urzędzie tym pozostawać będą. A potém? potém prawo upadnie, zakony świata całego reprezentantów i rządzców swoich w Rzymie już mieć nie będą, bo w dalszéj konsekwencyi powziętych rozporządzeń Rzym przestanie być Rzymem świata katolickiego, i będzie tylko stolicą państwa Włoskiego;

o co właśnie tu chodzi. Z każdym téż rokiem wydają się nowe prawa i rozporządzenia, do osiągnięcia tego stanowczo wytkniętego celu z nieubłaganą logiką zmierzające. Zniesiono, jak już wspomniałem, fundacye duchowne i naukowe, wiekami tu nagromadzone; zaprowadzono następnie małżeństwa cywilne; teraz wprowadzają się już pogrzeby cywilne z honorami wojskowemi; zniesiono najpoważniejszą szkołę teologii, w któréj kształcili się duchowni zakonni i świeccy nietylko włoscy, ale całego świata katolickiego, zwaną *Collegium Romanum*, a gmach i fundusze obrócono na bezwyznaniową szkołę. Na wychowanie publiczne młodzieży szczególną zwróconą uwagę; zapełniono katedry szkolne profesorami, wyznawającymi zasady przeciwne wierze i nauce Kościoła; pod tym mniemanym liberalnym rządem, niedopuszczana jest swoboda nauki i wychowania młodzieży, tak dalece, że w tych dniach zamknięto szkołę wyższą, którą papież własnym kosztem w Watykanie był otworzył. Ze wszystkich jednak wydanych dotąd rozporządzeń, najmocniejsze oburzenie sprawiło rozciągnięcie obowiązku służby wojskowéj do osób stanu duchownego. Prawo to najsilniéj uwydatniło kierunek i zamiary rządu włoskiego. W żadném państwie chrześcijańskiém, a nawet niechrześcijańskiém, z wyjątkiem Prus, prawo podobne nie istnieje. Ale gdy tam protestancka do katolicyzmu nieprzyjaźń użyła tego środka, jako tarana przeciw niemu, — tu w Rzymie myślą przewodnią była rewolucyjna bezwyznaniowość. Zapewniają mnie, że nawet prawo pruskie jest łagodniejsze, więcéj uwzględniające stosunki i położenie osób; tutejsze jest stanowcze i radykalne. Każdy duchowny, kleryk czy wyświęcony kapłan, prałat kapituły, a nawet biskup lub kardynał, może do lat 40 być zaciągnięty jak prosty żołnierz w szeregi. Ciekawy jest zbiór mów w izbie deputowanych i w senacie z okazyi tego prawa wypowiedzianych; malują one najlepiéj usposobienie prawodawców i cele przez nich wytknięte. Deputowany Crispi powiada, że „państwo Włoskie nie zna, co to jest człowiek wierzący, w każdym Włochu widzi tylko obywatela“ [1]). Na uwagę robioną o potrzebie religijnego kształcenia kleryków, deputowany Corte odpowiada: „Co to są klerycy? nie znam tego wyrazu“ [2]). Deputowany Pierantoni dodaje, że ksiądz i seminarzysta „są najlepszym materyałem do zrobienia żołnierza“ [3]). Mniéj

1) Lo stato in ogni italiano non vede un credente, ma un cittadino.

2) Alunni in carriera ecclesiastica?... che cosa questi alunni?

3) Non vi è stoffa migliore per la milizia del novizio del convento, o del seminarista e del chierico.

dziwném byłoby, gdyby podobne mowy i zdania były wybrykami krańcowych stronnictw wszędzie się znajdujących, ale tu zasady te rządzą, ponieważ z inicyatywy ministeryum prawo to przedstawione, i na mocy takich argumentów przeprowadzone zostało.

. . . . . .

Władza świecka papieża upadła; czy na długo? przewidzieć niepodobna.—Są tacy, co mówią, że na zawsze.

Niedorzeczne twierdzenie to dopełnia się w ich myśli wnioskiem o zupełnym upadku papiestwa, który był i jest dotąd celem wszystkich ich usiłowań. Mniemają bowiem, iż byt onego jest tak ściśle z władzą świecką połączony, że odebranie téj ostatniéj w koniecznem następstwie upadek papiestwa, a z niém razem upadek Kościoła sprowadzi.

Omylone zostały te rachuby.— Władza świecka upadła, ale Kościół stoi i afirmuje się silniéj może, niż nawet spodziewać się mogliśmy.

W chwili obecnéj, gdy dwie największe tego świata potęgi przeciw niemu skojarzyły się, trony i katedry, parlamenta i potęga państwowa, daje on dowody żywotności wielkiéj.

Opieka jednak tak widoczna Opatrzności nie uwalnia od obowiązku obmyślenia na przyszłość środków, mających na celu zabezpieczenie niezależności stolicy Apostolskiéj. Wszystko bowiem tu na ziemi dźwigać musi warunki ziemskiego bytu; Kościół nawet od ciężaru tego wolnym nie jest.—Historya uczy, że gdy Kościół uciśniony przestaje swobodnie oświecać sumienia, wówczas wyradzają się teorye i pojęcia prawu Bożemu przeciwne, zaciera się, a w końcu niknie pojęcie o złem i dobrem, o prawdzie i fałszu, o sprawiedliwości i bezprawiu. Warunkiem zaś najpierwszym téj swobody jest: aby Namiestnik Chrystusa, naczelny pasterz katolickiego Kościoła mógł jawnie nauczać wiernych i urząd swój pasterski bez żadnéj przeszkody i ucisku sprawować. Potrzeba nietylko Kościołowi, ale społeczeństwu całemu nieustannie i ciągle tego wielkiego głosu, co mówi: „*non possumus*“ i „*non licet*“, — bo temi dwoma słowami budzi on sumienia, ostrzega o niebezpieczeństwie, i jak bussola okrętem, steruje moralnym świata porządkiem. — Potrzeba, aby w przyszłości i zawsze następca Piotra mógł głośno te słowa przed światem wymawiać, jak je wypowiada nieustraszony Pius IX. wobec bezprawia i niewiary; jak

one wymawiali: Pius VII. wobec całéj potęgi Napoleona, Pius VI. wobec szału rewolucyi francuzkiéj, Klemens VII. przeciw rozpasanym chuciom Henryka VIII., i tak coraz daléj i głębiéj aż do zamierzchu wieków, w których następcy Piotra św. uczyli wiary, karali rozpustę, łagodzili obyczaje władzców u szczytu potęgi będących i rozkiełznanych feodalnych panów. Z téj potrzeby wolnego głosu i swobodnego zarządu wypływa naprzód, że w normalnym układzie stosunków politycznych i społecznych, papież poddanym niczyim być nie może, — powtóre, że potrzebuje mieć materyalne środki wykonywania zarządu spraw duchownych, najwięcéj z natury swojéj zcentralizowanych, ponieważ w nim jednym jest źródło duchownéj w świecie katolickim władzy, do któréj wszystko odnosi się i z któréj wszystko wypływa. Aby tym warunkom zadośćuczynić, nie dosyć zatém mieć zapewnione fundusze, potrzeba nadto mieć miejsce, czas i nieograniczone prawo do pomieszczania, zaprowadzania i rozwijania instytucyj kościelnych, zarząd ten ułatwiających. Tym dwom warunkom odpowiadała i one zabezpieczała władza świecka, rozciągnięta nad krajem tak drobnym, że groźnym być nikomu nie mógł, a do tyla obszernym, by odpowiadać powyższym potrzebom. Było to państwo Kościelne. — Ale po zaborze tego kraiku, cała trudność zadania powyższego staje przed oczyma, a przy całéj ufności w byt i zapewnione zwycięztwo Kościoła, żaden szczery katolik nie może być wolnym od trosk i niepokoju, co do kolei, na jakie papież a z nim Kościół cały w bliskim nam czasie narażonym być może.

Nie można bowiem wypuszczać z uwagi, że siły materyalne przeciwników Kościoła są wielkie, środki w ich ręku będące potężne i że, prawdopodobnie z obranéj drogi nie ustępując, wytężać będą większe jeszcze może usiłowania. *Andaremo al fondo!* słowa te wypowiedziane przez Wiktora Emanuela przed zajęciem Rzymu, są groźném i ostrzegającém hasłem. Być może, że nieprzyjaciele Kościoła, idąc daléj za niém, roztworzą przepaść między władzą świecką a Kościołem; byłoby to największém nieszczęściem, ale nie czyją inną, tylko ich własną winą spowodowaném. — Z drugiéj strony, obecnego stosunku papiestwa do władzy świeckiéj w Rzymie za normalny poczytywać nie można; stosunek ten bowiem nie przedstawia żadnych warunków trwałości. Aksiomat przez Cavoura podniesiony: „wolny Kościół w wolném państwie“, znaleść miał swoje urzeczywistnienie w prawie o rękojmiach swobody dla papieży w zarządzie spraw duchownych; ale aksiomat ten o tyle mógłby mieć praktyczną

wartość, o ileby zasady rządu zgodne były z temi, które Kościół wyznaje. Skoro jednak postępki rządu włoskiego są tym zasadom wprost przeciwne, jak były im przeciwne dążenia polityczne i opinie Cavoura, przeto aksiomat powyższy, na który ministrowie powoływali się po zajęciu Rzymu, był w ich ustach kłamstwem, obłudą, za pomocą którego chcieli zaspokoić sumienia, obałamucić pojęcia, aby pod jego osłoną dopełnić tych wszystkich gwałtów na własności i osobach kościelnych, o których poprzednio pokrótce wspomniałem. — Co więcéj, prawo o rękojmiach, gdyby nawet ściśle i sumiennie przestrzegane było, za wystarczające uważane być nie może. Nie jest ono bowiem owocem porozumienia i zgody między duchowną a świecką władzą, ale dziełem jednostronném przez pierwsze po zajęciu Rzymu prawodawcze ciało wydaném, które dzisiejszy lub następny parlament obalić może [1]). Przewidują téż powszechnie, że nowe ministeryum wystąpi z projektem zmiany tego prawa. Uszanowanie, które między najzawziętszymi przeciwnikami wzbudza osobistość Piusa IX., dozwala przypuszczać, że za Jego życia rząd gwałtowniejszych jeszcze niż dotąd nie chwyci się środków.—Co jednak późniéj nastąpi, gdy téj aureolą świętości otoczonéj postaci zabraknie? Do czego dojdzie i jakich chwyci się środków prąd rewolucyi? Jakich środków użyje nawzajem Kościół dla zabezpieczenia swojéj niepodległości?—czy podobna obmyślić inną formę niepodległość tę zabezpieczającą, niżeli ta, któréj papież od wieków, jako książę panujący, używał? Są to kwestye, które nietylko Rzym i Włochy, ale cały świat katolicki najsilniéj obchodzą i najgłębszych stron ducha ludzkiego dotykają.

Przewiduję, że niektórzy gotowiby na to powiedzieć, iż niepotrzebnie się troskam i niepokoję. Los Kościoła zapewniony jest słowami Chrystusa: „Bramy piekielne go nie przemogą“, jaką zaś będzie forma, za pomocą któréj władza duchowna papieży zabezpieczoną zostanie, nie nasza rzecz o tém myśleć; po co więc zaprzątać tą kwestyą głowę skołotaną tylu miejscowemi troskami i potrzebami? Podobne zdania, często u nas niestety powtarzane, są wypływem zasklepienia w ciasném kółku zaściankowych interesów i potrzeb, które na szerszy horyzont spraw społecznych wyjrzeć i głosu naszego mieć w nim nie pozwalają; ale także są dowodem letargicznego usposobienia umysłów, które ufnością niby nieograniczoną w Opatrzność zasłania się od wszelkiego kłopotu myśli, a tém bardziéj od obowiązków, jakieby z uznanych, a poświęcenia lub pracy wymagających trudnych położeń, wyniknąć dla nich mogły. „Jakoś to będzie“ zwykle powtarzają ludzie do biernego zachowania się przywykli i w niém spokoju i wygody szukający. Niech mi wolno będzie przypomnieć tym biernym katolikom, spuszczającym się na Opatrzność, że zapewnione zwycięstwo Kościoła nie odnosi się do żadnego w szczególności kraju. Widzieliśmy narody całe odstępujące od prawdziwéj wiary, a natomiast wiarę tę wzmocnioną i kwitnącą w innych krajach, lub częściach świata. Rachuba na łaskę Opatrzności, bez dołożenia odpowiednich starań, bez przedsiębrania środków, które rozum i sprawiedliwość wskazują, byłaby zawodną, może nawet grzeszną. Kto ma szczęście posiadać prawdę, winien téj prawdzie składać świadectwo; wypełnienie tego obowiązku jest warunkiem życia i trwania. Kościół, będąc zgromadzeniem wiernych, żyje życiem swych członków; nie jest on ciałem skrystalizowaném w pewnych obrządkach i formach, nie żyje téż samém uczuciem, ani jakąś mglisto-poetyczną aspiracyą ku nadprzyrodzonym i nieskończonym sferom ducha, ale wymaga od członków swoich zespolenia wszystkich sił rozumu, serca i woli. Obojętność zatém na najważniejsze sprawy, na los i położenie głowy Kościoła, którego niezawisłość jest kardynalnym warunkiem jego wolności i swobody, nie da się pogodzić z charakterem i obowiązkiem katolika.—A warto zastanowić się, że według katechizmu naszego, papież jest głową widomą Kościoła katolickiego, źródłem duchownéj władzy, nieomylnym doktorem wiary; że zatém ten, kto tego nie uznaje, może być protestantem, kalwinem, anabaptystą, presbiteryanínem, w końcu nawet uczciwym lub uczonym człowiekiem, ale katolikiem nie jest. Za tém idzie, że naturalném życzeniem i dążeniem wszystkich katolików być musi, aby papież nie miał nad sobą innéj głowy, ani władzy; wówczas bowiem owa głowa, lub władza musiałaby mieć te przymioty, które my tylko papieżowi przyznajemy. Obowiązkiem zatém każdego katolika jest: starać się rozumieć położenie dla każdego z nas tak ważne, i mieć silnie ustalone w tym względzie przekonanie, a skoro okoliczności nie pozwalają jakimbądź czynem do polepszenia położenia tego przyczynić się, potrzeba przynajmniéj mieć odwagę opinię swoją wyrazić. Opinia bowiem publiczna, z opinii pojedyńczych osób składająca się, jest jeszcze jedyną siłą moralną, z którą przychodzi się rachować. Zrozumieli dobrze katolicy

1) Właśnie przy końcu 1881 roku parlament już wniósł wniosek, aby te rękojmie znieść.

Francyi, Niemiec, Włoch, Anglii i Ameryki całą ważność, jaką ma objawienie opinii w téj sprawie. Im cięższemi Namiestnik Chrystusa rażony jest ciosami, im większe niebezpieczeństwo grozi jemu i Kościołowi, tém silniéj i wyrazniéj zaznaczają oni swoją wierność i swoją gotowość pomocy.

Nieomylność.

Co do dogmatu nieomylności jest pewna, że nieprzyjaciele Kościoła i papiestwa starali się wszelkiemi sposobami, mianowicie za pomocą mów publicznych i prasy, aby dogmat nieomylności w zupełnie fałszywém świetle przedstawić i opinię publiczną obałamucić. Papież według nich miał zostać na mocy dekretu koncylium watykańskiego nieomylnym zawsze i wszędzie we wszystkiem, co czyni lub mówi, zatém osóbiście wolnym od błędu i grzechu, miał przeto być wyniesiony na nadprzyrodzoną i nadziemską istotę. Te niedorzeczne, przeciwne rozumowi, prawdzie i tradycyi Kościoła twierdzenia, wymierzone były dla osłabienia wiary i obudzenia w umysłach reakcyi, przeciw dekretom koncyliowym, aby tém łatwiéj przeprowadzić, bez protestacyi ze strony mocarstw europejskich zniesienie władzy świeckiéj.

Ale oszczerstwo względem Kościoła długo trwać nie może. Upowszechniać się też zaczyna prawdziwe dekretu watykańskiego znaczenie. Widzą wszyscy, że od czasu ogłoszenia onego nic się w kościele nie zmieniło, Papież nie ogłosił żadnych nowych dogmatów, ani nowego katechizmu.— Koncylium watykańskie zostało z powodu wypadków politycznych zawieszone, aby się nanowo w przyjaznéj porze zebrać, co jest najlepszym dowodem, że jak dawniéj, tak i na przyszłość Papieże koncylia zwoływać i rady ich zasięgać będą. Prawda zaś jest, że koncylium watykańskie nowego nie stworzyło dogmatu, tylko ogłosiło i określiło ściśléj to, co było od początku przed-

miotem powszechnéj wiary Kościoła, co opiera się na słowach Chrystusa, co było przez Ojców Kościoła i przez poprzednie koncylia, a mianowicie Florenckie, najwyraźniéj wypowiedziane, w co my mianowicie Polacy wierzyliśmy oddawna i stale, tak dalece, iż wyznaję, że gdy dowiedziałem się o zamierzoném postawieniu téj kwestyi nieomylności papieża w rzeczach wiary, pierwszém mojém uczuciem było zadziwienie, że rzecz, któréj nas od dzieciństwa w katechizmie uczono, ma być przedmiotem obrad. Dowiedziałem się później, że Gallikanizm we Francyi, Józefinizm w Austryi, pod przemożnym wpływem Ludwika XIV. i Józefa II. wyrosłe, zaciemniły rozumienie tego dogmatu w tych państwach, nawet między duchownymi do tego stopnia, iż obowiązkiem było prawdę starą przez deklaracyę biskupów francuzkich z r. 1682 zakwestyonowaną, stanowczo wyjaśnić, aby na przyszłość drogę podobnym błędom zagrodzić. Papież zatém według dekretu koncylium jest nieomylnym jedynie w rzeczach wiary i moralności, i to wtedy skoro nie jako człowiek, nie jako kapłan albo biskup, ale skoro jako Pasterz najwyższy i Doktor całego Kościoła, prawdę dogmatyczną lub moralną całemu Kościołowi ogłasza, to jest skoro z katedry Piotra św do całego katolickiego świata w rzeczach wiary i moralności przemawia.

Racyonaliści, i powiedzmy szczerze, znaczna część tak zwanéj u nas intelligencyi, wychowanéj i wykołysanéj na zasadach rewolucyi francuzkiéj, a następnie na teoryach filozofii niemieckiéj, uważają prawdy przez Kościół wygłoszone i za dogmaty wiary podane, jako jarzma narzucone na nieograniczone w ich przekonaniu prawa rozumu; i ten téż głównie zarzut przeciw dogmatowi nieomylności stawiają. Inaczéj zapatrują się na to, lub zapatrywać się powinni ludzie, którzy w duszy przechowali skarb wiary, a takich jest ogromna większość narodu. Dla nich sformułowanie i ogłoszenie dogmatu, jest nowym szczeblem poznania prawdy, która jest głównem człowieka zadaniem i drogą prowadzącą go do szczęścia tu na ziemi i w wieczności. Z tego stanowiska, jako jedynie prawdziwego, rozważając ogłoszony dogmat nieomylności w zakresie, jaki mu koncylium naznaczyło, uważam, iż odpowiada on najzupełniéj potrzebie epoki obecnéj. A mianowicie z dwóch przyczyn: 1) ponieważ ułatwia nam drogę do poznania prawdy; 2) ponieważ określając ściśle przedmiot nieomylności zostawia rozumowi ludzkiemu należną mu w właściwych granicach swobodę. W obecnéj epoce dociekania filozoficzne dótyczące początku i przyczyny wszechrzeczy, doprowadziły wielu do ostatecznych granic

zwątpienia. Pomijając szereg najgłówniejszych autorów w tym kierunku piszących, wspomnę o filozofii pierwiastku bezwiedniego Hartmana, która jest ostatnim wyrazem zwątpienia o wszystkiém, co tylko człowiek z samego przyrodzonego popędu czyli téż ze swego mniemanego prawa rozumu poznać i czcić pragnie. Rozgłos tego dzieła i jego upowszechnienie w kilkunastu edycyach, służą za dowód choroby toczącéj społeczeństwo. Zwątpienie o wszystkiém jest największém nieszczęściem człowieka, jest matką rozpusty lub rozpaczy. Obfite téż są dowody tych obu stanów duszy w dzisiejszém społeczeństwie. W innym znowu obozie pojawiły się dążenia separatystyczne Kościołów narodowych, religii państwowéj, udziału ludu i prawa powszechnego głosowania w wyborze kapłanów. We Francyi katolicy tak zwani liberalni, liczący nawet w swém gronie kilku mężów, którzy znakomite położyli zasługi, ulegając jednak wpływowi wyobrażeń z zasad wielkiéj rewolucyi czerpanych, marzyli o zastosowaniu do spraw czysto-kościelnych, form rządu parlamentarnego. Zaufani w talencie wymowy, mniemali, że za pomocą dyskussyi można zawsze prawdy obronić i o niéj przekonać. Nie pomiarkowali, że wprowadziliby żywioł, na który już nawet protestantyzm narzeka. Wśród rozpaczliwego zatém zwątpienia z jednéj, a chwiejności wyobrażeń z drugiéj strony, dogmat o nieomylności wskazał na katedrę Piotrową, jako na jedyne źródło moralnéj i religijnéj prawdy, tak stanowczo i uroczyście, że wszystkich ludzi dobréj wiary, nawet niepewnych i chwiejnych zgromadził pod chorągiew jedności Kościoła i jego nauki.

Nie poprzestając na nauczaniu tego, w co wierzyć, Kościół uznał potrzebę wskazania komu i w czém wierzyć powinniśmy. Tym sposobem uzupełnił dla wszystkich naukę wiary, co w obecnéj epoce okazało się być tém naglejsze, że rozbudzone myśli ludzkie, pomnożone stosunki społeczne i rozliczność wynikających ztąd obowiązków, wymagają coraz częstszego zaczerpnięcia prawdy w jéj najczystszém źródle.

Nie uszła przy tém zapewne twojéj, Szanowny Panie, uwagi, praktyczna doniosłość dogmatu. Po wszystkie czasy od objawienia nauki Chrystusa pojawiają się spory teologiczne, dogmatyczne wątpliwości, a w końcu stanowcze błędy, które niepokoją sumienia, wstrząsają wiarą ludzi mniéj oświeconych, lub pobudzają do oporu i samowolnego jéj prawd tłómaczenia. Kościół stojąc na straży zbawienia, ma obowiązek, aby prawda nie była nigdy zaćmioną, ale owszem zawsze jawną i przystępną dla wszystkich. Do niego zatém należy rozstrzy-

gać wątpliwości, prostować błędne nauki bądź w rzeczach wiary, bądź w rzeczach moralności, jako z zasad wiary wypływających. Nie może on pozostawiać ani na chwilę w wątpliwości sumień w przedmiotach tak ważnych, bo dotyczących sprawy zbawienia. Gdyby zatém władza rozstrzygania i stanowienia w tych przedmiotach należała tylko do koncylium, jak szkoła gallikańska we Francyi utrzymywała, potrzebaby za każdym sporem zwoływać biskupów z całego świata, a od możności ich przybycia uczynić zależnym rozstrzygnięcie sporu lub wątpliwości, a więc wajaśnienie prawdy. Wiadomo, jak liczne i ważne trudności spotyka zebranie się biskupów na koncylium, i że od Trydenckiego do ostatniego Watykańskiego upłynęło półczwarta wieku; zatém przez cały ten czas Kościół pozostaćby miał bez steru w rzeczy najważniejszéj! To być nie może, i tak też nie było, i na przyszłość tembardziéj nie będzie. W tym przeciągu czasu papieże wydawali dekreta rozstrzygające spory, potępili nauki Bajusa, Janseniusa, gallikańskich biskupów i wiele innych sprostowali błędów, a wyroki ich były stanowcze i za ostateczne przez Kościół uznane. Pomijając przeto najpoważniejsze teologiczne argumenta, sama natura rzeczy i konieczność potrzeby wskazują, że w Kościele musi być w rzeczach wiary i moralności władzą nieomylną, ciągle obecną i ciągle przytomną, i że władzą tą nikt inny jak papież być nie może. Co zaś jest konieczną potrzebą Kościoła, to już tém samém istnieć musi. Koncylium zatém Watykańskie nic nowego nie stworzyło; owszem co w IV. wieku powiedział św. Augustyn: *Roma locuta, causa finita est*; co św. Ambroży wyraził w tych słowach: *ubi Petrus ibi Ecclesia*, co powtarzali po nich wszyscy doktorowie Kościoła, to obecnie wypowiedziało ono i ogłosiło; a tą stanowczą i uroczystą affirmacyą usunąwszy chwiejność i luźność opinii, wzmocniło i utwierdziło zasadę pozytywnéj wiary, a zarazem podniosło pojęcie i znaczenie władzy, tak bardzo w epoce naszéj podkopane.

Drugim przymiotem dogmatu, jest ścisłość określenia onego. Według niéj nieomylność ta odnosi się jedynie do przedmiotów wiary i moralności. Wszystko zatém co leży po za ich sferą, bądź w badaniach naukowych, bądź w układzie stosunków społecznych, bądź w prawodawstwie, bądź w formie politycznéj, jest tém samém najwyraźniéj z pod przywileju nieomylności wyłączone. Upadają zatém obawy, jakie niektórzy wzniecali, że papieże przyznają sobie władzę podobną téj, jaką w średnich wiekach nad politycznym porządkiem państw i narodów wykonywali. Pius IX. w mowie wypowiedzia-

néj do Akademii Katolickiéj w Rzymie dnia 20 czerwca 1871 roku wyraźnie i stanowczo takie rozumienie potępił. „Pomiędzy różnemi przedmiotami prac waszych, powiedział on, jest jeden szczególniéj, do którego pierwszorzędną przywiązuję ważność; tym jest odpieranie sofizmatów, za pomocą których starają się przekręcić ideę nieomylności papieża. Najpodstępniejszym z tych sofizmatów jest ten, który chce upatrzyć w dogmacie nieomylności papieża, prawo składania z tronu monarchów i zwalniania ludów z obowiązku wierności". Zakończył zaś temi słowy: „Niektórzy pragną, abym wytłómaczył i wyjaśnił dokładniéj jeszcze definicyę przez koncylium ułożoną. Jest ona dostatecznie jasną i nie potrzebuje komentarzy, ani osobnego wyjaśnienia. Prawdziwe znaczenie dekretu jest łatwe do zrozumienia dla każdego, który go czyta z umysłem wolnym od najmniejszych uprzedzeń. Nie jest to jednak powodem, abyście nie mieli z pomocą waszéj nauki i waszego talentu, starać się prostować błędy, które mogą omylić ludzi unoszących się illuzyami, lub obałamucić nieświadomych".

W mowie téj papież wytknął szczególniéj błędne stosowanie dekretu do praw politycznych; ale wspomniał także o wielu innych sofizmatach zaćmiewających lub przekręcających jego znaczenie. Możemy więc śmiało do nich zaliczyć wszystkie te opinie, które utrzymują, że dogmat ten narzucił nowe jarzmo na prawa rozumu i naukowe poszukiwania. Mniemamy przeciwnie, że wszystkie prace i badania dotyczące porządku przyrodzonego we wszechświecie, oraz układu i postępu stosunków społecznych, uzyskały za pomocą tego dekretu niejako wzmocnienie i utwierdzenie. Oczywistą bowiem jest rzeczą, że każde określenie atrybucyi lub władzy, jest przyczynieniem swobody w sferach po za tą atrybucyą leżących. Sformułowanie zatém i określenie dzisiejsze dogmatu nieomylności po wszystkie czasy w Kościele istniejącego, zapobiega błędom, do jakich mogło dać powód mylne doniosłości onego tłómaczenie, nadaje w dziedzinie nauk i urządzeń społecznych jaśniéj określone pole działania, nakoniec usuwa wątpliwości, jakie w odległéj przeszłości mogły mieć miejsce z powodu pomięszania rzeczy wiary z pracami i poszukiwaniami związku z nią nie mającemi. Ogłoszenie zatém dogmatu nieomylności uwydatniło, zdaniem mojém, kierownictwo duchowne i moralne, jakie Kościół z prawa i obowiązku swego zachowuje, zostawiając społeczeństwu wysoko już rozwiniętemu sferę działań i urządzeń do nauki i władzy świeckiéj należących. Jestto zatém krok stanowczy na drodze uporządkowania

pojęć i ośmielam się dodać, w kierunku wyjaśnienia zakresu rozumnéj wolności.

*

* *

W ciągu dziesięciu miesięcy zmieniła się postać Europy. Upadł haniebnie nowożytny Cezar i tron jego na wątłych podstawach rewolucyi oparty; skruszony i upokorzony został wielki naród, który przeznaczony będąc do obrony wiary i prawdy, posłannictwa swego odstąpił, a zapragnął być apostołem wymarzonego przez siebie nowego rzeczy porządku; nakoniec pożoga komuny płomieniami petroleum odkryła w jego łonie przepaście, pochłonąć w każdéj chwili gotowe wszystko, co trudem lat tysiąca społeczeństwo wyrobiło. Wypuszczone z rąk Francyi berło podniosło zwycięskie, po raz pierwszy w dziejach wytworzone protestanckie cesarstwo. Militarne, uczone a bezbożne, zapanowało odrazu nad struchlałą i bezwładną Europą. Wśród tego zawichrzenia, katolicki monarchą, król Galantuomo, wyrzeka się Francyi, któréj byt swój zawdzięczał, gwałcąc uroczyste zobowiązania, wkracza przemocą do Rzymu, wyzuwa papieża z świeckiéj władzy, i pod wszechwładną protekcyą protestanckiego cesarstwa zajmuje stolicę katolickiego świata na stolicę nowożytnego państwa włoskiego 20 września 1870 roku [1]).

---

1) Mianowana przez jenerała Cadornę Junta, miała ludność przygotować do plebiscytu, a dzień 2-gi października, był przeznaczony na ten akt uroczysty, w którym o s w o b o d z e n i z p o d j a r z m a p a p i e s k i e g o R z y m i a n i e, powołani byli wolnemi głosami oświadczyć, czy chcą stanowić odtąd cząstkę królestwa włoskiego, pod berłem Wiktora Emanuela II. i jego następców. Przygotowania istotnie miały miejsce, różne tylko od tych, jakie zwykły poprzedzać ogólne głosowanie, i jakie za niezbędne uznano w krajach, gdzie taki sposób odwoływania się do woli narodu, zyskał już prawo obywatelstwa. Pierwszym, koniecznym, przedwstępnym do głosowania krokiem, musi być wszędzie przygotowanie listy wyborczéj: bez niéj wybory czy głosowanie niepodobne, nawet nieważne. Junta nie pomyśliła o tém wcale, lecz za to w dniu wotowania urządziła rozdawnictwo mięsa i chleba dla ludu, aby ten nie na czczo przystępował do wykonywania swojego wszechwładztwa. Według ogłoszonego prawa, wszyscy Rzymianie mający lat 20 i wyrokiem sądowym na czci swojéj nie dotknięci, powołani byli do składania swych głosów. Rząd, nie chcąc pozbawiać tego prawa nieobecnych w mieście obywateli, wszystkim im wspaniałomyślnie bezpłatny przyjazd i powrót do teraźniejszego miejsca pobytu, na drogach żelaznych zapewnił, a że się nie pytano o nazwisko i pochodzenie niczyje, więc pod tym pretekstem

Ale burza, która towarzyszyła ogłoszeniu dogmatu nieomylności, była zapowiedzią innéj jeszcze walki na polu umysłowém. Nie mogło być inaczéj, Pius IX. bowiem przyłożył siekierę do korzenia błędu dzisiejszego wieku. Dotknięta do żywego pycha rozumu zapłonęła gniewem; niezdolna jednak do przeciwstawienia stanowczéj affirmacyi, szyderstwem obrzuciła wyrok, który ośmielił się targnąć na wszechwładztwo jéj myśli i woli. Istniejące od wieków w łonie społeczeństwa dwa prądy, wiary i negacyi, zarysowały się teraz i odznaczyły wyraźniéj niż kiedykolwiek. Pierwszy pociąga do siebie i jednoczy umysły, uznające porządek nadprzyrodzony nad doczesnemi sprawami górujący. Spływają do niego wszystkie strumienie w wierze początek swój biorące, te nawet, które zmącone były obcemi z innych sfer napływami. W drugim zbierają się wszystkie negacye i wszystkie uroszczenia zupełnéj niezależności umysłów. Protestancki racyonalizm,

---

s p r o w a d z o n o z W ł o c h c a ł y c h używaną zwykle do płatnych manifestacyj zgraję; według rachunków kolei żelaznéj bezpłatnych podróżnych przybyło do Rzymu, w wigilią plebiscytu, 16,892 osób, a od 21 września także kolejami bezpłatnemi sprowadzono przeszło 20,000 krzykaczy. Był to zaprawdę znakomity kontyngens, a żałować przychodzi, że jaki nowy Curletti nie podał nam jeszcze ogólniéj sumy wydatków. Znając charakter Rzymian, bojaźliwych i ostrożnych przedewszystkiem urządzono wotowanie nie pojedyńczo, ale korporacyami, tak aby jedni drugich pilnować mogli, i aby uchylenie się samo już pewną odpowiedzialnością groziło. Przy urnach ustawionych na podniesieniu i otoczonych znanym dobrze a pilnującym wotujących tłumem, znajdowały się jeszcze postacie wymownem spojrzeniem przypominające o b o w i ą z e k obywatelom, którzyby się wahali złożyć patryotyczne t a k. Wotowały młodzieniaszki, niemające lat 20-tu, wotowali w wielkiéj liczbie nie Rzymianie, wotowali nareszcie i ludzie z więzień kryminalnych pouwalniani. Że można było po kilka kart do urny składać, nie ulega wątpliwości; dzienniki niemieckie umieściły kilka oświadczeń rodaków swoich, znajdujących się w Rzymie, którzy niemając prawa brać udziału w głosowaniu, po trzy i cztery t a k przez żart do urn wrzucili; pan Piotr van den Erenberst, Holender, świadczy, że złożył ich w rozmaitych miejscach 8, a jego przyjaciel 14; poseł bawarski doniósł swojemu rządowi, iż dla przekonania się o sumienności plebiscytu, kazał kilku swym służącym, urodzonym Bawarczykom, pójść do wszystkich biur, w których wotowano i wszędzie oddać kartki t a k; wszędzie je przyjęto, bez żadnego pytania k t o, i w moc jakiego prawa wotuje, We trzy godziny po zamknięciu głosowania, ogłoszono jego wypadek; 40,785 t a k, 46 n i e. Ktoś dowcipnie powiedział, że liczba 46 była jeszcze zbyt wysoką, bo miasto tylu bohaterów nie posiada, a przy nacisku, jaki wywierano, bohaterstwem było nawet dla Rzymianina złożyć wotum n i e, śmiesznością zaś byłoby przypuszczać, że papież w mieście ma tylko 46 stronników.

filozoficzny panteizm, materyalizm przywłaszczający sobie całą zasługę postępu nauk przyrodniczych, pozytywizm i darwinizm, socyalizm i komuna, słowem wszystkie błędy, w tém tylko zgodne, że nie uznając działania Bożego w społeczeństwie, stanowczo odrzucają władzę z Jego ramienia do strzeżenia prawd wiecznych powołaną. Jakie będą téj walki koleje? niepodobna przewidzieć. Jednakże zbyt wiele jest symptomatów żywotności i odrodzenia w Kościele; prąd wiary, choć mniéj szerokim korytem płynący, ma siłę, jaką mu daje wysokość źródła, z którego wypływa. Jeżeli jednak potop się wyleje, jeżeli fałszywe doktryny i brudne namiętności chwilowo zapanują, my pewni bądźmy, że przechowane w arce zasady, przyniosą światu gałązkę oliwną pokoju i zajaśnieją nowym blaskiem nad polem spustoszenia. Ale obowiązkiem katolików jest ochronić społeczeństwo od tego kataklizmu. Do obowiązku tego wszyscy poczuwać się powinniśmy; pamiętajmy, że wiary i Kościoła bronić za nas nie będą ani trony, ani wojska, ani parlamenta, ani akademie. Kościół opuszczony przez naturalne i tradycyjne swoje podpory, w powszechném prawdziwie demokratyczném zespoleniu żywotnych sił, znaleźć jedynie dziś może tarczę i podporę. Potrzeba zatém ująć oburącz sztandar krzyża, pod którym Rzym pogański zwyciężonym został, potrzeba stać silnie przy jedności wiary i nauki, w osobie Namiestnika Chrystusowego reprezentowanéj, a zarazem przodować pracą, gorliwością i poświęceniem we wszystkiém, co pomyślność społeczeństwa i dobro bliźnich ma na celu. Prosta a silna affirmacya wiary i czynne miłości kraju i bliźnich dowody, oto broń, któréj wszyscy, uczeni i prostaczkowie, możni i ubodzy, ludzie wszystkich wieków i stanów użyć mogą i powinni aby zapowiedz klęskom, jakiemi negacya wiary i podkopanie zasad moralności chrześcijańskiéj społeczeństwu zagraża.

Po zakończeniu tego listu dorzucę z swéj strony jeszcze słów kilka wyrzeczonych przez jednego z uczonych mężów angielskich: „Odbierzcie to małe jego państwo doczesne, a wtedy Kościół bojaźliwy i niepewny zażąda od królów swych dzieci jakiego zakątka na założenie ogniska rodzinnego. Zwierzchnik zaś Kościoła, sprowadzony do tak podrzędnego stanowiska i niepewnego, walcząc z niedostatkiem, zależeć będzie od rządów w rzeczach doczesnych, a przez to samo i w wielkich sprawach życia duchowego“.

Pan Billault oświadczył w parlamencie francuskim, że Paryż nie ma prawa urządzać się sam, ponieważ nie jest tylko własnością paryżan, ale i całej Francyi: a cóż dopiéro Rzym, który nie jest własnością Piemontu [1]) ale całego świata.

Dlaczego, mówi Saccy, przenosić interes Piemontu, zagarniającego wszystkie inne szczepy italskie tak różne między sobą, nad 200 przeszło milionów katolików. W końcu są położenia wyjątkowe, gdzie nawet prawo jednego narodu i to jednolitego, ulega prawu wyższemu, to jest prawu ludów — gdy chce urządzać sprawy, obchodzące inne ludy; wtedy występuje władza powszechna, która ogranicza te sprawy, a Rzym ma być powszechném królestwem katolickiém. „Rzym tak pogański jak i chrześcijański, mówi Persigny, nie należy do szczepu italskiego — lecz do całego świata. Sprawiedliwą więc jest rzeczą, aby Rzym, ta kolebka wiary i oświaty, nie należała do żadnego narodu, lecz do wszystkich ludów katolickich! ażeby była ziemią, gdzie wszystkie ludy, spotykając się, przyjaźnie mogłyby sobie podać rękę. Stolica świata chrześcijańskiego, stolica rządu duchownego nie powinna należeć do innego państwa. Rzym urządzony, wzbogacony tylu dziełami sztuki, nauki i t. d. i wzbogacony przez wiernych przez tyle wieków, Rzym zostać powinien posiadłością, dziedzictwem wszystkich państw katolickich.

De Maistre woła: „O święty Kościele rzymski! wielbić Cię będę całą duszą, dopóki sił mi starczy. Ty jesteś na ziemi nieśmiertelnym rodzicielem wiedzy i świątobliwości, *Salve magna parens!* Tyś roztoczył promienie światła aż na kończyny świata, pomimo przeszkód, jakie Ci stawiali w pochodzie krótkowidzący lub zaślepieni piastunowie władzy świeckiéj. Tyś wstrzymał krwawe ofiary z ludzi, wykorzenił dzikie i hańbiące obyczaje, zwyciężył szkodliwe przesądy, rozproszył noce nieświadomości i błędu, a gdziekolwiek niedostawało Twojego wpływu, tam pozostały na zawsze, niczém niezastąpione braki w cywilizacyi narodów.

Magna virum! Wielcy mężowie z Twojego łona wyszli! Nauka Twoja oczyściła wiedzę ludzką z wybujania zarozumiałości i pychy, owych to zarodków trujących prawdziwą mądrość, zawsze niebezpiecznych a częstokroć prowadzących do zguby.

---

1) Tak różnego zwyczajami, charakterem, dialektem języka, od Rzymian, Toskańczyków i Neapolitańczyków, jak znów ciż, różnią się między sobą. Wielka wszakże część naszego dziennikarstwa poklaskuje temu, niepomna na to, że na téj saméj zasadzie, zagarnęły Prusy już wielką część Niemiec i gotowe są sięgnąć po cały środek Europy.

Zbliża się czas, w którym wodzowie Twoi papieże otrzymają jednogłośnie uznanie jako najwyżsi sterownicy oświaty, jako twórcy systemu europejskich rządów i łączniki jedności pomiędzy nimi, jako opiekunowie sztuki i nauk, orędownicy wolności obywatelskiéj, pogromcy niewolnictwa, wierni sprzymierzeńcy porządku społecznego, jako dobroczyńcy ludzkości“ [1]).

1) Tak jest, i ja to widzę oczami duszy. Przeczuwam tryumf Kościoła. P. Jezus Chrystus zwycięży! o wielka to będzie wtedy i dla nas radość; ale kto wie, czy wpierw—niedługo—może za lat kilka—całe społeczeństwa będą się nurzać we krwi przy łunach strasznych pożarów — ogień i krew — krew i ogień— oto skutki odstępstwa od Boga i przykazań Jego.—Ach! czyż aż tak okropnego potrzebaby doświadczenia dla ludzkości—aby się upamiętała i przekonała dotykalnie, że bez Boga ostać się nie można?

* * *

Nie podobna zaprzeczyć, że najznakomitsi przedstawiciele wiedzy, nauki, rozumu i prawdziwego postępu, którzy ludzkość na nowe, lepsze popchnęli tory, wyszli z pomiędzy wyznawców Chrystusowéj wiary.

D'Alembert, ten przyjaciel Woltera, stronnik jego filozoficznych wyobrażeń, uznaje jednak tę prawdę: „Można łatwo wyliczyć, mówi on, cały szereg wielkich ludzi, którzy religię uważali za dzieło Boże; szereg ten jest zdolny zachwiać przekonanie najbardziéj uprzedzonych umysłów, a przynajmniéj zmusić do milczenia owe bezsilne tłumy powstające przeciw dowodom niezbitym, których bronił Pascal, które Newton uznawał, a szanował Kartezyusz“.

O. Angelo Secchi.

Urodził się on w r. 1818; od młodości okazywał niepospolite zdolności i zamiłowanie do nauk matematycznych i przyrodniczych: w r. 1833 wstąpił do zakonu Tow. Jezusowego, gdzie nie zaprzestał upodobanych sobie studyów; a w r. 1848, został mianowanym asystentem fizyki w Rzymie — wkrótce jednak udał się do Ameryki i w Washingtonie wyłącznie poświęcił się astronomii. Ciała niebieskie, krążące w niezmierzonych przestrzeniach, zawsze dla niego miały urok niewypowiedziany: podobnie jak Kopernik, lubił wpatrywać się w nie wśród nocnéj ciszy i śledzić ich drogi wielbiąc potęgę Stwórcy w najwspanialszych Jego dziełach. Następnie powołany został napowrót do Rzymu i mianowany dyrektorem obserwatoryum kollegium

rzymskiego, które należy do pierwszorzędnych w Europie. Tu mógł już bez żadnéj przeszkody oddać się ulubionym studyom astronomicznym, i wkrótce zasłynął w świecie naukowym znakomitą na tém polu działalnością—w hierarchii naukowéj wzniósł się na miejsce najwyższe—nie poprzestając być przytém pokornym sługą ołtarza. Genialny umysł jego śmiało zapuszczał się w dociekanie najgłębszych zagadnień naukowych, śledził tajniki siły i materyi, a nigdy nie uległ podszeptom pychy. To też w olbrzymiéj działalności znakomitego męża, nie odezwał się nigdy żaden dźwięk fałszywy, lub choćby tylko dwuznaczny.

O. Secchi przedewszystkiem był astronomem, a prace jego w tym kierunku mają znaczenie największe, zawierające mnóstwo spostrzeżeń i poglądów, które rozjaśniły wiele kwestyi zawikłanych i posunęły naprzód naukę astronomii.

Oddając się z taką gorliwością specyalnym astronomicznym studyom, O. Secchi miał jeszcze dość czasu na zgłębianie zadań ogólniejszego znaczenia, mających związek z filozofią przyrody. Znakomite jego dzieło o jedności sił fizycznych, pozyskało powszechne uznanie w świecie naukowym, a nawet w obozie materyalistów, którzy kusili się niejednokrotnie o to, ażeby poglądy niepospolitego myśliciela nagiąć do swoich wyobrażeń. A nawet znaleźli się tacy tłómacze tego dzieła, którzy w przekładzie téj znakomitéj pracy poczynili pewne zmiany samowolnie, nakręcając wywody uczonego męża do swoich wyobrażeń, i nadając im całkowicie odmienne znaczenie, tak że dzieło O. Secchiego w téj przeróbce, stało się wyraźną apologią materyalizmu. A przecież w całém wyżéj wymienioném dziele przebija się niczém niezachwiana wiara odnosząca wszystko do Stwórcy wszechrzeczy. Na ostatniéj zaś karcie tego dzieła czytamy: „Dochodząc tym sposobem do pierwiastków zasadniczych, szukając bezpośrednich przyczyn zjawisk przyrodzonych, zaraz spostrzedz musimy konieczność istnienia przyczyny pierwszéj, która wolą swoją jedynie na początku wszechbytu zakreśliła granice sił i kierunek ich wytknęła. Człowiek może tylko badać tę wolę pierwotną Stwórcy, z któréj wypływa jako skutek bezpośredni wszystko, co się na świecie oczom naszym przedstawia. Jeśli oglądając przyrząd mechaniczny, tém bardziéj podziwiamy zręczność wykonawcy, im prostszą jest zasada ruchu i mniejsza potrzeba kierującéj ręki: jakież uwielbienie wzbudzić w nas muszą dzieła odwiecznego Stwórcy wszechświata. Ale czyż umysł ludzki jest w stanie objąć je i zrozumieć?“

Co zaś do nieskończoności przestrzeni i czasu tak mówi w dziele swojém o Gwiazdach: „Nie można powiedzieć o świecie, że jest nieskończony, bo żadna rzecz złożona z jestestw pojedyńczych i odrębnych, nieskończoną być nie może. Ale jakkolwiek bezwzględnie nieskończonym nie jest, dla nas jest tak jak gdyby był takim“.

Inną razą wyraził się: „Bóg w inném znaczeniu jest nieskończony, a świat znowu w inném. Świat ma granice, ale tylko dla Boga; dla nas ich nie ma, bo jest we wszystkich kierunkach niezgłębiony, *unfathomable*, jak mówią Anglicy [1])“.

O. Secchi napisał około ośmiuset dzieł i artykułów różnego rodzaju — a każda taka praca choćby najkrótsza, była owocem licznych poszukiwań z mozołem i trudem prowadzonych. A jednak co rano odprawiał mszę św., czytał brewiarz, odmawiał koronkę i czynił rozmyślania.

Pięknym wzorem wiary i pokory były ostatnie chwile tego uczonego męża. Na parę dni przed śmiercią rzekł do kapłana który go odwiedził: „O! szczęśliwi jesteście którzy staniecie przed Bogiem z pełnemi snopami zasług; ale cóż ja powiem Panu? ciągle zajęty nauką, tak mało myślałem o zbawieniu bliźnich!“— „Co mówisz Ojcze, zawołał kapłan wzruszony taką pokorą: czyż nie ty podniosłeś wysoko pochodnię oświaty i zamknąłeś na zawsze usta tym, którzy zarzucają ciemnotę duchowieństwu?“

Gdy już się zbliżała ostatnia godzina życia, powtórzył z gorącą wiarą i ufnością słowa św. Pawła: „Gonitwę dobrą odprawiłem, zawodu dokonałem, wiarę zachowałem“ i dodał z najgłębszą pokorą: „Przez całe życie i w całym zawodzie moim naukowym, nie miałem innego celu, tylko wywyższenie św. Kościoła katolickiego, i starałem się wykazać najoczywiściéj, że można pogodzić wyniki nauki z pobożnością chrześcijańską“.

Dotkliwe cierpienia w długiéj ostatniéj chorobie znosił z anielską cierpliwością, chociaż z natury był żywego i porywczego usposobienia. Nigdy z ust jego nie wymknęło się żadne słowo skargi, ale ciągle przepraszał przyjaciół, braciszków zakonnych i sługi za wszystkie przykrości jakie im kiedykolwiek mógł wyrządzić. Ta pokora i łagodność do łez rozrzewniła wszystkich, a opatrzony Sakramentami św. oddał swoją duszę Bogu.

---

1) Patrz następny artykuł — O nieskończoności i odwieczności świata.

W dzień pogrzebu, za skromną trumną uczonego kapłana, postępowała cała inteligencya rzymska, tłumy ludu i liczny orszak młodzieży.

Dawni uczniowie chcieli wszyscy nieść trumnę jego, a nie mogąc się pomieścić, dotykali jéj przynajmniéj palcami po nad głowy niosących.

Aby objaśnić gruntowniéj powyższe wyrażenia się O. Secchi'ego załączamy tu określenie w streszczeniu uczonego Dr. J. Stefanowskiego o „Odwieczności i nieskończoności świata".

I.

Nihil sine origine nisi Deus solus.
Tertulianus.

Znakomity francuzki uczony, Arago, na posiedzeniu odbytém dnia 23 marca 1837 r. w izbie deputowanych, przytoczył następny ustęp z żywota wielkiego matematyka Euler'a:

Euler protestant, był bardzo pobożnym. Jeden z jego przyjaciół, pastor, żaląc się rzekł do niego: „Religia przepadła, wiara nie ma już podstawy, serca niczém już wzruszyć nie można, nawet widokiem piękności i cudami przyrody. Czy uwierzysz temu? Wystawiałem przyrodę z najpiękniejszéj i najcudowniejszéj jéj strony; przytaczałem starożytnych filozofów, nawet Biblię; połowa słuchaczów nie słuchała, druga połowa drzemała lub téż wyszła z kościoła".

„Sprobuj, odpowiedział Euler, innego środka: zamiast brać opisy świata z filozofów greckich i Biblii, okaż słuchaczom świat astronomów, okaż świat takim, jakim go badania astronomiczne przedstawiają. W kazaniu, którego nie chciano słuchać, zapewne trzymając się Anaksagorasa, mówiłeś, że słońce jest masą równającą się wielkością swą Peloponezowi. Powiedz twoim słuchaczom, że podług najściślejszych i najdokładniejszych obliczeń, słońce nasze większe jest o 1,400,000 razy od ziemi.

„Mówiłeś zapewne o niebiosach oprawionych w kryształy, powiedz im, że one nie istnieją, bo komety by je potłukły. Planety podług nas różnią się tylko od gwiazd ruchem; powiedz, że to są światy, że Jowisz jest 1,400 razy większy od ziemi, a Saturn 900 razy; opisz dziwy, które okazują narzędzia astronomiczne; mów o mnóstwie księżyców należących do tych światów oddalonych.

„Kiedy ci z kolei przyjdzie mówić o gwiazdach, nie mierz odległości ich na mile; liczby byłyby za wielkie, nie potrafiliby ich należycie ocenić; weź za skalę szybkość światła; powiedz, że ono przebiega 77,000 mil (francuzkich) na sekundę; że światło najbliższéj od nas gwiazdy potrzebuje, żeby się do nas dostało, przynajmniéj trzech lat; że niektórych gwiazd żadném narzędziem nie można obserwować, a światło ich ledwie w przeciągu trzydziestu lat dostać się do nas może.

„Przechodząc od pewnych rezultatów nauki do prawdopodobnych, dodaj, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa, mnóstwo gwiazd mogło jeszcze być widziane przez wiele milionów lat po ich zniszczeniu, ponieważ światło ich potrzebowało milionów lat, nim przebyło przestrzeń oddzielającą je od nas".

Taka jest treść rady Euler'a, ze zmianą tylko w niektórych cyfrach. Pastor usłuchał rady; zamiast świata bajecznego wystawił słuchaczom swoim świat naukowy. Euler niecierpliwie czekał przybycia swego przyjaciela. Przybył wreszcie smutny i z miną rozpaczliwą. Matematyk zdziwiony pyta: „Co ci się stało?" — „Ach! odrzekł pastor, jestem nieszczęśliwy: słuchacze zapomnieli o uszanowaniu należném świątyni i dali mi oklaski".

Jakże szczęśliwie byli usposobieni słuchacze owego pastora, kiedy okazanie ogromu i dziwów świata Bożego mogło ich natchnąć religijném uczuciem! Dziś dzieje się całkiem przeciwnie: dziś liczni wyznawcy materyalistycznych doktryn, owe cuda potęgi Bożéj, ów ogrom wszechświata biorą właśnie za podstawę, na któréj chcą opierać najbardziéj ateistyczne teorye. Podług nich, że użyjemy tu słów znakomitego niemieckiego niedowiarka, „dzień urodzin Kopernika i Galileusza był dniem śmierci chrystyanizmu". Ci zawzięci szerzyciele niewiary posuwają olbrzymie rozmiary wszechświata aż do nieskończoności, nie mającéj kresu i granic, lecz jedynie dla tego, aby z niéj ukuć broń przeciwko wierze w Boga Stworzyciela [1]). Utrzymują oni, że wszechświat jest nieskończony co do przestrzeni i odwieczny co do cza-

---

1) Takim ateuszem jest astronom Kamil Flammarion, który we wszystkich dziełach pisze w duchu najgrubszego materyalizmu — siląc się wszelkiemi sposobami odebrać czytelnikom wiarę w Boga Stworzyciela, a w swéj pysze nazywa się prawdziwem światłem ludzkości, wyszydza wiarę i Kościół św., przekręca orzeczenia Kościoła i przedstawia je w fałszywém świetle i pcha ludzkość na drogi zwątpienia i rozpaczy.

su, a więc, jako posiadający takie własności, nie mógł być stworzonym, a więc nie ma Stwórcy.

W obec téj zuchwałéj teoryi, roszczącéj przytém prawo do niewzruszonéj naukowéj pewności, obałamucającéj nieraz umysły nawet ludzi religijnych, może nie od rzeczy będzie przypomnieć dowody, jakiemi znakomici uczeni wykazują całą jéj wątłość i kruchość. Nie ma albowiem żadnego racyonalnego, ściśle naukowego dowodu odwieczności i nieskończoności świata; przeciwnie niebrak pozytywnych dowodów, że świat miał początek, oraz że liczba ciał niebieskich, które go składają, nie jest nieskończoną; że nareszcie gdyby nawet był odwiecznym i nieskończonym, to i wtedy nie możnaby wyprowadzać żadnych wniosków przeciwko bytności Najwyższéj Istoty. Materyaliści bowiem bronią wspomnionéj teoryi *unguibus et dentibus* głównie dla tego, że im się naiwnie zdaje, jakoby z niéj wypływała logicznie konieczność zaprzeczenia istnieniu Boga.

Obaczmyż nasamprzód, z jakiemi to argumentami występują materyaliści dla poparcia swego założenia, i okażmy że one nie mają iście naukowéj podstawy. Argumenta te poczerpnęliśmy po większéj części z dzieł najbardziéj wziętych pisarzów tego obozu.

Büchner, jeden z niemieckich koryfeuszów ateizmu, w dziele swoim p. t. *Kraft und Stoff*, które ktoś trafnie nazwał ewangelią materyalizmu, przytacza co do nieskończoności świata w przestrzeni trzy argumenta: jeden czysto dogmatycznéj natury, jest nim bowiem powaga materyalisty Cotty; drugi opiera się na tém, że światło obiega w sekundzie 42,000 mil, pewne zaś gwiazdy, odkryte teleskopem Rossego, potrzebują 2,000 lat, aby nam przesłać swe światło, są więc prawie nieskończenie od nas odległe; nareszcie trzeci dowód jest taki: gdyby świat miał granice, byłby w pewném miejscu środek ciężkości, i wszystkie gwiazdy spadłyby na niego. Tyle jest słów owéj ewangelii co do tego przedmiotu.

Co się tycze wieczności materyi, Büchner tak argumentuje: „Formacya węglowa na ziemi musiała się kształcić przez lat 1,004,177; formacya tryasowa potrzebowała lat 350,000; aby zaś ziemia od temperatury 2,000 stopni ciepła, którą posiadała pierwotnie, ostygła do 200 stopni potrzebnych do wzmiankowanych formacyj, trzeba było 350,000,000 lat [1]). Te długości czasu prawie nieskończone, ze-

1) Patrz artykuł o formacyi węgla, str. 128 cała.

stawione z olbrzymiemi odległościami, które obliczyli astronomowie, a które wyobraźnię naszą bałamucą, wskazują konieczność przypuszczenia nieograniczoności czasu i przestrzeni, t. j. wieczności i nieskończoności (materyi)".

Pomijamy pierwszy argument Büchnera (powagę Cotty) jako niemający objektywnego znaczenia; z drugiego zaś, t. j. że światło przebiega w sekundzie 42.000 mil, a gwiazdy odkryte teleskopem Rossego potrzebują 2.000 lat dla przesłania nam swego światła, wynika logicznie ten tylko wniosek, że w odległości 2,650,838,400,000,000 mil jeszcze nie ma granic świata, ale wcale nie wynika, że świat jest nieskończony. Gdybyśmy tę odległość podwoili, potroili i t. d., nawet powiększyli o miliony razy, to i wtedy jakkolwiek ogromna, byłaby ona jednak skończoną i różniłaby się od nieskończonéj o całą nieskończoność. Słowem nie przesądzając jeszcze kwestyi, czy świat jest nieskończony czy nie, widzimy oczywiście, że sposób dowodzenia Büchner'a mija się z logiką; wniosek, do jakiego autor dochodzi, nie płynie logicznie z postawionych przesłanek.

Ostatni argument głośnego niedowiarka, z konieczności środka ciężkości ograniczonego wszechświata wyprowadzający wniosek, że wszystkie gwiazdy spaśćby na ten środek musiały, jest w widocznéj niezgodzie z zasadami mechaniki niebieskiéj. Postaramy się nakreślić tu o tém parę uwag.

Od epoki Kopernika aż do niedawnych czasów mniemano, że słońce i wszystkie gwiazdy (które są także słońcami podobnemi do naszego) obracają się co najwięcéj około własnych osi, ale nie mają ruchu postępującego, czyli innemi słowy należą do klasy gwiazd stałych. Dzięki badaniom nowszych astronomów wspomnione mniemanie zachwiane zostało. Nie ma gwiazd absolutnie stałych, wszystkie są w ruchu, z czego dzisiejsza astronomia dochodzi do wniosku, że istotnie musi być środek ciężkości wszechświata. Powiedzmy tu o tém słów parę i obaczmy, co z tego wynika dla tezy Büchner'a.

Podług świadectwa Pliniusza, znakomity astronom grecki Hipparch, żyjący na 140 lat przed erą naszą, był uderzony nagłém ukazaniem się świetnéj gwiazdy, co go spowodowało do ułożenia katalogu wszystkich gwiazd widzialnych w owym czasie, która to praca była jakby jutrzenką późniejszych wspaniałych odkryć astronomicznych i posłużyła do wykrycia zmian w sferze niebieskiéj. Świadectwo Pliniusza długo uważano za podejrzane; dopiero późniejsze przykłady

najniewątpliwiéj dowiodły rzeczywistości tego nadzwyczajnego zjawiska [1]).

Porównywając dawne katalogi astronomów z teraźniejszemi, przekonywamy się, że wielu gwiazd, które niegdyś jaśniały na niebie, dziś już odszukać nie można. Nie tylko więc pojawiają się gwiazdy nowe, ale i znikają dawne [2]). Oprócz dwóch wspomnionych, jest jeszcze bodaj ciekawsze zjawisko na niebie: oto niektóre gwiazdy peryodycznie zmieniają natężenie swego światła [3]).

---

1) I tak co do gwiazdy Hipparcha, Biot znalazł w chińskich rocznikach, że w r. 134 przed Chr. Chińczycy obserwowali nową gwiazdę w gromadzie Niedźwiedzia.

W r. 1572 ukazała się świetna gwiazda w gromadzie Kassyopei, przewyższająca swym blaskiem najjaśniejsze gwiazdy nieba, gdyż ludzie widzieć ją mogli w pogodnym dniu w samo nawet południe. Malejąc stopniowo, znikła z widoku w marcu 1574. Astrologowie sądzili, iż to była taż sama gwiazda, która niegdyś ukazała się magom w czasie narodzenia Chrystusa, i ztąd przepowiadali blizki koniec świata.

W r. 1604, jeden z uczniów Kepler'a dostrzegł w konstellacyi Wężownika, w sąsiedztwie Marsa, Jowisza i Saturna, znajdujących się wtedy blizko siebie, nową gwiazdę jaśniejszą od wspomnianych planet. Znikła w r. 1606.

W r. 1670 dostrzeżono nową gwiazdę w gromadzie Łabędzia. Gwiazda ta tém się szczególnie odznaczała, że wprzód nim znikła ostatecznie, gasła i zapalała się kilkakrotnie.

W naszém już stuleciu, w r. 1848, astronom Hind dostrzegł w gromadzie Wężownika nową gwiazdę barwy czerwonéj, która w tymże roku znikła.

2) I tak w r. 1790 Wiliam Herszel obserwował gwiazdę oznaczoną w katalogu Flamsted'a pod N. 55 w gromadzie Herkulesa, lecz od téj pory nikt już jéj nie widział. Podobnież zginęły dwie gwiazdy czwartéj wielkości w tejże gromadzie i gwiazda oznaczona N. 42 w konstellacyi Panny i wiele innych. Ponieważ nie wykryto żadnéj wyraźnéj parallaksy tych gwiazd, mamy przeto pewność, że nie były one kometami, lecz należały do rzędu gwiazd stałych.

3) Do téj kategoryi należą: gwiazda Algol w głowie Meduzy, która z drugiéj wielkości przechodzi do czwartéj i napowrót w przeciągu ośmiu godzin. Poczém przez 2 5/6 doby pozostaje bez zmiany, i znowu rozpoczyna powyższe metamorfozy. Gwiazda *beta* w konstellacyi Liry (Lutni) przechodzi z trzeciéj do piątéj wielkości i wraca do blasku pierwotnego po sześciu dniach i dziewięciu godzinach. Piękna gwiazda Mira w gromadzie Wieloryba należy także do rzędu gwiazd peryodycznych i tém się szczególnie odznacza, że światło jéj dłużéj słabieje, aniżeli się wzmaga, słabieje bowiem od drugiéj do szóstéj wielkości przez 66 dni, a od szóstéj wielkości do drugiéj potrzebuje 40 dni. W tym blasku zostaje 26 dni i znowu zaczyna słabnąć, dopóki nie dosięgnie szóstéj wielkości tylko, co trwa 66 dni. Odtąd Mira malejąc stopniowo, staje się gwiazdą tylko przez teleskop widzialną, bo jéj światło słabnie aż do dziesiątéj wielkości przez

Wspomnione fenomena nie dowiodły wprawdzie ostatecznie ruchu tak nazwanych gwiazd stałych, niemniéj jednak były jakby pierwszym etapem na drodze, wiodącéj astronomów do odkrycia téj prawdy. W liczbie bowiem mnogich przyczyn, któremi badacze niebios starają się wytłumaczyć je, a zwłaszcza peryodyczne odmiany światła, podają też ruch tych gwiazd po elipsach niezmiernie spłaszczonych i tak umieszczonych, że wielkie ich osie są ku nam zwrócone. W każdym razie rzeczone fenomena świadczą przynajmniéj, że w tych niebiosach, które Arystoteles nazwał wiecznemi i nietkniętemi, zachodzą nieustanne poruszenia i metarmorfozy.

Znakomite odkrycia krążenia gwiazd podwójnych po drogach eliptycznych, dokonane przez Herszla, przekonało astronomów o dwóch prawdach: najprzód, że prawa powszechnego ciążenia, dostrzeżone przez Newtona, nie tylko rządzą naszym światem słonecznym, lecz wywierają swój wpływ wszędzie, gdzie tylko ruch i materya istnieją; a powtóre, że niektóre przynajmniéj gwiazdy, dotąd poczytywane za stałe, krążą jedne około drugich [1]). Toż samo powiedzieć trzeba o ruchach gwiazd potrójnych, poczwórnych i wielorakich [2]).

Opierając się na świetnych odkryciach Herszla (które mówiąc w nawiasie z samego początku spotykały jeśli nie wzgardę to przynajmniéj obojętność) i posuwając daléj pracowite badania na téj drodze: Argelander, Otton Struve (syn), Peters, Galloway i inni astronomowie doszli do przekonania, że wszystkie gwiazdy stałe (do któ-

---

200 dni, poczém zaczyna znowu pokazywać się gołemu oku i powraca do drugiéj wielkości. Wspomnieć jeszcze winniśmy, że tak powyższy peryod jak i odmiany światła nie są stałe, lecz się mniéj lub więcéj zmieniają. Gwiazda dosięga czasem prawie pierwszéj, a czasem zaledwie czwartéj wielkości. Podług Heweliusza, któremu zawdzięcza swą nazwę c u d o w n é j (Mira), przez cztery lata była ona całkiem niewidzialną.

1) Podwójna gwiazda w konstellacyi Herkulesa, oznaczona głoską *dzeta*, obraca się w przeciągu 35-ciu lat. Składowe gwiazdy *eta* w Koronie Północnéj okrążają swój wspólny środek prawie we 44 lata. Obie te pary skończyły już całkowity swój obieg od czasu ich odkrycia.

2) Poczwórna gwiazda najbardziéj godna uwagi, znajduje się w konstellacyi Liry. Są to cztery słońca ułożone w dwie pary. Pierwsza para krąży wzajemnie około siebie w ciągu tysiąca lat, druga w przeciągu dwóch tysięcy, jedna zaś para okrąża drugą w przeciągu co najmniéj miliona lat.

Do rzędu gwiazd wielorakich zaliczają między innemi Warkocz Bereniki, oraz piękną grupkę, zwaną Plejady. Gołém okiem dostrzedz możemy od 6 do 7 gwiazd; lecz był jakoby przykład, że człowiek obdarzony bardzo bystrym wzrokiem naliczył ich 14. Przez teleskop widzimy ich całe setki.

rych zalicza się i nasze słońce) obdarzone są ruchem postępującym i krążą około jakiegoś centralnego ciała [1]). Nie możemy w niespecyalnym artykule prowadzić czytelników tą drogą, na któréj doszli uczeni do tego pięknego rezultatu, i poprzestać musimy na apodyktycznem twierdzeniu, że podług ich wyrachowań, nasze słońce z orszakiem swych planet, satellitów i komet posuwa się ku gwiaździe trzeciéj wielkości, oznaczonéj głoską *pi*, w konstellacyi Herkulesa, z chyżością roczną 33,550,000 mil geograficznych. Gdyby ta gwiazda była nieruchomą, a słońce po linii prostéj ku niéj dążyło, doścignęłoby jéj za 1,800.000 lat, jeżeli notabene należy się zgodzić na metodę, za któréj pomocą otrzymał Struve szereg liczb, wystawiający względne średnie odległości gwiazd wszelkich wielkości. Ale rzeczona gwiazda nie zdaje się stać niewzruszenie w przestrzeni, czyli nie jest tém centralném słońcem, około którego krążą ciała niebieskie naszego układu. Podług bardzo subtelnych i głębokich badań znakomitego dorpackiego astronoma Mädler'a (których jednak przytaczanie przekraczałoby granice tego artykułu), Alcyona, główna gwiazda jaśniejąca w grupie Plejad, jest tém środkowém słońcem, tém słońcem słońc, około którego wszystkie gwiazdy, składające nasz systemat gwiazdowy, odbywają swą wszechświatową procesyę. Znana nam, lubo przybliżenie, parallaksa Alcyony, dozwala zmierzyć odległość téj gwiazdy od naszego słońca. Jest ona taką, że światło potrzebuje 537 lat na jéj przebycie. Jeśli zaś ruch kątowy słońca dokładnie był wyznaczony przez wzmiankowanych astronomów, wypada, że nasze dobroczynne ognisko, z całym orszakiem planet, księżyców i komet, przebieży raz jeden swoją orbitę około Alcyony w 18,200.000 lat.

Ponieważ, jak widzimy, dzisiejsza astronomia przypuszcza środek ciężkości, około którego cały systemat gwiazdowy krąży, przeto podług własnego rozumowania Büchner'a wypada, że *świat ma granice*; nie wypada jednak wcale, jak to daléj utrzymuje, aby gwiazdy spadały na owo centralne ciało niebieskie i tym sposobem sprowadziły spustoszenie wszechświata.

1) Zauważmy mimochodem ze Śniadeckim, że sam już obrót wirowy słońca około własnéj osi, odbywający się we 25 dni i 9 godzin (biorąc w uwagę ruch w tym czasie ziemi, będzie 27 d. 12 godzin), musiał naprowadzić astronomów na domysł, że ono ma także bieg postępujący, inaczéj bowiem należałoby przypuścić, że przeciwko pierwiastkowéj sile rzutu stanęła przeciwna siła, która zniszczywszy bieg postępujący, zostawiła mu jednak sam bieg wirowy, co jest nieprawdopodobném. Analogia zaś, jaka zachodzi między naszém słońcem a gwiazdami stałemi, każe sądzić, że i one nie są nieruchome, lecz poruszają się w przestrzeni. (Patrz str. 131 w przypisku).

Trwałość i porządek naszego systematu słonecznego utrzymuje się w skutek równowagi dwóch sił:—siły powszechnéj ciężkości, któréj podlegają wszystkie ciała, oraz siły rzutu, z jaką na początku rzeczy planety i ich księżyce wypchnięte były. Gdyby ciała świat słoneczny składające zostawione były samemu działaniu siły ciężkości, wówczas księżyce spadłyby najprzód na swoje planety główne, a planety główne razem ze swemi księżycami spadłyby na słońce, zlewając cały świat słoneczny w jedną ogromną masę. Ale siła rzutu, którą Stwórca popchnął planety, broni je od podobnéj katastrofy; nie dozwala im oddalić się zupełnie od téj wspaniałéj lampy światów (jak nazwał słońce Mickiewicz w swych Sonetach Krymskich), i pogrążyć się w ciemności, jakie zalegają przestrzeń między naszym systematem słonecznym a innemi słońcami-gwiazdami.

Jeżeli prawdziwém jest przypuszczenie Mädler'a, że Alcyona stanowi środkowy punkt naszego gwiazdowego układu, tedy trwałość owego układu polega również na równowadze dwóch powyżéj wzmiankowanych sił. Siła rzutu przeszkadza gwiazdom spaść na Alcyonę; siła zaś ciężkości, zmuszając je do odbywania peryodycznych obrotów około tego centralnego ciała, nie dozwala im rozlecieć się w przestrzeni. Słowem prawa rządzące systematem słonecznym, rządzą także systematem gwiazdowym; cała różnica jest w tém, że w ostatnim układzie słońce i gwiazdy, któreśmy uprzednio poczytywali za stałe, stają się planetami; ziemia zaś i jéj towarzyszki planety schodzą na stanowisko satellitów.

Oprócz naszego układu gwiazdowego, są jeszcze inne układy, leżące już po większéj części po za granicami naszego wzroku, nawet najsilniejszemi teleskopami uzbrojonego. Każdy z tych układów musi mieć także swój środek ciężkości, swoją Alcyonę, około któréj się obraca. Otóż gdybyśmy przypuścili, że wszystkie owe Alcyony krążą także około jakiegoś wspólnego środka, to i wtedy wzmiankowane wyżéj dwie siły zachowałyby wszystkie swe prawa i nie dopuściłyby rozproszenia się wszechświata. Tylko malutka ziemia nasza jeszczeby bardziéj zmalała w swém znaczeniu; zostałaby zdegradowaną na satellitę drugiego rzędu, t. j. grałaby w owym układzie mniejszą rolę, aniżeli nasz księżyc wśród świata słonecznego.

Gdybyśmy coraz daléj posuwając hypotezy w tym kierunku, doszli aż do takiego ciała środkowego, względem którego ziemia nasza

stałaby się satellitą dziesiątego, dwudziestego, setnego i t. d. rzędu, to i wtedy jeszcze nie mielibyśmy prawa utrzymywać, że wszechświat nie ma granic, ani też, że ciała niebieskie spadać powinny ku temu centralnemu ognisku. Myśl nasza, rozwijając coraz daléj i daléj wspomnione hypotezy, nie mogłaby naturalnie dobiedz na téj drodze do mety, po za którą sięgać nie byłaby już w stanie; nie zdobyłaby jednak nigdy pewności, że świat rzeczywiście granic nie ma. Słowem powiedzmy bez wahania: opierając się na zasadach i domysłach astronomicznych, niepodobna dowieść nieskończoności wszechświata.

Argumenta Büchner'a o odwieczności materyi obrażają logikę w tym samym stopniu, co i jego argumenta o nieskończoności materyi w przestrzeni, oparte na chyżości światła. Widoczną bowiem jest rzeczą, że owe olbrzymie peryody lat, w ciągu których ziemia przekształcając się stopniowo doszła do dzisiejszego swego stanu, dowodzą tylko, że materya starsza jest od summy lat składających wszystkie te okresy, ale bynajmniéj nie dowodzą, że jest odwieczną. Logika pozwala nam tylko, zsumowawszy przytoczone przez Büchner'a liczby, utrzymywać, że przed 351,353,177 latami jeszcze nie było początku świata (właściwie ziemi), ale nie dozwala nam wyprowadzać z nich wniosków o jego odwieczności. Jakoż Büchner zdaje się sam to rozumieć, powiada bowiem: „Te długości czasu prawie nieskończone... wskazują konieczność przypuszczenia nieskończoności czasu". Co znaczy to wyrażenie? Ilość prawie nieskończona jest oczywiście skończoną.

Büchner, Moleschott, K. Flammarion i w ogóle materyaliści, na udowodnienie, że materya zawsze istniała, przytaczają jeszcze kilka innych racyj, nad któremi w krótkości zastanowić się chcemy. Oto, mówią, nie możemy sobie wyobrazić, jakim sposobem materya powstaćby mogła, t. j. nie możemy sobie wyobrazić aktu stworzenia. Powiadają daléj, że aksyomat zarówno empiryczny jak metafizyczny: *ex nihilo nihil*, wyklucza ideę kreacyi, co już dokładnie rozumiała szkoła greckich eleatów. Utrzymują nareszcie, że ponieważ nic nie ginie w naturze, należy wnosić, że nic się też w niéj i nie tworzy, czyli inaczéj, że wszystkie jéj cząstki trwają wiecznie, chociaż jako będące w ciągłym ruchu, przekształcają jéj postać nieustannie. Niektórzy dla poparcia tego zdania odwołują się do znanéj chemicznéj analizy, za któréj pomocą odkryto przed laty skład wody. Ponieważ szala wykazała dotykalnie Lavoisier'owi, że jego analiza nie zniszczyła ani jednéj cząsteczki gazów składających wodę; ponieważ w późniejszym czasie chemia otrzymywała podobne rezultaty w mnóstwie innych wypadków, nie natrafiwszy na żaden wyjątek: mamy przeto prawo wnioskować, że żadna cząsteczka materyi nie tworzy się, ani ginie. Podług więc tego rozumowania materya jest wiecznie trwającą, nie mogła być stworzoną i nigdy nie zginie. Wieczność początku, wieczność trwania! oto rozwiązanie kwestyi nieskończoności w zastosowaniu do materyi.

W odpowiedzi na powyższe trudności, zauważmy przedewszystkiém, że jeżeli nie możemy sobie wyobrazić aktu stworzenia, nie możemy również wyobrazić ani nieskończoności, ani wieczności, o których tak szeroko piszą materyaliści. Wszystkie te rzeczy przechodzą oczywiście granice naszéj wyobraźni. Pozwalamy tu sobie przytoczyć co do téj kwestyi słowa autora, który powinien mieć wielką powagę wśród przeciwników spirytualizmu. Oto Littré, ów pozytywista *par excellence*, w dziele swém p. t.: *Auguste Comte et la philosophie positive*, tak pisze: „*Ce qui est au delà du savoir positif, soit matériellement le fond de l'espace sans bornes, soit intellectuellement l'enchaînement des causes sans terme, est inaccessible à l'esprit humain. Mais inaccessible ne veut pas dire nul ou non existant*". Winniśmy jednak zrobić w tém miejscu uwagę, że wspomnieni pisarze, traktując bądź o nieskończoności, bądź o stworzeniu świata, nie wyrażają się z dostateczną precyzyą; używając w tém samém znaczeniu słów: wyobrazić i pojąć, jakby to jedno być miało, gmatwają jasne rozumienie rzeczy. Podług naszego zdania, Büchner użył właściwszego wyrazu: wyobraźnia. W istocie, wyobrazić sobie aktu stworzenia nie możemy dla tego, że wyobraźnia, jak to już sama etymologia wyrazu wskazuje, obejmuje tylko zakres zmysłowości i po za niego nie sięga; czyn zaś stworzenia leży po za tym zakresem. Lecz co się tyczy pojęcia stworzenia, rzecz się ma nieco inaczéj. Tu musimy użyć, jeżeli wolno tak się wyrazić, następnéj quasi-scholastycznéj dystynkcyi. Nie możemy wprawdzie pojąć jak (jakim sposobem) materya była stworzona (to właśnie byłoby wyobrazić), ale możemy pojąć, że stworzona być musiała [1]). Materya bowiem, jako zmienna i podzielna, jedném słowem jako ograniczona w doskonało-

1) P. Ignacy Skrochowski w dziele swém p. t.: O wiedzy ludzkiéj na stronnicy 130 tak pisze: „Pomiędzy treścią wyobrażenia zmysłowego a treścią pojęcia, idei wyrażającéj się słowem języka, jest przepaść, chociaż pojęcia

ści, nie może być konieczną, nie może więc mieć bytu *ex se*, lecz musi go mieć *ex alio*, t. j. *ex Deo*. Już zaś otrzymywać byt z woli innéj, wyższéj istoty, znaczy być stworzonym.

Przechodzimy teraz do rozwiązania drugiéj trudności, opartéj na aksyomacie: *ex nihilo nihil*.

Wspomniony aksyomat nie może służyć za żaden dowód przeciwko stworzeniu materyi. Że z nicości, jako ze źródła, nic wypłynąć nie może, jest rzeczą oczywistą; ale my téż nie powiadamy, że nic coś tworzy; nie nicość, ale Boga uważamy za przyczynę i początek istnienia. W akcie stworzenia nicość żadnego nie bierze udziału, nie jest ani materyałem, ani przyczyną. Stworzenie jest to właściwie wyprowadzenie ducha albo materyi ze stanu możliwości do stanu istnienia. Wszechmocna wola jest tu jedynym działaczem; ona chce—oto przyczyna; rzecz staje się—oto skutek. Księga rodzaju oddaje to energicznie dwoma słowami: *dixit et facta sunt*. W całym tym procesie nicość żadnéj nie gra roli; nawet pojąć nicości nie możemy inaczéj, tylko obok bytu; stanowi ona bowiem tylko negacyę tylko antytezę istnienia. Nauka stworzenia *ex nihilo*, powiada Paweł Janet w ostatniéj edycyi swego dzieła p. t.: *Le matérialisme contemporain*, nastręcza trudność nierozwiązaną jedynie dla tego, że ją pojmujemy w sposób gruby, jakby n. p. nicość mogła służyć do uczynienia czegokolwiekbądź. Nauka ta, właściwie pojęta, ma jedynie znaczenie negatywne, i oznacza poprostu z jednéj strony, że świat nie jest uczyniony z materyi przedistniejącéj, niezależnéj od Stwórcy, z drugiéj znów strony, że nie jest uczyniony z substancyi Boga. Bóg stwarzając go, nie stracił nic ze swéj własnéj istoty; pozostaje on całym i niewyczerpanym w swém źródle, jakkolwiek nieskończone mogłyby być jego manifestacye [1]).

---

iszczą się w nas wśród wrażeń i wyobrażeń i zawsze z niemi. To téż, jak z jednéj strony treść idei nie daje się zastąpić treścią wyobrażenia, tak znowu saméj treści wrażeń nie można udzielić nikomu słowami". W odsyłaczu zaś przytacza następny charakterystyczny ustęp z Taine'a, który zkądinąd stoi na wręcz przeciwném z autorem stanowisku: *„Ainsi entre l'image... suggéré par le nom et l'extrait précis et fixe noté par le nom il y a un abîme etc. etc. (De l'intelligence, T. 1, pag. 37).*

1) *Le matérialisme contemporain par Paul Janet, troisième édition.* Paris 1873, pag. 154. W poprzednich edycyach nie ma tego ustępu, ani téż całego rozdziału, z któregośmy go wyjęli, a w którym autor refutuje książkę Ludwika Viardot'a, p. t.: *Libre examen.*

Dla lepszego wyjaśnienia traktowanéj obecnie kwestyi, przytoczymy jeszcze następny ustęp z dzieła Maryana Morawskiego p. t.: Filozofia i jéj zadanie.

„Wszystkie przyczyny sprawcze czyli działacze, które znamy empirycznie, są zawarunkowane nie tylko pod tym względem, że tylko pewny ograniczony skutek sprawić mogą, ale także pod tym względem, że potrzebują do działania materyi, w któréj lub z któréj coś czynią. Jest to niezbędne piętno skończoności i zależności tych istot. Istota zaś bezwzględna i nieskończenie potężna, jako nie jest ograniczoną pod względem skutku, tak téż nie jest zawarunkowaną przez potrzebę materyi. Nie tylko w tém nie ma sprzeczności, ale nawet to się koniecznie zawiera w pojęciu potęgi nieskończonéj i istoty niezależnéj. Co większa, samo uważanie przyczyn ograniczonych, które znamy, prowadzi nas do takiego wniosku o przyczynie nieskończonej. Widzimy bowiem, że im jaka przyczyna sprawcza jest w swoim rodzaju potężniejszą, tém mniéj potrzebuje uzdolnienia ze strony materyi, gorętszy płomień mniéj palny materyał zapali, doskonalszy mistrz z gorszéj materyi wykonywa kunsztowne dzieła i t. d. Już to samo więc naturalnie naprowadza nas na myśl, że przyczyna nieskończenie potężna żadnego zgoła uzdolnienia od materyi nie potrzebuje, czyli, że żadnéj nie potrzebuje materyi".

Wzmiankowane przez nas wyżéj doświadczenie Lavoisier'a, oraz wszelkie późniejsze dokonywane w dziedzinie nauk przyrodzonych, dowiodły wprawdzie, że żadna cząsteczka materyi nie tworzy się i nie ginie, ale z koniecznym dodatkiem: za pomocą analizy i działań chemicznych, w ogóle za pomocą faktów przyrodzonych. Skoro świat istnieje, nic w nim nie tworzy się i nie ginie, t. j. że stworzenie lub zniszczenie, chociażby jednego atomu, przechodzi potęgę wszystkich skończonych działaczów, ale to prawo natury przypuszcza już istnienie świata i nic nas nie uczy, czy był on stworzony czy nie. Wnioskować z niego o odwieczności świata jest zaiste wielką niebacznością.

Głośna dziś formuła termodynamiczna: summa energii wszechświata jest ilością stałą, wtrąca wielu swych zwolenników w przepaść zupełnego ateizmu. W istocie, oto co mówią: Jeżeli summa energii jest niezmienną, a zatém nie mogła mieć nigdy początku, gdyż nie ma większéj zmiany nad przejście z nicości do bytu. Nie ma więc stwórcy.

Poprzestajemy tu na zaznaczeniu tylko tego zarzutu, gdyż o termodynamice mówić nam jeszcze wypadnie. Przekonamy się tam, że wspomniona jéj maksyma wtedy tylko może być prawdziwą, jeśli się przypuści, że świat miał początek.

Grupując w niniejszéj pogadance główniejsze argumenta, popierające teoryę odwieczności świata, nie możemy pominąć jednéj z kosmologicznych antynomij Kanta, pomieszczonych w jego Krytyce czystego rozumu. Antynomia ta brzmi jak następuje:

Teza. Świat ma początek w czasie.

Dowód. Jeżeli bowiem przypuścimy, że świat nie ma początku, wtedy oczywistém jest, że wieczność już upłynęła w każdéj danéj chwili, czyli, że szereg nieskończony kolejnych przemian na świecie także już upłynął. Otóż ponieważ nieskończoność szeregu polega właśnie na tém, że ona nie może być dokończoną, nie może mieć kresu, przeto wypada, ze świat ma początek.

Antyteza. Świat nie ma początku.

Dowód. Przypuśćmy bowiem, że świat ma początek. Ponieważ początek jest to istnienie, poprzedzone przez czas, w którym rzecz jeszcze nie istnieje, początek więc świata poprzedzony jest przez czas, w którym nic nie było, czyli przez czas próżny. Otóż ponieważ nic nie może zaczynać bytu w czasie próżnym, wypada przeto, że świat nie ma początku.

Ta umysłowa zabawka królewieckiego filozofa dostarcza nam jeszcze jednego dowodu więcéj, że nie ma żadnego takiego argumentu o odwieczności świata, przeciwko któremu nie można byłoby postawić przeciwnego. Sądzimy zaś, że z przytoczonéj antynomii każdy dostrzeże, że teza jéj większą ma wartość aniżeli antyteza. Wyrażenie bowiem, że „nic nie może zaczynać bytu w czasie próżnym“, ukrywa w sobie błąd, nietrudny zresztą do zrefutowania. Mówimy wprawdzie, że świat był stworzony w czasie, to znaczy, że niezawsze istniał, ale właściwie czas, w dodatniém niejako swojém znaczeniu, jako szereg kolejnych przemian, dający się mierzyć, zaczął się razem ze światém; nie sięga on po za epokę stworzenia. Posuwając go myślą daléj, w nicość przedistnienia, ulegamy, jeżeli wolno tak się wyrazić, optycznemu złudzeniu naszego umysłu. Ztąd „czas próżny“, o którym prawi Kant, ma jedynie znaczenie negatywne i jest synonimem nicości, również jak próżna przestrzeń. Powiedzieć jednak możemy, że świat powstał w czasie próżnym z takąż słusznością, z jaką mówimy, że powstał w nicości. Oba te wyrażenia oddają jedną tylko myśl następnéj treści: Przed powstaniem świata, przed wszelkim czasem *(ante omnia saecula)*, nic nie było prócz Boga; z téj nicości, z téj próżni czasu i przestrzeni, wszechmocna Jego wola powołała do bytu niebo i ziemię, wszystkie rzeczy widzialne i niewidzialne.

Przytoczona antynomia Kant'a i wszystkie zresztą antynomie podobnego rodzaju są to igraszki umysłu, lubującego się w układaniu sofizmatów. Cała ich sztuka, jak słusznie utrzymuje Funck-Brentano w swém dziele p. t.: *Les sophistes grecs et les sophistes contemporains*, polega na tém, że ten sam wyraz bierze się raz w znaczeniu abstrakcyjném, drugi raz w znaczeniu konkretném. „Tak w antynomii Kant'a, powiada autor (str. 98), idea abstrakcyjna czasu bez początku i końca zestawiona jest z pojęciem konkretném czasu, który mija i trwa rzeczywiście“.

Podobne antynomie spotykamy téż u Herberta Spencer'a w jego *Premiers principes* (trad. Cazelles, pag. 31—36). Angielski myśliciel, rozprawiając o początku świata, podaje trzy hypotezy, które kolejno zbija, a z których dwie wchodzą w zakres naszéj pogadanki. Jedna przypuszcza, że świat istnieje sam przez się, druga, że został stworzony przez zewnętrzną potęgę.

„Istnienie świata samego przez się, mówi Spencer, znaczy istnienie świata bez początku. Otóż pojęcie istnienia w ciągu nieskończoności czasu przeszłego (ubiegłego) identyfikuje się z pojęciem czasu nieskończonego, a który jednak już upłynął, co oczywiście jest niepodobieństwem“. Jest to, jak widzimy, wypowiedziana innémi słowami teza Kant'a.

Co do hypotezy stworzenia świata przez potęgę zewnętrzną, Spencer tak się wyraża: „Wytworzenie materyi z niczego jest tajemnicą téj hypotezy, i jéj charakter niepojęty staje się jeszcze widoczniejszym, gdy zamiast wszechświata weźmiemy pod uwagę przestrzeń. Gdyby nawet nic nie istniało oprócz próżni niezmierzonéj, potrzebaby jeszcze wytłómaczyć tę próżnię. Zkąd się ona wzięła? Aby teorya stworzenia była zupełną, powinnaby odpowiedzieć, że przestrzeń była uczyniona tym samym sposobem co materya, a nie ma takiego wysiłku umysłu któryby potrafił wyobrazić nieistnienie przestrzeni“.

Odpowiedź, którąśmy już dali co do „czasu próżnego“ Kant'a, stosuje się także do próżni niezmierzonéj przedistnienia. Owa bowiem próżnia ma również znaczenie negatywne i również (a nawet bardziéj jeszcze niż czas próżny) w pojęciu naszém identyfikuje się z nicością. Myśl nasza, zwracając się ku przeszłości, może wysnuwać

z siebie roje marzeń lecących w chaotyczną otchłań przedstworzenia i chwytać w niéj abstrakcyjne idee „próżnego czasu i próżnéj przestrzeni“; ale trzeźwa refleksya naszego umysłu każe nam zrozumieć, że czas i przestrzeń, w rzeczywistém, konkretném znaczeniu, powstały razem ze wszechświatem i nie istniały przed urodzinami jego. Gdyby nam wolno było posługiwać się tu językiem matematycznym, chętniebyśmy powiedzieli, że czas i przestrzeń przed i po stworzeniu mają się do siebie jak ilości dodatnie i ujemne. Chwila stworzenia, chwila, w któréj świat istniejący od wieków w stanie idealnym w łonie intelligencyi Bożéj stał się rzeczywistością, jest tą granicą, tém zerem, przez które przechodząc ilość z ujemnéj staje się dodatnią i wzajemnie. Dla tego też sądzimy, że co do pojęć przedświatowego czasu próżnego i przedświatowéj próżnéj przestrzeni, jako do pojęć względem naszego czasu i przestrzeni czysto negatywnych, nie powinniśmy nawet, ściśle biorąc, stosować przysłówków twierdzących kiedy i gdzie, ale tylko przeczące nigdy i nigdzie. Ztąd nie popełnimy błędu, gdy powiemy, że świat został stworzony nigdzie. Jakkolwiek zdanie to na pierwszy rzut oka może się wydawać paradoksalném, spodziewamy się jednak, że przy głębszéj rozwadze czytelnicy przyznają mu słuszność. Pomnąc na wyrzeczenie Pisma św.: „niedobrze człowiekowi być samemu“, lękalibyśmy się w téj kwestyi pozostać ze zdaniem naszém osamotnieni, a zwłaszcza gdyśmy chociaż lekką krytyczną uwagą ośmielili się dotknąć tak potężnéj intelligencyi, jak Herberta Spencer'a; w poczuciu tedy naszéj małości chronimy się pod skrzydła geniuszu św. Augustyna, który w takiż sam sposób zdawał się rzecz tę rozumieć. W jedném bowiem miejscu swoich Wyznań wielki filozof z Tagasty odzywa się do Boga następnemi słowy: „Ciebie chwali to wszystko, Stworzyciela swego, ale Ty jak to wszystko czynisz? jak uczyniłeś Boże, niebo i ziemię? Nie w niebie, zaiste, ani na ziemi uczyniłeś niebo i ziemię; ani w powietrzu, ani w wodach, boć i powietrze i wody należą do nieba i ziemi. Ani na wszechświecie nie uczyniłeś wszechświata, bo nie było gdzieby się stał, pierwiéj niźli się stał, aby był“. *Quia non erat ubi fieret, antequam fieret, ut esset. Confess. Lib. II. c. 5).*

Z rozkazu króla Nabuchodonozora wybijano imię jego na wszystkich cegłach, używanych do budowania wspaniałych królewskich pałaców, których dziś jeszcze oglądać możemy ruiny. Podobnież jak z owemi cegłami, rzecz się ma z ideami naszemi; na nich, jak się gdzieś wyraził Bossuet, wycisnął Bóg piętno swéj nieskończoności.

Ztąd wszystkie nasze myśli, wszystkie uczucia, wszystkie pragnienia noszą na sobie tę cechę; ztąd nawet w mowie potocznéj używamy takich wyrażeń jak: wieczna miłość, wieczna nienawiść, wieczna sława i t. p. Ten rys organizacyi naszéj moralnéj komentuje nam fakt, dla czego teorya nieskończoności i odwieczności świata tak łatwo się przylepia do mózgu ludzkiego. Ta jednak, że się tak wyrazimy, konkurencya idei nieskończoności z naszym duchownym ustrojem, staje się powodem, że wielu pisarzy, stojących pod względem religijnych i politycznych przekonań na najrozmaitszych stanowiskach, głosi odwieczność świata z całą stanowczością, jakby jaki aksyomat, nieulegający wątpliwości, i nie myśli wcale składać dla jéj poparcia jakichkolwiek dowodów. Moglibyśmy tu przytoczyć niemały poczet autorów, pozwalających sobie takiego dogmatyzmu, lękając się jednak rozszerzać zbytecznie niniejszéj pogadanki, i tak już przekraczającéj zakreślone dla siebie rozmiary, wspominamy tylko o jednym zajmującym wybitne stanowisko wśród współczesnych filozofów eksperymentalnéj szkoły. Chcemy tu mówić o włoskim pisarzu, Ardigu.

Przezierając niedawno książkę Alfreda Espinas'a p. t.: *La philosophie expérimentale en Italie*, znaleźliśmy w niéj sprawozdanie o filozoficznych pracach Ardiga. W poważnych swych dziełach, wychodzących pod ogólnym tytułem: „O historycznem formowaniu się zwyczajnych pojęć o Bogu i duszy“, przypominających tak obszarem wiadomości jak filozoficznem stanowiskiem prace Herberta Spencer'a, Ardigo utrzymuje, że świat nie miał początku; poprzestaje jednak na apodyktycznem twierdzeniu i prawie nie przytacza żadnych dowodów, przynajmniéj nie widać ich u Espinas'a, a samych dzieł autora nie znamy. Popierając rozpowszechnioną dziś szeroko teoryę o jedności materyi i siły, włoski pozytywista [1]) powiada, że się one nie przerywają. Nieprzerywalność materyi łączy w jedno wszystkie składowe części świata, nieprzerywalność siły wszystkie następujące kolejno fazy i momenta jego istnienia. Działając jedna w przestrzeni, druga w czasie, są one nierozerwalnie związane między sobą. Wyobrażać sobie materyę jako coś odrębnego, oddzielnego od siły, jest istną niedorzecz-

1) Ardigo, jak ze sprawozdania Espinas'a widzieć można, nie jest pozytywistą w rodzaju Comte'a, z którym się stanowczo rozchodzi w wielu ważnych punktach, lecz raczéj skłania się ku angielskim filozofom eksperymentalnéj szkoły.

nością; w każdéj cząsteczce materyi, w każdą daną chwilę, działają siły określonéj wielkości i określonego kierunku. Każdy realny byt, każde realne istnienie możemy porównać do punktu przecięcia dwóch linij prostych, z których jedna przedstawia przestrzeń, druga zaś czas. Czego nie możemy sobie wyobrazić, jako istniejące w tym punkcie przecięcia, to nie jest realném, tego nie ma w naturze. Linie przedstawiające przestrzeń i czas biegną w obie strony do nieskończoności, świat zatém nie ma początku".

Ścisnęliśmy w małą garstkę wyrazów długie wywody Ardiga, i dla tego też przypomniawszy sobie łacińską sentencyę: *Brevis esse laboro, obscurus fio*, lękamy się, czyśmy jasno wyłożyli czytelnikom myśl włoskiego filozofa. Sądzimy jednak, że ze streszczenia naszego (wprawdzie streszczenia ze streszczenia) widzieć można, że Ardigo nie przytacza właściwie żadnego racyonalnego dowodu odwieczności świata i kwestyę tę zbywa lekko kilku jakby przypadkowo rzuconemi frazesami.

Na zakończenie niniejszéj pogadanki dajemy czytelnikom dziwnie pocieszne rozumowanie w roztrząsanéj przez nas kwestyi jednego z dzisiejszych francuzkich niedowiarków. P. Monteil, którego niektóre pseudo-naukowe produkcye były uprzednio zakazane we Francyi, lecz z łaski teraźniejszego rządu znów otrzymały w niéj debit, w dziele swém (które ulegało wspomnionéj proskrypcyi) p. t.: *Catéchisme du libre penseur*, w następny, arcy-logiczny sposób dowodzi téj ulubionéj tezy materyalistów.

„Pierwsza pozycya. (Jest ich kilka takiejże wartości). Sfera ziemska jest wieczną. Modyfikuje się ona i przekształca każdodziennie, i tym przekształceniom zawdzięcza swą strukturę. W naszych czasach wznoszą się koralowe wyspy w głębi oceanu. Morze ustępując z pewnych miejsc, podnosi się natomiast w innych. Rzeki zmieniają swe koryta. Lodowce *(glaciers)* w swych wędrówkach niszczą góry. Trzęsienia ziemi wzruszają powierzchnię gruntu. Fenomena powstające pod wpływem gazu lub wybuchu wulkanów (jak wykazał Davy) lub zbliżenia się jakiéj błędnéj gwiazdy podobnie jak dotąd zmieniały, tak i nadal zmieniać mogą geografię ziemi. Wniosek. Ziemia podlegała, podlega i podlegać będzie przemianom, lecz zawsze była, jest i zawsze trwać będzie".

Łaskawi czytelnicy na pierwszy rzut oka spostrzegą, że cała ta teza, czyli jak ją autor nazwał pozycya, jest szczytem nielogiczności. Ks. Bonniot w artykule krytycznym, pomieszczonym w styczniowym zeszycie czasopisma: *Etudes réligieuses et philosophiques*, roku zeszłego bardzo słusznie powiada, że rozumując w podobny sposób, można z równą łatwością dowieść, że początek życia autora sięga czasów Matuzala, i śmiało wygłosić następującą pozycyę: P. Edgard Monteil ma 6329 lat. Jakoż w istocie, wstaje on zrana i spać się kładzie wieczorem, i ma o swéj osobie starania jakich wymaga dobre wychowanie, myje się, czesze *(se peigne)*, czyści sobie odzienie *(se brosse)* i zmienia bieliznę we właściwym czasie; jego wzrost, stan jego tuszy zależą w części od spożywanych przezeń pokarmów, czasem choruje, lecz zwykle bywa zdrów. Wniosek: P. Monteil ukazywał się, ukazuje i ukazywać się będzie pod rozmaitemi postaciami; lecz, nim przeżyje więcéj, ma obecnie 6329 lat.

Widoczną jest rzeczą, że oba te rozumowania niczém się między sobą nie różnią; oba głoszą szereg faktów i zmian, nieulegających wątpliwości; jednak wnioski z nich wyprowadzone całą moc swoją zawdzięczają jedynie łasce autorów, nie zaś wymaganiom logiki.

Zebraliśmy w niniejszéj pogadance główniejsze argumenta o nieskończoności i odwieczności wszechświata, i sądzimy, żeśmy zdołali dostatecznie okazać, na jak wątłych podwalinach opiera się ta ulubiona hypoteza wielu dzisiejszych pisarzów.

II.

W artykule Krasickiego zatytułowanym: „Uczta mędrców z Plutarcha", znajduje się wzmianka, że król egipski Amazys lubił swym znajomym przesyłać rozmaite zagadki do rozwiązania. Pewnego razu posłał królowi Etyopii następne zagadnienie: „Co jest najstarsze, najpiękniejsze, największe?" i otrzymał odpowiedź, że najstarszy czas, najpiękniejsze światło, a największy świat. Mędrzec grecki, Tales, nie chciał się zgodzić na to zdanie i ze swéj strony podał następne rozwiązanie: „Co jest najdawniejsze? Bóg, ponieważ stworzonym nie jest. Co najpiękniejsze? świat, wszystek się bowiem kształt w nim zawiera. Co największe? miejsce, ponieważ wszystko w sobie obejmuje". Widoczna, że założyciel szkoły jońskiéj miał jaśniejsze w téj kwestyi pojęcie aniżeli królewski sąsiad Amazysa. Rzeczywiście najstarszym jest Bóg, jako niestworzony nie ma On początku; jest przedwiecznym, starodawnym, jak Go nazywa Daniel (Roz. VIII.,

ver. 9). Wszystko inne, co Nim nie jest, musiało być stworzoném; ma więc początek, a więc odwieczność nie może być jego udziałem. Najpiękniejszym jest świat, gdyż on, jako dzieło Boga, objawia wszechmoc, mądrość i miłość Jego, czyli, że użyjemy tu słów Doktora Anielskiego, nosi pewny ślad Trójcy św. Byt albo raczéj tworzywo istot jest odblaskiem Ojca, Słowo Przedwieczne odbija się w ich formie, a Duch miłości w ich życiu się rozlewa. Co się tyczy miejsca, chociaż przestrzeń próżna jest właściwie niczém, bo tylko możnością przestrzeni pełnych, t. j. ciał w niéj się znajdujących, jest ona rzeczywiście największą w tém znaczeniu, że cały wszechświat w niéj się zawiera.

Powyższy ustęp wykazuje, że Tales, chociaż pod pewnym względem materyalista, nie podzielał jednak dzisiejszych Büchner'owskich zasad, podług których odwieczność i nieskończoność wszechświata wykluczają Boga. Tak Tales jako też niektórzy inni mędrcy starożytności, utrzymujący odwieczność materyi, nie wyprowadzali jednak z tego założenia ateistycznych wniosków, jak to czynią dzisiejsi materyaliści; wierzyli oni w Boga, lubo Mu zaprzeczali twórczéj potęgi. Szczery ateizm bowiem należał zawsze do wyjątków wśród geniuszów ludzkości, i nie bez racyi był poczytywany za rodzaj aberracyi umysłowéj „*Dixit. insipiens in corde suo*: *Non est Deus*“. (Psalm LIII., ver. 2).

Chociaż idea stworzenia świata należy do kategoryi prawd rozumowych, t. j. takich, które rozum ludzki własnemi siłami, bez pomocy objawienia odkryć może [1]), jednak mędrcom starożytności była ona całkiem nieznaną. Wszyscy oni (z wyjątkiem naturalnie Mojżesza) utrzymywali, że świat nie ma początku że jest *ab aeterno;* nawet Platon, którego dzieła nazwano ludzką przedmową do Ewangelii, nie różni się od nich pod tym względem. Wbrew zdaniom kilku neoplatoników, usiłujących bądź co bądź dowieść, że ich duchowy protoplasta przypuszczał kreacyonizm, możemy śmiało powiedzieć, że uczeń Sokratesa w poglądach swoich nie podniósł się do wysokości téj idei; uznawał on odwieczność materyi, któréj Bóg nadał tylko formę i życie. My chrześcijanie, którym pochodnia wiary w tych kwestyach przyświeca, mamy o nich jaśniejsze pojęcia, rozumiemy, że świat, jako agregat istot ograniczonych, warunkowych, przypadkowych, musi otrzymywać byt od Istoty nieograniczonéj, bezwarunkowéj, koniecznéj, a więc mieć musi początek; rozumiemy także, że rozmiary jego nie mogą się rozciągać w nieskończoność. Mamy tu naturalnie na myśli odwieczność i nieskończoność w absolutném znaczeniu, gdyż one Bogu tylko samemu są właściwe; co się zaś tyczy téj odwieczności świata, któréj możliwość przypuszczają niektórzy znakomici myśliciele chrześcijańscy, a nawet św. Tomasz z Akwinu, takowa odwieczność inaczéj pojmowaną być powinna, o czém, zresztą w dalszym ciągu mówić nam jeszcze wypadnie.

1) Si quis dixerit, Deum unum et verum et Dominum nostrum per ea, quae facta sunt, naturali rationis humanae lumine certo cognosci non posse, anathema sit. (Conc. Vatic. Ses. III., Can. II. 1).

Wykazawszy czytelnikowi w poprzedniéj pogadance naszéj, że główniejsze argumenta o nieskończoności i odwieczności wszechświata nie wytrzymają ścisłéj krytyki, mamy z kolei przytoczyć dowody, popierające gruntowniéj teoryę przeciwną. Pomijając tu racye czysto religijne, gdyż pragniemy rozprawkę naszą utrzymać na stanowisku wyłącznie naukowém, postaramy się wykazać, że sama umiejętność odpycha dość wyraźnie wspomniane opinie i dowodzi, o ile jéj środki na to dozwalają, że świat musi mieć granice w przestrzeni i początek w czasie. Przytoczymy najprzód argumenta tyczące się przestrzeni, później zaś te, które się do czasu odnoszą, chociaż wyznać trzeba, że argumenta obu tych kategoryj nieraz się zlewają z sobą; czas bowiem i przestrzeń, jak nie bez słuszności zauważył Aleksander Bain, „są to dwie względne zależne, z których jedna bez drugiéj poznać się nie daje, chociaż są od siebie odrębne“. Zarzuty uderzające na nieskończoność w przestrzeni, uderzają nieraz jednocześnie na nieskończoność w czasie i odwrotnie.

Odwołując się do powagi kilku nauk dla poparcia naszego założenia, rozpocznijmy od dowodu, który składa matematyka, ta królowa wszystkich nauk, jak ją nazwał Śniadecki.

Gdyby świat nie miał granic, wtedy istniećby musiały ciała niebieskie nieskończenie od siebie odległe. Otóż trzy takie ciała połączmy myślą liniami prostemi; otrzymamy tym sposobem trójkąt, którego wszystkie boki są nieskończone. Następnie poprowadźmy w tym trójkącie linie proste, równoległe do podstawy, w krótkich między sobą odstępach n. p. o łokieć. Widoczną jest rzeczą, że idąc od podstawy ku wierzchołkowi mamy linie poprzeczne nieskończone; przeciwnie zaś idąc od wierzchołka ku podstawie, poprzeczne będą skończone. Musi więc być na powierzchni tego trójkąta pewna przestrzeń, pewny pas, łokieć zaledwie szerokości mający, w którym poprzeczna nieskończona następuje bezpośrednio po skończonéj, co oczywiście jest niepodobień-

stwem; poprzeczne bowiem nasze leżące obok siebie, różnią się o ilość bardzo małą; różnica zaś między poprzeczną skończoną a nieskończoną nie tylko być musi ogromną, lecz nawet skończoną być nie może. A ponieważ, skoro rozumowanie jest prawidłowe, a pomimo to wniosek wypada fałszywy, wnosimy, że błąd tkwi w samém założeniu; wypada przeto, że świat ma granice, gdyż przypuszczenie przeciwne prowadzi logicznie do absurdum.

W XVIII. wieku, pseudo-filozoficznéj pamięci, wszystkie umiejętności ludzkie zwróciły się przeciwko prawdzie objawionéj, i astronomia też, to ulubione dziecię matematyki, oddała się na usługi niewiary. Najznakomitsi jéj uprawiacze, Lagrange, d'Alembert i inni jawnie wyznawali ateizm, twierdząc, że Bóg—to w nauce hypoteza bezużyteczna [1]). Otóż do tego smutnego rezultatu doprowadziło ich przeważnie fałszywe pojęcie o nieskończoności wszechświata. Błąd ten jednak tak szeroko się rozgospodarował w astronomii, że dziś znajduje wielu zwolenników wśród takich nawet uczonych, których wcale o bezwyznaniowość posądzać nie można. Ale wspomniony błąd jest tylko błędem astronomów nie zaś saméj astronomii, która bynajmniéj go nie sankcyonuje. Jakoż nie brak znakomitych kapłanów Uranii, którzy głębiéj w rzecz wnikając rozumieją doskonale, że owa nieskończoność wszechświata, o jakiéj dziś prawi tylu autorów, jest po prostu urojeniem. Jeden z genialniejszych współczesnych astronomów, zmarły przed dwoma laty, O. Secchi, dyrektor rzymskiego obserwatorym, w drugim tomie swego pięknego dziełą o Gwiazdach (*Les étoiles*), dotykając téj kwestyi, tak się wyraża: „Gdyby liczba gwiazd, liczba słońc była nieskończoną, przestrzeń niebieska w całéj swéj rozciągłości byłaby słonecznego koloru, i niech nam nie mówią, że planety należące do systematów słonecznych, zakrywają przed okiem naszém wiele słońc, bo te planety jakkolwiek ogromne, w porównaniu do tylu słońc są tém, czém ziarnka pyłku unoszącego się w powietrzu są w porównaniu do naszego słońca".

Wspomniawszy matematykę i astronomię, potrącimy teraz o mechanikę; i ona również niebardzo chce się zastosowywać do teoryi nieskończoności wszechświata.

Gdyby liczba ciał niebieskich była nieskończoną, trudno nam by-

1) Są to słowa Laplace'a, wyrzeczone do cesarza Napoleona I., kiedy ten oświadczył mu zdziwienie swoje, że w dziele jego: *„Mécanique céleste"* nie spotkał się ani razu z imieniem Boga.

łoby zrozumieć, jakim sposobem one się utrzymują. Prawa siły ciężkości, prawa ruchu materyi, stanowiące, że się tak wyrazimy, cały mechanizm wszechświata, wtedy tylko dają się dokładnie wytłómaczyć, gdy mają do czynienia z ilością atomów, jakkolwiek ogromną, jednak ściśle ograniczoną. Wszechświat, któryby podług znanego wyrażenia Pascal'a był „sferą nieskończoną, mającą środek wszędzie, a powierzchni nigdzie (*sphère infinie, dont le centre est partout et la circonférence nulle part*), taki wszechświat, mówimy, nie mógłby istnieć w rzeczywistości: massa bowiem nieskończenie wielka jest mechaniczném niepodobieństwem. Secchi widocznie też to rozumiał. W cytowaném wyżéj dziele tak się wyraża: „Nie można powiedzieć o świecie, że jest nieskończonym, bo żadna rzecz złożona z jestestw pojedynczych i odrębnych nieskończoną być nie może". W tém miejscu winniśmy zastanowić się nieco nad zdaniem wypowiedzianém w téj materyi przez jednego z naszych najuczeńszych i najreligijniejszych pisarzów. Dr Stefan Pawlicki w swéj świetnéj rozprawie p. t.: „Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii" twierdzi, że mechaniczne niepodobieństwo massy nieskończenie wielkiéj, nie stanowi wcale niepokonanego dowodu przeciwko nieograniczoności wszechświata. „Przestrzeń bowiem matematyczna, powiada autor, niewątpliwie jest nieskończona, a w niéj skończoną ilość massy rozdzielić można na niekończące się szeregi nieskończenie małych cząstek. Tym sposobem mógłby świat wypełnić nieograniczoną przestrzeń, nie naruszywszy w niczém owego pewnika mechanicznego".

Gdyby nawet to przypuszczenie nie było istném niepodobieństwem, to w każdym razie nie da się zastosować do takiego świata, jaki rzeczywiście istnieje. Nieskończoność bowiem, o któréj mówią materyaliści, i z którą się obecnie rozprawiamy, nie polega na tém, że skończona massa materyi da się rozdzielić na nieskończoną ilość nieskończenie małych cząstek, lecz na tém, że liczba ciał niebieskich, liczba gwiazd i planet, składających wszechświat, jest nieograniczona. Są to, jak widzimy, dwie rzeczy wcale różne, a więc choćbyśmy się zgodzili na pierwszą, mamy jednak prawo odrzucić drugą. Ale podług naszego zdania przypuszczenie znakomitego autora buja całkowicie w zakresie urojonym. Skończona bowiem massa materyi, rozpraszając się na niekończące się szeregi nieskończenie małych cząstek, ulotniłaby się w bezmiarach przestrzeni; materya, dzielona do nieskończoności, unicestwia się podług słusznéj uwagi Janet'a.

Wspomniony dr. Pawlicki, mieszkając w Rzymie, miał sposob-

ność z ust O. Secchi'ego, że tu raz jeszcze wezwiemy tego głośnego w astronomii imienia, usłyszeć następne słowa, które już wspomnieliśmy: „Bóg w inném znaczeniu jest nieskończony, a świat znowu w inném. Świat ma granice, ale tylko dla Boga; dla nas ich nie ma, bo jest we wszystkich kierunkach niezgłębiony, *unfathomable*, jak mówią Anglicy". Pisząc się w zupełności na zdanie genialnego męża, pragniemy dodać tu kilka pobieżnych uwag, stanowiących jakby kommentarz do niego.

Wyobraźmy sobie, że wszystkie rozmiary wszechświata zmniejszyły się o połowę, o cztery, dziesięć, sto, tysiąc i t. d. razy; cóżby ztąd wynikło? Ponieważ spostrzegamy tylko zmiany względne, odniesione do pewnéj rzeczy niezmiennéj, gdyby więc wszechświat cały się zmniejszył, nie zauważylibyśmy żadnéj zmiany, jeżeli naturalnie i my sami zmniejszylibyśmy się odpowiednio. W takim jednak stanie rzeczy, my — liliputowi mieszkańcy mikroskopijnéj planetki, moglibyśmy zachować wszystkie nasze dzisiejsze władze umysłowe, boć przecie nie są one w koniecznéj zależności od rozmiarów ciała. Tylko doniosłość zmysłów naszych, zwłaszcza wzroku i słuchu, zmieniłaby się prawdopodobnie stosownie do zmiany urody. To założywszy, przypuśćmy zmniejszenie się rozmiarów wszechświata do takiego stopnia, że promień drogi ziemskiéj (służący jak wiadomo za podstawę do wynajdowania parallaksy gwiazd) skróciłby się o tyle, że parallaksa gwiazdy, oddalonéj od ziemi n. p. na 133 miliony mil geogr. (największa odległość Jowisza od ziemi) wypadłaby 0″,26, t. j. taką, jaką przy dzisiejszéj orbicie mamy dla pięknéj gwiazdy Wegi. Wtedy odległości takie, jak ziemi od Uranusa, Neptuna i t. d., nie dałyby się już mierzyć, a ztąd w umyśle ówczesnych mieszkańców stałyby się nieskończonemi; umysł bowiem ludzki, jak chętnie nazywa niepojętém to, co przechodzi granice jego pojęcia, tak również rad uważać za nieskończone to, czego wymierzyć lub wzrokiem objąć nie może. Zresztą, jakeśmy już uprzednio powiedzieli, chociaż nieskończoności wyobrazić sobie nie możemy, gdyż wyobraźnia ogarnia tylko przedmioty ograniczone, jednak idea nieskończoności jest właściwą umysłowi ludzkiemu, czy ją z apriorystami (n. p. z Descartes'em) uważać będziemy za wrodzoną, czy też, jak psychologowie aposterioryści (n. p. John Stuart Mill), uznamy za wypływający z doświadczenia objaw prawa kojarzenia pojęć, t. j. że ponieważ nie widzieliśmy nigdy punktu w przestrzeni bez możności istnienia innych po za nim, przeto rzeczone prawo assocyacyi nie dozwala nam wyobrazić żadnego punktu przestrzeni bez przypuszczenia dalszych, po za nim leżących [1]).

Teraz uczyńmy wręcz przeciwne przypuszczenie. Wyobraźmy sobie, że rozmiary wszechświata, a z niemi my sami, oraz siły zmysłów naszych, powiększyły się olbrzymio, n. p. o tyle, że gwiazdę odległą n. p. jak Wegę, widzieliśmy tak blisko, jak obecnie księżyc widzimy. Wtedy te niezliczone miryady ciał niebieskich, które dziś nie dają nam żadnéj parallaksy i ztąd poczytywane są za nieskończenie od nas odległe, jaśniałyby w sferze dającéj się mierzyć; granice bowiem téj sfery znacznieby się odsunęły w dal. Posuwając coraz daléj przypuszczenia w tym kierunku, rozszerzamy zakres naszego widzenia i naszych środków mierniczych, nigdy jednak nie możemy dosięgnąć myślą takiego wszechświata, którego rozmiarów nie mogłaby ogarnąć odpowiednio uzdolniona intelligencya. Osiągnęliśmy ten sam rezultat, gdybyśmy nawet wielkość ziemi pozostawili tą samą, a tylko przypuścili coraz bardziéj doskonalące się umysłowe i zmysłowe władze nasze. Słowem rozumiemy dobrze, że gdy francuzki poeta Lebrun, mówiąc o wielości światów, woła:

„Et lorsque pour peupler les espaces deserts,
„Je suis las d'enfanter de nouveaux univers,
„Le vide encore s'étend, et dans son sein immense
„Par-déla l'Infini, l'Infini recommence,—

rozumiemy, że taka nieskończoność nie jest prawdziwą, gdyż zawsze przypuścić możemy taką potęgę ducha, która ją objąć potrafi [2]).

---

1) Zauważymy tu tylko mimochodem, gdyż to do treści naszego artykułu nie należy, że można odrzucać idee wrodzone, a jednak nie podzielać poglądów Locke'a, Stuarta Mill'a i pokrewnych im pisarzy. Średniowieczna scholastyka, stojąca pośrodku między grubym materyalizmem a mglistym idealizmem, nie przypuszczała w człowieku idei wrodzonych, a jednak prawd ogólnych nietylko w naukach matematycznych, filozoficznych i t. d., lecz nawet w samych umiejętnościach przyrodniczych nie uważała za wyniki wyłącznie doświadczenia. Podług niéj, empirya dostarcza nam faktów szczegółowych, stanowiących jakby materyał do zbudowania wiedzy, ale ogólność i konieczność praw natury wypływać muszą z zasad metafizycznych *a priori* znanych.

2) Przytoczone wiersze odznaczają się więcéj szumną frazeologią niż ścisłą precyzyą. Ostatni zwłaszcza wiersz ma właściwie następne znaczenie: „Gdzie jedna nieskończoność się kończy, tam się druga zaczyna".

Otoż ponieważ Bóg jest nieskończony w doskonałości, przeto obejmuje opatrznościowym swym wzrokiem cały wszechświat stworzony, chociażby rozmiary jego były tak olbrzymie, że w nich gubiłoby się pojęcie najdoskonalszych, najwyższą intelligencyą obdarzonych duchów. Słusznie więc powiedział O. Secchi, że chociaż świat dla nas granic nie ma, wszelako maje dla Boga, który sam jeden tylko jest nieskończonością w absolutném znaczeniu.

Ale co znaczy ta nieskończoność? Winniśmy tu powiedzieć o niéj słów parę; gdyż co do téj kwestyi krążą nieraz błędne pojęcia wśród ludzi, wyznających szczerze chrześcijańskie zasady. Nieskończoność Boga nie jest, że się tak wyrazimy, przestrzenną, gdyż w takim razie identyfikowałaby się ona z ogółem, z bytem powszechnym, o jakim głoszą panteiści; wtedy Bóg nie różniłby się rzeczowo od wszechświata; byłby tylko jakąś wyobrażaną wnętrzną, immanentną jego przyczyną sprawczą, zewnątrz jego istniejącą. Podług zdrowych filozoficznych zasad, wyznawanych nietylko przez chrześcijańskich, lecz nawet przez znakomitszych mędrców pogańskich, Bóg jest przedwiecznym, ale nie w czasie, wszędzie obecnym, ale nie w przestrzeni. Jest on bowiem czystym, *purum esse*, *actus purus*, jak się wyraża doktor Anielski; istnieje ponad światem, ponad czasem, ponad przestrzenią, które to rzeczy należą do względnych. Bóg zaś jest istotą bezwzględną, absolutną, nieskończoną w doskonałości, nie zaś w jakiéjś głuchéj, przestrzennéj, panteistycznéj ogólności, niemogącéj mieć w sobie, ściśle mówiąc, żadnego życia, żadnéj rzeczywistéj treści, gdyż ona niczém inném nie jest, tylko płodem naszéj abstrakcyi o rzeczach pojedynczych, stworzonych.

Rzekoma nieskończoność wszechświata, jak to jasno z jéj natury wynika, byłaby materyalną, rozciągłą, podzielną, mnogą; nieskończoność zaś Boga jest jedną, niepodzielną, niemającą rozciągłości, jest nieskończonością ducha, intelligencyi, nieskończonością doskonałości bożych. Nieco głębsze zastanowienie się nad tą różnicą doprowadzi nas niezawodnie do wniosku, że tylko ta druga nieskończoność jest możliwą: nieskończoność zaś rozciągła, nieskończoność w mnogości jest niejako *contradictio in adjecto*; może ona istnieć tylko w głowie Büchner'a *et discipulorum ejus*, nie zaś w rzeczywistości.

Jeszcze o jedną kwestyę tu potrącimy, to jest o teoryach i o opiniach, których Kościół wręcz nie potępia i nie zatwierdza powagą

swoją — a między innemi zatrzymamy się nad zagadnieniami o pochodzeniu dusz i o ideałach wrodzonych. Różne szkoły rozstrzygały te zagadnienia, każda inaczéj — warto się ich wywodom przypatrzyć.

„Nic nowego pod słońcem", powiedział mędrzec Pański. Nie nowe są teorye materyalistyczne, stanowiące negacyę idei i ducha, a harcujące dziś tak swobodnie po wszystkich polach wiedzy ludzkiéj. Dawno już nawet wśród ludu wybranego, materyalizm miał zwolenników, co daje się widzieć z kilku ustępów księgi „Ecclesiastes", w których mędrzec streszczając rozmaite opinie o najważniejszych zagadnieniach filozofii, odzywa się najprzód językiem epikurejczyków: „Bo przypadek synów ludzkich i przypadek bydła jest przypadek jednaki. Jako umiera ono, tak umiera i ten, — i ducha jednakiego wszyscy mają, a nie ma człowiek nic więcéj nad bydlę. . .O któż wie, że duch synów ludzkich wstępuje w górę, a duch bydlęcy zstępuje pod ziemię?" Wylęgła później wśród Żydów sekta Saduceuszów, do któréj należały najzamożniéjsze w kraju rodziny, która chociaż przyznawała istnienie Boga i wierzyła w Jego Opatrzność, zaprzeczała jednak nieśmiertelności duszy. Wśród Greków szkoła jońska, założona przez Talesa, rozwijała się w kierunku materyalistycznym; z niéj téż wyszli tak zwani atomiści, podług których nawet bogowie z atomów się składają. Niektórzy z nich, jak dzisiejsi darwiniści, utrzymywali, że rodzaje roślin i zwierząt stopniowo się rozwinęły, począwszy od szlamu; dowodzili, że dusza nie jest nieśmiertelna i t. d. Chociaż późniéj filozofia grecka w rozmaitych szkołach, jako to: pitagoréjskiéj, eleackiéj, platońskiéj i t. d., nachyliła się ku idealizmowi, który ją zaprowadził do panteizmu, jednak wśród pyrronistów i epikurejczyków przechowywała stale materyalistyczne zasady. Rzym, który swą cywilizacyę zaczerpnął od Greków, przeszedł mniéj więcéj przez te same fazy, i w epoce pojawienia się chrześcijaństwa pogrążony był w najzupełniejszym epikureizmie. Nic więc dziwnego, że nauka chrześcijańska poddana przez Chrystusa pod straż Kościoła, głoszona przez Apostołów, sformułowana potém systematycznie przez genialnych mężów, których Kościół nazwał swymi Ojcami, rozpoczęła śmiertelny bój z ówczesną pogańską mądrością i w końcu pokonać ją musiała. Pogaństwo zagrożone w swych posadach przez to moralne wtargnięcie w jego dziedziny i ożywienie ich nowém tchnieniem, w szale rozpaczy uderzyło na nią ogniem, żelazem, sarkazmem, nareszcie bronią filozofii, wtedy już idealistycznéj; lecz ta walka przeciw prawdzie oka-

zała się bezskuteczną. Wyczerpawszy wszystkie możliwe środki dla zachowania hegemonii nad światem, pogaństwo skonało nareszcie w bezsilnych konwulsyach u stóp krzyża. Dopóki ludzkość, wierna prawdziwéj cywilizacyi, któréj Kościół stał się piastunem, rozwijała się w kierunku wskazanym przez swego boskiego Mistrza, dopóty materyalizm, mimo kilkakrotnych pokuszeń zapisanych w historyi, nie mógł zmartwychwstać, a témbardziéj odzyskać utraconéj przewagi. Dopiéro wiek ośmnasty zwrócił gwałtownie ludzkość na tory zapomnianego poganizmu, i dawna walka zawrzała nanowo. Trwa ona do dnia dzisiejszego, przechylając kolejno szalę zwycięstwa to na jednę, to na drugą stronę, lecz zdaje się już dobiegać ostatecznego swojego kresu. Wśród burzy, wywołanéj przeróżnemi doktrynami i wstrząsającéj najkardynalniejszemi podstawami społeczeństwa, zaczynają się ukazywać znaki, zapowiadające, że ten niszczący huragan rychło przeminie, i Kościół, jak niegdyś arka Noego, wyratuje chroniący się do niego rodzaj ludzki od tego strasznego potopu.

Protoplastą mimowolnym nowożytnego materyalizmu jest Locke, który w swych zasadach filozoficznych zidentyfikował władze umysłowe z władzami zmysłowemi. Wychodząc z tego założenia, uczniowie jego podnieśli wysoko sztandar sensualistycznéj filozofii, i doprowadzili ją do najgrubszego materyalizmu. Spopularyzował ją we Francyi, a ztamtąd rozniósł po całéj Europie świetny talent Woltera, wspierany potężną nauką ówczesnych m o c n y c h d u c h ó w: Diderot'a, d'Alembert'a, Helwecyusza, Volney'a, Candorcet'a tak, że w końcu ośmnastego wieku materyalizm panował wszechwładnie w naukach i w opinii publicznéj.

Reakcya przeciwko temu zgubnemu kierunkowi nie przestawała ani na chwilę oddziaływać pod piórem ściśle chrześcijańskich pisarzów; nie mogła jednak wywierać skutecznego wpływu na opinię publiczną, obałamuconą sofizmatami przeszłowiecznych koryfeuszów niewiary i odwracającą się jeźli nie z pogardą, to przynajmniéj z lekceważeniem od wszelkich utworów noszących na sobie cechę religijności. Potrzeba było tę reakcyę odziać w mglistą szatę filozofii, by olśnić umysły ludzkie, odwykłe już od posłuszeństwa głosowi Kościoła. Początek tego zadania przypadł w udziale protestanckiéj Germanii. Kant, lubo sam był uczniem szkoły Locke'a, przerzucił filozofię na stronę idealizmu. Nieszczęściem odstąpiwszy w wielu razach od zasad chrześcijańskich, których dokładnie nie poznał, zaplątał się w labirynt grubych błędów. Następcy jego: Fichte, Schelling, Hegel, rozwijając daléj a bardziéj jeszcze reformując jego zasady, budowali coraz dziwaczniejsze systemata i pogrążyli nareszcie filozofię w odmęty zupełnego panteizmu. Tym sposobem rozminęli się z prawdą, która płynąć powinna między temi dwoma skrajnemi prądami.

Bądź co bądź, filozofia niemiecka powstrzymała nieco prąd materyalizmu. Powstający jednocześnie w literaturze europejskiéj romantyzm, który od razu kilku potężnemi geniuszami wysoko wystrzelił ku niebu, oraz prace katolickich i protestanckich pisarzów, — wszystko to obudziło znów w ludzkości ducha chrześcijańskiego, którego epigonowie Woltera tak usilnie starali się gasić. Od kilkunastu jednak lat te złowieszcze fale, które zdawało się, że na zawsze, a przynajmniéj na bardzo długo odpłynęły na głębie morza niepamięci, wróciły znowu z podwojoną siłą do brzegu, i znowu całemu społeczeństwu zagroziły potopem. Vogt, Moleschott, Büchner, Huschke, Haeckel, Dubois-Reymond, oraz tak nazwani, a raczéj tak sami siebie nazywający pozytywiści, jak: Comte, Littré i inni, odziedziczywszy całą spuściznę po swoich przeszłowiecznych ojcach i wzbogaciwszy ją jeszcze olbrzymiemi zdobyczami nauk przyrodniczych, kusili się i kuszą o wyrzucenie Boga, duszy ludzkiéj i wszystkiego co nie jest materyą, z dziedziny wiedzy, z sumienia i z serca ludzkości. Tym razem jednak materyalizm znalazł społeczeństwo lepiéj przygotowane do odparcia jego zuchwałych ataków. Nauki od czasu Woltera rozwinęły się znakomicie, i dziś już nie można, podobnie jak to uchodziło fernejskiemu patryarsze, błahemi zarzutami imponować ludziom. Uczeni i religijni pisarze, śledząc krok za krokiem postępy materyalizmu, gruchoczą nielitościwie wszystkie kruche hypotezy, które na piasku buduje, i wykazują, że jak zawsze tak i teraz „nieprawość skłamała sobie". Tak n. p. popierana gorliwie, w celu wykluczenia Boga, teorya samorodztwa, bez któréj materyalizm, ściśle mówiąc istnieć nie może, upadła pod ciosami Pasteur'a i innych uczonych. Taki los spotyka wszystkie inne urojenia, wylęgłe w mózgach koryfeuszów téj szkoły. Słowem reakcya chrześcijańska, która ostatniemi czasy świetnie zakwitła filozoficznemi i naukowemi dziełami, jużby dotąd obaliła gmach materyalizmu, gdyby go nie podparły do czasu dwie potężne kolumny, odraczając na chwilę ostateczne prawdy zwycięstwo. Temi kolumnami są: Hartman i Darwin.

Hetman w dziele swém: *Philosophie des Unbewussten*, przyoblókł materyalizm w świetną filozoficzną szatę, na któréj mu dotąd zbywało, i utalentowaném piórem rozwinął daléj zgubną teoryę nir-

wany, propagowaną przez jego nauczyciela Schopenhauer'a. Rozbiór tych filozoficznych paradoksów nie leży w granicach obecnéj pogadanki; wspomnimy więc tylko mimochodem, że przeciwko temu smutnemu zwrotowi ku buddaistycznéj nirwanie zaprotestowało wielu bezstronnych i głębokich myślicieli. Odsyłamy przeto ciekawych czytelników do ich dzieł, pomiędzy któremi miło nam wymienić rozprawę p. Seweryna Smolikowskiego, drukującą się w „Bibliotece Warszawskiéj“ p. t. Nirwana wobec metafizyki. Co się zaś tyczy teoryi Darwina, gruntownie zbijanéj przez Flourens'a, Agassiz'a, Quatrefages'a i wielu uczonych, a u nas przez d-ra Pawlickiego, d-ra Nemo i innych, powiemy tu słów parę o tyle tylko, o ile to dotyka zakresu naszego zadania.

Ksiądz Maryan Morawski w znakomitém swém dziele p. t. Filozofia i jéj zadanie rzucił pytanie: czy można ochrzcić Hegla? t. j. czy można panteistyczne jego zasady przerobić w ten sposób, aby się dały pogodzić z religią chrześcijańską? My ze swéj strony chcielibyśmy zapytać: czy można ochrzcić Darwina? czy teorya ewolucyi może być tak przekształcona, aby ją bez obrazy prawowierności zaliczyć do rzędu hypotez dozwolonych? Otóż sądzimy, że gdyby Darwin, nie zaprzeczając siły twórczéj Najwyższéj Istoty, dowodził tylko, że wszystkie zwierzęta rozwinęły się przez transformizm z jednego jakiegoś pierwotnie stworzonego zarodka, jak to w pierwszych swych pracach utrzymywał, wtenczas teorya jego pozostając urojeniem wobec nauki, mogłaby uniknąć potępienia ze strony wiary. Zwolennicy jéj mieliby pretekst odwoływać się do powagi Księgi Rodzaju i utrzymywać, że Mojżesz odróżniając w swém opowiadaniu te dwa wyrazy: *bara* (stworzył) i *assoth* (kształcił, uczynił), popiera ich wywody. Jakoż mówiąc najprzód o stworzeniu płazów, prawodawca Izraela używa wyrazu *bara*; opowiadając zaś daléj o pojawieniu się zwierząt, posługuje się wyrazem *assoth*, jakby dając do zrozumienia, że one nie potrzebowały nowego aktu twórczéj potęgi, lecz rozwinęły się już same przez się ze stworzeń niższego gatunku. Takie mniemanie nie przeczy nawet pojęciu, jakie mamy o mądrości Boga, szanującego samodzielność swych stworzeń i dozwalającego im własnemi siłami dobijać się doskonałości. Mocen On był, utworzywszy najprzód jakąś ascydyę, dozwolić, aby następnie wszystkie inne żyjące istoty wykluwały się z niéj kolejno, jak dozwolił, aby z pierwotnéj chaotycznie tylko stworzonéj materyi, wykształcał się w ciągu wieków cały ten świat materyalny. Wprawdzie przeciwnicy takiéj teoryi mogliby zarzucać, że

Mojżesz mówiąc o stworzeniu i kształceniu rozmaitych zwierząt, dodaje za każdym razem słowa: „według rodzaju swego“—słowa, które zdają się przeczyć teoryi transformizmu; zwolennicy jednak mogliby odpowiedzieć, że zarzut ten nie jest tak stanowczy, aby się nie dał uchylić, że Mojżesz temi wyrazami chciał tylko pokazać, że proces transformizmu nie powinien był trwać ciągle, lecz że skoro ukonsolidowały się wszystkie żwierzęce rodzaje, które Opatrzność Boska przeznaczyła na usługę przyjść mającemu człowiekowi, proces ten się zatrzymał i ostatecznie zakreśliły się granice między rodzajami wszystkich stworzeń. Powtarzamy, że podobna hypoteza byłaby dowolném przypuszczeniem, ale przynajmniéj nie obrażałaby artykułów naszéj wiary i fundamentalnych zasad zdrowéj filozofii. Powiemy nawet więcéj: gdyby darwiniści, wychodząc z powyższego założenia, posunęli swoje wywody jeszcze daléj i dowodzili, że nawet ciało człowieka, nim Bóg wlał w nie duszę nieśmiertelną, wytworzyło się przez transformizm z ciała jakiegoś żwierzęcia niższego rodzaju, to i wtedy owa hypoteza, jakkolwiek już niebezpieczna i zuchwała, jeszcze tolerowana byćby mogła. Zwolennicy jéj mogliby twierdzić, że Mojżesz używając jednocześnie obu wyrazów: *bara* i *assoth* w opisaniu genezy człowieka, nie przypuszcza oddzielnego stworzenia jego ciała, ale zaznacza, że dusza jego, jako pierwiastek niemogący się wysnuć z materyi, była stworzona przez nowy akt twórczéj potęgi Boga. „Zatém rzekł Bóg: uczyńmy człowieka na wyobrażenie i na podobieństwo nasze... Stworzył tedy człowieka na wyobrażenie swoje; na wyobrażenie Boże stworzył go; mężczyznę i niewiastę stworzył je“. Podług niektórych uczonych kommentatorów Pisma św., wyraz hebrajski *tsalmej*, tłumaczony na łacińskie *imago* (wyobrażenie) oznacza istotę czysto duchową, a wyraz hebrajski *kidmus*, przełożony na łacińskie *similitudo* (podobieństwo), stosuje się tylko do istot materyalnych. Transformiści więc mogliby nakręcać ten wykład do swojéj teoryi, utrzymując, że Bóg stworzył człowieka na wyobrażenie swoje, t. j. obdarzył go duszą nieśmiertelną; co zaś do ciała jego, uczynił je, t. j. przekształcił je z ciała innego żwierzęcia; uczynił je z mułu ziemi, z którego téż uprzednio wyprowadzone zostały ciała innych zwierząt. Że zaś powiedziano jest: „na podobieństwo swoje“, wyrażenie to według zdania niektórych teologów oznacza, że Bóg stwarzając człowieka, widział swojego Przedwiecznego Syna, przyobleczonego w ciało ludzkie, i na wzór tego ciała drugiego Adama ukształ-

cił ciało pierwszego, na co nie potrzebował nowego aktu stwarzania, lecz je wyprowadził przez transformizm z materyalnéj substancyi.

Gdyby teorya Darwin'a w powyższy sposób była sformułowana, na co się z razu zanosiło, gdy sam Darwin przypuszczał stworzenie przez Boga pierwotnych komórek, jesteśmy przekonani, że chrześcijańscy apologeci, pozostawiając zbijanie téj teoryi naturalistom, mogliby się względem niéj zachować neutralnie. Obowiązkiem ich bowiem jest walczyć tylko z tém, co się bezwarunkowo sprzeciwia dogmatowi, posuwać zaś do ostatnich możliwych granic tolerancyę w materyach wątpliwych i niepotępionych przez Kościół.

Ale darwinizm zgoła innemi poszedł drogami. Chciał on nauczyć ludzi, że się można obejść bez Boga: dla tego nie uznawał Jego twórczéj potęgi; usunął ją zupełnie od wszelkiego związku ze światem; twierdził, że organizmy żwierzęce mogły powstać z materyi i bez przyczyny rozumnéj, jaką jest Bóg; twierdził, że człowiek, który podług zasad religii i filozofii, posiada duszę niemateryalną, niezłożoną z części, realnie różną od ciała, obdarzoną pojęciami oderwanemi, z natury swéj nieśmiertelną, pochodzi od żwierzęcia, które ma tylko władze rzędu zmysłowego, które nie ma ani pojęć ogólnych, ani wolnéj woli, ani moralnego poczucia, ani poznania stosunków piękna i prawdy, słowem nie ma żadnéj władzy i czynności czysto duchowéj.

Na pierwszy rzut oka widoczną jest rzeczą, że taka teorya nie da się pogodzić z wiarą chrześcijańską; a ponieważ wszystko, co obraża dogmata, obraża jednocześnie zasady zdrowéj filozofii, wspomniona przeto teorya staje na stanowisku wrogiém i względem religii i względem filozofii. Obie téż one jak we wszystkich innych żywotnych kwestyach, tak i w téj podają sobie wzajemnie ręce dla odparcia téj wstrętnéj teoryi, urągającéj zarazem dogmatowi Kościoła i metafizycznym pewnikom. Co do sprzeczności nauki Darwina z nauką wiary katolickiéj, dość przytoczyć następny dekret czwartego lateraneńskiego powszechnego soboru: „Mocno wierzymy i wyznajemy, że Bóg swą wszechpotężną mocą razem, na początku czasu, oboje z nicości uczynił stworzenie: duchowe i materyalne t. j. aniołów i świat; a następnie naturę ludzką, niejako wspólną t. j. z ducha i ciała złożoną". Prawdę tę zresztą powtarza każdy katechizm, nauczając, że po śmierci człowieka, ciało jego powraca do ziemi a dusza idzie do Boga, który ją sądzi i stosownie do jéj czynności wymierza jéj karę lub nagrodę. Więc podług zasad religii chrześcijańskiéj dusza ludzka nie może wypływać z materyalnego pierwiastku, a przeto człowiek nie może pochodzić od żwierząt,

jak utrzymuje Darwin. Filozofia téż również stanowczo odrzuca naukę Darwin'a. Dowodzi ona, że w człowieku dusza i ciało, lubo w tém życiu ściśle z sobą złączone, są jednak istotami zupełnie odrębnéj natury, i różnią się między sobą daleko więcéj, aniżeli ogień z wodą. Nie możemy tu przytaczać wszystkich dowodów, które filozofia składa na poparcie tego założenia, i ograniczamy się na kilku główniejszych.

Każde ciało, choćby najsubtelniejsze, składa się koniecznie z cząstek i dla tego na części dzielić się daje; posiadać ono musi pewną rozciągłość, nieprzenikliwość, dziurkowatość, ciężkość i t. d. Otóż wszystkie te własności do duszy zastosować się nie dadzą. Któż bowiem jaką władzę duszy na cząstki rozłożyć potrafi? Któż ją łokciem wymierzy, albo na szalach zważy? Jakiego kształtu są władze duszy? Czy są okrągłe, czy kwadratowe? Czy mają jaki kolor, zapach, smak? Czy są mokre lub suche, gęste lub rzadkie, ciemne czy przezroczyste? Czy myśl o słońcu dłuższa jest, albo cięższa aniżeli myśl o ziemi i t. d.? Dusza i ciało więc posiadają odmienne własności, a więc są istotami całkiem różnemi. A ponieważ ciało jest podzielne, rozciągłe, ciężkie i t. d. wypada koniecznie, że dusza jest niepodzielna, niezłożona, pojedyncza, nieujęta, żadnych nie mająca wymiarów, z żadnych atomów się nie składająca. Dowód ten niemateryalności duszy, znany od czasów odległéj starożytności, tak jest silny i niepodobny do obalenia, że materyaliści pomijają go zwykle milczeniem, nie śmiejąc nigdy stawić mu czoła.

Gdyby dusza była wytworem materyi, powiada p. Martin, zkądżeby się brały w mózgu myśli błędne, pojęcia fałszywe? Wszakże siły fizyczne i chemiczne rządzone są niezmiennemi prawami, a w niższych funkcyach organizmu, gdzie w rzeczy saméj panują, nie podlegają nigdy omyłkom, nie wahają się nigdy. Albo jakim sposobem moglibyśmy wytłómaczyć, co to jest pamięć? Jakim sposobem malutka cząsteczka mózgowa może zamknąć w sobie takie obszary przestrzeni i czasu?

Kiedy jakiekolwiek ciało, będące w biegu, spotyka się z inném ciałem, musi koniecznie albo poruszyć je z miejsca, albo jeżeli zanadto mocnego doznaje oporu, zatrzymać się samo. Ale jakież ciało zdoła wstrzymać polot myśli ludzkiéj? Jeśli dusza jest materyą, dla czego nie doświacza żadnego oporu, przebijając się myślą przez takie mnóstwo ciał? Oto dla tego, że dusza fizycznym prawom materyi nie podlega. Kto więc twierdzi, że dusza jest własnością organizmu, ten chyba urąga logice i zdrowemu rozsądkowi.

Filozofia dostarcza mnóstwo dowodów na to, że materya ani czuć, ani myśleć nie może. Nie podobna nam przytaczać chociażby małéj ich cząstki, gdyż toby za nadto rozszerzyło ramy naszego artykułu; powiemy tylko, że prawda ta tak jest niewątpliwa, iż wyznanie jéj wyrywa się nieraz mimowolnie z ust materyalistów najczystszéj wody. Oto n. p. Dubois-Reymond, którego materyalistyczne stanowisko dobrze jest znane, w jednym ze swych odczytów tak się o téj kwestyi wyraża: „Ważną i ciekawą byłoby rzeczą poznać wszystkie możliwe zajścia i zmiany w mozgu przy różnych czynnościach tego organu. Co się atoli tycze psychicznych czynności, jasną jest rzeczą, że te nawet przy astronomicznéj znajomości organu duszy byłyby dla nas równie niepojęte, jak są teraz [1]). Ze znajomością taką stanęlibyśmy przed psychicznemi czynnościami, jako przed trudnością zupełnie nierozwiązaną. Astronomiczne bowiem poznanie mozgu, w najwyższym stopniu doskonałości, jaki jest możliwy, odsłania nam tylko poruszaną materyę. Absolutném zaś jest niepodobieństwem, aby przez jakiekolwiek uszykowanie lub ruch materyalnych cząstek utorować sobie drogę w dziedzinę tego, co poczuciem nazywamy. Ruch może tylko wpłynąć na ruch, czyli może tylko ruch wywołać“.

„Zdaje się na pierwszy rzut oka, mówi daléj tenże autor, jakoby przez poznanie materyalnych czynności w mozgu, niektóre zarazem czynności i zdolności wyjaśnione były, jako to: pamięć, tok i towarzyszenie wyobrażeń, szczególne zdolności i t. p. Atoli dość pobieżne zastanowienie się uczy, że to ułudą jest. Pouczylibyśmy się tylko o pewnych zajściach warunkowych, wewnętrznych życia duchowego, które z zewnętrznemi dla działania zmysłów, jakby jednakowéj są natury; nie mielibyśmy atoli poznania, w jaki sposób życie duchowe pod temi warunkami staje się możliwém. Jakiż bowiem możliwy zachodzi związek między oznaczonemi ruchami pewnych atomów w moim mozgu, a między pierwiastkowemi faktami, nieokreślonemi wprawdzie, ale i niezaprzeczonemi, jako to: że czuję ból, cieszę się, smakuję coś słodkiego, czuję woń róży, słyszę głos organów, widzę coś czerwonego, a w końcu bezpośrednio ztąd wypływająca pewność — więc ja jestem? Gdyby to mogło być pojęte, również nie byłoby rzeczą niepodobną, o czém nikt jednak dotąd nie myślał, aby zebranym w pewnéj ilości atomom węgla, wodoru, azotu i tlenu nie było rzeczą obojętną, w jakim porządku są ułożone i poruszają się, czy w takiém są ugrupowaniu i ruchu, czy w nowém jakiém połączeniu zostawać będą. W żaden sposób dopatrzyć się nie można, jakby ze wzajemnego i wspólnego takowych drobin działania mogło powstać czucie lub świadomość samego siebie. Jeżeli im ich ruch i położenie nie jest rzeczą obojętną, toćby trzeba przypuścić, że atomy już z natury (podobnie jak Leibnitz'a monady) samowiedzą są opatrzone; atoli to przypuszczenie aniby wyjaśniło świadomości w ogóle, aniby wcale dopomogło do wytłómaczenia téj jedności, jaka jest w świadomości osobnika“.

1) Przez astronomiczną znajomość rozumie Dubois-Reymond doskonałą i wyczerpującą wiadomość położenia i ruchu atomów przy wszelkich fizycznych i chemicznych zmianach.

Jeżeli materya czuć nie może, témbardziéj nie może myśleć. Czyny myślenia, czyny czysto umysłowe, tak wyraźnie objawiają swe pochodzenie od pierwiastku niemateryalnego, że jak się wyraził Cycero: „trzeba być umysłu ciężkiego jak bryła ołowiu, aby tego nie widzieć“. Przytoczony wyżéj ksiądz Morawski tak streszcza rozumowanie rzymskiego mówcy: Materya dzieli się na cząstki, myśl zaś jest pojedyncza, a tylko ta pojedynczość myśli może zlać w jedno rozmaite pojęcia o jakiéj rzeczy i wydać o niéj sąd. Gdyby ten sąd był aktem organu materyalnego, inna część tego organu wyrażałaby jedno pojęcie, inna drugie, inna znów trzecie i t. d.; przypuściwszy że każda z nich pojmuje co wyraża, jeszcze nie mamy sądu. Co innego bowiem są te pojęcia, a co innego sąd; sąd nie jest tylko składem tych pojęć, ale niepodzielną ich intuicyą. Ta sama część, która rozumie jedno pojęcie, musi oczywiście rozumieć i inne. Lecz znów o téj części zapytamy: czy ona jest złożona z części lub nie? — i znowu wróci taż sama trudność, aż póki nie przyjdziemy do istoty niezłożonéj, bezwzględnie pojedynczéj, ogarniającéj w jednéj intuicyi wszystkie te pojęcia i ich związek między sobą. Oto jest nieprzeparte rozumowanie Cycerona, z którego wynika, że myślenie nie może być udziałem materyi.

Gdybyśmy przeto wbrew wszelkiemu podobieństwu przypuścili nawet, że materya zdolna jest do czucia, a więc że mogła sama przez się wytworzyć żwierzę, jeszczeby nigdy, jako pozbawiona władzy myślenia, nie wydała na świat człowieka. „Tu właśnie, jak się wyraża ksiądz Morawski, między poczuciem żwierzęcia a rozumieniem człowieka leży główny i nieprzebyty odstęp, daleko większy aniżeli między czuciem a nieczuciem — tu jest przepaść, którą materyaliści przeskakują, nie troszcząc się o nią, nie postrzega-

jąc jéj nawet, a to dla tego, że nigdy się nie zastanawiają nad istotą myśli".

Ze wszystkiego, cośmy powiedzieli, oczywiście wynika, że teorya transformistyczna nosząca imię Darwin'a, żadną miarą utrzymać się nie da; odpychają ją zasady zdrowéj filozofii i potępia ją Kościół, który według słów św. Pawła jest „filarem i utwierdzeniem prawdy".

Ponieważ dusza nie może być wytworem materyi, zkądże przeto ona pochodzi? Filozofowie pogańscy i chrześcijańscy wygłaszali w téj kwestyi opinie, o których tu słów kilka powiemy:

Sięgając czasów pogańskiéj starożytności, przypominamy, że Makrobiusz tak streszcza zdania ówczesnych niby spirytualistów, którzy jednak nie mogli jeszcze wybrnąć z materyalistycznych pojęć. Podług nich istnieje płyn świetlany, ognisty, bardzo subtelny, który pod nazwą eteru i ducha, rozlany jest we wszechświecie. Składa on substancyę słońca i gwiazd; jest pierwiastkiem i istotnym czynnikiem wszelkiego ruchu, wszelkiego życia. Kiedy jakie ciało ziemskie ma otrzymać życie, okrągła cząsteczka tego płynu przepływa przez drogę mleczną do sfery księżycowéj; doszedłszy tam, miesza się z powietrzem cięższém, przez to staje się zdolną do połączenia się z materyą; wtedy wstępuje do kształcącego się ciała, napełnia je, ożywia i rośnie z niém razem.

To materyalistyczne pojęcie o pochodzeniu duszy, przypuszczające przytém jéj emanacyę z materyalnego bóstwa (gdyż wspomnieni filozofowie ów rozlany eter nazywali bóstwem), nie mogło być podzielane przez głębiéj myślące geniusze. Jakoż Platon nieco inaczéj mówi o téj kwestyi. Przypuszcza on, że wszystkie duchy wychodzą z bóstwa przez emanacyę, przypuszcza metampsychozę, ale utrzymuje, że dusze są istotami duchowemi, posiadającemi myśl, rozum i wolę. Podług niego istniały one odwiecznie w niebie, ale raz tam zgrzeszywszy, zostały za karę strącone na ziemię i skazane na mieszkanie w ciałach, aby przez pokutę zasłużyły znów na powrócenie do pierwotnego stanu. Dusza połączona z ciałem jest jednak od niego niezależną, ma władzę nadawania mu ruchu, mieszka w niém jakby w odzieniu i rządzi niém jakby sternik okrętem. Ten ostatni ustęp przypomina nam słowa angielskiego myśliciela Carlyle'a że ciało nasze jest dla ducha tylko sukienką utkaną w niebie, z któréj się kiedyś rozbierzemy.

Dla wytłómaczenia cielesnych namiętności i popędów Platon utrzymywał, że oprócz téj duszy niematerya̲lnéj i nieśmiertelnéj, którą

nazywa samczą, człowiek posiada jeszcze drugą duszę, samiczą, półmateryalną i śmiertelną, która razem z ciałem umiera.

Oto jest opinia Platona, jak ją przynajmniéj podają autorowie, którzy potrafili rozproszyć istnie chaotyczne ciemności, otaczające nieraz rozumowania filozofa, i dotrzeć aż do samego rdzenia jego myśli. Brak nam miejsca na przytaczanie mniemań innych mędrców starożytności; wspomnieliśmy zaś o Platonie dla tego, że dzieła jego nazywane były przez wielu ludzką przedmową do Ewangelii.

Tę emanacyjną doktrynę Platona wyznawali późniejsi neoplatonicy: Plotyn, Proklus i inni; przypisują ją także Orygenesowi, chociaż co do tego rzecz wątpliwości może ulegać. Uczony obrońca jego Huet utrzymuje, że Orygenes podawał ją za hypotezę, bynajmniéj nie twierdząc o niéj stanowczo: Brucker w dziele swoim p. t.: Historya krytyczna filozofii zbija Huet'a, usiłując dowieść, że nie pojął dokładnie myśli Orygenesa, gdyż jakoby nie znał filozofii neoplatońskiéj. Nie śmiemy rozstrzygać tego sporu, powiemy tylko, że (jakeśmy sami w innych przedmiotach sprawdzili) wywodom, a co gorsza cytatom Brucker'a, nie zawsze zaufać można.

Szczupłe ramy niniejszego artykułu nie dozwalają przytaczać niektórych szczególnych opinij kilku Ojców Kościoła, wypowiedzianych w téj materyi opinij, które zostały odrzucone przez Kościół. Wspomnimy tylko w krótkości o tych mniemaniach, względem których Kościół nie wydał żadnéj dogmatycznéj decyzyi, i które z tego powodu należą do rzędu przypuszczeń dozwolonych.

Kościół podaje nam tylko do wierzenia, że człowiek składa się z ciała i duszy; że dusza jest nieśmiertelną i stworzoną przez Boga; że pierwsi nasi rodzice popełnili grzech pierworodny, który przelał się na cały rodzaj ludzki. Ale co do sposobu, jakim każda dusza przychodzi do zjednoczenia się ze swojém ciałem, Kościół toleruje wszelkie opinje, nie będące w sprzeczności z dogmatami chrześcijańskiemi. Te tolerowane opinje są następujące: Pierwsza przypuszcza preegzystencyę dusz, t. j. stworzenie ich wszystkich przez Boga na początku świata; druga utrzymuje, że dusze wszystkich ludzi pochodzą od duszy Adama, przez wszczepienie za posrednictwem rodziców, czyli innemi słowy, że Bóg stworzył tylko duszę Adama, który następnie razem z ciałem dał i duszę swym dzieciom i t. d. aż do naszych czasów; trzecia zaś twierdzi, że Bóg stwarza duszę dla każdego człowieka osobno przy poczęciu jego ciała. Samo przez się rozumie, że

we wszystkich tych opiniach przypuszcza się, iż Bóg tworzy duszę z niczego.

Opinia o preegzystencyi dusz rozpada się niejako na dwa odcienia. Jedni utrzymywali, że wszystkie dusze od początku świata razem zostały stworzone i w miejscu, Bogu tylko jednemu wiadomém, przechowane; ztamtąd Bóg posyła je na mieszkanie do ciał na ten świat przychodzących ludzi. Drudzy, nie mogąc pogodzić sprawiedliwości Boskiéj z tém posyłaniem niewinnych dusz, nie mających związku z przestępstwem Adama, do ciał grzesznych podległych karze, sformułowali hipotezę, wpadającą już w gnostycyzm, a mianowicie, że dusze stworzone przez Boga na początku świata, same dobrowolnie zstępują w ciała ludzkie, i tym sposobem przyjmują na siebie skutki grzechu pierworodnego. Opinię o preegzystencyi dusz, przynajmniéj w znaczeniu gnostyczném, potępił Kościół na piątym powszechnym soborze w Konstantynopolu r. 553, i od téj epoki teologowie katoliccy już jéj nie ponawiają. Z tego względu należy ją w obu jéj odcieniach uważać za sprzeczną z nauką Kościoła. Powiemy przy téj sposobności, że hypotezę preegzystencyi dusz wyznaje Talmud, podług którego Bóg stworzył je wszystkie w ciągu sześciu dni stworzenia i złożył w pewnym niebieskim składzie zwanym *gif*, zkąd je potém w miarę rodzenia się ciał wypuszcza. Dodamy przytém, że Talmud tylko dusze żydowskie uważa za pochodzące od Boga, i oprócz tego twierdzi jeszcze, że każdy izraelita, aby mógł bardziéj cieszyć się i weselić w czasie szabasu, otrzymuje na ten dzień drugą duszę świąteczną, szabasową, daleko doskonalszą od powszedniéj.

Ze znakomitych filozofów, wyznających opinję o preegzystencyi dusz, zacytować możemy Leibnitz'a. Nadto podzielał on jeszcze zdanie, przypisywane także Tertulianowi i Tacyanowi, że jakoby dusza od pierwszéj chwili swego istnienia przyobleka się w jakieś ciało niewidome, bardzo subtelne, któremu swéj nieśmiertelności udziela. Ta niewidoma „obłocz“ towarzyszy duszy w czasie jéj zjednoczenia się z ciałem, przebywa z nią przez całe życie człowieka, i jako nieśmiertelna nie opuszcza jéj po śmierci; dusza, odziana w tę subtelną szatę, idzie do wiekuistéj krainy. Istnienie téj osobliwszéj „obłoczy“, albo jak nazywają „uźroczy“, przypuszczają dzisiejsi spirytyści, i właśnie za pomocą tego przypuszczenia chcą objaśniać ukrywanie się duchów wywoływanych przez „medya“.

Podług innéj opinii dusze wszystkich ludzi pochodzą od Adama przez rozradzanie się *(pertraducem)*, tak prawie, jak płomień jednéj świecy zapala świec mnóstwo; w tém mniemaniu dusza, równie jak ciało, bierze początek od rodziców. Tę opinię podzielali Tertulian, Apolinary biskup laodycejski i kilku innych. W piątym wieku była ona bardzo rozpowszechniona w Kościele; tak przynajmniéj wnosić możemy z tego, że heretycy Pelagianie nazywali katolików przez szyderstwo traducyanami, gdyż wielu z nich dla wytłómaczenia przelewu grzechu pierworodnego z rodziców na dzieci, utrzymywało, że dusza dziecięcia wynika z duszy rodzicielskiéj. Wielki doktor Kościoła, św. Augustyn, skłaniał się ku téj opinii, wbrew dowodzeniom św. Hieronima, który usiłował go przekonać, że Bóg dla każdego człowieka tworzy osobno duszę z niczego. W komentarzu swym: *De Genesi ad litteram* św. Augustyn powiada, że pochodzenie dusz od rodziców zdaje mu się być bardziéj podobném do prawdy niż tworzenie dla każdego człowieka osobno. Toż samo powtarza w kilku innych miejscach. W końcu jednak zwątpił o prawdziwości téj opinii, i w ostatniém swém dziele, wydaném przeciwko Pelagianom, zdaje się zgadzać ze św. Hieronimem. Pomimo że zdanie św. Hieronima jest dziś prawie powszechnie wyznawane, jednak opinia, o któréj obecnie wspominamy, znajduje jeszcze zwolenników. Pomiędzy innymi, uczony ksiądz Laforet, autor dzieła p. t. *Les dogmes catholiques*, oświadcza się za nią. Tłómacz Polak (T. Massalski) dzieła Augusta Nicolas'a p. t. *Etudes philosophiques sur le christianisme* staje w jéj obronie.

Główniejsze dowody za jéj prawdziwością są następujące:

1. Opinia ta najlepiéj tłómaczy przejście skutków grzechu pierworodnego od Adama na cały rodzaj ludzki.

2. Najłatwiéj też daje zrozumieć dziedziczność zdolności i charakterów.

3. Pismo św. powiada, że Bóg wyjął żebro Adamowi i z niego utworzył Ewę; ale ponieważ nie mówi, że w to nowe ciało wlał nową duszę, należy wnosić, że Bóg dla tego właśnie, aby bez potrzeby duszy nowéj nie stwarzać, i żeby wszystkie dusze, równie jak ciała, pochodziły od jednéj istoty Adama, wziął z żyjącego już Adama część żyjącą i wyprowadził z niéj żyjącą osobę, tejże natury, chociaż oddzielną. Dusza więc Ewy, równie jak ciało pochodzi od Adama, a od nich już, jako od pierwotnego źródła, wszystkie dusze, za pośrednictwem rodziców, początek swój biorą.

4. Podług słów Pisma św. „dokończył Bóg dnia siódmego dzieła swego, które uczynił“; nie byłoby to prawdą, gdyby Bóg codziennie nowe tworzył dusze.

Inna nareszcie opinia utrzymuje, że Bóg tworzy duszę dla każdego człowieka osobno przy poczęciu ciała jego, lub kiedy organizm dziecięcia w łonie macierzyńskiém rozwinie się już do tego stopnia, że zdolen jest przyjąć działanie duszy.

Opinię tę popierali najdawniejsi ojcowie Kościoła; najbardziéj jednak argumentował za nią św. Hieronim, ztąd otrzymała ona nazwę opinii św. Hieronima. W średnich wiekach przyjęli ją scholastycy; św. Tomasz z Akwinu, w wiekopomném swém dziele p. t. *Summa contra Gentiles*, ściśle filozoficznemi wywodami wykazuje, że dusze ludzkie nie istniały odwiecznie, ani też pochodzą od rodziców, ale, że Bóg stwarza z niczego pewną ich liczbę codziennie, skoro w przyrodzie znajdują się odpowiednie dla nich warunki. W szesnastém stuleciu, znakomity apologeta, kardynał Robert Bellarmin, bronił energicznie téj opinii, i utrzymywał, że jeżeliby ktokolwiek jeszcze wahał się ją przyjąć, byłby już podejrzanym o niewierność Kościołowi. Zdanie to grzeszy naturalnie przesadą; wyznać jednak należy, że najdawniejsi Ojcowie Kościoła i dzisiejsi najznakomitsi teologowie, z małemi bardzo wyjątkami oświadczają się za nią, tak, że ułożone przez nich wyrażenie: *anima creando infunditur, infundendo creatur*, można uważać prawie za artykuł wiary. Brak nam miejsca na przytaczanie mnóstwa świadectw; przywiedziemy jednak odpowiedź, jaką Draper'owi udzielił dziennik włoski *Civiltà Cattolica*, stojący na gruncie ściśle katolickim i propagujący zasady, wyznawane przez Stolicę apostolską.

J. Wilhelm Draper w pamflecie wymierzonym przeciwko religii katolickiéj p. t.: Historya zatargu religii z nauką, wykładając po swojemu teorye istnienia świata, t. j. usuwając Boga od wszelkiego w nim udziału, powiada, że świat jest to mnóstwo nieskończone atomów, z natury swojéj bezczynnych, ale w nieustającym ruchu zostających; atomy te są niestworzone, wieczne, rozrzucone w przestworze niezmierzonym. Pomnożywszy sumę całéj masy tych atomów przez sumę szybkości ruchu ich, otrzymamy to, co się zwie iloczynem ruchu. Iloczyn ten w świecie jest zupełnie stały, niezmienny. Wychodząc z tego założenia, Draper protestuje przeciw indywidualnemu stworzeniu każdéj duszy ludzkiéj; utrzymuje, że wszelkie wprowadzenie siły nowéj miesza matematyczną harmonię ewolucyj kosmicznych i dla tego dopuszczoném być nie może. Podług niego porządek świata taką rządzony jest koniecznością, że każde nowe zjawisko kosmiczne, wywołane ruchem mechanicznym, który sam wszystko sprawuje, musi mieć całkowitą racyę bytu swego w tém zjawisku i ruchu atomicznym, który go poprzedził; tak być musi, bo takie jest prawo, a prawo to poszłoby pod stół, gdybyśmy mieli przypuszczać wdawanie się Boga przez cuda albo stworzenie duszy niemateryalnéj. Otóż artykuł krytyczny, pomieszczony r. 1877 w *Civiltà Cattolica* i przedrukowany w *Przeglądzie Katolickim*, taką co do tego punktu amerykańskiemu uczonemu daje odprawę: „Pojmujemy bardzo zakłopotanie szanownego profesora; rozumiemy, że go boleć musi smutny los zgotowany prawu jego; ale jaka na to rada? Niech sobie już prawo jego idzie pod stół, czy gdzie zechce, skoro to takie prawo, że nie może się zgodzić z faktami. Wszak tyle p. Draper umie po łacinie, by zrozumiał ten aksyomat: *contra factum non valet argumentum*. Że tyle jest dusz rozumnych, ile jest ciał ludzkich, jest to jeden z tych faktów, przeciw którym nic nie pomogą żadne argumenta; nie tylko wiara ten fakt objawia, ale i filozofia o nim upewnia; jak również i to jest faktem, że są pewne zjawiska które się zowią cudami, ponieważ widocznie nie mają dostatecznéj i wyczerpującéj racyi bytu swego w tych okolicznościach i przyczynach naturalnych, w których powstały. Co się tycze pierwszego z tych dwóch punktów, nie będziemy tu tracili słów na próżno, ale odsyłamy Draper'a do filozofii: tam się dowie, jeśli rzeczywiście jeszcze o tém nie wiedział, że istnienie duszy ludzkiéj i konieczność osobistego każdéj duszy stworzenia za każdém z osobna zrodzeniem, jest rzeczą tak jawną i pewną, że nie wiedzieć o niéj, albo zaprzeczać jéj byłoby grubą nie do wybaczenia niewiadomością“.

Opinia o codziennem dusz ludzkich przez Boga stwarzaniu opiera się na licznych i gruntownych zasadach, z których przytoczymy kilka.

1. Dusza, będąc istotą niepodzielną, nie może być wszczepioną przez rodziców; gdyż wszczepienie przypuszcza rozmnożanie się części, z których jedne udzielają się, a drugie pozostają. W tym przypadku dusza dziecięca musiałaby chyba być cząstką duszy ojcowskiéj, co w obliczu teologii jest herezyą, a w obliczu filozofii niedorzecznością, wspomniony argument przeto wydaje się nam niepodobnym do obalenia.

2. Niepodzielności i nieśmiertelności, jako darów nad wszelkie pojęcie niezmiernych, nikt oprócz samego Boga dać nie może.

3. Mędrzec Pański woła: „I wróci proch do ziemi, z któréj jest wzięty, a duch wróci do Boga, który go dał“. (Ecclesiastes, roz. XII. ver. 7). Św. Paweł też mówi: „Ciała naszego ojce mieliśmy nauczycielami i baliśmy się ich; czyliż nie daleko więcéj będziemy posłuszni ojcu duchów?“ (List do Żydów, roz. XII, ver. 9).

4. Rodzice nadają swemu dziecięciu ciało takich własności, jakie sami posiadają; ze zdrowych rodziców rodzi się zdrowe potomstwo, ze słabych i niedołężnych słabe i niedołężne. Otóż gdyby rodzice nadawali dzieciom dusze, wypadałoby przypuścić że dzieci pochodzące od rodziców ochrzczonych rodziłyby się już wolne od grzechu pierworodnego i na odwrót. Każda dusza dziecięcia byłaby obciążona nie tylko pierworodnym grzechem, ale też wszystkiemi grzechami swoich rodziców.

Zwolennicy téj opinii nie znajdują też żadnéj trudności w pogodzeniu jéj ze słowami Księgi Rodzaju: „Dokończył Bóg dnia siódmego dzieła swego, które uczynił“. Powiadają bardzo słusznie, że słowa te znaczą tylko, że Bóg odtąd zaprzestał tworzyć stworzenia nowych rodzajów, ale nie przestał stwarzać takich jestestw, jakie już w epokach genezy świata stworzone zostały, i na dowód odwołują się do słów Chrystusa: „Ojciec mój aż dotąd działa i ja działam“. (Jan, roz. V., ver. 7).

Oto są główne mniemania względem pochodzenia dusz ludzkich. Kwestye te zajmują jedno z ważniejszych miejsc w nauce filozofii; od rozwiązania ich zależy dokładne zrozumienie wielu zjawisk natury człowieka. Pisarze materyalistyczni spoglądają wprawdzie na nią z największą pogardą i wyrzucają ją z dziedziny umiejętności, jako traktującą o rzeczy nie tylko nieużytecznéj, ale fałszywéj. Ale materyaliści, zaprzeczając Boga i duchowości duszy, nie umieją wytłómaczyć ani człowieka, ani świata; nad ich teoryami ciąży wiecznie mściwa ręka Nemezydy, oplatając je siecią najgrubszych błędów i kontradykcyj. Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia dochodzi zuchwałość ich twierdzeń. Büchner, jeden z koryfeuszów dzisiejszego materyalizmu, w dziele swém: „*Kraft und Stoff*“ niejednokrotnie powtarza: „Minęły czasy *(die Zeiten sind vorüber)*, w których przypuszczano istoty duchowe, Boga Stworzyciela i t. d“. W ciasnych ramach naszego artykułu nie możemy wykazywać całéj bezzasadności i fałszu tego wyrażenia; powiemy tylko, że badaniami o duszy ludzkiéj zajmowały się i zajmują najwznioślejsze geniusze świata: Platon, Cyceron, św. Tomasz z Akwinu, Bossuet, Dekart, Leibnitz, Malebranche, Gratry i mnóstwo innych, słowem wszyscy teologowie i filozofowie pogańscy i chrześcijańscy. Imiona tych wielkich mężów powinnyby przypomnieć Büchner'owi i wszystkim pisarzom *ejusdem farinae*, że nie można tak z góry traktować tych kwestyj...

Przechodząc do zagadnienia o ideach wrodzonych, zaznaczyć potrzeba, że jak nie ma jednomyślności między chrześcijańskimi filozofami co do kwestyi pochodzenia dusz, tak również nie ma jéj co do kwestyi idei wrodzonych, będącéj w pewnym związku z pierwszą. Sprowadza się ona do rozwiązania następnego pytania: czy ogólne wyobrażenia nasze i złączone z niemi pojęcia, jak Bóg, przestrzeń, czas, prawo przyczynowości i t. d., są nam wrodzone, czy też nabywamy je drogą empiryi, za pomocą zmysłów? albo innemi słowy: czy wiemy o nich *a priori*, czy też jedynie *a posteriori* do nich przychodzimy?

Pytanie to datuje co najmniéj od czasów dwóch najgenialniejszych filozofów starożytności: Arystotelesa i Platona. Platon, który wyznawał, że dusze najprzód istnieją w niebie, a ztamtąd za karę bywają zsyłane na ziemię, utrzymywał, że w duszy naszéj są idee wrodzone, bezwarunkowe, odwieczne, Boskie. Kiedy dusza zamieszkiwała niebieską krainę, idee te jaśniały w niéj w całym blasku; lecz tu, na ziemi wygnania, kiedy się przyoblekły w grubą materyalną powłokę, idee te się przyćmiły. Dopiero, gdy rzeczy skończone, ograniczone, ziemskie, niedoskonałe dochodzą przez zmysły do głębi duszy, idee te się obudzają, i rodzi się w niéj wspomnienie tego, co niegdyś widziała. Tym sposobem, podług teoryi Platona, empirya nie daje wiedzy, ale tylko ją przypomina, rozbudzając w duszy śpiące w niéj idee wrodzone.

Uczeń Platona, Arystoteles, inaczéj wykłada teoryę poznania. Utrzymuje on, że chociaż wiedza umysłowa, poznająca istotę rzeczy, wyższa jest od empirei, jednak oddzieloną od niéj (jak chce Platon) być nie może; w niéj początek swój bierze, chociaż następnie rozwija się niezależnie od niéj. Poczucie zmysłowe i pojęcie umysłowe, są to wprawdzie dwie rzeczy różne, ale mające z sobą ścisły związek, i pierwsze poprzedza drugie. Ztąd odrzucając idee wrodzone, filozof wygłosił ową sławną zasadę: *nihil est in intellectu, quod non fuerit prius in sensu*, zasadę, która później pod piórem Locke'a i jego zwolenników przybrała skrajnie sensualistyczne znaczenie.

Antagonizm w téj kwestyi dwóch wspomnionych filozofów przeszedł następnie dziedzictwem do ojców Kościoła. Ci z nich, którzy żyli w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, skłaniali się ku teoryi

Platona. Św. Justyn, św. Klemens Aleksandryjski, św. Augustyn i inni tak zwani platonicy, przypuszczali idee wrodzone; wprawdzie nie traktowali téj kwestyi specyalnie, niemniéj jednak z niektórych ustępów ich dzieł dostrzedz można, jakie były ich opinie w tym względzie. „Kiedy intelligencya ludzka, mówi św. Augustyn, poznaje jako prawdę konieczną, powszechną i niezmienną, wtedy oświeca ją coś Boskiego, zawiązuje się jakiś cudowny związek między nią a Bogiem. Jest to rodzaj intuicyi, albo zatopienia się w Bogu". Średniowieczni scholastycy, jako zwolennicy Arystotelesa, odrzucali teoryę idei wrodzonych; szczególnie św. Tomasz z Akwinu stanowczo jest jéj przeciwny. Zgadza się on w zupełności na zdanie filozofa ze Stagiry, podług którego umysł ludzki jest z początku *tabula rasa* i dopiero przez pośrednictwo zmysłów wzbogaca się w pojęcie. Św. Tomasz utrzymuje nawet, że gdyby człowiek miał idee wrodzone, lub téż nabyte inaczéj aniżeli przez zmysły, wtedy dusza ludzka byłaby podobna do duszy anielskiéj, t. j. byłaby istotą z natury swéj zupełną, a przeto nie mogłaby naturalnym związkiem połączyć się z ciałem, jako z pierwiastkiem całkiem dla siebie obcym i niepotrzebnym.

Filozofia scholastyczna, rozwijając się wspaniale, dopóki tacy ludzie, jak Albert Wielki, św. Tomasz, Jan Duns Scot trzymali jéj berło w swych dłoniach, zaczęła późniéj chylić się do upadku i wywołała przeciwko sobie w wiekach XV. i XVI. gwałtowną protestacyę. Nieco późniéj dwaj znakomici jéj odstępcy: Franciszek Bacon i Renatus Kartezyusz (Dekart), stali się założycielami dwóch odmiennych szkół filozoficznych, które jakkolwiek w początkach nie miały zamiaru zrywać z nauką wiary katolickiéj, w dalszym jednak rozwoju wydały niepożądane i niezdrowe owoce. Następca Bacon'a Locke, stał się protoplastą dzisiejszego materyalizmu; zasady zaś kartezyańskie rozwinęły się następnie w panteizm i ontologizm.

Kartezyusz w swych filozoficznych zasadach przechyla się na stronę idealizmu Platona; odosabnia on zupełnie duszę od ciała, a ztąd w następstwie przyznawać jéj musi idee wrodzone. Chociaż pojęcie ludzkie jest ograniczone, jednak człowiek pojmuje ideę nieskończoności, a więc, podług filozofa, ta idea nieskończoności jest człowiekowi wrodzona. Powiedzieć jednak należy, że nie posuwał on zbyt daleko swojéj teoryi. Nie dowodził, że idee absolutne, konieczne, są ciągle obecne w duszy ludzkiéj, ale utrzymywał tylko, że dusza ma zdolność odszukać je w sobie. W jednym z listów filozofa znajdujemy charakterystyczne pod tym względem wyznanie: „Kiedym mówił, że

idea Boga jest wrodzona, nie rozumiałem przez to nic odmiennego od rozumienia mego przeciwnika, t. j. rozumiałem, że natura włożyła w nas zdolność do poznania Boga. Ale nigdy nie pisałem, ani myślałem, aby takie idee mogły istnieć w nas same przez się, lub odrębnie od władzy myślenia" (Lettres. T. 2, p. 477).

Wspomniona teorya, świetnie rozwinięta przez Kartezyusza, zyskała wielu zwolenników wśród najgłębszych myślicieli, chociaż wyznać trzeba, że każdy z nich inaczéj ją pojmował. Podzielali ją we Francyi: Bossuet, Fénelon, Mallebranche i wielu innych uczonych; w Niemczech genialny Leibnitz, lubo w wielu razach zbija zasady Kartezyusza, jest jednak gorącym rzecznikiem idei wrodzonych, owszem idzie nawet w téj kwestyi daléj niż francuzki filozof. Podług Leibnitz'a samym empiryzmem, samém badaniem *a posteriori*, nie moglibyśmy poznać rzeczy, gdyż pojęcia doświadczeniem zdobyte, jako wypływające z faktów szczegółowych, nie mogą być zupełne; tylko poznanie *a priori*, oparte na zasadach ogólnych, koniecznych, wiecznych, prowadzi nas do prawdy. Zasady zaś te są wrodzone duszy ludzkiéj, leżą na jéj dnie, są jéj ciągle obecne; nie są wprawdzie doskonałe, jak niegdyś dowodził Platon, ale są jakby zarodkami *(connaissances virtuelles)*, które się stopniowo rozwijają przez działalność duszy. Gdyby one nie były wrodzone, nie moglibyśmy mieć żadnego rozumnego pojęcia o rzeczy, nie doszlibyśmy do poznania ani siebie samych, ani Boga. Stosownie do téj teoryi filozof tak się odzywa: „Czyż dusza ma okienka, czyż jest podobną do tabliczek, podobna do wosku? Widoczna, że wszyscy, którzy tak myślą o duszy, uważają ją chyba za cielesną w saméj istocie. Postawią może przeciwko mnie aksyomat, przyjęty przez filozofów: nic nie ma w duszy, coby do niéj nie doszło przez zmysły. Ale należy wyłączyć duszę samą i jéj uczucia. *Nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu, excipe: nisi ipse intellectus*". W inném zaś miejscu tak mówi: „Potrzeba przyznać, że skłonność, jaką mamy do poznania idei Boga, tkwi w naturze człowieka. I gdyby nawet przyznawano pierwszą świadomość téj idei objawieniu, to owa łatwość, z jaką przyjmują ludzie tę naukę, jest wrodzoną i naturalną naszemu duchowi, gdyż według naszego zdania, nauka zewnętrzna tylko rozbudza i rozwija prawdy, znajdujące się wewnątrz nas". *(Oevres de Leibnitz, edition de Janet, T. I. Nouveaux Essais sur l'entendement humain, livr. I).*

Ojciec nowożytnéj filozofii niemieckiéj Emmanuel Kant, wprowadził teoryę idei wrodzonych w sferę czysto urojoną, i że użyjemy tu

słów Hioba o ziemi,—„zawiesił ją na niczém“. Królewiecki filozof utrzymuje wprawdzie, że są w duszy pewne ogólne pojęcia wrodzone, jak Bóg, świat, dusza i t. d., ale te pojęcia są czysto idealne, czyli, jak je nazywa, transcendentalne; nie mają one żadnéj przedmiotowéj wartości, nic im nie odpowiada w rzeczywistym świecie. Kant w swéj Krytyce czystego rozumu *(Kritik der reinen Vernunft)*. przyjąwszy za główny punkt wyjścia subjektywizm myśli, zamknął całą filozofię w podmiocie, zaprzeczając możności poznania przedmiotu. Podług niego, podobnie jak tak zwane kategorye myśli naszéj (których filozof podaje dwanaście), są tylko czczemi formami myślenia, bez przedmiotowéj wartości, tak też i owe idee wrodzone są tylko subjektywnym wyrobem myśli, i nie możemy wcale dowieść, że odpowiadające im przedmioty istnieją w rzeczywistości.

Że taka zasada prowadzi do najniebezpieczniejszych konsekwencyj, bo wprost do ateizmu i nihilizmu, to widoczna jak na dłoni. Jakoż sam Kant tylko przez ucieczkę inną drogą potrafił wyratować się od wpadnięcia w tę przepaść. W swéj Krytyce praktycznego rozumu *(Kritik der praktischen Vernunft)*, uznaje on bytność Boga, nieśmiertelność duszy i t. d., ale jedynie jako postulata praktyczne, gdyż inaczéj byłby niemożliwym moralny rozwój człowieka. Oto do jakiéj fazy doszła pod piórem Kanta kartezyańska zasada idei wrodzonych. Nie mamy ani możności, ani potrzeby wspominać o opiniach w téj kwestyi późniejszych filozofów niemieckich.

Głównym przeciwnikiem teoryi idei wrodzonych okazał się Locke, który chcąc się opierać na empiryzmie Bacon'a, doszedł do zupełnego sensualizmu. Angielski uczony powołał się na głośną zasadę Arystotelesa i św. Tomasza: *nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu*, zasadę, z któréj Condillac, Helwecyusz, Lamark, Diderot, Broussais, Cabanis i wszyscy inni epigonowie Woltera wysnuli najskrajniejsze materyalistyczne teorye. Już sam nawet Locke wątpił o duszy ludzkiéj, czy jest materyalną? i dowodził, że chociaż materya sama przez się nie czuje i nie myśli, jednakże Bóg mocen był w ten sposób ją uorganizować, aby mogła mieć siłę czucia i siłę myślenia. Potrąciwszy o Locke'a wypada nadmienić, że podobnie, jak aksyomat teologiczny: Bóg chce zbawić wszystkich ludzi, jeżeli oni chcą, może mieć katolickie i pelagiańskie znaczenie, tak również wyrażenie: *nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu*, inaczéj było pojmowane przez Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu, a inaczéj przez Locke'a i jego następców. U ostatnich wyrażenie to identyfikuje niemal pojęcie umysłowe z pojęciem zmysłowém, ideę z wyobrażeniem; u pierwszych zaś, jak mówi ksiądz Morawski, głęboki znawca ich dzieł, nie znaczy ono wcale, że pewniki analityczne wywodzą się z empiryi i z niéj zaczerpują swą logiczną pewność, ani też pojęcia umysłowe są tylko jakiémś przekształceniem poczucia zmysłowego, ale znaczy ono tylko, że poczucia zmysłu związkiem czysto psychicznym wywołują w umyśle ogólne pojęcia, w których intuicyi umysł odkrywa *a priori* analityczne pewniki, bez względu na fakta empiryczne. Jedném słowem podług Locke'a i jego epigonów wiedza ludzka wyłącznie się opiera na empiryi; podług Arystotelesa i św. Tomasza, wychodzi z empiryi, a rozumowaniem dąży do idei. Ksiądz Morawski kładzie silny nacisk na różnicę tych zasad i przypomina, że nawet tak znakomity filozof, jak Gołuchowski, jéj nie dostrzegał. Widzimy więc, że filozof ze Stagiry, genialny średniowieczny scholastyk i angielski sensualista, chociaż wszyscy trzéj odrzucali idee wrodzone, nie stali jednak na tym samym poziomie.

Z drugiéj znów strony przeciwko kartezyanizmowi oświadczyła się szkoła tak zwanych tradycyonalistów, któréj właściwym protoplastą był uczony Huet, żyjący w przeszłém stuleciu, a która zmodyfikowana nieco przez Bautain'a a bardziéj jeszcze przez Bonald'a, Lammenais'a, Venturę i innych, dzięki tym ostatnim zyskała w pierwszéj połowie naszego wieku niemałą liczbę zwolenników. Tradycyonaliści, nie przyznając rozumowi należnego mu znaczenia, utrzymywali, że on sam przez się nie może dojść do poznania Boga, nieśmiertelności duszy, słowem do żadnych metafizycznych pewników; za jedyne przeto źródło prawdy poczytywali objawienie Boże, przekazane ludzkości przez powszechną tradycyę. Wyznawcy téj szkoły nie mogli naturalnie uznawać idei wrodzonych.

Trzeba wyznać, że tradycyonaliści ożywieni byli najlepszemi zamiarami bronienia wiary od spustoszeń racyonalizmu; zapędzili się jednak zbyt daleko w obranym kierunku, i wpadli w błąd przeciwny temu, z którym walczyli. Dla tego też Kościół nie podał ręki ich usiłowaniom; potępił oba te skrajne prądy; nie poświęcił ani rozumu dla wiary, ani wiary dla rozumu; owszem oświadczył stanowczo, że rozum i objawienie są to dwa kryterya prawdy. Rozum dochodzi prawd porządku przyrodzonego; objawienie odsłania nam rąbek sfery nadprzyrodzonéj; rozumowaniem odkryć możemy bytność Boga, nieśmiertelność duszy i t. d.; objawienie podaje nam do wierzenia tajemnice Boże, które przechodzą granice rozumu, i których on pojąć

nie zdoła. Religia objawiona okazuje przytém rozumowi w większym blasku prawdy porządku naturalnego, rozszerza widnokrąg jego działania, a zwłaszcza zabezpiecza mu posiadanie tych prawd, karcąc potężnie namiętności, które usiłują je zaciemnić, a w końcu i zupełnie zatracić. Kiedy znakomity niemiecki teolog, Jerzy Hermes, apoteozując rozum ludzki, rozwijał na professorskiéj katedrze poglądy, noszące cechę prawie racyonalistyczną, ksiądz Bautain, protoplasta późniejszych tradycyonalistów, zaprzeczał rozumowi nawet istotnych praw jego. Stolica Apostolska potępiła zarówno hermezyańskie zasady i antirozumową naukę Bautain'a. Kościół bowiem, jak trafnie się wyraża św. Tomasz, postępuje wolnym krokiem między błędami przeciwnemi. *Sancta catholica et apostolica Ecclesia inter errores contrarios medio lento passu incedit.*

Mylilibyśmy się jednak, gdybyśmy z potępienia nauki tradycyonalistów chcieli wyprowadzać wniosek, że musimy koniecznie przyjąć zaprzeczaną przez nich teoryę idei wrodzonych; są to bowiem dwie rzeczy wcale różne. Filozofowie odrzucający idee wrodzone, dowodzili tylko, że wszelkie pojęcia przychodzą do umysłu ludzkiego za pośrednictwem zmysłów; tradycyonaliści zaś nauczali, że człowiek prawd umysłowych i moralnych nie mógłby poznać ani samą myślą, ani postrzeżeniami zmysłowemi, gdyby te prawdy nie były pierwotnie objawione przez Boga i przechowane podaniem w społeczeństwie, z którego pojedyńczy członkowie je czerpią. Widzimy więc, że te poglądy nie zlewają się w jedno, a zatém można zaprzeczać idei wrodzonych, a jednak z tradycyonalistami nie trzymać. Jakoż św. Tomasz, który wcale nie był tradycyonalistą, odrzucał idee wrodzone; sobór watykański, potępiając tradycyonalizm, bynajmniéj przez to teoryi idei wrodzonych nie podniósł do znaczenia dogmatu. Teorya ta również, jak jéj przeciwna, należą obie do rzędu hypotez dozwolonych, i ztąd pisarze katoliccy nie zstępują z toru prawowierności, gdy wyznają jedną lub drugą. Czytamy w „Przeglądzie Katolickim“, że gdy w sali biblioteki watykańskiéj, studenci wielu seminaryów i kollegiów rzymskich, w obecności Papieża odbywali publiczną dysputę dnia 5 czerwca 1879 r., dwaj z nich, pp. Józef Baroni i Jan Genocchi, bronili następującéj tezy: *Ideae innatae non sunt admittendae*, — nie można przypuszczać idei wrodzonych. Co się tyczy polskich pisarzów, pracujących na niwie filozoficznéj, to pomijając Kremera, Libelta i wielu innych, których zasady często się nie zgadzają z nauką Kościoła wspomnieć możemy, że znakomity filozof i krytyk p. Aleksander Tyszyński popiera teoryę idei wrodzonych. P. Seweryn Smolikowski, autor pięknego dzieła, p. t. „Filozofia wyzwolenia“ (Nirwana wobec metafizyki), na które, mówiąc mimochodem, nie we wszystkich punktach się zgadzamy, należy także do rzędu jéj wyznawców...

Pozostaje nam wreszcie powiedzieć słów kilka o ontologizmie, który z kwestyą idei wrodzonych łączy się węzłem blizkiego powinowactwa.

Ontologizm, którego źródosłowem są dwa greckie wyrazy: *on* (byt) i *logos* (mowa, słowo), jest całkiem idealistyczną teoryą poznania. Można go określić temi krótkiemi słowy; byt, będący treścią wszystkich naszych pojęć, jest bytem absolutnym, Bogiem. Skoro duch ludzki poznaje Boga i wszystkie prawdy, poznaje je bez pośrednictwa wyobrażeńia; są one wrodzone, są ciągłym i bezpośrednim przedmiotem jego intuicyi. Wypada więc logicznie, że Bóg jest bezpośrednio przytomny w duchu ludzkim. Podwaliny téj teoryi pierwszy założył Mallebranche, jeden ze zwolenników, a raczéj reformatorów kartezyanizmu.

W naszych czasach bronili jéj we Francyi genialny ksiądz Gratry i Fournier, we Włoszech Gioberti, w Belgii ksiądz Ubaghs, prof. filozofii na uniwersytecie lowańskim, i wielu innych. Pomimo jednak poparcia tak uczonych mężów, wspomniona teorya nie mogła się utrzymać, gdyż w jéj założeniu leży wirtualnie panteizm. Przypuszcza ona bowiem bezpośrednią intuicyę Boga w porządku natury, co jest zasadą panteistyczną. Jakoż pod piórem prof. Ubaghs'a rzeczona teorya doszła do czysto panteistycznych wyników, prawie niczém się nieróżniących od zasad Hegla. W skutek tego Kongregacya Inkwizycyi i Indeksu, dnia 2 marca 1866 r., wydała dekret ogłaszający ontologizm za naukę niebezpieczną i nakazujący usunąć go ze szkół. Na ostatnim soborze watykańskim kardynałowie Joachim Pecci (dzisiejszy Papież Leon XIII) i Riario Sforza dowodzili, że ontologizm sprzeciwia się wierze katolickiéj, podług któréj bezpośrednia intuicya Boga jest tylko nadnaturalną. „I rzekł Pan do Mojżesza: Nie będziesz mógł widzieć oblicza mego, bo nie ujrzy mnie człowiek, aby został żyw“. (Exodus, roz. XXXIII., ver. 20).

Ontologizm jakkolwiek stanowczo nie potępiony przez Kościół, jako herezya, chociaż surowo naganiony w swych ostatecznych konsekwencyach, ustąpił miejsca teoryi tak zwanego intermedyalizmu, podług któréj umysł ludzki pojmuje Boga i wszelkie prawdy za pośrednictwem jakoby obrazów. Ztąd teorya otrzymuje swą nazwę. In-

termedyaliści nie odrzucają idei wrodzonych, nie przeczą, że one są przytomne naszemu duchowi; wszelako nie identyfikują ich z Bogiem, lecz uważają je tylko za przypomnienie i wyobrażenie Jego. Teoryę podobną wyznają Tongiorgi i Liberatore, ci uczeni wskrzesiciele filozofii scholastycznéj, oraz wielu innych znakomitych autorów, których naukowe prace nacechowane są niepospolitą erudycyą i głębokim poglądem . . .

Niniejszym artykułem kończymy pobieżną naszą pracę o ważniejszych hypotezach dozwolonych. Zastanawialiśmy się tylko nad przypuszczeniami wziętemi z dziedziny nauk przyrodniczych i filozoficznych; pominęliśmy zaś niemałą liczbę tych, które do zakresu ściśle teologicznego należą. Mieliśmy na celu przypomnieć, że niewiadomość lub co gorsza zła wiara dzisiejszych anti-religijnych pisarzów, często za dogmata Kościoła podają opinie, względem których żadnego nie wydał on postanowienia, i wojują, z niemi, jak Donkiszot z wiatrakami. Podobna taktyka prowadzi do dwóch opłakanych wniosków. Naprzód ponieważ mniemane dogmata łatwo się kruszą pod ciosami krytyki, wraża się przeto w umysły ludzkie przekonanie, że Kościół naucza błędów, i co za tém idzie, że między wiarą a nauką istnieje zasadnicze sprzeciwieństwo. Powtóre daje się do zrozumienia, że Kościół nakłada uciążliwe jarzmo na swobodę rozumu, trzymając go w ciasnéj sferze obskurantyzmu, w stanie jakiegoś letargicznego odrętwienia. Tymczasem nic fałszywszego nad te mniemania, które można powiedzieć,—stały się dziś jakby dogmatami niedowiarstwa. Kościół podając ludzkości prawdy konieczne do zbawienia, był zawsze wierny swemu pięknemu godłu, streszczonemu przez św. Augustyna w słowach, któreśmy położyli na początku naszéj pracy: *In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas.*

Wśród ram dogmatycznych nauki Kościoła leży bardzo szerokie pole dla swobodnego rozwoju umysłu ludzkiego. Największym geniuszom świata, takim Augustynom, Tomaszom, Bossuet'om, de Maistre'om ciasno w nich nie było. Wspomnione ramy bynajmniéj nie krępują pochodu najśmielszego nawet umysłu; strzegą go tylko od zbłąkania się i wpadnięcia w przepaść, w któréj się sponiewierać może. Są one dla niego tém, czém gwiazdy stałe przy wymiarze dróg błędnych meteorów; dozwolają mu oryentować się w każdéj chwili; wiedzieć zkąd wychodzi, dokąd dąży i gdzie się znajduje. Bez tych punktów wytycznych nie mógłby zdać dokładnie sprawy, czy droga, po której

idzie, jest postępem, czy też cofaniem się. Anti-religijni pisarze starają się nam wmówić, że między rozumem a wiarą istnieje nieprzejednany antagonizm. Zdanie to nie ma żadnéj podstawy. Wiara i rozum, są to dwa najpiękniejsze dary Boże; nie mogą one bez wzajemnego uszczerbku waśnić się między sobą. Wiara nie zabija rozumu, ale go owszem ożywia i wspiera; uniesiony na jéj skrzydłach dosięga on takiéj wysokości, o jakiéj nawet marzyćby nie śmiał, gdyby się jedynie na własnych siłach opierał. Czytamy w historyi kościelnéj, że gdy przyjaciel św. Tomasza przyszedł go odwiedzić i dziwiąc się ogromowi jego nauki zapytał, jakim sposobem jéj nabył, książe teologów, wskazując krucyfiks wiszący w jego sypialni, odpowiedział: „Oto jest księga, z któréj najwięcéj się uczę". Wiara bowiem, jak powiada ostatni sobór watykański, „wzbogaca rozum wieloraką wiadomością" (*multiplici cognitione ditat*). Wyemancypowawszy się z więzów jéj powagi, najgenialniejszy nawet umysł ubożeje; pozbawiony jéj dobroczynnego światła, zstępuje nieznacznie z toru pewności i prawdy, pogrąża się stopniowo w ciemność, i wśród bezdroża, po którém omackiem kroczyć musi, ustawicznie się wikła w najopłakańszych sprzecznościach i błędach. Te sprzeczności, te smutne zboczenia, zapisane na każdéj niemal karcie dziejów, świadczą wymownie, że ilekroć rozum buntuje się przeciwko zasadom religii objawionéj, tylekroć podnosi samobójczą broń przeciwko sobie.

KLAUDYUSZ BERNARD.

Nic bardziéj pocieszającego dla tych, którzy zachowali w sercu głęboką wiarę, a zarazem poszanowanie wiedzy ludzkiéj, jak napotkać olbrzymów nauki, naznaczonych na czole pieczęcią geniuszu, i pochylających głowę przed wyższém prawem, wyznawających z pokorą, że są granice, których nie dano przekroczyć rozumowi ludzkiemu. Przeszłość zachowała pamięć takich olbrzymów; dość przypomnieć tylko naszego Kopernika, który zapatrzony w błękity niebios, obliczając gwiazdy na widnokręgu, po ich promieniach podniósł się duchem do podnóża Stwórcy wszech światów, i pobożnym hymnem opiewał chwałę Przedwiecznego.

I dziś, kiedy pozytywizm tak wyziębił umysły, kiedy pycha wiedzy do tak potwornych wzrosła rozmiarów, w wieku Häcklów, Moleschotów, Darwinów, Büchnerów, Littrych, dziś powtarzamy, ludzie olbrzymiej nauki a kornego ducha nie są wyjątkiem, przynajmniéj we Francyi. Z prawdziwém zbudowaniem naszém, co chwila słyszymy tu słowa wybiegłe z ust wielkich myślicieli, świadczące wymownie, że uczucie religijne spoczywa głęboko na dnie serc i silnie przeciwważy innym prądom.

Niedawno oto, słyszeliśmy wielkiego chemika I. B. Dumas'a, tak przemawiającego w Instytucie francuzkim:

„Siła attrakcyi utrzymuje światy w przestrzeni, ale kto poznał jéj naturę? Affinicya łączy cząsteczki ciał *(molécules)*, a wiemyż co znaczy ten wyraz? Nasz umysł przedstawia sobie naturę jakoby zbiór atomów, czyż wiemy, że atomy istnieją? Fizyolog opisuje objawy życia. A wież on czem jest życie? Jeśli człowiek pyszni się niekiedy

z tego co umie, alboż nie powinien uczuć się pokornym i maluczkim, nie wiedząc tylu innych rzeczy".

Inny chemik Cherreul, nie mniéj stanowczo wyraża się w swéj historyi nauk chemicznych: „Nie rozumiemy wcale, mówi on, skrzywionéj opinji tych, którzy wyrwawszy z języka naszego wyrazy Bóg i Opatrzność, podstawili w ich miejsce wyraz przyroda".

Uczony doktor Würtz, tak przed laty kilku odezwał się w Sorbonie: „Nauka pozwala nam spostrzegać harmonię i wielkość planu wszechświata. Co zaś do pierwszych przyczyn, te pozostają niedościgłe... Rozum ludzki przeczuwa, iż rzeczy nie mają w sobie same przyczyny bytu, podstawy, ani początku; zmuszony zatém będzie poddać je przyczynie pierwszéj, jedynéj, powszechnéj, to jest odnosić je do Boga".

Wiele możnaby jeszcze przytoczyć podobnych przykładów, ale najwymowniejszym i najbardziéj budującym ze wszystkich jest skon Klaudyusza Bernard'a zmarłego w lutym 1878 r.

Skon ten godnie uwieńczył długi pracowity żywot genialnego fizyologa, który popchnął naukę na nowe, dotąd nieznane tory, a tém samém unieśmiertelnił imię swoje nie tylko we Francyi, ale i w świecie całym.

Nie tu rzecz mówić o pracach Klaudyusza Bernard'a, pozostawia się to specyalistom; wspomnimy tylko pobieżnie, o jego życiu naukowém i jego ostatnich chwilach.

Urodził się on w r. 1813, a ukończywszy pierwsze nauki szkolne, kształcił się w Lyonie na aptekarza. Ale orzeł rozbijał skrzydła o ciasne szczeble klatki. Czuł w sobie płomień geniuszu, sam jednak nie wiedział na jakiéj drodze zdoła rozwinąć siłę twórczą. W wolnych chwilach pisał tragedye. Wreszcie mając lat dwadzieścia, oznajmił w liście ojcu, iż nie może pogodzić się z myślą, aby miał całe życie „zawijać proszek w kwadratowe papierki"!

Młodzian pospieszył do Paryża. Nie znalazłszy powodzenia na polu dramatyczném, zabrał się pilnie do medycyny. Słynny profesor Magendie wybrał go za preparatora przy wykładach fizyologii w Kollegium francuzkiém. Wkrótce uczeń prześcignął mistrza swego. Po trzykroć zdobył wielką nagrodę w wydziale nauk fizyologicznych. Wkrótce otrzymał katedrę fizyologii po Magendie'm, a następnie krzesła: w Akademii Nauk i w Senacie. Wszystkie ciała naukowe w Europie powołały go na członka. Nie było naukowego dostojeństwa, któregoby nie

dostąpił Klaudyusz Bernard, ale zasługa jego świeciła jaśniéj nad wszelkie nagrody i zaszczyty.

Uczniowie wysławiają nieporównaną jego dobroć. Następca jego na katedrze Paweł Bert, najpiękniejsze oddaje mu świadectwo. „Nigdy, mówi on, wśród mozolnych prac w laboratoryum, nie wybiegło z ust jego cierpkie słowo; nigdy fizyczna ani moralna boleść, nie wydarła mu z piersi gorzkiéj skargi. Na łożu śmiertelném, otoczony gronem uczniów, uśmiechał się do nich słodko, dziękował za troskliwe starania, udzielał rad serdecznych. Wy będziecie pracowali! powtarzał i mówił im o nauce, któréj poświęcił żywot cały“.

Jeden z dawnych jego uczniów ks. Didon, skreślił pośmiertne wspomnienie wielkiego fizyologa. Opowiada własną rozmowę z umierającym, opisuje ostatnie jego chwile. Oto ustęp:

„Widziałem go na dwa dni przed śmiercią. Umysł jego zachował jeszcze całą świeżość. Prosił mnie, bym siadł u wezgłowia. Rozmawialiśmy długo. Dusza jego otwierała się przedemną z całem zaufaniem.

Mój ojcze, rzekł do mnie, jakżebym cierpiał nad tém, gdyby nauka moja miała w czémkolwiekbądź sprzeciwiać się naszéj wierze! Nie miałem nigdy zamiaru czynić najmniejszego uszczerbku religii.

Nauka twoja, mistrzu, odrzekłem, nie oddala od Boga, lecz prowadzi do Niego! Jam sam przekonałem się o tém wielokrotnie.

Przypomniałem mu, z tego względu szczytne słowa jego wyrzeczone na jednéj z ostatnich lekcyj w Kollegium francuzkiém. Mówiąc w warunkach zasadniczych, z których rodzą się fenomena wyrzekł: „Te warunki nie są przyczynami; jedna tylko istnieje przyczyna, to jest przyczyna pierwsza“.

Przyczyna pierwsza! dodałem, nauka zmuszona szukać jéj co chwila, a nie może jéj pochwycić. Już z tego tytułu, nauka religijną jest, w prawdziwém słowa znaczeniu.

Tak mój ojcze, dobrze mówisz, pozytywizm i materyalizm, zaprzeczające religii, są to w moich oczach doktryny szalone, nie oparte na niczém.

Chwaliłem jego nieporównaną pracę: Wstęp do medycyny doświadczalnéj.

Jest to bez wątpienia, rzekłem, jedno z najznakomitszych dzieł, jakie wydały nasze czasy. Co do pierwszych stronic, mógłbym uczynić maleńkie zastrzeżenia.

To praca jeszcze młodzieńcza, odrzekł, chciałem zawsze wykończyć to dzieło, nigdy go jednak nie skończyłem.

Uczyniłeś lepiéj mistrzu, realizowałeś je życiem całém.

Dziękowałem mu za wszystko co uczynił dla postępu prawdy. Rzekłem, iż pierwsza przyczyna niedościgła nauce, policzy mu tę wielką zasługę.

Odpowiedział z prostotą i głębokiem wzruszeniem, a słowa jego odbiły się w duszy mojéj:

Wiele, rzekł, wycierpiałem w życiu, fizycznie i moralnie; silnie walczyłem, ale co mówić o tém? mogłoby to zakrawać na przechwałkę. A zresztą, czyniłem tylko co mogłem, nie więcéj niż mogłem, a więc spełniłem tylko powinność.

Rozłączyliśmy się mówiąc: „Do widzenia!“ Wyciągnął do mnie rękę z uczuciem. Dusza jego zwrócona była do Boga. Wyglądał jak żołnierz śmiertelnie ranny, który z żalem opuszcza plac boju słynny z jego dzieł bohaterskich. Cierpiał, że odchodzi tak wcześnie, gdy mógł jeszcze walczyć i zwyciężać.

Widziałem go potém w chwili skonu. Nazajutrz po téj rozmowie, w przeddzień śmierci, powołał kapłana, wyspowiadał się z całą przytomnością umysłu, ukorzył się przed Bogiem zaczem opuścił ziemię, przyjął ostatnie Sakramenta, i umarł tak, jak stara ukochana matka pragnęła zawsze, by umarł“.

Francya uczciła Klaudyusza Bernard'a wspaniałym pogrzebem narodowym, w kościele świętego Sulpicyusza. Pierwszy to szermierz na polu badań naukowych, który dostąpił podobnego zaszczytu.

MOIGNO

wielki uczony XIX wieku.

Milczenie bywa często wymowniejsze od mnogości słów; takiém milczeniem zazwyczaj prasa, i u nas, i wszędzie, objawia brak sympatyi, jeśli do nagany nie ma najmniejszego powodu. We Francyi obecnie dziennikarze mniéj niż kiedykolwiek liczą się ze słowami, gdy występują do walki z obrońcami religii; tém więcéj zadziwić nas to może, iż nigdy prawie nie wspominają o jednym z najodważniejszych bojowników wiary, który wcale przeciwników swoich nie oszczę-

dza i najmniejszego ustępstwa nie czyni dla względów ludzkich. Ksiądz Moigno jest dziś starcem ośmdziesięcioletnim, jednakże nie ustaje w pracy, przeciwnie przy końcu ubiegłego roku zabrał się do niéj z nowym zapałem, odzyskawszy główny kierunek czasopisma naukowego: *Kosmos*, *les Mondes*, które mu się z rąk wymykało w skutek wydawniczych zawikłań. Sędziwy kapłan jest znakomitym matematykiem i przyrodnikiem, od młodości pracując na polu naukowém napisał i wydał stosy książek, oprócz czasopisma, które od lat kilkunastu redaguje. Że nie jest on ani dyletantem, ani półuczonym, o tém najlepsze świadectwo nam dadzą słowa znakomitego chemika Dumas'a, wypowiedziane w r. 1872 na posiedzeniu Akademii nauk w Paryżu: „Ks. Moigno, mówił Dumas, od lat pięćdziesięciu stoi na czele ruchu naukowego we Francyi. Wprowadził on do nas wszystkie nowe zdobycze wiedzy cudzoziemców. Jemu zawdzięczamy znajomość najznakomitszych i najciekawszych postępów, dokonanych u naszych sąsiadów, i w zamian od niego najczęściéj uczeni zagraniczni dowiadują się o naszych pracach; dziennikiem swoim i książkami ks. Moigno nieobliczone usługi oddaje nauce, gdyż podtrzymuje rodzaj wzajemnéj wymiany pomiędzy uczonymi rożnych narodowości, Francuzami, Anglikami, Niemcami, Włochami, Amerykanami; jest on głównym łącznikiem pomiędzy wielkiemi instytucyami naukowemi różnych krajów. Wypada więc przypomnieć teraźniejszemu pokoleniu, które nie zawsze z należytą bezstronnością odnosi rzecz każdą do właściwego źródła, że rozbudzenie wśród naszéj społeczności upodobania do nauk przyrodniczych, jego jest głównie zasługą.

Zasługę tę obcy nawet ocenić umieli; angielskie towarzystwo astronomiczne nadało imię uczonego księdza jednemu z kraterów księżycowych, a nie mały to jest zaszczyt, gdyż na mapie naszego satelity zapisane są nazwiska najznakomitszych uczonych, poczynając od Kopernika i Newton'a. W Wiedniu wyszło przed kilku laty dzieło obejmujące biografie i portrety najsłynniejszych matematyków współczesnych; ks. Moigno zajmuje w niém miejsce poczestne.

Do rozległéj wiedzy, sędziwy kapłan łączy prostotę gołębią, a jak sam o sobie powiada, obdarzony jest wielką łaską Bożą, gdyż doszedł tak sędziwego wieku, uczył się całe życie, czytał wszystko cokolwiek przeciw religii pisano, a nigdy nie był dręczony żadną wątpliwością, żadną pokusą przeciw wierze. Trzeba téż dodać, że pomimo ogromu pracy naukowéj, nie zaniedbał nigdy obowiązków kapłańskich, i przez całe życie, nawet w podróży, zawsze codziennie odprawiał Mszę świętą. Był on wzorem pokory i posłuszeństwa zwierzchności duchownéj, nieraz doznawał niesprawiedliwości, nigdy się jednak nie skarżył ani opierał. Przez lat wiele zajmował skromne, podrzędne prawie stanowisko wikaryusza parafialnego przy jednym z mniejszych kościołów w Paryżu, i na nim ciążył obowiązek udzielania ostatnich sakramentów w porze nocnéj. Starzec ten nieraz po kilka razy na noc musiał wstawać i narażać się na zimno, na słotę lub zamieć śniegową, niosąc ostatnią pociechę ubogim i prostaczkom, którym nawet na myśl nie przyszło, że ten pokorny sługa Boży tegoż samego dnia może rozprawiał na posiedzeniu Akademii z pierwszemi znakomitościami naukowemi.

Ks. Moigno nigdy nie opływał w dostatki, musiał więc pozostawać na tém stanowisku nie tylko przez pokorę chrześcijańską, ale z potrzeby, bo nie miałby z czego żyć. Dopiero w r. 1873 mianowano go kanonikiem honorowym przy katedralnym kościele, i starzec mógł się poświęcić wyłącznie pracy naukowéj. I teraz jednak nie przestał spełniać kapłańskiéj swojéj misyi. Zadaniem jego życia całego było wykazanie za pomocą dowodów naukowych zgody najzupełniejszéj nauki z religią. W czasopiśmie swojém przyrodniczém *Kosmos les Mondes*, które śmiało zaliczyć można do najlepszych i najdokładniejszych ze wszystkich podobnych publikacyj, zaznaczając każdy postęp wiedzy, głosząc wszelkie wiadomości z dziedziny odkryć i wynalazków, nie zaniedbał on żadnéj sposobności, aby stanąć w obronie wiary i Kościoła. Chcąc określić działalność uczonego kapłana, moglibyśmy go nazwać misyonarzem wiedzy prawdziwéj, zgodnéj z prawdziwą wiarą. Nie poprzestając na tém, w ciągu ostatniego lat dziesiątka ks. Moigno napisał i wydał dzieło pomnikowe w czterech ogromnych tomach pod tytułem: Świetność wiary *(Les splendeurs de la foi)*. Przez lat wiele zbierał materyały do téj pracy, w któréj zamierzył wykazać, że nauka ludzka w niczém nie sprzeciwia się religii i objawieniu. W przedmowie autor powiada między innemi: „Pomyślałem sobie z ufnością w siły własne: Skoro wszystkie na świecie akademie przyznały, iż jestem człowiekiem uczonym, mogę więc przemawiać z powagą nauki [1]). Z drugiéj strony Kościół wie dobrze, iż byłem zawsze przykładnym i pokornym kapłanem, głęboko wierzącym i wiernym obowiązkom swoim; będę więc mówił z przekonania i pod wpływem łaski".

1) Jest członkiem przeszło trzydziestu Akademij.

Dzieło to rozchodzi się w licznych egzemplarzach, a że nie zawiera błędów naukowych, najlepszym tego dowodem jest uporczywe milczenie przeciwnego obozu. Nie pożałowanoby pewnie staruszka, gdyby walka z nim była łatwa, ale ksiądz Moigno, według słów Apostoła, przywdział pancerz wiary i miłości, przyłbicę nadziei zbawienia, a przytém uzbroił się także w naukę tego świata; namaszczenie kapłana połączył z powagą uczonego.

Egzegeci chrześcijańscy i wykładacze Pisma świętego rozmaite wypowiadali zdania co do nieomylności w Starym Testamencie. Ojcowie Kościoła i późniejsi pobożni pisarze powtarzali niejednokrotnie, że Mojżesz musiał przemawiać w duchu ówczesnych przekonań, że zresztą wiadomości naukowe nie były wcale zadaniem jego i mógł je przedstawiać niedokładnie bez żadnej ujmy dla wiecznych prawd religii. Jednakże znakomity uczony Ampére, innego był zdania. Posłuchajmy, co mówi o księdze świętéj:

„Nauka, którą znajdujemy w Biblii, każe przypuszczać częstokroć albo wyższe objawienie, albo przynajmniéj jakiś wzrok orli, który odgaduje tajniki przyrody, przenika otaczające je ciemności, duchem natchnionym przynosi ludziom promień wiekuistéj prawdy. Przekonanie to z niepospolitą umiejętnością i gorliwością rozwija ksiądz Moigno w swojém dziele, dowodząc faktami, że w Piśmie Świętém nie tylko pojęcia, ale wyrażenia w niczém zgoła się nie sprzeciwiają nauce nowożytnéj, rozumie się nauce prawdziwéj. Co większa, niektóre z tych wyrażeń, które dawniéj niczyjéj uwagi nie zwracały, lub były niezrozumiałe, dają się zastosować do najświeższych odkryć naukowych w dziedzinie kosmografii, fizyki, historyi naturalnéj. Można ztąd wnosić, że pisarz natchniony nie podzielał wcale błędnych wyobrażeń współczesnych, ale miał objawienie prawdy całkowitéj, tak w świecie ducha, jak w świecie materyi. Ks. Moigno idzie daléj i z całą ufnością głębokiéj wiary przepowiada, że wszystkie wyrażenia obecnie niezrozumiałe i ciemne dla nas rozjaśnią się w przyszłości, gdy postęp nauki prawdziwe ich znaczenie wykryje. Szydzono dawniéj z tego, że światło, według słów Pisma, stworzone było wcześniéj od słońca, a jednak dzisiejsze pojęcie nauki o naturze światła nic w tém wcale nie znajduje niepodobnego. Nim rozproszone atomy materyi zebrały się w mgławice i słońca, już przedtém istnieć musiał eter, z którego powstaje światło. Nie mniéj śmieszną wydawała się niedowiarkom wzmianka o firmamencie, sklepieniu niebieskiém. Tymczasem Tyndall, który wzbogacił naukę wielu ciekawemi spostrzeżeniami

o stanie atmosfery, zaprzeczone istnienie firmamentu do prawd naukowych zalicza. Nie idzie za tém, aby to miało być owo sklepienie ze szkła, w które wierzył Ptolemeusz, ale téż Mojżesz go wcale w taki sposób nie określał. A jednak firmament Tyndall'a, tak samo jak firmament biblijny, utwierdzony jest po nad ziemią. Jest to materya rozproszona na cząsteczki najdrobniejsze, które przesiewają i odbijają promienie słoneczne, a rozciągając się naokoło ziemi, tworzą u góry piękne błękitne sklepienie.

O początku i o końcu świata mówił znów Piotr święty ze znajomością rzeczy nowożytnego uczonego. Twierdzi bowiem tak samo jak geologowie dzisiejsi, że ziemia powstała z wody i przez wodę, przepowiada następnie, że zniszczona będzie przez ogień. Jak wiadomo, teorya dynamiczna ciepła nie inny koniec przypuszcza dla naszéj planety. Tenże sam Tyndall na jednym z odczytów swoich w Londynie w r. 1862 powiedział: „Apostół Piotr zapowiada, iż żywioły strawione przez ogień rozpuszczą się przy końcu świata. Sam ruch ziemi wystarcza najzupełniéj do spełnienia téj przepowiedni".

Ks. Moigno, przygotowując się do napisania swojego dzieła, odczytywał uważnie całą Biblię i ponaznaczał bardzo liczne wyrażenia, które świadczą o zadziwiającéj wiedzy Mojżesza, wiedzy, któréj zaczerpnąć nie mógł z wyobrażeń współczesnych. „Albo, jak powiada autor, przypuścićby chyba należało, że nowożytna nauka istniała już w znacznéj części w czasach starożytnych, a za dni naszych odszukano ją tylko powtórnie".

Trzeba posiadać bardzo dokładną znajomość wszystkich gałęzi wiedzy przyrodniczéj, ażeby takie odkrycia dokonywać w tekście biblijnym. Któżby się spodziewał naprzykład, że w księdze świętéj znajduje się wiele wiadomości z botaniki i zoologii, które dziś do najnowszych naukowych zdobyczy zaliczają? Spostrzeżenia wielu znakomitych naturalistów współczesnych, a nawet samego Darwin'a, potwierdzają częstokroć orzeczenia pisarzy świętych. I tak naprzykład w księdze przysłów czytamy o przezorności mrówek, gromadzącéj zapasy żywności na zimę. Do niedawna jeszcze wszyscy naturaliści utrzymywali, że mrówki żadnych zapasów na zimę nie robią, gdyż w téj porze roku pogrążone są we śnie i pokarmu tém samém nie potrzebują. Tymczasem przed kilku laty pewien młody Anglik, zmuszony dla zdrowia spędzić zimę w Mentonie, śledził tam obyczaje mrówek i przekonał się, że te przemyślne owady w rzeczy saméj gromadzą zapasy zimowe, gdyż w cieplejszym klimacie nie odbywają snu zimo-

wego. Odkrycie to wielkie wrażenie wywołało pomiędzy naturalistami; jednogłośnie powtarzano, że nie należy pojedynczych spostrzeżeń uważać za ogólne prawa i trzymać się przestarzałych przesądów. Ostatecznie jednak okazało się, że prawda znajdowała się w Biblii.

Trudno było zrozumieć, dla czego Mojżesz zabraniał Izraelitom zasiewać pola zbożem mieszaném. Te drobiazgowe przepisy uchodziły dawniéj za dziwactwo wielkiego prawodawcy. Dopiero nauka nowożytna wykryła głębokie ich znaczenie; dowiedziono bowiem, że wszelkie hybrydy roślinne, powstałe z pomieszania dwóch odmiennych gatunków, nie wydają nasion. Niezawodnie więc Mojżesz miał na celu zabezpieczenie plonów od sztucznego powstawania takich nieurodzajnych hybrydów.

Wyśmiewano także nieraz przepisy biblijne tyczące się trądu, téj strasznéj choroby, daleko więcéj rozpowszechnionéj w czasach dawniejszych aniżeli teraz. Mojżesz wspominał o plamach widocznych na murach i na tkaninach wełnianych lub lnianych, a plamy te uważał za siedlisko zarazy. Zapewne, że dziś trudno byłoby dowieść istnienia plam podobnych, okiem gołém widzialnych, a jednak najnowsze odkrycia nadają twierdzeniu Mojżesza wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Okazało się, iż początkiem i przyczyną trądu jest jeden z tych mikroskopijnych grzybków, których zabójcze wpływy na zdrowie ludzkie wykrył uczony Pasteur. Nie ma więc w tém nic niepodobnego, aby grzybki tego rodzaju, występując w wielkiéj ilości, mogły tworzyć jakieś plamy na ścianach i tkaninach. „Możeż być śmieszniejsze urojenie od téj zarazy osadzającéj się na ścianach?“ wołał z szyderstwem Wolter. Ale w obec nauki współczesnéj ta uwaga nie jest śmieszną, wiemy bowiem, jakie mnóstwo bakteryj i wibryonów osiada na ścianach szpitalnych, jak wielkie znaczenie w medycynie zajmuje dezynfekcya.

Wszystkie szczegóły historyczne, nagromadzone w Biblii, nieocenionym są skarbem dla dziejopisów. Prawdziwość ich potwierdzają zabytki, odkryte w ostatnich czasach nad Nilem, nad Tygrem i Eufratem. Ksiądz Moigno, z powołania matematyk i przyrodnik, nie zaniedbał jednak i części historycznéj w swém dziele, które powinnoby zdobyć jak największe rozpowszechnienie. Obszerne rozmiary jego nie powinnyby odstręczać czytelników; zresztą każda część może być czytana oddzielnie, a dokładny spis przedmiotów ułatwia wybór. W każdym razie dzieło to stosowne jest tylko dla dojrzałych czytelników,

nawykłych do studyów poważnych. Wierzący znajdą w niém pociechę, ludzie słabszego ducha rozjaśnienie wielu wątpliwości, a wszyscy oprócz tego wykład jasny i treściwy najnowszych zdobyczy naukowych. Zwłaszcza pisarze, którzy pragną popularyzować wiedzę przyrodniczą w duchu chrześcijańskim, znajdą w dziele uczonego kapłana skarbnicę niewyczerpaną najwiarogodniejszych naukowych materyałów, a zarazem wyborny podręcznik, który im każdy przedmiot we właściwém świetle okaże.

Polecamy także *Les confins de la science et de la philosophie par le P. J. Carbonnelle* (Granice nauki i filozofii). Dzieło to jest bardzo na dobie w obecnéj chwili. Autor jest doktorem matematyki i nauk przyrodniczych, długie lata poświęcił poważnym studyom, a przytém posiada w wysokim stopniu dar słowa; ma téż najzupełniejsze prawo roztrząsać twierdzenia naukowe filozoficzne. Zwracając się do materyalistów, z zupełną pewnością siebie powiedzieć może: „Nie wiem, czy zechcą odpierać moje rozumowania, ale pewién jestem, że o dowodach, które przytaczam, zamilczą“. Bo téż roztropne milczenie jest w takim razie zwykłą taktyką uczonych tamtego obozu. Autor rozbiera z kolei doktryny czystych materyalistów, pozytywistów i innych doktrynerów współczesnych, a wszystkim daje zasłużoną odprawę. Dzieło to pisane jest bardzo przystępnie, trzeba jednak mieć pewne naukowe wykształcenie, aby je czytać z korzyścią. Każdy, kto zechce wyrobić sobie dokładne wyobrażenie o znaczeniu postępu w cywilizacyi, o pojęciu nieskończoności w czasie i przestrzeni, o ogólnych prawach rządzących wszechświatem i stosunku ich do Opatrzności i woli Bożéj, znajdzie w téj książce znakomitego myśliciela rozstrzygnięcie tych zadań i zaspokojenie wątpliwości swoich. Największą zasługą autora jest wykrycie słabéj strony wszelkich sofizmatów, które obałamucają ludzi, chwytających je bez należytego naukowego przygotowania. Najróżnorodniejsze przedmioty traktowane są z jednakową erudycyą; znajdujemy naprzykład obok siebie takie zadania, jak wykład teoryi atomistycznéj, funkcyj żywotnych, ruchu muskułów, rozbiór gruntowny różnicy zachodzącéj pomiędzy istotą ludzką i zwierzęciem, nakoniec wyczerpujące studya o powstawaniu organizmów. Nie mogąc się rozpisywać dłużéj o tém niepospolitém dziele, przytoczmy na zakończenie słowa autora, malujące najlepiéj cel jego główny: „Uczeni, powiada on, ulegają porywom namiętności tak samo jak wszyscy ludzie, a nawet więcéj od innych dają się unosić pysze i ztąd wynikającemu zaślepieniu. Niedorzeczności, jakie wówczas wypowiadają, są

tém niebezpieczniéjsze, że tłumy dają się im powodować i bałamucić. Dlatego to usiłowaliśmy te niedorzeczności wykazać“.

VOLTER.

Franciszek Marya Arouet, znany pod przybraném nazwiskiem Voltera, urodził się dnia 20 lutego 1694 r., w Châtenay pod Paryżem; był synem notaryusza jansenisty. Młody Arouet wychował się w stolicy, w kollegium Ludwika Wielkiego. Zuchwała śmiałość jego pojęć, przerażała przełożonych, a jeden z nich O. le Jay powiedział mu pewnego razu, „iż będzie we Francyi chorążym bezbożności“. W szesnastym roku, skończywszy szkołę Ludwika Wielkiego, począł uczęszczać na prawo, żyjąc jednocześnie w najgorszych towarzystwach. Wiodąc ciągle spory z ojcem, wysłanym został przez niego do Hollandyi, jako sekretarz przy poselstwie francuskiém; lecz wkrótce z Haye powrócił do rodziny, straciwszy miejsce z powodu rozpustnego życia. Następnie znów był zmuszony poświęcić się prawu, lecz niedługo wytrwał na téj drodze. Za różne sprawki dostawszy się kilka razy do więzienia i Bastylii, w końcu musiał uchodzić do Hollandyi, zkąd niezadługo powrócił do Paryża, gdzie za obelżywe obejście się z księciem Rohan, dostał się do aresztu na sześć miesięcy. Po odsiedzeniu téj kary, udał się do Anglii i w Londynie ogłosił Henryadę, oszukawszy na niéj księgarza. Powróciwszy do Francyi, mieszkał na przedmieściu Paryża, wiodąc życie ukryte, zajmując się jednocześnie piśmiennictwem i obrotami pieniężnemi. Należąc do stowarzyszenia dostarczającego Włochom broni, zarobił około stu sześćdziesięciu tysięcy liwrów. Oskarżony przed wielkim pieczętarzem Francyi o napisanie komedyi wyszydzającéj wiarę św. i cały naród w ogólności, schronił się do Rouen, gdzie przeżył siedm miesięcy w domu pewnego drukarza, którego późniéj podszedł w najhaniebniejszy sposób.

Całe zaś dalsze życie Voltera zupełnie odpowiada jego młodości. Pomimo tak złego życia znalazł on zwolenników swéj filozofii. A zamieszkawszy w Ferney, niedaleko Genewy, zawiązał w całéj Europie spisek przeciw Ewangelii. Ztąd wydał mnóstwo pism spotwarzających religię i wszelkie zasady moralności. „Kłamcie, kłamcie zawsze, moi przyjaciele, pisał do swych uczniów, zawsze wam coś

w zysku zostanie. Mało mnie obchodzi, czy będą pisma moje czytać, a tém mniéj czy będą mi wierzyć“.

Pani Denys, jego siostrzenica, napisała mu: „Jesteś ostatnim z ludzi pod względem serca“.

Volter doszedłszy do ośmdziesiątego czwartego roku, zapragnął po raz ostatni nacieszyć się chwałą w stolicy Francyi — Paryż go uwieńczył, „ten gród znurtowany aż do głębi zepsuciem“, woła jeden z pisarzy. Bezbożny starzec był już u szczytu chwały, gdy go dosięgła sprawiedliwość Boga.—W r. 1758 napisał do d'Alemberta: „Za lat dwadzieścia zrobię z Bogiem co zechcę“. Otóż w r. 1778, po upływie dwudziestu lat, skończył swój żywot—w rozpaczy i miotaniu się, o czém świadczą Richelieu i doktor Tronchin. „Przypomnijcie sobie wściekłość Oresta, mówi ten doktor, a mieć będziecie zaledwie słaby obraz stanu Voltera w ostatniéj chorobie. Chciałbym aby nasi wolnomyśliciele świadkami byli jego rozpaczy i wyrzutów sumienia; byłaby to również zbawienna nauka dla tych, których pociągnął swemi pismami“.

Ten Tronchin (protestant, który był wierzącym w porównaniu ze swoim pacyentem), tak pisał do swego brata: „Volter jest bardzo chory; myślałem że umrze wesoło, jak to sam zawsze utrzymywał — lecz omyliłem się wielce. Przed swymi przyjaciołmi nie będzie się ukrywał, przed nimi okaże swą bojaźń, strach i swe niedołęztwo... Widzę, że Volter bardzo jest zmartwiony ze swego bliskiego zgonu, chciałbym się założyć, że teraz nie będzie bluźnił“.

Gdy Tronchin oznajmił Volterowi bliską jego śmierć. —

— „Wyrwij mię Panie z tych objęć! ratuj mnie, Panie!“ wołał.

— „Niepodobieństwo“ odpowiedziałem.

— „Opuszczony jestem przez Boga i ludzi!“ krzyczał potém w rozpaczy, albo zwracając się do obecnych swych zwolenników, wołał: „Precz odemnie!— jesteście temu winni iż w takiém znajduję się położeniu! precz!—ja bez was obejść się mogę, tylko wy mnie potrzebujecie. O!—ta piękna chwała, którąście mi wznieśli!“

To znów rzucał się ze strachu i z bolu na swém łóżku, raz jęczał, drugi raz złorzeczył i bluźnił Imieniowi Boskiemu.

Dreszcz przenikał przyjaciół jego, gdy Volter przycichłym głosem zawołał: „Jezus Chrystus!—Jezus Chrystus!“

Gdy zaś Richelieu usłyszał najśw. Imię wymówione ustami plugawemi z rozpaczą i złością, opuszczając pokój, wyrzekł: „Zaprawdę, to już zanadto!—tego nikt nie wytrzyma!“

Straszliwa scena daléj trwała. Umierający wił się jak przydeptany robak, krwawiąc się swemi paznokciami. W jękach wzywał księdza Gaultier, ale towarzysze jego udawali, że nie zrozumieli.

Nareszcie zbliżyła się ostatnia chwila. Nowy napad rozpaczy oznajmił mu: „Czuję ja jakąś rękę, która mię uchwyciła i ciągnie przed tron sprawiedliwego Sędziego!“

Potém powiódł błędnym wzrokiem wzdłuż łóżka i ryknął: „widzę piekło, widzę—o zakryjcie je przedemną!“

W samym końcu z nadmiaru rozpaczy, schwycił za naczynie... przyłożył do ust i z szybkością wypił. Potém padł na łoże z ostatnim przerażającym krzykiem. Krew i nieczystość poczęły się wydobywać ustami i nosem — i Volter umarł...

„Gdyby szatan umierał, toby téż inaczéj życia nie skończył!“ — rzekło kilku nawróconych tym widokiem naocznych świadków.

Marat, bohater krwawéj pamięci, wypowiedział w gazecie *L'Ami du peuple* z roku 1791: „Volter nie posiadał żadnéj oryginalności, chyba tylko w dowcipnych swoich pochlebstwach. Był to pisarz gorszący, psujący młodzież naukami fałszywéj filozofii; serce jego było przybytkiem sknerstwa, złośliwości, zemsty, przewrotności i wszelkich namiętności, które hańbę przynoszą rodzajowi ludzkiemu“.

Mirabeau w listach swoich tak się wyraża: „...Wątpię, ażeby coś było w świecie śmieszniejszego, niż to, co Volter pisał o historyi naturalnéj; do takiego stopnia upodlić może człowieka nieuctwo i szyderstwo! Opanowany był przez zawiść najpiekielniejszą“.

Benjamin Constant powiada: „Volteryanizm już zstępuje z desek swych zużytych. Ażeby wyśmiać z Volterem księgi święte, trzeba dwóch warunków, które czynią tę wesołość dość smutną: trzeba wielkiéj n i e ś w i a d o m o ś c i i równie wielkiéj l e k k o m y ś l n o ś c i“.

Sainte-Beuve mówi: „...Życie Voltera było komedyą... Z jakiegokolwiek punktu się zapatrujemy na jego korespondencyę, nie czyni ona zaszczytu ludziom, którzy kłamstwo obierają za zasadę, a pogardzanie bliźnim za pierwszy warunek i t. d.

JAN JAKÓB RUSSO.

Podczas gdy Volter gorszył młodzież i przemawiał do ludzi umysłów powierzchownych, to J. J. Russo zwracał się do tych, którzy się mieli i nazywali umysłami potężnemi.

Russo urodził się w Genewie 28 czerwca 1712 roku, był synem zegarmistrza. Dziecinne lata przepędził w domu; następnie ojciec oddał go do duchownego protestanckiego, gdzie nauczył się cokolwiek łaciny i nabył wiele złych nałogów. Potém umieszczony przy jednym z prawników genewskich, wkrótce został wydalonym. Po krótkim pobycie u rytownika w Genewie, gdzie rozwinęły się w nim, według własnego wyznania, gnuśność, kłamstwo i złodziejstwo, zbiegł do Sabaudyi. Ztąd udał się do Turynu; w dwa miesiące potém wyrzekł się protestantyzmu; lecz ponieważ to pozorne wyrzeczenie przyniosło mu tylko dwadzieścia franków, wszedł do służby do hr. de Vercelles, lecz wydalony z tego domu, z powodu kradzieży, którą popełnił i niesłusznie oskarżył służącą, przeszedł do hr. Gouvon. Za wielką dobroć nowego pana, Russo odwdzięczył mu się niewdzięcznością, tak iż ten musiał go wypędzić. Bez opieki i środków do życia, przywdziawszy ne siebie maskę pobożności, udał się do baronowéj Warens d'Annecy, która otoczyła go opieką, i za jéj radą wstąpił do seminaryum, zkąd był wkrótce wydalony. Następnie dostał się za włóczęgostwo do aresztu. Poseł francuski wzruszony litością, odesłał go do Paryża, lecz i tam żył w nędzy. Z Paryża udał się do Lyonu, gdzie wszedł jako nauczyciel do domu p. Mably, wielkiego prewota tego miasta, zkąd był wydalony za kradzież wina. Po tylu postępkach, odbywszy podróż do Włoch, Russo powrócił do Paryża w r. 1745, oddając się złemu życiu. „W żadnym człowieku, mówi sam Proudhon, nigdy nie znalazłem tyle pychy w sercu, tyle zimna w duszy i takiéj rozwiązłości życia; jego filozofia, to zbiór zdań wypełniających próżnię“.

Po przeczytaniu „E m i l a“, które Russo napisał, Volter mówi: „Jest to paplanina niedorzecznéj piastunki, w czterech tomach, gdzie z nierozwagą godną téj głowy pozbawionej mozgu, tego Dyogenesa bez serca, nagadał tyle obelg i t. d.“ „K o n t r a k t s p o ł e c z n y“ [1]) został oceniony tak samo. Wszystko to, powiada Volter, jest fałszem oburzającym... Takie nieuctwo, połączone z taką zarozumiałością, niegodne jest oświeconego człowieka... Wiedząc zresztą kto jest autorem tych bredni, poprzestajemy na śmiechu...“

Russo zaś pisze o Volterze do przyjaciela: „T e n f a n f a r o n b e z b o ż n o ś c i, ta niska dusza, ten człowiek tak spodlony przez

1) Na wstyd XVIII. wieku i naszego, mówi Proudhon, „kontrakt społeczny“, arcydzieło kuglarstwa krasomówczego, uwielbianém było i unoszoném pod niebiosy. W dniu gdy ludy zrozumieją znaczenie słów: w o l n o ś ć, s p r a w i e d l i w o ś ć i m o r a l n o ś ć, zaciągną do Montfaucon trupa Jana Jakóba Russo.

niegodne użycie swych zdolności, zostawi trwałe i okrutne wspomnienie... i t. d.“.

Russo umarł w tymże samym roku co Volter, to jest w roku 1778 w Ermenonville, pod Paryżem — a właściwiéj zastrzelił się, wpierw zażywszy trucizny—jak twierdzi jego przyjaciel Corancez, hr. Barruel Beauvert, de Grimm i de Marmontel.

* * *

Otóż charakter moralny dwóch patryarchów nowożytnéj filozofii, Voltera i Jana Jakóba Russo. Trudno więc pojąć, jakim sposobem podobni ludzie mogli znaleść uczniów i zwolenników, a niektórzy rodzice, wychowywać swe dzieci według rad Russa.

SALIGNAC-FENELON.

W mieście Toulouse w południowéj Francyi, umarł w miesiącu grudniu 1878 roku francuski jenerał, komendant 17 korpusu, mąż szlachetnego urodzenia, sławny przez wojenne czyny i chrześcijańskie cnoty.

Gdy czuł się już bardzo osłabionym, kazał zawołać jednego ze swych doktorów, zapytując go, co sądzi o jego stanie?

— „Panie Jenerale! — masz Pan odwagę?“

— „Tak jest, nie mam żadnéj bojaźni!“

— „A więc dobrze; życie Pańskie zbliża się ku końcowi!“

— „Czy jeszcze dzisiaj umrę?“

— „Tak! — Panie Jenerale!“

— „Czy zaraz?“

— „Może jeszcze dziś wieczór“.

Jenerał po téj rozmowie kazał zawołać księdza proboszcza od św. Stefana; szczerze się wyspowiadał z pełną wiarą i poddaniem się; z największą czcią przyjął Komunią św. i ostatnie namaszczenie Olejem św. Nie długo potém nastąpiła walka śmiertelna w któréj umierający najzupełniejszą zachował spokojność. Ze złożonemi rękami ofiarował swoje życie Bogu, i mówił: „O mój Boże, przebacz mi moje grzechy“.

Potém prosił swą żonę i dzieci, które klęczały około łoża jego, o przebaczenie, jeżeli je obraził kiedy i zmartwił, i dał im ostatnie uroczyste błogosławieństwo.

Żona jego poczęła go pocieszać, że może jeszcze powróci do zdrowia.

„O nie, nie“ — odpowiedział umierający jenerał, „już złożyłem ofiarę z mego życia Bogu“.

Następnie dziękował swemu adjutantowi za dotychczasowe usługi; gdy zaś przewielebny ks. arcybiskup odwiedził go, aby jenerałowi udzielić swego błogosławieństwa, rzekł umierający: „Przewielebny Ojcze — oddaję Ci moją żonę i dzieci w opiekę, w godniejsze ręce oddać ich nie jestem w stanie!“

W końcu dodał: „oddech uchodzi mi już. O mój Boże! — zmiłuj się nademną!“

Zwrócił się jeszcze do swojéj żony i do swego adjutanta wyrzekł kilka słów pożegnalnych — potém wzmocniony jeneralną absolucyą, oddał ze spokojem i poddaniem się szlachetną swą duszę w ręce Stwórcy.

Na swych piersiach nosił za życia zawsze medalik Najśw. Serca P. Jezusa i Najśw. P. Maryi.

Ostatnie chwile Chopin'a.

Jedno z pism francuzkich w Autun podało zajmujące szczegóły o ostatnich chwilach genialnego mistrza, opowiedziane przez naocznego świadka ks. Aleksandra Jełowickiego: „Od lat kilku, mówi on, życie Chopin'a wisiało, jak to powiadają, na włosku. Rzecby można, że ogień geniuszu trawił tutaj słaby organizm. To też wszyscy, którzy się do niego zbliżali, podziwiali, jak w tak wątłéj powłoce dusza jeszcze przebywać mogła. Nie pojmowali również, że chory mógł w podobnym stanie zachować całą żywość myśli i uczuć. Twarz jego była przejrzystą i białą jak alabaster, oczy zamglone zwykle, błyszczały niekiedy dziwnym blaskiem. Zawsze uprzejmy, miły, dowcipny i pełen uczucia, żył on jakiémś życiem oderwaném od świata, który go otaczał, a jednakże nie myślał o Niebie... Chopin nie miał wielu prawdziwie dobrych przyjaciół, lecz natomiast wielu światowych, nie tylko obojętnych w rzeczach wiary, lecz nawet wręcz jéj przeciwnych; sam on też zajęty tryumfami i sławą swą w świecie muzycznym, zagłuszył w sobie głos duchowych natchnień i zaniechał ćwiczeń pobo-

żnych, zalecanych mu niegdyś przez matkę prawdziwą Polkę; stały się one dla niego już tylko wspomnieniem ubiegłego dzieciństwa.

W ostatnich zwłaszcza latach, na téj ziemi przeżytych, niedowiarstwo otaczających go towarzyszy i przyjaciół, zapuściło głęboko korzenie w duszę wielkiego artysty i uciskało serce jego ciężarem zwątpienia. Nikt jednakże nie słyszał, aby kiedykolwiek szydził z rzeczy boskich i świętych, na wzór niedowiarków pospolitego rodzaju, maskujących poziomość swych pojęć i wyobrażeń fanfaronadą książkowego rozumu. Broniła go od tego wrodzona podniosłość uczucia i artystyczna delikatność smaku jak w sztuce tak i w obejściu.

„Choroba piersiowa, którą był dotknięty, rozwinęła się szybko; przybywszy z Rzymu do Paryża, dowiedziałem się, że Chopin umiera, i pośpieszyłem odwiedzić z dawna mi drogiego przyjaciela. Uściskaliśmy się ze łzami w przewidywaniu bliskiego rozstania... Był on nadzwyczaj osłabiony, i widocznie nie wiele chwil pozostawało mu już do życia; nie płakał wszakże nad sobą, lecz nademną, gdym mu opowiadał szczegóły śmierci brata mego Edwarda, który był również przyjacielem jego młodości. Korzystałem z tego, aby mu wspomnieć o matce i rozbudzić wiarę, któréj go nauczyła. „Rozumiem cię, wyrzekł, aby nie zasmucić matki mojéj, należałoby mi przyjąć Sakramenta... Ale nie mogę uczynić tego, bo nie pojmuję dobrze ich znaczenia... Rozumiem potrzebę spowiedzi, gdy ta ma formę przyjacielskiego zwierzenia; nie pojmuję jéj wszakże jako Sakramentu... Jeżeli chcesz, wyspowiadam się tobie jako przyjacielowi, lecz na tém poprzestać musisz".

Słowa te ścisnęły mi serce i do łez pobudziły. Cierpiałem nad tą biedną duszą i czułem się bardzo nieszczęśliwym. Pocieszałem późniéj o ile mogłem chorego w cierpieniach jego, mówiąc mu o Zbawicielu naszym, o Najswiętszéj Matce Jego i o niezmiernem miłosierdziu Bożém. Ofiarowałem się znowu przyprowadzić mu spowiednika, lecz znów odebrałem odpowiedź, że spowiadać może się tylko przedemną... Znając dobrze całą burzliwą przeszłość artysty, nie pragnąłem tego bynajmniéj... Trudno sobie wyobrazić, jak smutną była noc, którą przepędziłem przy nim, po téj rozmowie. Nazajutrz przypadał dzień św. Edwarda, patrona ukochanego brata mego. Ofiarując Mszę św. za jego duszę, błagałem Boga zarazem o oświecenie duszy Fryderyka (imię Chopin'a). Niepokój mój wzrósł jeszcze, gdy powróciłem do łoża chorego, jadł śniadanie, które zapragnął podzielić ze mną.

— Kochany mój — rzekłem mu — dziś imieniny brata mego Edwarda.

Westchnął.

— Ja mówiłem daléj: — W dniu tym powinienbyś zrobić to, o co cię prosić zamierzam...

— Zrobię wszystko co zechcesz.

— A więc oddaj mi twą duszę! — zawołałem.

— Rozumiem cię... Masz, bierz ją — rzekł podnosząc się na łóżku.

Trudno wypowiedzieć radość, jaką wtedy uczułem, była ona wszakże połączona z wielkim niepokojem... Jakże przyjąć miałem tę duszę, aby ją następnie zwrócić Bogu? Padłem więc na kolana i z całą mocą wiary wołać począłem: „Przyjm ją Ty sam o Panie i Boże mój!" Włożyłem jednocześnie w ręce chorego obraz ukrzyżowanego Zbawiciela, na który w tejże chwili gorące łzy jego spłynęły.

— Wierzysz? zapytałem go.

— Wierzę! — odpowiedział.

— Wierzysz tak, jak niegdyś matka cię nauczała?

— Tak jak matka mię nauczała — odparł znowu, i wlepiwszy wzrok w ukrzyżowanego Chrystusa, łkając, rozpoczął spowiedź...

. . . . . .

Przyjął następnie Wiatyk i ostatnie Namaszczenie, którego sam zażądał. Zakrystyanowi kazał dać 20 razy więcéj niż to było w zwyczaju, gdy zaś zwróciłem na to jego uwagę, odpowiedział:

Nie! nie! to nie zawiele; tego co otrzymałem, nie opłacę niczém!

Odtąd, za łaską Boga, którego przyjął do serca, uświątobliwił się widocznie. Rozpoczęły się niebawem ostatnie chwile walki duszy z ciałem; trwało to cztéry dni i cztéry noce. Cierpliwość i poddanie się woli Bożéj, nie opuściło ani na chwilę chorego. W cierpieniach dziękował Bogu, mówił o miłości Jego dla człowieka i wyrażał chęć gorącą prędszego z nim połączenia. Przyjaciołom, którzy czuwali już to obok niego, już w przyległych pokojach, mówił wciąż o szczęściu swojém.

Jednego razu, gdy w chwili omdlenia, sądząc, że już skonał, zebrali się około niego, otworzywszy oczy wyrzekł: „Co to znaczy? czemu się nie modlicie?" Pokląkłem wtedy i rozpocząłem głośno litanię do Wszystkich Świętych, któréj odpowiadali wszyscy, nie wyłączając i

protestantów. Chopin dzień i noc całą prawie, trzymał i ściskał rękę moją. Niekiedy przytulał się do mnie jak dziecię do matki w chwili niebezpieczeństwa. - „Wszak nie odstąpisz mię do ostatka?“ — mówił. Powtarzał też często święte imiona Jezus i Marya, a całując krucyfiks, świadczył o przenikających go uczuciach miłości, wiary i nadziei. Niekiedy powtarzał głośno: „Kocham Boga i ludzi, i czuję się szczęśliwym, umierając w téj miłości! Nie płacz dobra siostro moja! i wy przyjaciele moi nie płaczcie! Jestem tak szczęśliwy! Czuję, że umieram! Módlcie się za mnie! Zobaczymy się w Niebie!“

Lekarzom, którzy życie jego przedłużyć chcieli, powiadał: — „Dozwólcie mi umrzeć w pokoju, Bóg mi przebaczył i woła mię do siebie, zostawcie mię, ja pragnę już umrzeć!... po co przedłużać boleści! Gdyby to jeszcze czyniono dla jakiegoś dobra! dla spełnienia pewnéj ofiary! Ale męczyć mię próżno razem ze wszystkimi, których kocham!... Mylicie się może... ale Bóg się nie myli i doświadcza mię! O jakże On jest dobrym!“

Chopin wyrażał się zazwyczaj gładko i wytwornie, a jednakże zawołał nagle zwracając się ku mnie: „Prawdziwie, mój drogi, gdyby nie ty, zdechłbym jak bydlę! Chciał on zapewne dać mi poznać w ten sposób wdzięczność swoją i zarazem okazać nieszczęście tych, którzy schodzą z tego świata bez pociech wiary.

W chwili ostatniéj, przyciskając krucyfiks do ust, wspomniał imiona Jezusa, Maryi i Józefa, a wyrzekłszy słowa:

— „Jestem teraz u źródła szczęścia“, oddał ducha Bogu.

Było to dnia 17-go października 1849 roku.

Ważne pytanie!

Czy religia tylko potrzebna dla ludu?

1. Odsyłać ze wzgardą religię do prostego ludu, widzieć w jéj instytucyach ćwiczenia zdolne tylko zająć tłum pospolity, i trzymać go na wodzy przez próżne postrachy, nie jest to dowodem wyższych zdolności w człowieku, owszem, jest to skutek grubéj niewiadomości tego, co wiedzę naszą najbardziéj obchodzić powinno. I w rzeczy saméj, czyli to religię uważać będziemy jako cześć, którą przepisuje rozum, każdemu rozumnemu i wolną wolą obdarzonemu stworzeniu względem swojego Stwórcy, czyli weźmiemy ją za zbiór powinności i obowiązków, które Bóg przez objawienie włożył na rodzaj ludzki, byłoby to najwyższym stopniem bezbożności i szaleństwa, gdyby kto sądził się być wolnym od ich wypełniania; stałby się on przez to winnym pychy, Bóstwu najbardziéj uwłaczającéj. Jakiém prawem te wyniosłe dusze chciałyby się wyłamać od obowiązków okazywania Bogu swéj wdzięczności, za niezliczone dobrodziejstwa, któremi dobroć Jego nieograniczona obdarzać ich nie przestaje? Czyliż mogą one w siebie wmówić, iż są wyniesione nad stan przyrodzenia człowieka, i że nie mają potrzeby wzywać pomocy Nieba? Będąż sobie schlebiać, iż wyższymi są do tego stopnia, nad słabość natury ludzkiéj, że pobłażanie, miłosierdzie i łaska Boska nigdy im nie będą potrzebne do odzyskania czystości i spokojności sumienia, tak trudnych do zachowania, wśród tylu przyczyn, które się na jego skalanie i zakłócenie sprzysięgają?

„Ludzie sami bez religii, jak mówi P. Polge, żądają tego, aby pospólstwo ożywione było duchem chrystyanizmu. Dla nas, mówią oni

w rzadkiéj serca prostocie, wystarczające są nasze nauki, nasza filozofia. Jakto społeczność szczęśliwa, gdy ją uczeni i filozofowie zarządzają! Jak ich rządy są słodkie! Jak wdzięczne narody błogosławią je za to!“ (sic).

Jakkolwiek bądź chrystyanizm, podług nich, jest wędzidłem skutecznem dla gminu, jemu go więc opowiadać należy. Lecz któż to z ludzi, z powodu swych namiętności do pospólstwa zaliczonym być nie może? Jeżeli są ludzie, których wiara ożywiać powinna, to są ci właściwie, którzy do gminu liczyć się nie chcą. Wielcy, uczeni, a źli, są niebezpieczniejsi w towarzystwie od gminu: ich namiętności łatwiéj zaspokajane, są większe i burzliwsze, a ich przykłady, jakby z świecznika daleko widziane, są nierównie zgubniejsze. Wiedzą oni lepiéj, aniżeli kto inny, że są w społeczności wsławieni zbrodniarze, którym nauka i władza posłużyły do sprawienia wiele złego dla świata. Tymczasem ów lud prosty, któryby chciano mieć tak religijnym, będzież on takim, jeżeli uczeni, którzy wzorem dla niego być powinni, są bezbożnymi? Czyliż on nie będzie bluźnić, jeżeli ich bluźniących słyszy? Sądzą, iż to jest wyborny środek zachęcający do zachowywania praw, aby uczyć ich gwałcenia? Przed kilkudziesięciu laty, a za naszych dni w czasie komuny paryzkiéj, ważną dano im w tym względzie przestrogę; rzecz dziwna, że już zapomnieli o niéj. Naśmiewano się z religii, zaraz téż bezbożność przeszła w masy ludu, i prowadziła równie szlachtę, mieszczan jak i uczonych na rusztowanie“ [1]).

2. Źle o nas sądzicie, odpowiadają uczeni i Monarchowie, my nie jesteśmy bez religii; lecz umiemy rozróżniać jéj istotę od przydatków, cześć w duchu, od obrzędów. Pospolity człowiek powodujący się jedynie zmysłami, potrzebuje wystawy zewnętrznéj, dla ustalenia swojéj uwagi, i wzniecenia w sobie uczuć, jakie religia rodzić powinna. Lecz nam przyzwyczajonym do wyobrażeń oderwanych, niepotrzebna takowa pomoc; owszem jest ona raczéj przeszkodą do zebrania myśli naszych. Jeżeli więc nie mieszamy się z gminem, w oddawaniu czci Bogu, nie robimy tego przez brak religii; nawet naganiamy tych, którzyby podobnie myśleli; jedném słowem, nie obawiamy się tego wyrzec: my chcemy religii.

Bezwątpienia, zmuszeni do oddawania hołdu religii, czują już jéj potrzebę, widzą teraz skutki bezbożności, i boją się być jéj ofiarą. Tak jest; chcą religii, bo ona jest najmocniejszą tarczą, osłaniającą

1) Rewolucya francuzka.

bezpieczeństwo osoby, państwa, trony i majątki. Chcą religii, ale w drugich; ponieważ skoro ta zacznie im przypominać ich uświęcone, lecz ukryte obowiązki, pozbywają się jéj, jakby natrętnéj i przestarzałéj, a tych, którzy w jéj imieniu przemawiają o nieomylności jéj dogmatów, o niezmiennéj jéj moralności, o wieczności jéj kar, nietolerantami nazywają. Rozważ tylko, czy liczba ludzi jest znaczna, którzy dopełniają wiernie obowiązków religijnych? Przypatrz im się na łonie familii, czy ujrzysz ich oddających cześć Bogu i korzących się w prożbach przed jego majestatem? Usiądź z nimi do stołu, czyliż tam ich spostrzeżesz posłusznych przepisom wstrzemięźliwości? Wnijdź do kościołów, będzieszże ich tam widział słuchających z uszanowaniem i pobożnością najświętszéj ofiary mszy świętéj, przystępujących do trybunału pokuty, i najświętszéj komunii? Przypuściwszy, że to są ludzie zkądinąd uczciwi, szczerzy, bezinteresowni, wstrzemięźliwi, szlachetni, czystość zachowujący, byliby oni rzeczywiście uczciwymi poganami; lecz nie mniéj jest prawdą, jak mówi św. Jakób, że gwałcąc prawo w niektórych punktach, są oni tak winni, jakby całe prawo zgwałcili; żyją oni w grzechu, w ciągłém przeciw religii sprzysiężeniu, a zatém, pod ciężarem klątwy.

Czemże jest ta u nich religijność, jeżeli nie uczuciem spekulacyjném i próżném, jeżeli nie ideałem bez dogmatów, bez symbolów wiary, bez kodeksu moralności, bez czci wewnętrznéj? Cóż to innego, jeżeli nie zasłona stawiana przeciw światłu, jeżeli nie przedmurze przeciw wyrzutom sumienia, a za którém ukrywają oni bezpiecznie swoją obojętność i swe namiętności? Cóż to jest nadto, jeżeli nie gościniec szeroki, o którym Pismo święte mówi, że nigdy nie był drogą do Nieba? gościniec dla każdego otwarty, jakiekolwiek jego wyznanie i sprawowanie się, byle tylko pochwalał religię, ogłaszał jéj dobrodziejstwa, i powtarzał zwyczajną swą piosnkę: my chcemy religii, my jesteśmy religijni? Cóż jest nakoniec to uczucie religijne, jeżeli nie milczeniem bezbożności, która przerażona okropnemi skutkami zasad swoich, widzi nareszcie, lubo już zapóźno, ich krwawe skutki, i chce uciec przed niemi?

3. Lecz mówią inni więcéj otwarci filozofowie: Bóg jest nieskończenie wyższy od człowieka, nie masz żadnéj proporcyi pomiędzy nimi: ta więc cześć istoty ograniczonéj nie może być godną Boga w wielkości nieograniczonego i najdoskonalszego. Czemże my jesteśmy, mówią daléj ci lekkomyślni rozprawiacze, abyśmy wierzyć mieli, że Bóg zniża się aż do nas, że się zajmuje naszémi próżnemi myślami? My

liche proszki w obliczu jego, na cóż się nasze hołdy jemu przydadzą? A tak religia, która się tém zaszczyca, iż jest ogniwem łączącém człowieka z Bogiem, byłaby tylko wypadkiem dumy i wyuzdanéj miłości samego siebie.

Rozsądniejsi filozofowie dowodzili, że jakkolwiek nieograniczona jest wielkość Boga, nie jest On przecież obojętnym na cześć, jaką Mu oddają stworzenia rozumem i wolną wolą obdarzone. Jeżeli bowiem utworzył On jakie dzieło, uczynił to tylko przez wzgląd na samego siebie: jak wszystko od Niego pochodzi, tak też wszystko mając w Nim swój cel, wraca do Niego; inaczéj porządek świata byłby naruszony. Jeżeli więc Bóg, któremu winni jesteśmy nasze istnienie, dał nam rozum, i obdarzył zdolnością kochania, nie może on niechcieć tego, abyśmy używali rozumu, do poznawania Go, a woli, do Jego kochania.

4. Lecz dodają oni: Bóg nie potrzebuje ani czci, ani miłości naszéj. Jakąż mogą mieć wartość w oczach jego hołdy nasze? Na cóż Mu się przyda cześć niedoskonała, a zawsze bardzo ograniczona Jego stworzenia? Czyliż stanie się przez nią szczęśliwszym, albo doskonalszym? Nie, bez wątpienia, On jéj nie potrzebuje bynajmniéj. Lecz Bóg miałże potrzebę, aby nas stwarzać? nasze istnienie robiż go szczęśliwszym lub doskonalszym? Jeżeli więc dał nam życie i zachowuje nas przy niém, nie potrzebując bynajmniéj naszego istnienia, nie mierz więc tego, czego po nas wymaga, z tém, co Mu byłoby użyteczne. On wystarcza sobie samemu, poznaje siebie i kocha siebie; oto Jego chwała, oto Jego szczęście. Lecz stosuj to, czego On wymaga po nas z tém, co On winien swéj mądrości i porządkowi niezmiennemu. Nasza cześć jest niedoskonała sama w sobie, nie zapieramy się tego; wszakże nie wahamy się twierdzić, że nie jest ona Boga niegodną, dodajemy nawet, że nie na inny koniec jesteśmy stworzeni, jak tylko, dla téj czci jakkolwiek ograniczonéj.

W rzeczy saméj czyn stworzenia, które poznaje Boga, jest Mu posłuszne i kocha Go, jest zawsze nieuchronnie niedoskonałym; lecz jest czynem najszlachetniejszym, najwznioślejszym, na jaki się zdobyć może, i jaki Bóg może wyciągnąć z niego; czyn więc ten, nie jest Boga niegodnym. Przypuściwszy, że Bóg nie mógł z niczego stworzyć istoty rozumnéj, jedno tak doskonałą, jak jest sam, postawilibyśmy Boga w niemożności zupełnéj stworzenia jakiéjkolwiekbądź rzeczy. A jednakże my mamy istnienie, i dziełem rąk Jego jesteśmy; stwarzając więc nas, zamierzył On sobie otrzymywać z nas działanie najwznioślejsze, jakie tylko natura nasza niedoskonała wydać może. To

działanie najdoskonalsze człowieka czemże jest, jeżeli nie poznawaniem i miłością swojego Stwórcy? Że to poznanie, ta miłość nie mogą być podniesione do przynależnego stopnia, to nic nie znaczy: Bóg otrzymuje z człowieka to, co on wydać może największego, najbardziéj uzupełnionego w granicach, w których przyrodzenie jego zamknięte, i to dosyć do uzupełnienia porządku w świecie. Bóg jest zadowolony ze swego dzieła, jego mądrość odpowiada jego potędze, i uzupełnia się w swojém stworzeniu; to zadowolenie jest jedynym jego celem.

5. Jeżeli po tylu dowodach utrzymują z uporem, że Bóstwo jest bardzo względem nas wysokie, iżby się aż do nas zniżało, odpowiadamy na to, że zwiększając tym sposobem z jednéj strony Jego wielkość, a z drugiéj naszą nicość, chcą tylko zrzucić z siebie mniemane jarzmo, postawić się w miejscu Boga, i zniszczyć wszelką winną Jemu podległość; odpowiadamy, że przez to uniżenie się zwodnicze i obłudne, wyobrażają sobie Bóstwo tak od nas odległe, tak wśród swéj wielkości względem nas obojętne dla tego: aby uprawnić rozpasane swe żądze, wmówić w siebie onych bezkarność, i postawić się, jeżeli można, wyżéj nad wyrzuty sumienia.

6. Nie, mówią niektórzy filozofowie gorliwi o wielkość Boga, nie, ta istność umieszczona w odległości nieograniczonéj od człowieka, zalecając ludziom cześć siebie, nie ma jedynie na celu swéj własnéj chwały; wymaga ona takowéj także w skutek dobroci ku swoim stworzeniom: wkładając na nich ten obowiązek, nie swój własny, lecz ich pożytek ma na celu.

Maxwel, tłómacz angielski dzieła Ryszarda Kumberland, pod tytułem: *Traité philosophique des lois naturelles*, zbija w swoim przypisku to mniemanie, i dowodzi, że Bóg przepisując swoim stworzeniom cześć siebie, nie tylko ma na celu ich dobro, lecz nadto ma na widoku swoje własne przymioty, i swą nieskończoną doskonałość.

Bóg, mówi on, jako władnący światem, jest koniecznem źródłem praw religii prawdziwéj, któréj obowiązki na tém uznaniu polegają, iż Bóg jest Panem naszym najwyższym; polegają one nadto na prawach Jego bóstwu przysługujących, wyłącznych, nienaruszonych, Jego naturze właściwych, na wdzięczności i sprawiedliwości, na nieodmiennéj naturze dobrego i złego; — na interesie równie Boga, jak i nas samych. Pobożne przyznanie Mu tych praw jest interesem Jego zadowolenia, Jego czci, panowania i Jego natury boskiéj. Jeżeli tego nie chcemy religijnie Mu przyznać, jeżeli przeciw temu stawiamy opór, wyrządzamy Mu rzeczywistą obrazę, odmawiamy Mu

Jego poddanych wraz z usługami, które Mu winni; wypowiadamy Mu wojnę, pogardzamy Nim, ogołacamy Go z Jego przymiotów, i usiłujemy zniweczyć bóstwo Jego. Boga więc jest interesem, abyśmy Go czcili. Król, ojciec, nie wymaga, aby jego poddani, lub jego dzieci czcili go jedynie dla własnego jego interesu, lecz żąda po nich téj czci i dla publicznego dobra. Możnaż sobie wystawić, że dla naszego jedynie pożytku, Bóg zabrania nam pogardzać sobą? że Jego honor i interes są względne i poddane dobru naszemu, i są tylko środkiem osiągnienia onego? Cóż to jest bowiem człowiek w porównaniu z Bogiem, stworzenie w porównaniu ze swoim Stwórcą? Ponieważ On interesowany jest utrzymywać swój honor, i ponieważ nieskończenie od nas jest wyższy, Jego więc interes przemaga nieskończenie nad naszym. Wyrozumowana ta zasada zgodna jest z porządkiem dwóch wielkich przykazań, z których pierwsze zaleca kochać Boga nad wszystko, a drugie dopiero każe kochać bliźnich jak nas samych; zgodna wreszcie z porządkiem próśb Modlitwy Pańskiéj, w któréj trzy pierwsze prośby mają na względzie Boga, następne dopiero ściągają się do naszego użytku.

Rzeczywista swoboda przekonań.

Są uczucia wrodzone, przekonania wewnętrzne głęboko wkorzenione których żadne wywody racyonalizmu nie zdołają wyrugować z serca ludzkiego. Do takich należy wiara w skuteczność modlitwy. Dziennikarstwo radykalne francuzkie podnosi wielu hałasu przeciw pielgrzymkom pobożnym do miejsc cudami słynących. Przypominamy sobie, że i u nas niedawnymi czasy pisemka podobnéj barwy w takiż sam sposób odzywały się o kompaniach dążących do Częstochowy. Nie zważając na to, lud, który nie wdając się w rozumowania, instynktownym sposobem szuka ulgi w swych bolach i troskach, tłumnie gromadzi się tam, gdzie najpewniejszą znajduje pociechę. Jaskrawe wystąpienia dzienników francuzkich nie powstrzymują także pielgrzymów, którzy ze wszystkich stron kraju zdążają do Lourdes. Sprawa ta jednak ma w gruncie daleko głębsze znaczenie; idzie tu bowiem o stosunek, jaki istnieć może pomiędzy światem przyrodzonym i nadprzyrodzonym. Ci biedni ludzie, którzy wiele trudów ponoszą, ażeby się dostać do miejsca poświęconego, spełniają akt pobożny, w celu otrzymania jakiéj szczególnéj łaski dla siebie lub drugich; akt ten jest zarazem publiczném wyznaniem wiary, zaświadczeniem najwznioślejszéj nauki o stworzeniu światá, o Stwórcy i Jego dziełach. To więc, co czynią, nie jest ważne samo w sobie, ale ma jednak ogromne znaczenie w zasadzie. Niedowiarek, który tych ludzi wyszydza, dziennikarz, który żółć swoją na nich wylewa publicznie, czyni ze swéj strony otwarte wyznanie wiary, jako filozof, naturalista, obrońca materyalizmu, albo pozytywizmu. W rzeczy saméj, za dni naszych polemika w sprawach dotykających faktów nadprzyrodzonych nie toczy się pomiędzy szko-

łami filozoficznemi, uznającemi zgodnie istnienie świata nadprzyrodzonego i różniącemi się tylko w wyobrażeniach swych o materyalnéj rzeczywistości pewnego faktu; spór odbywa się pomiędzy dwoma przeciwnymi obozami, które się różnią całkowicie w pojęciach filozoficznych i religijnych. Dla katolików najważniejszém zadaniem nie jest tu bynajmniéj sprawdzenie rzeczywistości materyalnéj, konkretnéj samego faktu, lecz uznanie w pojęciu ogólném możliwości tego faktu.

Przedewszystkiém zaś należy wyjaśnić potrzebę filozoficzną i społeczną téj wiary w fakta nadprzyrodzone. Nic nie ma wznioślejszego, chociaż z drugiéj strony nic nie ulega tak fałszywym sądom jak to ustawiczne usiłowanie Kościoła, dążące do podtrzymania i umocnienia w duszach wiary w rzeczy nadprzyrodzone. Należy zatém wykazać powody tych usiłowań, tego nieustannego oporu przeciw roszczeniom materyalizmu i naturalizmu, tak jak z drugiéj strony wykazując skutki tych doktryn moralne i społeczne, najskuteczniéj je zdołamy pokonać, wyzwalając ze zgubnéj ich niewoli umysły zbłąkane. Pojęcie swobody myśli, swobody przekonań, dziwny ma urok dla umysłu ludzkiego; dla tego téż chcielibyśmy dowieść, że doktryny materyalistów wręcz téj swobodzie zaprzeczają. Przeciwnie, prawdą jest niezaprzeczoną, że pobożny pielgrzym zmierzający do miejsc świętych, nie myśląc o tém wcale, oddaje hołd téj sprawie swobody ducha, któréj Kościół katolicki stale zawsze bronił.

To rozumowanie dziwném się wyda zapewne wolnomyślicielom, a jednak śmiało twierdzić możemy, że każdy kto zaprzecza możności cudów i rzeczy nadprzyrodzonych, zaprzecza tém samém skuteczności modlitwy, istnienia Opatrzności, a w końcu odpowiedzialności moralnéj i wolności woli.

Co się tyczy modlitwy, wyznawcy materyalizmu nazywają ją zastarzałym zabytkiem mistycyzmu; nawet znaczna liczba protestantów tak zwanych liberalnych, opanowanych przez postępowe doktryny, nie uznaje skuteczności modlitwy. Pozytywiści nie wierząc w możność cudu, nie mogą też wierzyć w potrzebę modlitwy, i są w tém najzupełniéj logiczni. Jeźli Bóg nie może dokonać nic niezgodnego z porządkiem natury, nie jest więc téj natury panem a ona nie jest mu podległą. Ale jeżeli Bóg nie rozkazuje naturze, to pocóż się do Niego mamy udawać z prośbami? Jakąż łaskę może nam wyświadczyć Ten, który nie ma w swym ręku sił przyrodzonych i nie rozrządza niemi? Możemyż sobie wyobrazić jakikolwiek wypadek, jakiekolwiek żądanie nasze, nie zależące od tych sił przyrodzonych? A jeźli te przez

całą wieczność od woli Bożéj są niezależne, jakże On może wysłuchać próśb naszych? Mamże błagać Boga o zdrowie ojca, wycieńczonego chorobą i wiekiem? Wszak zdrowie jego i życie zależy od wpływów powietrza, dobroczynnych lub szkodliwych na jego organizm. Czy mam się modlić o powrót brata, z którym mnie rozdzielają morza? Ale powrót jego zależy od spokoju fal morskich, a spokój i zaburzenie tych fal od prądów, przypływów i odpływów. Jeźli Bóg falom nie rozkazuje, jeźli nie jest panem natury i jéj sił, pocóż go wzywać mamy? Jakąż prośbę naszą wysłuchać może? Pocóż więc modły zanosić mamy do niego rano i wieczór? A gdy z przyzwyczajenia ugniemy kolana, czyliż po chwili nie ostygnie serce nasze, gdy przypomnimy sobie, że odrzuciliśmy wiarę w cuda, że żadna pomoc, żadna pociecha nie może spłynąć na nas ztamtąd, dokąd wzrok nasz mimowoli z niepokojem się zwraca?

Pojęcie Opatrzności, sprawiedliwości, musi upaść, jeżeli nie przyjmujemy możliwości cudów. Pisarze najnieprzyjaźniejsi nauce Kościoła i wyobrażeniom jego o stosunku Stwórcy do stworzenia wiele natomiast rozprawiają o sprawiedliwości. Wprowadzić panowanie sprawiedliwości na miejsce chrześcijańskiego miłosierdzia marzeniem jest pewnéj szkoły współczesnych doktrynerów. We wszystkich epokach ludzie wierzyli w istnienie władzy, która wymierza karę dla złych, a wynagradza dobrych. Ta myśl, że zdamy rachunek z uczynków naszych i odbierzemy za nie słuszną zapłatę, była zawsze nadzieją i umocnieniem ludzkości, pociechą w troskach doczesnego życia, wyjaśnieniem jego zagadnień. Lecz łatwo pojąć, iż przy wyobrażeniach, o których mówimy, trzeba się wyrzec sprawiedliwości i opatrzności. Musimy bowiem przypuszczać, że sprawiedliwość Boska za pośrednictwem sił przyrodzonych objawiać się musi. Jeżeli uznajemy zupełną niezależność tych sił, opór ich woli Stworzyciela, jakże się ma sprawiedliwość dopełnić? Jakże Bóg działać ma na świat, rządzić nim, i sądzić go, jeżeli pomiędzy nim a światem jest jakby zapora żelazna, któréj on złamać ni ugiąć nie jest w stanie? Gdy poetyczna wyobraźnia ludowa chciała sobie niegdyś przedstawić działanie Boga na świat, wiemy jakie tworzyła obrazy wdzięczne i przerażające. Był to Jowisz, rozkazujący wiatrom, trzymający w swym ręku pioruny, by je dowolnie wypuszczać na głowy przestępców, by wichrom rozhukanym, pustoszącym burzom dawać wodze. Cóż wyobraźnia ludowa upatrywała w tych niedokładnych pojęciach? Oto myśl całkowicie rozsądna: że Bóg jakkolwiek jest Bogiem, nie działa na świat podległy żywio-

łom przyrodzonym, tylko za pośrednictwem tychże samych żywiołów, które nam są posłuszne. Bóg, niemający władzy nad przyrodą, jest Bogiem bezczynnym. Gdy raz zaprzeczymy cudom, zbliżamy się do pojmowania Boga bezsilnego i bezczynnego.

Pomiędzy takiém pojęciem Boga i zaprzeczeniem istnienia jego przejście jest bardzo łatwe. Wszak w logiczném rzeczy następstwie, odrzuciwszy wiarę w cuda, musimy odrzucić wiarę w modlitwę, w Opatrzność i sprawiedliwość. Posuwając daléj rozumowanie podobne, czyż wiara w Boga utrzymać się może? Nie, bez wątpienia. Jeżeli nie zdołamy odszukać śladów działania Bożego na tym świecie, czemże istnienie jego usprawiedliwić potrafimy? Jeżeli dziś Bóg nie jest potrzebny do rządzenia światem, jakże dowieść możemy, że był potrzebny dawniéj, ażeby go stworzyć? Jeźli natura trwa bez niego, czemuż powstać bez niego nie miała? Dochodzimy tym sposobem do czystego ateizmu. Jednocześnie upada wolność człowieka. Możemyż bowiem przypuszczać, ażeby na tym świecie, gdzie żelazna konieczność ciąży nad wszystkiém, znalazła się drobna istota, nędzny i słaby robaczek, zajmujący niedojrzany punkcik w przestrzeni, zrodzony wczoraj, jutro na śmierć skazany, któryby sam jeden posiadał przywiléj wyzwolić się z tego żelaznego jarzma, tłoczącego wszystko naokoło niego? Więc od początku czasów, na każdym punkcie niezmierzonéj przestrzeni żadna swobodna ręka nie władała działaniem sił przyrodzonych, a ta swoboda miałażby się zrodzić w téj odrobinie gliny i mułu ziemi, dziś ożywionéj a po chwili przeznaczonéj na gnicie? Jeżeli żadna wolna wola nie przewodniczyła działaniu przyrodzonych żywiołów, a człowiek z tychże samych żywiołów wziął początek, nie może on mieścić w sobie żadnéj własności obcéj tym materyałom, z których powstał; jest zatém niewolnikiem otaczającego świata, sił, które nim rządzą, nie ma wolnéj woli ani odpowiedzialności. Znika tém samém wszelka różnica pomiędzy dobrem a złem.

Rozumowanie to jest tak ścisłe, że nic go obalić nie zdoła, ani logiki jego podać w wątpliwość. Mieliśmy zatém słuszność utrzymywać, że pielgrzymki do miejsc cudami słynących, stanowią jawne uznanie moralnéj swobody ducha ludzkiego. Znaczenie filozoficzne tych wywodów nie każdemu przedstawi się od razu tak wyraźnie. Pobożne dusze, które do tych miejsc spieszą, nie zdają sobie sprawy z głębokiego znaczenia swéj wiary w rzeczy nadprzyrodzone. Lecz patrząc uważniéj na te objawy, trudno nie spostrzedz ich rzeczywistego cha-

rakteru. Jest to protest przeciwko moralnéj przemocy tych, którzy pod pokrywką swobody, hańbiące więzy nakładać chcą na ducha ludzkiego. Wiara jedynie, wiara gorąca, wiara czynna, żywa, wiara w świat wyższy, nadprzyrodzony może umocnić duszę i zabezpieczyć społeczeństwo od zabójczych doktryn demagogów i materyalistów.

Miłość chrześcijańska i filantropia.

Wówczas, kiedy filozofia ostatnich wieków zachwiała wszelką wiarę, i gdy na wzór pysznego nieposłuszeństwem anioła, rzuciła wzrokiem radości i ukontentowania na dzieło pychy i ciemnoty swojéj, uczuła nagle, iż to dzieło zniszczenia nie było jednak jeszcze doskonałe. Nauki jéj, nieprzyjazne towarzystwu, długiéj sobie trwałości zapewnić nie mogły; przekonała się ona zatém, że ustanawiając samolubstwo za jedyną zasadę wszelkiéj społeczności, tém samém zerwała już więzy, które człowieka jednoczą z człowiekiem. Poznała w końcu, że przytłumiła w nim wszelkie uczucia, których pomocy ani słabość długiego wieku dzieciństwa, ani mnogie cierpienia życia, wyrzec się nie pozwalają.

Jeźli ostateczne przeznaczenie człowieka uzupełnia się na ziemi, czyli, mówiąc innemi słowy, jeźli jego rozum jest tylko zjawiskiem od organizmu zależącém, jeźli to wszystko, cokolwiek w nim jest umysłowego, razem z ciałem jego przeminąć powinno; w takim razie, widoczną byłoby rzeczą, iż on dla siebie samego jest wyłącznym i jedynym celem. Żyć, jest najpierwszém jego przeznaczeniem, które mu rozum narzuca; żyć, zadosyć czyniąc zmysłom i namiętnościom swoim, jest koniecznem uzupełnieniem téj pierwszéj, bezwarunkowéj zasady. W takim stanie człowiek nie troszcząc się zgoła o okoliczności tyczące się jego dzieciństwa, albo starania, któremi rodzice kolebkę jego otaczali, uważając za instykt wszystkim zwierzętom wspólny, mógłby sumiennie pozostać obojętnym na niedolę istot sobie podobnych. Ustawy towarzyskie zabraniają mu źle im czynić, i w obawie

kary, którą mu grożą, byłby posłusznym temu zakazowi, lecz prawo jego moralne pod żadnym względem nie nakazuje mu robić im dobrze. Pomiędzy każdym innym człowiekiem a nim samym środkuje nicość.

Filozofia więc musiała się koniecznie przelęknąć nieuchronnego rozwinięcia tych okropnych zasad; szukała przeto zaradczych środków. Towarzystwo zatrzymane przy wstępie do téj jałowéj pustyni, przez jaką prowadzić je zamierzano, mogłoby skruszyć narzucone mu jarzmo i uwolnić się od wpływu podobnych nauk, okazując dla nich głęboką pogardę, z nichże samych pochodzącą. Filozofia więc zamierzyła utworzyć cnotę, a przynajmniéj zastąpić ją obyczajem, pozór jéj noszącym; lecz który bierze swe źródło w samolubstwie, i jaki przynajmniéj w części mógłby zadosyć uczynić niektórym towarzyskiego człowieka potrzebom, wywierając się zewnątrz jego samego, na inne istoty jemu równe lub podobne. Powołano filantropię do rozwiązania tego trudnego zadania; ona miała zastąpić miejsce chrześcijańskiéj miłości; jak gdyby to było rzeczą dla człowieka podobną, występki ziemskie okryć białą zasłoną cnót niebieskich! Lecz filantropia i miłość chrześcijańska nigdy tożsamości stanowić nie mogły; każda z nich nosi na sobie wybitne piętno świadczące o początku, z jakiego wypływa; obie tworzą w moralności dwa przeciwne bieguny, mające cechy sobie właściwe i oddzielne, których zjednoczenia się nigdzie upatrzyć nie można, ani w czystym rozumie, ani w świętéj wierze.

Filantropia w tym zakresie, jak ją oznaczono, jest tylko sprawą samolubstwa, dziełem miłości własnéj, tak ściśle połączonéj z tém wszystkiém, cokolwiek tylko materyalnego jest w człowieku, i któréj istnienie do praw moralności w żaden sposób wcielone być nie może. Przeciwnie, miłość chrześcijańska jest dziełem tego całkowitego zaniedbania samego siebie, którego wzniosłą naukę w saméj wyłącznie Ewangelii znajdujemy; jest wypadkiem téj najczystszéj miłości, która się ściśle jednoczy ze wszystkiém, cokolwiek umysłowego w człowieku napotykamy, a która istnieje na mocy praw bezwzględnéj, t. j. objawionéj moralności.

Na ścisłém okazaniu tych dwóch założeń, polega umysłowa wyższość cnót religijnych nad zwyczajami czysto ludzkiemi, jako téż nauk ewangelicznych ze stanowiska filozoficznego uważanych, nad naukami towarzyskiemi świeckiéj filozofii.

Chcąc ocenić z pewnością moralność jakiego czynu, należy do-

brze znać uczucie, z którego on wypływa, i cel rzeczywisty, w jakim wypełniony został. Te dwie rzeczy w tak ścisły sposób zawsze z sobą się łączą, iż którakolwiek z nich jedna, niezawodną oznaką jest drugiéj, i że bez różnicy można przyjść do odkrycia celu, zaczynając od uczucia, lub poznać uczucie, wyszedłszy z celu. Przypuśćmy więc, że celem filantropii jest oświata ludzi, nad któréj jednak zasadami rozszerzać się tu nie będziemy; przypuśćmy, że ona ma na celu nie tylko ulepszyć byt ich towarzyski na ziemi, ale razem i przewodniczyć do osiągnienia najzupełniejszego filozoficznego szczęścia. Na pierwszy rzut oka, może się niektórym zdawać nazbyt śmiałą a nawet i fałszywą rzeczą, gdy powiemy, iż taka nauka, nakazująca ludziom czynić dobrze innym, jest dziełem czystego samolubstwa. Lecz pominąwszy tę okoliczność, iż wyobrażenie dobra nie może być zostawione dowolnemu pojedyńczych indywiduów pojęciu, ale ma w sobie bezwzględny charakter wysokiéj moralności, którego pozbawić go niepodobna, dodać jeszcze musimy, iż pewną jest rzeczą, że miłość własna w naszym porządku towarzyskim musi się nieraz rozciągać na wiele innych przedmiotów, bez najmniejszego w tém udziału woli naszéj. Gdy filantropia podaje biednemu człowiekowi środki do wzbogacenia się, np. ułatwiając mu poznanie jakiego nowego wynalazku, wówczas zamierza w sercu jego porodzić nadzieję, któraby w nim, przynajmniéj w części przytłumiła uczucie zazdrości, jakiego on doświadcza na widok bogactwa innych, nabytego bez wszelkiéj pracy i zabiegów. Jeżeli go nawet stara się oświecić, czyni to w tymże samym celu; albowiem według głównéj zasady, iż wszystko dla człowieka kończy się na ziemi: szczęście, albo użycie rozkoszy żywota, nieinaczéj może zachować mała liczba tych, którzy je posiadają, jak tylko pod niezbędnym warunkiem, iż zbyteczna niedola na większéj liczbie ludzi ciążąca, nie zmusi ich do zapewnienia przemocą sobie lepszego stanu. Koniecznie z logicznego rozwinięcia téj zasady wypada, że ubogi ma zawsze prawo domagać się, aby bogaty zdał mu sprawę nie tylko ze swojego zbytku, lecz nawet z tego wszystkiego, w czém tylko upatruje niesprawiedliwą i uderzającą nierówność we względném swém położeniu. Widoczną jest rzeczą, iż ten cel filantropii bardzo wyraźny, dokładnie wyjaśnia naturę uczucia, z którego to mniemane dobro pochodzi: filantropia daje, ażeby swoje zachować; jeżli więc czyny jéj nie są dziełem samolubstwa, wówczas należałoby zaprzeczyć pewności praw rozumowania. Jakże dziwna jest filozofia, która zasadzając szczęście ludzkie na używaniu rozkoszy ziemskich,

nie może znaleźć słów do usprawiedliwienia niesłuszności tak nierównego tychże rozkoszy podziału!

Zastanówmy się teraz nad dziełami chrześcijańskiéj miłości, idąc sposobem zupełnie odwrotnym, t. j. szukajmy w uczuciu przez nią natchnioném, celów, jakie sobie zamierza.

Filozofia chrześcijańska nie zabrania człowiekowi polepszenia stanu swojego na ziemi szukać, za pomocą środków nienaruszających prawideł téj moralności, która jéj daje początek; następnie więc miłość chrześcijańska obejmuje wszelkie czyny filantropii, z tą tylko różnicą, iż nadaje im widoki daleko wznioślejsze i szlachetniejsze, albowiem cele jéj nie są z tego świata. Religia uczy pogardy bogactw i nicości krótkotrwałych rozkoszy zmysłowych. Wzniosła ta myśl, która panuje nad wszystkiemi chrześcijanina myślami, oczyszcza jego żądania z tego wszystkiego, cokolwiek w nich namiętnego znaleźćby się mogło, i zwraca wszystkie jego uczucia ku nieziemskim celom. Lecz taż miłość chrześcijańska szczególniéj pięknością niebieską jaśnieje w czynach, których celu nie odgaduje filantropia, niepojmująca co to jest natchnienie. Miłość chrześcijańska zstępuje do głębi ciemnych więzień z uśmiechem nadziei na ustach; ona razem z nieszczęśliwym zanosi modły, występnych pociesza i towarzyszy im aż na rusztowanie, na którém społeczność, oddzielająca się od nich, katowskiemu mieczowi ich oddaje; ona z żebrakiem dzieli się chlebem, ociemniałemu daje kosztur przewodniczy, mówiąc im o nieprzebranych błogościach przyszłego życia i jasności niebieskiego królestwa. I to uczucie tak czyste, tak wzniosłe, które ją prowadzi na spotkanie wszelkiéj boleści i wszelkiéj niedoli, mogłożby być napiętnowane jakąkolwiek myślą samolubstwa? „Bez wątpienia, odpowie filozofia: wyświadczacie dobro ludziom dla tego, że się spodziewacie, iż będziecie je mieli gdzieindziéj odpłacone; i chociaż wasza miłość własna zmierza do nadziemskiego dobra, zawsze jednak zachowuje ludzką cechę, albowiem i wasze cnoty również korzyść mają na względzie“. Na to rzecze chrześcijanin: „Jakże to być może, kiedy głównym przymiotem chrześcijańskiéj miłości jest nie znać saméj siebie? Jakżeby to być mogło, kiedy nasz święty prawodawca wyraźnie naucza: niechaj ręka twoja lewa nie wie o tém, co daje prawa. Jeżeli wykonasz uczynek dobry, a będziesz się chlubił z niego, nie będzie on ci zapłacony w niebie; albowiem jużeś sam sobie zań zapłacił“.

To uczucie miłości chrześcijańskiéj razem już świadczy i o celu do którego dąży, a jakim jest przysposobienie człowieka do jego wy-

sokich przeznaczeń i zapobieżenie nowemu jego upadkowi. Tym sposobem, jak się nam zdaje, logicznym i niezawodnym, przychodzimy do odkrycia odmiennych charakterów i dążeń tak filantropii, jako też miłości chrześcijańskiéj właściwych.

Filantropia wychodzi z tego stanowiska, że szczęście jest celem życia ludzkiego, i że ten cel na ziemi osiągnionym być może. Jeżeliby więc było to prawdą, wówczasbyśmy przyznać musieli, że to życie byłoby gorzkim zawodem dla milionów pokoleń ludzkich, które w niedoli i cierpieniach na téj przeminęły ziemi, na któréj ten urojony cel ich przeznaczenia przed wzrokiem ich nawet nie mignął. A cóż powie wasza świecka filozofia o mnóstwie owych pokoleń od dawnych dni w mogiłach już śpiących, które przebyły ostre konieczności prawa, które dziesiątkowały okropne choroby lub wojna wyniszczyła, a pomiędzy któremi tylu niewinnych i tylu cnotliwych padło ofiarą klęsk powszechnych? Zasada wasza stosując się wyłącznie do tych, którzy teraz żyją albo żyć będą w przyszłości, i narzucając całun zapomnienia na tych, którzy już przeminęli, czyliż już widocznie swojego początku ludzkiego nie pokazuje?. . . Zasada wasza tém samém już błędną być musi, gdyż jest niesprawiedliwa; albowiem Bóg, który jest najdobrotliwszém źródłem powszechnéj harmonii, tém samém już początkiem niesprawiedliwości być nie może.

Miłość zaś chrześcijańska wychodzi z téj idei, że jeżeli szczęście jest jednym z celów życia ludzkiego, wówczas człowiek do niego dojść może tylko za granicami ziemskiego żywota. Zadowolenie ciche, wewnętrzne, jakiego doznaje chrześcijanin na téj ziemi z wypełnienia swoich powinności i oznaczenia dni swych dobrémi czynami, nie jest jeszcze owém szczęściem niewysłowioném, które jego filozofia obiecuje mu po przebyciu ciężkich prób tego świata.

Tym więc sposobem filantropia wywiera się więcéj na korzyść mas, miłość zaś chrześcijańska na korzyść indywiduów; pierwsza działa w sposób nakazujący, prawodawczy, a druga w braterski. Filantropia sądzi robić ludzi szczęśliwymi, miłość chrześcijańska chce tylko nieść ulgę cierpiącym; filantropia marzy o świetnéj przyszłości dla nieszczęśliwych, miłość zaś chrześcijańska bierze na siebie część brzemienia człowieka nieszczęśliwego, dla ulżenia mu cierpień dźwiganego przezeń ciężaru. Filantropia jest tylko roztropnością, a miłość chrześcijańska cnotą; jedna jest córką dumy ludzkiéj, druga zaś dobrodziejstwem Nieba.

Jeźliby zażądano od sztuki, aby pod allegoryczną postacią wystawiła obie te odmienne nauki, wówczas możnaby było filantropię wyobrazić pod postacią starca, rzucającego za sobą kilka sztuk złotych, w chęci ocalenia ogromnego skarbu, który unosi; miłość zaś chrześcijańską należałoby wystawić w kształcie młodéj dziewicy z zawiązką na oczach, mającą obie dłonie otwarte.

LUDWIKA LATEAU.

Ludwika urodziła się 30 stycznia 1850 r. we wsi Bois d'Haine pod Manage w dyecezyi Tournay, odległéj 6 mil od Brukseli. Jako małe dziecko, kilka razy była Ludwika w niebezpieczeństwie życia, lecz za każdym razem ocalała. Kiedy jéj ojciec, który był robotnikiem we fabryce, przy narodzeniu się Ludwiki zachorował na ospę i na tę chorobę umarł, Ludwika odziedziczyła ją po nim. Matka jéj, która 1874 r. przeniosła się do wieczności, po narodzeniu się Ludwiki nie wstawała z łóżka (dwa lata nawet w niém przeleżała); sąsiedzi z obawy przed ospą, unikali owego domku należącego do rodziny Lateau; trzechletnia przeto siostra opiekowała się matką, dwuletnią siostrzyczką i Ludwiką. Wreszcie 12 dni po śmierci ojca przybył daleki krewny, który był również robotnikiem, do owego lazaretu: Ludwika na pół umarła leżała w kołysce, w zawojach tych samych, któremi ją lekarz jeszcze przed tygodniem poobwijał. Od tego czasu rodziną tą zaczął się opiekować i starać o jéj wyżywienie ów zacny człowiek— nazwiskiem Franciszek Delabieu, a pozostał tak długo, aż matka całkiem wyzdrowiała.

Nie mającéj jeszcze dwóch lat Ludwice, znowu groziło niebezpieczeństwo życia. Bawiąc się z jedną swych sióstr, wpadła w wodę i byłaby z pewnością utonęła, gdyby jéj nie ocaliła matka, która co tylko wyzdrowiała.

W dwunastym roku życia, krowa napadła na nią i rzuciła ją na ziemię, odtąd Ludwika czuła wewnątrz jakąś boleść. Nie zważając na to, poszła w służbę do pewnéj pani w Brukseli. Lecz już po trzech tygodniach zmuszona była wrócić do domu; długa choroba

powaliła ją na łoże; nigdy nie słyszano ją narzekającą wśród boleści. I tym razem minęła ją śmierć.

Zaledwie odzyskała siły i mogła wspólnie z matką pracować u obcych ludzi, kiedy w Bois d'Haine wybuchła cholera. W niektórych domach tak się srożyła, że nawet dzieci z obawy opuszczały chorych lub zmarłych rodziców; szesnastoletnia Ludwika jednak ze swym proboszczem dzień i noc była czynną, niosąc tam pomoc, gdzie było największe niebezpieczeństwo.

W jednéj rodzinie, należącéj do klasy robotników, zapadły na cholerę nagle trzy osoby: mąż, żona i jedna z córek; dorośli synowie z bojaźni uciekli i dopiero wtenczas do domu wrócili, kiedy usłyszeli o nadzwyczajnéj odwadze, którą Ludwika okazywała przy pielęgnowaniu cholerycznych. Ale ich odwaga skończyła się na tém, iż na taczkach wywieźli z domu żyjącą jeszcze siostrę. Ludwika zaś zająć się musiała pogrzebem zmarłych rodziców i zawieźć ich przy pomocy swych sióstr na cmentarz. Ta śmiałość Ludwiki dodała w końcu i mężczyznom we wsi odwagi.

Wkrótce jednak i Ludwika zachorowała tak dalece, że 18 września 1867 r. opatrzył ją ksiądz ostatniemi Sakramentami św. Każdy sądził, że wnet zakończy życie. Wtém zebrani postanowili na intencyą chorej odprawić Nowennę do Matki Boskiéj, słynącéj cudami w Lasalette. Zaraz na początku tego nabożeństwa Ludwika otworzyła oczy i oświadczyła wyraźnie, że i tym razem nie umrze. Słowa jéj sprawdziły się; nie umarła, a 18 kwietnia 1868 r. oświadczyła stanowczo, że 21 kwietnia pójdzie do kościoła na Mszę św. i tam przyjmie Komunią św. Lotem błyskawicy wiadomość ta rozniosła się po wsi. Nikt prawie nie wątpił, że się to sprawdzi, bo tyle już razy słowa Ludwiki się sprawdziły, — ale ci, którzy ją otaczali, nie chcieli jéj słowom od razu zawierzyć, bo za bardzo widoczną była słabość Ludwiki. Lecz już w nocy na 21 kwietnia nie chciała wziąść do ust kropli wody, albowiem — jak mówiła — jutro przystąpi do Komunii św. Co przepowiedziała, spełniło się co do joty. Dnia następnego podniosła się chora z łóżka i mimo burzliwéj zamieci, pewnym krokiem udała się do Kościoła. Tutaj już zastała całą parafią, bo każdy chciał się naocznie przekonać, czy też Ludwika dotrzyma przyrzeczenia. Wielu z obecnych widząc, że ta, która w czasie cholery tak wiele dla nich czyniła, pewnym krokiem zbliża się do ołtarza, rzęsiste wylewali łzy radości. Trzy dni potém pokazały się na ciele jéj znamiona męki Pana Jezusa.

Stygmata [1]).

Te osoby nazywamy stygmatyzowanemi, które dostąpiły łaski, że mają na ciele swém znamiona męki Pana Jezusa, częściowo albo całkowicie, czyli, które cierpią rzeczywiście i prawdziwie mękę Pana Jezusa. Dzieje się to zaś w ten sposób, że w różnych czasach, ale zawsze w Piątek, krew płynie wśród największych boleści. Dzieje Kościoła wspominają o znacznéj liczbie takich osób; ale liczba ta (około 70) jest zapewne o wiele większą, gdyż wiele z nich zdołało przed światem ukryć ten stan nadzwyczajny.

Pierwszym stygmatyzowanym, o którym z pewnością wiemy, jest św. Franciszek z Assyżu, który żył przed 600 laty. Miał on na ciele swém wszystkie znamiona męki naszego Zbawiciela. Późniéj, a więc przed 400 i 300 laty żyli np. Gertruda z Dosten, Rita z Cassia, Helena z Węgier, Hieronima Carnaglio, Gabryela de Piezolo, Małgorzata Columna, Blanka z Gazinan, Weronika Giuliani, Joanna od Jezusa, Elżbieta ze Spalbek, Jan Marya od Krzyża, Apolonia z Volaterry, Pierona, Stefania Quinzani, królowa węgierska Małgorzata, Katarzyna z Raconifio, Kryštyna ze Stumbelen, Marya Razzi, Marya Villana, Wincencya Ferreria, Filipa od św. Tomasza, Maryanna Villana, Klara z Bugny, Aniela della Pace, Osanna z Mantui, Ida z Lowanium, Benedykt z Regio, Karol z Sazia, Angelus del Pas z Perpignan, Apoloniusz z Medyolanu, Melchior z Arazil, Robert z Rimini (złożył koronę królewską, kiedy otrzymał znamiona męki), Dodo z zakonu Premonstratensów, Jan Grajo, Katarzyna Emerich, Marya z Mörl i t. d. Niektóre z tych osób miały tylko cierniową koronę, jak Joanna Marya od Krzyża i Stefania Quinzani, inne tylko znamiona w boku, jak Maryanna Villana, Apoloniusz z Medyolanu, inne, jak męczennik Jan Grajo z zakonu Franciszkanów, tylko rany na nogach. Większa część miała wszystkie znamiona ran Zbawiciela, a prawie wszystkie osoby te miały

1) Stygmata od *stygma* wyraz grecki, oznacza to samo, co blizna, znamię, piętno.

od Boga daną łaskę zachwytu, co znaczy, że chwilami dusza ich przenosiła się w inny świat.

Często usiłowali lekarze wszystkiemi sposobami zgłębić te cudowne zjawiska, lecz wszyscy przyznać musieli, że rozum ich za słaby aby to wszystko pojąć i zrozumieć. To samo oświadczyć musieli lekarze naszych czasów, kiedy badali cud w Bois d'Haine.

Przytaczamy tu zdanie jednego z najznakomitszych lekarzy za naszych czasów, męża bardzo światłego i od wszystkich poważanego. Jest nim F. Lefebvre, profesor nauki lekarskiéj przy uniwersytecie w Lowanium w Belgii, który o Ludwice Lateau osobne wydał dzieło pod tytułem [1]): Ludwika Lateau z Bois d'Haine, jéj życie, zachwycenia, piętna. Rozprawa lekarska przez D-ra Lefebvre w Lowanium, Ch. Peeters wydawca, 1873. Dzieło to doczekało się już wielu wydań.

Profesor ten tak się wyraża o stygmatach Ludwiki:

Po raz pierwszy pokazał się upływ krwi 24 kwietnia 1868 r. Był to właśnie piątek. Ludwika spostrzegła, że krew płynie z lewego boku, lecz o tym wypadku całkiem zamilczała. Tydzień po tém, także w piątek, nie tylko z boku, lecz z obu nóg płynęła krew. I o tém Ludwika milczała i tylko swemu spowiednikowi, miejscowemu proboszczowi, ks. Niels zwierzyła się z tém. Kapłan natychmiast się domyślił, że w tem jest coś nadzwyczajnego, lecz postanowił Ludwice tego nie powiedzieć; — uspokoił ją i zalecił jéj milczenie. Trzeciego piątku — 8 maja — płynęła krew w nocy poprzedniéj z lewego boku i z nóg, a o godzinie 9 w wielkich ilościach płynęła z obu rąk. Wypadku tego już dłużéj ukrywać było niepodobna, i dla tego proboszcz kazał przywołać lekarza D-r Gonne, który nie mógł zatrzymać krwi. Od tego czasu co piątek płynie krew z małemi zmianami z tych samych miejsc. Nakoniec pokazała się krew na głowie [2]). Profesor Lefebvre tak daléj to zjawisko opisuje:

1) Dla świadomych języka francuzkiego przytaczamy tytuł w oryginale: Louise Lateau de Bois d'Haine. Sa vie. Ses extases. Ses stigmates. Etude médicale par le D-r. F. Lefebvre, Professeur à l'Université de Louvain, Ch. Peeters editeur, 1873.

2) 4 kwietnia 1873 pokazała się jeszcze na prawym boku wielka rana, z któréj krew płynie. Katarzyna Emmerich, która również tę ranę miała, utrzymywała, że ta rana, powstała przez tarcie krzyża, która bardzo Zbawicielowi dokuczała.

„Badając w ciągu tygodnia (t. j. od soboty aż do czwartku przed południem) zosobna te miejsca, z których krew płynie, spostrzegłem na powierzchni każdéj ręki i na dłoniach, a również na nogach i pod stopami, małe czworoboczne plamki czerwone, gładkie, nieco wklęsłe. Patrząc przez szkło powiększające, widać zwierzchnią skórę *(epidermis)* całkiem zamkniętą; jest ona wprawdzie cienką, ale nigdzie niezadraśniętą; pod nią widać zwyczajną spodnią skórę *(dermis)*.

„Na czole nie można poznać wklęsłości i prócz piątku trudno rozpoznać te miejsca, z których krew ciecze. Ze względów przyzwoitości nie chciałem wśród tygodnia oglądać boku, lecz w piątek podczas zachwycenia (które po raz pierwszy nastąpiło 17 lipca 1868) mogłem to uczynić, albowiem wtenczas Ludwika o niczém nie wie, co się około niéj dzieje. Co wtenczas widziałem, opiszę poniżéj.

„Pierwsze znaki zapowiadające upływ krwi, spostrzedz było można już w czwartek około południa. Na czerwonych miejscach na ręce i nodze pokazuje się pęcherzyk, który powoli rośnie. Gdy dojdzie do pewnéj wielkości, pęka i zeń wytryskuje przezroczysty płyn, a równocześnie wypływa krew z dłoni *(corium)* nie rozdzierając jéj. Rzecz dziwna, że ciało tuż przy téj ranie nie jątrzy się. Szczególną uwagę przy moich odwiedzinach piątkowych zwracałem na bok. Krew wytryskuje pomiędzy piątém a szóstém żebrem. Przy pierwszém badaniu na dniu 30 sierpnia nie spostrzegłem najmniejszego pęcherza; *epidermis* nie była oddzieloną od *corium*, kolor całéj skóry był zwyczajny, podczas kiedy krew płynęła z trzech o jeden centimetr oddalonych punktów, których gołém okiem trudno było dostrzedz. Przy późniejszych badaniach spostrzegłem, iż utworzył się pęcherz przed upływem krwi, taki sam jak u nóg i rąk. Co się tyczy krwi, która z głowy płynie, trudno bardzo badać skórę na głowie pod włosami, które całe okrwawione są i zlepione. Łatwiéj to obserwować na czole, na którém nie widać ani pęcherza, ani zmiany cery twarzy. Widzi się tylko, jak krew na około czoła płynie z 12 do 15 punktów. Za pomocą szkła powiększającego spostrzegłem, iż krew ta tryska przez małe otwory skóry wierzchniéj *(epidermis)*.

„Nie zawsze ilość krwi w piątek wyciekłéj jest ta sama: w przecięciu wynosi 250 gramów. Razu pewnego wypłynęło krwi 1 litr; jednego piątku piętna pozostały suche, innego utworzyły się pęcherze jak zwyczajnie, lecz ciekł tylko ów przezroczysty płyn zafarbowany trochę czerwonym kolorem. Z dwoma kolegami uniwersyteckimi z wydziału medycznego badałem za pomocą mikroskopu krew w téj chwili,

kiedy zaczęła płynąć; okazało się, że plasma była całkiem przezroczystą, nie mając w sobie żadnego pierwiastka krwi. Czerwone kulki miały zwykły kształt z obwódkami gładkiemi; ilość białych kulek była zwyczajna: pomiędzy 300 lub 400 czerwonych była jedna biała kulka [1]).

„Wspominam w końcu jeszcze o tém, że gdzie są piętna, czuje Ludwika wielką boleść. Ponieważ Ludwika bardzo mało mówi, nie mogłem przekonać się, jak wielkiemi są te cierpienia, lecz badając jéj wyraz twarzy, ruchy ciała (rozumie się, że nie podczas zachwytu) przyszedłem do tego przekonania, że bardzo wiele cierpi.

„W różnym czasie przestaje krew płynąć. W sobotę piętna są suche, trochę się świecą, tu i owdzie spostrzega się grupeczki zeschłéj krwi, które zaraz znikają. Najmniejszego nie widać zapalenia. Już w sobotę rano zatrudnia się Ludwika zwykłą swą pracą (szyje na maszynie, albo pracuje w ogrodzie), chociaż dnia poprzedniego wieczorem nie może się ruszyć rękami, ani utrzymać na nogach, a pracę swą przerywa tylko wtenczas, kiedy odwiedza kościół parafialny".

W dalszych badaniach przychodzi ten profesor do przekonania, iż zjawiska te tak się sprzeciwiają wszelkim prawom natury i umiejętności lekarskiéj, iż je w sposób zwyczajny objaśnić nikt nie jest zdolen. Dla tego téż nazywa te znamiona „bliznami tajemniczemi".

Tak o tém zjawisku mówi ów sławny lekarz. Przypatrzmy się teraz szczegółowo zachwyceniom Ludwiki.

Zachwycenia Ludwiki.

Już od dzieciństwa otrzymała Ludwika od Pana Boga szczególniejsze łaski. Od lat dziecinnych przy swéj pracy zawsze miała duszę ku Bogu skierowaną, a z każdym rokiem postępowała na téj drodze ku Bogu, ku niebu. Niekiedy całkiem zatapiała się w Bogu, ale przy tém wiedziała, co się wkoło niéj działo i na zapytania drugich odpowiadała. Lecz odpowiedzi te dziwiły wszystkich, bo świadczyły

1) Z dwóch części składa się krew człowieka: z bezbarwnéj płynnéj masy nazwanéj *plasma* i z tak zwanych kulek. Kulki te są albo czerwone, albo białe. Liczne kulki czerwone są okrągłe, lecz spłaszczone. Są to cele albo pęcherzyki mające wewnątrz materyę czerwoną *(hematin)*, ponieważ krwi dają barwę. Białe kulki są okrągłe jak kula.

o wielkiéj nauce i wykształceniu, których Ludwika wcale nie otrzymała. Do tego wyższego oświecenia, które i dzisiaj jeszcze posiada, przyczyniło się zachwycenie od 17 lipca 1868 r., a więc w dwanaście tygodni po otrzymaniu stygmatów Zbawiciela.—Zachwyt, zachwycenie albo ekstaza nie jest nic innego, tylko stan, w którym dusza tak się w Bogu i w rzeczach niebieskich zatapia, iż ciało i zmysły nie wiedzą nic o tym świecie. Już dawniéj miała chwilowo Ludwika te zachwycenia, a mianowicie, jak u wielu Świętych, w czasie Mszy św. Teraz jednak powtarza się to zachwycenie co piątek i trwa od trzech kwadransów na drugą aż do pół do piątéj po południu (w pierwszych latach od 8 rano do 6 godziny wieczorem). Niezdolna wtedy pracować, siedzi Ludwika na krześle, trzymając w rękach obwiniętych płótnem różaniec i modli się, kiedy w tém nagle oczy wznoszą się ku niebu, nie poruszają się; to początek zachwytu. Szczególną jest przy tém rzeczą, iż kiedy w uniesieniu siedzi na krześle, również jak Marya z Moerl, zwraca oczy w stronę, gdzie się znajduje w kościele Przenajświętszy Sakrament. Niekiedy zgina ciało bez pomocy nóg tak bardzo, iż zwyczajnemu człowiekowi uczynić tego nie podobna.

Patrzałem na nią podczas jéj uniesienia i wyznać mi trzeba, iż nic w życiu takiego na mnie nie wywarło wrażenia, jak scena, która się odegrała 29 maja 1874 r. w małéj chacie w Bois d'Haine. Ludwiki oblicze, dziwnym blaskiem jaśniejące, z krwawym na około czoła dyademem, podobne było do tajemniczego źwierciadła, na którém zjawiska całego świata duchowego odbijać się zdawały; jéj postawa, któréj sobie podług praw natury wytłómaczyć nie podobna, robi wrażenie, jakoby Ludwika skrwawione wyciągała ręce do lotu; widok ten, mówię, musiałby w nas spowodować zawrót rozumu, gdybyśmy nie mieli przekonania, że tu spotykamy się z siłą Bożą jawnie działającą w słabym człowieku, na co w żywotach Świętych tak wiele mamy dowodów. Wkrótce rozpromienia się twarz Ludwiki: błogi uśmiech otacza usta; wtém nagle poważnieje, jakiś przestrach ją ogarnia, łzy płyną jéj z oczu, drży cała i krótki stłumiony krzyk zgrozy towarzyszy téj scenie. Około 3 godziny rzuca się na podłogę: na lewéj ręce głowa, oczy zamknięte, a nogi prosto wyciągnięte. Z uderzeniem 3 godziny porusza się gwałtownie wskutek wewnętrznego wstrząśnienia, wyciąga széroko ręce i krzyżuje nogi tak, iż prawa spoczywa na pięcie lewéj nogi. O pół do piątéj podnosi się, klęczy kilka minut zatopiona w modlitwie, otwiéra oczy nie oglądając się i

siada znowu na krzesełku. Wkrótce potém opadają ramiona, głowa skłania się na piersi, oczy znowu się zamykają, nos blednieje, trupia bladość i zimny pot okrywa twarz, ręce zimne jak lód, uderzenia tętna prawie nie czuć, Ludwice rzęży w piersi, zdaje się że kona. Około dziesięciu minut znajduje się w tym stanie, poczém znowu wraca życie, wraca ciepło, lica okrywa rumieniec dawniejszy, otwiera oczy, spoglądając niemi na obecnych i na tém się kończy zachwycenie.

Ludwika, jak wiele innych dziewic, którym Pan Bóg dał łaskę zachwytu, stara się ukryć przed ludźmi to wszystko, co jéj Bóg objawia podczas zachwycenia. I tak np. nigdy nawet z swymi najbliższymi krewnymi nie rozmawia o tych rzeczach, a innym osobom tylko wtenczas odkrywa swe widzenia, jeźli jéj nakażą przełożeni duchowni. Wtenczas to opowiada wszystko z prostotą, ale przy tém tak dokładnie, że i ztąd można zaraz poznać, jak czynnym był jéj duch podczas zachwytu. Wszystkie widzenia i objawienia Ludwiki spisuje komisya duchowna do tego wybrana, które swego czasu drukiem ogłoszone być mają. Dotychczas o tém wiemy tylko tyle: W początkach zachwycenia widzi Ludwika, że jest pogrążoną w morzu światła, a w tym stanie poznaje i nieskończoną wzniosłość Boga i swą własną nikczemność z uczuciem tak ją gnębiącém, że jak sama mówi, „nie wie, gdzie się ma podziać i ukryć". Skoro to światło przestanie działać na jéj duszę, otacza ją inne światło podrzędniejsze, w którém wpatruje się w mękę Pana Jezusa. Również jak Katarzyną Emmerich, Ludwika oświadcza, że to widzenie jest daleko jaśniejsze, aniżeli kiedy patrzy zwyczajnym wzrokiem — i w rzeczy saméj dziwną tak jéj, jak i owéj zakonnicy z Dühlmen, jest dokładność, z jaką opisuje pojedyńcze sceny męki, osoby, które miały udział w niéj, apostołów, święte niewiasty, narzędzia męki i t. p. Jedynie w osobie Zbawiciela nie umie dać objaśnień, bo kiedy jéj się Pan Jezus pokazuje, to jest tak nieskończenie doskonałym i pięknym, że i najdokładniejsze przedstawienie i opis Zbawiciela byłby tylko cieniem Jego prawdziwego obrazu. Zresztą podczas zachwytu świadczy najlepiéj postawa jéj ciała, którąśmy opisali wyżéj, że duszą i ciałem jest zatopioną w tém, co wtenczas widzi. Pada na ziemię z Chrystusem, czuje Jego boleści; znieważanie Chrystusa oburza ją tak, że nawet krzykiem chce to okazać, pot mięsza się ze krwią, a przestrach śmierci tak nią wstrząsa, iż przedstawia zupełny obraz osoby konającéj.

Boleść jéj zostaje w ścisłym związku z każdém świętem uroczystém, a nie mniéj z wypadkami, jakie zachodzą obecnie w Kościele.

I tak zwiększają się jéj boleści, kiedy Kościół obchodzi święto przypominające mękę Pana Jezusa, Najświętszéj Panny Maryi lub męczenników świętych. W czasie Wielkiego tygodnia 1874 r., doznawała o wiele większych niż przedtém boleści. Drżąc z boleści, chodziła ciągle, nie mogąc się uspokoić. Przytomny proboszcz miejscowy zapytał jéj: „Czyś nie prosiła Pana Boga, aby zmniejszył twe cierpienia?“ Z wielkiém natężeniem dała następującą odpowiedź: „Nie... przeciwnie... wola Boga... prosiłam Boga, abym za innych mogła cierpieć!...“ Początkowo trudno było wytłómaczyć sobie ten dziwny jéj stan, — lecz wkrótce doniosły gazety o zbrodniach, jakich się bezbożnicy dopuścili w Rzymie i w Paryżu. (Patrz niżéj).

Zasługują jeszcze na szczególniejszą uwagę okoliczności podczas zachwytu, które zachodzą u Ludwiki tak, jak i u innych osób, mających od Boga łaskę zachwytu, np. okoliczność, iż zawsze o téj saméj godzinie rozpoczyna się zachwycenie, iż zmysły Ludwiki nie mają wtedy wcale władzy zwyczajnéj, ale tém większą ma władzę i doskonałość dusza bardzo wtenczas wrażliwa na wszystkie rzeczy poświęcone, że Ludwika bierze udział w modłach, które zanoszą obecni widzowie — i że natychmiast na rozkaz przełożonych duchownych zachwyt ustaje.

I tak—co się tyczy czasu, w którym zawsze regularnie zachwyt się rozpoczyna, to starano się często rozmową o zwyczajnych rzeczach odwrócić uwagę Ludwiki od zbliżającéj się chwili zachwytu, sądząc, że tym sposobem zachwyt późniéj się rozpocznie. Ale nigdy nie osiągnięto tego celu, gdyż nagle Ludwika przestaje mówić, wznosi oczy i ręce ku niebu, całe ciało zwraca ku Najświętszemu Sakramentowi będącemu w kościele parafialnym—i rozpoczyna się zachwyt.

Jak u św. Katarzyny ze Sienny, Szymona z Asyżu, a w nowszych czasach u Bernadetty w Lourdes, zmysły jéj wtenczas nie mają styczności z tym światem, nie czuje, co się z jéj ciałem dzieje, które, jak się zdaje, do pewnéj granicy nie ma czucia. Dlatego łatwo sobie wytłómaczyć, dlaczego upadając z krzesła na podłogę (a podłoga ta nie jest z desek lecz z cegły), nie doznaje żadnego obrażenia. W tym stanie zachwytu nawet ból wywołany przez elektryczność nie wywiera na nią wpływu. Aby to sprawdzić, wywołano w elektrycznéj machinie jak największą siłę: machina ta miała tak silny prąd, że téj sile żaden człowiek nawet siedm sekund się nie oprze. Oba konduktory przystawiono do dolniéj części ramienia, w któréj jest bardzo wielkie czucie, i trzymano je siedm-

dziesiąt sekund, — ale nie spostrzeżono najmniejszego śladu jakiegokolwiek wrażenia. Kiedy prąd skierowano na pojedyńcze części twarzy, oczy, jak dotychczas w tym samym kierunku były otwarte; wprawdzie ściągały się gwałtownie muskuły, ale takie poruszenia muskułów, jak wiadomo, można nawet wskrzeszać u trupa.

Jakkolwiek zmysły jéj nie mają styczności z tym światem, to tém delikatniejszy i żywszy okazuje ona duchowy zmysł dla wszystkich przedmiotów, poświęconych w kościele. Jeźli się kto zbliży do jéj rąk z poświęconym krzyżem, różańcem, to obejmuje te przedmioty z uśmiechem, a zawsze ze wzrokiem zwróconym ku niebu, i uśmiecha się tak długo, dopóki je ma w ręku, lub dopóki się te przedmioty w jéj bliskości znajdują; krzyże niepoświęcone i t. d. nie sprawiają ani poruszenia palców, ani zmiany w jéj twarzy. Radość jaśnieje na jéj ustach, kiedy ręka kapłana zbliża się do jéj twarzy, — lecz jeźli świecki człowiek to samo czyni, nie wywiera to na niéj najmniejszego wrażenia. Jeźli kapłan udziela jéj błogosławieństwa, nie potrzebuje ręka kapłana błogosławiąca być tuż przy jéj twarzy, aby uśmiech wywołać: i z oddalenia błogosławiąca ręka sprawia tenże skutek. Również twarz jéj świadczy o treści modlitw, które podczas zachwytu odmawiają obecni. Mimowoli przypominamy sobie przy tém apostołów mających dar języków, kiedy dostrzegamy, jak Ludwika wszystkie rozumie języki. Uczyła się tylko francuzkiego języka i tylko po francuzku mówi. Skoro jednak modlitwy podczas jéj zachwytu odprawiają się w polskim, niemieckim, holenderskim, angielskim, łacińskim, włoskim, hiszpańskim, żydowskim, arabskim, albo w syryjskim języku—w tych językach bowiem czyniono już doświadczenia— to wyraz jéj twarzy okazuje, że doskonale rozumie słowa modlitw. Jeźli mówi się o winie i grzechu, to wyraz twarzy, która podczas całéj modlitwy się uśmiecha, staje się nagle poważnym; jeźli zachodzi wyraz „miłosierdzie“ (Boże) albo zdanie: „Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św.“, to ten uśmiech trwa dłużéj. Zwykle w piątek obecni zachwyceniu kapłani odmawiają brewiarz, który, jak wiadomo, w łacińskim napisany języku, — a i przy tych modlitwach czyniono te same spostrzeżenia.

Prof. D-r Rohling z Münsteru, który w 1873 r. wydał dzieło pod tyt.: Ludwika Lateau, stygmatyzowana z Bois d'Haine, wedle autentycznych lekarskich dokumentów i t. d., przytacza z dzieła prof. Lefebvr'a następujące wydarze-

nie: „Biskup z Columbii, ks. Mortier, regens seminaryum w Bavay, i były minister Déchamps znajdowali się na dniu 13 sierpnia 1869 roku podczas zachwytu w mieszkaniu Ludwiki. Biskup i ksiądz regens robili różne doświadczenia z poświęconemi przedmiotami, z relikwiami — i Ludwika, jak zwykle, dotknąwszy się ich, okazywała radość. Wtém przybył miejscowy proboszcz ks. Niels, wracający od umierającéj w sąsiedztwie niewiasty, którą opatrzył ostatniemi Sakramentami. Udając się do chorych mają tamtejsi księża srebrne naczynie o dwu przegrodach; w jednéj znajduje się Oléj św., w drugiéj Przenajświętsza Hostya. Naczynie to chowa się w jedwabną bursę. (Ponieważ tego Oleju do każdego namaszczenia bardzo mało się używa, przeto Olej w owém naczyniu wystarcza do namaszczenia wielu chorych). Kiedy przechodził ów ksiądz obok mieszkania Ludwiki, postanowił doświadczyć, czy dotknięcie bursą jedwabną wywoła na niéj jakie wrażenie. Lecz skoro tylko przestąpił próg i znajdował się od Ludwiki oddalony o 2 metry, aż tu w zachwycie będąca w sposób niezwykły zadrżała z radości, upadła na kolana, wyciągnęła ręce ku bursie i z rozpromienioném obliczem Serafina zatapia się w gorącéj modlitwie. Ksiądz z naczyniem cofnął się o krok jeden, Ludwika suwa za nim na kolanach. Kapłan jeszcze daléj się oddala, ustępując na stronę, Ludwika na pół klęcząc, na pół podniesiona z rozłożonemi rękami, postępuje za nim. Kiedy ks. Niels wyszedł z pokoju, znowu Ludwika wpadła w zachwyt. Biskup zauważył, że najprawdopodobniéj ukruszyła się cząsteczka z konsekrowanéj Hostyi i pozostała w naczyniu, i w rzeczy saméj znaleziono tę cząstkę. Wiara nasza uczy, że Pan Jezus nawet w najmniejszéj cząstce konsekrowanéj Hostyi znajduje się cały. Jakkolwiek wcale nie była uzasadniona myśl, iż Ludwika dlatego może, że jest „jasnowidzącą“, widziała w owéj bursie naczynie, a w tém naczyniu ową cząstkę Hostyi św., jednakże starano się przez inne doświadczenie przekonać się o tém. Wypróżniono przy tém następnego piątku naczynie tak dokładnie, że i najmniejszy nie znajdował się w niém pyłek, włożono w nie niekonsekrowane hostye, umieszczono naczynie znowu w bursie i udano się z tém do mieszkania Ludwiki, która wtenczas była właśnie w zachwycie. Jeźli więc—myślano sobie—Ludwika jest „jasnowidzącą“, to spostrzeże zaraz bursę, naczynie i znajdującą się w niém hostyę, że więc i tę hostyę, która niczém się nie różniła od owéj cząstki Hostyi, uczci padając na kolana. Ks. Niels pokazał jéj przeto, jak pierwszym razem, bursę, ale Ludwika nie poruszyła się, nie okazała

żadnéj radości, nie oddała czci. Ten wypadek tak jest wymowny, iż nie potrzebuje bliższego objaśnienia.

Lecz dziwniejszém jeszcze jest wrażenie, jakie wywołuje w zachwyconéj Ludwice władza kościelna. Kiedy bowiem żadna siła nie zdoła przerwać jéj zachwytu, to wystarcza jedno słowo, i to nie głośno wypowiedziane przez osobę mającą władzę kościelną, albo też przez inną osobę duchowną czy świecką, do tego umocowaną, aby ją obudzić do zwyczajnego życia. Kościelną władzę nad Ludwiką mają tylko następujące osoby: Ojciec św., który dla całego okręgu ziemskiego od Pana Jezusa otrzymał klucze królestwa niebieskiego; arcybiskup z Mechlina, jako metropolita belgijski; biskup z Tournay, jako biskup niezależny, i ks. Niels, jako miejscowy pasterz umocowany przez swego biskupa. Każdy przeto, kto otrzymał od tych trzech osób, któreśmy wymienili, władzę, jaką otrzymał pleban miejscowy, może natychmiast przerwać zachwyt Ludwiki. Bez tego szczegółowego upoważnienia nie może tego dokazać nawet biskup z innéj dyecezyi, kiedy człowiek świecki, mający upoważnienie, może to uskutecznić. Dnia 29 maja 1874 r. przerwał zachwyt Ludwiki biskup Mermillod, który przed tém odwiedził arcybiskupa Déchamps w Mechlinie i otrzymał odeń władzę ku temu celowi. Przed tém razu pewnego w piątek udał się biskup z Tournay, w towarzystwie profesora Lefebvre'a i lekarza Schwana z Liège do Bois d'Háine. Biskup cofnął daną dawniéj władzę Lefebvre'owi, a udzielił ją doktorowi Schwan. Po przybyciu, napróżno wołał Lefebvre, Schwana jednak natychmiast Ludwika usłuchała. Rzekł tylko do niéj: „Ludwiko, podnieś się!“ (leżała bowiem twarzą na ziemi). Ledwie te słowa wymówił, kiedy Ludwika uklękła na lewém kolanie. „Ludwiko, wstań“, zawołał znowu dr. Schwan, a na ten rozkaz natychmiast powstała, lecz dla ran w nodze taczała się naokoło tak, że jéj biskup kazał usiąść. D-r Schwan był zadowolony z tego co widział. „Ta próba wystarcza, rzekł do biskupa, bo gdyby tylko była posłuszna Waszéj biskupiéj Mości, mógłbym był sądzić, iż ksiądz biskup jesteś magnetyzerem; teraz jednak nie można tu mówić o magnetyzmie lub czémś podobném; każdy uczciwy człowiek musi przed tém skłonić głowę“.

Zjawisko to nazwaliśmy „nadzwyczajném“ i jest niém w rzeczy saméj. Kto jednak zna żywoty Świętych, ten nie spostrzeże w tém zjawisku nic nowego, lecz uzna, iż podobne wypadki powta-

rzają się u wszystkich osób, którym dał Pan Bóg łaskę zachwytu nadprzyrodzonego [1]).

Wspomnijmy tu jeszcze na tém miejscu o dziwnym wypadku, który zaszedł w najnowszych czasach. Rzecz ma się jak następuje: Pewien zakonnik, który niedawno miał posłuchanie u Ojca św., a miał zamiar odwiedzić Ludwikę, prosił o apostolskie błogosławieństwo dla Ludwiki z zamiarem, iż jéj to błogosławieństwo sam zawiezie. Ojciec św. zgodził się na to, a zakonnik udał się do Bois d'Haine. Tamże spotkał się z pewnym księdzem, z którym się téż do Ludwiki będącéj w zachwycie udał, lecz nie wspomniał mu o tém, że ma dla Ludwiki błogosławieństwo Ojca świętego. Zazwyczaj obcy księża przy wnijściu do mieszkania Ludwiki dają jéj błogosławieństwo—i to samo uczynił ów ksiądz świecki. Potém udzielił ów zakonnik, który z Rzymu przybył, błogosławieństwo Ojca św., lecz tylko pocichu i poruszając tylko w tenże sposób ręką, jak to czynił ksiądz poprzedni. Lecz ledwie wyciągnął rękę, aby udzielić błogosławieństwa, kiedy Ludwika nagle padła na kolana i w téj pozycyi przyjęła je.

W końcu nie będzie od rzeczy przytoczyć jeszcze jednę nadzwyczajność z życia Ludwiki, którą miały nie wszystkie osoby święte, lecz tylko niektóre, jak: Katarzyna z Sienny, św. Róża Limańska, św. Mikołaj z Flüe; jest nią zupełne wstrzymanie się od wielu już lat od snu, pokarmu i napoju [2]).

Od czasu, kiedy się okazała cierniowa korona (25 września 1868), uleciał sen od Ludwiki. Już dłuższy czas przed tém większą część nocy przepędzała, siedząc w krześle i odmawiając różaniec, lecz od roku 1869 wcale nie sypia. Raz po raz nakazuje jéj spowiednik, aby się udała na spoczynek; rozkazowi temu jest posłuszną, lecz spać nie może. Obecnie już nie zważa się na to, a Ludwika w nocy modli się i pracuje.

Od dnia, w którym pokazały się pierwsze ślady stygmatyzacyi na ciele Ludwiki, już ona nadal jadła przyjmować nie mogła, a naprzód uważano to w dni piątkowe. W innych dniach, jak dawniéj bywało, mało tylko pożywała. Kawa, mleko, chleb z odrobiną masła,

1) Albowiem są także zachwyty przyrodzone, a które powstają poprostu z naturalnych przyczyn i różnią się nieskończenie od zachwytów nadprzyrodzonych.

2) Już lat 14 (1868—1882).

owoce i jarzyna były jéj jadłem, a woda napojem, aż dnia 30 marca 1871 r. w wilią święta Matki Boskiéj Bolesnéj po raz ostatni przyjąć mogła trochę jadła bez zaszkodzenia sobie. Odtąd aż do 9 kwietnia 1871 roku już nic zgoła strawić nie zdołała; zaledwie przełknąć mogła trochę wody. 8 kwietnia (była to Wielkanoc) z trudem wielkim spożywała kawałeczek chleba, a dnia 10 pół jabłka. We wtorek i środę napróżno dławiła się nad polewką; we czwartek siliła się, ile mogła, żeby znowu spożyć pół jabłka, lecz tym razem zwróciła żołądek natychmiast. Męczyła się Ludwika tém wszystkiém głównie na naleganie matki i rodzeństwa, aż wreszcie, gdy już przez dni kilka nic nie jadała, nakazał jéj ks. proboszcz pod posłuszeństwem kościelném, aby się do jadła przymuszała. Wtedy Ludwika czyniła, co jéj nakazano, lecz nie mogła tego zatrzymać; wśród wielkich boleści każdą potrawę zniewolona była oddać. Przez kilka miesięcy zmuszano ją do jedzenia i na każdym kroku bacznie ją śledzono. W końcu przekonano się, że te wszystkie usiłowania na nic się nie zdadzą i—dano jéj spokój. I jéj matka wreszcie się uspokoiła, widząc, że mimo to Ludwika była zdrową i czerstwą, i że pracować mogła tak jak dawniéj [1]). Jedyném jéj pożywieniem jest Przenajświętszy Sakrament, który codziennie przyjmuje. W każdym dniu, z wyjątkiem piątku, chodzi rano do kościoła, aby być na mszy św. i komunikować. W piątek przynosi jéj kapłan Komunią św. do domu. Okazało się, że cały dzień jest bardzo osłabioną, jeźli rano nie spożyła Komunii św., tak że teraz nawet za pozwoleniem biskupiém w Wielki piątek doznaje téj łaski, któréj tylko umierający dostępują.

Co o tém sądzą lekarze, a co wiara katolicka?

Nic dziwnego, że zjawiskiem tém wielu zajmowało się lekarzy, dotychczas już około 600 (do 1882 r.). Przytoczymy najprzód zapatrywania, które w sposób zwyczajny, naturalny chciały wytłómaczyć

1) Nadzwyczajność w tym wypadku jest tém większa, jeźli się zważy, jaki jest wypływ krwi każdego piątku. Kiedy dr. Gonne, który, jak mówiliśmy wyżéj, z porady miejscowego księdza zajmował się nią w pierwszych czasach, gdy znamiona otrzymała, i nie mógł zatamować krwi, oświadczył, że Ludwika straci wszystką krew i dostanie pomięszania zmysłów. Ludwika 15 lat już ma znamiona, od 14 zaś lat nic nie je, a jest zdrową i czerstwą!

to zjawisko i dlatego starały się odpowiedzieć na zapytanie, czy ten stan nie powstał wskutek choroby Ludwiki.

Co się tyczy Ludwiki, jest rzeczą pewną, iż jéj rodzice i rodzeństwo byli zdrowymi i są nimi; o chorobie przeto dziedzicznéj mowy być nie może. Ludwika zresztą jest całkiem zdrową. Pod względem zmysłowym zbywa jéj całkiem na fantazyi; tylko 5 miesięcy uczyła się w szkole elementarnéj; widać że jest skromną, prostą i szczerą.

Przekonano się kilkanaście razy za pomocą skórzanych rękawiczek, które zapieczętowano i kilka dni zostawiono na jéj rękach, że upływ krwi sam z siebie powstaje, a więc nie wskutek zewnętrznego środka jątrzącego lub drażniącego.

Umiejętność lekarska zna wprawdzie upływy krwi, które można dobrowolnie wywołać, lecz takie upływy krwi nigdy nie okazują się w jednym i tym samym czasie, jak np. w piątek. Jeźli te upływy krwi powtarzają się, to zawsze na różnych miejscach, a nie na tych samych, na rękach, nogach i t. p. I nigdy téż dobrowolnego upływu krwi nie widziano na dłoni lub na stopie nogi, gdyż tutaj skóra jest za twarda. Wreszcie taki upływ krwi wywołałby rozdarcie naczyń, w których się krew znajduje, czego jednak u Ludwiki dopatrzyć się nie można nawet za pomocą najsilniejszych szkieł. Domysł, że wskutek zachwytu ściągają się muskuły i ztąd powstaje ściśnienie krwi, okazał się fałszywym. Prócz tego, upływ krwi powstaje w każdy piątek przed zachwytem, jak zresztą pokazały się znamiona jeszcze 12 tygodni przed zachwytem. I ten domysł trzeba odrzucić, jakoby siła wyobraźni lub wzruszenie umysłu — czego u Ludwiki, jak dowiedziono, wcale niema — były zdolne wywołać upływ krwi wskutek spotęgowanego nacisku na naczynia krwionośne. Zapatrywanie to jest całkiem powierzchowne, a okazuje nieświadomość o stosunku obiegu krwi do systematu nerwowego.

Na dniu 27 listopada 1868 zrobiono następujące doświadczenie: nalano amoniaku na górną stronę lewéj ręki obok rany stygmatycznéj, wskutek czego utworzyła się sztuczna rana, nad którą pokazał się pęcherz. Także i przezroczysty płyn znajdował się w nim, lecz pęcherz nie pękł sam z siebie, jak się to dziać zwykło z pęcherzem stygmatyzowanym. Dlatego rozpruć musiano górną skórę *(epidermis)* i obok siebie pokazały się dwie rany, na pierwszy rzut oka całkiem do siebie podobne. Lecz wkrótce widoczną była różnica, i z rany stygmatyzowanéj sączyła ciągle krew, z owéj sztucznéj nie wypłynęła ani jedna kropelka. Obserwowano ją półtrzeciéj godziny, lecz tylko pół

godziny sączyła się z niéj woda bez krwi. Naokoło otworu sztucznego znajdował się pierścień czerwony, lecz nie masz go nigdy około stygmatów. W tydzień później sztuczna rana okrytą była jeszcze skorupą; stygmatyzowane rany natomiast nigdy nie mają podobnéj skorupy; zamykają się w nocy z piątku na sobotę i tylko czasami spostrzega się na powierzchni skóry skrzepłe kulki krwi, które potém zaraz odpadają.

Co się tyczy zachwytu, to bynajmniéj nie można go porównać z kurczami, epilepsyą lub letargiem.

W chwili, kiedy się ta choroba poczyna, — w peryodycznych odstępach czasu nigdy ona nie wraca — staje się ciało sztywném i zostaje na miejscu, na którém się dotychczas znajdowało. Po chwili można giąć członki jak wosk, a członki zatrzymują postawę, jaką im się nadaje. Nie masz środka, aby zapobiedz téj chorobie, dopóki ten stan sam przez się nie ustanie. Kiedy to wszystko minie, chory nie przypomina sobie, co się działo z jego ciałem i z jego duchem. Ludwika zaś podczas zachwytu porusza członki, a nawet, jeźli ją się zsadzi z krzesełka, a jéj się nie podtrzymuje, siada znowu na niém; również i nogi, jeźli się odejmie rękę, natychmiast znowu się krzyżują. Podczas zachwytu dusza jéj jest bardzo czynną, i po każdym zachwycie wie, co widziała i słyszała; jedno słowo władzy duchownéj może ją do zwykłéj przytomności przywołać.

O hysteryi nie może być tutaj także mowy. W życiu Ludwiki nie pokazały się jeszcze nigdy znamiona téj choroby, a zresztą i powierzchowne badanie dowodzi to samo, że zjawisko zachwytu całkiem jest różne od objawów hysteryi.

Warto tu jeszcze raz zapisać świadectwo lekarza, d-ra F. Lefebvre'a, profesora patologii i terapii przy wszechnicy w Lowanium, który prawie przez dwa lata, jakeśmy to już wspominali, objawy te na Ludwice umiejętnie badał i badania swe w osobnéj książce spisał. Powtórzywszy najprzód krótko opisane dwa fakta stygmatyzacyi i zachwyceń piątkowych, tak kończy tenże profesor pierwszy ustęp swego résumé: „Badałem objawy te prawie przez dwa lata; tysiące świadków, pomiędzy nimi jakich stu medyków [1]) i przeszło dwieście teologów, tak jak ja je widziało". W drugim ustępie tak daléj rzecz prowadzi: „Bacząc tedy na okoliczności moralne, wśród ja-

1) Przed kilkunastu laty do dziś, t. j. 1882 r., badało 600 doktorów medycyny.

kich objawy owe się spełniają, badając w świetle fizyologii patologicznéj prawa, wedle jakich krwawienia i przypadłości nerwowe się rządzą, poddając onę młodą osobę pod różne doświadczenia, doświadczyłem, że przypuszczenie oszukaństwa powinno się absolutnie odrzucić". W trzecim ustępie nareszcie, odwołując się na to, co już wykazał, że krwawienia Ludwiki w piątek się powtarzające nie należą do żadnego rodzaju krwawień zwyczajnie w patologiach znanych, ani do żadnych nadzwyczajnych kiedykolwiek przez medyków spostrzeganych, powiada, że prawa fizyologii patologicznéj nie mogą wyjaśnić ich pochodzenia.

Podobnie zaznaczywszy daléj, że nie znalazł nic choćby zdala tylko podobnego do zachwyceń Ludwiki ani w klasycznie znanych przypadłościach nerwów, ani nawet w dziedzinie tajemniczych wiadomości, tak kończy: „Sprawy téj nie mogą w zupełności wyświecić sami tylko medycy. Jest to w istocie jedna ze spraw dwustronnych, jeżeli się tak wolno wyrazić, któréj jedną tylko stronę światło naszéj umiejętności wyjaśnić zdoła, podczas gdy druga zupełnie jest obrócona ku dziedzinie teologicznéj".

Do takich to wniosków doszedł d-r medycyny i profesor, który osobiście przez dwa lata Ludwikę badał. — Śmiesznie więc jeżeli jeden z naszych medyków [1]) we Lwowie, nie wiedząc o badaniach d-ra Lefebvre'a i tylu innych, zdala tam się niby przekonał, że Ludwika Lateau jest hysteryczką i tak dorywczy sąd w odczycie p. t. „Magnetyzm zwierzęcy i jasnowidzenie" wygłosił publiczności polskiéj. Powiedziało się to tylko na to, aby przy téj sposobności wykazać, jak jednostronnie i porywczo w tych i tym podobnych sprawach sądzą właśnie ci, którzy teologom łatwowierność i ciemnotę zarzucają. Wszelako, aby się nie zdawało, jakobym mówił *pro domo*, nie zawadzi przytoczyć słowa profesora Lefebvre'a, jakiemi dzieło swe kończy:

„W naszych czasach pożałowania godne zachodzi rozdwojenie pomiędzy medycyną a teologią, jestem zaś zobowiązany tu przyznać, że nieporozumienie nie pochodzi od teologów. Oni to słusznie domagają się naszego spółudziału w badaniu mieszanych kwestyj, lecz lekarze nie łatwo na to zezwalają, żeby razem z nimi pracować przyszli, ani nawet na tém neutralném polu" (bo się lękają. . .).

1) D-r. Jan Stella Sawicki, — patrz tygodnik p. t. „Przyroda i Przemysł", Nr. 13, 1879 r. — Warszawa.

„Nie pojmuję téj zazdrości i téj nieufności. Zaiste, jeżeliby rozum ludzki był przestronniejszy, nie byłoby więcéj umiejętności tylko jedna, gdyż tylko jedna jest prawda rozpromieniająca się w wielorakich objawach. Lecz władze nasze są ograniczone, wzrok nasz słaby, życie krótkie. Pozwólmyż więc, aby inni pracownicy uprawiali rolę umiejętności przy naszym boku; nie zabraknie jéj pod naszémi stopami i nie za wiele będzie naszych usiłowań wspólnych i naszych wspólnych mozołów, aby tam wzrost i plon zapewnić prawdzie".

Tak to kończy badania swe profesor Lefebvre, potwierdzając niniejszém zasadę, któréj się teologowie w badaniach objawów mistycznych już od wieków trzymają, a którą w nowszym czasie uczony Görres w swéj mistyce umiejętnie przeprowadził.

Skutków magnetyzmu wcale u niéj nie można się dopatrzyć już z téj przyczyny jasnéj, że niema magnetyzera. Sen jéj nie jest podobny do snu osób magnetyzowanych, nie zapomina téż o tém, jak magnetyzowane osoby, co widziała i słyszała, i nie wraca do zwykłéj przytomności na rozkaz magnetyzera, który przy tém robić jeszcze musi różne manipulacye, lecz na rozkaz każdego, który jest do tego przez odpowiednią duchowną władzę upoważniony.

Nie można tu mówić o tak zwanym „śnie nerwowym", który i bez współdziałania magnetyzera sprowadzić można; gdyż Ludwika w każdéj pozycyi ciała i oczu wpada w zachwyt; zresztą wszystkie inne objawy „snu nerwowego" nie usposabiają bynajmniéj do zachwytu.

I naturalnego somnambulizmu, czyli lunatyzmu trudno się tutaj dopatrzyć. Somnambulizmowi temu towarzyszą nerwowe i hysteryczne cierpienia: sen niespokojny połączony z marzeniem. U Ludwiki nie masz hysteryi i cierpień nerwowych, a jéj sen, kiedy jeszcze mogła spać, był zawsze spokojny. Somnambulizm powtarza się nieregularnie i prawie zawsze w nocy; zachwyt rozpoczyna się zawsze w piątek o pewnéj godzinie. Lunatycy nie okazują żadnego wzruszenia, jeśli ich się dotyka; Ludwika widocznie cieszy się, kiedy pewne osoby jéj się dotykają rękami lub przedmiotami. Przy somnambulizmie trzeba czekać, aż ten stan sam przez się nie ustanie, dotychczas przynajmniéj nie wynaleziono sposobu, aby go przerwać; Ludwika Lateau przerywa zachwyt na głos Kościoła. Lunatycy wreszcie, również jak osoby, które się przebudzają z „nerwowego snu"

lub jak osoby magnetyzowane, nie wiedzą, o czém śniły i co przeżyły; Ludwika zaś przypomina sobie tak dokładnie swe widzenia (wizye), że można je wszystkie spisać; również nie masz w jéj zeznaniach tego pomięszania, tych sprzeczności i tego majaczenia, jakie znajdujemy u wyżéj wymienionych osób. Wszystko natomiast zgadza się z zapiskami, jakie czyniono od wielu lat w piątek. Temu, kto bliżéj z temi badaniami lekarskiemi chce się zapoznać, polecamy wyżéj wymienione dzieło profesora Lefebvre'a i dzieło d-ra Imbert-Gourbeyr'a, profesora medycyny w Clermont-Ferrand we Francyi [1]).

Komisya więc lekarska musiała kapitulować wobec Ludwiki. Zasadą przy jéj badaniu było doświadczenie, i dla tego tam, gdzie nie mogła dojść do pewnego rezultatu, zmuszoną była oświadczyć iż tego lub owego zjawiska zrozumieć i pojąć nie może. Na téj drodze doszła do tego przekonania, że ani patologia (nauka o chorobach), ani fizyologia (nauka o prawidłach życia) nie może wyszukać prawa, podług którego możnaby wytłómaczyć stygmatyzacyę i zachwyt; przeciwnie, wszystkie prawa się nawzajem sprzeciwiają i wykluczają, że nie można przypuścić, aby stan Ludwiki był stanem zwyczajnym.

Zapytajmy się teraz, jaki rezultat osiągnęła komisya teologiczna, składająca się z 4 księży pod przewodnictwem obydwóch oficyałów z Tournay.

Nie będzie od rzeczy kilku słowy wspomnieć o tém, jakiéj drogi zwykł się trzymać Kościół przy podobnych wypadkach.

Nim Kościół osobę zmarłą ogłosi błogosławioną lub świętą, bada sprawy jéj życia bardzo gruntownie przez kilka dziesiątków lat. Często proces trwa już długo, kiedy w tém Kościół przerywa badania i dopiero znowu tę sprawę podejmuje, jeśli do wiadomości jego dochodzą nowe fakta i badaniem ich na nowo w jak najgruntowniejszy zajmuje się sposób. Nie masz świeckiego trybunału, któryby tak dokładnie zbadał sprawę i ją osądził, jak się to dzieje przy procesie kanonizacyjnym. Jak często czytać można w wyrokach sądowych i to w ostatniéj nawet instancyi, „że sąd przyszedł do tego a tego przekonania", a jak często rzecz się ma całkiem przeciwnie! Ale sędzia

1) Dzieło to ukazało się w I. tomie w 1873 r. pod tytułem: *„Les Stigmatisées"* w Paryżu u Wiktora Palmé'go.

duchowny nie zna takich wyroków. Nie może on sądzić podług osobistego przekonania, które sobie wyrobił przez samo tylko wnioskowanie i dedukcyę, lecz swój sąd ugruntować winien na objektywnéj przedmiotowéj pewności. Zdarza się przeto często, że takie procesa niekiedy całkiem się zawieszają bez osiągnięcia zamierzonego skutku, jeśli nie można zyskać pod każdym względem pewności. I nie wyrządza się przez to szkody Kościołowi, bo tu nie chodzi o istotę, o rdzeń Kościoła, ale tylko o jego ozdobę, która w ciągu wieków doszła już do takiéj świetności, iż raz po raz można się bez niéj obejść. Z téj téż przyczyny mają dla Kościoła wszystkie objawienia świętych Pańskich tylko podrzędne znaczenie. Artykuły wiary i prawdy, które ma dla ludzkości przechować, nie powstały z podobnych objawień i nigdy téż nie będzie Kościół prawdziwości artykułów wiary doświadczać na objawieniach (wizyach), lecz przeciwnie wizye będzie doświadczać na artykułach wiary i każde takie objawienie odrzuci jako fałszywe, które się nie zgadza z objawieniem Bożém, złożoném w Piśmie św. i tradycyi. Żadnéj nowości, żadnego artykułu wiary nie rozszerza nigdy Kościół w ten sposób.

Takie to są zasady ogólne, jakiemi Kościół się kieruje przy procesach kanonizacyjnych. Jakkolwiek teologiczna komisya w Bois d'Haine nie zajmowała się takim procesem — gdyż taki proces rozpoczęty być może w Rzymie dopiero po śmierci Ludwiki — jednakże nie mogła nie zważać na wyżéj określone zasady, które zresztą są tylko wynikiem nauki wiary i moralności katolickiéj. Pierwszém więc jéj zadaniem było badać fakta i czekać na rozstrzygnięcie komisyi lekarskiéj, która jéj była przydana. Kiedy więc komisya ta oświadczyła, że te fakta istnieją w rzeczy saméj i że lekarska umiejętność nie może ich sobie w zwyczajny, naturalny sposób wytłómaczyć, gdyż zjawisko to zupełnie się sprzeciwia dotychczasowym prawom natury, w takim przypadku jedynie jeszcze możliwém było zapytanie, czy zjawiska tego nie wywołało może prawo natury dotychczas jeszcze nieznane. Lecz — a tak wnioskuje nie tylko duchowna komisya, ale każdy człowiek obdarzony zdrowym rozumem — pominąwszy to, że prawo, które sprzeciwia się dotychczas znanym prawom natury, nie jest „prawem natury", to w tym wypadku zachodzą tak dziwne fakta potwierdzone przez naukę lekarską, że nie można przypuścić, aby były skutkiem zwyczajnych działań. Jeśli bowiem jaka osoba świecka otrzymała od biskupa dyecezyalnego albo metropolity upoważnienie

do przerwania zachwytu Ludwiki — bez względu, czy to upoważnienie piśmiennie lub ustnie jest udzielone — a w zachwycie będąca jest takiemu rozkazowi posłuszna, jakkolwiek umocowany do tego ani ustami nie potrzebuje poruszyć, — to rzeczą widoczną, że nie można się tutaj dopatrzyć przyczyny naturalnéj, lecz téj przyczyny trzeba szukać w sferze ducha leżącéj poza naturą. Wśród tych okoliczności mogła komisya duchowna urzeczywistnić słowa wielkiego anatoma czasów naszych, profesora Hyrtl'a z Wiednia, że „gdzie umiejętność się kończy, tam jéj święte stanowisko zajmuje wiara". Umiejętność naukowa zajmuje się materyą, zmuszoną jest odstąpić od badania Ludwiki, — badaniem tém zajmie się teraz nauka duchowa.

Przedewszystkiem trzeba było zbadać stan duszy Ludwiki od najpierwszéj młodości. Komisya, która Ludwikę często bardzo ciężko doświadczała, przyszła do tego przekonania, że stan jéj nadprzyrodzony pochodzi od Boga; daléj, że u Ludwiki dopatrzyć się można w istocie wszystkich znamion, jakie w chrześcijańskiéj mistyce znajdujemy o działaniu łaski Boskiéj z wykluczeniem wpływów djabelskich (rzecz jasna, iż od pokus szatańskich, jak i inne osoby święte, nie jest wolną). Dla tego też zjawiska te niezgłębione przez ludzką umiejętność, trzeba koniecznie uznać za cud wszechmocy Bożéj. Objawienia, jakie ma Ludwika podczas zachwytu, będą późniéj, jak o tém wspomnieliśmy, pod okiem władzy biskupiéj ogłoszone.

W r. 1873 ukazało się dzieło u Alfreda Vremant w Brukseli pod tytułem: Żywot Ludwiki Lateau wedle dokumentów autentycznych [1]), napisane przez H. van Looy, które głównie zajmuje się religijnym stanem Ludwiki. W dziełku tém znajduje się szczegółowe sprawozdanie członków komisyi teologicznéj; przytaczamy tu zdanie uczonego Ojca Serafina z zakonu Pasyonistów:

„Z owoców poznaje się drzewo, i dla tego duch to Boży widoczny jest w Ludwiki prostocie, czystości, skromności, w pobożności, która zawsze jest ta sama bez najmniejszéj przesady — duch to Boży w jéj cofnięciu się od świata i w obojętności względem tego wszystkiego, co ma z nim styczność. Od 4 lat (słowa te pochodzą z 9 maja 1872) ma stygmata i zachwyty. Nigdy nie pragnęła tego i teraz ustawicznie Boga prosi, ażeby od niéj odjął te oznaki, aby mogła w sposób niezwracający na siebie uwagę wyznawać Chrystusa. Prawie większym cudem niż owe stygmata jest wysoki stopień pokory, jaki okazuje mimo tych ciągłych szczególnych względów, ze strony Pana Boga jéj okazywanych, a przy tém upodobanie jéj w cierpieniu jest tak wielkiém, że pragnie ciągle doznawać boleści, bo cierpienie szczęściem dla niéj. Duszę taką zaiste ożywia duch Boży; jeżeli owoce, z jéj stanu ekstazy pochodzące, to jest stygmata i zachwycenie, są dobre, wspaniałe, boskie, dla czegoż drzewo, które je wydaje, nie miałoby być dobrém drzewem?".

1) *„Biographie de Louise Lateau d'après documents autentiques".*

Tenże Ojciec Serafin szczczegółowo opisał panu Looy cierpienia, jakich doznawała Ludwika w Wielkim Tygodniu 1871 r. Wiadomo powszechnie, że zamiast owych niezliczonych tłumów pielgrzymów, udających się w tym czasie do Rzymu, widziano tamże tysiące włóczęgów, dla których wieczne miasto od czasu wtargnienia doń wojsk Wiktora Emanuela stało się nowém siedliskiem. Po raz pierwszy wśród Wielkiego Tygodnia pootwierano teatra: zamiast pieśni pobożnych rozlegały się po ulicach mowy bluźniercze i śpiewki bezecne; wielką środę zbezczeszczono wyprawiając publicznie pogrzeb, bez współudziału duchowieństwa, masonowi Montecchi'emu; w Wielki Piątek urządzono ucztę, wśród któréj postawiono krzyż na stole i wznoszono na ten znak Zbawiciela toasty nacechowane bluźnierstwy. W Paryżu nie mniejsze wyprawiano harce. Komuniści uwięzili arcybiskupa, mnóstwo księży i katolików i zamordowali ich. Jak w Rzymie, tak i tutaj w Wielki Piątek urządzono wielką ucztę i ogłoszono publicznie, że na téj uczcie „księży będą pożerać". I tutaj, jak to się stało w Rzymie, zbezczeszczono groby i kościoły.—Posłuchajmy teraz słów Ojca Serafina, któremi opisuje cierpienia, jakich w tym czasie Ludwika doznawała.

„W każdym czasie miał Pan Bóg na ziemi dusze wybrane, które przez świętość życia, przez modlitwę i zamiłowanie w cierpieniu przynajmniéj w części odpokutowały za grzechy, popełnione przez pojedyńczych grzeszników lub przez całe narody. Widzimy to u św. Anieli z Foligno, u św. Joanny z Mantui, u błogosławionéj Alis'y z Szaerbeeck i u innych świętych. . .Wypadki te przypomniałem sobie, kiedy w Wielki Piątek patrzyłem na Ludwikę. Widząc tę zacną dziewczynę, jak doznawała wielkich cierpień, rzekłem do siebie: Otoż ofiara za zbrodnie, jakich się teraz ludzie na kuli ziemskiéj dopuszczają, najprawdopodobniéj w Rzymie i w Paryżu, i to przypuszczenie moje całkiem się sprawdziło, kiedy w kilka dni potém dowiedziałem się,

co zaszło w tych dwóch miastach stołecznych. Cierpienia Ludwiki, które zmniejszyły się od 6 grudnia 1870 r., spotęgowały się teraz na nowo i były coraz silniejsze, im bardziéj się zbliżał Wielki Piątek. W nocy z czwartku na piątek otworzyły się piętna ran Pańskich w sposób zwyczajny, ale cierpienia zwiększyły się w tak wielkim stopniu, jakiego dotychczas nie widziano. W dniu tym, który dla mnie będzie na zawsze pamiętnym, każdéj spodziewałem się chwili, że umrze. Spowiednik odwiedził ją przed południem i wielce się zdziwił widząc to. Ludwika nie mogła wymówić ani jednego zdania zrozumiale. Oczy jéj, co dawniéj się nie zdarzało, ciągle były w ruchu, jak wzrok duszy cierpiącéj okropne męczarnie, a nie mogącéj tego wypowiedzieć. Gdybym jéj nie był znał, byłbym sądził, iż dostała pomięszania zmysłów. W chwilach spokojniejszych była prawdziwym „*Ecce homo*“. Nagle podniosła się i mimo ogromnego bolu, który czułą w nogach, zaczęła chodzić po pokoju, czego nigdy dawniéj w piątek nie czyniła, wkrótce potém usiadła znowu, nie mogąc znaleźć spokoju. Spowiednik zapytał jéj: „Czyś nie prosiła Boga, abyś mniéj, niż dzisiaj, cierpiała?“ Odpowiedziała, jak osoba, która mowę utraciła, gdyż przerywanemi słowy powtarzała je znowu, tak iż trudno ją było zrozumieć: „Nie ... przeciwnie ... wola Boga ...“ Nieco później zapytał jéj proboszcz: „Czyś nie żądała cierpieć za drugich?“ Odpowiedziała: „Proszę ciągle Pana Boga, abym za innych mogła cierpieć; ofiaruję moje cierpienia także za Ojca świętego“. Z wielkiém natężeniem dodała, że dusza jéj cierpi męki niewypowiedziane, a w ciele nie masz członka, któryby nie doznawał boleści. „Nie umrzesz przecież bez ostatniego namaszczenia olejem św.?“ „Sądzę, że nie umrę“. Czy jesteś dla tego niespokojną?“ „O nie!“ I tak daléj doznawała mąk i rzecz dziwna, że minęła chwila w któréj zwykle rozpoczynał się zachwyt. Sadziłem już, że dnia tego nie będzie miała zachwycenia, kiedy trzy kwadranse na trzecią wpadła w zachwycenie wśród zwykłych okoliczności. Od téj chwili cierpienie ustąpiło z jéj twarzy, lecz rozpoczęło się znowu po zachwycie i trwało jeszcze dwa dni. Tak to cierpi Ludwika, już to pokutując za grzechy ludzi, już to, aby uprosić czasy lepsze dla Kościoła. Przez cały wielki tydzień cierpiała Ludwika z woli Boga jako ofiara za grzechy, o czém tém bardziéj jestem przekonany, gdyż wiem z jak największą pewnością, iż w tym samym czasie dwie inne osoby stygmatyzowane, które już daléj postąpiły na drodze doskonałości, niż Ludwika, jeszcze większych doznawały mąk, niż ona, pokutując za zbrodnie, których widownią były dwie stolice“.

Prócz tego przykładu boleści nadzwyczajnych Ludwiki, których doznaje, ile razy na ziemi ludzie dopuszczą się zbrodni przeciw Bogu i Kościołowi, są jeszcze i inne. I tak na dniu 20 września 1870, kiedy Piemontczycy weszli do Rzymu, doświadczyła ogromnych boleści ciała i duszy, które trwały aż do 8 grudnia bez ulgi. Życzenie jéj, aby mogła za drugich i za pomyślność Kościoła cierpieć, spełnia się jeszcze ciągle, jakkolwiek często nie można poznać przyczyny, dla czego tak bardzo cierpi. Cierpienie jéj duszy jest dotychczas tajemnicą, a nawet cierpienia cielesne mają w sobie coś tajemniczego. Nie zna ona boleści, któreby były wywołane chorobą, gdyż całkiem jest zdrowa; nie zna, co to głód, co pragnienie; jest obojętną na upał i na zimno od czasu, kiedy otrzymała znamiona; nie zna, co to jest znużenie, co osłabienie sił i co sen; czuje tylko boleść w skutek wpływu nadprzyrodzonego.

Profesor Imbert [1]) w końcu swych badań tak pisze:

„... A więc umiejętność wyjaśnić tego zjawiska nie jest zdolną. Nowożytny racyonalizm zrozumiał, że tu nie zachodzi ani choroba pochodząca ze krwi, ani choroba nerwów, że tu magnetyzmu trudno się dopatrzyć, aby za ich pomocą wyjaśnić sobie zachwycenia i piętna. I cóż to za choroba, któréj sztuka lekarska wyjaśnić nie może? Gdybym jéj miał nadać nazwisko, nazwałbym ją „chorobą pięciu ran“. Nazwa ta jest prosta, wzięta z rzeczywistych stosunków, i wcale nie jest dziwaczną. Przerażające pojawy, jakie się dzieją co piątek w chacie wiejskiéj w Bois d'Haine, są żywym obrazem wzniosłéj ofiary na Kalwaryi. Dzieje się to zawsze w dniu poświęconym pamiątce męki Pana Jezusa; czyste ciało cnotliwéj dziewicy ma rany na tém samém miejscu, na którém je miał Zbawiciel. Ludwika widzi pojedyncze ustępy męki; wspólnie dusza jéj czuje boleść, a jeśli nie jest w zachwycie, czuje ją i w ciele, płacze— jęczy, usiłuje krzyczeć, pada na ziemię, rozszerza ręce i nogi, aby się dać ukrzyżować, — umiera. Zaiste! zewsząd widzimy tutaj zjawiska nadprzyrodzone. Cudowną rzeczą są piętna ran Pańskich, nie zmieniające się; cudownym jest czas, w którym krew płynie, cudowną i ta okoliczność, iż rany zasychają bardzo prędko bez zapalenia i bez blizn; cudownym jest zachwyt z wszystkiemi owemi okolicznościami. Jedném słowem, wi-

1) Doktor ten nawrócił się badając Ludwikę.

doczny w tém wszystkiém palec Boży. Wiele chorób ma swe źródło w miłości tego świata, ale choroba „pięciu ran“ pochodzi z miłości ku Bogu. Pan Jezus zsyła te cierpienia na pojedyńcze osoby, aby zapalić serca ludzkie. Fałszywa umiejętność nie chce wiedzieć o téj chorobie, ale chrześcijanie znają dobrze; wiedzą, że Bóg-Człowiek najprzód doznawał tych boleści, a późniéj wielki sługa Jego św. Franciszek i wielka liczba innych Świętych Pańskich. Poganie ze strachu ubóstwiali febrę i inne choroby; lecz lud katolicki nie potrzebuje ubóstwiać owych pięciu ran, bo je miłuje i czci, bolejąc nad swemi grzechami jako nad przyczyną tych ran“.

* * *

Podajemy tu protokół obserwacyi z dnia 2 października 1874 roku, w którym mieli udział pomiędzy innymi d-r Critchet, słynny lekarz z Londynu, tudzież d-r Warlomont, członek belgijskiéj akademii lekarskiéj, i belgijski lekarz wojskowy d-r Duvoez, obaj ostatni z Bruxeli, spisany przez pana Ducoulombier, profesora przy gimnazyum w Tournoing we Francyi, a który tak opiewa:

„Pospieszyłem naprzód do domku Ludwiki (przed drugimi panami, przed ojcem Redemptorystą Buguenont i ks. proboszczem Niels) uprzedzając ich o kilka minut, by ją zawiadomić o przybyciu kilku lekarzy w celu obserwacyi. Zrazu była ona nieco zdziwioną, jakoby powiedzieć chciała, czy jeszcze nie dosyć obserwacyi; lecz gdym jéj napomknął, że to nowe śledztwo dziać się ma na życzenie ks. proboszcza, jéj spowiednika, natychmiast przyzwoliła, oświadczając, że chętnie podda się śledztwu. Gdy ci panowie stawili się o godzinie pół do drugiéj, zbliżył się do stygmatyzowanéj pierwszy d-r Warlomont z zapytaniem: „Czy znasz mnie, Ludwiko?“ — „Tak jest, mój panie“, odrzekła. — „Czy od ostatniéj niedzieli, kiedym cię widział, wiele miałaś boleści?“ [1])— „Mniéj więcéj, mój panie“.— „Czy dziś już wiele cierpiałeś?“ — „Tak, cierpiałam już wiele, i od rana, i teraz jeszcze“. Poczém d-r Warlomont ścisnął Ludwiki czoło, pytając ją, czy to ściśnienie sprawia jéj boleści. — „O wielkie boleści“ odrzekła. Poznać to także było można po poruszeniu, jakie uczynić była zniewolona przy dotknięciu czoła; okoliczność ta tém ważniejsza, że

1) D-r Warlomont już Ludwikę odwiedził tegoż roku dwa razy, w piątek 18 września, rano i po popołudniu, i w niedzielę 27 września o pierwszéj z południa.

czoło w téj chwili nie przedstawiało już od rana żadnych śladów krwi. Ludwiki postawa odznaczała się i dziś swą zwykłą cichą rezygnacyą, pochodzącą z posłuszeństwa duchownego. Jak spokojnie zniosła ściśnienie czoła, tak téż żadnego nie było widać śladu niecierpliwego objawu, gdy lekarze schwycili ją teraz za zbolałe jéj ręce, ani ich nie cofając, ani ukrywając. Niekiedy tylko, wzniósłszy oko ku niebu, tam szukać zdawała się mocy i odwagi. Dociekano następnie stygmatów na rękach za pomocą szkła powiększającego. Rany bardzo są głębokie. Dokoła nich widać małą nabrzękłość skóry. Oglądano usta, zęby i język, co wszystko żadnego nie wskazuje śladu spożytego jadła lub napoju. Takoż i oczy obserwowano i lekarze jednomyślnie mniemają, że najmniejszego dostrzedz nie można znaku choroby w głowie. „Czy dziś rano ciekła tobie krew z głowy?“ pyta ją dr. Warlomont. „Ciekła“, odpowiada Ludwika. „Czy ciekła z czoła, czy ze skroni?“ „Teraz tego nie czuję, ponieważ ból równo się po głowie rozchodzi. Gdy krew spływa, ocieram ją nie patrząc, zkąd ścieka“. Poczém dr. Warlomont, wziąwszy flaszeczkę, napełnia ją krwią z rąk płynącą. Puls zarazem słabo tętni. Teraz przystąpiono do rany w plecach, która także żadnéj nie ma woni. Widocznie z téj rany wiele krwi dziś upłynęło, gdyż płótno, którém była obwiązana, było zmoczone i czerwone. Przyłożony ciepłomierz do obnażonego ramienia wskazywał po kilku minutach 36 stopni; zwykle jest to średnie normalne ciepło ciała ludzkiego. Podczas tego śledztwa d-r Critchet najgłębszą zdjęty uwagą zawołał: „To dziwna rzecz i dotychczas nie słychana“. Potém d-r Warlomont zapytał Ludwikę: „Czy wielkie masz boleści z téj rany?“ „Tak, mój panie, wielkie“. „Czy ból czujesz na skórze, czy pod skórą?“ „Z pod skóry pochodzi“. „Czy boli cię, jeżeli poruszam twoje ramię?“ „Tak jest“. „Czy masz także ranę w boku i czy także krew z niéj ciecze?“ „Tak jest, i zdaje mi się, że krew z niéj ciekła“. Zawdziano znowu suknię na jéj ramię i zapytano ją, czy odzież, dotykająca jéj rany w plecach, sprawia jéj boleści? Odpowiada, że sam ból już jest tak wielki, że ocieranie sukni nie wiele znaczy. D-r Critchet powtórnie objawia zadziwienie swoje.

Godzina 2-ga.

D-r Warlomont bierze sobie krzesło, siada na niém przy Ludwice i pyta ją, jak przepędza noce (zaznaczamy tu, że d-r Warlomont myślał, że stygmatyzowana leży w nocy we śnie magnetycznym i w takim stanie, bez wiedzy o sobie, pokarm przyjmuje). „Noc spę-

dzam na mojém krześle“, odpowiedziała Ludwika. „Na którém miejscu w domu?“ „W pokoju od ulicy: ale w czwartek już o północy przechodzę do tutejszego“. „A więc łóżka nie masz?“ „Moje łóżko stoi w komorze w sieni“. „To śpisz niekiedy?“ „Nie, panie, już od dawnego czasu nie sypiam“. „Ale przynajmniéj wypoczywasz podczas nocy?“ „Tyle co nic“. „A kiedy tak wypoczniesz, czy czujesz wtedy jeszcze boleści?“ „Nie czuję“. „Jak długo trwa ten stan?“ „Zaledwie kilka minut“. „Czy tak w czasie nocy rozwodzisz swoje myśli, jak zazwyczaj?“ „Tak jest“. „Nie przypominasz sobie, czy kiedy w nocy nie zmieniłaś swego noclegu?“ „Zmieniam go tylko we czwartek o północy“. „Ale noce muszą tobie zdawać się bardzo długiemi?“ „Tego, dzięki Bogu, dotychczas nie uczułam“. „Czy nie ziębniesz podczas nocy?“ „Nie, mój panie, nigdy“.

Godzina 2 minut 10. — D-r Warlomont chce ją daléj wypytywać, lecz Ludwika już nie odpowiada — już jéj nie ma na tym świecie; już wpadła w zachwycenie, pomimo, że lekarze nic uderzającego w jéj ruchach nie dostrzegli; co doktorów wprawia znowu w zadziwienie. D-r Warlomont uderza teraz Ludwikę mocno w czoło, które wprzódy tak czułém było na ból. Zachwycona atoli zostaje zgoła nieruchomą i nieczułą. Puls daje jeszcze 120 tętna. Ojciec Redemptorysta Buguenont i inni, którzy dotychczas byli tylko świadkami, zbliżają się teraz do niéj. Uśmiecha się ona bardzo znacznie, kiedy konsekrowane ręce zbliżają się do jéj twarzy; ale poważnie patrzy przy zbliżeniu ręki doktora Critcheta. Ten kontrast w najwyższym stopniu zmieszał tego angielskiego lekarza, który bardzo wydatném poruszeniem wyraził swoje zadziwienie. Ojciec Buguenont zdjąwszy z szyi swojéj relikwią prawdziwego Krzyża Chrystusowego, podaje ją Ludwice. Efekt jest cudowny. Zachwycona wyraża uniesienie w najwyższym stopniu, i w tym stanie trwa tak długo, jak relikwia święta zostaje w jéj ręku. D-r Warlomont prosi teraz księdza Niels, żeby ją wywołał ze stanu zachwycenia. Wprzódy jednakże sam chce widzieć, czy nie uda się jemu próba ku temu zmierzająca. Chwytając ją za ręce, woła: Ludwiko, obudź się! — Bez skutku; powtarza to wołanie głosem mocniejszym; zachwycona pozostaje nieruchomą. Wtedy ksiądz proboszcz, który stał w kącie, wymówił słowo zrozumiałe zaledwie tym co stali tuż przy nim, a natychmiast Ludwika przychodzi do siebie, ogląda się wzrokiem zdziwienia, oczekując niby jakiegoś rozkazu. „To dziwna rzecz“, mówi D-r Warlomont; „dawnoż temu, pyta się, żeś nas odstąpiła? Jak długo trwało twoje spanie?“ „Nie wiem,

panie“, odpowiada ona. „Czy czujesz teraz boleści?“ „Nie czuję“. — Kiedy lekarz na moment zamilkł, Ludwika niebawem wpada znowu w swój stan zachwycenia.

Godzina 2 minut 20. — Teraz proboszcz wpuszcza stojących przed domem ciekawych; było ich 15-stu. Badania od tych ostatnich przedsięwzięte nie przedstawiają nic nowego. Puls daje teraz 156 tętna. Lekarze silą się napróżno dojść poruszeń oddychania.

Godzina 3 minut 10. — Wszyscy obecni wynoszą się teraz z pokoju; tylko Ludwika pozostaje leżąca na podłodze, rozkrzyżowana.

Godzina 4 minut 5. — Nas sześciu, którzyśmy przed zachwyceniem byli u Ludwiki, wracamy teraz do niéj. Zastajemy ją w tém samém położeniu leżącą na ziemi, w którém ją zostawiliśmy, z twarzą niby przybitą do posadzki, z nosem nieco zgniecionym od ciężkości głowy. Lekarze osłupieni są z zadziwienia, widząc takie jéj leżenie, które w zwyczajnych okolicznościach uważają na dłuższy czas za czyste niepodobieństwo. Kolejno zbliżają swe ręce po kilka razy do jéj twarzy dla sprawdzenia jéj pozycyi nienormalnéj. Niemniéj zdziwieni byli na widok krwi silnie tryskającéj z prawéj ręki, którą podłoga dokoła była zbroczona. Ile razy odsuwano jéj rękę od miejsca gdzie spoczywała, zawsze do niego wracała. Puls teraz bije 88 razy.

Godzina 4 minut 18. — D-r Duvoez zbliża się znowu dla zbadania procesu respiracyjnego. Jego zdaniem oddychanie Ludwiki jest bardzo słabe. Kilka minut potém czyni D-r Critchett ten sam eksperyment i oświadcza, że życie powoli zdaje się wracać.

Godzina 4 minut 24. — Ludwika nagle porusza się podnosząc się na kolana, lecz zawsze jeszcze z oczami wzniesionemi w górę w zachwyceniu pogrążona, co poznać można po uśmiechu rozjaśniającym jéj oblicze za każdym razem, skoro ręce kapłańskie zbliżają się do jéj twarzy. Lekarze obserwują ją pilnie badawczym wzrokiem; mianowicie doktór angielski Critchett, w lornetkę opatrzony, cały zatopiony jest w rozważaniu.

Godzina 4 minut 27. — Ludwika podnosi się z klęczek, siada na krześle i wkrótce potém zachwycenie skończone. Na widok otaczających ją obcych ludzi znowu maluje się zdziwienie w jéj twarzy. Z jéj ruchów wnosić było można, że boleści już minęły. Oczy były klarowne i zwykłym sposobem otwarte. D-r Warlomont, nachylając się do niéj, zaczyna z nią rozmowę następującą: „Czy poznajesz nas znowu?“ „Poznaję“. „Dawnoż temu odkąd nas widziałaś?“ „Nie wiem“.

„Jak długo trwało twe spanie?“ „Nie umiem powiedzieć“. „Która godzina?“ „Nie wiem“. „Czy czujesz jeszcze boleści?“ „Nie czuję“. „Czy jeszcze długo będziesz bez boleści?“ „Nie wiem, może już wkrótce rozpoczną się znowu“.

Lekarze konstatują bardzo stałe uderzanie pulsu i dokładną regularność oddychania. Ks. proboszcz rozkazuje Ludwice aby chodziła; czyni to bez najmniejszego trudu, przechodząc do drugiego pokoju i wracając; na ponowny rozkaz podnosi krzesło drewniane w górę. I przy tém nie znać po niéj żadnego osłabienia, owszem, zachwycenie nowych sił jéj przyczyniło. Co sprawdziwszy, żegnamy się z uszanowaniem z Ludwiką. Odchodzimy, tylko ks. proboszcz u niéj zostaje, który ma do niéj zapytania, co jéj dusza widziała podczas zachwycenia“.

Przytaczamy tu jeszcze z listu prywatnego księdza belgijskiego, pisanego do tegoż wuja, burmistrza w Belgii, sprawozdanie z obserwacyi odbytéj dnia 27 listopada 1871 roku, co następuje:

„Zacny mój przyjaciel D-r Dumont udał się wczoraj, w piątek dnia 27 b. m., w towarzystwie D-ra Lecronier z Fayt i innego lekarza, który w religijnym względzie niekoniecznie celuje, do Bois d'Haine, by odwiedzić Ludwikę Lateau. Ludwika zostawała w zachwyceniu, gdy ci lekarze weszli do niéj o godzinie drugiéj. Krew ciekła obficie z rąk i nóg, tak, że D-r Dumont w krótkim czasie znaczną jéj ilość nabrał sobie w flaszeczkę, którą odesłać miał do lekarza Warlomont, członka akademii Brukselskiéj, by ją z polecenia téjże wziąść pod rozbiór chemiczny. Ten sam D-r Warlomont (nawiasem powiem, był już wprzódy u Ludwiki) do jedzenia ją namawiał. W jego obecności spożyć miała kawałeczek chleba. Wzbraniała się zrazu, lecz niezwłocznie ustąpiła i kęs połknęła, ale tylko na to, żeby go zaraz potém wypluć z krwią.

„Co najwięcej wznieciło zdziwienie w doktorze Dumont, było to niewypowiedzianie piękna przemiana jéj twarzy podczas niektórych momentów w zachwyceniu. Powiadał mi, że to już nie te same były rysy, ale radykalne przekształcenie oblicza *(renversement radical des lignes fondamentales de la physiognomie)*. To było oblicze anioła, a przynajmniéj oblicze, które wyzuło się ze wszystkiego co doczesne i niedoskonałe, przed chwilą jeszcze niém obciążone, by przyodziać się blaskiem niedającym się określić i nieopisanym nadziemskim wyrazem.— D-r Dumont, wyjeżdżając do Bois d'Haine, prosił mię, abym

mu powierzył relikwiją prawdziwego drzewa Krzyża świętego, którą miałem z czasów przeszłego Biskupa z Bruges, JW-go Księdza Malou od czcigodnego Ojca Alfonsa, byłego prowincyała kapucynów w Belgii. Ta relikwija, z wielu względów dla mnie droga, znajduje się wraz z dokumentem biskupim w kapsułce okrągłéj srebrnéj, kształtu wielkości dwutalarówki. D-r Dumont zawinął relikwiją w kawałek papieru białego; również dwutalarówkę zawinął w papier. Przypatrzywszy się więc zachwyconéj przez chwil kilka czasu, wydobył z kieszeni pieniądz, zbliżył go do twarzy Ludwiki i dał go jéj w ręce. Ta zaś wcale nie zmieniła w skutek tego swéj postawy, ani nawet nie zwróciła uwagi na to, co jéj podano do ręki. Obecni, a było ich około ośmnastu, Francuzi, Polacy, Niemcy i Belgijczycy, dziwili się obojętności zachwyconéj Ludwiki, gdyż wszyscy mniemali, że D-r Dumont podał jej rzecz poświęconą. Wtedy wyjął on swą relikwiją w papier zawiniętą z kieszeni, a teraz scena się odbyła nie do opisania rzewna. Jeszcze szczątek Krzyża św. nie był w ręku Ludwiki, aliści już przy zbliżeniu jego poruszyła się naprzód, uchwyciła relikwiją oburącz i cała drżąca z radości ściskała ją w swém ręku. Przytém twarz jéj była jakoby promienna, a uśmiech jéj jakby uśmiech anioła. Relikwiją tak mocno trzymała w ręku, że lekarzowi Dumont trudno było ją wydobyć. Podczas téj sceny coś nakształt elektrycznego uderzenia przemkło się po osobach otaczających Ludwikę, a zdziwienie pośród nich wzmogło się jeszcze, skoro D-r Dumont wyjaśnił zagadkę o dwóch zwitkach papierowych. Drugi zaś lekarz niedowiarek, który niezawodnie w złośliwych przybył zamiarach, czynił także swoje eksperymenta, które go do reszty zdekoncertowały. Takie było zdarzenie. Pomiędzy obecnymi był także pewien hrabia polski z żoną swoją. Odmawiał on kilka modlitw w polskim języku, i przy każdym zwrocie słów jego, wyrażającym chwałę Boga, Jego miłosierdzie i t. p., widać było po Ludwice i jéj poruszeniach, że zrozumiała co wymawiał. Wtém nagle lekarz niedowiarek, hrabiego polskiego wziąwszy na bok, prosił, iżby odmawiając daléj polskie modlitwy bez przestanku, potém wsunął kilka słów światowéj treści. Polak zgadza się na to i eksperyment rozpoczyna. Póki trwa odmawianie modlitw, uśmiecha się zachwycona; blask osobliwszy opromienia jéj twarz przy niektórych słowach; lecz wkrótce potém spoważniała, zobojętniała i widocznie już nie słuchała tego, co mówiono.— Scena Ludwiki padania krzyżem o 3 godzinie także wielkie wywarła wrażenie. D-r Dumont powrócił niezmiernie wzruszony i najmocniéj przekona-

ny o nadnaturalności rzeczy, które miał przed swemi oczami; a co się tyczy lekarza niedowiarka [1]), przyznał on się, zapytany od D-ra Dumont, że stan Ludwiki jest dla niego niepojętym ze względu patologicznego i fizyologicznego".

W piątek dnia 6 października 1874 r. przekonaliśmy się, że stan jéj zachwycenia w niczém się nie odmienił. Zrana o 6 godzinie towarzyszyliśmy księdzu (Cornet z Eupen), który jéj podał Komunią świętą, przyczém uderzyła nas tylko widoczna odmiana jéj rysów twarzy, krwią zbroczonéj, w chwili kiedy ciało najświętsze przyjmowała. Przy odwiedzinach popołudniowych zastaliśmy gości z następujących krajów europejskich: z Belgii, Holandyi, Anglii, Francyi, Niemiec, z Włoch i z Hiszpanii. Gdybyśmy z góry o tém nie byli przekonani, że kapłani od prawowitego następcy Apostołów kapłaństwo otrzymali, a z nim władzę poświęcenia i błogosławienia, bylibyśmy i tym razem mogli tu mieć próbę na to. Stojący bowiem obok nas przyjaciel, poseł do parlamentu niemieckiego, Grand-Ry, podał Ludwice obrazek niepoświęcony, lecz niebawem go cofnął, ponieważ zachwycona zdawała się nie uważać zgoła na niego. Poczém prosił księży, aby mu obrazek poświęcili. To się stało tak, że Ludwika nic nie widziała, gdyż oczy w czasie zachwycenia miała wzniesione ku niebu; poczém kiedy jéj ten obrazek podano, radosném uczuciem go przyjęła, ściskając go swemi rękami. Przed odejściem wszystkich obecnych, kiedy Ludwika padła, jak zwykle w czasie zachwycenia, na ziemię twarzą, pożegnać ją chcieli księża znakiem krzyża świętego; wtedy zdumienie nasze było wielkie, kiedyśmy dość od niéj oddaleni widzieli, że za każdym znakiem krzyża świętego nad nią uczynionym (co się trzykroć działo przy wymówieniu słów: *Benedicat te omnipotens Deus † Pater † et Filius † et Spiritus Sanctus. Amen),* głowę swą wznosiła od ziemi.

I myśmy czuli się wzniesionymi tym nowym świetnym, że tak powiemy, naturalnym dowodem wewnętrznéj prawdziwości odsłaniających się tu tajemnic, objawiających się podobnie jak kiedyś cudotwórczy cień św. Piotra, jak i cudowna tuwalnia [2]) św. Pawła z dziedziny wyzwolonego przyrodzenia, i tym sposobem i dziś jeszcze światło rzucających nadzwyczajne na tajemnice wiary świętéj i na

1) Trzeci z lekarzy wyżéj wymienionych mieszka w Tayt, blisko Bois d'Haine, i już częściéj był świadkiem tych scen.

2) Czyli chusta przeznaczona do ocierania potu u żydów.

wszystko, cośmy w owéj małéj, niepozornéj chacie ujrzeli i ciałem i duchem uczuli.

Wszystkie fakta tu zamieszczone powtarzały się do dnia 25 sierpnia 1883 r., albowiem Ludwika oddała spokojnie i przytomnie Bogu ducha w tym dniu w samą uroczystość swego patrona św. Ludwika; umarła w 33 r. życia, tak jak P. Jezus Chrystus, i została pochowana na miejscowym cmentarzu.

Człowiek i jego przeznaczenie.

Człowiek pod tylu odmiennémi ukazuje się postaciami, tyle w sobie sprzeczności zawiera, iż koniecznie musiał się wydać już to stworzeniem całkowicie niebieskiém, już to istotą zupełnie żwierzęcą. Dusza, w sposób świetny a ścisły, jednoczy go z Bogiem; ciało zaś czyni go uczestnikiem nicestwa, sposobem najbardziéj upokarzającym i najdotykalniejszym. Tu, jako dzień jasny, zachwyca swoją pogodą; owdzie, jako noc ponura, ciemnością swoją przeraża.

Uważając go z tych rozmaitych stanowisk, koniecznie wypada, iż człowiek Lukrecyusza nie jest człowiekiem Descartes'a, ani człowiek Spinozy—człowiekiem Pascal'a, i że chcąc go oznaczyć, podług jego przymiotów i ułomności, trzeba koniecznie zapytać o to religii, która jedna tylko ze wszelką dokładnością nas oświeci, czém on jest w istocie.

Chrystyanizm wolny od wszelkiego błędu, idąc środkową drogą, pokazuje nam człowieka na ziemi i na łonie Boskiém, to jest, uważa go w dwoistém niejako ognisku, z któregośmy wszyscy wyszli i do którego znowu wrócić musimy.

Wejrzenia, które w chwili swojego przyjścia na świat dziecina zwraca ku niebu, i łzy, jakiemi skrapia kolebkę swoją, uderzającym są dowodem, iż jéj początek jest razem ziemski i niebieski. A jeżeli dusza niemowlęcia, na podobieństwo kwiatu, dopiero stopniami nieznacznie się rozwija, ztąd to tylko pochodzi, iż ona zależy w części od leniwego ciała, które opieszale i pomału wzrasta.

Nakoniec nadchodzi chwila, w jakiéj objawia się rozum; jest to iskierka, która będzie początkiem albo zgubnego pożaru, lub też żywego i dobroczynnego światła, a to stosownie do kierunku, jaki się jéj nada, i natury przedmiotów, ku którym się zwróci. Mówimy tu o namiętnościach, zmysłowości i wychowaniu, które zawsze na człowieka mocniéj lub słabiéj wpływają. Jeżeli przedmioty zmysłowe wyłącznie nim zawładną, stanie się wtenczas smutną igraszką tego wszystkiego, cokolwiek go otacza; jeśli zaś przeciwnie umysłowym się podda, zostanie panem samego siebie, i rozum jego w całym zajaśnieje blasku. Natenczas błogi wpływ obecności Boga wszędy on czuć będzie, a stworzenie w jego oczach wyda się tylko jako dobro znikome, którego używać należy, jakby go zgoła nie używając, to jest, jak najmniéj przywiązując doń wartości.

Sposób wychowania ludzi; klimat, w którym przebywają; wrażenia, pod których są wpływem; przedmioty jakie ich otaczają,—wszystko to jest niejaką formą, w któréj najrozmaitsze przybieramy postacie: dla tego to człowiek, urodzony w Indyach, nie jest człowiekiem europejskim; wychowaniec Arystotelesa nie będzie wychowankiem Newtona; treść wprawdzie jego pozostaje taż sama, lecz jéj odcienia staną się tak odmienne, że nawet sposoby myślenia i pojmowania całkowicie u nich będą się różniły. Dla tego też powinniśmy uważać za szczególniejszą łaskę Opatrzności, gdy odbieramy życie w chrześcijańskiém społeczeństwie, na łonie rodziny zachowującéj błogie przepisy Zbawiciela.

Zawsze jednak niezawodną to jest rzeczą, iż na każdym człowieku, w jakimkolwiek zrodzonym kraju, ciążą powinności względem Boga, względem bliźnich i względem krajowców, i że obowiązany jest wyćwiczyć się w szkole prawdy, aby się nie stał uwiedzioną ofiarą błędnéj religii, aby się uchronił od wszelkich przesądów. Nie mniéj też i to jest prawdą, iż będąc obywatelem, powinien pracować w pocie swego czoła, lub za pomocą umysłowych zdolności, by został pożytecznym członkiem społeczeństwa; jeżeli zaś zajmuje wysokie stanowisko w towarzystwie, powinien mu zapłacić daninę swoją, już to nauką, już dobroczynnością, już męztwem.

Człowiek żyjący z sobą samym, ciągle w takiém zostaje położeniu, jak gdyby się w nieprzyjacielskim kraju znajdował: krew wrząca, łatwa do obłąkań wyobraźnia, żądze sprzeczne z sobą, namiętności płomienne, wiodą rodzaj walki wewnętrznéj, któréj następstwa bardzo często zgubne bywać zwykły. Chcący pędzić żywot w duchu prawdziwéj mądrości, w ciągłych z sobą samym musi zostawać zapasach, albowiem we wnętrzu naszém dwoistego nosimy człowieka: ziemskiego

i duchowego, którzy z sobą w nieustannéj zostają walce i nie wprzódy się pogodzą, aż nim oświeconego rozumu i prawego serca za przywódcę i sternika swojego nie wezmą, i pod wyższą władzę, władzę religii, ich nie poddadzą. I dla tego to człowiek, podług czynów swoich, raz jest przedmiotem uwielbienia, a drugi raz litości.

Lecz któż potrafi skreślić wszystkie szczegóły naszych dziwactw i naszych sprzeczności? Dusza człowieka, jego umysł, jego rozum i jego wola, na wzór czterech żywiołów, chociaż niecielesnych, ciągłą z sobą toczą walkę, któréj skutkiem są burze, wstrząśnienia i wybuchy, obraz Stwórcy w szkaradny sposób przekształcające. Tak, śmiało powiedzieć możemy, obraz Stwórcy, albowiem im bardziéj zgłębiamy człowieka, tém mocniéj się przekonywamy, iż nigdyby on w sobie mieć nie mógł tyle wielkości i tyle godności prawdziwéj, gdyby tchnienie Boskie go nie ożywiało.

Człowiek, który trzyma na wodzy swe namiętności, i który przyzwoitéj tylko swobody używać im pozwala, godzien jest hołdów należnych cnocie, i wtenczas to tylko właściwie panem źwierząt nazwanym być może. Rozmaite powołania, jakie się nam nastręczają w chwili, gdy rozum stanowić i wyrokować już zaczyna, są pewnemi środkami do osiągnienia doskonałości wiodącemi; lecz należy dobrze je wybierać, gdyż w przeciwnym razie staniemy się wyrodkami społeczności, i zawichrzymy harmonię, jaka w pośród stworzeń rozumnych istnieć powinna. Jednakże człowiek, ulegając zwodniczemu wpływowi przedmiotów zmysłowych, bardzo często w wyborze powołania błądzi, i ztąd to pochodzą te sprzeczne starcia się różnych namiętności, które człowieka z samym sobą różnią, rodziny zakłócają, wstrząsają państwami i kryją cnoty powab uroczy. Nie dziw więc, iż rzadko człowieka we właściwém mu świetle widzimy; nieraz mniemamy, żeśmy go już poznali, a tymczasem mamy przed sobą nie jego samego, lecz zbiór dziwactw, nawyknień i mniemań, które on przejął od pisarzy, jakich dzieła czytuje, lub od osób, z któremi przebywa. Same nawet nauki nie rzadko na to tylko służą, aby go zwyrodniły, odbierając mu to wszystko, cokolwiek tylko mógł mieć własnego, i robiąc zeń jakąś istotę sztuczną i udaną.

Święty Augustyn mawiał, iż człowiek, co do swojéj treści i co do wszystkich stosunków swoich uważany, jest najtrudniejszą do rozwiązania zagadką. W istocie, prawie nigdy z sobą niepodobny, ciągle wymyka się z pod pędzla, który wizerunek jego skreślićby pragnął. Z powodu zależności jego od znikomego i ziemskiego ciała, same jego

myśli, jako krew się burzą, i jak ona w nieustannym ruchu zostają. Jeden Bóg tylko mógł tak ściśle zjednoczyć niepodzielną duszę z ciałem, które z tylu części złożone; ducha nieśmiertelnego z ziemską powłoką na zniszczenie wskazaną; myśl z czuciem; pojęcie z włóknem, i z nerwami uczucie. Dosyć więc znijść w głąb własną i tam się sobie samym przypatrzyć, ażeby ciągle wznawiające się cuda oglądać; lecz jeżeli Bóg głównego miejsca tam nie zajmie, samą tylko przerażającą otchłań tu ujrzymy. Każdy z nas tron mu dźwignąć w swojém sercu powinien: w przeciwnym bowiem razie, zalegnie je zamęt przerażający, wszelkiéj harmonii i jedności pozbawiony.

Dusza wśród zmysłów jest jakby władca otoczony przyboczną swą strażą. Lecz jeśli ten rządca da się powodować, jeśli nie dość bacznie powściąga nadużycia, za pośrednictwem których, podwładni w prawa rządzącego wedrzeć się usiłują i w końcu miejscem jego całkowicie zawładną, wówczas człowiek wewnątrz siebie najzgubniejszego bezrządu doznawać będzie. I ztąd to właśnie pochodzi takie mnóstwo materyalistów i ludzi zepsutych. Jak tylko przytłumimy w sobie zaród nieśmiertelności, obojętną rzeczą staje się dla nas przeznaczenie i istota duszy, i z zupełną niefrasobliwością puszczamy się z prądem wezbranego potoku rozhukanych namiętności. Naprożno dusza ku swéj pomocy obudza w nas głos sumienia, które najbliższym jest jéj opiekunem; lecz się wyłamujemy z pod posłuszeństwa jemu należnego i ogłaszamy, iż czystém jest urojeniem owa istota duchowa, którąby słusznie nazwać należało matką naszych myśli, naszych pojęć i uczuć naszych.

Błądziłby człowiek, gdyby te zadziwiające działania chciał przypisywać bezwładnéj masie swojego ciała, lub gdyby zaszczyt ich poczęcia ośmielił się przyznawać ostrości swéj żółci albo krwi krążeniu. Sama tylko istota duchowa może być początkiem pojęć niematerialnych. Gdybyśmy zgromadzili wszystko, cokolwiek najsubtelniejszego zawierają w sobie powietrze, ogień i wszelkie żywioły, i gdybyśmy to we wszelkich pomyśleć się mogących jednoczyli stosunkach, nigdybyśmy przecie najprostszego syllogizmu utworzyć nie zdołali. Płomień, pomimo dziwnéj swéj jasności, pomimo przenikliwości swojéj, nigdy przecież nie stworzył jednéj myśli, jednego nie porodził rozumowania. I jakżeby ta myśl, która w jedném oka mgnieniu świat cały obiega, która lotem niepowścigłym wznosi się aż do nieograniczonéj istności, która nie ma ani położenia, ani kształtu, ani barwy, która wszechwładnie ciału mojemu rozka-

zuje, i któréj posłuszna ulega ziemska nasza lepianka, i jakżeby, mówię, ona cząstką tylko ciała mojego być mogła?

Czyliż to Bogu trudniéj było stworzyć ducha, aniżeli materyę? Dla czegóż to On, jeżeli jest wszechmocnym, nie mógł wywieść z nicestwa istot duchowych? Czemuż to myśl, za niecielesną uważana, rodzącéj ją duszy przymiotu tego odmawia? Tu właśnie najprzyzwoiciéj zastosować się dadzą owe słowa Horacego: „*Fortes creantur fortibus, nec imbellem feroces progenerant aquilae columbam*“.

Aby człowiek dopełnił przeznaczenia swojego, jakie mu Boskie zakreśliły wyroki, koniecznie obdarzony być musiał dwoistą naturą: cielesną i duchową. Bez ciała nie mógłby używać świata fizycznego, który zamieszkuje; bez duszy zaś nie zdołałby poznać Boga, ani osięgnąćby Go potrafił. Jako jestestwo pośrodkowe, razem i podlega wpływowi żywiołów, i nad światem panuje. On to stosuje naukę swoją do tysiąca przyjemnych albo pożytecznych rzeczy; on to z pomyślnym skutkiem jéj używa do sprostowania swych pojęć, rozprzestrzenienia swojego umysłu i dojścia aż do poznania bytu Najwyższéj Istoty. Bez człowieka ziemia byłaby rozległą pustynią, powiemy więcéj, byłaby tylko mogiłą; albowiem ona potrzebuje jego ręki do swojéj uprawy, jego społeczności do zaludnienia swojego; i dla tego to słusznie w nim uznaje swego pana, swojego władcę, a następnie, poddaje się jego rządowi i jego staraniom, składając mu w hołdzie, stosownie do pory roku, już to najpiękniejsze kwiaty, już najwyborniejszy owoc.

Szkoda tylko, że ów człowiek, któremu ziemia jako rządcy swojemu podlega, szkoda mówię, iż on wszędzie, którędy tylko przechodzi, ślady zbrodni lub błędów swoich zostawia; niema kraju, któregoby nie zbroczyła krew przelana od nienawiści albo fanatyzmu, od źle pojętéj miłości lub dumy. Jeżeli się zaś ukaże niekiedy cnota wśród świata, jest to jakby jasna błyskawica, która tylko wpośród burzy objawiać się zwykła. Rozum bez przewodnictwa religii podobny jest do owych świecących wyziewów, które się niekiedy wśród nocy postrzegać dają; przyświeca on wprawdzie, lecz tyle tylko, aby wędrowca nad brzeg przepaści zawiódł i jéj bezdennością go przeraził. Wiek teraźniejszy najsmutniejsze téj prawdy stawi nam przykłady; wiek ten, pomimo postępów rozumu i bogatego nabytku zdumiewających wiadomości i odkryć, jakiemi się pyszni, zda się, iż zapomina o Bogu, a bieży za jakiemiś marami, które ubóstwiać gotów.—Niedziw więc, iż każdy ze zdrowo myślących trwoży się na widok podobnych zboczeń ludzkości; lecz ponętne i zaszczytne imię filozofa,

jakie niektórzy dawać zwykli tym wszystkim, którzy nie wierzą w nieśmiertelność duszy i zaprzeczają bytności Boga, na nieszczęście, wpływ bardzo potężny na wiele umysłów wywiera i tyle sprawia, iż dumnych i niebezpiecznych sofistów nader często za nieomylne wyrocznie uważać im nakazuje.

Wnijdź, człowiecze, w samego siebie, zapytaj swéj duszy, swojego serca, swego sumienia, nakoniec wszystkich zdolności swoich, a niezawodnie znajdziesz niepokonane dowody, na stronę religii mówiące. Lecz, abyś dopiął tego celu, musisz powściągnąć swe zmysły i przykrócić wodze swoim namiętnościom; albowiem są to niecni kłamcy i uwodziciele, wychwalający zmysłowość i opiewający słodycz ziemskich rozkoszy.—Jakżeto smutną jest rzeczą, posiadając w sobie władzę wzniesienia się aż do tronu Przedwiecznego, mając zdolności do prowadzenia z Nim najwznioślejszéj rozmowy, mogąc się uczynić nieśmiertelnym, jużto drogą nauki, już za pomocą spraw dobroczynnych, i samowolnie przytłumić w sobie te wszystkie tak kosztowne zarody!

Wielka część ludzi należy do stworzeń, że się tak wyrazimy, poronionych: albo, zamknąwszy swe serce, przywiązują się do samych przedmiotów znikomych, do pojęć oderwanych; lub też, przytłumiwszy swój umysł, jedynie się zajmują rzeczami bez wszelkiego użytku. Najwznioślejsza nawet nauka niegodna jest duszy naszéj, jeżeli tylko nie zmierza ku Bogu, jedynemu jéj początkowi i ostatecznemu końcowi.

Wszystkie nieszczęścia ludzkości ztąd pochodzą, iż człowiek nie umie przyzwoicie ocenić doskonałości swéj duszy, że dumę swoją zakłada właśnie na tém, co jest narzędziem do jego upokorzenia, że w chwili swojego urodzenia już jest piętnem grzechu zmazany. Jedna śmierć tylko, oczekująca nań od pierwszego uderzenia serca, może go nauczyć, jak ważną dlań jest rzeczą umieć się wznosić nad przedmioty znikome; lecz taż śmierć wtenczas tylko nas ostrzega o zboczeniach naszych, gdy zbywa nam już na czasie do ich sprostowania. Sądzimy, żeśmy jeszcze kolebki naszéj nie opuścili, a ona już nam grób otwiera i rozkazuje nam weń wstąpić, jak gdybyśmy dopiero zaledwie na przyszłość zamiary poczynali. Niepodobna wyobrazić sobie dokładnie, jak szybko ubiegają chwile pomiędzy dwiema ostatecznościami ziemskiego bytu naszego: pomiędzy dzieciństwem a zgonem. Gotów jestem je porównać do błyskawicy, która wypada z chmury, aby do drugiéj przeleciała; dla tego więc, w postaciowym wyrażania się sposobie, rzec można, iż człowiek rodzi się i umiera w przeciągu

dnia jednego. Urodzenie jego jest brzaskiem, wiek dziecinny porankiem, męski południem, a śmierć wieczorem. Wówczas wszystkie przedmioty dlań giną, i noc wieczna osłoni go cieniem swoim, jeżeli tylko nie oświeca jéj światło nadprzyrodzone, które sami jedynie sprawiedliwi oglądać mogą.

Ważny ten przedmiot nie powinien uchodzić ludzkiéj uwagi. Człowiek, jeżeli zostać pragnie tém, czém być powinien, niech często przywodzi sobie na myśl śmierć, trzymającą złowieszczą urnę, zamykającą w sobie popioły wszystkich minionych pokoleń. Oto jest przedmiot naszéj rozwagi, jeżeli jako chrześcijańscy mędrcy żywot prowadzić pragniemy. Tak więc, człowiek na téj ziemi jest przemijającym tylko cieniem: i w wieczności jedynie uważać go należy, jeżeli wysokie pojęcie o nim mieć chcemy. Bezwątpienia, piękniejszy nad samo niebios sklepienie jest widok tego przy urodzeniu i przy śmierci robaka, który się zowie człowiekiem, wznoszącego się w jedném mgnieniu oka na łono Przedwiecznego, w chwili, gdy ziemia niknie pod jego nogami i gdy traci żywot doczesny, przechodząc do życia Boskiego.

Dziwną to jest rzeczą, iż człowiek, zrodzony do tak wielkich przeznaczeń, tak mało jest skwapliwy do ich zgłębiania i że się wciela, iż tak powiemy, do najwzgardliwszych i najnikczemniejszych przedmiotów, wtenczas, gdy go oczekuje świat lepszy, w którym ma się cieszyć widokiem Boga.

Mędrcy, w miarę ważności przedmiotu, nigdy się przyzwoicie nie zastanowili nad chwilą, w któréj człowiek przestaje być czemś dla ziemi, aby wszystkiém w wieczności został. Ich spojrzenia zatrzymywać się zdają na saméj mogile; a dusza nieśmiertelna, za którą myślą dążyć należy, gdy się uwalnia z więzów cielesnych, w ich oczach utraca i byt swój i trwałość. Prawda, iż noc grobowa jest zamętem, którego zbadać nie możemy, dopóki jęczymy w cielesnych więzach na tym padole płaczu; prawda, iż pomimo tego wszystkiego, co nam Wiara z pewnością w téj rzeczy odkryła, przewidujemy niezwykłe zdumienie, które nas ogarnie, gdy przekroczymy wrota wieczności, téj otchłani, w któréj ginie cały nasz rozum i którą wtenczas tylko poznamy, gdy ją ujrzymy: jednakże, ile razy widzimy człowieka przechodzącego do krainy umarłych, tyle razy powinniśmy być przekonani, iż wszystkie władze jego duszy nabywają jakiejś niepojętéj doskonałości i mocy, które w sposób niewysłowiony uczuć mu dają roskosz albo cierpienia ludzkości.

Napróżno trawimy się nad nabyciem nauki, nad wzniesieniem siebie za pomocą religii aż do łona Przedwiecznego, albowiem to życie, biorąc ściśle, jest życiem tylko naszego ciała, którego zmysły i potrzeby całkowicie prawie nami rozrządzają; żywot zaś przyszły będzie najdoskonalszym duchowym żywotem. W nim rozwinie się dusza, jako we właściwém sobie ognisku; tam jéj nie stanie już na zawadzie bryła materyalna, która opóźniała wszelkie jéj działania i która, jednocząc ją z ciałami ziemskiemi, do tyla ją z niemi wikłała, iż nierzadko mniéj baczny postrzegacz, który głosu namiętności przytłumić w sobie nie umiał, duszę i ciało za jedno poczytał. Tak więc chcąc poznać dokładnie człowieka, trzeba łączyć teraźniejszość jego z przyszłością, ziemię z niebem, a świat obecny ze światem zagrobowym; albowiem człowiek w udziale dostał żywot doczesny i wieczny, które tak od siebie są nierozłączne, iż gdybyśmy nad mogiłą go porzucili i już daléj za nim nie poszli, wówczas zaledwiebyśmy sam cień tylko téj zdumiewającéj istoty poznali. Tam się dopiero on ukaże w prawdziwéj wielkości swojéj; tam z popiołów swoich, jako nowy feniks, ożyje w chwale i jasności; tam się przekona, iż nie samo życie ziemskie było jego przeznaczeniem: lecz, że na to do bytu został powołany, aby na łonie Boga osiągł żywot wieczny. O! jeżeliby człowiek, zostając na ziemskim padole, umiał się przyzwoicie zastanawiać nad swoim stanem zagrobowym, wówczas niewątpliwie gorącą chęcią pragnąłby jak najrychléj dokonać doczesnego powołania; z rozkoszą słuchałby mówiących o téj szczęśliwéj chwili, w jakiéj pozbawiony zostanie tego nędznego życia, które opóźniało rozkosz używania innego żywota, pełnego chwały i niewysłowionéj błogości!

Śmierć, do któréj taki wstręt czujemy, jest najświetniejszą i tryumfalną człowieka godziną, jeżeli tylko swój ziemski zawód wypełnił wiernie, podług przepisów od religii nakazanych. Człowieka prawego w chwili jego zgonu porównywam do słońca, które, będąc przez czas niejaki grubą pokryte chmurą, przebija nakoniec mgły i cienie, ukazując się w całéj wspaniałości swojego światła. Troski tego życia, jako też namiętności, są to chmury, które nas zacieniają, i które nawet nam samym zakrywają widok prawdziwéj naszéj wielkości i niepojętych przymiotów naszych.

Zgoła mię to nie zadziwia, iż śmierć stanowiła przedmiot nieustannych rozmyślań mędrców chrześcijańskich; albowiem gruntownie pojęta, przedstawia człowiekowi przedmiot wzniosły i pocieszający. Lecz my zwykliśmy o niéj sądzić z samych tylko okropności grobu,

to jest, z tego jedynie, co się wyłącznie do samego ściąga ciała; i dla tego to samą tylko odrazę ku niéj czujemy. I ztąd téż św. Karol Boromeusz wyrzekł, iż jeżeli śmierć jest nieprzyjaciółką ciała, z a t o j e s t n a j p o ż ą d a ń s z ą p r z y j a c i ó ł k ą d u s z y, i że sam tylko człowiek n i e p o j m u j ą c y d o b r a s w o j e g o, obawiać się jéj może.

Czyliż więc mamy nienawidzieć chwilę, która okrywa nas chwałą i szczęściem darzy? Ciało jest wątłą lepianką, jaka koniecznie runąć musi, aby się dusza wznieść mogła do właściwéj sobie dziedziny. Ciało jest jakby rusztowaniem, którego umiejętny budowniczy używa do wzniesienia wspaniałego gmachu, lecz które niezwłocznie obala, gdy jego budowa zamierzoną osiągnęła doskonałość. Niewątpliwą jest rzeczą, iż sumienie zwykło nam robić ostre wyrzuty, wtenczas gdy lękliwi, do zbytku obawiamy się śmierci. Bezwątpienia chwila zgonu może przejmować nas obawą z powodu sądów Boskich, nigdy niezbadanych. Lecz tenże Bóg jest samą tylko dobrocią: nie żąda On śmierci grzesznika, owszem upewnia, i ż o d p u ś c i w s z y s t k i e n i e p r a w o ś c i n a s z e, chociażby te z i a r n o m p i a s k u m o r s k i e g o w y r ó w n y w a ł y, bylebyśmy tylko s i ę s z c z e r z e d o N i e g o n a w r ó c i l i.

Śmierć w oczach Wiary nie jest bynajmniéj zniszczeniem człowieka, lecz raczéj jest powtórném jego odrodzeniem, daleko pożądańszém i godniejszém podziwu, aniżeli było pierwsze; albowiem w zamian cierpień, otaczających nas już w kolebce po za grobem, znajdujemy pociechy i dobra, jakich oko nie widziało i jakich w stanie naszym obecnym pojąć nie zdołamy.

O Sprawiedliwości Boskiéj.

Co się tyczy zbawienia wiecznego pogan, kacerzy i wszystkich co się odłączyli od Kościoła Katolickiego, niektórzy czynią zarzut Boskiéj sprawiedliwości. Ten zarzut nie tylko jest na ustach ludzi bez wiary bluźniących to, czego nie rozumieją, ale niekiedy nawet powtarzają go dusze uczciwe, potrzebujące w tych rzeczach oświecenia dla spokoju ich i pociechy. Z jakiéj przyczyny, mówią, skazanych jest do piekła tylu pogan, którym Ewangelia nie była opowiadaną? Czy oni winni temu, że jéj nie poznali, albo że ich ojcowie, którym była opowiadaną, odrzucili ją? Lecz za co szczególnie miałyby zostać potępionemi dzieci, bez chrztu schodzące z tego świata? Jakiegoż grzechu mogły się dopuścić?

Zaczynając od ostatniéj kwestyi, powiemy, że ona pochodzi z fałszywego tłómaczenia nauki Kościoła św. w tém, co się tyczy losu wiecznego dzieci bez chrztu umierających.

Powiadają, że Kościół skazuje je na potępienie; ale zobaczmy, na czém zależy to potępienie. Czy powiedziano gdziekolwiek, że mogą być wrzucone w ogień, jak drzewo nie rodzące owocu, i wydane na męki potępieńców? Nie, sławny z nauki Balmes powiada, że nigdy Kościół nie ogłaszał tak oburzającéj nauki. Uczy tylko, że będą pozbawione szczęśliwości, choćby tylko jasnego widzenia Boga, co jest dalekiem od tego, żeby miały być skazanemi na ognie piekielne. Jeśli niektórzy teologowie pozwolili sobie wystąpić z tak nieroztropném nauczaniem, to zaraz zostali zganieni przez sławnych mistrzów, nauczających przeciwnie, że te dusze, choć pozbawione jasnego widzenia

Boga, będą w stanie życia tak miłym i szczęśliwym, że byt ich będzie nierównie lepszym od nicości.

Wszakże i ta nauka, chociaż złagodzana nie mało, jeszsze w niektórych umysłach rodzi niepokój; zdaje się być w ich oczach prawie okrucieństwem, iżby niewinne dziatki za to tylko, że plama grzechu pierworodnego nie została z ich duszyczek zgładzoną, miały być wyłączonémi z chwały niebieskiéj.—Dla rozwiązania i téj kwestyi i innych podobnych, przypomnijmy niektóre prawdy wysokiego znaczenia.

Na czém zależy wieczność szczęśliwa? Według zasad Kościoła Katolickiego, zależy na jasném widzeniu Boga, na posiadaniu naocznem Bóstwa. A czy ten stan właściwy człowiekowi? Nie, zapewne! jest to stan przeciwnie nadprzyrodzony, którego nie możemy dostąpić bez nadprzyrodzonéj pomocy. Wychodząc z téj zasady, czy nie można powiedzieć, jaką krzywdę Pan Bóg miałby wyrządzić swojemu stworzeniu, nie wynosząc go do tego stanu? Żadnéj zaiste. Weźmy np. kamienie. Jeśli im Pan Bóg nie dał ani życia roślinnego, ani zwierzęcego uczucia, czyż przez to ubliżył i im, i sprawiedliwości? Byłby wielki nierozum nawet pomyśleć coś podobnego. Dosyć Pan Bóg uczynił dla swego stworzenia, jeśli mu dał wszystko stosownie do porządku, w jakim je umieścił. Według tego poglądu, jakaż szczęśliwość byłaby właściwą człowiekowi, gdyby nie został podniesionym do stanu nadprzyrodzonego? Byłaby to szczęśliwość czysto przyrodzona, odpowiednia równie jego rozumowi jak i zmysłom i to byłoby jeszcze wielką nagrodą za to, co człowiek mógł uczynić dla Boga. I nie byłoby żadnego okrucieństwa, żadnéj niesprawiedliwości ze strony Stwórcy, skoro człowiek wszystko otrzymał, do czego dążyć mógł ze swojéj natury. Gdyby jaki monarcha, mając nagrodzić dwóch ze swych poddanych, którzy mu wiernie służyli, z jednym, dla okazania szczególnéj łaski, podzielił się swą władzą, a drugiemu nadał dobra, tytuły i godności, czyniąc swą szczodrobliwość odpowiednią do jego zasług, czy mógłby być pomówionym o niesprawiedliwość względem tego, którego zasługę wynagrodził podług sprawiedliwéj wartości, dla tego tylko, że drugiemu uczynił więcéj? Zdaje mi się, że tego nikt nie powie! Otoż to samo właśnie dzieje się względem nas: którzy przez chrzest zostali podniesionymi do stanu nadprzyrodzonego, i nagrodę téż otrzymują nadprzyrodzoną, to jest widzenie Boga oko w oko; co zaś do dzieci umarłych bez chrztu, te bywają umieszczane w stanie czysto odpowiednim do ich przyrody, znając i służąc Bogu sposobem naturalnym: Sibi (Deo conjungentur per participationem naturalium bonarum, et ita etiam de ipso gaudere poterunt naturali dilectione et cognitione [1]). Ale będą cierpiały, mówią niektórzy, przez toż samo, że znać będą, jak wielkich dóbr są pozbawione. Bynajmniéj, odpowiada nam św. Tomasz, bo chociaż znać będą cokolwiek Świętych, a jednak nie poznają zupełnie, na czém jasne widzenie zależy. Cognoscent quidem beatitudinem in generali secundum communem rationem, non autem in speciali, a więc i żałować nie będą mogły, czego nie znają: ideo de ejus amissione non dolent.

Jakaż więc będzie szczęśliwość tego stanu? Ponieważ Pan Bóg tego nie objawił, więc i powiedzieć nikt nie może. Ś. Tomasz, tak głęboki w swoich zdaniach, nic więcéj o tém nie mówi. Z tych opinij możemy wnieść jedno to pewne, że Kościół św. nigdy nikogo nie zmuszał wierzyć, że kara zmysłów będzie zachowaną dzieciom bez chrztu umarłym. Kiedy tak jest, jakąż krzywdę Bóg wyrządza dziatkom umierającym bez Sakramentu odrodzenia, odmawiając im dóbr wyższych nad przyrodzone? Widzenie błogosławione jest dobrém tak zupełnie z saméj łaski Bożéj udzielaném, że, gdyby go Pan Bóg nie był przyobiecał, ludziom aniby przyszło na myśl spodziewać się onego. Ponieważ ludzie nie mają żadnego doń prawa, a więc, kiedy go Bóg odmawia komukolwiek, nie popełnia niesprawiedliwości.

Przypuśćmy, że jakiś monarcha jednemu z ostatnich poddanych tę łaskę okazał, że mógł mieszkać w jego pałacu: czy byłoby mu to powodem użalania się na monarchę, że nie posadził go u swego stołu? Jak tylko szczodrobliwość nie jest obowiązkiem, a wspaniałomyślność, mająca swe granice, nie jest niesprawiedliwością, i postępowania Pana Najwyższego ganić nie można.

A bałwochwalcy? I względem nich Pan Bóg nie jest niesprawiedliwym. Przypomnijmy tu prawdy wysokiego znaczenia.

A najprzód nie sądźmy, iżby wszystkie ludy, pod nazwaniem pogan, składały się z samych bałwochwalców; wiele ludzi wśród samego pogaństwa przychodziło do poznania prawdziwego Boga; mamy tego dowód na osobie św. męża Hioba i jego przyjaciół, na osobie ewangelicznego Centuryona, i bardzo podobne do wiary, że nie oni jedni, lecz i bardzo wielu z narodu ich wierzyło jak i oni, albo że u nich zachowały się pierwotne podania, albo też wzięli je od żydów rozproszonych po wszystkich krainach świata, albo nareszcie, że rządzili się rozumem

1) S. Thomas in II. S. D. 33. Q. 2. á 2.

z całą prawością, od rzeczy widomych podnosili się do poznania niewidomych, jak to i Pismo ś. powiada.

Czy urodzonych w bałwochwalstwie tak dalece Pan Bóg opuścił, że nie mieli żadnych środków potrzebnych do zbawienia? Inna rzecz twierdzić, że tych środków nie mieli tak obficie, jak niektóre ludy, inna utrzymywać, że nie mieli całkowicie. Żaden z nich nie został odrzuconym bez własnéj winy. Wszyscy poganie otrzymali tę pierwszą łaskę, jaka jest potrzebną każdemu, aby przyszedł do poznania prawdziwego Boga, mieli jéj dosyć do poznania Go i uwielbienia; gdyby nie mieli téj łaski, bałwochwalstwo ich nie byłoby grzechem, bo tam niema grzechu, gdzie niema poznania złego i wolności uniknienia go. Gdy bałwochwalcy wiernie odpowiadają łasce uprzedzającéj, Pan Bóg nie dla ich zasług, ale przez wzgląd na ich wierność udziela im dalszych pomocy potrzebnych do zbawienia, rozum ich oświeca światłem prawdy, serce umacnia namaszczeniem łaski, aż nim dojdą do umiłowania Go nad wszystkie rzeczy i przez szczery żal za wszystkie grzechy otrzymają przebaczenie.

Wiemy przecież, mówią, że dwie rzeczy potrzebne do zbawienia: chrzest i wiara w Boskiego Pośrednika Jezusa Chrystusa, więc gdzie są niewierni pod tym względem? Konieczność chrztu i wiary w Jezusa Chrystusa nie dowodzi bynajmniéj, iżby miała być zamkniętą droga do zbawienia, kto szczerze pragnie być zbawionym. Święci doktorowie Kościoła czynią uwagę w tym względzie, że znajomość Pośrednika wyraźnie objawioną była od Boga wielkiéj liczbie ludzi, nie należących do narodu żydowskiego, jak świadkiem tego jest św. mąż Hiob, który wołał w zachwycie swego ducha: wiem, że mój Odkupiciel żyje. Którzy zaś nie byli oświeceni tém objawieniem i wiary wyraźnéj w Boskiego Pośrednika mieć nie mogli, dla takich do zbawienia dosyć było wiary niewyraźnéj, przez którą wierzyli, że Pan Bóg zbawi ludzi środkami, jakich się Mu użyć podoba [1]).

Co zaś do chrztu, lubo koniecznie jest potrzebny, kiedy rzeczywiście przyjąć go nie można, dosyć jest pożądać, a jeśli kto nie wie jak jest potrzebnym, co się zdarza między poganami, to ta żądza chrztu znajdzie się w każdéj czynności, w któréj człowiek chce okazać miłość Pana Boga nad wszystko. A przeto, gdyby poganie nie otrzymali tak obfitych środków do zbawienia jak

1) S. Thomas 22 p. 2 á 7.

my mamy, to nie można sądzić, że do tego stopnia są pozbawieni, iżby, przez wierne używanie zostawionych sobie, nie mogli przyjść do zbawienia. Słowem, po wszystkie czasy, Pan Bóg w sposób, jaki Mu się podobało, udzielał środków wszystkim ludziom do poznania Go, a po poznaniu do chwalenia, a skoro ze swéj strony wykonali wszystko, co było w ich mocy, Pan Bóg, który pragnie zbawienia wszystkich, przydawał to, czego sami z siebie nie mogli czynić.

Zarzut tyczący się kacerzy i innowierców jeszcze jest łatwiéjszy do rozwiązania. Lecz najprzód czy to prawda, jak niektórzy utrzymują, jakoby Kościół nauczał, że wszyscy są potępieni? Bynajmniéj. Wprawdzie uczy Kościół, że w nim tylko jest zbawienie, ale to mówi w zupełnie inném znaczeniu, jak mu to wielu przypisuje. Zrozumieć naprzód potrzeba, kto jest uważanym za wyłączonego z Kościoła. Dwoma sposobami można zostać wyłączonym z Kościoła Katolickiego: albo kto się urodził w kacerstwie lub odszczepieństwie, albo błąd przyjął z dobréj woli: kto się narodził w błędnéj religii, ten za to nie odpowiada, dopóki trwa w niéj z dobrą wiarą, to jest, nie mając poważnéj wątpliwości o zasadach swego wyznania. Kościół nie uważa żadnego kacerza za oderwanego rzeczywiście od swego łona i nie uczy bynajmniéj, iżby skutkiem samego materyalnego odłączenia miał być zepchniętym z drogi zbawienia. W tym przypadku innowierca lub kacerz powinien iść według sumienia, czyniąc wszystko, co uważa być potrzebném do zbawienia duszy; a ponieważ został przez chrzest odrodzonym, nauczony mniéj więcéj zasadniczych prawd wiary, a innych nie przyjmuje wskutek tylko niewiadomości, taki, środkami jakie są w jego mocy, jeśli ich tylko sumiennie używa, może zapewnić zbawienie swéj duszy. Prawda, że środki te dla nich są mniéj obfite, niżeli dla katolików; prawda, że protestant pozbawiony jest Sakramentów pokuty i Eucharystyi, za pomocą których tak łatwo nabywa się usprawiedliwienia i łask Boskich; kiedy wszakże, zostając w niewiadomości, nie wie, jak są potrzebnemi, w takim razie, jak sami czynią katolicy, kiedy w niebezpieczeństwie życia brak im duchownéj pomocy Kościoła, może dopełnić tych środków, pobudzaniem się do żalu za grzechy i najwyższéj miłości Pana Boga, a przeto dostąpić odpuszczenia grzechów i zbawienia. Opierając się na téj pocieszającéj nauce, niepłonną mamy nadzieję, że w ojczyźnie niebieskiéj ujrzym wielu naszych miłych braci, odłączonych od naszego Kościoła, bo ich odłączenie jest tyl-

ko materyalne. Ale czy nie zabraknie im łaski potrzebnéj do zbudzenia tych aktów żalu i miłości, od których zależy usprawiedliwienie? może kto powiedzieć. Dla czegoż miałoby im zabraknąć więcéj, niżeli nam? Jak każdy obowiązany jest miłować Pana Boga i w ciągu całego żywota pokładać w nim nadzieję, a osobliwie jeszcze w śmierci godzinę, a jak tego nie można spełnić bez pomocy Bożéj, wierzyć należy, że łaska potrzebna do spełnienia tych aktów wszystkim jest dana. Inaczéj wnieśćby należało, że w obliczu Boga musielibyśmy odpowiadać za winy, których uniknąć nie byłoby w naszéj mocy, co byłoby niedorzecznością i bluźnierstwém przeciwko dobroci Bożéj.

Jeśli odszczepiony lub kacerz, *dobrowolnie i z pełném poznaniem rzeczy*, przyjmują błędne wyznanie, albo w niém zostają *świadomi błędu*, jakiéjże Pan Bóg domierza względem nich niesprawiedliwości, potępiając ich za to, że się zaparli prawdy, albo *nie szukali jéj spostrzegłszy*, że jéj nie mają? Lecz wtenczas oni zamknęli oczy na światłość, wzgardzili prawdą objawioną od Boga i stali się wielkimi przestępcami; a więc nie dziw, że takich Pan Bóg potępia, jako przeniewierców i wielkich zbrodniarzy.

Wszystko to wyjaśnia, jak trzeba rozumieć zdanie: *za Kościołem niema zbawienia*. To znaczy, że niema zbawienia dla tych, którzy nie należą do prawdziwego Kościoła, *wiedząc*, że nie są w prawdziwym Kościele, albo przynajmniéj *mocno wątpiąc*. Ci zaś, co tylko *materyalnie* są odłączeni od Kościoła Jezusa Chrystusa, nie są uważani jako nienależący do Kościoła: należą doń przez prawość i *dobrą wiarę* serc swoich. Gdyby lepiéj były znane te proste prawdy, ustałyby i te bluźnierstwa tak często ciskane przeciw Panu Bogu i owe czarne potwarze, jakiemi starają się zbezcześcić Kościół Chrystusa.

Z tego wszakże nie wypływa, żebyśmy nie mieli dziękować Panu Bogu za tę nieocenioną łaskę, że nam pozwala należeć do Kościoła Katolickiego, nie; bo chociaż to prawda, że wielu innowierców, jakeśmy to wyłożyli, może zbawić dobra wiara, nie można jednak nie zgodzić się na to, że nie mniéj przeto ich położenie daleko niebezpieczniejszém jest od naszego. Z jednéj strony religijne księgi, wykazujące prawdę religii Katolickiéj, częste stosunki z katolikami, niczém nie zmącone światło wiary Kościoła Rzymskiego, odmęt błędów codzień wzrastających w protestantyzmie, są to rzeczy mogące obudzić poważną wątpliwość w umysłach przystępnych do głębszéj rozwagi i stan dobréj wiary bardzo rzadkim uczynić. Z drugiéj znowu

strony, nie tak to im łatwo, jak się zdaje, pójść za promykiem światła, który się raz pokaże: potrzeba badania i dostatecznéj nauki, aby przyjść do przekonania zupełnego, a zawsze odwagi do przyjęcia i wyznania prawdy, kiedy ją poznają. — Tu wzgląd na ludzi, tam dotknięta własna miłość.—Przez ileż to sądów świata trzeba przejść, nim się odważy na krok ostatni! A czy wszystkie dusze zdolne są zdobyć się na taki wysiłek woli, podczas gdy my, wskutek Boskiéj dobroci, posiadamy prawdę i wszystkie środki właściwe do ułatwienia zbawienia duszom naszym i nie doznając w tém żadnéj przeszkody, oprócz własnych namiętności naszych?

Nadto, chociaż nie ulega wątpliwości, że każdy kacerz, jakeśmy to wykazali, co do swoich zasad *może być usprawiedliwionym, skutkiem swego przekonania*, wszelako co do praktyki życia chrześcijańskiego wielkie ma przed sobą trudności.— Niebo jest nagrodą, a nagrodą dobrego życia, co oznacza niewinność zachowaną lub odzyskaną przez żal i miłość Pana Boga nad wszystko. Świątobliwość zaś i cnota nie są łatwe dla nikogo na tym świecie; doświadczamy tego sami codziennie, my katolicy, mający tyle pomocniczych środków, których innowiercy nie mają. W naszém ręku doskonała wiedza środków, służących do usprawiedliwienia: nam zalecane jest codzienne ćwiczenie się w cnotach wiary, nadziei i miłości; z Ofiary przenajświętszéj spływają na nas łaski szczególne; Sakrament pokuty przywraca nam przyjaźń Boga; szczególna opieka Matki Boskiéj i wzywanych przez nas Świętych Pańskich, jest jakby dziedzictwem naszém; wszystkie łaski, których Kościół jest szafarzem, do nas należą; nadostatek mamy w swém posiadaniu źródło wszelkiego dobrego, Boską Eucharystyę, a przez nią połączeni z Jezusem Chrystusem rzeczywistym związkiem, znajdujemy siłę do opierania się namiętnościom, pociąg do cnoty i obeznanie się z nadprzyrodzoném życiem łaski. Jeżeli przy tylu potężnych środkach, a jednak w każdéj niemal chwili czujemy, jak trudno walczyć przeciwko występnym skłonnościom natury, czegoż nie mają doznawać nie mający żadnych pomocy religijnych, a zostawieni własnym swoim siłom?

Nie wspomnę już o tych, którzy, wskutek obmierzłego racyonalizmu zaprzeczając Bóstwa Chrystusowi Panu, są już tylko chrześcijanami z imienia; los takich jest ten co dusz buntowniczych, przeciwko Sprawcy ich życia.

Wszystko to, powiedzą niektórzy, dowodzi najjaśniéj, że na tym świecie Pan Bóg jednym mniéj sprzyja, drugim więcéj. Bez wątpienia,

Pan Bóg ma swych wybranych, których szczególnie uwzględnia. Ale jakiż stąd wniosek? Chcieliżbyście Panu wszech rzeczy zaprzeczyć prawa, któregobyście nie chcieli aby wam zaprzeczano, wam, dzieciom ziemi i nędznym robakom? Sami chcecie mieć swobodę dania jednemu ubogiemu większéj jałmużny, drugiemu mniejszéj, zaopiekować się szczególniéj pewną klasą osób, zpośród wielu ubiegających się wybrać sługę, robotnika, kupca, rządcę, jakich wam potrzeba. Nie przypuszczacie nawet, iżby była w tém jaka niesprawiedliwość, gdyście dali komu pierwszeństwo, nie czyniąc istotnéj krzywdy nikomu, a śmielibyście Panu Bogu odmawiać podobnego prawa? I śmielibyście od Pana Najwyższego wszech rzeczy domagać się rachunku z miłości Jego i szczodrobliwości? Nam wolno kochać, kogo zechcemy, obdarzyć, kogo się nam spodoba, a Jemu nie ma być wolno podobnie postąpić?

Jednak jeszcze jedno uważmy, że nasze względy prawie nigdy nie są bez jakiejś wady. Nieporządna miłość albo wstręt naganny, tysiące względów ludzkich kierujących naszém zdaniem, mogą nas uczynić niesprawiedliwymi i wybór nasz może być częściéj skutkiem natchnienia namiętności, niżeli rozumu. We względach Boga, z natury swojéj świętego i sprawiedliwego, nic podobnego zajść nie może. A więc nam śmiertelnym pozostaje tylko czcić Jego tajemnice, które Jego mądrość sobie zachowała, a dobroć Jego odpowiada, że wszystko urządził dla większego wszystkich dobra. A czyż do nas zresztą należy podciągać Pana Boga pod nasze prawidła i mierzyć Go według naszéj skali?

Wiedza i przeznaczenie.

Od wieków Bogu wiadomo, mówią, *kto z nas zbawionym będzie, a kto potępionym.* I na cóż się zdało tyle ponosić trudów dla zapewnienia sobie przeznaczenia wiecznego? Gdybyśmy nie wiedzieć co czynili, zawsze tak będzie, jak Bóg przewidział.

Zanim wprost odpowiem na ten zarzut, spytam mojego czytelnika: „Na co masz ponosić tyle trudów dla zbijania grosza do grosza? Alboż ci nie wiadomo, że gdybyś się starał najsilniéj i pracował, przecież z majątkiem twoim stanie się tak, jak Bóg przewidział“. „Zapewne, wiadomo Bogu, czy będę kiedyś bogatym, czy zostanę w ubóstwie; tego ja nie wiem, a że fortuna nie przychodzi sama do mieszka-

nia wyglądających jéj, postanowiłem pójść na jéj spotkanie, a pracą moją i staraniem zmusić ją, żeby się do mnie obróciła“. „Tak więc, gdy nawet *nie wiesz, jaki będzie koniec twych usilności, nie porzucasz wszakże ani pracy, ani interesów twoich*, dla tego tylko, że Panu Bogu już wiadomy ich skutek. Byłby to bowiem wielki nierozsądek!“ O dzieci ziemi! czemu w wielkiéj sprawie zbawienia dusz waszych nie używacie téj roztropności, jaką pokazujecie w rzeczach tego świata? Czemu nie zajmujecie się z równym zapałem pozyskaniem nieba, jakby to od was całkowicie zależało?

Chociaż Pan Bóg wie, jaki będzie skutek woli człowieka, tém jednak przewidzeniem bynajmniéj nie ścieśnił wolności jego. Kiedy spełniam prawo Boże, kiedy unikam grzechu albo pokutuję za winy, Pan Bóg widzi, że zbawiam moją duszę; jeśli, przeciwnie, czynię zło i trwam w nieprawości, Pan Bóg widzi, że sobie gotuję zgubę. Lecz jeszcze powtarzam, że chociaż Pan Bóg wie zawczasu, co czynić będę w interesie mojego zbawienia, to jednak w niczém nie krępuje swobodnych moich czynności. W Bogu, jakby w najczystszém zwierciadle odbijają się wszystkie nasze sprawy, wprzód nawet, nim będą dokonane; ale dla odbicia w tém zwierciadle możemy okazać, co się nam spodoba. Człowiek na tym świecie podobny jest do aktora na scenie: wielkim widzem naszym jest Pan Bóg; a jeśli w swojém nieskończoném przewidzeniu widział sztukę odgrywaną, ocenił całość jéj i najmniejsze szczegóły wprzód nawet, nim się podniosła zasłona, przedstawienie jednak będzie takie, jakie uczynić podoba się człowiekowi.

To nas naturalnie prowadzi do kwestyi przeznaczenia, z któréj tyle już powstało sprzeczek i tyle urosło błędów. Będę zbawionym, skoro jestem *przeznaczony*, a jeśli nie, to zginę, choćbym nie wiem co czynił. Błąd, błąd potworny! Zapomocą przeznaczenia Pan Bóg tylko uświęcił swym Boskiém wyrokiem skutek wolnéj woli człowieka. Gdy wcześnie widział, że wolnéj woli używasz na korzystanie z łask Jego i prowadzenie życia świątobliwego aż do ostatniéj godziny, postanowił odtąd u siebie, że będziesz zbawionym: oto przeznaczenie! Przeciwnie, jeśli widział, *żeś wolności woli twojéj* używał na odrzucanie łask Boskich aż do ostatniéj chwili życia twego, odtąd postanowił dozwolić ci wpaść w wieczne przepaści: oto odrzucenie! Ale nie dlatego, że wcześnie przewidział wszystko, uczynki człowieka i los jego wieczny takim lub innym być koniecznie musi. — Boskie po-

stanowienie bynajmniéj nie wpływa na to, iżby człowiek czynił dobro albo zło, a następnie żeby zyskał lub stracił niebo.

Przetoż niechaj nikt nie mówi, że niepodobna pojąć, jak Boskie wyroki są nieomylnemi, gdyż ich skutki zależą od naszéj woli.—Podobnie się dzieje z duszą jak i z interesami materyalnemi, ze zdrowiem np., z zachowaniem życia, z wygraniem bitwy i wszystkiemi innemi wypadkami. Pan Bóg wiedział, jak się stanie, wszakże to przewidzenie w żaden sposób nie wpływa na naszą wolną wolę. We wszystkich tych ważnych okolicznościach naszego życia, których jedyne, powiadają, rozwiązanie jest *zapisane w Niebie*, nie uważamy naszych starań za nieużyteczne, a postępujemy zawsze, jak gdyby skutek onych zależał od nas samych; dla tegoż to w chorobie używamy lekarstw, pokarmów dla utrzymania życia, dla zwyciężenia nieprzyjaciół przeciwko nim walczymy: podobnież w porządku nadprzyrodzonym, niechaj sobie już zapisano będzie w Niebie o naszém przeznaczeniu, powinniśmy wierzyć, że zbawienie nasze od naszego starania zależy, a następnie nie ustawać w modlitwie, w czuwaniu nad sobą i w zachowaniu Prawa Bożego.

Gdyby się znalazł człowiek do tyla nierozsądny, iżby nie chciał niczego podjąć dla zachowania życia, dla przywrócenia nadwątlonego zdrowia, albo dla zapewnienia sobie zwycięztwa wobec zagrażającego nieprzyjaciela, pod pozorem, że wypadek wszelkiéj rzeczy jest *zapisany* w Niebie, każdy rozumny zgodzi się, że ów człowiek musiałby samemu sobie przypisać czekające go nieszczęścia, i każdy również będzie odpowiedzialny za zgubę swéj duszy, kto z podobnéj pobudki nie używa środków, potrzebnych do zbawienia. Owo przyczyna: dla czego Pan Bóg, postanowiwszy dać nam pewne łaski, przywiązał do tego ten warunek, że będziemy wiernie używali środków podanych przezeń dla dojścia do tego celu. *Tak, postanowił nam dać życie wieczne, lecz pod warunkiem, że użyjemy środków przezeń na ten cel przygotowanych.*

Gdyby te uwagi nie zdołały cię, czytelniku, uspokoić w téj kwestyi, weź się do tego z innéj strony i przypomnij sobie niektóre wielkie prawdy wiary: w nich znajdziesz pomoc i zaczerpniesz pociechę. 1. Jakkolwiek będziesz uważał Boskie przeznaczenie, to jedno pewne, że Pan Bóg chce nas zbawić. Tę wolę swoją jawnie okazał, dając nam swego Syna, a boleśna Jego ofiara spełniła się w celu zbawienia każdego w szczególności człowieka. Gdy wyobraźnia wzbudzi w tobie niepokój, możesz i powinieneś sobie powiedzieć, że Chrystus Pan

za ciebie umarł i za twoje zbawienie, i powtórzyć słowa Apostoła: *Propter me et propter meam salutem* („Dla mnie i dla mojego zbawienia“). 2. Mając stanowczą wolę zbawić cię, abyś ten cel osiągnął, zgotował ci wszystkie pomoce w obfitości. Zgotował ci ich wiele tak w porządku łask widomych, jak i wewnętrznych; bądź im wierny, a zostaniesz zbawionym. 3. Nareszcie, choćby tajemnica przeznaczenia została dla ciebie niepojętą, pamiętaj jednak o tém, że ona nikogo nie pozbawia wolności nadanéj od Boga czynienia dobrego i unikania złego. Pismo ś., wyroki Kościoła o tém cię zapewniają, a sam rozum dostatecznie się przekonywa, jakąby niedorzecznością było przypuszczać w Bogu wolę karania tego, który nie miał woli czynienia dobrego, a nagradzania niemającego woli ku złemu.

Pamiętaj nakoniec, że wciągu życia w mocy twojéj jest zawsze przy Boskiéj pomocy zbawić twą duszę; ponieważ aż do śmierci wierzyć, ufać i miłować Pana Boga nad wszystko jest niezmiennym dla ciebie obowiązkiem, musisz koniecznie mieć możność spełnienia tego obowiązku. Niechaj się więc nikt nie użala, że nie może wierzyć, ufać i miłować, bowiem kto szczerze pragnie łask, zawsze je najpewniéj otrzyma, chybaby wina jego stanęła na przeszkodzie.

Jeszcze i druga doskonałość Boska nie przy jednéj okoliczności wywołała ciężkie zboczenia; i coby zdaje się przypuścić niepodobna, ludzie o niewymownéj dobroci Boga odzywają się w sposób najwystępniejszy. Osy i pszczoły z tych samych roślin wyciągają soki, a przecież jedne z nich wyrabiają truciznę, a drugie czysty i przyjemny miód; tak i źli w rozważaniu dobroci Bożéj znajdują zachętę do złego, podczas gdy dobrzy widzą w niéj pobudkę do pracowania gorliwie nad tém, aby stali się lepszymi. *Tak dobrym jest Pan Bóg*, mówią bezbożni w złości swojéj, *że nie chce nikogo potępiać, nie obraża się naszemi grzechami, nie mści się bynajmniéj; lituje się nad nędzą naszą, a tak dobrze zna naszą ułomność.* A ni sądź, iżby te rozmyślania miały im posłużyć do żalu i wzbudzić w nich jakie dobre postanowienia; zupełnie przeciwnie: ten tylko mają skutek, że ich uwalniają od bojaźni piekła, a bojaźń to niewygodna, i tłumiąc w nich głos sumienia, zapewniają spokój w nierządach.

Rozważmy przeto na chwilę, co znaczą na ustach grzeszników owe pochwały dobroci najwyższéj.

Dobry jest Pan Bóg zaiste; ale czy dobroć jedynym jest Jego przymiotem? Tak utrzymywać byłoby niedorzecznością. W Bogu wszy-

stkie znajdują się doskonałości, i są w Nim w całéj pełni. Widzimy w Nim sprawiedliwość, i jest On samą sprawiedliwością. Podziwiamy świętość, i jest samą świętością; czystość, i jest czystością najdoskonalszą: przetoż oko Jego nie może znieść niesprawiedliwości, serce nie może jéj pobłażać, wszystkie Jego doskonałości odtrącają ją ze wstrętem. Jeśli Pan Bóg nie karze natychmiast grzesznika, jeśli cierpi grzech na świecie i nie ściga go, to dla tego, że jest nieskończenie cierpliwym i czeka nawrócenia serc, w których, niestety! grzech zapanował.

Przypuścić inaczéj, byłoby to uczynić Boga spólnikiem wszystkich zbrodni człowieczeństwa. Chcesz-li to lepiéj osądzić? Uważ, jakieby na tobie wrażenie zrobiło, gdybym powiedział: ten ojciec ma dzieci nieposłuszne, krnąbrne, przewrotne, bez czci dla ojca, bez uszanowania dla matki; są one zakałą całéj rodziny, plagą sąsiadom i zgorszeniem całéj okolicy; jednak ojciec ów do tego stopnia posuwa swą dobroć, że nie chce zasmucić dzieci swoich upominaniem, a tém bardziéj karą jaką: ledwo że przestrzeże łagodnie, prosi i zaklina; a nawet wspomnieć mu nie można, żeby je ukarał. Posłuchaj jeszcze pochwały sędziego, który ma obowiązek przestrzegać sprawiedliwości w pewném mieście. Znalazł on to miasto pełne morderców i wszelkiego rodzaju złoczyńców. Przyprowadzono przed jego sąd przestępców. Ale co powiesz? Ów sędzia tak jest dobrym, że nie może się odważyć ukarać żadnego. Na to jedno tylko zdobyć się może, że upomina ich łagodnie, aby się dobrze prowadzili, poczém odprawia ich od siebie w pokoju. Co powiesz o tych dwóch osobistościach? Co pomyślisz o tym ojcu rodziny? Jakim ci się wydaje ów sędzia? Czy nie odpowie ci prosty zdrowy rozum, że ów ojciec jest niedołęgą, a sędzia winnym wszystkich niegodziwości, jakich się dopuszczają za jego pobłażaniem? Otóż nie inną dają niektórzy pochwałę dobroci Boskiéj. Bo gdyby Pan Bóg nigdy nie ukarał, gdyby pogróżki Jego były czczym wyrazem, gdyby nareszcie, grom Jego był próżném echem w powietrzu, natenczas powiesz sam, czy byłaby jaka pobudka do bojaźni i miłości Jego? Ach! ci co mówią o dobroci Pana Boga, zapominając o nieodłącznéj Jego sprawiedliwości, zamiast czcić Boga, urągają Mu straszliwie.

Nadto, jeśli Pan Bóg, jako Najwyższa Dobroć, nie może obrażać się żadnym naszym uczynkiem, to na cóż nam nadał prawo i tyle rzeczy przepisał? Śmiesznem byłoby i niedorzecznem to zalecać, co niema żadnéj wagi. A co jest gorsza, na co do swych przykazań tyle dodał surowych pogróżek? Miałżeby zostać podobnym nam śmiertelnym gadułą, nam, którzy najgłośniéj zwykle wtenczas krzyczymy, gdy nie możemy nakazać poszanowania naszym wyrazom?

Pismo ś. nigdy nie oddziela dobroci Boga od Jego nieskończonéj sprawiedliwości: *dulcis et rectus Dominus*. Słodkim jest Pan i dobrym, ale też jest prawym i sprawiedliwym. Jest dobrym! ach! aż nadto tego dowiódł, kiedy będąc Bogiem, dla nas stał się człowiekiem i raczył umrzeć na krzyżu; dobrym jest, i dla tegoż to obdarza nas niezliczonemi łaskami, czeka naszéj poprawy, jedyną zda się mieć chęć przebaczyć nam i miłość naszą nagrodzić chwałą wieczną. Dobroć zatém Jego nie podlega żadnéj wątpliwości, lecz nie jest taką, iżby miał przez szpary patrzeć na zbrodnie swego stworzenia; pomimo swéj dobroci nieskończonéj, utworzył piekło dla buntowniczych aniołów, wtrącił ich w nie tysiącami. Dobrym jest, lecz obok dobroci, ludy, które domierzyły swych nieprawości, oddaje na zagładę i wyklucza z liczby narodów. Dobrym jest, a jednak tu na ziemi nie szczędzi nam ani kar osobistych, ani klęsk ogólnych. Dobrym jest, ale potężne Jego ramię często w chwili zbrodni uderza grzesznika, a dobroć Jego nie uchroni od potępienia wiecznego tych, którzy przed śmiercią nie ułagodzą Jego sprawiedliwości przez pokutę. Równie jak największa liczba bezbożnych nie zdoła zastraszyć Go na Jego tronie, podobnie nie wzruszą Go obłudne pochwały, których źli nie szczędzą dla Jego dobroci, aby z niéj sobie uczynić tarczę przeciwko ciosom Jego sprawiedliwości.

Ale możnaby wnieść z tego, odpowiedzą nam pewni ludzie płytkiego pojęcia, *że Pan Bóg podlega uczuciu zemsty, a czy przystało pod każdym względem, aby Pan Bóg był mściwy?* Doprawdy? Mieliżbyście to uważać za rzecz naturalną, że my, nędzne robaki ziemi, z łona naszego nicestwa, możemy urągać Bogu, wyzywać Go codziennie wyłamywaniem się z pod Jego praw, nieposłuszeństwem, a Panu Bogu nie wolno było objawić sprawiedliwości dla nakazania nam szacunku dla woli Jego? Pomyślcie tylko, co mówicie, przypisując zemstę Bogu. Zemsta osobista dla wielu powodów wzbroniona nam jest, grzesznikom; najprzód, że w krzywdzie nam wyrządzonéj nigdy nie możemy poznać stopnia winy bliźniego, gdyż Pan Bóg jeden przenika głębię serc ludzkich; daléj dla tego, że czyn zemsty jest czynem władzy, któréj jedna osobistość nie może wykonywać nad drugą, nie mając ku temu wyraźnego prawa; potem dla tego, że namiętności, którym podlegamy, często potrafią zwichnąć nasz sąd w tém, co nas

zbliska dotyczy; dla tego nareszcie, że Pan Bóg chce dla naszego udoskonalenia, abyśmy byli naśladowcami łagodności i miłości Jezusa Chrystusa. Stąd wynika, że zemsta dla nas jest wielkim występkiem. Ale zemsta Najwyższego nie jest do naszéj podobna, bo jest czynem sprawiedliwości. Ponieważ grzech, jako pogwałcenie prawa Bożego, jest nierządem, musi być naprawionym. Skoro człowiek nie naprawi go przez dobrowolną pokutę, Pan Bóg zmuszony jest dopełnić téj naprawy pokutą przymusową. Ale grzech, który ma karać, Pan Bóg zna we wszystkich okolicznościach, a więc i ukaranie przezeń domierzane jest stosownem do ciężkości grzechu. W Jego ręku Najwyższa władza, karząc, swe prawo wypełnia. Wolny od wszelkiéj namiętności, w sądach swoich najściślejszą sprawiedliwość zachowuje. Kiedy więc karze, to jedynie z téj przyczyny, że tego wymaga prawo Najwyższéj sprawiedliwości.

Niechaj więc daleką będzie od serc naszych zbytnia ufność w dobroć Boską; bo polegając na saméj dobroci Boga, na to się wystawiamy, że doświadczymy Jego sprawiedliwości. Nad tém dwa rodzaje grzeszników zastanowić się powinny. Ci najprzód, którzy grzeszą bez bojaźni, zbytnio ufając w przebaczenie i miłosierdzie; bo Pan Bóg dla tego nawet, że jest dobrym, musi karać tych zuchwalców, aby ich obrzydłe zasady nie zapanowały na tym świecie, i żeby ludziom nigdy nie przyszło do głowy tém swobodniéj obrażać Boga, że wiedzą Go usposobionym do użycia względem nich dobroci i pobłażania. Owi nareszcie, którzy będąc otwartymi nieprzyjaciołmi dobrych, chcieliby ich wyniszczyć z oblicza ziemi i ścigają ich całą mocą nienawiści, zniewagi, potwarzy, oddychając jedyną chęcią im szkodzenia, a cierpliwość, z jaką dobrzy znoszą ich wzgardę i krzywdy, tém większą w nich obudza zaciekłość. Dziś, prawda, mścić się ludziom nie wolno; i dobrzy nie mszczą się, ale przyjdzie dzień, w którym wolni już od ludzkich namiętności, przez samą miłość sprawiedliwości, wzniosą ręce do Boga i prosić będą, aby pomścił ich krzywdy: *Vindica sanguinem nostrum;* a Pan Bóg, który sobie zachował pomstę, usłucha tych głosów i okaże wszystkim, że dobroć Jego nie przeszkadza Mu ścigać winowajców, jak sądzą bezbożni, a sprawiedliwość Jego wymaga, aby się pomścił zniewagi wyrządzonéj Jego Majestatowi Najwyższemu, w osobie sług Jego.

Religia.

Religia jest koniecznie potrzebna, nikt temu nie zaprzeczy; ale nie mało jest takich, którzy odmawiają Panu Bogu wszelkiéj czci, chociaż do niéj ma prawo niezaprzeczone, i ażeby uniknąć opinii świata, nadali wziętość pewnym zdaniom, które, raz uznane za prawdy, tysiączne nierządy usprawiedliwiają. *Wszystkie religie są dobre,* powiadają: i do czegoż tyle sporów i śledzeń religijnych? Jedni tylko nietoleranci nie uznają téj wielkiéj prawdy i chcą, by wszyscy stosowali się do ich sposobu widzenia. Te sławne zasady obiegają świat i słyszeć można, jak je głoszą osobistości tak wysoko postawione w opinii ludzkiéj, iż z trudnością zdołasz się przekonać, że krzyczącą nieprawość w sobie zawierają; ztąd téż rozważmy je na chwilę.

Wszystkie religie są dobre. To samo zdanie jest zachętą do największéj zbrodni, jakiéj człowiek dopuścić się może; bowiem ono znaczy, że nie masz żadnéj różnicy między najohydniejszym zabobonem, najbrzydszém bałwochwalstwem, najniedorzeczniejszym błędem, jakiego umysł ludzki może zostać igraszką, i najczystszym aktem czci, na jaką się zdobyć można względem Pana Boga. Są religie, jak np. żydowska, muzułmańska, braminów, irokezów, wyspiarzy sandwichskich, w których nie uznają Chrystusa, padając na twarz przed Mahometem, Buddhą, Siacca, lub jakimkolwiek bałwanem. Jeśli każda religia jest dobra, to trzeba będzie mówić, że fałsz i prawda są jedną i toż samą rzeczą, że czcić Boga albo obrażać, uznawać Go lub nie wiedzieć o Nim, oddawać cześć Bogu lub kłaniać się djabłu pod postacią bałwana, są dwie równie chwalebne czynności. Trudno wynaleźć potworniejszą niedorzeczność!

Dla czegoż więc w starym Zakonie tak stanowczo Pan Bóg zabronił bałwochwalstwa? Dla czegoż tak strasznemi karami pogroził tym, coby się dopuścili tego przestępstwa? Dla czego ścigał w swym gniewie tyle bałwochwalczych narodów, skazując je na wytępienie za to, że były *niewiernemi.* Po co z troskliwością nieskończoną czuwał nad swym ludem, aby go uchronić od tego nierządu? Na cóż to wszystko, jeśli ma być prawdą, co dziś rozgłaszają, że każda religia dobra i równa w obliczu Boga?

Przed przyjściem Chrystusa Pana, lud żydowski miał religię, i miał religię dobrą, bo uznawała jednego prawdziwego Boga i odda-

wała Mu cześć w świętych obrzędach objawionych i wymaganych przez samego Boga. Jeśli wszystkie religie są dobre, jakże się to stało, że Chrystus Pan przyszedł na świat zmienić i usunąć religię żydowską? Jeśli Pan Bóg jednakowo przyjmuje każdą, jakabykolwiek była, religię, to zmiana ta była zupełnie nieużyteczną. Lecz może, pochwalając wszystkie religie, te tylko mają na widoku, które uznają Chrystusa Pana? Przypuściwszy nawet, że to zdanie na tém się ogranicza, to przecież nie jest mniéj bezbożném, nie mniéj niedorzecznem. Kto bowiem nie wie, na ile sekt podzielił się protestantyzm? Zasady, jakich z początku z takim zapałem broniono, dziś już prawie powszechnie odrzucono. Co utrzymują luteranie, temu przeczą kalwini; co przypuszczają kalwini, to odrzuca kościół szkocki; doktryny kościoła szkockiego zbijają anglikanie, anglikańskich doktryn nie chcą znać dyssydenci i tym podobni. Każda sekta, gdy potrafi złożyć jedno wyznanie, to trwa ledwo dzień jeden, bo każde jutro przynosi zmianę. Ztąd pochodzi, że co w oczach jednych jest prawdą niezbitą, podług zdania drugich nie warte potwierdzenia. Są to fakta, a fakta niezaprzeczone. Jakże więc można powiedzieć, że wszystkie religie są dobre Toż samo to byłoby co dowodzić, że względem jednego przedmiotu *tak i nie* są jednostajnie prawdziwemi; byłoby to *np.* utrzymywać, że dobrze jest czcić Najświętszy Sakrament ołtarza z katolikami, a razem myśleć z kalwinami, że ten akt czci jest bałwochwalstwem; jest to samo, co powiedzieć, że dobrze jest otrzymać rozgrzeszenie w Sakramencie Pokuty jak uczą katolicy, i równie dobrze szydzić z tego, jak czynią anglikanie, że dobrze jest czcić w Jezusie Chrystusie prawdziwego Syna Boga żywego, jak czyni wiele sekt zgodnie z tém Kościołem Katolickim, i że równie jest dobrze mieć Chrystusa Pana za proste stworzenie z socyanami i unitaryuszami.

Ale tak czyniąc dokąd zajdziemy? Taka mowa czy nie jest wyraźném szyderstwem z Chrystusa i nie znaczyż toż samo, jakbyśmy mówili: albo Zbawiciel nie objawił tego, w co ludzie wierzyć i co czynić powinni: albo nie potrafił nauki swojéj uczynić zrozumiałą, albo naostatek mało Go obchodzi wiara i postępowanie Jego czcicieli?

Żeby zrozumieć, jak są krzywdzące Chrystusa Pana zdania podobne, dosyć jest rozważyć, z jaką gorliwością ten Boski Mistrz usiłował nauczyć nas prawdy.

Jedyny Syn Boga, pomimo że nieskończona przestrzeń oddzielała Go od nas, stał się człowiekiem; wdziawszy na się widome kształty naszego człowieczeństwa, opowiada, naucza, stanowi Kościół, czyni

go strażnikiem swojéj nauki, daje mu Swego Ducha i przyrzeka, że z nim będzie aż do skończenia wieków, aby błąd nie wziął nad nim góry. Dla rozpowszechnienia prawd, które opowiedział własnemi usty, posłał Apostołów na cztéry części świata; utwierdza ich przez różne dziwy, cuda i łaski; te świadectwa pieczętuje najczystszą krwią wiernych swoich; i kiedy tyle uczynił, aby ludzi doprowadzić do poznania prawdy, aż owo zjawiają się nowi mistrze nauczający nas, jakby jacy objawiciele wielkiéj tajemnicy udoskonalenia, że nasza wiara i praktyki religijne mało obchodzą Chrystusa Pana. Zaiste, nie są że to szyderstwa z nauk Boskich?

Kiedy już dosyć naszydzili z Chrystusa, naturalnie przechodzą do szyderstw z Kościoła. Wznoszą swą kazalnicę przeciw Jego kazalnicy, i z niéj nauczają tego, co jest przeciwném Jego nauce. Kto tego nie postrzeże? Jeśli każda religia jest dobra, to już niema żadnych kacerstw, a przecież Apostoł mieści kacerstwo w tym samym rzędzie, co i mężobójstwo i cudzołóztwo [1]), chce, aby kacerza wyłączano z grona wiernych, i utrzymuje, że kacerze nie będą dziedzicami królestwa niebieskiego. Jeśli każda religia dobra, to Jan św. Apostoł niesłusznie postąpił, zalecając wiernym, aby kacerza nie przyjmowali do swych domów, albo, jak świadczy św. Ireneusz, nie chcąc iść do łaźni publicznéj, w któréj się znajdował kacerz Cerynth. Jeśli wszystkie religie są dobre, to wszystkie zalecenia Apostoła wiernym, aby strzegli od naruszenia składu wiary i mówili o niéj z całą dokładnością, należy chyba uważać za śmieszne; chyba należałoby jeszcze uważać za próżne i nieużyteczne wszystkie usilności Kościoła w celu ochronienia wiernych od wszelkiéj nowości w św. Wierze. Jeśli wszystkie religie są dobre, natenczas wszystkie te sobory, na których stanowiono o artykułach naszéj wiary, były niepotrzebne; a walka, jaką ciągle aż do dni naszych Kościół toczy z kacerstwem, jest bez żadnego pożytku. Jeśli wszystkie religie dobre, to trzeba za półgłówków uważać wielu biskupów, kapłanów i wiernych, którzy znieśli okropne lochy i najboleśniejsze męki, ponosząc z radością najokrutniejszą śmierć dla utrzymania prawdy katolickiéj, przeciwko aryanom, nestoryanom, przeciw nareszcie wszelkim błędom kacerstwa i odszczepieństwa.

Powiem jeszcze więcéj. Jeśli dobra każda religia, wtedy nie tylko nieużyteczne są czujność biskupów i gorliwość kapłaństwa w posłudze wiernym, ale i założenie Kościoła nie było potrzebném; obecność

---

1) Galat. XX. 21.

Ducha Ś. była próżna, co tylko Chrystus Pan uczynił było zbytecznem, bo wszakci były religie i przed przyjściem Jego. Naostatek, jeśli każda religia dobra, bez celu są i kazania ministrów protestanckich i wszystkie deklamacye niewiernych; na co się zdały wszystkie usiłowania, aby katolików przeprowadzić na protestantów, albo uczynić ich deistami, ateuszami, albo materyalistami? Jeśli każda religia dobra, co zyskują, przywodząc ich do swojéj, albo co tracą katolicy, zostając czém byli? Ponieważ katolicyzm jest także religią, to i ta religia jest równie dobra, jak inne.

Któż z tego nie widzi, że maksyma, uznająca wszystkie religie za dobre, jest ostatecznie niedorzeczna, jest ciężką obrazą rozumu i zdrowego rozsądku? Bo chyba trzeba być szalonym i pozbawionym rozumu, aby módz uważać za udane to uczucie, które ożywiało wszystkie pokolenia, jakie od wieku do wieku, od pierwszych dni chrześcijaństwa dowiodły swą gorliwością, przez swe czyny, a nawet walki religijne, że nie tylko nie wierzyli, aby każda religia była dobra, ale jedną tylko miały za Boską i prawdziwą, i byli przekonani, że prawda godna jest największych ofiar. Jeśli z jednéj strony prawda jest jedyną, jeśli Chrystus Pan jedno tylko uczynił objawienie, jeśli to tylko prawdą jest, co objawił, wniosek tego jasny, że jedna tylko religia prawdziwa i jedna religia dobra.

Cóż więc znaczą te słowa: *poważam wszystkie religie?* Toż samo znaczą, jakby ktoś powiedział: nie wierzę w żadną prawdę, albo: wszystkie uważam za wątpliwe, albo raczéj: sądzę, że każda kwestya religijna jest tak małéj wagi, że i rozbierać jéj nie warto. Pierwsze zdanie zawiera w sobie negacyę wszelkiéj prawdy objawionéj; przypuścić je, jest to samo, co oświadczyć, że wszystkie dowody, które ludy i panujących, uczonych i prostaków, skłoniły do przyjęcia chrystyanizmu, nie mają żadnéj podstawy. Drugie jest formalnym aktem apostazyi, bo kto wątpi o swojéj wierze, już został niewiernym. Trzecie zdanie nakoniec równa się temu, jak gdyby kto powiedział: mało na tém zależy, żeby człowiek posiadał prawdę tyczącą się Boga; że nie koniecznie wiedzieć, co spowodowało Boga, że zstąpił z Nieba dla objawienia nam tego; że człowiek, nareszcie, nie ma potrzeby zbytecznie troskać się o ostatni koniec, do którego odnosi się każda religia.

Jest to coś z górnéj filozofii i tolerancyi humanitarnéj, któremi zwykli się popisywać ludzie naszego wieku; jest-to nic więcéj, jak pozór tylko, tak ślepy bowiem szacunek dla każdéj religii sprzeciwia

się koniecznie równie zdrowéj filozofii, jak i wszelkiéj prawdziwéj ludzkości. Bo czyż kiedy prawdziwy filozof poważał dwa zdania sprzeczne? Jeśli filozofia ma być troskliwém poszukiwaniem prawdy,— zasypiać w błędzie, lub co gorsza, posuwać się aż do szanowania go, jest czynem najmniéj filozoficznym, o jakim tylko da się pomyśleć. Czyn ten nadto sprzeciwia się wszelkiéj prawdziwéj ludzkości, bo jeśli ludzkość każe nie pogardzać zostającymi w błędzie, litować się nad nimi i kochać ich, to wszakże nigdy nie uczyła, że należy cierpieć błąd jakikolwiek, zwłaszcza kiedy sprowadza za sobą wielki uszczerbek dla ludzi.— Takie są właśnie skutki owéj sławnéj zasady: *poważam wszystkie religie*, bo to znaczy: wszystko poważam, co wiem, że nie może być prawdziwém, bo prawda nie może znajdować się w dwóch sprzecznych zdaniach; poważam błąd i nie będę powstawał przeciw niemu, chociaż gubi dusze. Gdybyś miasto tego powiedział: lituję się nad tymi, których fałsz obłąkał, kocham ich, a otaczające ich ciemności nie zdołają we mnie obudzić ku nim żadnéj niechęci,— o! wtedy mówiłbyś jak człowiek; więcéj powiem, mówiłbyś jak prawdziwy katolik, albowiem, jak zapewnia św. Augustyn, prawdziwe godło katolika jest brzydzić się błędem i litować się nad losem dusz obłąkanych. Lecz obojętnie patrzeć na błędy, niedorzeczności i obłąkania ludzkie i oświadczać dla nich szacunek, jest to pokazać, że jest się razem półgłówkiem, bezbożnym i wrogiem ludzi; półgłówkiem, bo przez to wyznaje się poszanowanie dla tego, co najmniéj warte szacunku, to jest dla błędu; bezbożnym, bo wyznaje się szacunek ku temu, co tak sprawiedliwie obudza gniew Boży i ohydę; wrogiem ludzi, gdyż przez swoją tolerancyę zachęca się do tego, co dla nich jest zgubą.

Czy utrzymujesz przeto, odpowiadają jeszcze niedowiarkowie, *że wszyscy, którzy nie trzymają z tobą, będą skazani do piekła?* Kochany czytelniku! na ten zarzut już wyżéj czytałeś odpowiedź. Wykazano ci, co się tyczy pogan i kacerzy, że Pan Bóg dla nikogo nie ubliża swéj Opatrzności, a następnie, że ci tylko idą do piekła, którzy tam się dostać pragną. Nie będę więc powracał do tego, co się już powiedziało, a tylko zapytaniem odpowiem na zapytanie. Pytacie mię, czy my katolicy, mamy pretensyę *skazywać do piekła wszystkich, którzy nie trzymają z nami.* Ja spytam nawzajem, czy myślicie wydawać pasporty do raju wszystkim złym i dobrym ludziom, w jakikolwiek sposób trzymają o religii. Lecz natenczas, jaki cel oznaczyć Boskiemu objawieniu? Po co Syn Boży przybył na ziemię,

stanowić religię, a inne odrzucać? Na co tak uroczyście objawiał, że którzykolwiek nie uwierzą i nie ochrzczą się, będą *potępieni?* Co! to Jego przykazania, pogróżki, ustawy, wszystkie cierpienia i trudy, które podjął dla nauczania nas, na to miałyby posłużyć, aby potém każdy miał prawo wierzyć i czynić, jak się mu podoba? Czy możecie to za nic przypuścić? Wiara katolicka uczy, że Pan Bóg szczerze pragnie zbawienia wszystkich, lecz sam, wytknąwszy drogę wiodącą do tego celu, potępi wszystkich, którzy ją poznali, a późniéj zeszli z niéj dobrowolnie. *Niewiadomość bez własnéj winy jest w obliczu Jego wymówką dostateczną, niewiadomość rozumiem taką, któréj nie można pokonać i ani jéj się kto domyśla. W tym razie Pan Bóg nie opuszcza dusz prawych.* Najprzód udziela środków do okazania, że mają dobrą wolę służenia Mu w stanie, w jakim się znajdują, a potém przysporzeniem łaski nagradza ich wierność, jaką okazali, powolnością dla łask pierwszych i udziela im środka zostania jeszcze lepszymi. Pan Bóg nie zbawia turka zostawując go turkiem, ani bałwochwalcy, zostawując go bałwochwalcą, lecz przywodząc go stopniami skutkiem swéj łaski do tego stanu oświecenia o religii, jaki każdemu człowiekowi jest nieodbicie potrzebnym do zbawienia. *Każdy powolny téj łasce* zostaje zbawionym, każdy opierający się jéj pozostaje niewiernym i nędznie ginie. Ztąd téż nie dla tego, *że z nami nie trzymają*, wielka liczba będzie potępionych, ale *że są niewierni łaskom* otrzymanym *i z własnéj winy* nie są przekonani, jak być powinni.

Ani politowanie nierozsądne, ani romansowy sentymentalizm, ani poglądy filantropii, nie zdołają téj nauki podać w wątpliwość. Pan, który stworzył ludzi i odkupił ich, więcéj kocha, niźli siebie samych, a jeśli tak urządził rzeczy, nie do nas należy stawić nasze plany w miejscu Jego odwiecznych zamiarów, ani naszéj *małoty* w miejsce Jego Opatrzności.

Jeszcze dwie kwestye.

Jeżeli postanowiliśmy zamieścić w niniejszém ważniejsze kwestye, obowiązkiem więc jest następujące dwie nie pominąć.

Są tacy, którzy twierdzą, że spowiedź jest nowszym wymysłem ludzkim. Zebrane tu choć w krótkości dowody wykażą, że spowiedź jest ustawą najdawniejszą, że jest obowiązkiem wypływającym z nauki Jezusa Chrystusa, że była w zwyczaju od najpierwszych wieków i że świętość jéj nietylko utwierdzoną jest soborami, powagą filozofów, lecz nadto samym rozumem.

Historya świadczy, że wyznanie grzechów stanowiło i stanowi dogmat religii Starego Testamentu. Przepisy tego wyznania znajdujemy w księgach kapłańskich (Rozdz. IV. V. VI. XVI.) i w księgach Numeri (Rozdz. V.), a nadto w wielu innych miejscach. W prorokach, a szczególniéj w Dawidzie i Izajaszu, często natrafiamy na wspomnienie o spowiedzi. W Eklezyastyku Jezusa syna Syracha, napisanym na lat 180 przed Chrystusem, w rozdziale IV. 31. czytamy: „nie wstydzaj się spowiadać grzechów twoich“; św. Jan Chrzciciel wołał także do pokuty, a ci, którzy do niego przychodzili, byli chrzczeni w Jordanie, spowiadając się grzechów swoich (Mat. III. 6). Lecz nietylko lud wybrany od Boga, ale poganie nawet, przez wyznanie błędów i przez żal, starali się uśmierzać gniew bogów swoich i przyodziewać się szatą niewinności. Szczupły zakres tego dziełka nie dozwala wyliczać wszystkie narody niechrześcijańskie, u których spowiedź miała i ma miejsce. Każdy się o tém

łatwo przekonać może z dzieł traktujących o obyczajach i zwyczajach każdego z nich w szczególności [1]).

Na nich polegając, zaręczyć możemy, iż niema na ziemi narodu niechrześcijańskiego, któryby nie zachowywał pewnych obrzędów, odpowiadających naszéj spowiedzi i pokucie; a ta sama zgodność czyliż nie jest nieodpartém świadectwem, iż wyznanie błędów i przewinień, żal i pokuta, nie są wymysłem ludzkim, lecz równo z grzechem początek swój wziąść musiały? Mogłyżby się zgodzić w tym punkcie wszystkie narody, gdyby nie było im pierwotnie objawioném, że skrucha tylko otrzymać może przebaczenie i że oznaką jéj jest spowiedź, to jest szczere i otwarte wyznanie grzechów?

Jezus Chrystus przeto, zstąpiwszy na ziemię i zalecając spowiedź swoim uczniom, nie ustanawiał nowego prawa, i z tego powodu ani pomiędzy żydami, ani poganami nie wzbudził żadnego zarzutu. Miejsca tyczące się Sakramentu spowiedzi w Nowym Testamencie są następujące: „Powiadam tobie (słowa są Chrystusa do Piotra), iżeś ty jest opoka, a na téj opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go. Dam tobie klucz Królestwa niebieskiego, a cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związaném i w niebiesiech; a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązaném i w niebiesiech“. (Mat. XVI. 18. 19).

W rozdziale XVII. 18, Chrystus Pan mówi do wszystkich Apostołów: „Zaprawdę powiadam wam, cokolwiek byście związali na ziemi, będzie związaném i w niebie; a cokolwiekbyście rozwiązali na ziemi, będzie rozwiązaném i w niebie“.

„Weźmijcie Ducha świętego: którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone; a którym zatrzymacie, są im zatrzymane“. (Jan XX. 22, 23).

„Sławiło się imię Jezusowe. Wiele wierzących przychodziło, spowiadając się i opowiadając uczynki swoje“. (Dzieje apost. XIX. 18).

„Skruszeni sercem przybywali do Piotra i innych Apostołów i pytali, co mają czynić? A Piotr rzekł do nich: pokutę czyńcie, a niech każdy z was ochrzczon będzie w Imię Jezusa Chrystusa, na odpuszczenie grzechów waszych“. (Dzieje II. 38).

1) Posłużyć do tego mogą między wielu innemi następujące dzieła: *Redemption du genre humain*, par Schmidt; *Recherches sur les mystères du paganisme*, par de Sainte-Croix; *Religions de l'antiquité, ouvrage traduit* d'allemand du D-r Creuzer par J. D. Guigniant; *Lettres édifiantes; Parallèle des religions*, par le P. Brunet.

„Jeźlibyśmy się spowiadali grzechów naszych, wierny jest i sprawiedliwy, aby nam odpuścił grzechy nasze i oczyścił nas od wszelkiéj nieprawości“. (List I. Jana 1. 9).

Któż będzie w stanie zaprzeczyć, iż to są przepisy jasne, obowiązujące chrześcijan do wyznawania grzechów przed następcami Apostołów, z którymi Chrystus ma pozostać po wszystkie dni aż do skończenia świata? (Mat. XXVIII. 20). Komuż innemu na ziemi może służyć prawo rozwiązywania czyli odpuszczania grzechów? Do jakiéj pokuty powołani jesteśmy, jeżeli nie do pokuty za grzech; a bez wyjawienia grzechów możesz być pokuta ustanowioną?

To, cośmy powiedzieli o spowiedzi, wystarczaćby już powinno do odparcia zdania pomiędzy zaślepionymi rozszerzonego, że spowiedź utworzoną została przez Innocentego III Papieża, na czwartym soborze Lateraneńskim, że jest wymysłem ludzkim, że jest formą. Lecz aby nawet wszelką w tym wątpliwość usunąć, przytaczamy tu dowody ze wszystkich wieków chrześcijańskich, przekonywające, iż spowiedź była zawsze we zwyczaju i że była uważaną za jedyny środek pojednania się z Bogiem.

Czwarty sobór Lateraneński odbywał się w Rzymie w kościele Lateraneńskim r. 1215. Oto co mówi św. Bernard, zmarły w r. 1153: „Do czegóż posłuży wyspowiadać część tylko grzechów, a resztę zataić? na wpół się oczyścić, na wpół zostać skalanym? Czyż nie wszystko odkrytém jest przed obliczem Boga? Jakto odważacie się cokolwiek ukrywać przed tym, który w tak wielkim Sakramencie zastępuje Boga?“

Św. Anzelm, zmarły r. 1109, tak się wyraża w homilii swojéj o dziesięciu trędowatych: „wyznawajcie z pokorą przed kapłanem wszystkie plamy wewnętrznego trądu, abyście zostali oczyszczeni“ [1]).

„Jako grzech pierworodny zmazany zostaje przez Chrzest święty, mówi tenże doktór, tak grzechy tego życia odpuszczone są przez spowiedź. Jest ona prawdziwym sądem, albowiem dwa są boskie sądy: jeden wypełnia się przez spowiedź, drugi spełni się w dzień ostatni, wtedy, gdy Bóg będzie sędzią, szatan oskarżycielem, człowiek oskarżonym. Lecz w sądzie spowiedzi kapłan zastępujący miejsce Chrystusa jest sędzią; człowiek oskarżycielem i razem oskarżonym; nałożona pokuta jest wyrokiem“.

1) S. Ansel. Opera ed. colon., str. 176.

Św. Grzegorz Wielki, zmarły r. 604, tłómacząc słowa Ewangelii: *Lazare, veni foras*, mówi do grzeszników: „Dlaczego ukrywacie grzechy wasze w głębi waszego sumienia? Wyciągajcie je z przepaści przez spowiedź, a będziecie rozwiązani przez pośrednictwo kapłanów, jako Łazarz został rozwiązany przez uczniów Zbawiciela“ [1]).

Św. Sidoniusz, biskup klermoncki, zmarły r. 489, w liście pisanym do jednego z najznakomitszych urzędników, wyjaśniwszy, iż na biskupów włożony jest obowiązek gojenia tajemnych ran sumienia, dodaje: „Nie to jest u sędziego świata co w waszych sądownictwach. Przed waszym trybunałem ten, który wyzna swoje zbrodnie, bywa skazany, gdy tymczasem, kto na spowiedzi wyzna swoje błędy przed Bogiem, ten otrzymuje rozgrzeszenie“ [2]).

Św. Augustyn, zmarły r. 430, mówił do wiernych owoczesnych: „Niechaj nikt nie mówi: odbywam tajemną pokutę przed Bogiem; dosyć na tém, iż On, który ma odpuścić mnie winy, wie o pokucie, którą w głębi serca wykonywam. Żeby tak było, natenczas Chrystus Pan byłby nadaremnie powiedział: „cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązaném w niebie“, i napróżno powierzyłby św. Piotrowi klucze swego Kościoła. Nie dosyć więc spowiadać się przed Bogiem, trzeba wyznać swoje grzechy przed tymi, którzy od niego nabyli prawo związywać i rozwiązywać“ [3]).

W dziełach św. Augustyna znajduje się traktat o nawiedzaniu chorych; traktat ten wprawdzie nie jego jest układu, wszakże autorem być musi pisarz bardzo dawny. Następujące słowa zasługują w nim na uwagę: „Niektórzy mniemają, iż aby być zbawionym, dosyć jest wyznać swe grzechy przed Bogiem, który wszystko wie i czyta w sumieniu każdego. Albowiem nie chcą oni stawać przed kapłanem, bądź dla wstydu, bądź przez pychę i pogardę, chociaż Zbawiciel nasz ich tylko ustanowił, aby odróżniali trąd od trądu. Lecz niech was to mniemanie w błąd nie wprowadza; nie wstydźcie się wyznać swe grzechy przed namiestnikiem Pana. Albowiem trzeba poddać się sądowi tego, którego Pan na swojém postanowił miejscu. Przeto, gdy złożeni jesteście chorobą, wezwijcie do siebie kapłana i odkryjcie mu wszystkie tajemnice waszego sumienia; niech was nie łudzi zwodnicza religia tych, którzy odwiedzając was utrzymują, iż spowiedź, uczyniona przed Bogiem bez pośrednictwa kapłana, zdolną jest was zbawić. Nie zaprzeczamy, iż często należy wzywać Boga, aby przed Nim spowiedź dokonać, lecz przedewszystkiém potrzebujecie kapłana. Uważajcie go jako Anioła przez Boga zesłanego; odkryjcie mu najgłębsze tajniki waszego serca; wyjawcie wszystko cokolwiek was niepokoi i nie wstydźcie się wyznać przed jednym człowiekiem to, coście dokonali w obecności wielu. Czyńcie więc spowiedź jasną, nie szukając wymówek dla uniewinnienia błędu. Idźcie drogą prostą, nie używając wykrętów dla zaćmienia i zawikłania prawdy. Oznaczajcie nawet okoliczności waszych grzechów, miejsce, czas, osoby, nie wymieniając ich wszakże“ [1]).

1) S. Gregorius, Hom. 26.
2) Sid. Epist. 13. Lib. IV.
3) S. Augustyn, Sermo II. in psalm. C. 1. N. 3.

Św. Hieronim, który umarł r. 420, nie mniéj stanowczo mówi o konieczności spowiedzi: „Gdyby, powiada, wąż piekielny zadał komukolwiekbądź tajemną ranę; gdyby na ustroniu, bez świadków, wpuścił w niego truciznę grzechu, a ten nieszczęśliwy oparłby się i nie odkrył rany bratu swojemu i zarazem mistrzowi, mistrz posiadający słowa ratunku nie mógłby mu dopomódz, jako doktór nie jest w stanie dopomódz choremu, który się mu zwierzyć wstydzi; albowiem sztuka lekarska nie potrafi uleczyć tego o czém nie wie. Biskupom i kapłanom powierzony został Sakrament pokuty. Mają oni klucze od bramy nieba i sądzą niejako przed sądem ostatecznym; albowiem im w osobie Piotra powiedział Jezus Chrystus: „Tobie dam klucze Królestwa niebieskiego. A cokolwiek związecie na ziemi, będzie związano i w niebiesiech“ [2]).

„Wszetecznik i cudzołożnik (słowa są wielkiego Jana Złotoustego, który umarł r. 407), człowiek jakikolwiekbądź, który się skalał grzechem ciężkim, nie zdoła zniweczyć zgrzyzoty swojego sumienia. Gdyby zbrodnia jego była przed całym światem ukryta, on wie o niéj, a tego dosyć, aby ciągle był dręczony. Jakiż więc mamy sposób do korzystania ze zgryzoty oskarżającego nas sumienia, do uśmierzenia dolegliwości i zagojenia rany, do poskromienia wewnętrznego mordercy, który nas we dnie i w nocy dręczy? Oto dopełnić spowiedzi, złożyć ją na łono męża, który nie będzie wam czynił wyrzutów; powierzyć jemu jednemu bez świadków ową tajemnicę; opowiedzieć mu wszystko ze ścisłą dokładnością. Idźcie odkryć wasze rany duchownemu lekarzowi, a on poda wam sposób do ich uleczenia. Spowiadać się ze swych grzechów jest to zmazywać je“ [3]).

1) Inter. op. S. Aug. 2) Św. Hieronim, T. IV. str. 75.
3) Św. Chryzostom, wydania Benedyktynów, T. IV. str. 175.

„Jeżeli taki, który popełnił jaką kradzież, mówi św. Grzegorz Nysseński, zmarły przed r. 400, wyzna swój grzech przed kapłanem i zrzecze się nałogu do występku, a zwróci się do cnoty, będzie uleczony ze swéj choroby“ [1]).

„Wyznawajcie bez obawy, mówi tenże święty, duchownemu ojcu waszemu wszystko, cokolwiek macie najskrytszego, odkrywajcie mu serce wasze, jakbyście okazywali przed lekarzem rany wasze“ [2]).

„Niema nic tak skrytego, mówi św. Ambroży, zmarły w roku 397, coby kiedyś na jaw nie wyszło. To, co pragną ukryć przed siedzącym na trybunale Mojżesza, będzie wyjawioném w obliczu całego świata. Tam się pokażą owe niecne stosunki, okryte zwodniczą zasłoną pobożności... Chcecież więc zagrzebać w wiecznéj niepamięci swe pasmo przeniewierzeń? spieszcie się wyznać je z pokorą przed kapłanem. To właśnie jest jedynym sposobem ukrycia ich na zawsze“ [3]).

„Spowiedź, powiada św. Grzegorz Nazyanzeński, zmarły przed r. 389, i ucieczka od grzechów są najskuteczniejszém lekarstwem przeciw występkom. Jedna z największych łask, o którą powinniśmy błagać Boga, jest łaska poprawy przez surowość spowiedzi“ [4]).

Św. Cyryli Jerozolimski, który umarł przed r. 386, wzywając do wewnętrznego odrodzenia się przez ćwiczenie w pokucie i przez spowiedź, nietylko publiczną, lecz nawet prywatną i szczegółową, mówi: „Spowiadajcie się z grzechów, które popełniliście, bądź przez słowa, bądź przez uczynki, bądź we dnie, bądź w ciemności“ [5]).

„Wstydzicie się wyznawać wasze grzechy, powiada św. Efrem, który umarł przed r. 379, wstydźcie się raczéj z popełnienia ich“ [6]).

Św. Bazyli, który umarł w roku 378, mówi zupełnie toż samo: „Trzeba koniecznie spowiadać się z grzechów swoich przed tymi, którzy są skarbnikami tajemnic boskich“ [7]).

Laktancyusz, zmarły r. 325, w swoich Instytucyach wykłada, co jest obrzezanie serca, które podług niego zależy na tém, aby zmazać

1) Epist. ad Letsium.
2) Idem, hom.
3) S. Ambr. Bibliothèque choisie des Péres de l'Eglise par Guillon. T. IX. str. 462.
4) S. Greg. Nasian. Orat. 15.
5) S. Cyril. I. Catech.
6) Guillon, T. VIII. str. 333.
7) S. Basilius, apud Libermann, T. IV. str. 167.

swoje winy przez spowiedź, i że obrzezanie ciała w starym zakonie było tylko figurą obrzezania serca, które powinno być w używaniu między chrześcijanami. „Bóg, powiada on, uprzedza nas, abyśmy nie trzymali swego serca zakrytém, t. j. żebyśmy nie zachowywali w głębi sumienia żadnéj zbrodni pod zasłoną skrytości. Oto jest obrzezanie, o którém mówią prorocy, a które Bóg ze śmiertelnego ciała przeniósł na duszę, która nie będzie miała końca. W istocie, Bóg, który przez odwieczną dobroć swoję szczególniéj zajmuje się prawdziwém życiem i zbawieniem naszém, w owém duchownem obrzezaniu przepisał nam pokutę, abyśmy, gdy zupełnie odkryjemy serce swoje, t. j. gdy wyznamy grzechy dla uiszczenia się przed Bogiem, otrzymali od niego przebaczenie, którego odmawia trwającym w grzechach i ukrywającym swoje błędy [1]). Trzeba wiedzieć, mówi daléj, iż prawdziwy Kościół jest ten, w którym się znajduje spowiedź i pokuta skutecznie uzdrawiająca grzechy i rany, którym nas poddaje słabość naszego ciała“ [2]).

Św. Anastazy, zmarły r. 373, tak mówi o spowiedzi: „Jako człowiek ochrzczony przez kapłana jest oświecony Duchem św., tak wyznający swe błędy w pokucie otrzymuje przez tegoż kapłana odpuszczenie“ [3]).

Św. Cypryan, który umarł r. 258, naganiwszy w swojém dziele: *De lapsis*, tych, którzy nie pokutują, tak się wyraża: „O jakże chwalebniéj postępują ci, którzy chociaż nie czynili ofiar lub nie żądali świadectw urzędu, lecz że tylko zamierzali to uczynić, udają się do kapłanów Bożych z żalem i w szczerości ducha wyznają błędy swojego sumienia i zrzucają z duszy ciężar przewinień“ [4]).—„Niechaj każdy, powiada on jeszcze w inném miejscu tegoż dzieła, spowiada się z grzechów swoich póki jeszcze jest w tém życiu, gdzie spowiedź jego może być przyjętą i gdzie odpuszczenie dane przez kapłana może być potwierdzone przez Boga“ [5]).

1) Div. institut, liber IV. cap. 17.
2) Id. Cap. XXX.
3) Collect. SS. Patrum, t. 2.
4) Pomiędzy tymi, którzy polegli w prześladowaniu pod Decyuszem, największa część była z tych, którzy, aby uniknąć wstydu publicznego odstąpienia, wzięli od władzy świadectwa, aby nie byli poszukiwani jako chrześcijanie. Wszyscy biskupi uważali tę słabość za pewien rodzaj wyznania bałwochwalstwa.
5) S. Cyprianus de lapsis.

Wymienimy jeszcze Tertuliana, zmarłego w r. 245. „Czyliżby korzystniéj dla was było, powiada on, zostać potępionymi ukrywając swoje grzechy, aniżeli zbawić się wyznając je?“ [1]). „Jakąż korzyść, mówi jeszcze, przynosi nam wstyd, ukrywający błędy nasze? Ukrywamyż je przed Bogiem, tając od ludzi?“ [2]). „Lecz komuż wyznawać swe grzechy jeżeli nie kapłanom, ponieważ, podług tegoż ojca, im tylko dana władza odpuszczania“ [3]).

Nakoniec św. Klemens rzymski, autor pierwszego wieku, w liście swoim do św. Jakóba tak się wyraża: „Niechaj ten, który strzeże duszy swojéj, nie wstydzi się wyznawać błędów przed tym, który mu przewodniczy, aby mógł być uleczony przez Boga i otrzymał radę zbawienną“ [4]). „Św. Piotr, dodaje on, nauczał wyznawać przed kapłanem nawet złe myśli. Póki na tym jeszcze jesteśmy świecie, nawracajmy się z całego serca, wyrzekając się popełnionych błędów według ciała, aby otrzymać zbawienie od Pana póki jeszcze mamy czas do pokutowania, gdyż po zejściu z tego świata będziemy w takiém miejscu, gdzie niepodobna dopełnić spowiedzi ani pokuty“ [5]).

Świadectwo Ojców Kościoła popierają sobory, a mianowicie:

Sobór w Laodiceum, odbyty przed r. 366, nakazuje, „iżby wszyscy, którzy w grzech wpadli, dali dowód nawrócenia się przez wytrwałość i modlitwę, połączoną ze spowiedzią i pokutą, aby przystąpili do Kommunii po dopełnionéj wszakże naznaczonéj im pokucie, stosownéj do ich przewinień“. Lecz jakimże sposobem ustanawiający pokutę mógłby ją zastosować do popełnionych grzechów, jeżeliby ich nie znał? A jakże potrafiłby je poznać, jeżeli nie przez spowiedź?

Pierwszy sobór w Châlons, odbyty w r. 644, zaleca pokutę jako niezbędną dla wszystkich ludzi, nakazuje, aby kapłani nakładali pokutę po spowiedzi, i objawia, iż to jest nauka wszystkich Ojców, czyli raczéj Kościoła powszechnego.

Sobór w Reims, odbyty r. 639, nakazuje, „aby nikt prócz pasterzów nie słuchał spowiedzi pokutujących w czasie postu“, wkładając przez to obowiązek spowiadania się właściwemu pasterzowi; co zostało przyjętém w całym Kościele w kilka wieków późniéj na mocy uchwały czwartego soboru Lateraneńskiego.

1) Tertul. cap. 10 de Poenit. c. 10.
2) Tertul. de Poenit. c. 10.
3) Id. cap. 9.
4) S. Clemens. Epist.
5) S. Clemens. Epist. II. ad Corinth.

Sobór w Nantes, odbyty r. 656, nakazuje w czwartym kanonie, „iżby kapłan lub proboszcz, dowiedziawszy się o chorobie jednego ze swoich parafian, udawał się do niego, a wszedłszy do izby podawał mu święconą wodę i pokrapiał izbę, odmawiając antyfonę: *Asperges me* i t. d., nakoniec, aby odprawiwszy przytomnych, oznajmiał choremu, iż ma się spowiadać“.

Sobór Konstantynopolski, odbyty r. 692, tak się wyraża w kanonie 102: „należy, iżby ci, którzy otrzymali od Boga władzę związywania i rozwiązywania, zwracali uwagę na jakość grzechu i mieli wzgląd na skruchę okazywaną przez grzesznika“.

Pierwszy sobór, odbyty w Niemczech r. 745, zabrania duchownym przemieszkiwać przy wojsku, wyłączając wszakże tych, którzy są potrzebnymi do odprawiania Mszy św., oraz tych, którzy słuchają spowiedzi. „Panujący ma mieć przy sobie jednego lub dwóch biskupów z właściwą asystencyą, każdy dowódca jednego kapłana, któryby mógł spowiadać i ustanawiać pokutę“.

Sobór, odbyty w Calcut, w Northumbre r. 787, na którym zasiadał Papież Adryan I. w osobie swych legatów, nakazuje, iżby nikt nie przystępował do Kommunii św., nie poddawszy się wprzód sądowi kapłana i nie wypełniwszy nałożonéj na niego pokuty; a wrazie gdyby kto umarł bez pokuty i spowiedzi, poleca nie modlić się za niego.

Sobór, odbyty w Pawii r. 850, nakazuje jawnogrzesznikom publiczną pokutę; „tym zaś, którzy grzeszyli tajemnie, aby się spowiadali przed wyznaczonymi przez biskupów kapłanami, jako zdolnymi do uleczenia ran tajemnych“.

Z kanonów ułożonych w Anglii za czasów króla Edgara, w X. wieku, jest wiele tyczących się spowiedzi. Pierwszy brzmi w tych słowach: „Jeżeli kto pragnie uczynić spowiedź, niech się uzbroi w moc i odwagę, i nie wstydzi się odkryć swoich grzechów, albowiem bez spowiedzi niema przebaczenia; spowiedź uzdrawia, spowiedź usprawiedliwia“.

Znaczna liczba soborów, odbytych na kilka wieków przed czwartym soborem Lateraneńskim, niemniéj wyraźnie przepisuje prawidła tyczące się spowiedzi.

Spowiedź, o któréj tyle niezbitych przytoczyliśmy dowodów, w upłynionych wiekach odbywaną była przez wszystkich wiernych, bez różnicy płci, stanu i wieku. We wszystkich umysłach było przekonanie, iż ustanowienie jéj pochodzi od samego Boga, i dla tego wszyscy się chętnie poddawali temu prawu, i nikt nie utrzymywał, jak

półmędrkowie naszego wieku, iż spowiedź potrzebną jest tylko dla kobiet i dla gminu. Ustawa spowiedzi była świętą nawet dla biskupów, dla panujących, dla stanu rycerskiego i dla możnych. Spowiadali się w czasie klęsk publicznych, przy obraniu stanu, w wielkim poście, przy każdém przystąpieniu do Sakramentu ołtarza w czasie choroby i przed śmiercią. Lekarze nie tylko nie lękali się, aby spowiedź pogorszyć mogła stan chorego, lecz owszem sami zachęcali słabego do wypełnienia tego aktu religijnego; ale też w owych wiekach i lekarze spowiadali się i wierzyli w życie przyszłe.

W tém miejscu rozumiemy, iż najstosowniéj będzie przejść do świadectwa na korzyść spowiedzi samych nieprzyjaciół chrystyanizmu, czyli tak zwanych filozofów.

Oto jak się Marmontel wyraża: „O! co za zbawienny środek dla obyczajów młodzieży zwyczaj i powinność spowiadania się co miesiąc. Skromność pokornego wyznania swoich najskrytszych błędów może większą jéj część zachowała, aniżeli najświętsze pobudki!“

„Ileż miłosiernych uczynków, mówi J. J. Rousseau, jest dziełem Ewangelii! Ileż zwrotów, ile wynagrodzeń spowiedź sprowadza u katolików“.

Voltaire, mówiąc o spowiedzi, powiada, „iż niema pożyteczniejszego ustanowienia. Największa część ludzi, podpadłszy wielkim błędom, doznaje zgryzoty sumienia, i jedna tylko rzecz zdoła ich uspokoić, a tą jest pojednanie się z Bogiem i z sobą samym. Nieprzyjaciele kościoła rzymskiego, powstający przeciw tak koniecznéj ustawie, zdają się zdejmować z ludzi hamulec, który jedynie wstrzymuje ich od tajemnych występków. Spowiedź jest najsilniejszym hamulcem dla zbrodni, dawność jéj sięga najgłębszéj starożytności. Spowiadano się podczas obchodzenia wszelkich świętych tajemnic. Przyjęliśmy i uświęciliśmy to święte prawo: ono jest korzystném, albowiem mocném jest serca rozjątrzone nienawiścią doprowadzić do przebaczenia, a tych, którzy dopuścili się kradzieży, zmusić do zwrotu“.

Słowa Cerutti, owego zapaleńca, gorącego przyjaciela Mirabeau, niemniéj są godne uwagi: „Natchnąć wstrętem do zbrodni lub skruchą z jéj popełnienia, nakładać cugle na występek, być podporą niewinności, zawiązywać węzeł miłosierdzia, utrzymywać miłość zgody, posłuszeństwa, sprawiedliwości—wszystkich cnót słowem; wykorzeniać nałogi, oddalać niezgodę i wszelkie złe, a przez to zajmować miejsce Boga i być dla dobra ludzkości sędzią sumienia i pogromcą

namiętności:—oto co stanowi powołanie spowiednika, jedno z najzdolniejszych do utrzymania obyczajów, a przez to samo najzgodniejsze z dobrem ogółu“.

Wiadomo jest, jak daleko Raynal posuwał swoją nienawiść do chrystyanizmu; wszakże tenże sam Raynal w swojéj *Histoire philosophique des établissoménts et du commerce des Européens dans les deux Indes*, tak się wyraża: „Na wzór Inkasów (rządców Peru) Jezuici ustanowili w Paraguay rząd teokratyczny, lecz z dobrodziejstwem właściwém religii chrześcijańskiéj, to jest ze spowiedzią. W Paraguay spowiedź przyprowadzała występnego przed sędziego. Tam on nietylko nie uniewinniał swéj zbrodni, lecz owszem przez skruchę powiększał ją, nie unikał kary, ale błagał o nią na kolanach. Im surowszą i głośniejszą była kara, tém bardziéj zaspakajała sumienie winowajcy. Tym sposobem kara, będąca wszędzie postrachem dla występnych, tam była pociechą, albowiem przez pokutę łagodziła zgryzoty sumienia“.

Saint-simoniści nawet oświadczają się za spowiedzią. Oto co znajdujemy w dzienniku *le Globe*, który w r. 1833 był ich organem: „Zaiste, cóż może być pożądańszego dla przestępcy, bardziéj pocieszającego dla niewinnego, jak możność odkrycia swego serca, ukazania swoich ran, lub opowiedzenia swoich cierpień, z pewnością znalezienia lekarza, pocieszyciela, przyjaciela! Kto w ciągu życia swojego nie doświadczył potrzeby zwierzenia się, kto nie doświadczył konieczności przelania swéj duszy w duszę innego? Kto nie pragnął, aby tego wymagano po nim i nie dziękował za ową tkliwą ciekawość, jak za przysługę przyjaciela, który biorąc go za rękę zapytuje: cóż ci jest? Jakaż jeszcze różnica, kiedy owa konieczność przybierała postać dokonanéj powinności, kiedy Kościół w imieniu Boga czyni to zapytanie grzesznikowi w słowach pełnych miłości i pociechy, kiedy zwierzenie się przybiera cechę religijną i zamienia się w spowiedź! A więc jeżeli od grzesznika przejdziemy do zbrodniarza, od przewinienia do występku, od żalu do zgryzoty sumienia, uważajcie, jak, w miarę wstrętu do złego, powiększa się dzielność środka, i jak Sakrament zbawienia istnieje niebiańskim płomieniem przed tym tajemniczym, niepojętym dla nas ogniem piekielnym? Jakichże użyć wyrazów do opisania uczuć człowieka pasującego się z sumieniem w chwili, w któréj ustają męczarnie jego, kiedy echo nie odzywa się już złowrogim odgłosem; kiedy na ścianach nie widzi już wyrazów oskarżających go, i kiedy się ujrzy czystym jak w dzień chrztu swojego, pełnym

nadziei, pozbawionym smutnych wspomnień! A to wszystko za łez kilka! Cóż to za rzecz dziwna ten chrzest z łez, jak go nazywa Kościół! Jaka zachęta dla dobrych! Jaki hamulec dla złych! Jak się wyrzec owéj słodkiéj wiary w odpuszczenie grzechów winnemu, który je wyznaje i żałuje? O nie, myśl ta nie obumarła w sercach, trzeba ją tylko rozgrzać".

Tak zaiste, wiara ta nie obumarła, ona żyje w katolicyzmie, niezmienna, pocieszająca, jak wszystkie dogmata jego. Czuję ją w sobie potęgą umysłu, wszystkiemi skłonnościami duszy, każdém uderzeniem serca! Lecz nie mniemajmy, iż filozofowie, mówiąc o spowiedzi, ograniczyli się czczém i teoretyczném jéj podziwianiem: wszyscy spowiadali się przynajmniéj przed śmiercią; a to dowodzi, iż miotając tysiączne bluźnierstwa przeciw religii Jezusa Chrystusa, usiłowali zagłuszyć ją w sobie, jakto i dziś wielu czyni, a jednak nie zdołali wyrugować wiary z swego serca.

La Mettrie, doktor i pisarz dobrze znany ze swych błędów i zgubnéj nauki, czując się bliskim zgonu, obrzydził swoją niedorzeczną filozofię, która go pogrążyła w najohydniejsze zbytki. Wyznał publicznie wszystkie swoje błędy, przywołał kapłana, odbył spowiedź i skruchę swoją potwierdził niewątpliwymi dowodami. Zbliżenie się ostatniéj chwili przekonało go, iż smutny zaszczyt śmierci bezbożnika nie godzien, aby mu poświęcać nadzieję przebłagania gniewu Bożego. Umarł w Berlinie r. 1751.

Hrabia Boulainvilliers, autor wielu dzieł pełnych przycinków dla religii i prawideł antychrześcijańskich, umarł r. 1722 odbywszy Sakrament pokuty, i przyjąwszy Kommunię w zupełnéj przytomności i z wielką pobożnością.

Montesquieu, zbyteczną w dziełach swoich dający swobodę myślom w przedmiotach religijnych, przy śmierci okazał wzorowe usposobienie. Spowiednik jego O. Routh opisał ostatnie jego chwile, które budują i rozrzewniają czytających. Umarł w Paryżu r. 1755.

Du Marsais, zmarły 11 czerwca r. 1756, wydawszy kilka dzieł, w których nawet nie ukrywa nienawiści swéj przeciw religii, zapragnął przyjąć ostatnie Sakramenta i przemówił do kapłana w wyrazach pełnych wiary i skruchy.

Maupertuis, uczony astronom, w dziełach swoich zdawał się pobłażać materyalizmowi. Widząc się wszakże bliskim śmierci, porachował się z sumieniem, odbył spowiedź i umarł w Bazylei r. 1759

w przytomności dwóch zakonników, których był wezwał w ostatnich chwilach życia.

Fontenelle, jeden z założycieli szkoły filozoficznéj, umarł w Paryżu 11 stycznia r. 1757 w najpobożniejszém usposobieniu, a na dni 10 przed śmiercią z całą przytomnością umysłu odbył spowiedź i przyjął ostatnie pomazanie.

Boulanger, autor dzieła *l'Antiquité dévoilée*, najbezbożniejszego i najniebezpieczniejszego z wielkiéj liczby wydanych w ostatnim wieku, okazał na łożu śmiertelném najgorętszą skruchę. Często rozmawiał z kanonikiem Lambert i złożył w ręce tego cnotliwego kapłana dowody swojego żalu z przeszłości. Umarł 16 września r. 1759.

Toussaint, autor dzieła *des Moeurs*, pierwszego, jak powiada La Harpe, w którém nakreślony został plan moralności przyrodzonéj, niezawisłéj od wszelkiéj wiary religijnéj i wszelkiéj czci zewnętrznéj. Toussaint okazał największy żal w chorobie, z któréj umarł w r. 1788, jawnie potępił zgorszenia, pochodzące z jego postępowania i dzieł, i przyjął ostatnie Sakramenta, dając dowody wielkiéj pobożności. W dzień śmierci zgromadził swoich przyjaciół i w ich obecności przemówił do swojego syna, mającego natenczas około lat szesnastu, w następujących wyrazach: „Synu mój! wysłuchaj i zatrzymaj w pamięci to, co ci powiem. Niedługo już stanę przed Bogiem, abym mu zdał ruchunek z całego życia; srodze Go obraziłem, potrzebuję miłosierdzia Jego... Gorszyłem cię niereligijném postępowaniem i zbyt światowymi zasadami; czyż mnie to wybaczysz? Uczyniszże to czego potrzeba, aby mi Bóg darował? Czyliż dojdziesz sam do zasad innych od tych, które w tobie zaszczepiłem? Słuchaj, mój synu, zbyt późnéj nauki, którą ci daję teraz. Zaświadczam przed Bogiem, którego mam przyjąć, a przed obliczem którego niebawem stanę, iż jeżeli się nie zdawałem być chrześcijaninem w moich czynnościach, mowie, pismach, czyniłem to przez wzgląd na opinią, przez pychę, lub dla przypodobania się niektórym osobom, nie zaś z przekonania... Uklęknij, mój synu, i módl się z tymi, którzy mię słyszą i ciebie widzą: obiecuj Bogu, iż będziesz korzystał z ostatnich przestróg, które ci daję, i błagaj Go, aby mi przebaczył".

Bouguer, głęboki geometra i członek królewskiéj akademii nauk, po śmierci którego d'Alembert zawołał: „utraciliśmy najlepszą głowę z całéj Akademii", Bouguer miał nieszczęście zgasić w swém łonie światło wiary. Przed śmiercią ciekawość sprowadziła go na ka-

zanie przeciw niedowiarkom O. Laberthonie, Dominikanina, a rozważanie prawd słyszanych wpłynęło na jego nawrócenie się. Przystąpił do spowiedzi, przed którą w obecności wielu osób wyznał, co go do niedowiarstwa pobudziło: „Byłem niedowiarkiem, zawołał z goryczą, z téj tylko przyczyny, żem był rozpustny; śpieszmy się, ojcze do rzeczy najpilniejszéj, serce moje bardziéj aniżeli umysł potrzebuje ratunku". Nawrócenie się jego było szczerém i stałém, a chrześcijańska i budująca śmierć mocniéj jeszcze to utwierdziła. Umarł w sierpniu r. 1758.

Hrabia de Tressan, przyjaciel Voltair'a i autor dzieł w duchu antychrześcijańskim, na ośm dni przed śmiercią r. 1783 opatrzony Sakramentami, przyjął je z wielkiém zbudowaniem. D'Alembert dowiedziawszy się, iż go kapłan niejednokrotnie odwiedzał, ostrzegł go, iż w świecie rozchodzi się z tego powodu hańbiąca charakter jego pogłoska. Pan de Tressan przyjął to ostrzeżenie z oburzeniem, a d'Alembert wyszedł zawstydzony. W kilka miesięcy tenże sam d'Alembert pragnął przed śmiercią pojednać się z Bogiem. Lecz Condorcet nie dopuścił do niego kapłana, z czego się chlubił późniéj, powtarzając: „żebym nie był przy nim, dałby nam nurka".

De Langle, autor kilku bezbożnych dzieł a między innymi Podróży po Hiszpanii, gdzie prawie na każdéj stronnicy znieważa religią, gdy zachorował, począł czuć niespokojność sumienia z przeszłości i bojaźń przyszłości. Oświadczył życzenie widzieć kapłana i przyjął go z radością. Rozmowy jego wielkie zrobiły wrażenie na umyśle p. de Langle, tak iż pojednany z Bogiem i z sobą, oczyszczony i pokrzepiony przyjęciem Sakramentów, dając największe dowody szczeréj skruchy, rozstał się z tym światém w październiku 1807 r.

P. Robinet, autor dzieła p. t.: *De la Nature*, w którém wykłada dziwaczne i zuchwałe myśli o Bogu i Jego własnościach, o duszy, o materyi i t. d., miał szczęście zostać nawróconym, a na kilka miesięcy przed śmiercią ogłosił następujące wyznanie: „Będąc już bliskim zdania rachunku z mojéj myśli, odwołuję szczerze i publicznie wszystko, cokolwiek się znajduje przeciwnego wierze i nagannego w pismach moich. Błędów tych dopuściłem się przez niewiadomość, nierozsądek, nieuwagę, bądź w młodości, bądź podczas rewolucyi, za co z pokorą błagam u Boga i ludzi o przebaczenie. Ogłaszam, iż żyję i mrę wyznawając religię katolicką, apostolską, rzymską, w jedności z Ojcem św. i biskupami prawnie przez niego ustanowionymi". Nie będąc jeszcze zadowolonym z tego wyznania, p. Robinet, przyjmując ostatnie Sakramenta, uczynił wyznanie wiary. Umarł w Rennes d. 24 marca 1820 r. pełen chrześcijańskich i budujących uczuć.

Larcher, uczony hellenista, będąc w przyjaźni z kilku filozofami, przejął się ich niedowiarstwem i w najznakomitszém swém dziele, tłómaczeniu Herodota, odznaczył się bezbożnością. Przed śmiercią wszakże uczynił rachunek sumienia, przyjął Sakramenta i umarł jako chrześcijanin [1]), pełen gorliwych i pobożnych uczuć, d. 22 grudnia 1822 r. Od r. 1795 przygotował i podpisał wyznanie, które wręczył pewnéj duchownéj osobie, posiadającéj całe jego zaufanie; oto są najważniejsze miejsca: „Ja niżéj podpisany Piotr Henryk Larcher wyznaję, iż wszedłszy w przyjaźń z kilku mniemanymi filozofami, zamierzyłem z niektórymi z nich przykładać się, o ile możności, do obalenia religii chrześcijańskiéj. W tym zamiarze wyłożyłem w przypiskach moich do Herodota prawidła i zdania dążące do wywrócenia wszelkiéj religii. Przekonany późniéj o prawdach, których nas uczy religia katolicka, apostolska, rzymska, szczerze z serca nienawidzę te ohydne prawidła i niedorzeczne zdania, chciałbym, aby one nigdy nie pochodziły odemnie. Błagam za nie Boga o przebaczenie i żebrzę go u ludzi, których gorszyłem. Chcę żyć i umierać na łonie Kościoła katolickiego, apostolskiego, rzymskiego. Wierzę we wszystkie prawdy, których naucza, i pragnę z łaski Bożéj do nich zastosować wszystkie czyny moje. — W Paryżu, 5 maja 1795 r."

Napoleon, który w czasie sławy swojéj całą religię na tém zasadzał, aby w niedzielę i dni świąteczne znajdować się w kościele na Mszy śpiewanéj, uwięziony na wyspie św. Heleny zaczął myśleć o powinnościach religijnych. Jego dusza nagle przejrzała, zaniechała marzenia sławy i wielkości znikłéj na zawsze. Z uwagą czytał kilka dzieł o religii, a między innemi: *l'Essai sur la divine autorité du Nouveau Testament*, przez Dawida Bogne. Sprowadził z Włoch księdza Bonavia, a uczony doktor Antomazchiy, będący natenczas na wyśpie św. Heleny, zaświadcza, iż cesarz w ostatnich chwilach życia żądał i przyjął religijną pociechę od swego jałmużnika.

To samo zaświadcza jenerał Montholon, w jednym z swych listów: „Jestem szczęśliwy, mówił do mnie Napoleon, iż dopełniłem powinności. Życzę ci, jenerale, przy śmierci podobnego szczęścia. Po-

1) Taksamo skończył przed paru laty i Littré, sławny francuzki pozytywista.

trzebowałem tego . . . nie wykonywałem tych obowiązków na tronie, albowiem potęga zaraża duszę odrętwieniem; lecz zawsze miałem wiarę; odgłos dzwonów był mi przyjemny; a widok kościołów poruszał mię. Chciałem to wszystko ukryć, lecz to byłoby słabością. Chcę oddać cześć Bogu. Jenerale, rozkaż, aby w sąsiednim pokoju wzniesiono ołtarz: tam się wystawi Przenajświętszy Sakrament. Wątpię, aby Bóg mię do zdrowia przywrócił, lecz chcę go błagać. Nakażesz czterdziestogodzinne nabożeństwo". Lecz potém, jakby odmieniając zdanie, cesarz rzekł: „Nie, pocóż mam na ciebie wkładać tę odpowiedzialność? Powiedzieliby później, że to od siebie zarządziłeś; chcę sam wydać te rozkazy".

Oto są świadectwa niektórych filozofów nawróconych. Ci, którzy wytrwali w duchu przeciwnym, zaledwie nie wszyscy pomarli śmiercią gwałtowną lub od samobójstwa. Jakież dowody mogą obalić świadectwo całéj przeszłości? Gdzież jest ustawa, któraby zamieniając spowiedź, odpowiednie jéj przyniosła dobrodziejstwa dla ludzkości? Jakiż sąd pojednać może winowajcę z samym sobą, ze społeczeństwem i z Bogiem? Jestże przewinienie pomiędzy ludźmi, któreby, będąc wyznanem z największym i najszczerszym żalem, a nadto z obietnicą poprawy, otrzymało powszechne przebaczenie? Jakaż pokuta sądowa w stanie jest zatrzeć nawet pamięć przestępstwa? Mamyż lekarza, któryby potrafił tajemne cierpienia duszy łagodzić? Nie, wszelkie wysilenia rozumu ludzkiego w tym przedmiocie przekonały nas o jego słabości. Ten tylko, który utworzył duszę, mógł przepisać zaradcze dla niéj środki. Środkiem tym jest spowiedź, skrucha i pokuta. Prawie każdy umierający przekonywa nas o tém. Złożony na łożu śmiertelném, w chwili gdy się niczego od ludzi spodziewać nie może, w chwili, która go sama tylko rozdziela od Najwyższego Sędziego, wzywa pomazańca Boskiego, w Nim szuka pociechy, u Niego żebrze kropli zdroju łaski, któraby mogła przytłumić ogień jego duszy. Skądże się w nim rodzi to uczucie? Oto z poszeptów duszy, która widzi, jaką drogę przebyć będzie musiała i w co się ma na nią zaopatrzyć.

Z tego wszystkiego, cośmy dotąd przytoczyli o spowiedzi, każdy z myślących czytelników naszych podzieli z nami przekonanie, iż spowiedź jest najdawniejszą pomiędzy ludźmi ustawą, a ustawą istnie Boską, świętą— i że z pomiędzy wszystkich prawd religijnych najważniejszą jest spowiedź; a jak niema społeczności bez obyczajów i moralnego hamulca, tak téż niema tego ostatniego bez religii; że nie ma tam religii, gdzie jéj przepisy bez wyjątku nie są w zachowaniu, gdzie każdy półmędrek może sobie tworzyć dogmata i nakręcać je do własnych widoków i namiętności.

Druga kwestya.

Jak wiosna ziemię przyozdabia kwieciem, tak Kościół św. chłodną i posępną zimę umila wielką liczbą uroczystości świętych, które w życiu chrześcijańskiego ludu prawdziwym są kwiatem.

I świat téż ma swoje uroczystości, w téj zimnéj roku porze: bale, tańce, widowiska, szumne zabawy, jedne po drugich zajmują jego zwolenników. Lecz uroczystości światowe, te źródła płochych roztargnień, a czasem nawet i zepsucia, są tylko wyłączne, częściowe; ubogi nie ma w nich udziału. Tymczasem, rzecz się ma wcale inaczéj z uroczystościami chrześcijańskiemi. Do uczestniczenia w nich, wezwane są wszystkie dzieci wielkiéj rodziny; szczęście, jakiego tu każde z nich używa, nie mierzy się stopniem nauki, dostojeństwa albo mienia, lecz jedynie czystością serca. Z tego téż względu, w najwyższym stopniu są towarzyskie i powszechne; a są takiemi tém bardziéj jeszcze, iż mają na celu uczynić człowieka szczęśliwszym, robiąc go lepszym. Niema bowiem ani jednéj cnoty, jakiéjby go nie nauczały, ani jednego szlachetnego uczucia, któregoby w sercu jego nie budziły, ani jednéj nauki zbawiennéj, jakiéjby jemu nie dały.

Dlatego to w czasie dni adwentowych, Kościół odzywa się do nas na przemiany głosem Izaijasza i Jana Chrzciciela, aby w sercu ludzkiém obudzić uczucie nadziei. Królu strącony, wygnany, potępiony! mówi on do rodu ludzkiego: jedno ci tylko pozostało dobro, i tém dobrem jest nadzieja. Spodziewaj się, wzdychaj i tęsknij nim przyjdzie twój Zbawiciel.

Powiedz mi czytelniku, i czyliż ten upadek, to odkupienie, te przymioty oczekiwanego Zbawiciela, i te środki do korzystania z tego odkupienia, nie są całkowitemi, zupełnemi dziejami ludzkości? Czyliż znasz wznioślejsze nauki filozofii, albo lepszy środek, którymby się przewodniczył człowiek w téj ciemnéj drodze żywota ziemskiego? W dniu Narodzenia Pańskiego, głosem tysiąca swych dzwonów, wesołych swych pieni i wspaniałych obrzędów, Kościół mówi do nas: Po długiém oczekiwaniu przybył Messyasz, urodziło się dzieciątko, Syn

został nam zesłany. — I serca się radują, i czułość, i pobożność tkliwa, i słodkie łzy, i ufność święta, i wszystkie uczucia, jakich można doświadczać dla Dzieciny, z miłości ku nam na świat przychodzącéj, wpośród nocy zimnéj, w jaskini wilgotnéj, otwartéj dla powiewów ziębiącego wiatru, wzruszają serce bogacza, niosą ubogiemu pociechę, ściskają węzły braterstwa pomiędzy ludźmi i do wykonywania niezliczonych cnót wiodą.

Lecz Kościół nie zapomniał o słowach boskiego Nauczyciela, który powiedział: „Zaprawdę powiadam wam, jeźli się nie nawrócicie, i nie staniecie się jako dziatki, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego“ [1]). I dla rozwinięcia w nas przymiotów, uczuć i cnót tego błogosławionego dzieciństwa wieku, jako cel rozmyślań naszych, przez dni czterdzieści [2]) ukazuje nam Syna Boskiego w kolébce, uwinionego w pieluchy; i tym właśnie sposobem Kościół św. dowodzi nam prawdziwie oświeconéj życzliwości swojéj dla rodu ludzkiego. Zkądże to pochodzą, odpowiedz czytelniku, owe zdrady, podstępy, obłuda, samolubstwo i te wszystkie występki, które niszczą i zatruwają życie tylu ludzi, jeżeli nie ztąd, iż piękny charakter ewangelicznych dziatek prawie zupełnie zaginął pomiędzy nami. Cześć i wdzięczność należą religii, która, ukazując nam za wzór Boga w postaci Dziecięcia, usiłuje nas do tych cnót zachęcić, których wykonywanie zapewniłoby niezwłocznie byt szczęśliwy pojedynczym osobom, rodzinom i ludom.

Kościół św., zachęciwszy nas do rozmyślań nad tą pierwszą kartą żywota Jezusowego, odkrywa nam drugą. Zbawiciel wzrósł już w lata, w naukę i mądrość przed Bogiem i ludźmi. I my téż obowiązani jesteśmy do wzbogacenia się w te wszystkie rzeczy i naśladowania naszego Wzoru, w téj nowéj epoce Jego zawodu. Teraz staje przed oczyma naszemi historya cierpień Boga-Człowieka. Odkupiciel grzechów naszych staje przed nami, korzący się przy brzegach Jordanu, i z rąk Jana Chrzciciela przyjmujący chrzest pokuty, poszczący na pustyni, wystawiony na upokarzające próby ducha kuszącego, nakoniec opuszczający swą samotność dla rozsiewania troistych dobrodziejstw: przykładu, nauki i cudów, pomiędzy ubogimi mieszkańcami Galilei, Samaryi i Judzkiéj krainy. A my występni, także powinniśmy pokutować na wzór Jego, to jest, korzyć się, pościć, łkać i błagać. Kościół téż, powodując się macierzyńską swą ku nam troskliwością, nakazuje, ażeby każdy z nas naśladował tę drugą kartę żywota boskiego Mistrza, gdyż taką tylko ceną okupić zdołamy zbawienie wieczne, a nawet i szczęście doczesne. Uroczyście więc nas wzywa do wstrzemięźliwości, i oto wielki post się zaczyna. Człowiek, jako stworzenie, winien hołd Stwórcy swojemu; a jako stworzenie występne, pokutę znieść obowiązany.

1) Mat. XVIII. 3.
2) Post. wielki.

Na to świat, nie umiejący poznać przeznaczeń ludzkich, w téj pielgrzymce doczesnéj powstaje i woła: „Wasza religia jest religią wstrzemięźliwości i umartwień; ona więc jeszcze bardziéj powiększa cierpienia, nie odłączne od naszéj natury, i tylko do służebnictwa ludzi usposabia“.

Tak jest, wyznanie katolickie jest wyznaniem wstrzemięźliwości i umartwienia, albowiem nakazuje nam nieustanne wykonywanie cnoty; a cnota bez trudu i walki zgoła się nie nabywa. Otwórzcie księgę dziejów, zastanówcie się nad życiem wszystkich wielkich ludzi w wiekach upłynionych, i szukajcie, czyli znajdziecie chociaż jednego pomiędzy nimi, któryby godzien był tego imienia, a odrobinę téj nabytéj sławy wielkiemi nie okupił ofiarami? Zastanówcie się nad tém, co mogło porodzić tyle męskich, dzielnych geniuszów w starożytnych rzeczach-pospolitych Rzymu i Sparty? Nie byłże tego sprawcą żywot ostry, umiarkowanie, wstrzemięźliwość i duch poświęcenia się, aż do bohaterstwa posunięty? — Wszystko więc to musi być zgodne z przyrodzeniem, mądrze urządzoném.

Lecz jakże jeszcze wykonywanie tego wszystkiego uzacniła, jak te powinności przyozdobiła święta nasza religia! O! nie mylcie się: chrześcijanin dalekim jest od poczytania za rzecz uciążliwą chętnego pomnażania tych ofiar, jakie mu wiara ponosić nakazuje; pocieszająca myśl o uległości Ojcu Niebieskiemu, którego wzrok czuły nań jest obrócony, i zaszczyt nazwyczajania się w Jego obecności do zwyciężania samego siebie, czyni dlań nakaz wstrzemięźliwości przepisem słodkim i łatwym. W nim to znajduje on środek okazania Bogu swojéj miłości i synowskiego posłuszeństwa; tego uczucia pełnego niewysłowionéj roskoszy, lecz nieznanego dla synów teraźniejszego wieku, uczucia, które nam nakazuje poświęcić z weselem dla Stwórcy przyrodzenia tę małą cząstkę Jego darów, jakie codziennie z niegranicznéj Jego dobroci na nas spływają. Same tylko serca tkliwe i ko-

chać umiejące, mogą uczuć roskosz z takiém posłuszeństwem połączoną.

Lecz świat zarzuca nam znowu mówiąc: Jednakże być może, iż Bóg nie wymaga po nas podobnych umartwień, i jeżeli dał nam dobra, to niewątpliwie w tym celu, abyśmy z umiarkowaniem ich używali, zarówno przez wszystkie dni życia naszego.

I dlaczegoż to Bóg ma być obojętnym dla tego czynu poświęcenia się naszego? I czyliż nas obdarzając, na to jedynie darów swych udzielił, abyśmy ich, wzorem zwierząt, bez podzięki, bez miłości używali? A będąc słabemi i ograniczonemi istotami, jakimże innym sposobem wdzięczność za Jego dobra okazać możemy, jeżeli nie samém tylko składaniem z nich ciągłéj Jemu ofiary? Wszystkie ludy ziemskie już nas wyprzedziły w tém codziennem okazywaniu swojego posłuszeństwa i zależności. Chociaż jeszcze niewierni, spadkobiercy podań pierwotnych, już ten czyn religijnéj czci swojéj publicznie uświęcili, nawet w obrzędach ciemnego jeszcze pogaństwa. Jak niema ludu bez religii, tak niema religii bez nakazu wstrzemięźliwości; jest to jednogłośne świadectwo całego rodu ludzkiego, przybywające na poparcie téj części obrzędów naszych, jakie, nie wpływając zgoła na jéj uświęcenie, jednakże potwierdza jéj użycie, pokazując, że ona wchodzi do składu każdego wyznania i wypływa z jednéj ogólnéj zasady, każde sumienie obowiązującéj.— Jakże jest błędna ta mądrość światowa, którąby chciała religię pozbawić podobnego świadectwa, zalecając ludziom użycie dóbr wszelkich w sposób, jakiby kazał im zapomnieć o bytności Boga.

Lecz te dobra, świat odpowiada, na to są nam dane, abyśmy ich przez całe życie z umiarkowaniem używali.

Jednakże, czyliż mniemacie, iż dla takiego z nich korzystania wystarcza tylko sama chęć dobra? Wstrzemięźliwość i umiarkowanie same przez się już wymagają ciągłych umartwień. Kto nie umie powściągnąć się niekiedy od uciech najgodziwszych, ten nie zdoła wstrzymać siebie u kresu, gdzie się występne zaczynają. Cnota żyje ofiarami: każda powściągliwość, każde umartwienie, którego po nas wymaga, jest tylko nowym zakładem innego, jakiego jeszcze oczekuje od naszéj miłości i wytrwania; jest nowym węzłem, który nas przywiązuje do świętych jéj ustaw. Takie jest albowiem przyrodzenie serca ludzkiego, iż pierwsza ofiara usposabia nas do drugiéj, aż w końcu nic nas nie kosztuje, gdy tylko idzie o zapewnienie, obok wspomnień dokonanej cnoty, własnego na-

szego szacunku i drogich owoców długiéj wytrwałości. Podobnym sposobem rolnik przywiązuje się namiętnie do niwy, którą własnym zrosił potem, i żołnierz do ojczyzny, którą broni i opłaca krwią swoją i członkami swojego ciała. Ktokolwiek jesteś, człowiecze, nie wprzódy staniesz się godnym cnoty, aż nim ją pokochasz całą miłością duszy twojéj; a wiesz, iż miłość żadnéj nie zna rachuby.

Wstrzemięźliwość więc i umartwienia są niezbędnemi cnoty warunkami. Lecz do powściągania żądz swoich, człowiek tak mało ma chęci, iż gotów jest poddać się zupełnie ich wpływowi, nakształt odartego z żagli i pozbawionego masztów okrętu, który, podległy prądowi, z nim idzie i w końcu o skały się roztrąca. Kościół św., który nas kocha miłością tkliwéj matki, zaradza płochości naszego umysłu, i kładzie święte tamy, zapobiegające zboczeniom serca naszego. Ustawy jego względem postu i powściągliwości przeznaczone są do zabezpieczenia cnoty pojedynczego człowieka, oraz pokoju i szczęścia całéj społeczności.

Lecz nie pod tym tylko jednym względem uważać je należy. Kościół wzrokiem swym oświeconym przez św. wiarę przeniknął aż do tajników przyrodzenia ludzkiego. Człowiek jest występnym; ztąd więc jasno wynika dla nas wszystkich, rządców lub podległych, bogaczów lub ubogich, niezbędna konieczność zadośćuczynienia za nasze przestępstwa. Sami tylko sofiści, uważając ludzi za stworzenia nieskalane, mogą ich o tém nauczać i ze swéj moralności wyłączyć to wszystko, cokolwiek tylko ma związek z grzesznym i pokutującym człowiekiem. Prawdziwa religia na innych zasadach ugruntowała niewzruszone przepisy swojéj moralności. Każde przewinienie pociąga za sobą boleść, każda zbrodnia wymaga kary; w przeciwnym razie należałoby w umyśle ludzkim zniszczyć wszelkie sprawiedliwości pojęcie.

Otóż katolik, który się uznaje występnym,—a jakiż człowiek na ziemi nazwać się może niewinnym?—karze sam siebie za swoje występki odjęciem albo zmniejszeniem tego dobra, jakiego nadużył. Sądzi on za rzecz sprawiedliwą i konieczną naprawiać swe nadużycia powściągliwością swoją i odzyskać władzę nad namiętnościami, rozwijając w sobie nawyknienia przeciwne tym, które go o utratę tego panowania przyprawiły.

A teraz, powiedzcie, proszę was, czytelnicy, cóż takiego się znajdzie w chrześcijańskiéj pokucie, w poście katolickim w ten sposób poj-

mowanym, coby się sprzeciwiało przepisom najoświeceńszego rozumu, pragnącego zrzucić jarzmo występku? Niema żadnéj filozofii, któraby podobnych rad nie podawała temu z uczniów swoich, jakiby pragnął otrząść się z usterków życia swojego. Nietrudną byłoby rzeczą pokazać, iż nawet sama nauka epikurejska aż do tego pomykała się kresu: albowiem ona, za pomocą powściągliwości, zmysłowego człowieka do nowéj prowadziła rozkoszy.

Oddawać Bogu hołd należny, duszy powrócić panowanie nad zmysłami, utwierdzić cnotliwe nawyknienia, za grzech odpokutować i ochronić głowy nasze występne przed pociskami sprawiedliwości Boskiéj—oto jest główny cel postu i wszelkiego umartwienia.

Tak jest, odpokutować za grzechy; ten wzgląd ostatni zrobił z postu katolickiego nieodbitą konieczność dla społeczności tém potrzebniejszą, z powodu opłakanych czasów, w jakich żyjemy. Spójrzycie naokoło siebie: czyliż nie postrzegacie, iż ten Bóg, ten Ojciec człowieka i ludzkości, wpośród nich również stał się obcym dla swych dzieci, jak pomiędzy poganami był ów nieznajomy, któremu cześć w Atenach oddawano? Nietylko iż Go dzisiaj, jak niegdyś w Betleem, swoi nie przyjęli, lecz nadto jeszcze zdradzają Go jak w ogrodzie Oliwnym, natrząsają się z niego, szydzą jak w Jerozolimie z przyodzianego dla pośmiewiska w godła godności królewskiéj, i codziennie krzyżują go nanowo, jak na Kalwaryi. Spójrzyjcie na Kościół, Jego oblubienicę i matkę naszą, matkę ludów nowoczesnych, zalany łzami, okryty żałobą; spójrzycie na społeczność zeszpeconą występkami i zgorszeniem, na upowszechnione zepsucie, cynizm i samobójstwa, na niezgody rodzinne i pogardę świętych małżeństwa związków, na nienawiść pomiędzy bracią, i zupełny brak wiary; w końcu spójrzycie na świat, pożerany aż w głębiach jego wnętrzności przez doktryny przewrotne, przez potworną obojętność, która przyprawia o rozpacz największą gorliwość apostolską, i któraby nawet przytłumiła samą nadzieję, jeżliby tylko nadzieja nie była nieśmiertelną.

Oto stan, w jakim się znajdujemy. Jakiż jest środek do uśmierzenia burzy, którą występki nasze na widnokrąg sprowadziły? Mądrość światowa zawsze zarozumiała, jako ograniczona i fałszywa, codziennie ogłasza nowe lekarstwa, oddaje na przemiany społeczeństwo w ręce przebiegłości, odwagi, zdrady, siły, przemysłu i kto wie jakich działaczów. Próżne usiłowania! albowiem jest napisano: „A ludzie wszyscy są nikczemni, w których nie masz znajomości Bożéj“ [1]). Jedyny środek ocalenia pojedynczych ludzi i ludów jest w pojednaniu się z Niebem, to jest, przywołanie Boga do społeczeństwa, do łona rodzin i do głębi serca ludzkiego. Otoż właśnie pierwszym do tego celu krokiem jest nawrócenie się, pokuta: „Bo owo ja do was, a nawrócą się do was“ [2]). Pokuta, tak jest bezwątpienia, pokuta jest wielką naszéj epoki potrzebą. Post więc katolicki, który nas ku niéj prowadzi, jest przepisem dobro ludzkości mającym na celu.

Ponieważ dusza wywiera wpływ swój na ciało, przeto post, uzdrawiając człowieka we względzie moralnym, powinien koniecznie dobre skutki sprawiać na człowieku fizycznym. W modlitwach swoich Kościół św. opiewa tę nową korzyść postu [3]); dla tego też biegli lekarze dowodnie okazali dobroczynny wpływ postu na zdrowie.

Kościół św. w ustanowieniu postu nie uznał za rzecz przeciwną swojéj godności, ani obcą miłości duchowi, jakim się zawsze rządzi, zwrócenie baczności swojéj na zdrowie ciała; albowiem, jak umiarkowanie i wstrzemięźliwość są najlepszemi do utrzymania zdrowia środkami, tak post i umartwienie bardzo często bywają najpewniejszemi sposobami do jego odzyskania; doświadczenie przybywa na poparcie tego spostrzeżenia. Albowiem, za pomocą to postów ciągłych, tylu dawnych Świętych na pustyni żyjących zachowało czerstwe i trwałe zdrowie, aż do końca życia swojego, i doszło do starości secinę lat przechodzącéj, nawet w gorących krajach, gdzie bieg życia w ogólności daleko jest prędszy, aniżeli w strefie umiarkowanéj. I tak św. Paweł, pierwszy pustelnik, przeżył lat 113, św. Antoni 105, św. Arseniusz 120, a święci Pafnucy, Makary, Sabba i Jan Egipcyanin około stu lat liczyli, toż samo i wielu innych aż do naszych czasów.

Nauka lekarska w sposób dostateczny wyjaśnia te zadziwiające postrzeżenia. Ona upewnia, iż matką zdrowia jest wstrzemięźliwość, która zapobiega wszelkim chorobom wynikającym ze złego trawienia, lub, wrazie szkodliwych wpływów zewnętrznych, działanie ich osłabia; że ona niesie ulgę w chorobach nieuleczonych, uśmierza namiętności i utrzymuje świeżość zmysłów, że sprzyja do zachowania dzielności umysłu i żywości pamięci; nakoniec, iż ona jest drogą wiodącą do cnoty, jak powiada

1) Księga Mądrości XIII. w. 1.
2) Proroctwo Ezechielowe XXXVI. w. 9.
3) Jejunium quod animabus corporibusque curandis salubriter institutum est.

Cassian. Święci, którzy się wznieśli do ewangelicznéj doskonałości' od zachowania jéj przepisów usiłowania swoje rozpoczynali.

Wykonywanie téj cnoty w początkach jest trudne, albowiem należy pokonywać opór przeciwnych jéj nałogów; lecz, gdy raz jeden tylko przy niéj zostanie zwycięstwo, wówczas ona staje się źródłem najsłodszych rozkoszy, nie mówiąc już nic o korzyściach, jakie nam zapewnia. Nie odstępując od niéj, rzadko kiedy potrzebujemy pomocy nauki lekarskiéj; albowiem zabezpiecza ona od chorób z przesytu pochodzących, i bieg naturalny żywotnym naszym zapewnia sokom. Wielu zakonników, którzy w klasztorach prowadzili żywot ostry i wstrzemięźliwy, dosięgali późnéj starości i tylu świeckich ludzi, nie znając żadnych leków, ani innych przepisów wrazie niemocy swoich, nad dwu lub trzydniowe wstrzymanie się od pokarmu; co w końcu zwykle do zdrowia ich przywracało.

Tak więc światła nauka i doświadczenie wszystkich wieków jednogłośnie poświadczają, iż post najlepszym zapobiegającym środkiem jest przeciwko większéj części chorób, jakich doznajemy, i najłatwiejszym, a razem najprostszym sposobem przedłużenia dni naszych [1]).

Nie trudno jest pojąć, zwróciwszy uwagę na epokę do odbywania postu przez Kościół św. naznaczoną, iż ta ustawa nader korzystne skutki sprowadzać powinna. Post albowiem zwykle przypada na wiosnę, to jest w porze roku najprzyjaźniejszéj do poprawy zdrowia, bądź to nadwerężonego pracami znojnego lata, bądź niewczasami i zmiennością zimy. W téj porze roku soki żywotne mocniéj krążyć poczynają, i każde stworzenie żyjące pewnego rodzaju wzburzenia doznaje. Pożywność roślinna w tym czasie daleko jest właściwszą, aniżeli w każdym innym, i stanowi najlepszy i główny środek zapobieżenia większéj liczbie chorób; wstrzemięźliwość albowiem polega w znacznéj części na użyciu pokarmów tylko roślinnych.

Ktokolwiek się zastanowił nad głęboką mądrością i macierzyńską pieczą katolickiego Kościoła, ten się bez trudu przekona, iż wzgląd na zdrowie ciała naszego, jako podrzędna pobudka, wpływał w ustanowieniu wielkiego Postu. Sam Kościół przekonywa nas o tém w modłach zanoszonych do Boga, w których prosi o zesłanie łaski bogobojnego odprawienia postu, ustanowionego dla zbawiennego pożytku

1) Obacz autorów piszących o dyetetyce, a mianowicie: Junker'a, Arbuthnot'a, Hecquet'a, Lemerre'go, Lorre'go i innych.

duszy i ciała naszego [1]). Zawsze mądra i zawsze dobra oblubienica Boga-Człowieka, w tym punkcie karności swojéj, zwalnia swoje przepisy, stosownie do wieku i klimatu. Dzisiaj, gdy budowa ludzka częściéj, niż przedtém, bywa nadwątlona, Kościół pełen pobłażania dozwala, dla słabości naszéj, pewnych powolności [2]), o które słuszną jest rzeczą, abyśmy go prosili, dowodząc naszéj wdzięczności za jego dobroć i zachowując niektóre lekkie umartwienia, jakie nam nakazuje.

Nadto, w ustanowieniu postu w porze wiosennéj, zachodzi jeszcze inna dziwna zgodność téj ustawy z przyrodzeniem. Gdy się wszystko obudza w naturze, gdy ruch żywotny i wielka czynność odnowienia objawiać się zaczynają we wszystkich częściach świata fizycznego, zwiastując mający nastąpić w maju powrót do życia uśpionego podczas zimy stworzenia, Kościół usiłuje podobnąż działalność wzniecić w świecie umysłowym. Post czterdziestodniowy jest zbawiennym pokuty czasem, w którym wszystkie jego dzieci albo nowe życie odzyskują, albo sił nowych nabywają. W końcu tego zawodu Kościół św. ukazuje im niewysłowioną ucztę, do któréj wszystkich uroczyście wzywa. Usługujące na niéj ręce aniołów, podają pokarm nieśmiertelności i pokrzepiający napój, który oczyszcza krew ludzką i nieskażoność dziewiczą jéj przywraca. I wielka rodzina odchodzi od stołu Pańskiego odrodzona, utwierdzona w cnocie, jaśniejąca młodością, ugruntowana w mocném postanowieniu do dążenia lekkim krokiem za Boskim swoim wzorem, po drodze ku Niebu wiodącéj.

Ludzie do rozmyślania nawykli! powiedźcie teraz, azaliż post katolicki, ze spowiedzią i zasiłkiem Ciała i Krwi Pańskiéj, nie rozwiązuje najdokładniéj wielkiego zagadnienia, nad którego rozwiązaniem mozoli się świat teraźniejszy, to jest zagadnienia pytającego: jaki najlepszy jest środek do odrodzenia ludów, do utworzenia w nich moralności, poświęcenia się i uległości? — Naród, któryby odbył post po katolicku, czyliżby nie był zdolnym do wszelkiéj cnoty, czyliżby do niéj nie dążył wzorem ptaka królewskiego, który nowém pierzem odziany, śmiało na najwyższe wzbija się przestworza?

Jeżeli te uwagi trafiają do przekonania naszego, jakże szczerze litować się powinniśmy nad tymi ludźmi, którzy nie pojmując naga-

1) Orat. in Missa et offic. sabb. ant. prim. dom. quadrag.
2) Dyspensy.

niają, albo też pogardzają postem przez św. nasz Kościół nakazanym! Od obłąkanych naszych braci sprawiedliwsi ludzie innego wyznania nie mogli się powstrzymać od złożenia hołdu temu przepisowi. „Postrzegłem, wyrzekł jeden z nich, mówiąc o Włoszech (w pierwszéj połowie tego wieku), że pomimo upowszechnionego zepsucia, wszystkie klasy ludu podczas postu nadzwyczajnie się poprawiają. Nie słychać wtenczas tylu jak przedtém bluźnierstw, lub mów nieprzyzwoitych. Przepych, stroje, huczne biesiady, rozkosze, ustępują miejsca skromności, ostremu życiu i pokutniczéj powierzchowności; każdego wieczora można słyszeć wzorowe nauki, uczestniczyć w hojnéj jałmużnie zbieranéj na korzyść ubogich i być świadkiem powszechnego zebrania ducha i ogólnéj przykładności. Wyznaję, iż właśnie we Włoszech nauczyłem się lepiéj oceniać użyteczność postu i poznawać słuszność powodów, do ustanowienia jego przewodniczących. Odtąd nie mogę już podzielać zdania tych ludzi, którzy utrzymują, że ponieważ człowiek obowiązany jest zawsze prowadzić swe życie według przepisów wiary, a zatem za czysty przesąd uważać należy ustawę, przeznaczającą pewną część roku na większe, niż zwykle nabożeństwo. Zastanowiwszy się nad trudnością utrzymania ludzi w granicach ich powinności, nie można zaprzeczyć, jak korzystną jest rzeczą przeznaczyć corocznie pewną stosowną część jego, w któréjby musieli w siebie samych przeniknąć i nad swém postępowaniem gruntownie się zastanowić; w przeciwnym razie, grzech mocno się wkorzeni, i występne nałogi do wytępienia niepodobne się staną [1]).

Po tych ogólnych uwagach, przejdźmy do ustanowienia Postu wielkiego i sposobów jego odbywania.

Post czterdziestodniowy jest naśladowaniem tego, jaki Zbawiciel nasz na puszczy odbywał, chociaż nie obchodzimy go w czasie przez św. Ewangelią wskazanym. Chrystus Pan swój post rozpoczął niezwłocznie po chrzcie otrzymanym, który przypadł w pierwszych dniach stycznia. Lecz Kościół św., naznaczając mu dni czterdzieści poprzedzające uroczystość Wielkanocną, miał na widoku, za pomocą ciągłych umartwień, przysposobić nas godnie do obchodu chwalebnéj rocznicy Zmartwychwstania Pańskiego. Post jest apostolską ustawą; dla tego też wierni we wszystkich wiekach święcie go obchodzili. „Niema żadnego lądu stałego, mówi św. Bazyli, żadnéj wyspy, żadnego miasta, żadnego narodu, ani jednego najodleglejszego zakątka ziemi,

1) Sir Edwin Sands: Europae speculum.

w którychby post czterdziestodniowy nie był ogłaszany. Całe wojska, podróżnicy, żeglarze i kupcy, w stronach dalekich od swéj krainy, obchodzenie jego słyszą zalecane i z tego się cieszą. Nikt więc nie może uważać siebie za uwolnionego od tego przepisu. Starajcie się przeto, ażeby wasz anioł zapisał imie wasze w swéj księdze, i niechaj żaden z was nie odbiega chorągwi religii swojéj... Teraz to właśnie Zbawiciel nasz stacza ogólną walkę z szatanem i ze wszystką potęgą jego, zgromadziwszy wojsko złożone ze wszystkich świata mieszkańców. Szczęśliwi ci, którzy przez swoje męztwo staną się godnymi takiego wodza... Teraz więc królowie i książęta, duchowni i świeccy, szlachta i lud pospolity, bogaci i ubodzy, jednoczą się wszyscy z sobą do obchodzenia postu. Azaliż więc nie powinien się wstydzić każdy, ktokolwiekby uznawał za zbyt ciężkie jarzmo, pod jakie cały Kościół poddaje się z weselem?“ [1]).

Chrześcijanie pierwszych wieków w dni postu nic więcéj nie pożywali nad zioła, korzonki i jarzyny, albo owoce z chlebem i wodą; niektórzy do tych skromnych pokarmów dodawali jeszcze odrobinę ryby bez wszelkiéj przyprawy. Wszystkie rzeczy od nich używane tak były pospolite i tanie, iż ze zwyczajnych wydatków stołu pozostawała nie mała oszczędność, która według rady Ojców Kościoła na jałmużnę się przeznaczała. Obróć na jałmużnę! czegoś na stół nie wydał, mówi św. Leon W. W dni postne, powiedział św. Augustyn, cośmy zjeść mieli, na ubogich rozdajmy. Jadali też zwykle raz na dzień, około wieczora. Św. Fruktuoz, biskup tarragoneński, idąc na męczeństwo, odmówił przyjęcia napoju, który mu podawano dla pokrzepienia, mówiąc, iż nie nadeszła jeszcze pora złamania postu; było to w piątek o dziesiątéj godzinie zrana.

W szóstym wieku, ustawa wstrzemięźliwości została nieco złagodzona. Dozwolono na zachodzie trochę wina przylewać do wody osobom mającym słaby żołądek. Od siódmego wieku upoważniono użycie nabiału u niektórych ludów północnych, jakie tego żądały, gdzie spóźniona zima wstrzymywała wzrost roślin na post zalecanych. Później Kościół, w dobroci swojéj jako czuła matka, jeszcze bardziéj złagodził przepisy karności swojéj. U północnych ludów, a nawet Anglii

1) Homil de jejun. p. 11. et Bernard serm. VII. de quadrag. pag. 6 id. serm. III.

i Francyi, dozwolono używać masła w miejscu oliwy; jednakże wiele bogobojnych osób nie chciało korzystać z tego pozwolenia, które zresztą pod tym było dane warunkiem, ażeby ten rodzaj pokuty zastępowano jałmużną, lub innemi dobremi uczynkami [1]).

Za stosowną rzecz sądzimy w tém miejscu zrobić wzmiankę o kilku wypadkach świadczących o religijnéj uległości, z jaką pierwsi chrześcijanie zachowywali przepisy Kościoła. W roku 546 wielki niedostatek zboża, wina i oliwy, dawał się czuć w Carogrodzie, i lud w smutném znajdował się położeniu. Cesarz Justynian, jakkolwiek ścisły przestrzegacz postu, znając ducha przewodniczącego Kościołowi, nie robił żadnych trudności w przyzwoleniu otworzenia rzeźniczych jatek, od pierwszego tygodnia postu, i w wystawieniu na sprzedaż mięsa, na wszystkich rynkach. Lecz lud przekładał cierpienia głodu nad wyświadczaną mu powolność: nikt nie chciał mięsa kupować, i nikt go nie pożywał.

Godną uwagi takoż jest rzeczą głęboka mądrość Kościoła, okazana w pewnych odmianach zastosowanych do klimatu a wprowadzonych przezeń do ogólnych przepisów, tyczących się Postu Wielkiego. Głównym jego zamiarem było usunięcie tego wszystkiego w pokarmach, cokolwiek jest zbytku lub wykwintnéj zmysłowości przedmiotem, odwołując się następnie do gorliwości dzieci swoich. Tak więc aż do szóstego wieku zakazane było użycie wina. Ponieważ dzikie hordy zniszczyły prawie wszystkie winnice, wino przeto było i rzadkie i drogie, a tém samém za przedmiot zbytkowy uważane; Kościół więc użycia jego w czasie postu zakazał. Następnie, gdy upowszechnione winnice zamieniły wino w zwyczajny napój bogacza i przemyślnego rzemieślnika, Kościół w początku znosił a w końcu na jego użycie zezwolił; albowiem posłuszeństwo jego dzieci zkądinąd zasługiwało na takie przyzwolenie. — Zobaczycie przytém, iż tenże Kościół upoważnia jedne kraje do użycia tego, czego innym zakazuje. Oliwa i owoce zalecone są w krajach gorących, gdzie w wielkiéj znajdują się obfitości, za to użycie nabiału jest tu zabronione; rzecz się ma przeciwnie w stronach północnych. Podobnież w dyecezyach nadmorskich pokarm rybny jest dozwolony, zakazany zaś jest w tych miejscach, gdzie ryba uchodzi za pokarm wymyślny i zbytkowy. Oto

1) We Włoszech i innych krajach południowych, jako też na wschodzie, do dziś dnia nabiał jest zakazany.

są względy, na które należy zwracać uwagę, chcąc przyzwoicie osądzić ducha, jakim się rządzi nasz Kościół św.

Ta rozmaitość, jaką dziś postrzegamy w przepisach względem sposobów odbywania Wielkiego Postu, bynajmniéj nie może się zdawać dziwną w oczach człowieka oświeconego; przeciwnie, jest ona dowodem troskliwości macierzyńskiéj i gruntuje się na głębokiej znajomości serca ludzkiego.

Jedną rzeczą, która się tu zgoła nie odmienia, jest konieczna potrzeba pokuty w dniach postu. I dla jéj zachowania Kościół św., zwalniając pierwiastkowe przepisy ostréj wstrzemięźliwości, nakazuje jałmużny i modlitwę. A to urządzenie właśnie nie może być przedmiotem nagany, lecz przeciwnie, wielką zawiera w sobie pochwałę i zaletę. Przez usta św. Hieronima przygania religia tym wszystkim, którzy w dniach postu wymyślnemi potrawami zastawiają swe stoły. „Jakąż korzyść sądzicie otrzymać z waszéj powściągliwości, mówi ten święty, jeżeli razem wybieracie w tym czasie owoce najrzadsze i najsmaczniejsze? Wyszukujecie cokolwiek tylko najprzyjemniejszego dla zmysłów dostarczyć mogą najbogatsze składy wasze; i czyliż to jest umartwienie? Chleb powszedni jest dostatecznym wówczas gdy pościmy“.

Ogólny duch religijny i szczególne przepisy Kościoła są niezawodnymi przewodnikami, których się trzymać należy przy odbywaniu Wielkiego Postu. Dzisiaj dozwolona jest nawet i lekka wieczerza, któréj następny jest początek: W roku 817 Benedyktyni, na generalną kapitułę w Akwisgranie zgromadzeni, uchwalili ustawę dla swego zgromadzenia w tych słowach: „Jeźliby konieczność tego wymagała, po ciężkich pracach i w dniach, w których odbywają się modły za umarłych, mogą zakonnicy używać napoju nawet podczas Wielkiego Postu, pomiędzy obiadem i kompletą“. Gdy się zakonnicy zgromadzali przed rozpoczęciem komplety, wówczas czytano im rzeczy nabożne, albo odpowiednie dawano nauki; czynność taka nazywała się u nich konferencyą, albo po łacinie *collatio*. Po odbytém czytaniu, a nawet niekiedy i podczas niego, rozdawano każdemu z obecnych kubki wina i wody, które przełożony wprzód pobłogosławił. Ztąd poszło nazwanie kollacyi, jakiém oznaczano ten lekki posiłek. Zwyczaj ten, przyjęty późniéj przez ludzi świeckich i cierpiany od przełożonych klasztornych, stał się następnie lekkiém złagodzeniem ostrych przepisów postu.

Co się tyczy kościelnego nakazu odbywania postu, ten obowiązuje wszystkich wiernych w ogólności, którzy tylko 21 lat wieku ukończyli, wyjąwszy jedynie ważne powody, które od obowiązku uwalniają [1]). I tu znowu nam przychodzi uwielbiać mądrą tkliwość Kościoła. W wiekach gorliwości religijnéj, bez różnicy pościli wszyscy a nawet i dzieci; lecz wykonanie téj ustawy zmieniało się stosownie do wieku i temperamentu. Za czasów św. Tomasza powstało pytanie tyczące się ścisłego oznaczenia wieku, w którym post rozpoczynać należało, bez szkody rozwijającéj się organizacyi i temperamentu. Po dojrzałéj rozwadze Doktor anielski naznaczył 21 lat skończonych za najwłaściwsze do odbywania postu; utrzymał się więc ten wyrok oparty na najściślejszych poszukiwaniach nauki lekarskiéj. Zwyczaj zamienił się w prawo, i dzisiaj już jest przez Kościół poświęcony.

Za ważne i dostateczne do uwolnienia od postu uważają się następne powody: słabość fizyczna jak np. choroby; osłabienie wynikające z ciężkiéj pracy; wzgląd na wykonywane inne dobre uczynki, jako to: czuwanie przy chorych, nauczanie i t. d. W każdym jednak razie, dla spokojności sumienia, udawać się należy po rozwiązanie wątpliwości do pasterzy duchownych; nie zaszkodzi téż niekiedy zasięgnąć przedtém rady bogobojnego i światłego lekarza. Gdyż sama dyeta, jak wiemy, bardzo często w wielu chorobach najlepszym już bywa przepisem.

Jednakże pod nazwanie prac ciężkich i mogących wyniszczyć siły człowieka, takie tylko podciągać należy, jakie są niemi w istocie. Sposób życia biednego rolnika, jak mówi Collet, jest postem nieustannym. Toż samo rzec można o tych wszystkich, którym nędza nie dozwala codziennie mieć przyzwoitego i zwyczajnego posiłku.

Ci zaś, którzy istotnie pościć nie mogą, obowiązani są pokutę swoję wynagradzać i dopełniać innemi uczynkami: jałmużną obfitszą aniżeli zwyczajna, dłuższą modlitwą i większém poddaniem się woli Boga w znoszeniu dotykających ich cierpień.

Do przyzwoitego odprawienia postu koniecznie trzeba doń łączyć jałmużnę i modlitwę, oraz odstąpienie od grzechu i unikanie zręczności do niego wiodących.

---

1) Jest tu mowa o poście w ścisłém znaczeniu, który się na tém zasadza, żeby raz tylko na dzień jeść i to z postem: bo co się tyczy wstrzymywania się od potraw mięsnych w pewnych dniach, do tego, wedle nauki Kościoła, jesteśmy obowiązani od roku siódmego skończonego.

Należy przy tém ze wszelką ścisłością wykonywać przepisy bogobojności i ćwiczenia się w nauce religijnéj, przygotowywać się do godnego odbycia spowiedzi, przez gruntowne zastanawianie się nad sobą samymi, nakoniec trzeba zmusić do postu wszystkie zmysły nasze, które do grzechu nas wiodły. Otoż jeszcze inny nowy powód do uwielbiania głębokiéj mądrości Kościoła św. Wie on dobrze, iż sam post tylko nie wystarcza do zmuszenia człowieka, ażeby wszedł w siebie samego i ażeby duchownie go odrodził; dla tego więc troskliwa i przezorna ta matka zakazuje mu podczas postu szukania tego wszystkiego, cokolwiekby do roztargnienia prowadzić go mogło. Widowiska wszelkiego rodzaju surowo są zabronione od Ojców świętych i koncyliów przez cały ciąg czterdziestodniowego postu. Cesarz Justynian wydał ustawę, zabraniającą wszelkich przedstawień teatralnych w czasie Wielkiego Postu, oraz w niedziele i inne uroczyste doroczne święta. Polowanie i odbywanie spraw po sądach również było na czas postu zawieszone. Zawieszenie broni stanowiło takoż jeden z nakazów postu. Tak-to ojcowie nasi post za ważną rzecz poczytywali; wówczas-to milczenie i pokój cały świat ogarniały. Rozlegał się tylko uroczysty głos Kościoła, wzywający do pokuty swe dzieci, lub téż błagający dla nich zmiłowania boskiego. Cała społeczność, począwszy od władcy zasiadającego na tronie, aż do ostatniego z jego podwładnych, przyjmowała postać pokutującéj Niniwy. Czyż można się dziwić, iż post wówczas był sprawcą powszechnego odrodzenia się?

O mój Boże, mój Boże! i kiedyż znowu ujrzymy piękny widok, jaki przedstawiała dawniejsza społeczność chrześcijańska podczas Wielkiego Postu? „Jak po oczyszczeniu roli ze szkodliwych chwastów, jesteśmy pewniejsi otrzymania pożądanych z niéj plonów, mówił św. Jan Złotousty pośród rozległego miasta Antyochii: podobnież surowe przepisy Wielkiego Postu ożywiają naszą duszę i ją usposabiają do wydania cnót wszelkich. Zgiełk i tłumne zgromadzenia ustają w tym czasie. Nie widzimy wystawy mięsnego pożywienia, ani usiłowań kucharskich do wywołania niewstrzemięźliwości. Miasto przybiera postawę cnotliwéj niewiasty, skromnéj i poważnéj matki licznéj swéj rodziny. Zwracając wzrok mój na zmianę, która w kilku zachodzi godzinach, nie mogę się powstrzymać, abym nie uwielbiał wpływu i potęgi postu. Oczyszcza on serce i przekształca umysł, tak urzędnika jak i prywatnego człowieka, bogacza i nędzarza, oświeconego i w grubéj pogrążonego ciemnocie. Znika różnica pomiędzy

stołem możnego i ubogiego, który w smutnéj żyje nędzy. Wszędzie pożywność prosta, skromna, niezbytkowa, niewymyślna; a dziwniejsza rzecz jeszcze, iż do tak zastawionego stołu z większą pośpiesza się skwapliwością, aniżeli przedtém przystępowało się do uczty, obfitującéj w najwykwintniejsze potrawy i najwspanialsze wina 1).

1) Homil. XV. in Gen.

O nieśmiertelności duszy.

Czémże są wszystkie utrapienia tego świata, jego boleści, jego niesprawiedliwości dla tego, który się czuje nieśmiertelnym? Nieśmiertelność jest ostatnim wyrazem nauki życia. Ona zmienia wszystko wewnątrz i zewnątrz nas: wewnątrz czyni łatwem wszelkie poświęcenie, ponieważ napełnia duszę naszą radośną nadzieją; na zewnątrz— nieszczęściu odbiera jego rzeczywistość, przemienia je, zmniejsza, niszczy. Czując się nieśmiertelnym, trzebaby uczynić wysiłek umysłu i serca, aby wziąć na seryo tych sześćdziesiąt lat prób, co nazywamy życiem ludzkiém, lub ten niepokój codzienny, który wyczerpuje czynność dusz słabych. Pociecha i nadzieja, te dwie podpory, te dwa bożyszcza człowieka, są niczém bez nieśmiertelności, która jest ich podstawą.

Napróżno wysila się nauka, chcąc dowieść nieśmiertelności. Nie dowodzi się takiego dogmatu, gdyż on wynika z całkowitéj nauki, jak niecielesność (duchowość) duszy, jak istnienie i opatrzność Boża.

I dla czegoż mają nam dowodzić istnienia ojczyzny? Czyż tak dalece zapomnieliśmy o niéj? Czyż to ciało i ten świat, i ta materya, i to błoto na zawsze zniweczyły skrzydła nasze? Czyż dla czołgania się przez lat kilka po téj nędznéj ziemi, mamy być odarci z tytułu dzieci Bożych?

Żądają, abyśmy dowiedli, iż dusza nasza nie jest jedno z ciałem, to jest, że myśl jest niezależną od przestrzeni. Lecz cóż jest w przestrzeni, coby ją czyniło potrzebną myśli? Zkąd ma pochodzić to jéj pierwszeństwo? Myśl jest tak odrębną od przestrzeni, iż obejmuje ją w jednéj chwili i przechodzi jéj granice.— Przestrzeń ma

krańce—myśl ich nie ma. Przestrzeń jest podzielna, znikoma, złudna, bezustannie odnawiana; przestrzeń odbiera działanie, lecz nie jest działająca: podlega prawom mechanicznym, przypadkom; przestrzeń jest smutnym i ciemnym obrazem nicości. Umysł żyje i działa; tworzy, albo przynajmniéj przeistacza; ma wspólność z niewzruszonością i wiecznością. Prawa, jakie on przyjmuje, rozciągają się na wszelką przestrzeń i na wszelki czas. Umysł, który panuje nad całym światem, jest więc zdolny do użycia go; on bowiem jest stworzony na to, aby go przeżył. Słońce zgaśnie, ale światło wewnętrzne, rozum ludzki, nie będzie miał nocy.

I cóż to znaczy myśleć? Czy tylko przenikać ciała zmysłowe, opisywać je, mianować i porządkować? Czyż nie pojmujemy równie wyraźnie świata ducha jak ciała? Czyż początek i porządkowanie zjawisk natury wyczerpuje już wszystkie siły naszéj myśli? Po za światem zewnętrznym czy niema jeszcze innego świata, którego zmysły nie potrafią dosięgnąć, lecz którego rozum odkrywa? Gdzież jest niewzruszoność, wieczność, prostota? czy w świecie zewnętrznym, czy też raczéj w świecie ducha? Albo gdzie się znajduje największa siła myśli? Czy wtedy gdy się oddaje rzeczom marnym i znikomym, czy też wtedy, gdy ma za przedmiot to, co nie przechodzi i nie zmienia się? Umysł nasz odpowiada wieczności, stworzony jest na to, aby nigdy nie zginął.

Bóg nic napróżno nie stworzył; jest to prawda niezbita, wypławająca jednocześnie z wpatrywania się w świat i w doskonałości boskie. A więc, jeżeli są w nas potęgi niepożyteczne do naszego życia ziemskiego, jeżeli nasze najpiękniejsze władze nie znajdują tu na ziemi ani swego zastosowania, ani swego celu, — to dla tego, że jesteśmy przeznaczeni do innego życia. Przechodzimy przez ten świat, ale jak podróżni spieszący się do ogniska rodzinnego. Skarżmy się raczéj na długość drogi, a nie na śmierć, która ją zakończy.

Jakże ten świat mógłby nam wystarczyć, on, który jest tylko chwilą przelotną pomiędzy nicością przeszłości a nicością przyszłości? W miarę, jak badamy, znika przed wzrokiem naszym. Żyjemy, lecz każda chwila do zniszczenia prowadzi ciała, co nas otaczają. Jak tylko nam nie wystarcza życie materyalne — kryjemy się od świata, zagłębiając się w nauce, to jest odpychamy nogą ziemię, aby posiąść świat ducha. Opuszczamy przedmioty podpadające pod nasze zmysły, dla istot, które nasz umysł znajduje i odtwarza, po za zjawiskami, które od nich pochodzą i kryją je przed profanami. Tam spostrzegamy pierwiastki, z któremi wszystkie stworzenia mają związek, porównywamy je z sobą, odkrywamy podobieństwa, wznosimy się przechodząc z pierwiastków do pierwiastków,— i tak po szczeblu dochodzimy do myśli jedynéj, ale wszechmocnéj, która odrazu zrodziła wszelkie prawa i wszelką materyę świata, aż do słowa Stworzyciela, które obejmuje w swéj jedności wszelkie prawa, zkąd powstaje harmonia światów. Umysł nasz przebiega z uniesieniem i zachwytem ten porządek prosty, płodny, a tak cudowny, z którego wytryska bez przestanku niewyczerpany strumień zjawisk. Oto jest świat nauki, świat prawdziwy, świat idealny, ojczyzna dusz naszych.

My, mieszkańcy tych przybytków Przedwiecznego, czujemy się na wygnaniu na téj ziemi. Bo ta iskra Bożego ducha w nas przebywająca, tego Boga, co świat utrzymuje, co panuje nad nim, rządzi nim, nie mogłaby się zmięszać z pyłem tego świata, ani być zmiecioną na zawsze jego śmiertelném tchnieniem. Wszystkie te wielkie sprężyny, dające ruch ciałom niebieskim, opadną — i znikną wszystkie słońca, a dusza nasza śmierci nie poczuje.

I któż będzie śmiał powiedzieć, że doskonałości niema, lub że ten świat jest doskonałością? Jeżeli doskonałość istnieje, czyż nie powinniśmy do niéj należeć, kiedy ją znamy. Gdy robactwo opanuje ciało nasze, dusza wzbije się do tego Boga, którego przeczuwała, o którym marzyła, którego istnienie wykazywała, przez którego myślała, przez którego kochała; do tego Boga, który sam zapełnia życie nasze i który nie na to nam dał myśl i miłość, ażebyśmy te skarby oddawali zgniliźnie i nicości. O! cały świat zgnieść mię nie potrafi. Niechaj zmiażdży moje ciało, lecz dusza zawsze mu się wymknie.

Trzeba zgłębić dobroć Boga z miłością, trzeba w niéj się zatopić. Jak to być może, że jest Bóg i że nieszczęście i niesprawiedliwość istnieje? Jeżeli mam mieć koniec wraz z mojém ciałem, dla czego Bóg uczynił mię wolnym? dla czego objawił mi się w moim umyśle? dla czego z niewzruszoności i z wieczności uczynił przedmiot ciągły méj myśli? dla czego dał mi serce, którego żadna miłość nasycić nie zdoła? Ta potęga, która świat przemienia, ta myśl, która go mierzy i wyprzedza, to serce, które nim gardzi, czy mi są dane dla méj rozpaczy?

Niestety! I czemże jest to życie? Jednym ciągiem gorzkich rozczarowań, czystéj miłości zdradzonéj, znajomości, których szukamy, a które nam znikają; uniesień, z których się nazajutrz śmiejemy; walk, które nas wyczerpują; rozpaczy, co ściskają nasze serca; rozłą-

czeń, które dręczą nasze najdroższe i najświętsze uczucia. Oto jest życie, jeżeli mamy zaginąć! Oto jest Opatrzność!

Zaginąć! — Jakto, czyś nigdy nie widział sprawiedliwości poniżonéj na świecie? Czy zbrodnia nigdy nie tryumfowała? Czyż niema zbrodniarzy umierających wśród powodzeń, wśród upojenia swych bezbożnych rozkoszy? Sokrates czyż nie wypił trucizny? Czyż sama historya nawet jest bezstronną? potomność, ten cień, którego sprawiedliwy przyzywa, czy usłyszy ostatnie jego wołanie? I któż ośmieli się podtrzymywać tę myśl, że niewinny umiera wśród prześladowań i męczarni, a biedna jego dusza nie będzie przyjęta na łono Boga?

O ostatnie słowo nauki ludzkiéj! o święta wiaro! o słodka nadziejo! czyż możnaby zrozumieć ten świat bez ciebie, i czy możnaby go znosić bez ciebie? Łańcuch nierozerwalny łączy razem wolność, prawo moralne, nieśmiertelność duszy i Opatrzność Boską. Żaden z tych dogmatów zginąć nie może, nie pociągnąwszy za sobą zniszczenia innych. Łączymy je wszystkie razem w wierze i miłości. Niema już miejsca dla rozpaczy w duszy uczciwéj, głęboko przekonanéj o swéj nieśmiertelności. Im więcéj rozmyślamy nad nieśmiertelnością duszy, tém więcéj znajdujemy w téj myśli siły do oparcia się wszelkim cierpieniom tego świata.

Śmiertelni! Ten świat jest naszą prawdziwą ojczyzną, od niego mamy nasze troski i przyjemności: szczęśliwi jesteśmy, jeżeli nas rozgrzesza i wynagradza, nieszczęśliwi—na zawsze,—jeżeli nas odpycha i potępia.

Nieśmiertelni! My przez ten świat tylko przechodzimy, jest on dla nas tylko znikomym, i wszystko jest dobre na przekorę cierpieniom i boleści, abyśmy tylko przybyli do celu próby, wolni od wszelkiéj zmazy. Boleść i śmierć tracą swoje żądło, kiedy wznosimy wzrok na tę przyszłość bezchmurną. Śmierć jest tak błahą rzeczą, że ludzie zgromadzają się w dni świąteczne, aby z niéj robić przedstawienia; wojna nawet odbywa się z pewną ceremonią. Są to gry sceniczne i nic więcéj; grajmy naszą rolę ochotnie i nie oskarżajmy Opatrzności za mniemane nieszczęścia, które wraz z maską złożymy. Czyż to dusza nasza cierpi i umiera? Nie, nie, to człowiek zewnętrzny, to osoba.

Życie nasze jest w Bogu. Niema myśli rzeczywistszéj, pewniejszéj, jak myśl o Przedwiecznym, niema czynu prawdziwszego, jak spełnienie obowiązku. Obowiązek sam jest prawdą—złe jest ni-

czém [1]). „Człowieku! na co się skarżysz? Na walkę? Lecz to warunek zwycięstwa. Na niesprawiedliwość? Lecz co ona znaczy dla nieśmiertelnego? Na śmierć? Lecz ona twém wyswobodzeniem!“ [2]).

---

1) Jules Simon, profesor filozofii w Sorbonie—le Devoir.
2) Plotin, Enn., III. liv. II, chap. 15. et Enn., II. liv. IX. chap. 9.

Moc sumienia.

Święty i tajemniczy głos odzywa się w sercu każdego człowieka: poganinowi nawet, nie oświeconemu pochodnią objawionéj wiary, słyszeć on się zdaje. Żadne pochlebstwo, żaden gniew, żadne sofizmata nie mogą mu nakazać milczenia. Brzmi on bezustannie: Śmiertelniku! bądź sprawiedliwy i czyń dobrze.

Napróżno niedowiarek, zasiadłszy na ławicy szyderstwa, dumny płochem zuchwalstwem, uważa w wszechświecie dzieło przypadku, w religijnéj wierze—przesąd pospólstwa, w chrystyanizmie—hamulec polityki; napróżno odpycha cnotę, przezywając ją obłudą, wyskokiem egzaltowanego umysłu; napróżno usiłuje wmówić, że chytre i samoistne rady są wypływem mądrości, że przedwieczna Opatrzność Wszechwładcy świata jest tylko mamidłem, a straszliwy sąd Boży—wynalazkiem dla postrachu niedołężnych i poziomych umysłów; bo głos wewnętrzny wołać doń nie przestaje: człowiecze! ty kłamiesz, oszukujesz sam siebie. Lecz oto ziemia wstrzęsła się pod jego nogami, runęły pałace i świątynie; obok niego zbledli przyjaciele wpadają w rozwarte przepaści, skupiają się zaciemniałe chmury, przerażają błyskawice, grzmoty wstrząsają ziemi posadę, uderza piorun i obraca w perzynę dom i posiadłości jego. Szyderca przestaje żartów. Jest Bóg! odzywa się doń jego sumienie. Jest Bóg! powtarza on z mruczeniem.

Człowiek zepsuty żartuje z głosu niebieskiego, chociaż ten i silnie i zbyt często do duszy jego przemawia. Nazywa on to skutkiem wykrzywionego wychowania, wątkiem baśni, jakiemi zbałamucono pierwszą młodość jego. Uważa się w nauce swojéj wyższym nad wszystkie geniusze, jakie tylko stały się chlubną ludzkości ozdobą; mniema, że wszelkie przesądy pospólstwa zdeptał swojemi nogami; dopuszcza się złego tajemnie, potém rzuca koło siebie szydercze spojrzenia i pyta: gdzież jest sędzia spraw moich? Aliżci w téjże chwili odzywa się głos wewnętrzny: chociażby złe czyny twoje całego świata zwaliskiem pokryte zostały, prędzéj czy późniéj wyjdą one na jaw, wyjaśni je światłość Boga. Napróżno rzuca się w zamęt rozkoszy wśród burzy rozhukanych namiętności, bo zawsze i wszędzie nosi pożerczy ogień w duszy swojéj. Radby się gwałtownie wydobył z tego moralnego porządku, który rządzi światem, z tego porządku, w którym cnota jest nakazana; złe wyradza się na zgubę; ale niewidzialna władza wstrzymuje go, duszę i czyny jego spaja silnie z odwiecznym wszechświata porządkiem. Najtajemniejsze grzechy zapowiadają mu zgubę, któréj wstrzymać nie ma już mocy. Pokój, wygnany z serca, już do niego więcéj nie wróci; niespokojność go udręcza, i głos wewnętrzny silnie woła: Bóg jest wszędzie obecny, ściga cię i zawsze jest przy tobie.

Nikczemny zazdrością, uzbrojony kłamstwem, wydziera palmę obrażającéj go zasłudze; lecz jego serce mimowolnie oddaje cześć ofierze, którą jego usta zabijają.

Taka jest moc sumienia. Wciska się ono, jak anioł niewidzialny, wśród społeczności; utrzymuje rozum, sprawiedliwość i prawdę, chociażby je świat opuścił cały; dosięgnie winnego, chociażby się ukrył w ciemne i nieznane pieczary; przerazi występnego, chociażby się otoczył blaskiem imienia, dostojnością i zaszczytami.

Sumienie jest boskiem prawem dobrego i sprawiedliwości, prawem, które sam Stwórca wyrył na sercu każdego człowieka, a które zarówno obowiązuje chrześcijan i pogan, bo jak naucza Paweł św.: „Gdy poganie z przyrodzenia czynią co zakon ma, tacy zakonu nie mający sami sobie są zakonem: którzy okazują dzieła zakonu napisane na sercach swoich, gdy im sumienie ich świadectwo daje, i myśli między sobą różne, albo je oskarżające, albo téż uwalniające“. (Rzym II. 14. 15).

Sumienie naucza nas wszystkiego, uczy ono obowiązków każdego nawet prostaczka. Jest-li człowiek w społeczeństwie, któryby śmiał się wymawiać nieznajomością sprawiedliwości i niesprawiedliwości, ażeby tym sposobem uniewinniał swoje przestępstwa w obli-

czu drugich i przed samym sobą, w obliczu tego Boga, który przenika najskrytsze tajniki serca naszego? Nauczające nas sumienie jest zarazem sprawiedliwym i nieugiętym sędzią. Weź za przewodnika, za regułę tę naukę, to uczucie dobrego, a nigdy nie wpadniesz w rozmyślne obłąkanie, nie dopuścisz się z namysłem występku, ale żyć będziesz w pokoju z sobą samym, z duszą twoją. Kiedy zmysłowość chce cię zwabić i usidlić swemi ponętami, nadstawiaj ucha na głos tego surowego stróża: słuchaj tego silnego głosu we wszystkich niepewnych kolejach, kiedy wahając się między twemi przeciwnemi skłonnościami, między korzyściami innéj natury, mógłbyś łatwo pobłądzić; kiedy np. nie mógłbyś z całą mocą bronić twego interesu, bez zaszkodzenia tym, dla których stałbyś się nader użytecznym, gdyby twoja miłość własna była zdolna do uczynienia jakowéj ofiary. Obraził cię kto, i zamierzasz może zemścić się nad nim,—słuchaj głosu sumienia, które ci mówi: bądź szlachetniejszy od twego przeciwnika, ukarz go swoją wspaniałomyślnością. Nieczyste żądze niepokoją twe zmysły, uwodzi cię rozkosz występna i wciąga do zbrodni,—ale sumienie woła na ciebie: Nierozważny! chcesz że wlać truciznę występku w serce niewinności, chcesz że jak szatan zniweczyć szczęście raju? Czyhasz może na cudze dobro, wzdychasz do wielkiego zysku, ktorybyś mógł okupić małém podejściem: Wstrzymaj się! mówi ci sumienie, wyrzecz się zysku, który cię upodlił przed tobą samym.

Cóż ci pomoże, choćbyś świat pozyskał cały, kiedy duszę swoją wiecznie zatracisz! Chęć pokazania dowcipu lub bawienia towarzystwa, które zgromadza próżnowanie a utrzymuje kłamstwo, każe ci okrywać śmiesznością nieprzytomną osobę, mówić o niéj uszczypliwie: tymczasem ostrzega cię sumienie, że gdyby osoba, przedmiot twych bolesnych żartów, stanęła nagle przed twemi oczami, wstyd nakazałby ci milczenie.

Sumienie naucza surowo i sprawiedliwie. Nie znajdziesz szczęścia, tylko w zastosowaniu się do jego przepisów. Nie szukaj więc próżnych wybiegów, nie łudź się, abyś za pomocą subtelnego rozumowania zdołał zaspokoić chęci i nieprawe skłonności, bez obrażenia uczciwości, która nieskażoną w głębi twego serca pozostać pragnie. Twój rozum podchwytliwy na ciebie samego zdradne sidła zastawia. Jak tylko występek wabi cię do siebie, zaraz żal śledzi tajemnie czynności twoje. Niepodobna wejść z sumieniem w układy: zdaje ci się, że z niém korzystnie traktujesz, a jednak z działania tego wychodzisz z niesławą; chcesz się uwolnić z pod niezmiennego prawa wyrytego w twéj duszy, a stajesz się spodlonym niewolnikiem zgryzoty.

Sumienie naucza mocą Boga. Rozkazuje ci brać za regułę wszelkiego postępowania sprawiedliwość odwieczną, nie zaś twoję miłość własną lub osobisty interes. Powinieneś czynić dobrze bez żadnéj obcéj pobudki, chociażbyś nawet żadnéj ztąd nie odnosił korzyści. Tak ci rozkazuje twoje sumienie, tak cię naucza Jezus Chrystus. (Mat. VI). Jeżeli interes i opinia są pobudkami twojego działania, będą one także i jedyną nagrodą. W takim razie nie jesteś cnotliwym, masz tylko roztropność świata tego. (Mat. VI. 1. 18).

Sumienie zawsze ostrzega. Każdy człowiek po grzechu słyszy ostrzeżenie swego wewnętrznego sędziego. Już w samém naszém dzieciństwie, wśród naszych zabaw lub pierwszych naszych zatrudnień, doświadczaliśmy niespokojności, ilekroć, wciągnieni przez płochość, skłonność występną lub zgubną siłę przykładu, dopuściliśmy się jakiego złego.

Złodziéj, wyciągający rękę dla zabrania niesprawiedliwie cudzego dobra; rozpustnik, przemyślający nad sposobem uwiedzenia; krzywoprzysięzca, gotujący się na pokrycie kłamstwa, wzywać imienia Boskiego, dotykać swą zbrodniczą ręką święty obraz Zbawiciela na krzyżu; człowiek bez wiary, co dla interesu lub przez podłą zemstę zamierza zdradzić swego przyjaciela, rząd lub ojczystą ziemię: wszyscy ci, zamierzający niegodziwość, ze drżeniem, wahaniem się, gwałtownem biciem serca, przystępują początkowo do zbrodni. Woła na nich sumienie, by opuścili zbrodniczą drogę: jego głos, w miarę jak grzesznik zbliża się do wykonania swego zamiaru, coraz surowszym, coraz straszniejszym się staje.

Walka człowieka z samym sobą, pierwéj niżeli pierwszy krok postawi do złego; pasowanie się z własném sumieniem, które go uprzedza i ostrzega, jest niejako walką człowieka ze swoim aniołem stróżem, który usiłuje zachować go od zguby. Niestety! mimo tkliwéj surowości anioła, grzech spełniony zostaje. Posłaniec niebieski oddala się w milczeniu, jego czoło boleść osłania. Grzesznik wirem namiętności porwany, wpada z jednéj przepaści w drugą: Boski przewodnik zwraca nań jeszcze wzrok politowania, i w miarę oddalania się, jego przestrogi są smutnym dźwiękiem coraz słabszym i słabszym, aż nareszcie wcale dosłyszeć się nie dają.

Patrz na tego młodzieńca, jeszcze niewinnego, co ma popełnić pierwsze kłamstwo, po raz pierwszy dopuścić się oszukania. Mówi, ale język jego zacina się w wyrazach. Poruszenia zdradzają jego przykre położenie. Radby podnieść głowę ku tym, których niegdyś kochał i spotkać ich wejrzenie; ale nie śmie wytrzymać wzroku sprawiedliwego. Obawia się, aby nie poznano wzruszeń jego serca. W taki sposób sumienie swoje objawia przestrogi! Przypominając sobie swą cnotę, waha się jeszcze, wstydzi się swego niegodnego postępowania: jeżeli zaś przypadkiem dojrzy w zwierciadle twarz swoją, odwraca się ze drżeniem. Młodzieńcze! któryś dotąd zachował twe serce bez zmazy, którego niewinności zazdroszczą dojrzali i starcy występkami splamieni; któryś wolny i dumny postępował na téj ziemi jak w nowym Edenie; i wy czułe córki, pieszczoty rodziców, ozdobne niewinnością i wstydem, słuchajcie, ach! słuchajcie rad waszego anioła, abyście przezeń nigdy opuszczeni nie byli: utrzymujcie niewinność pierwszych lat waszych, zachowajcie ją nienaruszoną w przybytku serca waszego. Kiedy dojdziecie dojrzałego wieku, kiedy ujrzycie się na czele familii, wierność, z jaką przechowaliście ten skarb drogi, znajdzie swoją nagrodę: przepędzicie resztę dni waszych pod czystém niebem pierwszéj waszéj niewinnéj młodości.

Młodzieńcze! spojrzyj na tego rozpustnika, który haniebnie zmarnował skarb swojego zdrowia; patrz na tego człowieka bez czci i szacunku, co na łonie źle nabytych bogactw nie znajduje chwili spokoju; wejrzyj na tego zabójcę z wybladłą twarzą, ze drżeniem zbliżającego się do rusztowania, za to, że nie umiał powściągać zgubnych namiętności. A ty delikatny kwiecie rodu ludzkiego, dziewico nadobna, córko luba, przypatrz się téj ofierze uwiedzenia, co wniosła śmierć w serce swych rodziców, co zamknięta w swéj hańbie, trawi się zgryzotami: rzuć wzrokiém na tę matkę rodziny, którą łakomstwo i nierząd postawiło w pogardzie społeczeństwa i u własnych dzieci. Głos sumienia dawał tym nieszczęśliwym też same, co wam dzisiaj przestrogi, ale niemi wzgardzili!

Sumienie karze. Po upadku grzesznika, unika dobry anioł, szatan zaś zemsty, otoczony trwogą, miejsce jego zajmuje. Bojaźń wciska się do występnego serca i wypędza ztamtąd duszy pogodę. Nigdy fig nie zbierają z ciernia, nigdy za złym czynem nie następuje uszczęśliwienie. Możesz ukryć twą zbrodnię przez długie lat koleje,

lecz jéj skutki pozostaną na zawsze i w końcu zdradzić cię muszą. Przypadek pozorny, nieprzewidziane zdarzenie, okoliczność obojętna, wyjaśnią zbrodnię dopełnioną w ciemności; a cała korzyść wszelkich twych zabiegów skończy się na powiększeniu hańby i zgryzoty.

O! jakżebyśmy zadrżeli, gdybyśmy czytać mogli w sercu człowieka dręczonego zgryzotą, wtenczas szczególniéj, kiedy jest sam na sam ze swojém sumieniem! Opuszczony przez Boga, własnéj czci pozbawiony! Jakże to poniżenie ciąży mu na sercu na widok cnoty! Często proste słowo bez zamiaru wymówione w jego przytomności, jest dla niego ciosem śmierci! Zaiste, żadne korzyści, żadne rozkosze, nie zdołają złagodzić dotkliwych ran, zadanych przez wyrzuty sumienia.

Jeżeli występny wśród roztargnień dziennych zdoła zapomnieć o sobie samym,—podczas nocy, pamięć jego błędów, jak mściwe straszydło, napastuje jego łoże, gdzie napróżno szuka spoczynku. Wiele cierpień w życiu swém nieodłącznych człowiek wytrzymać musi: są z nich niektóre bardzo okropne, ale największą męką jest udręczenie sumienia. Sumienie udręczające człowieka nienawidzi promieni słońca, mogącego wyświecić zbrodnię, i drży za zbliżeniem się nocy, która się zdaje ukrywać zasadzki. Unika samotności, gdzie głos wyrzutów najsilniejszy się staje; unika towarzystwa, ażeby się nie zdradziło samo.

Człowiek występny w każdym razie widzi chwilę, co odkryje tajemnicę jego. Widziano zbrodniarzy, co dla pozbycia się téj niespokojności, tych udręczeń, sami się przyznawali do czynu, który u nikogo nie był nawet w podejrzeniu. Iluż to morderców szukało uspokojenia w wyznaniu swego okrucieństwa! Ileż to ludzi występnie zbogaconych, pasując się ze śmiercią i własném sumieniem, było zmuszonych zwrócić źle nabyty majątek! Taka jest władza sumienia! Można mu czas niejaki nakazać milczenie, ale nigdy uśpić je na zawsze: budzi się ono prędzéj czy późniéj; im się późniéj obudzi, tém jest straszniejsze. Grzesznik staje się łupem jego zgryzot: zbiera gorzkie owoce swojego grzechu, bodajby tylko nie na krawędzi grobu, nie w rozpaczy konania!

Sumienie jak karze, tak téż i wynagradza, a wielkość jego dobrodziejstw wyrównywa surowości kary. —Kto nic sobie nie ma do wyrzucenia, w każdym człowieku widzi swego brata, swego przyjaciela. Nie stroni przed nikim, ponieważ nikogo wstydzić się nie ma potrzeby. Lituje się nad występnymi, kocha cnotliwych; w całém postępowaniu z drugimi okazuje otwartość i szczerość. Dusza czysta chrześcijanina, którego uczucia razem z jemu podobnymi wznoszą się

do Boga, jest jak powierzchnia jeziora, gdzie odbija się wysokość nadbrzeżnych topoli i światło błękitnego nieba. Używa spokojnie rozkoszy, jaką mu niewinne życie i tkliwa przyjaźń nadarzają. Dozna niepomyślnego losu kolei—znosi stale ciosy nieszczęścia, mówiąc: byłem godny lepszego losu, moje nieszczęście nie jest skutkiem występku. Przedwieczny jest zawsze ze mną. Jeżelim dobre przyjmował z rąk Opatrzności, czemuż złego przyjąć nie powinienem?

Człowiek okazujący w całém postępowaniu pogodę swéj duszy, ma zaufanie u możnych i słabych. Jest on niezależny: cnota czyni go władcą, choćby za pałac miał tylko lepiankę, za państwo pole, które uprawia. Wszyscy go szanują, źli go się lękają. Nie zadrży on ani przed możnym, ani przed sędzią; zbliżająca się nawet śmierć nie zatrważa go wcale, bo wie, że się udaje po zapłatę do Pana, który cnotę błogosławioną wynagradza wiecznością.

Dobre sumienie daje nam pokój z nami samymi: każe nam tryumfować nad występnymi, jest dla nas ucieczką w nieszczęściu, kotwicą w udręczeniach życia, podporą w godzinę śmierci.

Boże! świętości nasza, spraw, ażeby ten pokój nieprzerwanie zamieszkiwał w méj duszy! ażebym za moje czyny nigdy się nie wstydził przed Twojém obliczem! abym nigdy nie doznał bojaźni z grzechów, ani cierpień ze zgryzoty! abym zachował czystość méj duszy wśród burzy miotającéj mém życiem!

Lecz niestety! jestem słaby, czuję niedołężność moję. Moja nieroztropność, moja płochość może mnie sprowadzą z drogi, którą postępować winienem; może w zburzeniu mych namiętności zapomnę o moim obowiązku i o Twojéj woli; wtenczas ty, sumienie, baczny stróżu, broń mojéj cnoty, utrzymuj mój rozum! Niechaj uczucie cnoty będzie przewodnikiem moim, abym nie skaził mojéj natury, pozostał wierny mojemu Stwórcy i Tobie, Zbawicielu świata, Synu jednorodzony Boga żywego, któryś zstąpił na ziemię, abym się odrodził mocą Twojego słowa, abyś mi śmiercią i męką Twoją okupił szczęśliwość przyszłego żywota.

Czyliż przyjemność czynu zakazanego, lub chęci zabronionych, ma mnie udręczać ciągłą karą i pogardą siebie samego? Czyliż rozkosz przemijająca, doznana na łonie niespokojności, wynagrodzi długie dni dokuczliwéj zgryzoty?

Nie, nie, o mój Ojcze, Boże dobroci i świętości! nie napróżno to umieściłeś w mém sercu sędziego myśli, mów i czynów moich. Głos sumienia jest Twoim głosem: będęż głuchy na jego wołania? Nie dozwól raczéj mojemu sercu, aby się zatwardzieć miało, jakkolwiek przykrą i z ciałem i krwią staczać będę walkę, jakkolwiek trudnym będzie tryumf dla cnoty. Słuchaj, Boże, uroczystéj przysięgi duszy mojéj i daj mi łaskę dochowania jéj stale; chcę pozostać czysty i bez zarzutu; będę znosił naigrawania świata, ubóstwo, głód, śmierć nawet samą, na jedno wspomnienie grzechu, któryby poniżył i zgubił mą duszę. Będę lekceważył, jeżeli tego potrzeba, sądy ludzkie, ażebym tylko bez bojaźni mógł wznieść moje oczy ku Tobie. Choćby mnie to najwięcéj kosztować miało, będę szukał mojego szczęścia w przypodobaniu się Tobie i Twojéj dobroci.

Bodajby te uczucia, te święte postanowienia, które w téj chwili duszę moją napełniają rozkoszą, na zawsze pozostały w żywéj pamięci mojéj! O! jakżebym wtenczas używał dobrodziejstw życia tego! jakżebym się poddawał z radością rozporządzeniom Twéj Opatrzności! jakżebym na łożu śmierci wznosił z zaufaniem me oczy ku Tobie, Stwórco i Ojcze mój Niebieski!

Ciekawe listy.

Niektóre z listów tu załączonych były drukowane w bardzo małéj liczbie egzemplarzy przy końcu zeszłego wieku w Londynie [1]), pod anonymem Atticcus'a, i rozdane prywatnie. Lecz wykryło się w krótkim czasie, że ich autorem był uczony Anglik Lord Fitz-William, protestant, którego nie trzeba brać za hrabiego Fitz-William'a.

*

* *

. . . . . .

Przedmiot jednego z poprzednich listów nasunął mi uwagi nad ważną kwestyą wzrostu ludności; przyznaję naprzód, iż uczucie, jakie powziąłem w tym względzie, zdawać się będzie z początku przeciwne powszechnemu zdaniu. Przyznaję także, iż walczy ono z wszystkiemi zdaniami dotychczasowemi, lecz jest ugruntowane na prawdzie, przeto jeżeli będzie sumiennie i z czystą intencyą badane, musi przekonać strony przeciwne.

Porównywanie stanu ludności starożytnéj Europy z ludnością Europy dzisiejszéj było przedmiotem wielu rozpraw i sporów, a ci, którzy w tym przedmiocie traktowali z największém powodzeniem, wyrzekli zdanie stanowczo i przekonywająco na korzyść Europy nowo-

1) Następnie w Paryżu i t. d., a w Krakowie przełożone z francuzkiego wydałem w całości w 1882 r., z których kilka tu załączam.

żytnéj. W rzeczy saméj, powodzenie Juliusza Cezara poza Alpami, pośród krain barbarzyńskich, stan surowy i nieucywilizowany, w jakim znalazł Gallów, równie jak i Anglików *hospitibus feros*, jest sam w sobie rozstrzygającym kwestyę. Nie wątpię również, iż Włochy nowoczesne przechodzą o wiele starożytne swoją ludnością.

Rzym, stolica świata, „wzbogacony łupami narodów" (Milton), był bez zaprzeczenia rozleglejszym i ludniejszym od dzisiejszego; lecz Włochy, tak jak są podzielone, tworząc wielką liczbę królestw, księstw i stanów, są urządzone i zaludnione w sposób, którego starożytny nie mógł przewyższyć, a nawet wyrównać mu. Włochy mają między innemi kilka znakomitych miast, które za czasów Rzymian albo nie istniały, albo były nic nieznaczącemi; podług historyi, która nam przekazuje ich nazwy, miasta te są: Wenecya, Genua, Milano, Turyn, Ferrara, Padwa, Florencya, Liworno, Neapol i wiele innych.

Podług najwiarogodniejszych źródeł, Europa w 1796 r. zawierała około 160 miljonów mieszkańców. Nie będę się silił na dokładny podział tychże, powiem tylko ogólnie, że Francya, Hiszpania, Portugalia, Włochy, Polska i stany Cesarstwa zajmują najpiękniejszą i najucywilizowańszą cześć Europy; mówię tu, jak gdyby zmiany zaszłe od lat kilku nie zaszły wcale. Te państwa zajmują co najmniéj trzecią część mieszkańców Europy, a w stosunku do obszaru ziemi, jaki zajmują, liczą 40 miljonów więcéj, jak mieć powinny.

Jeżeli szukać będziemy głównéj przyczyny téj znakomitéj różnicy ludności, znajdziemy ją tam, gdzie jéj się najmniéj spodziewamy, gdzie z pewnością nie szukanoby jéj, a jednakże bez zaprzeczenia ona tam istnieje, t. j. w zakładach zgromadzeń zakonnych, w klasztorach, opactwach.

Twierdzenie, iż pewna część towarzystwa złożona z obu płci, nietylko oddzielona jedna od drugiéj, lecz nadto oddzielona od świata, ma powiększyć ludność państwa, czuję, jak to powiedziałem, iż takie twierdzenie wydawać się może sprzecznością nierozumną tylko sądowi człowieka powierzchownie rzeczy biorącego; lecz postawię zasady, na których moje zdanie jest niezachwianie ugruntowane, i dowiodę przez to, iż gdy nasz Henryk VIII. zniszczył klasztory w swém państwie, przez ten postępek niepolityczny i nierozsądny podkopał bogactwo i środki dobrobytu swego królestwa, zmniejszając liczbę swych poddanych.

Nie od rzeczy może będzie zauważyć tu surowość i niesprawiedliwość, z jaką historycy protestanccy rozwodzili się nad mniemaném złém postępowaniem zakonników i zakonnic; tu czuję się w obowiązku sumienia zaprzeczyć im zupełnie. Zakonne osoby związane są ślubami uroczystemi do zachowania reguły swego zgromadzenia, a pierwszą zasadą każdéj reguły jest posłuszeństwo przełożonym i zupełna zależność od władzy papiezkiéj. W takich warunkach, nie mówiąc już o obowiązkach niezbędnych, które religia rzymsko-katolicka wkłada na swe dzieci, niepodobieństwem jest, aby całe towarzystwo łączyło się dla stania się przedmiotem zgorszenia, choć niezaprzeczenie mogą się między niemi znajdować członkowie niegodni. Ponieważ sądzić można o klasztorach zniesionych w Anglii, po tych, które istnieją gdzieindziéj, gdyż jednakim duchem i regułą rządziły się tak jedne, jak i drugie, powiem, iż wszystkie zakony zwiedzane przezemnie (a zwiedzałem ich wiele) przedstawiały mi się siedliskiem cnoty i religii. Widziałem ich mieszkańców, oderwanych od dóbr tego świata, oddanych swym czynnościom duchownym, zajętych przytém nauczaniem młodzieży, pracą kaznodziejską lub innemi obowiązkami swego stanu, a nawet chwile spoczynku uświęcających rozmyślaniem, postem i modlitwą.

Zauważyłem także, iż przychód wszystkich domów zakonnych wydawany jest na miejscach, z których jest wzięty. Uważcie, co mówi w tym przedmiocie p. Hume w swojéj „Historyi Anglii“ *(Histoire d'Angleterre)*, i w swym „Rzucie oka na ludność starożytnych narodów“ *(Essai sur la population des anciennes nations)*. Ten autor, który nie był zbyt gorliwy w sprawie chrześcijaństwa, może tu być dowodem mych twierdzeń. „Można położyć pytanie, mówi on, czy zakony są rzeczywiście niszczycielami ludności państwa, jak to ogólnie ludzie sobie wyobrażają? Zakonnicy, zamieszkując zawsze swe klasztory wśród swych własności, wydawali pieniądze w prowincyach, wśród swych dzierżawców, i uważani byli w Anglii, tak jak dziś jeszcze uważani są we wszystkich krajach rzymsko-katolickich, za najlepszych i najwytrwalszych właścicieli. Kiedy dobra kościelne rozdane były szlachcie i dworzanom, wymagali oni przychodów znaczniejszych, a dzierżawcom trudno było płody ich rozprzedać, przychody zaś te wydawane były w stolicach na psy, konie, lokai, kucharki, służące i t. d“. Jest to słabo wyrażone, lecz bardzo prawdziwie; wypadkiem znalazł p. Hume prawdziwą drogę, szkoda, iż nie miał dosyć bystrości, aby iść nią daléj. Ogólnie sądzą, że zgromadzenia religijne szkodzą małżeństwu;

przyznaję, że pozory zdają się potwierdzać to mniemanie, ale fakta twierdzą inaczéj. Przypuśćmy, iż wszyscy wstępujący do zakonu, pozostaliby w świecie; wieluż z nich byłoby przekładających bezżeństwo nad stan małżeński? wieluż poginęłoby przedwcześnie na wojnie i w dalekich podróżach? wieluż pomarłoby z chorób gwałtownych, lub z nadmiaru ciężkich trudów? Mniemane złe, na które się żali świat, nie tyczy się wyżéj wymienionych, jak również tych, którzy w stanie małżeńskim nie mieliby dzieci, lub których dzieci pomarłyby nie doszedłszy wieku dojrzałego. Prócz tego czyż nie jest jasne, iż zakonnicy i zakonnice, zostawiając majątek swym braciom i siostrom, ułatwiają im małżeństwo, które nie mogłoby się zawiązać przy mniejszym dziale majątkowym. Po tych spostrzeżeniach sumiennie twierdzić możemy, że rachmistrz polityczny, szukający przyczyn wyludnienia, nigdy ich nie znajdzie w bezżeństwie osób, oddających się samotności i usłudze ołtarza. Następnie zwróćmy uwagę na ubogich miasta, których liczba zwiększa się z dniem każdym, co wpływa bardzo na wyludnienie; ubodzy zwykle mało mają dzieci, a ile po śmierci swych rodziców umiera w najstraszniejszéj nędzy, pomimo niezmiernych ciężarów, wkładanych na publiczność dla ulżenia im, gdyż wiemy, że podatek na ubogich, podatek nieznany w rządach rzymsko-katolickich, dochodzi rocznie w Anglii saméj do czterech milionów funtów szterlingów. (W r. 1828 doszedł już do siedmiu milionów funtów szterlingów, a zatém przeszło do stu sześćdziesięciu milionów franków; do roku zaś 1850 już potroił się).

Nie waham się twierdzić, iż to złe, prawie nie do zniesienia, przypisać należy w wielkiéj części zniszczeniu domów zakonnych, ponieważ rzeczywiście klasztory były źródłem pomocy rodzin najuboższych w społeczeństwie, przygarniały one do swych pobożnych schronień dzieci, któremi ubodzy byli obarczeni; prócz tego każdy z tych klasztorów dostarczał zajęć téj klasie nieszczęśliwéj, a więcéj jeszcze pomagał jéj, dając przytułek i jałmużny bez granic, gdyż trzecia część zakonnych przychodów, podług praw kanonicznych kościoła rzymskiego, była niesprzedawalną własnością ubogich. Nikt więc nie mógł zginąć z nędzy, lub skończyć życie bezużyteczne w karnym domu [1]).

1) Szczególna rzecz, że gdziekolwiek zniesiono klasztory, w miejsce tychże w krótkim czasie urządzano kryminały, i to literalnie przepełnione zbrodniarzami.

Zapewne powiedzą mi, iż nie widać klasztorów w Hollandyi, a pomimo to mało jest żebraków; ale proszę policzyć, jeżeli to jest możebne, liczbę osób ze wszystkich części tego kraju, które są zamknięte w rasp-huys, w spin-huys etc., a miejsca te w gruncie rzeczy są więzieniami [1]). Stan ludności, jak się zdaje, takiemi środkami poprawionym być nie może.

O ile klasztory wpływają silnie na zmniejszenie się nędzy, o tyle również wpływają na zmniejszenie się potrzeby siły zbrojnéj, zkąd wypływa niezawodna korzyść dla wzrostu rodzaju ludzkiego. Aby się przekonać o prawdzie tak jasnéj, dosyć jest zauważyć, iż zgromadzenia religijne biorą na się część główną niejako straży wewnętrznéj kraju, wpajając w umysły i serca wszystkich, którzy ich otaczają, miłość dla rządzących i posłuszeństwo przynależne prawu, przez co wynagradzają krajowi sowicie za opiekę doznawaną; wypływa z tego, iż kraj, zamiast utrzymywać znaczną straż bezpieczeństwa, potrzebuje daleko mniejszéj siły zbrojnéj w miejscach, gdzie są klasztory, jak w tych, gdzie ich niema; zbyteczneby było dowodzenie w tym przedmiocie. Nikt, spodziewam się, nie zechce utrzymywać, iż ludność zwiększa się w miarę wzrostu armii, ani też nie położy na jednéj szali dobra i pożytku społecznego klasztoru z koszarami, chyba że będzie chciał okazać wręcz przeciwne skutki jednych i drugich: z jednéj strony widok zepsucia, z drugiéj cnoty.

Nic jednak nie przemawia tak głośno na korzyść zgromadzeń zakonnych, jak miasta, miasteczka i wsie, które widzimy wznoszące się, wzrastające i kwitnące w około nich. Peterborough, Ely, Durham, a nawet Westminster były zupełném pustkowiem, zanim ustaliły się tam klasztory.

Bolesny jest na tych wyspach widok niezliczonych smutnych ruin pomników wznoszonych mądrością, szczodrobliwością i pobożnością przodków naszych, a godném jest uwagi, iż wiele miast, które winny były swą dawną świetność osiedleniu się w nich zgromadzeń zakonnych, straciły ją wraz z ich skasowaniem. „Upadły te miasta wraz z klasztorami, jakby nie chciały przeżyć dobrodziejstw, świadczonych im przez nie“. (Shakespeare).

Nauki i sztuki sięgały dawniéj aż do Irlandyi, a nawet aż do Hebryd, gdzie je wprowadziły i rozwijały zgromadzenia zakonne; lecz Johnson daje nam pewną wiadomość, iż dziś tylko urodzajna wyspa

1) Domy przytułku przedstawiające okropny obraz nędzy i moralnego upadku.

Jona stanowi całą ich pomyślność. „Mieszkańcy, mówi on, są bardzo nieokrzesani i zaniedbani; czy mają kogo, coby ich uczył, nie wiem, ale wyspa, która niegdyś, w czasie panującego na mniéj katolicyzmu, była stolicą wiedzy, literatury i pobożności, jest obecnie bez szkoły edukacyjnéj, bez świątyni dla oddawania czci Bogu; dwóch tylko jéj mieszkańców mówi po angielsku, a żaden nie umie czytać i pisać“. Wiele miast, należących do biskupów i opactw Szkocyi, uległo temu samemu losowi: św. Andrzeja, Aberbrothic, Elgin i t. d.; inne znów w Irlandyi: Kekenny, Boyle szczególniéj, Thurles i t. d. utraciły swą dawną świetność, dziś przedstawiają smutny obraz ulic wyludnionych, nędzy bezczynnéj, szkół milczących i pustych zwalisk, nad któremi artysta zapłakać musi, uwielbiając je.

W Anglii, w tym kraju świętych, nazwa, z któréj się tak szczycili ojcowie nasi, widać wszędzie opłakania godne przepyszne szczątki klasztorów, zmienione na folwarki nędznie utrzymane, a wiele innych niezamieszkałych wśród gruntów zamienionych w dzikie zarośla.

Z drugiéj strony uważając zakony, zobaczymy, iż wiele miast w Europie stało się przez nie sławnemi i wydoskonalonemi w sztuce (Shakespeare). Szczególniéj Benedyktyni i Kartuzi przechowywali we wszystkich czasach nauki i literaturę; przez nich to najszacowniejsze dzieła klasyków starożytnych do nas się dostały. Gibbon twierdzi, iż jeden klasztor Benedyktynów więcéj wpłynął na literaturę, niż dwa nasze uniwersytety Oxfordzki i Kambrydzki. Wiele gruntów użyźnionych było jedynie przemysłem mnichów, pomimo, iż były położone na szczytach skał i gór prawie niedostępnych, lub w dolinach tak nieurodzajnych, iż zdawały się zupełnie niezdatne do uprawy.

Gdybym potrzebował dodawać inne dowody do tych, które już dałem co do użyteczności zakładów zakonnych, znalazłbym je we wszystkich częściach świata, gdzie tylko panowała religia rzymsko-katolicka, a zkąd ją dziś wygnano. W Armenii np. wprawadzenie mahometanizmu do szczętu zniszczyło najstarożytniejsze i najznakomitsze miasta, o których historycy chlubnie wspominają; takiemi były: Teodoziopolis, Leontopolis, Justynianopolis i wiele innych. Podług Wincentego de Beauvais, około góry Ararat istniało miasto zwane Ara, gdzie było tysiąc kościołów i 50 tysięcy rodzin, a dziś miasta tego już niema, gdyż kościoły jego zniszczono. Przypuśćmy (jakkolwiek urojone może być to przypuszczenie), że jedna z naszych licznych i obszernych gmin przeznaczonąby została na zgromadzenie zakonne; wtedy grunt, podzielony na małe części a utrzymywany starannie, jak

zwykle bywa w własnościach rzymsko-katolickiego duchowieństwa, byłby wkrótce wykarczowany, zaludniony, i niezadługo wzniósłby się piękny gmach. „Zdala już widaćby było wieże, tarasy i kopuły“ (Milton). Kościół ozdobiony obrazami, posągami i organami; biblioteka wzbogacona znakomitemi dziełami; architektura, malarstwo, rzeźbiarstwo, muzyka, literatura, wszystko zwiastowałoby jednocześnie naukę, sztuki piękne, dobry gust i pomyślność. Tam to nędzarz i kaleka biegłby po wsparcie, a wyniósłby ztamtąd pomoc dla ciała i pociechę orzeźwiającą dla duszy. Kapłani bogato przybrani odprawialiby codziennie msze święte, a w dnie świąteczne widzianoby cały uroczysty przepych procesyi, przy współudziale tłumów wiernych każdego wieku; w strojach oznaczających dobrobyt, ludzie ci powracaliby do domów swoich nie roznamiętnieni szałem, jak z widowisk światowych i rozwiązłych, lecz zbudowani pobożną i świętą wspaniałością, któréj byli świadkami. Ten obszar nieurodzajny stałby się w przeciągu niewielu lat miejscem najżyźniejszém, najludniejszém, najucywilizowańszém i najszczęśliwszém w państwie.

Zniesienie domów zakonnych było jedném z następstw reformacyi, a jeżeli było ono życzeniem ludności, jak to niegdyś chciano mnie przekonać, to musiało pochodzić z przyczyn, których, pomimo całego zastanawiania się nad tym przedmiotem, odkryć nie jestem w stanie, a skutki nieszczęśliwe zniesienia zakonów dowodzą błędu, w który o mało co nie dałem się wprowadzić. Faktem jest, że konfiskata i sprzedaż dóbr kościelnych żadnéj korzyści nie przyniosły, napełniły tylko na pewien czas wypróżnione kufry królewskie i zbogaciły nędzne narzędzia jego chciwości. Słusznie powiedział Korol V, że Henryk zabił kurę, znoszącą mu złote jaja. Duchowieństwo, mając grunta niesprzedawalne a zawsze dobrze uprawne, było dla państwa źródłem pewném, płacąc podatki, udzielając datki, utrzymując kredyt, a w trudnych przejściach nie brakowało mu nigdy na własne utrzymanie. Sam Voltaire, którego zdanie w tym względzie nie może być podejrzane, zapewnia, że kościoły we Francyi płaciły rocznie rządowi cztery miliony *(tournois)*. Tu przedstawia się inne pytanie, które mi wpierw nie przyszło na myśl, czy reformacya w swych skutkach ogólnych nie była przeciwną nietylko wzrostowi ludności, lecz nadto dobrobytowi królestwa? W téj rozprawie odwoływać się będę tylko do

prawdy i doświadczenia; sprawa cnoty i religii nic na tém stracić nie może.

Wyliczę tu kilka wypadków z historyi Anglii wyjętych, zaczynając od czasu reformacyi, z którą są związane.

Pragnąłbym, przez uszanowanie dla mego kraju, nie wspominać o nędznéj pobudce, która sprowadziła ten wielki wypadek, lecz jest ona zanadto znaną, aby można zamilczeć o niéj, nie będąc narażonym na posądzenie o stronniczość: pobudką tą było nieprawe uczucie Henryka dla Anny Baleyn [1]). Monarcha ten byłby zachował stosunki przyjazne ze Stolicą świętą, gdyby nie rządziła nim namiętność i fantazya. Nazwa „obrońcy wiary“, którą sobie nabył przez swe pisma, pozostałaby mu na zawsze; mogliby się nią szczycić i następcy jego, a dziś stał się przedmiotem pośmiewiska on i dar jego. Z Kościoła do jakiéjkolwiek sekty przechodzi się najczęściéj drogą występku, przeciwnie zaś przejście z sekty do Kościoła jest wynikiem cnoty. O ile powód odstępstwa Henryka był wstrętny, o tyle środki były jeszcze ohydniejsze; a ponieważ wykazanie tych powodów jest mi bolesne, chciałbym przeto wymazać z roczników naszych, gdyby to możebném było, każdy ślad długiego szeregu niegodziwości, towarzyszących tym środkom, a złożyły się na nie: ucisk, niesprawiedliwość, łupiestwo, i świętokradztwo. Takiemi to środkami zdobył zwierzchnictwo nad swym nowym Kościołem założyciel naszéj wiary; wszyscy, którzy chcieli zachować religię swych ojców i usunąć się z pod tego zwierzchnictwa, które on sam kazał w sobie czcić, uważani byli za buntowników i stali się wkrótce jego ofiarami.

Gdy wyrzucają katolikom rzymskim rzeź w Paryżu za Karola IX, odpowiadają oni z boleścią, że przedkowie ich uciekli się do takich ostateczności, bo zmuszeni byli bronić się przeciw nieprzyjaciołom swoim, gotowym zniweczyć ich religię i konstytucyę. Czyż nie mają oni prawa wyrzucać raczéj nam protestantom zawziętości szkaradnéj i występnego zapału, umysłu mściwego, nietoleranckiego i prześladowczego? Napominania parlamentów sprowadzają dreszcz oburzenia na widok okrucieństw, jakie przedstawiają.

---

1) Fryderyk Wielki, król pruski, w swych „Pamiętnikach brandeburskich“ pisze: „Jeżeli chcemy znaleźć przyczyny reformy, to przekonamy się, że w Niemczech była dziełem osobistych widoków, w Anglii dziełem miłości, a we Francyi urokiem nowości.

Dwa spiski Amboise'go i Meaux, pięć wojen domowych rozżarzonych, miejsca obronne wydane zdradą, kościoły i klasztory porabowane i spalone, kapłani, mnisi i zakonnicy wyrżnięci; nawet zwykli wierni w spełnianiu swych obowiązków religijnych i podczas procesyi uroczystéj i świętéj okrutnie pomordowani na ulicach Paryża, Pamiers, Rhodez, Walencyi i t. d., są to wszystko niezbite dowody krwawego barbarzyństwa, które hugonoci wywierali na katolikach rzymskich tak w czasie pokoju, jak i wojny. Przyznaję się, iż nawet jako protestant, nie śmiem zbijać tego oskarżenia, gdyż nieszczęściem, jest ono aż nadto stwierdzone faktami, a wszystkie wypadki tak w Anglii, jak i w innych krajach dostarczają licznych tego dowodów. Czas reformacyi nie był bezwątpienia spokojnym i szczęśliwym, a kwestya, którą rozbierać mamy, ma nam wykazywać, czy reformacya wydała spokój i szczęście.

Łatwém było do przewidzenia, iż zamieszanie i zawikłania będą wynikiem środków przedsięwziętych podówczas; nieprzewidzenie tego okazuje brak przenikliwości Henryka i doradców jego, którzy wykopali dla siebie i swych następców źródło niezatamowane trudności i klęsk.

Podług świadectwa najgorliwszych protestanckich historyków, Strype'a, Cambden'a, Dugdale'a i t. d., i podług zeznania Henryka uczynionego w parlamencie, niezwłocznem następstwem reformacyi było zepsucie ogólne obyczajów i całkowite opuszczenie sprawiedliwości do tego stopnia, iż prawa nie były już obroną niewinności, lecz schronieniem zbrodniarzy.

„Miłość bliźniego osłabiona, żadnego podobieństwa w sposobie życia opartego na prawie Bożém; skąpstwo, ucisk, zabójstwo, a na to żadnéj porady w prawie; magistraty gotowe frymarczyć sprawiedliwością; duchowieństwo nasze protestanckie bardzo zepsute od biskupa aż do proboszcza; gorszące obyczaje i wolnomyślność; zarozumiałość i zazdrość w wyższéj klasie, zuchwalstwo i bunt między ludem; i tak Anglia jest wydana na całą wściekłość i szaleństwa, zapalczywość stronnictw i t. d.“ — Taki jest obraz reformacyi powstającéj, a dziś w swéj dojrzałości zdaje się aż nadto być podobną do pierwotnego obrazu.

Jednocześnie widzimy powstania; historya wspomina o trzech w ostatnim lat dziesiątku tego panowania. Siedmdziesiąt tysięcy osób było doń wciągniętych, z których dziesięć tysięcy zginęło przy uśmierzeniu powstania za Edwarda VI; podczas jego panowania gorliwość

szalona i nieprzebłagana reformatorów nękała Szkocyę; a wojna z tém królestwem kosztowała oba te narody sześć tysięcy ludzi. Marya starała się przywrócić religię, którą jéj ojciec obalił, lecz skutki jéj starań słabe były. W końcu reformacya ustaloną została w trzech królestwach za panowania Elżbiety, pomimo opóźnionego jéj postępu z powodu wojny domowéj w Szkocyi, dwóch powstań w Anglii i wzburzenia w Irlandyi, co wszystko sprowadziło nieobliczone straty w ludziach i obywatelach zmarłych na szafocie lub z bronią w ręku.

Religia rzymsko-katolika kwitnęła w Anglii przeszło lat tysiąc, religia protestancka, która nie była oparta na trwałych podstawach, istniała dopiero lat pięćdziesiąt; nowi sekciarze, których zrodziła, aby utrzymać swe dogmata fanatyczne, wepchnęli naród we wszelkie klęski niezgód domowych, rozlewających się w Szkocyi i Irlandyi; niezgody te wywołały wzburzenie protestantyzmu i okrutne morderstwo Karola I. Protektorat, który przez 12 lat następnych sprowadzał nieszczęścia pod tą ułudną nazwą, w części odleglejszéj tych trzech królestw, był nową paszczą, która, nie mówiąc już o upadku całych rodzin, pochłonęła kilka tysięcy obywateli. Religia protestancka wznowioną została wraz z przywróceniem na tron rodziny królewskiéj. Usiłowania Jakóba II. na korzyść rodziny religii katolickiéj sprowadziły rewolucyę, która wyniosła Wilhelma i Maryę na tron ich ojca wygnanego, a usiłowanie jego syna, aby ów tron posiąść, wciągnęły te królestwa w całą okropność dwóch wojen domowych w 1715 i 1745 roku. Protestanci mówią, że Jakób II. zasłużył na los, jaki go spotkał, gdyż chciał wywrócić religię ustaloną od lat stu; niech i tak będzie, lecz w takim razie na cóż zasłużył w oczach katolików Henryk VIII., który zniweczył religię swych przodków istniejącą od wprowadzenia wiary chrześcijańskiéj na wyspach Wielkiéj Brytanii?

Takie były główne wypadki domowe, nie mówiąc już o wojnach zagranicznych, które, wraz z niezliczoną liczbą strasznych spisków, morderstw, zabójstw, konfiskat, wyszły z reformacyi w przeciągu dwóch wieków zaledwie. Te zajścia krwi i przewrotu tak gwałtownie po sobie następowały, a przerwy pokojowe były tak krótkie, iż szczęście nie miało czasu zapuścić korzeni, lub też zeschło w samym zarodku; korzyści, jakie sądzimy, że może dziś zbieramy z reformacyi, czyż nie są tylko złudzeniem? czy nie drogo były okupione prawdziwemi nieszczęściami, których skutki bardzo są jeszcze dotkliwe? Strata nasza co do ludności jest tak wielką, iż żaden system ekonomiczno-

polityczny nie będzie jéj mógł naprawić; gdyż oprócz strat, jakie wyniknęły w ludności z powodu nieszczęsnych emigracyj, towarzyszących zwykle czasom prześladowania i przewrotu, taż ludność otrzymała jeszcze drugi cios ciężki przez zatwierdzenie praw karnych, które wprowadzili tak zwani nieprzyjaciele nietolarancyi, aby przeszkodzić powiększaniu się zwolenników papiestwa; samo czytanie tego dziś jeszcze dreszcz sprowadza. Prawa te, nakazane przeciwko wszelkiéj sprawiedliwości, ludzkości i względom, wykonywane były bez miłosierdzia, skazując na większe kary mnóstwo ludzi poczciwych i wiernych na wygnanie po zagranicę królestw, a szczególniéj w Irlandyi; mnóstwo innych, aby uniknąć tak strasznego prześladowania, dobrowolnie skazali się na wygnanie z ojczystego kraju w obce strony, aby tam używać praw cywilnych i religijnych, których im odmówiono na własnéj ziemi. Powyższe wypadki wraz ze zniesieniem domów zakonnych dostatecznie tłómaczą powód smutnego stanu gruntów naszych, braku cywilizacyi, posiadaczy tych gruntów, ich nędzy i małéj ich liczby.

Nieszczęścia straszne, które powyżéj przytoczyłem, towarzyszyły reformacyi w jéj postępach na kuli ziemskiéj, gdzie wzburzała stopniowo wielką liczbę królestw i państw. Ileż to zniszczenia pociągnęła za sobą w Niemczech, Irlandyi, Francyi, Szwajcaryi i t. d.! To samo niebezpieczeństwo groziło całéj Europie, lecz baczność i czujność Jezuitów, którzy wtedy właśnie powstali, zasłoniła te szczęśliwe narody, w których wpływ ich wziął górę.

„*O fortunati nimium, sua si bona norit*“ (Virgili). — Ludwik XIV. we Francyi oparł się usiłowaniom Hugonotów, którzy niepokoili rząd w czasie kilku panowań i zdawali się pracować nad zgubą jego.

Zbawienne zniesienie edyktu nantejskiego uwolniło lud jego od wewnętrznych wstrząśnień i zapewniło mu nieocenione dobrodziejstwa pokoju domowego, który trwał cały wiek bez przerwy, aż do ostatniéj rewolucyi.

Następstwa reformacyi były jak najgorsze dla spokoju wewnętrznego tych wszystkich państw, w których się rozszerzyła. Od ówczesnéj epoki, aż do dzisiejszych czasów, każdy naród zostający pod jéj wpływem, podobnie jak żydzi, gdy opuszczali prawo Mojżeszowe, był niepokojony ciągłemi walkami; karmiąc się złudzeniami i trawiąc się własnemi nieszczęściami, już to stawał się pastwą wojen domo-

wych, jużto różnorodnych przeciwnych sobie stronnictw. W tymże czasie państwa katolicko-rzymskie używały spokojnie szczęścia, jakiego tylko ludzkość spodziewać się może na téj ziemi. Jeżeli czasami ich spokój wewnętrzny był zamięszany, to zawsze z przyczyn, które zostawiły po sobie ślady prawie niepostrzeżone. Najsłabsza znajomość historyi i najmniejsze zastanowienie się nad wypadkami jakie zawiera, wystarczą na potwierdzenie prawdy wyżéj przytoczonéj. Lecz jest jeszcze druga prawda jeszcze większéj wagi i doniosłości, a mianowicie: że w pośród różnorodnych rządów nam znanych, żadne inne nie przyczyniły się do szczęścia rodzaju ludzkiego, tylko te, które były ustanowione na podstawie religii rzymsko-katolickiéj.

Jednym z największych a może i najsilniejszych dowodów doskonałości jakiegoś rządu jest jego trwałość. Otoż trwałość rządów rzymsko-katolickich była dłuższą od wszelkich innych, zkąd można wnosić, że w tych rządach mieści się jedna z pierwszych korzyści, jaką jest zapewnienie własności obywateli kraju; to zapewnienie jest tém więcéj nienaruszalne, że jest ugruntowane na niezepsutéj moralności tego Kościoła, która nie może zezwalać na prawo mocniejszego, jeżeli to nie jest oparte na sprawiedliwości. „Rzućmy wzrokiem, mówi Bakon, na rządy biskupów rzymskich, a znajdziemy, że oni czynią wielkie sprawy, a działają według zasad prawdziwszych, niż są zasady wielu monarchów, gdyż są ukształcone na gruncie religii, cnoty i sprawiedliwości“. Wymienię kilka przykładów długotrwałości rządu katolickiego, aby naprowadzić czytelnika na drogę jasnego przekonania się o tém. Zacznijmy od źródła, porównywając trwałość rządu Kościoła katolickiego z rządem starożytnego Rzymu. Naprzód zauważmy, że istnienie polityczne starożytnych Rzymian trwało 11 wieków, t. j. od założenia Rzymu aż do rozdzielenia państwa; i że nawet w tym przeciągu czasu trzy rządy różne następowały po sobie: rząd królów, konsulów i cesarzy. A więc trwanie nietylko rządów, ale nawet imienia rzymskiego ogranicza się na jedenastu wiekach, podczas kiedy trwanie Kościoła utrzymuje się już przeszło 18 wieków.

Trzy wielkie monarchie, poprzedzające państwo Rzymskie, zarówno bardzo krótko trwały. Monarchia Babilońska istniała wprawdzie 13 wieków, lecz trzeba zauważyć, że zawierała w sobie dwa inne państwa: Assyryjczyków i Medów. Monarchia Perska trwała zaledwie dwa wieki. Monarchia Grecka istniała tylko przez ostatnie lata życia

Aleksandra Wielkiego. A teraz przyrównajmy z istnieniem tych czterech wielkich monarchij trwanie monarchij rzymsko-katolickich najgłówniejszych. Monarchia Francuzka trwała 14 wieków, t. j. do czasu, do którego była szczerze katolicką; monarchia Polska trwała około 13 wieków, pomimo wadliwych swoich konstytucyj czyniących koronę elekcyjną; monarchia Niemiecka istnieje od 10 wieków, a monarchia Hiszpańska od wieków 14-stu. Nie mówię tu o państwach, które przestały być katolickiemi. Ich długie trwanie, jako katolickich, jest wypróbowane doświadczeniem, podczas kiedy ich los przyszły, jako reformowanych, jest bardzo niepewny.

Jeżeli długie trwanie państwa jest doskonałą próbą doskonałości rządu, jego spokój wewnętrzny jest dowodem tegoż; dowodzi on spokojnéj i pełnéj uszanowania uległości ludu prawom wypływającym ze sprawiedliwości i bezstronności, z jaką jest wykonywane. Państwa rzymsko-katolickie, jak tylko religia zapuściła w nich swe korzenie, jak tylko zaszczepiła cywilizacyę wśród narodów, cieszyły się tym pokojem wewnętrznym, podczas kiedy inne państwa używały go tylko chwiłowo; a jeżeli były jakieś przerwy, to tak krótkie, że szczęście, pomimo tego, miało czas zakwitnąć, a ludzie żyli spokojnie, „każdy, jak mówi mędrzec, pod swoją winnicą i pod swą figą".

Wprawdzie spokój wewnętrzny państw rzymsko-katolickich był czasami naruszony, jak to powiemy późniéj, choć przykłady tego są rzadkie w porównaniu z innemi państwami. Lecz jeżeli poszukamy ich przyczyn, zauważymy, że te przykłady były nierozdzielne z wypadkami ludzkimi [1]); bo te przerwy przejściowe nie miały nigdy na celu żadnéj zmiany ani w prawach, ani w religii, ani w naturze rządu. Widzimy np., że pod panowaniem Filipa V, wojna hiszpańska, która zajęła całą prawie Europę, i wojna portugalska za księcia Brabancyi, wzięły początek z powodu kłótni o następstwo tych dwóch koron. Zresztą te dwie wojny odnosiły się zarówno do innych krajów, były więc w gruncie wojnami obcemi i czysto politycznemi. Widzimy także, iż stronnictwa Gwelfów i Gibelinów wyszły jedynie z nieszczęśliwego współubiegania się jednego z papieży i nieprawnie narzucającego się. Wojna Ligi trapiła Francyę blizko przez 20 lat, lecz wznieciła ją nienawiść protestantów do wiary katolickiéj. Powiem daléj, że trzeba być albo bardzo ograniczonym, albo téż uprzedzo-

1) Np. Polska, głównie jako przedmurze chrześcijaństwa, broniła Europy od nawału nieustannie szturmującego pogaństwa.

nym, aby nie przyznać, że protestanci okazali się niewdzięczni względem narodu, który ich znosił w swém łonie, i że ten naród okazał prawdziwą mądrość, gdy znużony ich niepokojami i pchnięty do ostateczności, pozbył się ich nareszcie. Naród ten zrozumiał, nauczony własném doświadczeniem, jak zdradliwym jest ten wyraz „tolerancya", która była nie czém inném, jak tylko wolnością daną wszelkim rodzajom sekt na to, aby one się rozmnażały i rozszerzały stosownie do fantazyi ludzkiego umysłu, a następnie aby mąciły pokój ustalonego rządu, szarpiąc się wzajemnie; celem zaś ich jest niszczenie religii chrześcijańskiéj i pociąganie ludzi do strasznéj przepaści ateizmu.

Przeciwnie, zamięszania w innych państwach pochodziły widocznie z samych rządów tychże państw: tak zmiany ich były szybkie, a raczéj bezustanne. Odwołuję się do historyi wszystkich znanych narodów. Niechaj każdy z czytelników moich przebiegnie to obszerne pole z całą uwagą,— poszukiwania jego będą bezowocne, jeżeli spodziewa się odkryć pewien okres czasu, w którymby pokój wewnętrzny państwa był mniéj więcéj stałym po za obrębem państw rzymsko-katolickich.

Przypatrzmy się różnym państwom Grecyi: mimo ich sławnego Związku, zaledwie powstawały, a już się rozwiązywały i wydawały sobie bezustanne, najokrutniejsze i najkrwawsze wojny. Patrzmy na Włochy: rzeczpospolita rzymska niejednokrotnie zachwiana w swoich fundamentach i obalona nakoniec przez powstania i wojny domowe. Gdybym miał znów monarchią rzymską opisywać nawet wtedy, gdy była u szczytu swéj wielkości, użyłbym słów Tacyta: „*Opus aggredior discors seditionibus, ipsa etiam pace saevum, quatuor principes ferro interempti, bella civilia. Italia cladibus afflicta, urbs incendiis vastata etc*". (Zaczynam historyę pełną buntów, straszną nawet podczas pokoju. Czterech cesarzy zamordowanych, wojny domowe, Włochy wydane na pastwę krwawych bojów. — Rzym niszczony ogniem etc). Gdybym chciał przypomnieć dni szczęśliwe tego państwa, wymieniłbym panowanie Tytusa, Trajana, Marka Aureliusza. Lecz zauważyłbym jednocześnie, jak krótkie były te panowania i w jakim niepokoju znajdować się musiał każdy Rzymianin, spodziewając się, że każdéj chwili tych cnotliwych monarchów zastąpić mogą podobni do poprzedników. I tego właśnie doznali. Historya nowożytna dostarczyć nam może tyle przykładów rozruchów i zmian bezustannych, co i starożytna. Spojrzymy tylko na kartę dziejów państw protestanckich.

Genewa np. czyż nie była zawsze ogniskiem niezgód? Holandya była pastwą zaburzeń i buntów. Dania była zmuszona, z powodu częstych rewolucyj, poddać się pod ciężkie jarzmo. Szwecya czyż nie zmieniła konstytucyi w naszych czasach? Anglię znów można porównać do okrętu miotanego bezustannie burzą, w którym sternik zaniepokojony i majtkowie zmęczeni pracują bez wytchnienia, walcząc przeciwko wiatrom, unikając skał podwodnych, naprawiając uszkodzenia, podczas kiedy nieszczęśliwi podróżni, dręczeni chorobą morską, zostają bezustannie pomiędzy nadzieją a obawą, życiem a śmiercią? Czyż kraj ten nie jest zawsze niepokojony przez rozmaite stronnictwa, czyż nie widzimy tam ducha niezgody zarażającego wszystkie klasy społeczeństwa? Czyż nie zdarza się zbyt często, że dobro publiczne poświęca się dla osobistego interesu? Ileż to razy nawet w dwóch ostatnich wiekach kraj ten był szarpany przez rozruchy. Rząd nasz tak chwalony, czyż jest dzisiaj tém, czém był wczoraj, t. j. w czasie rewolucyi, która go ustanowiła? Czy zostało w nim choćby najmniejsze podobieństwo z pierwotnym? Trzy parlamenty współubiegały się wtedy o rząd nad temi dwiema wyspami. I cóż się stało z parlamentami Irlandyi i Szkocyi? Ileż odtąd praw poprawionych, ileż dawniéj zniesionych; ileż nowych praw ustanowionych, a wszystkie straciły swą siłę, gdyż są zbyt liczne.

Przeciwstawienie tego obrazu znajdziemy tylko w państwach katolickich, od czasu jak wiara zapuściła w nich swe korzenie i przyczyniła się do oświaty ludów. Państwa rzymsko-katolickie cieszyły się pokojem wewnętrznym, więcéj jak inne państwa, podnosiły się jednocześnie do tego wysokiego stopnia cywilizacyi, do jakiego one same tylko doszły, a cywilizacya narodu jest także dowodem jego szczęścia, a więc i doskonałości rządu.

Egipt może się tém poszczycić, że światła swego udzielił Grecyi, a Grecya Rzymowi; ale w rzeczywistości mniemana cywilizacya tych najznakomitszych narodów starożytności była tylko barbarzyństwem, ich mądrość szaleństwem, ich religia bałwochwalstwem, a ich wiara zabobonem. Egipcyanie, na mocy prawa Amazysa, najokrutniejszemi mękami karzący najlżejsze przekroczenia, skazujący próżniaków na śmierć, padający na kolana przed cebulą, którą ubóstwiali, oddający cześć boską kotom, psom i małpom, czyż mogą się poszczycić swoją cywilizacyą?

Niech się Grecya szczyci jak chce swymi mędrcami i filozofami; lecz prawdziwa mądrość i zdrowa filozofia nie mogły mieć żadnego

wpływu w państwie podległém rozpustnym prawom takiego Likurga, albo krwawym Drakona. Jéj filozofowie nigdy nie mieli dosyć przewagi, ani dosyć cnót i światła, aby poprawić obyczaje, których zepsucie hańbiło rodzaj ludzki: zabójstwo dozwolone; sam Platon uznawał, że ojciec ma prawo pozbawić życia swe dziecko; pijaństwo w uroczystości na cześć Bachusa; ubóstwienie występku; ołtarze stawiane zazdrości, niezgodzie i nienawiści; niedorzeczna genealogia bogów, a wszyscy ci bogowie—zabójcy, rozpustnicy, zdziercy i złodzieje, czyż mogą być dowodami mądrości i zdrowéj filozofii? Czyż można bez zarumienienia czytać w Plutarchu, że Tebańczycy ustanowili prawo takiéj miłości, która powinna być potępiona przez wszystkie narody świata? Lecz poeci ich opiewali ją właśnie, a filozofowie wychwalali. Ten wstrętny występek, przechodząc do Rzymu, wstąpił aż na tron i umieszczony był w rzędzie bogów. Ci Rzymianie, co podbili świat cały, dalecy będąc od prawdziwéj cywilizacyi, byli narodem bezrozumnie zabobonnym, poświęcając ołtarze straszydłom, gorączce, kaszlowi, i radząc się swoich kur poświęconych co do losu bitwy. Był to naród grubo rozwiązły, a saturnalie i bachanalie ustalały u nich swawolę i tryumf dla pijaństwa i podwójnego upojenia winem i miłością. Byli oni barbarzyńcy, kiedy prawem dwunastu tablic wierzyciele mogli wystawiać na sprzedaż dłużników nie mogących im się wypłacić, a po kilku dniach zwłoki, pokrajać ich na kawałki, i rozdzielić się między sobą członkami jeszcze drgającemi; gdy większa część ludu przywiedziona do stanu niewolniczego jęczała pod jarzmem okrucieństwa swych panow, lub wystawianą była na wściekłość dzikich zwierząt w widowiskach publicznych. Jeżeli zbytek był nadzwyczajny, to pochodził on z wielkiego bogactwa tego państwa; lecz nie mieli oni téj cywilizacyi, która wypływa z ludzkości, i zarówno oburzać się można na ich przepych nieumiarkowany i bezwstydne zbytki, jak na ich straszne okrucieństwa.

Państwa wschodnie, pogrążone w niewiadomości i bałwochwalstwie, są zarówno oddalone od cywilizacyi, jak od naszych krajów. W nowym świecie, dzięki gorliwości niezmordowanych Jezuitów, religia chrześcijańska uczyniła wielkie postępy. Ołtarze Meksyku i Peru już nie są kalane krwią ludzką. Mieszkańcy nie zabijają już swoich więźniów, co było dawniéj skutkiem ciągłych wojen, a od czasu jak te kraje stały się rzymsko-katolickiemi i niezliczona liczba zgromadzeń religijnych tam powstała, nie tylko są daleko więcéj zaludnione jak dawniéj, ale do tego wyżéj stoją, jak inne kraje Ameryki pod

względem oświaty, nauk i sztuk pięknych. To samo w Europie, jedynie państwa rzymsko-katolickie są ozdobione najpiękniejszemi gmachami: są najlepiéj uprawione i zaludnione, najwięcéj odwiedzane przez cudzoziemców, przybywających jużto dla wydoskonalenia się w naukach, jużto dla użycia téj słodkiéj spokojnéj przyjemności, jakiéj doznać można jedynie w towarzystwie najlepiéj ucywilizowaném.

W krajach protestanckich Europy ziarno cywilizacyi rzucone było przez religię rzymsko-katolicką, a to co dziś w nich znajdujemy, odnieść wypada jedynie do tego pierwotnego źródła.

Zdaje się, że niema tego w naturze ludzkiéj, aby była kiedy zadowoloną z korzyści, jakich używa, a jeszcze mniéj, aby je przyznała i dochodziła ich źródła. Przeciwnie, najmniejsze przykrości, które są nieodłączne od rodzaju ludzkiego, zgłębiamy do gruntu i szukamy na nie lekarstwa, którego zastosowanie gorszém jest częstokroć od samego złego. Gdyby tak nie było, korzyści wypływające z rządów katolickich byłyby uznane i do gruntu zbadane; cała Europa wyznawałaby dziś religię katolicką; wszystkie narody, składające ją, prowadziłyby zapewne mniéj wojen między sobą, i byłby stalszy pokój wewnętrzny narodów; sztuki piękne, przemysł, nauki kwitłyby u nich więcéj niż dotąd; a przez to połączenie dobra społecznego z cnotami religijnemi wzrosłoby szczęście ludów, dobrobyt państw i chwała tronów.

Napisano niezliczone tomy ksiąg o rządach i urządzeniu społeczeństw; niektóre z nich, bez zaprzeczenia, pisali ludzie nauki i talentu. Jednakże nic stałego ani pewnego nie było wyrzeczone w przedmiocie tak ważnym. Nie znaleźliśmy jednego punktu, w którymby dwóch autorów z sobą się zgadzało. Ich rozprawy są pełne metafizycznych dowodzeń, częstokroć bardzo niezrozumiałych, i kończą się na tém, od czego były zaczęte, t. j. są tylko czczą teoryą, jak to zwykle zdarza się w podobnych rozprawach. Gdyby jakiś założyciel kolonii, dla oświecenia się co do administracyi swéj nowéj osady, odniósł się do ich dzieł i do marzeń ich wyobraźni, zgubiłby się wkrótce w labiryncie absurdów, mrzonek, błędów i sprzeczności. Lecz gdyby chciał wybrać drogę doświadczenia, zamiast wpaść w podobny obłęd, miałby rozum za przewodnika i szedłby prosto do prawdy, poznałby wyższość rządu rzymsko-katolickiego nad wszelkie inne. A gdyby chciał dociec przyczyny téj wyższości, znalazłby ją w saméj

religii rzymsko-katolickiéj. Przyczyny te są widoczne i ugruntowane na czynach raczéj, a nie na samych rozumowaniach. Uważając je z tego punktu widzenia rzeczy, dziwię się, że nikt się na nim nie zatrzymał, aby ocenić całą jego wartość i ważność. Ja więc sprobuję dopełnić tego obowiązku.

Wszystkie narody mają swoją religię i swoje prawa: religię, aby ugruntować cnotę i moralność,—prawa, aby karać występki. W tém, tak państwa katolickie, jak inne, mają jeden cel. Lecz jedynie w religii rzymsko-katolickiéj istnieją prawa wyższe, których ani podejście, ani sofizmata w błąd nie wprowadzą; prawa nietylko zdolne do obudzenia miłości, cnoty i moralności, ale także zniewalające je praktykować; prawa, które nie ograniczają się na ukaraniu występku, ale które mu zapobiegają. Te prawa polegają na tém, aby wszyscy kommunikowali się przynajmniéj raz w rok, aby czcili ten Sakrament i ściśle się doń przygotowywali, innemi słowy, prawo to polega na wierze w rzeczywistą obecność Boga w tym Sakramencie, na spowiedzi, pokucie, rozgrzeszeniu i Kommunii św. A nie mówmy, że ta wiara jest zwodnicza i błędna. Sama w sobie byłaby zanadto niedorzeczna, aby człowiek swój własny wymysł śmiał podawać za prawdę drugiemu człowiekowi. Gdyby który z apostołów przedstawił ją drugiemu swemu współzawodnikowi, ten uważałby go jako dotkniętego pomięszaniem zmysłów i uczyniłby go przedmiotem pośmiewiska. A więc, ponieważ niepodobną jest rzeczą, aby ta wiara pochodziła od ludzi, zdaje się więc, że podchodzi od Boga; a jako boska, traci cały swój pozór niedorzeczności, jakkolwiek jest dla nas niepojętą. Można powiedzieć, że państwa rzymsko-katolickie całą ekonomię porządku społecznego obracają na téj osi. Temu to cudownemu założeniu winny one swą trwałość, siłę, pewność i szczęście; ztąd to wypływa zasada niezaprzeczona i nieoceniona, a ostatnie ogniwo tego długiego łańcucha rozumowań, jakie przedstawiłem, jest, że niepodobna utworzyć jakikolwiek system rządu, któryby mógł być trwałym i korzystnym, gdyby nie był oparty na religii rzymsko-katolickiéj. Wszelki inny system jest złudzeniem. Przepisy, jakie ta religia daje dzieciom swoim i zakazy jakie im czyni, są tak mało znane tym, którzy przeciwko niéj walczą, że zaledwie mają o niéj słabe wyobrażenie. Jedni przez nieświadomość odwracają od niéj swój wzrok, inni, z powodu uprzedzenia swego, szydersko o niéj traktują. Aby więc niewiedzących objaśnić, a uprzedzonych wywieść z błędu, powtórzę im, że katolicy są obowiązani ko-

munikować się przynajmniéj raz w rok, i dodam jeszcze, że przed przyjęciem tego wielkiego Sakramentu, przed którym najzuchwalsi z nich są zdjęci trwogą i bojaźnią, wszyscy muszą, bez różnicy i wyjątku, spowiadać się z grzechów swoich u trybunału pokuty, i że u tego trybunału, tak strasznego w ich oczach, żaden kapłan nie może im pozwolić przystąpić do stołu Pańskiego, zanim nie oczyszczą serc swoich i nie okażą się przysposobionymi do tego aktu. To usposobienie koniecznie zależy na żalu i wyznaniu dokładném grzechów popełnionych, wynagrodzeniu krzywd uczynionych, lub dobra cudzego nieprawnie nabytego, przebaczeniu doznanych uraz, zerwaniu wszelkich związków grzésznych, wyrzeczeniu się zazdrości, dumy, nienawiści, skąpstwa, wyniosłości, niewdzięczności i wszelkich uczuć przeciwnych miłości. Trzeba także przy tym trybunale przed Bogiem uczynić święte przyrzeczenie unikania najlżejszych nawet błędów i wypełniania wszystkich wzniosłych prawd Ewangelii z największą dokładnością. „Ktokolwiek — jak mówi Apostoł — przystąpiłby do stołu Pańskiego bez należytego usposobienia serca, przyjąłby swoje własne potępienie“. Taką jest i taką zawsze była od ośmnastu wieków nauka fundamentalna i nienaruszona Kościoła rzymsko-katolickiego. A jeżeli kto zarzuci, że dzieci tego Kościoła są złe i przewrotne, pomimo obowiązków, jakie na nie nakłada, to cóż powiemy o ludziach wolnych od tych zbawiennych obowiązków? Mieszkańcy najszczęśliwszéj i najświetniejszéj monarchii, jaka kiedy istniała na ziemi, nagle zerwali te więzy, i jakież były tego skutki? Ci nieszczęśliwi szaleńcy, nie mając już wędzidła, rzucili się do wszelkiego złego; a ich zbrodnie, jak wezbrane morze, łamiąc tamy, które sam Bóg może naprawić, zamięszali całą Europę i zmazali imię francuskie plamą niezmytą i najszkaradniejszą, jaką kiedykolwiek jaki naród mógł się okryć.

Jakiegoż zapewnienia, jakiego zobowiązania żąda się tym sposobem od każdéj osobistości w spełnieniu jego obowiązków społecznych, w ćwiczeniu się we wszystkich cnotach! Czyż możnaby znaleźć gdzieindziéj coś podobnego? Tutaj sumienie się porządkuje przed trybunałem Boga samego, a nie przed trybunałem świata. Tutaj winowajca jest sam swoim oskarżycielem, lecz nie jest swoim sędzią. A podczas kiedy chrześcijanin innego wyznania bada się lekko, sam na siebie wydaje wyrok i rozgrzésza się z pobłażliwością; chrześcijanin katolik jest skrupulatnie badany przez drugiego, czeka swego wyroku z nieba i wzdycha do tego rozgrzeszenia pocieszającego, które mu jest

udzielone, odmówione lub zatrzymane w imię Najwyższego. Jakiż cudowny sposób ustanowienia wśród ludzi wzajemnego zaufania doskonałéj harmonii w ich czynach! Sąd musi oddać sprawiedliwość bezstronnie, senator jest wyrozumiały i niezważający na korzyść własną, ksiądz jest czysty i gorliwy w swym urzędzie, żołnierz uczciwy, poddany wierny, panujący sprawiedliwy. Jeżeli uważać będziemy ludzi w ich życiu prywatném, zobaczymy, iż w taki sam sposób moralność i cnota oparte są na podstawach najtrwalszych, iż każdy poddany jest Opatrzności w stanie, w którym go ona umieściła; że rodziny połączone są węzłami nierozerwalnemi, a że grzésznik nawrócony, jakkolwiek byłby winnym, może uwolnić się od wyrzutów sumienia i obmyć się ze swych występków w téj sadzawce zbawiennéj, która jest zawsze gotowa do przyjęcia go, a wychodzi z niéj uniewinniony stosownie do czystości usposobienia, z jakiém przyszedł. Ażeby wyrzec zdanie o wszystkich kwestyach wagi ogólnéj, potrzebném jest i sprawiedliwém wziąść za podstawę ich skutki ogólne, ja téż tak czynię. Lecz, niestety! tak jest wielka ułomność ludzka, iż nie wszyscy katolicy, przyznaję, dopełniają tych obowiązków. A więc jest interesem rządu czujnego i mądrego przeszkadzać wszelkim nadużyciom w zasadach, które rozwinąłem. Gdyby w państwie rzymsko-katolickiém nikt nigdy z pod praw katolickich nie wyłamywał się, nie byłoby zapytania, jaki rząd jest najlepszy, ale raczéj: w takim rządzie, jaka jest potrzeba praw innych? Może wszelkie prawa ludzkie byłyby zbyteczne, niepotrzebne. Wszystko, com tu powiedział na korzyść rządów rzymsko-katolickich, ma być uważane ze względu politycznego; jednakże nie mogę się powstrzymać od zadania sobie pytania, czy religia, która wpływa widocznie na szczęście ludzi w sposób tak silny i tak podziwienia godny, nie jest religią boską we wszystkich przykazaniach swoich? Równie zdumiony jestem, gdy się zastanawiam nad starożytnością tego wzniosłego Kościoła rzymskiego, nad jego rozciągłością, majestatycznością, przepychem, symetryą téj budowy: nad jego trwałością niewzruszoną, pomimo wszelkich prześladowań, jakie wycierpiał; nad jego karnością, która zdaje się być skreśloną przez mądrość nadnaturalną.

Cnota, sprawiedliwość, moralność, powinny służyć za podstawę wszystkim rządom.

Niepodobieństwem jest ustalić cnotę, sprawiedliwość, moralność na podstawach trwałych, bez trybunału pokuty, gdyż ten trybunał, najwznioślejszy ze wszystkich, ogarnia sumienia ludzi i kieruje niemi skuteczniéj niż każdy inny trybunał; a ów trybunał należy wyłącznie do katolików rzymskich.

Niepodobieństwem jest ustalić trybunał pokuty, bez wiary w rzeczywistą obecność Chrystusa Pana w Najświętszym Sakramencie, co jest główną podstawą wyznania rzymsko-katolickiego, gdyż bez téj wiary Sakrament Kommunii traci swą wartość i powagę. Protestanci zbliżają się do stołu świętego bez bojaźni, gdyż otrzymują w nim tylko znak pamiątkowy ciała Jezusa Chrystusa; katolicy, przeciwnie, zbliżają się doń ze drżeniem, gdyż otrzymują prawdziwe ciało swego Zbawcy; to téż gdziekolwiek wiara ta została zniesioną, trybunał pokuty ustał wraz z nią, spowiedź stała się zbyteczną, a przeciwnie wszędzie, gdzie ta wiara istnieje, spowiedź staje się konieczną, a ten trybunał, który wraz z nią założonym być musi, sprowadza niezbędne ćwiczenie się w cnocie, sprawiedliwości, moralności, a zatém, jak już powiedziałem, niepodobieństwem jest utworzyć system rządu jakiegokolwiek, który mógłby być trwałym lub korzystnym, gdyby nie był opartym na religii rzymsko-katolickiéj.

Oto rozwiązanie kwestyi najpoważniejszéj, jaka może być przedstawiona ludziom po kwestyi o nieśmiertelności duszy: który z rządów jest najlepszy? Im więcéj badać będziemy, tém jaśniéj zobaczymy, iż wiara w rzeczywistą obecność Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie rozciąga się nietylko do wszystkich rządów, lecz i do wszelkich stosunków ludzkich, że ta wiara jest jak promień światła nadprzyrodzonego i że jest w stosunku do świata moralnego tém, czém jest słońce dla świata fizycznego: „*illuminans omnes homines*“ (św. Jan).

DOPISKI I MYSLI ULOTNE.

Do str. 130, rozd. II.

Jozue w stanowczéj chwili, gdy z ludem izraelskim gromił pod Gabaonem pierzchających Amorrejczyków, wówczas-to rzekł on: „Słońce przeciw Gabaon nie ruszaj się, a księżycu przeciw dolinie Aialon“ (R. X. w. 12). Zarzut temu ustępowi Pisma św. pod dwoistym względem uważać należy: raz—co do samego wysłowienia, drugi—co do prawdziwości wypadku. Niewierzący gorszą się mocno, iż Jozue nie krążącéj ziemi, lecz nieruchomemu kazał stanąć słońcu. Otrząśnijmy się tylko szczerze ze wszelkich uprzedzeń, a szczególnie pozbądźmy się rozmyślnéj chęci szukania sprzeczności tam, gdzie jéj niema, a niewątpliwie nic rażącego w tych słowach nie znajdziemy. Wszakże żadnéj w nich nie widzimy pewności, ażeby Jozue nie znał układu świata słonecznego. Mówiąc do ludu, u którego powszechne było mniemanie o biegu słońca, czyliż wódz, zajęty główną myślą porażki nieprzyjaciół, mógł wyrzec astronomicznie: „stań ziemio“, i cóżby wtenczas lud o nim pomyślał? Dziś nawet, gdyby się przytrafiła okoliczność przemówienia w podobny sposób do wojska XIX-go wieku, pewnoby wódz nie kazał stanąć ziemi, lecz słońcu. Czyliż my sami, szczerzy stronnicy kopernikowego systematu, nie mówimy dotąd jeszcze: słońce wschodzi, idzie lub zachodzi? Czyliż-to mamy za złe naszemu wieszczowi, iż wyrzekł: słońce posuwa się daléj? Owszem, alboż-to sami astronomowie nie mówią: o przejściu słońca przez południk, o biegu słońca po ekliptyce i t. p.? Gdzież tu jest słuszny do zgorszenia powód?—Ale przypuśćmy, że Jozue nie znał układu świata słonecznego: i cóżby wtenczas nawet było w tém gorszącego? Nie zaprzeczymy pewno, iż Najwyższa Mądrość dla wykonania zamiarów swoich, zawsze stosownych

używa narzędzi. Do nauczania prawd fizycznych nie potrzeba walecznego wodza, ani wojsku przewodzić koniecznie powinien biegły astronom. A wszakże Jozuego powołał Bóg nie na opowiadacza wielkiego dzieła stworzenia, lecz dał go wybranemu ludowi za przewodnika, któryby go prowadził do ziemi obiecanéj. I wódz miły Bogu, dopełniając przeznaczenia swojego, dla zupełnego pogromu wojsk amorejskich, potrzebuje, aby się dzień przedłużył, o to Go prosi, i prośbie jego staje się zadosyć.

Co do sposobu, w jaki się to zjawisko odbyło, wyznamy szczerze, iż ani my, ani też pewno z nami ludzie dobréj wiary zgoła się o to troszczyć nie będą; gruntując się na potędze Wszechmocnego Pana niebios i ziemi, jesteśmy przekonani, iż się dzień przedłużył, na modlitwę Jozuego, z rozkazu Boga, którego usłuchało posłuszne Mu przyrodzenie. Lecz zapomnieliśmy, iż rzecz mamy z ludźmi powątpiewającymi, synami wieku, w którym tyle serc czczych lub pognębionych upada pod ciężarem saméj rzeczywistości; wieku, w którym prawda, nie mająca bezpośredniego zastosowania do faktów społecznych lub materyalnych, za zwodnicze złudzenie jest uważana; przeto, nie będąc powołani do obwieszczania nauk Wiary, niektóre wszakże jéj podania w świetle mniéj rażącém oczy niewierzących pokazać możemy. Jeżeli więc na głos Jozuego stanęło słońce, bezwątpienia rozumieć tu należy o powstrzymaniu jego ruchu pozornego, a następnie, idąc drogą prostego rozumowania i stosując się do praw działających w przyrodzeniu, wnieść wypada, iż ziemia zatrzymała się w biegu swoim. Przyjmując to tłómaczenie, obudzimy bezwątpienia nowe zarzuty ze strony niewierzących. W takimby razie, powiedzą oni, siła odśrodkowa, z wirowego obrotu ziemi pochodząca, zgubne swoje skutki okazać powinna, z których najgłówniejszym byłoby wystąpienie wód z łożysk swoich i potop powtórny. Nie przeczymy, iż w zwyczajnym sposobie pojmowania wypadek ten koniecznieby zajść musiał. Właśnie też znaleźli się ludzie dobréj wiary, którzy podobne mniemanie dowodami nawet usprawiedliwić pragną. Wynaleźli oni podania historyczne u Egipcyan, Greków i Rzymian o tym wypadku świadczące, a z sobą zgodne, jaką jest tradycya potopu Deukalionowego, który właśnie miał przypaść w tym czasie, t. j. w 44 roku życia Jozuego; a przytém, natrafili na postrzeżenia z nauki geologicznéj wynikające, które wyraźnie za nim przemawiają, pokazując, iż nie jeden tylko był potop, jeżeli nie powszechny, to przynajmniéj częściowy. Lecz w takim razie, słuszniebyś sądzić należało, iż o tak

ważnym wypadku nie przemilczałoby Pismo św. Ztąd też możeby słuszniéj było mniemać, iż ziemia nie całkiem stanęła w swym biegu, lecz tylko obrót swój co do prędkości zmniejszyła; wszakżeby zatém pójść musiało przedłużenie dnia co do jego długości, a skutki objawiającéj się siły odśrodkowéj miejscaby nie miały. W takiém pojmowaniu nowy nas czeka zarzut: jakaż przyczyna, powiedzą, téj zmiany ruchu ziemskiego być mogła? Odpowiemy: zbliżenie się jakiegokolwiek ciała błędnego. — Nie ma wprawdzie żadnéj o tém w Piśmie św. wzmianki, ale też księgi Jozuego nie są traktatem astronomicznym, lecz tylko opowiadaniem pielgrzymki ludu Izraelskiego. Nam zaś idzie jedynie o pokazanie możności tego wypadku nadzwyczajnego, za pomocą zwyczajnych środków przez Najwyższą Mądrość układowi świata fizycznego nadanych. Dodamy wszakże, iż nietylko jakie ciało mogło być sprawcą tego zjawiska, lecz Bóg, władający tysiącami innych sposobów uskutecznienia zamiarów swoich, mógł ten dziwny w przyrodzeniu wypadek zrządzić w inny sposób, dotąd nam nieznany. I tak Desdouits sądzi, iż sama miejscowa zmiana mocy łamiącéj światło w atmosferze zdolna była podobne porodzić zjawisko, i zgodzić się należy, iż podobne tłómaczenie wiele prawdopodobieństwa ma za sobą. Czyliż-to nie znamy innych skutków od podobnéj przyczyny zależących? Słońca poboczne, ukazujące się niekiedy na niebie, czyliż tego pomysłu w pewnym względzie nie usprawiedliwiają? Tém bardziéj, iż wszystko każe się domyślać jakiejś miejscowéj w przyrodzeniu zmiany, zmiany jednak takiéj, któréj podobieństwo i za dni naszych zdarzać się zwykło; albowiem wódz izraelski mówi, iż gdy pierzchały nieprzyjacielskie wojska, „Pan spuścił na nie kamienie wielkie z nieba“ (R. X. w. 11), które, według naszéj tegoczesnéj nauki, meteorycznemi, czyli aerolitami być musiały. Wszystkie powyższe rozmaite sposoby pojmowania przywiedzionego w Piśmie św. zjawiska nie mają na celu dowodzenia jego pewności, albowiem ta opiera się na wyższéj nad ludzką powadze, lecz zmierzały tylko do pokazania jego zgodności z prawami przyrodzeniu od Boga nadanemi. My zaś, nie troszcząc się o sposób, w jaki zjawisko to zaszło, i wierząc w jego rzeczywistość, zdumiewamy się tylko nad jego opisem, widocznie świadczącym o wyższém natchnieniu, wodza izraelskiego ożywiającém. Człowiek pospolity przestałby na samém wyrzeczeniu, iż „nie był przedtém ani potém tak długi dzień“; Jozue zaś, na wzór ścisłego postrzegacza ruchów ciał niebieskich, nie ograniczył się na tém, iż

wyrzekł, że stanęło słońce, lecz dodaje jeszcze i księżyc (R. X. w. 13), jakby rozmyślnie dla pokazania, iż wypadek ten nie tylko w niczém nie niszczył szyku ręką Stwórcy światu zakreślonego, ale owszem, bynajmniéj go nie naruszał nawet w naszym systemacie słonecznym.

Jeszcze na jeden ustęp Pisma św. uwagę czytelników naszych zwrócić pragniemy. Dotąd mówiliśmy o przeszłości dochowanéj nam w Księgach św.; teraz rzućmy okiem na przyszłość, o jakiéj nas też Księgi nauczają. Według nich, przyjdzie dzień, w którym cały ród ludzki stanie przed sądem Najwyższym, dzień, o którym sam Zbawiciel nas upewniając, mówi: „I gwiazdy niebieskie będą spadać, a mocy które są na Niebiesiech, poruszą się“. (Mar. R. XIII. w. 25). Przytaczając te słowa, pytamy każdego z czytelników dobréj wiary, zdrowego rozsądku i prawdziwéj nauki, ażali w jakiéjkolwiek ze wszystkich ksiąg ludzkich znajdują, nie już równy, lecz przynajmniéj zbliżony do powyższego obrazu? A jednakże mogą się znaleźć ludzie dumni i nierozważni, ludzie uprzedzeni, którzy, wykarmieni pozorną a błędną nauką, zechcą w tych słowach Boskich szukać niejakichś sprzeczności z wyrokami rozumu swojego. Oni gotowi powiedzieć: jakże to być może, aby tak ogromne masy, jakiemi są gwiazdy, spadły na drobny atom stworzenia, na ziemię?—Odpowiadamy, iż szukający sprzeczności, nie chcą rozumieć znaczenia wyrazów: „I gwiazdy niebieskie będą spadać“.—I tak, dajmy, iż jakiekolwiek ciało ziemskie przed oczyma naszemi, oderwawszy się od swego planety, dąży ku słońcu. Każdy pewno z ludzi powie, iż się to ciało podnosi; a jednakże mieszkaniec słońca zupełną ma słuszność, mówiąc, iż to ciało spada. Naodwrót, gdyby mieszkańcy ziemi na wypogodzoném gwiaździstém niebie ujrzeli świecące ciało, znacznie od księżyca mniejsze, któreby się ciągle powiększało, cóżby na ten widok powiedzieli? Bezwątpienia wyrzekliby, iż to ciało spada na ziemię, i zdanie swe utrzymywaliby wtenczas nawet, gdyby masą swoją ten gość niespodziany zakrył nam znaczną część nieba z gromadami gwiazd na niém rzuconych. Lecz, jeśliby to ciało, zbliżając się ciągle, w końcu o ziemię uderzywszy, ją strzaskało i dowiodło [1]), iż znacznie od niéj jest większe; wówczas, niewieleby się na co przydała odmiana w słowach, jakąbyśmy zaprowadzili, mówiąc, iż nie ciało na ziemię, lecz ziemia ku niemu spadała. Główną tu rzecz stanowi sam wypadek, to jest zniszczenie ziemi, na któréj los zgołaby nie wpłynęły wyrazy mieszkańca słonecznego, któryby, poglądając na to zjawisko, mówił, iż ziemia na jakieś ciało upada. Spadanie bowiem jest pojęciem względném, skutek zaś jego stanowi samą istotę zjawiska.—Lecz idźmy daléj: wyobraźmy sobie, że słońce zaczyna spadać, np. na Syryusa; wówczas lataby upłynęły, nimbyśmy zdołali postrzedz jakąś odmianę w naszym systemacie słonecznym. Słońce, dążąc ku Syryusowi, pociągnęłoby za sobą całą swą rodzinę: Merkuryusz, Wenus, Ziemia, Mars, Ceres, Pallas, Juno, Westa, Jowisz, Saturn, Uranus i t. d. wraz z kometami poszłyby za niém; księżyc takoż nie opuściłby ziemi, i towarzysze Jowisza, Uranusa i Saturna pospieszyłyby za swoimi planetami. W początku, wszystko zdawałoby się zachowywać dawny porządek. Pierwszém postrzeżeniem o dążeniu naszego systematu słonecznego, byłoby powiększenie światła Syryusa i stopniowy wzrost odległości względnéj gwiazd jemu przyległych. Tak corocznie większego nabywając światła, następnie Syryus co do wielkości dorównałby słońcu. Przerażeni mieszkańcy systematu słonecznego, poglądając na to niezwykłe i groźne zjawisko, pewnoby się nie troszczyli o wyrażenie, czy Syryus na słońce, czy słońce spada na Syryusa; skutek tego spadnienia zawsze byłby jednaki—zniszczenie słońca i całéj jego rodziny, a może nawet i Syryusa, ze wszystkimi jego planetami.

Jeżeli tylko znaczenie słów naszego Zbawiciela materyalnie tłómaczyć się godzi, nie obrazu powszechnego zniszczenia świata dokładniéj wystawić nie może, jak spadanie gwiazd z nieba, albowiem to spadanie jest ogólną, że się tak wyrazimy, formą, wszelkich upadków w przyrodzeniu miejsce mieć mogących; pod nią zawarte jest i spadanie na ziemię, i spadanie ku słońcu, i spadanie ku sobie systematów słonecznych, i nakoniec, spadanie wszystkich światów ku jednemu powszechnemu środkowi. Dzień ten właśnie, o którym Chrystus w dokonaniu świata ostrzega, nie będzie skończeniem saméj tylko ziemi, ani skończeniem systematu słonecznego, ani skończeniem niektórych tylko światów gwiazdowych; lecz skończeniem świata powszechnego, jak o tém wyraźnie nauczają owe wzniosłe, żadną ludzką mową zastąpić się niedające Boskie słowa: „I gwiazdy niebieskie będą spadać i mocy, które są na niebiesiech, poruszą się“.

1) Nauka wykazała, że gdyby coś podobnego nastąpiło, to siła rzutu uderzenia, byłaby tak silną, że dwa te ciała (czy to ziemia lub inne) w jednéj chwili zapaliłyby się, spaliły i w parę się obróciły, ulatniając się w przestrzeń, a Pismo św. wspomina, że ziemia będzie przez ogień zniszczoną.

Czyliż się więc znajdzie tak nierozważny człowiek, któryby w tych słowach szukał sprzeczności z prawami przez tegoż samego Pana przyrodzeniu zakreślonemi? Azaliż przeciwnie, zastanowiwszy się nad tym wzniosłym i okropnym obrazem, nie uniży dumnego czoła i kamiennego serca swojego na przyjęcie prawdy nie roztworzy? A jeśli go jeszcze święte nie ogarnie wzruszenie, jeżeli szczegóły tego opisu materyalnie pojmować zechce, niech się daléj jeszcze nad nim zastanowi, niech drobiazgowo go roztrząśnie, a pewno uzna, że takie słowa z ust człowieka wyjść nie mogły. I jakiż to śmiertelnik, w sposób tak łatwy i prosty, tak wielkie prawdy moralne i naukowe skreślićby zdołał? „Zaćmi się słońce, i księżyc nie da jasności swojéj, i gwiazdy niebieskie będą spadać, a mocy, które są na niebiesiech, poruszą się“. (Mar. r. XIII. w. 24 i 25). Zimny i ludzki rozumie! weź szalę i miarę pieczęcią twéj nauki stwierdzoną, przeważ, rozmierz, jeżeli możesz te słowa! Naprzód, zaćmi się słońce; późniéj, księżyc nie da swojéj jasności, a w końcu dopiero, gwiazdy niebieskie będą spadać, a mocy, które są na niebiesiech, poruszą się [1]). Pokaż większy, pokaż prawdziwszy obraz!..... Lecz człowiek wierzący nie potrzebuje tego rozbioru, wiary jego już nie pomnoży ta strawa ludzka, albowiem słowo Boskie jest jedynym jego żywiołem. Gdyby w niém nawet i nie znajdywał zgodności z ułomną nauką swoją, przetoby jednak o Niém nie powątpiewał; lecz pomny na wysoki Jego początek, prędzéjby pojął zmianę odkrytych swoim rozumem praw przyrodzenia, mocą wszechwładnéj woli, aniżeli się ośmielił powątpiewać o prawdzie Przedwiecznego Słowa; albowiem rozumem pojmuje on niższość stworzenia od Stwórcy, a sercem czuje w całéj mocy prawdę przez Zbawiciela wyrzeczoną: Niebo i ziemia przeminą, lecz słowa moje nie przeminą“. (Mar. R. XIII. w. 31).

---

1) Co znaczą te plamy coraz większe na słońcu, Gdyby słońce zgasło, wypaliło się, przyćmiło, oziębiło, a zatém straciło siłę wywieraną na cały systemat gwiazd— czyżby to miało nastąpić? Czyż nie wtedy to mocy, które są na niebiosach, poruszą się?

Dodam jeszcze, że sławny Sir-William Thomson, profesor uniwersytetu w Glasgowie, wykazał zupełnie zagaśnięcie słońca i to prędzéj niż przypuszczano dotychczas.

W dziele *La conservation de l'énergie*, jeszcze dobitniéj o tém pisze M. Balfour-Stewart, profesor filozofii naturalnéj w d'Owem, Manchester, Folie, członek Akademii umiejętności w Belgii i inni.

Tę przydługą rzecz naszą, objaśniając słowami św. Hieronima: „*Haec autem de Scriptura pauca posuimus, ut congruera nostra cum philosophis doceremus*“, zakończymy wziętym z kursu astronomii przez Desdouits ustępem, który, popierając myśl naszą, i wartości jakiéjś naszéj pracy przyczyni, i nas samych przed sądem czytelnika uniewinni, przywodząc mu na pamięć te słowa, jakie w umyśle naszym były przytomne, gdyśmy się do pióra zabierali. I tak uczony wyżéj rzeczony w następny mówi sposób: „Piękna i zacna jest nauka badająca urządzenie świata fizycznego, może nawet ze wszystkich dzieł rozumu i najpiękniejsza, i piętnem najwyższéj jego potęgi i wielkości nacechowana. Lecz i zacniejszą i mędrszą jeszcze jest myśl owa, która nie spuszcza z oczu przeznaczeń i ostatecznego końca tych wszystkich dzieł Boga. O najwznioślejszéj i najrozleglejszéj nauce wszakże powiedział mędrzec Pański, iż i ona także jest marnością, a to z tego względu, iż w życiu ludzkiém znajdują się większéj wagi chwile nad te, jakie upływają na badaniu rozległych przestworów i wyliczaniu drogi ciał niebieskich. O jakże jest nierozważny kto czynność rozumu swojego na saméj tylko pracy tego rodzaju ogranicza i myślą serdeczną, moralną, nie umie ożywić zimnych i jałowych szperań swoich! A jednakże nauka nieba więcéj wznosi duszę, aniżeli wszystkie inne, łatwiéj ją oświeca i polot jéj zwraca do przybytku, w którym Bóg przebywa. Nauka ta, będąc źródłem nieprzebraném wielkich myśli, wtenczas swego szlachetnego powołania dopełni, jeżeli w zgłębiające ją umysły wpoi uczucie niemego lecz pojętnego zdziwienia, zwłaszcza, gdy przedewszystkiem człowiekowi często przypominać będzie i o hołdzie uwielbienia, jakiego Bóg po nim wymaga, i o wielkim dniu owym, w którym na zwaliskach świata ujrzy spełniające się Jego najwyższe i niezmienne sądy“.

Do str. 144.

Pomiędzy innymi, uczony matematyk Whiston, ściśle wyrachował, że już w lat 870 po stworzeniu człowieka mogło być ludzi przeszło jeden miliard, a według Thurn'a w 425 lat po potopie mogło już być około 700 milionów, a obliczając tylko procent $2^1/_2$, to w 800 lat mogło być ludzi 800 milionów.

Tém więcéj jeszcze przy tak silnym pierwotnym organizmie ludzi i długiego życia—rzadkich chorób i śmiertelności. A trzeba wziąść i to na uwagę, że Bóg stworzył pierwszych ludzi inteligentnych, w ca-

łém znaczeniu tego wyrazu—i cała nasza dzisiejsza cywilizacya, nauki i odkrycia mogły być, jak o tém wielu uczonych pisze, w bardzo dawnych wiekach więcéj rozwinięte niż nasz dzisiejszy postęp, z którego tak dumni jesteśmy; a jak dawne narody, posunięte w cywilizacyi i naukach, przez pychę zaczęły czcić swój tylko rozum i człowiek siebie uznał za Boga— stopniowo wpadł w barbarzyństwo— znikły miasta i grody— ruiny wiatry rozniosły — porosły lasy — a człowiek ów, potomek wielkich ludzi, gonił i dziś jeszcze goni w niektórych częściach świata z maczugą za zwierzem. — Cóż się stało z Azyą Mniejszą, Egiptem i t. d., dawniéj tak wysoko stojącymi w cywilizacyi, naukach i t. d. — dziś dzicz i puszcze nieprzebyte. Co się stanie z Europą, która pychą uniesiona, zapiera się Boga? — Pisałem coś o tém w jednem z pism przed paru laty— ot tak sobie jako marzenie—niektóre tu przytoczę.

. . . . . .

Od czasu, w ślad za nimi ciągną tłumy wyznawców Chrystusa, jak ptaki wędrowne, za morza — nad nimi unoszą się duchy niebieskie, wołając wielkim głosem: Wyjdźmy z téj ziemi, któréj mieszkańcy zaparli się Chrystusa.

Słudzy Boga idą do tajemniczych mało znanych krain Afryki, płyną za dalekie morza, aby tam dzikie ludy pozyskać Chrystusowi, założyć królestwo Boże.

. . . . . .

O cudo! gdzie się podziały te puszcze nieprzebyte, po których wichry ogniste, miotały tumany rozpalonego piasku i s a m u m zatrutém tchnieniem zabijał? Czy widzisz, jak szumią lazurowe wody morskie, unosząc statki na swych falach? a tam, gdzie niegdyś ziemia była spieczona, martwa, wydaje plon obfity; gdzie roślinka nigdy nie zapuściła korzonka, zielenią się wspaniałe lasy i gaje, wiją się srebrzystemi wstęgami rzeki i strumienie, w przezroczych toniach jezior przeglądają się gwiazdy, a nieprzejrzane łany złocą się bujnym kłosem — tysiące miast swemi wieżycami strzelają ku niebu, błyszczą krzyżami w promieniach słonecznych i mnogie ludy wielbią swego Boga i Pana.

. . . . . .

Co znaczą te zbrojne hufce na licznych okrętach płynące ku północy? — To wyprawa do śnieżystéj Europy, zamieszkałéj przez zdzi-

czałe plemiona, niepokojące brzegi chrześcijańskiéj i ucywilizowanéj Afryki.

Dzikie te ludy Europy niegdyś podobno znały prawdziwego Boga, ale wyparły się Go. Kwitły tam przed wieki bogate i wielkie miasta, pyszne gmachy, z których pozostały tylko olbrzymie ruiny, zamieszkałe przez drapieżne zwierzęta i gnieżdżące się ptastwo, a rozległe bory i ciemne knieje zaludniają hordy barbarzyńców—potomkowie tych, którzy wyparli się Chrystusa i bluźnili Imieniowi Boskiemu. . .

W. Humboldt mówi, że dzisiejszy dziki człowiek przedstawia nam tylko wyrodzonego i rozpadniętego w ruinę typu wobec dawnych ludzi, którzy nieskończenie byli więcéj inteligentni i rozwinięci niż my.

Warunki życia astronomicznego [1]).

Conditions astronomiques de la vie par M. Faye, astronoma i członka Akademii umiejętności.

Powiedzieliśmy już, mówi Moigno, że mnogość światów nie zawiera nic w sobie, coby zbliska lub zdaleka, sprzeciwiało się zasadom chrześcijańskim; i prawdopodobnie, że niektóre gwiazdy być może zamieszkałe przez odpowiednie im stworzenia, a szczególniéj Mars. — Jednakże zaprzeczyć nie można, że jest coś lekkomyślnego w tém uporném twierdzeniu, jakiém koniecznie niektórzy zaludniają mieszkańcami wszystkie gwiazdy firmamentu; radzi więc jesteśmy, że możemy upewnić, iż nauka dzisiejsza nic w tym przedmiocie powiedzieć jeszcze nie jest w stanie. Rozprawa, którą pan Faye astronom umieścił w Roczniku wydziału wymiarów długości geograficznéj z r. 1874, przedstawia pod tym względem wiele zajmujących wywodów. Rozbierzemy ją pokrótce.

„Każdy zarodek potrzebuje dla zachowania swego poczynającego się życia, aby temperatura nie dochodziła do 50 stopni ciepła, a dla rozwinięcia się—aby nie spadła do stopnia poczynającéj

1) Artykuł ten jest doskonałą odpowiedzą dla p. Flammarion, astronoma, i innych, którzy, chcąc koniecznie zapełnić gwiazdy mieszkańcami, a wygłaszając najniedorzeczniejsze zdania w téj kwestyi, czynią krzywdę nauce, ludzkości i postępowi. P. Flammarion kazał nawet wymalować krajobrazy gwiazd i t. d., utworzone według swéj bujnéj fantazyi ...

marznąć wody . . . Badanie życia okazuje nam go zawartém w wymiarze nadzwyczaj ograniczonym stopni temperatury. Na ziemi, gdzie wody, grunt suchy i powietrze tak są zapełnione żyjącemi stworzeniami, są jednak strefy, w których życie znika przy zniżaniu się stopniowém temperatury, lub inne, w których kilka stopni wyżéj zarównoby go zniszczyły, przez zbytek gorąca".

„To życie jest zarówno ograniczone w oddzielnie krążących ciałach w przestrzeni . . . Przystąpmy więc do badania, czy życie istot organicznych jest rzeczą tak prostą i łatwą na tych ciałach, iż może być wynikiem dowolnéj igraszki sił naturalnych. Bezwątpienia te siły istnieją wraz z materyą konieczną; lecz są także niemniéj konieczne warunki życia, a zobaczmy, czy te warunki tam się zarówno znajdują. Najprzód warunek temperatury wyklucza stanowczo wszelkie ciała świecące swojém własném światłem, a zatém wszystkie te gwiazdy, które widzimy na niebie (wyjąwszy planety). Od czasu jak lepiéj poznano nasze słońce, już nikt nie marzy o gwiazdach zamieszkanych. Mgławice mają jeszcze mniéj warunków życia, gdyż tam odkryto przez lunety (spektroskopy) ślady wodoru i azotu rozpalonego. Rzeczą jest dowiedzioną, iż życie może się tylko znajdować na kuli już zimnéj, zbliżonéj do innego ciała gorącego, mniéj lub więcéj sąsiedniego, które jéj dostarcza koniecznego umiarkowanego ciepła, nie wyprowadzając jéj z zakreślonych granic. A więc tym sposobem wszystkie słońca mogą naokoło siebie utrzymywać życie. Tak, lecz wykluczyć trzeba najprzód wszystkie gwiazdy niestałe (*variables*) . . . następnie odrzućmy wszystkie gwiazdy zbyt słabe, już zagasłe, lub też zbyt małe, aby mogły posiadać kiedykolwiek bardzo wysoką temperaturę . . . usuńmy gwiazdy koloru czerwonego, niebieskiego, lub zielonkowego, których światłu brak pewnego promieniowania (*radiations*), potrzebnego do rozwinięcia istot organicznych. Wyłączmy nadewszystko gromady gwiazd skupionych przy sobie stami lub tysiącami w przestrzeni mniéj lub więcéj ścieśnionéj, gdzie temperatura musi być podniesiona bardzo ponad pewne możebne granice".

Ażeby kule oddawna zastygłe były umieszczone blizko jednego z tych słońc i utrzymywane wpływem i działaniem jego, trzeba, aby się obracały naokoło niego kołem mniéj więcéj odśrodkowém . . . Dla dopełnienia zaś tego warunku jeden jest tylko sposób, t. j. aby te satelity były zależnemi od tegoż samego słońca i właściwe ruchy odbywały. Lecz w takim razie trzebaby było, aby wszystkie słońca

przypuszczalne wykazały swój system planetarny, zarówno przypuszczalny. A do tego potrzeba ruchu obrotowego, zawartego w pewnych granicach . . . A zatém doszliśmy do badania kwestyi systemów podobnych naszemu, który, jak widzieliśmy wyżéj, już jest ścieśniony poprzedniemi warunkami, i w którym spotkamy jeszcze nowe ograniczenia. Warunek temperatury wyklucza planety, których oś obrotowa jest zamało pochylona ku drodze około słońca; Uranus np. ma obie półkule oświecone słońcem przez połowę obrotu peryodycznego (blizko 42 lat). Nachylenie osi Venus ku drodze około słońca (37 stopni) jest zanadto małe i musi być przyczyną wielkich zmian temperatury. Trzeba także usunąć kule, których obrót około swéj osi zanadto wolny (księżyc) dozwala na zbyt silny wpływ promieniowania (*radation*) nocnego, a także i te, które jak Saturn są otoczone pierścieniami ciemnemi, których cień padający na sfery najwięcéj sprzyjające rozwinięciu się życia, sprowadza tam peryodyczne ciągłe zaćmienia. . . ".

Odrzućmy także planety, nie mające wcale, lub też mające za mało powietrza; a nawet atmosfera utworzona z gazu stałego nie mogłaby wystarczyć. . . . Jedynie tylko przez istnienie wody w stanie płynnym i niezmierną ilość cieplika, którego stan byłby zdolnym w atmosferze dopełnić swego zadania.

„Zbadajmy te pierwsze warunki temperatury. Ażeby planeta była zamieszkałą, potrzeba, aby była cząstką systemu słonecznego, stałego i odosobnionego; aby gwiazda środkowa (słońce) była opatrzona w fotosforę świetlaną, promieniowanie zupełne, doskonałe i zawsze jednakowe; aby krążenie téj planety, a nawet jéj odległość od słońca zadawalniała wszystkie warunki ścisłe; aby była otoczona powłoką odpowiednią gazową, i w części pokryta pewną ilością płynu, któregoby zmiana na stan stały lub gazowy nie wychodziła z granic temperatury koniecznie wymaganéj, nakoniec aby wielkość jéj przechodziła znacznie wielkość każdéj z tych 148 małych kul, poruszających się pomiędzy drogą Marsa i Jowisza, z których kamień, rzucony ręką dziecka, mógłby się stać natychmiast ciałem obcém, satelitą obracającym się naokoło swéj planety.

„Teraz zbadajmy warunki geologiczne. Zbiór wód nie powinien całkowicie oblewać kulę; trzeba dostatecznych przestrzeni lądu stałego. Co więcéj, trzeba, aby równowaga mórz utworzonych była, stałą, t. j. aby ruch ograniczał się na prostém kołysaniu się w stałych korytach".

Saturn przedstawia się nam jako kula, na któréj ten ostatni warunek nie mógłby mieć miejsca, ponieważ składająca go masa jest w stanie zgęszczenia mniejszym od wody; Jowisz znów, choć jest w stanie zgęszczenia przechodzącym cokolwiek stan zgęszczonéj wody, nie przedstawia jednak wszystkich warunków geologicznych, gdyż jego tak znaczne spłaszczenie dowodzi, że stan zgęszczenia jego powierzchni musi być znacznie niższy od stanu zgęszczenia powierzchni wody; a my nie znamy materyi zdolnéj do utworzenia w podobnych okolicznościach gruntu stałego. Mars jeden wraz z Ziemią, nie mówiąc już o Wenus, którą mało znamy, odpowiada warunkom astronomicznym, fizycznym i geologicznym; jednak przyznać trzeba, że widok niezmienny jego lądu czerwonego, odróżniającego się od jego mórz zielonkawych i t. d., nie sprzyja bynajmniéj przypuszczeniu życia organicznego zbyt rozwiniętego na jego powierzchni [1]).

„Przejdźmy do warunków chemicznych, których rozbiór ich widm stał się nam teraz możebny. Wiemy dzisiaj, że żywioły potrzebne do utrzymania życia są hojnie wśród wszechświata rozlane. Jednakże, jeżeli zbadamy rzeczy bliżéj, znajdziemy, że te warunki chemiczne są bardzo ograniczone z wielu stron .... Powstawanie roślin zależnie od masy środkowéj, jest urządzone za pomocą przyczyn mechanicznych takich, że nie można stanowczo orzec, czy planety powinny posiadać atmosferę gazową dostatecznie w kwasoród zaopatrzoną“.

Wymieńmy w naszym systemie atmosfery Jowisza, Saturna, a nadewszystko Uranusa, jako dość od nas oddalonych. Ich widma różne pod pewnym względem od widm gęstych, zbitych (*tellurique*), zdają się rzeczywiście wskazywać obecność gazu, albo wyziewów tworzących pochłanianie natury nam nieznanéj .... Zresztą azot, kwasoród i para wodna, są same przez się zupełnie nie wystarczające. Gdyby nasza atmosfera i nasze wody zostały pozbawione choćby słabych śladów kwasu węglowego (*d'acide carbonique*), jaki zawierają, życie znikłoby wkrótce z powierzchni naszego globu. Byłoby to samo, gdyby proporcya tego gazu przeszła pewne oznaczone granice ....

„Im więcéj zbliżamy się do dziedziny nauk przyrodniczych, tém więcéj widzimy ścieśniające się warunki życia organicznego nawet w stopniu najniższym. Dalecy będąc od tego, abyśmy mogli przypu-

1) Obserwacya Marsa, przez sławnego ostronóma medyolańskiego p. Schiaparelli, która się miała odbyć w styczniu 1884 r., może nam powie coś pewniejszego.

ścić, że to życie znajduje się wszędzie, alę zaledwie możemy wymienić, oprócz naszéj Ziemi, dwie planety naszego systemu, na których może być ono zaledwie przypuszczalne; a jedyna kula, o któréj można coś wyrzec więcéj, t. j. księżyc, nie posiada go wcale. Z drugiéj strony to badanie okazuje nam, że te warunki wiążą nas do pewnego stopnia z całym wszechświatem. Nauka dni naszych nie lęka się wzrastających komplikacyj; ona czuje się w posiadaniu nowéj metody, która dozwala jéj przenikać ciała aż do ostatnich atomów i do ostatnich gwiazd w przestworzu. W każdym razie, jeżeli porównamy koniec naszego wieku z twierdzeniami wieku XVII, poznamy w nauce teraźniejszéj zupełnie inny zwrót filozoficzny. Podczas kiedy pierwsza wywierała na zdumionym tłumie uczucie naszego nicestwa, wobec jakichś fatalnych praw wszechświata przygniatającego nas i na zawsze dla nas zamkniętego, druga daje nam widzieć w tym samym wszechświecie niezatarte ślady Najwyższéj Myśli planu. Pytam się wobec téj rozprawy, jakkolwiek nieuzupełnionéj, gdyż brak nam jeszcze żywiołów i spostrzeżeń, co się stanie z tym mniemanym błędem w nauce o planetach, o którym tak wiele uczynili hałasu z tamtéj strony Renu, w strefie mgławic przypadkiem nagromadzonych?“.

Do str. 150 i 151, rozd. IX.

Dodałbym jeszcze uwagę następującą:

Materyaliści mówią: nie podobna aby tak mały punkcik, jakim jest ziemia, miała mieć tak ważne znaczenie wobec ogromu wszechświata—i niemożebném jest, mówią daléj, aby Bóg miał stworzyć dla téj ziemi, to jest dla nas tylko, tak niezliczoną liczbę ciał krążących w przestrzeni. Na to odpowiem, pomijając już budowę człowieka z jego organizmem, duszą nieśmiertelną i z jego wszystkiemi zmysłami—człowieka, który jest sam w sobie nieskończenie cudowniejszą istotą, niż cały wszechświat,—który on widzi, pojmuje, myślą sięga w niezmierne przestrzenie, prześciga je, a duchem przeczuwa wieczność... rozumem ogarnia, przenika, odgaduje wszystko, co mu pod zmysły podpada.

Ani ziemia, ani żadne z ciał niebieskich nie widzą, nie wiedzą nic o swym bycie, nie podziwiają téj potęgi ogromu i piękności stworzenia, téj harmonii i tego co jest. Jeden tylko człowiek widzi, pojmuje, podziwia to co jest, to co przeczuwa, to w co wierzy. On jeden tylko! — więc oczywista, że dla niego tylko Bóg zawie-

sił te słońca, te gwiazdy, te światy w przestrzeniach... i to wszystko co jest, i dla niego tylko zeszedł na tę ziemię.

Czyż zdołalibyśmy poznać, przeczuć wielkość, potęgę, wspaniałość i dobroć Boga, gdyby On nie zasiał przestworu niezliczoną liczbą gwiazd, słońc, komet i t. p., a uczyniwszy to, dał tak potężny umysł—i wielkiego ducha zamknął w wątłym i drobnym ciele człowieka, że ten człowiek pojęciem, myślą sięga, mierzy, waży i obejmuje te cuda stworzenia—te olbrzymie światy, tę dal zdaje się niezgłębioną, a duszą i tęsknotą nieprzepartą wznosząc się ponad to wszystko, mknie aż do przybytków Przedwiecznego—a dlaczego? aby przez to nabrał wyobrażenia o wieczności, o nieśmiertelności swéj duszy, a wielkości, miłości Boga i piękności nieba.

Zaprawdę, jeżeli Bóg stworzył ludzi takich, jak my jesteśmy, tylko na téj ziemi, na tym pyłku wobec wszechstworzenia — to musiał li tylko dla ludzi na téj ziemi żyjących z duszą nieśmiertelną i obdarzonych tak potężnym rozumem i duchem wielkim—utworzyć te gwiazdy, te słońca, ten przestwór, aby Go człowiek przez te dzieła Jego poznawał, wielbił, kochał i przeczuwał, że dla stworzenia takiemi darami uposażonego, po za grobem jest życie inne, szczęśliwsze, czystsze, wspanialsze, wieczne... Dlatego to zaszczepił Bóg w duszy człowieka to pragnienie szczęścia i wieczności — szczęścia, którego, jak wiemy z doświadczenia, nigdy nie znajdzie na téj ziemi. Dlatego to człowiek, wpatrując się w ten przestwór zda się bez końca, w te lampy jarzące wszechświata, a jako drogowskazy prowadzące do Boga, czuje w duszy jakąś rzewną tęsknotę, ten słodki i błogi pociąg, który rwie duszę, porywa ją gdzieś po za światy — a całe jestestwo jego przenika miłością i przeczuciem szczęścia nie dającego się określić—i łzy dziękczynne, łzy radości wewnętrznéj spływają mu z oczu gradem przezroczym, jak te gwiazdy spływające z firmamentu, w które on się wpatruje, odgadując zarazem tę piękność i harmonię stworzenia.—Przeciwnie, człowiek z duszą owładniętą przez namiętności, radby w nicość się zamienić, skryć się przed Bogiem, i taki to właśnie człowiek choć wie, że Bóg jest, woła — niema Boga! przeczy on wszystkiemu pomimo, że w głębi duszy jest przekonany, że to, co mówi, jest nieprawdą—i boi się, lęka badać, czytać, słuchać o prawdzie — on chce zaprzeczyć nawet swemu przekonaniu — ale napróżno.

Gdyby Bóg, powtarzam, nie umieścił nas na téj ziemi i nie stworzył tych olbrzymich słońc, światów, komet, czasu, przestrzeni i t. p.—nigdy człowiek, przy całéj sile swego rozumu, nie zdołałby po-

chwycić najmniejszego wyobrażenia o Bogu, o życiu przyszłém, o wieczności, o nieśmiertelności duszy, o sobie nawet i t. d.

Gdyby Bóg jednego tylko stworzył człowieka z tym rozumem, jakim go obdarzył, duszą nieśmiertelną i t. d. — i osadził go nie na téj ziemi, ale na muszli, i zawiesił w przestworzu—musiałby Bóg dlatego jednego człowieka (co téż uczynił), aby ten poznał Go, stworzyć to wszystko co jest — bo bez tego, co jest i jak jest, nigdyby człowiek nic nie pojął. Dlatego to zapewne Bóg umieścił człowieka na tak małéj ziemi z tak wielką duszą, a nie na 1400 przeszło razy większym Jowiszu, lub innéj gwiaździe, aby człowiek, podziwiając te olbrzymie ciała, krążące w niezgłębionych przestrzeniach, podziwiał i wielbił Stwórcę, poznawał moc i potęgę Jego.

Jeżeli mieszkam w ogromnym i okazałym budynku, mało mię ten zajmuje, a cóż dopiéro mniejsze domy i domki; ale gdy żyjąc w małéj chacie, udam się do wielkiego miasta i tam pomiędzy mnóstwem pięknych i okazałych budynków ujrzę olbrzymi pałac — o jakiémże uwielbieniem zostanę przejęty dla mistrza, który go zbudował—radbym go poznać, uczcić. Zaprawdę, gdyby człowiek był umieszczony na wielkim Jowiszu lub indziéj, kto wie, czy te drobne pyłki zwane gwiazdami i t. p., czyniłyby jakiekolwiek na nim wrażenie—zapewne takie, jak mieszkańcowi obszernego pałacu robi widok małych chatek, na które on spogląda z okien swego wspaniałego salonu bezmyślnie, obojętnie, z lekceważeniem.

Oto dlaczego Bóg zdziałał ten największy cud, to arcydzieło w stworzeniu, że zamieścił na tak małym pyłku, jakim jest ziemia wobec wszechświata, człowieka, w którego tak drobniutkiém i wątłém ciele zamknął tak potężnego, tak wielkiego ducha a większego jak cały przestwór ze wszystkiemi nieprzeliczonemi słońcami, systemami, tak wielkich liczbą, ogromem, różnorodnym składem i pięknością.— O Boże, Panie i Ojcze nasz! cudowne są dzieła Twoje — ale ponad wszechstworzenie cudowniejszém jest Twoje dziecię—człowiek, który myślą to wszystko prześciga, odgaduje a duszą nieśmiertelną obejmuje...

Do str. 319.

Masoni, jako tacy, powstali i zorganizowali się dopiéro po upadku Templaryuszów; przedtém zaś tworzyli tylko jednę z licznych sekt, które powstały ze szkoły filozofów zwanych Faryze-

uszami Jerozolimskimi, do których należały szkoła Antyocheńska, Ateńska, Aleksandryjska, a które postanowiły wywrócić naukę P. Jezusa Chrystusa, rozszerzającą się w Azyi Mniejszéj, Persyi, Egipcie, Grecyi, Macedonii i t. d., a to dlatego, że nauka Zbawiciela potępiała ułudę i błędny filozofizm. Ś. Paweł był mieczem obosiecznym na nich, i nietylko wymową, ale i cudami nawracał nawet mędrców ówczesnych; w wieku I i II, pomimo swych niecnych zabiegów, sekty tych filozofów nie mogły powstrzymać wzrostu Wiary świętéj.

W III. wieku zjawia się w Persyi nowy filozof, wyszły z téjże sekty, najzawziętszy przeciwnik nauki Jezusa Chrystusa; urodzony z matki niewolnicy w mieście Carub r. 240, byłto niejaki Curbicus, albo Cubryk, nazwany Manes'em. Kupiony w 7 roku swego życia i wychowany przez bogatą wdowę chrześcijankę z miasta Etesiphon (Ktezifon), która jego kierunek naukowy powierzyła tak zwanym czarnoksiężnikom, obdarzony wielką zdolnością, wielkie zrobił postępy w geometryi, medycynie, astronomii i t. p., przykładał się również do Pisma św., jak i do filozofii wschodniéj, któréj pisma znalazł w bibliotece swéj opiekunki, która takowe zostawiła mu wraz z całym majątkiem.

Wkrótce Manes przedstawił się światu jako obiecany w Ewangelii Pocieszyciel (Duch św., który zstąpił na Apostołów), i mianował się nauczycielem wszelkiéj prawdy. Aby zwieść łatwiéj pospólstwo, chełpił się, że poprawi i oczyści naukę Chrystusa i że czyni cuda. Sapor I. król perski powołał go do siebie, aby uleczył jego syna; lecz ponieważ dziecko umarło w ręku mniemanego cudotwórcy, zatém król wtrącił go do więzienia. Manes uciekł z więzienia, zabiwszy dozorcę, i daléj odgrywał swoją rolę. W 273 r. Sapor I. umarł, następca zaś jego Varanes I albo Bahram, który wstąpił na tron w tymże roku, kazał schwytać Manes'a i obedrzeć żywcem ze skóry, a to się stało r. 274 [1]).

1) X. Rivaux (Riwo) w dziele p. t.: Opowiadanie Dziejów Kościoła rzymsko-katolickiego (tłóm. ks. Bogumił z nad Wisły) pisze (Tom I., str. 217), „że herezya ta ukazała się w r. 277 i że Sapor, król perski, kazał Manes'a, za to że mu syna nie uzdrowił, wtrącić do więzienia, zkąd ten umknąwszy, został przez tegoż Sapora ponownie uwięziony i stracony w roku 277".—Jest tu widoczna pomyłka, albowiem Sapor I. wstąpił na tron po swym ojcu Artaxerxesie I. w 240 r. i panował do 273 r., po nim zaś w tymże roku nastąpił Varanes I. albo Bahram, który panował od 273 do 276 roku i ten ostatni a nie Sapor I. kazał stracić Manes'a, i nie w roku 277, ale w r. 274, i nie w 277, jak pisze X. Rivaux, zaczął głosić swoją naukę Manes, ale w r. 271;—po śmierci zaś Varanesa I. nastąpił Varanes II. i panował od 276—293 r.

Śmierć Manes'a nie przeszkodziła uczniom rozszerzać jego naukę, która była mięszaniną panteizmu i dualizmu, stoicyzmu i kwietyzmu. Manes przypuszczał dwa początki odwieczne, niezależne, przeciwne sobie: jeden dobry, a drugi zły. Dobry miał być księciem światła, a zły księciem ciemności. Twierdził, że świat został uczyniony z mięszaniny złego i dobrego. Zły początek wydał ciemności, dym, zły ogień, złą wodę, zły wiatr; dobry początek wydał powietrze, światło, dobry ogień, dobrą wodę, dobry wiatr, i z tego powstał świat. Manicheizm odrzucił stary testament, jako pochodzący od złego początku. Boga nazwali sprawcą grzechu. Zaprzeczali tajemnic wcielenia i odkupienia, przyszłego zmartwychwstania i wieczności kar. Cześć oddawaną świętym i sakramenta nazwali bezużytecznemi. Uczyli, że człowiek ma dwie dusze, dobrą i złą, znieśli sakrament małżeństwa i szerzyli nierząd i rozpustę. Przeczyli wolnéj woli, potępiali rządy świeckie i z wszelką powagą siebie nazywali światłem. Podobne zasady dążyły do bezpośredniego zburzenia państwa i całéj społeczności. Szerzyli się oni w ukryciu, a rozdzieliwszy się na różne gałęzie, rozeszli się po Europie, gdzie z niesłychaną zręcznością pozyskiwali sobie zwolenników: cała horda sekciarzów, jak to: patarinów, katarów, albigensów i t. d. ich są odrośląmi.

Jedna to właśnie z sekt Manicheizmu, wkręciwszy się do Templaryuszów, z czasem zawładnęła większą częścią zakonu; po zniesieniu tegoż, zrzuciwszy maskę, zorganizowała się w tajne towarzystwo (masonów), a zowiąc się światłem, w ciemnościach spiskuje do dziśdnia przeciw Bogu, kościołowi i społeczeństwu, bo, jak wiemy, że chcąc obalić chrześcijaństwo i wszelkie poczucie narodowości, aby dopiąć celu, postanowili naprzód pod płaszczykiem narodowości znieść władzę świecką papieży, a następnie wszelką wiarę i narodowość.

Barruel w dziele: *Jacobinisme dévoilé*—Hurter: *Vie d'Innocent III.*—Nicos: *Du protestantisme*—Bossuet: *Histoire des Var*, i inni wiele o tém piszą.

Patrz raz jeszcze dopisek na str. 339 do 341 tego dzieła, gdzie masoni, układając plan zniesienia religii, narodowości i zawładnięcia przez wielką rewolucyę wszystkimi narodami, aby dojść do tego celu, przedewszystkiém dowodzą potrzeby zniesienia władzy świeckiéj papieży i mówią tam, że do tego należy wciągnąć duchowieństwo, ale tak

podstępnie, aby sami ci księża byli tego mniemania, że są dobrymi synami kościoła i patryotami, a jednak żeby pisali po gazetach, dziełach i t. d., tłómacząc katolikom, że ta władza świecka jest zupełnie niepotrzebna i t. p.—i rzeczywiście znalazło się kilku takich u nas nawet, którzy tak działają — a tymi apostołami masońskimi są właśnie ci, którzy bez powołania przywdziali suknię kapłańską dla karyery—a gdy duch pychy i wyniesienia się owładnął ich serca, stanęli nawet przeciw swym biskupom, udawali patryotów—a w końcu wiemy, na czém kończyli...

*

* *

Tylko przypuszczenie.

Wielu, którzy szukają jakiejś osobnéj komórki materyalnéj dla duszy w ustroju człowieka, a nie mogąc jéj odszukać, mówią: niema duszy.

Toż samo inni, szukając nieba, piekła, lub czyśca, a nie mogąc znaleść na podstawach materyalnych odpowiedniego miejsca, mówią: nie masz ich.

Że ci, którzy tak wnioskują, są jednakże w głębi duszy innego przekonania, to więcéj jak pewno; jednakże o ile to jest możebném, przedstawię tu rzecz o ile można, że się tak wyrażę, duchowo.

Czy widzisz ten cały wszechświat, tę przestrzeń niezmierzoną, w któréj głębiach unoszą się światy, słońca, księżyce, gwiazdy rozmaitych barw, wielkości i światła — piękny jest ten wszechświat— piękna i ziemia nasza, na któréj P. Jezus Chrystus odkupił nas i tu z nami przebywa.

Patrzysz się ze szczytu góry przed wschodem słońca, gdy jeszcze zmrok pokrywa ziemię, firmament i t. d., a gdy słońce błyśnie, odsłania cały krajobraz i zmienia go na nieskończenie piękniejszy i odmienniejszy, niż był zmrokiem przyćmiony.

Widziałeś piękną kortynę, zasłaniającą scenę, i podziwiałeś wyobrażony na niéj krajobraz—unosi się, a oko twoje zachwycone spostrzega prześliczny widok gór, jezior, gajów, skał, lasów, słowem cudna panorama roztoczyła się przed tobą.

Ten cały wszechświat, który tak podziwiasz, i ta piękna ziemia, tak jak ci się przedstawia—jest tą kortyną. Przyjdzie czas, że to, co dziś widzisz oczami ciała, ujrzysz kiedyś oczami duszy. O! wtedy

zobaczysz ten cały przestwór przemieniony—zasłona się uniesie, ujrzysz niebiosa we wszystkich kierunkach téj przestrzeni, która żyjącego na ziemi, w skażoném ciele, w taki podziw wprawiała i zdawała ci się bez granic. Patrz teraz, czy dla ducha twego uwielbionego są zapory? O! ty gubisz się, już tylko zatapiasz w nieskończonéj, bezgranicznéj miłości Boga, którego widokiem poisz się, z zachwytu w zachwyt wpadasz i przenosisz się szybciéj niż myśl w niezgłębione przestwory. Patrz, jak ci się teraz ten wszechświat przedstawia: to co było ukryte przed twém okiem cielesném na ziemi, teraz jest taż sama przestrzeń przed oczami twéj duszy odsłoniona.—Święty, Święty, Święty Pan, Bóg zastępów, pełne są niebiosa i ziemia Majestatu Twego.

A gdzież jest piekło, to miejsce rozpaczy? gdzie czyściec? W przestrzeni, wszędzie, gdzie niebiosa są zakryte przed potępionymi, z których każdy cierpi i widzi tylko piekło i czyściec, tak jak my na téj ziemi widzimy tylko ziemię, przestrzeń i t. p.

Gdy aniołowie zgrzeszyli, niebiosa przed nimi zniknęły, a ujrzeli się otoczeni piekłem, i odtąd ci szatani wraz z potępionymi nigdy już niebios nie ujrzą.

Czytamy w żywotach Świętych, że w czasie Mszy św. znikł im z przed oczu cały kościół, ludzie, świat, słowem wszystko co ich otaczało, a ujrzeli miljony, miljony duchów błogosławionych w przestrzeniach, jak atomy niezliczone, jak pyłki w promieniach słońca unoszące się, i śpiewających cześć i chwałę Pana nad Pany, Stwórcy, Ojca najlepszego—a czego inni nie widzieli, choć byli w témże miejscu—a dla czego? bo Bóg pierwszym uchylił zasłonę niebios o tyle, o ile duch będący jeszcze w ciele zdolny był ujrzeć, pojąć—gdy drudzy widzieli tylko świat materyalny z tém wszystkiém, co pod zmysły podpada, tak jak potępieni znów widzą tylko piekło.

Inni święci widzieli znów piekło, czyściec—czego inni obecni nie widzieli—a dla czego? bo Bóg odsłonił zasłonę piekła, czyśca i t. p.

Przestrzeń—niebiosa wiecznego szczęścia, w których Bóg króluje z wybranymi; przestrzeń—piekło z potępionymi; przestrzeń—czyściec z pokutującemi duszami.—Jedna i taż sama przestrzeń, a trzy światy duchowe i ludzki i ziemski, a jednak tak odrębne i tak nieskończenie odgraniczone od siebie. O cudowna wielkość i wszechpotęgo Boża! Co dla jednych zakryte i wręcz przeciwnie na nich oddziaływa, to dla drugich odkryte i znów w swoim rodzaju na nich działa.

Nie wiem, czy dobrze się wyraziłem abym był zrozumiany— chciałem tylko wykazać, że choć materyaliści nie mogą, jak mówią, pojąć, aby tam gdzieś niemateryalne niebiosa w wszechświecie czy indziéj istniały; jednak przypuszczenie jakie tu podałem i to jako człowiek—a cóż dopiero Bóg, ta wszechpotęga, nie jest zdolny uczynić?

Do str. 382.

Przypomnimy tu, co papieże uczynili dla nauk i sztuk pięknych. Podczas kiedy zakony pracowały w całéj Europie nad wychowaniem młodzieży, odkrywaniem rękopisów i tłómaczeniem starożytności, papieże rzymscy, obsypując uczonych nagrodami i dostojeństwami, byli główną sprężyną tego pędu ogólnego do oświaty. Zaprawdę, jest to wielka chwała dla Kościoła, że imieniem jednego z papieży oznaczony jest wiek, rozpoczynający erę cywilizacyi Europy, a wiek Aleksandra wznosząc się z pośród rumowisk Grecyi, rzucił następnie swe światło na wiek Ludwika.

Ci, co przedstawiają chrześcijaństwo, jako powstrzymujące postęp oświaty, zaprzeczają jawnym świadectwom historycznym. Wszędzie cywilizacya szła krok za krokiem za Ewangelią; inaczéj było z religią Mahometa, Bramy, Konfucyusza i t. p., które ograniczały postęp społeczeństwa i zmusiły człowieka do zgrzybiałości już w swém dzieciństwie.

Rzym chrześcijański był jakby wielką przystanią, przyjmującą wszelkie szczątki nauk i sztuk pięknych. Konstantynopol upada pod jarzmem Turków—a natychmiast Kościół otwiera tysiące schronień zaszczytnych dla sławnych zbiegów z Aten i Bizancyum. Druk wygnany z Francyi znajduje schronienie we Włoszech. Kardynałowie poświęcają swe majątki na wygrzebywanie zwalisk Grecyi i nabywanie rękopisów. Wiek Leona X. wydał się tak piękny sławnemu uczonemu Barthélemy, że go ocenił wyżéj nad wiek Peryklesa, dla przedsięwziętego wielkiego dzieła; widział on bowiem wprowadzenie do Rzymu chrześcijańskiego, nowożytnego Anacharsysa.

W Rzymie, mówi on, podróżny widzi Michała-Anioła, wznoszącego kopułę św. Piotra; Rafaela, malującego galerye Watykańskie; Sadoleta i Bembe, późniejszych kardynałów, wypełniających wtedy przy Leonie X. obowiązki sekretarzy; Trissina, dającego pierwsze przedstawienie Sofonizby, pierwszéj tragedyi nowożytnéj; Beroalda, bibliotekarza Watykańskiego, zajętego ogłaszaniem Roczników Tacyta, odkry-

tych w Westfalii, które Leon X. nabył za sumę 500 dukatów złotem; tegoż papieża, ofiarującego miejsca uczonym wszelkich narodów w swojém państwie, i znakomite nagrody tym, którzyby mu wręczali rękopisy nieznane. . .

Wszędzie zakładane były wszechnice, kollegia, drukarnie na wszelkie języki i nauki, biblioteki bez ustanku zbogacane dziełami, które wydawano, i rękopisami świeżo sprowadzonemi z krajów, gdzie ciemnota rozpostarła swoje panowanie. Akademie tak się mnożyły, że w saméj Ferrarze liczono ich 10 do 12-tu, w Bolonii 14, w Siennie 16. Miały one za przedmiot nauki ścisłe i wyzwolone, języki, historyę, sztuki piękne. W dwóch takich akademiach, z których jedna była poświęcona jedynie filozofii Platona, a druga ucznia jego Arystotelesa—rozprawiano o opiniach starożytnéj filozofii i odgadywano już filozofię nowożytną. W Bolonii jak i w Wenecyi, jedno z takich uczonych zgromadzeń czuwało nad drukiem, nad doborem papieru, odlewaniem czcionek, nad korektą i nad wszystkiém co się tyczyło udoskonalenia nowych wydawnictw. W każdém państwie, stolice a nawet mniéj znaczne miasta były niezmiernie chciwe nauki i chwały; dawały one obserwatorya astronomom, amfiteatry anatomistom, ogrody botaniczne naturalistom, ludziom uczonym zbiory książek, medaljony i pomniki starożytne; wszystkim rodzajom nauk i wiedzy—oznaki najwyższego poważania, wdzięczności i szacunku.

Postęp sztuk pięknych przyczyniał się do zamiłowania estetycznych widowisk i wspaniałości. Badanie historyi i pomników greckich i rzymskich wzbudzało pojęcie o starożytności, jakiéj dotąd nie miano. Gdy Juljan Medyceusz, brat Leona X., został ogłoszony obywatelem rzymskim, ogłoszeniu temu towarzyszyły zabawy publiczne, i w obszernym teatrze, zbudowanym umyślnie na placu Capitolu, przedstawiano przez dwa dni komedyę Plauta; któréj muzyka i nadzwyczajne przybory wzbudziły powszechne uwielbienie.

Następcy Leona X. nie dozwolili zgasnąć téj szlachetnéj gorliwości dla pracy ducha ludzkiego. Biskupi rzymscy zbierali w swoich willach kosztowne szczątki wieków minionych. W pałacach Borgezów i Farnezów podróżnik podziwiał arcydzieła Praxitelesa i Fidyasza. Papieże kupowali posągi Herkulesa i Apollina na wagę złota; a dla zachowania ruin starożytności zanadto niszczonych, okrywali je płaszczem religii. Któż nie będzie podziwiał pobożnego dowcipu tego papieża, który umieścił chrześcijańskie obrazy na pięknych szczątkach Termów Dyoklecyana? Panteon byłby już nie istniał, gdyby nie był

poświęcony czci świętych Apostołów, a kolumna Trajana nie stałaby dotąd, gdyby ją nie była uwieńczyła statua św. Piotra.

Ten duch zachowawczy dawał się spostrzegać we wszystkich zgromadzeniach religijnych Kościoła św. Podczas kiedy szczątki starożytne zdobiące Watykan, przewyższały bogactwem świątynie pogańskie, ubodzy zakonnicy przechowywali w obrębach swych klasztorów ruiny domów Tibur i Tusculum, i oprowadzali cudzoziemca po ogrodach Cycerona i Horacego. Kartuz pokazywał ci laur rosnący na grobie Wirgiliusza, a papież koronował Tassa na Kapitolu.

Tak więc od tylu wieków Kościół proteguje nauki i sztuki, a gorliwość jego nie zmniejszyła się w żadnéj epoce. I tak: w VIII. wieku, mnich Alkuin uczy gramatyki Karola Wielkiego; w XVIII. wieku, drugi mnich zdolny i cierpliwy znajduje sposób odczytania rękopisów z Herkulanum. (Barthelem. *Voyage en Italie).* W 740 roku, Grzegorz z Tours opisuje starożytnych Gallów; w 1754 roku, kanonik Mazzochi tłómaczy tablice prawa Herakliusza. Większa część odkryć, które się przyczyniły do zmiany systemu w świecie cywilizowanym, zostało dokonanych przez różnych członków Kościoła. Wynalazek prochu a może i teleskopów, zawdzięcza się zakonnikowi Rogerowi Bakonowi; inni przypisują wynalazek prochu niemieckiemu mnichowi Bertholdowi Schwarz; kule armatnie zostały wynalezione przez Galena, biskupa Münsterskiego; dyakon Flaviusz Gioia, Neapolitańczyk, wynalazł busolę; mnich Despina—lunety, a Pacyfikus, archidiakon weroński, albo papież Sylwester II., zegar o kółkach. Iluż to uczonych zamieszkiwało zakony, albo dodało świetności najgłówniejszym katedrom Kościoła! iluż to sławnych pisarzy! iluż uczonych znakomitych! iluż sławnych podróżników, matematyków, naturalistów, chemików, astronomów, badaczy starożytności! iluż sławnych mówców! iluż znakomitych mężów stanu! Dość wspomnieć Sugera, Ximenesa, Alberini'ego, Richelieu'go, Mazarini'ego, Fleury'ego—aby stanęły w myśli te wielkie postacie ministrów, i te wielkie sprawy Europy nowożytnéj!

Pius VI., który przez prace godne Augusta i Marka Aureliusza osuszył bagniska pontyńskie, odszukał drogę rzymskich konsulów i naprawił wodociągi pierwszych rzymskich królów. Jako ostatni rys téj miłości dla sztuk pięknych, tak właściwéj naczelnikom Kościoła, przytoczymy, że następcy Piusa VI. znajdują jeszcze w swym szlachetnym niedostatku sposoby zastąpienia nowemi posągami arcydzieł, które Rzym ustąpił spadkobiercy Aten.

Postęp nauk był zawsze nierozdzielny z postępem religii, gdyż Ojcowie święci w języku Homera i Wirgiliusza tłómaczyli zasady wiary, a krew męczenników, jako nasienie chrześcijańskie, zrodziła również laur dla mówcy i poety.

Rzym chrześcijański był dla nowożytnego świata tém, czém Rzym pogański był dla starożytnych ludów, t. j. węzłem powszechnym; ta stolica narodów wypełnia wszystkie warunki swego przeznaczenia i zdaje się być rzeczywiście miastem wieczném. Przyjdzie czas, w którym przyznają, że była to myśl wielka niepodległość tronu papieskiego. Ojciec duchowny, umieszczony wpośród ludów, łączył w jedno różne części chrześcijaństwa.

Jakież to piękne stanowisko papieża ożywionego duchem apostolskim! Jako pasterz powszechnéj owczarni, może albo utrzymać wiernych w zakresie obowiązków, albo ich bronić od ucisku. Jego państwo było dostatecznie rozległe na to, aby był niezależnym, za małe na to, aby się miano jego obawiać.

Złe przejściowe, jakie kilku mniemanych złych papieży uczynić mogło, znikło z nimi razem; lecz my czujemy codziennie zbawienny wpływ dobra niezmiernego i nieoszacowanego, które świat cały winien duchownemu rządowi rzymskiemu.

Ten rząd zawsze ukazuje się wyższym nad swój wiek. Miał zawsze pojęcie prawodawstwa prawa publicznego; znał sztuki piękne, nauki, ogładę, podczas kiedy wszystko było jeszcze pogrążone w ciemnocie gockich rządów; nie zachowywał on dla siebie wyłącznie tego światła, ale roztaczał je wokoło; obalał zapory, jakie przesąd stawiał pomiędzy narodami; starał się złagodzić nasze życie, obyczaje, wyprowadzić nas z naszéj ciemnoty, wyrwać z naszych grubych i dzikich obyczajów. Papieże byli wśród naszych przodków misyonarzami sztuki, wysłannikami wśród barbarzyńców, prawodawcami wśród dzikich. „Jedno panowanie Karola Wielkiego, mówi Wolter, miało odbłysk ogłady, co było prawdopodobnie owocem podróży do Rzymu".

Jest to rzecz ogólnie wiadoma, że Europa winna Stolicy świętéj swą cywilizacyę, wielką część swych najlepszych praw i prawie wszystkie nauki i sztuki. Papieże szukać będą teraz innych sposobów stania się użytecznymi ludziom; nowe posłannictwo ich czeka, a wróżyć możemy, że wypełnią je z chwałą. Rzym doszedł do tego ubóstwa ewangelicznego, którego cały skarb w dawnych czasach. Rzym ma obecnie nawracać zbłąkanych, ludy przyprowadzać do jedności, miłości, gasić uczucia nienawiści, łzy ocierać, zamykać rany wymagające

balsamu religii. Świat upadły woła o drugie głoszenie Ewangelii; chrześcijaństwo się odnowi i wyjdzie zwycięzko z najstraszniejszéj zasadzki, jaką kiedykolwiek piekło zastawiło. Kto wie, czy to, co my wzięliśmy za upadek Kościoła, nie jest jego odbudowaniem. Krzyż się ukazał — i Kościół będzie ocalony.

*
* *

Ostatnie obliczenia ludności we Francyi wykazały, jak donosi jedno z pism naszych, że „od r. 1872, rok rocznie, zmniejsza się liczba urodzeń, a w r. 1880 zmniejszyła się w porównaniu z poprzednim rokiem o 160 tysięcy, liczba małżeństw o 4 tysięce. Za to zwiększyła się liczba nieprawych dzieci, śmiertelność, liczba idyotów i waryatów, liczba więźniów. Liczba zaś niebezpiecznych indywiduów, recydywistów wzrasta tak, że potrzeba osobnéj ustawy, dla przeprowadzenia powszechnéj obławy i deportowania kilkunastu tysięcy podejrzanych. Kiedy *Pót bouille* Zoli rozchodzi się w dwóch dniach w liczbie 70.000 egzemplarzy, rząd myśli o położeniu kresu pornograficznéj prasie i literaturze, siejącéj zarazę w całém społeczeństwie, przez zagrożenie literackim demoralizatorom Nową Kaledonią“.

Mamy i my w naszém społeczeństwie wyrodków, którzy za pomocą pióra, albo tłómaczeń dzieł bezecnych, lub wymierzonych przeciw religii i Kościołowi, starają się wszelkiemi sposobami zatruć nasze społeczeństwo, aby mu odebrać tę wiarę i tę siłę moralną, która dziś stanowi jedyną jego arkę zbawienia, w przededniu zbliżającego się potopu. A cóż powiedzieć o tych, którzy za srebrniki truciznę tę sprzedają publiczności, i to z całą świadomością? Zbrodniarz zabija jednego człowieka, oni tysiące, całe społeczeństwa, pracują nad zgubą własnéj ojczyzny, własnego narodu, jak to widzimy we Francyi i indziéj. Władze, które rzeczywiście pragną szczęścia społeczeństwa i potęgi kraju, ścigać powinny tych propagatorów: oni to są przyczyną wszelkich zbrodni nurtujących dziś ludzkość, któréj odbierają, lub już odebrali wiarę, sumienie i t. p. Ztąd kradzieże na wielką skalę i rozboje, oszustwa i zdrady, samobójstwa, niesnaski w rodzinach i narodach, zazdrość i chciwość bez granic, morderstwa i spiski, wojna przeciw Bogu i społeczeństwu, bluźnierstwa i oszczerstwa przeciw Wierze św., nieposzanowanie żadnéj władzy, jakiejkolwiekby ona była formy. Lecz przyznać trzeba, że częstokroć władza ta sama jest temu winna: przychodzi zbierać burzę, gdy się wiatr siało . . .

Zakończenie.

Stokes, fizyk i głęboki matematyk, mówi:

„Kreślmy bez obawy wiązanie jednego ogniwa z drugiém (w dziale istot), lecz strzeżmy się, aby w tém badaniu przyczyn drugich nie zapomnieć o pierwszéj przyczynie, i nie zamknąć oczu na cudowne dowody mądrości, którą spotykamy na każdym kroku, nadewszystko w badaniu istot organicznych“. „Jedna prawda nie może być przeciwną drugiéj, choćby się dochodziło do niéj drogami zupełnie różnemi; t. j. w jednym razie drogą prostego badania naukowego, w drugim przez wiarę opartą na autentycznych świadectwach“.

„Kiedy przechodzimy od zjawisk życia naturalnego, do zjawisk ducha, nauka może tylko nas oświecić do pewnego stopnia i obrócić nasz wzrok w świat wyższy“.

Becquerel (ojciec), dziekan wydziału uzycznego Akademii nauk, przyswoił sobie w pewnéj uroczystej okoliczności te wielkie słowa wielkiego Berzeliusza: „Trzeba przyjąć istnienie twórczéj potęgi, która się objawiała w pewnych epokach i która dziś czynną jest tylko w ten sposób, że zachowuje istoty żyjące. . . . Wszystko co się tyczy natury organicznéj, dowodzi celu mądrego i objawia nam myśl wyższą. Nie rzadko krótkowidzący filozof utrzymywał, że wszystko jest dziełem przypadku. Nie rozumiał, że to co oznaczał imieniem przypadku, jest rzeczą fizycznie niemożebną“.

Baumgartner, sławny fizyk, mówi: „Niektórzy naturaliści naszéj epoki, widząc, że żadne zjawisko świata materyalnego nie odbyło się bez sprowadzenia ruchu, uważali, że już mają prawo przyprowadzić wszystkie zjawiska świata umysłowego do prostego ruchu materyi. . . Podług nich, władze umysłowe są tylko wynikiem czynności właściwych mózgowi, poskramianéj przez skład masy mózgowéj i krew; umysł sam ma być tylko połączeniem atomów mózgowych, zdolnych za pomocą pewnych oznaczonych ruchów do czucia, wyobraźni, myśli, woli i t. p., jedném słowem, że mózg wydziela myśl, jak wątroba żółć.

Podobna nauka, poruszająca aż do fundamentów wiarę, do któréj niezmierna większość rodzaju ludzkiego przywiązała się przez długi szereg wieków, — nauka która podaje w wątpliwość wartość moralną naszych czynów,— nauka, która grozi istnieniu całego społeczeństwa

ludzkiego, nie powinna być głoszona, zanim się nie jest pewnym, że można ją oprzeć na dowodach przekonywających. Te mniemane dowody pan Baumgartner rozbiera, doprowadza je do nicości, okazuje ich nicość i tak zakończa: „Bądźmy jednakże dalecy od sądzenia, że nauki przyrodnicze same w sobie, prowadziły do materyalizmu... Nie! Ta nauka rozumnie i sumiennie kierowana, tworzy najlepszą i najmocniejszą zaporę przeciwko wszelkiego rodzaju błędom; i więcéj jak wszelka inna gałąź wiadomości ludzkich prowadzi nas do uznania całéj niezmierności przyrody, jako wspaniałéj świątyni Boga Wszechmocnego".

Chevreul, sławny dziekan chemików całego świata, mówi: „Zapytywałem siebie samego, czy żyjąc w epoce, w któréj nieraz powtarzają, że nauka tegoczesna wiedzie do materyalizmu, nie jest obowiązkiem człowieka, spędzającego swe życie wśród książek lub w laboratoryum chemicznem na szukaniu prawdy, zaprzeczyć téj opinii przeciwnéj jego zdaniu i przedstawić przyczynę, dla któréj nie był nigdy ani sceptykiem, ani materyalistą. — Pierwsze moje przekonanie zawiera pewność, że mam istnienie materyi nie odemnie zależącéj,— więc nigdy nie byłem sceptykiem ... Drugie moje przekonanie, że jest Istota Boska, Stwórca podwojnéj harmonii świata—harmonii, która rządzi światem nieruchomym *(inanimé)* i która objawia naprzód naukę niebieskiego mechanizmu, a potém naukę o zjawiskach atomów— i harmonii, która rządzi światem organicznym, żyjącym.

Widząc tę mądrość przewidującą, która przewodniczy w budowie świata, czyż można wstrzymać się od zapytania, czy w pewnych epokach ten widok przedziwny rzeczy nieorganicznych i istót żyjących wyjąwszy człowieka, nie jest nauką wymowną, daną dumie tegoż człowieka, którą okazya jéj nastręcza, aby porównała od czasu do czasu wzniosłe harmonie, których nie uczyniła — z widokiem społeczeństwa istot należących jedynie do rodzaju doskonalącego się, obdarzonego wolną wolą, rozumiem i zmysłem moralnym, a będącego w bezustannéj z sobą walce, w ten sposób, że największym nieprzyjacielem człowieka jest człowiek sam ... A jednak jakby przez gorzkie szyderstwo niektóre usta wymawiają ludzkość tam, gdzie inne mówią bóstwo.

Naudin, członek Akademii umiejętności, znakomity botanik, mówi: „Bóg mógł był uczynić świat tysiącem sposobów, i jest zupełnie obojętném teologii, czy Bóg utworzył go odrazu bez wmięszania przyczyn podrzędnych, lub drogą dłuższą rozwijania się i wiązania

z sobą zjawisk. Do jakiegokolwiek przywiązujemy się przypuszczenia (hypotezy), zawsze trzeba było, aby życie zaczęło się na naszéj planecie, a każdy początek, wszystko co wyszło niewidzialnie, jest i będzie niewytłómaczone ... Jakkolwiek uważają Mojżesza, czy go uważają za natchnionego proroka lub nie, jego teorya jest zawsze teoryą tłómaczącą rozwijanie się, — teoryą lipiéj zastosowaną do praw natury, niż teorya wszystkich tegoczesnych badaczy".

Dawson, wice-prezydent wydziału historyi naturalnéj w Towarzystwie amerykańskiém postępu nauk, mówi: „Teorya rozwijania się spoczywa wśród błędnego koła ... Życie nie jest wypływem praw fizycznych natury, a rozwijanie się ciał organicznych może tylko wtedy być zrozumianém, gdy przypuścimy istnienie siły niewidzialnéj, poprzedzającéj istnienie naszego świata, któréj całe stworzenie swą istność zawdzięcza i która dotąd działa bezustanku, aby go zachować. Na tym to gruncie spotykają się przyjaźnie i są w związku z sobą nauka ludzka natury i teologia, i nikt niema prawa ich rozłączyć!"

Mógłbym podać nieskończenie więcéj tych przykładów i cytacyj ludzi uczonych. Wchodząc w dziedzinę historyi, mógłbym upewnić znowu, że wszystkie lub prawie wszystkie wielkie umysły były szczerze religijne, przynajmniéj w tém, że czciły i wzywały Boga chrześcijańskiego i wyznawały główny dogmat nieśmiertelności duszy. Rzecz ta jest tém więcéj przekonywającą, że trzeba zastosować więcéj jeszcze do uczonych jak do ludzi pospolitych dogmat małéj liczby wybranych albo wierzących wiernych — *non multi sapientes!* i że uczeni oprócz tego, z powodu właśnie swéj nauki, która ich w pychę wbija, są skazani (jakby przez fatalizm) na zaślepienie, o którém mówiliśmy już nieraz.

Inaczéj się rzecz ma z prawdziwie uczonymi.

Hooker, prezes Towarzystwa naukowego królewskiego w Londynie, wyrzekł w swéj mowie zagajającéj zgromadzenie w Norwich Towarzystwa Brytańskiego: „Chciałbym widzieć wyryte głęboko w umysłach przekonanie, że niezmiernie pożądaną jest rzeczą, aby religia i nauka przemawiały do siebie słowami pokoju, postępując ręka w rękę ku przyszłym czasom i pokoleniom". Mąż ten przyswoił sobie słowa poety: „Lecz mówmy o Tym, który nas tu umieścił, który trzyma w ręku rozwiązanie zagadki, zkąd przychodzimy, dokąd idziemy. Śmierć wspólna wszystkim, życie nowe tam w górze, — jedno i drugie jest w zamiarach téj miłości, która wszystko obejmuje".

La Place, sławny astronom, o którym już wspominaliśmy, jednego dnia wyrzekł do Napoleona, że „zbadał i wytłómaczył powstanie światów, nie uciekając się nawet do przypuszczenia istności Boga“. Słowa te, są wynikiem strasznego materyalizmu i ateizmu, a jednak La Place na łożu śmierci prosił o pomoc religijną, i otrzymał ją.

A. Cauchy, najsławniejszy matematyk naszego wieku, nie wahał się odezwać do wszystkich uczonych ostatnich czasów, jego współbraci i współzawodników: „Jeżeli mędrzec szuka rzeczywiście prawdy, niechaj odrzuci bez wahania wszelkie przypuszczenia, które niby są w sprzeczności z prawdami objawionemi. Ten punkt, warunek, jest główny, — już powiem nie w interesie religii, lecz w interesie nauki. Wielu uczonych, zaniedbawszy na swe nieszczęście tę prawdę, strawili na próżnych usiłowaniach czas drogi, którego mogliby użyć na pożyteczne odkrycia i postęp nauki“.

Dumas, sławny chemik, na posiedzeniu Akademii uczonych mówi: „Czyż nam jest znaną natura materyi? Nie! Czy znamy naturę siły kierującéj ruchem ciał niebieskich i ruchem atomów? Nie! Czy znamy naturę pierwiastka życia? Nie! — Jakaż więc różnica zachodzi pomiędzy uczonym a półmędrkiem? Półmędrek nie zawaha się wszystkiemu przeczyć. Uczony ma prawo i odwagę wszystkiemu wierzyć. Nie; życie nasze nie zaczyna się i nie kończy na téj ziemi“.— „Nauka jest wielką, jéj rola jest chwalebną, lecz jéj panowanie ograniczone. Ona panuje nad materyą, lecz nie ma władzy nad duchem. Człowiek nie potrzebował nauki, aby zanurzyć się w głębinach duszy ludzkiéj, a to co odkrył, badając siły materyi, posłużyło tylko do utwierdzenia, że pomiędzy niemi a duszą niema nic wspólnego“.

Le Conte, prezes Towarzystwa Amerykańskiego Postępu nauk, mówi: „Dzicy z Australii nie mają pojęcia, co to jest rysunek; pokaż im fotografię dokładną człowieka, lub jakiego przedmiotu pospolitego — nie poznają go i nie potrafią spostrzedz żadnego związku między przedmiotem a jego wyobrażeniem. Tego zmysłu zupełnie im brak. Tak samo niektórzy ludzie, z innéj strony uczeni, są obojętni wobec arcydzieł sztuki i nie rozumieją, nie pojmują ich piękna. Brak im tego właśnie zmysłu! Taki też jest stan pewnych ludzi uczonych, inteligentnych, którzy odrzucają prawdy objawione religii, i którzy nie rozumieją wzniosłéj harmonii rozlanéj wśród wszechświata. Wiara i nauka nie przeszkadzają sobie, owszem, wspólnie podają sobie pomoc. Trzeba

się starać o zachowanie między niemi pokoju, przez wyrozumiałość i cierpliwość; wyrozumiałość dla wydziedziczonych, upośledzonych, którzy z powodu braku zdólności estetycznych, daléj sięgających, widzą tylko w świecie materyę i siłę; cierpliwość — bo dojście ich do zrozumienia tego, czego dziś pojąć i zrozumieć nie są zdolni, będzie długie — potrzeba im jeszcze się wiele uczyć i wiele doświadczyć, nim dojdą do prawdy i zasłużą sobie na chlubne miano prawdziwie, gruntownie uczonych.

Rozwój wiedzy ludzkiéj postępuje coraz daléj, umysł ludzki się wzbogaca z dniem każdym, miejmy więc tę pewną nadzieję, że, prędzéj może niż się spodziewamy, nauka i prawda oświeci tych, którzy dziś uparcie błąkają się po manowcach, a wtedy pokój i szczęście, o ile to być może, zakwitnie na ziemi.

Uniwersytet Warszawski BIBLIOTEKA Wydz. Hum. Filia w Białymstoku
8805/1

Niektóre tylko nazwiska autorów, z których czerpano.

Aeby Karol, profesor anatomii w Bernie. — Alzog, historyk. — Audin, hist. — Św. Augustyn, biskup, filozof i t. d.

Balmes, historyk. — Baumgartner, sławny fizyk. — Becquerel (ojciec), przewodniczący sekcyi fizycznéj Akademii umiejętności. — Berault, hist. — Bernard Klaudiusz, D-r medycyny, członek Akademii umiejęt. w Paryżu. — Berzeliusz, D-r medycyny i przyrodnik szwedzki. — Bischof Gustaw, prof. chemii w Bernie. — Bossuet, hist. — Boudel Dawid, hist. — Bouvier, historyk i filozof.

Cauchy A., matematyk i przyrodnik. — Caveyrac, hist. — Chateaubriand, hist. i filozof. — Chevreul, przewodniczący sekcyi chemicznej w Akademii umiejętności, prof. i dyrektor muzeum historyi naturalnéj.—Cobbett W., hist.—Cousin, filozof.

Dawison, wice-prezes sekcyi historyi natur. w Akademii umiejęt. — Dumas, sekr. Akademii umiejęt.— Dzieduszycki M., historyk i filozof.

Fabrycius, historyk.— Faye, astronom.— Feller, hist.— Fitz-William, filozof.— Flammarion K., astronom. — Fraas, prof. geognozyi.— Franco, filozof.

Golian Z. K. P., filozof. — Gosselin, hist. — Gratry, filozof.

Haeckel E., przyrod. i filozof. — Hefele, hist. — Herodot, hist.— Hooker, sławny botanik, prezes Towarzystwa naukow. królew. w Londynie.— Omalius d'Halloy, prezes królew. Akad. umiejęt. w Belgii.— Huxley, naturalista.

Jouffroy, filozof.— Juilly, historyk i filozof.

Lacordaire, filozof i teolog.— Lingard, hist.— Lorent, historyk.

Machiawel, polityk i filozof. — Maistre de, hist. i filozof.— Marino Marini, hist. — Mazas, hist. — Mädler I. H., astronom w Dorpacie.— Moigno, sławny matematyk, przyrodnik i filozof, autor 22 tom. Cosmos i 30 tom. Światy i t. d. — Moore Thomas, historyk.

Naudin, członek Akademii umiejętności i botanik.

Pasteur, sławny chemik, D-r medycyny.—Pecci J. K., filozof i t. d.—Pianciani, filozof.—Plaaff F., prof. geologii.

Reusch, prof. teologii i filozofii. — Rivaux, historyk.

Satowicz J., D-r historyk. — Secchi (Seki), astronom.— Segur K., filozof i teolog. — Simon Juliusz, filozof. — Stefanowicz S., filozof. — Stokes, prof. matematyki na uniwersytecie w Cambridge, sekretarz Towarzystwa nauki w Londynie.

Św. Tomasz z Akwinu.

Ulrici, profesor i filozof w Halli.

Zuliński T., D-r medycyny; — i wielu Ojców Kościoła, filozofów, teologów i t. d.

SPIS RZECZY.

Zwracam uwagę, że większą część kwestyj, znajdujących się w tém dziełku, nie podano w spisie—albowiem częstokroć w jednym artykule, traktującym o téj lub owéj kwestyi, wypłynie z porządku rzeczy kilkanaście innych.

Odstępy, znajdujące się poniżéj między tytułami artykułów, łaskawy Czytelnik raczy wypełnić nazwą, jaką uzna za odpowiednią.

Str.

Przedmowa ... 5
Do jakiego celu nauka dążyć powinna? ... 7
O dochowaniu klasyków starożytnych ... 23
Kto sztuki piękne wyzwolił i zachował ... 34
Dwa ważne słowa ... 74
Co nauka wie o wszechświecie ... 108
Wiara, nauka, wiedza i sztuka ... 112
Dwie nauki ... 116

Kwestye przyrodnicze, astronomiczne, archelogiczne, antropologiczne, fizyologiczne, geologiczne, teologiczne i t. d.

Rozdział I ... 116
Rozdział II ... 123
Rozdział III ... 125
Rozdział IV ... 129
Rozdział V ... 132
Rozdział VI ... 136
Rodział VII ... 142
Rozdział VIII ... 144

Str.

Rozdział IX. ... 150
Rozdział X ... 152
Rozdział XI ... 155
Oświata, postęp, walka o byt ... 161
Wiara, nauka i ateizm ... 166
Spirytyzm i magnetyzm ... 171
Galileusz ... 183
Beatryx Cenci. Legenda i historya ... 189
Kobieta papieżem ... 198
Inkwizycya hiszpańska ... 202
Reforma i jéj skutki ... 221
Noc św. Bartłomieja i poprzedzające ją wypadki ... 255
Edykt nanteński ... 267
Protestantyzm w ostatnich czasach i dalsze skutki ... 272
Racyonalizm niemiecki. System Kanta.
System Fichtego.
System Schellinga.
System Hegla.
Panteizm i jego początek i t. d.
Pogląd Straussa i t. d.
Racyonalizm francuski.
Szkoła szkocka.
Szkoła doktrynerska.
Szkoła eklektyczna.
Szkoła synkretyczna. 288–293
Szkoła i teorya postępu.
Zasady Saint-Simonistów.
Piotr Leroux—jego pisma i zasady.
Teorya falansteryjna Fouriera.
Naturalizm współczesny i t. d.
Socyalizm i komunizm i t. d.
Syllabus i znaczenie jego i t. d.
Uwagi o wiekach średnich ... 311
Masonerya i jéj cel ... 319
Dopisek godny uwagi ... 339—341
po przeczytaniu którego patrz notę ... 668
Dwie doniosłe kwestye ... 358
Nieomylność ... 387
Angelo Secchi ... 397
O odwieczności i nieskończoności świata ... 400
O pochodzeniu dusz i o ideałach wrodzonych ... 425

Str.
Klaudyusz Bernard ... 450
Moigno wielki uczony XIX. wieku ... 453
... 469
Ważne pytanie ... 475
Rzeczywista swoboda przekonań ... 480
Miłość chrześcijańska i filantropia ... 486
Ludwika Lateau ... 518
Człowiek i jego przeznaczenie ... 527
O sprawiedliwości Boskiéj ... 547
... 579
O nieśmiertelności duszy ... 584
Moc sumienia ... 592
Ciekawe listy ... 645
Ważne dopiski i t. d. ... 679
Zakończenie ...